



S T E P H E N  
K I N G

4 P O P Ó Ł N O C Y

stephen  
king

4 po północy

Z angielskiego przełożył  
PAWEŁ KOROMBEL

*Na pustyni*

*Ujrzałem stwora, bestię nagą.*

*Przykucnął,*

*Żarł serce*

*Trzymane na dłoni.*

*Spytałem: - Dobrze, przyjacielu?*

*- Gorzkie ono - gorzkie - odpowiedział -*

*Ale mi smakuje,*

*Bo jest gorzkie*

*I to serce moje.*

Steven Crane

*Ucałuję cię i obejmę, mała,*

*Obietnice spełnię*

*W północ przysięgam.*

Wilson Pickett

**SPIS TREŚCI**

**PÓŁNOC**

Wstęp.....	9
PIERWSZE PO PÓŁNOCY	
Langoliery.....	15
DRUGIE PO PÓŁNOCY	
Tajemnicze okno, tajemniczy ogród.....	263
TRZECIE PO PÓŁNOCY	
Policjant biblioteczny.....	413
CZWARTE PO PÓŁNOCY	
Polaroidowy pies.....	623

## PÓŁNOC

### Wstęp

No i patrzcie - oto znów jesteśmy razem! Cieszycie się? Bo ja ogromnie i od razu przychodzi mi do głowy pewna historyjka, a ponieważ opowiadanie historyjek dostarcza mi chleba powszedniego (i pozwala mieć wszystkie klepki w porządku), opowiem i tę.

Kilka miesięcy temu - a piszę te słowa pod koniec lipca 1989 roku - rozwalony na kanapie gapiłem się w telewizor. Red Sox z Bostonu grali z Brewersami z Milwaukee. Robin Yount z Brewersów szykował się przy końcowej bazie przeciw Rogerowi Clemensowi, a komentator (Ned Martin) jął rozwodzić się nad faktem, że Yount dopiero niedawno zaczął trzydziestkę. „Czasem mam wrażenie, że Robin pomagał Abnerowi Doubledayowi\* wyznaczać boisko”. \*[Legendarny (acz wątpliwe, by faktyczny) twórca zasad baseballu, który w 1839 roku ponoć wyznaczył pierwsze boisko.]

„Ano, przytaknął Joe Castiglione. Przyszedł do Brewersów prosto z liceum, gra dla nich od 1974”.

Wyprostowałem się tak błyskawicznie, że mało nie oblałem się pepsi. Zaczekaj! - pomyślałem. Chwila, do cholery! Wydałem swoją pierwszą książkę w 1974! To wcale nie tak dawno! Co to za pierdoły o pomaganiu Abnerowi Doubledayowi w wyznaczaniu boiska!

Wtedy oświeciło mnie, że upływ czasu - zagadnienie stale powracające w załączonych tu opowieściach - to sprawa wysoce indywidualna. To prawda, że publikacja *Carrie* na wiosnę 1974 (książka wyszła zaledwie dwa dni przed rozpoczęciem sezonu baseballowego, a pewien nastolatek, Robin Yount, po raz pierwszy wystąpił w barwach Milwaukee Brewers) subiektywnie nie wydaje się rzeczą odległą - jest dla mnie jak wczorajszy dzień - ale są inne sposoby pomiaru lat i z co poniektórych wynika, że piętnaście roczków to szmat czasu.

W roku 1974 Gerald Ford był prezydentem, a szach ciągle trzymał wszystkich za łeb w Iranie. John Lennon żył. Także Elvis Presley. Donny Osmond śpiewał z siostrzyczkami i

braciszkami wysoce piszczącym głosikiem. Skonstruowano domowy odtwarzacz wideo, ale do nabycia były jedynie egzemplarze próbne. Znamcy przewidywali, że kiedy staną się ogólnie dostępne, model Beta, zbudowany przez Sony, zmiecie w pył i proch rywala, znanego pod nazwą VHS. Myśl, że ludzie mogą niebawem wypożyczać popularne filmy jak poczytne powieści, nie mieściła się w głowach. Ceny benzyny wspięły się na niebotyczne wyżyny: czterdzieści osiem centów za zwykłą, pięćdziesiąt pięć za bezołowiową.

Pierwsze siwe włosy miały dopiero pojawić się na mojej głowie i brodzie. Moja córka, obecnie pierwszy rok college'u, miała lat cztery. Starszy syn, który dziś mnie przerasta, wycina bluesy na harmonijce i obnosi bujne loki godne Sammy'ego Hagara, dostąpił wtedy zaszczytu noszenia zapinanych na klapy z przodu spodenek. A młodszy syn, który obecnie jest i pitcherem, i gra na pierwszej bazie w zespole z Małej Ligi, miał przyjść na świat dopiero za trzy lata.

Czas ma zabawną plastyczną właściwość. Wszystko, co przemija, zmienia się. Kiedy wskakujesz do tego autobusu, spodziewasz się krótkiej przejażdżki - na koniec miasta, nie dalej - i nagle... niech to kule biją! Jesteś pośrodku następnego kontynentu. Uważasz tę metaforę za banalną? Ja też, ale wobec istoty sprawy to bez znaczenia. Zagadka czasu jest nierozwiązywalna i stąd nawet to mało odkrywczе spostrzeżenie, uczynione właśnie przeze mnie, mieni się bogactwem znaczeń.

Jedno nie uległo zmianie przez wszystkie te lata - jest zasadniczą przyczyną, którą można obciążać winą za to, że czasami wydaje mi się (jak chyba i Robinowi Yountowi), iż czas wcale nie drgnął. Nadal robię to samo: piszę opowieści. I nadal jest to dużo więcej niż tylko coś, co umiem; to coś, co kocham. Och, nie zrozumcie mnie źle - kocham moją żonę i dzieci, ale wciąż uwielbiam odkrywać te osobliwe boczne dróżki, iść nimi, dowiadywać się, kto przy nich mieszka, co robi i komu, a nawet dlaczego. Nadal kocham niezwykłość tych podróży i te przewspaniałe chwile, kiedy obrazy stają się wyraźne, a zdarzenia splatają w spójny wzór. Wątek jest jak wąż. To szybka bestia i czasem ręka mi się omsknie, ale kiedy go dopadnę, trzymam mocno... i dobrze mi z tym.

Kiedy ta książka wyjdzie, w 1990 roku, będę miał za sobą szesnaście lat pracy w biznesie o nazwie: zmyślenia. W połówce tej szesnastki, długo po tym, jak jakimś niepojętym sposobem zostałem sennym straszylem amerykańskiej literatury, wydałem dzieło pod tytułem *Skazani na Shawshank. Cztery pory roku*. Był to zbiór czterech wcześniej niepublikowanych krótkich powieści, z których trzy nie były horrorami. Wydawca przyjął rzecz życzliwie, ale jak sądzę, nie bez pewnej rezerwy. Rozumiałem go. Sam miałem pewne

obiekcje. Jak się okazało, obaj martwiliśmy się niepotrzebnie. Czasem pisarz wydaje książkę, której przypisany jest szczęśliwy los, i taką okazała się właśnie ta.

Jedna z opowieści, *Ciało*, została sfilmowana (*Stand By Me*) i obraz spotkał się z życzliwym przyjęciem... pierwszy raz od czasu *Carrie* (*Carrie* weszła na ekrany całe lata świetlne temu, kiedy Abner Doubleday i Wicie-Kto biegali, zaznaczając to boisko). Rob Reiner, który nakręcił *Stand By Me*, to jeden z najodważniejszych, najinteligentniejszych filmowców, jakich kiedykolwiek spotkałem, i jestem dumny z naszego pobratymstwa. Odnotowuję też z rozbawieniem, że firma, którą w następstwie sukcesu *Stand By Me* stworzył pan Reiner, nosi nazwę Castle Rock Productions... co zabrzmi znajomo w uszach wielu moich wiernych czytelników.

Krytycy, ogólnie biorąc, też polubili *Skazanych*... Prawie wszyscy byli gotowi użyć napalmu wobec którejś tam opowieści, ale że każdy z nich wytypował do spalenia inną, uznałem, że mogę zignorować ich bezkarnie... co też uczyniłem. Takie postępowanie nie zawsze jest możliwe: kiedy większość recenzji z *Christine* uznała ją za wyjątkowe szkaradzieństwo, niechętnie bo niechętnie, ale doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie nie jest tak dobra, jak sądziłem (co jednak nie powstrzymało mnie od skasowania czeków za tantiemy). Znam pisarzy utrzymujących, że nie czytają ocen swoich dzieł lub nie przejmują się złymi opiniami, i autentycznie wierzę dwóm takim osobnikom. Ale sam należę do innego gatunku: gryzę paznokcie do krwi na myśl o złych recenzjach i ronię łzy, kiedy nadejdą. Ale nie powalają mnie na długo. Wystarczy mi wykończyć kilkoro dziełek i staruszek, a już odzyskuję humor i równowagę ducha.

Co najważniejsze, książka *Skazani*... podobała się czytelnikom. Nie pamiętam ani jednego korespondenta, który zrugałby mnie za napisanie niehorroru. Większość donosiła, że ta czy inna opowieść tak czy inaczej wzbudziła w nich emocje, zmusiła do myślenia, poruszyła, i te listy są prawdziwą zapłatą za dni (a jest ich wiele), kiedy słowa rodzą się z trudem, a natchnienie jest wątle lub nawet nieobecne. Niech Bóg błogosławi i ma w opiece Wiernego Czytelnika. Usta mogą przemawiać, ale czymże jest opowieść, gdy brak życzliwego ucha.

To był rok 1982. Rok, w którym Brewersi z Milwaukee wygrali swój jedyny puchar Ligi Amerykańskiej, prowadzeni - tak, zgadliście - przez Robina Younta. Yount wyciągnął wtedy 331 punktów, grzmotnął dwadzieścia dziewięć uderzeń kończących i został uznany za najlepszego gracza ligi.

Był to dobry rok dla nas, starych przyków.

Książka *Skazani...* nie była planowana. Po prostu przyszła na świat. Cztery długie historie pojawiły się w nierównych odstępach czasu, opowiadania zbyt długie, aby opublikować je jako zwykły zbiór, i trochę za krótkie, aby mogły stanowić pojedyncze książki. Jak rzut, który ominie kij *pitchera*, albo odbicie na pełny komplet (zdobycie wszystkich trzech baz i uderzenie kończące w jednej grze) były nie tyle wyczynem, co statystycznym dziwolągiem. Ich sukces i dobre przyjęcie napawały mnie wielką radością, ale kiedy oddawałem w końcu manuskrypt do The Viking Press, było mi smutno. Wiedziałem, że są dobre; wiedziałem również, że prawdopodobnie już nigdy w życiu nie wydam podobnej książki.

Jeśli oczekujecie, że powiem: „Cóż, myliłem się”, muszę sprawić wam zawód. Książka, którą trzymacie w rękach, jest całkiem inna niż tamta. Na *Skazanych...* składają się trzy opowieści „normalne” i jedna opisująca świat nadprzyrodzony; tu wszystkie cztery są horrorami. Są, ogólnie mówiąc, trochę dłuższe niż historie w *Skazanych...* i w większości zostały napisane w ciągu dwóch lat, kiedy sądzono, że zламаłem i cisnąłem w kąt pióro. Być może różnią się dlatego, że są tworem umysłu, który, przynajmniej chwilowo, zwrócił się ku mroczniejszym zagadnieniom.

Na przykład czas i niszczący wpływ, jaki wywiera on na ludzkie serce. Przeszłość i cienie, jakie rzuca ona na teraźniejszość - cienie, w których rosną wredne stwory, a jeszcze bardziej wredne kryją się... i tuczą.

Lecz żadne z moich zainteresowań nie wygasło, a większość przekonań jedynie się umocniła. Nadal wierzę w wytrwałość ludzkiego serca i podstawowe znaczenie miłości. Nadal wierzę, że ludzie mogą nawiązać kontakt, a duchy mieszkające w nas dotknąć się wzajemnie. Nadal wierzę, iż cena tych kontaktów jest koszmarnie, przeraźliwie wysoka... i nadal wierzę, że wartość tego, co otrzymujemy w zamian, przewyższa poniesione koszty. Nadal wierzę, iż pojawi się Biały Czarodziej i że znajdzie się miejsce, w którym stworzy się punkt oporu... aby bronić go za cenę życia. Są to staromodne zainteresowania i przekonania, ale byłbym kłamcą, gdybym się do nich nie przyznał. I do tego, jaką mają nade mną władzę.

Wciąż też przepadam za dobrą opowieścią. Uwielbiam słuchać i uwielbiam opowiadać. Może wiecie, a może nie (albo wiecie i macie to w nosie), że zapłacono mi górę forsy za opublikowanie tej książki i dwóch następnych, ale jeśli was to obchodzi, wiedźcie, że nie zapłacono mi centa za napisanie tych opowieści. Jak wszystko, co się rodzi samo z siebie, aktu pisania nie da się ocenić pieniędzmi. Mieć pieniądze to wielka sprawa, ale kiedy dochodzi do tworzenia, najlepiej nie myśleć o nich za dużo. To hamuje cały proces.

Jak sądzę, sposób opowiadania moich historyjek również nieco się zmienił (mam nadzieję, że trochę się w tym wyrobiłem, ale oczywiście to coś, co każdy czytelnik powinien osądzić i osądzi sam), ale trudno byłoby się spodziewać czegoś innego. Kiedy Brewersi wygrali puchar w 1982 roku, Robin Yount grał na pozycji *shortstopa* (między drugą a trzecią bazą). Teraz stoi w środku pola. Chyba oznacza to, iż stał się trochę wolniejszy... ale wciąż łapie prawie wszystko, co zostanie odbite w jego kierunku.

To mi wystarcza. Wystarcza w zupełności.

Ponieważ bardzo wielu czytelników ciekawi, skąd biorą się moje opowiadki, lub zastanawia, czy autor za ich pomocą nie przekazuje jakiejś ogólniejszej myśli, poprzedziłem każdą z nich krótką notką opisującą, jak powstawały. Może was te notki zabawią, ale nie czytajcie ich, jeśli nie chcecie: to nie zadanie domowe, chwalić Boga, i potem nie grozi wam żadna klasówka.

Pozwólcie, że powtórzę na koniec jeszcze raz: dobrze mi tu z wami, jestem wesół i w dobrym zdrowiu i cieszę się, że mogę z wami pogadać... i jak to dobrze wiedzieć, że nadal jesteście weseli i w dobrym zdrowiu, oczekując na wyprawę w inne miejsce - miejsce, w którym może ściany mają oczy, a drzewa uszy, i coś naprawdę wrednego usiłuje dostać się ze strychu na dół, do ludzi. Ta sprawa nadal mnie interesuje... ale myślę, że obecnie jeszcze bardziej interesuje mnie, czy ktoś będzie słuchał tej opowieści, czy też nie.

Zanim sobie pójdę, winien wam jestem wynik tamtej gry. Brewersi dali wycisk Red Soksem. Clemens wyrzucił z pola Robina Younta przy pierwszym podejściu Younta do kija... ale za drugim razem Yount (który wedle Neda Martina pomógł Abnerowi Doubledayowi wyznaczyć pierwsze boisko) wyrzucił dwójkę z lewej strony i grzmotnął dwa uderzenia kończące.

Robin jeszcze nie zawiesił kija na kołku, jak mi się zdaje.

Ani ja.

Bangor, Maine lipiec 1989

## **LANGOLIERY**

*Opowieść dla Joego, jednego z pasażerów - strachajłów*

## **PIERWSZE PO PÓLNOCY**

*Wprowadzenie do Langolierów*

Opowieści przychodzą mi do głowy o różnym czasie i w różnych miejscach - w samochodzie, pod prysznicem, na spacerze, nawet kiedy sterczę na przyjęciach. Kilka razy

narodziły się podczas snu. Ale bardzo rzadko zdarza mi się zapisywać coś natychmiast, kiedy się pojawi, i nie prowadzę „notesu z pomysłami”. Niezapisywanie jest testem na żywotność. Mam wiele pomysłów, ale że tylko w skromnym procencie okazują się niezłe, wpycham je do - nazwijmy to - duchowego archiwum. Złe po jakimś czasie ulegają tam samodestrukcji, jak taśmy z Control na początku każdego odcinka *Mission: Impossible*. Od czasu do czasu, kiedy zerkam tam jak do szuflady, czy aby coś się zachowało, mała kupka pomysłów czeka na mnie, każdy uśmiecha się zachęcająco.

W przypadku *Langolierów* ujrzałem kobietę. Przyciskała dłoń do szczeliny w kadłubie pasażerskiego odrzutowca.

Na nic się zdało powtarzanie sobie, że wiem bardzo mało o samolotach pasażerskich; obraz jawił się w tym samym miejscu, kiedy tylko otwierałem szufladę, żeby wrzucić tam kolejny pomysł. Doszło do tego, że czułem nawet zapach perfum tej kobiety (to było L'Envoi), widziałem jej szmaragdowe oczy i słyszałem szybki, przestraszony oddech.

Pewnej nocy, kiedy leżałem w łóżku, balansując na krawędzi snu, uświadomiłem sobie, że ta kobieta jest duchem.

Siadłem, opuściłem stopy na podłogę i zapaliłem światło. Siedziałem tak przez chwilę, nie myśląc specjalnie o niczym... przynajmniej świadomie. Jednak gdzieś w głębi mózgu facet, który naprawdę odwała za mnie robotę, wziął się za sprzątnięcie stanowiska i gotów był włączyć na powrót wszystkie maszyny. Następnego dnia zacząłem - albo on zaczął - pisać tę opowiadankę. Zajęło to jakiś miesiąc i urodziła się najłatwiej ze wszystkich utworów tej książki, nabierając kształtu ślicznie i naturalnie. Od czasu do czasu zarówno opowieści, jak i noworodki przychodzą na świat bezboleśnie. Ponieważ ma apokaliptyczny nastrój zbliżony do mojej wcześniejszej krótkiej powieści nazwanej *The Mist*, poprzedziłem każdy rozdział w podobny staromodny, barokowy sposób. Zakończyłem ją w równie dobrym nastroju, jak zacząłem... Rzadki przypadek.

Jako swój własny badacz realiów zwykle obijam się beznadziejnie, ale tym razem pilnie odrabiałem zadania domowe. Trzej piloci - Michael Russo, Frank Soares i Douglas Damon - zadbali o autentyczne tło i dopilnowali, bym nic nie narozrabiał. A kiedy obiecałem, że niczego nie rozwalę, okazali się bardzo równymi facetami.

Czy opisałem wszystko bezbłędnie? Wątpię. Nie udało się to nawet wielkiemu Danielowi Defoe; w *Robinsonie Crusoe* nasz bohater rozbiera się do naga, płynie na statek, który niedawno opuścił... i napełnia kieszenie przedmiotami niezbędnymi do przeżycia na bezludnej wyspie. A jest i powieść (tytuł i autora litościwie pomijam) o nowojorskim metrze, w której pisarz najwyraźniej pomylił pakamerę motorniczych z toaletami dla pasażerów.



Moje standardowe zastrzeżenie brzmi: za trafione dziękujcie panom Russowi, Soaresowi i Damonowi. Za spaprane wińcie mnie. Nie chodzi tu jedynie o formalną uprzejmość. Błędy rzeczowe zwykle wynikają z nieumiejętności zadania właściwego pytania, a nie z błędnej odpowiedzi. Pozwoliłem sobie, przyznaję, na kilka dowolności w związku z samolotem, do którego niebawem wejdziecie; są niewielkie i wydały się niezbędne dla podtrzymania toku opowieści.

A więc: tyle ode mnie. Na pokład.

Wzbijmy się na nieprzychylne niebiosy.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

**Złe wieści dla kapitana Engle'a. Mała ślepa dziewczynka. Zapach pewnej damy. Gang Daltonów przybywa do Tombstone. Dziwna sytuacja rejsu 29.**

### **1**

Brian Engle podkołował, zatrzymał American Pride L1011 przy stanowisku 22. Dokładnie o 22.14 zgasił napis: ZAPIĄĆ PASY. Wydał długie westchnienie ulgi, ale szczęki miał wciąż napięte. Rozluźnił pasy.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł taką ulgę - i takie zmęczenie - kończąc lot. Dokuczał mu pulsujący ból głowy, a plany na wieczór miał jasno sprecyzowane. Żadnego drinka w barze pilotów, żadnej kolacji, nawet kąpieli po powrocie do Westwood. Paść w pościel i spać czternaście godzin, ot tyle.

Rejs 7 American Pride - usługa flagowa z Tokio do Los Angeles - opóźnił się najpierw przez silne przeciwne wiatry, a potem przez typowy tłok na LAX, zdaniem Briana najkoszmarniejsze lotnisko Ameryki poza Logan w Bostonie. Co gorsza, w ostatniej fazie lotu wynikły problemy z utrzymaniem ciśnienia. Na początku drobne, rosły przerażająco: groził wybuch i gwałtowna dekompresja... Wtedy litościwie ustały. Czasem takie zjawiska nagle i tajemniczo rozwiązują się same, jak to nastąpiło właśnie tym razem. Pasażerowie opuszczający pokład nie mieli najmniejszego pojęcia, że mało brakowało, a zamieniliby się w pasztet, ale Brian wiedział... i dlatego ból głowy, który mu dokuczał, szalał jak młot w rękę cyklopa.

- Suka idzie z mety na przegląd - powiedział drugiemu pilotowi. - Wiedzą że jest termin, i znają problem, zgadza się?

Kolega pokiwał głową.

- Nie spodoba się im to, ale wiedzą.

- Danny, gównu mnie to obchodzi, czy im się podoba, czy nie! Dziś wieczór mało brakowało.

Danny Keene znów pokiwał głową. Wiedział, że mało brakowało. Brian westchnął i potarł ręką kark. Głowa bolała go jak zepsuty ząb.

- Może robię się za stary do tego interesu.

Była to oczywista uwaga, którą każdy rzuca od czasu do czasu, szczególnie pod koniec ciężkiej zmiany, i Brian doskonale wiedział, że wcale nie jest za stary do tego interesu - mając czterdzieści trzy lata, wchodził w najlepszy wiek dla pilotów. Niemniej jednak dziś wieczór prawie w to nie wierzył. Boże, jaki jestem zmęczony, westchnął w duchu.

Rozległo się pukanie. Steve Searles, nawigator, obrócił się w fotelu i nie wstając, otworzył drzwi. Pojawił się w nich mężczyzna ubrany w zieloną bluzę American Pride. Wyglądał na pracownika obsługi, ale Brian wiedział, że to tylko pozory. Był to John (albo może James) Deegan, zastępca szefa operacyjnego American Pride na LAX.

- Kapitan Engle?

- Tak? - Włączyły się czujniki defensywne, a cyklop w głowie dostał fioła. Pierwszą myślą jaką podpowiedziała Brianowi nie logika, ale napięcie i zmęczenie, było, że zamierzają obarczyć go winą za nieszczelność kadłuba. Paranoja, oczywiście, ale był w paranoidalnym nastroju.

- Obawiam się, że przynoszę panu złe wieści, kapitanie.

- Chodzi o dekompresję? - Głos Briana był zbyt ostry i kilku pasażerów wychodzących drzwiami obok kabiny pilotów obróciło głowy, ale za późno zdał sobie z tego sprawę.

Deegan pokręcił głową.

- Chodzi o pańską żonę, kapitanie Engle.

Przez chwilę Brian nie miał zielonego pojęcia, o czym facet mówi, i tylko siedział, gapił się i czuł wyjątkowo idiotycznie. Wreszcie trybik zaskoczył. Oczywiście, Anne.

- Ona jest moją byłą żoną. Rozwiedliśmy się osiemnaście miesięcy temu. W czym rzecz?

- Zdarzył się wypadek - powiedział Deegan. - Może lepiej przejdzie pan do biura.

Brian spojrział na niego z ciekawością. Po ostatnich trzech długich, ciężkich godzinach wszystko, co go teraz spotykało, wydawało się dziwnie nierealne. Przemknęło mu przez myśl, że to jakiś idiotyzm w rodzaju *Ukrytej kamery*, i już chciał powiedzieć Deeganowi, żeby się odpieprzył. Ale nie. Szarże w liniach lotniczych nie zajmują się dowcipami i robieniem kawałów, zwłaszcza kosztem pilotów, którym niedawno groził ciężki niefart w powietrzu.

- Co z Anne? - Brian usłyszał własny, pytający głos, tym razem cieplejszy. Kątem oka zauważył, że drugi pilot patrzy na niego z ostrożnym współczuciem. - Czy ma się dobrze?

Deegan spuścił wzrok na swoje wyglansowane buty i Brian zorientował się, że wieści są naprawdę bardzo złe, że z Anne jest co najmniej bardzo niedobrze. Zorientował się, ale nie mógł uwierzyć. Anne liczyła dopiero trzydzieści cztery lata, była zdrowa i ceniła sobie ostrożność. Nie raz i nie dwa myślał, że Anne jest jedynym kierowcą w Bostonie... może w całym stanie Massachusetts, który ma właściwie poukładane w głowie.

Teraz usłyszał siebie pytającego o coś innego. Właśnie tak. Jakby ktoś zainstalował się w jego mózgu i używał jego ust jako głośnika.

- Czy ona nie żyje?

John (albo James) Deegan rozejrzał się wkoło, jakby szukając wsparcia, ale blisko była tylko stewardesa, stojąca przy wyjściu. Życzyła pasażerom miłego wieczoru w Los Angeles i zerknęła od czasu do czasu z niepokojem w kierunku kabiny pilotów, prawdopodobnie martwiąc się tym samym, czym poprzednio Brian - że z jakiegoś powodu załoga będzie obwiniona o dekompresję, która zamieniła ostatnie godziny lotu w koszmar. Deegan musiał działać na własną rękę. Znowu spojrzał na Briana i kiwnął głową.

- Tak, obawiam się, że to prawda. Czy zechce pan pójść ze mną kapitanie Engle?

## 2

Kwadrans po północy Brian Engle zajmował miejsce w fotelu 5A rejsu 29 American Pride - usługi flagowej z Los Angeles do Bostonu. Za jakieś piętnaście minut rejs ten - znany transkontynentalnym pasażerom jako Przekrwione Oko - się rozpocznie. Brian przypomniał sobie wcześniejszą myśl, że jeśli nie LAX, to Logan jest najbardziej niebezpiecznym lotniskiem pasażerskim Ameryki. Dzięki feralnemu zbiegowi okoliczności będzie miał szansę w ciągu ośmiu godzin porównać oba miejsca: LAX jako pilot, Logan jako pasażer z bezpłatnym biletem.

Ból głowy, dużo gorszy niż podczas lądowania rejsu 7, wzrósł. Cyklop przeszedł na chwyt oburęczny.

„Pożar, pomyślał. Cholerny pożar. Co się stało z czujnikami dymu, na litość boską? To był zupełnie nowy budynek!”

Rzadko wracał pamięcią do Anne przez ostatnie cztery czy pięć miesięcy. Podczas pierwszego roku samotności wydawało mu się, że myśli tylko o niej: co robi, jak się ubiera i, oczywiście, z kim się spotyka. Kiedy w końcu rana zaczęła się goić, poleciało to piorunem... jakby dostał zastrzyk jakiegoś antybiotyku przywracającego duszy życie. Dość naczytał się o rozwodach, żeby wiedzieć, jaki to zwykle środek przywraca życie: nie antybiotyk, ale inna kobieta. Innymi słowy: efekt odskoczni.

Brian nie znalazł innej kobiety - przynajmniej na razie. Kilka spotkań i jeden ostrożny kontakt seksualny (zaczął wierzyć, że wszystkie pozamałżeńskie kontakty seksualne w wieku AIDS są ostrożne), ale żadnej innej kobiety. Po prostu... rana zaleczyła się sama.

Brian obserwował współpasażerów wchodzących na pokład. Młoda blondynka szła z małą dziewczynką w czarnych okularach. Dłoń dziecka spoczywała na łokciu kobiety. Kobieta zamruczała do podopiecznej, ta spojrzała natychmiast w kierunku źródła głosu i Brian zrozumiał, że jest ślepa - wskazywał na to ruch głowy. Śmieszne, ile takie drobne gesty mogą zdradzić.

„Anne, pomyślał. Czy nie powinieneś myśleć o Anne?”.

Ale jego zmęczony umysł odbiegał od tematu Anne - Anne, jego byłej żony, Anne, jedynej kobiety, którą uderzył w gniewie, Anne, teraz martwej.

Mógłby wygłaszać odczyty dla rozwodników. Diabła tam, dla rozwódek też. Za temat miałby rozwód i sztukę przebaczenia.

Czwarta rocznica ślubu wyznacza optymalny moment rozvodu, powiedziała by. Weźcie mój przypadek. Spędziłem następny rok w czyścicu, zastanawiając się, ile jest w tym mojej winy, a ile jej, ile miałem lub nie miałem racji, przyciskając ją w sprawie dzieci - to była nasza Wielka Sprawa, nic dramatycznego jak narkotyki lub zdrada, tylko ta odwieczna męka: dzieci kontra kariera - a potem wszystko to jakby zostało zapakowane do błyskawicznej windy w mojej głowie. Anne też. I winda spadła.

Tak. Spadła. I przez ostatnie kilka miesięcy wcale nie myślał o Anne... nawet kiedy przychodził czas wypisania comiesięcznego czeku na alimenty. To była bardzo rozsądna, wyważona sumka; Anne sama wyciągała osiemdziesiąt tysięcy rocznie brutto. Wypłatę przygotowywał jego prawnik i była to tylko jeszcze jedna pozycja miesięcznego rozrachunku, mała pozycja, dwa tysiące dolarów, wciśnięta pomiędzy rachunek za elektryczność a kolejną ratę za mieszkanie.

Obserwował chudego nastolatka z futerałem na skrzypce pod pachą i w jarmułce na głowie idącego wzdłuż przejścia między fotelami. Chłopiec był równocześnie zdenerwowany i podniecony, wzrok zatopił daleko w przyszłość. Brian zazdrościł mu.

Wiele goryczy i gniewu narosło między nimi podczas ostatniego roku małżeństwa i wreszcie, cztery miesiące przed końcem, stało się: jego ręka usłuchała komendy „start!”, zanim głowa ostrzegła „nie!”. Nie lubił tego wspomnienia. Anne wlała w siebie za dużo na przyjęciu i dosłownie wpiła się w niego, kiedy dotoczyli się do domu.

Nie zwracaj mi tym głowy, Brian. Nie zwracaj głowy. Dość gadania o dzieciach. Jak chcesz wiedzieć, czy masz dobrą spermę, idź do lekarza. Moja praca to reklama, nie rodzenie bachorów. Mam tak dość tego twojego supermęskiego bicia piany...

Wtedy uderzył ją Mocno, otwartą dłonią w usta. Policzek uciął ostatnie słowo z brutalną precyzją. Spoglądali na siebie w tym mieszkaniu, w którym miała później umrzeć, bardziej wstrząśnięci i przestraszeni, niż mieli kiedykolwiek potem odwagę przyznać (poza może obecną chwilą, kiedy siedząc w fotelu 5A i obserwując pasażerów rejsu 29 wchodzących na pokład, przyznawał się; w końcu przyznawał się przed sobą samym). Dotknęła ust, które zaczęły krwawić. Wyciągnęła palce w jego kierunku.

„Uderzyłeś mnie”, powiedziała. Nie była zła, tylko zdumiona. To chyba pierwszy raz ktokolwiek ośmielił się w gniewie tknąć Anne Quinlan Engle.

„Tak, odrzekł. Zgadłś. I powtórzę to, jak się nie zamkniesz. Nie będziesz już mnie chłostać tym swoim jęzorem, skarbie kochany. Lepiej załóż sobie kłódkę. Mówię to dla twojego własnego dobra. Tamte dni się skończyły. Jak chcesz w tym domu mieć kogoś do kopania, kup sobie psa”.

Małżeństwo kulało jeszcze przez kilka miesięcy, ale naprawdę skończyło się w momencie, w którym dłoń Briana weszła w krótki kontakt z kącikiem ust Anne. Został sprowokowany - Bóg wie, że został - ale nadal dałby wiele, żeby cofnąć tę jedną paskudną sekundę.

Kiedy ostatni pasażerowie wąskim strumykiem wpływali na pokład, myślał prawie obsesyjnie o perfumach Anne. Przypominał sobie ich zapach, ale nie nazwę. Co to było? Lissome? Lithesome? Lithium, na litość boską? Nieuchwytnie, umykało pamięci. Doprowadzało do szaleństwa.

Lawnboy? Coś równie głupawego? \*. [\* Dośł. chłopak do koszenia trawy; kosiarka.]

„Och, przestań, powiedział zmęczonej głowie. Daj sobie z tym spokój”. „W porządku, zgodziła się głowa. Nie ma sprawy; mogę przestać. Mogę przestać, kiedy tylko zechcę. Może to było Lifebuoy? Nie - to mydło. Przepraszam. Lovebite? Lovelorn?”.

Brian zapiął pas, odchylił się w tył, zamknął oczy i wchłaniał zapach perfum, których nazwy nie mógł sobie przypomnieć.

Wtedy właśnie zagadnęła go stewardesa. Oczywiście. Brian Engle wyznawał teorię, że uczono je - na supertajnych kursach specjalizacyjnych, być może nazywanych „Dręczenie Trzódki” - żeby czekały, aż pasażer lub pasażerka zamknie oczy, zanim zaoferują się z jakąś wcale-nie-tak-ważną usługą. I oczywiście, mają czekać do uzyskania zupełnej pewności, że pasażer, pasażerka śpi, zanim obudzą go/ją, pytając, czy nie chce koca lub poduszki.

- Proszę wybaczyć... - zaczęła i urwała. Jej oczy przesunęły się od epoletów na ramionach czarnej marynarki Briana do leżącej na siedzeniu obok czapki z idiotyczną Jajecznicą”, jak nazywano w siłach powietrznych otok pilota.

Przegrupowała myśli i zaczęła jeszcze raz.

- Proszę wybaczyć, kapitanie. Czy nie ma pan ochoty na kawę lub sok pomarańczowy? - Brian z lekkim rozbawieniem spostrzegł, że zarumieniła się pod jego spojrzeniem. Wskazała stół na froncie przedziału klasy pierwszej, tuż poniżej małego prostokąta ekranu filmowego. Na stole stały dwa kubeczki z lodem. Wysmukła zielona szyjka butelki wystawała z każdego. - Oczywiście, mamy również szampana.

Engle zastanowił się nad szampanem, ale tylko przez moment. (Love Boy, blisko, ale nie, to papieros).

- Nie, dzięki - powiedział. - I nie potrzebuję niczego podczas lotu. Zamierzam przespać całą drogę do Bostonu. Jak pogoda?

- Chmury na wysokości sześciu kilometrów od Wielkich Równin, przez całą trasę do Bostonu, ale to żaden kłopot. Lecimy na jedenastu. Och, i mamy zapowiedź zorzy polarnej nad pustynią Mojave. Może wtedy pana obudzić? Brian uniósł brwi.

- Żarty. Zorza polarna nad Kalifornią? I o tej porze roku?.

- Taką mamy prognozę.

- Ktoś zafundował sobie za dużo tanich prochów - powiedział Brian, a ona się roześmiała. - Raczej się zdrzemnę, dzięki.

- Proszę bardzo, kapitanie. - Zawahała się jeszcze przez chwilę. - Pan właśnie stracił żonę, prawda?

Cyklop z młotem ożywił się, ale Brian zmusił się do uśmiechu. Ta kobieta - na dobrą sprawę dopiero dziewczyna - nie chciała sprawić mu przykrości.

- To moja była żona, ale poza tym zgadza się. To ja.

- Bardzo panu współczuję.

- Dziękuję.

- Czy leciałam kiedyś z panem, sir? Uśmiech powrócił na krótko na jego twarz.

- Nie sędzę. Cztery ostatnie lata spędziłem na liniach zagranicznych. - I ponieważ wydało mu się to jakoś konieczne, podał jej dłoń. - Brian Engle.

Uścisnęła ją.

- Melanie Trevor.

Engle uśmiechnął się do niej jeszcze raz, potem odchylił się do tyłu, zamknął oczy. Pozwolił myślom odpłynąć, ale nie zasnął - ogłoszenia poprzedzające lot zaraz by go znów obudziły. Będzie dość czasu na sen, kiedy wzbiją się w powietrze.

Rejs 29, jak większość nocnych, wystartował punktualnie - to jedna z zalet na ich skąpej liście atrakcji. Samolot był to Boeing 767, wypełniony niewiele ponad połowę. W pierwszej klasie zasiadło kilku pasażerów. Żaden z nich nie wyglądał Brianowi na pijanego lub gotowego do rozróby. Dobrze się złożyło. Może naprawdę prześpi całą drogę do Bostonu.

Cierpliwie obserwował Melanie Trevor, kiedy wskazywała wyjście ewakuacyjne, demonstrowała sposób użycia maski tlenowej (tzw. złotego kubeczka) na wypadek nieszczelności kadłuba (procedura, którą nie tak dawno Brian sam rekapitulował w myśli i to raczej Pospiesznie), i sposób nadmuchania kamizelki ratunkowej leżącej pod fotelem. Kiedy samolot uniósł się w powietrze, podeszła do Briana i zapytała go znowu, czy nie przynieść czegoś do picia. Potrząsnął głową, podziękował, nacisnął guzik powodujący opuszczenie oparcia. Zamknął oczy i natychmiast zapadł w sen. Nigdy więcej nie ujrzał Melanie Trevor.

### 3

Jakieś trzy godziny po starcie rejsu 29 mała dziewczynka, Dinah Bellman, obudziła się i poprosiła ciocię Vicky o łyk wody.

Ciocia Vicky nie odpowiedziała, więc Dinah poprosiła jeszcze raz. Kiedy znów nie usłyszała odpowiedzi, wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia cioci, choć była już całkiem pewna, że dotknie tylko pustego fotela. Miała rację. Doktor Feldman powiedział jej, że dzieci ślepe od urodzenia często nabywają ogromnego wyczucia - prawie jakby wykształciły w sobie radar rejestrujący ludzi w bezpośrednim otoczeniu, ale Dinah nie potrzebowała tej informacji. Wiedziała o tym. „Radar” działał nie zawsze, ale przeważnie się sprawdzał... zwłaszcza jeśli poszukiwaną osobą była przewodniczka.

„No i co, poszła do toalety i zaraz wróci”, pomyślała Dinah, ale poczuła dziwny, nieokreślony niepokój. Nie obudziła się od razu; szło to powoli, jakby była nurkiem wychodzącym z głębiny na powierzchnię. Gdyby ciocia Vicky, która zajęła fotel przy oknie, przeszła obok niej kilka minut temu, Dinah powinna była ją poczuć.

„Więc przeszła wcześniej, wytłumaczyła sobie. Prawdopodobnie wyszła za dużą potrzebą - to naprawdę nic poważnego, Dinah. Albo może przystanęła i rozmawia z kimś w powrotnej drodze”.

Ale Dinah nie słyszała żadnych rozmów, tylko równe, miękkie buczenie silników. Niepokój wzrósł.

Usłyszała głos panny Lee, swojej terapeutki (z tym że Dinah zawsze nazywała ją w myślach swoją ślepą nauczycielką): „Nie; wolno ci niczego się bać, Dinah - wszystkie dzieci boją się od czasu do czasu, zwłaszcza w nowych sytuacjach. Ślepe dzieci boją się dwa razy tyle. Wierz mi, wiem”. I Dinah wierzyła jej świącie, bo tak jak Dinah, pani Lee była ślepa od urodzenia. „Nie lekceważ swojego strachu... ale też mu się nie poddawaj. Siedź spokojnie i spróbuj ogarnąć sprawę rozumem. Zdziwisz się, jak często to skutkuje.

Zwłaszcza w nowych sytuacjach”.

No, to na pewno się zgadzało: nie dość, że Dinah leciała pierwszy raz w życiu, to w dodatku od razu z jednego wybrzeża na drugie, na pokładzie ogromnego transkontynentalnego odrzutowca.

„Spróbuj ogarnąć sprawę rozumem”.

No cóż, obudziła się w dziwnym miejscu i okazało się, że przewodniczka przepadła. Oczywiście, można dostać od tego boja, nawet wiedząc, że nieobecność jest tylko chwilowa - ale przecież przewodniczka nie mogła ot, tak sobie, wyskoczyć do najbliższego Taco Bell, bo jej burczało w brzuchu. Siedziała przecież w samolocie lecącym na wysokości jedenastu kilometrów. A co do dziwnej ciszy w kabinie... cóż, to jednak jest Przekrwione Oko. Reszta pasażerów chyba śpi.

„Wszyscy? - powątpiewająco zapytała niespokojna część umysłu. WSZYSCY zasnęli? Czy to możliwe?”.

Wtedy zjawiała się odpowiedź: film. Ci, którzy czuwali, oglądali film. Oczywiście.

Ogarnęła ją ogromna ulga. Ciocia Vicky powiedziała, że w *Kiedy Hariy spotkał Sally* grają Billy Crystal i Meg Ryan... i że sama chce to obejrzeć. Jeśli nie zaśnie, rzecz jasna.

Dinah przebiegła lekko ręką po fotelu cioci, szukając słuchawek, ale ich nie znalazła. Zamiast tego palce dotknęły książki. Bez wątpienia był to jeden z romansów, które ciocia Vicky lubiła czytać - opowieści z czasów, kiedy mężczyźni jeszcze byli mężczyznami, a kobiety były jeszcze kobietami; tak je nazywała.

Palce Dinah przesunęły się troszkę dalej i trafiły na coś innego - to coś było pokryte gładką drobnziarnistą skórą. Chwilę później wyczuły zamek błyskawiczny, a jeszcze później pasek.

Torebka cioci Vicky.

Niepokój Dinah powrócił. Na fotelu nie było słuchawek cioci Vicky, ale była torebka. Wszystkie czeki podróżne, z wyjątkiem jednego na dwudziestaka, spoczywającego głęboko w torebce Dinah, leżały tu - Dinah wiedziała o tym, ponieważ słyszała, jak mama i ciocia Vicky mówiły o nich przed wyjazdem z Pasadeny.



Czy ciocia Vicky mogła pójść do toalety i zostawić swoją torebkę na fotelu? Czy mogła tak postąpić, gdy jej towarzyszka podróży nie tylko miała dziesięć lat, nie tylko spała, ale była ślepa?

Raczej nie.

„Nie lekceważ swojego strachu... ale też mu się nie poddawaj. Siedź spokojnie i spróbuj ogarnąć sprawę rozumem”.

Ale ten pusty fotel i cisza w samolocie nie podobały jej się. To, że większość ludzi śpi, a ci, którzy czuwają, zachowują się możliwie jak najciszej ze względu na resztę pasażerów, było niezwykle sensowne, a jednak też jej się nie podobało. Pewne zwierzę z wyjątkowo ostrymi kłami i pazurami ocknęło się w jej umyśle i zaczęło warczeć. Znała jego imię: to panika. Jeśli nie zapanuje nad nim szybko, to jeszcze narobi czegoś, co przysporzy wstydu im obu. Jej i cioci Vicky.

„Kiedy będę widzieć, kiedy lekarze w Bostonie naprawią mi oczy, to nie będę musiała się dręczyć takimi głupotami”.

Święta prawda, tylko że teraz absolutnie nic z tego nie wynikało.

Dinah nagle przypomniała sobie, że gdy zajęły miejsca, ciocia Vicky wzięła ją za rękę, zgięła wszystkie palce poza wskazującym, a potem naprowadziła ten palec na brzeg oparcia fotela. Tam znajdowały się regulatory - tylko kilka; proste, łatwe do zapamiętania. Dwa małe kółeczka używane po nałożeniu słuchawek, jedno zmieniało kanały audio, drugie kontrolowało poziom głośności. Mały prostokątny przełącznik do lampki nad głową. „Nie będzie ci potrzebny, uśmiechnęła się ciocia Vicky. Przynajmniej jeszcze nie”. Ostatni był kwadratowy guzik - służył do wzywania stewardesy.

Palec Dinah dotknął go teraz, prześliznął się po lekko wypukłej powierzchni.

„Naprawdę chcesz to zrobić? - zapytała siebie i odpowiedź nadeszła od razu. No, chcę”.

Nacisnęła guzik i usłyszała łagodny brzęk. Czekwała.

Nikt nie przyszedł.

Rozlegał się tylko cichy, zdawałoby się - wieczny - szep samolotowych silników. Nikt nie przemówił. Nikt się nie roześmiał („Coś mi się zdaje, że ten film nie jest taki zabawny, jak ciocia się spodziewała”, pomyślała Dinah). Nikt nie zakaszał. Fotel obok Dinah, fotel cioci Vicky, ciągle był pusty i żadna otulona uspokajającym obłoczkiem perfum, szamponu i lekkimi zapachami makijażu stewardesa nie pochyliła się nad nią, żeby zapytać, czy czegoś nie przynieść - czegoś do zjedzenia albo wody.

Tylko cicho buczały silniki odrzutowca.

Zwierzę (panika!) wyło głośno jak nigdy. Żeby je pokonać, Dinah skupiła się, nakierowała swój niby-radar jak niewidzialną laskę w środek kabiny. Była w tym dobra; czasem, kiedy się bardzo skupiła, zdawało się jej, że widzi oczami innych. Wystarczyło dość mocno pomyśleć i chcieć dość mocno. Kiedyś powiedziała o tym panie Lee i została niezwykle surowo skarcona. „Wspólne patrzenie to fantazja częsta u ślepych dzieci. Dinah, nigdy nie zrób tego błędu i nie polegaj na tym wrażeniu. Spadniesz ze schodów lub wejdiesz pod samochód i wylądujesz z kończynami na wyciągu”.

Więc zrezygnowała ze „wspólnego patrzenia”, jak nazwała to panna Lee, a kiedy (rzadko) wydawało się jej, że widzi świat - przez mgłę, drżący, ale widzi, oczami matki albo ciotki Vicky - starała się odsunąć to wrażenie... jak osoba lękająca się, że traci rozum, stara się zagłuszyć pomruk widziadeł. Ale teraz, wystraszona, usiłowała wyczuć innych, wyszukać.

Nadaremnie.

Ogarnęło ją okropne przerażenie, ryk zwierzęcia (paniki!) grzmiał bardzo głośno. Czuła, jak płacz rośnie jej w gardle, i zagroziła mu drogę, zaciskając ząbki. Wskoczyłby nie płaczem, ale krzykiem; niech no go wypuści, a z ust wyleci jej wrzask wielki jak atomowy grzyb.

„Nie krzyknę, mówiła sobie zawzięcie. Nie krzyknę i ciocia Vicky nie będzie musiała się wstydzić. Nie krzyknę i nie obudzę tych, którzy śpią, i nie wystraszę tych, którzy nie śpią, i nie przybiegną, i nie powiedzą: patrzcie na tę wystraszoną małą dziewczynkę, patrzcie na tę wystraszoną małą ślełą dziewczynkę”.

Teraz ten radarowy zmysł - ta część jej osoby, która opracowywała wszelkiego rodzaju nieokreślone dane wchodzące i czasem jednak pozwalała widzieć oczami innych (...aaa, niech panna Lee mówi sobie co chce) - wzmagał raczej, niż odpędzał strach.

Ponieważ ten zmysł powiadał, że nie obejmuje nikogusieńko swym zasięgiem. Ni-ko-go.

#### 4

Brian Engle miał bardzo zły sen. Śniło mu się, że znów prowadzi rejs 7 z Tokio do LA, ale tym razem dekompresja jest dużo gorsza. W kabinie pilotów wprost czuło się ciężącą zagładę. Steve Searles szlochał, zajadając duńczyka\*. [\* Tluste ciasteczko z francuskiego ciasta z nadzieniem owocowym, serowym

itp., zwykle pokryte lukrem.]

„Jak jesteś taki załamany, to czemu żresz?”, spytał Brian. Ostry gwizd, jakby gotującej się w czajniku wody, rozszedł się po kabinie - to dawała o sobie znać nieszczelność kadłuba. Była to oczywista durnota - ale w snach wszystko jest możliwe.

„Bo uwielbiam te ciastka, a już nigdy nie zjem żadnego”, powiedział Steve, pochlipując przeraźliwie.

Nagle gwizd ustał. Pojawiła się stewardesa, uśmiechnięta, z wyrazem ulgi na twarzy - była to Melanie Trevor. Oznajmiła, że nieszczelność została zlokalizowana i załatwana. Brian podniósł się i ruszył za Melanie do kabiny głównej. Anne Quinlan Engle, jego eksmałżonka, stała w małym wgłębieniu po usuniętych fotelach. Nad oknem obok niej znajdował się tajemniczy i nie wiedzieć czemu złowrogi napis: TYLKO DLA SPADAJĄCYCH GWIAZD. Namalowany był czerwonym kolorem symbolizującym niebezpieczeństwo.

Anne miała na sobie ciemnozielony mundurek stewardes American Pride. Było to dziwne - zajmowała wysokie stanowisko w agencji reklamowej w Bostonie i zawsze spoglądała z pogardą z wysokości swego wąskiego arystokratycznego nosa na „stewki”, z którymi latał jej mąż. Ręką zasłaniała pęknięcie w kadłubie.

„Widzisz, kochanie? - powiedziała z dumą. Wszystko w porządku. To, że mnie uderzyłeś, nie gra roli. Przebaczyłam ci”.

„Nie rób tego, Anne!” - zawołał, ale było już za późno.

Ubytek który zauważył na jej dłoni, odpowiadał pęknięciu na kadłubie. Rósł w miarę, jak różnica ciśnień nieustępliwie wysysała rękę na zewnątrz. Najpierw znikł środkowy palec, potem serdeczny, potem wskazujący i mały. Rozległo się krótkie puknięcie jak przy wyciąganiu korka z butelki szampana przez nadgorliwego kelnera. To cała dłoń została przeciągnięta przez szczelinę kadłuba.

Mimo to Anne uśmiechała się.

„To L’Envoi, kochanie, powiedziała, a ramię zaczęło jej znikać. Zapinka ściągająca włosy do tyłu puszczała i włosy fruwały je wokół twarzy mglistą chmurką. Właśnie tego zawsze używałam czyżbyś zapomniał?”.

Przypomniawszy sobie... teraz przypomniawszy. Ale to nie miało znaczeni

„Anne, wracaj!”, krzyczał.

Pustka z wolna wysysała ramię, a ona dalej się uśmiechała. „To wcale nie boli, Brian - wierz mi”.

Rękaw zielonego blezera American Pride zaczął furkotać i Brian widział, jak jej ciało wylewa się przez szczelinę gęstym białym śluzem; przypominał klej uniwersalny.

„L’Envoi, pamiętasz?”, pytała wysysana Anne i Brian usłyszał to znów - ten dźwięk, nazwany kiedyś przez poetę Jamesa Dickeya „rozległą gwizdo-bestią przestworzy”. Sen tracił na jasności, a dźwięk nasilał się miarowo. Równocześnie pogłębiał się, aby z wołania wiatru przejść w ludzki krzyk.

Brian gwałtownie otworzył oczy. Przez moment sen był od niego silniejszy, ale tylko przez moment - był profesjonalistą w zawodzie o wysokim stopniu ryzyka i obciążonym wysoką odpowiedzialnością, zawodzie, którego jednym z absolutnych wymogów była umiejętność szybkiego reagowania. Leciał rejsem 29, nie 7, nie z Tokio do Los Angeles, ale z Los Angeles do Bostonu, gdzie Anne była już martwa - nie z winy nieszczęśliwego kadłuba, ale na skutek pożaru we własnym mieszkaniu na Atlantic Avenue, niedaleko nabrzeży. Ale dźwięk rozlegał się nadal.

To piszczła mała dziewczynka.

## 5

- Czy ktoś mógłby się do mnie odezwać? - zapytała cichym, wyraźnym głosikiem Dinah Bellman. - Proszę wybaczyć, ale nie ma mojej cioci, a jestem ślepa.

Nikt jej nie odpowiedział. Czterdzieści rzędów i dwa przepierzenia dalej kapitan Brian Engle śnił, że jego nawigator szlocha i wcina duńczyka.

Słychać było tylko nieprzerwane buczenie silników odrzutowca.

Panika znów zaćmiła jej umysł i Dinah zrobiła jedyną rzecz, która mogła teraz poskromić to zwierzę: rozpięła pas, wstała i przesunęła się do przejścia.

- Halo? - spytała, podnosząc głos. - Halo, jest tu kto?! Nadal nie było odpowiedzi. Dinah zaczęła płakać. Ale wciąż zawzięcie się nie poddawała. Powoli ruszyła przejściem. „Tylko licz, gorączkowo ostrzegała ją część umysłu. Licz mijane rzędy albo się zgubisz i nigdy nie znajdziesz drogi powrotnej”.

Stała obok następnego rzędu. Pochyliła się z wyciągniętą ręką, rozsuniętymi palcami. Zebrała całą odwagę, żeby dotknąć twarzy śpiącego tu mężczyzny. Wiedziała, że on tu siedzi, bo ciocia Vicky odezwała się do niego zaledwie jakąś minutę przed startem. Kiedy odpowiedział, jego głos dobiegł z fotela dokładnie przed Dinah. Wiedziała o tym, lokalizowanie głosów było częścią jej życia, zwykłą czynnością, jak oddychanie. Śpiący podskoczy, kiedy dotkną go jej wyciągnięte palce, ale Dinah nie dbała o to.

Tylko że fotel był pusty.

Kompletnie pusty.

Dinah wyprostowała się. Policzki mokre, w głowie pulsujący strach. Nie mogą być razem w toalecie, prawda? Oczywiście, że nie.

Może są dwie toalety. W tak ogromnym samolocie muszą być dwie toalety.

Tylko że to też nie miało znaczenia.

Ciocia Vicky nie zostawiłaby torebki, cokolwiek by się działo. Dinah była tego pewna.

Szła powoli, zatrzymywała się przy każdym rzędzie, obmacywała po kolei najbliższe fotele. Po lewej, po prawej.

Dotknęła najpierw torebki, potem jakby teczki, potem pióra i dużego notatnika. Teraz dwie pary słuchawek. Coś lepkiego na słuchawce. Potarła palce, skrzywiła się i otarła je o serwetkę na zagłówek. To musiała być woskowina z ucha. Na pewno. Miała swoją własną, nie dającą się pomylić z niczym innym, kleistą fakturę.

Dinah Bellman macała dalej, nie dbając już o ostrożność. Nie miało to znaczenia. Nie wybiła oka, nie drasnęła policzka, nie szarpnęła za włosy.

Wszystkie przeszukiwane fotele były puste.

„To po prostu niemożliwe, pomyślała w dzikim popłochu. To po prostu jest niemożliwe! Byli, kiedy wsiadałyśmy! Słyszałam ich! Czułam! Czułam ich zapachy! Gdzie wszyscy przepadli?”

Nie wiedziała gdzie, ale przepadli; była tego coraz bardziej pewna.

Kiedy spała, w jakimś momencie ciocia i cała reszta z rejsu 29 zniknęli.

„Nie! - zagrzmiała głosem panny Lee racjonalna część umysłu Dinah. Nie, to niemożliwe, Dinah! Jeśli wszyscy przepadli, kto prowadzi samolot?”

Szła teraz szybciej, ręce zaciskała na oparciach foteli, ślepe oczy szeroko rozwarła za czarnymi szklami, brzeg różowej podróżnej sukienki szeleścił. Straciła rachubę. Najgorsza była cisza.

Zatrzymała się. Obmacała fotel po prawej. Tym razem dotknęła włosów... ale były zupełnie nie tam, gdzie powinny. Leżały na siedzeniu - jak to możliwe?

Zacisnęła dłoń... i podniosła włosy. Nagła i straszliwa myśl przyszła jej do głowy.

„To włosy, ale ich właściciel umarł. To skalp. Trzymam skalp trupa”.

Wtedy właśnie Dinah Bellman otworzyła usta i wrzasnęła tak, że wyrwała ze snu Briana Engle'a.

## 6

Albert Kaussner stał oparty brzuchem o bar, pociągał whisky „Rozpalone Żelazo”. Braci Earp, Wyatta i Virgila, miał po prawej, doktorka Hollidaya po lewej. Podnosił właśnie szklaneczkę, żeby wznieść toast, kiedy staruch na drewnianej nodze podskokami wparował do saloonu „Sergio Leone”.

- Gang Daltonów! - darł się wniebogłosy. - Daltonowie są w Dodge!

Wyatt obrócił się i zmierzył go spokojnym wzrokiem. Twarz miał wąską, opaloną i przystojną. Wypisz, wymaluj, Hugh O'Brian.

- Myśmy są w Tombstone, Muffin - rzekł. - Weź się w garść, stary, śmierdzący dziadu.

- Ale oni przyjechali, czyśmy są tu czy tam! - wykrzyknął Muffin. - I są wpienieeni, Wyatt! Naaapraawdę wpieeeeeenieeee-niiiiii!

Jakby na potwierdzenie tych słów na ulicy zagrzechotała broń palna. Ciężki łomot wojskowych czterdziestekczwórek (prawdopodobnie gwizdniętych armii) mieszał się z wysoką jak trzaski z bicia palbą karabinów typu Garand.

- Nie nawal tylko w pory, Muffin - rzekł doktorek Holliday i przesunął kapelusz na tył głowy. Albert nie był strasznie zaskoczony, że fizys doktorka pasowała jak ulał do Roberta de Niro. Zawsze uważał, że jeśli ktoś absolutnie nadaje się na suchotniczego dentystę, to de Niro trafia tu w dychę.

- Co wy na to, chłopaki? - spytał Virgil Earp, rozglądając się wkoło. Virgil nikogo specjalnie nie przypominał.

- Chodźmy - rzekł Wyatt. - Te cholerne Clantony popamiętają mnie do usranej śmierci.

- To Daltonowie, Wyatt - spokojnie poprawił go Albert.

- A niech se ta będą John Dillinger i Floyd Słodka Buzia! - wrzasnął Wyatt. - Jesteś z nami, czy nie, As?!

- Z wami - Albert Kaussner przemówił łagodnym, ale złowieszczym głosem urodzonego zabójcy. Opuścił jedną rękę na kolbę długolufowego buntline'a special, a drugą podniósł do głowy, żeby sprawdzić, czy jarmułka leży mu na łbie jak należy. Leżała jak należy.

- Dobra, chłopaki - rzekł doktorek. - Wietrzymy tyłki Daltonom.

Wyszli pierś w pierś przez kowbojki, właśnie gdy dzwon na kościele baptystów w Tombstone zaczął bić. Było samo południe.

Daltonowie nadjeżdżali w pełnym galopie Główną, wybijając dziury w oknach z cienkiego szkła i we frontonach z dykty, za którymi nic nie było. Poidła przed „Towarami Mieszanymi Duke'a i „Godnym Zaufania Zakładem Rusznikarskim” siknęły jak fontanny.

To Ike Dalton pierwszy przyuważył czwórkę mężczyzn. Stał w pyle ulicy, długie poły płaszczy odrzucili w tył, aby móc szybciej chwycić za gnaty. Ściągnął szaleńczo uzdę, koń stanął dęba, zarżał płaty gęstej piany kapały mu z munsztuka. Ike Dalton wyglądał ciut-ciut jak Rutger Hauer.

- Patrzta, kogo tu nie mamy! - szydził. - Toż to Wyatt Earp i jego mimoziasty braciszek Virgil.

Emmet Dalton (który wyglądał jak Donald Sutherland harujący przez miesiąc noc w noc) osadził swojego konia obok Ike'a.

- No i ich kumpel. Dentysta dwurura - warknął. - Na co komu...

W tym momencie spojrzął na Alberta i zbladł. Szyderstwo spełzło mu z pyska.

Paw Dalton zatrzymał swojego konia obok synowskich ogierów. Paw wykazywał mocne podobieństwo do Slima Pickensa.

- Chrystusie... - szepnął Paw. - Toć to As Kaussner! Teraz Frank James ostro osadził swojego wierzchowca jako następny w szeregu obok Pawa. Gębę miał w kolorze brudnego pergaminu.

- Co, u diabła, chłopaki! - krzyknął. - Rozruszać miasteczko albo dwa w nudny dzionek, zgoda, ale nikt słowa nie pisnął, że Żyd Arizona tu się napatoczy!

Albert „As” Kaussner, znany od Sedalia do Steamboat Spring jako Żyd Arizona, postąpił krok naprzód. Zawiesił rękę nad kolbą swego buntline'a. Strzyknął na bok tytoniowym sokiem, nie odrywając chłodnych szarych oczu od twardzieli w siodłach sześć I metrów dalej.

- Zaczynajta, chłopaki! - wycedził. - Jak rachuję, w piekiel mają jeszcze kupę wolnych miejsc.

Gang Daltonów zerwał rzemyki przy kolbach równo z ostatnim] uderzeniem kościelnego dzwonu. Dźwięk zmieszał się z gorącym oddechem pustyni. As sięgnął po broń ręką szybką jak piorun, a kiedy” zaczął mlec kurek lewą, posyłając śmiertelną ulewę kalibru.451 w gang Daltonów, mała dziewczynka stojąca przy hotelu „Pod Rzeźną Krową - podniosła wrzask.

„Niechże ktoś każe przymknąć się tej smarkuli, pomyślał As. O co jej zresztą chodzi? Panuję nad wszystkim koncertowo. Nie na darmo nazywają mnie »najszybszy izraelita na zachód od Missisipi«,,,

Ale krzyk trwał dalej, przesywał powietrze, rósł, i wszystko zaczęło się rozpadać.

Przez moment Albert nie mógł się odnaleźć - zagubiony w ciemności, w której opadały wirujące fragmenty snu. Jedyłą stałą był ten okropny krzyk; przypominał bulgotanie kipiącego czajnika.

Otworzył oczy i rozejrzał się. Siedział w swoim fotelu, na froncie głównej kabiny rejsu 29. Z tyłu samolotu szła dziesięcio-, dwunastoletnia dziewczynka. Miała na sobie różową sukienkę i czarne, przylegające mocno do twarzy okularki.

„Za kogo ona robi, za gwiazdę filmową, czy jak?”, pomyślał, ale był mocno wystraszony. W niemiły sposób budził się z najmilszego snu.

- Hej! - zawołał, ale spokojnie, żeby nie budzić reszty. - Hej, mała! Co jest grane?

Dziewczynka gwałtownie obróciła głowę w kierunku głosu. Za głowę poszła reszta ciała i dziewczynka uderzyła biodrami o fotel ze środkowego rzędu. Odbiła się i poleciała do tyłu przez oparcie fotela z lewego rzędu. Padła, zadzierając nogi w górę.

- Gdzie są wszyscy?! - darła się. - Na pomoc! Na pomoc!

- Hej, stewardesa! - zawołał przejęty Albert i rozpiął pas. Uniósł się, wysunął przed fotel, obrócił do krzyczącej dziewczynki... i zamarł. Stał teraz twarzą do ogona samolotu i widok przygwoździł go do podłogi.

W pierwszym odruchu przeleciało mu przez głowę: „Zdaje się, już nie muszę się przejmować, że obudzę resztę pasażerów”. Cała główna kabina ziała pustką.

## 7

Brian Engle prawie doszedł do przepierzenia dzielącego klasę pierwszą rejsu 29 od klasy biznes, kiedy uświadomił sobie, że pierwsza klasa jest teraz całkiem pusta. Zatrzymał się na moment i zaraz ruszył dalej. Może inni opuścili fotele, żeby sprawdzić źródło hałasu.

Oczywiście wiedział, że nie w tym rzecz; dość długo woził pasażerów, żeby nieźle orientować się w grupowych reakcjach. Kiedy jakiś pasażer zaczynał svirować, rzadko kto, jeśli w ogóle ktoś, reagował. W większości potulnie rezygnowali z prawa do indywidualnych reakcji, kiedy już weszli do ptaszka, siedli i zapięli pasy. Po zakończeniu powyższych nieskomplikowanych czynności wszelkie decyzje zrzucali na barki załogi. Personel nazywał pasażerów trzodą, ale naprawdę byli jak barany... co znakomicie odpowiadało większości załóg. Zajmowanie się nerwowymi osobnikami stawało się wtedy lżejsze.

Ale ponieważ była to jedyna myśl, która miała choć odrobinę sensu, Brian zignorował podszepty doświadczenia i trwał przy ryzykanckim założeniu. Szczątki snu zaćmiewały nadal jego umysł i nadal w części był przekonany, że to krzyczy Anne i że znajdzie ją w połowie głównej kabiny z ręką przyklejoną do szczeliny w kadłubie pod napisem: TYLKO DLA SPADAJĄCYCH GWIAZD.

W klasie biznes był tylko jeden pasażer, starszy jegomość w brązowym garniturze z kamizelką. Jego łyśca czaszka świeciła łagodnie w blasku nocnej lampki. Powykrzywiane reumatyzmem dłonie złożył grzecznie nad klamrą pasa bezpieczeństwa. Spał głęboko i chrapał głośno, ignorując całe zamieszanie.

Brian wpadł do głównej kabiny i tu dopiero wyhamował. Powstrzymało go uczucie kompletnego, oszłamiającego zdumienia. Obok małej dziewczynki, która przewróciła się na siedzenie fotela z lewej burty, w jakiejś jednej czwartej długości kabiny, stał kilkunastoletni



chłopak. Jednak nie patrzył na dziecko; wpatrywał się w fotele na ogonie samolotu, a szczeka opadała mu prawie do; wysokości okrągłego wycięcia koszulki z napisem „Hard Rock Cafe”.

Pierwsza reakcja Briana była identyczna jak Alberta Kaussnera: „Boże mój, cały samolot jest pusty!”.

Ale po prawej spostrzegł kobietę. Wstała i podeszła do przejścia, żeby zobaczyć, co się dzieje. Miała zamglony wzrok, spuchniętą] twarz kogoś, kto właśnie został wyrwany z głębokiego snu. W połowie kabiny, w środkowym rzędzie, młody człowiek w swetrze z wycięciem] w łódkę wyciągał szyję w kierunku dziewczynki i spoglądał obojętnym wzrokiem. Inny mężczyzna, wyglądający na jakieś sześćdziesiąt lat, podniósł się z fotela obok Briana i stał niezdecydowany. Był ubrany w czerwoną flanelową koszulę. Na twarzy miał wyraz kompletnego pomieszania, a na głowie sterczały mu zwichrowane strączki jak u szalonego naukowca.

- Kto się drze? - spytał Briana. - Szefie, coś nie tak z samolotem? Chyba nie spadujemy, hę?

Dziewczynka przestała krzyczeć. Wykaraskała się z fotela, w który wpadła, i prawie od razu poleciała w przeciwnym kierunku. Chłopak ledwo ją złapał; ruchy miał powolne, jakby poruszał się we śnie.

„Gdzie oni się podzieli? - pomyślał Brian. Mój dobry Boże, gdzie oni wszyscy się podzieli?”.

Ale jego nogi ruszyły już same w kierunku nastolatka i dziewczynki. Po drodze minął jeszcze jedną nadal śpiącą pasażerkę. Była to dziewczyna mniej więcej siedemnastoletnia. Usta rozdziawiła niezbyt pięknie i wciągała powietrze długimi, głośnymi haustami.

Dotarł do nastolatka i dziewczynki w różowej sukience.

- Człowieku, gdzie oni? - spytał Albert Kaussner. Ramieniem obejmował łkające dziecko, ale nie patrzył na nie; oczy bez przerwy biegały mu po prawie opustoszałej kabinie. - Wylądowaliśmy, kiedy spałem, i gdzieś sobie poszli?

- Nie ma cioci - chlipała dziewczynka. - Ciocia Vicky! Myślałam, że samolot jest pusty! Myślałam, że jestem sama! Proszę powiedzieć, gdzie jest ciocia? Chcę do cioci!

Brian ukląkł przy niej. Zauważył okulary przeciwsłoneczne i przypomniał sobie, że widział ją wsiadającą z blondynką.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Wszystko w porządku, panienko. Jak się nazywaś?

- Dinah - wychlipała. - Nie mogę znaleźć cioci. Jestem ślepa i nie mogę jej zobaczyć. Obudziłam się i fotel był pusty...

- Co się dzieje? - spytał młody człowiek w swetrze w łódkę. Zadał pytanie ponad głową Briana, ignorując zarówno jego, jak i Dinah. Zwracał się do chłopaka w koszulce „Hard Rock Cafe” i starszego mężczyzny we flanelowej koszuli. - Gdzie są wszyscy pozostali?

- Nic się nie stało, Dinah - powtórzył Brian. - Tu są i inni. Słyszysz ich?

- T-tak. Słyszę. Ale gdzie jest ciocia Vicky? I kto został zabity?

- Zabity? - ostro zapytała kobieta z prawej burty. Brian spojrzął na nią przelotnie i zobaczył, że jest młoda, ciemnowłosa, ładna. - Czy ktoś został zabity? Jesteśmy porwani?

- Nikogo nie zabito - powiedział Brian. Tyle mógł powiedzieć. Ale nie więcej. Nie mógł się w tym wszystkim połąpać. Czuł się jak łódź zerwana z cumy. - Uspokój się, skarbie.

- Dotknęłam mu włosów! - upierała się Dinah. - Ktoś odciął mu WŁOSY!

Wszystko było dość dziwne, ale coś takiego? Brian puścił to mimo „szu. Wcześniejsze słowa Dinah dotarły doń z chłodną intensywnością. Pomyślał:

„Kto, do kurwy nędzy, siedzi za sterami?!”.

Wstał i obrócił się do starszego mężczyzny w czerwonej koszuli.

- Muszę iść na dziób. Zostańcie z małą.

- W porządku - powiedział tamten. - Ale co się dzieje? Dołączył do nich mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, mający na sobie wyprasowane niebieskie dzinsy i koszulę z oksfordzkiego płótna. W przeciwieństwie do pozostałych był całkowicie spokojny. Wyjął z kieszeni oprawne w róg okulary, otworzył je, strzepując za rączkę, i założył na nos.

- Wydaje mi się, że ubyło nam kilku pasażerów, nieprawdaż? - powiedział. Jego brytyjski akcent był niemal równie staranny jak plisy rękawów koszuli. - Co z załogą? Ktoś coś wie?

- Właśnie zamierzam się dowiedzieć - powiedział Brian i ruszył z powrotem ku przodowi samolotu. U wejścia do kabiny głównej zatrzymał się i szybko obliczył. Kolejna dwójka pasażerów dołączyła do grupki wokół dziewczynki w ciemnych okularach. Jednym z nich była nastolatka, która tak mocno spała. Chwiała się jak po alkoholu albo prochach. Drugim był podstarzały gość w wytartej wiatrówce. Razem ósemka. Doliczył siebie i faceta z klasy biznes, który - przynajmniej do tej pory - spał w najlepsze.

Dziesięcioro ludzi.

„Na miłość boską, gdzie reszta?”.

Ale nie czas było się tym martwić - ważniejsze problemy wisiały nad głową. Brian szybko skierował się na dziób, zaledwie rzucając okiem na łysego śpiącego faceta.

Przedział służbowy wciśnięty między ekran kinowy i przepierzenia, od których zaczynała się pierwsza klasa, był pusty. Podobnie kuchnia, ale tu Brian zobaczył coś wyjątkowo niepokojącego: ruchomy stół z napojami. Dolna półeczka była zastawiona brudnym szkłem.

„Właśnie przygotowywali się do wydawania drinków, pomyślał. Kiedy się to stało - cokolwiek »to« było - właśnie wysunęli stół. Brudne szklanki zebrali przed startem. Więc to, co się stało, nastąpiło w pół godziny po starcie, może trochę później - czy nie było prognoz o turbulencjach nad pustynią? Chyba tak. I pieprzenie o zorzy polarnej...”.

Przez chwilę Brian myślał, że to ostatnie było częścią snu - tak było dziwne - ale zastanowiwszy się, doszedł do wniosku, że faktycznie usłyszał to od Melanie Trevor, stewardesy.

„Mniejsza z tym. Co się stało? Na Boga, co?”.

Nie wiedział, wiedział za to, że kiedy patrzy na porzucony stół do napojów, ogromna groza i zabobonny strach kładą mu się na piersiach. Tak chyba musieli się czuć ludzie, którzy pierwsi trafili na „Mary Celeste”, kompletnie opustoszały statek, i zastali wszystkie żagle postawione jak należy, kapitański stół zastawiony do obiadu, wszystkie szoty i fały porządnie zbuchtowane, i fajkę jakiegoś marynarza nadal dymiącą resztką tytoniu na pokładzie dziobowym...

Brian z wielkim trudem otrząsnął się z tych paraliżujących myśli i podszedł do drzwi pomiędzy korytarzykiem a kabiną pilotów. Zapukał. Tak jak się obawiał, nie było odpowiedzi. I choć wiedział, że to bezcelowe, zwinął dłoń w pięść i załomotał.

Nic.

Spróbował obrócić gałkę w drzwiach. Nie drgnęła. Było to zgodne ze standardową procedurą operacyjną (SOP) w wieku niezaplanowanych wyskoków do Hawany, Libanu i Teheranu. Tylko piloci mogli otworzyć drzwi. Brian mógł poprowadzić samolot... ale nie z zewnątrz kokpitu.

- Hej! - krzyknął. - Hej, chłopaki! Otwórzcie drzwi!

Ale wiedział, że to na nic. Stewardesy znikły; prawie wszyscy pasażerowie znikli; Brian Engle gotów był się założyć, że dwuosobowa załoga kabiny pilotów również znikła.

Był przekonany, iż rejs 29 leci w kierunku wschodnim na automatycznym pilocie.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

**Ciemność i góry. Skarb. Nos Swetra w Łódkę. Jak słycać nieszczekanie psów. Panice wstęp wzbroniony. Zmiana kierunku.**

Brian poprosił mężczyznę w czerwonej koszuli, żeby zaopiekował się Dinah, ale kiedy tylko Dinah usłyszała kobietę, która podeszła z prawej burty - tę o ładnym młodzieńczym głosie - z całą żarliwością jakiej używa strach, przywarła do niej, sięgając po jej rękę z nieśmiałą determinacją. Po latach spędzonych z panną Lee Dinah łatwo rozpoznała głos nauczycielki. Ciemnowłosa kobieta wzięła ją za rękę dość chętnie.

- Powiedziałaś, że masz na imię Dinah, skarbie?

- Tak - odparła Dinah. - Jestem ślepa, ale po operacji w Bostonie będę widzieć. Prawdopodobnie będę mogła widzieć. Istnieje siedemdziesiąt procent szans, że odzyskam częściową zdolność widzenia, i czterdzieści procent, że całkowitą. Tak mówią lekarze. Jak się pani nazywa?

- Laurei Stevenson - powiedziała ciemnowłosa kobieta. Jej oczy nadal biegały po głównej kabinie, a z twarzy wciąż nie mogła zetrzeć wyrazu oszołomienia połączonego z niedowierzaniem.

- Laurei to kwiatek, prawda? - spytała Dinah z gorączkową żywością.

- Uhm, uhm.

- Proszę wybaczyć - powiedział mężczyzna w okularach w rogowej oprawce i z akcentem rodowitego Anglika. - Idę na dziób. Dołączę do naszego przyjaciela.

- To i ja - powiedział mężczyzna w czerwonej koszuli.

- Chcę wiedzieć, co się tu wyprawia! - gwałtownie wykrzyknął mężczyzna w swetrze w łódkę. Poza czerwonymi jak od szminki wypiekami na policzkach twarz miał trupio bladą.

- Chcę wiedzieć, co się tu wyprawia, i to zaraz.

- Wcale a wcale mnie to nie dziwi - powiedział Anglik i ruszył na dziób. Mężczyzna w czerwonej koszuli pociągnął za nim. Nastolatka z oczami jak po prochach niemrawo towarzyszyła im przez chwilę, a potem stanęła przy przepierzeniu oddzielającym główną kabinę od klasy biznes, jakby nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Podstarzały gość w wytartej wiatrówce podszedł do okna z lewej strony, pochylił się i zerknął na zewnątrz.

- Co pan widzi? - spytała Laurei Stevenson.

- Ciemność i góry - odpowiedział.

- Skaliste? - spytał Albert.

Mężczyzna w wytartej wiatrówce skinął głową.

- Tak sądzę, młody człowieku.

Albert podjął decyzję. Też ruszy na dziób. Miał lat siedemnaście, głowę nie od parady i również jego uwagę zaprzętało premiiowane pytanie tego wieczoru: kto siedzi za sterami samolotu?

Atoli uznał po chwili, że nie ma to znaczenia... przynajmniej na razie. Lecieli jak po maśle, więc prawdopodobnie ktoś tam siedzi, a jeśli nawet ktosiem okaże się coś, innymi słowy autopilot, nic nie mógł na to poradzić. Jako Albert Kaussner był utalentowanym - choć nie cudownym - skrzypkiem, zmierzającym na studia do Berklee College of Music. Jako As Kaussner był (przynajmniej w snach) najszybszym izraelitą na zachód od Missisipi, klusownikiem, który dawał sobie luz w soboty, pamiętał, żeby nie kłaść butów na łóżku i zawsze miał własne dobro na oku. Drugim okiem łupał, czy gdzieś na szlaku nie nadarzy się szansa na łyknięcie filiżanki dobrej, koszernej kawusi. W skórze Asa uciekał przed kochającymi rodzicami, którzy nie pozwalali mu grać w Małej Lidze baseballowej, ponieważ mógłby zniszczyć swoje utalentowane palce, i którzy święcie wierzyli, że każde kichnięcie to początek zapalenia płuc. Był rewolwerowcem i skrzypkiem, interesująca kombinacja! - ale nie znał się ani w ząb na lataniu samolotami. A ta mała powiedziała coś, co jednocześnie zaintrygowało go i zmroziło. „Dotknęłam mu włosów. Ktoś odciął mu WŁOSY!”.

Oderwał się od Dinah i Laurel (facet w wytartej wiatrówce podszedł do prawej burty, żeby wyrzeć przez okno z drugiej strony, a mężczyzna w swetrze w łódkę szedł na dziób do tamtych, oczy zmrużył awanturniczo) i zaczął cofać się lewym przejściem.

„Ktoś odciął mu WŁOSY!”, powiedziała Dinah i parę rzędów dalej Albert ujrzał to, o czym mówiła.

## 2

- Modłę się, sir - powiedział Anglik - aby kapitańska czapka, którą zauważyłem na jednym z foteli klasy pierwszej, okazała się pańską własnością.

Brian stał z opuszczoną głową przed zamkniętymi drzwiami i wysiłał gorączkowo mózgownicę. Kiedy Anglik z nagłą odezwał się za jego plecami, podskoczył i obrócił się na pięcie.

- Nie zamierzałem dać panu do wiwatu - powiedział łagodnie Anglik. - Jestem Nick Hopewell.

Wyciągnął rękę.

Brian uściśnął ją. Kiedy wykonywał ten odwieczny rytuał, przyszło mu do głowy, że i ta postać musi być ze snu wywołanego strasznym lotem z Tokio i wiadomością o śmierci Anne.

Częściowo wiedział, że to nieprawda, tak jak wcześniej wiedział, iż krzyki małej dziewczynki nie mają nic wspólnego z pustką w klasie pierwszej, ale wolał wierzyć, że to sen. To pomagało, więc czemu nie? Wszystko inne było wariactwem - takim wariactwem, że na samą myśl o tym zgorączkowany umysł zaczynał odmawiać posłuszeństwa. Poza tym naprawdę brakowało czasu na myślenie, po prostu brakowało, co zresztą nie było takie złe.

- Brian Engle - powiedział. - Miło mi pana poznać, choć okoliczności są... - Wzruszył bezradnie ramionami. Jakie są te okoliczności? Nie był w stanie wymyślić adekwatnego przymiotnika.

- Ździebełko niesamowite, nieprawdaż? - przytaknął Hopewell. - Sądzę, iż najlepiej nie myśleć o nich w tej chwili. Czy załoga odpowiada?

- Nie - powiedział Brian i nagle uderzył bezsilnie pięścią w drzwi.

- Spokojnie, spokojnie - łagodził Hopewell. - Powiedz mi pan o czapce, panie Engle. Nie ma pan pojęcia, jakiej radości i ulgi doznam, mogąc zwrócić się do pana „kapitanie Engle”.

Brian nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Jestem kapitanem Engle - powiedział - ale sądzą, że w tych okolicznościach możesz do mnie mówić Brian.

Nick Hopewell ujął lewą dłoń Briana i złożył na niej pocałunek od serca.

- Uważam, że winienem mówić do ciebie „Zbawco” - powiedział. - Czy bardzo by ci to przeszkadzało?

Brian odrzucił w tył głowę i zaczął się śmiać. Nick razem z nim. Stali tak przed zamkniętymi drzwiami w prawie pustym samolocie, śmiejąc się szaleńczo, kiedy pojawili się mężczyzna w czerwonej koszuli i mężczyzna w swetrze w łódkę i spojrzeli na nich jak na dwóch kompletnych świrów.

### 3

Albert Kaussner przez kilka chwil trzymał włosy w uniesionej ręce i przyglądał im się, zamyślony. Były czarne i świecące, peruka jak się patrzy, i wcale go nie zaskoczyło, że piekielnie wystraszyły małą dziewczynkę. Wystraszyłyby też i jego, gdyby ich nie widział.

Odrzucił perukę na fotel, zerknął na torebkę obok, potem nieco dokładniej przyjrzał się temu, co leżało obok torebki. Obrączka ślubna z czystego złota. Podniósł ją obejrzał i odłożył. Nie minęła minuta, a zdumienie, które ogarnęło Alberta, stało się tak wielkie, że przestał w ogóle myśleć o tym, kto prowadzi samolot i jak, do diabła, mają zejść w dół i wylądować, jeśli lecą na automatycznym pilocie.

Pasażerowie rejsu 29 przepadli, ale zostawili po sobie bajkowe - choć niepokojące - skarby. Albert znajdował biżuterię na każdym prawie fotelu: przeważnie obrączki ślubne, ale też brylanty, szmaragdy i rubiny. Kolczyki, w większości parcentowe świecidełka, ale niektóre całkiem kosztowne. Mama Alberta miała kilka niezłych kamyczków, ale przy co poniektórych błyskotkach tutaj jej najlepsza biżuteria prezentowałaby się jak towar z wyprzedaży. Spinki do kołnierzyków, naszyjniki, spinki do mankietów, bransoletki identyfikacyjne. I zegarki, zegarki, zegarki. Od timeksa do roleksa. Było ich tu ze dwie setki, na fotelach, na podłodze, w przejściu. Błyszczały.

Co najmniej sześćdziesiąt par okularów. Oprawne w drut, w róg, w złoto. Okulary pierwszorzędne i dziadowskie. Okulary z kryształami górskimi w mostkach. Raybany, polaroidy i tostery granty.

Klamry od pasków, spinki do krawatów, kupki drobnych monet. Żadnych banknotów, ale spokojnie ze czterysta dolarów w centach: ćwiartkach, dziesiątkach, piątkach. Jednocentówki. Portfele: nie w takich ilościach jak torebki, ale i tak sporo, od wyprawionej skóry do plastiku. Scyzoryki. Co najmniej kilkanaście kieszonkowych kalkulatorów.

A również rzeczy dziwniejsze. Podniósł plastikowy walec w cielistym kolorze i badał go prawie trzydzieści sekund, zanim uznał, że to naprawdę dildo\* i odłożył szybko. Mała złota łyżeczka na cienkim złotym łańcuszku. To tu, to tam, na fotelach i na podłodze, połyskiwały jasne krople metalu, głównie srebro, ale i złoto. Podniósł kilka, żeby zweryfikować sąd zdumionego umysłu: trafiały się korony dentystyczne, ale większość to były plomby. A w jednym z tylnych rzędów podniósł dwa krótkie metalowe pręty. Spoglądał na nie kilka chwil, zanim rozpoznał gwoździe chirurgiczne. Jeszcze niedawno musiały tkwić w czyimś kolanie lub ramieniu. [\* Stymulator seksualny (z włoskiego *diletto*, „rozkosz”).]

Odkrył jeszcze jednego pasażera, młodego brodatego mężczyznę. Leżał rozciągnięty na dwóch fotelach ostatniego rzędu, chrapał rozgłośnie i roztaczał woń zakładu piwowarskiego.

Dwa fotele dalej znalazł urządzenie wyglądające na rozrusznik serca.

Albert stał w ogonie samolotu i spoglądał w długą, pustą rurę kadłuba.

- Co się tu, kurwa, dzieje? - spytał cichym, drżącym głosem.

4

- Żądam wyjaśnień! Co się tu właściwie dzieje?! - powiedział głośno mężczyzna w swetrze w łódkę. Wkroczył do przedziału służbowego jak giełdowy rekin organizujący wrogie przejęcie firmy.

- Teraz? Szykujemy się do wyłamania zamka w tych drzwiach - powiedział Nick Hopewell, mierząc Sweter w Łódkę byстрыm spojrzeniem. - Piloci skreślili się z listy obecności wespół z resztą ferajny, niemniej jednak mamy fart. Przypadek zdarzył, że to pilot. Leci bez biletu...

- Jeśli ktoś tu jest „bez” czegoś, to bez głowy, nie ma gadania - powiedział Sweter w Łódkę - i dojdę kto, możecie mi wierzyć.

Nie patrząc na Nicka, przepchnął się obok niego i z bliska wbił spojrzenie w Briana jak agresywny zawodnik kwestionujący orzeczenie sędziego.

- Pracujesz dla American Pride, przyjacielu?

- Tak - powiedział Brian - ale dlaczego nie odłożyć tego na potem, sir? Ważne jest...

- Ja ci powiem, co jest ważne! - wrzasnął Sweter w Łódkę. Rozpylona ślina pokryła policzki Briana, który musiał zdusić w sobie nagły i zadziwiająco potężny impuls, żeby zacisnąć dłonie na szyi tego gnojka i sprawdzić, jak daleko zdoła wykręcić mu łeb, zanim coś trzaśnie. - Mam spotkanie w Prudential Center z przedstawicielami Bank International dziś rano o godzinie dziewiątej! Dokładnie o godzinie dziewiątej! W dobrej wierze zamówiłem miejsce na ten fracht i nie mam zamiaru spóźnić się na umówione spotkanie! Chcę wiedzieć trzy rzeczy: kto zezwolił na niezaplanowany postój, kiedy spałem, gdzie ten postój się odbył i dlaczego się odbył?!

- Oglądałeś kiedy *Star Trek* - nagle spytał Nick Hopewell. Rozwścieczony Sweter w Łódkę obrócił się. Z jego nabiegłej krwią twarzy można było odczytać, iż uważa Anglika za szaleńca.

- O czym ty, do diabła, gadasz?

- Cudowny serial amerykański - powiedział Nick. - Science fiction. Badanie nowych dziwnych światów, jak ten, który masz we łbie. I jak nie zamkniesz od razu pyska, dumny palancie, będę szczęśliwy, mogąc zademonstrować na tobie sławne usypiające dotknięcie pana Spocka z planety Vulkan.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? - warknął Sweter w Łódkę. - Wiesz, kim ja jestem?

- Oczywiście - powiedział Nick. - Cholernym natrętnym pętakiem, który pomylił kartę pokładową ze świadectwem, iż jest Wielkim Potężnym Wszech-Cudem Stworzenia. Także trzęsiesz się ze strachu. Nic w tym złego. Ale zawadzasz.

Twarz Swetra w Łódkę tak nabiegła krwią że Brian zaczął się obawiać, iż eksploduje. Widział to raz na ekranie. Nie chciał widzieć w prawdziwym życiu.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! Nie jesteś nawet obywatelem amerykańskim!



Nick Hopewell poruszał się z taką szybkością, że Brian ledwie zanotował, co się zdarzyło. W jednym momencie mężczyzna w swetrze w Łódkę darł się Nickowi w twarz, podczas gdy Nick stał rozluźniony obok Briana, z rękami w kieszeniach wyprasowanych dzinsów. W następnym nos Swetra w Łódkę znalazł się w żelaznym uchwycie pierwszego i drugiego palca prawej ręki Nicka.

Sweter w Łódkę usiłował się wyrwać. Palce Nicka zacisnęły się... potem cała ręka lekko się obróciła, jak przy dokręcaniu śruby lub nakręcaniu budzika. Sweter w Łódkę zamuczał.

- Mogę go złamać - powiedział łagodnie Nick. - Rzecz najłatwiejsza w świecie, wierzaj mi.

Sweter w Łódkę usiłował podać tyły. Nieskutecznie tłukł ramię Nicka. Nick dokręcił i Sweter w Łódkę znów zamuczał.

- Sądzę, że mnie nie dosłyszałeś. Mogę go złamać. Pojmujesz? Daj znak, jeśli udało ci się pojąć.

Wykręcił nos Swetra w Łódkę po raz trzeci. Sweter w Łódkę tym razem nie zamuczał; zawył.

- Och, rany - powiedziała zza ich pleców dziewczyna z oczami jak po prochach. - To ci dopiero chwyt.

- Nie mam czasu na omawianie pańskich spotkań w interesach - łagodnie przemówił Nick do Swetra w Łódkę. - Ani nie mam czasu na likwidowanie hysterii przybierającej postać agresji. Mamy tu nieprzyjemną, niepokojącą sytuację. Pan, sir, wyraźnie nie jest w stanie dopomóc w jej rozwiązaniu i nie pozwolę, aby pan przysporzył nam nowych zmarłych. Dlatego też zamierzam odesłać pana do głównej kabiny. Ten dżentelmen w czerwonej koszuli...

- Don Gaffney - powiedział wzmiankowany dżentelmen. Wyraz zaskoczenia na jego twarzy dorównywał zaskoczeniu Briana.

- Dziękuję - powiedział Nick. Nadal trzymał nos Swetra w Łódkę w zadziwiającym uścisku. Nitka krwi biegła z nozdrza.

Nick podciągnął bliżej swoją ofiarę i odezwał się ciepłym, konfidencjonalnym tonem.

- Obecny tu pan Gaffney będzie cię eskortował. Gdy tylko zjawisz się w głównej kabynie, mój nieznośny przyjacielu, zasiądziesz w fotelu z pasem mocno zaciśniętym na brzuchu. Później, kiedy obecny tu kapitan upewni się, że nie grozi nam zderzenie z górą, budynkiem albo samolotem, być może odbędziemy dłuższą dyskusję na temat naszej sytuacji.

Jednakże obecnie twoje dane osobowe nie są nam niezbędne. Czy pojąłeś wszystkie problemy, które ci naświetliłem?

Sweter w Łódkę wydał bolesne, wyrażające obrażoną dumę muczenie.

- Jeśli pojąłeś, zrób mi tę grzeczność i wystaw kciuk. Sweter w Łódkę wystawił kciuk. Paznokcie miał starannie wymanikiurowany.

- W porządku - powiedział Nick. - Jeszcze jedna sprawa. Kiedy puszcze twój nos, możesz nabrać ochoty na zemstę. Ochota to nie grzech. Ale chęć jej realizacji byłaby straszliwą pomyłką. Zapamiętaj, że to, co zrobiłem z nosem, mogę równie łatwo zrobić z jądrami. Mogę je tak podkręcić, że wzlecisz pod sufit jak papierowa jaskółka. Spodziewam się, że opuścisz nas z panem...

Spojrzał pytająco na mężczyznę w czerwonej koszuli.

- Gaffney - powtórzył tamten.

- Gaffney, oczywista. Przepraszam. Oczekuję, że opuścisz nas z panem Gaffneyem. Nie będziesz protestował. Nie pozwolisz sobie na rewanż. A jeśli piśniesz choć słówko, odkryjesz uprzednio niezbadane krainy cierpienia. Wystaw kciuk, jeśli pojąłeś.

Sweter w Łódkę wystawił kciuk z takim entuzjazmem, że przez moment wyglądał jak autostopowicz cierpiący na biegunkę.

- Dobrze wie! - powiedział Nick i puścił nos Swetra w Łódkę. Sweter w Łódkę zrobił krok w tył, spojrzał na Nicka Hopewell złymi, zakłopotanymi oczami. Wyglądał jak kocur oblany kubłem zimnej wody. Sam jego gniew nie wywołałby w Brianie poruszenia. Dopiero zakłopotanie spowodowało, że poczuł dla Swetra w Łódkę nieco współczucia. Sam był ogromnie zakłopotany.

Sweter w Łódkę podniósł dłoń do nosa, dokonując weryfikacji stanu posiadania. Wąskie strumyczki krwi, nie szersze niż celofanowe tasiemki na opakowaniu papierosowym, biegły z obu nozdrzy. Koniuszki palców pokryły się krwią, spojrzał na nie niedowierzająco. Otworzył usta.

- Nie radzę, szefie - powiedział Don Gaffney. - Facet mówił poważnie. Lepiej zapychaj ze mną.

Ujął Sweter w Łódkę pod łokieć. Przez moment Sweter w Łódkę stawiał opór lekkiemu pociągnięciu Dona Gaffneya. Znów otworzył usta.

- Głupi pomysł - powiedziała dziewczyna z oczami jak po prochach.

Sweter w Łódkę zamknął usta i pozwolił poprowadzić się Donowi Gaffneyowi. Raz obejrzał się przez ramię oczami szeroko rozwartymi i ogłupiałymi, a potem znów pomacał pod nosem.

Tymczasem Nick przestał się nim interesować. Spoglądał przez jedno z okien.

- Wygląda na to, że jesteśmy nad Skalistymi - powiedział - i zdaje się, że na bezpiecznej wysokości.

Brian też wyjrzał. Rzeczywiście. To były Góry Skaliste. Środek pasma, jak wynikało z pobieżnej oceny. Lecą gdzieś na jedenastu kilometrach. Dokładnie tak, jak zapowiedziała mu Melanie Trevor. Więc byli bezpieczni... przynajmniej do tej pory.

- Do roboty - powiedział. - Pomóż mi rozwalić te drzwi.

- Czy ja mogę przejąć rolę kapitana na tę część operacji, Brian? - spytał Nick. - Mam pewne doświadczenie.

- Ustępuję z przyjemnością.

Brian zastanawiał się, jak Nick Hopewell doszedł do wprawy w wykręcaniu nosów i wyłamywaniu drzwi. Pewnie to raczej długa historia.

- Przydałoby się wiedzieć, jak mocny jest zamek - powiedział Nick. - Jeśli uderzymy zbyt mocno, możemy wlecieć do kokpitu z całym impetem. Nie chciałbym wpaść na coś, co nie zniosłoby naszego dotknięcia.

- Nie wiem - powiedział szczerze Brian. - Ale nie sądzę, żeby był bardzo solidny.

- W porządku - powiedział Nick. - Obróć się twarzą do mnie. Twoje prawe ramię w kierunku drzwi, moje lewe.

Brian zrobił to.

- Odliczę. Uderzymy razem na trzy. Ugnij nogi w chwili kontaktu; prędzej wysadzimy zamek, uderzając w dolną część drzwi. Nie uderzaj z całą siłą. Tak na pięćdziesiąt procent. Jak nie starczy, zawsze możemy powtórzyć. Chwytasz?

- Chwytam.

Dziewczyna, która wyglądała teraz na bardziej przebudzoną i świadomą tego, co się dzieje, powiedziała:

- Chyba tu nie zostawia się klucza pod słomianką czy gdzieś, co? Nick spojrzał na nią, zaskoczony. Potem na Briana.

- Czy jednak jakimś cudem nie zostawili gdzieś klucza? Brian potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie. Procedura antyterrorystyczna.

- Oczywiście - powiedział Nick. - Oczywiście, że tak. Mrugnął do dziewczyny.

- Ale pogłównkowałaś, to się liczy.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie. Nick obrócił się do Briana.

- No i, gotowy?

- Gotowy.

- W porządku Raz... dwa... trzy!

Uderzyli w drzwi, zginając nogi w idealnej synchronizacji tuż przed momentem kontaktu i drzwi otwarły się z absurdalną łatwością. Między przedziałem służbowym a kabiną pilotów było podwyższenie przynajmniej pięć centymetrów za niskie, żeby można uznać je za stopień. Brian uderzył o nie krawędzią buta i wpadłby bokiem do kokpitu, gdyby Nick nie złapał go za ramię. Był zwinny jak kot.

- W porządku - powiedział bardziej do siebie niż do Briana.

- To zobaczymy, z czym mamy tu do czynienia.

## 5

Kokpit był pusty. Zaglądając do środka, Brian poczuł, jak ramiona i kark pokrywa mu gęsia skórka. Miło jest wiedzieć, że 767 może przelecieć tysiące kilometrów na autopilocie, korzystając z informacji wprowadzonych do inercyjnego systemu nawigacyjnego (INS) - sam przeleciał w ten sposób, chwalić Boga, sporo - a inna rzecz zobaczyć puste fotele pilotów. Mróz przeleciał mu po kościach. W całej swej karierze zawodowej nigdy nie widział pustego kokpitu podczas lotu.

Teraz miał okazję. Urządzenia sterujące poruszały się same, dokonując nieskończenie drobnych poprawek, niezbędnych do utrzymania samolotu na wykreślonym kursie. Kontrolki na zielonym. Dwa skrzydełka stały równoległe do sztucznego horyzontu. Poniżej dwóch małych zakrzywionych okien miliardy gwiazd migotały na niebie wczesnego poranka.

- O rany... rany... - szepnęła nastolatka.

- Kuu-iii - równocześnie z nią odezwał się Nick, naśladując zawołanie australijskich buszmenów. - Spójrz tam, koleżko.

Nick wskazywał na wypitą do połowy filiżankę kawy obok lewego oparcia fotela pilota. Przy niej leżał nadgryziony dwukrotnie duńczyk. Brian błyskawicznie przypomniał sobie sen i przeszedł go dreszcz.

- To, co się stało, stało się szybko - powiedział. - Spójrz tam. I tam.

Chodziło o fotel pilota i miejsce na podłodze obok drugiego pilota. Dwa zegarki ręczne błyszcząły w świetle wskaźników. Jeden odporny na wysokie ciśnienie rolex, drugi - cyfrowy pulsar.

- Jeśli potrzebujecie zegarków, jest szeroki wybór - odezwał się głos za ich plecami. - Tam są ich tony.

Brian obejrzał się przez ramię i zobaczył Alberta Kaussnera. Wyglądał bardzo zgrabnie i bardzo młodo w swojej czarnej mycce i koszulce „Hard Rock Cafe”. Obok niego stał podstarzały gość w wytartej wiatrówce.

- Doprawdy? - spytał Nick. Po raz pierwszy został wytrącony z równowagi.

- Zegarki, biżuteria i okulary - powiedział Albert. - Torebki też. Ale co najbardziej niesamowite, to że... tam są rzeczy, które muszą być ze środka ludzi. Takie sprawy jak chirurgiczne gwoździe i rozruszniki serca.

Nick spojrział na Briana Engle'a. Wyraźnie zbladł.

- W gruncie rzeczy podzielałem sąd naszego nieuprzejmego i hałaśliwego przyjaciela - powiedział. - Samolot wylądował gdzieś z jakiegoś powodu, kiedy spałem. Sądziłem, że większość pasażerów i załoga w jakiś sposób zostali wyprowadzenia z pokładu.

- Obudziłem się w chwili podchodzenia do lądowania - powiedział Brian. - To nawyk.

Przyląpał się na tym, że nie może oderwać oczu od pustych foteli, na wpół wypitej filiżanki kawy, niedojeźdzonego duńczyka.

- Zwykle zareagowałbym tak samo - zgodził się z nim Nick - więc uznałem, że dolano środka usypiającego do mojego drinka.

„Nie wiem, czym ten facet zarabia na życie, pomyślał Brian, ale na pewno nie sprzedaje używanych samochodów”.

- Nikt nic nie wlał do mojego drinka - powiedział Brian - bo go nie zamówiłem.

- Ani ja - powiedział Albert.

- W każdym razie kiedy spaliśmy, nie mogło się odbyć żadne lądowanie i start - powiedział Brian. - Na autopilocie można lecieć, a concorde może wylądować, ale trzeba człowieka, żeby ptaszka podnieść.

- Więc nie wylądowaliśmy - powiedział Nick.

- Nie.

- To dokąd oni poszli, Brian?

- Nie wiem - powiedział Brian. Podeszedł do fotela pilota i usiadł.

## 6

Boeing 767 leciał na wysokości jedenastu kilometrów, dokładnie tak jak zapowiedziała Melanie Trevor, kursem 900. Po godzinie, dwóch nastąpi zmiana kursu i samolot skrzył bardziej na północ.

Brian sięgnął po atlas nawigatora, spojrział na wskaźnik szybkości i dokonał serii szybkich obliczeń. Nałożył słuchawki

- Ośrodek Kontrolny Denver, tu American Pride rejs 29, słyszycie mnie?

Przerzucił przełącznik... i nie usłyszał nic. Zupełnie nic. Żadnych wyładowań, rozmów, kontroli naziemnej, innych samolotów. Sprawdził ustawienie transpondera\*: 7700, dokładnie jak być powinno. Wrócił na nadawanie. [\* Urządzenie odzewowe w radiolokacji.]

- Ośrodek Kontrolny Denver, odezwijcie się, proszę, tu American Pride rejs 29, powtarzam, American Pride „Waga Ciężka”, i mam kłopoty, powtarzam, mam kłopoty.

Przerzucił przełącznik na odbiór. Słuchał.

Potem Brian zrobił coś, od czego serce Alberta „Asa” Kaussnera zaczęło bić zwawiej ze strachu: uderzył nasadą dłoni w tablicę rozdzielczą tuż pod radiem. Boeing 767 to produkt zaawansowanej techniki, ostatni krzyk mody w dziedzinie samolotów pasażerskich. W takim samolocie nie próbuje się zmusić urządzeń do pracy takimi metodami. To, co właśnie zrobił pilot, równało się próbie ożywienia kupionego za dolca na wyprzedazy przedpotopowego radia, które odmawia posłuszeństwa, ledwie się je przyniosło do domu.

Brian znów spróbował nawiązać łączność z Ośrodkiem Kontrolnym Denver. Nie dostał odpowiedzi. Żadnej.

## 7

Dotąd Brian był oszołomiony i zdumiony. Teraz zaczął również odczuwać strach - prawdziwy strach. Do tej chwili nie było na niego czasu. Chciał, żeby tak pozostało... ale niestety. Przerzucił radio na zakres ratunkowy i znów spróbował. Nic. Wyglądało to tak, jakby zadzwonił w mieście po karetkę i dostał odpowiedź z taśmy, że wszyscy wyjechali na weekend. Kiedy się wzywa pomocy na zakresie ratunkowym, zawsze dostaje się natychmiastową odpowiedź.

„Przynajmniej do tej pory”, pomyślał Brian.

Przerzucił na UNICOM, na którym prywatne jednostki otrzymywały wskazówki do lądowania na małych lotniskach. Brak odpowiedzi. Słuchał... i nic. To było po prostu niemożliwe. Piloci prywatnych samolotów zawsze gadali jak kawki na drutach telefonicznych. Panienska w piperze chciała znać pogodę. Gość w cessnie groził, że wyzionie ducha w fotelu, jeśli nie znajdzie się ktoś, kto zadzwoni do żony, i nie powie jej, że wiezie trzech dodatkowych biesiadników na obiad. Faceci z leara chcieli, żeby dziewczyna na lotnisku w Arvada powiedziała pasażerom czekającym na czarter, że spóźnią się piętnaście minut i niech nie sikają z nerwów w spodnie, bo i tak zdążą na mecz baseballu do Chicago.

A tu nic z tych rzeczy. Wyglądało na to, że wszystkie kawki odfrunęły i druty wiszą puste.

Wrócił na zakres ratunkowy FAA\*.\* Federalny Zarząd Lotnictwa.

- Denver, zgłoś się! Zgłoś się natychmiast! Tu AP rejs 29, odpowiedzcie mi, do cholery jasnej!

- Spokojnie, koleżko - powiedział Nick, dotykając jego ramienia.

- Pies nie chce czekać! - krzyknął rozgorączkowany Brian.

- To niemożliwe, ale pies nie chce czekać! Chryste, co oni wyprawiają zaczęli pieprzoną wojnę nuklearną?

- Spokojnie - powtórzył Nick. - Uspokój się, Brian, i powiedz, co to znaczy, że pies nie chce czekać.

- Chodzi mi o Ośrodek Kontrolny Denver! - wrzasnął Brian. - O tego psa! Chodzi mi o zakres ratunkowy FAA! Tego psa! UNICOM, tego psa też! Nigdy...

Przerzucił inny przełącznik.

- Tutaj - powiedział - tu jest zakres fal krótkich. Powinni dokazywać jak żaby na gorącym chodniku, a nie trafiać nawet na królicze gówno.

Przerzucił inny przełącznik i spojrzał na Nicka i Alberta Kaussnera, który podszedł bliżej.

- Nie ma sygnału naprowadzającego VOR\*\* z Denver - powiedział. \*\* Radiolatarnia ogólnokierunkowa bardzo dużej częstotliwości.

- To znaczy?

- Znaczy, że radio nie działa, nie mam sygnału naprowadzającego z Denver, a kontrolki mówią, że wszystko jest piękne jak malina. A to gówno prawda. Niemożliwe!

Zaczęła mu świtać straszliwa myśl, nabierać kształtu jak spęczniały trup wynurzający się na powierzchnię rzeki.

- Hej, chłopcze, spójrz przez okno. Z lewej burty. Powiedz mi, co widzisz.

Albert Kaussner spojrzał. Spoglądał przez dłuższy czas..

- Nic - powiedział. - W ogóle nic. Tylko koniec Skalistych i początek Równin.

- Żadnych świateł?

- Nie.

Brian podniósł się. Nogi miał słabe i drżące. Spoglądał przez dłuższy czas w dół.

- Denver przepadło, nieprawdaż? - zapytał w końcu spokojnie Nick Hopewell.

Z map nawigatora i pokładowych urządzeń nawigacyjnych wynikało, że powinni znajdować się nie dalej niż osiemdziesiąt kilometrów na południe od Denver... ale poniżej widać było tylko mroczny, bezkształtny pejzaż, charakterystyczny dla początku Wielkich Równin.

- Tak - powiedział. - Denver przepadło.

## 8

W kabinie pilotów nastąpił moment kompletnej ciszy, a potem Nick Hopewell obrócił się do skromnej widowni, na którą obecnie składali się: Albert, mężczyzna w wytartej wiatrówce i młoda dziewczyna. Nick klasnął w ręce jak przedszkolanka. Odezwał się podobnym tonem:

- W porządku, kochani! Wracamy na miejsca. Przyda nam się tu trochę spokoju.

- Byliśmy spokojni - zaprotestowała dziewczyna, zresztą nie bez racji.

- Sądzę, że ten dżentelmen ma na myśli nie tyle spokój, ile trochę odosobnienia - powiedział mężczyzna w wytartej wiatrówce. W jego głosie była wyrozumiałość, ale nie odrywał łagodnych, zaniepokojonych oczu od Briana.

- Właśnie o to chodzi - przystał na tę definicję Nick. - Proszę.

- Nic mu nie będzie? - cichym tonem spytał mężczyzna w wytartej wiatrówce. - Wygląda raczej na zdenerwowanego.

- Nic - Nick odpowiedział tym samym porozumiewawczym tonem. - Dojdzie do siebie. Postaram się o to.

- Chodźcie, dzieci - powiedział mężczyzna w wytartej wiatrówce. Jedną ręką objął dziewczynę, drugą Alberta. - Wracajmy i usiądźmy. Nasz pilot ma pracę do wykonania.

Jeśli chodzi o Briana Engle'a, nie musieli wcale zniżać głosów. Był jak ryba żerująca w strumieniu, kiedy małe stado ptaków przelatuje górą. Dźwięk może dotrzeć do ryby, ale na pewno nie zwróci jej uwagi. Brian pogрузzył się w przeszukiwaniu zakresów radiowych. Szukał jednego wskaźnika nawigacyjnego po drugim. Na nic. Nie było Denver, nie było Colorado Springs, nie było Omaha. Wszystko znikło.

„Muszę cuchnąć jak świnia, pomyślał, albo jak...”.

Nagle przyszło olśnienie. Przeszedł na zakres lotnictwa wojskowego, choć przepisy zabraniały tego wyraźnie. Dowództwo Lotnictwa Strategicznego właściwie rządziło Omaha jak własnym folwarkiem. Oni muszą być na nasłuchu. Niech każą mu spieprzać z ich zakresu, niech pogrożą raportem do FAA. Przyjmie wszystko z najwyższą rozkoszą. Być może jako pierwszy zgłosi im, że miasto Denver pojechało sobie na wakacje.

- Ośrodek Kontrolny Sił Powietrznych, Ośrodek Kontrolny Sił Powietrznych, tu American Pride rejs 29 i mamy tu kłopoty, wielkie kłopoty, słyszycie mnie? Odbiór.

Stamtąd też nie zaszczekał żaden pies.

Wtedy z Brianem zaczęło się coś dziać. Jakby głęboko w głowie jakiś nit przestał trzymać. Cała zorganizowana struktura myślenia Briana z wolna zaczęła osuwać się w mroczną otchłań.



W tym momencie Nick Hopewell zacisnął mu rękę na ramieniu, wysoko, przy karku. Brian podskoczył na siedzeniu i o mało nie krzyknął. Obrócił głowę i napotkał twarz Nicka nie dalej niż pięć centymetrów od swojej.

„Teraz złapie mnie za nos i wykręci”, pomyślał Brian.

Nick nie złapał go za nos. Mówił cicho, z wielką mocą nie odrywając spojrzenia od Briana.

- Widzę coś w twoich oczach, przyjacielu... ale nie potrzebuję w nie zaglądać, żeby wiedzieć, co się dzieje. Słyszę to w twoim głosie i widzę po sposobie siedzenia. Teraz posłuchaj mnie, posłuchaj dobrze: panice wstęp wzbroniony.

Brian wpatrywał się w niego zmrożony spojrzeniem niebieskich oczu.

- Czy mnie rozumiesz?

Odezwał się z wielkim wysiłkiem.

- Nie zarabiałbym na życie tym, czym zarabiam, gdybym pozwalał sobie na panikę, Nick.

- Wiem - powiedział Nick - ale to wyjątkowa sytuacja. Musisz jednak pamiętać, że na pokładzie znajduje się co najmniej kilku albo więcej pasażerów i twoim obowiązkiem jest jak zawsze sprowadzić ich na dół całych i zdrowych.

- Nie musisz mi mówić, co jest moim obowiązkiem - zachnął się Brian.

- Obawiam się, że muszę, ale z ulgą stwierdzam, że wyglądasz teraz sto procent lepiej.

Brian nie tylko wyglądał lepiej, czuł się lepiej. Nick trafił go w najbardziej czuły punkt - poczucie odpowiedzialności. „Właśnie tam, gdzie chciał trafić”, pomyślał.

- Z czego ty się utrzymujesz, Nick? - spytał nieco drżącym głosem.

Nick odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

- Jestem młodszym attache ambasady brytyjskiej, staruszk.

- Gadaj zdrów.

Nick wzruszył ramionami.

- No cóż, tak stoi w moich dokumentach i to powinno wystarczyć. Mogłoby jeszcze być: „Mechanik Jej Królewskiej Mości”. Reperuję to, co wymaga reperacji. W tej chwili ciebie.

- Dzięki - powiedział z urazą Brian - ale jestem wyreperowany.

- No i dobrze. Co zamierzasz? Dasz sobie radę z nawigacją bez tych dingsów z ziemi? Potrafisz omijać inne samoloty?

- Dam sobie nieźle radę za pomocą przyrządów pokładowych - powiedział Brian. - Co do innych samolotów... - Wskazał ekran radaru. - Ten drań mówi, że nie ma żadnych innych samolotów.

- Ale mogą być - spokojnie powiedział Nick. - Niewykluczone, że urządzenia radiowe i radar są spaprane, przynajmniej na razie. Wspomniałeś o wojnie jądrowej, Brian. Sądzę, że w razie wymiany ciosów nuklearnych wiedzielibyśmy o tym. Ale to nie znaczy, że nie wydarzył się jakiś wypadek. Czy znany ci jest fenomen o nazwie pulsacja elektromagnetyczna, EMP?

Brian pomyślał krótko o Melanie Trevor. „Och, i mamy zapowiedź zorzy polarnej nad pustynią Mojave. Może wtedy pana obudzić?”. Może więc to jakieś wariactwo z pogodą? Niewykluczone. Ale jeśli tak, dlaczego nie słyhać wyładowań w radiu? Jak wytłumaczyć brak zakłóceń na ekranie radaru? Dlaczego tylko ta śmiertelna pustka? A trudno winić zorzę polarną za zniknięcie stu pięćdziesięciu, dwustu pasażerów.

- A więc? - spytał Nick.

- Mechanik z ciebie niezły, Nick - powiedział w końcu Brian - ale chyba się mylisz. To nie EMP. Wszystkie urządzenia pokładowe - w tym stery kierunku - pracują, jak powinny. Wskazał na cyfrowy wskaźnik kompasu.

- Gdybyśmy weszli w pulsowanie elektromagnetyczne, to maleństwo rozleciałoby się w drzazgi. A trzyma się twardo.

- No tak. Czy zamierzasz utrzymać kurs na Boston? „Czy zamierzasz...?”.

I wtedy resztki paniki znikły. „Zgadza się, pomyślał Brian. Teraz ja jestem kapitanem tego samolotu... i w gruncie rzeczy wszystko się do tego sprowadza. Powinieneś być mi o tym przypomnieć na początku, mój przyjacielu, a zaoszczędziłbyś nam obu wielu zmartwień”.

- Logan wcześniej rano, nie mając pojęcia, co dzieje się na ziemi, w kraju ani w reszcie świata? Mowy nie ma!

- Wiesz więc, dokąd lecimy? A może trzeba ci czasu na rozważenie tej kwestii?

Nie. A inne, niezbędne elementy układanki zaczęły się scalać.

- Wiem - powiedział. - I sądzą, że czas odezwać się do pasażerów. W każdym razie do tej garstki, która została.

Podniósł mikrofon, a wtedy właśnie łysy mężczyzna, śpiący dotąd w klasie biznes, wsadził głowę do kabiny pilotów.

- Czy któryś z was, dżentelmeni, byłby tak uprzejmy i objaśnił mi, co się stało z obsługą na tej maszynie? - spytał zrzędliwie. - Drzemkę miałem pyszną... ale gdzie kolacja?

Dinah Bellman czuła się znacznie lepiej. Dobrze jest mieć wokół siebie innych ludzi, móc cieszyć się ich obecnością. Siedziała w małej grupce składającej się z Alberta Kaussnera, Laurei Stevenson i mężczyzny w wytartej wiatrówce, który przedstawił się jako Robert Jenkins. Był, jak powiadał, autorem ponad czterdziestu powieści kryminalnych i zdążył do Bostonu, gdzie miał wygłosić przemówienie na zjeździe miłośników tego gatunku.

- Teraz - rzekł - zaplątałem się w zagadkę stokroć bardziej ekstrawagancką niż cokolwiek, co by mi przyszło do głowy.

Ta czwórka siedziała w sekcji środkowej kabiny głównej. Mężczyzna w swetrze w łódkę w lewej sekcji, kilka rzędów dalej, trzymał chusteczkę przy nosie (który faktycznie przestał krwawić kilka minut temu) i w wyniosłej samotności przeżuwał gniew. Don Gaffney zajął fotel nieopodal. Obserwował z niepokojem Sweter w Łódkę. Odezwał się raz, pytając go o imię. Sweter w Łódkę zmierzył go jedynie jadowniczym wrogiem spojrzeniem z nadstłamszonej chusteczki.

Gaffney nie pytał więcej.

- Czy ktoś ma choćby najmniejsze pojęcie, co się tu dzieje? - prawie błagała Laurei. - Miałam jutro rozpocząć pierwsze prawdziwe wakacje od dziesięciu lat, a tu to.

Albert przypadkiem spoglądał właśnie prosto w oczy pannie Stevenson. Kiedy rzuciła swój tekst, zobaczył, jak umyka nagle ze wzrokiem i mruga szybko kilka razy, jakby do oka wpadła jej drobina kurzu. Wtedy w jego umyśle zrodziło się podejrzenie tak silne, że graniczące z pewnością: ta dama kłamie. Z bliżej nieznanego powodu ta dama kłamie. Przyjrzał się jej dokładnie i nie zauważył nic szczególnego: kobieta ze śladami znikającej urody, szybko dobiegająca trzydziestki i wkraczająca w wiek średni (dla Alberta trzydziestka była wyraźną granicą, od której zaczynał się wiek średni), kobieta, której uroda niebawem utraci koloryt i stanie się niezauważalna. Ale teraz miała koloryt, jej policzki płonęły. Nie wiedział, na czym polegało jej kłamstwo, ale wiedział, że momentalnie dodało jej blasku, tak że stała się prawie piękna.

„Oto dama, która powinna częściej kłamać”, pomyślał Albert. Lecz zanim on lub ktokolwiek inny zdołał odpowiedzieć na jej pytanie, z głośników rozległ się głos Briana.

- Panie i panowie, mówi kapitan.

- Do dupy z takim kapitanem - warknął Sweter w Łódkę.

- Zamknij się! - z naciskiem rzucił Gaffney. Sweter w Łódkę spojrzał na niego i przycichł.

- Jak niewątpliwie się orientujecie, znaleźliśmy się w niezwykle dziwnej sytuacji - ciągnął Brian. - Nie muszę wam tego tłumaczyć, wystarczy to, co widzicie sami.

- Ja niczego nie rozumiem - zamruczał Albert.

- Są mi wiadome również inne rzeczy. Zapewne nie sprawią wam największej radości, ale że siedzimy w tym razem, chcę być z wami do końca szczerzy. Nie mam łączności powietrze-ziemia.

Pięć minut temu powinniśmy dojrzeć światła Denver. Nie widzieliśmy ich. Jedyne wnioski, jaki jestem gotów obecnie z tego wyciągnąć, brzmi, że ktoś na dole zapomniał zapłacić rachunek za światło. I dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, sądzę, że to jedyny wniosek, jaki każdy z nas powinien wyciągnąć.

Przerwał. Laurel trzymała Dinah za rękę. Albert gwizdnął cicho z ogromnym zdumieniem. Robert Jenkins, autor kryminałów, wpatrywał się sennym wzrokiem w przestrzeń, ręce złożył na udach.

- Wszystko to złe wiadomości - mówił Brian. - Oto dobre: samolot jest nieuszkodzony, mamy dużo paliwa i umiem prowadzić tę markę i typ. Również umiem go posadzić. Chyba zgodzimy się, że najważniejsze dla nas jest bezpieczne lądowanie. To rzecz pierwsza i podstawowa. Ale bądźcie spokojni. Wylądujemy. Ostatnia wiadomość, którą chcę się z wami podzielić, to to, że naszym celem jest teraz Bangor, Maine.

Sweter w Łódkę wyprostował się jak za naciśnięciem sprężyny.

- Cooo?! - zawył.

- Nasze pokładowe urządzenia nawigacyjne spisują się na piątkę, ale nie mogę powiedzieć tego samego o sygnałach radiolokacyjnych - VOR - z których również korzystamy. W tych okolicznościach zdecydowałem się nie wkraczać w przestrzeń powietrzną Logan. Nie zdołałem wywołać nikogo przez radio: w powietrzu ani na ziemi. Mam wrażenie, że urządzenia radiowe samolotu działają, ale nie sądzę, bym w obecnych okolicznościach mógł polegać na wrażeniach. Lotnisko międzynarodowe Bangor (BIA) ma następujące plusy: krótkie podejście nad lądem, a nie nad wodą, ruch w powietrzu o naszym ETA\*, około 8.30, będzie dużo słabszy - zakładając, że w ogóle będzie - i BIA, które służyło za awaryjną bazę sił powietrznych, ma najdłuższy pas startowy w ruchu cywilnym na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Nasi brytyjscy i francuscy przyjaciele lądują tu concordem, kiedy nie mogą dostać się do Nowego Jorku. \* Przewidywany czas przybycia.

- Dziś rano o godzinie dziewiątej mam ważne spotkanie w interesach w Pru i zakazuję ci lecieć do jakiegoś sracza w Maine, który udaje lotnisko! - wyrzycał Sweter w Łódkę.

Dinah podskoczyła, skuliła się i przytuliła do Laurel Stevenson, uciekając jak najdalej przed głosem Swetra w Łódkę. Nie płakała - przynajmniej jeszcze nie - ale Laurel czuła, jak klatka piersiowa dziewczynki zaczyna dygotać.

- Czy mnie słyszysz?! - wył Sweter w Łódkę. - Mam stawić się w Bostonie, aby omówić ogromną transakcję obligacjami, i za nic nie zrezygnuję z punktualnego przybycia na to spotkanie!

Odpiął pas i zaczął się podnosić. Policzki miał karminowe, czoło woskowobiałe. Pustka, którą Laurei zobaczyła w jego spojrzeniu, była wysoce niepokojąca.

- Czy ty nie rozumie...

- Proszę - odezwała się Laurei. - Proszę, niech pan nie straszy dziecka.

Sweter w Łódkę obrócił głowę i to niepokojące puste spojrzenie spoczęło na niej. Laurei pożałowała, że się wyrwała.

- Straszę dziecko?! Zmieniamy kurs na jakiś obeszany blaszany kurnik na samym końcu świata udający lotnisko, a ty martwisz się tylko tą...

- Siadaj i przymknij się, albo ci przyłożę - powiedział Gaffney, wstając z miejsca. Sweter w Łódkę był co najmniej dwadzieścia lat młodszy, ale Gaffney był dużo cięższy i szerszy w barach. Podwinął rękawy swojej czerwonej flanelowej koszuli, a kiedy zwinął dłonie w pięści, zagrały mu mięśnie przedramion. Wyglądał na drwala, który dopiero co zaczął obrastać w sadło na emeryturze.

Sweter w Łódkę obnażył zęby jak wściekły pies. Laurei wystraszyła się. Takich min przecież nie robi się świadomie. Pierwsza zaczęła się zastanawiać, czy facet nie jest przypadkiem szalony.

- Zdaje mi się, że nie dasz rady sam, tatuńciu - powiedział Sweter w Łódkę.

- Nie będzie sam. - To odezwał się łyсы mężczyzna z klasy biznes. - Ja też ci przysunę, jak się nie zamkniesz.

Albert Kaussner zebrał całą odwagę.

- I ja, kutafonie.

Powiedziawszy to, odczuł wielką ulgę. Czuł się jak jeden z facetów pod Alamo, którzy przestąpili linię wykreśloną na ziemi przez pułkownika Trvisa.

Sweter w Łódkę rozejrzał się. Wargę podnosiła mu się i opadała w dziwnym, niemym, psim grymasie.

- Rozumiem. Rozumiem. Wszyscy na mnie. Pięknie. - Siadł i wpatrywał się w nich zaczepnie. - Ale gdybyście mieli choć blade pojęcie o rynku obligacjami południowoamerykańskimi...

Nie dokończył. Na oparciu fotela obok leżała papierowa serwetka. Podniósł ją i zaczął miętosić.

- Nie o to chodzi - powiedział Gaffney. - Nie urodziłem się twardzielem, szefie, i wcale nie palę się zgrywać twardziela.

Choć starał się być uprzejmy, w jego głosie przebijało zmęczenie, a może też gniew.

- Rozluźnij się pan, odpuść sobie. Nie wszystko jest takie złe! Linia prawdopodobnie zrefunduje ci opłatę za ten lot!

Sweter w Łódkę na moment wbił wzrok w Dona Gaffneya, a potem wrócił do papierowej serwetki. Przestał ją miętosić i zaczął drzeć na długie paski.

- Czy ktoś ma pojęcie, jak obsługiwać ten piecyczek w kuchni? - spytał Łysek jak gdyby nigdy nic. - Chciałbym zjeść kolację.

Nikt nie odpowiedział.

- A więc nikt - skonstatował smętnie. - Oto era specjalizacji. Co za hańba dożyć takich czasów.

Po tym filozoficznym stwierdzeniu wycofał się do klasy biznes.

Laurel spojrzała w dół i zobaczyła, że poniżej czarnych szkieł i beztroskich czerwonych plastikowych oprawek policzki Dinah Bellman są mokre od łez. Przynajmniej na chwilę Laurel zapomniała o własnym strachu i bezradności, i objęła małą.

- Nie płacz, skarbie, ten pan był tylko zdenerwowany. Już ma się lepiej.

„Jeśli można tak określić siedzenie ze wzrokiem wlepionym w przestrzeń i rwanie papierowej serwetki na kawałtka”, pomyślała.

- Boję się - szepnęła Dinah. - W oczach tego pana wszyscy jesteśmy jak potwory.

- Nie, nie sędzę - powiedziała Laurel, zaskoczona i trochę zmieszana. - Skąd ci coś takiego przychodzi do głowy?

- Nie wiem - powiedziała Dinah. Ta kobieta jej się podobała od chwili, kiedy otworzyła usta, ale Dinah nie zamierzała powiedzieć Laurel, że przez moment widziała ich wszystkich, z sobą włącznie, patrzących na mężczyznę z wielkim głosem. Znalazła się wewnątrz mężczyzny z wielkim głosem - nazywał się pan Tooms albo pan Tunney, albo jakoś tak - i dla niego wszyscy byli bandą złych samolubnych trolli.

Gdyby powiedziała coś takiego pannie Lee, panna Lee pomyślałaby, że Dinah zwariowała. Dlaczego ta dopiero co spotkana kobieta miałaby pomyśleć inaczej?

Więc Dinah nie powiedziała nic.

Laurel pocałowała dziewczynkę w rozpalony policzek.

- Nie bój się, skarbie. Lecimy jak po maśle, nie czujesz? I już za kilka godzin znajdziemy się bezpiecznie na ziemi.

- To dobrze. Ale chcę do cioci Vicky. Jak pani myśli, gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia, skarbeczku - powiedziała Laurel. - Sama chciałabym wiedzieć.

Dinah znowu pomyślała o twarzach, które widział wrzeszczący człowiek: złych twarzach, okrutnych twarzach. Pomyślała o własnej, tak jak on ją widział: świnkowatej niemowlęcej mordce z oczami ukrytymi za wielkimi czarnymi szklami. Wtedy zapas jej odwagi się wyczerpał i zaczęła chlipać bolesnym urywanym szlochem, który ranił serce Laurel. Objęła dziewczynkę, ponieważ nic innego nie przychodziło jej do głowy, i wkrótce rozplakała się sama. Łkały razem prawie pięć minut, a potem Dinah zaczęła się uspokajać. Laurel spozjrzała na szczupłego chłopca, który miał na imię Albert albo Alvin, nie pamiętała jak, i zobaczyła, że on też ma wilgotne oczy. Dostrzegł jej spojrzenie i szybko spuścił wzrok.

Dinah wydała wreszcie ostatni szloch i przytuliła głowę do piersi Laurel.

- Zdaje mi się, że płkanie nic nie da, co?

- Nie, chyba nie - przytaknęła Laurel. - Dlaczego nie spróbujesz pospać, Dinah?

Dinah westchnęła - płaczliwym, pełnym rozpaczony westchnieniem.

- Już spałam. Chyba mi się nie uda.

„Mnie to mówisz”, pomyślała Laurel. I rejs 29 kontynuował lot na wschód na wysokości jedenastu kilometrów, z prędkością ponad trzy tysiące kilometrów na godzinę, nad ciemnościami kryjącymi środkową część Ameryki.

### **ROZDZIAŁ TRZECI**

**Metoda dedukcyjna. Przypadki i statystyka. Szanse w świetle spekulacji. Ciśnienie w rowach oceanicznych. Problem Bethany. Rozpoczyna się podejscie do lądowania.**

#### **1**

- Godzinkę temu ta mała dziewczynka powiedziała coś interesującego - odezwał się nagle Robert Jenkins.

Wspomniana dziewczynka zapadła tymczasem powtórnie w sen, mimo wątpliwości, czy jej się to uda. Albert Kaussner również drzemał, być może aby powrócić jeszcze raz na mityczne ulice Tombstone. Przedtem wyjął futerał ze skrzypcami z górnego schowka i trzymał go teraz na kolanach.

- Ojej! - wykrzyknął i wyprostował się.

- Zechciej mi wybaczyć - powiedział Jenkins. - Spałeś?

- W żadnym wypadku. Jestem rzeński jak nigdy.

Żeby to udowodnić, skierował na Jenkinsa dwie wielkie, nabiegłe krwią gały. Pod każdą miał siną podkowę. „Przypomina szopa zaskoczony podczas buszowania w śmietniku”, pomyślał Jenkins.

- Co powiedziała?

- Powiedziała pannie Stevenson, że chyba nie zaśnie, ponieważ już spała. Wcześniej.

Albert gapił się chwilę na Dinah.

- No, ale znów odpadła.

- Widzę, ale nie w tym rzecz, drogi chłopcze. Bynajmniej nie w tym.

Albert rozważał, czy nie przekazać panu Jenkinsowi informacji, że As Kaussner, najszybszy izraelita na zachód od Missisipi i jedyny teksańczyk, który przeżył bitwę o Alamo, nie przepada za nazywaniem go „drogim chłopcem”, lecz po namyśle puścił to mimo uszu... przynajmniej na razie.

- Więc w czym?

- Ja również zasnąłem. Wskoczyłem na orbitę, zanim jeszcze kapitan - chodzi mi o pierwszego kapitana - zgasił napis: NIE PALIĆ. Ze mną tak zawsze. Pociągi, autobusy, samoloty - odpływam jak niemowlę, z chwilą kiedy włączają silniki. A co z tobą, drogi chłopcze?

- Co ze mną?

- Spałeś? Spałeś, prawda?

- No, taa...

- Wszyscy spaliśmy. Wszyscy, którzy czuwali, zniknęli. Albert zastanawiał się nad tym.

- No... może.

- Nonsens - niemal jowialnie rzekł Jenkins. - Utrzymuję się z pisania kryminałów. Można rzec, że dedukcja to mój chleb powszedni. Nie sądzisz, że gdyby ktoś nie spał, podczas kiedy wykańczano tamtych wszystkich ludzi, to darłby się jak żywcem obdzierany ze skóry, żeby nas zbudzić?

- Tak mi się zdaje - Albert pomyślał nad tym chwilę. - Może poza gościem z tyłu. Alarm przeciwlotniczy by go nie obudził.

- W porządku, twoje zastrzeżenie zostaje grzecznie odnotowane. Ale nikt nie wrzeszczał, prawda? I nikt nam nie wyjaśnił, co się stało. Więc dedukuję, że tylko nieśpiący pasażerowie zostali skreśleni. Oczywiście wespół z załogą.

- Taa... Może i tak.

- Wyglądasz na zakłopotanego, drogi chłopcze. Wyraz twego oblicza nasuwa podejrzenie, iż mimo swych zalet ta idea nie dorasta w twoim mniemaniu do rangi założenia idealnego. Mogę zapytać, czemu to? Coś pominąłem? - Z wyrazu twarzy Jenkinsa wynikało, że nie uważa, aby to było możliwe, ale matka wpoila mu dobre maniery.



- Nie wiem - powiedział zgodnie z prawdą Albert. - Ile nas jest? Jedenaście osób?

- Tak. Licząc faceta z tyłu, tego w śpiączce, nasz stan wynosi jedenaście sztuk.

- Jeśli ma pan rację, czy nie powinno nas być więcej?

- Dlaczego?

Ale Albert zapadł w milczenie, uderzony nagle żywym obrazem z dzieciństwa. Został wychowany w teologicznej szarej strefie przez rodziców, którzy nie byli ortodoksami, ale też nie agnastykami. On i jego brat rośli, stosując się do większości przepisów kulinarnych (lub praw, jak im tam), obaj mieli swoje bar micwy i zostali wychowani w wiedzy, kim są skąd pochodzą i co to oznacza. I opowieść, którą Albert zapamiętał najwyraźniej z najpierwszych pobytów w domu modlitwy, dotyczyła ostatniej plagi spuszczonej na Egipt - ponurej ofiary egzekwowanej przez mrocznego anioła poranka.

Przed oczyma duszy widział teraz, jak ten anioł Boga kroczy nie nad Egiptem, ale przez rejs 29, przytulając większość pasażerów do swej straszliwej piersi... nie dlatego, że zaniechali pomazać swe nadproża (lub raczej zagłówki foteli) krwią baranka, ale ponieważ...

Dlaczego? Właśnie, dlaczego?

Albert nie wiedział, ale i tak zadrzał. I pożałował, że ta stara historia, od której dostawał gęsiej skórki, w ogóle mu się przypomniała.

- Albercie? - Głos pana Jenkinsa zdawał się dolatywać z daleka. - Albercie, wszystko w porządku?

- Tak. Tylko się zamyśliłem. - Odchrząknął. - Jeśli wszyscy śpiący pasażerowie zostali - wie pan - pominięci, to ocalałoby co najmniej sześćdziesiąt osób. Może więcej. Chodzi mi o to, że to jednak nocny lot.

- Drogi chłopcze, czy kiedykolwiek...

- Czy mógłby mnie pan nazywać Albertem, panie Jenkins? Tak mam na imię.

Jenkins poklepał Alberta po ramieniu.

- Przepraszam. Szczerze. Nie chciałem przemawiać z góry. Jestem zdenerwowany, a kiedy jestem zdenerwowany, mam skłonność do ukrywania się... jak żółw w skorupie. Tylko że ja uciekam w literaturę. Sądzę, że odgrywałem Phila Vance'a. Jest detektywem - wielkim detektywem stworzonym przez świętej pamięci S.S. Van Dine'a. Podejrzewam, iż nigdy go nie czytałeś. Rzadko kto czyni to dzisiejszymi czasy, a wielka szkoda. W każdym razie, przyjmij moje przeprosiny.

- W porządku. - Albert czuł się niezręcznie.

- Albertem jesteś i Albertem pozostaniesz - przyobiegał Robert Jenkins. - Zadałem ci pytanie, czy kiedyś przedtem korzystałeś z nocnego lotu.

- Nie. Przedtem nigdy nawet nie leciałem nad całym krajem.

- Cóż, a ja tak. Wiele razy. Kilkakrotnie postąpiłem nawet wbrew swoim naturalnym skłonnościom i przez kilka chwil nie zasnąłem. Przeważnie kiedy byłem młodszy, a loty bardziej hałaśliwe. Powiedziawszy tak wiele, mogę również ujawnić swój skandaliczny wiek, wyznając, że pierwszy lot z wybrzeża na wybrzeże odbyłem „kulawym” rejssem TWA z dwoma międzylądowaniami... dla pobrania paliwa. Z moich obserwacji wynika, że podczas pierwszej godziny takiego lotu bardzo niewielu ludzi zapada w sen... a potem zasypiają prawie wszyscy. Ludzie najpierw rozglądają się, rozmawiają ze współmałżonkami lub towarzyszami podróży, piją drinka albo dwa...

- Kokoszą się, o to panu chodzi - podsunął Albert. To, co mówił pan Jenkins, wydało mu się bardzo sensowne, choć sam kokosił się nieskończenie krótko. Tak był podniecony bliską podróżą i otwierającym się przed nim nowym rozdziałem życia, że w ogóle mało co spał podczas kilku ostatnich nocy. W rezultacie padł jak zabity, kiedy tylko 767 oderwał się od ziemi.

- Przygotowują sobie gniazdka - zgodził się Jenkins. - Czy udało ci się zauważyć przed kokpitem stolik do drinków, dro... Albercie?

- Zobaczyłem go tam - przytaknął Albert. Oczy Jenkinsa zabłyśły.

- Otóż to! - można było albo go zobaczyć, albo się o niego przewrócić. Ale czy go zauważyłeś?

- Nie wiem. Czy pan zauważył coś, co mi umknęło?

- To nie oko dostrzega, Albercie, lecz umysł. Wytrenowany w dedukcji umysł. Nie jestem Sherlockiem Holmesem, ale zauważyłem, że właśnie został wysunięty z małej szafki, w której był przechowywany, i brudne szklanki po drinkach serwowanych przed lotem stały na dolnej półeczce. Z tego wyprowadzam wniosek następujący: samolot wystartował bez przygód, wzniósł się na wysokość przełom i pomyślnie włączono urządzenia samosterujące. Potem kapitan zgasił napisy nakazujące zapięcie pasów. Wszystko to trwało jakieś trzydzieści minut, jeśli dobrze czytam ślady - około 1.00 czasu Pacyfiku. Kiedy napisy zgasły, stewardesy zaczęły spełniać swój święty obowiązek: rozniesienie koktajli dla stu pięćdziesięciu ludzi na wysokości siedmiu kilometrów i wyżej. Tymczasem pilot zaprogramował autopilota, żeby wyrównał na jedenastu kilometrach i poprowadził na wschód takim to a takim kursem. Kilku pasażerów - faktycznie nasza jedenastka - zasnęła. Co do reszty, niektórzy być może drzemali (ale nie dość głęboko, żeby mogło ich to uratować przed tym, co się stało), a pozostali mieli szeroko otwarte oczy.

- Budując swoje gniazdka - powiedział Albert.

- Właśnie! Budując swoje gniazdko! - Jenkins zamilkł, a potem dodał nie bez pewnego melodramatyzmu: - I stało się!

- Co się stało, panie Jenkins? - spytał Albert. - Ma pan na ten temat jakieś pomysły?

Jenkins nie odpowiadał przez dłuższy czas, a kiedy w końcu otworzył usta, w jego głosie niewiele zostało z poprzedniego rozbawienia. Słuchając go, Albert uświadomił sobie po raz pierwszy, że za lekko teatralną maską Robert Jenkins jest równie przestraszony jak on sam. Nie przeszkadzało mu to. Starszawy pisarz kryminałów w dziadowskiej wiatrówce stał się jedynie bardziej prawdziwy.

- Kryminał traktujący o zagadce morderstwa w zamkniętym pokoju jest najczystszą w świecie opowieścią o sztuce dedukcji - powiedział Jenkins. - Kilka z nich sam napisałem - więcej niż kilka, żeby zachować do końca uczciwość - ale nigdy nie oczekiwałem, że sam stanę się bohaterem takiej historii.

Albert spojrział na niego. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Przyłapał się na tym, że wspomina historyjkę o Sherlocku Holmesie pod tytułem *Całkowana przepaska*. W niej to jadowity wąż dostaje się do przesławnego zamkniętego pokoju przewodem wentylacyjnym. Nieśmiertelny Sherlock nie musiał nawet budzić wszystkich szarych komórek, aby rozwikłać tę zagadkę.

Ale gdyby nawet schowki na bagaż podręczny rejsu 29 były wypełnione - wypchane - jadowitymi węzami, gdzie ciała? Gdzie są ciała? Strach znów w niego wpełzał, sięgnął wyżej, ku najcenniejszym organom. W życiu nie czuł się mniej rewolwerowcem Asem Kaussnerem.

- Gdyby chodziło tylko o samolot - kontynuował spokojnie Jenkins - to podejrzewam, że mógłbym sklecić jakiś scenariusz - w ten sposób przecież zarabiam na chleb od jakichś dwudziestu pięciu lat. Masz ochotę wysłuchać takiego scenariusza?

- Jasne - powiedział Albert.

- Proszę bardzo. Powiedzmy, że pewna unikająca rozgłosu organizacja rządowa, nazwijmy ją „Instytucją”, zdecydowała się przeprowadzić eksperyment i my jesteśmy testowanymi obiektami. Biorąc pod uwagę okoliczności, celem eksperymentu może być zbadanie na pewnej liczbie przeciętnych Amerykanów skutków ciężkiego umysłowego i emocjonalnego stresu. Oni, naukowcy prowadzący ten eksperyment, wprowadzili do instalacji tlenowych samolotu jakiś bezzapachowy hipnotyczny narkotyk...

- Istnieje coś takiego? - spytał zafascynowany Albert.

- W rzeczy samej - powiedział Jenkins. - Diazalina, po pierwsze. Po drugie, methoprominol. Pamiętam, jak czytelnicy uważający siebie za osoby „poważne” śmiali się z powieści Saksa Rohmera o Fu Manchu. Nazywali ją najhaniańszą odmianą wyuzdanego

melodramatu. - Jenkins z wolna potrząsnął głową. - Otóż, dzięki badaniom biologicznym i paranoi kwitnącej w agencjach znanych tylko z liter alfabetu, jak CIA i DIA, żyjemy w świecie, który mógłby być najgorszym koszmarem Saksa Rohmera.

- Ale... - zaczął Albert.

Jenkins uśmiechnął się i podniósł dłoń.

- Znam twoje zastrzeżenie i potrafię je odeprzeć. Pozwolisz? Albert skinął głową.

- Pilot sadza maszynę - powiedzmy na tajnym pasie w Nevadzie. Pasażerowie, którzy czuwali, kiedy wpuszczono gaz - i stewardesy, oczywiście - są wyprowadzeni przez złowrogich mężczyzn ubranych w białe stroje jak z *Andromeda Strain*. Pasażerowie, którzy spali - między nimi ja i ty, mój młody przyjacielu - śpią najzwyczajniej dalej, tylko trochę mocniej niż poprzednio. Pilot naprowadza rejs 29 na właściwą wysokość i kurs. Włącza autopilota. Kiedy samolot dociera do Skalistych, działanie gazu ustaje. Diazalina jest tak zwanym narkotykiem czystym, który nie pozostawia zauważalnych skutków. Innymi słowy, żadnego kaca. Przez interkom pilot słyszy, jak mała dziewczynka płacze za swoją ciocią. Wie, że zbudzi pozostałych. Eksperyment jest bliski rozpoczęcia. Więc pilot podnosi się, opuszcza kokpit, zamykając za sobą drzwi.

- Jak może to zrobić? Nie ma gałki na zewnątrz. Jenkins zbył to machnięciem ręki.

- Rzecz najprostsza w świecie, Albercie. Używa taśmy klejącej. Kiedy tylko zamek zaskoczy, są zamknięte.

Uśmiech podziwu zaczął rozjaśniać twarz Alberta - a potem zgasł.

- W tym przypadku pilot jest jednym z nas - powiedział.

- Tak i nie. W moim scenariuszu, Albercie, pilot jest pilotem. Pilotem, który właśnie przypadkowo znalazł się na pokładzie, lecąc ponoć na bezpłatny bilet do Bostonu. Pilotem, który siedzi w pierwszej klasie nie dalej niż półtora metra od drzwi kokpitu, kiedy łajno walnęło pod sufit.

- Kapitan Engle - powiedział Albert cichym, pełnym grozy głosem.

- Kapitan Engle - powtórzył Jenkins zadowolonym, jeśli nie błogim tonem nauczyciela geometrii, który właśnie napisał z rozmachem *quod erat demonstrandum* pod dowodem szczególnie trudnego twierdzenia.

Nie zwracali uwagi na Sweter w Łódzkę. Patrzył na nich błyszczącymi, rozgorączkowanymi oczami. Wyjął magazyn pokładowy z kieszeni fotela, który miał przed sobą, zerwał okładkę i powolnym ruchem zaczął drzeć ją na długie paski. Upuszczał je na podłogę, gdzie dołączyły do strzępków papierowej serwetki, spoczywających wokół jego brązowych mokasynów.

## 2

Gdyby Albert studiował Nowy Testament, zrozumiałby, jak Szawel, najbardziej zaciekle prześladowca pierwszych chrześcijan, musiał się czuć, kiedy łuski spadły mu z oczu na drodze do Damaszku. Wpatrywał się w Roberta Jenkinsa z twarzą jaśniejącą entuzjazmem, a resztki senności wyparowały mu z mózgu.

Oczywiście, kiedy się już o tym pomyślało - lub kiedy ktoś taki jak pan Jenkins, najwyraźniej mający łeb nie od parady, mniejsza o dziadowską wiatrówkę, pomyślał o tym za ciebie - wszystko stawało się jasne jak słońce. Prawie cały skład i załoga rejsu 29 American Pride zniknęła między pustynią Mojave i Wielką Przełęczą... ale jednym z tych, co przeżyli, przypadkowo był - niespodzianka! niespodzianka! - inny pilot American Pride, który - mówiąc jego własnymi słowami - był wyszkolony do prowadzenia tej marki i tego typu samolotu, a również do posadzenia ptaszka.

Jenkins obserwował uważnie Alberta. Uśmiechnął się. Nie był to zbyt radosny uśmiech.

- Kuszący scenariusz, nieprawdaż?

- Musimy złapać go zaraz po wylądowaniu - powiedział Albert, gorączkowo trąc policzek. - Pan, ja, pan Gaffney i ten gość z Wielkiej Brytanii. Wygląda na twardego. Tylko... co, jeśli ten Brytol jest w to zamieszany? Może to goryl kapitana Engle'a, wie pan. Na wypadek gdyby ktoś się połapał, tak jak pan.

Jenkins otworzył usta do odpowiedzi, ale Albert wpadł mu w słowo.

- Musimy ich przyskrzynić razem. Tak czy inaczej. - Obdarzył pana Jenkinsa skąpym uśmiechem - uśmiechem Asa Kaussnera. Zimnym, skrytym, groźnym. Uśmiechem mężczyzny, który jest szybszy niż piorun i wie o tym. - Może nie jestem najbardziej sprytnym gościem na tym świecie, ale nie pozwolę, żeby ktoś traktował mnie jak szczura laboratoryjnego.

- Ale to nie wytrzymuje krytyki, wiesz - łagodnie rzekł Jenkins.

- Ale... pan powiedział...

- Powiedziałem, że gdyby chodziło tylko o samolot, mogę sklecić scenariusz. I skleciłem. Jest niezły. Gdyby to miał być pomysł na książkę, założę się, że mój agent sprzedałby ją. Na nieszczęście w grę wchodzi nie tylko samolot. Denver może dalej jest, gdzie powinno, ale ma wszystkie światła zgaszone. Porównywałem nasz rozkład z czasem na moim zegarku i mogę ci teraz powiedzieć, że chodzi nie tylko o Denver. Omaha, Des Moines - mój chłopcze, w tych ciemnościach nie ma po nich śladu. Rzeczywiście nie widziałem żadnych świateł. Żadnych zagród, spichlerzy, magazynów, międzystanowych płatnych

autostrad. Te rzeczy widać w nocy, wiesz - przy nowym mocnym oświetleniu widać bardzo dobrze, nawet jak się leci tak wysoko jak my. Ziemia jest całkiem ciemna. Otóż jestem w stanie uwierzyć, że może istnieć na tyle pozbawiona etyki agencja rządowa, iż podała nam wszystkim narkotyki, aby obserwować nasze reakcje. Taka hipoteza jest do przyjęcia. Ale nie uwierzę, że ta „Instytucja” potrafi przekonać wszystkich, nad którymi lecimy, aby wyłączyli światła dla wzmocnienia naszej iluzji zupełnej samotności.

- No... to może wszystko tu jest bujda - zasugerował Albert. - Może tak naprawdę dalej siedzimy na ziemi i wszystko, co widzimy przez okno, jest - wie pan - wyświetlane. Widziałem raz coś takiego w kinie.

Jenkins z żalem powoli pokręcił głową.

- Pewien jestem, że był to ciekawy film, ale nie wierzę, żeby coś takiego było możliwe w życiu. Nie sądzę. Chyba że nasza teoretyczna tajna agencja dopracowała się jakiegoś superszerokiego, trójwymiarowego ekranu. To, co się dzieje, nie dzieje się tylko wewnątrz samolotu, Albercie, i w tym właśnie miejscu dedukcję szlag trafia.

- Ale pilot?! - dziko zareagował Albert. - Jak to możliwe, że się tu znalazł? We właściwym miejscu i czasie?

- Jesteś kibicem baseballu, Albercie?

- Hę? Nie. To znaczy czasem patrzę w telewizji na Dodgersów, ale to wszystko.

- Cóż, pozwól, że powiem ci, jaki jest najbardziej zdumiewający rekord w grze, która uwielbia wszelkiego rodzaju zestawienia. W roku 1957 Ted Williams, będąc przy kiju szesnaście razy z rzędu, zaliczył bazę. Ten ciąg obejmował sześć spotkań. W 1941 Joe DiMaggio utrzymał się przy kiju w pięćdziesięciu sześciu pełnych grach z rzędu, ale procent szans DiMaggia błędnie w porównaniu z tym, jaki procent szans miał na swoje osiągnięcie Williams. Blisko dwa miliardy do jednego. Kibice baseballu lubią mówić, że ciągu DiMaggia nigdy nie da się powtórzyć. Nie zgadzam się. I gotów jestem się założyć, że jeśli będzie się jeszcze grało w baseball tysiąc lat, szesnaście dożyć Williama do bazy z rzędu nie zostanie pobite.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Chodzi o to, że obecność kapitana Engle'a wydaje mi się ni mniej, ni więcej tylko przypadkiem, podobnie jak szesnaście dożyć Teda Williama. I biorąc pod uwagę okoliczności, powiedziałbym, że to niezwykle szczęśliwy przypadek. Gdyby życie przypominało powieść kryminalną, w której przypadki są niedozwolone, a gra na mniejszą szansę opłaca się tylko na krótką metę, byłoby wtedy znacznie bardziej uporządkowanym interesem. Przekonuję się jednak wciąż, że w życiu przypadek nie jest wyjątkiem, lecz regułą.

- Więc o co tu chodzi? - szepnął Albert. Jenkins westchnął przeciągle i z udręką.

- Obawiam się, że źle adresujesz pytanie. Wielka szkoda, że na pokładzie nie ma Larry'ego Nivena albo Johna Varleya.

- Co to za faceci?

- Autorzy powieści science fiction - powiedział Jenkins.

### 3

- Zdaje mi się, nie czytywałeś science fiction, mam rację? - zapytał nagle Nick Hopewell. Brian odwrócił się, żeby spojrzeć na niego. Od kiedy Brian przejął stery rejsu 29, prawie dwie godziny temu, Nick siedział grzecznie w fotelu nawigatora. Słuchał w milczeniu, kiedy Brian nadal usiłował nawiązać łączność z kimś - kimkolwiek - na ziemi czy w powietrzu.

- Miałem kota na tym punkcie jako dzieciak - powiedział Brian.

- A ty?

Nick uśmiechnął się.

- Dopóki nie skończyłem osiemnastki, twardo wierzyłem, że Trójca Święta składa się z Roberta Heinleina, Johna Christophera i Johna Wyndhama. Jak sobie teraz tak siedzę, przelatuję w pamięci wszystkie stare historyjki, koleżko. Kombinowałem o takich dziwactwach jak „uskok czasowy” i przestrzenny, i kosmitach.

Brian skinął głową. Poczul ulgę. Dobrze wiedzieć, że nie jest się jedyną osobą, której chodzą po głowie zwariowane myśli.

- Rzecz w tym, że nie ma żadnego sposobu, abyśmy się dowiedzieli, czy tam na dole zostało cokolwiek, prawda?

- Nie - powiedział Brian. - Nie ma.

Nad Illinois nisko wiszące chmury zakryły czarny kadłub ziemi. Brian był pewien, że ziemia nadal jest. Skaliste miały uspokajająco znajomy wygląd, nawet z jedenastu kilometrów - ale poza tym przestał być pewien czegokolwiek. A pokrywa chmur mogła trzymać się aż do Bangor. Kiedy Kontrola Ruchu Powietrznego (ATC) została wyłączona z urzędowania, skończył się dopływ informacji. Brian wyobraził sobie kilka scenariuszy i najbardziej nieprzyjemny z listy wyglądał następująco: wychodzą z chmur i okazuje się, że wszelki ślad ludzkiej obecności - w tym lotnisko, na którym miał nadzieję wylądować - przepadł. I gdzie wtedy posadzi tego ptaszka?

- Zawsze uważałem czekanie za najgorszą część - powiedział Nick.

„Najgorszą część czego?”, zastanowił się Brian, ale nie zapytał.

- A sprowadź nas na półtora kilometra - nagle zaproponował Nick. - Tylko żeby rzucić okiem na ziemię. Może widok kilku miasteczek i dróg międzystanowych nas uspokoi.

Brian już rozważał ten pomysł. Rozważał z wielką tęsknotą.

- To kuszące - powiedział - ale niemożliwe.

- Dlaczego?

- Muszę nadal przede wszystkim myśleć o pasażerach, Nick. Prawdopodobnie wpadną w panikę, nawet jeśli im wcześniej wytłumaczę, co zamierzam. Chodzi tu szczególnie o naszego hałaśliwego przyjaciela, który ma nagłe spotkanie w Pru. Tego, któremu wykręciłeś nos.

- Dam sobie z nim radę - odparł Nick. - I z każdym, kto zacznie rozrabiać.

- Jestem tego pewien, ale nadal nie widzę powodu, żeby ich niepotrzebnie straszyć. A w końcu i tak się dowiemy. Sam wiesz, że nie możemy zostać tu na zawsze.

- Bolesna to prawda, koleżko - sucho powiedział Nick.

- Zrobiłbym to, co proponujesz, gdybym tylko miał pewność, że zejdem pod chmury, ale bez ATC i przy braku łączności z innymi samolotami nie mam tej pewności. Nie wiem nawet, jaka pogoda jest na dole, i nie chodzi zresztą o normalne sprawy. Możesz się ze mnie śmiać...

- Nie śmieję się, koleżko. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Wierzaj.

- Cóż, założmy, że jak w opowieści science fiction, przelecieliśmy przez uskok w czasie. A co, jeśli sprowadzę nas w dół przez chmury i rzucimy okiem na stadko brontozaurów, pasące się na polu jakiegoś wieśniaka, zanim rozerwie nas cyklon albo spali elektryczna burza?

- Naprawdę uważasz, że to możliwe? - spytał Nick.

Brian przyjrzał mu się uważnie; chciał wiedzieć, czy pyta sarkastycznie? Chyba nie, ale czy na pewno? Brytyjczycy są sławni ze swego oschłego humoru, nieprawdaż? Już szykował się powiedzieć Nickowi, że kiedyś widział coś bardzo podobnego w starym odcinku Krainy Spełnionych Snów, ale uznał, że to niezbyt wiarygodny argument.

- Chyba to bardzo mało prawdopodobne, ale łapiesz w czym rzecz. Po prostu nie wiemy, co nam grozi. Możemy uderzyć w nowiutką górę tam, gdzie dawniej mieściła się południowa część Nowego Jorku. Albo wpadniemy na inny samolot. Do diabła, może nawet na prom kosmiczny. Przecież jeśli to uskok czasowy, możemy być tak samo w przyszłości jak w przeszłości.

Nick wyjrzał przez okno.

- Wygląda na to, że niebo mamy głównie dla siebie.



- Tu, wysoko, jak najbardziej. Tam, niżej, kto wie? A „kto wie?” to bardzo śliska sytuacja dla pilota. Jeśli dotrzemy do Bangor i te chmury dalej będą się trzymały, lecimy dalej. Wyniosę nas nad Atlantyk i wracając, zejdziemy poniżej pułapu. Mamy większe szanse, jeśli zaczniemy podejście nad wodą.

- Więc teraz po prostu ciągniemy dalej.

- Zgadza się.

- I czekamy.

- Zgadza się.

- No cóż, ty jesteś kapitanem - westchnął Nick.

- Trafiłeś. Trzeci raz z rzędu - uśmiechnął się Brian.

#### 4

Głęboko w rowach oceanicznych na dnie Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego istnieją ryby, które żyją i umierają, by nigdy nie zobaczyć ani nie zakosztować blasku słońca. Te niezwykle stwory unoszą się w głębinach jak widmowe balony, promieniując własnym wewnętrznym światłem. Choć z pozoru delikatne, są w istocie cudem konstrukcji przyrody, stworzonym, aby znieść ciśnienie, pod którym człowiek w mgnieniu oka stałby się płaski jak okienna szyba. Jednakże ich wielka moc stanowi wielką słabość. Więźniowie swych nieziemskich ciał, na wieczność są skazane na mroczne głębiny. Złapane i wyciągnięte na powierzchnię po prostu eksplodują. Nie zewnętrzne ciśnienie niesie im zgubę, lecz jego brak.

Craig Toomy został wychowany w swym własnym mrocznym rowie, żył w atmosferze swego własnego wysokiego ciśnienia. Jego ojciec był członkiem kadr kierowniczych Bank of America, całymi dniami przebywał poza domem; karykaturalny model superhiper-pracowitego mężczyzny. Swe jedyne dziecko zamęczał równie szaleńczo i bezlitośnie jak siebie. Dobranocki, które od maleńkości opowiadał Craigowi, budziły w dziecku grozę. Nie dziwota; właśnie to uczucie Roger Toomy chciał wzbudzić w sercu synka. Opowieści miały prawie zawsze za temat straszliwy gatunek istot zwanych langolierami.

Ich robotą, ich zadaniem (w świecie Rogera Toomy'ego wszyscy mieli robotę, wszyscy mieli poważne zadania do wykonania) było polowanie na zbijające bąki leniwe dzieci. Zanim skończył siedem lat Craig był zażartym superhiperpracusem tak jak tata. Zaprzysiął sobie: langolierzy nigdy nie dopadną Craiga Toomy'ego.

Świadectwo, które nie zawierało samych piątek, było świadectwem nie do przyjęcia. Piątka z minusem pociągała za sobą kazanie malujące straszne wizje życia kopacza rowów albo śmieciarza, a po czwórce następowała kara - przeważnie zakaz opuszczania własnego pokoju na tydzień. Podczas tego tygodnia Craigowi wolno było wychodzić jedynie na posiłki

i do szkoły. Dobre sprawowanie nie warunkowało zwolnień. Z drugiej strony niezwykle osiągnięcia - na przykład wygranie międzyszkolnego dziesięcioboju - nie gwarantowały stosownej nagrody. Kiedy Craig pokazał ojcu medal, którym został odznaczony z tej okazji w obecności całej szkoły - ojciec spojrział, mruknął coś i wrócił do gazety. Craig miał lat dziewięć, kiedy ojciec umarł na atak serca. Chłopiec poczuł ogromną ulgę, gdy ten sobowtór generała Pattona w Bank of America wyzionął ducha.

Matka była alkoholiczką. W korbach trzymał ją jedynie strach przed człowiekiem, za którego wyszła za męża. Kiedy tylko Roger Toomy spoczął nieodwołalnie w grobie i nie mógł już wyszukiwać i tłuc butelek, i nie bił jej po twarzy, i nie mówił, żeby wzięła się w garść, na litość boską - Catherine Toomy rozpiła się na dobre. Na przemian obsypywała syna pieścizotami i mroziła naganami, zależnie od tego, ile dżinu kipiało właśnie w jej żyłach. Jej zachowanie było często dziwne, a czasem niezwykle. W dniu dziesiątych urodzin wsadziła Craigowi długą kuchenną zapalniczkę między palce u nóg, zapaliła i odśpiewała *Happy Birthday*, gdy ogień pełzył z wolna w kierunku stopy syna. Zapowiedziała, że jeśli zgasi lub wytrząśnie zapalniczkę, z miejsca odstawi go do SIEROCIŃCA. Catherine Toomy często groziła SIEROCIŃCEM, będąc na bani. „I tak zresztą powinnam to zrobić”, oznajmiła wtedy, zapalając zapalniczkę jak cienką urodzinową świeczkę, a syn łkał rozpaczliwie. „Jesteś zupełnie jak twój ojciec. On nie umiał się bawić i ty też nie umiesz. Jesteś nudziarz, Craidziu-bǫdzziu”. Zakończyła pieśń i zdmuchnęła zapalniczkę, zanim skóra między drugim a trzecim palcem prawej stopy zdążyła się choćby zaczerwienić, ale Craig nigdy nie zapomniał żółtego płomyka, zwijającego się, czerniejącego drewnienka i rosnącego żaru, gdy matka ćwierkała *Happy Birthday, dear Craidziu-bǫdzziu, Happy Birthday to youuuuu*, buczącym, fałszującym głosem pijaczki.

Ciśnienie.

Ciśnienie w rowach.

Craig Toomy nadal dostawał same piątki i nadal spędzał wiele czasu w swoim pokoju. Miejsce wygnania stało mu się azylem. Przeważnie się uczył, ale czasem - kiedy sprawy szły źle, kiedy czuł się przyciśnięty do ściany - wrywał kartki z notatnika i darł na wąskie paski. Spadały do stóp, rosły jak wydma, a chłopiec bez wyrazu gapił się w przestrzeń. Ale te okresy pustki nie były częste. Nie wtedy.

Dostał zaszczytu wygłoszenia mowy pożegnalnej po maturze. Matka nie przyszła. Była pijana. Zdał z dziewięcią lokatą w swojej grupie na UCLA, Graduate School of Management. Matka nie przyszła. Nie żyła. W mrocznym rowie, który istniał w sercu jego serca, Craig był przekonany, że langolierzy w końcu ją dopadły.

Craig podjął pracę w Désert Sun Banking Corporation of California, wchodząc w program kształcenia przyszłych kadr kierowniczych instytucji. Spisywał się świetnie, co wcale nie było zaskakujące: Craig Toomy został przecież stworzony, aby dostawać same piątki, został stworzony, żeby kwitnąć pod ciśnieniem wielkich głębi. I czasami w następstwie drobnego niepowodzenia w pracy (a w tamtych dniach, zaledwie pięć lat temu, wszystkie niepowodzenia były drobne) wracał do swojego mieszkania w Westwood, niecałe pół mili od mieszkania, które Brian Engle zajął po rozwodzie, i godzinami darł papier na wąskie paski. Te epizody z czasem stały się coraz częstsze.

Przez pięć lat Craig zapychał po korporacyjnym torze wyścigowym jak chart za mechanicznym zajęcem. Plotki z kafeterii głosiły, że ma spore szanse zostać najmłodszym wicedyrektorem w szacownej czterdziestoletniej historii Désert Sun. Ale niektóre ryby są stworzone, aby unieść się tylko na określonej wysokości. Nie wyżej. Eksplodują, jeśli przekroczą przeznaczoną granicę.

Osiem miesięcy temu Craig Toomy został po raz pierwszy obarczony wyłączną odpowiedzialnością za wielki program - korporacyjny odpowiednik pracy dyplomowej. Program został stworzony w wydziale obligacji. Obligacje zagraniczne i obligacje śmieci (często oznaczało to jedno i to samo) - były specjalnością Craiga. Program zakładał zakup ograniczonej liczby południowoamerykańskich obligacji wątpliwej wartości - czasem nazywanych obligacjami złych długów - wedle przezornie zestawionego harmonogramu. Zakup wyglądał sensownie, biorąc pod uwagę, że jednak dostawało się na niego jakieś ubezpieczenie, a podatki od zysku były niskie (wuj Sam wyłaził ze skóry, żeby niebotyczna wieża długów Ameryki Południowej nie runęła jak domek z kart). Należało jedynie zachować ostrożność.

Craig Toomy zaprezentował śmiały plan, na który wiele brwi pojechało do góry. Istota planu zakładała duży zakup różnych argentyńskich obligacji, ogólnie uważanych za najgorsze ze złych. Craig usilnie i przekonująco argumentował, sypał faktami, liczbami i prognozami, aby dowieść, iż argentyńskie obligacje są o wiele solidniejsze, niż się wydaje. Za jednym śmiałym posunięciem Desert Sun stanie się najważniejszym - i najbogatszym - posiadaczem zagranicznych obligacji na zachodzie Ameryki. Przyniosą nie tylko pieniądze, ale co ważniejsze, na długo ustalą pozycję korporacji.

Po długiej dyskusji - chwilami zażartej - przyznano planowi Craiga zielone światło. Tom Holby, wicedyrektor senior, po spotkaniu odciągnął Craiga na bok, złożył mu gratulacje i... udzielił ostrzeżenia.

- Jeśli na koniec roku budżetowego wszystko wypali zgodnie z twoimi oczekiwaniami, będziesz ulubieńcem wszystkich. Jeśli nie, znajdziesz się w bardzo przewiewnym miejscu, Craig. Sugeruję, żebyś następnych kilka miesięcy wykorzystał na zbudowanie schronu przed burzą.

- Nie potrzeba mi schronu, panie Holby - powiedział Craig. - Po tej sprawie będzie mi potrzebna lotnia. To będzie zakup stulecia - jak trafienie na diamenty na wyprzedaży w zapadłej dziurze. Niech no pan tylko zaczeka.

Tego wieczoru wrócił do domu wcześniej i ledwie drzwi zatrzasnęły się za nim, a potrójny zamek zaskoczył - pewny siebie uśmiech znikł mu z twarzy. Zastąpiło go niepokojąco puste spojrzenie. Po drodze do domu kupił czasopisma. Zaniósł je do kuchni, ułożył starannie na stole i zabrał się do darcia na długie, wąskie paski. Dał sześć godzin bez przerwy. Kawaleczki „Newsweeka”, „Time’a” i „US News World Report” zaścieliły całą podłogę wokół i zasypały mokasyny od Gucciego. Craig wyglądał jak jedyny ocalały po eksplozji w fabryce taśmy telegraficznej.

Obligacje, których zakup proponował - szczególnie obligacje argentyńskie - były znacznie większym ryzykiem, niż ujawnił. Przepchnął swoją propozycję, naciągając jedne fakty, pomijając inne... a niektóre nawet zmyślając. Tych ostatnich było, prawdę mówiąc, całkiem sporo. Potem udał się do domu, dał godzinami paski papieru i zastanawiał się, dlaczego to zrobił. Nie wiedział o rybach z rowów oceanicznych, które przeżywają swe życie i doczekują śmierci, nawet nie zobaczywszy słońca. Nie wiedział, że istnieją zarówno ryby, jak i ludzie, dla których zgubą jest nie ciśnienie, lecz jego brak. Czuł tylko nieustępliwy przymus. Musiał zakupić te obligacje. Musiał wystawić się na łatwy strzał.

Teraz w Prudential Center w Bostonie czekało go spotkanie ze specjalistami od obligacji pięciu wielkich korporacji bankowych. Zostanie wymienionych mnóstwo informacji, będzie wiele spekulacji na temat przyszłości rynku obligacjami, będzie wiele dyskusji na temat zakupów w ostatnich szesnastu miesiącach i rezultatów tych zakupów. I zanim minie pierwszy dzień trzydniowej konferencji, wszyscy będą wiedzieć to, co Craig wiedział od dziewięćdziesięciu dni: że zakupione obligacje są warte poniżej sześciu centów za dolara. A niedługo potem szefostwo Desert Sun odkryje resztę prawdy: że zakupił trzy razy więcej, niż mu pozwolono. Zainwestował również co do centa swoje oszczędności... choć dla szefów nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Któż wie, jak czuje się ryba złowiona w jednym z tych głębokich rowów oceanicznych i ciągnięta szybko na powierzchnię - w kierunku światła i słońca, których istnienia nigdy nie podejrzewała? Czyż nie jest choć trochę możliwe, że jej ostatnie chwile są

wypełnione raczej ekstazą niż grozą? Że świadomość całego tego przytłaczającego ciśnienia dociera do niej dopiero w chwili, kiedy ono wreszcie ustępuje? Że pogrążona w radosnym szaleństwie, zanim, za sekundy, eksploduje, myśli - oczywiście, jeśli ryba myśli - „w końcu uwolniłam się od tego ciężaru!”. Prawdopodobnie nie. Ryba raczej nic nie czuje, przynajmniej nie tak jak my, i na pewno nie myśli... Ale ludzie tak.

Wsiadając na pokład samolotu do Bostonu, Craig Toomy zamiast wstydu czuł ogromną ulgę i coś w rodzaju gorączkowej, porażającej radości. Lada chwila miał eksplodować i odkrył, że gwizdże na to. W istocie pragnął tego niecierpliwie. Wznosił się ku powierzchni i czuł, jak uwalnia się od ciśnienia. Pierwszy raz od tygodni nie dał papieru. Zapadł w sen, zanim samolot odsunął się od rękawa, i spał jak niemowlę, dopóki ta mała ślepa smarkula nie zaczęła wrzeszczeć.

A teraz mówią mi, że wszystko się zmieniło. Na to po prostu nie można pozwolić. Nie wolno na to pozwolić. Wpadł w sieć, sunął zawrotnie w górę, czuł, jak skóra walczy z brakiem ciśnienia. Jak można teraz zmieniać zdanie i wrzucać go z powrotem w głębinę?

Bangor?

Bangor, Maine?! O nie! Mowy nie ma.

Craig Toomy był ogólnie świadom, że większość ludzi z rejsu 29 zniknęła, ale to go nie obeszło. Oni się nie liczyli. Nie byli częścią, jak to ojciec lubił nazywać, WIELKIEJ PERSPEKTYWY.

Ten zwariowany pomysł ze zmianą kursu na Bangor, Maine... czyj to dokładnie był plan?

Oczywiście, pilota. Engle'a. Tak zwanego kapitana.

Ten Engle... Engle znakomicie pasował do WIELKIEJ PERSPEKTYWY. Faktycznie to mógł być AGENTEM WROGA. Craig wyczuwał to przez skórę, od chwili kiedy Engle odezwał się przez interkom, ale w tym wypadku nie musiał polegać na wyczuciu, prawda? O nie. Przysłuchiwał się rozmowie młodego chudzielca z facetem w wiatrówce z wyprzedaży po pożarze sklepu. Facet ubierał się koszmarnie, ale mówił wcale sensownie... przynajmniej do pewnego momentu.

W tym wypadku pilot jest jednym z nas, powiedział chłopak.

Tak i nie, powiedział facet w wiatrówce z wyprzedaży. W moim scenariuszu pilot jest pilotem. Pilotem, który właśnie przypadkowo znalazł się na pokładzie, lecąc ponoć na bezpłatny bilet do Bostonu. Pilotem, który siedział nie dalej niż półtora metra od drzwi kokpitu.

Engle, innymi słowy.

I ten drugi facet... ten, który wykręcił Craigowi nos, jasne, że musiał być w to zamieszany razem z Engle'em, służył za podniebną obstawę na wypadek, gdyby tamtego ktoś przyłapał.

Nie podsłuchiwał dłużej rozmowy chłopaka z facetem w wiatrówce z wyprzedaży, bo mniej więcej wtedy facet przestał mówić do rzeczy, a zaczął bełkotać o tym, że Denver, Des Moines i Omaha przepadły. Pomysł, że trzy wielkie amerykańskie miasta mogły po prostu zniknąć, był absolutnie trącony... ale to nie znaczyło, że wszystko, co stary piernik opowiadał, było trącone.

Oczywiście. To eksperyment. To wcale niegłupie, wcale a wcale. Ale gadanie starego piernika, że wszyscy są testowanymi obiektami, było tyle warte co bełkot po haju.

„To ja, pomyślał Craig. To o mnie chodzi. Ja jestem obiektem testu”.

Całe życie Craig czuł się jak testowany obiekt. „Problem, dżentelmeni, polega na właściwym stosunku ciśnienia do sukcesu. Odpowiedni stosunek tworzy element X. Czym jest to X? To już pokaże nam nasz obiekt, pan Craig Toomy”.

Ale wtedy Craig Toomy zrobił coś, czego się nie spodziewali, coś, na co żadne z kotów, szcurek i świnek morskich nigdy się nie odważyło - powiedział: „Cześć!”.

„Ależ nie możesz tego zrobić! Ekspłodujesz!

Ekspłoduję? Pysznie!”.

I teraz wszystko stało się jasne, jakże jasne! Reszta to albo niewinni gapie, albo statyści wynajęci, żeby dodać temu głupiemu marnemu przedstawieniu trochę rozpaczliwie potrzebnej wiarygodności. Cała sprawa została ukartowana w jednym celu: utrzymać Craiga Toomy'ego z dala od Bostonu, nie pozwolić mu na rezygnację z udziału w eksperymencie.

„Ale ja im pokażę”, pomyślał Craig. Wyrwał następną stronę z magazynu pokładowego. Pokazywała radosnego człeka, który na pewno nigdy nie słyszał o langolierach, na pewno nie wiedział, że czyhają wszędzie, za każdym drzewem i krzakiem, w każdym cieniu, tuż za horyzontem. Radosny człek jechał wiejską drogą, prowadząc samochód wynajęty w firmie Avis. Reklama głosiła, że kiedy staniesz przed ladą Avis a pokażesz swoją kartę stałego pasażera American Pride, to niemal dadzą ci ten samochód, a może jeszcze na dodatek hostessę z telewizyjnego turnieju, żeby go prowadziła. Zaczął odrywać pasek papieru. Odgłos powolnego odrywania był jednocześnie rozdzierająco bolesny i cudowny.

„Pokażę im, że kiedy mówię: »Cześć!«, to nie żartuję”.

Upuścił pasek na podłogę i wziął się za następny. Należało drzeć powoli. Każdy pasek powinien być jak najwęższy, ale nie zbyt wąski, bo wtedy urywał się przed końcem strony.

Żeby załatwić je odpowiednio, konieczne były dobre oczy i nieulekłe dłonie. „Jak moje. I lepiej niech się wam nic nie zdaje. Lepiej niech się wam nic nie zdaje”.

DRZ-RZ-RZYP

„Być może będę musiał zabić pilota”.

Ręka zastygła w połowie strony. Spojrzał w okno i zobaczył swoją długą bladą twarz rzuconą na czarne tło.

„Być może będę musiał też zabić Anglika”.

Craig Toomy w życiu nie zabił nikogo. Czy potrafi to zrobić? Z rosnącą ulgą zdecydował, że potrafi. Oczywiście nie w powietrzu; Anglik jest bardzo szybki, bardzo silny i Craig nie miał tu pod ręką żadnej broni, której mógłby zaufać. Ale kiedy już wylądują?

„Tak. Jeśli muszę to zrobić, to tak”.

Zresztą konferencja w Pru była planowana na trzy dni. Cóż, spóźnienie jest nieuniknione, ale zdoła się z niego wytłumaczyć: został uśpiony i porwany przez agencję rządową. Padną z wrażenia. Widział ich zdumione twarze, kiedy stanie przed nimi, przed tymi trzystoma bankierami z całego kraju, zebranych, by z nim przedyskutować sprawy obligacji i niewypłacalności, i którzy zamiast tego dowiedzą się śmierdzącej prawdy o knowaniach rządu. „Moi przyjaciele, zostałem porwany...”.

DRZ-RZ-RZYP

„...i mogłem uciec tylko za cenę...” DRZ-RZ-RZYP

„Jeśli będę musiał, dam radę zabić ich obu. W istocie dam radę zabić wszystkich”.

Ręce Craiga Toomy’ego poruszyły się. Oderwał pasek, upuścił na podłogę, zaczął odrywać następny. W magazynie było wiele stron, każda strona to wiele pasków, a to znaczyło, że czeka go wiele pracy, zanim samolot wylądaje. Ale nie martwił się.

Craig Toomy był takim facetem, dla którego chcieć to móc.

## 5

Laurei Stevenson już nie zasnęła. Zapadła tylko w lekką drzemkę. Jej myśli, które w tym stanie umysłowego rozluźnienia prawie wkraczały w strefę sennego marzenia, zwróciły się ku prawdziwej przyczynie jej lotu do Bostonu.

„Mam rozpocząć pierwsze prawdziwe wakacje od dziesięciu lat”, powiedziała, ale to było kłamstwo. Zawierało małe ziarenko prawdy, ale chyba nie uwierzono jej; nie nauczono jej kłamać w dzieciństwie i nie miała dobrej techniki. Co prawda wątpliwe, aby ktokolwiek z pasażerów rejsu 29 zwrócił na to uwagę. Nie w obecnej sytuacji. Fakt, że leciała do Bostonu, aby spotkać się - i prawie na pewno przespać - z mężczyzną, którego nigdy przedtem nie

widziała na oczy, bladł wobec faktu, iż leciała tam samolotem, z którego zniknęła większość pasażerów i cała załoga.

*Droga Laurei!*

*Niecierpliwie oczekują spotkania z Tobą. Nie będziesz musiała spoglądać na moje zdjęcie, kiedy wejdiesz do terminalu. Mam tyle motylków w żołądku, że natychmiast zobaczysz faceta, który fruwa aż pod sufit...*

Nazywał się Darren Crosby.

Nie będzie potrzebowała spoglądać na jego fotografię; to prawda. Zapamiętała jego twarz, tak jak i większość listów. Pytanie tylko dlaczego? Ale nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Oto kolejny dowód potwierdzający obserwację J.R.R. Tolkiena: uważaj za każdym razem, kiedy wychodzisz za próg, gdyż ścieżka, która prowadzi do twych drzwi, jest w istocie drogą a droga biegnie hen, w dal. Jeśli nie będziesz ostrożny, możesz znaleźć się... cóż... po prostu z dala od domu, nieznanym w nieznanym kraju, nie wiedząc, jak się tu dostać.

Laurei opowiedziała wszystkim, gdzie się udaje, ale nie powiedziała nikomu, dlaczego ani co zamierza. Skończyła University of California, wydział bibliotekoznawstwa. Nie była modelką, ale miała zgrabną figurę i miło było na nią spojrzeć. Wąskie grono jej przyjaciół oniemiałoby ze zdumienia, dowiedziawszy się, że zamierza wyjechać do Bostonu, do mężczyzny, którego znała tylko z korespondencji, mężczyzny, którego poznała dzięki bogatej kolumnie ogłoszeń osobistych w magazynie „Przyjaciele i kochankowie”.

Prawdę mówiąc, sama nie mogła ochłonąć ze zdumienia.

Darren Crosby mierzył sobie metr osiemdziesiąt trzy centymetry, ważył osiemdziesiąt dwa kilogramy i miał ciemnoniebieskie oczy. Pijał szkocką (lecz z umiarem), miał kota imieniem Stanley, był zaprzysięgłym heteroseksualistą, ideałem dżentelmena (przynajmniej tak utrzymywał) i uważał, że Laurei to najpiękniejsze imię, jakie zna. Zdjęcia, które posyłał, ukazywały mężczyznę z przystojną, szczerą inteligentną twarzą. Należał do typu osobników, którzy mają wygląd ponurego draba, jeśli nie golą się dwa razy dziennie. I tyle naprawdę wiedziała.

Laurei korespondowała z kilkoma mężczyznami w ciągu kilku lat - traktowała to jako swoje hobby - ale nigdy nie spodziewała się, że zrobi następny krok... ten krok. To prawda, że pociągał ją gorzki autoironiczny humor Darrena, ale była niemile świadoma, że prawdziwe przyczyny wyprawy tkwią nie w nim, ale w niej. I czy naprawdę nie kierowało nią niepojęte, nieodparte pragnienie, aby postąpić głęboko wbrew własnej naturze? Aby polecieć w nieznaną z nadzieją na wielką romantyczną przygodę?



„Co ty wyrabiasz?!”, zadawała sobie wciąż pytanie.

Lekka turbulencja na moment zakotłosała samolotem, po czym lot się wyrównał. Laurei otrząsnęła się z drzemki i rozejrzała. Młoda, kilkunastoletnia dziewczyna siadła obok niej, po drugiej stronie przejścia między fotelami. Patrzyła przez okno.

- Co widzisz? - spytała Laurei. - Nic?

- No, słońce wzeszło - powiedziała dziewczyna - ale na tym koniec.

- Co z ziemią? - Laurei wołała nie wstawać. Głowa Dinah nadal spoczywała na jej piersi i Laurei nie chciała budzić małej.

- Nie widzę. W dole są chmury. - Rozejrzała się. Oczy jej pojaśniały i nabrała trochę kolorów - niewiele, ale zawsze trochę. - Nazywam się Bethany Simmons. A ty?

- Laurei Stevenson.

- Jak myślisz, nic nam się nie stanie?

- Chyba nie - powiedziała Laurel i dodała z ociąganiem - mam nadzieję.

- Boję się tego, co może się okazać pod tymi chmurami - powiedziała Bethany - ale już wcześniej się bałam. Bostonu. Matka ni z tego, ni z owego wpadła na genialny pomysł, żebym spędziła kilka tygodni z ciotką Shawną, choć szkoła zaczyna się za kilka dni. Zdaje mi się, że chodzi o to, abym zeszła z samolotu czysta i niewinna jak baranek, a ciotka Shawna zaczęła pociągać mnie za sznurki.

- Jakie sznurki?

- Nie ryzykuj, idź do najbliższego ośrodka i zacznij odwyk - odpowiedziała Bethany. Przejechała rękami po krótkich czarnych włosach. - Już tak ścirowałam, że to wygląda na kolejny odcinek tego samego.

Obejrzała Laurel uważnie i dodała z doskonałą powagą:

- To dzieje się faktycznie, co? Wiesz, szczypałam się. Kilka razy. Nic się nie zmieniło.

- To prawda.

- Nie wygląda na prawdę - powiedziała Bethany. - Wygląda jak jeden z tych głupich katastroficznych filmów, *Airport 1990*, coś w tym guście. Ciągle patrzę, czy gdzieś nie siedzi para starych aktorów w rodzaju Wilforda Brimleya i Olivii de Havilland. Powinni wpaść na siebie podczas całego tego zasaństwa i zakochać się, wiesz?

- Nie wydaje mi się, żeby byli na pokładzie - ponuro powiedziała Laurel. Spojrzały sobie prosto w oczy i mało brakowało, a wybuchnęłyby śmiechem. To mogłoby je zbliżyć... ale nie nastąpiło. Czegoś zabrakło.

- A co z tobą, Laurel? Masz kompleks filmu katastroficznego?

- Nie wydaje mi się - odpowiedziała Laurel... i teraz roześmiała się. W głowie rozjarzył się czerwony neon: „Och, ty kłamczucho!”.

Bethany położyła dłoń na ustach i zachichotała.

- Jezu - powiedziała po chwili. - Wiesz, tutaj mamy największy dreszczowiec świata.

Laurel skinęła głową.

- Tak. - Zamilkła, a potem spytała: - Musisz iść na ten odwyk, Bethany?

- Nie wiem. - Odwróciła głowę i znów patrzyła w okno. Spoważniała. Sposępniała. - Chyba muszę. Dawniej kombinowałam, że to tylko ubaw, ale teraz nie wiem. Zdaje się, że nie panuję nad tym. Ale zostać tak wykopaną z domu... Czuję się jak świnia na zsuwni w rzeźni.

- Współczuję ci - powiedziała Laurel, ale współczuła również sobie. Ślepa dziewczynka uznała się już za adoptowaną, Laurel nie potrzebowała następnego dziecka do opieki. Teraz, kiedy obudziła się po raz drugi, poczuła lęk - silny lęk. Stać się pojemnikiem na śmieci, kiedy ta dziewczyna zacznie wyrzucać z siebie całe fury lęków rodem z katastroficznego filmu - wcale jej to nie zachwycało. Na tę myśl znów się uśmiechnęła; po prostu nie mogła nad tym zapanować. To naprawdę był największy dreszczowiec świata. Naprawdę.

- Ja też sobie współczuję - powiedziała Bethany - ale zdaje mi się, że teraz nie czas się łamać, he?

- Chyba nie - powiedziała Laurel.

- Pilot nigdy nie zniknął w tych starych filmach jak *Airport*, co?

- Jakoś sobie nie przypominam.

- Prawie szósta. Jeszcze dwie i pół przed nami.

- Tak.

- Żeby tylko świat był na swoim miejscu - powiedziała Bethany - to jakoś polecą.

Znów spojrzała z uwagą na Laurel.

- Nie masz trawki, co?

- Obawiam się, że nie.

Bethany wzruszyła ramionami i obdarzyła Laurel zmęczonym, dziwnie pociągającym uśmiechem.

- Cóż - powiedziała - masz nade mną przewagę. Ja się nie tylko obawiam, ja się boję.

**6**

Jakiś czas później Brian Engle sprawdził kurs, szybkość, obliczenia i pozycję zliczoną na mapach. Na końcu sprawdził czas na swoim zegarku. Były dwie minuty po ósmej.

- Cóż - powiedział do Nicka, nie patrząc. - Zdaje się, że już blisko. W tę albo w tę.

Włączył napis: ZAPIĄĆ PASY. Dzwoneczek zadzwonił niskim, przyjemnym tonem. Potem Brian włączył interkom i podniósł mikrofon.

- Uwaga, panie i panowie. Tu znowu kapitan Engle. Jesteśmy obecnie nad Oceanem Atlantyckim, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na wschód od wybrzeży Maine, i niebawem rozpocznę zejście nad obszar Bangor. W normalnych okolicznościach nie prosiłbym o zapięcie pasów tak wcześnie, ale okoliczności nie są normalne i matka zawsze powtarzała mi, że przezorność idzie przed odwagą. W tym więc duchu proszę was, sprawdźcie, czy wasze pasy przylegają dobrze i czy są zapięte jak należy. Warunki na dole nie wyglądają specjalnie niepokojąco, ale że brak mi łączności radiowej, wiemy wszyscy tyle o warunkach atmosferycznych, ile o zawartości niezapowiadanej paczki. Nadal mam nadzieję, że chmury się rozejdą, i rzeczywiście widziałem kilka małych dziur nad Vermont, ale obawiam się, że chmury znów się zeszyły. Mogę wam powiedzieć, że z moich doświadczeń pilota wynika, iż te chmury nie zapowiadają bardzo złej pogody. Sądzę, że nad Bangor może być zwarta pokrywa chmur i lekki deszcz. Zaczynam podejście do lądowania. Proszę zachować spokój; wszystkie wskaźniki mam na zielonym polu i wszystkie czynności w kabinie pilotów będą czynnościami rutynowymi.

Brian nie zwracał sobie głowy programowaniem autopilota na zejście. Sam rozpoczął procedurę. Wykonał długi, powolny skręt i fotel pod nim skłonił się lekko w przód, kiedy 767 zaczął powoli sunąć w dół, ku chmurom wiszącym na wysokości tysiąca trzystu metrów.

- Zadziałałeś bardzo uspokajająco - powiedział Nick. - Powinieneś być zawodowym politykiem, koleżko.

- Wątpię, czy w tej chwili oni są bardzo spokojni - powiedział Brian. - Bo ja nie bardzo.

W istocie nigdy w życiu nie czuł takiego przerażenia, siedząc za sterami samolotu. W porównaniu z obecną sytuacją nieszczelność kadłuba rejsu 7 z Tokio wyglądała jak drobna usterka. Serce biło mu w piersi powoli i mocno jak pogrzebowy dzwon. Przełknął ślinę i usłyszał trzask w uszach. Zszedł na wysokość dziewięciu kilometrów i schodził niżej. Białe bezkształtne chmury były teraz bliżej. Rozciągały się od horyzontu do horyzontu jak podłoga jakiejś dziwnej sali balowej.

- Boję się tak, że jeszcze chwila i popuszczę w gacie, koleżko - Nick Hopewell mówił dziwnym ochrypłym głosem. - Widziałem, jak ludzie marli na Falklandach, sam dostałem kulę w nogę. Mam dowód - teflon w kolanie. O włos rozminąłem się z bombą pułapką w Bejrucie - to było w 1982 - ale nigdy tak się nie bałem jak w tej chwili. Coś we mnie woła, żeby cię złapać i kazać wracać. Tak wysoko, jak tylko ten ptaszek wydoli.

- To na nic - odpowiedział Brian. Nie panował już nad głosem, słyszał w nim bicie własnego serca, podskakującego coraz to inaczej. - Pamiętaj, co ci mówiłem - nie możemy zostać tu na zawsze.

- Wiem. Ale boję się tego, co jest pod chmurami. Albo tego, czego tam nie ma.

- No cóż, dowiemy się tego wspólnie.

- I jesteśmy na to skazani, koleżko?

- Tak.

Boeing 767 był na wysokości siedmiu kilometrów, schodził niżej.

7

Wszyscy pasażerowie siedzieli w głównej kabinie. Nawet łysy mężczyzna, który przez prawie cały czas uparcie tkwił w klasie biznes, dołączył do reszty. Wszyscy czuwali, z wyjątkiem brodacza z tyłu samolotu. Słyszeli, jak pochrapuje niefrasobliwie, i Albert Kaussner poczuł na moment piekącą zazdrość. Sam by pragnął obudzić się, kiedy bezpiecznie znajdą się na ziemi, jak najprawdopodobniej będzie z chrapiącym mężczyzną, i powiedzieć to, co on najprawdopodobniej powie: „A gdzie, do diabła, jesteśmy?”.

Słysząc było jedynie miękkie DRZ-RZ-RZYP... DRZ-RZ-RZYP... DRZ-RZ-RZYP. To Craig Toomy rozprawiał się z magazynem pokładowym. Buty miał zasypane górą pasków papieru.

- Czy nie mógłbyś łaskawie przestać? - spytał Don Gaffney. Głos miał piskliwy i wysiłony. - Zacznę od tego chodzić po ścianach, stary.

Craig odwrócił głowę. Spoglądał na Dona Gaffneya parą wielkich, płaskich, pozbawionych wyrazu oczu. Odwrócił głowę. Podniósł kartkę, nad którą w tej chwili pracował. Przypadek zdarzył, że była to wschodnia połowa tras American Pride.

DRZ-RZ-RZYP

Gaffney otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz zacisnął je mocno.

Laurel objęła Dinah ramieniem. Dziewczynka chwyciła jej drugą dłoń obiema rączkami.

Albert siedział z Robertem Jenkinsem rząd przed Gaffneyem. Przed nim dziewczyna z krótkimi czarnymi włosami. Wyglądała przez okno. Siedziała sztywno jakby kij połknęła. A przed nią Łysek z klasy biznes.

- No, przynajmniej coś przekąsimy! - oznajmił głośno. Nikt nie zareagował. Napięcie jak muszla żarłocznego skorupiaka połknęło główną kabinę. Każdy włoszek na ciele Alberta Kaussnera stanął na baczność. Chciał otulić się bezpieczną peleryną Asa Kaussnera, tego diuka pustyni, tego barona buntline'a, ale po Asie ani śladu. As dał dyla w siną dal.

Chmury były znacznie bliżej. Spuszyły się. Laurel dostrzegała pierzaste brzegi i łagodne wgłębienia wypełnione cieniami wczesnego poranka. Zastanawiała się, czy Darren Crosby jest tam na lotnisku Logan, cierpliwie czeka przy stanowisku przylotów, gdzieś przy kontuarze American Pride. Bez zdziwienia skonstatowała, że niewiele ją obchodzi, jak jest naprawdę. Chmury wciąż przyciągały jej wzrok i zapomniała całkowicie o Darrenie Crosbym, który lubił szkocką (choć z umiarem) i utrzymywał, że jest ideałem dżentelmena.

Wyobraziła sobie wielką zieloną rękę. Oto nagle przedziera się przez chmury i jak rozszoszczone dziecko chwyta zabawkę, tak ona łapie 767. Wyobraziła sobie uścisk tej ręki, zobaczyła paliwo lotnicze tryskające pomarańczowymi strugami między wielkimi kłykciami i zamknęła na moment oczy.

„Nie schodźmy w dół! - chciała krzyknąć. Och, proszę, nie schodźmy w dół!”.

Ale czy mieli wybór? Czy mieli?

- Bardzo się boję - powiedziała Bethany Simmons niewyraźnym rozwlekłym głosem. Przeniosła się na jeden z foteli w sekcji środkowej, zapięła pas i splotła mocno ręce na brzuchu. - Chyba zemdleję.

Craig Toomy spojrział na nią a potem zaczął drzeć świeży pasek z mapki tras samolotowych. Po chwili Albert rozpiął pas, wstał, siadł obok Bethany i zapiął się znowu. Ledwie to zrobił, złapała go za ręce. Skórę miała zimną jak marmur.

- Wszystko będzie w porządku. - Usilnie starał się przybrać ton gościa twardego i bez lęku, najszybszego izraelity na zachód od Missisipi. Ale mimo całych tych wysiłków odezwał się właśnie jak Albert Kaussner, siedemnastoletni uczeń szkoły muzycznej, który jest o krok od nasiusiania w spodnie.

- Mam nadzieję... - zaczęła Bethany, ale samolot zaczął podskakiwać. Wrzasnęła.

- Co się dzieje? - spytała Dinah cienkim, niespokojnym głosikiem. - Coś nie tak z samolotem? Rozbijemy się?

- Nie...

W głośnikach zabrzmiał głos Briana.

- Kochani, to tylko lekka turbulencja - powiedział. - Proszę zachować spokój. Spodziewajmy się gorszych wstrząsów, kiedy wejdziemy w chmury. Większość z was takie sprawy ma już za sobą więc uspokójcie się.

DRZ-RZ-RZYP

Don Gaffney spojrział na mężczyznę w swetrze w łódkę i nagle ogarnęło go nieprzemожone pragnienie, żeby wydrzeć pokładowy magazyn z rąk pokręconego skurwysyna i wytrzaskać go po łbie ile wlezie.

Chmury były teraz bardzo blisko. Robert Jenkins widział czarny kształt 767 sunący po białych płatach tuż pod samolotem. Nigdy w życiu nie miał żadnego przeczucia, ale w tej chwili pomyślał z niezachwianą pewnością: „Kiedy się przedrzemy, zobaczymy coś, czego nie widziało ludzkie oko. Coś niemieszczącego się w głowie... a równocześnie będziemy musieli w to uwierzyć. Nie będzie wyboru”.

Dłonie spoczywające na poręczach fotela zwinęły mu się w pięści. Kropla potu spłynęła do oka. Zamiast podnieść rękę i otrzeć pot, usiłował odpędzić ją mrugnięciem. Dłonie miał jak przybite do poręczy.

- Czy wszystko będzie w porządku? - pytała gorączkowo Dinah. Rączki zacisnęła na dłoniach Laurel. Były to drobne rączki, ale ścisnęły z prawie bolesną mocą. - Czy wszystko będzie w porządku?

Laurel wyjrzała przez okno. Teraz 767 ocierał się o wierzchy chmur, których pierwsze kosmyki jak cukrowa wata migały za oknami. Następna seria wstrząsów przebiegła samolot i Laurel musiała powstrzymać jęk. Pierwszy raz w życiu czuła taki strach: wywołał fizyczny ból.

- Mam nadzieję, skarbie - powiedziała. - Mam nadzieję, ale wcale nie jestem tego pewna.

## 8

- Co masz na radarze, Brian? - spytał Nick. - Coś niezwykłego? W ogóle masz coś?

- Nie - powiedział Brian. - Świat jest na dole i tyle wiadomo. Jesteśmy...

- Czekaj - powiedział Nick. Mówił ściśniętym, zduszonym głosem, jakby strumień powietrza wydobywał mu się z gardła przez izczelinę o średnicy szpilki. - Wracaj na górę. Zaczekaj, aż chmury;ię rozejdą...

- Za mało czasu i za mało paliwa. - Brian wlepił oczy w instrumenty pokładowe. Samolot znowu zaczął podskakiwać. Brian automatycznie skorygował kurs. - Trzymaj się. Wchodzimy.

Pchnął w przód wolant. Igła wysokościomierza szybko zaczęła poruszać się za szklaną tarczą. Rejs 29 zanurzył się w chmury. Przez moment wystawał z nich ogon tnący strzępiastą powierzchnię jak płetwa rekina. Chwilkę potem również on zniknął i niebo opustoszało... jakby nigdy nie leciał tamtędy żaden samolot.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

**W chmurach. Witamy w Bangor. Burza braw. Rękaw i przenośnik bagażowy. Odgłos niedzwoniących telefonów. Craig Toomy robi odskok. Ostrzeżenie małej ślepej dziewczynki.**

## 1

Jasny słoneczny blask wyparował z głównej kabiny. Zapanowała ponura szarość późnego zmierzchu, a samolot zaczął miotać się jeszcze gwałtowniej. Po jednym szczególnie mocnym podskoku - jakby się jechało na tarce do prania - Albert poczuł nacisk na prawym ramieniu. To spoczęła tam głowa Bethany, ciężka jak dynia w październiku.

Samolot dał susa w przód i z pierwszej klasy dobiegło mocne grzmotnięcie. Tym razem Dinah wrzasnęła, a Gaffney zawył:

- Co to było?! Co to było, na litość boską?!

- Stolik do drinków. - Robert Jenkins powiedział to niskim, suchym głosem. Usiłował mówić głośniej, żeby wszyscy mogli go usłyszeć, i okazało się, że go na to nie stać. - Zastawiony stolik, pamiętacie? Zdaje mi się, że musiał przejechać przez...Następny oszałamiający skok - jak na kolejce górskiej. Samolot poleciał w dół. Rozdzierający trzask i stolik do drinków przewrócił się. BAAAG! Posypało się szkło. Dinah znów wrzasnęła.

- W porządku - gorączkowo odezwała się Laurel. - Nie ściskaj mnie tak mocno, Dinah, skarbie, jest w...

- Błagam, ja nie chcę umierać! Ja nie chcę umierać! Za nic!

- Normalna turbulencja, kochani. - Głos Briana, dobiegający z głośników, brzmiał spokojnie... ale Robert Jenkins usłyszał w tym głosie ledwo ukrywany, paniczny strach. - Tylko...

Znowu sus. Góra - bok. Znowu uskok w dół i kolejne szklanki, kieliszki, butelki piccolo wypadły z przewróconego stolika.

- ...spokój - dokończył Brian. Po przekątnej Dona Gaffneya: DRZ-RZ-RZYP. Don Gaffney obrócił się w tym kierunku:

- Przestań natychmiast, skurwysynu, albo wepchnę ci resztę do gardła.

Craig spojrział na niego bez wyrazu.

- Spróbuj, stary bałwanie.

Samolot znów podskoczył. Góra - dół. Albert pochylił się obok Bethany do okna. Jej piersi musnęły jego ramię i po raz pierwszy od pięciu lat ta dotykowa sensacja nie zaczoowała mu mózgu. Rozpaczliwie wypatrywał przez okno szczeliny w chmurach, usiłując siłą woli zmusić chmury, żeby się rozstały.

Nic nie było widać. Tylko ciemną szarość.

## 2

- Jak nisko pułap, koleżko? - spytał Nick. Teraz, kiedy w końcu znaleźli się w chmurach, uspokoił się.

- Nie wiem - powiedział Brian. - Niżej niż oczekiwałem, tyle mogę ci powiedzieć.

- Co zrobisz, jak zabraknie ci wysokości?

- Jeśli instrumenty są choć trochę niedokładne, wpadamy jak śliwka w kompot - powiedział beznamyślnie. - Ale to wątpliwe. Jeśli zejść do stu pięćdziesięciu metrów i zabraknie powodów do radości, idę w górę i lecimy do Portland.

- Może już teraz powinieneś tam lecieć. Brian potrząsnął głową.

- Prawie zawsze pogoda jest tam gorsza niż tutaj.

- A co z Presque Isle? Czy nie ma tam bazy dalekiego zasięgu strategicznych sił powietrznych?

Brian akurat miał dość czasu, aby pomyśleć, że ten gość naprawdę wie dużo więcej, niż powinien.

- Jest poza naszym zasięgiem. Spadniemy w lasy.

- To i Boston też jest poza zasięgiem.

- Zgadłeś.

- To mi wygląda niezbyt pięknie, koleżko.

Samolot dostał się w kolejny niewidzialny strumień turbulencji i 767 zadygotał jak zgoniony pies. Brian dokonał niezbędnych poprawek, a równocześnie usłyszał przytłumione okrzyki z głównej kabiny. Należałoby im wytłumaczyć, że to wszystko nic, że 767 może wytrzymać turbulencję dwadzieścia razy silniejszą. Prawdziwy kłopot to pułap.

- Jeszcze nie jesteśmy skreśleni - powiedział. Wysokościomierz stał na sześciuset siedemdziesięciu metrach.

- Ale tracimy wysokość.

- My... - Brian przerwał. Fala ulgi. Jak dotknięcie chłodnej dłoni. - No i proszę. Przeszliśmy.

Przed czarnym dziobem 767 chmury szybko rzedyły. Po raz pierwszy, od kiedy minęli Vermont, zobaczył prześwit w białawoszarym kocu chmur. Niżej ołów Oceanu Atlantyckiego.

- Dochodzimy do pułapu, panie i panowie - odezwał się Brian do mikrofonu. - Spodziewam się, że ta drobna turbulencja ustanie, kiedy zejdziemy pod chmury. Za kilka minut usłyszycie hałas z dołu. To podwozie opadnie i zostanie zablokowane. Kontynuuję zejście w obszar Bangor.

Wyłączył mikrofon i obrócił się do Nicka.

- Życz mi szczęścia.

- Och, życzę ci, koleżko, życzę.



### 3

Laurel patrzyła przez okno. Nie mogła złapać tchu. Chmury rozstępowały się teraz szybko. Kilkoma krótkimi spojrzzeniami ogarnęła ocean: fale, białe grzywy, wielki kawał skały, sterczącej z wody Jak kiel zdechłego potwora. Pomarańczowy błysk. Boja?

Minęli niewielką, pokrytą drzewami wysepkę. Laurel, pochyliwszy się i wykręciwszy szyję, widziała teraz przed sobą wybrzeże. Cienkie kosmyki rozwiewającej się chmury zasłoniły widok na nieskończone czterdzieści pięć sekund. Kiedy przejaśniało, 767 znów unosił się nad lądem. Przelecieli nad polem - zagajnikiem - stawem?

Ale gdzie domy? Gdzie drogi, samochody, budynki i przewody wysokiego napięcia? Nagle krzyknęła.

- O co chodzi?! - prawie wrzasnęła Dinah. - Co jest, Laurel? Coś nie tak?

- Nie! Wszystko w porządku! - wołała triumfalnie. W dole dostrzegła wąską drogę prowadzącą do niewielkiej nadmorskiej wioski. Z wysoka wyglądało to na osadę zabawkę, zabawki samochodziki stały przy głównej ulicy. Dojrzała wieżę kościoła, cmentarz, boisko baseballowe Małej Ligi. - Wszystko jest! Dalej wszystko jest!

Z tyłu odezwał się Robert Jenkins. Głos miał spokojny i pełen głębokiego rozczarowania.

- Szanowna pani - powiedział. - Obawiam się, że jest pani w dużym błędzie.

### 4

Długi biały samolot pasażerski sunął z wolna nad ziemią dwadzieścia kilometrów od lotniska międzynarodowego Bangor. Na ogonie wielkie dumne cyfry 767. Kładące się do tyłu litery na kadłubie tworzyły napis: AMERICAN PRIDE. Ich pochylenie miało sugerować szybkość. Na dziobie pysznił się znak firmowy linii: wielki czerwony orzeł. Rozpostarte skrzydła ozdobione niebieskimi gwiazdami, szpony podciągnięte, a szyja lekko zgięta. Orzeł zdawał się podchodzić do lądowania tak jak przyozdobiony nim samolot.

Samolot nie rzucał cienia, kiedy zbliżał się ku miastu. Deszcz nie padał, lecz ranek był szary, bez słońca. Brzuch powietrznego statku rozwarł się. Podwozie opadło. Rozłożyło się. Koła zablokowały się pod główną częścią kadłuba i kabiną pilotów.

American Pride, rejs 29, szedł do lądowania w kierunku Bangor. Położył się lekko na lewe skrzydło: kapitan Engle, korzystając z możliwości, korygował teraz kurs gołym okiem.

- Widzę! - krzyknął Nick. - Widzę lotnisko! Mój Boże, co za piękny widok!

- Jeśli je widzisz, to znaczy, że wylazłeś z fotela - powiedział Brian, nie obracając głowy. Teraz nie było czasu na obracanie głowy. - Zapnij pas i zamknij twarz.

Ale ten pojedynczy, długi pas startowy faktycznie wyglądał pięknie.

Brian naprowadził dziób samolotu na pas i kontynuował zejście, przechodząc z wysokości trzystu na dwieście czterdzieści metrów. Pod skrzydłami rejsu 29 ciągnął się nieskończony, wydawałoby się, las sosnowy. W końcu ustąpił miejsca rozrzuconym budynkom - biegające oczy Briana automatycznie zarejestrowały zwykle śmietnisko moteli, stacji benzynowych i barów szybkiej obsługi - a potem minęli Penobscot River i weszli w przestrzeń powietrzną Bangor. Brian znów spojrzął na tablicę rozdzielczą i zauważył, że ma zielone światło na klapach, znów spróbował połączyć się z lotniskiem... choć wiedział, że to beznadziejne.

- Wieża Bangor, tu rejs 29 - powiedział. - Zgłaszam sytuację awaryjną. Powtarzam: zgłaszam sytuację awaryjną. Jeśli macie ruch na pasach, łapcie się za miotły. Schodzę.

Spojrzął na wskaźnik szybkości w sam czas, żeby stwierdzić, iż zszedł poniżej dwustu dwudziestu kilometrów. Teoretycznie był skazany na lądowanie. Rzednące drzewa ustąpiły polu golfowemu. Błysnął na krótko zielony znak Holiday Inn, a potem światła znaczące koniec pasa i 33, namalowane wielkimi białymi cyframi, rzuciły się pędem ku niemu.

Światła lotniska nie były czerwone, nie były zielone.

Po prostu szlag je trafił.

Nie czas o tym myśleć. Nie czas myśleć o tym, co się stanie, jeśli kieszonkowy odrzutowiec lear albo tłusta mała doyka wtoczy się pod dziób. Nie ma czasu na nic. Można tylko posadzić ptaszka.

Przelecieli nad wąskim zachwaszczonym pasem żwiru, a potem betonowy pas startowy rozwinął się dziesięć metrów pod nimi. Minęli pierwszą serię białych pasów i ślady kół - tak daleko mogły je zostawić odrzutowce sił powietrznych Gwardii Narodowej - pokazały się niżej.

Brian sadzał boeinga na pas. Druga seria białych pasów mignęła tuż pod nimi... i w chwilę później poczuli lekkie uderzenie, kiedy główna część podwozia dotknęła ziemi. Teraz samolot pędził po betonie z szybkością blisko dwustu kilometrów na godzinę, z dziobem lekko uniesionym do góry. Brian opuścił klapy do pełna i dał rewers. Poczuli kolejny, jeszcze lżejszy wstrząs, kiedy dziób dotknął ziemi.

Teraz samolot zwalniał: z dwustu na sto sześćdziesiąt, ze stu sześćdziesięciu na sto, ze stu na sześćdziesiąt, z sześćdziesięciu kilometrów na godzinę do szybkości biegnącego człowieka.

Dokonało się. Byli na ziemi.

- Rutynowe lądowanie - powiedział Brian. - Żadna sprawa. Wydał długie, drżące westchnienie i zatrzymał samolot, mając jeszcze trzydzieści metrów do najbliższej drogi do

kołowania. Nagle jego szczupłe ciało przeszła fala dreszczy. Kiedy otarł twarz, na dłoni została mu pełna garść ciepłego potu. Spojrzał na nią i roześmiał się słabo. Poczł na ramieniu rękę Nicka.

- Dobrze się czujesz, Brian?

- Tak - powiedział i podniósł mikrofon. - Panie i panowie, witamy w Bangor.

Zza pleców usłyszał wiwaty i roześmiał się.

Nick Hopewell się nie śmiał. Pochylony nad fotelem Briana wyglądał przez okno kokpitu. Nic nie ruszało się na sieci pasów startowych; nic ani drgnęło na drogach do kołowania. Żadna duża czy mała karetka nie sunęła po płycie lotniska. Widział kilka pojazdów, widział wojskowy transportowiec C-12 stojący na zewnętrznej drodze do kołowania i 727 linii lotniczych Delta przy jednym z rękawów, ale wszystko to stało w bezruchu. Jak pomniki.

- Dzięki za przywitanie, mój przyjacielu - powiedział łagodnie Nick. - Moja głęboka wdzięczność wynika z faktu, że chyba jesteś jedyną osobą, która mogła je wygłosić. Tu nie ma żywej duszy.

## 5

Mimo ciszy radiowej Brian nie kwapił się z przyznaniem Nickowi racji... Ale zanim dokołował między dwa rękawy pasażerskiego terminalu, uznał, że tak właśnie musi być. Nie chodziło tu jedynie o brak ludzi, nie o to, że ani jeden samochód służb lotniska nie podjechał sprawdzić, co to za nieoczekiwany 767. Chodziło o kompletną martwość. Jakby lotnisko Bangor było pozbawione ludzkiej obecności od tysiąca lub stu tysięcy lat. Ciągniony przez jeepa skład bagażowy z kilkoma rozrzuconymi sztukami bagażu na wagonikach-platformach stał pod skrzydłem odrzutowca Delty. Tam właśnie stałe wracało spojrzenie Briana, kiedy kołował i parkował na tyle blisko terminalu, na ile starczyło mu odwagi. Tych kilkanaście toreb sprawiało wrażenie tak antycznych jak wykopaliska z jakiegoś bajkowego pradawnego miasta. „Ciekawe, czy gość, który odkrył grób Tutenchamona, czuł się podobnie”, pomyślał.

Pozwolił silnikom zgasnąć i siedział bez ruchu kilka chwil. Teraz nie było nic słycać. Tylko słaby szept jednego z czterech pomocniczych zespołów silnikowych (APU) z tyłu samolotu. Ręka Briana powędrowała do przełącznika z napisem: ZASILANIE WEWNĘTRZNE i nawet go dotknęła... Lecz cofnęła się. Nagle zrezygnował z kompletnego wyłączenia mocy. Nie miał po temu żadnego powodu, ale nakaz instynktu okazał się bezapelacyjny.

„Poza tym, pomyślał, wątpię, żeby znalazł się tu ktoś, kto będzie zrzędził na temat marnowania paliwa... a i tak zostało go niewiele”.

Rozpiął pas i wstał.

- Co teraz, Brian? - spytał Nick. Podniósł się również i Brian po raz pierwszy zauważył, że Nick ma nad nim dobre dziesięć centymetrów przewagi. „Byłem dowódcą. Od kiedy zaczęło dziać się to coś - ściślej mówiąc, od kiedy odkryliśmy, że coś się dzieje, byłem dowódcą. Ale to się chyba zmieni, i to bardzo szybko”.

Nie miało to znaczenia. Lot przez chmury wyprał go z ostatniej odrobiny odwagi, lecz Brian nie oczekiwał żadnych podziękowań za to, że nie stracił głowy i odwalił swoją robotę; odwaga była jedną z rzeczy, za które mu płacono. Przypomniawszy sobie, co ongi powiedział mu pewien pilot: „Płacą nam sto tysięcy dolarów rocznie albo więcej i naprawdę robią to tylko z jednego powodu. Wiedzą, że w karierze każdego pilota jest trzydzieści, czterdzieści sekund, w ciągu których on może zdecydować o ludzkim losie. Płacą nam za to, żebyśmy nie przestali myśleć i działać, kiedy te sekundy w końcu nadejdą”.

„To tylko twoja czacha powiedziała ci, rekapitulował w myśli Brian, że musisz schodzić bez względu na chmury, że po prostu nie masz wyboru. Nerwy właśnie zaczęły wyrzaskiwać znane ostrzeżenie, wystukiwały telegramy wieszczące szalony lęk przed niewiadomym. Nawet Nick, kimkolwiek był i czymkolwiek się zajmował, chciał dać drapaka, kiedy doszło już do granicznego momentu. I wykonałeś to, co do ciebie należało. Teraz na ziemi okazało się, że pod chmurami nie ma potworów, tylko ta nieziemiska cisza i jeden opuszczony skład bagażowy zaparkowany pod skrzydłem 727 Deltę.

Więc jeśli chcesz przejąć szefostwo i zostać kapitanem, mój wykręcający nosy przyjacielu, masz moje błogosławieństwo. Noś nawet moją czapkę, jeśli masz ochotę. Ale dopiero po zejściu z samolotu. Dopóki ty i reszta trójki nie staniecie dwoma nogami na ziemi, ja ponoszę za was odpowiedzialność”.

Ale Nick zadał pytanie i zasługiwał na odpowiedź.

- Teraz zejdziemy z pokładu i zobaczymy, co jest grane - powiedział. Ruszył, otarł się o Anglika.

Nick położył mu rękę na ramieniu.

- Czy myślisz... Brian poczuł przyływ dość nietypowej dla siebie wściekłości.

- Myślę, że opuścimy samolot - powiedział. - Nie ma nikogo, kto podsunąłby nam rękaw albo doprowadził trap, więc myślę, że użyjemy rękawa ewakuacyjnego. Potem ty myśl. Koleżko.

Przeszedł do pierwszej klasy... i o mało nie przewrócił się na stoliku do drinków. Leżało tu mnóstwo potłuczonego szkła. Opary alkoholu szczypały w oczy. Jednym krokiem minął to rozlewisko. Nick dopędził go przy końcu przedziału klasy pierwszej.

- Brian, jeśli czymś cię obraziłem, wybaczone. Odwaliłeś kawał sakramencko dobrej roboty.

- Nie obraziłeś mnie - powiedział Brian. - Chodzi tylko o to, że w ciągu ostatnich dziesięciu godzin musiałem uporać się z nieszczelnym kadłubem nad Oceanem Indyjskim, spadła na mnie wieść, że moja była żona zmarła w idiotycznym pożarze, i dowiedziałem się, że Stany Zjednoczone zostały skreślone z listy obecności. To mnie trochę trzepnęło.

Minął klasę biznes i wszedł do głównej kabiny. W jednej chwili zapadła absolutna cisza. Pasażerowie spoglądali na niego bladzi, z idiotyczną tępotą na twarzach.

Wtem Albert Kaussner zaczął bić brawo.

Po chwili dołączył do niego Bob Jenkins... i Don Gaffney... i Laurel Stevenson. Łysy mężczyzna rozejrzał się i też zaczął bić brawo.

- O co chodzi? - spytała Dinah. - Co się dzieje?

- To kapitan - powiedziała Laurel. Zaczęła płakać. - To kapitan, który sprowadził nas bezpiecznie na ziemię.

Wtedy Dinah też zaczęła bić brawo.

Brian patrzył na nich, osłupiały. Nick poszedł w ślady pozostałych. Odpięli pasy i na stojąco bili brawo. Tylko trójka nie dołączyła do aplauzu; Bethany, która zemdląca, brodac, który dalej chrapał w ostatnim rzędzie, i Craig Toomy, który objął wszystkich swym dziwnym srebrzystym spojrzeniem, a potem zaczął drzeć świeży pasek z samolotowego magazynu.

## 6

Brian poczuł, jak rumieniec zalewa mu policzki - sytuacja po prostu stała się groteskowa. Podniósł dłonie, ale mimo to klaskali dalej.

- Panie i panowie, proszę... proszę... zapewniam was, to było jak najbardziej rutynowe lądowanie...

- Też mi coś, szanpani - nic z tego nie narobił - powiedział Bob Jenkins, bardzo przekonująco imitując Gary'ego Coopera, i Albert parsknął śmiechem. Powieki Bethany zatrzepotały, otworzyły się. Rozejrzała się, osłupiała.

- Wylądowaliśmy żywi?! - powiedziała. - Boże mój! Wspaniale! Myślałam, że już zostaniemy przerobieni na mielone!

- Proszę - powiedział Brian. Podniósł wyżej ręce i teraz przypominał Richarda Nixona, przyjmującego nominację swojej partii na kolejne cztery lata. Musiał zapanować nad nagłym wybuchem śmiechu. Nie mógł sobie na to pozwolić; nie zrozumieliby go. Chcieli

bohatera i został wybrany na ten urząd. Ale mógł przyjąć go... i wykorzystać. Wciąż przecież należało sprowadzić ich z pokładu. - Czy mógłbym prosić o uwagę?!

Jedno po drugim przestawali klaskać i spoglądali na niego wyczekująco - wszyscy poza Craigiem, który jednym stanowczym gestem odrzucił na bok magazyn. Rozpiął pas. Staął w przejściu. Zaczął grzebać w schowku nad fotelem. Twarz wykrzywił mu grymas znamionujący skupienie.

- Patrzyliście państwo przez okno i wiecie tyle co i ja - powiedział Brian. - Większość pasażerów i cała załoga tego rejsu zniknęła w czasie naszego snu. Już samo to jest zwariowane, ale teraz wygląda na to, że mamy do czynienia z jeszcze bardziej zwariowaną sytuacją. Wygląda na to, że wielu innych ludzi również znikło... ale logika podpowiada, że ci inni ludzie muszą gdzieś być. Przeżyliśmy nie-wiadomo-co, więc inni też musieli przeżyć.

Bob Jenkins, autor kryminałów, szepnął coś pod nosem. Albert słyszał go, ale niedokładnie. Obrócił się bokiem, a Jenkins znów wymruczał dwa słowa. Tym razem dotarły do Alberta: „Błędna logika”.

- Moim zdaniem najlepszy sposób wyjścia z tej opresji to postępować metodycznie krok po kroku. Krok pierwszy to opuszczenie samolotu.

- Zakupiłem bilet do Bostonu. - Craig Toomy mówił spokojnie, logicznie. - I właśnie tam chcę dotrzeć. Do Bostonu.

Nick wyłonił się zza pleców Briana. Craigowi zwęziły się oczy. Na chwilę przybrał wygląd źle utemperowanego kocura. Nick uniósł rękę, zgiął palce i ścisnął jak nożyczki. Craig Toomy, który raz musiał stać na baczność z płonąca zapałką między palcami stóp i odczekać, aż matka wyśpiewa *Happy Birthday*, od razu złapał, w czym rzecz. Zawsze był pojętym uczniem. I mógł zaczekać.

- Będziemy musieli użyć rękawa ewakuacyjnego - powiedział Brian - więc chcę wam objaśnić, jak z niego korzystać. Słuchajcie uważnie, potem ustawcie się szeregiem i chodźcie za mną na dziób.

## 7

Cztery minuty później drzwi rejsu 29 American Pride wsunęły się do środka. Z otworu doleciało kilka niewyraźnych zdań. Natychmiast ucichły. Jakby zmartwiały w zimnym, nieruchomym powietrzu. Rozległ się syk i wielka paka pomarańczowego materiału zakwitła w progu jak dziwny hybrydoidalny słonecznik. Osuwając się w dół, rosła i nabierała kształtu, pęczniała w pulchną karbowaną zjeżdżalnię. Końcówka uderzyła o płytę lotniska z głośnym POP! i rękaw spoczął na ziemi. Wyglądał jak gigantyczny pomarańczowy materac dmuchany.

Brian i Nick stali na czele krótkiej kolejki na lewej burcie przedziału pierwszej klasy.

- Powietrze tutaj jest nie takie jak należy - cicho powiedział Nick.

- O co ci chodzi? - spytał Brian. Ściszył głos jeszcze bardziej niż Nick. - Skażone?

- Nie... przynajmniej nie sędzę. Ale nie ma zapachu, smaku.

- Odbiło ci - powiedział niespokojnie Brian.

- Nie, nie odbiło. Tu jest lotnisko, koleżko, nie cholerna łączka, ale czy czujesz zapach oleju albo benzyny? Ja nie.

Brian mocno pociągnął nosem. I nie poczuł nic. Jeśli powietrze zostało skażone - nie wierzył w to, ale jeśli - była to powoli działająca trucizna. Płuca działały jak należy. Lecz Nick miał rację. Nie było zapachu. A ta druga właściwość, bardziej ulotna, którą Brytol nazywał smakiem... też nie dawała znać o sobie. Powietrze za otwartymi drzwiami miało zupełnie neutralny smak. Jak z puszki.

- Coś nie gra? - z niepokojem spytała Bethany Simmons. - Wiecie, nie jestem pewna, czy chcę to wiedzieć, ale...

- Wszystko w porządku - powiedział Brian. Policzył obecnych, wyszło mu dziesięć, i zwrócił się do Nicka: - Ten gość z tyłu dalej śpi. Myślisz, że powinniśmy go obudzić?

Nick zastanawiał się przez chwilę i potrząsnął głową.

- Nie. Czy nie mamy dość kłopotów, żeby zawracać sobie głowę niańczeniem jakiegoś bałwana na kacu?

Brian wyszczerzył zęby. Sam myślał nie inaczej.

- Całkowicie dość. W porządku, ruszaj pierwszy, Nick. Trzymaj stopę rękawa. Ja pomogę wydostać się reszcie.

- Może lepiej ty pierwszy. Na wypadek gdyby mój hałaśliwy przyjaciel zaczął znowu dokazywać z powodu nieplanowanego lądowania.

Brian spojrział na mężczyznę w swetrze w łódkę. Stał na końcu szeregu z płaską teczką, ozdobioną monogramem, w ręku, gapił się bezmyślnie w sufit. Jego twarz miała pełnię wyrazu manekina wystawowego.

- Nie boję się z jego strony żadnych kłopotów - powiedział - ponieważ mam w dużym poważaniu wszystko, co robi. Może wyjść albo zostać, niech wybiera.

Nick wyszczerzył zęby.

- W porządku. Zaczniemy więc nasz wielki exodus.

- Buty zdjęte?

Nick podniósł parę czarnych mokasynów z gienzowej skóry.

- Dobra, spływaj. - Brian odwrócił się do Bethany. - Patrz uważnie, panienko. Jesteś następna.

- Och, Boże, nie cierpię takiego gówna.

Niemniej jednak stanęła tuż za Brianem i obserwowała, jak Nick Hopewell spisie się na rękawie. Podskoczył, uniósł obie nogi, jakby wykonywał skok w siadzie płaskim z trampoliny. Wylądował na tyłku i poszusował w dół. Poszło to zgrabnie; rękaw ledwo się ruszył. Uderzył stopami o płytę lotniska, wstał, płynnie się obrócił i wykonał żartobliwy ukłon, zakładając ręce do tyłu.

- Lekko, łatwo i przyjemnie - zawołał w górę. - Następny klient!

- To ty, panienko - rzekł Brian. - Jesteś Bethany, prawda?

- Tak - powiedziała nerwowo. - Chyba nawalę. Zawałam gimnastykę przez trzy semestry i w końcu pozwolili mi zaliczać w zamian gospodarkę krajową.

- Poradzisz sobie - zapewnił ją Brian. No cóż, ludziom potrzeba dużo mniej zachęty i wykazują znacznie większy entuzjazm, kiedy widzą zagrożenie: dziurę w kadłubie albo ogień w jednym z silników. - Buty zdjęte?

Buty - stare różowe trampki - Bethany miała w rękach, ale usiłowała cofnąć się od drzwi. I od jasnopomarańczowego rękawa.

- Może dostałabym wcześniej drinka...

- Pan Hopewell trzyma rękaw i wszystko będzie dobrze - dodawał jej otuchy Brian; obawiał się, że będzie musiał ją popchnąć. Nie chciał, ale jeśli dziewczyna zaraz nie skoczy, będzie musiał. Nie mógł pozwolić, żeby strachliwi przechodzili na koniec szeregu, aż zbiorą się na odwagę, to byłby najgłupszy z możliwych rodzaj postępowania. Raz się pozwoli i wszyscy chcą przejść na koniec.

- Śmiało, Bethany - nagle odezwał się Albert. Futerał ze skrzypcami trzymał pod pachą. - Boję się śmiertelnie tego interesu, a jak ty skoczysz, mnie też nie pozostanie nic innego jak skoczyć...

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Dlaczego?

Twarz Alberta miała kolor dojrzałej piwonii.

- Bo jesteś baba - rzekł po prostu. - Wiem, że wyłazi ze mnie męska świnia, ale tak jest.

Bethany przyglądała mu się przez chwilę, potem roześmiała się i obróciła do rękawa. Brian był zdecydowany popchnąć ją, jeśli się rozejrzy albo cofnie, ale nie zwlekała.

- O rany, ale by się przydało trochę trawki - powiedziała i skoczyła.

Widziała manewr Nicka z siadem płaskim i wiedziała, co ma zrobić, ale w ostatnim momencie stchórzyła i spróbowała podkurczyć nogi. W rezultacie, opadając na skaczącą



powierzchnię, przechyliła się na jedną stronę. Brian był pewien, że zaraz wypadnie, ale sama spostrzegła niebezpieczeństwo i odbiła w drugą stronę. Ześliznęła się w dół na prawym boku, z ręką nad głową, bluzą podwiniętą prawie pod szyję. Nick złapał ją. Wyszła z rękawa.

- O rany - powiedziała bez tchu. - Jakbym była gówniarą!

- Nic ci nie jest? - spytał Nick.

- Nieee... Może trochę zmoczyłam majtki, ale nic mi nie będzie. Nick uśmiechnął się do niej i odwrócił znowu do rękawa. Albert spojrzał przepaszająco na Briana i wyciągnął w jego kierunku futerał.

- Nie zechciałby pan ich wziąć? Boję się, że jak wylecę z rękawa, mogę je połamać. Starzy by mnie zabili. To gretch.

Brian wziął skrzypce. Twarz miał spokojną i poważną, ale uśmiechał się w duchu.

- Mogę zerknąć? Sam grałem tysiąc lat temu.

- Jasne - powiedział Albert.

Zainteresowanie Briana podziałało uspokajająco na chłopaka... na co właśnie kapitan liczył. Odchylił trzy zatrzaski i otworzył futerał. W środku istotnie leżał gretch. Nie był to najskromniejszy przedstawiciel tej szacownej firmy. Sumka, którą wyłożono za skrzypce, wystarczyłaby do nabycia małego samochodu.

- Piękne - powiedział i zagrał pizzicato sześć szybkich nutek: *Wlazł kotek na plotek*. Zabrzmiały kojąco i pięknie. Brian zamknął futerał, zasunął zatrzaski. - Zaopiekuję się nimi. Przyrzekam.

- Dzięki. - Albert stał w progu, nabrał powietrza, wypuścił. - Geronimo - wyrzekł słabym, cichym głosem i skoczył. Lecąc, wsadził odruchowo dłonie pod pachy. Opadł w siadzie na rękaw i czysto pomknął na sam dół.

- Dobra robota! - pochwalił go Nick.

- Małe piwo - burknął As Kaussner z akcentem południowca, wyszedł z rękawa i mało się nie przewrócił, zahaczając o własną stopę.

- Albert! - zawołał w dół Brian. - Łap! - Wychylił się, umieścił skrzypce na środku rękawa i puścił. Albert z łatwością złapał je półtora metra przed stopą rękawa, wsadził pod pachę i cofnął się.

Jenkins wykonał skok z zamkniętymi oczyma i upadł na jeden chudy pośladek. Nick zręcznie podskoczył na lewą stronę rękawa i złapał pisarza w momencie, gdy groził mu niemiły upadek na beton.

- Dziękuję ci, młody człowieku.

- Nie ma sprawy, koleżko.

Następny był Gaffney, za nim łysy mężczyzna. Potem w drzwiach stanęły Laurel i Dinah Bellman.

- Boję się. - Dinah powiedziała to cienkim, drżącym głosem.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - zapewniał ją Brian. - Nie musisz nawet skakać.

Obrócił Dinah do siebie, tak że stała teraz bokiem do drzwi.

- Podaj mi ręce, a opuszczę cię na rękaw. Ale Dinah założyła ręce za siebie.

- Nie pan. Chcę, żeby Laurel to zrobiła. Brian spojrzał na młodą brunetkę.

- Zechciałaby pani?

- Tak - powiedziała. - Jeśli powie mi pan, co mam robić.

- Dinah już wie. Trzeba opuścić ją na rękaw, trzymając za ręce. Kiedy spocznie na brzuchu z wyprostowanymi w dół nogami, polecą prosto jak strzała.

Laurel poczuła, że Dinah ma zimne dłonie.

- Boję się - powtórzyła dziewczynka.

- Skarbie, to będzie jak na zjeżdżalni w parku - powiedział Brian. - Ten pan z angielskim akcentem czeka na dole, żeby cię złapać. Ma ręce podniesione jak *catcher* podczas meczu baseballowego.

„Choć nie możesz wiedzieć, jak to wygląda”, pomyślał. Dinah zachnęła się, jakby opowiadał kompletne głupstwa.

- Nie tego. Boję się miejsca. Dziwnie pachnie. Zdenerwowana Laurel, która nie wyczuwała nic poza wonią własnego potu, spojrzała bezradnie na Briana.

- Skarbie - powiedział Brian, opadając na jedno kolano przed małą ślepą dziewczynką - musimy zejść z pokładu tego samolotu. Wiesz o tym, prawda?

Szklą ciemnych okularów obróciły się w jego kierunku.

- Dlaczego? Dlaczego musimy zejść z pokładu? Tu nie ma nikogo.

Brian i Laurel wymienili spojrzenia.

- Cóż - zaczął Brian - tego nie wiemy naprawdę, dopóki nie sprawdzimy, prawda?

- Ja już wiem - powiedziała Dinah. - Tu nic nie pachnie i nic nie słychać. Ale... ale...

- Ale co, Dinah? - spytała Laurel.

Dinah zawahała się. Chciała, żeby zrozumieli, iż naprawdę nie przeszkadza jej sposób, w jaki ma opuścić samolot. Zjeżdżała już wcześniej na zjeżdżalniach i miała zaufanie do Laurel. Laurel nie wypuściłaby jej z rąk, gdyby to było niebezpieczne. Coś tu było nie w porządku, nie w porządku, i to ją niepokoiło - ta niewporządkowość. Nie chodziło o ciszę i nie chodziło o pustkę. Te sprawy mogły mieć z tym jakiś związek, ale było jeszcze coś.

Coś nie w porządku.

Ale dorośli nie wierzą małym dzieciom, zwłaszcza małym ślepych dzieciom, a już szczególnie małym ślepych dziewczynkom. Chciała powiedzieć im, że nie mogą tu zostać, że to niebezpieczne. Muszą wystartować i znów lecieć. Ale co by usłyszała? „Jasne, w porządku, Dinah ma rację, wszyscy z powrotem do samolotu”. W życiu.

„Zobacz. Zobacz, że jest pusto, i wtedy wrócą do samolotu, i polecimy gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nie będzie nie w porządku. Mamy jeszcze czas.

Tak sądzę”.

- Mniejsza z tym - powiedziała do Laurel. Głos miała cichy i zrezygowany. - Opuść mnie.

Laurel ostrożnie opuściła ją na rękaw. Chwilę później Dinah patrzyła na nią - „z tym, że ona naprawdę nie patrzy, pomyślała Laurel, naprawdę to ona wcale nie patrzy” - a bose stopy rozłożyła na pomarańczowym rękawie.

- W porządku, Dinah? - spytała Laurel.

- Nie - powiedziała Dinah. - Nic tu nie jest w porządku.

I zanim Laurel zdążyła ją wypuścić, Dinah sama rozluźniła ręce. Ześliznęła się na dół, gdzie złapał ją Nick.

Laurel była następna. Opadła czysto na rękaw i zagarniając przyzwoicie spódniczkę, ześliznęła się na dół. Został Brian, śpiący pijak z tyłu i rozkoszniatek uwielbiający drzeć papier, pan Sweter z Wycięciem w Łódkę.

„Nie boję się z jego strony żadnych kłopotów, powiedział wcześniej Brian, ponieważ mam w dużym poważaniu wszystko, co zrobi”. Teraz uświadomił sobie, że to nie całkiem prawda. Facet miał nierówno pod sufitem. Brian podejrzewał, że nawet mała dziewczynka o tym wiedziała, a była ślepa. Jeśli go zostawią i facetowi zachce się trochę ruchu? Co, jeśli zniszczy kokpit?

„I co z tego? I tak nigdzie nie polecisz. Zbiorniki są prawie puste”.

Ale nadal dręczyła go obawa o samolot i wcale nie tylko dlatego, że 767 kosztował kupę dolarów. Może to, co czuł, było nikłym odbiciem tego, co ujrzał w twarzy Dinah, gdy patrzyła znad rękawa. Coś tu było nie w porządku, coś, co przekraczało okropność tego, co widział... i to dopiero było okropne, ponieważ już to, co widział, było wystarczająco straszne. Samolot jednak był w porządku. Nawet z pustymi zbiornikami, pozostawał światem, który Brian znał i rozumiał.

- Twoja kolej, przyjacielu - powiedział najgrzeczniej jak umiał.

- Wiesz, że złożę na ciebie zażalenie, co? - spytał dziwnie łagodnie Craig Toomy. - Wiesz, że zaskarżę całą linię lotniczą na sumę trzydziestu milionów dolarów i że ciebie wskażę jako głównego winowajcę?

- To pańskie prawo, panie...

- Toomy. Craig Toomy.

- Panie Toomy - powtórzył Brian. Zawahał się. - Panie Toomy, czy jest pan świadom tego, co nas spotkało?

Craig wyjrzał przez otwarte drzwi na opustoszałą płytę lotniska i szerokie, lekko polaryzujące okna drugiej kondygnacji terminalu, w których nie stali szczęśliwi przyjaciele ani krewni gotowi uściskać przylatujących, a żadni zniecierpliwieni podróżni nie czekali na wywołania lotów.

Oczywiście, że wiedział. To langolierzy. Langolierzy przybyły po wszystkich głupich, leniwych ludzi, jak to zawsze zapowiadał ojciec.

- W dziale obligacji Desert Sun Banking Corporation mówią na nnie Koń Dyszłowy. Czy wiedział pan o tym? - Craig mówił tym samym, łagodnym głosem. Spauzował na moment, widocznie czekając na replikę Briana. A gdy Brian milczał, kontynuował: - Skądże, via pan o tym równie mgliste pojęcie jak o wadze spotkania w Prudential Center w Bostonie. I ani pana to wzrusza. Ale niech pan pozwoli, capitanie, że panu coś powiem: gospodarczy los narodów może należeć od rezultatów tego spotkania - spotkania, na którym zabraknie mnie w chwili odczytywania listy obecności.

- Panie Toomy, wszystko to jest bardzo interesujące, ale ja naprawdę nie mam czasu...

- Czas! - wrzasnął nagle na Briana Craig. - Co, do diabła, ty wiesz o czasie? Mnie zapytaj! Mnie! Ja coś wiem o czasie! Ja wiem wszystko o czasie! Czasu jest mało, szanowny panie! Czasu jest kurewsko mało!

„Do diabła, wypchnę zwariowanego skurwysyna”, pomyślał Brian, ale nim zdążył to zrobić, Craig Toomy obrócił się i skoczył. Wykonał idealny siad płaski, tuląc przy tym do piersi teczkę, i Brianowi wariacko mignęła w pamięci stara telewizyjna reklamówka Hertza, ta, w której O.J. Simpson fruwa po lotnisku w garniturze i krawacie.

- Czasu jest mało jak diabli! - krzyczał Craig, jadąc w dół, z teczką jak tarczą przy piersi, a nogawki spodni podwinęły mu się, odsłaniając długie do kolan, czarne nylonowe skarpety, nagolenniki rycerza sukcesu.

- Jezu, co za pieprzony dziwoląg - wymruczał Brian. Stanął przy wlocie rękawa ewakuacyjnego, jeszcze raz ogarnął wzrokiem miły, znany świat samolotu... i skoczył.

Dziesięcioro ludzi stało pod gigantycznym skrzydłem 767, na którego dziobie wymalowano czerwono-niebieskiego orła. W jednej grupie Brian, Nick, łysy mężczyzna, Bethany Simmons, Albert Kaussner, Robert Jenkins, Dinah, Laurel i Don Gaffney. Craig Toomy alias Koń Dyszlowy stał od nich w jakimś oddaleniu, tworząc własną grupę. Pochylił się i z drobiazgową dbałością strząsnął kanty spodni, używając do tego lewej dłoni. Dłoń prawa mocno ścisnęła rączkę teczek. Potem tylko stał i patrzył bez zainteresowania szeroko rozwartymi oczami.

- Co teraz, kapitanie? - rzeczowo spytał Nick.

- To ty mi powiedz. Nam.

Nick spoglądał na niego przez moment, lekko unosząc brwi i jakby pytając, czy mówi serio. Brian pochylił lekko głowę. Wystarczyło.

- Cóż, wydaje mi się, że na dobry początek moglibyśmy wykonać skok na terminal - powiedział Nick. - Jak tam dotrzeć najszybciej? Są jakieś pomysły?

Brian skinął w kierunku składów bagażowych pod nawisem dworca lotniczego.

- Chyba najszybszym sposobem dostania się do środka bez korzystania z rękawów są taśmowe przenośniki bagażowe.

- W porządku; panie i panowie - udajemy się na przechadzkę! Była to krótka przechadzka, ale Laurel, idącej za rękę z Dinah, wydała się najdziwniejszą, jakiej zakosztowała w życiu. Widziała ich grupę jakby z góry, niecały tuzin kropek, drepczących przez szeroką betonową równinę. Żadnego powiewu. Żadnych ptasich śpiewów. Silniki nie pracowały i żadne ludzkie głosy nie przerywały nienaturalnej ciszy. Nawet odgłos ich kroków był nie w porządku. Miała na nogach szpilki, ale wydało się jej, że zamiast ostrego zwyczajnego stukotu słyszy tylko ciche, głuche puknięcia.

„Wydaje się», pomyślała. To kluczowe słowo. Ponieważ sytuacja jest dziwna, wszystko zaczyna wydawać się dziwne. To beton i tyle. Szpilki inaczej stukają na betonie”.

Ale wcześniej nieraz chodziła w szpilkach po betonie. W ogóle zresztą nie słyszała nigdy takiego dźwięku. Był... jakoś blady. Bezsilny.

Doszli do składów bagażowych. Nick wysforował się do przodu i zatrzymał przy zamartwym przenośniku, wyłaniającym się z dziury zasłoniętej wiszącymi swobodnie gumowymi paskami. Przenośnik biegł szerokim kołem na płycie lotniska, gdzie zwykle tragarze wyladowywali platformy bagażowe, i wracał do terminalu przez drugą dziurę zasłoniętą gumowymi paskami.

- Po co te kawałki gumy? - nerwowo spytała Bethany.

- Myślę, że chronią od przeciągów przy złej pogodzie - powiedział Nick. - Rzucę tylko okiem do środka. Nie ma strachu, chwila i jestem.

I zanim ktoś zdążył zaprotestować, wskoczył na przenośnik i zgięty podszedł do jednego z otworów w budynku. Kiedy tam dotarł, ukląkł i wsadził głowę między gumowe paski.

„Zaraz usłyszymy gwizd i łomot, zaświtała Albertowi wariacka myśl, a kiedy go wyciągniemy, będzie mu brakować głowy”.

Żadnego gwizdu i łomotu. Kiedy Nick się wycofał, głowa nadal pewnie spoczywała mu na ramionach, a twarz zdołał wyrazić zamyślenia.

- Linia brzegowa czysta - powiedział i Albertowi jego radosny ton wydał się nieco sztuczny. - Naprzód, przyjaciele. Kiedy ciało spotyka ciało i tak dalej.

Bethany stawiała opór.

- Tam są ciała? Panie, czy tam są nieżywi ludzie?

- Nic mi o tym nie wiadomo, panienko - powiedział Nick i zrezygnował z jakiegokolwiek sztucznej beztroski. - Parafrazowałem starego Bobby'ego Burnsa, siląc się na dowcip. Obawiam się, że zamiast tego dałem pokaz bezguścia. W istocie nie widziałem absolutnie nikogo. Ale tego się właśnie spodziewaliśmy, nieprawdaż?

Prawda... Niemniej jednak ciężko zrobiło im się na sercach. Nickowi również, sądząc po głosie.

Jedno po drugim weszli na taśmę i czołgali się za Nickiem.

Dinah zatrzymała się tuż przy otworze i odwróciła głowę w tył, do Laurel. Mgliste światła zabłyśły na czarnych szklach, zmieniając je w zwierciadła.

- Tu jest naprawdę nie w porządku - powtórzyła i przeszła na drugą stronę.

## 9

Jedno po drugim wynurzali się w głównym terminalu międzynarodowego lotniska Bangor - egzotyczny bagaż czołgający się po unieruchomionej taśmie przenośnika. Albert pomógł zejść Dinah. Rozglądali się w milczącym zdumieniu.

Oszupienie i szok wynikłe z przebudzenia w samolocie w magiczny sposób oczyszczonego z ludzi ustąpiły teraz miejsca wrażeniu, że zburzony został porządek rzeczy. Żadne z nich nie znajdowało się nigdy dotąd w kompletnie wyludnionym terminalu lotniczym. Stanowiska wynajmu samochodów były puste. Monitory PRZYLOTY/ODLOTY czarne i nieczynne. Nikt nie stał przy kontuarach Delta, United, Northwest Air-Link lub Mid-Coast Airways. Wielkie akwarium w środku hali z rozpostartym transparentem: KUPUJ LANGUSTY Z MAINE było pełne wody, ale langust zabrakło.

Sufitowe jarzeniówki nie paliły się, a skromne światło wpadające przez drzwi po drugiej stronie wielkiego wnętrza docierało ledwie do połowy podłogi. Mała grupka z rejsu 29 skupiła się jeszcze bardziej w nieprzyjaznym gnieździe cieni.

- W porządku więc - powiedział Nick, siląc się na żwawy ton, czym podkreślił tylko własny niepokój. - Zobaczmy, co z telefonami, dobra?

Kiedy Nick podszedł do rzędu automatów, Albert skierował się do kontuaru „Wypożycz samochód” Budgeta. W przegródkach na tylnej ścianie zobaczył foldery dla BRIGGSA, HANDLEFORDA, MAR-CHANTA, FENWICKA i PESTLEMANA. Bez wątplenia, w każdej dużej kopercie czekała umowa wynajmu, mapa centralnego obszaru stanu Maine, a na każdej mapie strzałka z napisem: TU JESTEŚ wskazywała miasto Bangor.

„Ale gdzie naprawdę jesteśmy my? - zastanawiał się Albert. I gdzie są Briggs, Handleford, Marchant, Fenwick i Pestleman? Czy zostali przeniesieni do innego wymiaru? A może Kostucha zjechała tu na występy i wszyscy załapali się na koncert?”

Za sobą usłyszał suche drapnięcie. O mało nie podskoczył pod sufit. Wykręcił się na pięcie jak derwisz, ściskając oburącz futerał do skrzypiec. To tylko Bethany. Zapalała właśnie papierosa zapalką. Uniosła brwi.

- Przestraszyłam cię?

- Trochę. - Albert opuścił futerał i przesłał jej miły, zakłopotany uśmiech.

- Przepraszam. - Potrząsnęła zapalką, upuściła ją na podłogę i głęboko zaciągnęła się dymem. - Nareszcie. Przynajmniej z tym jest lepiej. Nie odważyłam się na pokładzie. Bałam się, że coś wyleci w powietrze.

Bob Jenkins zbliżył się spacerowym krokiem.

- Macie pojęcie? Ja rzuciłem palenie z dziesięć lat temu.

- Żadnych kazań, proszę - powiedziała Bethany. - Mam przeczucie, że jeśli wyjdziemy stąd cali, czeka mnie miesiąc kazań. Bez pauz. Od ranka do spanka.

Jenkins uniósł brwi, ale nie zażądał wyjaśnienia.

- Po prawdzie - powiedział - to zamierzałem cię prosić, żebyś mnie poczęstowała. Wydaje mi się, że to znakomity moment na wznowienie znajomości ze starym nałogiem.

Bethany uśmiechnęła się i podsunęła mu marlboro. Jenkins poczęstował się, podała mu ogień. Zaciągnął się. Zakaszał, wypuszczając serię dymków.

- Widać, że dawno pan rzucił - zauważyła rzeczowo. Jenkins pokiwał głową.

- Ale szybko się przyzwyczaję. Obawiam się, że na tym polega prawdziwa groza nałogów. Czy zwróciliście uwagę na zegar?

- Nie - powiedział Albert.

Jenkins wskazał zegar nad toaletami. Zatrzymał się na 4.07.

- Zgadza się - rzekł. - Wiemy, że byliśmy już chwilę w powietrzu, kiedy - niech będzie „Zdarzenie” z braku lepszego określenia - kiedy nastąpiło Zdarzenie. 4.07 czasu strefy wschodniej odpowiada 1.07 czasu strefy Pacyfiku. Więc teraz wiemy kiedy.

- Ojejku, to wspaniałe - powiedziała Bethany.

- Tak. - Jenkins albo nie zauważył, albo wolał zignorować lekki sarkazm Bethany. - Ale coś jest nie w porządku. Chciałbym, żeby słońce wyszło. Wtedy miałbym pewność.

- O co panu chodzi? - spytał Albert.

- Zegary, przynajmniej elektryczne, są nie w porządku. Nie ma prądu. Ale gdyby pokazało się słońce, wiedzielibyśmy mniej więcej, która godzina, na podstawie długości i kierunku padania naszych cieni. Mój zegarek powiada, że niedługo będzie za kwadrans dziewiąta, ale nie ufam mu. Mam wrażenie, że jest później. Nie mam na to dowodu i nie potrafię tego wyjaśnić, ale odnoszę takie wrażenie.

Albert myślał nad tym. Rozejrzył się. Wrócił spojrzeniem do Jenkinsa.

- Wie pan - powiedział - to prawda. Czuje się, że jest blisko południa. Czy to nie wariactwo?

- To nie wariactwo - wyjaśniła Bethany. - To kołowacizna po przelecie kilku stref czasowych.

- Nie zgadzam się - zaproponował Jenkins. - Podróżowaliśmy z zachodu na wschód, młoda damo. Podróżni przemieszczający się podobnie czują odwrotnie. Wydaje im się, że jest wcześniej, niż być powinno.

- Chcę zapytać pana o coś, co powiedział pan w samolocie - powiedział Albert. - Kiedy kapitan mówił, że tutaj muszą być inni ludzie, powiedział pan: „błędna logika”. Prawdę mówiąc, powiedział pan to dwukrotnie. Ale mnie wydaje się to jasne. My wszyscy spaliśmy i jesteśmy tutaj. A jeśli ta rzecz stała się o... - Albert zerknął na zegar - o 4.07 czasu Bangor, prawie wszyscy w mieście spali.

- Tak - słodko powiedział Jenkins. - Więc gdzie się podziali? Albert został zapędzony w kozi róg.

- Więc...

Rozległ się huk. To Nick cisnął słuchawką ostatniego z długiego rzędu automatów. Wypróbował wszystkie.

- Kłapa - powiedział. - Wszystkie głuche. I na bilon, i na karty kredytowe. Brian, możesz dodać niedzwoniące telefony do nie szczekających psów.



- Więc co teraz? - spytała Laurel. Słyszała ginący dźwięk własnego głosu i poczuła się bardzo mała, bardzo zagubiona. Obok niej Dinah wolno obracała się w kółko. Jak żywy radar.

- Chodźmy na górę - zaproponował Łysek. - Tam musi być restauracja.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Masz jedno we łbie, szefuniu - burknął Gaffney. Łysy mężczyzna spojrział na niego spod uniesionych brwi.

- Po pierwsze, jestem Rudy Warwick, nie „szefuniu” - odparował. - Po drugie, ludzie lepiej myślą, gdy mają pełne żołądki. - Wzruszył ramionami. - Takie jest prawo natury.

- Uważam, że pan Warwick ma całkowitą słuszność - powiedział Jenkins. - Wszystkim nam przydałoby się coś na ząb... A na górze może natrafimy na jakieś ślady, które pomogą nam zrozumieć to wszystko. Prawdę mówiąc, jestem tego prawie pewny.

Nick wzruszył ramionami. Nagle wydał się zmęczony i zagubiony.

- Dlaczego nie? - powiedział. - Zaczynam się czuć jak cholerny pan Robinson Crusoe.

Ruszyli całą niewielką czeredą w kierunku ruchomych schodów, które również były nieczynne. Albert, Bethany i Jenkins szli razem, zamykając tyły.

- Pan coś wie, prawda? - nagle spytał Albert. - Co?

- Może coś wiem - poprawił Jenkins. - A może nie. Na razie zamierzam zachować to dla siebie... poza jedną sugestią.

- Jaką?

- Nie chodzi o ciebie, to do młodej damy. Oszczędzaj swoje zapalki. To chciałem zasugerować.

- Dlaczego? - Bethany spojrziała na niego, marszcząc brwi.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

- Taa... Ale nie wiem, co to miało znaczyć. Na górze prawdopodobnie jest kiosk z gazetami, panie Jenkins. Będzie kupa zapalek. Papierosy i jednorazówki.

- Zgadza się - powiedział Jenkins. - Mimo to radzę ci oszczędzać zapalki.”Znów odgrywa Phila Christi, czy jak mu tam”, pomyślał Albert.

Miał właśnie wytknąć to Jenkinsowi i poprosić go, aby łaskawie zechciał pamiętać, że to nie jest jedna z jego powieści, kiedy Brian Engle zatrzymał się gwałtownie u stóp ruchomych schodów. Laurel musiała ostro szarpnąć Dinah za ramię, żeby ślepa dziewczynka nie wpadła na pilota.

- Uważaj pan, co robisz, dobra? - powiedziała Laurel. - Może pan tego nie zauważył, ale ta mała nie widzi.

Brian zignorował ją. Rozejrzał się po grupie uchodźców.

- Gdzie jest pan Toomy?

- Kto? - spytał łysy mężczyzna, Warwick.

- Ten gość od pilnego spotkania w Bostonie.

- Czy to ważne? - spytał Gaffhey. - Dobry to wiatr, co śmiecie wymiata.

Ale Brian czuł niepokój. Nie podobało mu się, że Toomy odbił od grupy i oddalił się na własną rękę. Nie wiedział dlaczego, ale wcale mu się to nie podobało. Spojrzał na Nicka. Nick wzruszył ramionami, a potem potrząsnął głową.

- Nie widziałem, jak odchodził, koleżko. Majstrowałem przy telefonach. Przepraszam.

- Toomy! - zawołał Brian. - Craig Toomy! Gdzie jesteś?!

Nie było odpowiedzi. Tylko ta dziwna, przytłaczająca cisza. I Laurel zauważyła wtedy coś, od czego zrobiło jej się zimno. Brian wołając, stulił dłonie przy ustach i krzyknął w górę schodów. W miejscu o tak wysoko zawieszonym suficie powinno odezwać się jakieś echo.

Ale nie usłyszała nic.

Nie było żadnego echa.

## 10

Kiedy inni byli zajęci na dole - dwójka nastolatków i stary piernik stali przy jednym ze stanowisk wynajmu samochodów, a pozostali gapili się na brytyjskiego chama sprawdzającego telefony - Craig Toomy cicho jak myszka wdrapał się na szczyt ruchomych schodów. Dokładnie wiedział, dokąd zmierza; dokładnie wiedział, czego poszuka, kiedy już się tam dostanie.

Teczka kołysała mu się poniżej prawego kolana, gdy szybko przecinał dużą poczekalnię, nie zwracając uwagi na puste fotele i pusty bar „Czerwony Baron”. Po drugiej stronie, nad wejściem do szerokiego ciemnego korytarza, wisiały tabliczki z napisami:

STANOWISKO 5 PRZYLOTY MIĘDZYNARODOWE SKLEPY BEZCŁOWE  
URZĄD CELNY USA SŁUŻBA OCHRONY LOTNISKA

Prawie wchodził w korytarz, gdy jego uwagę przykuło jedno z szerokich okien wychodzących na płytę lotniska... i zwolnił. Powoli podszedł do szyb i spojrzał na dwór.

Poza pustym betonem i nieruchomym białym niebem nie było nic do oglądania, niemniej jednak powieki zaczęły mu się rozszerzać i strach ścisnął za serce.

„Nadchodzi”, nagle odezwał się w nim głos trupa. Głos ojca. Przemawiał z małego, nawiedzanego przez duchy mauzoleum, wciśniętego w mroczny kąt serca Craiga Toomy’ego.

- Nie - szepnął i to słowo wykwitło białą mgiełką na szkle przed jego ustami. - Nikt nie nadchodzi.

„Byłeś niegrzeczny. Gorzej, objąłeś się”.

- Nie.

„Tak. Miałeś umówione spotkanie i nie stawieś się. Uciekleś. I to gdzie? Ze wszystkich durnych miejsc tego świata musiałeś wybrać Bangor, Maine”.

- Nie moja wina - wymruczał. Ścisnął teraz rączkę teczki tak mocno, że prawie go to bolało. - Zostałem zabrany wbrew swojej woli. Zostałem... zostałem porwany!

Wewnętrzny głos nie raczył odpowiedzieć. Słwał tylko fale niezadowolenia. Craig od razu wyczuł napierające ciśnienie, straszliwe, nigdy nieustające ciśnienie, ciężar głębin. Wewnętrzny głos nie musiał mu mówić, że usprawiedliwienia nic nie znaczą. Craig wiedział o tym. Wiedział od dawna.

„ONE tu były... i ONE tu wrócą. Wiesz o tym, prawda?”.

Wiedział. Langolierzy wrócą. Wrócą po niego. Wyczuwał je. Nigdy ich nie widział, ale wiedział, że okażą się straszne. A czy był samotny w swej wiedzy? Nie, o nie!

Mała ślepa dziewczynka także może coś wiedzieć o langolierach.

Ale to nie miało znaczenia. Liczy się tylko to, aby dostać się do Bostonu, zanim langolierzy przybędą do Bangor ze swych strasznych fatalnych legowisk, zjedzą go na żywo, wrzeszczącego. Musi dostać się na to spotkanie do Pru, musi powiedzieć im, co zrobił, i wtedy będzie... Wolny.

Będzie wolny.

Craig odsunął się od okna. Byle dalej od pustki i bezruchu. Zanurzył się w korytarz pod wiszące tabliczki z napisami. Minął puste sklepy, nie obdarzywszy ich spojrzeniem. Dotarł do drzwi, których szukał. Napis na prostokątnej tabliczce, tuż nad wizjerem, głosił: SŁUŻBA OCHRONY LOTNISKA.

Musi tu wejść. Tak czy inaczej, musi tu wejść.

„Całe to... całe to szaleństwo... Ono wcale nie musi mnie dotyczyć. Nie muszę brać w nim udziału. Wyłączam się”.

Craig sięgnął do gałki w drzwiach biura służby ochrony lotniska. Pustkę w oczach zastąpił wyraz determinacji.

„Żyłem w stresie bardzo, bardzo długo. Od kiedy skończyłem siedem lat? Nie - wydaje mi się, że to się zaczęło jeszcze wcześniej. Tak naprawdę to żyłem w stresie, od kiedy tylko pamiętam. To ostatnie szaleństwo to tylko nowy wariant. Chyba właśnie to mówił człowiek w wytartej wiatrówce; eksperyment. Agenci jakiejś tajnej agencji rządowej albo potężnego wroga z zagranicy przeprowadzają eksperyment. Ale ja odmawiam uczestnictwa w dalszych eksperymentach. Nie obchodzi mnie, czy kieruje nimi ojciec, czy matka, czy dziekan Graduate School of Management, czy może rada nadzorcza Désert Sun Banking

Corporation. Wybieram ucieczkę. Wybieram podróż do Bostonu i zamierzam skończyć to, co zacząłem wtedy, kiedy przedstawiłem plan zakupów obligacji argentyńskich. Jeśli tego nie zrobię...”.

Wiedział, co nastąpi, jeśli tego nie zrobi.

Oszaleje.

Craig spróbował obrócić gałkę. Nie drgnęła. Ale ledwie słabo i rozpaczliwie popchnął drzwi, uchyliły się. Albo były niedomknięte, albo zamek puścił w chwili, gdy urwał się dopływ prądu i przestały działać systemy zabezpieczenia. Przyczyna była nieistotna. Ważne, że nie musi smarować sobie ubrania, czołgając się przewodami klimatyzacyjnymi albo czymś takim. Wciąż całym sercem pragnął stawić się przed końcem dnia na spotkanie i nie chciał zjawiać się tam w brudnym, zatłuszczonym ubraniu. Jedna z prostych, bezwarunkowych prawd życia głosiła: faceci w zabrudzonych garniturach są niewiarygodni.

Pchnął mocniej drzwi i wszedł do środka.

## 11

Brian i Nick pierwsi doszli do szczytu ruchomych schodów. Po chwili dobiła reszta i skupiła się wokół nich. Tu była centralna poczekalnia BIA, wielki kwadratowy boks, zdominowany przez ścianę sięgających od sufitu do podłogi refleksowych okien i wypełniony konturowymi plastikowymi fotelami (niektóre z odbiornikami tv, działającymi po wrzuceniu monety). Tuż na prawo kiosk z gazetami i punkt kontrolny ochrony lotniska, obsługujący stanowisko 1; dalej, także na prawo, całą resztę pomieszczenia zajmował bar „Czerwony Baron” i aneks przylotów międzynarodowych.

- Chodźcie... - zaczął Nick.

- Czekaście - powiedziała Dinah.

Odezwała się mocno, z naciskiem i wszyscy z zaciekawieniem obrócili głowy w jej kierunku.

Puściła Laurel i podniosła rękę. Założyła kciuki za uszy i rozłożyła resztę palców jak wachlarze. Stała tak jak słup, w tej dziwnej, nieco niesamowitej pozie.

- Co... - zaczął Brian, ale Dinah syknęła gwałtownie i rozkazująco:

- Ciii!

Odwróciła się lekko w lewo, znieruchomiła, potem odwracała w przeciwnym kierunku, aż światło z okna padło wprost na nią, wybielając już i tak bladą twarzyczkę. Wyglądała nieziemsko. Jak duch. Zdjęła czarne okulary. Oczy miała szeroko otwarte: były piwne i nie bez wyrazu.

- Tam - powiedziała cichym, sennym głosem i Laurel poczuła, jak groza szarpnęła ją za serce lodowatymi palcami. Nie tylko ją. Bethany przysunęła się do niej z jednej strony, a Don Gaffney z drugiej. - Tam. Czuję światło. Stąd wiedzą, że może jeszcze będę widziała, tak powiedzieli. Zawsze umiałam wyczuć światło. Grzeje mi od środka głowę.

- Dinah, co... - zaczął Brian.

Nick szturchnął go łokciem. Podłużna twarz Anglika była ściągnięta, czoło poryte zmarszczkami.

- Bądź cicho, koleżko.

- Światło jest... tu.

Odsunęła się powoli od nich, ręce nadal trzymała za uszami jak wachlarze, łokcie wystawiła jak zderzaki. Szła, aż znalazła się niecałe dwie stopy od okna. Potem z wolna wyciągnęła ręce. Dłonie dotknęły szkła. Jak czarne rozgwiazdy odcinały się od białego nieba. Wydała cichutkie, niezadowolone mruczenie.

- Szyba też jest nie w porządku - powiedziała tym samym sennym głosem.

- Dinah... - zaczęła Laurel.

- Ciii... - szepnęła, nie odwracając się. Stała przy oknie. Teraz wyglądała jak dziewczynka czekająca na powrót taty z pracy. - Słyszę coś.

Ten szept obudził w Albercie Kaussnerze niewysłowioną niezrozumiałą grozę. Coś zaciskało mu się na ramionach. Spojrzał i zobaczył, że sam ściska się skrzyżowanymi rękami.

Brian słuchał skoncentrowany. Słyszał swój własny oddech i oddechy innych... ale nic poza tym. „To gra jej wyobraźni, pomyślał. I nic więcej”.

Ale zastanowiło go to.

- Co? - spytała z naciskiem Laurel. - Co słyszysz, Dinah?

- Nie wiem - powiedziała, nie odwracając się od okna. - Jest bardzo słabe. Wydało mi się, że to słyszę, jak wychodziliśmy z samolotu, i wtedy uznałam, że po prostu coś sobie wyobrażam. Teraz słyszę to lepiej. Słyszę to nawet przez szybę. To jest... trochę jak wtedy, kiedy na dmuchany ryż leje się mleko.

Brian odwrócił się do Nicka i spytał przyciszonym głosem:

- Czy słyszysz coś?

- Ni cholery - powiedział Nick równie cicho. - Ale ona jest ślepa. Nauczyła się pracować uszami za dwoje.

- Mnie się zdaje, że to histeria - rzekł Brian. Szeptał teraz, ustami prawie dotykając uszu Nicka.

Dinah odwróciła się od okna.

- „Czy słyszysz coś?” - naśladowała. - „Ni cholery. Ale ona jest ślepa. Nauczyła się pracować uszami za dwoje”. - Przerwała, dodała po chwili: - „Mnie się zdaje, że to histeria”.

- Dinah, co ty mówisz? - spytała Laurel, zmieszana i przestraszona. Nie słyszała wymiany zdań między Brianem a Nickiem, choć stała o wiele bliżej niż Dinah.

- Ich zapytaj! - głos Dinah drżał. - Nie jestem wariatka! Jestem ślepa, ale nie wariatka!

- W porządku - powiedział Brian, poruszony. - W porządku, Dinah. Rozmawiałem z Nickiem - wyjaśnił Laurel. - Usłyszała nas. Usłyszała nas od okna.

- Masz fantastyczny słuch, skarbeczku - powiedziała Bethany.

- Słyszę, ile słyszę - oświadczyła Dinah. - I słyszę coś stamtąd. Z tamtego kierunku. - Wskazała przy tym na wschód. Jej niewidzące oczy przesunęły się po nich. - I to jest niedobre. To okropny dźwięk. Straszny.

- Gdybyś mogła go rozpoznać, mała panienko, to może by coś dało - powiedział z wahaniem Don Gaffney.

- Nie potrafię - rzekła Dinah. - Ale wiem, że jest bliżej, niż był. - Nałożyła okulary trzęsącą się dłonią. - Musimy się stąd wydostać. I to szybko. Coś nadchodzi. To niedobre coś, co hałasuje jak ryż dmuchany.

- Dinah - powiedział Brian - samolot, którym przylecieliśmy, nie ma prawie paliwa.

- To nalej więcej! - zapiszczała. - To się zbliża, czy nie rozumiesz? To się zbliża i jak nie uciekniemy, zanim tu dojdzie, czeka nas śmierć! Wszystkich nas czeka śmierć!

Głos jej się załamał i zaczęła łkać. Nie była wróżką przepowiadającą przyszłość, nie była medium, była tylko małą dziewczynką, która w kompletnych ciemnościach musiała stawić czoło grozie. Zatoczyła się, wracając od okna, przestała nad sobą panować. Nim potknęła się o jeden ze sznurów wyznaczających dojście do punktu kontrolnego ochrony lotniska, Laurel złapała ją i objęła mocno. Próbowała uspokoić, ale sama, zdezorientowana i wstrząśnięta, słyszała wciąż ostatnie słowa Dinah: „Jak nie uciekniemy, zanim tu dojdzie, czeka nas śmierć.

Wszystkich nas czeka śmierć!”.

## 12

Craig Toomy usłyszał, że smarkula gdzieś tam drze ryja, i zignorował to. W trzeciej przeszukiwanej szafce, na której drzwiczkach taśmą samoprzylepną była przytwierdzona karteczka z nazwiskiem: MARKEY, znalazł to, czego szukał. Drugie śniadanie pana Markeya - mała kanapka, wystająca z brązowej torebki - leżało na górnej półeczce. Prywatne buty pana Markeya stały jak należy, jeden obok drugiego, na dolnej półeczce. W środku z jednego

haczyka zwisały gładka biała koszula i pas na broń. Z kabury sterczała kolba służbowego rewolweru pana Markeya.

Craig oderwał rzemyk zabezpieczający i wyjął broń. Nie znał się specjalnie na broni - dla niego mogła to być równie dobrze trzydziestkadwójka, trzydziestkaósemka, a nawet czterdziestkapiątka - ale nie był głupi i po kilku chwilach grzebania przy bębnie, udało mu się go wyrzucić. Wszystkie sześć gniazd było załadowane. Wrzucił z powrotem bęben, kiwnął lekko głową, kiedy z trzaskiem zaskoczył, a potem sprawdził okolice kurka i obie strony kolby. Szukał bezpiecznika, ale wyglądało na to, że nie ma tu niczego takiego. Położył palec na spuście i naciskał, aż zobaczył, że zarówno kurek, jak i bęben poruszają się lekko. Skinął głową, usatysfakcjonowany.

Obrócił się i niespodziewanie opadło go uczucie najgłębszej samotności. Nie doznał takiej w dorosłym życiu. Broń stała się jakby cięższa a ręka trzymająca rewolwer opadła. Stał przygarbiony, teczka zwisała mu w prawej dłoni, rewolwer strażnika z lewej. Na twarzy miał wyraz krańcowej, niewymownej żałości. I nagle powróciło doń wspomnienie, coś, o czym nie myślał od lat: Craig Toomy, dwunastoletni chłopiec, leży w łóżku, a gorące łzy spływają mu po twarzy. W drugim pokoju stereo dudni do oporu i matka śpiewa razem z Merrilee Rush buczącym, fałszującym głosem pijaczki: „Tylko nazwij mnie aniołem... poranka, mii-ty... tylko mnie pocałuj... przed odejściem, mii-ty...”.

Craig leży w łóżku. Trzęsie się. Płacze. Nie pisnie słówka. I myśli: „Dlaczego nie możesz mnie kochać i zostawić w spokoju, mamuniu? Dlaczego po prostu nie możesz mnie kochać i zostawić w spokoju?”.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić - wymruczał przez łzy Craig Toomy. - Nie chcę, ale to... to jest nie do zniesienia.

Po drugiej stronie pokoju był rząd monitorów tv, wszystkie zgaszone. Przez moment, kiedy na nie spoglądał, doszła do niego prawda o tym, co się stało, co się nadal działo. Na chwilę niemal przedarła się przez spójny system neurotycznych tarcz i dotarła do schronu, w którym pędził życie.

„Wszystko przepadło, Craidziu-bździu. Cały świat przepadł, poza tobą i ludźmi, którzy byli w tym samolocie”.

- Nie - zajączał i padł na jedno z krzeseł otaczających kuchenny stół z laminatu, stojący w środku pokoju. - Nie, nie tak. To błędna myśl. Absolutnie błędna.

„Langoliery tu były i wrócą, powiedział ojciec. Zapanował nad głosem matki. Jak zawsze. Lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy one dotrą... bo sam wiesz, co się stanie”.

Wiedział, a jakże. Zjedzą go. Langoliery zjedzą go do ostatniej kosteczki.

- Ale ja me chcę nikogo skrzywdzić - powtórzył przerażony i załamany. Na stole leżało ksero grafiku służb. Craig upuścił teczkę i położył na stole rewolwer. Podniósł grafik, patrzył na niego chwilę niewidzącymi oczami, i zaczął drzeć długi pasek z lewej strony.

DRZ-RZ-RZYP

Wkrótce zapadł w hipnotyczny stan, a stos cienkich pasków - może najcieńszych w historii! - zaczął opadać na stół. Ale nawet wtedy nie dawał mu spokoju zimny głos ojca:

„Bo sam wiesz, co się stanie”.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

**Papierowe zapalki. Kanapka z salami. Następny przykład metody dedukcyjnej. Żyd Arizona gra na skrzypcach. Jedyny dźwięk w mieście.**

### 1

Lodowatą ciszę, która nastąpiła po oświadczeniu Dinah, przerwał w końcu Robert Jenkins.

- Mamy pewne problemy - rzekł drewnianym głosem wykładowcy uniwersyteckiego.  
- Jeśli Dinah coś słyszy, a biorąc pod uwagę znakomitą, dokonaną na naszych oczach demonstrację, skłonny jestem jej wierzyć, bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli, co słyszy. Nie wiemy. Oto jeden problem. Brak paliwa w samolocie to problem numer dwa.

- Tam stoi 727 - powiedział Nick - przy samym rękawie.

Potrafisz latać czymś takim, Brian?

- Tak - odrzekł Brian.

Nick wyciągnął ręce do Boba i wzruszył ramionami, jakby mówił: No i proszę, jeden problem rozwiązany.

- Zakładając, że uda nam się wystartować, dokąd lecimy? - kontynuował Bob Jenkins.  
- Trzeci problem.

- Byle dalej - natychmiast odezwała się Dinah. - Byle dalej od tego hałasu. Musimy uciec daleko od hałasu i tego, co go robi.

- Jak myślisz, ile mamy czasu? - spytał ją łagodnie Bob. - He czasu minie, zanim to tu dotrze, Dinah? Masz jakieś pojęcie?

- Nie - powiedziała z bezpiecznego kręgu ramion Laurel. - Myślę, że to jest jeszcze daleko. Myślę, że mamy jeszcze czas. Ale...

- Więc proponuję, żebyśmy poszli dokładnie za sugestią pana Warwicka - stwierdził Bob. - Podejdźmy do restauracji, wrzucmy coś na ząb i przedyskutujmy, co potem. Pożywienie ma korzystny wpływ na to, co monsieur Poirot lubił nazywać małymi szarymi komórkami.



- Nie wolno nam czekać - Dinah oznajmiła to ze wzburzeniem.

- Piętnaście minut - powiedział Bob. - Nie więcej. I nawet w twoim wieku, Dinah, powinnaś wiedzieć, że aby działanie było skuteczne, musi je zawsze poprzedzać skuteczne myślenie.

Albert nagle uświadomił sobie, że autor kryminałów chce udać się do restauracji, bo ma po temu powody. Małe szare komórki pana Jenkinsa pracowały wzorowo - lub przynajmniej Albert wierzył, iż pracują wzorowo - a biorąc pod uwagę niezwykle wnikliwą analizę sytuacji, którą pisarz przeprowadził w czasie lotu, Albert gotów był uznać, że wątpliwości raczej przemawiają na jego korzyść. „On chce nam coś pokazać albo czegoś dowieść”, pomyślał Albert.

- Piętnaście minut chyba nas nie zbawi? - namawiał Bob.

- Cóż... - powiedziała Dinah niechętnie. - Chyba nie...

- Świetnie. Więc zdecydowane.

I szybko ruszył w kierunku restauracji, jakby uznając za przesądzone, że reszta uda się za nim. Brian i Nick spojrzeli po sobie.

- Lepiej chodźmy - spokojnie powiedział Albert. - Zdaje mi się, że on wie, w czym rzecz.

- Jaka rzecz? - spytał Brian.

- Dokładnie nie wiem, ale zdaje mi się, że to może być rzecz, o której dobrze jest wiedzieć.

Albert podążył za Bobem, Bethany ruszyła za Albertem, pozostali dołączyli do nich. Laurel prowadziła Dinah za rączkę. Dziewczynka była bardzo blada.

## 2

Restauracja „Dziewiąta Chmurka” w istocie była kafeterią. Lada chłodnicza pełna drinków i kanapek stała w głębi, kontuar z nierdzewnej stali biegł wzdłuż długiego barmu. Wszystkie pojemniki barmu były puste, wszystkie połyskiwały czystością. Grilla nie szpeciła ani plamka tłuszczu. Szklanki - grube ze żłobionymi brzegami - piętrzyły się w regularnych piramidach na tylnych półkach obok jeszcze grubszej barowej zastawy.

Robert Jenkins stał właśnie przy kasie. Kiedy Albert i Bethany podeszli, rzekł:

- Możesz mnie jeszcze poczęstować papierosem, Bethany?

- Rany, co za wielbiciel cudzesów - powiedziała, ale ton jej głosu był pogodny. Wyjęła paczkę marlboro i wytrząsnęła jednego. Wziął go i gestem podziękował odmownie za zapalki.

- Wezmę z tych, no nie? - Obok kasy stała szklana waza pełna książeczek z papierowymi zapałkami reklamującymi LaSalle Business School. Obok wazy stała mała plakietka: DLA NASZYCH PRZYJACIÓŁ BEZ ZAPAŁEK. Bob wziął jedną książeczkę, otworzył i oderwał zapałkę.

- Jasne - powiedziała Bethany. - Ale dlaczego?

- Tego właśnie się dowiemy - orzekł. Spojrzał na resztę. Stali w półkolu, obserwowali - wszyscy, poza Rudym Warwickiem, który przedryfował za kontuar i z bliska oceniał zawartość lody chłodniczej.

Bob potarł zapałkę. Na drasce pojawiła się biała smuga, ale zapałka nie zapłonęła. Potarł drugi raz z identycznym skutkiem. Za trzecią próbą papierowa zapałka zgięła się w pół. Zresztą większa część główki i tak odpadła.

- Proszę, proszę - powiedział ani trochę nie zaskoczony. - Chyba są wilgotne. Spróbujmy książeczki z dna, co? Z dna musi być sucha.

Przekopał się na samo dno wazy, wysypując równocześnie kilka sztuk na kontuar. Albertowi wszystkie wydały się suche. Brian i Nick wymienili znowu spojrzenia.

Bob wyłowił książeczkę, wyrwał zapałkę i spróbował zapalić. Nie zapłonęła.

- Bzdurwysyństwo. Wygląda na to, że udało się nam odkryć następny problem. Mogę cię prosić o twoje zapałki, Bethany?

Podawała mu je bez słowa.

- Zaczekaj pan - wolno powiedział Nick. - Co ty wiesz, koleżko?

- Tylko tyle, że ta sprawa ma szerszy zasięg niż sądziliśmy pierwotnie - oznajmił Bob. Jego oczy pozostały spokojne, ale twarz przybrała zacięty wyraz. - I zaczyna mi świtać myśl, że chyba wszyscy popełniliśmy jeden wielki błąd. Całkiem zrozumieliśmy w tych okolicznościach... ale dopóki nie skorygujemy naszego myślenia, jesteśmy skazani na dreptanie w miejscu. Nasz problem to błędna perspektywa.

Warwick powrócił z łupami. Niósł kanapkę w folii i butelkę piwa. Ta zdobycz znacznie poprawiła mu humor.

- Co się dzieje, ludzie?

- Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem - powiedział Brian - ale wcale mi się to nie podoba.

Bob Jenkins wyrwał jedną zapałkę z książeczki Bethany i potarł. Zapaliła się za pierwszą próbą.

- Aha - powiedział i przytknął płomyk do końca papierosa. Dym miał niewiarygodnie ostry, niewiarygodnie cudowny zapach i Brian zastanowiwszy się, zrozumiał dlaczego: był to

jedyny zapach, poza słabą wonią płynu po goleniu Nicka i perfum Laurel, który czuł. Uświadomił sobie też, że ledwo czuje zapach potu towarzyszy podróży.

Bob nadal trzymał zapałkę w ręku. Odgiął skrzydełko książeczki wyjętej z wazy, odsłonił wszystkie zapałki i dotknął zapaloną zapałką ich główek. Przez długą chwilę nic się nie działo. Pisarz kilkakrotnie przesuwając płomień po główkach, ale nie zajmowały się ogniem. Reszta podróżnych patrzyła, zafascynowana.

W końcu rozległo się cherlawe PSSSS i kilka zapałek strzeliło na moment ogieńkami, ożyło. Nie spaliły się do końca; bynajmniej. Zajaśniały słabo i zgasły. Kilka smużek uniosło się w górę... smużek, które w ogóle nie miały zapachu.

Bob rozejrzał się po towarzyszach podróży i uśmiechnął ponuro.

- Nie oczekiwałem nawet tego.

- Dobra - powiedział Brian. - Mów pan, co jest. Wiem... W tym momencie Rudy Warwick krzyknął z obrzydzeniem. Dinah pisnęła i przytuliła się mocniej do Laurel. Albert poczuł, jak serce skoczyło mu w piersi.

Rudy wcześniej rozwinął kanapkę - Brian dojrzał w środku salami i ser - i odgryzł spory kawałek. Teraz, krzywiąc się z obrzydzeniem, wypluł go na podłogę.

- Zepsuta! - krzyknął. - O cholera, co za ohyda!

- Zepsuta? - szybko spytał Jenkins. Oczy zabłyśły mu jak łuk elektryczny. - Och, śmiem wątpić. Przetwory mięsne są obecnie tak faszerywane konserwantami, że trzeba ośmiu albo i więcej godzin wysokiej temperatury, żeby się zepsuły. A dzięki zegarom wiemy, że zasilanie elektryczne tej lady chłodniczej wysiadło niecałe pięć godzin temu.

- Może nie - odezwał się Albert. - Sam pan miał wrażenie, że jest później, niż wskazują nasze zegarki.

- Tak, ale nie wydaje mi się... Czy lada była jeszcze zimna, panie Warwick? Kiedy pan odsuwał szkło, czy wciąż było zimne?

- Nie całkiem zimne, ale chłodne - powiedział Warwick. - Ta kanapka jest całkiem do powietrza. Panie wybaczą. Proszę. - Podniósł rękę z kanapką. - Jak się panu wydaje, że nie - sam spróbuj.

Bob wpatrywał się w kanapkę. Chyba zbierał całą odwagę, lecz zrobił to najzwyczajniej w świecie: ugryzł kawałtka z nienapoczętego końca. Albert zobaczył, jak wyraz obrzydzenia pojawia się na twarzy pisarza, który jednak nie wyjął natychmiast pokarmu z ust. Przeżuł raz, drugi, a potem obrócił się i wypluł go na dłoń. Wepchnął na wpół przeżuty kawałek do kosza pod półeczką z przyprawami, z resztą kanapki uczynił to samo.

- Nie zepsuta - powiedział. - Nie ma smaku. I nie tylko to. Jakby pusta w środku. - Mimo woli wygiął usta z obrzydzeniem. - Mówi się o potrawach bez smaku - niedoprawiony ryż, rozgotowane ziemniaki - ale sądzę, że nawet najbardziej pozbawiona smaku potrawa ma jakiś smak. To nie miało żadnego. Jakbym żuł papier. Nie dziwota, iż myślał pan, że jest zepsute.

- Było zepsute - upierał się łysy mężczyzna.

- Spróbuj pan piwa - zachęcił Bob. - Ono nie powinno być zepsute. Jest zakrętka, a piwo w butelce z zakrętką nie powinno się zepsuć, nawet jeśli nie jest trzymane w lodówce.

Rudy z namysłem spojrział na butelkę budweisera, którą trzymał w dłoni, potem potrząsnął głową i podał ją Bobowi.

- Już nie mam ochoty - powiedział. Spojrział na ladę chłodniczą. Spojrział groźnie, jakby podejrzewał, że Jenkins bawi się jego kosztem.

- Wypiję, jeśli będę musiał - oznajmił Jenkins - ale już oddałem raz swe ciało na potrzeby nauki. Czy ktoś inny nie mógłby spróbować tego piwa? To wydaje mi się bardzo istotne.

- Daj mnie - poprosił Nick.

- Nie - to był Don Gaffhey. - Daj to mnie. Na Boga, mam chęć na piwo. Pijałem już ciepłe i wcale mnie od tego nie mdliło.

Wziął piwo, odkręcił zakrętkę, przyłożył butelkę do ust i przechylił. Zaraz odwrócił się gwałtownie i splunął na podłogę.

- Jezu! - krzyknął. - Zwietrzałe! Jak kranówka.

- Doprawdy? - promieniał Bob. - Dobrze! Wspaniale! Oto coś, co wszyscy możemy zobaczyć!

Dopał jak strzała kontuaru i złapał jedną ze szklanek. Gaffney postawił butelkę obok kasy i Brian spojrział uważnie, kiedy Bob Jenkins ją podniósł. W szyjce nie było piany. „Jak w butelce z wodą”, pomyślał.

Ale to, co Bob nalał, nie miało jednak wyglądu wody: wyglądało jak piwo. Zwietrzałe piwo. Bez pianki. Kilka małych bąbelków przylgnęło do wnętrza szklanki, ale ani jeden nie pozęgłował na powierzchnię.

- W porządku - wolno powiedział Nick - jest zwietrzałe. Czasem się to zdarza. W browarze nie dokręcą dobrze kapsla i gaz ucieka. Każdemu raz na jakiś czas trafi się zwietrzały browarek.

- Ale jeśli doda pan do tego pozbawioną smaku kanapkę z salami, to już coś sugeruje, prawda?

- Co sugeruje?! - wybuchnął Brian.

- Moment - powiedział Bob. - Zajmijmy się wpieryw zastrzeżeniem pana Hopewella, dobrze? - Wykonał piruet, chwycił w obie ręce szklanki (kilka upadło na podłogę i stłukło się) i ustawił je na kontuarze, żwawo jak barman. - Przynieście mi jeszcze piwa. I jak już tam będziecie, kilka napoi bezalkoholowych.

Albert i Bethany podeszli do lady chłodniczej i oboje wybrali na chybił trafił kilka butelek.

- Sfiksował? - cicho spytała Bethany.

- Nie wydaje mi się - powiedział Albert. Przeczynał niejasno cel pokazu... i nie był tym zachwycony. - Pamiętasz, jak ci powiedział, żebyś oszczędzała zapałki? Wiedział, co się okaże. To dlatego tak się palił, żebyśmy poszli do restauracji. Chciał nam to zademonstrować.

### 3

Grafik został podarty na trzy tuziny wąskich pasków i langoliery były teraz bliżej.

Craig czuł podświadomie ich zbliżanie się - ciężar rósł. Stawał się nie do wytrzymania. Czas iść.

Podniósł broń i teczkę, wstał i opuścił pokój ochrony lotniska. Szedł wolno, powtarzając w myślach: „Nie chcę was zastrzelić, ale zrobię to, jak będę musiał. Zabierzcie mnie do Bostonu. Nie chcę was zastrzelić, ale zrobię to, jak będę musiał. Zabierzcie mnie do Bostonu”.

- Jak będę musiał - mrucał Craig, wracając do poczekalni. - Jak będę musiał. - Odnalazł kurek, odwiódł.

W połowie hali blade światło padające przez okna jeszcze raz przyciągnęło jego uwagę i zawrócił ku niemu. Czuł, że tam są. Langoliery. Zjadły już wszystkich nieużytecznych leniwych ludzi i teraz wracały po niego. Musi się dostać do Bostonu. Był to jedyny sposób ratunku... a ich śmierć będzie straszliwa. Ich śmierć będzie doprawdy straszliwa.

Podszedł powoli do okna i wyjrzał na dwór, ignorując - przynajmniej na tę chwilę - pomruk głosów innych pasażerów.

### 4

Bob Jenkins nalał po trochu z każdej butelki do osobnych szklanek. Wszystkie płyny były tak zwietrzałe jak piwo.

- Przekonałem pana? - spytał Nicka.

- Tak - powiedział Nick. - Jeśli wiesz, co się tu dzieje, koleżko, gadaj. Proszę, gadaj.

- Coś mi przyszło do głowy - oznajmił Bob. - Nie jest to... obawiam się, że nie jest to zbyt pocieszające, ale należę do ludzi, którzy wierzą że wiedza jest zawsze lepsza, bezpieczniejsza na dłuższą metę niż ignorancja, niezależnie od tego, jak niemiłe mog” okazać się fakty. Czy brzmi to sensownie?

- Nie - zaprzeczył Don Gaffney. Bob wzruszył ramionami i obdarzył go skąpym, suchym uśmiechem.

- Niech i tak będzie. Zostanę przy swoim. I zanim powiem jeszcze cokolwiek, proszę was, rozejrzyjcie się po tamtym miejsc i powiedzcie mi, co widzicie.

Rozejrzeli się, tak skupiając uwagę na lustrowaniu stolików i krzeseł, że nikt nie zauważył patrzącego na płytę lotniska Craiga Toomy’ego, który stał tyłem po drugiej stronie poczekalni.

- Nic - powiedziała w końcu Laurel. - Przykro mi, ale nic nie widzę. Musi pan mieć wzrok bystrzejszy od mojego, panie Jenkins.

- Ani na jotę. Widzę to, co wy: nic. Ale lotniska są czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy to coś - to Zdarzenie - nastąpiło, był najprawdopodobniej czas najmniejszego ruchu, ale trudno uwierzyć, że nie znajdowało się tu przynajmniej kilkoro ludzi pijących kawę i może jedzących wczesne śniadanie. Mechanicy samolotowi. Personel lotniska. Może garść pasażerów podróżujących z przesiadką, którzy woleli zaoszczędzić pieniędzy między północą a szóstą, siódmą rano, koczując tu, w terminalu, zamiast w pobliskim motelu. Kiedy zszedłem z tego przenośnika bagażowego, od razu wyczułem, że został naruszony porządek rzeczy. Dlaczego? Ponieważ lotniska nigdy nie są całkiem opustoszałe, jak i posterunki policji, i komendy straży pożarnej. Teraz rozejrzyjcie się jeszcze raz i zadajcie sobie pytanie: gdzie są niedojedzone posiłki, na wpół opróżnione szklanki? Pamiętacie wózek do drinków z brudnymi szklankami na dolnej półce? Pamiętacie nadgryzione ciastko i niedopity kubek z kawą obok fotela pilota w kokpicie? Tu nic z tych rzeczy. Gdzie najmniejszy ślad, że w chwili Zdarzenia byli tu w ogóle ludzie? Albert rozejrzał się jeszcze raz i powiedział wolno:

- Tu nie ma żadnej fajki na górnym pokładzie, co? Bob spojrzał na niego uważnie.

- Co? Co mówisz, Albercie?

- Kiedy lecieliśmy samolotem - powoli mówił Albert - myślałem o tym żaglowcu, o którym kiedyś czytałem. „Mary Celeste”. Ktoś go wypatrzył, jak dryfował bez celu. No... chyba nie całkiem dryfował, ponieważ wszystkie żagle miał postawione, ale kiedy ludzie, którzy go znaleźli, weszli na pokład, okazało się, że wszyscy z „Mary Celeste” przepadli. Z tym że ich rzeczy pozostały, a jedzenie stało na piecu. Ktoś znalazł nawet fajkę na górnym pokładzie. Jeszcze się żarzyła.

- Brawo! - zakrzyknął niemal gorączkowo Bob. Wszyscy patrzyli teraz na niego i wciąż nikt nie widział Craiga Toomy'ego, wolno idącego w ich kierunku. Broń, którą znalazł, nie była już wycelowana w podłogę.

- Brawo, Albercie! Trafieś w sedno! I było jeszcze jedno sławne zaginięcie - cała kolonia osadników w miejscu zwanym Roanoke Island... na wybrzeżu Karoliny Północnej, o ile sobie przypominam. Wszyscy przepadli, ale pozostały resztki ognisk, rozgardiasz w domach i niesprzątnięte śmieci. Teraz, Albercie, zrób następny krok. Czym jeszcze różni się terminal od naszego samolotu?

Przez moment Albert gapił się bezmyślnie, a potem oczy mu rozblęły.

- Pierścionki! - krzyknął. - Torebki! Portfele! Pieniądze! Gwoździe chirurgiczne! Tu nie ma nic z tych rzeczy!

- Zgadza się - miękko powiedział Bob. - Zgadza się w stu procentach. Jak wspomniałeś, tu nie ma nic z tych rzeczy. Ale były na pokładzie, kiedy my, ludzie, którym udało się przeżyć, ocknęliśmy się, prawda? Był nawet kubek z kawą i na wpół zjedzony duńczyk w kokpicie. Odpowiednik dymiącej fajki na górnym pokładzie.

- Myśli pan, że wlecieliśmy w inny wymiar, prawda? - zapytał Albert. W jego głosie brzmiał zachwyt i przerażenie. - Jak w jakiejś opowieści science fiction?

Dinah przechyliła na bok głowę. Przez chwilę uderzająco przypominała Nipperę, psa na starych naklejkach RCA Victor.

- Nie - powiedział Bob. - Myślę...

- Uwaga! - ostro krzyknęła Dinah. - Słyszę ko... Spóźniła się. Kiedy Craig Toomy raz wyrwał się z paraliżu i przeszedł do działania, działał szybko. Nim Brian i Nick zdążyli się obrócić, zacisnął przedramię na gardle Bethany i pociągnął ją w tył. Rewolwer przytknął do skroni dziewczyny. Sterroryzowana wydała rozpaczliwy pisk.

- Nie chcę jej zabijać, ale zrobię to, jeśli będę musiał! - wysapał Craig. - Zabierzcie mnie do Bostonu! - Pustka ustąpiła już z jego oczu; słały na lewo i prawo spojrzenia paranoika. - Słyszycie? Zabierzcie mnie do Bostonu!

Brian ruszył na niego, ale Nick, nie odrywając wzroku od Craiga, położył mu rękę na piersi.

- Spójrz, koleżko - powiedział cichym głosem. - To by ni było bezpieczne. Obecny tu nasz przyjaciel dostał kompletnego szmergla.

Bethany wiała się w obezwładniającym uścisku Craiga.

- Dusisz mnie! Proszę, przestań mnie dusić!

- Co się dzieje?! - wołała Dinah. - O co chodzi?

- Przestań! - krzyknął Craig na Bethany. - Przestań się ruszać. Zmusisz mnie do zrobienia czegoś, czego będę żałował! - Przycisnął lufę do skroni dziewczyny. Wyrwała się nadal i Albert nagle uświadomił sobie: ona nie rozumie, iż on trzyma broń. Nie wiedział tego, chociaż przyciskał lufę do jej czaszki.

- Przestań, dziewczyno! - ostro rzucił Nick. - Przestań walczyć!

Po raz pierwszy na jawie Albert nie tylko pomyślał jak Żyd Arizona, ale poczuł się wezwany do działania jak ta legendarna postać. Nie spuszczać wzroku z wariata w swetrze w łódkę, powoli zaczął podnosić futerał ze skrzypcami. Przesunął obie ręce z uchwytu na szyję futerału. Toomy nie patrzył na niego. Jego oczy biegały szybko między Brianem a Nickiem i miał dosłownie po łokcie roboty z Bethany.

- Nie chcę jej zastrzelić... - zaczął znów swoje Craig, ale dziewczyna tyłkiem szturchnęła go w krocze, i ramię podjechało mu w górę. Bethany natychmiast zatopiła zęby w jego przegubie.

- Au! - zawył Craig. - Auuu!

Uścisk zelżał, Bethany wyrwała się. Albert skoczył w przód, unosząc futerał, a Toomy wycelował w dziewczynę. Jego twarz skręcał grymas bólu i wściekłości.

- Nie, Albercie!!! - zaryczał Nick.

Craig Toomy dostrzegł Alberta i skierował ku niemu lufę. Przez moment Albert spoglądał prosto w czarną dziurę. Nie miało to nic wspólnego z marzeniami we śnie ani na jawie. Spoglądanie w wylot lufy było jak spoglądanie w otwarty grób.

„Zdaje się, że to był błąd”, pomyślał. Craig pociągnął za spust.

## 5

Zamiast eksplozji rozległo się słabe puknięcie - jak ze starej wiatrówki. Albert poczuł, jak coś stuknęło go w koszulkę „Hard Rock Cafe”, dotarło do niego, że został postrzelony, i spuścił futerał na głowę Craiga. Solidny wstrząs przebiegł mu przez całe ręce i nagle w głowie zagrzemiał pełen oburzenia głos taty: „Co się z tobą dzieje, Albercie? Tak nie traktuje się drogich instrumentów muzycznych!”.

Skrzypce podskoczyły w pudle z pełnym oburzenia BRDIAK! Jeden z mosiężnych zatrzasków wbił się w czoło Toomy’ego i krew trysnęła obfitą fontanną. Kolana ugięły się po nimi poleciał w dół jak ekspresowa winda. Oczy stanęły mu w ślup i oto spoczął u stóp Alberta, nieprzytomny.

Szalona, ale w jakiś sposób cudowna myśl na moment zagościła w głowie chłopca: „Na Boga, nigdy w życiu lepiej nie zagrałem!”. A potem zabrakło mu tchu w piersiach.



Obrócił się do towarzyszy, kąci zaciśniętych warg podeszły mu do góry w lekkim, pełnym zmieszania uśmiešku.

- Zdaje się, że mnie naszpikował - rzekł As Kaussner i potem świat zblakł w odcieniu szarości, a kolana Asa zmiękły. Padł jak zmięta szmata na futerał ze skrzypcami.

## 6

Stracił przytomność na niecałe trzydzieści sekund. Kiedy doszedł do siebie, zaniepokojony Brian klepał go po policzkach. Obok klęczała Bethany. Jej świeżące oczy telegrafowały: Mój. Ty. Bohaterze. Dinah nadal płakała w objęciach Laurel. Albert spojrzął na Bethany i poczuł, jak serce - najwyraźniej całe - rośnie mu w piersiach.

- Żyd Arizona znów w siodle - wymruczał.

- Co, Albercie? - spytała i pogładziła go po policzku. Jej ręka była cudownie łagodna, cudownie chłodna. Albert uznał, że jest zakochany.

- Nic - powiedział i w tym momencie pilot znowu chlasnął go po twarzy.

- W porządku, mały? - pytał. - Wszystko w porządku?

- Tak mi się zdaje - powiedział Albert. - Przestań pan z tym, dobrze? I na imię mam Albert. As dla przyjaciół. Jak ciężko jestem ranny? Nic jeszcze nie czuję. Daliście radę zatrzymać krwotok?

Nick Hopewell kucnął obok Bethany. Na twarzy miał wesoły, niedowierzający uśmiech.

- Zdaje mi się, że będziesz żył, koleżko. W życiu czegoś takiego nie widziałem... a widziałem sporo. Wy, Amerykanie, jesteście tak głupi, że nie można was nie lubić. Podaj rękę - dostaniesz coś na pamiątkę.

Albert podał trzęsącą się bezradnie z szoku dłoń i Nick coś mu w nią włożył. Albert podniósł dłoń do oczu i zobaczył pocisk.

- Podniosłem z podłogi - powiedział Nick. - Nawet niezniekształcony. Musiał trafić cię prosto w klatkę, na koszulce jest trochę prochu, i odbił się. Niewypał. Bóg musi mieć do ciebie słabość, koleżko.

- Myślałem o tych zapalkach - słabo powiedział Albert. - Jakoś wykombinowałem, że w ogóle nie będzie strzału.

- To było bardzo odważne i wyjątkowo głupie, mój chłopcze - rzekł Bob Jenkins. Twarz miał śmiertelnie bladą, jakby lada chwila sam miał zemdleć. - Nigdy nie ufaj pisarzom. Słuchaj ich, jak najbardziej, ale nigdy nie ufaj. Mój Boże, a gdybym się mylił?

- Niewiele brakowało - powiedział Brian. Pomógł Albertowi wstać. - To było jak zapalenie tych zapalek z wazy. Strzał był na tyle mocny, że wypchnął pocisk z lufy. Trochę mocniejszy i miałbyś ołów w płucach.

Następna fala zawrotów głowy ogarnęła Alberta. Zachwiał się i Bethany natychmiast objęła go w pasie.

- To naprawdę było odważne - wymamrotała. Z jej wzroku biła wiara, iż platynową odbytnicę Alberta Kaussnera opuszczają jedynie diamenty. - Znaczący, niewiarygodny.

- Dzięki - powiedział As, uśmiechając się chłodno, choć trochę nieprzytomnie. - Drobiazg.

Najszybszy izraelita na zachód od Missisipi był świadom, iż mocno napiera na niego kawał wspaniałego dziewczęcego ciała i że ten kawał pachnie prawie nieznośnie cudownie. Nagle poczuł się dobrze. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie czuł się lepiej. Potem przypomniał sobie skrzypce, schylił się i podniósł futerał. Z boku był mocno wygięty i jeden z zatrząsków naderwał się. Były na nim krew i włosy i Albert poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Otworzył futerał i zajrzał do środka. Instrument był chyba w porządku i Albert odetchnął trochę.

Przypomniał sobie o Craigu Toomym i ulga ustąpiła miejsca gwałtownemu niepokojowi.

- Powiedzcie, nie zabiłem tego gościa, co? Przyłożyłem mu potężnie. - Spojrzał na Craiga, leżącego koło drzwi do restauracji. Don Gaffney klęczał obok niego. Albert o mało znów nie zemdlął. Twarz i czoło Craig miał całe we krwi.

- Żyje - powiedział Don - ale padł jak święty.

Albert, który w swych snach zdmuchnął więcej twardzieli niż Człowiek Bez Imienia, poczuł żółć na języku.

- Jezu, ile krwi!

- To nic - zapewnił Nick. - Rany skóry głowy zwykle mocno krwawią. - Podeszedł do Dona, wziął Craiga za przegub i wymacał puls. - Nie zapominaj, koleżko, że on przyłożył tej dziewczynie broń do skroni. Gdyby nacisnął spust z zerowej odległości, całkiem dobrze mógłby ją wykończyć. Pamiętajcie aktora, który zabił się ślepym nabojem kilka lat temu? Pan Toomy sam się o to prosił. Nie bierz winy na siebie.

Nick puścił przegub Craiga i wstał.

- Poza tym - ciągnął Nick, wyjmując z podstawki na stole garść papierowych serwetek - puls ma silny i regularny. Myślę, że nie grozi mu nic poza mocnym bólem głowy i że ocknie się za parę minut. Myślę również, że w związku z tym szczęśliwym wydarzeniem ostrożność

nakazuje podjąć pewne środki. Panie Gaffney, zdaje się, że stoły w tutejszej dziurze są zaopatrzone w obrusy - dziwne, choć prawdziwe. Zastanawiam się, czy nie zechciałby pan dostarczyć kilku. Przeworność nakazuje związać z tyłu ręce drogiego pana Muszę-Dostać-Się-Do-Bostonu.

- To naprawdę konieczne? - spokojnie zapytała Laurel. - Przecież ten człowiek jest nieprzytomny i krwawi.

Nick przyłożył naprędce zrobiony kompres do rany na głowie Craiga i podniósł wzrok.

- Jesteś Laurel, zgadza się?

- Zgadza.

- Więc, Laurel, nie nadużywaj tu różowej farbki. Ten człowiek to wariat. Nie wiem, czy to wynik naszej obecnej przygody, czy też zawsze miał nie po kolei we łbie, ale wiem, że jest groźny. Złapałby Dinah zamiast Bethany, gdyby miała stała bliżej. Jeśli zostawimy go luzem, za drugim razem jeszcze mu się uda.

Craig jęknął i słabo poruszył rękoma. Ledwie drgnął, Bob Jenkins odsunął się od niego, choć rewolwer tkwił teraz wetknięty bezpiecznie za pas spodni Briana Engle'a. Laurel zrobiła to samo, pociągając Dinah za sobą.

- Czy ktoś nie żyje? - nerwowo pytała dziewczynka. - Nikt, prawda?

- Nie, skarbie.

- Powinnam usłyszeć go wcześniej, ale słuchałam tego pana, który mówi jak nauczyciel.

- W porządku - powiedziała Laurel. - To się skończyło dobrze, Dinah. - Wyjrzała przez okno pustego terminalu i własne słowa zadrgiły z niej. Nic tu nie było dobrze. Nic a nic.

Don wrócił z obrusami w białą-czerwona kratę w obu rękach.

- Cudownie - powiedział Nick. Wziął jeden, szybko i fachowo skręcił go w powróż. Wsadził sobie środek powroza do ust, żeby mu się nie rozwinął, i przewrócił Craiga jak żywy omlet.

Craig krzyknął i zamrugał.

- Musi pan być tak brutalny? - ostro spytała Laurel. Wzrok Nicka spoczął na niej przez chwilę i od razu spuściła oczy.

Nie mogła nie porównać oczu Nicka Hopewella z oczami na zdjęciach przysyłanych przez Darrena Crosby'ego. Szeroko rozstawionymi czystymi oczami w przystojnej, choć przeciętnej twarzy. Ale oczy też były raczej przeciętne, nieprawdaż? I czy oczy Darrena nie

miały czasem związku, może nawet silnego związku z przyczyną tej eskapady? Czyż nie uznała po wyjątkowo długim namyśle, że są to oczy mężczyzny, który będzie umiał się przywoicie zachować? Mężczyzny, który, jeśli mu powie „prześnię”, to przestanie?

Weszła na pokład rejsu 29, wmawiając sobie, że zaczyna swą wielką przygodę, swoje ekstrawaganckie, romantyczne tango - impulsywny, transkontynentalny skok w ramiona wysokiego ciemnowłosego nieznajomego. Ale w niektórych sytuacjach nie da się już dłużej uciekać przed prawdą i Laurel stanęła teraz twarzą w twarz z prawdą następującą: wybrała Darrena Crosby'ego, ponieważ jego zdjęcia i listy powiedziały jej, że niewiele się on różni od tych ułożonych chłopców i mężczyzn, z którymi umawiała się na randki od jakiegoś piętnastego roku życia. Chłopców i mężczyzn, którzy szybko uczyli się wycierać buty na słomiance, zanim weszli do środka w deszczowy wieczór, chłopców i mężczyzn, którzy bez prośzenia łapali za ścierkę i pomagali przy naczyaniach, chłopców i mężczyzn, którzy wypuszczali cię z objęć, kiedy im się to kazało odpowiednio ostrym tonem.

Czy znalazłaby się dziś w nocy na pokładzie rejsu 29, gdyby zdjęcia zamiast łagodnych piwnych oczu Darrena Crosby'ego pokazywały ciemnoniebieskie oczy Nicka Hopewella? Wątpliwe. Raczej napisałaby do niego uprzejmy, lecz bezbarwny liścik („Dziękuję panu, panie Hopewell, za pańską odpowiedź i zdjęcie, ale jakoś mi się zdaje, że nie pasujemy do siebie”) i udałaby się na poszukiwanie takiego mężczyzny jak Darren. I rzecz jasna, to bardzo wątpliwe, czy tacy mężczyźni jak Nick Hopewell czytają magazyny dla samotnych, a co dopiero ogłaszają się w nich. Niemniej jednak była teraz z nim tutaj, w tej dziwnej sytuacji.

Cóż... chciała przygody, choć jednej przygody, zanim wiek średni połknie ją ze szczętem, nieprawda? Prawda. I oto - dowodząc słuszności słów Tolkiena - tego wieczoru przestąpiła swój próg, tak samo jak co dzień, i patrzcie, gdzie dotarła: do dziwnej i strasznej wersji Krainy Fantazji. Ale to jest przygoda, bez dwóch zdań. Awaryjne lądowanie... opuszczone lotnisko... szaleni z bronią. Oczywiście to jest przygoda. Coś czytanego przed laty nagle wyskoczyło z głębi pamięci. „Uważaj, o co się modlisz, bo jeszcze możesz to dostać”. Jakże to prawdziwe. I jakże kłopotliwe.

W oczach Nicka Hopewella nie było zakłopotania... ale nie było też litości. Laurel poczuła, że drży pod ich spojrzeniem. Nic romantycznego nie było w tym doznaniu.

„Jesteś pewna?”, szepnął w niej jakiś głos i Laurel od razu kazała mu się zamknąć.

Craig leżał na rękach. Nick wyciągnął je, skrzyżował na plecach. Craig znowu jęknął, tym razem głośniejszym, i stawiał słaby opór.

- Spokojnie teraz, mój dobry, stary koleżko - uspokajał go Nick. Przewinął dwukrotnie powróż z obrusa wokół przegubów Craiga i zawiązał na mocny węzeł. Łokcie Craiga zatrzepotały i wydał dziwny słaby krzyk. - Proszę bardzo! - powiedział Nick, wstając. - Skrzydła związane jak u bożonarodzeniowego indyka. Mamy nawet zapas, gdyby ten obrus nie chciał trzymać. - Oparł się o stolik i spojrzał na Boba Jenkinsa. - A teraz... o czym pan mówił, kiedy tak niegrzecznie nam przerwano?

Oszołomiony Bob spojrzał na niego, własnym uszom nie wierząc.

- Co?

- Dalej - zachęcił go Nick, jak zainteresowany wykładem słuchacz, a nie ktoś, kto oparty o stolik w opustoszałej restauracji lotniska dotyka niemal stopami związanego mężczyzny, leżącego w kałuży krwi. - Doszedł pan właśnie do porównania rejsu 29 z „Mary Celeste”. Interesująca koncepcja.

- I pan chce, żebym... po prostu mówił dalej? - spytał z niedowierzaniem Bob. - Jakby się nic nie stało?

- Dajcie mi wstać! - krzyknął Craig. Jego słowa lekko głużyła gruba wykładzina zaścielająca podłogę restauracji, ale nadal reagował całkiem żwawo, jak na człowieka, który został uśpiony futerałem do skrzypiec niecałe pięć minut temu. - Dajcie mi wstać i to już! Żądam, żebyście...

Wtedy Nick zrobił coś, co wstrząsnęło wszystkimi, nawet tymi, którzy widzieli, jak wykręcał Craigowi nos. Wymierzył mu krótkie, ostre kopnięcie w żebra. Przyhamował w ostatniej fazie... ale nie za bardzo. Craig stęknął boleśnie i zamknął się.

- Zaczynaj jeszcze raz, koleżko, a połamię ci żebra - zagroził Nick. - Moja cierpliwość się wyczerpała.

- Hej! - wykrzyknął ogłupiały Gaffney. - Co ty wyrabiasz, do ku...

- Posłuchajcie! - powiedział Nick i rozejrzał się. Pierwszy raz jego ogłoda znikła kompletnie, głos wibrował władczo i gniewnie. - Potrzebujecie czegoś na przebudzenie, chłopcy i dziewczęta, i brak mi czasu, żeby załatwić to w rękawiczkach. Ta mała - Dinah - mówi, że siedzimy tu po szyję w kłopotach, i ja jej wierzę. Ona mówi, że coś słyszy, coś, co zbliża się ku nam, i też w to wierzę. Nie słyszę ni cholery, ale nerwy skaczą mi jak smalec na rozpalonej patelni, a przy takich okazjach mam zwyczaj napinać uwagę. Zdaje mi się, że faktycznie coś nadchodzi, i nie wydaje mi się, że to coś będzie zachęcać do kupna końcówek do odkurzaczy albo najnowszych polis ubezpieczeniowych, kiedy już tu dotrze. Rzecz w tym, że możemy wydawać wszystkie cywilizowane ochy i achy nad tym cholernym wariatem albo

spróbować zrozumieć to, co się nam przydarzyło. Zrozumienie nie musi uratować nam życia, ale rośnie we mnie gwałtowne przekonanie, że jego brak może je zakończyć, i to szybko.

- Jego wzrok przesunął się na Dinah. - Jeśli uważasz, że nie mam racji, powiedz mi, Dinah. Ciebie posłucham. Bez szemrania.

- Nie chcę, żebyś robił krzywdę panu Toomy'emu, ale nie zdaje mi się też, żebyś nie miał racji - powiedziała Dinah cienkim, drżącym głosem.

- W porządku - rzekł Nick. - Dzięki za szczerość. Spróbuję zrobić, co się da, żeby już go nie skrzywdzić... ale nic nie obiecuję. Zacznijmy od bardzo prostego twierdzenia. Ten facet z podwiązanymi kończynami...

- Toomy - powiedział Brian. - On nazywa się Craig Toomy.

- W porządku. Pan Toomy jest szalony. Może jeśli znajdziemy drogę powrotną do naszego własnego świata albo chociaż miejsce, do którego udali się wszyscy ludzie, zdołamy mu jakoś pomóc. Ale na razie możemy mu pomóc tylko, wyłączając go z gry - co już zrobiłem, przy ofiarnej acz pozbawionej roztropności współpracy obecnego tu Alberta. I wracając do spraw bieżących - czy ktoś reprezentuje pogląd sprzeczny z wyżej wymienionym?

Nie było odpowiedzi. Wszyscy spoglądali niespokojnie na Nicka.

- W porządku - powiedział Nick. - Proszę kontynuować, panie Jenkins.

- Ja... ja nie przywykłem do... - Bob Jenkins z trudem usiłował zapanować nad sobą. - Przypuszczam, że w książkach zabiłem dość ludzi, żeby zapelnąć wszystkie fotele samolotu, którym tu przylecieliśmy, ale przed chwilą byłem po raz pierwszy naocznym świadkiem aktu przemocy. Przepraszam, jeśli... jeśli... zachowałem się niewłaściwie.

- Ja uważam, że zachował się pan doskonale, panie Jenkins - powiedziała Dinah. - I lubię pana słuchać. Czuję się od tego lepiej.

Bob spojrzał na nią z wdzięcznością i uśmiechnął się.

- Dziękuję ci, Dinah. - Wsadził ręce w kieszenie, zerknął z niepokojem na Craiga Toomy'ego, a potem przeniósł wzrok dalej, na pustą poczekalnię. - Wspomniałem, zdaje się, o istocie naszego błędnego rozumowania - powiedział w końcu. - Oto ona: zacząwszy obejmować rozmiary tego Zdarzenia, wszyscy założyliśmy, że coś się stało z resztą świata. To założenie jest łatwe do przyjęcia, ponieważ my mamy się świetnie, a wszyscy inni - w tym pasażerowie, z którymi weszliśmy na pokład na Lotnisku Międzynarodowym Los Angeles - przypadli. Ale rzeczywistość przed naszymi oczami nic potwierdza tego założenia. To, co się stało, stało się nam i tylko nam. Jestem przekonany, że świat, jaki znamy, drepce sobie spokojnie dalej.

To my - jedenastka, która przeżyła - zagubiliśmy się, to my jesteśmy pasażerami, których brak.

7

- Może jestem tępy, ale nie rozumiem, co pan nawijasz - odezwał się po chwili Rudy Warwick.

- Ani ja - dodała Laurel.

- Wspomnieliśmy o dwóch sławnych zaginięciach - spokojnie powiedział Bob. Wydawało się, że teraz nawet Craig Toomy słucha... przynajmniej przestał się szarpać. - Pierwsze, przypadek „Mary Celeste”, zdarzyło się na morzu. Drugie, przypadek Roanoke Island, w pobliżu morza. Nie są jedyne. Przychodzą mi na myśl przynajmniej dwa mające związek z samolotami: zaginięcie lotniczki Amelii Earhart nad Oceanem Spokojnym i zaginięcie kilku samolotów marynarki wojennej nad tą częścią Atlantyku, która jest znana jako Trójkąt Bermudzki. Miało to miejsce, zdaje się, w roku 1945 lub 1946. Doszła zniekształcona transmisja od dowódcy klucza. Od razu wystartowały jednostki ratunkowe z bazy powietrznej na Florydzie, ale nie znaleziono śladu maszyn ani załóg.

- Słyszałem o tym przypadku - powiedział Nick. - Jest to chyba podstawa niesławnej reputacji Trójkąta.

- Nie, w tym miejscu zaginęło wiele statków i samolotów - wtrącił Albert. - Czytałem o tym książkę Charlesa Berlitz'a. Naprawdę ciekawa. Nigdy nie wpadło mi do głowy, że znajdę się w czymś takim, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

- Nie wiem, czy poprzednio kiedykolwiek zaginął samolot nad kontynentalną częścią Stanów Zjednoczonych, ale... - powiedział Jenkins.

- Zaginęło wiele małych jednostek - zauważył Brian - i raz, jakieś trzydzieści pięć lat temu, samolot linii pasażerskiej. Na pokładzie było ponad stu ludzi. Przewoźnikiem był TWA albo Monarch, nie pamiętam. Lot do Denver z San Francisco. Pilot nawiązał kontakt z wieżą w Reno - absolutnie rutynowy - i nigdy więcej nie dał znaku życia. Oczywiście były poszukiwania, ale... nic.

Brian spostrzegł, że przyglądają mu się z pełnym grozy zafascynowaniem, i zaśmiał się zakłopotany.

- Straszne opowiadania pilotów - powiedział z przepraszającą nutą w głosie. - To brzmi jak tekst z komiksu Gary'ego Larsona.

- Założę się, że wszyscy przelecieli - zamruczał pisarz. Potarł się po policzku. Wyglądał na rozstrojonego, prawie przerażonego.

- Jeśli nie znaleźli ciał...

- Proszę nam powiedzieć, co pan wie albo czego się pan domyśla - powiedziała Laurel. - To... to coś... zaczyna coraz bardziej na mnie oddziaływać. Jak nie usłyszę szybko jakichś wyjaśnień, to będziecie mogli mnie związać i położyć obok pana Toomy'ego.

- Nie pochlebiaj sobie - Craig przemówił głośno, choć dość mętnie.

Bob obdarzył go następnym niespokojnym spojrzeniem. Zbierał myśli.

- Tu nie ma bałaganu, ale w samolocie jest. Tu nie ma dopływu prądu, ale w samolocie jest. Oczywiście, to nie są rozstrzygające dowody - samolot ma swój własny dopływ mocy, podczas gdy tu elektryczność dochodzi z jakiejś elektrowni. Ale weźmy zapalki. Bethany była w samolocie i jej zapalki są w porządku. Zapalki, które wyjąłem z wazy, nie chcą się zapalić. Broń, którą wziął pan Toomy - jak sądzę z biura służby ochrony - ledwo wypaliła. Myślę, że jeśli spróbujecie latarek na baterie, okaże się, że one też nie działają. Lub jeśli działają to nie na długo.

- Ma pan rację - powiedział Nick. - Nie potrzebujemy szukać latarek, żeby sprawdzić pańską teorię. - Wskazał ręką do góry. Na ścianie nad grillem zamontowano światło awaryjne. Było nieczynne, jak i światła sufitowe. - Ono czerpie prąd z akumulatorów. Fotokomórka włącza je z chwilą przerwy w dopływie prądu. Jest tu dość ciemno i to urządzenie powinno pracować, ale nie pracuje. Co oznacza, że albo obwód fotokomórki się zepsuł, albo akumulatory nie działają.

- Podejrzewam, że i jedno, i drugie - powiedział Bob Jenkins. Podszedł powoli do drzwi restauracji i wyjrzał na zewnątrz. - Znajdujemy się w świecie, który robi wrażenie normalnego, ale jest to również świat, który robi wrażenie wyczerpanego. Napoje gazowane są zwietrzałe. Jedzenie nie ma smaku. Powietrze jest bez zapachu. My nadal rozsiewamy zapachy - na przykład czuję zapach perfum Laurel i wodę po goleniu kapitana - ale wszystko inne straciło woń.

Albert podniósł jedną ze szklanek z piwem i wciągnął głęboko powietrze. Czuł zapach, ale był on bardzo, bardzo słaby. Płatek kwiatu wciśnięty wiele lat temu między stronice książki może emanować podobnym, dalekim wspomnieniem zapachu.

- To samo odnosi się do dźwięków - kontynuował Bob. - Są płaskie, jednowymiarowe, całkiem bez echa.

Laurel pomyślała o bezdźwięcznym stuk-stuk swoich szpilek na betonie i braku echa, kiedy kapitan Engle złożył dłonie przy ustach i wołał w górę ruchomych schodów za panem Toomym.

- Albercie, czy mógłbyś coś zagrać na skrzypcach? - spytał Bob. Albert zerknął na Bethany. Uśmiechnęła się i skinęła głową.



- W porządku. Jasne. W istocie sam jestem ciekaw, jak będą brzmiały po... - Spojrzał na Craiga Toomy'ego. - Rozumie pan.

Otworzył futerał. Skrzywił się, manewrując przy zatrasku, który rozorał czoło Craiga Toomy'ego, i wyciągnął skrzypce. Stroił je krótko, po czym ujął smyczek w prawą rękę i położył skrzypce na ramieniu. Stał tak przez moment i rozważał, jaki rodzaj muzyki jest odpowiedni dla tego dziwnego nowego świata, w którym telefony nie dzwonią, a psy nie szczekają. Ralph Vaughan Williams? Strawiński? Mozart? Może Dworzak. Nie. Żaden nie pasował. Wtem przyszło olśnienie i zagrał „Ktoś siedzi w kuchni z Dinah”.

W połowie frazy smyczek zwolnił i stanął.

- Wydaje mi się, że musiałeś jednak popsuć skrzypce, gdy walnąłeś faceta - powiedział Don Gaffney. - Mają taki dźwięk, jakby były wypchane watą.

- Nie - powiedział wolno Albert. - Moje skrzypce są w najlepszym stanie. Czuję, jak struny wibrują pod palcami... ale jest jeszcze coś. Niech pan podejdzie, panie Gaffney. - Gaffney podszedł i stanął obok Alberta. - Teraz niech pan przysunie się jak najbliżej Nie... nie tak blisko, wybije panu oko smyczkiem. Dobra. W sam raz Posłuchaj pan jeszcze raz.

Albert zaczął grać, nucąc do wtóru w myślach, jak robił prawie zawsze, kiedy grał tę wiejską radosną, skoczną muzyczkę:

*Śpiewam dylu-dylu-dam Dylu-dylu-dam Dylu-dylu-dam Banjo stare gra mi w tan.*

- Słyszysz pan różnicę? - zapytał, skończywszy.

- Z bliska słyszać o wiele lepiej, jeśli o to ci chodzi - powiedział Gaffney z prawdziwym szacunkiem. - Dobrze grasz, chłopcze.

Albert uśmiechnął się do Gaffneya, ale mówił do Bethany Simmons.

- Czasem, kiedy wiem na pewno, że mój nauczyciel muzyki gdzieś wybył, gram starego Led Zeppelina. Tym to dopiero można dać czadu na skrzypcach. Zdziwiłby się pan. - Spojrzał na Boba. - W każdym razie jest właśnie tak, jak pan mówił. Im bliżej się stoi, tym lepiej brzmią. To powietrze jest nie w porządku, nie instrument. Nie przenosi dźwięku, jak powinno, i dlatego to, co wychodzi, brzmi tak, jak smakowało piwo.

- Bez gazu - powiedział Brian. Albert skinął głową.

- Dziękuję, Albercie - powiedział Bob.

- Nie ma sprawy. Mogę je teraz odłożyć?

- Oczywiście.

Albert umieścił skrzypce w futerale, a potem serwetką otarł palce i zabrudzony zatrask.

Bob tymczasem kontynuował:

- Smak i dźwięki nie są jedynymi fałszywymi elementami w sytuacji, w której się znaleźliśmy. Weźmy na przykład chmury.

- O co chodzi? - spytał Rudy Warwick.

- Nie poruszyły się od czasu naszego przylotu i nie sędzę, żeby miały się poruszyć. Warunki atmosferyczne, do których przywykliśmy, albo ustały na zawsze, albo rozregulowały się jak stary kieszonkowy zegarek.

Bob przerwał. Teraz wyglądał na bezradnego i przestraszonego starca.

- Jak powiedziała by pan Hopewell, nie nadużywajmy różowej farbki. Wszystko tu jest nie w porządku. Dinah, której zmysły - włączając ten dziwny, nieokreślony zmysł, który nazywamy szóstym - są bardziej rozwinięte niż nasze, może wyczuła to najsilniej, ale sędzę, że wszyscy do pewnego stopnia jesteśmy tego świadomi. Tutaj jest po prostu nie w porządku.

A teraz przechodzimy do samej istoty rzeczy. Obrócił się i stanął twarzą do nich.

- Nie dalej jak piętnaście minut temu czułem się, jakby była pora drugiego śniadania. Teraz wydaje mi się, że jest dużo później.

Trzecia, może czwarta. Mój żołądek nie domaga się teraz śniadania. On chce dużej kolacji. Mam okropne uczucie, że na dworze może zrobić się ciemno, zanim nasze zegarki wskażą za kwadrans dziesiątą rano.

- Kawa na ławę, koleżko - powiedział Nick.

- Chyba już czas na to - spokojnie odpowiedział Bob. - Nie chodzi o przestrzeń, jak zasugerował Albert, ale o czas. Przypuśćmy, że w strumieniu czasu pojawiają się dziury. Nie uskoki-w-czasie, ale rozdarcia-w-czasie. Rozdarcia w materiale czasu.

- To najbardziej zwariowane pieprzeństwo, jakie w życiu słyssałem! - zakrzyknął Don Gaffney.

- Amen! - poparł go z podłogi Craig Toomy.

- Nie - ostro odpowiedział Bob. - Pomyśl pan. Zwariowane pieprzeństwo to raczej brzmienie skrzypiec Alberta, kiedy stał pan za ledwie trzy metry od niego. Albo niech się pan rozejrzy, Donie Gaffneyu. Po prostu rozejrzy. To, co się nam przydarzyło... w czym tkwimy... to jest zwariowane pieprzeństwo.

Don zmarszczył czoło i wsadził głęboko ręce do kieszeni.

- Dalej - powiedział Brian.

- W porządku. Nie twierdę, że mam rację, stawiam tylko hipotezę odpowiadającą sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Powiedzmy, że takie rozdarcia w materiale czasu pojawiają się to tu, to tam, ale najczęściej nad obszarami niezamieszkanymi... mam oczywiście na myśli

ocean. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego właśnie nad nimi, ale to logiczne założenie, gdyż tam nastąpiła większość zaginięć.

- To możliwe. Pogoda nad wodą prawie zawsze różni się od pogody nad wielkimi masami lądu - powiedział Brian.

- Racja czy nie - pokiwał głową Bob - to dogodny sposób myślenia, ponieważ osadza nas w znanym wszystkim kontekście. Może to coś podobnego do rzadkich fenomenów atmosferycznych, o których słyszy się czasami: odwrócone tornada, okrągłe tęcze, świecące w dzień gwiazdy. Te rozdarcia czasowe mogą pojawiać się i znikać dowolnie, w sposób podobny do ruchu frontów i obszarów ciśnienia, ale bardzo rzadko pojawiają się nad lądami.

Jednak statystyk powie wam, że wcześniej czy później to, co się może zdarzyć, zdarzy się. Powiedzmy, że ostatniej nocy coś takiego zdarzyło się nad lądem... i mieliśmy nieszczęście w to wlecieć.

I wiemy coś jeszcze. Jakaś niewiadoma zasada lub właściwość tego baśniowego meteorologicznego cudactwa uniemożliwia przedostanie się przez nie wszelkiej żyjącej istocie, jeśli nie jest pogrążona w głębokim śnie.

- Eee, bajeczki - rzekł Gaffney.

- Zgadzam się całkowicie - powiedział Craig z podłogi.

- Zamknij się, dupku cukrowy - warknął Gaffney. Craig zamrugał i podniósł górną wargę w mizernym grymasie.

- To pasuje - cicho powiedziała Bethany. - Jest tak, jakbyśmy rozmijali się ze... ze wszystkim.

- Co się stało z załogą i pasażerami? - spytał Albert. W jego głosie brzmiała bezsilność. - Jeśli samolot przeleciał i my przelecieliśmy, co z resztą?

Wyobraźnia podsuwała mu odpowiedź. Był to wstrząsający obraz: setki ludzi lecą z nieba, trzepocą krawaty i spodnie, sukienki zadzierają się, odkrywając pasy do pończoch i bieliznę, buty spadają wieczne pióra (znaczy te, które nie zostały w samolocie) wypadają z kieszeni; ludzie machają rękami, nogami i próbują krzyczeć w powietrzu - ludzie, którzy zostawili portfele, torebki, drobne i rozruszniki serca. I widział, jak uderzają o ziemię niby bomby niewypały, gniotą zarośla, wzbijają małe chmurki pyłu, odciskają na dnie pustyni kształty swych ciał.

- Zakładam, że wyparowali - powiedział Bob. - Zostali kompletnie odcięci.

Dinah w pierwszej chwili nie zrozumiała. Potem pomyślała o torebce cioci Vicky z czekami podróżnymi w środku i zaczęła cicho płakać. Laurel objęła i utuliła małą ślepą

dziewczynkę. A Albert gorączkowo dziękował Bogu, że matka w ostatniej chwili zmieniła zdanie i zdecydowała się jednak nie towarzyszyć mu w podróży.

- W wielu przypadkach ich rzeczy przepadły razem z nimi - mówił dalej pisarz. - Ci, którzy zostawili portfele i torebki, może właśnie ich nie trzymali w czasie tego... Zdarzenia. Jednak trudno powiedzieć, dlaczego coś znikło, a coś pozostało - zwłaszcza ciągle nie mogę przestać myśleć o tej peruce. Wszystko jest bez składu i ładu.

- Dobrze pan mówi - zauważył Albert. - Na przykład gwoździe chirurgiczne. Wątpię, czy właściciel wyjmował je sobie z ramienia albo z kolana, żeby się nimi z nudów pobawić.

- Zgadzasz się - powiedział Rudy Warwick. - Było jeszcze za wcześnie, żeby się aż tak znudzić.

Bethany spojrzała na niego zaskoczona i wybuchnęła śmiechem.

- Pochodzę z Kansas - rzekł Bob - i takie kaprysy przypadku kojarzą mi się z trąbami powietrznymi, które czasem przechodzą w lecie. Potrafią zmieść farmę, a zostawią wygódkę, albo rozwalą stodołę, a nic zerwą dachówki z silosu obok.

- Podsumowuj, koleżko - powiedział Nick. - Jesteśmy w takim albo innym czasie, ale nie mogę pozbyć się uczucia, że nasz dzionek zmierzcha.

Brian pomyślał o Craigu Toomym, miłym panu Ja-Muszę-Do-stać-Się-Do-Bostonu, stojącym u szczytu rękawa ewakuacyjnego i wrzeszczącym: „Czasu jest mało! Czasu jest kurewsko mało!”.

- W porządku - powiedział Bob. - Podsumowanie. Założmy, że istnieją takie zjawiska, jak rozdarcia w czasie, i przelecieliśmy przez nie. Sądzę, że udaliśmy się do przeszłości i odkryliśmy niezbyt pociągającą prawdę o podróży w czasie: nie masz szans na to, żeby zjawić się w miejskim składzie książek szkolnych 22 listopada 1963 roku i zapobiec zabójstwu Kennedy'ego, nie obejrysz budowy piramid albo złupienia Rzymu, nie uda ci się zbadać naocznie wieku dinozaurów.

Podniósł ręce, wyciągnął ramiona, jakby chciał objąć cały milczący świat, w którym się znaleźli.

- Dobrze się rozejrzyjcie, bracia podróżnicy w czasie. Oto przeszłość. Jest pusta, jest milcząca. Jest to świat - być może wszechświat - tyle wart i tyle przedstawiający co pusta puszka po farbie. Sądzę, że przekroczyliśmy absurdalnie krótki odcinek czasu, może zaledwie piętnaście minut - przynajmniej na początku. Ale ten świat wyraźnie się rozregulowuje. Napływ bodźców zanika. Elektryczność już znikła. Pogoda jest taka jak wtedy, kiedy zrobiliśmy skok w przeszłość. Ale zdaje mi się, że jeśli ten świat kręci się coraz wolniej, sam czas nawija się jakby w rodzaj spirali... nakłada na siebie.

- Czy nie mogłaby to być przyszłość? - ostrożnie zapytał Albert. Bob Jenkins wzruszył ramionami. Nagle wydał się bardzo zmęczony.

- Skąd mogę wiedzieć na pewno? Skąd? Ale nie sądzę. To miejsce, w którym jesteśmy, robi wrażenie starego, głupiego, mdłego i pozbawionego sensu. Jest tu jakby... nie wiem...

Wtedy odezwała się Dinah. Wszyscy spojrzeli na nią.

- Tu jest po wszystkim - powiedziała miękko.

- Tak - przyznał Bob. - Dziękuję ci, kochanie. Tego określenia szukałem.

- Panie Jenkins?

- Tak.

- Ten hałas, o którym mówiłam. Znów go słyszę. - Urwała. - Jest bliższy.

## 8

Wszyscy zamilkli, twarze im się wydłużyły, słuchali. Brian pomyślał, że coś słyszy, potem uznał, że to stukot jego własnego serca. Lub zwyczajnie wyobraźnia.

- Muszę stanąć przy oknach - zniemacka powiedział Nick. Przesząpił przez rozciągnięte ciało Craiga, nawet nie spojrzawszy na nie, i szybkim krokiem opuścił bez słowa restaurację.

- Hej! - zawołała Bethany. - Hej, ja też chcę iść!

Albert ruszył za nią. Większość pozostałych poczłapała za nim.

- Co z wami? - spytał Brian Laurel i Dinah.

- Ja nie chcę iść - powiedziała Dinah. - Słyszę to równie dobrze stąd. - Zamilkła i dodała: - A zdaje mi się, że będę słyszała lepiej, jeśli szybko się stąd nie wydostaniemy.

Brian spojrział na Laurel Stevenson.

- Ja zostaję z Dinah - oznajmiła cicho.

- W porządku - powiedział Brian. - Nie zbliżajcie się do pana Toomy'ego.

- Nie zbliżajcie się do pana Toomy'ego - wściekle syknął z podłogi Craig. Z wysiłkiem obrócił głowę i oczy, żeby spojrzeć na Briana. - Nie ujdzie to panu na sucho, kapitanie Engle. Nie wiem, w jaką grę zabawia się pan ze swoim kumplem Angolem, ale nie ujdzie wam to na sucho. Pańska następna praca za sterami to będzie prawdopodobnie przemycanie po zmroku kokainy z Kolumbii. Przynajmniej nie będzie pan wtedy kłamał, opowiadając przyjaciołom, jaki z pana doskonały pilot.

Brian nabrał powietrza w płuca, żeby odpowiedzieć, i uznał, że nie warto. Nick powiedział, że ten człowiek ma co najmniej chwilowe zaćmienie umysłu, i na pewno miał rację. Dyskusowanie z wariatem jest bezużyteczne, no i czasochłonne.

- Nie będziemy się zbliżać, niech się pan nie martwi - powiedziała Laurel. Pociągnęła Dinah do jednego ze stoików i usiadły. - Nic nam nie będzie.

- W porządku - powiedział Brian. - Krzyczcie, gdyby próbował się uwalniać.

Laurel uśmiechnęła się słabo.

- Może pan być tego pewny. Brian pochylił się, sprawdził obrus, którym Nick związał Craigowi ręce, i ruszył przez poczekalnię do stojących rzędkiem przed szklaną ścianą.

## 9

. Zaczął to słyszeć, zanim doszedł do połowy poczekalni. Zanim znalazł się przy oknach, był pewien, że nie jest to halucynacja słuchowa.

„Ta dziewczynka ma naprawdę niesamowity słuch”, pomyślał Brian.

Hałas był bardzo słaby - przynajmniej dla niego - ale rozlegał się nieprzerwanie. Nadchodził ze wschodu. Dinah powiedziała, że brzmi jak szelest dmuchanego ryżu, na który wylewa się mleko. Brianowi bardziej przypominało zakłócenia radiowe - wyjątkowo silne zakłócenia, jakie zdarzają się podczas okresów aktywności plam na Słońcu. Ale w jednym zgadzał się z Dinah: to brzmiało niedobrze.

Czuł, jak włosy sztywnieją mu na karku. Spojrzał na innych i zobaczył identyczny wyraz strachu i konsternacji na wszystkich twarzach. Najlepiej panował nad sobą Nick. Młoda dziewczyna, która o mało nie wypadła z rękawa ewakuacyjnego - Bethany - wyglądała na najbardziej przestraszoną, ale wszyscy dosłyszeli to samo w tym hałasie.

Coś niedobrego.

Coś niedobrego się zbliżało. Pospiesznie. Nick obrócił się do niego.

- Co o tym myślisz, Brian? Przychodzi ci coś do głowy?

- Nie - powiedział Brian. - Nawet mi nie świta. Wiem tylko, że to jedyny odgłos, jaki słyszeć w całym mieście.

- Jeszcze nie dotarło do miasta - powiedział Don - ale sądzę, że dotrze. Chciałbym tylko wiedzieć kiedy.

Znów zamilkli, wsłuchiwali się w równomierne syczenie - trzeszczenie dobiegające ze wschodu. I Brian pomyślał: „Coś mi ten hałas przypomina. Nie dmuchany ryż w mleku, nie zakłócenia radiowe, ale... jakby... co? Gdyby tylko nie był tak słaby...”.

Ale nie chciał wiedzieć. Nagle uświadomił to sobie i to bardzo mocno. W ogóle nie chciał tego wiedzieć. Ten hałas budził w nim przenikające do szpiku kości obrzydzenie.

- Musimy się stąd wydostać! - powiedziała Bethany głosem podniesionym i drżącym. Albert objął ją w talii i oburącz złapała jego rękę w panicznym uścisku. - Musimy natychmiast się stąd wydostać!

- Tak - powiedział Bob Jenkins. - Ona ma rację. Ten hałas - nie wiem, co to jest, ale jest okropny. Musimy się stąd wydostać.

Wszyscy spoglądali na Briana i pomyślał: „Wygląda na to, że znów jestem kapitanem. Ale nie na długo”. Bo oni nie rozumieli. Nawet Jenkins, choć skądinąd tak przenikliwy, nie rozumiał, że nigdzie nie polecą.

Nieważne, co tworzy ten hałas, gdyż oni i tak nadal będą tu tkwić, kiedy to się tu zjawi. Nie mieli drogi ucieczki. Wiedział dlaczego, choć może tylko on jedyny. Brian Engle nagle pojął, jak musi się czuć zwierzę złapane w potrzask, kiedy słyszy miarowy, ciężki tupot butów myśliwego.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

**Skrępowany. Zapałki Bethany. Zmiana na ruch dwukierunkowy. Eksperyment Alberta. Nadejście nocy. Ciemność i ostrze.**

### **1**

Brian odwrócił się do pisarza.

- Powiedział pan, że musimy się stąd wydostać, zgadza się?

- Tak. Sądzę, że musimy zrobić to tak szybko, jak się tylko da...

- I dokąd mamy polecieć pana zdaniem? Atlantic City? Miami Beach? Club Med?

- Sugeruje pan, kapitanie Engle, że nie ma miejsca, do którego moglibyśmy się udać.

Sądzę - mam nadzieję - że się pan myli. Mam pewien pomysł.

- Mianowicie jaki?

- Chwileczkę. Najpierw proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Może pan zatankować samolot? Potrafi pan to zrobić, nawet jeśli nie ma dopływu prądu?

- Sądzę, że tak. Powiedzmy, z pomocą kilku sprawnych ludzi mogę. Co wtedy?

- Wtedy będziemy mogli wystartować - powiedział Bob. Małe krople potu wystąpiły mu na porytej głębokimi zmarszczkami twarzy. Wyglądały jak kropelki czystego oleju. - Ten hałas - ten chrzęst - dobiega ze wschodu. Rozdarcie czasowe było kilka tysięcy mil na zachód. Jeżeli cofniemy się naszym pierwotnym kursem... może pan to zrobić?

- Tak - powiedział Brian. Zostawił czynne pomocnicze zespoły silnikowe, a to znaczyło, że program INS w komputerze nadal był nietknięty. Ten program był dokładnym wykresem kursu właśnie zakończonej podróży, od momentu, w którym rejs 29 oderwał się od ziemi w południowej Kalifornii, do momentu, w którym dotknął ziemi w środkowym Maine. Jedno naciśnięcie klawisza poinstruuje komputer o odwróceniu kursu: dotknięcie następnego klawisza, kiedy już znajdują się w powietrzu, nakaże autopilotowi przejęcie sterów. Inercyjny

system nawigacyjny Teledyne odtworzy podróż do najmniejszych odchyień kursu. - Potrafię to zrobić, ale w czym rzecz?

- W tym, że rozdarcie może być nadal w tym samym miejscu. Rozumie pan? Możemy przelecieć przez nie w drugą stronę.

Nick spojrział na Boba zaskoczony. Nagle zebrał myśli.

- On może mieć rację, koleżko - zwrócił się do Briana. - Z całą pewnością.

Myśl Alberta Kaussnera podążyła niezupełnie związaną z tematem, niemniej jednak fascynującą ścieżką: jeśli rozdarcie jest, gdzie było, i rejs 29 korzystał z uczęszczanego korytarza powietrznego, rodzaju niebiańskiej alei wschód - zachód, to może inne samoloty przeleciały tam między 1.07 w nocy a teraz, czymkolwiek jest to teraz. Być może inne samoloty lądują lub lądowały na innych opustoszałych amerykańskich lotniskach, inne załogi i pasażerowie błąkają się, oszołomieni...

„Nie, pomyślał. Nam trafił się pilot na pokładzie. Jakie jest prawdopodobieństwo, że coś takiego zdarzy się dwukrotnie?”.

Przypomniał sobie to, co pan Jenkins powiedział o szesnastokrotnym dojściu do bazy Teda Williamsa, i zadrżał.

- Może, ale nie musi - powiedział Brian. - To naprawdę nie ma znaczenia, ponieważ my nigdzie nie polecimy.

- Dlaczego nie? - spytał Rudy. - Jak pan wlejesz paliwo, to nie rozumiem...

- Pamiętacie zapałki? Te z restauracji? Te, które się nie paliły? Rudy miał nadal tępe spojrzenie, ale na twarzy Boba Jenkinsa pojawiło się wielkie rozczarowanie. Przyłożył dłoń do czoła i cofnął się o krok. Mieli wrażenie, że kurczy się w oczach. Autentycznie.

- Co? - spytał Don. Spoglądał na Briana spod ściągniętych brwi. Był równocześnie zmieszany i pełen podejrzliwości. - Co to ma za związek...Ale Nick rozumiał.

- Nie kojarzysz? - spytał cicho. - Nie kojarzysz, koleżko? Jeśli akumulatory nie działają, jeśli zapałki nie płoną...

- ...to paliwo lotnicze nie będzie się spalać - dokończył Brian. - Będzie tak zużyte i stare jak wszystko inne w tym świecie. - Spojrział na wszystkich po kolei. - Równie dobrze mógłbym nalać do zbiorników melasy.

## 2

- Czy któraś z was, urocze panie, słyszała kiedykolwiek o langolierach? - spytał nagle Craig tonem lekkim, prawie żartobliwym.



Laurel podskoczyła i spojrzała nerwowo w stronę nadal stojących przy oknach i rozmawiających współpasażerów. Dinah tylko obróciła się w kierunku głosu Craiga, bynajmniej niezaskoczona.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Co to za jedni?

- Nie rozmawiaj z nim, Dinah - szepnęła Laurel.

- Słyszałem je - powiedział Craig, dalej tym samym miłym tonem. - Wie pani, Dinah nie jest tu jedyną osobą z dobrym słuchem.

Laurel poczuła, jak gorąco rozlewa się jej po twarzy.

- W każdym razie i tak nie skrzywdziłbym dziecka - podjął Craig. - I tamtej dziewczyny też bym nie skrzywdził. Jestem tylko przestraszony. Pani wie?

- Tak - ucięła Laurel - ale ja nie porywam zakładniczki, a potem nie próbuję zastrzelić kilkunastoletniego chłopca, kiedy jestem przestraszona.

- Pani nie została zaatakowana przez coś, co wyglądało jak pierwszy atak Los Angeles Ram idący całą formacją po piłkę - powiedział Craig. - A ten gość z Anglii... - Roześmiał się. Jego śmiech w tym cichym miejscu był niepokojąco radosny, niepokojąco normalny. - Cóż, jeśli wydaje się wam, że ja jestem wariatem, to nie przyjrzałyście się jemu. Ten człowiek ma piłę elektryczną zamiast mózgu.

Laurel nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Oczywiście, że prawda nie wyglądała tak, jak przedstawił ją Craig Toomy, ale kiedy mówił, wydawało się, że powinna tak wyglądać... A to, co powiedział o Angliku, było aż nazbyt bliskie prawdy. Oczy tego mężczyzny... i kopnięcie, jakie wymierzył panu Toomy'emu w żebra po tym, jak go związał... Laurel zadrżała.

- Co to są langolierzy, panie Toomy? - spytała Dinah.

- No cóż, przywykłem uważać je wyłącznie za wymysł - powiedział Craig tym samym pogodnym tonem. - Teraz zaczynam się zastanawiać... bo ja też to słyszę, młoda damo. A tak, słyszę.

- Ten hałas? - spytała łagodnie Dinah. - Ten hałas robią langolierzy?

Laurel położyła dłoń na ramieniu Dinah.

- Naprawdę wolalabym, żebyś z nim więcej nie rozmawiała, kochanie. To mnie niepokoi.

- Dlaczego? Jest związany, prawda?

- Tak, ale...

- I zawsze możesz zawołać innych, prawda?

- No, tak myślę...

- Chcę się czegoś dowiedzieć o tych langolierach.

Z pewnym wysiłkiem Craig odwrócił głowę, żeby im się przyjrzeć... i teraz Laurel odczuła część siły osobowości i uroku, który pozwalał Craigowi utrzymać się pewnie na korporacyjnym torze wyścigowym, kiedy realizował scenariusz rodziców: działanie w warunkach wysokiego ciśnienia. Poczuła to, choć Craig leżał na podłodze z rękami związanymi na plecach, a krew schła mu na czole i lewym policzku.

- Mój ojciec powiadał, że langolierzy to stwory żyjące w szafach, rurach i innych ciemnych zakątkach.

- Jak elfy? - spytała Dinah. Craig zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Nic tak miłego, obawiam się. Mówił, że wszystko, co mają, to zęby, włosy i szybkie krótkie nogi - których, jak powiedział, używają, żeby dopaść niegrzecznych chłopców i dziewczyny, choćby nie wiem jak hasali.

- Dość - zimno powiedziała Laurel. - Straszy pan dziecko.

- Nie, ja się nie boję - rzekła Dinah. - Umiem odróżnić wymysł od prawdy. To jest ciekawe i tyle. - Jednak wyraz jej twarzy mówił, że jest w tym coś więcej. Była skupiona i zafascynowana.

- Jest ciekawe, prawda? - powiedział Craig, wyraźnie zadowolony z jej uwagi. - Zdaje mi się, Laurel chodzi o to, że straszę ją. Czy nie wygrałem cygara, Laurel? Jeśli tak, to proszę o El Producto. Taniocha w rodzaju White Owls to nie dla mnie. - Zaśmiał się powtórnie.

Laurel nie odpowiedziała i po chwili Craig podjął znowu:

- Mój tata mówił, że są tysiące langolierów. Mówił, że inaczej być nie może, bo są miliony niegrzecznych chłopaków i dziewczuch, pasających po świecie. Zawsze tak to nazywał. Mój ojciec w życiu nie widział, żeby jakieś dziecko biegało. Zawsze hasało. Myślę, że lubił to słowo, bo zakłada bezmyślność, bezcelowość, bezproduktywny ruch. Ale langolierzy... one biegają. One mają cel. W istocie można by rzec, że langolierzy to upostaciowiony cel i przyczyna.

- Czemu dzieci są tak niegrzeczne? - spytała Dinah. - Co robią takiego, że langolierzy muszą za nimi biegać?

- Wiesz, cieszę się, że zadałeś to pytanie - powiedział Craig. - Bo kiedy ojciec mówił o kimś „niegrzeczny”, Dinah, chodziło mu o to, że ten ktoś był leniwy. A leniwa osoba nie może być częścią WIELKIEJ PERSPEKTYWY. Mowy nie ma. W moim domu albo byłeś częścią WIELKIEJ PERSPEKTYWY, albo OBIJAŁAŚ SIĘ W ROBOCIE. Poderżnięcie gardła to pryszcz w porównaniu z OBIJANIEM SIĘ W ROBOCIE. Mówił, że jak nie jesteś częścią WIELKIEJ PERSPEKTYWY, langolierzy wytną cię z tej perspektywy raz na zawsze.

Mówił, że będziesz leżała w nocy w łóżku, aż usłyszysz, jak się zbliżają... chrupiąc i mlaskając po drodze... i nawet gdybyś próbowała uciec, hasając w podskokach... dopadną cię. Bo mają szybkie krótkie...

- Wystarczy - przerwała Laurel. Głos miała płaski i słaby.

- I tam słyhać ten hałas - powiedział Craig. Spoglądał na nią wesoło, prawie szelmowsko. - Nie zaprzeczysz. Naprawdę słyhać ten...

- Przestań albo sama uderzę się czymś ciężkim.

- W porządku - powiedział Craig. Przewrócił się z powrotem na plecy, skrzywił i potoczył na drugi bok, dalej od nich. - Jak się leży związany jak baran, to można mieć dość bicia.

Tym razem Laurel poczuła na twarzy nie gorąco, ale żar. Zagryzła wargę i nie odezwała się. Zebrało jej się na płacz. Jak sobie poradzić z czymś takim? Jak? Najpierw facet robi wrażenie zwariowanego jak głodna pluskwa, a potem gada tak trzeźwo, że bardziej nie można. A tymczasem cały świat - WIELKĄ PERSPEKTYWĘ pana To-omy'ego - szlag trafił.

- Założę się, że bał się pan taty, prawda, panie Toomy? Craig, zaskoczony, spojrział przez ramię na Dinah. Uśmiechnął się, ale ten uśmiech był inny. Był to żalony, bolesny uśmiech nie obliczony na szeroką widownię.

- Tym razem ty wygrałaś cygaro, panienko - powiedział. - Bałem się go śmiertelnie.

- On nie żyje?

- Tak.

- Czy on OBIJAŁ SIĘ W ROBOCIE? Czy langolierzy go dopadły?

Craig zamyślił się na długo. Powiedziano mu, że ojciec dostał w pracy ataku serca. Sekretarka wywołała go na odprawę pracowników, a kiedy nie zareagował, weszła i znalazła go nieżywego na dywanie, z wybałuszonymi oczami, pianą na ustach.

„Czy ktoś ci to opowiedział? - zastanowił się nagle głęboko. O tych wybałuszonych oczach i pianie na ustach? Czy ktoś faktycznie ci to opowiedział - może matka po pijanemu - czy to tylko pobożne życzenia?”.

- Panie Toomy? Czy one go dopadły?

- Tak - powiedział z namysłem. - Myślę, że się obijał i że go dopadły.

- Panie Toomy?

- Co?

- Ja nie jestem taka, jaką pan mnie widzi. Nikt z nas nie jest taki. Spojrział na nią, zaskoczony.

- Skąd możesz wiedzieć, jak ja cię widzę, ślepa panienczko?

- Nie uwierzyłby pan - powiedziała Dinah.

Laurel obróciła się do niej, ogarnięta wyjątkowym niepokojem... ale oczywiście nic nie zobaczyła. Ciemne szkła Dinah stawiały tamę ciekawości.

### 3

Pozostali pasażerowie stali po drugiej stronie poczekalni, wsłuchani w stłumiony hałas - jakby klekot - i nie odzywali się słowem. Wydało się, że nie ma już o czym mówić.

- Co teraz zrobimy? - spytał Don. Jakby zmałał wewnątrz swojej czerwonej koszuli drwała. Albert pomyślał, że i koszula przestała wibrować radosną supermęskością.

- Nie wiem - powiedział Brian. Poczuł, jak straszliwa bezsilność przewala mu się w brzuchu. Spojrzał na samolot, który przez jakiś czas był jego samolotem, i uderzyła go wyrazistość jego sylwetki i nieskazitelność urody. Stojący obok 727 Deltę wyglądał w porównaniu z nim jak zaniedbana kwoka. „Podoba ci się, bo już nigdy nie poleci, to wszystko. Jest jak piękna kobieta, która mignie ci na tylnym siedzeniu limuzyny - jest piękniejsza niż w rzeczywistości, bo wiesz, że nie jest twoja i nigdy nie będzie”.

- Ile paliwa zostało, Brian? - nagle spytał Nick. - Może czynnik spalania jest tu niższy. Może jest więcej, niż myślisz.

- Wszystkie wskaźniki pracują, że mucha nie siada - powiedział Brian. - Kiedy lądowaliśmy, było poniżej trzystu kilogramów. Żeby wrócić do miejsca, w którym się to stało, potrzebujemy przynajmniej dwóch i pół tony.

Bethany wyjęła papierosy i poczęstowała Boba. Potrząsnął przecząco głową. Wsadziła papierosa do ust, oderwała zapałkę, potarła. Nic.

- O! ho, ho - powiedziała.

Albert zerknął na nią. Potarła znów zapałkę... i jeszcze raz... i jeszcze. Nic. Spojrzała na niego, przestraszona.

- Zaczekaj - powiedział Albert. - Daj.

Wyjął jej z rąk zapałki i oderwał następną. Potarł. Nic.

- Cokolwiek by to było, wygląda na zaraźliwe - zauważył Rudy Warwick.

Bethany wybuchnęła łkaniem, a Bob zaofiarował się z chusteczką do nosa.

- Zaczekajcie - powiedział Albert i znów potarł zapałkę. Tym razem się zapaliła... ale płomień był słaby, niemrawy i migotał bez entuzjazmu. Podsunął go do dygocącego końca papierosa Bethany, i nagle ujrzał oczyma wyobraźni jasny obrazek: znak drogowy, który mijał codziennie przez trzy lata, jadąc do liceum w Pasadenie. UWAGA. Było tam napisane: ZMIANA NA RUCH DWUKIERUNKOWY.

„Co to ma znaczyć, do diabła?”.

Nie wiedział... przynajmniej jeszcze nie teraz. Na pewno wiedział tylko, że jakiś pomysł chce wyjechać z garażu w jego mózgu, ale na razie zacięła się skrzynia biegów.

Albert potrząsnął zapalką żeby ją zgasić. Nie musiał mocno potrząsać.

Bethany zaciągnęła się i skrzywiła.

- Tfu! Smakuje jak carlton albo coś takiego.

- Dmuchnij mi w twarz - powiedział Albert.

- Co?

- To, co słyszałaś. Dmuchnij mi w twarz. Zrobiła, o co prosił, i Albert wciągnął zapach dymu. Poprzednia słodka woń stała się słabsza.

„Cokolwiek to było, wygląda na zaraźliwe.

UWAGA: ZMIANA NA RUCH DWUKIERUNKOWY”.

- Wracam do restauracji - powiedział Nick. Wyglądał na załamane. - Ten tam Kasjusz przebiegły jest i zwodniczy. Nie chcę, żeby zostawał zbyt długo sam z paniami.

Brian ruszył za nim i reszta poszła w jego ślady. Albert pomyślał, że jest coś zabawnego w tych przepływach - zachowywali się jak krowy czujące burzę w powietrzu.

- Chodź - powiedziała Bethany. - Idziemy.

Wrzuciła na wpół wypalonego papierosa do popielniczki i chusteczką Boba otarła oczy. Wzięła za rękę Alberta.

Znajdowali się w połowie poczekalni i Albert spoglądał na plecy czerwonej koszuli pana Gaffneya, kiedy to uderzyło go znów, mocniej tym razem: ZMIANA NA RUCH DWUKIERUNKOWY.

- Czekajcie! - ryknął. Nagle objął Bethany w pasie, przyciągnął ją do siebie, wcisnął nos w jej szyję, w zagłębienie nad obojczykiem i wciągnął głęboko powietrze.

- O, coś ty! Ledwo się poznaliśmy! - zawołała Bethany. Potem zaczęła chichotać bezsilnie i objęła Alberta za szyję. Albert, chłopak, którego wrodzona nieśmiałość zniknęła dopiero w snach, nie zwracał na to uwagi. Woń jej włosów, potu i perfum była wyczuwalna, ale słabo, bardzo słabo.

Wszyscy obejrzeni się, ale Albert puścił już Bethany i pobiegł pędem do okien.

- Rany! - powiedziała Bethany. Dalej lekko chichotała i dostała mocnych rumieńców.  
- Dziwny facio!

Albert spoglądał na rejs 29 i widział to, co Brian dostrzegł kilka minut wcześniej: wyraźnie zarysowane opływowe linie i lśnienie niemal nieprawdopodobnej bieli. Samolot wprost wibrował w tęym bezruchu panującym na dworze.

Nagle przeżył olśnienie. W głowie zajaśniało mu jak od wybuchu fajerwerku. Główna idea była jasną płonąca kulą jej implikacje sypały się jak żarzące gwiazdy i przez moment dosłownie dech mu zaparło.

- Albert? - spytał Bob. - Albert, co się dzie...

- Kapitanie Engle! - wrzasnął Albert. W restauracji Laurel wyprostowała się jak struna, a Dinah zacisnęła jej na ramionach rączki jak szpony. Craig Toomy wyciągnął szyję, żeby widzieć. - Kapitanie Engle, chodź pan tu!

#### 4

Na dworze hałas był silniejszy.

Brian rozpoznawał to jako zakłócenia radiowe. Nick Hopewell myślał, że brzmi jak potrząsane wiatrem tropikalne trawy. Albertowi, który pracował poprzedniego lata u McDonalda, przypominał się syk frytek smażących się w głębokim tłuszczu, a dla Boba Jenkinsa był to dźwięk papieru miętego w odległym pokoju.

Cała czwórka przeczołgała się pod zwisającymi gumowymi paskami i stali teraz przy rampie bagażowej. Słuchali tego, co Craig Toomy nazywał langolierami.

- O ile jest bliższe? - zapytał Brian Nicka.

- Nie potrafię powiedzieć. Brzmi wyraźniej, ale przedtem byliśmy w budynku.

- Przestańcie - zniecierpliwiał się Albert. - Jak wejdziemy na pokład? Wespniemy się rękawem?

- To niekonieczne - powiedział Brian i wskazał ruchomy trap stojący po drugiej stronie stanowiska 2. Ruszyli w tamtym kierunku, buty kłapały bezdźwięcznie po betonie.

- Wiesz, jaka to minimalna szansa, prawda, Albercie? - spytał Brian.

- Tak, ale...

- Minimalne szanse są lepsze od zerowych - skończył za niego Nick.

- Nie chcę tylko, żebyś się zanadto rozczarował, jeśli to nie wypali. Chłopak myśli całkiem logicznie. To powinno się sprawdzić... Albercie, czy jesteś świadom, że mogą włączyć się tu czynniki, których jeszcze nie odkryliśmy?

- Tak.

Doszli do ruchomego trapu i Brian kopnięciami odblokował hamulce. Nick złapał za uchwyt wystający z lewej poręczy, a Brian za prawy.

- Mam nadzieję, że się potoczy - powiedział Brian.

- Powinien - rzekł Bob Jenkins. - Niektóre, może nawet większość zwykłych elementów fizycznych i chemicznych życia chyba funkcjonuje: nasze ciała przyswajają tlen, drzwi otwierają się i zamykają...

- Niech pan nie zapomina o grawitacji - wtrącił Albert. - Ziemia nadal przyciąga.

- Przestańmy gadać i po prostu przekonajmy się - powiedział Nick.

Trap potoczył się lekko. Dwaj mężczyźni przepchnęli go przez płytę lotniska do 767. Albert i Bob szli z tyłu. Jedno z kółek skrzypiało rytmicznie, a poza tym słychać było tylko chrzęsto-klekot skądś spoza wschodniego krańca horyzontu.

- Popatrzcie na niego - powiedział Albert, kiedy zbliżali się do 767. - No, popatrzcie. Widzicie? Widzicie, o ile bardziej jest niż reszta?

Nie było potrzeby odpowiadać i nikt nie odpowiedział. Wszyscy to wiedzieli. I z oporem, prawie wbrew sobie, Brian pomyślał, że chłopak może ma rację.

Ustawili trap między rękawem ewakuacyjnym a kadłubem samolotu, najwyższy stopień trapu znalazł się o krok od otwartych drzwi.

- Pójdę pierwszy - oznajmił Brian. - Nick, gdy wciągnę rękaw, ty i Albert podsuniecie trap na lepszą pozycję.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedział Nick i zasalutował elegancko i sprężysto, dwoma palcami przepisowo dotykając czoła.

- Młodszy attache - burknął Brian i wbiegł ręczo po schodach. Kilka minut później wciągnął rękaw ewakuacyjny do środka. Potem wychylił się i obserwował, jak Nick i Albert ostrożnie manewrują trapem, dopóki górny stopień nie znalazł się tuż poniżej przedniego wejścia do 767.

## 5

Rudy Warwick i Don Gaffney niańczyli teraz Craiga. Bethany, Dinah i Laurel stały w rzędku przy oknach poczekalni, patrzyły na zewnątrz.

- Co oni robią? - spytała Dinah.

- Wciągnęli rękaw i przysunęli do drzwi schody - powiedziała Laurel. - Teraz wchodzą. - Spojrzała na Bethany. - Na pewno nie wiesz, o co im chodzi?

Bethany potrząsnęła głową.

- Wiem tyle, że As - znaczy się Albert - prawie oszalał. Miło byłoby pomyśleć, że chodziło o dziką fascynację erotyczną, ale wątpię. - Urwała, uśmiechnęła się i dodała: - Przynajmniej na razie. Powiedział coś, że samolot bardziej j e s t. A że moje perfumy są mniej, co prawdopodobnie nie ucieszyłoby Coco Chanel, czy jak jej tam. I ruch dwustronny. Nie skojarzyłam. Naprawdę bełkotał.

- Zdaje się, że wiem - powiedziała Dinah.

- Co tam myślisz, skarbeczku?

Dinah tylko potrząsnęła głową.

- Mam tylko nadzieję, że się pospieszą. Bo biedny pan Toomy ma rację. Langolierzy nadchodzą.

- Dinah, to tylko wymysł jego ojca.

- Może kiedyś to był tylko wymysł - powiedziała Dinah, obracając niewidzące oczy do okien - ale teraz już nie.

## 6

- W porządku, Asie - powiedział Nick. - Zaczynaj numer. Albertowi waliło serce i ręce się trzęsły, kiedy ustawiał cztery eksponaty mające posłużyć do eksperymentu na stoliku w pierwszej klasie, gdzie tysiąc lat temu kobieta o imieniu i nazwisku Melanie Trevor postawiła karton soku pomarańczowego i dwie butelki szampana.

Brian obserwował go uważnie. Albert położył na stoliku zapalki, butelkę budweisera, puszkę pepsi i kanapkę z masłem orzechowym i marmoladą-wszystko z restauracyjnej lady. Kanapka była owinięta w folię.

- W porządku - odezwał się Albert i nabrał głęboko tchu. - Zobaczmy, co się da z tym zrobić.

## 7

Don wyszedł z restauracji i podszedł do okien.

- Co się dzieje?

- Nie wiemy - prychnęła Bethany. Udało się jej wydusić płomień z następnej zapalki i znów paliła. Kiedy wyjęła papierosa z ust, Laurel zobaczyła, że Bethany wcześniej oderwała filtr. - Weszli do samolotu. Siedzą w samolocie. Koniec opowiadania.

Don wyjrzał na dwór.

- Na dworze zmieniło się. Nie wiem, jak to nazwać, ale zmieniło się.

- Światło przygasa - powiedziała Dinah. - W tym różnica.

- Mówiła spokojnie, ale na jej twarzyczce odcisnęły się samotność i lęk. - Czuję, że przygasa.

- Ma rację - przytaknęła Laurel. - Światło dzienne było tylko przez dwie, trzy godziny, ale znów robi się ciemno.

- Ciągłe mi się zdaje, że to sen, wie pani - powiedział Don. - Ciągłe myślę, że to najgorszy koszmar, jaki śniłem w życiu, ale że zaraz się obudzę.

Laurel kiwnęła głową.

- Co z panem Toomym? Don roześmiał się niewesoło.

- Nie uwierzycie.

- W co nie uwierzymy? - spytała Bethany.



- Zasnął.

## 8

Craig Toomy oczywiście nie spał. Ludzie zasypiający w krytycznych momentach, jak ten gość, który miał trzymać oczy szeroko otwarte podczas modlitwy Jezusa w ogrodzie Getsemani, z pewnością nie mieścili się w WIELKIEJ PERSPEKTYWIE.

Spod na wpół przymkniętych powiek obserwował uważnie dwójkę mężczyzn i marzył, żeby odeszli. Chociaż jeden. W końcu ten w czerwonej koszuli odszedł. Warwick, łysek z wielką sztuczną szczeną zbliżył się i pochylił nad Craigem. Craig zamknął oczy.

- Hej - powiedział Warwick. - Hej, śpisz?

Craig leżał bez ruchu, z zaciśniętymi powiekami, oddychał regularnie. Rozwahał, czy nie zachrapać, ale uznał to za przesadę. Warwick szturchnął go w bok.

Craig dalej trzymał powieki zaciśnięte i oddychał regularnie.

Łysek wyprostował się. Przekroczywszy Craiga, udał się do drzwi restauracyjnych, żeby obserwować grupę, która wyszła. Craig przez szparkę w powiekach upewnił się, że Warwick stoi plecami do niego. Potem bardzo cicho i ostrożnie zaczął manewrować przegubami wewnątrz ciasnych ósemek ze zwiniętego płótna. W górę i w dół. Poczuł, że węzły trochę się rozluźniają.

Wprawiał przeguby w ruch krótkimi szarpnięciami, obserwował plecy Warwicka, gotów zastygnąć i zamknąć oczy w sekundzie, w której Warwick choćby drgnie. Żeby się tylko nie odwrócił. Trzeba się oswobodzić, zanim dupki wrócą z samolotu. Zwłaszcza anglo-dupek, ten, który zranił mu nos i kopnął go, leżącego na ziemi. Anglodupek związał go bardzo mocno: dzięki Bogu był to tylko obrus, nie kawał nylonowej liny. Wtedy nie miałby szans, ale tak...

Jeden węzeł puścił i Craig zaczął teraz kręcić przegubami w lewo, w prawo. Słyszał zbliżające się langoliery. Wydostanie się stąd i wyruszy w drogę do Bostonu, zanim tamci tu dotrą. W Bostonie będzie bezpieczny. Kiedy jesteś w sali konferencyjnej pełnej bankierów, mowy nie ma o hasaniu.

Więc niech Bóg ma w swej opiece każdego - każdego - kto spróbuje Craigowi stanąć na drodze.

## 9

Albert podniósł zapalki wyciągnięte z wazy w restauracji.

- Eksponat A - powiedział. - Proszę.

Oderwał zapalną i potarł nią. Drżące ręce zawiodły go i potarł o szorstki pasek draski biegnącej wzdłuż krawędzi złożonego kawałka tekturki, ale ciut za wysoko. Zapalnik wygięła się.

- Gówno! - krzyknął Albert.

- Pozwolisz, że ja... - zaczął Bob.

- Niech robi to sam - powiedział Brian. - To jego numer.

- Spokojnie, Albercie - rzekł Nick.

Albert oderwał następną zapalną, obdarzył ich niewyraźnym żalnym uśmiechem i potarł zapalnik o draskę. Nie zapaliła się. Potarł po raz drugi. Nie zapaliła się.

- Zdaje się, że to wyjaśnia sprawę - skwitował Brian. - To nie...

- Czuję zapach - powiedział Nick. - Czuję zapach siarki! Spróbuj następną Albercie!

Ale Albert pociągnął tę samą zapalną po chropawym pasku po raz trzeci... i tym razem się zapaliła. Żarzyła się nie tylko główka, co groziłoby natychmiastowym zgaśnięciem. Płomyk utrzymał się w znajomym kształcie łezki, niebieski u podstawy, żółty na czubku i zaczął spalać papierowy patyczek.

Albert podniósł wzrok, usta rozdziawił w szerokim uśmiechu.

- Rozumiecie? - dopytywał się. - Rozumiecie? Machnął zapalną, zgasił, rzucił ją i oderwał jeszcze jedną. Ta zapaliła się za pierwszym potarciem. Zgiął w tył okładkę książeczki i podsunął płomyk do pozostałych zapalek, tak jak zrobił to Robert Jenkins w restauracji. Tym razem wszystkie zapaliły się z suchym FSSS! Albert zdmuchnął je jak świece na urodzinowym torcie. Musiał dmuchnąć dwa razy, aby dokonać dzieła.

- Rozumiecie? - spytał. - Rozumiecie, co to znaczy? Ruch dwukierunkowy! Przywieźliśmy ze sobą własny czas! Na zewnątrz jest przeszłość... zdaje mi się, że wszędzie na wschód od tej dziury, którą przelecieliśmy... ale tu jest teraźniejszość! Nadal jest w samolocie!

- Nie wiem - powiedział Brian, ale nagle wszystko znów wydało się możliwe. Miał dziką, nieprzepartą chęć uściskać Alberta i wyklepać go po plecach.

- Brawo, Albercie! - zawołał Bob. - Piwo! Spróbuj z piwem! Albert odkręcił zakrętkę, podczas gdy Nick wyławiał całą szklankę ze stłuczek wokół wózka.

- A gdzie dymek? - spytał Brian.

- Dymek? - spytał Bob zaskoczony.

- No, może to nie jest dokładnie dymek, ale kiedy się otwiera butelkę piwa, to coś takiego ulatuje z szyjki.

Albert powąchał i podsunął butelkę Brianowi.

- Wąchaj.

Brian powąchał i nie mógł zapanować nad uśmiechem.

- Na Boga, to faktycznie pachnie jak piwo. Z dymkiem czy bez dymka.

Nick podniósł szklankę i Albert z zadowoleniem dostrzegł, że ręce Anglika też nie są całkiem spokojne.

- Nalewaj - powiedział. - Pospiesz się, koleżko - mój konował powtarza, że napięcie nie służy starej pompie.

Albert nalał piwa i miny im zrzedły.

Piwo było zwietrzałe. Kompletnie zwietrzałe. Spoczywało płąściutko w szklance. Jak mocz do analizy.

## 10

- Na Chrystusa Pana, robi się ciemno!

Ludzie przy oknie obejrzeni się. To Rudy Warwick stanął obok.

- Miałeś pilnować wariata - powiedział Don. Rudy machnął niecierpliwie ręką.

- Śpi jak zarżnięty. Zdaje mi się, że od tego walnięcia jeszcze bardziej we łbie mu się poprzestawiało. Co się tam dzieje? I dlaczego tak wcześnie jest ciemno?

- Nie wiemy - powiedziała Bethany. - Po prostu jest. Czy pan myśli, że tamten dziwoląg zapadł w śpiączkę albo coś takiego?

- Nie wiem - powiedział Rudy. - Ale jeśli tak, to nie musimy się nim więcej przejmować, nie? Chryste, od tego hałasu dostaję gęziej skórki! To jakby banda termitów na haju szamała szybowiec z drzewa balsa. - Po raz pierwszy Rudy chyba zapomniał o swym żołądku.

Dinah obróciła się do Laurel.

- Lepiej sprawdzmy, co z panem Toonym - powiedziała. - Martwię się o niego. Założę się, że jest przestraszony.

- Dinah, jeśli jest nieprzytomny, nie możemy nic dla niego...

- Nie wydaje mi się, żeby był nieprzytomny - spokojnie odpowiedziała Dinah. - Nie wydaje mi się nawet, żeby zasnął.

Laurel spojrzała na małą z namysłem, a potem wzięła ją za rękę.

- W porządku - rzekła. - Zobaczymy.

## 11

Węzeł, który Nick Hopewell zawiązał na prawym przegubie, w końcu rozluźnił się na tyle, że Craig wyrwał rękę. Zepchnął węzeł z drugiej. Szybko się podniósł. Ból przeszył mu głowę i Craig na moment się zachwiał. Czarne plamki chmurą przesunęły się przed jego

oczyma. Odpłynęły. Craig zauważył, że mrok pochłonął terminal. Zapadała przedwczesna noc. Słyszał teraz o wiele wyraźniej zgrzytanie zębów, chrupanie. Hałas langolierów. Może dlatego, iż baczniej się w niego wsłuchiwał, może dlatego, że langolierzy byli bliżej.

Po drugiej stronie terminalu dwie sylwetki, wysoka i niska, oderwały się od reszty i szły w kierunku restauracji. Kobieta z suchym głosem i mała ślepa dziewczynka z brzydką, nadąsaną gębą. Nie można pozwolić, żeby podniosły alarm. To mogłoby mu bardzo zaszkodzić.

Craig wycofywał się z zakrwawionego kawałka wykładziny, na którym leżał, nie odrywając wzroku od nadchodzących postaci. Nie mógł pojąć, dlaczego światło słabnie w takim tempie.

Na kontuarze po lewej stronie kasy sterczały z kubków sztucce, ale to wszystko było plastikowe dziadostwo, do niczego. Craig w kucki obszedł kasę i zobaczył coś lepszego: nóż rzeźniczy na ladzie obok grilla. Wziął go. Ukrył się za kasą. Przykucnięty obserwował nadchodzące postaci. Ze szczególnym niepokojem mierzył wzrokiem dziewczynkę. Mała dużo wiedziała... może za dużo. I skąd wiedziała?

Oto interesujące pytanie.

Nieprawdaż?

## 12

Nick przeniósł wzrok z Alberta na Boba.

- Tak to - powiedział. - Zapalki działają, ale browarek nie zaskoczył. - Obrócił się do szklanki piwa stojącej na półce. - Co to ma zna...

Ni z tego, ni z owego mała grzybiasta chmurka bąbelków uniosła się, wystrzeliła, zapieniła skromnie na powierzchni. Nickowi oczy wyszły z orbit.

- Wygląda na to - rzekł Bob - że trzeba kilku chwil, żeby coś zaskoczyło.

Wziął szklankę, wypił do dna i oblizał wargi.

- Znakomite - przyznał. Wszyscy spoglądali na gęsty kożuch białej piany, oblepiający wnętrze szklanki. - Mogę stwierdzić bez żadnych, ale to żadnych wątpliwości, iż było to najlepsze piwo, jakie w życiu piłem.

Albert znów nalał piwa. Tym razem zapieniło się, przelało przez brzeg szklanki. Brian wziął ją do ręki.

- Pewien jesteś, że chcesz łyka, koleżko? - spytał Nick, szczerząc zęby. - Czy faceci twojej profesji nie zwykli mówić: „Doba na sucho, nim silniki ruszą”?

- W przypadku podróży w czasie przepis ulega zawieszeniu - powiedział Brian. - Patrz i podziwiaj.

Przechylił szklanę, wypił i roześmiał się głośno.

- Ma pan rację - zwrócił się do Boba. - Niech mnie szlag trafi, jeśli to nie najlepsze piwo świata. Spróbuj pepsi, Albercie.

Chłopak otworzył puszkę i wszyscy usłyszeli znajome PUFF SSSYK dwutlenku węgla, kamień węgielny setek reklamówek napojów bezalkoholowych. Pociągnął tęgiego łyka. Kiedy odjął puszkę od ust, miał w oczach łzy, choć uśmiechał się szeroko.

- Dżentelmeni, pepsi-cola w dniu dzisiejszym również jest bardzo smakowita - stwierdził z namaszczeniem, parodiując pisarza. Wszyscy parsknęli śmiechem.

### 13

Don Gaffney dołączył do Laurel i Dinah w chwili, gdy wchodziły do restauracji.

- Myślałem, że lepiej zrobię... - zaczął i urwał. Rozejrzał się wokoło. - O cholera. Gdzie on jest?

- Nie... - zaczęła Laurel.

- Bądźcie cicho - odezwała się Dinah.

Obracała wolno głową. Jak „szperacz”. Przez chwilę w restauracji nie było nic słyszać... przynajmniej Laurel nic nie słyszała.

- Tam - powiedziała Dinah i wskazała w kierunku kasy. - On się tam chowa. Za czymś.

- Skąd to wiesz? - spytał Don suchym, zdenerwowanym głosem. - Ja nic nie...

- Ja słyszę - spokojnie powiedziała Dinah. - Słyszę jego paznokcie na metalu. I słyszę jego serce. Bije bardzo szybko i bardzo mocno. On się śmiertelnie boi. Tak mi go żal. - Nagle wysunęła swą dłoń z dłoni Laurel i ruszyła naprzód.

- Dinah, nie! - krzyknęła przeraźliwie Laurel.

Dinah nie zwróciła na nią uwagi. Podeszła do kasy z wyciągniętymi rękami, palce wyszukiwały ewentualne przeszkody. Cienie sięgnęły po nią, objęły.

- Panie Toomy? Proszę, niech pan wyjdzie. Nie chcemy panu zrobić krzywdy. Proszę się nie obawiać...

Zza kasy zaczął dobywać się krzyk. Wysokie zawroźnienie. Było to słowo albo coś, co próbowało być słowem, ale dławilo je szaleństwo.

- Tyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy...

Craig wyrósł zza swej kryjówki, oczy wyłaziły mu z orbit, ręka wznosiła nóż, nagle pojął: to ona, ona jest jednym z NICH, za tymi czarnymi szklami kryje się jeden z NICH, nie zwyczajny langolier, ale GŁÓWNY langolier, ten, który wzywa wszystkie inne, wzywa martwymi ślepiami.

- Tyyyyyyy yyyyyyyyyy...

Rzucił się na nią, rozwrzeszczany. Don Gaffney odepchnął Laurel, prawie przewrócił na podłogę i skoczył szybko ku niemu. Ale nie dość szybko. Craig Toomy pruł z szybkością langoliera. Biegł jak szalony. Nie hasał, o nie!

Dinah nie próbowała zejść mu z drogi. Uniosła spojrzenie ponad swe ciemności, przeniknęła wzrokiem jego ciemności, i wyciągnęła do niego ramiona, jakby chciała objąć go i pocieszyć.

- - yyyyyyyyyyyyyyyyyy...

- Wszystko w porządku, panie Toomy - powiedziała. - Niech się pan nie bo...

A wtedy Craig pchnął ją rzeźnickim nożem w pierś i minawszy biegiem Laurel, znikł w głębi terminalu, nie przestając wrzeszczeć.

Przez moment Dinah stała. Jej ręce znalazły drewnianą rękojeść sterczącą z sukienki. Delikatnie obiegała palcami przedmiot, zbadała. Potem powoli i z wdziękiem osunęła się na podłogę. Stała się tylko jeszcze jednym cieniem w rosnącym mroku.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

**Dinah w dolinie cieni. Najszybszy toster na wschód od Missisipi. Wyścig z czasem. Nick podejmuje decyzję.**

### **1**

Albert, Brian, Bob i Nick po kolei wykańczali kanapkę z masłem orzechowym i marmoladą. Każdy dostał dwa kęsy i kanapka znikła... ale Albert, przeżuwając ją, pomyślał, że w życiu nie miał w ustach tak cudownych gryzów. Żołądek obudził się i natychmiast zaczął krzyczeć o więcej.

- Sądzę, że naszemu łysemu przyjacielowi, panu Warwickowi, najbardziej przypadnie do gustu właśnie to - powiedział Nick. Przełknął. Spojrzał na Alberta. - Jesteś geniuszem, Asie. Wiesz o tym, co? Geniuszem czystej wody.

Albert zakwitł rumieńcem szczęścia.

- To był żaden problem - powiedział. - Tylko trochę - jak mówi pan Jenkins - dedukcji. Jeśli dwa strumienie płynące w różnych kierunkach spotkają się, tworzą wir. Zobaczyłem, co się dzieje z zapawkami Bethany, i pomyślałem, że coś odwrotnego może dziać się tu. I jeszcze ta jasnoczerwona koszula pana Gaffneya. Zaczęła tracić kolor. Więc pomyślałem sobie, dobra, jeśli coś płowieje poza samolotem, to jak zanieś się coś płowiejącego do samolotu, to wtedy...

- Przerwywam z najwyższą przykrością - powiedział łagodnie Bob - ale jeśli zamierzamy wrócić, musimy przystąpić do działania jak najszybciej. Hałasy, które słyszemy,

niepokoją mnie, ale nie tylko to. Ten samolot nie stanowi zamkniętego systemu. Sądzę, że istnieje duże ryzyko, iż niezadługo zacznie tracić swoją... swoją...

- Swoją czasową spójność? - zasugerował Albert.

- Tak. Dobrze powiedziane. Paliwo, które wlejemy teraz do zbiorników, może zapłonąć... ale za kilka godzin może nie zapłonąć.

Brianowi przyszła do głowy niemiła myśl: że paliwo może przestać się spalać w połowie lotu, kiedy 767 będzie miał pod sobą jedenaście kilometrów. Otworzył usta, żeby im to powiedzieć... i zamknął je. Co to da, jeśli im powie, skoro nic nie mogą na to poradzić?

- Jak wystartujemy, Brian? - zapytał Nick ostrym, rzeczowym tonem.

Brian przeleciał w myśli procedurę. Będzie to trochę nietypowe, zwłaszcza współpraca z ludźmi, których jedyne doświadczenie z samolotami prawdopodobnie zaczynało się i kończyło na budowie modeli, ale może się uda.

- Zaczniemy od zapalenia silników i podkołowania jak najbliżej 727 Delt - powiedział. - Kiedy się tam znajdziemy, zgaszę silnik z prawej burty, a zostawię lewy. Ten 767 ma zbiorniki paliwa w skrzydłach i system APU, który...

Dobiegł ich ostry, paniczny krzyk. Przebił się przez niezbyt głośny hałas - ten stanowiący dźwiękowe tło niby-klekot - jak widelec przebija dziecinną domową tablicę. Po nim rozległ się tupot kroków po trapie. Nick obrócił się i ręce podniosły mu się w geście, który Albert rozpoznał natychmiast: widział go u niektórych szajbusów szkolnych, ćwiczących sztuki walki. Klasyczna pozycja obronna taekwondo. Chwilę później blada, przerażona twarz Bethany zjawiła się w drzwiach i Nick się rozluźnił.

- Chodźcie! - wrzeszczała. - Musicie przyjść!

Dyszała, brakowało jej tchu. Zatoczyła się w tył na podeście trapu. Przez moment Albert i Brian byli pewni, że spadnie i złamie po drodze kark. Nick skoczył do przodu, chwycił ją i wciągnął do samolotu. Bethany chyba nie była nawet świadoma, że otarła się o śmierć. Jej ciemne oczy płonęły w bladej twarzy.

- Proszę, chodźcie! Pchną ją nożem! Ona umiera!

Nick położył jej dłonie na ramionach i pochylił twarz, jakby zabierał się do całowania.

- Kto kogo pchnął nożem? - zapytał bardzo cicho. - Kto umiera?

Dinah w dolinie cieni. Najszybszy toster na wschód od Missisipi. Wyścig z czasem. Nick podejmuje decyzję.

- Ja... ona... pan T... T... Toomy...

- Bethany, powiedz „filiżanka”. Patrzyła na niego, zszokowana, nie pojmowała. Brian spojrział na Nicka. Wyglądało na to, że podejrzewa go o szaleństwo. Nick lekko potrząsnął dziewczyną.

- Powiedz „filiżanka”. Już.

- Fi... fi... filiżanka.

- Filiżanka i spodeczek. Powiedz to, Bethany.

- Filiżanka i spodeczek.

- W porządku. Lepiej? Kiwnęła głową.

- Tak.

- Dobrze. Jak zaczniesz tracić nad sobą panowanie, od razu mów „filiżanka” i dojdiesz do siebie. Teraz - kto został dźgnięty nożem?

- Ta niewidoma. Dinah.

- Cholerny świat! W porządku, Bethany. Tylko... - Nick ostro podniósł głos, kiedy zobaczył, jak Brian rusza za plecami Bethany do trapu, a Albert natychmiast idzie w jego ślady.

- Nie! - krzyknął jasnym, twardym głosem, który zatrzymał obu. - Kurwa, bacność!

Brian, który odsłużył dwie tury w Wietnamie i potrafił rozpoznać głos przełożonego, zatrzymał się tak gwałtownie, że Albert uderzył twarzą w jego łopatki. „Wiedziałem, pomyślał. Wiedziałem, że on przejmie dowództwo. To była tylko kwestia czasu i okoliczności”.

- Czy wiesz, jak się to stało albo gdzie podziewa się teraz ten nasz nikczemny towarzysz podróży? - spytał Nick Bethany.

- Ten gość... ten gość w czerwonej koszuli powiedział...

- W porządku. Nieważne. - Spojrział na Briana. Oczy nabiegły mu wściekle krwią. - Cholerni durnie zostawili go samego. Założę się o całą emeryturę. No, to już się nie powtórzy. Nasz pan Toomy dał ostatni popis.

Spojrzał na dziewczynę. Zwiesiła głowę, włosy opadły splątane na twarz, wciągała powietrze, szlochając spazmatycznie.

- Czy ona żyje, Bethany? - spytał łagodnie.

- Ja... ja... ja...

- Filiżanka, Bethany.

- Filiżanka! - krzyknęła Bethany i spojrzała na niego za łzawionymi oczami w czerwonych obwódkach. - Nie wiem. Żyła, kiedy ja... wie pan, pobiegłam po was. Teraz



może nie żyć. On ją naprawdę dopadł. Jezu, dlaczego musieliśmy trafić na pieprzonego świra? Czy i bez tego wszystko nie dość się pochrzało?

- I żadne z was, którzyście mieli zajmować się tym facetem, nie ma zielonego pojęcia, gdzie udał się po ataku, tak?

Bethany zakryła twarz dłońmi i zaczęła łkać. To wystarczyło im za odpowiedź.

- Nie bądź dla niej taki ostry - cicho powiedział Albert i objął Bethany. Położyła mu głowę na ramieniu i rozplakała się jeszcze bardziej.

Nick łagodnie odsunął ich na bok.

- Jeśli zamierzałem być wobec kogoś ostry, to wobec siebie, Asie. Powinienem był tam zostać.

Obrócił się do Briana.

- Wracam do terminalu. Ty nie. Obecny tu pan Jenkins na pewno ma rację: czasu jest niewiele. Wolę nie myśleć, ile go zostało. Zapal silniki, ale nie ruszaj samolotu. Jeśli dziewczynka żyje, potrzebujemy schodów, żeby ją wnieść. Bob, na dół, do stóp trapu. Miej oko na tego gnoja, Toomy'ego. Albert, idziesz ze mną.

Potem powiedział coś, co ich zmroziło.

- Niech mi Bóg wybaczy, ale niemal wolałbym, żeby umarła. To by nam zaoszczędziło czasu.

## 2

Dinah żyła, nawet nie straciła przytomności. Laurel zdjęła jej okulary, ścierała pot z twarzy. Oczy Dinah, ciemnopiwnie i bardzo duże, patrzyły, nie widząc, w niebieskozielone oczy Laurel. Don i Rudy stali nad nimi, ramię w ramię, spoglądając z lękiem na leżącą.

- Przykro mi - powiedział po raz piąty Rudy. - Naprawdę myślałem, że padł. Że padł kompletnie.

Laurel nie zwracała na niego uwagi.

- Jak się czujesz, Dinah? - pytała łagodnie. Nie chciała patrzeć na drewnianą rękojeść sterczącą z sukienki dziewczynki, ale nie mogła oderwać od niej oczu. Dziewczynka utraciła niewiele krwi, przynajmniej na razie; czerwony krążek średnicy podstawki małej filiżanki otaczał miejsce, w które weszło ostrze, i to wszystko.

Na razie.

- Boli - powiedziała słabo Dinah. - Ciężko oddychać. I to jest gorące...

- Nic ci nie będzie. - Oczy Laurel bez przerwy były zwrócone na rękojeść noża. Dziewczynka była bardzo wężka i Laurel nie mogła pojąć, dlaczego ostrze nie przeszło jej na wylot. Nie mogła pojąć, dlaczego jeszcze żyje.

- ...stąd - jęknęła Dinah. Skrzywiła się i gęsty, niespieszny strumyczek krwi potoczył się z kącika ust na policzek.

- Staraj się nie mówić, skarbie - powiedziała Laurel i odsunęła wilgotne kędziorki z czoła Dinah.

- Musicie się stąd wydostać - upierała się Dinah. Jej głos był niewiele donośniejszy niż szept. - I nie powinniście mieć pretensji do pana Toomy'ego. On... on się boi, to wszystko. ICH.

Don rozejrzał się groźnie.

- Jak znajdę sukinkota, to dopiero będzie miał się czego bać - powiedział i zacisnął dłonie w pięści. W rosnącym mroku ciężki sygnet połyskiwał powyżej kłykcia. - Jeszcze pożałuje, że nie urodził się martwy.

Wtedy w restauracji pojawił się Nick, a za nim Albert. Nick przepchnął się obok Warwicka bez słowa i ukląkł przy Dinah. Jego jasny wzrok spoczął na moment na rękojeści noża, potem przesunął się na twarz dziecka.

- Się masz, kochanie. - Głos miał pogodny, ale oczy mu pociemniały. - Widzę, że wpuszczono w ciebie trochę świeżego powietrza. Nie ma powodu do zmartwień. Ani się obejrzysz, a będziesz zdrowa jak rybka.

Dinah uśmiechnęła się lekko.

- Jaka rybka? - szepnęła. Następny strumyczek krwi popłynął z ust, a Laurel zobaczyła krew i na zębach. Jej żołądek fiknął rozlazłego, powolnego koziołka.

- Nie wiem, ale na pewno śliczna - powiedział Nick. - Obróć ci główkę na bok. Leż tak nieruchomo, jak tylko potrafisz.

- W porządku.

Nick bardzo łagodnie obrócił jej głowę, aż policzek spoczął prawie na wykładzinie.

- Boli?

- Tak - szepnęła Dinah. - Gorąco. Boli... oddychać. Jej szept stał się chrapliwy i urywany. Cienka strużka krwi pobiegła z ust i rozlała się na wykładzinie, metr od miejsca, w którym schła krew Craiga Toomy'ego.

Z zewnątrz dobiegł nagły skowyt turboodrzutowych silników samolotowych. Don, Rudy i Albert obejrżeli się. Nick nie odrywał wzroku od dziewczynki.

- Czy chce ci się kaszleć, Dinah? - spytał łagodnie.

- Tak... nie... nie wiem.

- Lepiej, żebyś nie kaszłała. Jak poczujesz łaskotanie w gardle, staraj się nie zwracać na nie uwagi. I nie mów już, dobra?

- Nie... róbcie krzywdy... panu Toomy'emu. - Mimo że szeptem, mówiła z wielkim naciskiem, z wielką mocą.

- Kochanie, nawet nam to przez myśl nie przeszło. Ja ci to mówię.

- ...Nie... wierzę... ci...

Pochylił się, pocałował ją w policzek i szepnął do ucha:

- Ale wiesz co? Spróbuj. Znaczy, spróbuj mi zaufać. Na razie leż bez ruchu i pozwól nam wziąć sprawy w nasze ręce. Tyle tylko od ciebie wymagamy.

Spojrzał na Laurel.

- Nie próbowałaś wyjmować noża?

- N... nie. - Laurel przełknęła ślinę. W gardle miała gorący, drapiący guz. Przełknięcie nie ruszyło go z miejsca. - A powinnam?

- Gdybyś spróbowała, byłoby już po obrazkach. Masz jakieś doświadczenie w opatrywaniu ran?

- Nie.

- Dobra, powiem ci, co masz robić... ale najpierw muszę wiedzieć, czy nie zemdlejesz na widok krwi - sporej ilości krwi. I muszę wiedzieć prawdę.

- Tak naprawdę, to ostatni raz widziałam sporo krwi podczas zabawy w chowanego, kiedy moja siostra wpadła na drzwi i wybiła sobie dwa zęby. Ale wtedy nie zemdlałam.

- Dobrze. I nie zemdlejesz teraz. Panie Warwick, przynieś mi pan kilka obrusów z tego marnego pubu z za rogu. - Uśmiechnął się do dziewczynki. - Daj mi minutę albo dwie, Dinah, a poczujesz się dużo lepiej. Młody doktor Hopewell zawsze jest delikatny wobec dam - zwłaszcza takich, co są młode i piękne.

Laurel poczuła nagle absurdalną chęć, żeby pogłodzić Nicka po włosach.

„Co się z tobą dzieje? Ta mała prawdopodobnie umiera, a ty się zastanawiasz, jakie on ma włosy w dotyku? Przestań! Zgłupiałaś do reszty czy co?”

„No cóż, pomyślmy... Zgłupiałam na tyle, żeby lecieć przez cały kraj na spotkanie z mężczyzną którego poznałam przez dział ogłoszeń osobistych. Zgłupiałam na tyle, że gotowa byłam się z nim zdrzemnąć, gdyby okazał się dość przystojny... i gdyby oczywiście nie pachniało mu brzydko z ust.

Och, przestań! Przestań, Laurel!”

„Tak, przytaknął ten drugi głos. Masz absolutnie rację, to wariactwo myśleć o takich rzeczach w takiej chwili i przestanę... ale zastanawiam się, jaki młody doktor Hopewell byłby w łóżku? Zastanawiam się, czy byłby łagodny, czy też...”

Laurel zadrżała. Czy w ten sposób zaczyna się załamanie nerwowe?

- Są bliżej - powiedziała Dinah. - Naprawdę powinniście... Zakaszłała i wielki krwawy bąbel spęczniał na jej wargach. Don Gaffney zamruczał i odwrócił głowę.

- ...naprawdę powinniście się pospieszyć - dokończyła. Pogodny uśmiech Nicka nie przygasł wcale.

- Wiem - powiedział.

### 3

Craig przemknął przez terminal, zręcznie przesadził poręcz ruchomych schodów i pobiegł w dół po zamartwych metalowych stopniach. Głos paniki wył, szalał mu w głowie jak sztorm na oceanie, przytłumił nawet tamten hałas: nieustanne zgrzytanie zębów - chrupanie langolierów. Nikt nie dojrzał, gdzie pobiegł. Sprintem pokonał dolny hol, dopadł drzwi wyjściowych... i zderzył się z nimi. Zapomniał o wszystkim, nawet o fakcie, że fotokomórki otwierające drzwi nie działają przy wyłączonym prądzie.

Odbił się od drzwi, stracił oddech, padł na podłogę, dyszał jak ryba w sieci. Leżał tak przez moment, zbierał myśli. Nagłe zdał sobie sprawę, że gapi się na swoją prawą dłoń. W rosnących ciemnościach widział jedynie bladą plamę, ale rysował się na niej czarny rozprysk i wiedział, skąd pochodzi: była to krew małej dziewczynki.

„Tylko że to nie jest mała dziewczynka. Wcale nie. Ona tylko wygląda na małą dziewczynkę. Tak naprawdę to ona jest głównym langolierem, a gdy już umarła, inne nie dadzą rady... nie dadzą rady... rady...”.

Czemu?

Znaleźć go?

Ale nadal słyszał ten żarłoczny głos, z jakim się zbliżały, to doprowadzające do szaleństwa zgrzytanie zębów, jakby gdzieś od, wschodu maszerowała gromada wielkich, głodnych insektów.

W głowie mu zawirowało. Och, jakież tam zamęt!

Craig zobaczył mniejsze drzwi prowadzące na zewnątrz, wstał i ruszył ku nim. Staął. Na zewnątrz była droga i droga niewątpliwie prowadziła do miasta Bangor, ale co z tego? Nie zależało mu na Bangor. Bangor - był tego absolutnie pewny - nie mieściło się w tamtej wyśnionej WIELKIEJ PERSPEKTYWIE. To do Bostonu musiał się dostać. Jeśli zdoła tam dotrzeć, wszystko będzie w porządku. Ale jak? Ojciec wiedziałby jak. Jak? A tak: PRZESTAĆ HASAĆ I TRZYMAĆ SIĘ PROGRAMU.

Uczepił się tej idei jak rozbitek kawałka wraku - gdy wszystko, co unosi się na powierzchni, nawet jeśli to tylko drzwi od sracza, jest łupem godnym uwielbienia. Jeśli zdoła dostać się do Bostonu, całe to wydarzenie zostanie... zostanie...

- Wytarte z pamięci - zamruczał.

Przy tych słowach jasny promień racjonalnego myślenia przeniknął mroki jego umysłu, a głos (mógłby to być głos ojca) zakrzyknął twierdząco: TAK!

Ale jak to zrobić? Boston był za daleko, żeby iść na piechotę, a tamci nie pozwolą mu wrócić na pokład jedyne go sprawnego samolotu. Nie po tym, co zrobił ich małej ślepej maskotce.

- Ale oni nie wiedzą - szeptał Craig. - Nie wiedzą że zrobiłem im przysługę, bo nie wiedzą, kim ona jest.

Mądrze pokiwał głową. Jego oczy, wielkie i mokre, błyszczały w ciemności.

„Zasuważ, szepnął mu głos ojca. Zasuważ na samolot”.

„Tak!, dodał głos matki. Zasuważ! To sposób, Craidziu-bździu! Sposób nad sposoby”.

Craig spojrział powątpiewająco na przenośnik bagażowy. Mógł się nim dostać na płytę lotniska, ale a nuż postawili wartę przy samolocie? Pilot nie wpadłby na to - przestąpiwszy próg kokpitu, facet najwyraźniej stawał się imbecylem - ale Anglik na pewno.

Więc co powinien zrobić?

Jeśli Bangor nie dawało nadziei i płyta lotniska też nie dawała nadziei, co powinien zrobić i gdzie powinien iść?

Craig spojrział nerwowo na nieczynne ruchome schody. Niebawem zacznie się oblawa - Anglik bez wątpienia poprowadzi sforę - a on sterczy na środku holu, na widoku, jak striptizerka, która już rzuciła w publiczność cekiny z cycków i pasek z krocza.

„Muszę się schować, przynajmniej na jakiś czas”.

Usłyszał, jak silniki odrzutowca zapaliły, ale się tym nie przejął.

Trochę znał się na samolotach i było jasne, że Engle nigdzie nie polecą, dopóki nie zatankuje. Nie ma się co przejmować, że polecą bez niego.

W każdym razie jeszcze nie.

„Ukryj się, Craidziu-bździu. To właśnie musisz zrobić teraz. Musisz się ukryć, zanim cię dopadną”.

Obrócił się powoli, szukał najlepszej kryjówki, wyżej oczy w rosnących ciemnościach. Tym razem zobaczył tabliczkę na drzwiach wciśniętych między stanowisko Avisy a Agencję Podróżną Bangor.

SŁUŻBY LOTNISKA głośliła. Mogło to znaczyć prawie wszystko.

Craig szybko podszedł do drzwi, rzucając nerwowe spojrzenia przez ramię. Spróbował je otworzyć. Jak i w pomieszczeniu służby ochrony lotniska, gałka nie obróciła się, ale drzwi

ustąpiły, kiedy po prostu je pchnął. Craig po raz ostatni spojrzął przez ramię, nie zobaczył nikogo, i zamknął drzwi za sobą.

Za drzwiami stał się ślepy jak dziewczynka, którą dźgnął. Połknęła go kompletna, idealna ciemność. Nie przeszkadzało mu to. Nie bał się ciemności: prawdę mówiąc, raczej ją lubił. W ciemności - jeśli tylko nie jesteś z kobietą - nikt nie oczekuje od ciebie żadnych wyczynów. W ciemności nikt nie wymaga od ciebie pokazów sprawności.

Co ważniejsze: zgrzytanie zębów langolierów przycichło.

Craig z wolna wymacywał sobie drogę, wyciągnął ręce, szurał nogami. Po trzech takich szurnięciach uderzył udem o coś twardego. Krawędź biurka? Pomacał. Tak. Biurko. Przez chwilę muskał je rękami. Uspokajał się, rozpoznając ekwipunek amerykańskich biurokratów: plik papieru, koszyk PRZYCHODZĄCE/WYCHODZĄCE, brzeg bibularza, miseczka ze spinaczami, długopis. Okrążył biurko, po drugiej stronie uderzył udem o oparcie fotela. Wmanewrował się między fotel a biurko i usiadł. Teraz poczuł się jeszcze pewniej. Spokojniejszy, bardziej opanowany. Odnalazł siebie. Poszukał szuflady. Wysunął ją. Macał w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia obrony - czegoś ostrego. Prawie od razu trafił na nóż do papieru.

Wyjął go, wsunął szufladę, położył nóż na biurku po prawej stronie.

Siedział bez ruchu, wsłuchiwał się w przytłumione SZCZYTTOMP własnego serca i słaby odgłos pracy silników odrzutowych, zmusił ręce, by musnęły jeszcze raz blat biurka, aż powtórnie natknęły się na plik papieru. Wziął kartkę, przysunął do siebie, ale nie załśniła bielą... nawet gdy podniósł ją do oczu.

„W porządeczku, Craidziu-bździu. Siedz sobie tak w ciemności. Siedz i czekaj, aż nadejdzie czas działania. Kiedy ten czas nadejdzie...”

„Dowiesz się, co dalej”, skończył groźnie ojciec.

- W porządku - powiedział Craig. Jego palce, jak odnóża pająka, przebiegły po niewidocznej kartce, do górnego prawego rogu. Szarpnął płynnie w dół.

DRZ-RZ-RZYP

Spokój ogarnął go jak chłodna woda. Upuścił niewidoczny pasek na niewidoczne biurko, a palce powróciły ku górze kartki. Wszystko będzie jak trzeba. Właśnie tak trzeba. Zaczął nucić pod nosem, miarowym cichutkim szeptem:

„Tylko nazwij mnie aniołem... ra-nka, mii-ty...”

DRZ-RZ-RZYP

„Tylko mnie pocałuj... przed odejściem, mii-ty...”

Już uspokojony, w zgodzie z samym sobą, Craig siedział i czekał, aż ojciec powie mu, co ma dalej robić. Jak wielokroć za dziecinnych lat.

#### 4

- Posłuchaj uważnie, Albercie - powiedział Nick. - Musimy ją zabrać na pokład, ale potrzebne nam są nosze. W samolocie noszy nie ma, ale muszą być tutaj. Gdzie?

- Rany, panie Hopewell, kapitan Engle lepiej się w tym orientuje ode...

- Ale kapitan Engle jest nieobecny - cierpliwie powiedział Nick. - Musimy radzić sobie sami.

Albert zmarszczył czoło... a potem przypomniał sobie tabliczkę, którą widział na parterze.

- Służby lotniska? - spytał. - Czy o to chodzi?

- O to - powiedział Nick. - Gdzie to widziałeś?

- Na dole. Obok agencji wynajmu samochodów.

- W porządku - powiedział Nick. - Oto jak to załatwimy: ty i pan Gaffney zostajecie wyznaczeni do znalezienia i taskania noszy. Panie Gaffney, dobrze będzie, jeśli zajrzy pan za ladę przy grillu.

Spodziewam się, że znajdzie pan kilka ostrych noży. Jestem pewien, że nasz niemiły przyjaciel tam znalazł swój. Weź pan jeden dla siebie i jeden dla Alberta.

Don bez słowa udał się za ladę. Rudy Warwick wrócił z baru „Czerwony Baron” objuczony obrusami w biało-czerwona kratę.

- Naprawdę mi przykro... - znów zaczął.

- Prawdopodobnie nie zobaczycie się z panem Toomym - przerwał mu Nick. Nadal spoglądał na Alberta, jego twarz była tylko białym kręgiem nad cieniem drobnego ciała Dinah. Ciemności prawie nadeszły. - Zakładam, iż uciekł bezbronny, w panice. Wyobrażam sobie, że do tej pory albo znalazł kryjówkę, albo opuścił terminal. Jeśli go jednak spotkacie, zalecam wam usilnie, nie zaczepiajcie go, chyba że was do tego zmusi. - Zwrócił się do Dona, który wrócił z parą rzeźnickich noży. - Wasza dwójka niech nie zapomina o swym zadaniu. Waszą misją nie jest pojmanie pana Toomy'ego i doprowadzenie go przed oblicze sprawiedliwości. Macie znaleźć nosze i przynieść je jak najszybciej. Musimy się stąd wydostać.

Don zaoferował Albertowi jeden z noży, ale Albert potrząsnął głową i spojrzął na Rudy'ego Warwicka.

- Mógłbym zamiast tego dostać jeden z tych obrusów? Don spojrzął na Alberta, jakby ten dostał bzika.

- Obrus? Na miłość boską, na co ci on?

- Pokażę panu. Albert poprzednio klęczał obok Dinah. Teraz wstał i poszedł za ladę. Rozejrzał się, niezupełnie pewien, czego szuka, ale przekonany, że zorientuje się, kiedy to zobaczy. I tak się stało. W głębi lady stał staroświecki toster na dwie kromki. Albert podniósł go, wyrwał przewód z kontaktu. Wrócił do pozostałych i owinał ciasno przewód wokół tosteru. Wziął jeden z obrusów, rozłożył i położył toster w rogu. Potem zawinął go dwukrotnie, tak że wyglądał jak prezent gwiazdkowy. Mocno związał dwa rogi obrusa, tworząc kieszeń. Złapał za luźny koniec i wstał. Owinięty toster wyglądał jak kamień w prowizorycznej procy.

- Kiedy byłem mały, bawiliśmy się w Indianę Jonesa - powiedział lekko zażenowany.

- Zrobiłem coś takiego i udawałem, że to bat. Raz mało nie złamałem nim ręki mojemu bratu Davidowi. Zawinąłem w stary ręcznik przeciwagę okienną, znaną w garażu. Kretynstwo, nie? Nie miałem pojęcia, jaką to będzie miała moc. Dostałem za to lanie jak jasny gwint. Może to i wygląda głupio, ale faktycznie działa cudnie. Przynajmniej działało.

Nick spoglądał na prowizoryczny oręż Alberta z powątpiewaniem, ale nie odezwał się. Jeśli toster w obrusie miał dodać Albertowi otuchy podczas wędrówki w ciemności zalegającej na dolnym poziomie, niech i tak będzie.

- Dobrze. Teraz poszukajcie noszy i wracajcie. Jeśli nie traficie na nic w biurach służb lotniska, spróbujcie gdzie indziej. Jeśli nie znajdziecie niczego w ciągu piętnastu minut - nie, dziesięciu - wracajcie. Zaniesiemy ją.

- Nie możesz tego zrobić! - słabo protestowała Laurel. - Jeśli ma krwotok wewnętrzny...

Nick podniósł na nią oczy.

- Już ma wewnętrzny krwotok. Dziesięć minut. Tyle czasu możemy jej poświęcić.

Laurel otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, spierać się, ale powstrzymał ją stłumiony szept Dinah:

- On ma rację.

Don wsunął ostrze noża za pas.

- Chodźmy, synu.

Razem przeszli halę i ruszyli schodami w dół, na parter. Po drodze Albert owinał swój naładowany obrus wokół dłoni.

## 5

Nick skupił się na dziewczynce.

- Jak się czujesz, Dinah?



- Boli bardzo - z wysiłkiem wyszeptała Dinah.

- Tak, oczywiście, że boli. Ale obawiam się, że to, co zamierzam zrobić, będzie bolało dużo mocniej, przynajmniej przez kilka sekund. Ale w twoim płucu tkwi nóż i musi zostać wyjęty. Wiesz o tym, prawda?

- Tak. - Ciemne niewidzące oczy były skierowane na niego. - Boję się.

- Ja też, Dinah, ja też. Ale to musi zostać załatwione. Zgadzasz się?

- Tak.

- Grzeczna dziewczynka. - Nick pochylił się i złożył łagodny pocałunek na jej policzku. - Co za grzeczna, odważna dziewczynka. To nie potrwa długo, obiecuję. Leż tak nieruchomo, jak tylko potrafisz, Dinah, i postaraj się nie kaszleć. Rozumiesz mnie? To bardzo ważne. Postaraj się nie kaszleć.

- Postaram się.

- Może przez chwilę albo dwie wyda ci się, że nie dasz rady oddychać. Może ci się nawet wydać, że coś z ciebie ulatuje. Jak z przebitej dętki. Od tego można nabawić się porządnego stracha, kochanie, i może zechcesz poruszyć się albo zawołać. Nie wolno ci tego zrobić. I nie wolno zakaszleć.

Dinah odpowiedziała tak, że nikt z nich nic nie zrozumiał. Nick przełknął ślinę, szybko otarł ramieniem pot z czoła i obrócił się do Laurel.

- Złóż dwa obrusy w kwadratowe opatrunki. Jak najgrubsze. Klęknij obok mnie. Jak najbliżej. Warwick, zdejmij pas.

Rudy usłuchał natychmiast.

Nick spojrzał na Laurel. Znów uderzyła ją - a tym razem nie było to przykre - siła jego spojrzenia.

- Złapię za rękojeść i wyciągnę nóż. Jeśli nie zahaczył o żebro - a na to nie wygląda - ostrze powinno wyjść jednym gładkim ruchem. W momencie, w którym się wynurzy, cofnę się, będziesz miała wygodny dostęp do jej klatki piersiowej. Położysz opatrunek na ranie i przyciśniesz. Przyciśniesz mocno. Nie przejmuj się, że ją skrzywdzisz albo że nacisk będzie za mocny i nie będzie mogła oddychać. Ma przynajmniej jedną perforację w płucu, a założę się, że jest ich parę. To jest prawdziwy problem. Czy rozumiesz?

- Tak.

- Kiedy przyłożysz opatrunek, uniosę dziewczynkę ku tobie. Jeśli zobaczymy, że ma krew na plecach, obecny tu pan Warwick podłoży z tyłu drugi opatrunek. Owiniemy opatrunki paskiem pana Warwicka. - Spojrzał na Rudy'ego. - Kiedy zawołam: przyjacielu, do dzieła! - nie każ się prosić dwa razy.

- Bez obawy.

- Znasz się na tym na tyle, aby podołać, Nick? - spytała Laurel.

- Tak sądzę. Mam nadzieję. Jeszcze raz spojrzął na Dinah.

- Gotowa?

Dinah wymruczała coś.

- W porządku - powiedział Nick. Wziął długi wdech. Wydech. - Jezu, dopomóż.

Objął swymi szczupłymi, długimi palcami rękojeść noża, jak zawodnik chwytą kij baseballowy. Szarpnął. Dinah krzyknęła ostro. Wielki skrzep wypadł z jej ust prosto na pochyloną, skoncentrowaną twarz Laurel.

- Nie! - warknął Nick, nie patrząc na Laurel, która zachwiała się i zbladła. - Nie waż się mdleć jak pensjonarka! Nie waż się!

Laurel kiwnęła się w przód. Krztusiła się i dygotała. Ostrze, tępo lśniący w ciemnościach trójkąt srebra, wyłoniło się z piersi Dinah i zamigotało w powietrzu. Piersz dziewczynki uniosła się i wydała wysoki, niesamowity gwizd. Rana zassała powietrze.

- Teraz! - sapnął Nick. - Ciśnij! Ile sił!

Laurel pochyliła się. Przez moment widziała krew tryskającą z dziury w piersi Dinah i rana znikła pod obrusem. Prawie natychmiast opatrunek stał się ciepły i mokry.

- Mocniej! - warczał Nick. - Dociskaj mocniej! Zatkaj! Zatkaj ranę!

Laurel zrozumiała teraz, co znaczy być u kresu sił. Odczuła to na własnej skórze.

- Nie mogę! Złamię jej żebra jak...

- Pieprzyć żebra! Musisz to zatkać!

Laurel całym ciałem naparła w dół. Całą moc włożyła w dłonie. Czuła, jak krew przecieka jej między palcami, choć obrus był wielokrotnie złożony.

Anglik odrzucił nóż i pochylił się nad Dinah, tak że twarzą prawie dotykał twarzy dziewczynki. Oczy miała zamknięte. Podwinął powiekę.

- Wydaje mi się, że w końcu padła - powiedział. - Nie wiem na pewno, bo jej oczy są takie dziwne, ale proszę Boga, żeby tak było.

Włosy opadły mu na czoło. Odrzucił je niecierpliwie i spojrzął na Laurel.

- Dobrze ci idzie. Tylko tak dalej, dobra? Teraz ją podniosę. Nie przestawaj cisnąć, kiedy będę to robił.

- Tyle krwi - jęknęła Laurel. - Czy ona się nie wykrwawi?

- Nie wiem. Nie przestawaj cisnąć. Gotów, panie Warwick?

- O Chryste, chyba tak - zakrakał Rudy Warwick.

- Dobra. Jedziemy. - Wsunął ręce pod prawą łopatkę Dinah i skrzywił się. - Jest gorzej niż myślałem - zamruczał. - Dużo gorzej. Ona jest przemoczona.

Z wolna zaczął unosić Dinah, pokonując siłę nacisku Laurel. Dinah stęknęła grubym, łamiącym się głosem. Na wpół zastygły skrżep wypłynął jej z ust i potoczył się na podłogę. Laurel słyszała, jak krew tryska na wykładzinę z pleców dziewczynki.

Nagle świat zaczął falować, odpływać.

- Nie przestawaj cisnąć! - krzyknął Nick. - Nie dawaj się!

Plastikowa skrzynka z czerwonym krzyżem. A poniżej stały złożone nosze na kółkach.

Albert jednak nie spoglądał na poster ani na apteczkę pierwszej pomocy. Oczy utkwił w biurku na środku pokoju.

Leżał na nim kłęb papierowych pasków.

- Uważaj! - krzyknął. - Uważaj, on tu je... Craig Toomy wyszedł z za drzwi i uderzył.

**9**

- Pas - powiedział Nick. Rudy nie ruszył się, nie odpowiedział. Spoglądał w kierunku drzwi restauracji. Hałasy na dole ustały. Tylko równomierne, pulsujące dudnienie silników odrzutowca dobiegało z dworu.

Nick wierzgnął w tył jak muł. Trafił w goleń Rudy'ego.

- Auuu!

- Pas! Już!

Rudy niezdarnie ukląkł i przysunął się do Nicka, który jedną ręką trzymał Dinah, a drugą przyciskał opatrunek do pleców.

- Załóż go na opatrunek - wydał polecenie Nick. - Szybko! Nie mogę trzymać jej przez wieczność!

Rudy założył pas na opatrunek. Nick opuścił Dinah, sięgnął na drugą stronę ponad drobnym ciałem i podniósł jej lewe ramię na tyle wysoko, żeby wyciągnąć pas z drugiej strony. Potem owinął go wokół klatki piersiowej dziecka i mocno zacisnął. Koniec pasa podał Laurel.

- Trzymaj napięty - powiedział, wstając. - Nie ma dziurki, żeby zapiąć na klamrę - jest na to o wiele za chuda.

- Idziesz na dół? - spytała Laurel.

- Tak. To wydaje się wskazane.

- Uważaj na siebie. Proszę, uważaj na siebie. Uśmiechnął się do niej szeroko i wszystkie białe zęby nagle wyraźnie zabłyśły w mroku... ale nie budziły lęku. Wprost przeciwnie.

- Oczywiście. Dzięki temu jeszcze zapycham do przodu. - Pochylił się i ścisnął ją za ramię. Pod dotknięciem jego ciepłej ręki przeszedł Laurel lekki dreszcz.

- Spisałaś się bardzo dobrze, Laurel. Dziękuję ci.

Już się odwracał, kiedy mała rączka drgnęła i chwyciła go za nogawkę dżinsów. Spojrzał w dół i zobaczył, że ślepe oczy Dinah znów są otwarte.

- Nie... - zaczęła, ale jej słowa utonęły w serii kichnięć. Kropelki krwi trysnęły z nosa fontanną.

- Dinah, nie powinnaś...

- Nie... zabijaj... go! - powiedziała i nawet w ciemności Laurel wyczuła, jak nieprawdopodobnie wiele trudu kosztuje Dinah wypowiedzenie tych słów.

Nick spoglądał na nią z namysłem.

- Bydlak przebił cię nożem, sama wiesz. Dlaczego tak się upierasz, żeby zostawić go w spokoju?

Jej wąska pierś naparła na pasek. Zbroczony krwią opatrunek uniósł się. Postarała się: zdołała wypowiedzieć jeszcze jedno. Wszyscy to usłyszeli, zadała sobie niemało trudu, by przemówić wyraźnie.

- Wiem... tylko... że jest nam potrzebny - wyszeptała i znów zamknęła oczy.

## 10

Craig wbił nóż po rękojeść w kark Dona Gaffneya. Don krzyknął przeraźliwie i upuścił zapalniczkę. Upadła na podłogę, paliła się niemrawo. Albert krzyknął, zaskoczony, zobaczywszy Craiga rzucającego się na Dona, który teraz sunął chwiejnie do biurka i bezradnymi dłońmi usiłował dosięgnąć tego, co mu sterczało z pleców.

Craig jedną rękę zacisnął na rękojeści noża, drugą wsparł o plecy Dona. Wyciągnął ostrze wahadłowym ruchem, poszerzając ranę. Słysząc przy tym odgłos, jaki wydaje odrywana od piersi noga dobrze upieczonego indyka, gdy szarpnie ją bardzo głodny człowiek. Don wrzasnął drugi raz, tym razem głośniejszy, i rozłożył się na biurku. Wcześniej strącił koszyk PRZYCHODZĄCE/WY CHODZĄCE i ryzę formularzy, którą zajmował się wcześniej Craig.

Teraz Craig obrócił się do Alberta, rozpryskując krew z noża do papieru.

- Ty też jesteś jednym z nich - szeptał. - No i pierdolę to. Chcę do Bostonu i nie zatrzymasz mnie. Nikt z waszych mnie nie zatrzyma.

Zapalniczka zgasła i zapanowały ciemności.

Albert cofnął się o krok. Ciepły powiew omiół mu twarz. To Craig machnął ostrzem tam, gdzie stał zaledwie sekundę temu. Albert wyciągnął za siebie rękę, przerażony: zostanie zagnany w kąt i Craig zrobi użytek ze swojego sztyletu (w słabym, gasnącym świetle zapalniczki to właśnie zobaczył), taki użytek, jaki zechce, a jego, Alberta, broń okaże się i bezsensowna, i bezużyteczna. Palce wymacały tylko pustkę i Albert wycofał się przez drzwi do holu. Nie czuł się spokojny, nie czuł się jak najszybszy izraelita po jakiegokolwiek stronie Missisipi, nie czuł się szybszy niż piekielny piorun. Czuł się jak przerażony dzieciak, który głupio wybrał dziecięcą zabawkę zamiast prawdziwego oręza, bo nie mogło mu się pomieścić w głowie - nie-mo-gło! - że do tego dojdzie, chociaż widział, co ten zwariowany typ zrobił małej. Czuł własny zapach. Nawet w tym zamarłym powietrzu czuł własny zapach. Cuchnął zjełczałymi małpimi szczynami: strachem.

Craig wychynął z drzwi z uniesionym nożem do papieru. Poruszał się w ciemności jak tańczący cień.

- Widzę cię, synku - szeptał. - Widzę cię jak kot.

Zaczął sunąć w przód. Albert ustępował mu pola. Równocześnie zaczął rozhuśtywać toster, pomny, że będzie miał okazję na tylko jeden dobry strzał, zanim Toomy wejdzie do akcji i wsadzi mu ostrze w gardło albo pierś.

„A jak toster wyleci z tej cholernej kieszeni, zanim mu przyłożę, jestem załatwiony”.

## 11

Craig zmniejszał dystans, kiwając na boki górną połowę ciała jak wąż wynurzający się z koszyka. Obojętny uśmiezek wyłobił nad kącikami jego ust małe dołeczki. „Tak trzeba, odezwał się ojciec z wiecznej fortecy w głowie syna. Jak weźmiesz się za nich po kolei, uda ci się. WSO, Craig, pamiętasz? WSO. Wysięk Się Oplaca”.

„Tak trzeba, Craidziu-bździu, dorzuciła swoje matka. Uda ci się i musi ci się udać”.

- Przykro mi - wymamrotał uśmiechnięty Craig do chłopca o zbielełej twarzy. - Naprawdę, naprawdę mi przykro, ale gdybyś zobaczył sprawy z mojej perspektywy, nie miałbyś pretensji.

## 12

Albert szybko zerknął w tył i spostrzegł, że idą w kierunku stanowiska sprzedaży biletów United Airlines. Jeśli nadal będzie się cofał, nie starczy miejsca na zamach tosterem. Nie może czekać.

Zaczął huśtać szybciej, rękę owiniętą końcówką obrusa miał mokrą od potu.

Craig dojrzał w ciemności ruch, ale nie mógł wypatrzeć, czym chłopak macha. Nie mógł pozwolić, żeby nabrało to znaczenia. Zebrał się w sobie i skoczył.

- Muszę do Bostonu! - zapiał. - Muszę do...

Oczy Alberta dostosowywały się już do ciemności i dostrzegł atak. Toster wszedł właśnie w tylną część łuku. Zamiast strzelić kiścią w przód, żeby zmienić kierunek ruchu, Albert poszedł ramieniem za ciężarem, zawinął nim nad głową przesadnym gestem, jak zawodnik baseballu rzucający piłkę. Równocześnie zrobił krok w lewo. Kawał metalu na końcu obrusa wykonał potężny zamach, mocno wciskany w kieszeń siłą odśrodkową. Craig dopomógł sprawie, robiąc krok w przód i wchodząc w zasięg spadającego łukiem toster. Toster werznął mu się w czoło i garbek nosa. Rozległ się mocny, głuchy trzask.

Craig zawył w koszmarnym bólu i upuścił nóż do cięcia papieru. Podniósł ręce do twarzy i zatoczył się w tył. Krew ze złamanego nosa tryskała spomiędzy palców jak woda z rozwalonego hydrantu. Albert był przerażony tym, co zrobił, ale jeszcze bardziej przerażała go myśl, co się stanie, jeśli nie dokończy dzieła teraz, kiedy Toomy został ranny. Zrobił więc następny krok w lewo i toster śmignął w bok. Przeciął powietrze jak rzemień bata i z cienkim tąpnięciem wylądował na mostku Craiga. Craig padł w tył, nie przestając wyć.

Albert As Kaussner miał w głowie tylko jedną myśl. Wszystkie inne rozpierchły się i zapadły w wir kolorów, obrazów i emocji.

„Muszę go uśpić albo wstanie i mnie zabije! Muszę go uśpić albo wstanie i zabije!”.

Toomy nie miał już broni: leżała, połyskując na wykładzinie. Albert nadepnął nóż mokasynem i znów wypalił z toster, tym razem w dół; wykonał sztywny, staroświecki ukłon kamerdynera, witającego członka rodziny królewskiej. Metal na końcu obrusa uderzył w chwytające kurczowo powietrze usta Craiga Toomy'ego. Trzasnęło, jakby pękła kieliszek owinięty w chusteczkę do nosa.

„Och, Boże, pomyślał Albert. To były jego zęby”.

Craig bezradnie wił się na podłodze. Wyglądał strasznie, może tym straszniej, że światło było tak słabe. Jego koszmarna, niespożyta żywotność miała w sobie coś monstrualnego, owadziego.

Zacisnął rękę na mokasynie Alberta. Chłopak cofnął stopę z noża z cichym okrzykiem obrzydzenia. Craig wciąż wyciągał rękę. Między oczami, zamiast nosa, miał pękniętą mięsną bulwę. Ledwo, ledwo dostrzegał Alberta: obraz zaćmiewała szeroka korona białego światła. Jednostajna wysoka, zawodząca nuta dzwoniła mu w głowie niby kontrolny sygnał dźwiękowy tv, podkreślony do maksimum.

Nie mógł już zrobić nikomu żadnej krzywdy, ale Albert tego nie wiedział. W panice znów spuścił toster na głowę Craiga. Kiedy spiralki urwały się, rozległ się metaliczny chrzęsto-klekot.

Craig znieruchomiał.

Albert stał nad nim, łąpczywie wciągał powietrze, obciążony obrus zwisał mu z ręki. Posunął się dwoma długimi, niepewnymi krokami do drzwi, skłonił głęboko raz jeszcze i zwymiotował na podłogę.

### 13

Brian przeżegnał się, odsuwając kciukiem czarną plastikową osłonę z końcówki INS 767. Na wpół oczekiwał, że ekran będzie gładki i pusty. Spojrzał uważnie... i odetchnął z głęboką ulgą.

OSTATNI PROGRAM ZAKOŃCZONY informowały go chłodne, niebieskozielone litery, a poniżej:

NOWY PROGRAM? T/N

Brian stuknął T, a następnie:

ODWRÓCIĆ AP 29: LAX/LOGAN

Ekran ściemniał na moment. Potem:

ZMIANY W ODWROTNYM PROGRAMIE AP 2 9? T/N

Brian stuknął T.

WPROWADZANIE ZMIAN informował go ekran, a po niecałych pięciu sekundach:

PROGRAM ZAKOŃCZONY

- Kapitanie Engle?

Obrócił się. W drzwiach kokpitu stała Bethany. W świetle lamp kabiny głównej wyglądała blado i mizernie.

- Jestem trochę zajęty, Bethany.

- Dlaczego oni nie wracają?

- Skąd mogę wiedzieć.

- Pytałam Boba... pana Jenkinsa, czy widzi kogoś wewnątrz terminalu, i powiedział, że nie. A co, jeśli oni wszyscy nie żyją?

- Jestem pewien, że żyją. Może idź do niego? Będzie wam różnie. Ja mam tu jeszcze coś do zrobienia.

„Przynajmniej na to liczę”.

- Boi się pan?

- Tak. Pewnie. Uśmiechnęła się słabo.

- Od razu mi lepiej. Ciężko bać się samemu. Całkiem strasznie. No to sobie pójdę.

- Dzięki. Jestem pewien, że oni zaraz wrócą. Wysła. Brian powrócił do monitora INS i wystukał:

CZY SĄ JAKIEŚ PROBLEMY Z TYM PROGRAMEM?

Uderzył klawisz ENTER.

ŻADNYCH PROBLEMÓW. DZIĘKUJĘ ZA LATANIE AMERICAN PRIDE.

- Ależ proszę, bardzo mi miło - wymruczał Brian i otarł czoło. „A teraz, pomyślał, żeby tylko paliwo zapaliło”.

**14**

Bob usłyszał kroki na trapie i obrócił się szybko. To tylko schodząca wolno i ostrożnie Bethany. Ale zdenerwowanie go nie opuściło. Hałas dobiegający ze wschodu stopniowo wzrastał.

Zbliżał się.

- Hej, Bethany. Poczęstujesz mnie jeszcze?

Podawała mu sflaczałą paczkę, potem sama wzięła papierosa. Wsadziła przedtem książeczkę eksperymentalnych zapalek Alberta pod celofan opakowania i kiedy teraz spróbowała zapalić, zapałka zapłonęła szybko.

- Dali jakiś znak?

- Cóż, zależy, co się rozumie przez „jakiś znak” - ostrożnie powiedział Bob. - Wydaje mi się, że słyszałem jakieś krzyki tuż przed twoim przyjściem.

Faktycznie słyszał wrzask - dziki wrzask, mówiąc elegancko - ale nie widział powodu, żeby mówić o tym dziewczynie. Była tak samo przestraszona jak i on. No a Albert chyba zaczął jej się podobać.

- Mam nadzieję, że z Dinah wszystko będzie w porządku - powiedziała - ale nie wiem. Ciachnął ją naprawdę zdrowo.

- Widziałaś się z kapitanem? Bethany skinęła głową.

- Właściwie to mnie wykopał. Zdaje się, programuje swoje urządzenia czy coś.

Bob Jenkins kiwnął statecznie głową.

- Mam nadzieję.

Rozmowa utknęła. Oboje spoglądali na wschód. Nowy, jeszcze bardziej złowróżbny hałas doszedł do chrzęsto-zgrzytania: wysoki, dziwnie mechaniczny, martwy krzyk. Słyszając go, Bob pomyślał o niedosmarowanej automatycznej przekładni.

- Jest teraz dużo bliżej, no nie?

Bob przytaknął niechętnie. Zaciągnął się papierosem i żarzący koniuszek na moment oświetlił parę zmęczonych, wylękłych oczu.

- Jak pan myśli, panie Jenkins, co to jest? Potrząsnął niechętnie głową.

- Dziewczyno droga, mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.



Z połowy schodów Nick zobaczył zgiętą postać przed rzędem nieczynnych telefonów. Nie mógł stąd ocenić, czy to Albert, czy Craig Toomy. Sięgnął do prawej kieszeni, pomagając sobie lewą ręką, aby zapobiec przypadkowemu brzęknięciu, i na dotyk wybrał dwie ćwierćdolarówki. Zacisnął prawą dłoń w pięść i wsunął monety między palce, tworząc prowizoryczny kastet. Schodził dalej w dół. Postać przy telefonach podniosła głowę. Był to Albert.

- Niech pan nie wejdzie w rzygowiny - powiedział słabym głosem.

Nick wrzucił ćwierćdolarówki z powrotem do kieszeni i szybko podszedł do chłopca. Stał, opierając ręce na kolanach jak starzec, który przecenił swą kondycję fizyczną. Nick czuł mocny, gorzki smród wymiocin. Ten smród i cuchnącą potem woń strachu bijącą od chłopca znał aż za dobrze. Poznał to na Falklandach, a jeszcze bliżej w Irlandii Północnej. Objął go ramieniem. Albert wyprostował się bardzo wolno.

- Gdzie oni, Asie? - spokojnie zapytał Nick. - Gaffney i Toomy. Gdzie oni są?

- Pan Toomy jest tu. - Wskazał na zmięty kształt na podłodze. - Pan Gaffney jest w biurze służb lotniska. Myślę, że obaj nie żyją. Pan Toomy był w biurze. Za drzwiami chyba. Zabił pana Gaffneya, bo pan Gaffney wszedł pierwszy. Gdybym ja wszedł pierwszy, zabiłby mnie.

Przełknął z trudem ślinę.

- Więc ja zabiłem pana Toomy'ego. Musiałem. Chciał mnie załatwić, kojarzysz? Znalazł gdzieś inny nóż i chciał mnie załatwić. - Mówił tonem, który można było mylnie wziąć za obojętny, ale Nick nie dał się nabrać. I nie obojętność widział na białej plamie twarzy Alberta.

- Potrafisz się zebrać, Albercie? - spytał Nick.

- Nie wiem. Nigdy przedtem nie zabiłem nikogo i... - Albert załkał żałośnie.

- Wiem - powiedział Nick. - To straszna rzecz, ale do przeżycia. Wiem. I musisz ją przeżyć, Asie. Mamy wiele kilometrów do przebycia, zanim położymy się spać, i nie ma czasu na terapię. Ten hałas rośnie.

Zostawił Alberta i poszedł do zmiętej postaci na podłodze. Craig Toomy leżał na boku, podniesionym ramieniem częściowo zasłaniając twarz. Nick obrócił go na plecy, popatrzył, gwizdnął cicho. Toomy wciąż żył - Nick słyszał charkot - ale Anglik był gotów założyć się o swoje konto, że facet tym razem nie mydli im oczu. Jego nos nie był złamany: rozpułynał się. Usta tworzyły krwawą dziurę obrzeżoną potrzaskanymi pieńkami zębów. A

niepokojąco głębokie zagłębienie na środku czoła sugerowało, że Albert dokonał tu daleko idącego przemodelowania czaszki.

- On to wszystko zrobił tosterem? - zamruczał Nick. - Jezus, Maria, wszyscy święci pańscy!

Wstał i podniósł głos.

- On nie umarł, Asie.

Kiedy Nick odszedł, Albert wyprostował się powoli i podszedł o krok.

- Nie?

- Sam posłuchaj. Skreślony ze służby czynnej, ale wciąż w rezerwie. - „Z tym że nie na długo, sądząc po odgłosach, jakie wydaje”, dodał w myśli. - Sprawdźmy, co z panem Gaffneyem, może też szczęśliwie się wymigał. A co z noszami?

- He? - Albert spojrzał na Nicka, jakby ten odezwał się w obcym języku.

- Nosze - cierpliwie powtórzył Nick, kiedy szli do otwartych drzwi służb lotniska.

- Znaleźliśmy je - powiedział Albert.

- Znaleźliście? Znakomicie! Albert minął próg.

- Chwileczkę - zamruczał. Przykucnął i poszukał zapalniczki Dona. Znalazł ją po jakiejś chwili. Była jeszcze ciepła. Wstał.

- Zdaje mi się, że pan Gaffney jest po drugiej stronie biurka.

Obeszli biurko, przestępując stosy papieru i koszyk PRZYCHODZĄCE/WYCHODZĄCE. Albert uniósł zapalniczkę i potarł kóleczek. Za piątym razem knot złapał iskrę i zapłonął niemrawo na kilka sekund. Wystarczyło. Po prawdzie, Nickowi wystarczyło to, co zobaczył w świetle iskier, ale nie chciał tego mówić Albertowi. Don Gaffney leżał rozciągnięty na plecach, z otwartymi oczami, na twarzy miał przyklejony wyraz straszliwego zaskoczenia. Ostatecznie jednak nie wymigał się.

- Jak się to stało, że Toomy cię nie dopadł? - spytał po chwili Nick.

- Wiedziałem, że tu siedzi. Zanim jeszcze pchnął pana Gaffneya, wiedziałem.

Głos miał ochryply i drżący, ale czuł się trochę lepiej. Teraz, kiedy wreszcie stanął przed biednym panem Gaffneyem, spojrzał mu w oczy, jeśli można tak powiedzieć - poczuł się trochę lepiej.

- Słyszałeś go?

- Nie... zobaczyłem te tam. Na biurku. - Wskazał kupkę pasków.

- Szczęście, że zobaczyłeś. - Nick położył w ciemnościach dłoń na ramieniu Alberta. - Zaslugujesz na to, żeby żyć, koleżko. Zarobiłeś na ten przywilej. Pogodzisz się z tym?

- Spróbuję - powiedział Albert.

- Zrób to, stary byku. To zaoszczędza wielu koszmarów. Patrzysz na człowieka, który zna się na rzeczy.

Albert skinął głową.

- Zbierz się w kupę, Asie. W tym rzecz. Zbierz się w kupę i wszystko będzie grać.

- Panie Hopewell?

- Tak?

- Czy zechciałby pan mnie tak nie nazywać? Myślę... - W gardle mu zaschło i chrząknął gwałtownie. - Myślę, że przestało mi się to podobać.

## 16

Trzydzieści sekund później wynurzyli się z mrocznej jaskini, w którą tymczasem zamieniło się biuro służb lotniska. Nick niósł złożone nosze. Kiedy doszli do telefonów, podał nosze Albertowi, który przyjął je bez słowa. Obrus leżał na podłodze półtora metra od Toomy'ego, który chrapliwie chwycił powietrze wielkimi urywanymi haustami.

Czasu było mało, czasu było superkurewsko mało, ale to Nick musiał zobaczyć. Musiał.

Podniósł obrus i wyjął toster. Jedna ze spiral grzewczych zahaczyła o szparę na chleb, druga wypadła na podłogę. Brzęczyk i rączka do wyrzucania chleba odpadły. Jeden z rogów obudowy ugiął się. Lewa strona miała głębokie, okrągłe wgłębienie.

„Ta część weszła w kolizję z kinolem przyjaciela Toomy'ego, pomyślał Nick. Zdziwiałające”. Potrząsnął tosterem i posłuchał brzęku latających wewnątrz części.

- Taki toster... - nie mógł wyjść z podziwu. - Mam przyjaciół, Albercie - przyjaciół z branży - którzy by w to nie uwierzyli. Mnie samemu trudno w to uwierzyć. Przecież to tylko... toster.

Albert odwrócił głowę.

- Wyrzuć to pan - zachrypiał. - Nie chcę na to patrzeć. Nick spełnił prośbę chłopaka, a potem klepnął go po ramieniu.

- Zabierz nosze na górę. Zaraz do was dobieję.

- Co pan chce zrobić?

- Chcę zobaczyć, czy w biurze nie ma czegoś, co może się nam przydać.

Albert spoglądał na niego przez chwilę, ale w ciemności nie mógł odczytać wyrazu twarzy Nicka.

- Nie wierzę panu - powiedział w końcu.

- I nie musisz - odrzekł Nick dziwnie łagodnym głosem. - Dalej, Asie... Albercie, przepraszam. Niedługo do was dobieję. I nie oglądaj się. Albert wpatrywał się w niego przez

dłuższą chwilę i z opuszczoną głową zaczął dreptać zamarłymi schodami, nosze jak walizka zwisały mu z prawej ręki. Nie oglądał się.

## 17

Nick czekał, aż chłopak zniknie w mroku. Potem z wolna podszedł do Craiga Toomy'ego i kucnął obok. Toomy nadal był nieprzytomny, ale jego oddech jakby się uspokoił. Niewykluczone, że po tygodniu, dwóch dobrej opieki lekarskiej odzyskałby siły. Dowiódł przynajmniej jednego: miał zadziwiająco twardy łeb.

„Szkoda wielka, że mózg w środku masz taki miękki, koleżko”, pomyślał Nick. Wyciągnął ręce, zamierzając położyć jedną na ustach Toomy'ego, a drugą na nosie - lub na tym, co po nim zostało. Zabierze to niespełna minutę i nie będą już więcej musieli się przejmować panem Craigiem Toomym. Pozostali z odrazą potępiliby ten czyn - nazwaliby morderstwem z zimną krwią - ale Nick traktował rzecz tylko jako działanie zabezpieczające. Toomy już raz ocknął się ze stanu całkowitej utraty przytomności i oto jedna osoba spośród nich nie żyła, a druga była ciężko, może śmiertelnie ranna. Podejmowanie ryzyka po raz drugi miało się z celem.

I jeszcze coś. Jeśli zostawi Toomy'ego przy życiu, jakie życie go tu czeka? Krótka, koszmarna egzystencja w zamarłym świecie? Szansa na oddychanie zamierającym powietrzem pod nieruchomym niebem, które przestało zsyłać jakkolwiek pogodę? Spotkanie z tym, co zbliża się ze wschodu... hałasując jak kolonia gigantycznych, łupieżczych mrówek?

Nie. Najlepiej niech umrze. Nie będzie cierpiał. Już to jest niezłe.

- Lepsze niż to, na co drań zasłużył - powiedział Nick, ale nadal się wahał.

Przypomniał sobie małą dziewczynkę podnoszącą na niego ciemne niewidzące oczy.

„Nie zabijaj go!”. Nie prosiła. To był rozkaz. Zebrała ostatek sił z jakiegoś ukrytego zapasu, żeby wydać rozkaz. „Wiem tylko, że jest nam potrzebny”.

„Dlaczego tak cholernie o niego dba?”.

Jeszcze chwilę patrzył, przykucnięty, na zrujnowaną twarz Craiga Toomy'ego. A kiedy Rudy Warwick zawołał z górnej platformy schodów, podskoczył, jakby usłyszał głos samego diabła.

- Panie Hopewell? Nick?! Idziesz?!

- Na jednej nodze! - odkrzyknął przez ramię. Znow sięgnął do twarzy Toomy'ego i znow na wspomnienie jej ciemnych oczu zatrzymał się.

„Jest nam potrzebny”.

Nagle wstał zostawiając Craiga Toomy'ego jego pełnej męczarni walce o oddech.

- Idę, idę! - zawołał i lekko pobiegł schodami w górę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

**Tankowanie. Wczesny świt. Nadejście langolierów. Anioł poranka. Chronometrażysci wieczności. Odlot.**

### 1

Bethany odrzuciła mdłego papierosa i dotarła do połowy trapu, kiedy Bob Jenkins zawołał:

- Zdaje się, że wychodzą!

Odwróciła się i zbiegła w dół. Rządek czarnych kropek wyłonił się z rampy bagażowej i czołgał po przenośniku. Razem z Bobem pobiegła im na spotkanie.

Dinah przypięto pasami do noszy. Rudy niósł jeden koniec, Nick drugi. Szli na kolanach i Bethany widziała, że łysy mężczyzna ciągnie resztkami sił.

- Pan pozwoli, że pomogę - powiedziała i Rudy chętnie oddał swój koniec noszy.

- Staraj się nią nie trząść - powiedział Nick, spuszczać nogi z przenośnika. - Albert, pomóż Bethany wejść po schodach. Musimy utrzymać ten interes jak najrówniej.

- Jest w ciężkim stanie? - spytała Bethany Alberta.

- Niedobrym - powiedział ponuro. - Nieprzytomna, ale wciąż przy życiu. Tyle wiem.

- Gdzie Gaffney i Toomy? - spytał Bob, kiedy szli przez płytę lotniska. Musiał lekko podnieść głos, żeby być słyszany: chrupanie stało się głośniejsze, a wizg zniszczonej przekładni urósł w dominującą, doprowadzającą do szaleństwa nutę.

- Gaffney nie żyje, a Toomy może też - powiedział Nick. - Omówimy to później, jeśli chcecie. Teraz nie ma na to czasu. - Zatrzymał się u stóp trapu. - Wasza dwójka, pilnujcie się, żeby nie opuścić noszy.

Wolno i ostrożnie wnosili ciężar po schodach, Nick tyłem, zgięty, Albert i Bethany wzniesli nosze na wysokość czoła, szli biodro w biodro wąskim trapem. Bob, Rudy i Laurel za nimi. Laurel odezwała się tylko raz, pytając, czy Toomy nie żyje. Kiedy Nick powiedział jej, że żyje, przyjrzała mu się uważnie, a potem skinęła z ulgą głową.

Nick doszedł do szczytu trapu i wsunął swój koniec noszy do samolotu. Brian pojawił się w drzwiach kokpitu.

- Chcę ją położyć w pierwszej klasie - powiedział Nick - ten koniec w górze, żeby miała głowę wyżej. Da się?

- Żaden problem. Zablokujemy nosze, przesuwając pasy bezpieczeństwa przez zagłówek. Widzisz?

- Tak. - I do Alberta i Bethany: - Wchodźcie. Dobrze wam idzie.

Krew rozsmarowana na policzkach i podbródku Dinah odbijała się ostro w światłach kabiny od żółtobiałej skóry. Oczy miała zamknięte, powieki w delikatnym odcieniu lawendy. Pod pasem Warwicka (w którym Nick przebił nową dziurkę, daleko od pozostałych) prowizoryczny opatrunek zabarwił się na ciemnoczerwono. Brian słyszał odgłos, z jakim zapowietrza się słomka, gdy kończy się napój w szklance. Tak oddychała teraz Dinah.

- Niedobrze, prawda? - cicho zapytał.

- No cóż, to płuco, nie serce, i bynajmniej nie krwawi tak szybko, jak się tego obawiałem... ale tak, jest niedobrze - odpowiedział Nick.

- Wyżyje do powrotu?

- Skąd, do diabła, mam to wiedzieć?! - nagle rozkrzyczał się Nick. - Jestem żołnierz, nie cholerny konował!

Wszyscy zamarli, patrząc na niego czujnie. Laurel znów dostała gęsiej skórki.

- Przepraszam - wymruczał Nick. - Podróże w czasie diabelnie działają na nerwy, nie? Bardzo przepraszam.

- Nie ma potrzeby przeproszać - powiedziała Laurel i dotknęła jego ramienia. - Wszyscy jesteśmy zestresowani.

Uśmiechnął się ze znużeniem i pogładził ją po włosach.

- Słodka z ciebie dziewczyna, Laurel, bez dwóch zdań. Chodźmy - zamocujmy nosze i zobaczymy, co się da zrobić, żeby wynieść się stąd w cholerę.

## 2

Pięć minut później nosze Dinah zostały bezpiecznie umocowane do dwóch foteli klasy pierwszej. Pasażerowie zebrali się w ciasnym kółku wokół Briana w przedziale służbowym.

- Musimy zatankować samolot - mówił. - Zaraz włączę drugi silnik i podsunę się jak najbliżej do tego 727-400 przy rękawie. - Wskazał na szarą bryłę jednostki Delta. - Ponieważ nasz samolot siedzi wyżej, mogę ustawić nasze prawe skrzydło dokładnie nad lewym skrzydłem 727. Kiedy będę się tym zajmował, we czwórkę sprowadzicie wózek z węzami do przepompowywania paliwa - tamten stojący obok drugiego rękawa. Widziałem go, zanim się ściemniło.

- Może lepiej zbudźmy Śpiącą Królową z tyłu samolotu i niech nam pomoże - powiedział Bob.

Brian zastanowił się nad tym krótko i potrząsnął głową.

- Ostatnia rzecz, jakiej nam teraz trzeba, to jeszcze jeden przerażony, zdeorientowany pasażer do niańczenia... i z morderczym kacem na dodatek. Obejdziemy się bez niego. W razie konieczności dwóch silnych mężczyzn potrafi popchnąć wózek. Widziałem to. Tylko

sprawdźcie dźwignię zmiany biegów. Musi być na luzie. Powinien stanąć dokładnie pod zachodzącymi na siebie skrzydłami. Jasne?

Wszyscy kiwnęli głowami. Brian przyjrzał się im i uznał, że Rudy i Bethany jeszcze ciągle są zbyt wypompowani walką z noszami, żeby się przydać.

- Nick, Bob i Albert. Wy do pchania. Laurel za kółko. W porządku?

Kiwnęli głowami.

- No, to marsz do roboty. Bethany? Panie Warwick? Zejdźcie z nimi. Odsuńcie trap, a kiedy przemieszczę samolot, ustawcie go obok skrzydeł. Skrzydeł, nie drzwi. Jasne?

Kiwnęli głowami. Brian dostrzegł, że po raz pierwszy, odkąd wylądowali, przejaśniały i zabłyśły im oczy. „Oczywiście, pomyślał. Teraz mają coś do roboty. I ja też, dzięki Bogu”.

### 3

Kiedy zbliżali się do wózka z węzami, stojącego po lewej stronie wolnego rękawa, Laurel uświadomiła sobie, że go widzi.

- Boże mój - jęknęła. - Znów światło dnia. Ile czasu upłynęło od zapadnięcia zmroku?

- Niecałe czterdzieści minut, według mojego zegarka - powiedział Bob - ale mam wrażenie, że nie pokazuje dokładnie czasu, kiedy jesteśmy poza samolotem. Zresztą, mam też wrażenie, że czas nie gra tu roli.

- Co stanie się z panem Toomym? - spytała Laurel. Doszli do wózka. Był to mały pojazd z bakiem z tyłu, odkrytą szoferką i grubymi czarnymi węzami zwiniętymi po obu stronach karoserii. Nick objął Laurel w pasie i obrócił do siebie. Przez moment mignęła jej szalona myśl, że chce ją pocałować, i serce zabiło jej żywiej.

- Nie wiem, co się z nim stanie - powiedział. - Wiem tyle, że kiedy sprawa stanęła na ostrzu noża, zrobiłem, co chciała Dinah. Zostawiłem go nieprzytomnego na podłodze. Może być?

- Nie - rzekła trochę niepewnym głosem - ale zdaje mi się, że musi wystarczyć.

Uśmiechnął się lekko, kiwnął głową i objął ją mocniej.

- Chciałabyś pójść ze mną na kolację, kiedy... i jeżeli... uda się nam dolecieć do LA?

- Tak - powiedziała od razu. - Będę się miała na co cieszyć. Skinął znów głową.

- Ja też. Ale dopóki nie zatankujemy tego samolotu, nigdzie nie polecimy. - Zajrzał do kabiny wózka. - Jak myślisz, znajdziesz tu luz?

Laurel przyjrzała się drążkowi wystającemu z podłogi.

- Przykro mi, ale umiem jeździć tylko z automatyczną skrzynią biegów.

- Ja to zrobię.

Albert wskoczył do szoferki, wcisnął sprzęgło i spojrział na schemat na gałce dźwigni zmiany biegów. Drugi silnik 767 ożył z jękiem, kiedy Brian zwiększył moc. Łoskot był bardzo głośny, ale Laurel odkryła, że wcale jej to nie przeszkadza. Wyparł tamten hałas, przynajmniej chwilowo. Nie mogła oderwać oczu od Nicka. Naprawdę zaprosił ją na kolację? Już teraz trudno jej było w to uwierzyć. Albert zmienił biegi, poruszył dźwignią.

- Załatwione - powiedział i zeskoczył na ziemię. - Ładuj się, Laurel. Jak popchniemy, musisz mocno ściągnąć kierownicę w prawo i zatoczyć koło.

- W porządku.

Obejrzała się nerwowo w tył na trójkę mężczyzn, stojących jeden obok drugiego za wózkiem. Nick był pośrodku.

- Wszyscy gotowi? - spytała. Albert i Bob skinęli głowami.

- No, to dobrze - razem do dzieła. Bob przygotował się na to, że będzie pchał ile sił, i niech szlag trafi ból w krzyżach, który prześladował go przez ostatnie dziesięć lat, ale wózek toczył się z absurdalną łatwością. Laurel z trudem ściągnęła sztywną, oporną kierownicę. Żółty wózek zakreślił mały krąg na szarej płycie lotniska i poturlał się do 767, który z wolna toczył się na stanowisko po prawej stronie odrzutowca Deltę.

- Różnica między tymi dwoma samolotami jest niewiarygodna - powiedział Bob.

- Tak - przytaknął Nick. - Miałeś rację, Albercie. Może i zawędrowaliśmy daleko od teraźniejszości, ale w jakiś niepojęty sposób ten samolot wciąż do niej należy.

- A my też - powiedział Albert. - Przynajmniej do tej pory. Turbiny 767 zamarły, pozostał tylko równy niski łoskot APU -

Brian włączył teraz wszystkie cztery. Nie zagłuszały hałasu ze wschodu. Poprzednio był zwarty, jednolity, ale rosnąc, rozpadał się; dźwięki przenikały się wzajemnie, a powstający chór zaczął się kojarzyć z czymś koszmarnie znajomym.

„Zwierzęta w porze karmienia, pomyślała Laurel i zadrżała. To właśnie przypomina ten odgłos - hałas, z jakim zwierzęta żrą karmę, hałas przepuszczony przez wzmacniacz i rozdęty do groteskowych rozmiarów”.

Zadrżała gwałtownie bezradna wobec żarłocznych szczęk paniki, żywiołu, który druzgotał ją równie mocno jak napór zbliżających się dźwięków.

- Może gdybyśmy to zobaczyli, potrafilibyśmy sobie z tym poradzić - powiedział Bob, kiedy znów zabrali się do pchania wózka.

Albert zerknął na niego przelotnie i rzekł: - Nie wydaje mi się.



Brian pojawił się w przednich drzwiach 767 i gestem wskazał Bethany i Rudy'emu, żeby podsunęli mu trap. Kiedy to zrobili, wszedł na podest i wskazał zachodzące na siebie skrzydła. Gdy podsuwali go w tym kierunku, wsłuchiwał się w rosnący hałas i wspominał film, który widział dawno temu na nocnym seansie. W filmie Charlton Heston był właścicielem wielkiej plantacji w Ameryce Południowej. Plantacja została zaatakowana przez szeroki, ruchomy dywan wojowniczych mrówek, zjadających wszystko, co napotkały na drodze: drzewa, trawę, budynki, bydło, ludzi. Jak się ten film nazywał? Nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że Charlton próbował coraz to bardziej rozpaczliwych sztuczek, żeby powstrzymać mrówki lub przynajmniej opóźnić ich marsz. Pobił je w końcu? Brian nie mógł sobie przypomnieć, ale nagle znów zobaczył obraz widziany we śnie, niepokojący, gdyż niekojarzący się z niczym. Czerwony złowróżbny napis: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

- Stać! - zawołał do Rudy'ego i Bethany.

Przestali pchać i Brian ostrożnie zszedł po schodach, aż jego głowa znalazła się na jednym poziomie ze spodem skrzydła odrzutowca Deltę. Zarówno 767, jak i 727 były zaopatrzone w pojedyncze wlewy paliwa na lewym skrzydle. Patrzył teraz na małą kwadratową pokrywę luku z wymalowanymi napisami: WLOT PALIWA i SPRAWDŹ ZAWÓR ODCINAJĄCY PRZED TANKOWANIEM. A jakiś żartowniś dokleił żółtego, okrągłego śmiechusa na pokrywie luku. Kompletnie surrealistyczny akcent.

Albert, Bob i Nick dopchnęli wózek z węzami i spoglądali teraz w górę. W ginącym mroku ich twarze rysowały się brudnoszarymi plamami. Brian schylił się i zawołał do Nicka:

- Tam są dwa węże po obu stronach wózka! Dawaj krótszy! Nick podał wąż. Brian przejął go od Nicka i tą samą ręką złapał się poręczy trapu. Schylił się pod skrzydło i otworzył luk wlewu paliwa. Stalowy wtyk stykowy sterczał jak paluch. Brian pochylił się jeszcze bardziej... i pośliznął się. Złapał drugą ręką poręcz.

- Czekaj, koleżko - powiedział Nick, wchodząc po trapie. - Pomoc nadchodzi. Zatrzymał się trzy stopnie poniżej Briana i złapał go za pas.

- Wyświadczyć mi przysługę, dobrze?

- A jaką?

- Nie pierdź.

- Spróbuję, ale nie obiecuję.

Znów się schylił i ogarnął wzrokiem tych na dole. Rudy i Bethany dołączyli do Boba i Alberta. Stali pod skrzydłem.

- Odsuńcie się, chyba że chcecie prysnąć z benzyny lotniczej! - zawołał. - Nie mogę operować zaworem odcinającym 727, może się połączyć!

Czekając, aż się odsuną, pomyślał: „Oczywiście niekoniecznie. Zbiorniki w tym interesie mogą być suche jak cholerny pieprz”.

Znów się pochylił. Teraz, pewnie ubezpieczony przez Nicka, pracował obiema dłońmi. Wcisnął końcówkę węża we wlew paliwa. Na wszystkie strony trysnęła fontanna paliwa lotniczego - w tych okolicznościach bardzo mile widziana fontanna - a potem rozległ się twardy, metaliczny trzask. Brian zablokował końcówkę, wykonując jedną czwartą obrotu w prawo, i słuchał z satysfakcją, jak paliwo płynie w dół do wózka, gdzie zamknięty zawór zatamuje bieg.

- W porządku - odetchnął, odchylając się na trapie. - Jak do tej pory, gra.

- Co teraz, koleżko? Jak włączymy wózek? Przez kabel z samolotu czy jak?

- Wątpię, czyby się nam udało, nawet gdyby ktoś pamiętał o kablu złączowym - powiedział Brian. - Na szczęście, wózek nie musi być włączony. W gruncie rzeczy, to tylko urządzenie do filtrowania i przekazywania paliwa. Zamierzam użyć pomocniczych zespołów silnikowych z naszego samolotu. Wyszają paliwo z 727 tak, jak wysysa się przez słomkę lemoniadę ze szklanki.

- Jak długo to potrwa?

- W optymalnych warunkach - co oznacza pompowanie przy wykorzystaniu energii dostarczanej z lotniska - można w minutę przeładować osiemset kilogramów paliwa. Nasz manewr trudniej ocenić. Poprzednio nigdy nie musiałem korzystać w tym celu z APU. Przynajmniej godzinę. Może dwie.

Nick z niepokojem spojrział w kierunku wschodnim, a kiedy się odezwał, mówił ciszej:

- Zrób mi przysługę, koleżko: nie mów o tym nikomu.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie sądzę, żebyśmy mieli dwie godziny. Może nie mamy nawet jednej.

**5**

Dinah Catherine Bellman była teraz sama. Otworzyła oczy. I zobaczyła.

- Craigu - szepnęła.

**6**

„Craigu”.

Ale dźwięk własnego imienia był mu nienawistny. Kiedy ludzie wołali go po imieniu, zawsze zdarzało się coś złego. Zawsze. „Craigu! Wstań, Craigu!”.

Nie. Nie wstanie. Głowa przemieniła się w obszerny, podzielony na komory ul; ból był i szalał w każdej nieregularnej komorze, każdym krętym korytarzu. Pszczoły nadleciały. Pszczoły uznały, że nie żyje. Wtargnęły do głowy i zamieniły czaszkę w ul. A teraz... teraz...

„Wyczuwają moje myśli i chcą zażądlić je na śmierć”, pomyślał i jęknął chrapliwie, rozdzierająco. Pokryte krwią dłonie powoli otwierały się i kurczyły na wykładzinie holu na parterze. „Dajcie mi umrzeć, och, proszę, dajcie mi tylko umrzeć”.

„Craig, musisz wstać! Już!”.

To był głos ojca, ojca, któremu nigdy nie potrafił odmówić ani mu się oprzeć. Ale odmówił mu teraz. Oprze się.

- Idź precz - zachrypiał. - Nienawidzę cię. Idź precz.

Ból zagrzemiał mu w głowie złotym piskiem trąbek. Roje pszczoł, rozwścieczonych i kłujących, wleciały razem z dźwiękiem z czasz głosowych trąbek.

„Och, dajcie mi umrzeć, pomyślał. Och, dajcie mi umrzeć. To piekło. Jestem w piekle pszczoł i bigbandowej blachy”.

„Wstawaj, Craidziu-bździu. To twoje przyjęcie urodzinowe i wiesz co? Jak tylko wstaniesz, ktoś da ci piwo i w łeb... bo W PREZENCIE dostaniesz W ŁEB!”.

- Nie - powiedział. - Koniec z biciem.

Przesunął rękami po wykładzinie. Usiłował otworzyć oczy, ale były zaklejone skrzepłą krwią.

- Jesteście martwi. Oboje jesteście martwi. Nie możecie mnie tłuc i nie możecie mi nic rozkazać. Oboje jesteście martwi i ja też chcę być martwy.

Ale nie był martwy. Gdzieś zza tych upiornych głosów słyszał wycie silników... i ten inny hałas. Odgłos maszerujących langolierów. Biegnących.

„Craigu, wstań. Musisz wstać”.

Zrozumiał, że to nie głos ojca ani matki. To tylko jego biedny, poraniony umysł usiłował oszukać sam siebie. To był głos z... (góry?) z jakiegoś innego miejsca, jakiegoś wysokiego, jasnego miejsca, w którym ból był mitem, a ciśnienie snem.

„Craigu, oni przyszli do ciebie - wszyscy ci ludzie, których chciałeś spotkać. Oni opuścili Boston i przyszli tu. Taki jesteś dla nich ważny. Ciągłe stać cię na to, Craigu. Wciąż możesz wyjść z gry. Jeszcze czas, żebyś wręczył im swoją dokumentację i wystąpił z armii ojca... i zrobisz to, jeśli jesteś mężczyzną. W tym sęk. Zrobisz to, jeśli jesteś mężczyzną”.

- Mężczyzną? - wychrypiał. - Mężczyzną? Nie wiem, kim jesteś, ale w pięćęknym kanał mnie wpuszczasz.

Znów spróbował otworzyć oczy. Klejąca się do nich gruda krwi pękła, ale nie całkiem. Udało mu się podnieść dłoń do twarzy. Potarł resztki nosa i wydał cichy, zmęczony krzyk. Trąbki w głowie zagrzmiały, a pszczoły zaszalały. Odczekał, aż minie najgorszy ból, wyprostował dwa palce i pociągnął w górę powiekę.

Korona światła płonęła nadal. Tworzyła w mroku niejasny, coś przypominający kształt.

Powoli, stopniowo i ostrożnie Craig uniósł głowę.

Zobaczył ją.

W koronie światła stała ona.

To była mała dziewczynka, ale czarne okulary zniknęły i patrzyła na niego, a w jej wzroku była dobroć.

„Postaraj się, Craigu. Wiem, że ci ciężko, ale musisz wstać - musisz. Bo oni są tu wszyscy, oni wszyscy czekają... ale nie będą czekać wiecznie. Langolierzy już się o to postarają”.

Nie stała na podłodze. Jej buciki unosiły się odrobinę nad podłogą. Jasne światło otaczało zewsząd jej postać, obrysowaną niezwykłymi promieniami.

„Chodź, Craigu. Wstań”.

Wstawał z mozołem. Bardzo to było trudne. Prawie całkiem stracił zmysł równowagi i bardzo ciężko było utrzymać głowę w górze - ponieważ, oczywiście, pełno w niej było wściekłych pszczół. Dwukrotnie upadł, ale za każdym razem rozpoczynał od nowa, zahipnotyzowany i oczarowany jaśniejącą dziewczynką, jej dobrymi oczami i obietnicą ostatecznego uwolnienia.

„Oni wszyscy czekają na ciebie, Craigu. Na ciebie. Oni czekają na ciebie”.

7

Dinah spoczywała na noszach, patrząc ślepych oczami na Craiga, gdy podniósł się na kolano, upadł na bok, próbował jeszcze raz. Jej serce było przepełnione przemożną, niewzruszoną litością wobec tego złamanego człowieka, tej drapieżnej ryby, która chciała tylko wybuchnąć. Na pokiereszowanej, pokrwawionej twarzy widziała przerażającą mieszankę uczuć: strach, nadzieję i rodzaj bezlitosnej determinacji.

„Żal mi pana, panie Toomy, pomyślała. Mimo tego, co pan zrobił, żal. Ale jest pan nam potrzebny”.

I zawołała do niego jeszcze raz, zawołała swoją własną, umierającą świadomością:

„Wstań, Craigu! Jest prawie za późno!”.

I poczuła, że to prawda.

## 8

Kiedy dłuższy z dwóch węży zawisł pod brzuchem 767, podłączony do wlewu paliwa, Brian powrócił do kokpitu, zwiększył obroty APU i zaczął wysysać do dna zbiorniki 727-400. Obserwując wskaźnik diodowy pojemności prawego zbiornika idący powoli w górę do miarki „dziesięć ton”, oczekiwał z napięciem, kiedy APU zaczną sapać i szarpać, męcząc się z paliwem, które nie chce się palić.

Wskaźnik prawego zbiornika doszedł do miarki „trzy i pół tony”. Małe silniki z tyłu samolotu zmieniły ton na ostry i wysilony.

- Co się dzieje, koleżko? - spytał Nick. Znów zajął fotel drugiego pilota. Włosy miał w nieładzie, a na nienagannej koszuli pojawiły się plamy smaru i krwi.

- APU zaczynają kosztować paliwa z 727 i nie podchodzi im - powiedział Brian. - Oby magia Alberta działała. Nick. Boję się, że może być inaczej. Nim wskaźnik doszedł do „cztery tony” na prawym zbiorniku, pierwszy APU zgasł. Na tablicy rozdzielczej zabłyśło światełko SILNIK NIE PRACUJE. Brian wyłączył zapłon APU.

- Co ty na to? - spytał Nick. Wstał i zajrzał Brianowi przez ramię.

- Będę pompował trzema pozostałymi APU i nie tracę nadziei. Drugi APU zgasł trzydzieści sekund później, a kiedy Brian wyciągnął rękę, żeby go wyłączyć, poszedł trzeci. Razem z nim wysiadły światła kokpitu; teraz słychać było tylko nieregularne dudnienie pomp hydraulicznych. Połykiwały kontrolki na desce rozdzielczej. Ostami APU wył urywanie, przyspieszał i zwalniał, trząśł samolotem.

- Wyłączam całość - powiedział Brian. Słyszał we własnym głosie ostrą, bezsilną nutę, jak u tonącego człowieka, który stracił grunt pod nogami i bezwolnie ulega prądowi. - Musimy poczekać, aż paliwo z 727 połączy się z naszym strumieniem czasu czy obramowaniem czasowym, czy co to, kurwa, jest. Nie możemy dalej z tym jechać. Kiedy siądzie ostatni APU, mocne uderzenie prądu wymaże do czysta INS, może nawet spali.

Ale kiedy Brian sięgnął do przełącznika, dźwięk pracującego silnika nagle się wyrównał. Brian obrócił się i spojrzął z niewiarą na Nicka. Nick odpowiedział spojrzeniem, a wielki, powoli rosnący uśmiech zajaśniał mu na twarzy.

- Zdaje się, że wyszliśmy z tego szczęśliwie, koleżko.

Brian uniósł ręce, zacisnął kciuki i potrząsnął pięściami w powietrzu.

- Mam nadzieję - powiedział i wrócił do tablicy rozdzielczej. Przesunął wyłączniki oznaczone APU 1, 3 i 4. Silniki zapaliły bezboleśnie. Światła kokpitu zapłonęły na powrót. Dzwonki w kabinie pasażerskiej zadzwoniły. Nick wiwatował i klepał Briana po plecach. W drzwiach zjawiała się Bethany.

- Co się dzieje? Wszystko gra?

- Zdaje mi się - powiedział Brian, nie odwracając głowy - że po prostu tym razem się nam upiekło.

## 9

Craig w końcu się wyprostował. Jaśniejąca dziewczynka stała teraz tuż nad taśmą przenośnika bagażowego. Spoglądała na Craiga z nieziemską słodyczą i czymś jeszcze... czymś, za czym tęsknił całe życie. Co to było?

Szukał słowa i w końcu znalazł.

To było współczucie.

Współczucie i zrozumienie.

Rozejrzał się. Ciemności ustępowały. Czy to znaczyło, że był nieprzytomny całą noc? Nie wiadomo. Nieistotne. Istotne było tylko to, że jaśniejąca dziewczynka sprowadziła ich - bankierów od inwestycji, specjalistów od obligacji, maklerów handlowych, wielkich macherów giełdowych. Oto zjawili się, oczekiwali wyjaśnień: w cóż to grał młody pan Craidzio-Bździo Toomy-Talalumi? I oto ekstatyczna prawda: w robienie w balona! Tak właśnie pogrywał - robił ich w balona dniami i nocami - miesiącami robił ich w balona. A kiedy im powie...

- Będą musieli mnie puścić... no nie?

„Tak, powiedziała. Ale musisz się pośpieszyć, Craigu. Musisz się pośpieszyć, zanim uznają, że nie przyjdiesz, i odejdą”.

Craig rozpoczął powolną wędrówkę. Stopy dziewczynki nie poruszały się, ale kiedy się zbliżał, jak miraż odpływała w kierunku gumowych pasków, oddzielających miejsce odbioru bagażu od zewnętrznej rampy.

I... o cudzie: uśmiechała się.

## 10

Wszyscy znaleźli się teraz w samolocie, wszyscy poza Bobem i Albertem, którzy siedzieli na schodach trapu i słuchali tego hałasu toczącego się w ich kierunku powolną, łamliwą falą.

Laurel Stevenson stała w otwartych drzwiach. Spoglądała na terminal i wciąż zastanawiała się, co powinni począć z panem Toomym, gdy Bethany pociągnęła ją z tyłu za bluzkę.

- Dinah mówi przez sen, czy jak to nazwać. Chyba majączy. Możesz podejść?

Laurel podeszła. Wystraszony Rudy Warwick siedział obok Dinah i trzymał ją za rękę.

- Nie wiem - powiedział niespokojnie, - Nie wiem, ale to wygląda na końcówkę.

Laurel położyła rękę na czole dziewczynki. Było suche i bardzo rozpalone. Krwawienie albo zmniejszyło się, albo ustało kompletnie, ale oddechy uchodziły z niej seriami żalonych świstów. Krew zaschła przy ustach jak mus truskawkowy.

- Wydaje mi się... - zaczęła Laurel.

W tym samym momencie Dinah odezwała się całkiem wyraźnie:

- Musisz się pospieszyć, zanim uznają, że nie przyjdiesz, i odejdą.

Laurel i Bethany wymieniły pełne zaskoczenia i lęku spojrzenia.

- Zdaje się, że śni o tym Toomym - Rudy zwrócił się do Laurel. - Raz wymówiła jego imię.

- Tak - powiedziała Dinah. Oczy miała zamknięte, ale poruszała lekko głową, jakby słuchała. - Tak, zostanę. Jeśli tego chcesz, zostanę. Ale pospiesz się. Wiem, że to boli, ale musisz się pospieszyć.

- Ona majaczy, prawda? - szepnęła Bethany.

- Nie - powiedziała Laurel. - Nie sędzę. Sędzę, że ona może... śni.

Ale wcale tak nie myślała. Naprawdę myślała, że Dinah (*widzi*) robi coś zupełnie innego. Wolała nie wyobrażać sobie, co to jest. Wiedziała, że może to sobie wyobrazić, ale nie zrobiła tego. Gdyż tu działo się coś niesamowitego, absolutnie niesamowitego i nie mogła oprzeć się przekonaniu, że miało to jakiś związek z (*nie zabijaj go... jest nam potrzebny*) panem Toomym.

- Zostawmy ją w spokoju - powiedziała nagle, czując suchość w ustach. - Zostawmy ją w spokoju i pozwólmy jej (*zrobić to, co ma z nim do zrobienia*) spać.

- Boże, mam nadzieję, że szybko wystartujemy - żałośnie westchnęła Bethany i Rudy położył jej pocieszająco dłoń na ramieniu.

## 11

Craig dotarł do taśmy przenośnika i upadł. Ból szalał, jakby w głowie, szyi, piersiach wiły się rozżarzone do białości stalowe liny. Próbował przypomnieć sobie, co się zdarzyło, i nie potrafił. Zbiegł w dół po stojących ruchomych schodach, ukrył się w małym pokoju, siedział w ciemności drąc paski papieru i... tu pamięć odmawiała mu posłuszeństwa.

Podniósł głowę, włosy opadły mu na oczy, spoglądał na jaśniejącą dziewczynkę, która siedziała teraz ze skrzyżowanymi nogami przed paskami gumowymi, tuż nad taśmą przenośnika. Była najpiękniejszą istotą, jaką spotkał w życiu - skąd przyszło mu do głowy, że jest jedną z NICH?

- Czy jesteś aniołem? - zaskrzeczał.

„Tak”, odpowiedziała jaśniejąca dziewczynka i Craig poczuł, jak radość niepodzielnie bierze w nim górę nad bólem. Przestał widzieć wyraźnie, i łyzy - pierwsze łyzy wylane, odkąd stał się dorosły - z wolna potoczyły mu się po policzkach. Nagle ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie słodki, buczący głos pijanej matki, kiedy śpiewała tę starą piosenkę.

- Czy jesteś aniołem poranka? Czy chcesz zostać moim aniołem poranka?

„Tak - zostanę. Jeśli tego chcesz, zostanę. Ale pospiesz się. Wiem, że to boli, panie Toomy, ale musisz się pospieszyć”.

- Tak - załkał Craig i ofiarnie zaczął czołgać się do niej po taśmie. Przy każdym ruchu świeży ból szarpał go jak nierówno pracująca, tępa piła tarczowa; krew kapła z roztrzaskanego nosa i rozbitych warg. Ale wciąż spieszył się, jak tylko mógł. Dziewczynka minęła gumowe paski, jakimś cudem wcale ich nie dotykając.

- Tylko mnie pocałuj przed odejściem, miła - powiedział Craig. Odcharknął grudę zlepionej krwi, splunął na ścianę, gdzie przykleiła się jak nieżywy pająk, i spróbował czołgać się jeszcze szybciej.

## 12

Dochodzące ze wschodniej strony lotniska potężne trzaski i odgłosy darcia wypełniły wariacki poranek. Bob i Albert poderwali się na nogi. Twarze mieli pobladłe, pełne strasznej niepewności.

- Co to było? - spytał Albert.

- Zdaje się, że drzewo - odpowiedział Bob i oblizał wargi.

- Ale nie ma wiatru.

- Nie - przytaknął Bob. - Nie ma.

Hałas zmienił się teraz w sunącą nawałę trzasków. Niektóre odgłosy jakby się wyodrębniły... a potem wtapiały w główny nurt, zanim udało się je zidentyfikować. W jednej chwili Albert mógłby przysiąc, że słyszy szczekanie, a potem szczekanie... albo skuczenie... czy co to tam było... zostało połknięte przez nieznośne, ostre brzęczenie zabójczej elektryczności. Jedyne, co nie ulegało zmianie, to chrupanie i jęk zgrzytającej przekładni.

- Co się dzieje?! - piskliwie zawołała Bethany.

- Nic ta... - zaczął Albert, a wtedy Bob złapał go za ramię.

- Patrz! - wrzasnął. - Patrz tam!

Na wschodzie, na wysokim zalesionym wzniesieniu ograniczającym horyzont, ciągnęły się rzędy słupów linii przesyłowych wysokiego napięcia. Jeden ze słupów zachwiał się jak zabawka i padł, pociągając za sobą kłęb kabli. Chwilę później poszedł za nim następny, i następny, i następny.



- Ale to nie wszystko - powiedział zdębtwiał Albert. - Popatrzcie na drzewa. Te drzewa chwieją się jak zarośla.

Ale one nie tylko się chwiały. Zaczęły padać, znikać. CHRUP, MLASK, CHRUP, BUM, HAU-HAU! CHRUP, MLASK, HAU-HAU!, ŁUP, CHRUP.

- Musimy stąd wysuwać - powiedział Bob. Złapał Alberta obiema rękami. Oczy miał szeroko otwarte, pełne kretyńskiej grozy. Ten wyraz chorobliwie ostro odciskał się na jego wąskiej, inteligentnej twarzy. - Skłonny jestem twierdzić, iż musimy stąd wysuwać raz-dwa.

Na horyzoncie, jakieś piętnaście kilometrów dalej, wysokie rusztowanie wieży radiowej zadrżało, zatoczyło się i roztrzaskało o ziemię, znikając wśród chwiejących się drzew. Teraz poczuli, że wibruje i sama ziemia. Zawibrował trap. Poczuli wibracje w butach.

- Zatrzymajcie to! - nagle zawołała Bethany. Przycisnęła uszy rękoma. - Och, błagam, zatrzymajcie to!

Ale fala dźwiękowa dalej toczyła się w ich kierunku - chrupanie, mlaskanie pożerających wszystko langolierów.

### 13

- Nie chciałbym ci zawracać głowy, Brian, ale jak długo to jeszcze potrwa? - W głosie Nicka było napięcie. - Sześć kilometrów na wschód jest rzeka - widziałem ją przy lądowaniu - i wynika mi z rachunku, że to, co się zbliża, jest już po naszej stronie.

Brian spojrział na wskaźniki poziomu paliwa. Miał jedenaście ton w prawym skrzydle, siedem w lewym. Teraz szło szybciej, bo nie musiał przepompowywać paliwa z 727 na drugą stronę kadłuba.

- Piętnaście minut - powiedział. Czuł na czole grube krople potu. - Musimy mieć więcej paliwa, Nick, albo spadniemy jak kamień na pustynię Mojave. Dolicz jeszcze dziesięć minut na odłączenie węzłów, zamknięcie zaworów i odkołowanie.

- Nie dasz rady tego skrócić? Pewien jesteś, że się nie da?

Brian potrząsnął głową i wrócił do swoich kontrolek.

### 14

Craig powoli przeczołgał się pod gumowymi paskami. Pogładziły go po plecach jak wiotkie palce. Wynurzył się na białe, płaskie światło nowego - i mocno skłóconego - dnia. Hałas był straszliwy, wszechpotężny, jak odgłos inwazji armii kanibali. Nawet niebo zdawało się trząść i przez moment strach sparaliżował Craiga.

„Spójrz”, powiedział anioł poranka i wskazał ręką.

Craig spojrział... i strach go opuścił. Za 767 American Pride, na trójkącie zeschniętej trawy, między dwiema drogami do kołowania i pasem startowym, stał długi mahoniowy stół

konferencyjny. Jasno połyskiwał w apatycznym świetle. Przed każdym krzesłem długi, żółty blok w linie do notatek, karafka wody z lodem i szklanka. Wokół stołu zasiadły dwa tuziny facetów w sztywnych garniturach bankierów. Wszyscy obrócili się i patrzyli na niego.

Nagle unieśli dłonie i zaczęli klaskać. Powstali i aplauzem witali jego przybycie. Craig poczuł, jak wielki, pełen wdzięczności uśmiech rozciąga mu usta.

## 15

Dinah pozostała sama. Oddychała z ogromnym wysiłkiem, dusiła się i krztusiła. - Biegnij do nich, Craigu! Szybko! Szybko!

## 16

Craig stoczył się z przenośnika. Uderzył o beton, zagruchotały Potłuczone kości. Młóćąc powietrze rękoma, podniósł się na nogi. Ból nie miał już znaczenia. Anioł sprowadził ich. Oczywiście, ona ich sprowadziła! Anioły są jak duchy w tej opowieści o panu Scrooge'u - mogą wszystko! Korona światła wokół jej głowy zaczęła się zmniejszać i przygasać, ale to nie było istotne. Sprowadziła mu wybawienie: sieć, w którą, dzięki Bogu, zostanie w końcu złapany.

„Biegnij do nich, Craigu! Biegnij! Byle dalej od samolotu! Biegnij do nich i to już!”.

Craig zaczął biec - szybko przeszedł od powłóczenia nogami w kaleki sprint. Głowa podskakiwała mu jak słonecznik na złamanej lodydze. Biegł do pozbawionych poczucia humoru, nieubłaganych mężczyzn, którzy byli mu wybawieniem, mężczyzn, którzy mogliby być grupką rybaków, stojących na pokładzie pod nierzeczywistym srebrnym nieboskłonem, ciągnących sieć, ciekawych bajkowego stwora, którego udało im się złowić.

## 17

Wskaźnik poziomu paliwa lewego zbiornika rósł wolniej, gdy minął dziewięć ton, a kiedy doszedł do dziesięciu, prawie stanął. Brian zrozumiał, co się święci, i szybko przerzucił dwie dźwigienki, zamykając pompy hydrauliczne. Delta 727-400 dała mu tyle, ile miała do oddania: niewiele ponad dwadzieścia ton paliwa lotniczego. I to musiało wystarczyć.

- W porządku - powiedział i wstał.

- Co w porządku? - spytał Nick, również wstając.

- Odłączamy się i spierniczamy.

Hałas od wschodu był teraz ogłuszający. W odgłosy chrupania, mlaskania i jęk przekładni wplótł się łomot padających drzew i głucho wybuchy zapadających się budynków. Przed zamknięciem pomp Brian usłyszał kilka trzasków i grzmotów, po których zachlupotało rozgłosnie. Most się załamał, przemknęło mu przez głowę.

- Pan Toomy! - wrzasnęła nagle Bethany. - To pan Toomy! Nick wyprzedził Briana przy drzwiach i wpadł przed nim do klasy pierwszej, ale obaj zdążyli zobaczyć Craiga, jak potykając się i powłócząc nogami, przeciął drogę do kołowania. Zupełnie nie zwracał uwagi na samolot. Zdawało się, że za cel obrał pusty trójkąt trawy ograniczony parą krzyżujących się dróg do kołowania.

- Co on wyrabia? - sapnął Rudy.

- Mniejsza o niego - powiedział Brian. - Nie mamy czasu. Nick? Przytrzymaj mnie na trapie, kiedy będę odłączał węża.

Brian czuł się tak, jakby sterczał nago na plaży, kiedy fala przyływu wyskakuje zza horyzontu i toczy się ku brzegowi.

Nick poszedł za nim i znów trzymał Briana za pasek, kiedy ten, wychylony, odkręcał końcówkę węża. Po chwili zwolnił ją i upuścił na beton. Pierścień na końcu głucho zadźwięczał. Brian zatrzaskał luk wlewu paliwa.

- Ruszaj się - powiedział do Nicka, kiedy Anglik pomógł mu się wyprostować. Twarz miał brudnoszarą. - Zjeżdżamy stąd.

Ale Nick ani drgnął. Zastygł, wpatrzony na wschód. Jego skóra przybrała kolor papieru. Wyglądał, jakby przyśnił mu się horror. Górna warga drżała mu jak przerażonemu psu zbyt przerażonemu, żeby odważyć się zawarczeć.

Brian z wolna odwrócił głowę, ścięgną karku zatrzęszczały mu jak zardzewiałe sprężyny przy siatkowych drzwiach. Patrzył. Langoliery w końcu wkroczyły na pustą scenę.

## 18

- Rozumiecie więc - powiedział Craig, zbliżając się do pustego krzesła u szczytu stołu i stając przed ludźmi siedzącymi wokół - że brokerzy, z którymi robiłem interesy, byli nie tylko pozbawieni skrupułów. Wielu z nich podstawiła CIA. Ich zadaniem było wyszukać i oskubać bankierów mojego pokroju - facetów patrzących tylko, jak tu szybko napęłnić chudy portfel. W ich oczach cel - niedopuszczenie komunizmu do Ameryki Południowej - usprawiedliwia wszystkie środki.

- Jakich procedur trzymał się pan przy sprawdzaniu tych gości? - zapytał gruby mężczyzna w drogim niebieskim garniturze. - Czy korzystał pan z usług towarzystw ubezpieczających zakupy obligacji, czy też pański bank ma własną firmę śledczą do tych celów?

Okrągła, jowialna gęba Niebieskiego Garnituru była idealnie ogolona, policzki ogorzałe, co świadczyło albo o dobrym zdrowiu, albo czterdziestoletnim chlaniu szkockiej z

wodą sodową. Bezlitosne oczy były jak dwa niebieskie kawałki lodu. Cóż za wspaniałe były to oczy: oczy ojcowskie!

Skądś, z dala od tej sali konferencyjnej, mieszczącej się dwa piętra poniżej dachu Prudential Center, dochodził cholerny hałas. Roboty drogowe. W Bostonie zawsze ryli w jezdniach i to, jak podejrzewał Craig, zupełnie niepotrzebnie. I tu ta sama, dobrze znana historia: bezwzględni ze śpiewem na ustach wyciągają forszę frajerom. To nie miało się nijak do jego osoby. Nijak, ale to nijak. Miał załatwić tu sprawę z facetem w niebieskim garniturze i nie mógł się doczekać, żeby zacząć.

- Czekamy, Craig - powiedział dyrektor jego macierzystej instytucji. Craig na moment osłupiał, program spotkania nie przewidywał obecności pana Parkera, ale osłupienie zastąpiła wielka radość.

- Nie było żadnych procedur! - zapał radośnie prosto w ich osłupiałe twarze. - Tylko kupowałem, kupowałem i kupowałem! Nie trzymałem się żadnych... ale... to... żadnych... procedur!

Chciał kontynuować, rozwijać temat, wyniszczać, lecz powstrzymał go jakiś hałas. Ten hałas nie dobiegał z dużej odległości, był bliski, bardzo bliski, może pochodził stąd, z samej sali konferencyjnej.

Był to odgłos zgrzytających, kłapiących, głodnych zębów.

Nagle Craig poczuł, że musi, bezwzględnie musi drzeć papier - jakikolwiek papier. Sięgnął po blok do notatek leżący na stole, ale blok do notatek przepadł. Podobnie stół. Podobnie bankierzy. Podobnie Boston.

- Gdzie ja jestem? - spytał zatroskany, chłopięcym głosikiem i rozejrzał się. Nagle zrozumiał... i nagle je zobaczył.

Langoliery przybyły. Przybyły po niego. Craig Toomy wrzasnął.

## 19

Brian widział je, ale nie pojmował, co widzi. W jakiś dziwny sposób ONE umykały wzrokowi i czuł, że jego rozgorączkowany, przeciążony umysł usiłuje zmienić wchodzącą informację, stworzyć z kształtów, które zaczęły rosnać na pasie startowym 21, coś sensownego.

Najpierw były tylko dwa kształty: jeden czarny, a drugi czerwony jak pomidor.

„Czy to piłki? - powątpiewająco zapytywał umysł. Czy możliwe, żeby to były piłki?”.

Coś w końcu zaskoczyło mu w środku głowy, a ONE stały się piłkami, piłkami plażowymi, ale te piłki rozprężyły się i malały, a potem znów powiększały, jakby patrzył

przez welon gorącego powietrza. Wytoczyły się z wysokiej zeschniętej trawy na końcu pasa startowego 21, zostawiając za sobą czarny pokos. Wycinały trawę...

„Nie, opornie skorygował umysł. ONE wycinają nie tylko trawę i wiesz o tym. ONE wycinają o wiele więcej niż trawę”.

Zostawiały za sobą wąskie linie idealnej czerni. I nawet teraz, kiedy biegły swawolnie po białym betonie, wciąż zostawiały za sobą wąskie ciemne koleiny, błyszczące jak smoła.

W ich zachowaniu była jakaś jadowita radość. Przecięły sobie drogę, zostawiły za sobą sfalowane czarne „X”. Podskoczyły wysoko, wyminęły się przesadnie szerokim manewrem i pognały wprost ku samolotowi.

Wtedy Brian wrzasnął i wrzasnął Nick stojący obok niego. Spod powierzchni piłek wychynęły twarze - monstrialne, pozaziemskie twarze. Migotały, drgały i falowały jak oblicza, które formuje gaz płonący na bagnach. Oczy ledwie zaznaczone, ale usta ogromne: półokrągłe czeluści wypełnione zgrzytającymi, tak szybkimi, że rozmazanymi w ruchu zębami.

Biegnąc, zżerały, zdzierały świat wąskimi paskami.

Cysterna Texaco z paliwem stała na drodze do kołowania. Langolierzy wskoczyły na pojazd. Szybko tnące zęby, sterczące z niewyraźnych ciał, furkotały i chrupały. Przeszły cysternę, nie zatrzymując się. Jeden z nich wyorał drogę przez tylne koła i zanim koła się zapadły, Brian dojrzał w cysternie wycięty kształt - kształt komiksowej mysiej dziury w komiksowej listwie przypodłogowej.

Drugi wybił się mocno w powietrze, znikł na moment w opasłym zbiorniku cysterny, a potem wypadł, zostawiając w metalu okrągłą dziurę, z której trysnął potop żółtej benzyny lotniczej. Opadły na ziemię, odbiły się jak na sprężynach, znów przecięły sobie drogę i pognały do samolotu. Rzeczywistość zwijała się pod nimi wąskimi paskami, zwijała gdziekolwiek i jakkolwiek ją tknęły, a kiedy zbliżały się coraz to bardziej, Brian uświadomił sobie, że nie tylko wsuwają świat - że otwierają głębie wieczności.

Doszły do krawędzi lotniska i zwolniły. Płasały niepewnie w miejscu, skaczące piłeczki z refrenu, nuconego w staromodnych teatrach rewiowych, które okrążają świat.

Potem obróciły się i zaczęły zapychać w nowym kierunku.

Zapychały w kierunku Craiga Toomy'ego, który stał, patrzył na nie i darł się wniebogłoso.

Z ogromnym wysiłkiem Brian otrząsnął się z paraliżu. Szturchnął łokciem Nicka, który nadal stał jak wmurowany.

- Rusz się! - Nick nie ruszył się i Brian znów użył łokcia, solidnie waląc Anglika w czoło. - Rusz się, mówię! Rusz dupę! Wysuwamy stąd!

Więcej czarnych i czerwonych piłek zjawilo się na krawędzi lotniska. Poskakały, potańczyły, pokrażyły... a potem pognały w ich kierunku.

## 20

„Nie uciekniesz przed nimi, powiedział kiedyś ojciec, bo mają nogi. Mają szybkie, krótkie nogi”. Niemniej jednak Craig spróbował.

Zawrócił i pobiegł do terminalu, oglądał się, wykrzywił przerażoną twarz. Stukał butami po betonie. Nie zwrócił uwagi na 767 American Pride, który znów zwiększał obroty silników. Biegł do rampy bagażowej.

„Nie, Craig, odezwał się ojciec. Może sobie MYŚLISZ, że biegniesz, ale ty nie biegniesz. Tak naprawdę to ty HASASZ!”.

Dwa piłkokszały przyspieszyły, zmniejszając odległość od niego z radosną łatwością. Dwa razy przecięły sobie drogę, ot, parka stukniętych błazenków w zamartym świecie, za nimi czerniejące postrzępione linie. Toczyły się za Craigiem, jeden piętnaście centymetrów od drugiego, dziwne, migocące ciała, kreślące za sobą coś na kształt śladów nart. Dopadły go sześć metrów od taśmy przenośnika bagażowego i w milisekundzie odgryzły stopy. W jednej chwili Craig hasał. W następnej został skrócony o sześć centymetrów. Stopy Craiga razem z drogimi mokasynami od Bally’ego przestały istnieć. Nie było krwi; rany skauteryzował palący przelot langolierów.

Craig nie wiedział, że jego stopy przestały istnieć. Hasał na kikutach łydek, a kiedy pierwszy ból zaczął smagać mu nogi. Langoliery zawróciły. Oстрыm nawrotem, drąc nawierzchnię. Ślady skrzyżowały się tym razem dwukrotnie, kreśląc na betonie sierp obrzeżony czernią, jak obrazek księżycy w dziecięcej malowance. Tylko że ten sierp zapadał się: nie w ziemię - gdyż pod spodem nie było ziemi - ale w zupełne nic.

Tym razem langoliery podskoczyły w górę w idealnym tandemie i odcięły Craigowi nogi na wysokości kolan. Opał, dalej usiłując biec; aż wreszcie rozciągnął się jak długi, wymachując kikutami. Skończyły się dni jego hasania.

- Nie! - krzyczał. - Nie, tatusiu! Nie! Będę grzeczny! Proszę, zrób coś, żeby sobie poszły! Będę grzeczny, PRZYSIĘGAM, BĘDĘ OD DZISIAJ GRZECZNY, JAK TYLKO ZROBISZ COŚ, ABY SOBIE POSZ...

A wtedy znów runęły na niego, mamrocząc, zawodząc, furkocząc, skamłając, i widział ruch tak szybki, że zdawał się zastygłą plamą, słyszał zgrzytające zęby i poczuł gorące

tchnienie ich gorączkowej ślepej żywotności na ułamek sekundy przedtem, zanim pocięły go przypadkowymi kęsami.

Jego ostatnią myślą było: „Co to za gadanie o małych szybkich nogach? ONE nie mają żadnych nóg...”.

## 21

Pojawiły się teraz istne zastępy czarnych stworów i Laurel zrozumiała, że wkrótce będą ich setki, tysiące, miliony, miliardy. Nawet poprzez wycie silników odrzutowca z otwartych drzwi 767, odprowadzanego właśnie przez Briana od trapu i odrzutowca Delty, słyszała ich zawodzący, nieludzki krzyk.

Ogromne spirale czerni przecięły koniec pasa startowego 21 - a następnie coraz gęściej rysowały się tam, gdzie piłki popędziły do Craiga Toomy'ego, w pobliże terminalu.

„Zdaje się, że nieczęsto trafia im się żywe mięso”, pomyślała i zebrało jej się na wymioty.

Rzuciwszy na lotnisko ostatnie niedowierzające spojrzenie, Nick Hopewell zatrzasnął i zablokował drzwi samolotu. Chwiejąc się, mszył przejściem, zataczał się jak pijany. Oczy zdawały się wypełniać całą jego twarz. Krew płynęła po podbródku; zagryzł głęboko dolną wargę. Objął Laurel i wtulił płonąca twarz w jej ramię. Objęła go mocno, uściskała.

## 22

Brian zwiększył obroty tak szybko, jak tylko śmiał, i pognął 767 po drodze do kołowania z samobójczą prędkością. Wschodni kraniec lotniska poczerniał po inwazji piłek. Koniec pasa znikł kompletnie, a świat za nim ginął. Białe nieruchome niebo opasywało świat poszarpanych czarnych linii i powalonych drzew.

Kiedy samolot dobiegał końca drogi do kołowania, Brian złapał za mikrofon i krzyknął:

- Zapiąć pasy! Zapiąć pasy! Jak nie dacie rady zapiąć, trzymać się!

Zwolnił minimalnie, a potem skręcił na pas startowy 33. Kiedy to robił, coś w jego mózgu zadrzało, zajęczało: ogromne partie rzeczywistości wpadały w ziemię jak ruchome schody, zostawiając za sobą wielkie, niepojęte kawały pustki.

„ONE zjadają świat, pomyślał. Mój Boże, mój dobry Boże, ONE zjadają świat!”.

Całe lotnisko obróciło się przed nim i rejs 29 skierował się na zachód, a pas startowy 33 leżał przed nim długi i pusty.

## 23

Górne schowki otworzyły się gwałtownie, kiedy 767 skręcał, i po głównej kabinie sypnęło śmiercionośnym gradem podręcznego bagażu. Bethany która nie miała czasu zapiąć

pasa, wpadła Albertowi Kaussnerowi na kolana. Albert nie zauważył ani tego, że ręce ma pełne ciepłego dziewczęcego ciała, ani że teczka dyplomatka odbiła się od ściany tuż przed jego nosem. Widział tylko czarne kształty błyskawicznie pędzące po pasie startowym 21 i pozostawione przez nie lśniące czarne koleiny. Te koleiny zbiegały się w gigantycznej czarnej studni, tam, gdzie niedawno była rampa bagażowa.

„Pan Toomy je przyciąga, pomyślał, albo miejsce po nim. Gdyby nie wyszedł z terminalu, wybrałyby nasz samolot. Zjadłyby samolot - z nami w środku - zacząwszy od podwozia”.

Bob Jenkins odezwał się z tył drżącym, nawiedzonym głosem:

- Teraz wiemy, prawda?

- Co! - wrzasnęła Laurel niemal bez tchu głosem. Własny głos zabrzmiał jej obco w uszach. - Co wiemy?

- Otóż wiemy, co staje się z dniem dzisiejszym, kiedy staje się wczorajszym, co staje się z terażniejszością, kiedy staje się przeszłością. Czeka - martwa, pusta i bezludna. Czeka na NIE. Czeka na chronometrażystów wieczności, którzy biegną stale z tyłu, nie odstępując czasu na krok, sprzątając bałagan najskuteczniej, jak to możliwe... zjadając go.

- Pan Toomy wiedział o NICH - Dinah odezwała się wyraźnym głosem śpiącej. - Pan Toomy mówi, że ONI to langoliery.

Silniki odrzutowca osiągnęły pełne obroty i samolot potoczył się po pasie startowym.

## 24

Brian zobaczył dwie piłki. Przecięty pas startowy. Oddarły rzeczywistość parą równoległych kolein, lśniących jak wypolerowany mahoń. Za późno, żeby się zatrzymać. 767 sunąc nad pustymi miejscami, zadrzał jak zgoniony pies, ale utrzymał się na pasie. Brian pchnął manetki do oporu. Wskaźnik szybkości podchodził do punktu krytycznego.

Nawet teraz słyszał to maniackie zucie i połykanie... choć nie wiedział, czy słyszy te odgłosy, czy tylko swoim umysłem, w którym wszystko zdało się wirować, wyobraża to sobie. I nie dbał o to.

## 25

Pochylony nad Laurel Nick widział, jak terminal lotniska międzynarodowego Bangor znika plastrami, kostkami i pasami. Sprowadzony do rozlicznych części dziecinnej układanki zachwiał się, a potem runął w szaleńczą czeluść mroku.

Bethany Simmons wrzasnęła. Czarna koleina sunęła wzdłuż 767, żrąc brzeg pasa. Nagle skręciła ostro w prawo i znikła pod samolotem.

Rozległ się kolejny przerażający łoskot.



- Dopadło nas?! - krzyczał Nick. - Dopadło nas?!

Nikt mu nie odpowiedział. Blade, przerażone twarze wyglądały przez okna i nikt mu nie odpowiedział. Drzewa, zatarte szarozielone plamy, biegły obok w szaleńczym tempie. Brian siedział wychylony w przód, oczekując w napięciu, aż jedna z tych piłek podskoczy na wysokość okna kabiny i jak kula przesyje samolot. Ale nie podskoczyła.

Na tablicy rozdzielczej czerwień kontrolki zmieniła się w zieleń. Brian pociągnął wolant ku sobie i 767 wzbił się w powietrze.

## 26

W głównej kabynie czarnobrody mężczyzna z oczami nabiegłymi krwią wytoczył się do przodu, zamrugał jak oślepią sowa, spoglądając po towarzyszach podróży.

- To jesteśmy w tym Bostonie czy nie? - zapytał, nie kierując pytania do nikogo w szczególności. - Mam nadzieję, że tak, bo chcę do łóżka. Mam kaca po zbroju.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**Pożegnanie z Bangor. Zmierzając na zachód przez dni i noce. Patrzenie oczyma innych. Bezdenna przepaść. Rozdarcie. Ostrzeżenie. Decyzja Briana. Lądowanie. Tylko spadające gwiazdy.**

### 1

Samolot skierował się ostro na wschód. Mężczyzna z czarną brodą upadł w rząd pustych foteli. Spojrzał po nich rozszerzonymi ze strachu oczami, a potem zacisnął mocno powieki.

- Jezusie - zamruczał. - Delirka. Pieprzona delirka. I to najgorsza, jaką miałem.

Otworzył oczy, rozejrzał się z trwogą.

- Teraz przylecą robaki... gdzie są te skurwiele robaki?! „Robaków nie ma, pomyślał Albert, ale poczekaj tylko na piłeczki.

Te są dopiero urocze”.

- Zapnij pas, koleżko - powiedział Nick - i zamknij gę... Przerwał. Patrzył niedowierzająco na lotnisko... lub to, co kiedyś było lotniskiem. Główne budynki przepadły, a baza Gwardii Narodowej na zachodzie znikła w oczach. Lecieli nad rosnącą czeluścią mroku, wieczną, nieogarnioną cysterną.

- O Jezu drogi, Nick - powiedziała rozdygotanym głosem Laurel i zakryła ręką oczy.

Kiedy wzniesli się na czterysta pięćdziesiąt metrów, Nick zobaczył sześćdziesiąt albo sto równoległych linii tnących beton na długie paski, zapadające w pustkę. Te paski przypomniały mu Craiga Toomy'ego:

DRZ-RZ-RZYP

Po drugiej stronie przejścia Bethany z trzaskiem zaciągnęła zasłonę obok fotela Alberta.

- Tylko nie waż się tego podnosić! - rzuciła ostrym, histerycznym tonem.

- Nie przejmuj się - powiedział Albert i nagle przypomniał sobie, że zostawił na dole skrzypce. Cóż, przepadły już, nie ma wątpliwości. Nagle zakrył twarz obiema rękami.

## 2

Zanim Brian rozpoczął skręt w kierunku zachodnim, sprawdził, czy coś pozostało na wschód od Bangor. Nie pozostało nic. Zupełnie nic. Widział tytaniczną rzekę czerni stojącą nieruchomo po horyzont pod białą kopułą nieba. Drzewa przepadły, miasto przepadło, przepadła sama ziemia.

„Taki musi być widok, gdy się wyleci poza Ziemię”, pomyślał, a kółeczko napędzające rozum przeskoczyło jeden ząbek, jak podczas lotu w kierunku wschodnim. Rozpaczliwie zebrał się w sobie i skupił uwagę wyłącznie na prowadzeniu samolotu.

Szybko podniósł 767, żeby uciec w chmury, skryć się przed piekielnym widokiem. Leciał teraz na zachód. Tuż przed wejściem w chmury Brian zobaczył wzgórza, lasy i jeziora rozciągające się na zachód od miasta, bezlitośnie krojone tysiącami czarnych, pajęczych nici. Ogromne kawały rzeczywistości bezszelestnie zsuwały się w ziejącą coraz szerzej gębę czeluści i Brian zrobił coś, czego nigdy przedtem nie zrobił w kabinie pilotów.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, znajdowali się w chmurach.

## 3

Tym razem obyło się bez turbulencji. Zgodnie z tym, co mówi Bob Jenkins, pogoda rozregulowała się jak stary zegarek. Dziesięć minut po wejściu w chmury wlecieli w jasnoniebieski świat na wysokości pięciu i pół kilometra. Pasażerowie spoglądali nerwowo po sobie, a potem na głośniki, kiedy Brian zabrał głos przez interkom.

- Jesteśmy w górze - powiedział zwyczajnie. - Wszyscy państwo wiecie, co dalej: wracamy dokładnie tą samą drogą, którą przybyliśmy, i miejmy nadzieję, że miejsce, którym wlecieliśmy, istnieje nadal. Jeśli tak, spróbujemy nim wylecieć.

Zamilkł i po chwili znów usłyszeli jego głos.

- Nasz lot powrotny zajmie nam do sześciu godzin. Chciałbym być bardziej dokładny, ale nie mogę. W normalnych okolicznościach, lot w kierunku zachodnim zabiera więcej czasu niż we wschodnim, z powodu zwykle utrzymujących się przeciwnych wiatrów, ale na razie instrumenty pokładowe informują mnie, że wiatru nie ma. - Przerwał i dodał: - Nikt nie porusza się tu w górze oprócz nas.

Przez chwilę interkom był włączony, jakby Brian zamierzał dodać coś jeszcze, a potem rozległ się metaliczny trzask. Brian wyłączył obwód.

4

- Co się tu dzieje, na Boga? - spytał drżącym głosem mężczyzna z czarną brodą.

Albert spojrział na niego, a potem rzekł:

- Nie wydaje mi się, żeby to panu coś dało.

- Znowu jestem w szpitalu? - Zamrugał trwożnie i Albert poczuł przypływ sympatii do niego.

- Jak to panu pomoże, to czemu by pan nie miał w to uwierzyć? Mężczyzna z czarną brodą nie odrywał od niego pełnych grozy oczu, póki nie stwierdził:

- Idę spać. Nie ma na co czekać.

Opuścił oparcie, zamknął oczy. Nie minęła minuta, a jego pierś zaczęła regularnie i głęboko wznosić się i opadać; zachrapał cicho. Albert poczuł zawiść.

5

Nick uścisnął Laurel. Rozpiął pas i wstał.

- Idę na dziób - powiedział. - Dołączysz? Laurel potrząsnęła głową i wskazała Dinah.

- Zostanę przy niej.

- Wiesz, że nic nie da się zrobić. Obawiam się, że sprawa jest w ręku Boga.

- Wiem dobrze, ale chcę zostać.

- W porządku, Laurel. - Łagodnie pogładził ją po włosach. - Jakie to ładne imię. Zastępujesz na nie.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Dziękuję.

- Jesteśmy umówieni na kolację. Nie zapomniałaś, co?

- Nie - powiedziała, nie przestając się uśmiechać. - Nie zapomniałam i nie zapomnę.

Pochylił się i lekko pocałował ją w usta.

- Dobrze - powiedział. - Ja też nie zapomnę.

Odszedł na dziób, a ona lekko przycisnęła palce do ust, jakby chciała zatrzymać pocałunek tam, gdzie było jego miejsce.

Kolacja z Nickiem Hopewellem - ciemnowłosym, wysokim nieznanym. Może przy świecach i z butelką dobrego wina. Potem więcej pocałunków - prawdziwych pocałunków. Wszystko to robiło wrażenie czegoś wprost z Harlequinów, które kiedyś czytała. No i co? To były miłe opowiadania, pełne słodkich i niewinnych marzeń. Pomarzyć zawsze można, prawda?

Oczywiście, że tak. Ale dlaczego to marzenie wydaje się tak nierealne?

Rozpięła pas, podeszła do leżącej Dinah i położyła dłoń na jej czole. Niszcząca gorączka ustąpiła; skóra Dinah była teraz zimna jak wosk.

„To wygląda na końcówkę”, powiedział Rudy, zanim rozpoczęli szaleńczy odlot. Teraz Laurel poczuła ciężar tych słów, tak wielki, że zrobiło jej się mdło. Dinah oddychała płytko, jej pierś ledwo podnosiła się i opadała pod klamrą pasa, mocno przyciskającego opatrunek do rany.

Laurel z nieskończoną czułością odgarnęła dziewczynce włosy z czoła. Myślała o tej dziwnej chwili w restauracji, kiedy Dinah złapała Nicka za nogawkę dzinsów.

„Nie zabijaj go... jest nam potrzebny. Czy uratowałaś nas, Dinah? Czy zrobiłaś panu Toomy'emu coś, co nas uratowało? Czy w jakiś sposób zastawiłaś jego życie za nasze?”

Może i tak... a jeśli tak, to ta mała dziewczynka, ślepa i ciężko ranna, podjęła straszliwą decyzję w swej ciemności.

Pochyliła się i pocałowała chłodne, zamknięte powieki Dinah. - Wytrzymaj - szepnęła.  
- Proszę, wytrzymaj Dinah.

## 6

Bethany obróciła się do Alberta, złapała go za rękę i zapytała:

- A co będzie, jak paliwo się zepsuje? Albert spojrzał na nią poważnie i łagodnie.

- Znasz na to odpowiedź, Bethany.

- Możesz mówić do mnie Beth, jak chcesz.

- Dobra.

Poszukała papierosów, spojrzała na napis: PALENIE WZBRONIONE i odłożyła je.

- Taa... - powiedziała. - Znam. Rozbijemy się. Opowieść skończona. I wiesz co?

Potrząsnął głową, lekko uśmiechnięty.

- Mam nadzieję, że kapitan Engle nie będzie nawet próbował posadzić samolotu, jak nie znajdziemy tej dziury. Mam nadzieję, że wybierze miłą wysoką skałkę i rozwali nas o szczyt. Widziałeś, co spotkało tamtego zwariowanego faceta? Nie chcę, żeby mnie zdarzyło się coś takiego.

Zadrzała i Albert objął ją. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chciałbyś mnie pocałować?

- Tak - powiedział Albert.

- No to lepiej bierz się do rzeczy. Co masz zrobić jutro, zrób dziś. Albert wziął się do rzeczy. To dopiero trzeci raz w życiu najszybszy izraelita na zachód od Missisipi całował

dziewczynę i cudnie to smakowało. Mógłby spędzić całą powrotną podróż z ustami na jej ustach, nie zaprzatając sobie niczym głowy.

- Dziękuję ci - powiedziała i położyła mu głowę na ramieniu. - Tego mi było trzeba.

- No cóż, jak jeszcze będziesz potrzebowała, mów - powiedział Albert.

Spojrzała na niego, rozbawiona.

- Czy koniecznie ci muszę o tym mówić, Albercie?

- Coś mi się widzi, że nie - burknął z akcentem południowca Żyd Arizona i na powrót wziął się do rzeczy.

## 7

Nick zatrzymał się, żeby porozmawiać z Bobem Jenkinsem - zaniepokoiło go coś wyjątkowo paskudnego.

- Sądzi pan, że któryś z tych stworów może znaleźć się tu w górze? Bob przeżuwał przez chwilę tę myśl.

- Sądząc po tym, co widzieliśmy tam, w Bangor, nie. Ale trudno powiedzieć. Wobec czegoś takiego trudno stawiać na pewniaka.

- Tak. Tak sądzę. Pewniaków tu nie ma. - Nick zastanowił się przez moment. - Co z tym pańskim rozdarciem czasowym? Jakie według pana są szanse, że to znajdziemy?

Bob Jenkins z wolna potrząsnął głową.

Rudy Warwick odezwał się z tyłu. Drgnęli, zaskoczeni.

- Mnie pan nie pytasz, ale i tak powiem, co myślę. Tysiąc do jednego.

Nick zastanawiał się chwilę, a potem rzadki u niego, promienny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Wcale nie najgorsza szansa - powiedział. - Wcale nie, jeśli się weźmie pod uwagę alternatywę.

## 8

Nie minęło czterdzieści minut, a niebo, w które zanurzył się rejs 29, stało się głębsze. Z niebieskiego przeszło powoli w indygo, a potem w ciemną purpurę. Siedząc w kokpicie, dozorując instrumenty pokładowe i marząc o filiżance kawy, Brian wspomniął starą piosenkę: „Gdy ogrodu śpiące mury... skąpie głębia tej purpury...”.

Żadnych murów ogrodu tu nie było, ale na firmamencie lśniły pierwsze gwiazdy jak kawałki lodu. Było coś kojącego w pojawianiu się, jedna po drugiej, znanych konstelacji na starych miejscach. Nie miał pojęcia, jakim cudem się pojawiają, skoro tyle innych rzeczy zniknęło, ale ich widok napełnił jego serce radością.

- Czas przyspiesza, prawda? - spytał Nick. Brian obrócił się twarzą do niego.

- Tak. To prawda. Niebawem „dni” i „noce” będą przelatywać jak trzask migawki.

Nick westchnął.

- I teraz czeka nas najgorsza część zabawy, no nie? Nie wiemy, co się wydarzy. I trochę się modlimy, prawda?

- Nie zaszkodzi. - Brian zmierzył Nicka Hopewella długim, taksującym spojrzeniem. - Leciłem do Bostonu, bo moja była żona zginęła w pożarze. Dinah - bo banda lekarzy obiecała jej nową parę oczu. Bob leciał na zjazd. Albert do szkoły muzycznej, Laurel na urlop. Po co ty leciałeś do Bostonu, Nick? „Złóżże wyznanie, późna już godzina”.

Nick przyglądał mu się długo, z namysłem, a w końcu się roześmiał.

- Wiesz, czemu nie? - zapytał, ale Brian nie był tak głupi, aby uwierzyć, że pytanie jest skierowane do niego.

- Co znaczy klauzula „ściśle tajne”, kiedy widziało się bandę purchasek wsuwających świat jak stary dywan?

Znów się zaśmiał.

- Stany nie do końca opanowały rynek brudnych numerów i tajnych operacji. Te figle, o których my, Angole, zdążyliśmy już zapomnieć, wam, Amerykańcom, jeszcze się nie przyśniły. Brykaliśmy w Indii, Południowej Afryce, Chinach i tej części Palestyny, która stała się Izraelem. Bez wątplenia tym razem zaczęliśmy zawody w szczaniu na odległość nie z tymi gośćmi, co trzeba, no nie? W każdy razie my, Brytyjczycy, wierzymy niezłomnie w czar sztyletu i maski, i przesławne MI 5 to nie koniec, ale początek zabawy. Spędziłem osiemnaście lat w siłach zbrojnych, Brianie - ostatnie pięć w służbach specjalnych. Wykonywałem przeróżne dziwne robótki, czasem nieszkodliwe, czasem bajecznie niegrzeczne.

Zapanowała noc, gwiazdy błyszcząły jak cekiny na eleganckiej wieczorowej sukni.

- Siedziałem w Los Angeles - byłem na urlopie - kiedy skontaktowano się ze mną i kazano lecieć do Bostonu. Nastąpiło to nagle, a ja po czterech dniach zasuwania z plecakiem po górkach San Gabriels padałem na twarz ze zmęczenia. Dlatego też spałem głęboko, kiedy nastąpiło, jak mówi pan Jenkins, Zdarzenie.

W Bostonie, rozumiesz... mieszka pewien człowiek... czy mieszkał... czy będzie mieszkał (podróż w czasie piekielnie może namieszać w gramatyce, no nie?)... który jest politykiem o dużych wpływach. To facet z rodzaju tych, którzy z wielkim zapałem poruszają sznurkami zza sceny. Ten człowiek - nazwę go na użytek naszej konwersacji panem O'Banion - ma szmalu jak cholera, Brian, i jest entuzjastycznym poplecznikiem Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Przekazał miliony dolarów na rzecz tej, jak to niektórzy mówią, ukochanej

nstytucji charytatywnej Bostonu, i ma na rękach wiele krwi. Niechodzi tylko o brytyjskich żołnierzy, ale o dzieci z placów zabaw, kobiety w pralniach publicznych, niemowlęta wylatujące w kawałkach z wózków. Jest idealistą najwredniejszego rodzaju: nigdy nie musi oglądać masakry na własne oczy, nie musi oglądać oderwanej nogi walającej się przy krawężniku i nie musi rozważać swych postępów w świetle tego doświadczenia.

- Miałeś zabić tego O'Baniona?

- Tylko gdybym nie miał innego wyjścia - spokojnie powiedział Nick. - Jest bardzo majątny, ale to nie jedyny problem. Jest politykiem ciałem i duszą, rozumiesz, i gmera paluchem nie tylko w irlandzkim kociołku. Ma w Ameryce wielu potężnych przyjaciół, a niektórzy z jego przyjaciół są naszymi przyjaciółmi... Taka jest natura polityki: kocia kołyska, bawią się w to ludzie, dla których odpowiednim miejscem pobytu jest pokój bez klamek. Zabicie pana O'Baniona byłoby wielkim politycznym ryzykiem. Ale ma on na boku panienkę. Ona była osobą, którą polecono mi zabić.

- Ostrzeżenie - cicho powiedział zafascynowany Brian.

- Tak. Ostrzeżenie.

Minęła prawie cała minuta, podczas której dwaj mężczyźni siedzieli w kokpicie, spoglądając jeden na drugiego. Słychać było tylko usypiające buczenie silników. Po doznanym szoku oczy Briana były w jakiś sposób bardzo młode. Nick wyglądał tylko na zmęczonego.

- Jeśli się z tego wygrzebiemy - powiedział w końcu Brian - jeśli wrócimy, doprowadzisz do końca tę sprawę?

Nick pokręcił głową. Ruchem powolnym, ale znamionującym żelazne zdecydowanie.

- Zdaje mi się, że przeszedłem coś, co te cymbały, adwentyści, nazywają duszy nawróceniem, mój dobry stary koleżko. Koniec z dreszczykiem na plecach o północy i z robótkami, do których ma się krańcowe uprzedzenia. Chłopiec, którego pani Hopewell nazywała swoim Nicolaskiem, mówi cześć. Jeśli się z tego wygrzebiemy - choć obecnie uważam to założenie za nieco ryzykowne - to chyba przejdę na emeryturę.

- I co będziesz robił?

Nicolas spoglądał na niego w zamyśleniu przez pewien czas, a w końcu rzekł:

- No cóż... sądzę, że mógłbym wziąć się do nauki pilotażu. Brian ryknął śmiechem. Po chwili chłopiec, którego pani Hopewell nazywała swoim Nicolaskiem, przyłączył się do niego.

Trzydzieści pięć minut później światło dnia zaczęło z powrotem sączyć się do głównej kabiny rejsu 29. Trzy minuty później zrobiło się niby-przedpołudnie. Piętnaście minut później niby-południe.

Laurel spostrzegła, że ślepe oczy Dinah są otwarte.

Lecz czy były one całkowicie ślepe? Było w nich coś umykającego zdefiniowaniu, coś nie do określenia. Laurel poczuła, jak ogarnia ją nie znany dotychczas zachwyt, graniczący prawie ze strachem.

Pochyliła się i łagodnie ujęła rękę Dinah.

- Nie staraj się mówić - powiedziała cicho. - Jeśli się przebudziłaś, Dinah, nie staraj się mówić - tylko słuchaj. Jesteśmy w powietrzu. Wracamy - i z tobą wszystko będzie dobrze - obiecuję ci, Dinah.

Ręka Dinah zacisnęła się i po chwili Laurel uświadomiła sobie, że dziewczynka ciągnie ją do siebie. Pochyliła się znów nad noszami. Dinah mówiła cichym głosikiem, który wydał się Laurel idealnym miniaturowym odbiciem jej poprzedniego głosu.

- Nie martw się o mnie, Laurel. Dostałam... to co chciałam.

- Dinah, nie powinnaś...

Niewidzące piwne oczy obróciły się w kierunku, skąd płynął głos. Drobnym uśmiechem pojawił się na zakrwawionych ustach.

- Ja widziałam - powiedziała tym miniaturowym głosikiem, kruchym jak szklana słomka. - Ja widziałam oczami pana To-omy'ego. Na początku, a potem znowu, na końcu. Na końcu było ładniej. Na początku wszyscy wydali mu się wstrętnei i niemili. Na końcu było ładniej.

Laurel spoglądała na nią z bezradnym zdumieniem. Dziewczynka puściła dłoń Laurel i uniosła chwiejnie rączkę do jej policzka.

- Wiesz, to nie był wcale taki zły gość. - Zakaszła. Drobne kropelki krwi wyfrunęły jej z ust.

- Proszę, Dinah - powiedziała Laurel. Nagle doznała wrażenia, że niemal widzi, co dzieje się w małej ślepej dziewczynce, i budziła się w niej paraliżująca, bezsensowna panika.

- Proszę cię, nie staraj się więcej mówić.

Dinah uśmiechnęła się.

- Ja widziałam ciebie - powiedziała. - Jesteś piękna, Laurel. Wszystko było piękne... nawet nieżywe rzeczy. Cudownie było... wiesz... po prostu widzieć.



Zaczerpnęła jeden z tych swoich maleńkich naparstków powietrza, wypuściła i po prostu nie zaczerpnęła następnego. Jej niewidzące oczy spoglądały teraz daleko, daleko poza Laurel Stevenson.

- Proszę, oddychaj, Dinah - mówiła Laurel. Wzięła ręce dziewczynki w swoje i pokryła je pocałunkami, jakby mogła w ten sposób przywrócić życiu to, co znalazło się już poza jego zasięgiem. To nieuczciwe, że Dinah musiała umrzeć po tym, jak uratowała ich wszystkich. Żaden Bóg nie mógł domagać się takiej ofiary, nawet od ludzi, którzy w jakiś sposób wyszli poza sam czas. - Proszę, oddychaj, proszę, proszę, proszę, oddychaj!

Ale Dinah nie oddychała. Po pewnym czasie Laurel złożyła dłonie dziewczynki na podolek i osłupiałymi oczami wpatrywała się w bladą, nieruchomą twarzyczkę. Laurel czekała, aż łzy wypełnią jej oczy, ale łzy nie napłynęły. Lecz serce jej pękało, a umysł protestował żarliwie: „Och, nie! To nieuczciwe! Cofnij to, Boże! Cofnij, do cholery, cofnij, po prostu cofnij!”.

Ale Bóg nie cofał tego, co się stało. Silniki samolotu warkotały miarowo, słońce padało na okrwawiony rękaw odświętnej sukienki Dinah, którą dziewczynka włożyła na podróż, a Bóg nie cofał tego, co się stało. Laurel spojrzała na drugą stronę przejścia i zobaczyła Alberta i Bethany. Całowali się. Albert dotykał piersi dziewczyny przez koszulkę, lekko, delikatnie, prawie z religijną czcią. Trwali w tej rytualnej pozie, symbolicznie obrazującej życie, tę upartą, nieuchwytną iskierkę, która płonie nawet w czasie najokropniejszych zwrotów i szyderczych zakrętów losu. Laurel z nadzieją przeniosła wzrok na Dinah... ale Bóg nie cofnął tego, co się stało.

Laurel pocałowała nieruchomy, zapadnięty policzek i uniosła rękę do oczu dziewczynki. Zatrzymała palce tuż nad jej powiekami.

„Ja widziałam oczami pana Toomy’ego. Wszystko było piękne... nawet te umarłe rzeczy. Cudownie było widzieć”.

- Tak - powiedziała Laurel. - Mnie to nie przeszkadza. Zostawiła oczy Dinah otwarte.

## 10

American Pride 29 leciał na zachód poprzez dni i noce, od światła do ciemności, od ciemności do światła, jakby przebijał się przez wielką, leniwie sunącą paradę tłustych chmur. Każdy cykl był nieco krótszy niż poprzedni.

Minęło niewiele ponad trzy godziny lotu, a chmury poniżej znikły dokładnie w tym samym miejscu, w którym zjawily się przy locie na wschód. Brian gotów był się założyć, że front atmosferyczny nie drgnął nawet o metr. Poniżej leżał ogromny, milczący masyw łądu w kolorze sierści deresza - Wielkie Równiny.

- Tu nie ma po NICH śladu - powiedział Rudy Warwick. Nie musiał precyzować, o kim mówi.

- Tak - przytaknął Bob Jenkins. - Wygląda na to, że JE prześcignęliśmy, albo w przestrzeni, albo w czasie.

- Albo i tak, i tak - zawyrokował Albert.

- Mhm, albo i tak, i tak.

Ale nie prześcignęli. Nad Górami Skalistymi zaczęli dostrzegać pod sobą czarne linie, cienkie jak nitki. Wspinały się i opadały po szorstkich skalnych pochyłościach i rysowały nie-tak-znowu-nic-nie-mówiące wzory po niebieskoszarym dywanie drzew. Nick patrzył przez wizjer w drzwiach. Ten wizjer dawał dziwny powiększający efekt i Nick wkrótce odkrył, że widzi lepiej, niż ma ochotę widzieć. Dwie czarne linie rozdzieliły się, obiegiły zjeżony, pokryty śniegiem wierzchołek, spotkały się po drugiej stronie, minęły i rozbiegły w dół zbocza. Cały górski szczyt zapadł się, a w tym miejscu powstał jakby martwy krater wulkanu.

- Jaja jak balony - zamruczał Nick i przesunął drżącą ręką po czole.

Kiedy lecieli nad Western Slope w kierunku Utah, znów zaczęła zapadać ciemność. Zachodzące słońce rzucało pomarańczowoczerwony blask na poszatowany piekielny krajobraz, na który nikt z nich nie potrafił długo patrzeć. Idąc za przykładem Bethany, jedno za drugim ściągnęli zasłony. Nick wrócił do fotela na uginających się nogach i ścisnął czoło lodowatą dłonią. Po kilku chwilach obrócił się do Laurel. Bez słowa wzięła go w ramiona.

Brian musiał patrzeć. W kabinach pilotów nie ma zasłon.

Zachodnie Kolorado i wschodnie Utah zapadły się w czeluść wieczności. Wszędzie nikły kolejne, ostro wycięte fragmenty. Góry, wzgórza, płaskowyże, przełęcze - jedno po drugim przestawały istnieć, gdy krzyżujące się w biegu langolierzy odcinały gnijące kawały zamartej przeszłości, odcinały ją na dobre i spychały w pozbawione słońca, niezgłębione otchłanie. Do wnętrza samolotu nie docierał żaden dźwięk i w jakiś sposób to było najkoszmarniejsze. Ziemia znikwała w dole cicho jak kłębki kurzu.

Potem nadeszła ciemność - jak akt łaski - i przez krótką chwilę Brian mógł skupić się na gwiazdach. Zatopił w nich wzrok z całą żarliwością, jakiej używa panika. Oto, co realnego pozostało w tym koszmarnym świecie: Orion - łowca, Pegaz - wielki błyszczący rumak północy, Kasjopeja na gwiazdzistym tronie.

## 11

Pół godziny potem słońce znów wstało i Brian poczuł, że gmach zdrowego rozsądku w jego głowie drży w posadach i również ześlizguje się ku krawędzi przepaści. Świat poniżej

przepadł. Całkowicie i nieodwołalnie przepadł. Coraz głębszy błękit nieba stał kopułą nad cyklopowym oceanem najgłębszej, czystej czerni.

Spod rejsu 29 wyszarpnęto świat.

Brianowi przemknęło przez głowę to samo, co wcześniej mówiła Bethany: jeśli staną pod ścianą, jeśli złe zamieni się w najgorsze, może wprowadzić 767 w lot nurkowy i roztrzaskać o skałę, kończąc wszystko raz na zawsze? Z tym że teraz nie było skał, o które można by się roztrzaskać.

Teraz nie było ziemi, o którą można by się roztrzaskać.

„A co się z nami stanie, jeśli nie zdołamy odnaleźć tego rozdarcia? - zastanawiał się. Co się stanie, jeśli zabraknie nam paliwa? Nie próbuj sobie wmówić, że się rozbijemy, bo po prostu w to nie uwierzysz - nie można rozbić się o nic. Zwyczajnie będziemy spadać... i spadać... i spadać. Jak długo? I jak głęboko? Jak głęboko spada się w nicość?”.

Nie myśl o tym.

Ale jak? Jak się to robi? Jak długo można odpychać myśli o nicości?

Zajął się obliczeniami. Pracował, często korzystając ze wskaźnika INS, aż światło zaczęło spełzać z nieba. Z obliczeń wynikało, że czas między wschodem a zachodem słońca trwał dwadzieścia osiem minut.

Sięgnął do przełącznika kontrolującego interkom i włączył obwód.

- Nick? Możesz wpaść tu do mnie na dziób?

Nick zjawił się w drzwiach kokpitu już po trzydziestu sekundach.

- Zaciągnęli wszyscy zasłony? - spytał Brian, zanim Nick zdążył wejść do środka.

- Zgadłeś.

- Bardzo mądrze z ich strony. Jeśli możesz, wytrzymaj jak najdłużej, nie patrząc w dół. Chcę, żebyś spojrzął za kilka minut, ale podejrzewam, że jak już to zrobisz, trudno ci będzie oderwać wzrok od okna. Więc radzę, odczekaj, ile się da. Widok nie jest... zbyt miły-

- Nie ma nic?

- Tak, nie ma.

- Tej małej dziewczynki też już nie ma. Laurel była z nią do końca. Znosi to bardzo dzielnie. Lubiła tę dziewczynkę. Ja też.

Brian skinął głową. Spodziewał się tego. Dziewczynka wymagała natychmiastowej opieki na oddziale intensywnej terapii i nawet wtedy prognozy byłyby mgliste. Ale mimo to poczuł ucisk w sercu. Również polubił Dinah i wierzył, jak Laurel - że chyba zawdzięczają przeżycie bardziej małej dziewczynce niż komukolwiek innemu. Zrobiła coś z panem Toomym, wykorzystwała go w jakiś dziwny sposób... i Brian wyobrażał sobie, że Toomy w

głębi serca nie miał nic przeciwko temu. Więc jeśli jej śmierć miałaby stanowić omen - był to omen najgorszego rodzaju.

- Nie doczekała się tej swojej operacji.

- Nie.

- Ale z Laurel w porządku?

- Mniej więcej.

- Podoba ci się, co?

- Tak - powiedział Nick. - Mam koleżków, którzy ryczeliby ze śmiechu, gdybym się im do tego przyznał, ale naprawdę mi się podoba. Jest trochę za łatwowna, ale ma charakter.

Brian pokiwał głową.

- No cóż, jeśli wrócimy, wszystkiego najlepszego.

- Dzięki. - Nick znów zajął fotel drugiego pilota. - Zastanawiałem się nad pytaniem, które zadałeś mi poprzednio. Co zrobię, jeśli wyjdziemy cało z tego bałaganu... rzecz jasna poza tym, że zabiorę śliczną Laurel na kolację. Coś mi się jednak zdaje, że zajmę się panem O'Banionem. Na mój gust, nie różni się tak bardzo od naszego przyjaciela Toomy'ego.

- Dinah prosiła cię, żebyś oszczędził pana Toomy'ego - zauważył Brian. - Może powinieneś wziąć to pod rozwagę.

Nick pokiwał głową. Ciężka mu na karku.

- Może.

- Posłuchaj Nick. Zawołałem cię, ponieważ jeśli to rozdarcie czasowe Boba faktycznie istnieje, musi być już blisko. Obejmiemy wachtę na bocianim gnieździe. Ty bierzesz prawą burtę i prawą przednią ćwiartkę, ja lewą i lewą ćwiartkę. Jak zobaczysz coś wyglądającego na rozdarcie czasowe, sygnalizuj.

Nick wpatrywał się w Briana szeroko otwartymi, niewinnymi oczyma.

- Czy szukamy rozdarcia z podgatunku czary-mary-diabeł-stary, czy też jednego z tych dupno-psychodelicznych modeli, koleżko?

- Bardzo zabawne - powiedział Brian, ale poczuł, że uśmiecha się wbrew sobie. - Nie mam zielonego pojęcia, jak to może wyglądać, a nawet czy w ogóle uda się nam to zobaczyć. Wpakujemy się w cholerną kabałę, jeśli zdryfowało w bok albo zmieniło wysokość. Znalezienie igły w stogu siana to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co nas czeka.

- Co z radarem?

Brian wskazał na kolorowy monitor.

- Jak widzisz, nic. Ale to normalka. Poprzednia załoga nie dostała tego cholerstwa na radarze, bo na pewno by przez nie nie przeleciała.

- Nie przeleciałaby też, gdyby dostała - ponuro zauważył Nick.

- To niekoniecznie prawda. Mogli zobaczyć to za późno, żeby móc ominąć. Odrzutowce poruszają się szybko, a załogi samolotów nie spędzają całego czasu przelotu na rozglądaniu się po niebie za straszdyłami. Nie muszą, od tego jest kontrola naziemna. Po trzydziestu minutach od rozpoczęcia lotu główne obowiązki załogi związane z procedurą startu są zakończone. Ptaszek jest w górze, wyszedł poza przestrzeń powietrzną LA, włączony brzęczyk przeciw-kolizyjny piszczy co dziewięćdziesiąt sekund na znak, że pracuje. INS jest kompletnie zaprogramowane - jeszcze zanim ptaszek uniesie się w powietrze - i mówi autopilotowi, co ma robić. Wygląda na to, że pilot i drugi pilot zrobili sobie przerwę na kawę. Mogli siedzieć tu, gapić się na siebie, gadać o ostatnim filmie albo wspominać, ile przepuścili w Hollywood Park. Jeśli tuż przed Zdarzeniem na dziobie znalazła się stewardesa, oznaczałoby to obecność pary oczu więcej, ale nie wiemy, czy się znalazła. Kiedy się to stało, męska część załogi piła kawę i jadła duńczyki. Stewardesy przygotowywały się do roznoszenia drinków.

- To niezwykle szczegółowy scenariusz - powiedział Nick. - Próbujesz przekonać mnie czy siebie?

- W tej chwili byłbym szczęśliwy, mogąc przekonać kogokolwiek.

Nick uśmiechnął się i poszedł do prawego okna kokpitu. Mimo woli spojrzał w dół, tam gdzie powinien znajdować się stały ląd - i uśmiech najpierw zastygł mu na twarzy, a potem znikł. Kolana się pod nim ugięły i złapał się wręgi kadłuba, żeby nie upaść.

- Gównu na grzance! - zaklął cienkim, przerażonym głosem.

- Niezbyt miłe, co?

Spojrzał na Briana. Oczy pływały mu w bladej twarzy.

- Zawsze - powiedział - kiedy ludzie zastanawiali się przy mnie, co jest największym niepojętym dziwem świata, mówiłem: Australia. Ale Australia to pic. Największe niepojęte dziwo jest tam. Na dole.

Brian znowu zerknął na INS i szybko sprawdził wyliczenia na mapach. Zrobił wcześniej małe czerwone kółeczko na jednej z kart: dochodzili teraz do niego.

- Możesz zrobić to, o co prosiłem? Mów, jeśli nie. Duma to luksus, na który nas nie stać...

- Oczywiście, że mogę - mruknął Nick. Oderwał wzrok od wielkiej czarnej wyrwy pod samolotem i rozglądał się po niebie. - Chciałbym tylko wiedzieć, czego szukam.

- Myślę, że będziesz wiedział, kiedy to zobaczysz... - powiedział Brian. Zawiesił głos i dodał: - Jeśli to zobaczysz.

## 12

Bob Jenkins siedział z rękami ciasno skrzyżowanymi na piersiach, jakby mu było zimno, i było mu trochę zimno, ale nie chodziło o to, że zziąbł. Chłód kłębił mu się w głowie.

Coś było nie w porządku.

Nie wiedział co, ale coś było nie w porządku. Coś nie pasowało do sytuacji... przeoczone... albo zapomniane. Popełnili jakiś błąd albo mieli popełnić. Doskwierało mu to jak nie zlokalizowany, niedający się zidentyfikować ból. To wrażenie już, już krystalizowało się w myśl... a potem umykało jak drobne, nie-do-końca-oswojone zwierzątko.

Coś nie w porządku.

Lub niepasujące do sytuacji. Lub przeoczone. Lub zapomniane.

Przed nim siedzieli Albert i Bethany. Kleili się do siebie, zachwyceni. Rudy Warwick siedział z tyłu. Oczy zamknął, poruszał wargami, w pięści ścisnął paciorki różańca. Po drugiej stronie przejścia Laurel Stevenson trzymała rękę Dinah, gładziła ją łagodnie.

„Nie w porządku”.

Bob poniósł zasłonę, wyjrzał, zatrzasnął z hukiem. Patrzenie na to nie pomagało w racjonalnym myśleniu. Raczej utrudniało. Tam panoszyło się królestwo bzika.

„Muszę ich ostrzec. Muszę. Lecą, opierając się na mojej hipotezie, ale jeśli ta hipoteza jest w jakiś sposób błędna - i niebezpieczna - muszę ich ostrzec”.

Ostrzec przed czym?

Znowu prawie wylazło w światło jego świadomości, a potem odpełzło, stając się tylko cieniem pośród cieni... ale cieniem ze lśnjącymi feralnie ślepiami.

Nagle rozpiął pas i wstał.

Albert obejrzał się.

- Dokąd pan idzie?

- Do Cleveland - rzucił opryskliwie Bob i poszedł na tył, wciąż próbując wysledzić miejsce, z którego rozbrzmiewał ten duchowy dzwonek alarmowy.

## 13

Brian oderwał wzrok od nieba - które znowu zaczęło się rozjaśniać - tylko aby rzucić okiem na wskaźnik INS, a potem na kółeczko na mapie. Teraz dolatywali do drugiej strony kółeczka. Jeśli rozdarcie czasowe nadal istnieje, powinni niebawem je zobaczyć. Jeśli nie, to chyba powinien przejąć stery i spróbować jeszcze jednego podejścia - na nieco innej wysokości i nieco odmiennym kursie. Zeżre im to od cholery i trochę paliwa, z którym było

cienko, ale skoro cały ten interes i tak jest prawdopodobnie bez szans, nie gra to specjalnej ro...

- Brian? - głos Nicka drżał. - Brian? Zdaje się, że coś widzę.

## 14

Bob Jenkins dotarł do ogona samolotu, wykonał zwrot w tył i zaczął maszerować z powrotem, mijając rzędy pustych foteli. Patrzył na przedmioty leżące na siedzeniach i na podłodze: torebki... okulary... zegarki na rękę... zegarki kieszonkowe... dwa wytarte kawałki metalu w kształcie półksiężyców, prawdopodobnie blaszki do butów... plomby... obrączki ślubne...

„Coś jest nie w porządku”.

Na pewno? Czy faktycznie, czy też jego przeciążony umysł zdręczał się niczym? Jak przemęczony mięsień, który nie przestaje dygotać?

„Przestań, doradził sam sobie, ale nie mógł przestać. Jeśli coś naprawdę jest nie tak, jak powinno być, dlaczego na to nie wpadniesz? Czy nie powiedziałeś chłopakowi, że dedukcja jest twoją strawą i napitkiem? Czy nie napisałeś czterdziestu kryminałów, z czego tuzin faktycznie niezłych? Czy »Newgate Callendar« nie nazwał *Śpiącej madonny* arcydziełem logiki podczas...”.

Bob Jenkins stanął jak rażony gromem z wybałuszonymi oczami. Wybałuszył je, patrząc na fotel, w którym mężczyzna z czarną brodą spał dalej jak zabity, chrapiąc donośnie. Nieśmiałe zwierzę, które zaszyło się w mrocznych zakamarkach jaźni Boba, w końcu zaczęło wpełzać strachliwie. Tylko że nie było małe, jak sądził wcześniej. Tu tkwił błąd. Czasem nie dostrzega się czegoś, bo jest za drobne, ale czasem pomija się coś, bo jest za ogromne. Za oczywiste.

„Śpiąca madonna”.

Śpiący mężczyzna.

Otworzył usta do wrzasku, ale nie wydał żadnego dźwięku. Gardło miał ściśnięte. Groza siadła mu na piersi, jakby przydusił go jakiś typ spod ciemnej gwiazdy. Znów zebrał się do wrzasku i tylko zaskrzeczał cichutko.

„Śpiąca madonna”, śpiący mężczyzna. „My, którzy przeżyliśmy, wszyscyśmy poprzednio spali”. Teraz, z wyjątkiem brodatego mężczyzny, żadne z nich nie spało. Bob otworzył usta raz jeszcze, raz jeszcze spróbował wrzasnąć i raz jeszcze nie wydusił z siebie prawie nic.

## 15

- Jezu Chryste o poranku - szepnął Brian.

Rozdarcie czasowe leżało sto kilometrów przed nimi, po prawej burcie 767, nie więcej niż siedem, osiem stopni od dziobu. Jeśli zdryfowało, to niewiele. Różnica położenia musiała być wynikiem drobnego błędu nawigacyjnego.

W rzeczywistości ziała dziura romboidalnego kształtu, ale nie była czarna i pusta. Pulsowała ciemnym, różowopurpurowym światłem jak zorza polarna. Brian widział leżące głębiej gwiazdy. Też pulsowały. Szeroka koronka białego oparu powoli płynęła albo w dziurę, albo wypływała z niej. Wyglądało to na jakąś dziwną eteryczną szosę.

„Możemy lecieć prosto jak strzełi, pomyślał Brian. To lepsze niż ILS\*!” \* System lądowania według przyrządów.

- Wróciliśmy! - powiedział, roześmiał się idiotycznie i potrząsnął zaciśniętymi dłońmi w powietrzu.

- Musi mieć ze trzy kilometry szerokości - szepnął Nick. - Mój Boże, Brian, jak myślisz, ile samolotów przez to przeleciało?

- Nie wiem, ale stawiam strzelbę i psa, że my mamy szansę wrócić.

Włączył interkom.

- Panie, panowie, znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. - W jego głosie triumf mieszał się z ulgą. - Nie wiem dokładnie, co stanie się dalej, ani jak, ani dlaczego, ale ujrzeliśmy coś, co robi wrażenie nieprawdopodobnie wielkiej klapy w niebie. Zamierzam poprowadzić nas prosto przez jej środek. Co znajduje się po drugiej stronie, tego dowiemy się wspólnie. W tej chwili chciałbym, żebyście wszyscy zapięli pasy i...

Wtedy właśnie Bob Jenkins rzucił się jak szalowiec, drąc się co sił w płucach.

- Nie! Nie! Zginiemy wszyscy, jeśli w to wlecimy! Zawracaj! Musisz zawrócić!

Brian obrócił się w fotelu i wymienili z Nickiem zaskoczone spojrzenia.

Nick rozpiął pas i wstał.

- To Bob Jenkins - powiedział. - Wygląda na to, że dopadło go niezłe załamanie nerwowe. Kontynuuj, Brian. Zajmę się nim.

- W porządku. Tylko trzymaj go z dala ode mnie. Nie życzę sobie, żeby rzucił się na mnie w niewłaściwym momencie i wepchnął nas w krawędź tego interesu.

Wyłączył autopilota i przejął stery 767. Podłoga pochyliła się lekko w prawo, kiedy skręcił łagodnie w kierunku długiej, jaśniejszej przed nimi szpary. Zdawała się ślizgać po niebie, aż znalazła się na wprost dziobu 767. Teraz Brian słyszał, jak w buczenie silników wplata się inny dźwięk - basowe dudnienie przypominające odgłos diesla na wolnych obrotach. Kiedy zbliżali się do rzeki oparów (wpływały w dziurę, widział teraz to, nie wypływały z niej), dostrzegał błyski kolorów wędrujące wewnątrz: zieleń, błękit, fiolet,



czerwień, cukierkowy róż. „Pierwsze prawdziwe kolory, jakie widzę w tym świecie”, pomyślał.

Bob Jenkins sprintem pokonał przedział klasy pierwszej, przebiegł wąskie przejście wiodące do pomieszczenia służbowego... i wpadł w ramiona oczekującego go Nicka.

- Spokojnie, koleżko - łagodził Nick. - Teraz wszystko będzie dobrze.

- Nie! - Bob opierał się dziko, ale Nick zapanował nad nim łatwo jak nad rozwścieczoną kotką. - Nie, nie rozumiesz! On musi zawrócić! Musi zawrócić, nim będzie za późno!

Nick odholował pisarza od drzwi kokpitu, do klasy pierwszej.

- Siądziemy sobie i zapniemy paseczek, dobra? - powiedział identycznym co poprzednio, kumpłowskim tonem. - Może nami trochę potyrpać.

Głos Nicka docierał do Briana tylko jako niewyraźna plama dźwięku. Kiedy zanurzył się w szeroki nurt oparu wlewającego się w rozdarcie czasu, poczuł, jak ogromna i niewiarygodnie potężna dłoń łapie samolot i ciągnie żywo do przodu. Przypomniała mu się utrata szczelności kadłuba podczas lotu z Tokio do LA, kiedy powietrze błyskawicznie uciekało przez dziurę w wyniku różnicy ciśnień wewnątrz i na zewnątrz samolotu.

„Tymczasem cały ten świat - albo to, co z niego pozostało - wycieka przez tę dziurę”, pomyślał, a potem wspomniawszy ten dziwny i złowroźny napis ze snu: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

Rozdarcie leżało teraz dokładnie na wprost dziobu 767. Rosło szybko.

„Wlatujemy, pomyślał. Boże, dopomóż nam, naprawdę wlatujemy”.

## 16

Bob stawiał opór, jeszcze gdy Nick przyparł go jedną ręką do fotela, a drugą usiłował zapiąć mu pas. Bob był drobnym suchym mężczyzną, ważył pewnie nie więcej niż sześćdziesiąt cztery kilogramy w butach i skarpetkach, ale panika wyzwoliła w nim sporo żywotności i sprawiał teraz Nickowi moc kłopotów.

- Naprawdę wszystko będzie dobrze, koleżko - klarował Anglik. W końcu udało mu się zatrzaskać pas na Bobie. - Kiedy wlatywaliśmy, też wszystko było dobrze, no nie?

- Wtedy wszyscy spaliśmy, ty cholerny głupcze! - rozdarł się Bob. - Czy nie rozumiesz? Spaliśmy! Musisz go zatrzymać!

Nick zastygł w trakcie sięgania po swój pas. To, co powiedział Bob - co usiłował powiedzieć mu cały czas - nagle spadło na niego jak furgon cegieł.

- Och, dobry Boże - szepnął. - Dobry Boże, o czym my myśleliśmy?

Wyskoczył z fotela i lotem strzały pognął do kokpitu.

- Brian, stój! Zawracaj! Zawracaj!

## 17

Brian jak zahipnotyzowany wpatrywał się w rozdarcie. Nie czuło się turbulencji, ale działanie ogromnej siły, potężnej rzeki powietrza sunącej w dziurę, wzrosło. Spojrzał na swoje instrumenty i zobaczył, że i szybkość 767 znacznie wzrosła. Wtem Nick zaczął krzyczeć i chwilę potem znalazł się w kokpicie, chwycił Briana za ramiona. Rozdarcie pęczniało. Kolory mieniły się coraz intensywniejszymi odcieniami na czole i policzkach Anglika, jakby stanął przed witrażem w jasny, słoneczny dzień. Równe dudnienie przeszło w ponury ryk gromu.

- Zawracaj, Brian, musisz zawrócić!

Czy Nick miał powód, żeby tego żądać, czy panika Boba okazała się zaraźliwa? Nie było czasu na racjonalne myślenie. Brian miał tylko ułamki sekund na konsultacje z cichutko tykającymi trybikami instynktu.

Kapitan Engle złapał wolant i przerzucił go do oporu na lewą burtę.

## 18

Nick przeleciał przez kokpit i wpadł na wręgę. Rozległ się mdlący trzask pękającej kości ramienia. W głównej kabinie bagaż, który już wypadł z górnych skrytek przy starcie z Bangor, frunął po raz drugi, odbił się od wygiętych ścian i okien niszczycielskim gradem. Mężczyzna z czarną brodą wyleciał z fotela jak zawodnik rodeo wysadzony z siodła i zdążył wydać zaledwie jeden żałosny skrzek, nim trafił głową w oparcie innego fotela i gruchnął w przejście z beładnie splątanymi rękami i nogami. Bethany krzyknęła i Albert przytulił ją mocno. Rudy Warwick zamknął powieki, ścisnął różaniec i przyspieszył tempo modlitwy, gdy fotel zakołysał się pod nim.

Teraz dopiero weszli w turbulencję; samolot zamienił się w uskrzydloną deskę surfingową, kiwał się, obracał i podskakiwał w niepewnych prądach powietrza. Na moment wolant wyskoczył z rąk Briana, ale udało mu się znów go złapać. Równocześnie pchnął do końca manetki i silniki odpowiedziały głębokim warknięciem, rzadko słyszczanym poza hangarami diagnostycznymi. Turbulencja wzrosła; samolot ciskał się wściekle w górę i w dół, zgrzytał krańcowo przeciążony metal.

Bob Jenkins ścisnął kurczowo ręce na oparciach fotela. Zdrętwiały błogosławił Nicka za to, że zdołał go przypiąć pasami. Czuł się jak uwiązany do zwariowanego bicykla, napędzanego silnikami odrzutowymi. Samolot wykonał kolejny gigantyczny sus, lewe skrzydło podniosło się prawie do pionu, a pisarzowi sztuczna szczęka wypadła z ust.

„Czy my wlatujemy? Jezu słodki, wlatujemy?”.

Nie wiedział. Wiedział tylko, że świat jest koszmarnym snem, który ciska nim i miota... ale jeszcze żył w tym świecie.

Przynajmniej na razie.

## 19

Turbulencja rosła, w miarę jak Brian prowadził coraz dalej 767 w poprzek szerokiego strumienia oparu wpadającego w rozdarcie. Dziura nadal pęczniała przed dziobem samolotu, choć szedł w prawo. Nagle, po szczególnie ostrym podrzucie, opuścili powietrzne katarakty i weszli w łaskawsze prądy. Rozdarcie czasu znikło za prawą burtą. Minęli je... ale z jakim marginesem, o tym Brian wołał nie myśleć.

Dalej prowadził samolot po łuku, ale złagodził kąt.

- Nick! - krzyknął, nie odwracając głowy. - Nick, co z tobą? Wszystko w porządku?!

Nick z wolna dźwignął się na nogi, osłaniał prawą rękę. Twarz miał bardzo bladą, zęby zaciśnięte z bólu. Cienkie strużki krwi ciekły mu z nozdrzy.

- Bywało lepiej, koleżko. Złamałem rękę, jak sądzę. Biedny stary gnat trzasnął nie pierwszy raz. Minęliśmy to, nie?

- Minęliśmy - potwierdził Brian. Dalej prowadził samolot po wielkim kole. - I za minutę wytłumaczysz mi, dlaczego minęliśmy, kiedy drogę do poszukiwanego celu mieliśmy już za sobą. I przyłóż się do tego, bo złamana ręka mało mnie wzrusza. Sięgnął do przełącznika interkomu.

## 20

Laurel otworzyła oczy w chwili, gdy usłyszała głos Briana. Głowa Dinah spoczywała jej na kolanach. Łagodnie pogładziła dziewczynkę po włosach i ułożyła z powrotem na noszach.

- Kochani, tu kapitan Engle. Przepraszam za to, co się działo. Wszystko zawisło na cholernie cienkim włosku, ale jesteśmy w porządku, wszystko świeci się na zielono. Pozwólcie, że powtórzę: znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, ale...

Rozległ się nagły trzask wyłączanego interkomu. Pasażerowie czekali. Bethany Simmons łkała na piersi Alberta. Rudy Warwick nadal odmawiał różaniec.

## 21

Brian przerwał, kiedy uświadomił sobie, że za nim stoi Bob Jenkins. Pisarz trząsł się, miał na spodniach mokrą plamę, usta dziwnie mu się zapadły, zmieniając twarz... ale zdawał się panować nad sobą. Nick krzywiąc się, usiadł w fotelu drugiego pilota. Nadal podtrzymywał rękę. Zaczęła puchnąć.

- O co chodzi, do diabła? - Brian surowo zwrócił się do Boba. - Ciut silniejsza turbulencja i ta suka rozleciałaby się na dziesięć tysięcy kawałków.

- Mogę odezwać się przez ten interes? - spytał Bob, wskazując na przełącznik z napisem: INTERKOM.

- Tak, ale...

- To daj mi to zrobić.

Brian otworzył usta, żeby protestować, ale po namyśle ustąpił.

- Zasuważ, jesteś na fonii. - Dodał jeszcze: - Tylko się postaraj.

- Słuchajcie mnie wszyscy! - krzyknął Bob. Z tyłu doleciał ich jęśliwy protest sprzężenia mikrofonu. - Muuu.

- Mów zwyczajnym głosem - powiedział Brian. - Rozerwiesz im cholerne bębni.

Bob z widocznym trudem narzucił sobie spokój i kontynuował ciszej:

- Musieliśmy zawrócić i zrobiliśmy to. Kapitan wyraźnie dał mi do zrozumienia, że ledwo się nam udało. Mieliśmy wyjątkowe szczęście... i byliśmy wyjątkowo głupi. Otóż zapomnieliśmy o rzeczy najbardziej podstawowej, choć cały czas mieliśmy ją przed nosem. Kiedy za pierwszym razem mijaliśmy rozdarcie czasu, wszystkie osoby w samolocie, które nie spały, zniknęły.

Brian podskoczył w fotelu. Poczuł się, jakby mu ktoś zdrowo przyłożył. Przed dziobem 767 w odległości jakichś pięćdziesięciu kilometrów znów pojawił się lekko błyszczący romb. Wyglądał jak gigantyczny półszlachetny kamień. Zdawał się drwić z niego.

- My wszyscy nie śpimy - powiedział Bob. (W głównej kabinie Albert spojrzał na czarnobrodego mężczyznę, który leżał w przejściu nieprzytomny. „Z jednym wyjątkiem”, pomyślał). - Nasuwa się logiczna myśl, iż jeśli spróbujemy powrotu w tym stanie, znikniemy.

Zastanowił się nad tym chwilę i skończył:

- To wszystko.

Brian automatycznie wyłączył interkom. Nick wydusił z siebie bolesny, niedowierzający śmiech.

- To wszystko? Cholernie wszystko? A co mamy z tym począć? Brian spojrzał na niego i nie odpowiedział. Bob Jenkins też nie.

## 22

Bethany podniosła głowę i spojrzała na napiętą, oszołomioną twarz Alberta.

- Mamy iść spać? Jakim cudem? W życiu nie chciało mi się mniej spać!

- Nie wiem.

Spojrzał z nadzieją na Laurel. Ale nie zdążył otworzyć ust, a już potrząsnęła głową. Marzyła o tym, żeby zasnąć, zwyczajnie zasnąć i zapomnieć o całym tym koszmarze - ale, jak i Bethany, nigdy w życiu nie chciało jej się mniej spać.

## 23

Bob wyjrzał przez okno kokpitu. Milczał, zafascynowany. Po długiej chwili odezwał się cicho i z zachwytem:

- Więc tak to wygląda.

Brianowi przyszedł do głowy tekst rockandrollowego kawałka: „Patrz sobie, patrz, łapy miej przy sobie”. Zerknął na wskaźnik poziomu paliwa. To, co zobaczył, nie przyniosło mu ulgi. On także nigdy nie czuł się równie rześki. Podniósł bezradne spojrzenie na Nicka.

- Nie wiem, co teraz pocniemy - powiedział - ale jak mamy kombinować z tą dziurą, to szybko. Świta wam coś?

Nick pochylił głowę. Nadal trzymał rękę przy ciele. Po dłuższej chwili uniósł głowę.

- Tak - powiedział. - W istocie, coś mi świta. Pasażerowie linii lotniczych rzadko wsadzają lekarstwa do walizek oddawanych na bagaż, wolą trzymać je przy sobie, na wypadek gdyby bagaż wylądował na drugim końcu świata i miał powrócić do nich dopiero po kilku dniach. Jeśli przejrzymy podręczne torby, na pewno znajdziemy mrę środków nasennych. Nie będziemy nawet musieli ściągać toreb z półek. Sądząc po hałasach, prawie wszystkie leżą już na podłodze... co? W czym problem?

To ostatnie było skierowane do Boba Jenkinsa, który zaczął kręcić głową, ledwie z ust Nicka padło słowo „lekarstwo”.

- Znasz się trochę na środkach nasennych? - spytał.

- Trochę - powiedział Nick, ale w jego głosie zabrzmiała nuta niepewności. - Trochę, no...

- Cóż, ja znam się dobrze - sucho stwierdził Bob. - Przeprowadziłem w tej sprawie dokładne rozeznanie. Zaznajomiłem się ze wszystkimi: od najsłabszych do najmocniejszych. Rozumiecie, że morderstwo za pomocą środka usypiającego zawsze stanowiło ulubiony chwyt w dziedzinie, którą się param. Jeśli nawet znalazłbyś najpotężniejszy medykament w pierwszej z brzegu torbie - co samo w sobie jest rzeczą nieprawdopodobną - nie podasz bezpiecznej dawki, która by odniosła odpowiednio szybki skutek.

- Cholera, dlaczego nie?!

- Ponieważ minie czterdzieści minut, zanim ten interes zadziała... a mocno wątpię, czy zadziałałby na wszystkich. W sytuacji stresowej umysł w naturalny sposób stawia opór takiemu medykamentowi - próbuje go odrzucić. Tej reakcji absolutnie nie da się zwalczyć,

Nick... równie dobrze mógłbyś próbować rządzić swoim pulsem dekretami. Osiągniesz tylko tyle, zakładając oczywiście, iż znajdziesz dość leków, że rozdasz serię śmiertelnych dawek i zamienisz samolot w Jonestown. Może byśmy i przelecieli, ale martwi.

- Czterdzieści minut - powiedział Nick. - Chryste. Jesteś pewny? Jesteś absolutnie pewny?

- Tak. - Bob był nieugięty.

Brian spojrział na jaśniejący romb. Położył samolot w kurs po kole i rozdarcie wyszło znów z pola widzenia. Niebawem powróci... ale nie będzie bliżej.

- Nie mogę w to uwierzyć - ciężko powiedział Nick. - Przejść przez to wszystko, przez co my przeszliśmy... szczęśliwie wystartować i przelecieć całą drogę... w końcu znaleźć to cholerstwo... i dowiedzieć się, że nie możemy przez nie przelecieć i wrócić do naszego czasu tylko dlatego, że nie możemy zasnąć?!

- Zresztą i tak nie mamy czterdziestu minut - cicho powiedział Brian. - Jeśli będziemy tak długo czekać, samolot rozbije się sto kilometrów na wschód od lotniska.

- Na pewno są inne lotniska...

- Są, ale żadne nie jest dość wielkie, żeby przyjąć tak duży samolot.

- A gdybyśmy po przeleceniu zawrócili na wschód?

- Vegas. Ale Vegas wyjdzie z zasięgu w... - Brian spojrział na instrumenty - ...niecałe osiem minut. To musi być LAX. Będę potrzebował przynajmniej trzydziestu pięciu minut, żeby się tam dostać. To bardzo mało, nawet jeśli sprzątną nam wszystko z drogi i sprowadzą od razu w dół. Daje nam to... - znów spojrział na swój chronometr - ...najwyżej dwadzieścia minut na wykombinowanie tej sprawy i przelecenie dziury.

Bob spoglądał zamyślony na Nicka.

- A co z tobą?

- O co ci chodzi?

- Zdaje się, że jesteś żołnierzem... ale nie wydaje mi się, żebyś był w zwykłej jednostce. Może w SAS?

Twarz Nicka stężała.

- A gdybym był w czymś takim lub temu podobnym, to co z tego?

- Może ty potrafiłbyś nas uspić - powiedział Bob. - Czy nie uczą was, ludzi z oddziałów specjalnych, takich sztuczek?

Umysł Briana wywołał z pamięci pierwszą konfrontację między Nickiem a Craigiem Toomym. „...jak nie zamkniesz od razu pyska, dumny palancie, będę szczęśliwy, mogąc zademonstrować na tobie sławne usypiające dotknięcie pana Spocka z planety Vulkan”.

- Co ty na to, Nick? - zapytał spokojnie. - Jeśli kiedykolwiek potrzebowalibyśmy sławnego usypiającego dotknięcia, to teraz.

Nick przeniósł pełen niedowierzania wzrok z Boba na Briana i z powrotem.

- Proszę, nie rozśmieszajcie mnie, szanowni panowie, ręka mnie od tego jeszcze bardziej boli.

- O co ci chodzi?

- Z moimi kombinacjami na temat środków nasennych było coś nie tak, zgadza się? Pozwólcie sobie powiedzieć, iż teraz jest coś nie tak z waszymi kombinacjami na mój temat. Nie jestem Jamesem Bondem. W prawdziwym świecie James Bond nie istnieje. Sądzę, Bob, że potrafiłbym cię zabić uderzeniem w kark, ale jest bardziej prawdopodobne, że tylko sparaliżowałbym cię na resztę życia. Może nawet nie zdołałbym cię ogłuszyć. A jeszcze dochodzi to. - Nick podniósł szybko puchnące prawe ramię. Lekko się skrzywił. - Tak wypadło, że moja zręczna dłoń jest podłączona do mojego powtórnie złamanego ramienia. Może zdołałbym się obronić lewą - przed niewyszkolonym przeciwnikiem - ale taka sprawa? Nie. Bez szans.

- Wszyscy zapominacie o najważniejszym - usłyszeli nowy głos. Obrócili się. Laurel Stevenson z bladą i wychudłą twarzą stała w drzwiach kokpitu. Skrzyżowała ręce na piersiach, jakby zmarzła, i obejmowała łokcie dłońmi.

- Jeśli wszyscy padniemy, kto poprowadzi samolot? - spytała. - Kto poprowadzi samolot do LA?

Trójka mężczyzn gapiła się na nią bez słowa. Za ich plecami ogromny półszlachetny kamień niezauważony wśliznął się w pole widzenia.

- Jesteśmy ugotowani - spokojnie powiedział Nick. - Macie pojęcie? Jesteśmy ugotowani absolutnie na twardo.

Zaśmiał się lekko, a potem skrzywił, gdy odezwało się złamane ramię.

- Może nie - powiedział Albert. Pojawił się razem z Bethany. Strączki włosów kleiły mu się do czoła, ale ciemne oczy pozostały wyraziste i czujne. Były skupione na Brianie. - Myślę, że pan może nas uspić i pan może posadzić samolot.

- O czym ty gadasz? - szorstko zapytał Brian.

- O ciśnieniu - odpowiedział Albert. - Gadam o ciśnieniu.

## 24

Brianowi przypomniał się sen z tak straszliwą siłą, jakby go przeżywał: Anne zasłania ręką pęknięcie kadłuba, pęknięcie, nad którym czerwienią się słowa: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

Ciśnienie.

„Widzisz, kochanie? Zadbaliśmy o wszystko”.

- Co to znaczy, Brian? - spytał Nick. - Widzę, że on na coś wpadł - widzę po twojej twarzy. Co to jest?

Brian nie zwracał uwagi na Nicka. Patrzył przeciągle na siedemnastoletniego ucznia szkoły muzycznej, który - być może - właśnie znalazł sposób na wyrwanie się z pułapki, w którą wpadli.

- Co potem? - spytał. - Co potem, kiedy przelecimy? Jak się obudzę, żeby posadzić samolot?

- Czy ktoś zechce mi to wytłumaczyć? - błagała Laurel. Podeszła do Nicka, który objął ją swoją zdrową ręką.

- Albert sugeruje użycie tego - Brian stuknął reostat na tablicy rozdzielczej, oznaczony napisem: CIŚNIENIE KABINY - żeby pozbawić nas przytomności.

- Możesz to zrobić, koleżko? Naprawdę możesz?

- Tak - powiedział Brian. - Znam pilotów... na liniach czarterowych... którzy korzystają z tego, gdy pasażerowie wypiją za dużo i zaczynają rozrabiać, ryzykując życie swoje albo załogi. Pozbawić przytomności pijaka, obniżając ciśnienie, to żaden problem. Żeby zrobić to samo ze wszystkimi, wystarczy tylko obniżyć je trochę bardziej... powiedzmy do połowy normalnego ciśnienia. To jak wejście na wysokość trzech kilometrów bez maski tlenowej. Bum! Padasz jak podcięty.

- Jeśli da się to zrobić, dlaczego nie stosowano tego wobec terrorystów?

- Ponieważ jednak maski tlenowe istnieją, prawda? - rzekł Albert.

- Tak - powiedział Brian. - Obsługa demonstruje je przed każdym lotem odrzutowca - „załóżcie państwo te złote kubeczki na usta i oddychajcie normalnie” - zgadza się? Spadają automatycznie, kiedy ciśnienie w kabinie schodzi poniżej określonej wartości. Gdyby sterroryzowany pilot próbował pozbawić przytomności napastników, obniżając ciśnienie, terroryście wystarczyłoby złapać za maskę, założyć ją i zacząć strzelać. W mniejszych odrzutowcach, na przykład w learze, jest inaczej. Jeśli w kabinie opada ciśnienie, pasażerowie sami muszą otworzyć górne schowki na maski.

Nisk spojrzał na chronometr. Mieli teraz już tylko czternaście minut w rezerwie.

- Wydaje mi się, że lepiej przestańmy gadać i róbmy coś - powiedział. - Czasu jest coraz mniej.

- Jeszcze nie - powiedział Brian i znów spojrzał na Alberta. - Mogę ustawić z powrotem kurs na rozdarcie, Albercie, i zacząć zmniejszać ciśnienie, kiedy się do niego



zblizymy. Mogę bardzo dokładnie kontrolować ciśnienie w kabinie i jestem całkiem pewien, że mogę pozbawić nas wszystkich przytomności, zanim przelecimy. Ale kwestia postawiona przez Laurel zostaje otwarta: kto poprowadzi samolot, jeśli wszyscy padniemy?

Albert otworzył usta, zamknął je i potrząsnął głową. Wtedy zabrał głos Bob Jenkins. Ton, jakim się odezwał, był suchy, matowy, jak głos sędziego ogłaszającego sentencję wyroku.

- Myślę, że to ty zawieziesz nas do domu, Brianie. Ale ktoś inny musi umrzeć, żebyś ty mógł to zrobić.

- Wyjaśnić - szorstko zażądał Nick.

Bob uczynił to. Nie zabrało mu to wiele czasu. Nim skończył, Rudy Warwick dołączył do skromnej grupki stojących w drzwiach kokpitu.

- Czy to wypali, Brianie? - spytał Nick.

- Tak - odpowiedział mechanicznie Brian. - Nie ma powodu, żeby stało się inaczej.

Znów spojrzął na chronometr. Jedenaście minut. Jedenaście minut, aby dolecieć do rozdarcia z tej strony. Prawie tyle czasu zabierze ustawienie samolotu na kursie, zaprogramowanie autopilota i dojscie sześćdziesięciokilometrowym podejściem.

- Ale kto to zrobi? Reszta będzie ciągnąć losy, czy jak?

- To niepotrzebne - powiedział Nick. Mówił lekko, prawie niedbale. - Ja się tym zajmę.

- Nie! - zaprotestowała Laurel. Oczy rozwarła bardzo szeroko i stały się bardzo ciemne. - Dlaczego ty? Dlaczego to musisz być ty?!

- Zamknij się! - syknęła na nią Bethany. - Jak chce, to mu pozwól!

Albert spojrzął strapiiony na Bethany, na Laurel i wrócił spojrzeniem do Nicka. Jakiś głos - niezbyt silny głos - szeptał, że to on powinien zgłosić się na ochotnika, że to robota dla takiego twardziela jak Żyd Arizona, który przeżył Alamo. Ale czuł nade wszystko, że bardzo kocha życie... i nie chce go jeszcze kończyć. Więc otworzył tylko usta i zamknął je.

- Dlaczego ty? - naciskała Laurel. - Dlaczego nie powinniśmy ciągnąć losów? Dlaczego nie Bob? Albo Rudy? Dlaczego nie ja?

Nick wziął ją pod ramię.

- Chodź ze mną na moment.

- Nick, nie ma wiele czasu - powiedział Brian. Starał się zachować spokój, ale czuł, że rozpacz - może nawet panika - otwiera się w nim i krwawi jak rana.

- Wiem. Zaczynaj robić to, co masz do zrobienia. Nick pociągnął Laurel za próg.

Opierała się przez moment, potem poszła. Zatrzymał się w małej wnęce kuchennej i obrócił Laurel do siebie. W tej chwili, stojąc od niego nie dalej niż dziesięć centymetrów, uświadomiła sobie ponurą prawdę: to on był tym mężczyzną, którego miała nadzieję znaleźć w Bostonie. Ten mężczyzna był na pokładzie samolotu przez cały czas. Nic romantycznego nie kryło się za tym odkryciem; było okropne.

- Myślę, że mogliśmy coś przeżyć, ty i ja - powiedział. - Mam rację? Jak się zgadzasz, powiedz, nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Absolutnie nie ma.

- Tak - powiedziała. W gardle jej zaschło i głos się łamał. - Myślę, że to prawda.

- Ale nie mamy pewności. Nie możemy mieć. Wszystko sprowadza się do czasu, czyż nie tak? Czasu... i snu... i braku pewności. Ale to muszę być ja, Laurel. Zrobiłem uczciwy rozrachunek z samym sobą i okazało się, że wszędzie jestem głęboko pod kreską. To moja szansa, żeby stare długi przestały mnie ścigać, i jestem gotów z niej skorzystać.

- Nie rozumiem, o co ci cho...

- Ty nie, ale ja tak. - Mówił szybko, prawie wyrzucał z siebie słowa. Wziął ją pod ramię i przyciągnął jeszcze bliżej. - Liczyłeś na jakąś przygodę, Laurel?

- Nie wiem, o czym mów...

Potrząsnął nią krótko i mocno.

- Powiedziałem ci - nie ma czasu na owijanie w bawełnę! Czy liczyłeś na jakąś przygodę?

- No... tak.

- Nick! - To Brian wołał z kokpitu. Nick szybko się obejrzał.

- Idę! - krzyknął i wrócił spojrzeniem do Laurel. - Chcę wysłać cię w inną przygodę. Znaczący, jeśli wykaraskasz się z tej i jeśli zgodzisz się pojechać.

Tylko na niego patrzyła. Wargi jej się trzęsły. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. W głowie miała mętlik. Uścisk na jej ramieniu był bardzo mocny, ale uświadomiła sobie to dopiero potem, kiedy zobaczyła sińce zostawione przez jego palce; w tej chwili wzrok, którym przykuwał ją do miejsca, był dużo silniejszy.

- Posłuchaj. Posłuchaj uważnie. - Urwał, a potem odezwał się z przedziwnym, starannym naciskiem: - Zamierzałem z tym skończyć. Zdecydowałem się.

- Skończyć z czym? - spytała cieniem, drżącym głosem. Nick potrząsnął niecierpliwie głową.

- Nieważne. Ważne tylko jedno: wierzysz mi czy nie? Wierzysz?

- Tak - powiedziała. - Nie wiem, o czym mówisz, ale wierzę, że mówisz poważnie.

- Nick! - Brian ostrzegał z kokpitu. - Lecimy na to! Rzucił jedno spojrzenie w kierunku kokpitu, zmrużone oczy błyszczały.

- Idę już! - zawołał. Kiedy spojrzał na nią znów, Laurel pomyślała, że nigdy w życiu nie poczuła na sobie tak zawziętego, intensywnego spojrzenia. - Mój ojciec mieszka we Fluting. To wioska na południe od Londynu. Zapytaj o niego w byle sklepie przy Głównej. Pan Hopewell. Dziadkowie dalej mówią na niego „szefo”. Idź do niego i powiedz mu, że zdecydowałem się z tym skończyć. Bądź uparta, ma zwyczaj odwracać się plecami i głośno wyklinać, kiedy słyszy moje imię. Ta stara śpiewka: nie-mam-już-syna. Potrafisz być uparta?

- Tak.

Kiwnął głową i uśmiechnął się ponuro.

- Dobrze! Powtórz mu to, co ci powiedziałem, i powiedz, że mi uwierzyłaś. Powiedz, że zrobiłem co w mojej mocy, żeby odpokutować tamten dzień za kościołem w Belfaście.

- W Belfaście.

- Tak. A jeśli wcale nie będzie chciał słuchać, powiedz, że musi słuchać. Z powodu stokrotek. Tego dnia, w którym przyniosłem stokrotki. Zapamiętasz?

- Bo kiedyś przyniosłeś mu stokrotki.

Prawie się roześmiał - choć nigdy u nikogo nie widziała twarzy pełnej takiego smutku i goryczy.

- Nie, nie jemu, ale to zrobi swoje. Oto twoja przygoda. Zrobisz to?

- Tak... ale...

- Dobrze, Laurel. Dziękuję. - Położył jej rękę na karku, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Usta miał zimne i poczuła na nich smak strachu.

Chwilę później odszedł.

## 26

- Czy będziemy się czuli, jakbyśmy mieli... wie pan, kaszleć? - spytała Bethany. - Będziemy się dusili?

- Nie - powiedział Brian. Podniósł się z fotela, żeby zobaczyć, czy Nick idzie. Kiedy się zjawił z mocno wzruszoną Laurel Stevenson za plecami, opadł na fotel. - Poczujecie się trochę słabo... lekki zawrót głowy... potem nic.

Zerknął na Nicka.

- Aż wszyscy się obudzimy.

- Zgadza się! - radośnie powiedział Nick. - I kto wie? Może dalej będę tu tkwić? Złego licha nie weźmie, wiecie. Co, Brianie?

- Myślę, że wszystko jest możliwe - powiedział Brian. Pchnął lekko przepustnice. Niebo znów przejaśniało. Rozdarcie leżało dokładnie na kursie. - Siadajcie, kochani. Nick tu, blisko przy mnie. Pokażę ci, co robić... i kiedy.

- Sekunda, proszę - powiedziała Laurel. Odzyskała trochę rumieńce i panowanie nad sobą. Stała na palcach i złożyła na ustach Nicka pocałunek.

- Dziękuję - z powagą powiedział Nick.

- Chciałeś to rzucić. Zdecydowałeś się. A jak nie będzie słuchał, mam przypomnieć mu dzień, kiedy przyniosłeś stokrotki. Dobrze zapamiętałam?

Uśmiechnął się szeroko.

- Co do słówka, kochana. Co do słówka. - Objął ją i pocałował, długo i mocno. Kiedy wypuścił Laurel z objęcia, na ustach miał łagodny, zamyślony uśmiech. - Po czymś takim można wyruszyć w drogę. I niech to wystarczy.

## 27

Trzy minuty później Brian włączył mikrofon.

- Zaczynam obniżać ciśnienie. Wszyscy sprawdzić pasy. Zrobili to. Albert czekał w napięciu na jakiś odgłos - może syk uchodzącego powietrza - ale rozlegało się tylko równe buczenie silników odrzutowca. Czuł się bardziej rześki niż kiedykolwiek w życiu.

- Albercie? - Bethany powiedziała to głosem małej wystraszonej dziewczynki. - Obejmij mnie, proszę.

- Już - powiedział Albert. - Ale ty obejmij mnie.

Rudy Warwick, siedzący za nimi, powrócił do różańca. Po drugiej stronie przejścia Laurel Stevenson wpiła dłonie w oparcie fotela. Nadal czuła ciepły dotyk warg Nicka Hopewella na swoich ustach. Podniosła głowę, spojrzała na górne schowki i zaczęła oddychać głęboko i powoli. Czekala, aż maski opadną... i po jakichś dziewięćdziesięciu sekundach tak się stało.

„Pamiętaj o dniu w Belfaście, pomyślała. Za kościołem. Akt pokuty, powiedział. Akt...”.

W środku tej myśli zmógł ją sen.

## 28

- Wiesz... co masz robić? - Brian powtórzył pytanie śpiącym, niewyraźnym głosem. Rozdarcie czasu rosnęło w oknie kokpitu, rozciągając się na całe niebo. Świt je rozjaśnił i fantastyczna gama kolorów wirowała, płynęła i zanurzała się w przedziwną przepaść.

- Wiem - powiedział Nick. Stał obok Briana. Maskę, którą włożył, zniekształcała jego słowa. Oczy nad nią spoglądały spokojnie i bystro. - Nie ma strachu, Brianie. Wszystko gra jak pod własnym dachem. Zamknij oczka swe. Słodkich snów i tak dalej.

Brian odpływał. Czuł, że traci przytomność... a równocześnie nie chciał jej utracić, wpatrywał się w szeroki uskoki w materii rzeczywistości. Wydawało się, że uskoki rośnie w kierunku okna kokpitu, sięga po samolot. „Jakie to piękne, pomyślał. Boże, jakie piękne!”.

Czuł, że potężna dłoń sięga po samolot i znów ciągnie go w przód. Tym razem nie było odwrotu.

- Nick. - Mówił ze straszliwym wysiłkiem; usta były o sto kilometrów od mózgu. Podniósł rękę; długie ramię rozciągało się jak toffi.

- Spij - powiedział Nick, ujmując jego dłoń. - Nie walcz z tym, chyba że chcesz odejść ze mną. Już niedługo.

- Chciałem tylko powiedzieć... dziękuję.

Nick uśmiechnął się i uściśnął rękę Briana.

- Ależ proszę, koleżko. To był lot godny zapamiętania. Nawet bez filmu i darmowych mimoz\*.\* Drink z szampana i soku pomarańczowego.

Brian spojrział na rozdarcie. Widział rzekę sunących, wspaniałych kolorów. Kłębiły się... mieszały... i zdawały przed jego zdumionymi, zachwyconymi oczami tworzyć słowa:

TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY

- Czy to my... czy to o nas chodzi? - pytał zaciekawiony, a własny głos dobiegł go z jakiegoś odległego wszechświata.

Połąknęła go ciemność.

**29**

Nick został teraz sam; jedynym przytomnym pasażerem rejsu 29 był mężczyzna, który kiedyś za kościołem w Belfaście zastrzelił na miejscu trzech chłopaków. Ciskali w niego ziemniakami, pomalowanymi ciemnoszarą farbą, żeby udawały granaty. Dlaczego robili coś takiego? Był to jakiś wariacki pokaz odwagi? Nigdy się nie dowiedział.

Nie bał się, ale czuł dojmującą samotność. Nic nowego. Nie pierwsza to samotna warta, podczas której inni złożyli swe życie w jego ręce.

Rozdarcie zbliżało się. Opuścił dłoń do reostatu kontrolującego poziom ciśnienia kabiny.

„Jest wspaniale”, pomyślał. Kolory, które błyskały z rozdarcia, wydały mu się przeciwieństwem wszystkiego, czego doznał w ciągu ostatnich kilku godzin. Spoglądał w tygiel nowego życia i świeżej energii.

„Ale dlaczego nie miałyby być piękne? To miejsce, w którym zaczyna się życie - może wszelkie życie. Miejsce, w którym z każdą sekundą każdego dnia życie jest wykuwane na świeżo. Kołyska stworzenia i źródło czasu. Poza tę granicę wszystkie langolierzy mają wstęp wzbroniony”.

Kolory przebiegały mu po twarzy fontanną odcieni: zieleń dżungli została przesłonięta pomarańczowym blaskiem lawy; pomarańczowy blask lawy przemienił się w żółtobiałe słońce tropików; światło słońca zostało wyparte przez chłodny błękit północnych oceanów.

Ryk silników przycichł, oddalił się. Nicka nie zdziwiło, że kolory pochłonęły śpiącego Briana Engle'a, postać i twarz pilota przemieniły się w ciągle zmieniający się kalejdoskop jasności. Stał się baśniowym duchem,

Ani nie zdziwiło Nicka, że jego ręce i ramiona były bezbarwne jak glina. „Brian nie jest duchem, to ja nim jestem”. Rozdarcie rosnęło.

Teraz odgłos silników odrzutowych zginął kompletnie w nowym dźwięku. 767 zdawał się lecieć tunelem aerodynamicznym wysłanym piórami. Nagle, tuż przed dziobem samolotu, wybuchła ogromna gwiazda jak niebiański fajerwerk. Nick Hopewell zobaczył kolory, jakich żaden człowiek nie mógł sobie wymarzyć. Wypełniły nie tylko rozdarcie czasu, wypełniły jego umysł, nerwy, mięśnie, szpik w kościach gigantycznym, skrzącym, ognistym wybuchem.

- Och, mój Boże, jakie PIĘKNE! - wykrzyknął. A kiedy rejs 29 zanurzył się w rozdarcie, cofnął do końca reostat regulujący ciśnienia.

W ułamku sekundy plomby z zębów Nicka stuknęły o podłogę kokpitu. Rozległo się ciche puknięcie, kiedy dołączył do nich teflonowy dysk z kolana - pamiątka z potyczki niewiele godniejszej niż ta w Irlandii Północnej. To wszystko.

Nick Hopewell przestał istnieć.

### **30**

Brian najpierw poczuł, że ma przepoconą koszulę i że ból głowy powrócił.

Prostował się z wolna w fotelu, skrzywiony - łomotało mu w czaszce - i usiłował sobie przypomnieć, kim jest, gdzie jest i dlaczego czuje tak ogromną i nagłą potrzebę szybkiego obudzenia się. Co robił tak ważnego?

„Spadek ciśnienia, podszeptał mu rozum. W głównej kabynie nastąpiła utrata szczelności kadłuba i jeśli się jej nie opanuje, zapowiadają się potężne kłopoty...”.

Nie, to nie to. Nieszczelność kabiny została opanowana - lub w jakiś tajemniczy sposób sama się opanowała - i posadził bezpiecznie rejs 7 na LAX. Potem przyszedł facet w zielonej bluzie i...

„Pogrzeb Anne! Mój Boże, zasnęłam!”.

Rozwarł szeroko oczy, ale nie znajdował się w pokoju motelowym ani w gościnnej sypialni brata Anne w Revare. Spoglądał przez okno kabiny pilotów na niebo pełne gwiazd.

Nagle szybko przypomniał sobie... wszystko.

Wyprostował się całkiem. Zbyt szybko. Głowa zaprotestowała mdlącym pokacowym wrzaskiem. Krew trysnęła mu z nosa, bryzgnęła na centrum tablicy rozdzielczej. Koszulę miał całą we krwi. Oczywiście, że nastąpił brak szczelności. U niego.

„Oczywiście, pomyślał. To częsty skutek spadku ciśnienia. Powinienem ostrzec pasażerów... Przy okazji, ilu mi ich zostało?”.

Nie mógł sobie przypomnieć. W głowie miał watę.

Spojrzał na wskaźniki paliwa, zobaczył, że ich pozycja szybko dochodzi do punktu krytycznego. Sprawdził INS. Byli tam, gdzie być powinni. Schodzili szybko nad LAX i lada chwila mogą wejść w czyjąś przestrzeń powietrzną, zanim ten ktoś z niej wyjdzie.

Ktoś jeszcze dzielił z nim jego przestrzeń powietrzną, zanim stracił przytomność... Kto?

Pogrzebał w pamięci i znalazło się. Nick, oczywiście. Nick Hopewell. Nick przepadł. Widać nie był aż taki zły. I musiał zrobić swoje, bo inaczej Brian teraz by się nie obudził.

Szybko zaczął nadawać przez radio.

- Kontrola naziemna LAX, tu American Pride, rejs... - urwał. Jaki to rejs? Nie mógł sobie przypomnieć. Przeszkadzała mu ta wata w głowie.

- Dwadzieścia dziewięć, nie? - powiedział zza pleców oszołomiony, łamiący się głos.

- Dziękuję, Laurel. - Brian nie odwrócił się. - Teraz wracaj i zapnij pas. Może będę musiał wykonać kilka sztuczek z tym samolotem.

Znów odezwał się do mikrofonu.

- American Pride rejs 29, powtarzam, dwudziestka dziewiątka. Mayday, kontrola naziemna, zgłaszam sytuację awaryjną. Proszę, sprzątnijcie mi wszystko z drogi, schodzę kursem 85 i nie mam paliwa. Przygotujcie wóz strażacki z pianą i...

- O, przestańże wreszcie. - Laurel powiedziała to głuchym głosem. - Przestań, nie ma co.

Brian obrócił się, nie zwracając uwagi na świeży ból w głowie i świeżą fontannę krwi, która trysnęła mu z nosa.

- Siądź, do cholery! - warknął. - Wchodzimy nie zapowiedziani w gęsty ruch. Jak nie chcesz złamać sobie karku...

- Tam nie ma gęstego ruchu - powiedziała Laurel tym samym głuchym głosem. - Żadnego ruchu, żadnych wozów strażackich z pianą. Nick umarł niepotrzebnie i nigdy nie przekaze, wiadomości od niego. Sam popatrz.

Brian popatrzył. I choć znajdowali się teraz nad przedmieściami otaczającymi Los Angeles, zobaczył tylko ciemność.

Wyglądało na to, że w dole nie ma nikogo.

Absolutnie nikogo.

Laurel Stevenson wybuchnęła ostrym, bolesnym łkaniem, przerażona i bezradna.

### 31

Długi biały samolot pasażerski dalekiego zasięgu sunął z wolna nad ziemią, dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od lotniska międzynarodowego Los Angeles. Na ogonie wielkimi, dumnymi cyframi miał wymalowane „767”. Kładące się do tyłu litery na kadłubie tworzyły napis AMERICAN PRIDE. Ich pochylenie miało sugerować szybkość. Po obu stronach dziobu pysznił się znak firmowy linii: wielki czerwony orzeł. Rozpostarte skrzydła ozdobiono niebieskimi gwiazdami. Orzeł zdawał się podchodzić do lądowania, tak jak przyozdobiony nim samolot.

Samolot nie zostawiał cienia na opustoszałej siatce ulic; do świtu była jeszcze godzina. W dole nie poruszył się ani jeden samochód, nie paliła ani jedna latarnia. W dole wszystko było milczące i bez ruchu. Nie świeciły się światła pasów startowych.

Rozwarł się brzuch powietrznego statku. Podwozie opadło i rozłożyło się. Koła zostały zablokowane.

American Pride, rejs 29 szedł do lądowania w kierunku Los Angeles. Pochylił się lekko w prawo; Brian mógł teraz korygować lot gołym okiem i zrobił to. Minęli skupisko moteli przy lotnisku i Brian widział pomnik stojący blisko centrum terminalu, pełen gracji kształt, na trzech ugiętych nogach, z restauracją w środku. Minęli krótki pas zwiędłej trawy. Betonowy pas startowy rozwinął się dziesięć metrów dalej.

Tym razem nie było czasu na łagodne sadzanie 767; wskaźniki paliwa na całej desce rozdzielczej krzyczały „zero!” i ptaszek lada chwila mógł się zamienić we wściekłą sukę. Brian posadził go twardo, jak sanie przy duszone ładunkiem cegieł. Od grzmotnięcia zagrzechotały mu zęby, a nos zaczął znów krwawić. Pasy zablokowały się. Laurel, siedząca w fotelu drugiego pilota, krzyknęła.

Podniósł klapy i dał pełny rewers. Samolot zaczął zwalniać. Robili niewiele ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy dwa silniki zgasty i zabłyśły napisy: SILNIKI NIE PRACUJĄ. Rzucił się do interkomu.



- Trzymajcie się! Idziemy na kolizję! Trzymajcie się! Silniki dwa i cztery obracały się jeszcze przez kilka chwil i potem też wysiadły. Rejs 29 sunął pasem w upiornej ciszy. Teraz hamowały tylko klapy. Brian bezsilnie obserwował uciekający beton. Krzyżujące się drogi do kołowania rosły w oczach. Dokładnie na wprost rozsiadł się kadłub pasażerskiego odrzutowca rejsowego Pacific Airways.

767 nadal pędził co najmniej sto kilometrów na godzinę. Brian ściągnął go w prawo, napierając na zdechły wolant całym ciężarem ciała. Samolot zareagował ospale i prześliznął się obok nieruchomego odrzutowca w odległości dwóch metrów. Rząd okien zalśnił jak oczy ślepców.

Toczyli się w kierunku terminalu United, gdzie przy wysuniętych rękawach stało co najmniej kilkanaście jednostek. Wyglądały jak niemowlaki w porze karmienia. Szybkość 767 spadła do pięćdziesięciu kilometrów.

- Przygotować się! - Brian krzychał do interkomu, zapominając, że jego samolot jest równie martwy jak jednostki na lotnisku i interkom jest bezużyteczny. - Przygotować się na kolizję! Przygoto...

Rejs 29 American Pride uderzył w stanowisko 29 terminalu United Airlines z szybkością mniej więcej czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Rozległo się głośne, puste BAAAĄĄG, a następnie odgłos zgniatanego metalu i pękającego szkła. Brian został rzucony na pas bezpieczeństwa, a potem ciśnięty z powrotem na fotel. Siedział przez chwilę sztywny. Czekał na eksplozję... aż przypomniał sobie, że w zbiornikach nie zostało nic, co mogłoby eksplodować.

Wyłączył wszystkie przełączniki na tablicy rozdzielczej - tablica wprawdzie zamarła, ale nawyki umierają jeszcze trudniej - i obrócił się, żeby sprawdzić, co z Laurel. Spojrzała na niego tępym, apatycznym wzrokiem.

- Tak blisko jeszcze nigdy nie udało mi się podejść - powiedział rozdygotanym głosem.

- Powinieneś pozwolić, żebyśmy się rozbili. Wszystkie wysiłki... Dinah... Nick... wszystko na nic. Tu jest dokładnie tak samo. Tak samo.

Brian rozpiął pasy i podniósł się na drżących nogach. Wyjął chusteczkę i podał Laurel.

- Wytrzymaj nos. Krwawi.

Wzięła chusteczkę i patrzyła na nią, jakby nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

Brian, powłócząc nogami, wszedł do głównej kabiny. Stał w drzwiach - liczył głowy. Jego pasażerowie - pozostała garstka - wydawali się w porządku. Bethany nadal szlochała

głośno i mocno przyciskała głowę do piersi Alberta. Rudy Warwick rozpiął pas, wstał, wyrznął głową w skrytkę bagażową i siadł. Gapił się na Briana zamglonym, bezmyślnym spojrzeniem. Brian przyłapał się na tym, że zastanawia się, czy Rudy dalej jest głodny. Uznał, że nie.

- Wsiadamy z samolotu - powiedział. Bethany podniosła głowę.

- Kiedy ONE przyjdą? - pytała histerycznie. - Ile czasu minie tym razem, zanim się zjawią? Czy ktoś już je słyszy?

Brian poczuł, jak świeży ból ściska mu głowę i zachwiał się na nogach, nagle przekonany, że zaraz zemdleje.

Czyjeś ramię objęło go w pasie, podtrzymało. Obejrzał się, zaskoczony. To była Laurel.

- Kapitan Engle ma rację - powiedziała spokojnie. - Wsiądźmy z samolotu. Może nie jest tak źle, jak wygląda.

Bethany wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- A jak źle ma wyglądać?! - spytała ostro. - No, o ile gorzej ma jeszcze wy...

- Jest jakoś inaczej - powiedział nagle Albert. Patrzył przez okno. - Coś się zmieniło. Nie potrafię powiedzieć co... ale nie jest dokładnie tak samo.

Brian pochylił się obok Boba Jenkinsa i wyrzwał przez okno. Nie było tu wcale inaczej niż na BIA - oczywiście stało więcej samolotów, ale były tak samo opuszczone, tak samo martwe - a jednak czuł, że Albert jest na tropie czegoś ważnego. Właśnie raczej czuł to, niż widział. Chodziło o coś fundamentalnego, o podstawową różnicę, której nie potrafił nazwać. Wymykała się jak nazwa perfum jego byłej żony.

„To L’Envoi, kochanie. Właśnie tego zawsze używałam, czyżbyś zapomniał?”.

Czyżbyś zapomniał?

- Chodźcie - powiedział. - Tym razem skorzystamy z wyjścia kokpitowego.

## 32

Brian otworzył klapę, leżącą poniżej wystającej tablicy rozdzielczej, i usiłował sobie przypomnieć, dlaczego nie tędy wyprowadził pasażerów na lotnisku Bangor; było to o niebo łatwiejsze niż rękaw ewakuacyjny. Ale nie potrafił znaleźć wyjaśnienia. Po prostu o tym nie pomyślał, prawdopodobnie dlatego, że był wyuczony, iż w nagłych wypadkach ma korzystać z rękawa ewakuacyjnego.

Opuścił się do przedniego przedziału bagażowego, pochylony przebrnął pod wiązkami kabli i odblokował luk w części dziobowej 767. Albert dołączył do kapitana i pomógł zejść Bethany. Brian pomógł Laurel, a potem razem z Albertem pomogli Rudy’emu, który ruszał

się tak, jakby kości zamieniły mu się w szkło. Nadal dzierżył mocno różaniec w dłoni. Przestrzeń pod kokpitem była teraz bardzo zatłoczona. Bob czekał na górze, oparty na rękach, i zaglądał na dół przez otwartą klapę.

Brian zwolnił z zaczepów mały trap, zablokował i jedno po drugim zeszli na płytę lotniska, Brian pierwszy, Bob ostatni.

Kiedy stopy Briana dotknęły ziemi, poczuł szaleńczą ochotę, żeby złożyć dłoń na piersi i wykrzyknąć: „Przejmuję tę krainę płynącą skisłym mlekiem i gorzkim miodem i oddaję we władanie pasażerów rejsu 29... przynajmniej dopóki langolierzy nie wpadną!”.

Nie powiedział nic. Stał tylko bez ruchu, jak i reszta, pod zwisającym dziobem odrzutowca, czując lekki powiew na policzkach, i rozglądał się dokoła. Z oddali słyszał jakiś odgłos. Nie było to zgrzytanie i chrupanie, które powoli dotarło do nich w Bangor - nic z tych rzeczy - ale nie był w stanie dokładnie ocenić, co to za hałas.

- Co to? - spytała Bethany. - Co tak szumi? Jakby elektryczność.

- Nie, to nie to - powiedział zamyślony Bob. - Coś jak... Pokręcił głową.

- To nie przypomina niczego, co słyszałem do tej pory w życiu - powiedział Brian, ale to nie była prawda. Znow nawiedziło go uczucie, że coś, co zna lub powinien znać, nie daje się objąć rozumem.

- To ONE, no nie? - spytała na wpół histerycznie Bethany. - To ONE nadchodzą. To langolierzy. To te langolierzy, o których Dinah nam opowiadała.

- Nie sądzę. To wcale nie brzmi tak samo. - Niemniej jednak poczuł, jak strach znow zaczyna mu się lęgnąć w brzuchu.

- Co teraz? - spytał Rudy. Skrzeczał jak stary gawron. - Zaczynamy wszystko od pieca?

- No cóż, nie musimy korzystać z przenośnika, a to już coś. Drzwi boczne rękawa są otwarte. - Wynurzył się spod dziobu 767 i wyciągnął rękę. Grzmotnęli w stanowisko 29 z takim rozpędem, że odepchnęli trap, ale przysunięcie go z powrotem nie powinno być trudne.

- Chodźcie.

Szli do trapu.

- Albercie - powiedział Brian. - Pomóż mi z tra...

- Czekał - powiedział Bob.

Brian obrócił głowę i zobaczył, że Bob rozgląda się z ostrożnym zachwytem na twarzy. A ten wyraz, który pojawił się w jego oszołomionych oczach... czy to nadzieja?

- Co? Co jest Bob? Co widzisz?

- Tylko następne opustoszałe lotnisko. Chodzi o to, co czuję. - Uniósł rękę do policzka... a potem zwyczajnie wyciągnął ją do góry, jak człowiek usiłujący złapać taksówkę.

Brian już miał zapytać, co to znaczy, ale uświadomił sobie, że wie. Czyż sam tego nie zauważył, jeszcze kiedy stał pod dziobem samolotu? Zauważył, a potem zlekceważył?

Na twarzy czuł powiew wiatru. Słaby powiew, niemal tylko tchnienie, ale zawsze powiew. Powietrze nie stało w miejscu.

- Święty Jacku z pierogami - powiedział Albert. Wsadził do ust palec, oblizał i podniósł do góry. Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Ale to nie wszystko - powiedziała Laurel. - Słuchajcie! Pobiegła szybko pod skrzydło 767. Wróciła do nich. Włosy jej się rozwiały. Szpilki zastukały ostro na betonie. - Czy słyszycie? Czy słyszycie?

Słyszeli. Dźwięk utracił płaską, stłumioną fakturę. Słuchając teraz Laurel, Brian uświadomił sobie, że w Bangor wszyscy mówili tak, jakby wsadzili głowy w dzwony odlane z jakiegoś tępo dźwięczącego metalu - miedzi, może ołowiu.

Bethany uniosła ręce i szybko wyklaskała rytm ze starego kawałka *Routersów Lefs Go*. Każde klaśnięcie było tak czyste i wyraźne jak trzask pistoletu startera. Zachwycona, szeroko się uśmiechnęła.

- Co to ma zna... - zaczął Rudy.

- Samolot! - wrzasnął rozradowany Albert i Brianowi skojarzyło się to absurdalnie z małym człowieczkiem ze starego programu tv *Fantasy Island*. Mało nie ryknął śmiechem. - Wiem, co jest inne! Popatrzcie na nasz samolot! Teraz jest taki sam jak wszystkie pozostałe!

Obrócili się i patrzyli. Na długą chwilę zapadło milczenie, może nikt nie mógł wykrztusić słowa. 727 Deltę stojący w Bangor obok odrzutowca *American Pride* wyglądał topornie, był wyblakły, jakoś mniej realny niż 767. Teraz wszystkie jednostki - ich 767 i samoloty *United* ustawione przy wysuniętych rękawach - wyglądały tak samo świeżo. Farba i symbole firm jaśniały nawet w mroku.

- Co to znaczy? - spytał Rudy, zwracając się do Boba. - Co to znaczy? Jeśli rzeczy wróciły do normy, gdzie elektryka? Gdzie ludzie?

- I co to za hałas? - dodał Albert.

Ów hałas był coraz bliższy, coraz wyraźniejszy. Zgodnie z tym, co powiedziała Bethany, był to szum, ale zupełnie nie kojarzył się z elektrycznością. Brzmiał jak wiatr dmący przez pustą rurę, jak nieziemski chór wyśpiewujący unisono tę samą otwartą głoskę: AAAAAA...

Bob potrząsnął głową.

- Nie wiem - rzekł. - Ustawmy trap i wejdźmy... Laurel złapała go za ramię.

- Ty coś wiesz! - powiedziała zdławionym głosem. - Widzę to. Niech i my się dowiemy. Dlaczego nie?

Zawahał się, zanim potrzęsnał przecząco głową.

- Nie jestem jeszcze gotów, Laurel. Najpierw chcę wejść do terminalu i się rozejrzeć.

Musieli się tym zadowolić. Brian i Albert ustawili trap prawidłowo. Jedna z poręczy lekko się wygięła i kiedy wchodzili jedno po drugim, Brian podtrzymywał ją, idąc po drugiej stronie. Wszedł ostatni. Reszta czekała na niego i razem przez rękaw wkroczyli do terminalu.

Znaleźli się w dużym, okrągłym wnętrzu, wokół pod ścianami mieściły się stanowiska odpraw. Rzędy foteli stały upiornie puste, górne lampy fluorescencyjne były ciemnymi kwadratami. Ale Albert poczuł zapach innych ludzi... jakby wszyscy wymaszerowali zaledwie parę sekund przed zjawieniem się rozbitków z rejsu 29.

Z zewnątrz dochodziło i rosło chóralne murmurando, nadciągało niewidzialną falą: AAAAAAAAAA...

- Chodźcie za mną - Bob Jenkins bez wysiłku objął dowództwo. - Szybko, proszę. Ruszył do hali głównej. Za nim gęsiego reszta. Albert i Bethany razem, spleceni rękami na biodrach. Dotąd tłumiła kroki wykładzina poczekalni, lecz gdy wkroczyli do hali, stukot ich obcasów niósł się echem, jakby była ich co najmniej dwudziestka. Mijali niewyraźne ciemne reklamy na ścianach: OGLĄDAJ CNN, PAL MARLBORO, WYPOŻYCZAJ SAMOCHODY U HERTZA, CZYTAJ „NEWSWEEK”, ODWIEDZAJ DISNEYLAND.

A ów hałas, ów chór murmurando, nadal rósł. Przedtem Laurel była przekonana, że dobiega ich z zachodu. Teraz zdawał się być tu, razem z nimi, jakby śpiewacy - jeśli byli to śpiewacy - już przybyli na miejsce. Ten hałas, ściśle biorąc, nie budził lęku, ale jej skóra na ramionach i plecach pokryła się gęsią skórką. Ogarnął ją nieziemski zachwytny.

Doszli do drzwi kafeterii i Bob wprowadził ich do środka. Nie zatrzymując się, obszedł kontuar i ze stosu ciastek na ladzie wziął jedno. Chciał zerwać opakowanie zębami... i przypomniał sobie, że zęby zostawił w samolocie. Mruknął cicho ze wstrętem i rzucił ciastko Albertowi.

- Ty to zrób - powiedział. Teraz miał w oczach blask. - Szybko, Albercie! Szybko!

- Szybko, Watsonie, zwierzyna się wymyka! - Albert zaśmiał się jak wariat. Rozerwał celofan i spojrzał na Boba. Bob kiwnął głową. Albert wyjął ciastko i wgryzł się w nie potężnie. Bita śmietana i dżem malinowy trysnęły bokami. Albert uśmiechnął się, wniebowzięty. - Jeszt cudowne! - zaseplenił, sypiąc okruszkami. - Cudowne!

Poczęstował Bethany. Ugryzła jeszcze większy kęs.

Ku Laurel wionął zapach malinowego nadzienia i zaburczało jej w żołądku. Roześmiała się. Nagle poczuła się jak na rauszu, rozbawiona, prawie naćpana. Jej głowa, jeszcze niedawno pełna pajęczyn po przeżyciach z niskim ciśnieniem, teraz była jak pokój na poddaszu, do którego gorącym i okropnie dusznym popołudniem wtargnął świeży morski powiew. Pomyślała o Nicku, którego tu nie było, który umarł, aby reszta mogła tu być, i pomyślała, że nie miałaby jej za złe tego, co czuje.

Chóralny odgłos wokół rósł. Nie wiadomo skąd, zewsząd, dobiegało śpiewne westchnienie: AAAAAAAAAAAAAAAAAA...

Bob Jenkins wypadł zza lady z takim impetem, że mało mu się nogi nie poplątały i musiał złapać się ruchomego stoliczka, żeby nie upaść. Utrzymał się na nogach, ale stół z nierdzewnej stali runął na bok z cudownym i głębokim brzękiem, sypiąc na wszystkie strony plastikowymi sztuczkami i małymi opakowaniami musztardy, keczupu i przypraw.

- Szybko! - zawołał Bob. - Wychodzimy! To się stanie zaraz, lada chwila, i nie możemy tu wtedy być! To wydaje mi się niebezpieczne!

- Co nie jest bez... - zaczęła Bethany, ale Albert objął ją ramieniem i pociągnął za Bobem, wariackim przewodnikiem, który już leciał jak pocisk w kierunku drzwi kafeterii.

Wybiegli za nim. Mknął z powrotem do poczekalni United. Teraz echo ich kroków ginęło prawie w potężnym murmurando, które już wypełniało opustoszały terminal. Szło echem i wracało echem echa z mnóstwa gardeł nieco upiornych korytarzy.

Brian słyszał, jak ta pojedyncza nuta zaczyna się zmieniać. Nie, nie rozpadała się, nie zmieniała, raczej skupiała, tak jak hałas langolierów ujednolicał się, gdy zbliżały się do Bangor.

W poczekalni zobaczył zjawiskowe światło ślizgające się po pustych fotelach, ciemnych monitorach PRZYLOTY/ODLOTY i stanowiskach odpraw. Czerwone po niebieskim, żółte po czerwonym, zielone po żółtym. Zapowiedź czegoś różnorodnego i niezwykłego wisiała w powietrzu. Przeszedł go dreszcz, ciało pokryła gęsia skórka. Absolutna pewność wypełniła go jak poranny blask słońca: „Jesteśmy blisko czegoś - jakiegoś wielkiego i zadziwiającego zjawiska”.

- Tam! - krzyknął Bob. Poprowadził ich do ściany obok wlotu do rękawa, którym weszli. Był to obszar dostępny tylko dla pasażerów, odgradzony czerwonym aksamitnym sznurem. Bob przeskoczył go z lekkością licealnego plotkarza, którym może i kiedyś był. - Pod ścianę!

- Pod ścianę, skurwysyny! - wrzasnął Albert poprzez spazm nagłego, żywiołowego śmiechu.

Wszyscy stanęli przy Bobie, opierając się o ścianę jak podejrzani podczas policyjnej konfrontacji. W opustoszałym okrągłym holu, który rozciągał się teraz przed nimi, na moment błysnęły kolory... a potem przygasły. Ale dźwięk stawał się coraz głębszy i bardziej realny. Brian jakby rozróżniał w nim głosy, kroki, nawet płacz niemowląt.

- Nie wiem, co to jest, ale jest wspaniałe! - zawołała Laurel. Na wpół śmiała się, na wpół płakała. - Cudowne!

- Mam nadzieję, że jesteśmy tu bezpieczni - powiedział Bob. Musiał podnieść głos, żeby go było słychać. - Mam nadzieję, że to się nie zmieni. Stoimy poza głównymi ciągami komunikacyjnymi.

- Co się stanie? - spytał Brian. - Co wiesz?

- Kiedy przelecieliśmy rozdarcie czasu, lecąc na wschód, odbyliśmy podróż w czas miniony - wrzasnął Bob. - Zawędrowaliśmy w przeszłość! Może nie starszą niż o kwadrans... pamiętacie, że wam to mówiłem?

Brian skinął głową i Albert nagle rozpromienił się.

- Tym razem wpadliśmy w przyszłość! - zawołał. - Tak! Prawda? Tym razem wpadliśmy przez rozdarcie w przyszłość!

- Tak, sądzę, że tak! - odwrzasnął Bob. Uśmiechał się bezbrinnie. - I zamiast pojawić się w zmarłym świecie - świecie, który doszedł swego końca bez nas - zjawiliśmy się w świecie czekającym narodzin! Świecie tak świeżym i nowym jak róża, zanim rozwinie się z pączka! Oto co się właśnie dzieje, jak sądzę! Oto co słyszymy i co czujemy... co napełniło nas taką cudowną, bezgraniczną radością. Sądzę, iż zobaczymy i doznamy czegoś, czego żaden żyjący człowiek nigdy przedtem nie doświadczył. Widzieliśmy śmierć świata. Sądzę, iż niebawem zobaczymy jego narodziny. Sądzę, iż terażniejszość jest o krok od dogonienia nas.

Tak jak poprzednio kolory rozjaśniły się i spęzły, tak teraz głęboki wibrujący ton nagle opadł. Jednocześnie rozbrzmiewające w nim głosy wzmocniły się i uwydatniły. Laurel chwytła wyrazy, nawet całe zdania.

- ...muszę zatelefonować do niej, zanim...

- ...naprawdę nie sądzę, że opcja nadal jest do wykupienia...

- ...bezpiecznie i spokojnie, jeśli tylko uda nam się to zwrócić macierzystej firmie...

To zabrzmiało dokładnie przed nimi, w pustce, po drugiej stronie aksamitnego sznura.

Brian Engle czuł, jak rośnie w nim ekstaza, napełnia najwyższy zachwyt i radość. Wziął Laurel za rękę i uśmiechnął się do niej, kiedy zacisnęła palce, a potem ucisnęła mocno

całą jego dłoń. Albert nagle uściskał Bethany, a ona zasypała go pocałunkami, śmiejąc się nieprzytomnie. Bob i Rudy szczerzyli do siebie zęby, zachwyceni, jak dawno zagubieni przyjaciele, którzy jakimś zbiegiem okoliczności wpadli jeden na drugiego w najobskurniejszym zakątku świata.

Fluorescencyjne kwadraty na suficie zaczęły tryskać światłem. Zapalały się świetlne kręgi, kolejno rozbiegały od centrum, płynęły w dół, nocne cienie w holu uciekały przed nimi jak stado czarnych owiec.

Zapachy nagle uderzyły w Briana z całą mocą: pot, perfumy, wody po goleniu, wody kolońskie, woń papierosów, skóry, mydła, środków czyszczących.

Przez dłuższą chwilę szeroki okrąg poczekalni pozostawał pusty, nawiedzony jedynie przez głosy i tupot kroków tych jeszcze-nie-całkiem-żywych. A Brian pomyślał: „Zaraz zobaczę, jak do tego dojdzie; zaraz zobaczę, jak ruchoma terażniejszość zaczepi o tę stojącą przyszłość i pociągnie ją za sobą jak bosaki z przejeżdżających ekspresów zwykły porywać torby z listami ze słupów służby pocztowej, stojących przy torach w małych, śpiących miasteczkach zapadłego Południa i dalekiego Zachodu. Zaraz zobaczę, jak czas otwiera się niczym róża w letni poranek”.

- Trzymać się - zamruczał Bob. - Może szarpnąć.

W zaledwie sekundę później Brianem wstrząsnęło od stóp do głów. Jednocześnie poczuł, jakby niewidzialna ręka dała mu silnego szturchańca dokładnie w środek pleców. Zachwiał się w przód i Laurel razem z nim. Albert musiał złapać Rudy'ego, żeby go uchronić przed upadkiem. Rudy nie przejmował się niczym; rozdziawił usta w szerokim kretyńskim uśmiechu.

- Patrz! - zachłysnęła się Laurel. - Och, Brianie, patrz! Spojrzał... i dech mu zaparło.

Poczekalnia była pełna duchów.

Eteryczne, przejrzyste postaci szły i wymijały się na rozległej przestrzeni: mężczyźni w garniturach z teczkami pod pachami, kobiety w eleganckich sukienkach podróży, nastolatki w lewisach i koszulkach z nadrukami nazw grup rockowych. Zobaczył ducha-ojca prowadzącego dwa małe duchy-dzieci i poprzez nie zobaczył inne duchy, siedzące na fotelach, czytające przezroczyste egzemplarze „Cosmopolitan” i „Esquire” i „US News & World Report”. Potem kolor zstąpił w kształty seriami błysków przypominającymi komety, wzmocnił je, a echo głosów rozmyło się w stereo prozaicznego rozgwaru realnych głosów ludzkich.

„Spadające gwiazdy, pomyślał oczarowany Brian. Tylko spadające gwiazdy”.



Jedynie dwójka dzieci przypadkiem spoglądała prosto na miejsce, gdzie stali rozbitkowie z rejsu 29, kiedy nastąpiła zmiana. Te dzieci jako jedyne zobaczyły, jak tam, gdzie dopiero co była tylko ściana, pojawiają się czterej mężczyźni i dwie kobiety.

- Tatusiu! - wykrzyknął chłopczyk, ciągnąc ojca za prawą rękę.

- Tato! - domagała się uwagi dziewczynka, ciągnąc ojca za lewą.

- Co? - spytał i obrzucił je niecierpliwym spojrzeniem. - Szukam waszej matki!

- Nowi ludzie! - zawołała dziewczynka, wskazując na Bria-na i jego ślaniający się kwintet pasażerów. - Popatrz na nowych ludzi!

Mężczyzna spojrział na Briana i resztę, i zacisnął nerwowo wargi. Brian podejrzewał, że chodziło o krew. On, Laurel i Bethany, wszyscy mieli niedawno krwotok z nosa. Mężczyzna wzmocnił uścisk na rączkach dzieci i pospieszenie pociągnął je dalej.

- Tak, wspaniale. Teraz pomóżcie mi znaleźć waszą matkę. Cóż tu się zrobił za bałagan.

- Ale przedtem ich tam nie było! - protestował chłopczyk. - Oni...

Zniknęli w tłumie.

Brian spojrział na monitory i zauważył, że jest 4.17.

„Coś tu za dużo ludzi, pomyślał, i założę się, że wiem dlaczego”.

Jakby na potwierdzenie tego zahuczał głośnik:

- Wszystkie loty w kierunku wschodnim z lotniska międzynarodowego Los Angeles nadal są opóźnione ze względu na niezwykle warunki atmosferyczne nad pustynią Mojave. Przepraszamy za tę niedogodność, prosimy o cierpliwość i wyrozumiałość wobec zastosowanych środków ostrożności. Powtarzam: wszystkie loty w kierunku wschodnim...

„Niezwykłe warunki atmosferyczne, pomyślał Brian. O taa... Cholerne, najdziwniejsze warunki atmosferyczne na świecie”.

Laurel spojrzała mu w oczy. Łzy strumieniami płynęły jej po twarzy i nie zrobiła nic, żeby je otrzeć.

- Słyszałeś ją? Słyszałeś, co powiedziała ta dziewczynka?

- Tak.

- Czy tym jesteśmy, Brian? Nowymi ludźmi? Myślisz, że tak jest?

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale tak to czuję.

- To było cudowne - rzekł Albert. - Mój Boże, to była najcudowniejsza rzecz pod słońcem.

- Odpałowo kosmiczna! - zawołała w radosnym amoku Bethany, a potem zaczęła znów wyklaskiwać *Let's Go*.

- Co robimy, Brian? - spytał Bob. - Masz jakiś pomysł? Brian rozejrzał się po przepelnionej poczekalni i powiedział:

- Przydałoby się wyjść na dwór. Odetchnąć świeżym powietrzem. I popatrzeć na niebo.

- Czy nie powinniśmy poinformować władz o...

- Poinformujemy - powiedział Brian. - Ale najpierw niebo.

- A może po drodze coś na ząbek? - z nadzieją w głosie spytał Rudy.

Brian roześmiał się.

- Dlaczego nie?

- Mój zegarek stoi - oznajmiła Bethany.

Brian spojrzął i zobaczył, że jego zegarek również stanął. Wszystkie ich zegarki stanęły.

Brian zdjął swój, upuścił obojętnie na podłogę i objął Laurel.

- Spływamy z tego lokalu - zaproponował. - Chyba że ktoś z was chce czekać na następny lot na wschód.

- Nie dzisiaj - powiedziała Laurel - ale niedługo tak. Aż do Anglii. Żyje tam człowiek, z którym muszę się zobaczyć. We... - Przez jeden straszny moment ta nazwa nie chciała napłynąć z pamięci... ale napłynęła. - Fluting. Zapytaj każdego na Głównej. Starzy dziadkowie ciągle mówią na niego „szefo”.

- O czym ty mówisz? - spytał Albert.

- O stokrotkach - powiedziała i zaśmiała się. - Mówię o stokrotkach. No już, chodźmy.

Bob uśmiechnął się szeroko, obnażając różowe jak u niemowlaka dziąsła.

- Jeśli chodzi o mnie, to kiedy następnym razem będę musiał udać się do Bostonu, wsiądę do pociągu.

Laurel dotknęła czubkiem bucika zegarka Briana i spytała:

- Pewny jesteś, że go nie potrzebujesz? Wygląda na drogi. Brian uśmiechnął się, potrząsnął głową i pocałował ją w czoło.

Zapach jej włosów był zadziwiająco słodki. Czuł się nie tylko dobrze, czuł się jak nowo narodzony, każdy centymetr ciała nowy, świeży i nietknięty przez świat. Prawdę mówiąc, czuł się tak, że gdyby rozłożył ramiona, pofrunąłby bez pomocy silników.

- Wcale nie - powiedział. - Wiem, która jest.

- Och? No to która jest?

- Jest w pół do teraz. Albert klepnął go w plecy.

Wyszli z poczekalni całą grupą, przeciskając się między rozindyczonymi spóźnieniem pasażerami. Wielu z nich oglądało się z ciekawością, nie tylko dlatego, że niektórzy z tej grupy niedawno musieli mieć krwotok z nosa, ale ponieważ śmiali się, idąc wśród tłumu wściekłych, postawionych w niewygodnej sytuacji ludzi.

Oglądali się, ponieważ w zatłoczonej poczekalni ta szóstka wydawała im się rozjaśniona w porównaniu ze wszystkimi innymi.

Bardziej byli prawdziwi.

Bardziej byli.

„Tylko spadające gwiazdy”, pomyślał Brian i nagle przypomniał sobie, że na pokładzie samolotu pozostał jeden pasażer - mężczyzna z czarną brodą. „Tego kaca to facet nie zapomni do końca życia”, pomyślał Brian i uśmiechnął się. Porwał Laurel do biegu. Zaśmiała się i objęła go.

Szóstka ludzi pobiegła przez główną halę ku ruchomym schodom i na zewnątrz, ku światu.

## **TAJEMNICZE OKNO, TAJEMNICZY OGRÓD**

*Opowieść dla Chucka Verrilla*

### **DRUGIE PO PÓŁNOCY**

**Wprowadzenie do *Tajemniczego okna, tajemniczego ogrodu***

Należę do tych, którzy wierzą, iż życie składa się z wielu cykli, jakby wirujących kół. Czasem zazębiają się o siebie, a czasem kręcą samodzielnie - ale wszystkie wykonują jakąś skończoną, powtarzalną funkcję. Lubię to skojarzenie z fabryczną maszyną, prawdopodobnie dlatego, iż to najbliższe, prywatne życie wydaje się tak powikłane i niepojęte. Miło jest od czasu do czasu oderwać się od niego i rzec: A jednak jest jakiś porządek! Nie wiem, co znaczy, ale na Boga, widzę go!

Wszystkie te koła kończą swe obroty mniej więcej jednocześnie, a wtedy - na moje oko co dwadzieścia lat - przechodzimy okres, w którym różne sprawy znajdują swój kres. Psycholodzy dokonali nawet pewnego plagiatu wobec praktyki parlamentarnej, nazywając ten fenomen *clóture*\*. \*[ Procedura parlamentarna, wedle której następuje zakończenie debaty i odbywa się natychmiastowe głosowanie nad danym problemem.]

Mam teraz czterdzieści dwa lata i kiedy oglądam się na ostatnie cztery, dostrzegam wszelkiego rodzaju *clóture*. Zarówno w pracy, jak i poza nią. W *To!* zapisałem koszmarnie dużo papieru, by skończyć z gadaniem o dzieciach i intuicji, dzięki której wzbogacają swój wewnętrzny świat. W przyszłym roku zamierzam wydać powieść kończącą serię o Castle

Rock: *Sklepik z marzeniami* (ostatnia z opowieści tej książki, *Polaroidowy pies*, tworzy prolog *Sklepiku...*). A ta z kolei opowieść jest, jak sądzę, ostatnią z serii o pisarzach i pisaniu, i dziwnej ziemi niczyjej, leżącej między tym, co prawdziwe, a tym, co zmyślane. Wierzę, że sporo mych wiernych czytelników, którzy cierpliwie przez wiele lat dzielili moją fascynację tym tematem, dowie się o tym z zadowoleniem.

Kilka lat temu wydałem powieść pt. *Misery*, stanowiącą próbę, przynajmniej częściową, zilustrowania potężnej władzy, którą powieść może osiągnąć nad czytelnikiem. Zeszłego roku opublikowałem *Mroczną połowę*, gdzie usiłowałem zbadać odwrotny problem: władzy, którą fikcja literacka może osiągnąć nad pisarzem. Kiedy szkicowałem tamtą książką, zacząłem myśleć o sposobie równoczesnego opowiedzenia obu tych historii, mając przy tym zamiar potraktować zupełnie inaczej pewne elementy fabularne *Mrocznej połowy*. Pisanie wydaje mi się aktem owianym tajemnicą - równą tej, która otacza sen - o czym, wykonując to dziwne i niebezpieczne rzemiosło, nigdy dużo nie myślałem.

Wiem, że pisarze od czasu do czasu dokonują rewizji swych dzieł - John Fowles zrobił to z *Magiem*, a ja sam z *The Stand* - ale tym razem nie o to szło. Chciałem - sięgnąwszy po stare elementy - złożyć je całkiem inaczej. Zrobiłem to do tej pory przynajmniej raz, układając na nowo i uwspółcześniając podstawowe elementy z *Draculi* Brama Stokera i tworząc *Miasteczko Salem*, co dało mi całkiem sporo satysfakcji.

Pewnego dnia, późną jesienią 1987 roku, kiedy te sprawy chodziły mi po głowie, przystanąłem w pralni u nas w domu, żeby wepchnąć do pralki brudną koszulę. Nasza pralnia jest małym, wąskim pomieszczeniem na pierwszym piętrze. Pozbywszy się koszuli, podszedłem do jednego z dwóch okien. Była to przelotna ciekawość, nic więcej. Mieszkamy w tym domu już od dwunastu lat, ale poprzednio nigdy nie rzuciłem naprawdę uważnego spojrzenia przez to właśnie okno. Przyczyna była najprostsza w świecie; trudno spoglądać przez okno osadzone niemal na poziomie podłogi, prawie całkiem ukryte za suszarką, na w pół zasłonięte koszem z brudami.

Niemniej jednak wepchnąłem się tam i zerknąłem. Okno wychodzi na mały, brukowany cegłą zakątek pomiędzy domem i dobudowaną werandą. To miejsce, które oglądałem dobre kilkanaście razy dziennie... ale kąt widzenia był nowy. Moja żona wystawiła tam kilka donic, żeby roślinki zakosztowały trochę wczesnolistopadowego słońca, i w rezultacie powstał czarujący mały ogród, który tylko ja mogłem podziwiać. Określenie, które przyszło mi do głowy jest, oczywista, tytułem tej opowieści. Wydało mi się wcale dobrą metaforą tego, co pisarze - zwłaszcza pisarze eksplorujący świat nadprzyrodzony - robią ze swymi dniami i nocami. Siedzenie przy maszynie do pisania lub posługiwanie się ołówkiem

jest aktem fizycznym; jego duchowym odpowiednikiem jest wyglądanie przez niemal zapomniane okno, z całkiem odmiennego kąta, na zwyczajny widok... a to sprawia, że zwyczajne staje się niezwykle. Zajęciem pisarza jest informowanie, co w tej niecodziennej sytuacji widzi.

Ale czasami okno pęka. Sądzę, że to właśnie stanowi temat tej opowieści: co przytrafi się pilnemu obserwatorowi, kiedy okno między rzeczywistością a fikcją pęka, i odłamki szkła fruną w powietrze?

## 1

- Ukradłeś pan mojom opowieść - rzekł stojący w progu mężczyzna. - Ukradłeś pan mojom opowieść i musowo trzeba z tym coś zrobić. Prawda i uczciwość jeden płot budują i trzeba z tym coś zrobić.

Morton Rainey, który właśnie zerwał się z drzemki i nadal przebywał tylko jedną nogą w realnym świecie, nie miał bladego pojęcia, co ma na to odpowiedzieć. Rzecz miała się zupełnie inaczej, kiedy - powalony chorobą czy zdrow jak ryba, rzeński czy zaspany - pracował. Był pisarzem i rzadko stawał bezradny, gdy sytuacja wymagała włożenia ciętej repliki w usta jakiejś postaci. Rainey otworzył usta, nie znalazł tam żadnej ciętej repliki (prawdę mówiąc, nie doszukał się tam i banalnej) i zamknął je na powrót.

Pomyślał: „Ten człowiek wygląda niezwykle realnie. Jest jak z Faulknera”.

To wprawdzie niczego nie rozwiązało, ale było niezaprzeczalnym faktem. Mężczyzna, który zadzwonił do drzwi domu Raineya, tu, w tym zakątku zachodniego Maine, gdzie diabeł mówi dobranoc, wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Był bardzo chudy. Twarz miał spokojną, niemal pogodną, ale pociętą głębokimi zmarszczkami. Płynęły horyzontalnie wysokimi, regularnymi falami po szerokim czole, spadały wertykalnie od cienkich warg do podbródka. Rozbiegały się kurzymi łapkami od kącików oczu, jasnych oczu, pełnych niezmaconego błękitu. Koloru włosów Rainey nie potrafił odgadnąć. Na głowie nieznanego spoczywał sztywno, dotykając uszu, duży czarny kapelusz z płaskim denkiem. Wyglądał jak kapelusze kwaków. Mężczyzna nie miał bokobrodów i pod tym filcowym kapeluszem z płaskim denkiem mógł być łysy jak Telly Savalas.

Miał na sobie niebieską koszulę roboczą. Choć nie nosił krawata, była równo zapięta aż pod pofałdowaną szyję, czerwoną od brzytwy. Koszulę wetknął w niebieskie luźnawe dzinsy. Mankietami dotykały spłowiałych, żółtych, roboczych butów, jak obszył do chodzenia w brudzie zoranej ziemi, metr za mulim zadem.

- No co? - spytał, kiedy Rainey w dalszym ciągu się nie odzywał.

- Nie znam pana - powiedział wreszcie Rainey. Były to pierwsze słowa, jakie wymówił, od kiedy podniósł się z kanapy i podszedł do drzwi, i zabrzmiały mu przeraźliwie głupio we własnych uszach.

- Wiem - powiedział mężczyzna. - To nie ma znaczenia. Ja znam pana, panie Rainey. To ma znaczenie.

I powtórzył:

- Ukradłeś pan mojom opowieść.

Wyciągnął dłoń i dopiero teraz Rainey zobaczył, że coś w niej trzyma. Plik kartek. Ale nie byle jaki plik szpargałów. Maszynopis. „Jak się trochę pokręcisz w tym interesie, pomyślał, zawsze poznasz maszynopis. Zwłaszcza odleżały maszynopis”.

I ponieważ przyszło mu do głowy: „Chwała Bogu, że to nie broń. Mort, ale z ciebie duże dziecko! Znalazłbyś się w piekle, zanim zdążyłbyś się połapać, że nie żyjesz”.

A jeszcze bardziej ponieważ uswiadomił sobie, że prawdopodobnie ma do czynienia z mieszkańcem gminy wariatuńców. Oczywiście, należało się tego spodziewać od dawna. Choć jego trzy ostatnie książki były bestsellerami, to dopiero pierwsza wizyta mieszkańca tej osławionej osady. Poczul lęk i smutek zarazem, i ogarnęło go jedno pragnienie: pozbyć się tego człowieka jak najszybciej i przy minimum kłopotów.

- Nie czytam maszynopisów... - zaczął.

- Tenżeś pan już przeczytał - spokojnie stwierdził mężczyzna o twarzy zaharowanego dzierżawcy. - Ukradłeś go. Stwierdził to jak banalny fakt, jakby ogłaszał, iż słońce wzeszło i zapowiada się ładny dzień.

Wszystkie myśli Morta były spóźnione tego popołudnia. Po raz pierwszy uswiadomił sobie swoją samotność. Przyjechał do domu w Tashmore Glen z początkiem października, po dwóch żalonych miesiącach w Nowym Jorku. Zaledwie w zeszłym tygodniu jego rozwód stał się faktem dokonany.

Dom był duży, ale służył za miejsce letniego pobytu. Tashmore Glen było letniskiem. Przy tej właśnie drodze obiegającej północną część zatoki jeziora Tashmore stało jakieś dwadzieścia domków i w lipcu czy sierpniu prawie we wszystkich przebywali ludzie... ale teraz nie był lipiec ani sierpień. Był późny październik. Odgłos strzału rozszedłby się niezauważony. A gdyby nawet ktoś go usłyszał, pomyślałby tylko, że to polowanie na przepiórki albo bażanty; trwał sezon.

- Mogę pana zapewnić...

- Że pan możesz, to wiem - powiedział mężczyzna w czarnym kapeluszu. Mówił wciąż z tą samą anielską cierpliwością. - Wiem.

Mort widział samochód, którym mężczyzna musiał przyjechać. Było to stare kombi, wyglądające jakby zjeździło mnóstwo kilometrów, z czego bardzo niewiele po dobrych drogach. Tablic rejestracyjnych nie wydał stan Maine, ale Mort nie potrafił ustalić, skąd pochodzą. Już od jakiegoś czasu wiedział, że kroi mu się wizyta u okulisty i zmiana szkieł, planował nawet zrealizowanie tego drobnego obowiązku z początkiem lata, ale kiedy Henry Young zadzwonił do niego pewnego kwietniowego dnia, pytając, kim jest ten facet, z którym widział Amy na zakupach - może jakiś krewny? - narodziło się podejrzenie. Jego kulminacją stał się przedziwnie szybki, cichy rozwód bez orzekania o winie; ta francowata burza pochłonęła Morta bez reszty i wysssała zeń wszystkie siły w ostatnich kilku miesiącach. W tym okresie mógł być z siebie dumny, jeśli zmienił gacie, a co dopiero mówić o tak ezoterycznym wyczynie jak wizyta u okulisty.

- Jeśli wnosi pan jakąś pretensję pod moim adresem - zaczął niepewnie Mort. Mdlilo go wysłuchiwanie własnego pompatycznego, dudniącego jak blacha głosu, ale nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć - może pan porozumie się z moim agentem...

- To sprawa między panem a mnem - odezwał się cierpliwie stojący w progu mężczyzna. Łazęga, kocur Morta, który leżał dotąd zwinięty na niskiej skrzyni, przy ścianie domu - pojemniki ze śmieciami należało chować w zamkniętych skrzyniach, albo szopy przyłaziły nocami i rozwlekały wszystko w diabły - zeskoczył i ocierał się o nogi obcego. Błękitne oczy nie schodziły ani na moment z twarzy Raineya. - Nie trzeba nam nikogo z zewnątrz, panie Rainey. To sprawa tylko między panem a mnem.

- Nie podoba mi się oskarżenie o plagiat, jeśli pan do tego zmierza - powiedział Mort. W tym samym czasie część umysłu ostrzegała go, że mając do czynienia z mieszkańcami gminy wariatuń-ciów, musi być bardzo ostrożny. Udobruchać go? Tak! Ale z drugiej strony, ten mężczyzna chyba nie posiadał broni, a Mort miał nad nim przewagę co najmniej dwudziestu kilogramów. „I wygląda na to, że jestem od niego pięć, dziesięć lat młodszy”, pomyślał. Słyszał, że autentyczny wariatuńcio potrafi wykrzesać z siebie niezwykłą energię, ale niech go szlag trafi, jeśli będzie tu stał i wysłuchiwał spokojnie tego człowieka, którego nigdy na oczy nie widział, powtarzającego, że on, Morton Rainey, ukradł mu opowieść. Nie bez odprawy!

- Nie mam pretensji, że panu się to nie podoba - powiedział mężczyzna w czarnym kapeluszu. Przemawiał tym samym cierpliwym i pogodnym tonem. „Mówi, pomyślał Mort, jak terapeuta pracujący z niedorozwiniętymi dziećmi”. - Aleś pan to zrobił. Ukradłeś pan mojom opowieść.

- Idź pan sobie - powiedział Mort. Teraz był w pełni obudzony. Otrząsnął się z oszołomienia. Przestał czuć się tak bezbronny. - Nie mam panu nic do powiedzenia.

- Tak, pójdę - rzekł mężczyzna. - Później pogadamy. Podał maszynopis i Mort przyłapał się na tym, że sięga po niego.

Opuścił rękę, zanim ten niezapraszany i niepożądany gość zdołał w nią wcisnąć maszynopis gestem policjanta doręczającego wezwanie podsądnemu, który uchylał się przed tym miesiącami.

- Nie zamierzam tego brać - powiedział Mort, a swoją drogą zdumiała go cudowna zdolność zwierzęcia, które nazywa siebie człowiekiem, do działań reaktywnych: kiedy ktoś mu coś podaje, pierwszym jego odruchem jest sięgnąć. Nieważne, czy to czek na tysiąc dolarów, czy laska dynamitu z zapalonym i syczącym lontem, pierwszym odruchem jest sięgnąć.

- Gierki ze mnom na nic sie panu nie zdadzo, panie Rainey - powiedział łagodnie mężczyzna. - To musi być załatwione.

- Jeśli o mnie chodzi, to byłoby na tyle - oznajmił Mort i zamknął drzwi przed tą pomarszczoną, zniszczoną i w jakiś sposób pozbawioną wieku twarzą.

Poprzednio czuł strach tylko przez chwilę. Wtedy gdy słuchał tego mężczyzny zdezorientowany i oszołomiony snem. Potem strach został połknięty przez gniew - gniew, że przerwano mu drzemkę, a przede wszystkim - że zawraca mu głowę mieszkańiec gminy wariatuńców.

Ledwie drzwi się zamknęły, strach powrócił. Mort zacisnął wargi i czekał, aż mężczyzna zacznie tłuc w drzwi. A kiedy zaległa cisza, zrodziło się w nim przekonanie, że mężczyzna stoi tam, nieruchomy jak kamień i równie cierpliwy, czekając, aż drzwi otworzą się po raz drugi... bo musi to nastąpić, wcześniej czy później.

Potem usłyszał głuchoe stuknięcie, a następnie odgłos lekkich kroków, oddalających się na werandzie. Poszedł do głównej sypialni, której obydwie okna wychodziły na podjazd. Jedno dokładnie na wprost podjazdu i grzbietu wzgórze, drugie na wprost stoku opadającego w kierunku urzekającej niebieskiej płaszczyzny jeziora Tashmore. Oba okna miały odblaskowe szyby, dzięki czemu każdy, kto by usiłował zajrzeć do środka, zobaczyłby tylko swój zniekształcony portret, chyba że przyłożyłby nos do szyby i zrobił daszek ze złożonych rąk, osłaniając oczy przed odblaskiem.

Mężczyzna w roboczej koszuli i dżinsach z mankietami szedł do kombi. Z tego kąta Mort dojrzał, który stan wydał tablice rejestracyjne - Missisipi. Kiedy mężczyzna otworzył drzwi wozu, Mort pomyślał: „Och, żeby to obesrało. Broń jest w samochodzie. Nie miał jej



przy sobie, bo wierzył, że się ze mną dogada... tak czy inaczej. Ale teraz idzie po nią i wróci. Jest chyba w skrytce albo pod siedzeniem...”.

Ale mężczyzna siadł za kółko, przystając tylko po to, żeby zdjąć i rzucić na siedzenie kapelusz. Kiedy zatrzaszczył drzwi i zapalał silnik, Mort pomyślał: „Wygląda jakoś inaczej”. Ale dopiero kiedy niechciany gość cofnął się podjazdem i znikł za gęstą ścianą żywopłotu, Mort pojął w czym rzecz.

Mężczyzna nie miał przy sobie maszynopisu.

## 2

Leżał na tylnej werandzie. Kamień dociskał strony, by lekki wiaterek nie rozdmuchał kartek po podwórzu. Tamto stuknięcie to był właśnie odgłos kładzonego kamienia.

Mort stał w drzwiach. Trzymał ręce w kieszeniach spodni khaki, patrzył na maszynopis. Wiedział, że wariactwo nie jest zaraźliwe (chyba że za długo przebywa się z wariatami), jednak nie chciał dotknąć tego draństwa. Ale chyba będzie musiał. Nie wiedział, jak długi czas tu spędzi - dzień, tydzień, rok, wszystko było prawdopodobne w tej chwili - ale nie mógł pozwolić, żeby to kurewstwo tak sobie tu leżało. Po pierwsze Greg Carstairs, konserwator, zjawi się wczesnym popołudniem, żeby podać przybliżone koszty przełożenia gontów, i będzie zachodzić w głowę, co to jest. Co gorsza może dojść do wniosku, że maszynopis należy do Morta, a to pociągnie za sobą więcej wyjaśnień, niż całe to cholerstwo było warte.

Stał w miejscu, dopóki odgłos silnika samochodu gościa nie rozplynął się w cichym, łagodnym poszumie popołudnia. Podeszedł, ostrożnie stawiając boscie stopy (weranda prosiła się o pomalowanie przynajmniej od roku i suche drewno jeżyło się drzazgami) i odrzucił kamień w zarośnięty jałowcem rów odpływowy. Podniósł cienki plik i spojrział. Na wierzchu strona tytułowa. Widniała na niej:

John Spluwa TAJEMNICZE OKNO, TAJEMNICZY OGRÓD

Mimo wszystko Mortowi ulżyło na chwilę. Nigdy nie słyszał o Johnie Spluwie i nigdy w życiu nie przeczytał ani nie napisał opowiadania pod tytułem: *Tajemnicze okno, tajemniczy ogród*.

Wszedł do domu, cisnął maszynopis do kuchennego kosza, wrócił do kanapy w bawialni, wyciągnął się i zasnął w pięć minut.

Śnił o Amy. W tych dniach wiele spał i wiele śnił o Amy, a budząc się na odgłos własnych chrapliwych krzyków, nie czuł się zaskoczony. Uznał, że to minie.

## 3

Nazajutrz rano siedział przed swoim pecetem w małej dziupli za bawialnią. Zawsze służyła mu za miejsce pracy podczas pobytu na wsi. Komputer był włączony, ale Mort gapił się na jezioro. Dwie motorówki cięty białe grzywy na niebieskich falach. Z początku myślał: rybacy, ale że w ogóle nie przystawali - kreślili tylko ogromne koła, przelatując jeden za rufą drugiego - doszedł do wniosku, że to szczeniaki. Ot, figlujące szczeniaki.

Nie robili nic specjalnie frapującego, ale przecież on tak samo. Od czasu jak odszedł od Amy, nie napisał nic, co by było warte złamanego centa. Siedział przed monitorem od dziewiątej do jedenastej, jak robił to dzień w dzień przez ostatnie trzy lata (i jakie tysiąc lat przedtem, kiedy spędzał te dwie godziny przed starym biurowym modelem royala), ale tyle z tego wynikało, że równie dobrze mógłby ganiać motorówką ze szczeniakami.

Dzisiaj, podczas całej dwugodzinnej nasiadówki, zapisał następujące wersy nieśmiertelnej prozy:

\*

Cztery dni po tym, jak Georg utwierdził się w przekonaniu, że żona go zdradza, rozmówił się z nią. - Muszę z tobą pogadać, Abby - rzekł.

Nie było to dobre.

Zbyt prawdziwe, żeby mogło być dobre.

Kiedy problem zahaczał o realne życie, Mort nigdy się nie sprawdzał. Może tu właśnie był pies pogrzebany.

Wyłączył komputer, uświadamiając sobie po sekundzie, że zapomniał zapisać plik. Może krytyk tkwiący w jego podświadomości uznał, że ten plik nie jest wart utrwalenia.

Wyglądało na to, że pani Gavin skończyła na górze, buczenie odkurzacza w końcu ustało. Przychodziła sprzątać co wtorek i doznała szoku, kiedy dwa wtorki temu dowiedziała się, że Mort i Amy się rozstali. Milczała jak zaklęta, co kompletnie do niej nie pasowało. Mort podejrzewał, że lubiła Amy o wiele bardziej niż jego. Ale przychodziła nadal i to już było coś.

Wstał i wszedł do bawialni właśnie wtedy, gdy pani Gavin szła po schodach. Wąż niosła, a niewielką, okrągłą maszynę ciągnęła za sobą. Maszyna osuwała się, stukając rytmicznie. Wyglądała jak mechaniczny piesek. „Gdybym ja spróbował ściągnąć w ten sposób odkurzacz, podciąłby mi nogę i zwałił się razem ze mną na sam dół. Jak jej się to udaje?”.

- Witam, witam pani G. - powiedział i przeciął bawialnię w drodze do kuchni. Miał ochotę na colę. Gówniane efekty pracy zawsze budziły w nim pragnienie.

- Co słychać, panie Rainey?

Usiłował skłonić ją, aby mówiła do niego „Mort”, ale bez rezultatu. Nawet nie przeszła na „Morton”. Pani Gavin miała swoje zasady, lecz widać nie zabraniały one zwracać się do jego żony „Amy”.

„Może powinienem jej powiedzieć, że przyłapałem Amy w łóżku z facetem w jednym z elegantszych moteli w Deny, pomyślał Mort, popychając wahadłowe drzwi. Wtedy może przynajmniej mówiłaby do niej znowu »pani Rainey«,».

Była to wredna i płynąca z niskich pobudek myśl, zrodzona tam, gdzie jak podejrzewał, było źródło jego pisarskich zahamowań, ale chyba nie było na to rady. Być może i to minie... jak sny. Z jakiegoś powodu ta myśl wywołała w nim wspomnienie o nalepce, którą widział kiedyś z tyłu starego „garbusa”: MAM ZAPARCIE - NIE DAJĘ.

Kiedy drzwi do kuchni wróciły do normalnego położenia, pani Gavin zawołała:

- Znalazłam jedną z pańskich opowieści w kubie na śmieci, panie Rainey! Pomyślałam, że może jej pan szukać, więc położyłam na ladzie!

- W porządku - powiedział, nie mając pojęcia, o czym ta kobieta mówi. Nie miał w zwyczaju wyrzucać ani całych złych wydruków, ani złych fragmentów razem z kuchennymi resztkami. Kiedy splotził śmierzdelca - a ostatnio produkował ich więcej, niż wypadało - szedł on prosto albo do niebios danych (klawisz KASUJ), albo do cylindrycznego zbioru stojącego na podłodze po prawej stronie całej maszyny (kosz).

Mężczyzna w płaskim kwakerskim kapeluszu, ze zmarszczkami na twarzy, nawet przez myśl mu nie przeszedł.

Otworzył drzwi lodówki, przesunął dwa talerzyki z gotowymi potrawami, po których zostały jakieś nędzne resztki, natrafił na butelkę pepsi, otworzył, biodrem domykając lodówkę. Kiedy szedł wyrzucić do śmieci kapsel, zobaczył maszynopis - tytułowa strona poplamiona chyba sokiem pomarańczowym, ale poza tym w porządku - leżący na ladzie obok sileksa, maszyny do parzenia kawy. Wtedy przypomniał sobie. John Spluwa, a jakże. Ojciec założyciel gminy wariatuńców, stan Missisipi.

Pociągnął łyk pepsi, sięgnął po maszynopis. Przełożył stronę tytułową pod spód i zobaczył nagłówek strony pierwszej:

John Spluwa Hurtownia Dellacourt, Missisipi 30 stron

Około 7500 słów

Do druku w odcinkach, Ameryka Północna

John Spluwa TAJEMNICZE OKNO, TAJEMNICZY OGRÓD

Papier dobry gatunkowo, ale maszyna nędzna - sądząc po efektach, był to stary model biurowy, niezbyt zadbane. Większość liter była koślawa jak zębata starucha.

Przeczytał pierwsze zdanie, potem drugie, potem trzecie i przez kilka chwil nie mógł zebrać myśli.

\*

Todd Downey uznał, że kobieta gotowa okraść cię z twej miłości, kiedy twa miłość jest wszystkim, co masz, to kobieta niewiele warta. Dlatego też zdecydował się ją zabić. Zrobi to w zakątku, w którym stykają się dom i stodoła - tam, gdzie żona uprawia swój ogródek.

- O cholera - wymamrotał Mort i odłożył rękopis. Potrącił butelkę z pepsi. Butelka przewróciła się i płyn, pieniać się i sycząc, rozlał się po ladzie i drzwiczkach szafki. - O CHOLERA! - zawył.

Pani Gavin nadciągnęła w pośpiechu, ogarnęła wzrokiem sytuację i orzekła:

- Och, nic takiego się nie stało. Po tym wrzasku myślałam, że podciął pan sobie gardło. Posunie się pan trochę, panie Rainey?

Posunął się. Zaczęła od tego, że zdjęła maszynopis z lady i wcisnęła mu w rękę. Nadal był w niezłym stanie. Pepsi chlusnęła w innym kierunku. Mort kiedyś był człowiekiem o wielkim poczuciu humoru - przynajmniej sam tak o sobie myślał - ale teraz patrząc na cienki plik kartek w rękach, zdobył się jedynie na gorzką ironię. „Z tym jest tak, jak z tą piosenką o piesku zamordowanym przez kucharza, pomyślał. Jak się zacznie, nie można skończyć”.

- Jak pan chce to zniszczyć - powiedziała pani Gavin, wskazując na maszynopis, kiedy już wyjęła szmatę spod zlewu - to dobrze panu idzie.

- To nie moje - powiedział. Ale zabawne, no nie? Wczoraj, kiedy prawie sięgnął ręką po maszynopis, gotów wziąć go od tego mężczyzny, pomyślał, jakim zdolnym do reaktywnych zachowań zwierzęciem jest człowiek. Wyglądało, że ta cecha obejmowała wszystko, ponieważ w pierwszym odruchu po przeczytaniu tych trzech zdań poczuł się winny... a czyż właśnie nie to uczucie Spluwa (jeśli było to jego prawdziwe nazwisko) chciał w nim obudzić? Oczywiście, że to. „Ukradłeś pan mojom opowieść”, powiedział, a czy złodzieje nie powinni czuć się winni?

- Pan wybaczy, panie Rainey - odezwała się pani Gavin, unosząc ścierkę.

Zrobił krok w bok, żeby mogła dosięgnąć rozlanej pepsi.

- To nie moje - powtórzył z naciskiem.

- Aha - powiedziała, ścierając ladę, a potem podchodząc do zlewu, żeby wykręcić ścierkę. - Myślałam, że pańskie.

- Tu jest napisane „John Spluwa” - rzekł, kładąc tytułową stronę na wierzch i podsuwając jej pod nos. - Widzi pani?,

Pani Gavin obdarzyła stronę najkrótszym spojrzeniem, jakiego wymagała uprzejmość, i zaczęła ścierać drzwiczki szafki.

- Myślałam, że to jeden z tych jak-im-tam. Psydonimów. Albo pseudonimów. Jak to się mówi na te przybrane nazwiska.

- Ja nie używam pseudonimu. Nigdy tego nie robiłem.

Tym razem obdarzyła krótkim spojrzeniem jego - po wiejsku chytrym i lekko rozbawionym - zanim uklękła, żeby zetrzeć podłogę.

- Abo i jakby przyszło co do czego, toby mi pan powiedział?

- Przepraszam, że rozlałem pepsa i musi pani po mnie sprzątać - rzekł. Usunął się do drzwi.

- Za to mi pan płaci - powiedziała krótko. Nie podniosła już oczu. Mort zrozumiał w lot jej intencje i wyszedł.

Stał przez moment w bawialni, patrzył na odkurzacz porzucony na środku dywanu. Słyszał mężczyznę z pomarszczoną twarzą, mówiącego cierpliwie: „To sprawa między panem a mnem. Nie potrzeba nam nikogo z zewnątrz, panie Rainey. To sprawa tylko między panem a mnem”.

Mort przypomniał sobie dokładnie tę twarz; był wytrenowany w przywoływaniu twarzy i zdarzeń, i myślał: „To nie było tylko chwilowe zaćmienie umysłu ani dziwaczny sposób zawarcia znajomości z pisarzem, którego może uważa, a może nie uważa, za sławnego. On tu wróci”.

Nagle pospieszył do swego gabinetu. Po drodze zwinął maszynopis w trąbkę.

#### 4

Trzy z czterech ścian gabinetu były zastawione półkami na książki, a jedną całą półkę przeznaczono na wydania krajowe i zagraniczne jego dzieł. W sumie wydał sześć książek: pięć powieści i zbiór opowiadań. Zbiór i pierwsze dwie powieści zostały ciepło przyjęte przez najbliższą rodzinę i kilku przyjaciół. Trzecia powieść: *Mały kataryniarz* od razu zyskała rangę bestsellera. Pierwsze pozycje wydano powtórnie po tym, jak odniósł sukces, i szły całkiem, całkiem, ale nigdy nie stały się tak popularne jak późniejsze książki.

Zbiór opowiadań nosił tytuł *Każdy kabluje* i większość z nich pierwotnie opublikowano w magazynach dla mężczyzn, wciskając je między zdjęcia kobiet mających na sobie dużo makijażu i niewiele poza tym. Jednakże jedno opowiadanie zostało opublikowane w „Ellery Queen’s Mystery Magazine”. Nazywało się *Czas siejby* i do niego właśnie teraz sięgnął.

\*

Kobieta, która gotowa jest okraść cię z twojej miłości, kiedy twoja miłość jest wszystkim, co masz, to kobieta niewiele warta - taka była przynajmniej opinia Tommy'ego Havelocka. Zdecydował się ją zabić. Znał nawet dokładnie miejsce, w którym tego dokona: w małym skrawku ogródka, uprawianym przez nią tam, gdzie stykały się dom i stodoła.

\*

Mort siadł i powoli przeglądał oba opowiadania, cofając się od czasu do czasu. Nie doszedł jeszcze do połowy, a zrozumiał, że nie potrzebuje sprawdzać dalej. Były miejsca, w których różniły się w stylu; w wielu innych nawet pod tym względem były identyczne, słowo w słowo. Pominąwszy kwestię stylu, były dokładnie takie same. W obydwu mężczyzna zabija swoją żonę. W obydwu żona jest zimną, wyzutą z uczuć suką, którą interesuje jedynie ogródek i przetwory. W obydwu zabójca zakopuje swoją małżonkę-ofiarę w ogródku, a potem pielęgnuje go, hodując zaiste okazałą uprawę. U Mortona Raineya jest to fasola. U Spluwy - kukurydza. W obu wersjach zabójca w końcu wariuje i zostaje nakryty przez policję, gdy spożywa ogromne porcje wyhodowanej przez siebie jarzyny, przysięgając, że pozbędzie się jej, w końcu pozbędzie się jej na amen.

Morton nigdy nie uważał się za mocnego w horrorach - i w *Czasie siejby* nie było nic nadprzyrodzonego - niemniej jednak było to dziełko, od którego ciarki chodziły po plecach. Amy skończywszy je, wzdrygnęła się i powiedziała: „Chyba jest niezłe, ale to, co roi się w głowie tego człowieka... Boże, Mort, toż to istne gniazdo żmij”.

Niezłe pasowało to do jego własnej oceny. Pejzaż *Czasu siejby* nie był miejscem, do którego często wybierałby się z rozkoszą, i nie był utworem w rodzaju „Zacznij pieśń serce moje”, ale uznał, że machnął wcale dobry kawałek roboty, odmalowując morderczą manię Toma Havelocka. Wydawca z EQMM zgodził się z nim, podobnie czytelnicy - opowiadanie spotkało się z ogólnie przychylnym przyjęciem. Wydawca prosił o więcej, ale Mort nigdy nie wymyślił niczego nawet zbliżonego do *Czasu siejby*.

\*

- Wiem, że dam sobie z tym radę - powiedział Todd Downey, sięgając do dymiącej misy po następną kolbę kukurydzy. - Jestem pewien, że za jakiś czas wszystko, co po niej zostało, przepadnie.

\*

Tak kończyło się u Spluwy.

\*

- *Jestem spokojny, że ten interes da się załatwić* - powiedział im Tom Havelock i nałożył sobie następną porcję fasoli z pełnej, dymiącej misy. - *Jestem pewien, że za jakiś czas jej śmierć stanie się tajemnicą nawet dla mnie.*

\*

Tak kończyło się u Morta Raineya.

Mort zamknął egzemplarz *Każdy kabluje* i, zamyślony, odłożył go z powrotem na półkę pierwodruków.

Usiadł. Powoli i starannie zaczął przesiewać zawartość swojego biurka. Był to wielki mebel, tak wielki, że stolarze musieli wstawiać go do bawialni częściami. Miał wiele szuflad. Był jego wyłączną domeną i ani Amy, ani pani Gavin nie dotknęły go nigdy. Szuflady pękały od nagromadzonych tu w ciągu dziesięciu lat rupieci. Minęły cztery lata, odkąd Mort rzucił palenie, i jeśli gdzieś w domu mogły zawieruszyć się papierosy, to tu. Jeśli znajdzie coś do palenia - zapali. W tej chwili miał wariacką chęć na dyma. Ale jeśli nie znajdzie papierosa, też dobrze - samo grzebanie w śmieciach miało kojący wpływ. Oto stare listy, odłożone i czekające na odpowiedź, której się nigdy nie doczekały. Rzeczy, które niegdyś wydawały się tak ważne, teraz były starociami, nawet zapomnianymi starociami. Kartki pocztowe, które kiedyś kupił, ale nigdy ich nie wysłał. Szczątki maszynopisów w różnych stadiach obróbki. Pół torebki wiekowych ciastek. Koperty. Spinacze. Anulowane czeki. Przekopywał się przez spoczywające tu warstwy prawie jak przez złoża geologiczne - złoża letniego życia, zastygłego na zawsze. Jakież to kojące. Skończył z jedną szufladą i przeszedł do następnej, myśląc nieprzerwanie o Johnie Spluwie i tym, co obudziło w nim opowiadanie Johna Spluwy - jego własne opowiadanie, do cholery!

Najbardziej oczywisty był fakt, że obudziło chęć na papierosa. Czuł ją nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich czterech lat. Wystarczyło, że na światłach zobaczył kogoś zaciągającego się w samochodzie obok, żeby dźgała go chwilowa chęć. Te napady były właśnie chwilowe, mijały jak deszczowe szkwały - pięć minut po spadnięciu z nieba oślepiającej srebrzystej kurtyny słońce znów świeciło. Nigdy nie musiał wskakiwać do najbliższego sklepu po paczkę... ani nie macał w skrytce kierowcy za jakimiś resztkami, jak grzebał teraz w biurku.

Czuł się winny i było to absurdalne. Wkurzające. Nie ukradł opowiadania Johna Spluwy i wiedział o tym. Jeśli nastąpiła tu kradzież (a musiała nastąpić; obie opowieści były zbyt podobne, aby można uwierzyć, iż jedna z zamieszanych w to osób nie znała wcześniej owocu pracy drugiej), to właśnie Spluwa okradł jego.

Oczywiście.

To fakt niezbity jak widok słońca na niebie... albo jak widok okrągłego czarnego kapelusza na głowie Johna Spluwy.

A jednak czuł się zdenerwowany, poruszony, winny... jakoś zagubiony. Nie było na to innego określenia. Ale dlaczego? Cóż... dlatego że...

W tym momencie Mort podniósł ksero maszynopisu *Małego kataryniarza*. Pod spodem leżała paczka L&M. Czy jeszcze w ogóle produkuje się L&M? Nie miał pojęcia. Paczka była stara, wygnieciona, ale wcale pękata. Podniósł, obejrzał. Zgodnie z nieformalną nauką, którą z braku lepszego słowa można by nazwać biurkologią, musiał kupić tę paczkę w roku 1985.

Zerknął do środka. Trzy krótkie „gwoździe” leżały grzecznie w rządku.

„Podróżnicy w czasie z innej ery”, pomyślał Mort. Wsadził jednego do ust i udał się po zapalki leżące obok Kuchenki. „Podróżnicy w czasie z innej ery, przebywający lata, cierpliwi cylindryczni wędrowcy, mający za zadanie czekać, wytrwać, narzucać się, aż trafi się wreszcie chwila i pchną mnie na drogę, na której czyha rak płuc. I wygląda na to, że ta chwila wreszcie nadeszła”.

- Prawdopodobnie będzie miał gówniany smak - powiedział głośno w pustym domu (pani Gavin dawno poszła do siebie) i przysunął płonąca zapalkę do papierosa. A jednak nie smakował gównianym. Smakował pysznie. Mort powrócił do gabinetu, wypuszczając dymek za dymkiem i czując przyjemne zawroty głowy. „Ach, ta straszliwa wytrwałość nałogu”, pomyślał. Jak to powiedział Hemingway? Nie tego sierpnia, nie tego września - tego roku rób, co ci się żywnie podoba. Ale czas nie stoi w miejscu. Toczy się. Jak zawsze. Wcześniej czy później wsadzisz coś z powrotem do swojej dużej wielkiej gęby. Drinka, dyma, może lufę dubeltówki. Nie tego sierpnia, nie tego września...

...ale już był październik. Niestety.

Wcześniej podczas przeglądu natrafił na starą, w połowie pustą butelkę z orzeszkami ziemnymi. Raczej nie nadawały się do jedzenia, ale zakrętka w sam raz przyda się na popielniczkę. Siadł za biurkiem, spojrzął na jezioro (jak wcześniej pani G., motorówki też zniknęły), oddał się staremu, wstrętnemu nałogowi i okazało się, że może myśleć o Johnie Spluwie i jego opowieści z nieco większym spokojem ducha.

Facet oczywiście był jednym z wariatuńców; Mort miał to teraz czarno na białym i żadne dalsze dowody nie były potrzebne. A co do samopoczucia po odkryciu zbieżności opowiadań...

No cóż, opowieść jest czymś, czymś realnym - tak przynajmniej się o tym myśli, gdy ktoś ci za to płaci - ale w innym, istotniejszym sensie nie jest wcale tak namacalna jak rzecz.



Nie jest tym samym co waza, krzesło czy samochód. Jest to atrament na papierze, ale nie jest to atrament ani papier. Ludzie czasami dopytywali się, skąd czerpie pomysły, i zawsze reagował wtedy wzruszeniem ramion. Czuł się w jakiś sposób zawstydzony, w jakiś sposób nieswój. Zachowywał się tak, jakby gdzieś istniało główne wysypisko pomysłów (tak jak rzekomo gdzieś istniało cmentarzysko słoni lub złote miasto) i na pewno miał sekretną mapę, która pozwala mu wędrować do niego tam i z powrotem. Ale Mort wiedział swoje. Umiał przypomnieć sobie, gdzie był, kiedy pewne pomysły przyszły mu do głowy, i wiedział, że pomysł często stanowi rezultat spostrzeżenia lub wycucia jakichś dziwnych związków pomiędzy przedmiotami bądź ludźmi, których poprzednio nic a nic w sposób widoczny nie łączyło - ale to wszystko, na co było go stać. Jakim cudem dostrzegał te związki i dlaczego chciał z nich budować potem opowieści... tego nie potrafił wyjaśnić.

Gdyby John Spluwa stanął w drzwiach i powiedział: „Ukradłeś pan mój samochód” zamiast „Ukradłeś pan mojom opowieść”, Mort ukreśliłby łeb sprawie szybko i gładko. Nawet gdyby oba wozy miały ten sam rocznik, producenta, model i kolor. Pokazałby mężczyźnie w płaskim czarnym kapeluszu swój dowód rejestracyjny, zachęciłby go do porównania dowodu wpłaty za ubezpieczenie z numerem domu i odesłał z kwitkiem raz na zawsze.

Ale kiedy wpadasz na pomysł opowiadania, nikt nie daje ci kwitu sprzedaży. Nie da się prześledzić drogi, którą przybył. Bo i jak? Nikt nie wręcza ci kwitu za coś, co dostajesz za darmo. Obciążasz każdego, kto chce kupić to od ciebie - o tak, wyciskasz, ile się da i jeszcze trochę, żeby odbić sobie wszystkie zaniżone honoraria - redakcje magazynów czy gazet codziennych, wydawców książek, wytwórnie filmowe. Ale rzeczony artykuł zjawił się u ciebie darmo, bez opłaty i z czystą hipoteką. W tym rzecz. To dlatego czuł się winny, chociaż wiedział, że nie popełnił plagiatu z opowiadania Johna Spluwy. Czuł się winny, ponieważ przy pisaniu męczyło go to zawsze i prawdopodobnie zawsze będzie męczyć. Przypadek zdarzył, że to John Spluwa pierwszy zjawił się na jego progu i rzucił w twarz to oskarżenie. Podświadomie oczekiwał czegoś podobnego od lat. Zgasił niedopalonco papierosa i zdecydował, że utnie sobie drzemkę. Potem zdecydował, że to niedobry pomysł. Będzie lepiej, zdrowiej i dla ducha, i dla ciała, jeśli zje coś na lunch, poczyta pół godzinki, a potem uda się na długi miły spacer wzdłuż jeziora. Za dużo sypiał, a nadmiar snu był oznaką depresji. W połowie drogi do kuchni zdryfował w kierunku długiej kanapy, stojącej przy szklanej ścianie bawialni. „Do diabła, pomyślał, podkładając jedną poduszkę pod kark, a drugą pod głowę. A właśnie, że MAM DEPRESJĘ”.

Przed samym zaśnięciem powtórzył w myślach: „On nie da mi spokoju. To nie w jego stylu. To samopowtarzalna spluwa”.

## 5

Śnił, że zgubił się w rozległym polu kukurydzy. Zataczał się między bruzdami, a słońce oślepiająco błyskało na zegarkach - miał po sześć na każdym przedramieniu, każdy nastawiony na inną godzinę.

„Pomocy!, krzyczał. Błagam, niech mi ktoś pomoże! Zgubiłem się! Boję się!”.

Kukurydza po obu stronach bruzdy zatrzęsała się i zagrzecotała. Amy pojawiła się z jednej strony, Johny Spluwa z drugiej. Zbliżali się do niego z uniesionymi nożami.

„Jestem spokojny, że ten interes da się załatwić, powiedział Spluwa. Jestem pewien, że za jakiś czas twoja śmierć stanie się tajemnicą nawet dla nas”.

Mort zawrócił, aby rzucić się do ucieczki, ale ręka - ręka Amy, był tego pewien - złapała go za pas i szarpnęła. A wtedy noże błyszczące w gorącym słońcu tego wielkiego, tajemniczego ogrodu...

## 6

Godzinę i kwadrans później zbudził go telefon. Z trudem otrząsnął się z koszmarne go snu - ktoś go gonił, tyle zaledwie potrafił sobie przypomnieć - i siadł na kanapie. Było mu potwornie gorąco; cały spływał potem. Kiedy spał, słońce przesunęło się na tę stronę domu i świeciło przez przeszkloną ścianę Bóg wie jak długo.

Mort szedł z wolna do holu, do stolika, na którym stał telefon. Człapał jak nurek w pełnym oporządzeniu, brnący korytem rzeki pod prąd. Głowa podrygiwała mu miarowo, w ustach czuł taki smak, jakby skosztował starego gówna susła. Z każdym krokiem wejście do holu zdawało się oddalać i nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że w piekle człowiek czuje się chyba tak, jak po zbyt długim i zbyt twardym śnie w gorące popołudnie. Najgorszy był nie stan fizyczny. Najgorsze było to odurzające, ogłupiające wrażenie bycia na zewnątrz siebie samego - jakbyś stał się tylko obserwatorem gapiącym się przez podwójny okular obiektywu kamery tv, z zatartą ostrością.

Podniósł słuchawkę, przekonany, że to Spluwa.

„Taa... to on, bez gadania - jedyna osoba na całym szerokim świecie, z którą nie powinien rozmawiać rozmemłany i z mózgiem wywróconym na drugą stronę. To musi być on - no bo kto?”.

- Halo?

To nie był Spluwa, ale kiedy Mort wsłuchiwał się w głos po drugiej stronie linii, reagujący na jego przywitanie, odkrył, że jest przynajmniej jeszcze jedna osoba, z którą nie palił się rozmawiać w stanie psychicznego rozbrojenia.

- Halo, Mort - powiedziała Amy. - Dobrze się czujesz?

W jakiś czas potem przywdział czerwoną flanelową koszulę rozmiaru XL, służącą mu za wiatrówkę wczesną jesienią, i ruszył na spacer, który powinien był odbyć się wcześniej. Kot Łazęga towarzyszył mu na tyle daleko, aby zyskać pewność, iż pan ma poważne zamiary, a potem wrócił do domu.

Mort szedł powoli, chłonąc uroki wspaniałego popołudnia. Niebo było całe niebieskie, liście całe czerwone, a powietrze całe ze złota. Szedł z rękami w kieszeniach, wchłaniając spokojny czar jeziora, czekając, aż spłynie na niego ukojenie. Jak zawsze spływało. Chyba po to przyjechał tu, zamiast pozostać w Nowym Jorku, czego spodziewała się po nim Amy, wtedy gdy toczyli się nieuchronnie ku rozwodowi. Przyjechał, ponieważ to było magiczne miejsce, zwłaszcza w jesieni, i zjawiwszy się tu, poczuł, że jeśli komuś na tej planecie potrzeba trochę magii, to jemu, żalosnemu wyrzutkowi. Lecz jeśli ta dobra magia zawiedzie go teraz, gdy wszystko, co pisał, okazywało się pozbawione smaku i zapachu, to cóż dalej pocznie?

Martwił się niepotrzebnie. Po chwili cisza i to wrażenie przedziwnego zawieszenia, którym zawsze emanowało jezioro Tashmore, kiedy w końcu nadeszła jesień, a letnicy nareszcie odjechali, zaczęło na niego oddziaływać, rozluźniać jak łagodnie masujące ręce. Ale teraz oprócz Spluwy miał jeszcze jeden temat do rozmyślań. Amy.

- Oczywiście, że dobrze się czuję - powiedział, wymawiając słowa ze starannością pijaka, usiłującego przekonać innych, że jest trzeźwy. Po prawdzie był nadal tak ogłupiały, że czuł się trochę pijany. Słowa, nabierając kształtu, rosły mu w ustach jak odłamki miękkiej, kruchej skały i mówił z wielką uwagą, brnąc przez wstępne frazesy i gambity rozmowy telefonicznej, jakby to robił po raz pierwszy. - A jak ty się czujesz?

- Och, dobrze, dziękuję, dobrze - odrzekła i roześmiała się cichym trylem, który oznaczał zwykle, że albo się droczy, albo jest zdenerwowana jak wszyscy diabli. Mort nie sądził, aby się z nim droczyła - nie w tej chwili. Uznawszy, że ona też jest zdenerwowana, rozluźnił się nieco. - Chodzi tylko o to, że siedzisz tam sam i gdyby się coś zdarzyło, nikt nie będzie wiedział... - urwała nagle.

- Naprawdę nie jestem sam - powiedział łagodnie. - Była tu dziś pani Gavin, a Greg Carstairs zawsze kręci się gdzieś blisko.

- Och, zapomniałam o dachu - powiedziała Amy i przez chwilę zadumał się nad tym, jak naturalnie sobie gwarzyli, jak naturalnie i nierozwodowo. „Gdyby ktoś nas słuchał, pomyślał, nigdy nie zgadłby, że w moim łóżku śpi teraz bezczelny agent sprzedaży nieruchomości... raczej w moim dawnym łóżku”. Cekał na pojawienie się gniewu - gniewu

zbołałego, zazdrosnego i oszukanego męża - ale tam, gdzie niegdyś szalały te pełne werwy, choć nieprzytomne uczucia, majaczył tylko wąty cień.

- No wiesz, Greg nie zapomniał - zapewnił ją. - Zjawił się wczoraj i łąził po dachu przez półtorej godziny.

- I jak to wygląda?

Powiedział jej i gdy przez jakieś następne pięć minut omawiali sprawę dachu, Mort z wolna się obudził. Rozmawiali o tym starym dachu, jakby sprawy miały się tak samo jak zawsze, rozmawiali, jakby mieli spędzić następne lato pod nowymi cedrowymi gontami, tak jak pod starymi cedrowymi gontami spędzali wakacje przez ostatnie dziewięć lat. Mort pomyślał: „Wystarczy mi dach, wystarczy parę gontów i mogę z tą suką gwarzyć przez wieczność”.

Kiedy słuchał siebie podtrzymującego grzecznie konwersację, czuł, jak zapada się coraz głębiej w nierzeczywistość. Jakby powracał do tego hipnotycznego stanu na wpół jawy, na wpół snu, w którym podniósł słuchawkę. W końcu nie mógł tego dłużej znieść. Jeśli były to jakieś zawody, kto dłużej wytrzyma z udawaniem, że ostatnie sześć miesięcy nigdy się nie zdarzyły, gotów był się poddać. Bez warunków wstępnych.

Pytała właśnie, gdzie Greg ma zamiar kupić gonty i czy zaangażuje brygadę z miasteczka, gdy Mort jej przerwał.

- Dlaczego zadzwoniłaś, Amy?

Zapadła cisza. Wyczuł, że wybiera między odpowiedziami, jakby wahała się nad wyborem kapelusza, i to dopiero zrodziło w nim gniew. Była to jedna z tych spraw - jedna z tych naprawdę niewielu spraw - o których mógł uczciwie powiedzieć, że go u niej wkurzały. Całkowicie nieświadoma dwulicowość.

- Powiedziałam ci - odezwała się w końcu. - Chciałam dowiedzieć się, jak się czujesz.

Ton głosu zdradzał, iż się zarumieniła i znów straciła pewność siebie, co zwykle oznaczało, że nie kłamie. Kiedy Amy kłamała, robiła to tak gładko, jakby informowała, że świat jest okrągły.

- Miałam przeczucie - tak, ty w nie nie wierzysz, ale orientujesz się dobrze, że je miewam i że ja w nie wierzę... Mort?

Bezsprzecznie nie pozowała, jak to czasem bywało, ani nie broniła się udawanym gniewem - w jej głosie brzmiała prawie błagalna nuta.

- Mhm, wiem.

- No i właśnie poczułam coś takiego. Robiłam sobie kanapkę na lunch i miałam przeczucie... że może źle się czujesz. Wytrzymałam chwilę - myślałam, że przejdzie, ale nie. Więc w końcu zadzwoniłam. Czujesz się dobrze, prawda?

- Tak.

- I nic się nie stało?

- Wiesz, coś się stało - rzekł, rozstrzygając w ten sposób toczący się w jego duszy krótki spór. Niewykluczone, może nawet wysoce prawdopodobne, iż John Spluwa (jeśli tak naprawdę brzmi jego nazwisko, nie omieszkiał dodać w myśli) próbował skontaktować się z nim w Derry, zanim się tu zjawił. Przecież Derry było stałym miejscem pobytu Morta o tej porze roku. Sama Amy mogła go tu przysłać.

- Wiedziałaś - powiedziała. - Zaciąłeś się tą cholerną piłą ręczną? A może...

- To nic wymagającego hospitalizacji - uspokajał ją, uśmiechając się lekko. - Taki kłopotliwy drobiazg. Czy imię i nazwisko John Spluwa mówi ci coś, Amy?

- Nie, a o co chodzi? Zirytowany westchnął przez zaciśnięte zęby. Jakby upuszczał nadmiar pary z kotła. Amy była inteligentną kobietą, ale obwód między mózgiem a językiem miała zawsze ciut przykrótki. Przypomniawszy sobie, jak to raz rozważał, czy nie powinna nosić koszulki z napisem: NAJPIERW MÓWIĘ, POTE M MYŚLĘ!

- Nie strzelaj tak z tym „nie”. Zastanów się przez kilka sekund i naprawdę to przemyśl. Facet jest dość wysoki, ma gdzieś metr osiemdziesiąt i wygląda na jakieś czterdzieści pięć lat. Chyba wieśniak. Mocno ogorzały, dużo zmarszczek. Kiedy go zobaczyłem, wydał mi się jak z Faulk...

- Co to wszystko ma znaczyć, Mort?

Przeszłość wróciła z całą mocą; jeszcze raz potwierdziło się, dlaczego to - nawet zagubiony i roztrzęsiony - odrzucał natrętne pragnienie nachodzące go zwłaszcza nocami: poprosić ją, aby przynajmniej spróbowali złagodzić dzielące ich różnice. W głębi serca wiedział, iż gdyby prosił dość mocno i dość wytrwale, ustąpiłaby. Ale faktów zmienić się nie da. Kłopoty w ich małżeństwie polegały nie tylko na obecności tego handlarza nieruchomości. Rozkazujący ton, który pojawił się teraz w głosie Amy - oto następny symptom tego, co ich zabiło. „A cóż nowego narozrabiałeś?” pytała. Nie. Żądała odpowiedzi. W jaką awanturę tym razem się wpakowałaś? „Wytłumacz się”.

Zamknął oczy i nim odpowiedział, jeszcze raz wypuścił powietrze przez zęby. A potem opowiedział jej o Johnie Spluwie i o maszynopisie Johna Spluwy, i o swoim opowiadaniu. Amy dokładnie pamiętała *Czas siejby*, ale powiedziała, że nigdy w życiu nie

słyszała o człowieku, który nazywałby się John Spluwa - trudno zapomnieć takie nazwisko, i Mort był skłonny się z nią zgodzić. I z całą pewnością nie widziała go na oczy.

- Jesteś pewna? - dociskał Mort.

- Tak, jestem - powiedziała Amy. Zdawała się nieco urażona nieustannymi dopytywaniami. - Od kiedy wyjechałeś, nie spotkałam nikogo takiego. I zapewniam cię, zanim powiesz mi znowu, żebym nie strzelała tak z „nie”, że bardzo dokładnie pamiętam prawie wszystko, co wydarzyło się od tego czasu.

Przerwała i uprzytomnił sobie, iż ona mówi teraz z wysiłkiem, a niewykluczone, że i z prawdziwym bólem. Niewielka, podła część jego istoty uradowała się. Ale tylko niewielka część. Większa z obrzydzeniem potępiła tę reakcję. Jednak po triumfującym wesołku spłynęło to jak woda po gęsi. Facet mógł zostać przegłosowany, ale niewzruszenie opierał się wysiłkom Morta - większego Morta - pozbycia się go raz na zawsze.

- Może Ted go widział - powiedział. Ted Milner to był agent handlu nieruchomościami. Mortowi nadal trudno było uwierzyć, że Amy rzuciła go dla handlarza nieruchomościami, i podejrzewał, że w tym tkwiła część problemu. Tu objawiała się próżność, która przede wszystkim doprowadziła do obecnego stanu rzeczy. Nie będzie przecież udawać, zwłaszcza przed sobą, że jest niewinny jak baranek, zgoda?

- Czy to ma być dowcip? - W głosie Amy słychać było złość, wstyd, gniew, żal i bunt. Wszystko naraz.

- Nie - odpowiedział. Znowu powróciło zmęczenie.

- Ted tu nie mieszka - powiedziała. - Rzadko kiedy tu przychodzi. Ja... ja chodzę do niego.

Już miał na końcu języka: Dzięki, że odkryłaś mi ten sekret, Amy, ale powstrzymał się. Będzie miło, jeśli uda się zakończyć przynajmniej jedną rozmowę bez wymiany oskarżeń. Więc nie podziękował jej za odkrycie tego sekretu i nie powiedział jej, że to zmienia postać rzeczy, a przede wszystkim nie zapytał, co u diabła z tobą, Amy?

Głównie dlatego, że wtedy mogłaby zapytać go o to samo.

## 8

Zasugerowała, żeby zadzwonił do Dave'a Newsome'a, posterunkowego w Tashmore - przecież ten człowiek może okazać się niebezpieczny. Mort powiedział, że nie uważa tego za konieczne, przynajmniej na razie, ale jeśli ten „John Spluwa” znowu da znak życia, chyba dźwignie do Dave'a. Po kilku dodatkowych nieszczerych uprzejmościach odłożyli słuchawki. Wyczuwał, iż Amy nadal cierpi po jego delikatnej sugestii, że Ted może właśnie rozpiera się w foteliku Mortunia-misiunia i śpi w łóżeczku Mortunia-misiunia, ale szczerze

mówiąc, nie wiedział, jak mógłby wcześniej czy później nie wspomnieć o Tedzie Milnerze. Przecież stał się on częścią życia Amy. I to ona zadzwoniła. Miała jedno z tych swoich dziwnych przeczuć i zadzwoniła do niego.

Mort dotarł do miejsca, gdzie ścieżka nad jeziorem rozwidlała się; prawe rozwidlenie szło ostro w górę, do wzniesienia przy drodze obok jeziora. Wybrał to odgałęzienie. Kroczył powoli, smakował koloryt jesieni. Minął ostatni zakręt i zobaczył wąską wstążkę asfaltu. Nie był zaskoczony widokiem zakurzonego niebieskiego kombi z tablicami rejestracyjnymi Missisipi (stało jak zbity kundel uwiązany do drzewa) ani smukłą postacią Johna Spluwy, który opierał się o prawy błotnik, skrzyżowawszy ręce na piersi.

Mort oczekiwał mocnego uderzenia serca, napływu adrenaliny do krwi, ale serce stukało normalnym rytmem, a i reszta organów pracowała niewzruszona, trzymając się - przynajmniej chwilowo - zasady śpiesz się powoli.

Słońce, które poprzednio zaszło za chmury, wychynęło znów, a kolory jesieni, które już wcześniej gorzały, teraz zdawały się jarzyć płomieniem. Powrócił jego własny cień: ciemny, długi i ostry. Czarny płaski kapelusz Spluwy był jeszcze czarniejszy, niebieska koszula jeszcze bardziej niebieska, a powietrze tak czyste, że człowiek ten wyglądał jak wycięty nożyczkami z kawałka rzeczywistości bardziej jaskrawej i żywej niż ta, która otaczała zwykle Morta. I w tej chwili zrozumiał, dlaczego nie zadzwonił do Dave'a Newsome'a. Poprzednio mylnie to sobie tłumaczył - a może zwodził nieco zarówno siebie, jak i Amy - gdyż prawda wyglądała następująco: chciał załatwić tę sprawę sam. „Może dlatego, żeby dowieść, iż są jeszcze rzeczy, z którymi POTRAFIĘ dać sobie radę”, pomyślał i ruszył pod górę, gdzie John Spluwa oczekiwał go wsparty o samochód.

## 9

Mort spacerował wcześniej ścieżką nad jeziorem długo i powoli, a Amy nie była jedynym tematem jego myśli, gdy przystawał, zastanawiając się, czy lepiej zrobi, obchodząc leżące drzewo, czy też przełaząc przez zwałony pień, albo gdy zatrzymywał się, żeby cisnąć płaskim kamykiem po wodzie (jako chłopak był naprawdę niezły w puszczaniu kaczek. Wtedy kamyk odbijał się i z dziewięć razy, ale dziś odbił się zaledwie cztery). Myślał wtedy również, jak ma postąpić wobec Spluwy, kiedy Spluwa się zjawi, jeśli się w ogóle zjawi.

To prawda, że wezbrało w nim przelotne - a może nie-tak-źnów-przelotne uczucie winy, kiedy przekonał się, jak niewiele dzieli te dwa opowiadania, ale wytłumaczył to sobie: ogólne poczucie winy prawdopodobnie dręczy od czasu do czasu każdego pisarza. Co do samego Spluwy, odczuł jedynie zniecierpliwienie, gniew... i jakby ulgę. Od miesięcy był

pełen niewyłodowanego gniewu. Jak dobrze, że w końcu znalazł się kozioł ofiarny, na którego można będzie wylać całą złość.

Mort znał to stare powiedzenie, że jeśli czterysta małąp będzie walić w czterysta maszyn do pisania przez cztery miliony lat, jedna z nich spłodzi komplet dzieł Szekspira. Znał, ale nie wierzył w nie. A jeśli nawet, to John Spluwa nie był małąpą i nie żył nawet w przybliżeniu tak długo.

Więc Spluwa przepisał jego opowieść. Dlaczego wybrał *Czassiejby*, tego Morton Rainey nie potrafił zgłębić, ale jeśli wykluczyć przypadek, to Spluwa musiał ją ukraść, gdyż Morton wiedział cholernie dobrze, że gdyby nawet on sam ukradł tę historię - jak wszystkie pozostałe - z wielkiego banku pomysłów wszechświata, to z całą pewnością nie ukradł jej panu Johnowi Spluwie z wielkiego stanu Missisipi.

Skąd więc przepisał ją Spluwa? Oto najistotniejsze pytanie. Szansa Morta na udowodnienie, że Spluwa to łgarz i oszust, wiązała się z rozstrzygnięciem tego właśnie problemu.

Istniały tylko dwie odpowiedzi, ponieważ *Czas siejby* był wydany tylko dwukrotnie - po raz pierwszy w „Ellery Queen’s Mystery Magazine”, a potem w zbiorze *Każdy kabluje*. Daty wydań są przeważnie podawane na stronie z copyrightem i wydawca *Każdy kabluje* zastosował się do tego zwyczaju. Mort sprawdził dane *Czasu siejby* i okazało się, że pierwodruk miał miejsce w czerwcowym wydaniu EQMM z 1980 roku. Zbiór *Każdy kabluje* został wydany przez St. Martin Press w roku 1983. Potem książka była wznawiana jeszcze kilkakrotnie - tylko raz w twardej okładce - ale to nie miało znaczenia. Naprawdę liczyły się tylko te dwie daty: 1980 i 1983... i wiara, że poza agentami i radcami prawnymi domów wydawniczych nikt nie zwraca specjalnej uwagi na linijki petitu na stronie z copyrightem.

Z nadzieją, że podobnie zachował się John Spluwa i doszedł do najprostszego wniosku - jak każdy przeciętny czytelnik - iż opowieść została wydana po raz pierwszy w książce, Mort zbliżał się do Spluwy, aż wreszcie stanął przed nim na skraju drogi.

## 10

- Chyba miałeś pan do tej pory okazje przeczytać moje opowiadanie - powiedział Spluwa zdawkowo, jakby rzucał uwagę na temat pogody.

- Miałem. Spluwa dostojnie pokiwał głową.

- Chyba coś tam się skojarzyło, no nie?

- Oczywiście - przytaknął Mort i dodał z wystudiowaną obojętnością: - Kiedy pan je napisał?



- Tak sobie pomyślałem, że pan o to zapytasz - powiedział Spluwa. Uśmiechnął się tajemniczo i zamilkł. Ramiona dalej miał skrzyżowane na piersi, dłonie spoczywały po bokach tuż poniżej pach. Wyglądał jak człowiek, który tak świetnie czuje się w wybranym miejscu, że nigdy się z niego nie ruszy, przynajmniej dopóki słońce nie zajdzie za horyzont i nie przestanie ogrzewać mu twarzy.

- No jasne - rzucił Mort, nadal siląc się na obojętność. - Musiałem, sam pan to rozumie. Kiedy okazuje się, że dwóch gości machnęło to samo opowiadanie, sprawa robi się poważna.

- Poważna - przytaknął Spluwa, nadal dostojnym, pełnym skupienia tonem.

- A jedyny sposób, żeby to załatwić - kontynuował Mort - żeby rozsądzić, kto przepisał od kogo, to dowiedzieć się, kto pierwszy rzecz napisał.

Spojrzał zimno i nieustępliwie w wyprany błękit oczu Spluwy. W pobliskim gęstym zagajniku sikora przez chwilę świergotała zarozumiale, po czym znów wrócił spokój.

- Niech pan sam powie, czyż nie mam racji? - spytał Mort.

- Chyba pan masz - przytaknął Spluwa. - Chyba dlatego przyjechał aż z Misspi.

Mort usłyszał warkot nadjeżdżającego pojazdu. Obaj się odwrócili. Scout Toma Greenleafa wjechał na szczyt najbliższego wzniesienia, ciągnąc za sobą małe tornado spadłych liści. Tom, krzepki i czerstwy tubylec z Tashmore, liczący sobie pod siedemdziesiątkę, konserwował większość domków z tej strony jeziora; te, którymi nie zajmował się Greg Carstairs. Tom podniósł rękę w pozdrowieniu. Mort pomachał mu w odpowiedzi. Spluwa wysunął rękę z miejsca, w którym spoczywała, i ruchem palca pozdrowił Toma po przyjacielsku. W jakiś tajemniczy sposób ten gest mówił o wielu latach przeżytych na wsi, o niedających się zliczyć i przypomnieć okazjach, kiedy tym właśnie przelotnym ruchem palca pozdrowiał kierowców mijanych ciężarówek i traktorów, maszyn do roztrząsania siana i zwożenia bali bawełny. Kiedy scout Toma znikł z pola widzenia. Spluwa z powrotem złożył rękę na piersi, krzyżując ramiona. Liście z szelestem znów spoczęły na drodze, a jego spokojne, nieruchome, prawie ponadczasowe spojrzenie powróciło do twarzy Morta Raineya.

- O czym to mówiliśmy? - spytał niemal łagodnie.

- Usiłowaliśmy ustalić proveniencję - powiedział Mort. - To znaczy...

- Wiem, co to znaczy - powiedział Spluwa, obdarzając Morta spojrzeniem zarówno spokojnym, jak i lekko pogardliwym. - Wiem, że nosze ubrania śmierdzące gnojem i jeżdżę autem śmierdzącym gnojem i pochodzę z długiej linii chłopaków śmierdzących gnojem i

dlatego może i jestem chłopem śmierdzącym gnojem, ale niekoniecznie głupim chłopem śmierdzącym gnojem.

- Nie - przytaknął Mort. - Niekoniecznie. Ale sprytny to jeszcze nie znaczy uczciwy. Prawdę mówiąc, sędzę, że może być zupełnie inaczej.

- Właśnie. Jakbym sam tego nie wiedział, tobym tego doszedł po panu - sucho powiedział Spluwa i Mort poczuł, że się rumieni. Nie lubił być trafiany i rzadko mu się to zdarzało, ale Spluwa ustrzelił go bez wysiłku, jakby strącał lewą ręką glinianego kogucika na strzelnicę.

Nadzieje na zapędzenie Spluwy w kozi róg zmalowały. Nie całkiem, ale znacznie. Spryt i celne oko to niekoniecznie to samo, ale podejrzewał teraz, że Spluwa dysponuje i jednym, i drugim. A na dodatek nie było sensu tego przeciągać. Nie chciał znajdować się w pobliżu tego człowieka dłużej, niż musiał. Wcześniej był przekonany, że konfrontacja jest nieuchronna, pożądał jej w jakiś dziwny sposób - być może dlatego, iż stanowiła przerwę w nieznośnie nudnej codzienności. Teraz miał jej dość. Nie był już pewien, czy John Spluwa jest szalony - w każdym razie zupełnie szalony - ale wydał się niebezpieczny. Był tak cholernie niewzruszony. Mort zdecydował się zadać najmocniejsze uderzenie i mieć to z głowy - koniec z zabawą w ciuciubabkę.

- Kiedy napisał pan swoje opowiadanie, panie Spluwa?

- Może nie nazywam się Spluwa - powiedział mężczyzna. Wyglądał na lekko rozbawionego. - Może to tylko mój pseudonim pisarski.

- Rozumiem. A jak brzmi pana autentyczne nazwisko?

- Nie powiedziałem, że się tak nie nazywam. Powiedziałem tylko „może”. Tak czy siak, to nie ma się nijak do naszej sprawy. - Przemawiał pogodnie. Wydawał się zainteresowany głównie chmurą, z wolna sunącą po wysokim czystym niebie w kierunku zachodzącego słońca.

- W porządku - powiedział Mort - ale to, kiedy pan napisał opowiadanie, jest istotne.

- Napisałem je siedem lat temu - powiedział, nadal uważnie wpatrując się w chmurę - oparła się właśnie o słońce, które ozłociło jej brzeg. - W 1982.

„Trafiony - zatopiony, pomyślał Mort. Szczwany z ciebie drań czy nie szczwany, ale wpadłeś. Bez dwóch zdań, przepisałeś opowiadanie z książki. »Każdy kabluje« było wydrukowane w roku 1983 i wykombinowałeś, że każda wcześniejsza data musi być bezpieczna. Powinieneś czytać notki z datami pierwodruków, zakuta pało”.

Oczekiwał, że się odezwie uczucie triumfu, ale nie odezwało się. Doznał tylko słabej ulgi, że świrus zaraz przestanie błaznować, odprawiony bez dalszej straty czasu. I ambarasu.

Jednak dalej nie dawała mu spokoju ciekawość, to przekleństwo piszącej klasy. Na przykład: dlaczego ta właśnie historyjka, tak całkiem obca jego własnemu stylowi, tak dalece nietypowa? Jeśli facet gotów był oskarżać go o plagiat, dlaczego wybrał niezbyt znane opowiadanie, kiedy mógł wykombinować podobny numer, wystukując maszynopis takiego bestselleru jak *Mały kataryniarz*. *Kataryniarz* to byłaby niezła afera! Plagiat, o który oskarżał go Spluwa, to był ledwie żart. „Coś mi się zdaje, że brak mu pary na przepisanie całej powieści”, pomyślał Mort.

- Dlaczego czekał pan tak długo? - spytał. - Przecież mój zbiór został wydany w 1983 roku, sześć lat temu. Blisko siedem.

- Bo nic nie wiedziałem - powiedział Spluwa. Oderwał wzrok od chmury i znów wpatrywał się w Morta z niemiłym wyrazem lekkiej pogardy na twarzy. - Na mój gust, to taki człowiek jak pan wyobraża sobie, że każdy czyta, co on napisał - i w Ameryce, i wszędzie, gdzie wydają jego książki.

- Taki głupi to już nie jestem. - Teraz z kolei Mort odezwał się suchym tonem.

- Ale to nieprawda - kontynuował Spluwa, nie zwracając uwagi na Morta. Kontynuował niepokojąco pogodnym, wiecznie tym samym tonem. - To całkiem nieprawda. W życiu nie widziałem tego opowiadania. Dopiero w połowie czerwca. Tego roku.

Mort już chciał zawołać: „A wiesz co, Jasiu-głuptasiu! W życiu nie widziałem mojej żony w łóżku z innym facetem! Dopiero w tym roku, w maju!”. Czy wytrąciłoby to Spluwę z równowagi?

Spojrzał mu w twarz i zdecydował, że nie wytrąciłoby. Te oczy koloru spranego błękitu lśniły takim blaskiem jak słońce, które w prawdziwie upalny dzień wysysa ze wzgórz tumany mgły. Teraz Spluwa wyglądał jak srogi kaznodzieja, grożący sporą łopatą siarki i ognia piekielnego swej drżącej skulonej trzódce, i po raz pierwszy Mort Rainey poczuł autentyczny, nieklamany lęk. Mimo to gniew go nie opuścił. Powróciła myśl z końca pierwszego spotkania z tym „Johnem Spluwą”: strach strachem, ale nie będzie stał spokojnie, słuchając oskarżeń o kradzież, prędzej szlag go trafi - zwłaszcza teraz, kiedy ten człowiek własnymi ustami potwierdził kłamliwość oskarżenia.

- Niech zgadnę - powiedział Mort. - Facet pańskiego pokroju jest zbyt wybredny w lekturze, żeby zawracać sobie głowę moimi wypocinami. Trzyma się pan takich gości jak Thomas Hardy albo Marcel Proust, zgadza się? Wieczorem, po udoju, lubi pan sobie zapalić autentyczną lampę naftową, stawia ją pan na kuchennym stole - który oczywiście jest zasłany milusim obrusem w biało-czerwona kratkę - i przerzuca kilka stron *Tess* albo *W poszukiwaniu straconego czasu*. Może w weekend lubi pan rozkudlić sobie łeb, dać trochę luzu i posuwa

pan z kawałkiem prozy Erskine'a Caldwell'a albo Annie Dillard. To jeden z pańskich przyjaciół powiedział, że przepisałem pańską najuczciwiej w świecie spisana opowiadanie. Czy nie tak... panie Splugawca, albo jak tam panu jest?

Jego głos nabrął ostrego brzmienia i ze zdziwieniem stwierdził, że jeszcze chwila, a wpadnie w prawdziwą furję. Ale nie z całkowitym zdziwieniem.

- Gdzie tam. Nie mam przyjaciół. - Splugawca mówił suchym tonem człowieka, który tylko stwierdza fakt. - Przyjaciół, rodziny, żony. Mam mały dom jakieś trzydzieści kilometrów na południe od Perkinsburga i faktycznie mam obrus w kratkę na kuchennym stole - jak już o tym mówimy - ale u nas jest elektryka. Zapalam lampę tylko wtedy, kiedy burza zerwie druty.

- To wygoda - powiedział Mort. Splugawca nie zareagował na ten sarkazm.

- Odziedziczyłem dom po ojcu i do tego trochę dolarów w gotówce po babce. Mam stado mlecznych krów, jakieś dwadzieścia sztuk, to też pan zgadł, a wieczorami pisuje sobie. Pan to masz pewno jeden z tych nowomodnych komputerów z monitorem, ale mnie starcza stara maszyna do pisania.

Zamilkł i przez chwilę obaj słyszeli szelest liści poruszanych wiatrem, który obudził się tego świetlistego późnego popołudnia.

- Na to, że pańskie opowiadanie jest jak moje, wpadłem całkiem sam. Widzisz pan, myślałem sprzedać farmę. Myślałem, że jakbym miał trochę więcej pieniędzy, mógłbym pisywać za dnia, kiedy mam świeżom głowę, nie tylko po zmroku. Pośrednik od nieruchomości w Perkinsburgu chciał, żebym spotkał się z jednym takim w Jackson, co to ma dużo mlecznych farm w Missipi. Nie lubię sam prowadzić dalej niż dwadzieścia, trzydzieści kilometrów za jednym zamachem - łeb mi od tego nawala, zwłaszcza jak muszę jechać przez miasta, bo tam ludzie jeżdżą, jakby całkiem rozum stracili - no i wybrałem autobus. Już byłem gotów wsiadać, a tu przypomina mi się, że nie wziąłem niczego do czytania. Nie cierpię długiej jazdy autobusem bez niczego do czytania.

Mort przyłapał się na tym, że niechęć potakuje. Też nie znosił jazdy - autobusem, pociągiem, samolotem czy samochodem - bez czegoś do czytania, czegoś trochę poważniejszego niż codzienna gazeta.

- W Perkinsburgu nie ma prawdziwego dworca autobusowego - greyhoundy przystają koło sklepu Rexalla na pięć minut i już ich nie ma. Byłem w drzwiach i wchodziłem po stopniach, kiedy widzę, że jestem z pustymi rękami. Pytam kierowcę, czy zaczeka na mnie kapkę, a ten, że prędzej go szlag trafi, że jest już spóźniony i wyjeżdża za trzy minuty, wedle

tego, co pokazuje jego cebula. Jak bede w środku - proszę bardzo, a jak nie bede, to mogę pocałować go w siedzenie przy następnym spotkaniu.

„On mówi jak PISARZ, pomyślał Mort. Niech mnie szlag trafi, jeśli nie”. Próbował odpędzić tę myśl, gdyż działała przeciw niemu - i niezbyt mu się to udało.

- No i wpadam do drugstoru. U Rexalla w Perkinsburgu majo te staromodne druciane stelaże na broszurowe wydania, te, co to sie kręco w kółko, jak w tym małym sklepie z towarami ogólnymi blisko pana.

- „U Bowiego”? Spluwa kiwnął potakująco.

- O to chodzi, jak najbardziej. W każdym razie złapałem pierw-szom książkę, jaka mi sie nawinęła pod rękę. Tylem sie jej przyjrzał, że mogła to być i broszurowa Biblia. Ale to nie była Biblia. To była książka z pańskimi opowiadaniem. Poza jednym.

„Zatrzymaj go. Grzeje się jak bojler bez zaworu bezpieczeństwa. Upuść mu lepiej pary”.

Ale odkrył, że nie chce. Może Spluwa jest pisarzem? Spełniał oba podstawowe warunki: opowiadał historię, którą chciało się poznać do końca, chociaż koniec jej był doskonale znany, i miał w sobie tyle napędu, że nie dało się go powstrzymać. Zamiast więc powiedzieć to, co powiedzieć powinien - że jeśli nawet, natężywszy do granic możliwości wyobraźnię, uwierzy Spluwie, to on, Mort, i tak wyprzedził go z tym żalonym opowiadaniem o dwa lata - rzekł:

- Więc przeczytał pan *Czas siejby* w autobusie, jadąc do Jackson, gdzie chciał pan sprzedać swoją krowią farmę?

- Nie. Przeczytałem jom za powrotnom drogom. Sprzedałem farmę i wracałem greyhoundem z czekiem na sześćdziesiąt tysięcy dolarów w kieszeni. Przeczytałem pierwsze sześć opowiadań, jakem jechał do Jackson. Nie były to jakieś wielkie cuda, ale czas szybciej mijał.

- Dziękuję.

Spluwa zmierzył go krótkim badawczym spojrzeniem.

- To nie miał być żaden komplement.

- Do głowy mi to nie przyszło.

Spluwa zastanawiał się nad tym przez chwilę. Wzruszył ramionami.

- W każdym razie przeczytałem jeszcze dwa... a potem to. Moje opowiadanie.

Spojrzał na chmurę, która była teraz rozwichrzoną, rozsyłającą złote błyski masą, a potem zwrócił znowu wzrok na Morta. Twarz miał jak zawsze beznamietną, ale Mort zrozumiał nagle, że popełnił ciężki błąd, myśląc, iż w tym człowieku jest choć cień

łagodności czy pogody. Zwiódło go żelazne opanowanie, które Spluwa narzucił na siebie jak zbroję. Gdyby nie ono, zabiłby Morta Raineya gołymi rękoma. Twarz miał beznamiętną, ale jego oczy płonęły silną, dziką wściekłością, jakiej Mort w życiu nie widział u nikogo. Pojął teraz, że wkraczając na ścieżkę prowadzącą na wzniesienie, wkroczył głupio na drogę, na której groziła mu śmierć. Oto trafił na człowieka dość szalonego, żeby popełnić morderstwo.

- Dziwie się, że nikt do tej pory nie ruszył z panem sprawy tego opowiadania - nie jest podobne do innych. Ani, ani. - Głos Spluwy był nadal spokojny, ale Mort rozpoznał w nim wysiłek człowieka, który ledwo panuje nad sobą, żeby nie uderzyć pięścią, zamachnąć się pałą, może zadusić; głos człowieka, który wie, że wznieść głos na rejestry, jakimi grzmi gniew oszukanego, to przekroczyć granicę między mówieniem a zabijaniem; głos człowieka, który wie, z jak fatalną łatwością można stać się jednoosobową tłuszcza, pchaną żądzą mordy.

Mort nagle poczuł się tak, jakby wkroczył do mrocznego pokoju, w którym poprzeciągano cienkie na włos lonty prowadzące do ładunków wybuchowych. A jeszcze przed chwilą uważał, że on tu jest górą. Śmieszne. Jego problemy - Amy, trudności z pisaniem - wydawały się teraz jak mgliste sylwetki w mglistym krajobrazie. W pewnym sensie w ogóle przestały być problemami. Teraz miał jeden problem. Utrzymać się przy życiu. Wrócić do domu. A zobaczyć słońce znikające za horyzontem - to byłby szczyt marzeń.

Otworzył usta. Zamknął. Nie miał odwagi wykrztusić słowa. Nie teraz. Pokój był pełen lontów.

- Dziwie się bardzo - powtórzył Spluwa tym ciężkim, spokojnym głosem brzmiącym teraz jak jakaś ohydna parodia spokoju.

Mort usłyszał własny głos:

- Moja żona. Nie podobało się jej. Ona powiedziała, że nie przypomina niczego, co wcześniej napisałem.

- Jakżeś pan to zrobił? - spytał powoli i z naciskiem Spluwa. - To mnie naprawdę obchodzi. Jak, do diabła, taki nadziany forsom, dupny gryziórek jak pan zahaczył o głównianom mieścinę w Missisipi i skradł moje cholerne opowiadanie? Jeśliś pan nie ukradł i innych opowiadań. To też chciałbym wiedzieć. Ale na razie powiedz mi pan, jakżeś to pan zrobił.

Koszmarne nieuczciwość tych słów obudziła gniew Morta z siłą, z jaką wraca niezaspokojone pragnienie. Przez moment zapomniał, że jest tu sam na Lake Drive, sam na sam z wariatem z Missisipi.

- Daj spokój - powiedział ochryple.

- Daj spokój? - powtórzył pytająco Spluwa, patrząc na Morta z jakimś nieporadnym zdziwieniem. - Daj spokój? A co niby ma znaczyć to daj spokój?

- Mówiłeś, że napisałeś swoje opowiadanie w roku 1982 - powiedział Mort. - Jeśli się nie mylę, ja napisałem swoje w 1979. Nie pamiętam dokładnie daty, ale wiem na pewno, że po raz pierwszy zostało wydane w czerwcu 1980. W czasopiśmie. Mam nad tobą dwa lata przewagi, panie Spluwa, czy jak ci tam. Jeśli ktoś może tu narzekać na plagiat, to ja.

Mort nie widział dokładnie, kiedy tamten wykonał ruch. W jednej chwili stali przy samochodzie Spluwy, patrzyli na siebie, w następnej został przyparty do drzwi. Ręce Spluwy znalazły się na jego przedramionach, a twarz przy jego twarzy, czoło niemal dotykało czoła. Nie miał pojęcia, kiedy i jakim cudem został najpierw złapany, a potem obrócony.

- Kłamiesz - powiedział Spluwa. Z ust bił mu lekki zapach cynamonu.

- Niech mnie szlag trafi, jak kłamię - syknął Mort i napał całym sobą na dociskającego go mężczyznę.

Spluwa był silny, prawie na pewno silniejszy od Morta Raineya, ale Mort był młodszy, cięższy i miał za sobą stare niebieskie kombi, od którego mógł się odepchnąć. Udało mu się rozerwać uścisk Spluwy. Mężczyzna zatoczył się kilka kroków w tył.

„Teraz się na mnie rzuci”, pomyślał Mort. Chociaż nie bił się od czasu, kiedy na boisku szkolnym w czwartej klasie wchodził w zwarcia typu spróbuj-mnie-pchnąć-to-dopiero-cię-pchnę, ku własnemu zdumieniu umysł miał trzeźwy i spokojny. „Wyjaśnimy sobie pięściami sprawę tego kretyńskiego, pieprzonego opowiadania. I dobrze; i tak nie zajmowałem się niczym innym cały dzień”.

Ale nie doszło do tego. Spluwa podniósł ręce, spojrzał na nie, zobaczył, że są zaciśnięte w pięści... i z wysiłkiem rozprostował palce. Mort widział, ile trudu kosztuje go opanowanie się, i poczuł coś jakby podziw. Spluwa otarł otwartą dłońią usta; bardzo powoli i bardzo świadomie.

- Udowodnij - rzekł.

- W porządku. Chodź ze mną do domu. Pokażę ci notkę w książce na stronie z copyrightem.

- Nie - powiedział Spluwa. - Nie obchodzi mnie książka. Gwiżdże na książkę. Pokaż opowiadanie. Pokaż mi czasopismo z opowiadaniem, żebym sobie mógł przeczytać.

- Nie mam tu czasopisma.

Chciał jeszcze coś dodać, ale Spluwa podniósł twarz do nieba i parsknął krótkim śmiechem. Był to odgłos tak suchy jak uderzenie siekiery odłupującej trzaski na podpałkę.

- Nie masz - wymamrotał. Furia nadal gorzała mu w oczach roztańczonymi płomykami, ale wyglądało na to, że odzyskał panowanie nad sobą. - Pewnie, że nie masz.

- Słuchaj - powiedział Mort. - Zwykle przyjeżdżamy tu z żoną tylko na lato. Mam tu egzemplarze swoich książek i niektóre wydania zagraniczne, ale publikowałem też sporo w czasopiśmie - artykuły, eseje i opowiadania. Te czasopisma są w naszym domu, w którym mieszkamy na stałe. W Derry.

- To czemu tam nie siedzisz? - zapytał Spluwa. W jego oczach Mort widział zarówno niewiarę, jak i drażniącą satysfakcję. Spluwa wyraźnie spodziewał się po nim, że będzie próbował się wywinąć i oto jego oczekiwaniom stało się zadość. Tak przynajmniej sądził.

- Jestem tu, ponieważ... - Przerwał. - Skąd wiedziałeś, że tu będę?

- Wystarczyło mi popatrzeć na okładkę tej książki, com jom kupił - powiedział Spluwa i Mort mało nie palnął się w czoło, sfrustrowany.

Nagle zrozumiał. Oczywiście - jego zdjęcie na *Każdy kabluje* widniało zarówno na wydaniu w twardej okładce, jak i na broszurze. Amy sama je zrobiła. Było znakomite. Stał na pierwszym planie, dom trochę dalej, a jezioro Tashmore w tle. Zwyczajny podpis: „Morton Rainey przed swoim domem w zachodnim Maine”. Więc Spluwa przyjechał do zachodniego Maine i prawdopodobnie nie musiał wcale odwiedzić zbyt wiele barów i drugstorów w niewielkich miasteczkach, żeby trafić na kogoś, kto wykrzyknął: „Morton Rainey? A juści! Ma chałupę w Tashmore. Toć to mój bliski przyjaciel!”.

Cóż, to wyjaśniało przynajmniej jedną sprawę.

- Siedzę tu, bo jestem po rozwodzie z żoną - powiedział. - Właśnie się zakończył. Ona została w Derry. Gdyby nie ta sprawa, ten dom stałby pusty.

- Achmm - zamruczał Spluwa, co znów doprowadziło Morta do białej gorączki. „Kłamiesz, mówiło to mruknięcie, ale w tym wypadku nie ma to znaczenia. Bo spodziewałem się tego. W gruncie rzeczy, z czego żyjesz, jak nie z kłamstw, co?” - Ano cóż, znalazłbym cie, jak nie tu, to tam.

Zmierzył Morta kamiennym wzrokiem.

- Znalazłbym cię, nawet gdybyś przeniósł się do Brazylii.

- Wierzę - powiedział Mort. - Niemniej jednak jesteś w błędzie. Albo wpuszczasz mnie w maliny. Zrobię ci tę uprzejmość i uwierzę, że to tylko błąd, bo wydajesz mi się dość szczerzy...

Boże, i to jak.

- ...ale wydałem to opowiadanie dwa lata wcześniej, niż ty niby napisałeś swoje.



W oczach Spluwy znów pojawił się szaleńczy błysk. Po chwili przygasł. Nie na dobre, ale został poskromiony, jak poskramia się złego psa.

- Mówisz, że masz to czasopismo w domu?

- Tak.

- I że w tym czasopiśmie jest twoje opowiadanie.

- Tak.

- I wydano to czasopismo w czerwcu 1980.

- Tak.

Początkowo ta monotonna litania niecierpliwiła Morta (każde pytanie poprzedzała brzemienna w namysł pauza), ale potem obudziła promyk nadziei, Wyglądało na to, że tamten usiłuje pogodzić się z prawdą... Prawdą słów Morta, którą w jakiejś części ten „John Spluwa” musiał znać, ponieważ niemal idealne podobieństwo obydwu opowiadań nie było przypadkiem. Nadal wierzył święcie w to, że Spluwa popełnił plagiat. Popełnił plagiat, a później o tym zapomniał. Był przecież szalony. Bez wątpienia.

Mort nie czuł się już tak przerażony jak wtedy, gdy zobaczył po raz pierwszy w oczach Spluwy nienawiść i furię, gorejące jak stodoła, której nie da się już ugasić. Odepchnąwszy go, Mort pomyślał, że chyba da sobie z nim radę... a może nawet obali na ziemię.

Jednakże wolał, żeby nie doszło do bójki. To niepojęte, ale zaczęło się w nim rodzić współczucie dla Spluwy.

Tymczasem ów dżentelmen uparcie nie zbaczał z obranego kursu:

- Tamten drugi dom - ten co go ma teraz twoja - też jest w Maine?

- Tak.

- Jest tam?

- Tak.

Tym razem nastąpiła dużo dłuższa pauza. W jakiś przedziwny sposób Spluwa kojarzył się Mortowi z komputerem przerabiającym dużą liczbę danych. W końcu powiedział:

- Daje ci trzy dni.

- To bardzo szlachetne z twojej strony.

Górna warga Spluwy podskoczyła w górę, odsłaniając zęby tak równe, że musiały to być przysyłane pocztą na zamówienie sztuczne szczęki.

- Nie lekceważ mnie, synu - powiedział. - Staram się jak mogę utrzymać nerwy na wodzy i całkiem dobrze mi to wychodzi, ale...

- Ty! - krzyknął na niego Mort. - A co ze mną? To niewiarygodne! Zjawiasz się tu ni stąd, ni zowąd z najcięższym oskarżeniem, jakie można wytoczyć pisarzowi, i kiedy przedstawiam ci dowód na to, że albo się mylisz, albo kłamiesz jak najęty, ty zaczynasz głaskać się po głowie za trzymanie nerwów na wodzy! Niewiarygodne!

Powieki Spluwy opadły. Twarz nabrała przebiegłego wyrazu.

- Dowód? - zapytał. - Żadnego dowodu nie widzę. Słyszę gadanie, ale gadanie to żaden dowód.

- Powiedziałem ci! - wykrzyczał Mort. Czuł się bezsilny, jakby usiłował złapać piórko dmuchawca. - Wy tłumaczyłem wszystko!

Spluwa spojrział przeciągle na Morta. Obrócił się i sięgnął przez otwarte okno do samochodu.

- Co robisz? - spytał Mort ze ściśniętym gardłem. Teraz poczuł, jak adrenalina burzy mu krew, przygotowując do walki albo ucieczki... prawdopodobnie do tego drugiego, jeśli Spluwa sięgał po wielki rewolwer, który Mort ujrzał nagle okiem wyobraźni.

- Chce tylko służa - powiedział Spluwa. - Nie sikaj w gacie. Kiedy cofnął rękę, trzymał w niej czerwoną paczkę pall maili. Leżały na desce rozdzielczej.

- Chcesz?

- Mam własne - stwierdził dość sztywno Mort i wyjął starożytną paczkę L&M z kieszeni spod flanelowej czerwonej koszuli.

Zapalili, każdy swojego.

- Jak dalej będziemy tak gadać, to skończy się na bójce - powiedział wreszcie Spluwa. - Nie uśmiecha mi się to.

- Jezu, mnie też nie!

- Po części chcesz tego - zaprzeczył Spluwa. Wpatrywał się w Morta spod półprzymkniętych powiek. Wyraz chłopskiej przebiegłości nie zniknął mu z twarzy. - Po części chcesz właśnie tego. Ale nie wygląda mi, żebym to ja albo ta moja opowieść tak pchały cie do bitki. Coś innego cie gryzie i to całkiem zdrowo i przez tamto - to robi się takie trudne. Po części chcesz się pracować, ale nie rozumiesz, że jak zaczniemy się pracować, to nie spoczniemy, aż któryś z nas padnie trupem.

Mort usiłował dopatrzeć się jakichś oznak, że Spluwa przesadza dla efektu, i nie znalazł nic. Nagle poczuł zimno pełną po kręgosłupie.

- Więc daję ci trzy dni. Dzwonisz do swojej byłej i każesz jej podesłać to czasopismo z opowiadaniem. Jeśli coś takiego istnieje. A potem wrócę. Jasne, że takie czasopismo nie

istnieje. Obaj o tym wiemy. Ale wyglądasz mi na kogoś, kto musi pogłównkować. Długo i konkretnie.

Przyjrzał się Mortowi z niepokojącym wyrazem chmurnej litości na twarzy.

- Nie wierzyłeś, żeby ktoś mógł ci przyłapać, no nie? - spytał. - Do głowy ci to nie przyszło.

- Jak pokażę ci czasopismo, dasz mi spokój? - spytał Mort. Mówił bardziej do siebie niż do Spluwy. - Tak naprawdę to chyba ważne jest dla mnie jedno: czy w ogóle warto się męczyć z udowadnianiem ci prawdy.

Spluwa nagle otworzył drzwi wozu i usiadł za kierownicą. Szybkość, z jaką to zrobił, wydała się Mortowi trochę niesamowita.

- Trzy dni. Przez ten czas rób, co chcesz, panie Rainey. Zapalił silnik. Zaskoczył z cichym pochrapywaniem zaworów, którym przydałaby się regulacja, a woń spalin z rury wydechowej zanieczyściła powietrze późnego popołudnia.

- Prawda i uczciwość jeden płot budują. Pierwsza rzecz to było otworzyć ci oczy. Nie wyslizgasz się z tego bałaganu, jak chyba wyslizgiwałeś się z tych wszystkich bałaganów, które robiłeś wokół siebie całe życie. To rzecz pierwsza.

Bez wyrazu spoglądał na Morta przez opuszczoną szybę.

- Prawdziwy powód, dla którego tu zjechałem, to druga rzecz.

- Co to ma być? - Mort usłyszał własny, pytający głos. Uparte poczucie winy - jakby naprawdę dopuścił się czynu, o który oskarżał go ten wiejski szaleniec - powróciło. Było to dziwne i piekielnie denerwujące.

- Pomówimy o tym - powiedział Spluwa i ruszył swoim podstarzałym kombi. - Teraz podumaj nad tym, co to prawda i co to uczciwość.

- Jesteś szurnięty! - krzyknął Mort, ale Spluwa toczył się już tam, gdzie Lake Drive łączyła się z drogą numer 23.

Patrzył za kombi, dopóki nie zniknęło. Z wolna wracał do domu. Im był bliżej, tym większą pustkę czuł w głowie. Wściekłość i strach znikły. Czuł tylko zimno, zmęczenie i tęsknotę za małżeństwem, które się rozpadło, a którego - jak zaczęło mu się wydawać - nigdy nie było.

## 11

Telefon rozdzwonił się, kiedy Mort znajdował się w połowie ostrego podjazdu wiodącego od Lake Drive do domu. Mort rzucił się do biegu. Wiedział, że nie zdąży, ale biegł dalej, klnąc siebie za idiotyczne zachowanie. I mówić tu o psach Pawłowa!

Otworzył siatkowe drzwi i walczył z gałką drzwi wewnętrznych, gdy telefon umilkł. Wszedł do środka, zamknął drzwi za sobą, spojrział na aparat stojący na małym antycznym stolyczku, który Amy wypatrzyła na pchlim targu w Mechanic Falls. Równocześnie z łatwością wyobraził sobie, że aparat odwzajemnia mu się spojrzeniem. Zarozumiałym i pełnym zniecierpliwienia. „Pretensje nie do mnie, szefie - ja tylko przekazuję wiadomości, nie jestem ich autorem”. Powinien kupić sobie sekretarkę automatyczną... a może nie. Na dobrą sprawę trudno byłoby mu zaliczyć telefon do swoich ulubionych gadżetów. A jeśli ludzie bardzo chcą się skomunikować, dzwonią do skutku.

Zrobił sobie kanapkę i talerz zupy, po czym doszedł do wniosku, że nie jest głodny. Czuł się samotny, nieszczęśliwy i poniekąd zarażony wariactwem Johna Spluwy. Nie był bardzo zaskoczony, że suma tych wszystkich uczuć dała jedno: senność. Zaczął rzucać tęskne spojrzenia na kanapę.

„Dobra, szepnął wewnętrzny głos. Nawiewać możesz - ale skryć się, nie skryjesz. Ten syf będzie na ciebie czekał, kiedy się zbudzisz”.

„Szczerą prawdą, pomyślał, ale na ten czas to wszystko zniknie. Chwalić Boga zniknie”. Rozwiązaniom na krótką metę można spokojnie przyznać jedno: że są lepsze niż żadne. Zdecydował, że zadzwoni do domu (w dalszym ciągu nazywał rezydencję w Derry „domem” i jak podejrzewał, nie zanosilo się, żeby to szybko miało ulec zmianie), poprosi Amy, aby przesłała ekspresem egzemplarz EQMM z *Czasem siejby*. Dopiero wtedy pozwoli sobie na kilkugodzinne spanko. Wstanie o jakiejś siódmej, odświeżony pomaszeruje do gabinetu i napisze trochę więcej gówna.

„A jakże, przy takiej postawie stać cię tylko na gówno”, udzielił mu nagany głos wewnętrzny.

- Odpierdol się - powiedział mu Mort. Jedną z niewielu korzyści mieszkania w pojedynkę była możliwość głośnej konwersacji z samym sobą. Nikt nie miał okazji dochodzić, czy jesteś przy zdrowych zmysłach, czy nie.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer w Derry. Słuchał znajomych metalicznych trzasków połączeń międzymiastowych, a potem najbardziej irytującego dźwięku w całej telekomunikacji: DAG-DAG-DAG. Zajęte. Amy gadała z kimś przez telefon, a jak Amy rozpuściła język, rozmowa mogła trwać godzinami. Dniami.

- Ożeż kurwa, cudownie! - wrzasnął Mort i cisnął słuchawkę na widełki tak mocno, że aparat dźwięknął głośno.

I co teraz, mały człowieczku?

Mógł zadzwonić do Isabelle Fortin, mieszkającej naprzeciwko Amy, ale to za wielkie zawracanie głowy, by nie rzec: dupy. Isabelle była tak zaangażowana w jego rozstanie z Amy, że mało brakowało, a kręciłaby domowe filmy wideo. Poza tym minęła już piąta po południu, więc bez względu na porę wysłania czasopismo ruszy kanałami pocztowymi między Derry a Tashmore dopiero jutro rano.

Zadzwoń do Amy wieczorem, i dopiero jeśli numer znów będzie zajęty, przekaże wiadomość Isabelle. W tej chwili syrenia pieśń kanapy była zbyt kusząca.

Mort wyrwał z gniazdka wtyczkę - ktoś, kto zechce się z nim skomunikować, będzie musiał jeszcze poczekać; przepraszam-i-dziękuję - i udał się do bawialni.

Złożył poduszki jak zwykle. Jedną pod głowę, drugą pod kark. Spojrzał na jezioro, gdzie słońce dochodziło kresu długiego, złotego, imponującego traktu. „Nigdy w życiu nie czułem się tak samotny i tak koszmarnie nieszczęśliwy”, skonstatował nie bez zdziwienia. Potem powieki opadły mu z wolna na lekko nabiegłe krwią oczy i Mort Rainey, który dopiero miał odkryć, co naprawdę znaczy „koszmarnie”, zapadł w sen.

## 12

Śnił, że jest w klasie.

Znał ją, choć nie wiedział skąd. Oprócz niego w klasie był John Spluwa. Zgięta w literę „V” ręką przyciskał do piersi torebkę ze sklepu spożywczego. Wyjął z torebki pomarańczę i zamyślony podrzucał na dłoni. Patrzył w kierunku Morta, ale nie na Morta. Wzrok utkwił ponad jego ramieniem. Mort obejrzał się i zobaczył ścianę z lekkich pustaków, tablicę szkolną i drzwi z wprawionym u góry kawałkiem mlecznej szyby. Po chwili, czytając od prawej do lewej, odcyfrował napis z drugiej strony szklanej tafli.

WITAJCIE W TWARDEJ SZKOLE ŻYCIA

To, co było na tablicy, było łatwiejsze do odczytania.

Opowiadanie Mortona Raineya CZAS SIEJBY

Nagle coś przeleciało z gwizdnięciem nad ramieniem Morta, obok głowy. Pomarańcza. Uchylił się. Uderzyła o tablicę, pękła z trzaskiem, jaki wydaje zgniły owoc. Trysnęła krew, zalała napis.

Mort obrócił się do Spluwy. „Przestań!” zawołał drżącym, płaczącym głosem.

Spluwa znów sięgnął do torby. „Co jest z tobom?” - spytał swoim spokojnym, rzeczowym tonem. „Nie widziałeś czerwonych pomarańcz? Co z ciebie za pisarz?”.

Rzucił następną. Szkarłat posoki zalał nazwisko Morta i powoli ściekał po murze.

„Wystarczy!” wrzasnął Mort, ale Spluwa niewzruszenie, powoli sięgnął do torby. Długie poblížnione palce wpiły się w owoc. Krew spływała po skórcie okrągłymi kropelkami, jakie powstają od ukłucia kolcami jeżyn.

„Wystarczy! Wystarczy! Proszę! Wystarczy! Przyznaję się do wszystkiego, wszystkiego, tylko przestań! Wszystko, co chcesz, tylko przestań! Tylko...”.

### 13

- ...przestań, tylko przestań... Spadał.

W ostatniej chwili złapał się brzegu kanapy, oszczędzając sobie krótkiej i prawdopodobnie bolesnej podróży na podłogę bawialni. Przewrócił się na plecy i leżał przez chwilę, wbijając palce w poduszki kanapy, drżący, usiłując zlepić porwaną materię snu.

Klasa, czerwone pomarańcze, twarda szkoła życia... Nawet to się rwało, a reszta już się rozpierzchnęła. Choć było realne. O wiele za realne.

W końcu otworzył oczy, ale widział żałośnie mało; słońce już dawno musiało zajść. Zdrętwiał koszmarnie, zwłaszcza dokuczał mu kark. Musiał zasnąć na cztery, może pięć godzin. Ostrożnie poszukał kontaktu. Tym razem udało mu się wyminąć ośmiokątny stoliczek do kawy ze szklanym blatem (podejrzewał, że stoliczek na wpeł żyje i po zmroku ma skłonność do lekkiego przemieszczania się, aby skuteczniej zawadzać o jego golenie). Poszedł do frontowego holu, żeby jeszcze raz połączyć się z Amy. Po drodze sprawdził czas. Było kwadrans po dziesiątej. Przespał pięć godzin... i to nie po raz pierwszy. I nawet nie groziło mu, że zapłaci za to całonocnym wierceniem się i przewracaniem w łóżku. Wiedział z doświadczenia, że zaśnie, kiedy tylko głową dotknie poduszki.

Podniósł słuchawkę. Przeżył moment oszołomienia, usłyszawszy głuchą ciszę. A, prawda. Wyrwał kły cholierstwu. Wziął przewód do ręki, sunął dłonią w górę, aż dotarł do wtyczki, obrócił się, żeby ją wsadzić... i zastygł. Z miejsca, w którym się znalazł, widział małe okienko po lewej stronie drzwi. Miał przez nie widok na tylną werandę, gdzie tajemniczy i niesympatyczny pan Spluwa zostawił wczoraj przyciśnięty kamieniem maszynopis. Widział także skrzynię, w której mieściły się pojemniki na śmieci. Coś na niej było - faktycznie to dwa cosie. Białe coś i czarne coś. Czarne coś wyglądało wrednie, przez jedną sekundę wystraszony Mort widział zaczajonego gigantycznego pająka.

Puścił sznur od telefonu i szybko włączył światło na werandzie. Przez następny moment - nie wiedział, jak długi, nie chciał wiedzieć - nie był zdolny wykonać ruchu.

Białe coś to była kartka papieru - najzwyczajniejsza w świecie kartka papieru maszynowego o wymiarach dwadzieścia jeden na dwadzieścia osiem centymetrów. Choć skrzynia znajdowała się dobre cztery i pół metra od miejsca, gdzie stał Mort, słowa na niej

pociągnięto dużą krechą i odczytał je z łatwością. Spluwa musiał użyć albo bardzo miękkiego ołówka, albo kawałka węgla. Napis głosił: PAMIĘTAJ, MASZ TRZY DNI. JA NIE ŻARTUJĘ.

Czarne coś to był Łazęga. Wyglądało na to, że Spluwa złamał kom kark, a potem przybił go śrubokrętem do pokrywy skrzyni. Śrubokrętem, który Mort trzymał w szopie z narzędziami.

## 14

Nie wiedział, kiedy uwolnił się z paraliżu. W jednej chwili stał zamarty w holu przy telefonie, patrząc na dobrego starego Łazęgę, któremu śrubokręt jakby wyrósł na podgardlu, tam gdzie miał białą krawatę. Amy nazywała to „śliniaczkiem”. W następnej chwili Mort znalazł się na środku werandy; lodowaty wiatr kasał go przez cienką koszulę, a on usiłował spojrzeć w sześciu kierunkach równocześnie. Zmusił się do spokoju. Spluwa musiał odjechać. Dlatego zostawił list. Spluwa nie wyglądał też na takiego wariata, który cieszyłby się widokiem przerażonego i zdrętwiałego z grozy Morta. Był wariatem, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale zupełnie innego rodzaju. Po prostu posłużył się Łazęgą, posłużył się nim, jak jakiś farmer posługuje się łomem do wydobycia z ziemi szczególnie upartego kamienia gdzieś na odległym skraju swojego poletka. Nie było w tym nic osobistego; jedynie kawałek roboty do odwalenia.

Pomyślał o tym, jak po południu wyglądały oczy Spluwy, i ciarki go przeszły. Nie, to było osobiste. Tak osobiste, jak to tylko możliwe.

- On wierzy, że ja to zrobiłem - szepnął Mort w zimną noc, zalegającą zachodnie Maine. Słowa wypadały mu z ust nierównymi kawałeczkami, poszarpane szczękającymi zębami. - Ten zwariowany skurwysyn naprawdę wierzy, że to ja.

Zbliżył się do skrzyni z pojemnikami na śmieci i żołądek mu się skręcił, fiknął kozła jak pies robiący sztuczkę. Zimny pot wystąpił Mortowi na czoło i nie był pewien, czy zdoła zająć się tym, czym zająć się powinien. Głowa Łazęgi była przekrzywiona w lewo, co nadawało mu groteskowy wyraz. Jakby chciał o coś zapytać. Zęby - małe, zgrabne i ostre jak igielki - były obnażone. Trochę krwi wylało się na ostrze śrubokręta w miejscu, gdzie wchodziło w jego („śliniaczek”) krawatę, ale niezbyt dużo. Łazęga był kotem przyjaźnie nastawionym do świata i ludzi. Kiedy Spluwa podszedł do niego, na pewno nie uciekał. „A Spluwa musiał do niego podejść”, pomyślał Mort i otarł zimny pot z czoła. Złapał kota za kark jak patyczek lizaka, a potem przybił do pochylego daszku skrzyni na śmieci. Zrobił to wszystko, gdy Mort Rainey spał, jeśli nie snem sprawiedliwego, to nieostrożnego.

Mort zmiął kartkę, wsadził do tylnej kieszeni spodni i dotknął Łazęgi. Ciało, nie sztywne i jeszcze nawet nie ostygłe, zakołysało się pod ręką. Żołądek Morta znów się zwinął i fiknął kozła, ale Mort nakazał drugiej ręce zacisnąć się na żółtej plastikowej ręczce śrubokręta i wyrwać go z deski.

Odrzucił narzędzie na podłogę werandy. Trzymał biednego Łazęgę w prawej ręce jak zmiętą szmatę. Teraz żołądek zsuwał się jak po równi pochyłej, fikając koziołka za koziołkiem, za koziołkiem, za koziołkiem. Mort podniósł jedną z dwóch pokryw skrzyni i wsunął haczyk w oczko. Zabezpieczało to tego, kto wkładał śmieci, by ciężka pokrywa nie spadła mu na głowę czy ramiona. W środku stały trzy pojemniki. Podniósł pokrywę środkowego i delikatnie złożył tam ciało Łazęgi. Wyglądało jak etola. Spoczywało malowniczo na oliwkowej plastikowej torbie.

Nagle ogarnęła go wściekłość na Spluwę. Gdyby pojawił się teraz na podjeździe, Mort zaatakowałby go bez wahania - cisnął na ziemię i zadusił.

„Spokojnie - to naprawdę jest zaraźliwe”.

Może i jest. Ale nie dbał o to. Rzecz nie w tym, że Spluwa zabił jego jedynego towarzysza w samotnym domu nad jeziorem; rzecz w tym, że dopuścił się tego, gdy Mort spał, i zrobił to w taki sposób, że dobry stary Łazęga budził obrzydzenie. Trzeba było wiele wysiłku, żeby się na niego nie wyrzygać.

Ale rzecz główna to to, że musiał złożyć swojego starego kota w pojemniku na śmieci jak bezwartościowy łachman.

„Pochowam go jutro. Niedaleko, na tym kawałku piachu na lewo od domu. Z widokiem na jezioro”.

Tak, ale dziś w nocy Łazęga będzie spoczywał w tym niegodnym stanie na plastikowej torbie ze śmieciami, ponieważ pewien człowiek - pewien zwariowany skurwysyn - mógł tu gdzieś tkwić. Człowiek mający pretensję do opowiadania, które Mortowi Raineyowi wywietrzało z pamięci pięć lat temu. A że człowiek ten był szalony, Mort bał się zakopać Łazęgę dziś w nocy. Bez względu na to, co stało w liście, Spluwa mógł pałętać się w pobliżu.

„Chcę go zabić. I jak ten zwariowany drań doprowadzi mnie do większej pasji, to jeszcze tego spróbuję”.

Wszedł do środka, zatrzasnął drzwi i zamknął na klucz. Potem uważnie sprawdził cały dom, zamknął wszystkie drzwi i okna. Kiedy miał to za sobą, wrócił do okna przy drzwiach na werandę i wpatrywał się zamyślony w ciemność. Widział śrubokręt leżący na deskach podłogi i czarną okrągłą dziurę, którą Spluwa zrobił w prawej pokrywie skrzyni na śmieci.

Nagle przypomniało mu się, że zamierzał zadzwonić do Amy.



Wcisnął wtyczkę w ścianę. Szybko wybrał numer, palce wystukiwały znaną kombinację cyfr, której suma znaczyła „dom”. Zastanawiał się, czy powiedzieć Amy o Łazędzie.

Po wstępnych metalicznych trzaskach nastąpiła nienaturalnie długa pauza. Już chciał odłożyć słuchawkę, kiedy ostatecznie rozległ się trzask - głośny, niemal jak wystrzał - a potem głos z taśmy poinformował go, że numer jest wyłączony z obsługi.

- Pięknie - zamruczał Mort. - Co takiego, do diabła, narozrabiałaś, Amy? Używałaś tak telefonu, że zużyłaś go do szczętu?

Nacisnął widełki. Może zadzwonić jednak do Isabelle Fortrin? Kiedy szperał w pamięci, poszukując jej numeru, słuchawka zadzwoniła mu w rękę.

Musiał być jednym kłębkim nerwów, z czego zdał sobie dopiero teraz sprawę, bo wydał ochrypliwy pisk, cofnął się, upuścił słuchawkę na podłogę i prawie równocześnie zahaczył o cholerną ławeczkę, którą Amy zakupiła i postawiła przy stoliku z telefonem i z której absolutnie nikt, w tym sama Amy, nigdy nie korzystał.

Zamachał ręką, złapał się półki z książkami i udało mu się nie upaść. Chwycił za słuchawkę i powiedział:

- Halo? To ty, Spluwa? - W tej chwili, kiedy cały świat zdawał się powoli, ale nieuchronnie wywracać do góry nogami, nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby to być ktokolwiek inny.

- Mort?! - To była Amy. Prawie krzyczała. Zapoznał się bardzo dobrze z tym natężeniem głosu w ciągu ostatnich dwóch lat małżeństwa. Oznaczał bezradność albo wściekłość. Teraz prawdopodobnie to ostatnie. - Mort, to ty? To ty, na litość boską? Mort? Mo...

- Tak, to ja - powiedział. Nagle opuściły go siły.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś? Staralam się dorwać cię przez ostatnie trzy godziny!

- Spałem.

- Wyjąłeś wtyczkę. - Mówiła zmęczonym, ale oskarżycielskim głosem kogoś, kto już wcześniej zaliczył tę trasę. - No, już nie mogłeś wybrać sobie na to lepszej pory, mistrzu.

- Próbowałem zadzwonić koło piątej...

- Byłam u Teda.

- No, ktoś tam był. Może...

- Co to ma znaczyć, że ktoś tam był? - spytała, przerywając błyskawicznie. - Kto miałby tam być?

- A skąd, u diabła, mam wiedzieć, Amy? To ty siedzisz w Derry, pamiętasz? Ty być w Derry, ja być w Tashmore. Wiem tylko tyle, że kiedy dzwoniłem, linia była zajęta. Jeśli ty byłaś u Teda, to zakładam, że Isabelle...

- Wciąż jestem u Teda. - Teraz mówiła głosem dziwnie pozbawionym wyrazu. - I zdaje mi się, że będę u niego spory kawałek czasu, czy mi się to podoba, czy nie. Ktoś spalił nasz dom, Mort. Ktoś spalił nasz dom do fundamentów.

I Amy nagle wybuchnęła płaczem.

## 15

Był tak opętany Spluwą, że kiedy stał bez czucia, niemy, w jedynym domu, jaki pozostał Rainey om, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, natychmiast uznał, iż to Spluwa spalił tamten dom. Motyw? Ależ służę, panie posterunkowy. Spalił dom, odrestaurowaną rezydencję w stylu wiktoriańskim, wartą osiemset tysięcy dolarów, żeby pozbyć się pewnego czasopisma. Dokładnie: „Ellery Queen’s Mystery Magazine”, wydanie z czerwca 1980 roku.

Ale czy to możliwe? Z pewnością nie. Odległość między Derry a Tashmore wynosiła ponad sto sześćdziesiąt kilometrów, a ciało Łazęgi wciąż było ciepłe i nie zeszywniało, krew na ostrzu śrubokręta lepka, nawet niezaschnięta. „Jeśli się pospieszył...

Przestanieś wreszcie czy nie? Niedługo będziesz winić Spluwę za swój rozwód i gotów jesteś pomyśleć, że przesypiasz po szesnaście godzin dziennie, bo Spluwa dosypuje ci środka nasennego do owsianki. A co potem? Może zaczniesz pisywać listy do gazet, głosząc, że kokainowym królem Ameryki jest dżentelmen z Wroniej Dupki w stanie Missisipi. Nazywa się John Spluwa. Zabił Jimmy’ego Hoffę i tak się składa, że to on jest przesławnym drugim strzelcem, który walił do Kennedy’ego z za „trawiastej górki” w listopadzie 1963. Ten człowiek jest szalony, jak najbardziej... ale czy naprawdę myślisz, że przejechał sto sześćdziesiąt kilometrów na północ i zniszczył twój cholerny dom, żeby pozbyć się czasopisma? Zwłaszcza kiedy egzemplarze tego czasopisma muszą nadal walać się po całej Ameryce? Bądź poważny.

Lecz jednak... gdyby się pospieszył...”.

Nie. To śmieszne. Ale nagle Mort doznał olśnienia. Nie będzie mógł pokazać temu człowiekowi jego cholernego dowodu, czyż nie tak? Chyba że...

Gabinet znajdował się z tyłu domu. Przerobili strych dawnej powozowni.

- Amy.

- Jakie to potworne! - Ikała. - Byłam u Teda i Isabelle zadzwoniła... powiedziała, że zjechało co najmniej piętnaście wozów strażackich... woda lała się z węzów... hołota... tłumy

gapiów... wiesz, jak nie cierpię, kiedy ludzie złażą się i gapią na dom, nawet kiedy się nie pali...

Musiał zagryźć mocno policzki, żeby powstrzymać się od szaleńczego wybuchu śmiechu. Nie mógł sobie na to pozwolić, śmiech w tej sytuacji byłby szczytem okrucieństwa. Istotnie, wiedział, jak ona tego nie cierpi. Sukces w obranym fachu, wieńczący lata upartych starań, był dla niego wielkim spełnieniem; bywało, że czuł się jak ktoś, kto pokonawszy najężoną niebezpieczeństwami dżunglę, która pochłonęła większość wędrowców, zdobył bajeczny skarb. Amy cieszyła się jego sukcesem, przynajmniej z początku, ale miał dla niej i gorzki posmak. Przestała być nie tylko osobą prywatną, ale w ogóle kimś niezależnym.

- Tak - powiedział najłagodniej, jak umiał. Nadal gryzł policzki, żeby nie parsknąć. Śmieszyło go jej niezbyt fortunne sformułowanie, ale wiedział, że nie zrozumiałaby jego reakcji. Jakże często podczas lat wspólnego pożycia opacznie tłumaczyła sobie jego śmiech. - Tak, wiem, skarbie. Opowiedz mi, co się stało.

- Ktoś spalił nasz dom! - zawołała przez łyżę. - Oto co się stało!

- Czy wszystko przepadło?

- Tak. Tyle przynajmniej wiem od szefa strażaków. - Słyszał, jak przełyka ślinę, starając się zapanować nad sobą, ale znów wybuchnęła gwałtownym łkaniem. - Spalił się do do m-fufun-damentów!

- Nawet mój gabinet?

- Tam się-się to za-zaczęło - pociągnęła nosem. - Przynajmniej tak myśli szef straży ogniowej. I to pasuje do tego, co widziała Patty.

- Patty Champion?

Dom Championów stał po prawej stronie rezydencji Raineyów. Posesje rozdzielał pas zdziczałych cisów.

- Tak. Zaczekaj sekundę, Mort.

Usłyszał potężne trąbnięcie. Siąkała nosem. Kiedy powróciła do telefonu, robiła wrażenie bardziej opanowanej.

- Patty wyszła z psem, tak powiedziała strażakom. To było trochę po zmroku. Minęła nasz dom i zobaczyła samochód pod portykiem. Potem usłyszała ze środka łomot i zobaczyła ogień w dużym oknie w twoim gabinecie.

- A czy widziała, co to był za samochód? - spytał Mort. Poczuł, jak ścisną go w dołku. W miarę jak wiadomości docierały do niego, cała sprawa z Johnem Spluwą zyskiwała na wadze i znaczeniu. To nie chodziło tylko o cholerne wydanie EQMM z czerwca 1980 roku.

Tam, w gabinecie, były prawie wszystkie jego maszynopisy. Wydrukowane i niekompletne, większość pierwszych wydań, edycje zagraniczne, egzemplarze czasopism z jego utworami.

Och, ale to dopiero początek. Stracili swój księgozbiór, a liczył cztery tysiące tomów. Musiały spłonąć wszystkie ubrania Amy, jeśli szkody były tak poważne, jak mówiła. Antyczne meble, które gromadziła - czasem przy jego pomocy, ale przeważnie sama - poszły z dymem co do jednego. Biżuteria i dokumenty - umowy z zakładem ubezpieczeń i tym podobne - powinny się zachować (sejf ukryty w głębi szafy ściennej teoretycznie był ognioodporny), ale tureckie dywany spalone, sprzęt audio-wideo... jego ubrania... ich fotografie, tysiące fotografii...

Dobry Boże, i pierwsze, co przyszło mu do głowy, to cholerne czasopismo.

- Nie - mówiła Amy, odpowiadając na pytanie, o którym niemal zapomniał, uświadomiwszy sobie ogrom ich osobistej straty - nie umiała powiedzieć, jaki to był samochód. Powiedziała, że chyba ktoś musiał rzucić koktajlem Mołotowa albo czymś podobnym. Ogień wybuchł zaraz po tym, jak usłyszała odgłos pękającego szkła. Powiedziała, że zaczęła biec podjazdem i wtedy otworzyły się drzwi kuchenne, i jakiś człowiek wybiegł na dwór. Bruno zaczął na niego szczekać i Patty przestraszyła się, i ściągnęła smycz, chociaż, jak mówiła, wrywał się tak, że ledwie go utrzymała.

Ten człowiek wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Włączył światła i Patty mówiła, że prawie ją oślepiły. Zasłoniła się ramieniem i samochód wystartował z rykiem spod portyku... tak mówi... i oparła się plecami o frontowy żywopłot... i ściągnęła Bruna ze wszystkich sił, inaczej ten człowiek by go zmiotł. Potem auto skręciło z podjazdu i szybko odjechało ulicą.

- I nie widziała wcale marki samochodu?

- Nie. Najpierw było ciemno, a potem, kiedy płomienie zaczęły buchać przez okno twojego gabinetu, oślepiły ją światła wozu. Pobiegnęła do siebie i zadzwoniła po straż. Isabelle mówi, że przyjechali szybko, ale wiesz, jaki stary jest nasz dom... był... i jak szybko pali się wysuszone, stare drewno... zwłaszcza kiedy użyje się benzyny...

Tak, wiedział. Stary, suchy dom z drewna to marzenie senne piromana, po którym taki ma zmazy nocne. Ale kto? Jeśli nie Spluwa, to kto? Straszliwa wiadomość, która nadeszła po wydarzeniach dnia jak ohydny deser po wstrętnym posiłku, prawie zupełnie odebrała mu zdolność myślenia.

- Powiedział, że to była prawdopodobnie benzyna... ten szef strażaków... on był pierwszy, ale potem zjechała policja i zaczęli zadawać pytania. Mort, przede wszystkim o ciebie... o to, czy masz jakichś wrogów... wrogów... i powiedziałam, że nie wydaje mi się, żebyś miał jakichś wro... wrogów... i próbowałam odpowiedzieć na ich wszystkie pytania...

- Jestem pewien, że spisałaś się wspaniale - powiedział łagodnie. Mówiła dalej, jakby jego słowa nie dotarły do niej, urywki zdań wypadały jej z ust zdyszczanymi elipsami, jak telegraficznie odczytującemu fatalne wieści wprost z taśmy wypluwanej przez maszynę.

- Nie wiedziałam nawet, jak im oznajmić, że jesteśmy roz-wiedzeni... a oczywiście nie mieli pojęcia... w końcu dopiero Ted im powiedział... Mort... Biblia matki... leżała na stoliku przy łóżku... w niej trzymałam zdjęcia moich bliskich... i... to była jedyna rzecz... jedyna rzecz, jaka mi po niej, po niej... Głos rozpląnął się w żalnym szlochu.

- Przyjadę tam rano - powiedział. - Jeśli wyjadę o siódmej, będę o wpół do dziesiątej. Może o dziewiątej. Letni tłok na drodze już się skończył. Gdzie zatrzymujesz się na noc? U Teda?

- Tak - potwierdziła, pociągając nosem. - Wiem, że za nim nie przepadasz. Mort, ale nie mam pojęcia, co bym bez niego zrobiła dziś wieczór... jak dałabym sobie radę... wiesz... przy tym całym odpytywaniu...

- Dobrze więc, że masz go przy sobie - powiedział stanowczo. Ten spokój, ten cywilizowany ton był doprawdy godny podziwu. - Uważaj na siebie. Masz lekarstwa?

Przez ostatnie sześć lat małżeństwa zapisywano jej środki uspokajające, ale brała je tylko wtedy, kiedy miała lecieć samolotem... albo kiedy musiała stanąć przed większym audytorium. Gdy obyczaje wymagały obecności małżonki głównego bohatera.

- Były w apteczce - powiedziała głucho. - Mniejsza z tym. Tu nie chodzi o stres. Tylko serce mi pęka.

Mort już chciał rzec, że to jedno i to samo, ale się pohamował.

- Będę tak wcześnie, jak tylko zdołam. Jeśli sądzisz, że mój przyjazd dziś w nocy coś da...

- Nie - powiedziała. - Gdzie się zobaczymy? U Teda?

Nagle, nieproszony, pojawił się obraz. Ręka trzyma klucz uniwersalny pokojówki. Klucz obraca się w zamku drzwi pokoju motelowego. Drzwi się otwierają. Zaskoczone twarze nad kofdrą, Amy po lewej, Teda Milnera po prawej. Układane pod suszarką włosy Teda rozleciały się podczas snu na wszystkie strony i skojarzyły Mortowi z peruką jakiegoś komika ze starych krótkometrażówek. Mort po raz pierwszy naprawdę, naprawdę uwierzył w istnienie Teda: te loki jak zeschnięte strączki fasoli... Ich oszołomienie. Nagie ramiona. I nagle, nie wiadomo skąd, przyszło mu do głowy: „Kobieta, gotowa okraść cię z twej miłości, kiedy jest to wszystko, co masz...”.

- Nie - powiedział - u Teda nie. Co powiesz na tę małą knajpkę przy Witcham Street?

- Wolałbyś, żebym przyszła sama? - Nie rozzłościła się, ale z jej głosu poznał, że może się rozzłościć. „Jak dobrze ją znam, pomyślał. Każde podniesienie i drobne opadnięcie głosu, każdą intonację. I jakże ona musi znać mnie”.

- Nie - powiedział. - Zabierz Teda. Świetnie. „Świetnie nie będzie, ale przeżyjemy i to”, pomyślał.

- A więc o wpół do dziesiątej - powiedziała i wyczuł, że jej serduszko trochę zwolniło rytm. - U Marchmana?

- Tak nazywa się lokal?

- Tak... Restauracja Marchmana.

- W porządku. Wpół do dziesiątej albo ciut przed. Gdybym wpadł pierwszy, zrobię znak kredą na drzwiach...

- ...a gdybym ja wpadła pierwsza, to go zetrę - skończyła ten ich odwieczny numer i pośmiali się trochę. Mort odkrył, że nawet śmiech potrafi zabołec. Znali się, jeszcze jak. Czyż nie temu miały służyć wszystkie wspólne lata? I czy nie dlatego bolało jak jasna cholera, kiedy oto okazywało się, że te lata nie tylko mogą się skończyć; skończyły się naprawdę?

Nagle przypomniał mu się list zostawiony na pokrywie skrzyni na śmieci PAMIĘTAJ, MASZ TRZY DNI. JA NIE ŻARTUJĘ. Może powiedzieć: „Mam tu mały klops, Amy?”. Ale wiedział, że nie powinien zwiększać tego ciężaru nieszczęść, jaki już ją przygniatał. To był jego problem.

- Gdyby to stało się później, uratowałyby się przynajmniej twoje rzeczy - mówiła. - Wolę nie myśleć o tych wszystkich maszynopisach, które straciłeś, Mort. Gdybyś kupił te ognioodporne szuflady, o których Herb mówił ci dwa lata temu...

- Nie wydaje mi się to istotne - powiedział Mort. - Wydruk nowej powieści mam przy sobie.

Miał, a jakże. Całe czternaście gównianych, drewnianych stron.

- Do diabła z resztą. Do zobaczenia jutro, Amy... („kocham cię”)

...zdążył zamknąć usta. Byli rozwiedzeni. Czy mógł ją jeszcze kochać? Toż to prawie perwersja. A jeśli nawet i kochał, czy miał jakiegokolwiek prawo o tym wspominać?

- Diabelnie mi przykro - powiedział więc tylko.

- Mnie też, Mort. Bardzo przykro.

Znowu zaczęła płakać. Usłyszał, jak ktoś - kobieta, chyba Isabelle Fortin - pociesza ją.

- Prześpij się trochę, Amy.

- Ty też.

Odwiesił słuchawkę. Nagle dom wydał mu się o wiele cichszy niż we wszystkie poprzednie noce, które spędził sam: słyszał tylko nocny wiatr szepeczący pod okapem. Bardzo daleko zakrzyczał nur na jeziorze. Mort wyjął list z kieszeni, wygładził i przeczytał jeszcze raz. To było coś, co powinno się odłożyć dla policji. Prawdę mówiąc, nawet nie powinno się tego dotykać, dopóki policja nie odprawi nad tym swoich czarów-marów. Był to - bębny-werble-trąby-odezwijcie się! - DOWÓD RZECZOWY.

„Aaa, pieprzyć to”, pomyślał Mort i zmiął kartkę. Żadnej policji. Dave Newsome, miejscowy posterunkowy, nie potrafił chyba w porze lunchu przypomnieć sobie, co jadł na śniadanie, a Mort nie wyobrażał sobie przedstawienia sprawy szeryfowi okręgowemu albo policji stanowej. Przecież nie był to zamach na jego życie. Zabito kota, ale kot to nie człowiek. A w porównaniu ze zniszczeniem, o jakim doniosła Amy, John Spluwa po prostu przestawał być ważny. Pochodził z gminy wariatuńców, miał bzika na pewnym punkcie i mógł być niebezpieczny... ale Mort coraz bardziej skłaniał się do tego, by załatwić tę sprawę samemu, nawet jeśli Spluwa był niebezpieczny. Zwłaszcza jeśli był niebezpieczny.

Sprawa domu w Derry wzięła górę nad sprawą Johna Spluwy i jego wariackimi pomysłami. Wzięła nawet górę nad problemem, kto popełnił ten czyn - Spluwa czy jakiś inny dziwak z żalem na wątrobie albo pomieszaniem we łbie, albo i jednym, i drugim. Dom i... Amy. Wyraźnie była w złej formie i ani jej, ani jemu nie zaszkodzi, jeśli wesprze ją, ile potrafi. Może nawet...

Ale lepiej dać sobie spokój z jakimikolwiek spekulacjami na temat tego, co Amy mogłaby zrobić. Na tej drodze mógł spodziewać się tylko bólu. Lepiej pogodzić się z tym, że jest zamknięta na zawsze.

Poszedł do sypialni, rozebrał się i spoczął z rękami pod głową. Nur odezwał się znowu krzykiem rozpaczliwym i dalekim. A nuż Spluwa krąży tam, na dworze; pod czarnym kapeluszem maluje się krąg jasnej twarzy. Spluwa to wariat i choć wobec Łazęgi użył rąk i śrubokręta, niewykluczone, że mógł mieć i broń palną.

Ale wątpliwe, żeby Spluwa kręcił się koło domu, z bronią czy bez.

„Telefony, pomyślał. Jadąc do Derry, muszę wykonać co najmniej dwa telefony. Do Grega Carstairsa i do Herba Creekmora. Siódma to za wcześnie, żeby wrywać ich z łózek, ale mogę zatelefonować z automatu obok wjazdu na autostradę w Auguście...”.

Obrócił się na bok, myśląc, że jednak minie długi czas, zanim uda mu się znów zasnąć... a sen zgarnął go łagodną czarną falą i jeśli ktoś podkradł się, żeby zerknąć na niego podczas snu, Mort się o tym nie dowiedział.

Budzik wyrwał go ze snu o wpół do siódmej. Pół godziny zajęło mu pogrzebanie Łazęgi w spłachetku piasku między domem a jeziorem i o siódmej siedział za kółkiem, zgodnie z planem. Pokonał już szesnaście kilometrów i wjeżdżał w obręb Mechanic Falls, tętniącej życiem metropolii, na którą składały się zakłady włókiennicze zamknięte w roku 1970, pięć tysięcy dusz i żółte światła ostrzegawcze na skrzyżowaniu dróg numer 23 i 7, kiedy zauważył, że jego stary buick ciągnie na resztkach paliwa. Zajechał na stację Chevron, do Billa. Przeklinał się, że nie sprawdził poziomu paliwa, zanim wyruszył w drogę - gdyby przejechał Mechanic Falls, nie spojrzawszy na wskaźnik, czekałby go miluchny spacer i spóźniłby się na umówione spotkanie z Amy.

Podszedł do automatu wiszącego na ścianie budynku stacji, podczas kiedy chłopak usiłował napelnić bezdenne brzucho buicka. Dokopał się notatnika adresowego w tylnej kieszeni spodni i wybrał numer Grega Carstairsa. Spodziewał się, że o tak wczesnej porze dorwie Grega przy rozruchu i nie pomylił się.

- Halo?

- Cześć, Greg, tu Mort Rainey.

- Cześć, Mort. Coś mi się oboiło o uszy, że masz jakieś nieprzyjemności w Derry, co?

- Tak. Było w wiadomościach?

- Na piątym kanale.

- Jak to wygląda?

- Jak co wygląda? - odpowiedział pytaniem na pytanie Greg. Mort aż się zwinął... ale jeśli już ktoś ma mu to opisać, niech to będzie Greg, sympatyczny, długowłosy eks-hippie nawrócony na wiarę jakiejś niezwykle tajemniczej sekty religijnej - może swe-den-borgianów - niedługo po festiwalu w Woodstock. Miał żonę i dwójkę dzieci, siedem i pięć lat, i cała rodzinka była zupełnie wyluzowana jak tata. Mort tak przywykł do skromnego, acz nieodstępного uśmiešku Grega, że podczas tych niewielu okazji, kiedy widział Grega bez niego, wydał mu się rozebrany.

- Aż tak źle?

- Tak - zwyczajnie powiedział Greg. - Dom musiał ulecieć w niebo jak rakieta. Naprawdę współczuję ci, człowieku.

- Dziękuję. Jadę tam teraz, Greg. Dzwonię z Mechanic Falls. Mógłbyś tymczasem zrobić mi przysługę?

- Jak ci chodzi o gonty, to będą...

- Nie, nie chodzi o gonty. Coś innego. Jest taki gość. Narzucał mi się przez ostatnie kilka dni. Kompletny świrus. Twierdzi, że ukradłem mu opowiadanie, które napisał z siedem



lat temu. Kiedy powiedziałem mu, że napisałem swoje wcześniej niż on i że potrafię tego dowieść, zaczął się wykręcać. Miałem nadzieję, że się stłeni, ale niestety, nie. Wczoraj wieczór, kiedy drzemałem na kanapie, zabił mi kota.

- Łazęgę? - W głosie Grega zabrzmiało zaskoczenie. Był to odpowiednik ciężkiego oszołomienia u każdej innej osoby. - Zabił Łazęgę?

- Zgadza się.

- Gadałeś o tym z Dave'em Newsome'em?

- Nie i nie chcę tego robić. Jak się da, wolę sam to załatwić.

- Z tego, co mówisz, ten gość nie wygląda na ideał pacyfisty, Mort.

- Od zabicia kota do zabicia człowieka jest jeszcze daleko - powiedział Mort - i zdaje mi się, że mogę skuteczniej się z nim rozprawić niż Dave.

- No, może i masz trochę racji - zgodził się z nim Greg. - Dave ciut zwolnił, kiedy zaczął ósmy krzyżyk. Co mogę zrobić dla ciebie, Mort?

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, gdzie facet się zatrzymał.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. Na opowiadaniu, które mi pokazał, było „John Spluwa”, ale potem zaczął wydziwiać na ten temat, powiedział, że to może pseudonim. I tak mi się zdaje - to brzmi jak pseudonim. Tak czy siak wątpię, czy podał to nazwisko, jeśli zatrzymał się w jakimś bliskim motelu.

- Jak wygląda?

- Ma z metr osiemdziesiąt i jakąś czterdziestkę z hakiem. Twarz zniszczona od przebywania na dworze - kurze łapki od słońca i zmarszczki od kącików ust schodzące na podbródek.

Kiedy mówił, twarz Johna Spluwy wynurzała się coraz wyraźniej z pamięci, jak twarz ducha, nabierająca kształtu w kryształowej kuli medium. Mort poczuł gęsią skórę na dłoniach i zadrżał lekko. Jakiś głos w śródmózgowiu mruczał nieprzerwanie, że albo się myli, albo celowo wprowadza Grega w błąd. Spluwa był bardzo niebezpieczny. I nawet nie trzeba było widzieć, co zrobił Łazędze, żeby to zrozumieć.

Mort dostrzegł to w oczach Spluwy wczoraj wieczór. Dlaczego więc, zamiast oddać sprawę w ręce policji, bawi się w straży obywatelską?

„Dlatego”, odpowiedział inny głos z głębi mózgu. Przemawiał z jakąś groźną stanowczością. „Dlatego i kropka”.

Głos ze śródmózgowia odezwał się znów, zaniepokojony. „Chcesz Spluwę skrzywdzić? O to w tym wszystkim chodzi? Chodzi ci o to, żeby go skrzywdzić?”.

Ale głos z głębi nie odpowiedział. Zamilkł.

- Połowa tutejszych farmerów tak wygląda - nie krył powątpiewania Greg.

- No, jest kilka innych rzeczy, które go wyróżniają - powiedział Mort. - Jest z południa - ma taki akcent, że rozpoznasz go na milę. Nosi duży czarny kapelusz - filcowy, zdaje się - z płaskim denkiem. Wygląda jak kapelusz amiszów. Jeździ niebieskim fordem kombi z początku albo ze środka lat sześćdziesiątych. Tablice Missisipi.

- W porządku, teraz lepiej. Jeśli jest na naszym terenie, ktoś będzie wiedział gdzie. Tablice spoza stanu rzucają się w oczy o tej porze roku.

- Wiem - Mortowi nagle jeszcze coś przyszło do głowy. - Zaczynaj rozpytywanie od Toma Greenleafa. Rozmawiałem z tym Spluwą wczoraj na Lake Drive, kilometr na północ od domu. Tom przejeżdżał swoim scoutem. Pomachał nam, a my jemu. Tom musiał przyjrzeć mu się cholernie dobrze.

- W porządku. Chyba trafię na niego u Bowiego. Wpadnę tam na kawkę koło dziesiątej.

- Ten Spluwa już tam był - powiedział Mort. - Wiem, bo wspominał o stelażu na tanie książki. Takim staromodnym stelażu.

- A jak go wyśledzę, to co?

- Nic. Nie rób nic. Zadzwoń do ciebie dziś wieczór. Jutro wieczór powinienem być z powrotem nad jeziorem. Nie wiem co, u diabła, miałbym robić w Deny poza grzebaniem w popiołach.

- Co z Amy?

- Ma faceta - odpowiedział Mort. Starał się, żeby nie zabrzmiało to sztywno. Prawdopodobnie i tak zabrzmiało to sztywno. - Amy chyba zrobi to, co zadecydują wspólnie.

- Och. Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Obejrzał się w kierunku dystrybutorów i zobaczył, że chłopak skończył napełniać bak i myje szybę. Nie spodziewał się, że jeszcze ujrzy taki widok przed śmiercią.

- Chcesz rozprawić się z nim sam... czy jesteś pewien, że o to ci chodzi?

- Tak. O to mi chodzi.

Zawahał się. Nagle pojawił się, co musiało niepokoić Grega: jeśli znajdzie człowieka w czarnym kapeluszu i w wyniku tego Mortowi stanie się jakaś krzywda, wtedy on, Greg, będzie za to odpowiedzialny.

- Posłuchaj, Greg, jeśli chcesz, możesz dołączyć, kiedy będę gadał z facetem.

- No jasne - odetchnął Greg.

- Chodzi mu o dowód - powiedział Mort - więc muszę mu tylko go pokazać.
- Ale mówiłeś, że już masz dowód.
- Tak, ale on ma opory, nie wierzy mi na słowo. Wygląda, że muszę mu go po prostu wsadzić w pysk, żeby się odwalił.
- Aha. - Greg przeżuwał informację. - Facet jest wariat, tak?
- Bez dwóch zdań.
- No, postaram się go znaleźć. Zadzwoń wieczorem.
- Zadzwonię. I dzięki, Greg.
- Nie ma sprawy. Odmiana i odpoczynek smakują tak samo.
- Tak mówią.

Pożegnał się z Gregiem i spojrzął na zegarek. Było prawie wpół do ósmej. Dużo za wcześnie, żeby dzwonić do Herba Creekmora, chyba że chce wyciągnąć go z łóżka. Sprawa nie jest aż tak pilna. Postój na płatnym parkingu w Auguście wypadnie w sam raz. Wrócił do buicka. Włożył notatnik adresowy i wyjął portfel. Spytał chłopca, ile jest winien.

- To będzie dwadzieścia dwa pięćdziesiąt z rabatem za zapłatę gotówką-powiedział tamten. Spojrzął nieśmiało na Morta. - Dałby mi pan autograf, panie Rainey? Mam wszystkie pana książki.

Znów pomyślał o Amy. O tym, jak Amy nie cierpiała zbieraczy autografów. Sam Mort ich nie rozumiał, ale nie przeszkadzali mu. Dla niej symbolizowali coraz bardziej odrażający aspekt ich życia. Pod koniec wzdrygał się wewnętrznie, kiedy tylko ktoś w obecności Amy zadawał tamto pytanie. Czasem wydawało mu się, że słyszy prawie jej myśli: „Jeśli mnie kochasz, dlaczego im NIE ODMÓWISZ?”.

Jakby mógł. Jego zadaniem było pisanie książek, które faceci jak ten chłopak chcieliby potem czytać... tak przynajmniej to sobie wyobrażał. Kiedy mu szło, prosili o autografy.

Nabazgrał swoje nazwisko na odwrocie czeku dla chłopaka (który, trzeba to przyznać, umył szybę buicka). Jeśli Amy oskarżała go, że robił coś, co spotykało się z poklaskiem i podobało również jej, choć nie chciała się do tego przyznać - to chyba był efekciarzem. Ale co mógł na to poradzić? Takim go stworzono.

W gruncie rzeczy wypadało przytaknąć Spluwie. Prawda i uczciwość jeden płot budują.

Wsiadł do wozu i odjechał w kierunku Derry.

Zapłacił swoje siedemdziesiąt pięć centów i wjechał na parking w Auguście. Przejechał cały plac, zatrzymał się przy telefonach. Dzień był słoneczny, chłodny i wietrzny - wiatr nadlatywał z południowego zachodu, od Litchfield. Leciał wprost, otwartą równiną, na której mieścił się parking, dmąc z taką mocą, że wyciskał Mortowi łzy z oczu. A przecież niósł ulgę. Mort czuł się tak, jakby wywiewał mu kurz z głowy, niby z pokoi, których drzwi i okiennice zbyt długo zabito na głucho.

Korzystając z karty kredytowej, wybrał numer Herba Creekmore'a w Nowym Jorku - jego mieszkania, nie biura. Herb przez następną godzinę raczej nie dotrze do „James i Creekmore”, literackiej agencji Morta Raineya, ale Mort dość długo znał swego agenta, aby wiedzieć, iż ten prawdopodobnie ma już za sobą prysznic i filiżankę kawy, a teraz czeka, aż z lustra zejdzie para, żeby móc się ogolić.

Poszczyliło mu się drugi raz z rzędu. Herb podniósł słuchawkę i głos miał rzeński. „Skąd dziś ten sukces za sukcesem?” - pomyślał Mort i wyszczerzył zęby na przekór lodowatemu październikowemu wiatrowi. Poprzez cztery pasma drogi widział ludzi stawiających zapory śnieżne. Zima czaiła się tuż za horyzontem kalendarza.

- Cześć, Herb - powiedział. - Dzwonię do ciebie z automatu na płatnym parkingu w Auguście. Moja sprawa rozwodowa jest zamknięta, dom w Derry spalił się do fundamentów wczoraj w nocy, jakiś świr zabił mojego kota i jest tu zimniej niż pod tyłkiem polarnego niedźwiedzia, który przymarzył do kry. Czy już się śmiejesz, czy dorzucić jeszcze to i owo?

Nie miał pojęcia, jak absurdalny jest ten katalog skarg, dopóki go nie wyrecytował na głos. Mało się nie roześmiał. Jezu, tu jest zimno, ale za to jak dobrze! Jak czysto!

- Mort? - ostrożnie zaczął Herb, jakby podejrzewał, że jest celem żartu.

- Uniżony sługa szanownego pana.

- O co chodzi z domem?

- Powiem ci, ale tylko raz. Notuj, jak musisz, bo mam zamiar wrócić do wozu, zanim zamienię się w sopol. - Zaczął od Johna Spluwy i jego oskarżeń. Skończył na rozmowie, którą przeprowadził z Amy wczoraj w nocy.

Herb, który wiele czasu spędził jako gość Morta i Amy (i który zgodnie z tym, co podejrzewał Mort, był pełen niesmaku wobec ich rozwodu), dał wyraz swemu zaskoczeniu, a potem żalowi na wieść o tym, co zdarzyło się z domem w Derry. Zapytał, czy Mort kogoś podejrzewa. Mort powiedział, że nie.

- A ten gość? Spluwa? Biorę pod uwagę, że kot został zabity na chwilę przedtem, zanim się obudziłeś, ale...

- Teoretycznie jest to niewykluczone. Ale mam sakramenckie wątpliwości. Może tylko dlatego, że nie mieści mi się w głowie, iż ktoś może spalić dwudziestoczeropokojowy dom tylko dla pozbycia się jednego czasopisma. Ale przyjrzałem mu się dobrze. Herb, on naprawdę wierzy, że ja ukradłem mu to opowiadanie. Poważnie. On nie ma żadnych wątpliwości. Kiedy powiedziałem, że mogę przedstawić dowód, zachowywał się tak, jakby chciał powiedzieć: „Dalej, skurwysynu, baw mnie jeszcze”.

- No ale... zawiadomiłeś chyba policję?

- Taa... dzwoniłem dziś rano.

Choć to oświadczenie nieco różniło się z prawdą, nie było kompletnym łgarstwem. Dziś rano zadzwonił. Do Grega Carstairsa. Ale gdyby powiedział Herbowi Creekmore'owi, którego wyobrażał sobie w bawialni jego nowojorskiego mieszkania, siedzącego w porządnie zaprasowanych tweedowych spodniach i podkoszulku bez rękawów, że zamierza rozprawić się z tym sam, mając jedynie Grega do pomocy, to wątpliwe, czy Herb by to pojął. Był dobrym człowiekiem, ale funkcjonował w ramach pewnego stereotypu: cywilizowany człowiek, model z końca wieku dwudziestego, okaz miejski i jeszcze raz miejski. Wierzył w instytucję doradców. Wierzył w medytację i w mediację. Wierzył w sens dyskusji, gdy rządził rozsądek, i natychmiastowe odesłanie problemu w ręce osoby kompetentnej, kiedy rozsądek abdykował. Pogląd, że mężczyzna czasem musi zrobić to, co musi, miał sens w oczach Herba... ale tylko w filmie z Sylwestrem Stallone'em w roli głównej.

- No, to dobrze. - Herb wyraźnie odczuł ulgę. - Masz dość na głowie, żeby jeszcze martwić się jakimś psycholem z Missisipi. Co zrobisz, jak go znajdą? Oskarżysz o najście?

- Raczej przekonam go, żeby zaprzestał szykan i wziął dupę w troki - powiedział Mort. Nadal rozpierał go radosny optymizm. Było to uczucie jak najbardziej bezpodstawne, ale niewątpliwie autentyczne. Podejrzywał, że wcześniej czy później rozsypie się, ale na razie nie mógł nie szczerzyć radośnie zębów. Więc otarł ciekący nos końcem rękawa wiatrówki i dalej szczerzył zęby. Zapomniał już, jakie to cudowne uczucie: szczerzyć zęby od ucha do ucha.

- Jak to zrobisz?

- Przy twojej pomocy, mam nadzieję. Gromadzisz wszystkie moje wypociny, zgadza się?

- Zgadza, ale...

- No to chcę, żebyś wyszperał „Ellery Queen's Mystery Magazine” z czerwca 1980 roku. To z *Czasem siejby*. Mam drobny kłopot ze znalezieniem swojego egzemplarza przez ten pożar, więc...

- Nie mam go - powiedział łagodnie Herb.

- Jak to nie masz? - Mort się zająknął. Tego się nie spodziewał. - Dlaczego nie masz?

- Ponieważ od roku 1980 minęło jeszcze dwa lata, zanim dołączyłem do twojej załogi.

Mam przynajmniej po jednym egzemplarzu wszystkiego, co ci sprzedałem, ale to opowiadanie sprzedałeś sam.

- O cholera!

Mort zobaczył oczyma wyobraźni copyright *Czasu siejby w Każdy kabluje*. Większość opowiadań miało wpis: Przedruk za zgodą autora i agenta autora, „James i Creekmore”. W przypadku *Czasu siejby* (i kilku innych opowiadań) widniało jedynie: Przedrukowane za zgodą autora.

- Przepraszam - powiedział Herb.

- Oczywiście. Sam to posłałem - pamiętam list z prośbą o zezwolenie na przedruk. Po prostu wydaje mi się, że jesteś moim agentem od zawsze. - Roześmiał się słabo i dodał: - Bez obrazy.

- Nic się nie stało - zapewnił Herb. - Chcesz, żebym zadzwonił do EQMM? Muszą gromadzić archiwalne egzemplarze.

- Zrobiłbyś to? - spytał z wdzięcznością Mort. - Byłoby cudownie.

- Zaraz się za to wezmę - powiedział Herb. - Tylko...

- Tylko co?

- Obiecuj mi, że nie spotkasz się z tym facetem sam na sam, kiedy już będziesz miał w ręce egzemplarz.

- Obiecuję - natychmiast zgodził się Mort. Znowu nieco rozmijał się z prawdą, ale wielka mi sprawa - zapytał Grega, czy dołączy do niego podczas spotkania, i Greg się zgodził, więc nie będzie sam. A zresztą, Herb Creekmore jest agentem literackim, nie ojcem. Nie jego rzecz, jak Mort załatwia osobiste sprawy.

- W porządku - powiedział Herb. - Zajmę się tym. Zadzwon do mnie z Derry, Mort. Może tam nie jest tak tragicznie, jak wygląda.

- Chciałbym w to wierzyć.

- Ale nie wierzysz?

- Żałuję, ale nie.

- Uhm. - Herb westchnął. Dodał nieśmiało: - Czy wypada, żebym prosił cię o przekazanie pozdrowień dla Amy?

- Wypada. Przekażę.

- Fajnie. Kończ i uciekaj stamtąd, Mort. Słyszę, jak coraz bardziej chrypisz w słuchawkę. Chyba już zamarzełeś.

- Już mnie nie ma. Jeszcze raz dzięki, Herb.

Odwiesił słuchawkę i przez chwilę, zamyślony, spoglądał na telefon. Zapomniał wlać benzyny do buicka, co było drobiazgiem, ale zapomniał też, że Herb Creekmore jest jego agentem dopiero od roku 1982, co drobiazgiem już nie było. Nadmierny stres. Po czymś takim człowiek zaczyna się głowić, czego jeszcze mógł zapomnieć.

Głos z jego umysłu, nie ten ze śródmózgowia, ale z głębin, odezwał się nagle: „Ale przede wszystkim co z kradzieżą opowiadania? Może o tym zapomniałeś?”.

Szybko ruszył do samochodu. Parsknął śmiechem. W życiu nie postawił nogi w Missisipi i nawet teraz, przeżywając kryzys twórczy, był jeszcze bardzo daleki od tego, żeby poniżyć się do plagiatu. Siadł za kierownicą i zapalił silnik. Doprawdy, człowiekowi od czasu do czasu niesamowite gówna potrafią przyjść do głowy.

## 18

Mort nie sądził, żeby ludzie - nawet zachowujący największą uczciwość wobec samych siebie - wiedzieli, kiedy coś się kończy. Ludzie dalej trwają w zaślepieniu albo przynajmniej udają, nawet gdy napis nie tylko majaczy na ścianie, ale krzyczy literami czytelnymi na sto metrów bez lunety. Jeśli chodzi o coś naprawdę ważnego i niezbędnego do życia, łatwo o oszustwo, łatwo pomylić życie z telewizją i przekonać siebie samego, że to, co rysuje się tak fatalnie, w końcu zmieni się na dobre... może po następnej przerwie na reklamę. Podejrzewał, że bez tej superzdolności do samooszukiwania się ludzki gatunek byłby jeszcze bardziej szalony, niż jest.

Ale czasem prawda przebija się z hukiem i trzaskiem i jeśli świadomie próbujesz ją obejść albo uciec w marzenia, życie kończy się katastrofą. Przypomina to wystawanie na wydnie, gdy przyływ wali z rykiem przed siebie. Nie przeleje się przez wydnię, ale wbije w dno. Nie tylko piach. Ciebie.

Mort Rainey doświadczył takiego katastroficznego objawienia po tym, jak przedstawiciele wydziałów policji i straży pożarnej odeszli, i on, Amy i Ted Milner zostali sami, by pomału jeszcze raz obejść dymiące ruiny zielonej rezydencji w stylu wiktoriańskim, stojącej przy Kansas Street 92 przez sto trzydzieści sześć lat. Podczas tego żałobnego obchodu zrozumiał, że jego małżeństwo z Amy z domu Dowd, urodzoną w Portlandzie, Maine, dobiegło końca. Tu nie było mowy o „okresie napięć małżeńskich”. Nie było mowy o „separacji próbnej”. Nie zapowiadał się jeden z tych przypadków, w których obie strony, przemyślawszy swe postanowienia, decydowały się na powtórny związek. Było po

wszystkim. Ich wspólne życie stało się historią. Nawet po domu, w którym przeżyli razem tyle dobrych chwil, zostały tylko ohydnie dymiące bele, sterczące z piwnicznej dziury jak zęby giganta.

Spotkanie u Marchmana, małej knajpce na Witcham Street, przebiegło całkiem znośnie. Amy uściskała jego, a on ją, ale kiedy spróbował ją pocałować w usta, zgrabnie odwróciła głowę, i usta zamiast na ustach wylądowały na policzku. Cmok-cmok, jak to mówili na biurowych przyjątkach. Jak miło cię zobaczyć, kochanie.

Ted Milner, tego przedpołudnia z włosami idealnie ułożonymi pod suszarką i broń Boże bez strączków, siedział w rogu. Obserwował. Trzymał fajkę, którą Mort widział wielokrotnie w jego zębach na przeróżnych przyjęciach w ciągu jakichś ostatnich trzech lat. Mort był przekonany, że fajka stanowi część pozy, drobny rekwizyt, którego jedynym celem jest dodać właścicielowi nieco lat. Ile on mógł mieć lat? Mort nie był pewien, ale Amy miała trzydzieści sześć, i pomyślał, że Ted w swych nienagannie spranych dżinsach i otwartej pod szyją koszuli od J. Pressa musiał być przynajmniej cztery lata młodszy, może więcej. Zastanawiał się, czy Amy wie, że być może czekają ją kłopoty, kiedy minie następne dziesięć czy tylko pięć lat. Doszedł jednak do wniosku, że nie stać go na to, żeby jej to poddać pod rozwagę. Trzeba by na to lepszego człowieka niż on.

Zapytał, czy wyszło na jaw coś nowego. Amy powiedziała, że nie wyszło. Ted przejął ster. Mówił z lekkim południowym akcentem, znacznie łagodniejszym niż nosowe burczenie Johna Spluwy. Powiedział Mortowi, że szef straży pożarnej i porucznik z wydziału policji Derry spotkają się z nim w, jak to określił, „miejscu zdarzenia”. Chcieli zadać Mortowi kilka pytań. Mort powiedział, że znakomicie. Ted zapytał, czy chciałby filiżankę kawy - mają czas. Mort znowu powiedział, że znakomicie. Ted zapytał, jak się miewa. Mort jeszcze raz skorzystał z użytego poprzednio słowa. W miarę jak kolejno padało mu z ust, stawało się coraz bardziej wyświechtane. Amy obserwowała tę wymianę zdań z pewną obawą, ale Mort nie miał jej tego za złe. W dniu, w którym nakrył ich oboje w łóżku, zapowiedział Tedowi, że go zabije. Prawdę mówiąc, zapowiedział chyba, że zabije ich oboje. Mglistość pamiętał całe wydarzenie. Oni chyba również. Nie wiedział, co myślą pozostałe dwa kąty trójkąta, ale sam uważał mglistość nie tylko za zrozumiałą, ale i litościwą.

Wypili kawę. Amy zapytała go o Johna Spluwę. Mort oświadczył, że uważa sytuację za opanowaną. Nie wspominał nic o kotach, listach ani czasopismach. Po chwili opuścili lokal Marchmana i poszli na Kansas Street 92, gdzie ongi stał dom, a dziś to było „miejsce zdarzenia”.



Strażak i policjant stawili się zgodnie z zapowiedzią. Padły pytania, również zgodne z zapowiedziami. Większość pytań dotyczyła problemu, czy są ludzie, którzy nienawidzą go do tego stopnia, że byliby zdolni wrzucić koktajl firmy Texaco do jego gabinetu. Gdyby Mort był sam, pominąłby całkowicie Spluwę, ale oczywiście należało się spodziewać, że zrobi to Amy, zdał więc sprawozdanie z pierwszego spotkania, zgodnie z jego przebiegiem.

Szef straży ogniowej, Wickersham, spytał:

- Ten gość był bardzo wściekły?

- Tak.

- Na tyle wściekły, żeby pojechać do Derry i spalić pana dom? - spytał detektyw policyjny, Bradley.

Mort był niemal zupełnie pewny, że Spluwa tego nie zrobił, ale nie chciał bardziej wnikać w swoje krótkie kontakty ze Spluwą. Musiałby wtedy przede wszystkim powiedzieć im, co Spluwa zrobił Łazędze. To zdenerwowałoby Amy. Bardzo... i ruszyło gniazdo żmij, którego wolał nie dotykać. Uznał, że czas na kolejne rozminięcie się z prawdą.

- Na początku tak. Ale jak już odkryłem, że oba opowiadania naprawdę są podobne, sprawdziłem datę pierwszego wydania swojej wersji.

- Jego nigdy nie została wydana? - spytał Bradley.

- Nie, jestem tego pewien. Wczoraj pokazał się znów. Zapytałem, kiedy napisał swoje opowiadanie. Miałem nadzieję, że poda datę wcześniejszą niż moja. Rozumie pan?

Detektyw Bradley pokiwał głową.

- Chciał mu pan udowodnić, że to pan był pierwszy.

- Tak jest. *Czas siejby* znajduje się w zbiorze opowiadań, które opublikowałem w 1983 roku, ale pierwsze wydanie było w 1980. Miałem nadzieję, że facet poczuje się bezpiecznie, mówiąc, że napisał swoje na rok, dwa wcześniej. Poszczyliło mi się. Powiedział, że napisał to w roku 1982. No i rozumiecie, miałem go w garści.

Liczył, że na tym się skończy, ale Wickersham, szef straży ogniowej, kontynuował:

- Pan rozumie i my rozumiemy, panie Rainey, ale czy on zrozumiał?

Mort westchnął w duchu. Jak podejrzewał, rozmijać się z prawdą można było tylko tak długo - jeśli termin „długo” w ogóle wchodził tu w rachubę - dopóki sprawy nie doszły do punktu, w którym albo pozostawało powiedzieć prawdę, albo iść w zaparte. No i dobrnął właśnie do tego punktu. Ale czyja to była sprawa? Ich czy jego? Jego. Tak jest. I tak powinno zostać.

- Tak - powiedział im. - Zrozumiał.

- Co wtedy zrobił? - spytał Ted. Mort spojrzał na niego z lekkim zniecierpliwieniem. Ted odwrócił wzrok. Wyglądał tak, jakby chciał wziąć do ręki fajkę. Fajka została w samochodzie. Koszuli od J. Pressa brakowało kieszonki, w którą mógłby ją wsadzić.

- Odszedł - powiedział Mort. Ted go zirytował. Nie powinien w to wściubiać nosa. To absolutnie nie jego sprawa. Tym łatwiej przyszło mu skłamać. A poza tym kłamanie Tedowi czyniło sprawę bardziej znośną.

- Wymruczał jakieś pierdoły, że to wszystko nieprawdopodobny zbieg okoliczności, wskoczył do wozu, jakby skalp mu płonął, a płomienie lizały tyłek i tyle go widziałem.

- Czy udało się panu zauważyć markę wozu i numer rejestracyjny, panie Rainey? - spytał Bradley. Wyjął notatnik i pióro kulkowe.

- To był ford - powiedział Mort. - Przykro mi, ale jeśli chodzi o numer rejestracyjny, nie mogę panom pomóc. To nie były numery z Maine, ale poza tym... - Wzruszył ramionami i usiłował przybrać przepraszający wyraz twarzy. Czuł się coraz bardziej skrępowany obrotem sprawy. Dopóki odgrywał spryciarza, unikał otwartego kłamstwa, wszystko było niby w porządku. Dzięki temu oszczędzał Amy bólu, prawdy o tym, że tamten człowiek złamał Łazędze kark, a potem przebił go śrubokrętem. Ale teraz sam pakował się w kłopoty. Opowiedział różne wersje różnym ludziom. Jeśli się spotkają i porównają relacje, zrobi się mało śmiesznie. Uzasadnienie kłamstw może wypaść mętnie. Dopóki Amy nie porozmawia z Gregiem Carstairssem albo Herbem Creekmorem, takie porównanie było mało prawdopodobne, ale przypuśćmy, że kiedy z Gregiem dopadną Spluwę i wcisną mu w gębę EQMM, wydanie z czerwca 1980 roku, wyniknie jakieś zamieszanie?

„Nie przejmuj się, powiedział sobie, spalimy ten most, gdyby miało do tego dojść, cwaniaczku”. Na tę myśl ogarnął go świetny nastrój, tak jak na parkingu podczas rozmowy z Herbem. Mało nie zarżał z radości. Opanował się. Gotowi się zdziwić, skąd ta radość, i mieliby do tego pełne prawo.

- Zdaje mi się, że Spluwa musiał już znaleźć się... („w Missisipi”)

- ...tam, skąd przybył - skończył prawie jednym tchem.

- Sądzę, że ma pan rację - powiedział porucznik Bradley - ale uważam, że powinienem to sprawdzić, panie Rainey. Mógł pan przekonać faceta, że się pomylił, ale to jeszcze nie znaczy, że odjechał od pana w różowym humorze. Niewykluczone, że zjawił się tu wściekły i podpalił pański dom po prostu dlatego, że był wkurwiony - proszę wybaczyć, pani Rainey.

Amy zdobyła się na nieszczerzy uśmiech i kiwnęła dłonią na znak, że nie czuje się obrażona.

- Czy nie sądzi pan, że to możliwe?

„Nie, pomyślał Mort, nie sędzę. Gdyby zdecydował się podpalić dom, zabiłby Łazęgę przed wyjazdem do Derry, na wypadek gdybym zbudził się, nim wróci. W takim razie znalazłbym Łazęgę sztywnego, a krew zaschniętą. Co nie miało miejsca... ale nie mogę tego powiedzieć. Nawet gdybym chciał. Od razu zaczęliby dociekać, dlaczego do tej pory ukryłem ten interes z Łazęgą. Gotowi pomyśleć, że mam nierówno pod sufitem”.

- Tak, to możliwe, ale rozgryzłem go trochę. Nie wygląda na typ podpalacza.

- Mówisz, że nie wygląda na Snopesa? - nagle wtrąciła Amy. Mort, zaskoczony, spojrzał na nią - a potem się uśmiechnął.

- Zgadza się, południowiec, ale żaden z niego Snopes.

- O co chodzi? - spytał Bradley z lekkim znużeniem.

- Stary dowcip, panie poruczniku - powiedziała Amy. - Snopesowie to postaci z kilku powieści Williama Faulknera. Dorobili się, zaczynając od podpalania stodoł.

- Och. - Twarz Bradleya nadal była bez wyrazu.

- Nie istnieje jeden typ podpalacza, panie Rainey - powiedział Wickersham. - To zróżnicowany gatunek. Niech mi pan wierzy.

- Proszę powiedzieć mi coś więcej na temat tego wozu, jeśli pan łaskaw - powiedział Bradley. Pióro kulkowe zawisło nad notatnikiem. - Chciałbym dać policji stanowej namiary tego faceta.

Mort nagle zdecydował się nakłamać więcej. Prawdę mówiąc, dużo więcej.

- No cóż, to był sedan. Tyle wiem na pewno.

- Mhm... ford sedan. Rocznik?

- Wyglądał na siedemdziesiąte - powiedział Mort. Był pewny, że kombi Spluwy zostało skonstruowane w czasach, kiedy facet nazwiskiem Oswald wyniósł do godności prezydenta Stanów Zjednoczonych Lyndona Johnsona. Zastanowił się, potem dodał: - Jasne tablice rejestracyjne. Może Floryda. Nie przysięgnę, ale to możliwe.

- Mhm... A sam facet?

- Średniego wzrostu, blond włosy. Okulary. Druciki w stylu Johna Lennona. To naprawdę wszystko, co pam...

- Nie mówiłeś, że nosił kapelusz? - nagle zapytała Amy. Mort zgrzytnął cicho zębami.

- A tak - powiedział uprzejmie. - Zgadza się. Zapomniałem. Ciemnoszary albo czarny. Tylko że to była raczej czapka. Z daszkiem, wie pan.

- Dobra - powiedział Bradley. Zatrzasnął notatnik. - Zawsze coś na początek.

- Czy to nie mógł być zwyczajny akt wandalizmu, podpalenie dla samej frajdy? - spytał Mort. - W powieści wszystko wiąże się jedno z drugim, ale z mojego doświadczenia wynika, że w życiu pewne rzeczy po prostu się zdarzają.

- Możliwe - przytaknął Wickersham - ale nie zaszkodzi sprawdzić narzucające się tropy.

Mrugnął do Morta nieznacznym, pełnym namaszczenia mrugnięciem.

- Czasem życie naśladuje sztukę, wie pan.

- Czy jeszcze czegoś panom potrzeba? - spytał Ted i objął Amy. Wickersham i Bradley wymienili spojrzenia. Bradley potrząsnął głową.

- Nie sądzę, przynajmniej na razie.

- Pytam tylko dlatego, że Amy i Mort muszą poświęcić trochę czasu agentowi ubezpieczeniowemu - powiedział Ted. - Prawdopodobnie również biegłemu z firmy macierzystej.

Południowy akcent Teda doprowadzał Morta do coraz większej irytacji. Podejrzewał, że stan Teda leżał bardziej na północ niż ojczyście strony Spluwy, ale mogłoby się obyć bez tego zbiegu okoliczności.

Funkcjonariusze wymienili z Amy i Mortem uściski dłoni, wyrazili swoje współczucie, poprosili o kontakt, w razie gdyby któremuś z nich przyszło coś do głowy, i oddalili się, zostawiając trójkę samej sobie, żeby mogła dokonać jeszcze jednej rundy wokół domu.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego - Mort nagle zwrócił się do Amy. Szła między nimi. Spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona tym, co usłyszała w jego głosie. Zwyczajną szczerością? - Z powodu wszystkiego. Naprawdę przykro.

- Mnie też - powiedziała cicho i pogładziła go po ręce.

- Teddy jest z wami - powiedział Ted z namaszczoną serdecznością. Odwróciła do niego głowę i w tym momencie nic nie sprawiłoby Mortowi większej rozkoszy, jak przydusić faceta, aż gały wyskoczą mu na nerwach wzrokowych niby na sznurkach.

Szli teraz wzdłuż zachodniej strony domu, w kierunku ulicy. Dawniej w tym miejscu dom stykał się z dobudówką, w której mieścił się gabinet Morta, a niedaleko był ogródek kwiatowy Amy. Kwiaty już przekwitły i Mort uznał, że tak jest chyba najlepiej. Ogień był na tyle silny, że spopielił do cna trzymetrowy pas zielonej trawy wokół ruin. Gdyby kwiaty kwitły, spopieliłby je również, a to byłoby zbyt smutne. To byłoby...

Nagle się zatrzymał. Przypomniał sobie opowiadania. Jedno opowiadanie. Można by nazwać je *Czas siejby*, można by nazwać je *Tajemnicze okno*, *tajemniczy ogród*, ale kiedy

odrzuć opakowanie i zajrzeć w głąb, docierało się do sedna. Podniósł wzrok. Nic tu nie było do oglądania, przynajmniej teraz, ale przed pożarem tam, gdzie właśnie patrzył, było okno. Okno małego pokoju, obok pralni. To był gabinet Amy. Tam właśnie wypisywała czeki, zapełniała strony swojego dziennika, dzwoniła, gdzie zadzwonić powinna... Podejrzywał, że Amy w tym właśnie pokoju kilka lat temu zaczęła powieść. A kiedy powieść umarła, Amy sprawiła jej pogrzeb, przyzwoity i cichy, chowając nieboszczkę w szufladzie biurka. Biurko stało przy oknie. Amy lubiła zachodzić tam przedpołudniami. Zaczynała pranie w pomieszczeniu obok, a potem odrabiała robotę papierkową, czekając, aż brzęczyk oznajmi, iż czas przerzucić zawartość pralki do suszarki. Pokój mieścił się dość daleko od głównej części domu i, jak powiadała, odpowiadał jej spokój tego miejsca. Spokój i czyste, wyraźne światło przedpołudnia. Lubiała od czasu do czasu patrzeć przez okno na kwiaty rosnące u zbiegu domu i skrzydła, w którym mieścił się gabinet. Usłyszał jej głos: „To najpiękniejszy pokój w całym domu, przynajmniej ja tak uważam, bo prawie nikt tam nie zachodzi oprócz mnie. Jest w nim tajemnicze okno i wychodzi na tajemniczy ogród”.

- Mort? - zapytała Amy i przez chwilę nie otrzymała odpowiedzi. Jej prawdziwy głos zlał się z głosem pamięci. Ale czy była to pamięć prawdziwa, czy fałszywa? To jest pytanie, co? Robiła wrażenie prawdziwej, ale Mort był w wielkim stresie jeszcze przed Spluwą i Łazęgą, i pożarem. Czy nie można założyć, że miał... no... halucynacje sięgające w przeszłość? Że w jakiś sposób usiłował nagiąć wspólną przeszłość z Amy do tej cholernej opowieści, w której mężczyzna wariuje i zabija żonę?

„Jezu, mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że nie. Na samą myśl można stracić spokój ducha i załamać się nerwowo”.

- Mort, nic ci nie jest? - spytała Amy. Z niepokojem szarpała go za rękaw i wyrwała z transu.

- Nie - powiedział. A po chwili wyrzucił nagle: - Tak. Żeby nie skłamać, trochę mi niedobrze.

- Może śniadanie - powiedział Ted.

Amy obdarzyła go spojrzeniem, na widok którego Mort poczuł się nieco lepiej. Nie było zbyt przyjazne.

- Tu nie chodzi o śniadanie - obruszyła się. Wskazała ręką na czerniejące ruiny. - Chodzi o to. Wyośmy się stąd.

- Ludzie z ubezpieczeń są umówieni w południe - powiedział Ted.

- No to mamy jeszcze ponad godzinę. Chodźmy do nas, Ted. Sama nie czuję się za pysznie. Chciałabym gdzieś klapnąć.

- W porządku - powiedział Ted. Przemawiał z lekka poirytowanym nie-ma-potrzeby-aż-tak-podnosić-głosu tonem, od czego Mortowi jeszcze bardziej ulżyło na sercu. I choć przed śniadaniem przysięgłby, że dom Teda Milnera jest ostatnim miejscem na Ziemi, do którego chciałby się udać, podążył tam z nimi bez protestu.

## 19

Podczas jazdy do dwupoziomowego mieszkania we wschodniej stronie miasta, gdzie Ted zapuścił korzenie, wszyscy milczeli. Mort nie znał myśli Amy i Teda, chociaż z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł przypuszczać, iż Amy rozmyśla o domu, a Ted o tym, czy zdążą na spotkanie ze specami z towarzystwa ubezpieczeniowego. Ale znał swoje myśli. Usiłował rozsądzić, czy wariuje, czy nie. Czy to leci na żywo, czy puszcza sobie w głowie taśmy wideo?

W końcu uznał, że Amy naprawdę powiedziała ten tekst o swoim gabinecie obok pralni - to nie fałsz pamięci, nie zmyślił sobie tego. Czy powiedziała to przed rokiem 1982, wcześniej niż John Spluwa rzekomo napisał opowiadanie zatytułowane *Tajemnicze okno, tajemniczy ogród!* Nie wiadomo. Jakkolwiek by wysilał swoją zdezorietowaną i obolałą mózgownicę, otrzymywał jedynie wciąż tę samą lakoniczną informację: dane wejściowe niepełne. Ale gdyby jednak Amy to powiedziała, nieważne kiedy, czy tytuł opowiadania Spluwy był czystym przypadkiem? Może i tak, ale tych przypadków zaczyna przybywać, no nie? Uznał już, że pożar był, musiał być, przypadkiem. Ale to wspomnienie, które wepchnęło się na plan pierwszy, kiedy tylko zobaczył ogródek Amy, zwiędłe kwiaty... No cóż, coraz trudniej było mu uwierzyć, że wszystko to nie wiązało się ze sobą w jakiś dziwny, a może nawet nadprzyrodzony sposób.

A czy i ten Spluwa, na swój własny sposób, nie był identycznie zdezorietowany? „Jakoś pan się tego dogrzebał?” - pytał. Głos wibrował mu wściekłością i zdumieniem. „Jak, u diabła, taki nadziany, dupny gryzipiórek jak pan zahaczył o takom gównianom mieścinę i skradł mojom opowieść?”. Słuchając tego, wtedy Mort uznał, że świadczy to albo o szaleństwie, albo o cholernie dobrym aktorstwie faceta. Teraz, gdy siedział w samochodzie Teda, po raz pierwszy uderzyło go, że sam zareagowałby dokładnie w ten sposób, gdyby role zostały odwrócone.

I zostały. W jakiś sposób zostały odwrócone. Oba opowiadania różniły się zasadniczo tylko jednym. Tytułem. Oba tytuły pasowały do treści, ale Mort odkrył, że teraz ma pytanie do Spluwy bardzo podobne do tego, jakie Spluwa mu zadał: „Jakżeś trafił na ten tytuł, panie Spluwa? To mnie naprawdę interesuje. Jak udało ci się dowiedzieć, że trzysta kilometrów od

twojej śmierdzącej gnojem miejsciny, żona pisarza, o którym podobno nie miałeś pojęcia do tego roku, ma swoje tajemnicze okno wychodzące na jej tajemniczy ogródek?”.

No cóż, oczywiście był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Kiedy Greg już odnajdzie Spluwę, Mort będzie musiał go zapytać.

## 20

Mort podziękował za kawę, którą Ted zaproponował, i zapytał, czy Ted ma colę albo pepsi. Ted miał. Mort wypił, a żołądek się uspokoił. Mort oczekiwał, że samo przebywanie w miejscu, w którym Ted i Amy bawili się w dom teraz, kiedy nie musieli już dłużej zawracać sobie głowy tanimi małymi małomiasteczkowymi motelami, obudzi w nim gniew i zniecierpliwienie. Ale tak się nie stało. Był to dom, zwyczajny dom, w którym każdy pokój głośno wołał, że jego właściciel jest młodym kawalerem używającym życia i idącym do przodu. Okazało się, że Mort jest w stanie znieść to bez bólu, choć znów poczuł lekki niepokój o Amy. Myślał o jej małym gabinecie, jasnym czystym świetle, usypiającym buczeniu dobiegającym zza ściany, jej małym gabinecie z tajemniczym oknem, które jedyne w całym domu wychodziło na ciasny kąt, tworzony przez dom i skrzydło, i myślał też, jak bardzo tamten dom do niej pasował i jak mało pasuje do niej ten. Ale z tym musiała dać sobie radę sama i po kilku chwilach spędzonych w miejscu, które wcale nie okazało się plugawym gniazdem rozpusty, ale zwykłym domem, pomyślał, że to jest do wytrzymania... że nawet jest z tego zadowolony.

Spytana, czy zamierza spędzić noc w Derry.

- Zabieram się, jak tylko skończymy z biegłymi ubezpieczeniowymi. Gdyby coś wyskoczyło, mogą się ze mną porozumieć... albo wy możecie.

Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem i musnęła jego dłoń. Nie spodobało się to Tedowi. Zmarszczył się, spojrział w okno. Ścisnął nerwowo fajkę.

## 21

Na spotkanie z przedstawicielami agencji ubezpieczeniowej stawili się punktualnie, co bez wątpienia ucieszyło Teda. Obecność Teda nie wprawiała Morta w szczególny zachwyt. Dom przecież nigdy nie należał do niego, nawet po rozwodzie. Ponieważ jednak Amy lepiej się czuła, mając go przy sobie, Mort nie protestował. Don Strick, agent towarzystwa ubezpieczeniowego „Consolidated”, z którym mieli do czynienia, sprawę załatwiał w biurze, gdzie udali się po krótkiej lustracji „miejsca zdarzenia”. Tam spotkali mężczyznę nazywającego się Fred Evans, biegłego „Consolidated”, specjalizującego się w sprawach o podpalenie. Bardzo prędko stało się jasne, dlaczego Evans nie towarzyszył Wickershamowi i Bradleyowi tego przedpołudnia na „miejsce zdarzenia”. Prawie całą poprzednią noc spędził,

grzebiąc w ruinach, zaopatrzone w potężny flesz i polaroid. Wrócił do hotelu, by przed spotkaniem z Raineyem zmrużyć na chwilę oko, jak to określił.

Mortowi Evans bardzo przypadł do gustu. Wyglądało na to, że strata, jaką ponieśli Mort i Amy, naprawdę go obeszła, podczas kiedy wszyscy pozostali, włączając w to pana Teda Który Był z Nimi, okazywali tylko konwencjonalne wyrazy współczucia, zanim przejdą do spraw bieżących (co dla Teda Milnera oznaczało zapewne wyekspediowanie Morta jak najszybciej z Derry do Tashmore). Fred Evans mówił o Kansas Street 92 „miejsce zdarzenia”. Mówił: „dom”.

Zadawał pytania w istocie podobne do tych, jakie stawiali Wickersham i Bradley, ale były one łagodniej sformułowane, bardziej szczegółowe i sięgały głębiej. Choć miał za sobą najwyżej cztery godziny snu, jego wzrok był bystry, facet mówił szybko i z sensem. Po dwudziestu minutach rozmowy Mort doszedł do wniosku, że gdyby kiedykolwiek zdecydował się spalić ubezpieczony dom, to wolałby mieć do czynienia z inną firmą niż „Consolidated”. Albo by zaczekał, aż gość przejdzie na emeryturę.

Skończywszy odpytywanie, Evans uśmiechnął się do nich.

- Okazali państwo daleko idącą pomoc i chcę raz jeszcze podziękować wam zarówno za wyczerpujące odpowiedzi, jak i uprzejmy stosunek do mojej osoby. Ludziom często wystarczy usłyszeć słowa „biegły ubezpieczeniowy”, a już są wrogo nastawieni. Od razu stają się zdenerwowani. To całkiem zrozumiałe. Obecność biegłego często traktują jako oskarżenie o podpalenie własnego majątku.

- Sądzę, że zostaliśmy potraktowani najlepiej, jak to było możliwe w tych okolicznościach - powiedziała Amy, a Ted Milner pokiwał głową tak gorliwie, jakby była podwieszona do sznurków ciężko znerwicowanego lalkarza.

- Teraz czeka nas coś przykrego - powiedział Evans. Skinął na Stricka, który otworzył szufladę biurka i wyjął podkładkę do notowania z zaciskiem. Był na niej wydruk komputerowy. - Kiedy biegły upewni się, że pożar był tak poważny jak ten, jest zobowiązany przedstawić klientowi listę obejmującą cały ubezpieczony majątek. Przejrzyjcie ją państwo i podpiszcie oświadczenie, że wymienione przedmioty nadal należały do was i znajdowały się w domu, kiedy wybuchł pożar. Postawcie znaczek obok każdego przedmiotu, który sprzedaliście od czasu ostatniego przeglądu, dokonanego przez obecnego tu pana Stricka, i obok każdej ubezpieczonej rzeczy, która nie znajdowała się w domu w czasie pożaru. - Evans zasłonił usta i odchrząknął. - Powiedziano mi, iż niedawno nastąpiła separacja, stąd ta ostatnia sprawa może okazać się szczególnie ważna.



- Jesteśmy po rozwodzie - powiedział wprost Mort. - Mieszkam w naszym domu koło jeziora Tashmore. Korzystaliśmy z niego tylko podczas letnich miesięcy, ale jest piec i można tam mieszkać w czasie chłódów. Na nieszczęście gros moich rzeczy zostało tutaj. Nie mogłem się zebrać do przeprowadzki.

Don Strick pokiwał głową ze zrozumieniem. Ted założył nogę na nogę, pobawił się fajką i w ogóle starał się sprawiać wrażenie człowieka, który najwyższym wysiłkiem woli nie okazuje znużenia.

- Proszę, postarajcie się przejrzeć tę listę jak najuważniej - powiedział Evans. Wziął podkładkę od Stricka i podał poprzez biurko Mortowi. - To może niezbyt przyjemne - trochę jak poszukiwanie skarbów *drebours*.

Ted odłożył fajkę i wyciągnął szyję w kierunku listy. Znużenie pierzchło, przynajmniej na razie. Wytrzeszczał gały jak przechodzień na widok ciężkiego wypadku. Amy zauważyła to i usłużnie przesunęła wypełniony formularz w jego stronę. Mort, siedzący po jej drugiej stronie, szarpnął formularz ku sobie.

- Pozwolisz? - rzucił pod adresem Teda. Był zły, naprawdę zły, i wszyscy odczytali to z jego głosu.

- Mort... - zaczęła Amy.

- Nie chcę robić afery - powiedział do niej - ale to były nasze rzeczy, Amy. Nasze.

- Ja wcale... - z urazą zaczął Ted.

- Nie, pan Rainey całkowicie ma rację, panie Milner. - Mort miał wrażenie, że łagodność w głosie Freda Evansa jest tylko powierzchowna. - Prawo wyraźnie zabrania panu oglądania spisu czyjejs własności. Przymrużamy oko, jeśli właściciele nie mają nic przeciwko temu, ale wydaje mi się, że pan Rainey jest przeciw.

- Pan Rainey jest diabelnie przeciw - powiedział Mort. Zaciśnięte ręce trzymał na kolanach, czuł, jak paznokcie wpijają mu się w miękkie ciało i zostawiają ślady na kształt uśmiechniętych ust. Amy przeniosła spojrzenie pełne żalostnej prośby z Morta na Teda. Mort oczekiwał, że Ted chuchnie, dmuchnie i spróbuje zniszczyć czyjąś chatkę, ale Ted nie zrobił niczego w tym guście. To tylko Mort dał świadectwo swej wrogości, spodziewając się po nim takiej reakcji. Nie znał go dobrze (choć wiedział dobrze, że włosy ma jak wyschłe strączki fasoli, kiedy zbudziło się go nagle w byle jakim motelu), ale znał Amy. Gdyby Ted miał więcej zadęcia niż rozumu, już by go zostawiła.

Uśmiechając się nieznacznie, ignorując kompletnie Morta i resztę towarzystwa, Ted powiedział:

- Czy uzdrowiłoby to sytuację, gdybym zrobił rundkę wokół domu?

Mort uczynił wysiłek, żeby zapanować nad sobą, ale nie do końca sprostał zamierzeniu.

- Czemu od razu nie dwie? - spytał z nieszczerą słodyczą. Amy rzuciła na niego z ukosa niechętnie spojrzenie i powróciła wzrokiem do Teda.

- Byłbyś tak dobry? To ułatwiłoby trochę...

- Jasne - powiedział.

Pocałował ją w policzek i Mort doznał następnego bolesnego objawienia: facetowi zależało na niej. Może nie zawsze, ale teraz tak. Wyobraził już sobie, że Amy jest tylko zabawką, którą nacieszywszy się, Ted szybko odrzuci. Błąd. Przecież to nie współgrało z tym, co o niej wiedział. Potrafiła nieźle ocenić ludzi... i miała dużo szacunku do samej siebie.

Ted podniósł się i wyszedł. Amy spojrzała na Morta z przyganą.

- Jesteś zadowolony?

- Częściowo - powiedział. - Słuchaj, Amy, może nie załatwiłem tego tak zręcznie, jak powinienem, ale działałem w imię słusznej sprawy. Przez te lata przeżyliśmy razem wiele. To ostatnia rzecz, której mamy dokonać wspólnie, i nikt nie powinien się w to wtrącać. Zgoda?

Wyglądało na to, że Strick czuje się nieswojo. Inaczej Fred Evans; spoglądał na Morta, potem na Amy i znów na Morta z żywym zainteresowaniem kibica, obserwującego ciekawą wymianę piłek na korcie.

- Zgoda - powiedziała Amy cichym głosem. On lekko pogładził ją po ręce, a ona uśmiechnęła się do niego. Był to wymuszony uśmiech, ale lepszy taki niż żaden.

Przysunął krzesło bliżej i oboje pochylili się nad spisem jak dzieciaki wkuwające razem do klasówki. Mort szybko zrozumiał, skąd wzięło się ostrzeżenie Evansa. Poprzednio wydało mu się, że pojął ogrom straty. Nieprawda.

Spoglądając na martwe kolumny wydruku, Mort nie czułby się bardziej zmiażdżony, niż gdyby ktoś wygarnął wszystko z domu przy Kansas Street 92 i rozrzucił po całym kwartale na pastwę ciekawskich spojrzeń wszystkich mieszkańców planety. Jakże mógł zapomnieć o takiej masie rzeczy? Rzeczy, które już przepadły.

A więc podstawowe elementy wyposażenia domu. Poza tym: cztery odbiorniki tv, jeden z wideo. Porcelana Spode'a i autentyczne meble wczesnoamerykańskie, które Amy kupowała pojedynczo. Antyczna komoda, stojąca w sypialni, została wyceniona na czternaście tysięcy dolarów. Nie byli zaprzysięgłymi kolekcjonerami, ale umieli cenić antyki. Stracili dwanaście oryginalnych dzieł sztuki. Ich cena wynosiła dwadzieścia dwa tysiące dolarów, ale Mort nie myślał o pieniądzach. Myślał o szkicu N.C. Wyetha. Dwaj chłopcy wybierają się na morze małą łódką. Na rysunku padało, chłopcy uzbroili się przeciw

deszczowi w nieprzemakalne płaszcze, kalosze i szerokie uśmiechy. To był rysunek, za którym Mort przepadał. Był... Szkło Waterford. Ekwipunek sportowy, umieszczony w garażu - narty, rowery z przerzutkami i kanoe old town. Trzy futra Amy. Zobaczył, jak stawia maleńkie znaczki obok bobra i norek - widocznie wciąż wisiały w szafach w piwnicy - minęła kurtkę z lisa bez znaczka. Wisiała w szafie na górze. Ciepłe i eleganckie okrycie wyjściowe na późną jesień. A kiedy wybuchł pożar, była późna jesień... Pamiętał, jak podarował jej tę kurtkę na urodziny jakieś siedem lat temu. Przepadła. Teleskop celestron. Przepadł. Wielka kołdra, którą matka Amy dała jej w prezencie ślubnym. Matka Amy nie żyła, a kołdra rozwiała się popiołem na wietrze.

Najgorsze, przynajmniej dla Morta, znajdowało się w połowie drugiej kolumny i znów nie chodziło o wymierną wartość. Na liście widniało: 124 BUTELKI WINA, WARTOŚĆ 4900\$. Wino lubili oboje. Nie mieli bzika na jego punkcie, ale wspólnie urządzili osobne pomieszczenie w piwnicy, razem je zapełnili i od czasu do czasu razem wypijali butelkę.

- Nawet wino - powiedział do Evansa. - Nawet to. Evans spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Mort nie wiedział, co ono miało znaczyć. Kiwnął głową.

- Samo pomieszczenie nie spaliło się, ponieważ w piecu opałowym było bardzo mało oleju i nie nastąpiła eksplozja. Ale temperatura bardzo się podniosła i większość butelek popękała. Ta reszta, która została... No cóż, nie znam się na winie, ale wątpię, żeby nadawało się do picia. Może się mylę.

- Nie myli się pan - powiedziała Amy. Samotna łza spłynęła jej po policzku. Otarła ją machinalnie.

Evans podał jej chusteczkę. Potrząsnęła głową i znów pochyliła się wraz z Mortem nad listą.

Dziesięć minut potem było po wszystkim. Podpisali, co trzeba, i Strick potwierdził ważność podpisów. Ted Milner pokazał się dopiero kilka chwil później, jakby oglądał całą rzecz na jakimś monitorze.

- Jeszcze coś? - zapytał Mort Evansa.

- Nie w tej chwili. Ale może coś wyniknie. Czy pański numer telefonu w Tashmore jest zastrzeżony, panie Rainey?

- Tak. - Zapisał go Evansowi. - Proszę dzwonić, jeśli moja pomoc okaże się potrzebna.

- Zadzwoń. - Evans podniósł się z wyciągniętą ręką. - To zawsze jest nieprzyjemne.

Przykro mi, że musieliście przez to przejść.

Wymieniono uściski dłoni, po czym Strick i Evans zostali, żeby napisać sprawozdanie. Było już dobre kilka minut po pierwszej i Ted spytał Morta, czy nie miałby ochoty zjeść lunchu z nim i z Amy. Mort potrząsnął głową.

- Wracam. Wezmę się za pracę. Może uda mi się na chwilę zapomnieć o tym wszystkim. - Naprawdę w to wierzył. Nic dziwnego. Kiedy robiło się ciężko - w każdym razie aż do rozwodu, który okazał się wyjątkiem od reguły - pisanie zawsze stawało się łatwe. Nawet konieczne. Dobrze uciec do zmyślonych światów, kiedy przebywanie w prawdziwym boli.

Na wpół oczekiwał, że Amy poprosi go, żeby zmienił plany, ale nie zrobiła w tym kierunku żadnego kroku.

- Jedź ostrożnie - powiedziała i złożyła cnotliwy pocałunek w kąciku jego ust. - Dzięki za przyjazd i za to, że byłeś taki... wyrozumiały we wszystkim.

- Mogę coś dla ciebie zrobić, Amy?

Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i wzięła Teda za rękę. Jeśli miał jakieś wątpliwości, zniknęły jak zdmuchnięte. Wolno podeszli do buicka.

- Dobrze ci tam leci? - spytał Ted. - Nie trzeba ci czego? Po raz trzeci uderzył go południowy akcent tego człowieka - jeszcze jeden zbieg okoliczności.

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy - powiedział.

Otworzył drzwi i wyjął klucze z kieszeni. - Skąd pochodzisz, Ted? Musieliście z Amy mówić mi to kiedyś, ale niech mnie szlag trafi, jeśli pamiętam. Missisipi? Ted zaśmiał się serdecznie.

- Do Missisipi jest stamtąd kawał drogi, Mort. Wychowywałem się w małej miejscinie w Tennessee. Nazywa się Kolba Spluwy.

## 22

Mort wracał do Tashmore z rękami zaciśniętymi na kierownicy, wyprostowany jak struna, nie odrywając oczu od drogi. Radio grało głośno i ilekroć mózg Morta usiłował przejść z biegu jałowego na jedynkę, Mort koncentrował się żarliwie na muzyce. Nie przejechał jeszcze sześćdziesięciu kilometrów, gdy poczuł parcie w pęcherzu. Ucieszony tym rozwojem wypadków ani myślał korzystać z przydrożnej toalety. Potrzeba odpryskania się cudownie zagłuszała myśli.

Dotarł do domu około wpół do piątej i zaparkował w zwykłym miejscu. Erie Clapton rozwijał się w oszałamiającej gitarowej solówce, kiedy Mort wyłączył silnik, i cisza runęła jak ładunek gładkich opakowanych w gumę piankową. Na jeziorze nie było ani jednej łodzi, w trawie ani jednego świerszcza.

„Sikanie i myślenie mają wiele wspólnego, pomyślał, wyłażąc z wozu i rozpinając zamek błyskawiczny spodni. Można odwlec jedno i drugie... ale nie na zawsze”.

Stał, oddawał mocz i myślał o tajemnych oknach i tajemniczych ogrodach. Myślał o tych, którzy mają te ostatnie, i tych, którzy wyglądają przez te pierwsze. Myślał o tym, że czasopismo potrzebne mu, aby dowieść pewnemu facetowi, iż albo jest wariatem, albo oszustem, przypadkowo spłonęło tego właśnie wieczoru, kiedy chciał wziąć je do ręki. Myślał o tym, że kochanek jego byłej żony, człowiek, którego serdecznie nienawidził, pochodził z miasteczka Kolba Spluwy i że „Spluwa” był przypadkowo pseudonimem wyżej wymienionego świra-lub-oszusta, który pojawił się w życiu Morta Rainey a dokładnie wtedy, gdy wyżej wspomniany Mort Rainey zaczynał rozumieć, że jego rozwód nie jest teorią, ale nagim faktem, rzucającym na całe jego życie. Aż do śmierci. Myślał nawet o tym, iż John Spluwa twierdził, jakoby odkrył plagiat mniej więcej w tym samym czasie, w którym Mort Rainey rozpoczął separację z żoną.

Pytanie: Czy wszystkie te rzeczy są zbiegami okoliczności?

Odpowiedź: Teoretycznie niewykluczone. Pytanie: Czy wierzysz, że wszystkie te rzeczy są zbiegami okoliczności?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Czy w takim razie wierzysz, że tracisz rozum?

- Odpowiedź brzmi: nie - powiedział Mort. - Mort w to nie wierzy. Przynajmniej na razie.

Zasunął zamek błyskawiczny i obszedł róg domu. Kierował się do drzwi.

## 23

Znalazł klucz. Włożył w zamek. Wyjął. Ręka podeszła do gałki, a kiedy palce objęły metal, miał całkowitą pewność, że gałka obróci się bez oporu. Spluwa tu był... był lub wciąż jest. I wcale nie musiał się włamywać. Nie, nie. Nie taki on frajer. Mort trzymał zapasowy klucz w starej mydelniczce, wysoko na półce w szopie z narzędziami, gdzie Spluwa udał się w pośpiechu po śrubokręt, żeby przyszpilić biednego Łazęgę do skrzyni na śmieci. Teraz był w domu, buszował... a może się schował. Był...

Gałka nie chciała się obrócić. Palce Morta tylko się omsknęły.

- Dobra - powiedział Mort. - Dobra, nie ma sprawy. Nawet się zaśmiał, wkładając i obracając klucz. Jeśli drzwi były zamknięte na klucz, to jeszcze nie znaczy, że Spluwy nie ma w domu. Prawdę mówiąc, jeśli drzwi są zamknięte, to obecność Spluwy staje się tym bardziej prawdopodobna. Mógł użyć zapasowego klucza, odłożyć go i zamknąć drzwi od wewnątrz,

żeby uspić czujność przeciwnika. Wystarczyło zresztą wcisnąć guzik w gałce, by zatrzasnąć zamek. „Chce mi popędzić kota”, pomyślał Mort, wchodząc do środka.

Dom był pełen kurzu, unoszącego się w słońcu późnego popołudnia. I ciszy. Ale w tej ciszy czuło się ludzką obecność.

- Chcesz mi popędzić kota, co?! - zawołał. Wyobrażał sobie, że kiedy krzyknie, usłyszy głos szaleńca: oto samotny, ogarnięty paranoicznym lękiem mężczyzna zwraca się do napastnika istniejącego tylko w jego wyobraźni. Ale nie usłyszał głosu szaleńca. Zamiast tego usłyszał głos kogoś, kto wyniuchał co najmniej połowę szwindlu. Może to nie takie wielkie osiągnięcie, ale lepsza połowa niż nic.

Wszedł do bawialni, której sufit był wysoki jak w katedrze i której szklana ściana wychodziła na jezioro, i w której oczywiście stała sławna na świat cała sofa Rainey a, znana również jako kanapa pogrążonego w śpiączce pisarza. Oszczędny uśmiezek rozciągnął mu policzki. Jądra podeszły wysoko i nacisnęły krocze.

- Połówka szwindlu to lepiej niż nic, zgadza się, panie Spluwa?! - zawołał.

Te słowa zamarły w pełnej kurzu ciszy. W tym kurzu czuł zapach dziwnego tytoniu. Jego wzrok padł przypadkowo na wykopalisko z szuflady biurka, zniszczone pudełko papierosów. Uderzyło go, że dom ma zapach - prawie smród - świadczący o braku kogoś. Braku kobiety. Śmierdziało kobiecą nieobecnością. Potem pomyślał: „Nie. Błąd. To nie tak. Ten zapach to zapach Spluwy. Wyniuchałeś go i jego papierosy. Nie twoje, jego”.

Powoli obrócił się z zadartą w górę głową. Na wysokości połowy ściany widać było otwór drzwiowy sypialni. Był zastawiony ciemnobrązową balustradą. Miała chronić nieuważnych przed runięciem w dół, na podłogę bawialni, ale spełniała też rolę ozdoby. W tym właśnie momencie nie wydała się Mortowi specjalnie ozdobna; wyglądała jak krata celi więziennej. Z tego miejsca widział jedynie sufit i jedną z czterech nóg łóżka w pomieszczeniu, które z Amy nazywali sypialnią gościnną.

- Jesteś tam, panie Spluwa?! - wrzasnął. Nie było odpowiedzi.

- Wiem, że chcesz mi popędzić kota!! - Dopiero teraz zaczął się czuć ciut, ciut głupawo. - Ale ci się nie uda!!

Jakieś sześć lat temu wstawili w wielki kominek zbudowany z polnych kamieni elektryczny piec Blackstone Jersey. Obok mieścił się stojak na przybory kominkowe. Mort złapał za szufelkę do wygarniania popiołu, oceniał ją przez chwilę, odstawił i chwycił pogrzebacz. Obrócił się do zagrodzonych balustradą drzwi sypialni. Podniósł pogrzebacz jak rycerz składający salut swej królowej. Podeszedł do schodów i powoli zaczął wchodzić na

górze. Czuł napięcie obejmujące coraz wyższe partie mięśni, ale wiedział, że nie boi się Spluwy. Bał się, że nie znajdzie nikogo.

- Wiem, że tam jesteś, i wiem, że chcesz mi popędzić kota! Jedyna rzecz, której nie wiem, to o co w tym wszystkim chodzi, Alfie, ale jak cię znajdę, to mi wyśpiewasz wszystko!\*. \* Mort cytuje słowa piosenki śpiewanej przez D. Warwick.

Zatrzymał się na podeście pierwszego piętra. Serce waliło mu w piersi. Pokój gościnny miał po lewej. Drzwi do gościnnej łazienki po prawej. Nagle pojawił się Spluwa. Spluwa jest tu. Na sto dwa. Nie w sypialni. To tylko zmyłka. Spluwa chciał podsunąć mu tę myśl.

Spluwa jest w łazience.

A kiedy Mort stał tak na podeście z pogrzebaczem zaciśniętym mocno w prawej ręce i pot spływał mu po policzkach, usłyszał go. Słabe szur-szur. Jest tu. Na sto dwa. Z tego co słychać, to pod prysznicem. Poruszył się mini-minimalnie. A kuku, Jasiu-głuptasiu, słyszysz cię. Masz broń, w mordę kopany?

Chyba tak, ale Mort nie spodziewał się broni palnej. Podejrzewał, że jedyny kontakt, jaki facet miał z bronią palną, to pisarskie pseudo. Spluwa wyglądał na faceta, który czuł pociąg do mniej skomplikowanych narzędzi. Wystarczy wziąć pod uwagę to, co zrobił Łazędze.

„Założę się, że to młotek”, pomyślał Mort i otarł pot z karku wolną ręką. Czuł, jak krew pulsuje mu w gałkach ocznych, jak wyłażą z oczodołów, to cofają się w głąb czaszki w rytm uderzeń to serca. „Założę się, że młotek z szopy z narzędziami”.

Nie myślał już o tym więcej. Widział teraz Spluwę, widział go wyraźnie. Stoi pod prysznicem w czarnym kapeluszu, w żółtych roboczych butach chłopca od gnoju, wargi podjechały mu do góry, odsłaniając zamawiane pocztą sztuczne szczęki, uśmiech-nie-uśmiech: grymas-pot leje się po twarzy, ścieka głębokimi zmarszczkami jak woda w cynkowanym rynnie, młotek z szopy z narzędziami uniósł na wysokość ramienia jak sędzia po ogłoszeniu wyroku. Stoi pod prysznicem, czeka, żeby wałnąć młotkiem. Woźny, następna sprawa!

„Znam cię, koleś. Przejrzałem cię. Przejrzałem, jak tylko cię zobaczyłem. I masz pojęcie? Wybrałeś sobie nie tego co trzeba pisarza do upierdolenia. Od połowy maja miałem chęć zabić kogoś i nie mam nic przeciwko temu, żebyś to był ty”.

Obrócił głowę ku sypialni. Równocześnie sięgnął lewą ręką (poprzednio otarł ją o koszulę, żeby w krytycznym momencie mu się nie omsknęła) i zacisnął na gałce drzwi od łazienki.

- Wiem, że tam siedzisz! - krzyknął w kierunku zamkniętych drzwi sypialni. - Jak wlałeś pod łóżko, to lepiej wylaż! Liczę do trzech! Jak nie wyjdiesz, nim doliczę do końca, wchodzę... wchodzę i wykończę cię! Słyszysz?!

Odpowiedzi nie było... ale nie oczekiwał jej. Ani nie chciał. Zaciśnął mocniej rękę na gałce, ale wyliczankę zamierzał skierować w stronę drzwi pokoju. Nie wiedział, czy Spluwa weźmie się na to, ale to niewykluczone. Facet był spryčiuła. Spryčiuła jak diabli.

Na sekundę przed wyliczanką dobiegł go następny niewyraźny odgłos z łazienki. Gdyby nie był tak skoncentrowany, nie usłyszałby. Nawet z tak bliska.

- Raz!

Jezu, ależ się pocić! Jak wieprz!

- Dwa!

Gałka drzwi łazienki spoczywała mu w zaciśniętej ręce jak kawał zimnej skały.

- Trz...

Obrócił gałkę i walnął drzwiami o ścianę z taką siłą, że rozdarł tapetę i wyszarpnął dolny zawias, i on tam był, on tam był, szarżował na Morta z podniesioną bronią, usta szczyrzył w uśmiechu, jak to zabójca, w oczach miał szaleństwo, kompletne szaleństwo, a Mort świsnął w dół znad głowy, spuścił w dół pogrzebacz i miał dość czasu, żeby uświadomić sobie, że Spluwa też uderza pogrzebaczem i uświadomił sobie, że Spluwa nie ma na głowie swojego płaskiego czarnego kapelusza i uświadomił sobie, że to wcale nie Spluwa, uświadomił sobie, że to on sam, szaleniec to on sam, a pogrzebacz roztrzaskał lustro nad umywalką i odłamki posrebrzanego szkła prysnęły na wszystkie strony, migocąc w półmroku, a wisząca apteczka spadła do wanny, pogięte drzwiczki rozdziawiły się, plunęły buteleczkami z syropem, jodyną i genc-janą.

- Zabiłem cholerne, pierdolone lustro! - zawył i już miał odrzucić pogrzebacz, kiedy coś poruszyło się pod prysznicem, za drzwiami z falistego plastiku. Rozległ się cichy, przerażony pisk. Uśmiechnął się szeroko, walnął w lewo i prawo, wyrwał kawały plastiku w drzwiach prysznic, wysadził je z szyn. Podniósł pogrzebacz nad głowę, wybałuszył szkliste oczy, obnażył usta w uśmiechu, jaki wyobrażał sobie na twarzy Spluwy.

Powoli opuścił pogrzebacz. Musiał użyć palców lewej ręki, żeby oderwać zaciśnięte na nim palce prawej i wypuścić broń. Pogrzebacz upadł na podłogę.

- Ożeż ty potworo tchórzasta - powiedział do polnej myszki, która ślepo miotała się pod prysznicem. - Strachulec ci w piersi chlasta.

Głos miał chrapliwy, płaski. Dziwny. Zupełnie jak nie własny. Jakby po raz pierwszy słyszał siebie nagranego na taśmę.



Odwrócił się i powoli wyszedł z łazienki. Minął koślawe drzwi wiszące na resztkach zawiasów. Pod nogami zgrzytały kawałki lustra.

Nagle zapragnął pójść na dół, położyć się na kanapie i zdrzemnąć. Nagle zapragnął tego najbardziej na świecie.

## 24

Obudził go dzwonek telefonu. Zmierzch przeszedł niemal w noc. Powoli obszedł niski stoliczek, który lubił kopać. Miał przedziwne uczucie, że czas zrobił rundę i powtarza się. Prawa ręka bolała go jak wszyscy diabli. Plecy były w nie lepszym stanie. Jak silnie machnął pogrzebaczem? Jak wielkiej uległ panice? Wolał nie myśleć.

Podniósł słuchawkę. Nie zastanawiał się, kto to mógł być. Ostatnio życie jest tak pełne sensacji, kochanie, że może to być nawet prezydent.

- Halo?

- Jak się pan miewa, panie Rainey? - spytał głos. Mort zatoczył się, oderwał słuchawkę, jakby trzymał jadowitego węża. Powoli przysunął ją do ucha.

- A nieźle, panie Spluwa. - W ustach mu zaschło. - A jak u pana?

- Jak u Pana Boga za piecem - oznajmił Spluwa. Mówił tym dosadnym, wiejskim, południowym akcentem. Był on równie wyrazisty i narzucający się jak niemalowana stodoła, stojąca samiusieńka na środku pola. - Ale nie zdaje mi się, żeby z panem było tak świetnie. Okradanie drugiego nie psuło chyba panu nigdy humoru. Ale jak nóżka się powinęła... co innego. Musi pan cierpieć istne katusze.

- O czym ty gadasz?

Wyglądało na to, że Spluwa jest lekko rozbawiony.

- No cóż, słyszałem w radiu, że ktoś spalił pańskom chałupę. Te drugom. A jakżeś pan wrócił, to chybaś pan dostał kręcka albo co, jakeś pan wszedł do domu. Krzyki... walenie po meblach... A może tacy szanowani pisarze jak pan zawsze się wściekają, jak sprawy idą nie po ich myśli. Czy nie tak?

„Boże mój, on tu był. Był”.

Mort przyłapał się na tym, że patrzy w okno, jakby Spluwa wciąż tam był... krył się w krzakach i rozmawiał przez jakiś bezprzewodowy telefon. Śmieszne, oczywiście.

- Czasopismo z moim opowiadaniem jest w drodze - powiedział. - Zostawisz mnie w spokoju, kiedy przyjdzie?

Spluwa nadal mówił tym samym lekko rozbawionym tonem.

- Nie ma żadnego czasopisma z opowiadaniem, panie Rainey. Pan to wiesz i ja to wiem, obaj to wiemy. Żadnego czasopisma z roku 1980. Gdzieżby tam. Skąd by się wzięło, skoroś pan ukraść mojom opowieść dopiero w 1982?

- Do cholery jasnej, nie ukradłem twojej opo...

- Kiedym zwiedził się o tej pańskiej chałupie, wyszedłem i kupiłem „Evening Express”. Widziałem zdjęcie tego, co zostało. Niedużo na nim było. I zdjęcie pana żony. - Długa, pełna namysłu pauza. - Ale z niej kobiiiiita. - Celowo z sarkazmem podkreślał chłopską wymowę. - Jak taki wredny skurwidziad jak pan, panie Rainey, miał szczęście trafić na takom kobitę?

- Jesteśmy rozwiedzeni. Powiedziałem ci to. Może przejrzała na oczy. Dlaczego nie wyłączymy z tego Amy? To sprawa między tobą i mną.

Drugi raz w ciągu ostatnich dwóch dni odpowiadał na telefon na wpół śpiący i prawie bezbronny. W rezultacie Spluwa niemal całkiem sterował rozmową. Wodził go za nos, jak chciał.

„No, to odłóż słuchawkę”.

Ale nie mógł. Jeszcze nie.

- Między nami, mówisz? - spytał Spluwa. - No to widzi mi się, żeś pan nikomu o mnie nie gadał.

- Czego chcesz? Powiedz! Czego chcesz, do diabła?

- Chcesz pan znać ten drugi powód, dla któregoś zjechał, no nie?

- Tak!

- Napisz dla mnie opowiadanie - spokojnie powiedział Spluwa. - Napisz dla mnie opowiadanie, podpisz moim nazwiskiem i daj mi. Należy mi się to od ciebie. Prawda i uczciwość jeden płot buduj.

Mort stał w holu, ściskając słuchawkę w obolałej ręce, a żyła pulsowała mu na czole. Na kilka chwil opanowała go tak wściekła furia, że przesłoniła wszystko i w mózgu wirowało mu jedynie „WIĘC O TO CHODZI! WIĘC O TO CHODZI! WIĘC O TO CHODZI!”. To samo w koło i w koło.

- Jesteś pan tam, panie Rainey? - spytał Spluwa swym spokojnym głosem z południowym akcentem.

- Napiszę ci wyrok śmierci, ot co - wycodził wolno Mort głosem chrapliwym od przelewającej się furii - jeśli nie zostawisz mnie w spokoju.

- W gębie toś mocny, pielgrzymie - powiedział Spluwa cierpliwie, tak jak dorośli zwracają się do tępych dzieci - bo wiesz, że nie mogę ci ukrzywdzić. Jakbyś mi ukraść psa

albo auto, mógłbym zabrać twojego psa albo twoje auto. Nic prostszego. Tak jak skrócić kark twojemu kotu. Jakbyś próbował mnie powstrzymać, mógłbym cie ukrzywdzić i tak bym sobie wziął. Ale z tym jest inaczej. To, czego chce, masz w głowie. Zamknięte jak w sejfie. Tylko że ja nie mogę wysadzić drzwi ani palnikiem wyciąć dziury. Musze znaleźć kombinacje. Prawda?

- Nie wiem, o czym gadasz - powiedział Mort - ale prędzej Statua Wolności będzie miała pieluchę pod tyłkiem, niż wydrzesz ode mnie to opowiadanie. Pielgrzymie.

Spluwa rzekł z głębokim namysłem:

- Gdybym mógł, tobym jom z tego wyłączył, ale widzi mi się, że nie dajesz mi tej szansy.

Mortowi nagle zabrakło śliny. W ustach poczuł suchość i gorąco.

- O co... o co...

- Chcesz obudzić się z dużej drzemki i zobaczyć Amy przybitom do skrzyni na śmieci? - spytał Spluwa. - Albo włączyć radio któregoś ranka i dowiedzieć się, że przegrała w pojedynku z piłom elektrycznom w twoim garażu? A garaż się spalił?

- Uważaj, co mówisz - szepnął Mort. Jego szeroko rozwarte oczy piekły łyż wściekłości i strachu.

- Dalej masz dwa dni na zastanowienie się, panie Rainey. Przyjrzyj się temu ze wszystkich stron. A na twoim miejscu zatroszczyłbym się o niom. I nie gadałbym o tym z nikim innym. Bo to byłoby jak otwarcie okna podczas burzy. Rozwiedzionyś, nie rozwiedzionyś, ale coś mi się widzi, że dalej masz słabość do tej paniusi. Czas wyjść z krótkich portek. Nie upiecze ci się to. Nie zrozumiałeś jeszcze? Wiem, coeś zrobił, i nie odpuszczę, dopóki nie dostane tego, co mi się należy.

- Jesteś stuknięty! - wrzasnął Mort.

- Dobranoc, panie Rainey - powiedział Spluwa i odłożył słuchawkę.

## 25

Mort stał przez chwilę. Dłoń ze słuchawką z wolna opadała w dół. Nagle złapał za podstawkę staromodnego telefonu. Już chciał ją rozwalić o ścianę, ale udało mu się zapanować nad sobą. Odstawił aparat i odetchnął dobre kilka razy - aż zaczęło mu się kręcić w głowie. Wybrał numer domowy Herba Creekmore'a.

Za drugim dzwonkiem odebrała Dolores, przyjaciółka Herba, i zawołała gospodarza.

- Cześć, Mort - powiedział Herb. - Co z domem?

Herb musiał odsunąć trochę usta od mikrofonu słuchawki, bo jego głos zabrzmiał teraz z pewnego oddalenia.

- Dolores, zechciałabyś przesunąć rondel na tylny palnik? „W Nowym Jorku siadają do kolacji, pomyślał Mort. On chce, żeby o tym wiedział. No tak, nie ma co rozdzierać szat. Jakiś szajbus groził właśnie, że zrobi z mojej żony eskalopki, ale życie musi toczyć się dalej, prawda?”.

- Dom przepadł - powiedział Mort. - Ubezpieczenie pokryje straty.

Po chwili dodał:

- Finansowe straty.

- Współczuję ci - powiedział Herb. - Mogę w czymś pomóc?

- Cóż, jeśli chodzi o dom, to w niczym, ale dzięki za gotowość. Ale co do opowiadania...

- Jakiego opowiadania, Mort?

Ręka bezwiednie zacisnęła mu się na słuchawce i rozluźnił ją wysiłkiem woli. „On nie wie, jaka tu jest sytuacja. Musisz o tym pamiętać”.

- Tego, przez które rozrabia mój kumpel świr. - Usiłował zachować lekki, niedbały ton. - *Czas siejby*. „Ellery Queen’s Mystery Magazine”.

- Aaa, to!

Mort poczuł ukłucie lęku.

- Ale nie zapomniałeś zatelefonować?

- Nie, telefonowałem - zapewnił Herb. - Przez chwilę kompletnie o tym zapomniałem.

Tracisz swój dom i w ogóle...

- No? I co powiedzieli?

- Nie przejmuj się tym. Jutro dostanę ksero i prześlę je zaraz przez Federal Express. Do dziesiątej rano pojutrze będziesz to miał.

Przez chwilę Mortowi wydawało się, że wszystkie problemy są rozwiązane, i zaczął się uspokajać. Potem przypomniał sobie blask oczu Spluwy, twarz przysuniętą do jego twarzy, czoło dotykające prawie jego czoła, lekką woń cynamonu w oddechu, kiedy powiedział: „Kłamiesz”.

Ksero? Nie był całkiem pewien, czy Spluwa raczy zaakceptować oryginał... co dopiero ksero.

- Nie - powiedział z wolna. - To nie załatwia sprawy, Herb. Żadne ksero, żaden telefon od wydawcy. To musi być oryginalny egzemplarz.

- No, to trochę cięższa sprawa. Ich redakcja jest oczywiście na Manhattanie, ale archiwa mają w oddziale przyjmującym subskrypcje, w Pensylwanii. Zatrzymują tylko pięć

egzemplarzy każdego numeru - na więcej nie starcza im miejsca, trzeba wziąć pod uwagę, że EQMM wychodzi od 1941 roku. Nie szaleją z wypożyczaniem ich na prawo i lewo.

- No wiesz, Herb! Możesz znaleźć te czasopisma na pierwszej lepszej wyprzedaży i w połowie małomiasteczkowych bibliotek Ameryki!

- Ale nigdy komplet. - Herb urwał na moment. - Nawet telefon nie załatwia sprawy, co? To facet jest taki paranoik, że gotów pomyśleć, iż telefonuje podstawione przez ciebie jedno z tysiąca twoich popychadeł?

Z tylnego planu doleciało:

- Czy nalewać wino, Herb?

Herb znów odsunął słuchawkę od ust.

- Zaczekaj chwilę, Dolores.

- Przeszkadzam ci w kolacji - powiedział Mort. - Przepraszam.

- Jestem twoim agentem na dobre i złe. Mort, słuchaj, bądź ze mną szczery - czy gość naprawdę jest tak szurnięty? Jest niebezpieczny?

„I nie gadałbym o tym z nikim innym. Bo to byłoby jak otwarcie okna podczas burzy”.

- Nie sądzę - powiedział - ale chcę, żeby się ode mnie odczepił, Herb.

Zawahał się, szukał odpowiedniego tonu.

- Ostatnie pół roku było dla mnie jak wystawanie pod gołym niebem, z którego wali na mnie wszystko co najgorsze. Ale z tym chyba sobie poradzę. Chcę tylko, żeby przestano mi zawracać głowę.

- Dobra. - Herb podjął nagłą decyzję. - Zadzwoń do EQMM, do Marianny Jaffer. Znam ją od wieków. Jeśli poproszę, żeby zwróciła się do kuratora bibliotecznego - tak tytułują tego faceta, kurator biblioteczny, przysięgam - z prośbą o przysłanie nam egzemplarza z czerwca 1980 roku, ona to zrobi. Czy mogę przyrzec jej, że będziesz miał dla nich kiedyś jakieś opowiadanie?

- Jasne - powiedział Mort i pomyślał: „Powiedz jej, że napiszę je pod pseudonimem John Spluwa”. Mało nie wybuchnął śmiechem.

- Dobrze. Ona każe temu kuratorowi posłać ci egzemplarz przez Federal Express, prosto z Pensylwanii. Tylko zwróć go w dobrym stanie albo znajdź egzemplarz zastępczy na jednej z tych wyprzedaży, o których wspomniałeś.

- Jest cień szansy, że wszystko to zakończy się do pojutra? - spytał Mort. Miał żalostną pewność, że Herb pomyśli, iż robi z igły widły i że zwariował, skoro o to pyta.

- Wydaje mi się, że całkiem duża szansa. Nie gwarantuję na sto procent, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć tak.

- Dzięki, Herb. - Mort czuł autentyczną wdzięczność. - Jesteś bomba.

- A gdzieżeż tam, paniusiu - powiedział Herb. Był absurdalnie dumny ze swoich niezbyt udanych parodii Johna Wayne'a.

- Siadaj do obiadu. I ucałuj Dolores ode mnie. Herb nie wyszedł jeszcze z roli.

- A diabli tam! Od siebie jo pocałuje, pielgrzymie. „W gębie toś mocny, pielgrzymie”.

Mort poczuł przyływ takiej grozy, takiego strachu, że mało nie krzyknął głośno. Te same słowa, ten sam płaski, wyraźny akcent południowca. Spluwa założył podsłuch i bez względu na to, do kogo Mort dzwoni, odpowiada John Spluwa. Herb Creekmore to tylko jeden z jego pisarskich pseudonimów i...

- Mort? Jesteś tam?

Zamknął oczy. Teraz, kiedy Herb dał sobie spokój z nedorobioną imitacją Johna Wayne'a, było w porządku. Powrócił Herb i nigdy nie było na jego miejscu nikogo innego. Herb używający tego słowa, które było tylko...

Czym?

„Tylko następną platformą w Paradzie Zbiegów Okoliczności? Dobra. Jasne. Nie ma sprawy. Stoję sobie tylko przy krawężniku i gapię się, jak mijają. I co z tego? Widziałem, jak przewinęło się już parę większych”.

- Oczywiście, Herb - powiedział, otwierając oczy. - Wyobrażałem sobie tylko, jak bardzo cię uwielbiam. Na ile to sposobów.

- Kochana z ciebie chłopaka - powiedział Herb, wyraźnie mile połączony. - I załatw tę sprawę zgrabnie i bez nadstawiania głowy, zgoda?

- Zgoda.

- No to idę zjeść kolację ze światłością mojego życia.

- Wygląda to na świetny pomysł. Do widzenia, Herb - i dziękuję.

- Proszę. Postaram się, żeby doszło pojutrze. Dee też mówi do widzenia.

- Jeśli stoi z butelką wina w ręce, nie wątpię, że to mówi - powiedział Mort i rozłączyli się ze śmiechem.

Ledwie odłożył słuchawkę, wyobraźnia wznowiła pracę. Spluwa. Zabawia się w imitowanie różnych głosów. Oczywiście było ciemno, nikogo dokoła i w tych okolicznościach wyobraźnia szalała. Niemniej jednak wątpił - a przynajmniej nie dopuszczał do świadomości - żeby John Spluwa był istotą nadprzyrodzoną lub superkryminalistą. Gdyby był tym pierwszym, wiedziałby doskonale, że Mort Rainey nie popełnił plagiatu -

przynajmniej jeśli chodzi o to właśnie opowiadanie - a gdyby był tym drugim, szturmowałby do jakiegoś banku czy czegoś podobnego, a nie tracił czas i zdrowia w zachodnim Maine, usiłując wycisnąć opowiadanie z pisarza, który dorobił się znacznie większej forsy na powieściach.

Powoli ruszył do bawialni, zamierzając przejść do gabinetu i spróbować podziałać przy komputerze, gdy uderzyła go pewna myśl („przynajmniej jeśli chodzi o to właśnie opowiadanie”) i stanął.

Co dokładnie znaczy, „to właśnie opowiadanie”? Czy kiedykolwiek okradł kogoś z owoców jego pracy?

Od kiedy Spluwa pojawił się na werandzie z plikiem kartek, Mort z całą powagą rozważał ten problem. Wielu recenzentów jego książek zarzucało mu brak oryginalności, twierdzili, że przeważnie przerabia znane już wątki. Przypomniał sobie słowa Amy po przeczytaniu recenzji *Małego kataryniarza*, w której najpierw oddano hołd przystępnemu stylowi książki, a potem zasugerowano pewne zapożyczenia fabularne. Powiedziała wtedy: No i co z tego? Czy ci faceci nie orientują się, że naprawdę jest tylko z pięć dobrych wątków i pisarze opracowują je w kółko, tworząc tylko różne postaci?

Sam uważał, że istnieje najwyżej sześć tematów: sukces, porażka, miłość i rozstanie, zemsta, utrata osobowości, poszukiwanie nadludzkiej potęgi, Boga czy szatana. Zajmował się pierwszymi czterema w kółko, obsesyjnie i myśląc o tym teraz, dochodził do wniosku, że *Czas siejby* zawierał przynajmniej trzy. Ale czy to plagiat? Jeśli tak, każdy powieściopisarz na świecie jest winien tej zbrodni.

Plagiat, zdecydował, to ordynarna kradzież. A tego nie popełnił w życiu nigdy. Nigdy.

- Nigdy - powiedział i wkroczył do gabinetu z wysoko podniesioną głową, szeroko rozwartymi oczyma, jak rycerz wkracza na pole walki. I zasiadł do biurka, i przez następną godzinę słowa nie napisał żadnego.

## 26

Bezplodna szychta przy komputerze przekonała go, że wypicie obiadu zamiast zjedzenia go może okazać się dobrym pomysłem. Był właśnie przy drugim bourbonie z wodą sodową, kiedy odezwał się telefon. Mort zbliżył się do niego ostrożnie, żałując teraz, że jednak nie sprawił sobie automatycznej sekretarki. Mają one przynajmniej jedną niezaprzeczalną zaletę: można kontrolować napływające telefony i odsiewać przyjaciół od wrogów.

Stał niezdecydowany. Rozmyślał o tym, jak nie cierpi dźwięku nowoczesnych telefonów. Kiedyś, przed wielu, przed wielu laty dzwoniły - dźwięczały nawet radośnie.

Teraz zawodziły chrapliwie, co kojarzyło się z bólem głowy, który w ten sposób anonsował swe nadejście.

„No co, podniesiesz, czy będziesz tak stał i słuchał tego zawodzenia?”

Nie chcę z nim już mówić. Boję się go i doprowadza mnie do furii. I nie wiem, co gorsze. Może to nie on. Może to on”.

Wątkował te dwie myśli. Było to jeszcze gorsze niż jodłowanie telefonu, więc podniósł słuchawkę, burknął „halo” i okazało się, że to ktoś tak niegroźny jak konserwator, Greg Carstairs.

Greg zadał już znajome pytanie o dom i Mort znów odpowiedział na nie po kolei. Pomyślał, że opowiadanie o okolicznościach takiego zdarzenia niezwykle przypomina opowiadanie o okolicznościach nagłego zgonu. Jeżeli coś może pomóc pokonać szok, to stałe powtarzanie znanych faktów.

- Słuchaj, Mort, w końcu dopadłem Toma Greenleafa. Późnym popołudniem - powiedział Greg. W głosie Grega było coś dziwnego, jakiś ostrożny ton. - Razem z Sonnym Trottssem malowali kościół metodystów w Parish Hall.

- Mhm... Mówiłeś z nim o moim drogim kumplu?

- Taa... mówiłem - rzekł Greg z jeszcze większą ostrożnością.

- No i? Nastąpiła krótka pauza.

- Tom powiedział, że musiały ci się pomieszać daty - odezwał się po chwili.

- Pomieszać daty... o co ci chodzi?

- No więc - teraz w głosie Grega pojawiła się nuta przepraszająca - mówi, że faktycznie jechał wczoraj po południu Lake Drive i faktycznie cię widział. Mówi, że ci pomachał, a ty mu odmachałeś. Ale, Mort...

- Co? - Ale już czuł, co się święci, i ogarniał go lęk.

- Tom mówi, że byłeś sam - dokończył Greg.

## 27

Przez dłuższą chwilę Mort się nie odzywał. Nie czuł się zdolny do powiedzenia czegokolwiek. Greg też nic nie mówił, dawał mu czas do namysłu. Oczywiście, Tom Greenleaf to nie pisklę, które wczoraj wykuło się z jaja. Był starszy od Dave'a Newsome'a o przynajmniej trzy, może i sześć lat. Ale nie cierpiał na uwiad starchy.

- Jezu - w końcu powiedział Mort bardzo cicho. Prawdę mówiąc, czuł lekki zawrót głowy.

- Mnie się widzi - nieśmiało powiedział Greg - że może Tomowi trochę się pomieszało. Wiesz, że nie wykuł się z jaja...



- ...wczoraj - dokończył Mort. - Wiem. Ale nie wyobrażam sobie w Tashmore kogoś, kto ma lepsze oko na obcych niż Tom. Potrafi zapamiętać obcego na zawsze, Greg. To jedna z umiejętności konserwatorów, nie?

Nabrał powietrza w płuca i wybuchnął:

- Patrzył na nas! Patrzył wprost na nas dwóch! Ostrożnie, jakby tylko żartem, Greg zapytał:

- Jesteś pewien, że ten gościu ci się nie przyśnił, Mort?

- Nawet nie brałem tego pod uwagę - z wolna powiedział Mort - aż do tej chwili. Jeśli to wszystko się nie stało, a ja biegam po ludziach i opowiadam, że się stało, to chyba dostanę fioła.

- Och, nawet mi to nie przyszło do głowy - szybko powiedział Greg.

- A mnie przyszło - odpowiedział Mort. Pomyślał: „A może jemu naprawdę o to chodzi. Chce, żeby ludzie myśleli, iż zwariowałem. I może w końcu doprowadzi do tego, że to, co ludzie myślą, stanie się prawdą”.

O tak. Jak najbardziej. I wszedł w spółę ze starym Tomem Greenleafem, żeby mnie wykończyć. I w rzeczywistości to chyba Tom pojechał do Deny i spalił dom, kiedy Spluwa został tu i wykończył kota - tak?

Nie, pomyśl. Dobrze POMYŚL. Czy on tu był? NAPRAWDĘ był?

Więc Mort myślał. Myślał o tym intensywniej niż o czymkolwiek w życiu; intensywniej nawet, niż myślał o Amy i Tedzie i o tym, co powinien był z nimi zrobić wtedy, jak nakrył ich razem w łóżku tego majowego dnia. „Czy John Spluwa jest halucynacją?”.

Znów myślał o tym, z jaką szybkością Spluwa złapał go i przycisnął do boku swego samochodu.

- Greg?

- Jestem, Mort.

- Tom nie widział też samochodu? Stare kombi, tablice rejestracyjne Missisipi?

- Mówi, że wczoraj wcale nie widział żadnego wozu na Lake Drive. Tylko ciebie, jak stałeś na końcu ścieżki, co schodzi do jeziora. Myślał, że podziwiasz widoki.

„Czy to leci na żywo, czy puszcza sobie w głowie taśmy wideo?”.

Wciąż powracał pamięcią do mocnego uścisku rąk Spluwy na swoich ramionach, szybkości, z jaką facet rzucił go o samochód. „Kłamiesz” - powiedział Spluwa. Mort widział hamowaną furię w jego oczach, czuł lekką woń cynamonu w jego oddechu.

Jego ręce.

- Greg, zaczekaj sekundę.

- Nie ma sprawy.

Mort odłożył słuchawkę i wziął się za podwijanie rękawów. Nie szło mu to za dobrze, bo ręce trzęsły mu się mocno. Więc rozpiął i zdjął koszulę, wyprostował ręce. Najpierw nie zobaczył niczego. Ale wykręcił je na zewnątrz tak mocno, jak potrafił, i proszę: dwa żółknące siniaki po wewnętrznej stronie ramienia, tuż nad łokciem.

Znaki, które pozostawił John Spluwa, kiedy złapał go i przycisnął do wozu.

Zrozumiał coś nagle i ogarnął go strach. Ale nie o siebie. O starego Toma Greenleafa.

**28**

Podniósł słuchawkę.

- Greg?

- Jestem.

- Czy Tom miał się dobrze, kiedy z nim rozmawiałeś?

- Był wyczerpany - natychmiast powiedział Greg. - Stary dureń nie powinien czołgać się w zimnie cały dzień po rusztowaniu i machać pędzlem. Nie w jego wieku. Wyglądało na to, że padnie w najbliższą kupę liści i nie zdąży do łóżka. Rozumiem, do czego pijesz, Mort, i podejrzewam, że jeśli był aż tak zmęczony, to mogło mu się popieprzyć, ale...

- Nie, nie o tym myślę. Czy jesteś pewien, że to było tylko wyczerpanie? Że nie był przestraszony?

Teraz po drugiej stronie linii nastąpiła długa, brzemienna w namysł pauza. Mimo całego zniecierpliwienia Mort nie przerywał jej. Niech Greg ma tyle czasu na myślenie, ile mu potrzeba.

- Był nieswój - powiedział wreszcie Greg. - Wytracony z równowagi... jakoś nienormalny. Przypisałem to najzwyczajniej-szemu zmęczeniu, ale może to nie było zmęczenie. A może nie tylko zmęczenie...

- Może ukrywał coś przed tobą? Tym razem pauza nie była tak długa.

- Nie wiem. Może ukrywał. Nie wiem na pewno, Mort. Jak pytasz, to zaczynam żałować, że nie porozmawiałem z nim dłużej i nie nacisnąłem mocniej.

- Byłoby nieźle, gdybyśmy mogli odwiedzić go w domu - powiedział Mort. - Do rzeczy: to wszystko odbyło się tak, jak ci opowiedziałem, Greg. Jeśli Tom twierdzi coś innego, to dlatego, że mój drogi kumpel napędził mu nieziemskiego stracha. Spotkajmy się u niego.

- Dobra. - W głosie Grega znów pojawił się niepokój. - Ale sam wiesz, że Tom to nie facet, którego łatwo nastraszyć.

- Jasne, że kiedyś tak było, ale Tom ma siedemdziesiąt pięć lat, jeśli nie więcej. Im człowiek starszy, tym łatwiej go nastraszyć.

- No to widzimy się u niego?

- Czemu nie?

Mort odłożył słuchawkę, wylał resztę bourbona do zlewu, wsiadł do buicka i pojechał do domu Toma Greenleafa.

## 29

Kiedy Mort się zjawił, wóz Grega stał już na podjeździe. Scout Toma był zaparkowany przy tylnych drzwiach. Greg miał na sobie flanelową kurtkę z postawionym kołnierzem. Wiatr od jeziora był ostry i dokuczliwy.

- Z Tomem w porządku.

- Skąd wiesz?

Obaj mówili przyciszonymi głosami.

- Zobaczyłem scouta, więc podszedłem do tylnych drzwi. Zostawił kartkę z informacją, że miał ciężki dzień i poszedł wcześniej spać. - Greg uśmiechnął się szeroko i poprawił długie włosy opadające mu na twarz. - Napisał też, że jeśli któryś ze stałych klientów miałby do niego sprawę, niech kontaktuje się ze mną.

- Napisał odręcznie?

- Taa... Dużymi literami, jak to stary człowiek. Rozpoznałbym je wszędzie. Obszedłem dom i zajrzałem przez okno sypialni. Leży tam. Okno jest zamknięte, ale zastanawiam się, czy cholerne szyby nie popękają od chrapania. Chcesz sam sprawdzić?

Mort westchnął i potrząsnął głową.

- Ale coś tu nie gra, Greg. Tom widział nas. Obu. Ten facet wpienił się kilka minut po tym, jak Tom nas minął, i złapał mnie za ramiona. Mam siniaki. Pokażę ci, jak chcesz.

Greg potrząsnął głową.

- Wierzę ci. Im dłużej o tym myślę, tym mniej podoba mi się sposób, w jaki mówił o tym, że byłeś sam, kiedy cię zobaczył. Było w tym coś... nienormalnego. Pogadam z nim rano jeszcze raz. Albo możemy pogadać we dwójkę, jak masz ochotę.

- Dobrze. O której?

- Może w Parish Hall o wpół do dziesiątej? Będzie już po swojej kawce - jest głuchy i niemy, dopóki nie wypije rano kilku filiżanek - i ściągniemy go na chwilę z tego cholernego rusztowania. Może uratujemy mu życie. W porządku?

- Tak. - Mort wyciągnął dłoń. - Przepraszam, że wyciągnąłem cię na próżno.

Greg potrząsnął głową.

- Nie ma za co przepraszać. Coś tu nie gra. Sam jestem ciekaw co.

Mort wrócił do buicka, a Greg siadł za kierownicą swojej ciężarówki. Rozjechali się w przeciwnych kierunkach, nie zakłócając staremu wyczerpanemu człowiekowi ciężkiego snu.

Mort zasnął dopiero o trzeciej nad ranem. Najpierw rzucał się i wiercił w łóżku, aż prześcieradła się skotłowały; nie mógł dłużej tego znieść. Więc udał się na kanapę w bawialni. Szedł w sennym oszołomieniu. Zahaczył gołeniami o wredny stoliczek, zaklął zaspanym głosem, położył się, dopasował poduszki pod głowę i natychmiast wpadł w czarną dziurę.

### 30

Kiedy zbudził się o ósmej następnego ranka, wydawało mi się, że czuje się dobrze. I trwał w tym mniemaniu, dopóki nie opuścił nóg z kanapy i nie wyprostował się. Jęknął głośno, niemal krzyknął. Przez moment siedział tylko i zastanawiał się, czy można równocześnie trzymać się za plecy, kolana i prawe ramię. Ramię było w najgorszym stanie, więc złapał się za ramię. Czytał gdzieś, że osoby ogarnięte paniką potrafią dokonywać nadludzkich czynów. Bez wysiłku podnoszą samochody, pod którymi znalazły się dzieci, duszą krwiożercze dobermanów gołymi rękoma. Dopiero kiedy emocje opadają, uświadamiają sobie, jak mocno nadwerżężyli mięśnie. Teraz w to wierzył. Otworzył drzwi łazienki na piętrze z takim rozmachem, że wyrwał zawias. Jak mocno zamachnął się pogrzebaczem? Lepiej nie myśleć... tak bolały go plecy i ramię. Lepiej też nie myśleć, jaki bałagan na górze przedstawi się mniej rozjuszonym oczom. Sam musi naprawić szkody - na tyle, na ile zdoła. Greg Carstairs na pewno miał poważne wątpliwości co do stanu jego zdrowia psychicznego, choćby się zapierał, że jest wręcz przeciwnie. Widok wyłamanych drzwi łazienki, rozbitego lustro, rozwalonej apteczki raczej nie umocni jego wiary w pełnię władz umysłowych Morta. Poprzednio zastanawiał się nad tym, czy Spluwa nie stara się wmówić ludziom, że Mort Rainey jest szalony. Ta myśl wcale nie wydawała się taka głupia, kiedy powrócił do niej dziś. W świetle dnia okazywała się logiczna i wiarygodna jak nigdy.

Ale obiecał Gregowi, że spotka się z nim w Parish Hall za półtorej godziny - teraz już za mniej - żeby pogadać z Tomem Greenleafem. Siedzenie w domu i lizanie ran nie pomoże mu się tam przenieść.

Mort zmusił się do wstania i powoli przeszedł przez dom do głównej łazienki. Puścił prysznic tak gorący, że buchnęły kłęby pary. Połknął trzy aspiryny i zanurzył się w kłujące strumyki wody.

Zanim się wynurzył, aspiryna zaczęła działać i uznał, że chyba uda mu się przeżyć ten dzień. Nie zapowiadał się radośnie, a wieczorem może poczuje się kilka lat starszy, ale chyba da radę go zaliczyć.

„To drugi dzień”, pomyślał, ubierając się. Poczul drobny skurcz niepokoju. „Na jutro wyznaczył ostateczny termin”. To przywiodło myśl o Amy, a potem znów o Spluwie i jego słowach: „Gdybym mógł, tobym jom z tego wyłączył, ale widzi mi się, że nie dajesz mi tej szansy”.

Skurcze wróciły. „Najpierw zwariowany skurwysyn zabił Łazęgę, potem groził Tomowi Greenleafowi” (musiał grozić Tomowi Green-leafowi) i, Mort z wolna zaczął to sobie uświadamiać, doprawdy możliwe, że podpalił dom w Derry. Mort chyba wiedział o tym przez cały czas i po prostu nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Spalenie domu i pozbycie się czasopisma było głównym celem Spluwy - to oczywiste, człowiek tak zwariowany jak Spluwa nie wpadł na tę prostą myśl, że pełno jest innych egzemplarzy tego czasopisma. Wariaci nie zaprzatają sobie głów drobiazgami.

A Łazęga? Sprawa kota wynikała prawdopodobnie przypadkowo. Spluwa wrócił, zobaczył na werandzie kota czekającego na otwarcie drzwi, zobaczył, że Mort wciąż śpi, i zabił kota dla kaprysu. Rundka do Derry i z powrotem w tak szybkim tempie była sprawą trudną, ale nie niemożliwą. Wszystko trzyma się kupy.

A teraz groził, że zabierze się za Amy.

„Muszę ją ostrzec, myślał, wpychając koszulę do spodni. Zadzwonię rano i wypowiadam się ze wszystkiego. Uporanie się z facetem w pojedynkę to jedna sprawa, ale stać z założonymi rękami, kiedy szalencie grozi jedynej kobiecie, którą w życiu kochałem... to coś innego”.

Tak. Ale najpierw pogada z Tomem Greenleafem i wydusi z niego prawdę. Jeśli Tom nie potwierdzi, że Spluwa naprawdę się tu kręci i jest naprawdę niebezpieczny, Mort może wydać się albo podejrzanym, albo zwariowanym, albo takim i takim. Prawdopodobnie i takim, i takim. Więc najpierw Tom.

Ale przed spotkaniem z Gregiem w Parish Hall trzeba wpaść do Bowiego i spałaszować jeden ze sławnych omletów z bekonem i serem, które smażyła Gerda. Żołnierz z pustym żołądkiem jest nic niewart, szeregowcu Rainey. Ta-est, sir! Wszedł do frontowego holu, otworzył małą drewnianą skrzyneczkę wiszącą nad telefonem i sięgnął po kluczyki od buicka. Kluczyków od buicka nie było.

Zmarszczył czoło. Wrócił do kuchni. No i proszę, są na ladzie, przy zlewie. Podniósł je. Podrzucił na dłoni. Zamyślił się. Czyżby nie wrzucił ich do skrzyneczki po powrocie od

Toma? Próbował sobie przypomnieć, ale bez skutku. Wrzucanie kluczyków do skrzyneczki stanowiło taki nawyk, że jedno wrzucenie zlewało się z drugim. Jeśli zapytasz faceta, który lubi smażone jajka, co jadł na śniadanie trzy dni temu, nie przypomni sobie - założy, że jadł smażone jajka, ponieważ jada je tak często, że nie będzie pewien. Z tym podobnie. Wrócił zmęczony, obolały i z tysiącem spraw na głowie. Po prostu zapomniał.

Ale wcale mu się to nie podobało.

Wcale a wcale.

Podszedł do tylnych drzwi. Otworzył. Na deskach werandy leżał czarny płaski kapelusz Johna Spluwy.

Mort stał w progu, patrzył na kapelusz. W zaciśniętej ręce trzymał kluczyki, mosiężna dewizka swobodnie dyndała, odbijając promienie rannego słońca. Mort słyszał dudnienie krwi we własnych uszach. Powolny, równy rytm. Nie czuł się kompletnie zaskoczony tym, co zobaczył.

Kapelusz leżał dokładnie tam, gdzie Spluwa poprzednio zostawił maszynopis. A za kapeluszem, na podjeździe, stał buick. Poprzedniej nocy zaparkował go za rogiem - tyle pamiętał - ale oto znalazł się tu.

- Coś ty zrobił?! - Mort zakrzyknął nagle przeraźliwie w porannym słońcu. Ptaki, które ćwierkały kłótnie na drzewach, zamilkły.

- Coś ty zrobił, na litość boską?!

Ale jeśli Spluwa był w pobliżu i obserwował, nie odpowiedział. Być może uznał, że Mort niebawem sam odkryje, co zrobił.

### 31

Popielniczka w buicku była wyciągnięta. W środku leżały dwa pety. Bez filtra. Twarz Morta wykrzywił grymas obrzydzenia. Ujął niedopałek paznokciami, podniósł, pewien że to pall mail Spluwy. A jakże.

Obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył natychmiast. Nie słyszał, żeby silnik obracał się i powarkiwiał w chwili, kiedy wyszedł na werandę, ale teraz zaskoczył, jakby był ciepły. Kapelusz Spluwy spoczywał w bagażniku. Mort wykazał wobec niego tyleż samo obrzydzenia co wobec peta. Ledwie dotknął palcami runda, żeby uchwycić kapelusz. Pod spodem i w środku nic nie było, tylko bardzo stary potnik. Ale kapelusz miał jeszcze jakąś inną woń, ostrzejszą i bardziej kwaśną niż pot. Była to woń w jakiś nieuchwytny sposób znana Mortowi, ale nie potrafił jej skojarzyć. Może potem sobie przypomni. Odłożył kapelusz. Najpierw na tylne siedzenie. Ale przypomniał sobie, że za niecałą godzinę spotka się z Gregiem i Tomem. Niezbyt uśmiechało mu się, że zobaczą kapelusz. Nie wiedział,

dlaczego niezbyt się mu to uśmiechało, ale uznał, że tego ranka bezpieczniej jest słuchać instynktu niż kwestionować jego zalecenia, więc włożył kapelusz do bagażnika i odjechał.

### 32

Jadąc do Bowiego, minął dom Toma. Scout nie stał już na podjeździe. To na moment wytrąciło z równowagi Morta, ale po chwili zdecydował, że to nie zły, lecz dobry znak. Tom musiał już zacząć swój roboczy dzień. Albo sam wybrał się do Bowiego - Tom był wdowcem i często jadał w barze sklepu z towarami różnymi.

Większość robotników zatrudnionych przez Wydział Robót Publicznych Tashmore siedziała przy barze, popijała kawę i gwarzyła o zbliżającym się sezonie polowań na sarny, ale Tom („nie żyje on nie żyje Spluwa go zabił i zgadnij czym samochodem jeździł”) nie siedział wśród nich.

- Morcie Rainey! - Gerda Bowie przywitała go jak zwykle chrapliwym okrzykiem stałego kibica z korony stadionu. Była to wysoka kobieta z rozwichrzoną masą kasztanowych włosów i wielkimi, krągłymi piersiami. - Nie widziałam cię wieki całe! Machnąłeś ostatnio jakąś dobrą książkę?

- Staram się - powiedział Mort. - Zechciałabyś mi usmażyć jeden z twoich cudownych omletów?

- A za cholerę! - powiedziała Gerda i zaśmiała się, aby pokazać, że tylko żartuje.

Faceci z robót publicznych odziani w wojskowe dresy moro ryknęli śmiechem razem z nią. Mort zamarzył na krótko o wielkim gnacie, jaki Brudny Harry dźwigał pod swoimi tweedowymi marynarkami. Pif-paf-puf i może zapanowałby tu jakiś porządek.

- Wracam na jednej nodze, Mort.

- Dzięki.

Kiedy dostarczyła mu omlet wraz z tostem, kawą i sokiem pomarańczowym, odezwała się przyciszonym głosem:

- Słyszałam o twoim rozwodzie. Współczuję.

Ręka, którą podniósł do ust kubek z kawą, prawie nie zadrżała.

- Dzięki, Gerda.

- Dajesz sobie radę?

- No wiesz... próbuję.

- Bo wyglądasz słabieńko.

- Bywa, że czasem ciężko mi zasnąć. Chyba nie przywykłem jeszcze do tego spokoju w nocy.

- Nie chrzań - nie przywykłeś jeszcze do samotności w nocy. Ale mężczyzna nie musi spać sam całe życie tylko dlatego, że jego kobieta nie umiała docenić, jakie szczęście miała w życiu. Chyba nie masz mi za złe, że tak walę prosto z mostu...

- Wcale nie - powiedział. Ale nie mówił prawdy. Uważał Gerdę za dupną redaktorkę kącika porad sercowych.

- ...ale jesteś jedynym sławnym pisarzem w tym miasteczku.

- Niewykluczone, że masz rację.

Zaśmiała się i pociągnęła go za ucho. Mort zastanowił się przelotnie, co by powiedziała, co powiedzieliby ci potężni faceci w dresach moro, gdyby ugryzł rękę, która pociągnęła go za ucho. Był trochę zszokowany atrakcyjnością tego pomysłu. Czy oni wszyscy mówili o nim i Amy? Niektórzy o tym, jak to nie umiała docenić tego, że los dał jej szczęście w życiu, inni, że biedna kobieta w końcu znudziła się życiem z wariatem i zdecydowała się z tym skończyć, żaden z nich nie mając pojęcia, o czym pierdoli, ani co było między nim a Amy, kiedy się kleiło? Oto w czym ludzie są najlepsi. W trzaskaniu dziobami o tych, których nazwiska czytają w gazetach.

Spojrzał bez apetytu na swój omlet.

Jednakże pogrzebał w nim jeszcze trochę i udało mu się wepchnąć prawie całą porcję do gardła. Przecież czeka go długi dzień. Opinie Gerdy Bowie na temat jego wyglądu i życia uczuciowego tego nie zmienią.

Kiedy skończył, zapłacił za śniadanie i gazetę i wyszedł ze sklepu (robotnicy z robót publicznych zwinęli się *en masse* pięć minut wcześniej, jeden przystanął z prośbą o autograf dla siostrzenicy, która miała urodziny), było pięć po dziewiątej. Usadowił się za kółkiem na tak długo, żeby przejrzeć gazetę, szukając wiadomości 3 Derry. Znalazł ją na stronie trzeciej. INSPEKTORZY STRAŻY OGNIOWEJ NIE MAJĄ NIC DO POWIEDZENIA W SPRAWIE PODPALENIA DOMU RAINEYA, głosił nagłówek. Sam artykuł nie zajmował więcej niż pół kolumny. Ostatnie zdanie brzmiało: „Nie udało nam się dotrzeć do Mortona Raineya, znanego z takich poczytnych powieści jak *Mały kataryniarz* i *Rodzina Delacourt*, i poprosić go o komentarz”. Co znaczyło, że Amy nie podała im numeru telefonu w Tashmore. Dobra robota. Jeśli będzie miał okazję z nią dziś porozmawiać, podziękuje jej za to.

Ale najpierw Tom Greenleaf. Będzie prawie dwadzieścia po dziewiątej, zanim dojedzie do Parish Hall. Blisko wpół do dziesiątej. Przesunął lewarek automatycznej skrzyni biegów na JAZDA i odjechał.



Kiedy pojawił się przy kościele metodystów, na podjeździe stał jeden wóz - starożytny ford bronco z przyczepą kempingową z tyłu i napisami: SONNY TROTTS MALOWANIE KONSERWACJA ROBOTY STOLARSKIE na obu drzwiach. Samego Sonny'ego, niewielkiego człowieczka bez włosów i o wesołych oczach, Mort dojrzał na rusztowaniu. Malował szerokimi machnięciami pędzla, a stojący obok niego hałasnik emitował coś las vegasowego: Eda Amesa albo Toma Jonesa - w każdym razie jednego z tych gości, którzy śpiewając, mają rozpięte trzy górne guziki koszuli.

- Cześć, Sonny! - zawołał Mort.

Sonny malował dalej. Machał w górę i w dół w prawie idealnej zgodzie z Edem Amesem czy kimś tam, kto właśnie stawiał pytanie, kim jest człowiek, a życie czym jest? Były to pytania, które Mort zadał sobie nie raz i nie dwa, chociaż bez akompaniamentu sekcji dętej.

- Sonny!

Sonny podskoczył jak oparzony. Biała farba chlusnęła z pędzla i przez jeden groźny moment Mort zląkł się, że Sonny spadnie z rusztowania. Ale Sonny złapał się liny, obrócił i spojrział w dół.

- Niech mnie, panie Rainey! Mało mnie nie przekreśliło, jakem pana usłyszał!

Z jakiegoś powodu Mort pomyślał o gałce do drzwi w disneyowskiej wersji *Alicji w krainie czarów* i musiał powstrzymać wybuch dzikiego śmiechu.

- Panie Rainey? Wszystko w porządku?

- Tak. - Mort głośno przełknął ślinę. Był to jedyny sprawdzony sposób, żeby powstrzymać się od śmiechu. Nauczył się tej sztuczki w szkółce parafialnej tysiąc lat temu. Jak większość dobrych sztuczek, które działały, zabołało. - Myślałem, że spadniesz.

- Ja? W życiu. - Teraz z kolei zaśmiał się Sonny. Wyłączył hałasnik, który zaczynał właśnie emitować świeżą falę uczuć. - Tom to może by i spadł. Ale ja? W życiu.

- A gdzie on? Chciałbym z nim pogadać.

- Dzwonił wcześniej i mówił, że dziś nie da rady przyjść. Powiedziałem mu, że nie ma sprawy, i tak nie ma dość roboty na dwóch.

Sonny spojrział porozumiewawczo na Morta.

- Jasne, że robota jest, ale Tom załadował sobie za dużą michę tym razem. To nie robota dla takiego dziadka. Powiedział, że go całkiem połamało w krzyżach. Musi tak i jest. Był jakiś całkiem nieswój.

- O której to było? - Mort starał się nadać swemu głosowi jak najbardziej zdawkowy ton.

- Wcześniej - powiedział Sonny. - Szósta albo coś koło tego. Właśnie zabierałem się, żeby wstąpić do mojego czcigodnego sratatorium na poranne sranko i pierdzianko. U mnie wszystko jak w zegarku.

Ten fakt zdawał się napawać Sonny'ego wielką dumą.

- Oczywiście, Tom wie, o której wstaję i zaczynam moje dzienne sprawy.

- Ale nie wyglądało na to, że czuje się dobrze?

- Wcale. W ogóle był jakiś nieswój. - Sonny zamilkł, zmarszczył czoło. Miało się wrażenie, że bardzo pilnie stara się coś sobie przypomnieć. W końcu wzruszył ramionami i kontynuował: - Wczoraj nieźle dmuchało od jeziora. Pewnie się przeziębził. Ale Tommy jest jak z żelaza. Za dwa dni będzie jak ta lala. Bardziej się martwię, żeby się kiedy nie zapomniał i nie spadł stąd.

Sonny wskazał pędzlem podłogę. Rząd białych kropli odznaczył się na desce przy jego butach.

- Mogę czymś panu służyć, panie Rainey?

- Nie - powiedział Mort. Pod sercem, jak gulę zwiniętego płótna, czuł tępy strach. - Przy okazji, widziałeś Grega?

- Grega Carstairsa?

- Tak.

- Dziś rano nie. Ale on to panisko - Sonny zaśmiał się. - Wstaje później od nas, taki ci jest.

- No cóż, myślałem, że wpadnie tu i też się spotka z Tomem. Czy pozwolisz, że zaczekam tu na niego? Może się pokaże.

- Proszę bardzo - powiedział Sonny. - Muzyka nie przeszkadza?

- Bynajmniej.

- Teraz to w telewizji ogłaszają się ze sprzedażą fajowych taśm. Wystarczy, że podasz im swój numer karty kredytowej. Nawet nie płacisz za telefon. Dzwonisz na osiemsetkę\*. - Pochylił się do hałaśnika i spojrział z wyrazem głębokiego przejęcia na Morta. - To Roger Whittaker. \* Numery telefonów zaczynające się na 800 to numery, z którymi połączenia obciążają jedynie ich abonentów.

W jego głosie brzmiał głęboki szacunek.

- Och.

Sonny wcisnął PLAY. Roger Whittaker opowiedział im, że bywały czasy (a pewien jest, iż wiedzą o tym), kiedy wziął na ząb więcej, niż przełknąć potrafił. Mort przerabiał i ten temat bez akompaniamentu sekcji dętej. Spacerowym krokiem oddalił się skrajem podjazdu i machinalnie klepnął w kieszeń koszuli. Z lekkim zaskoczeniem wymacał starą paczkę L&M.

Zawartość zredukowała się do jednego twardziela, udało mu się przetrwać. Zapalił papierosa, krzywiąc się w oczekiwaniu na ostry smak... Ale nie był taki zły. Prawdę mówiąc, w ogóle stracił smak... jakby lata go z niego okradły.

„To nie jedyna rzecz, którą lata ukradły”.

Jakież to prawdziwe. Nieistotne, ale prawdziwe. Palił i spoglądał na drogę. Obecnie Roger Whittaker opowiadał jemu i Sonny’emu, że statek załadowany w porcie stoi i wnet do Anglii popłyną. Sonny śpiewał ostatnie słowo każdego wersu. Nie więcej, tylko ostatnie słowo. Samochody osobowe i ciężarówki jeździły w obu kierunkach po drodze numer 23. Ford ranger Grega nie pojawił się. Mort odrzucił papierosa, spojrzął na zegarek i zobaczył, że jest za kwadrans dziesiąta. Jasne, że Greg, dla którego punktualność była jedenastym przykazaniem, nie pojawi się wcale.

„Spluwa dopadł ich obu.

Chrzanisz! Nie możesz tego wiedzieć!

A wiem. Kapelusz. Samochód. Kluczyki.

To nie jest pochopne wyciąganie wniosków, to jest pochopne wydzieranie wniosków.

Kapelusz. Samochód. Klucze”.

Obrócił się i podszedł do rusztowania.

- Chyba zapomniał - powiedział, ale Sonny nie usłyszał. Machał pędzlem, pochłonięty malowaniem i zwierzeniami duszy Rogera Whittakera.

Mort wsiadł do samochodu i odjechał. Pochłonięty własnymi myślami, nie słyszał wcale nawoływania Sonny’ego. A zresztą nuzyka i tak by je zagłuszyła.

### 34

Do siebie dotarł kwadrans po dziesiątej. Wsiadł i ruszył do domu. W połowie drogi zawrócił i otworzył bagażnik. Kapelusz rozpierał się, czarny i niezmienny. Autentyczna żaba w ogrodzie imaginacji. Wziął go do ręki, tym razem bez obrzydzenia. Zatrzasnął bagażnik poszedł do domu.

Stał we frontowym holu, niezdecydowany. Co dalej? I nagle, bez Dowodu, włożył kapelusz na głowę. Wzdrygnął się, jak człowiek wzdryga się czasem po dużym łyku czystego alkoholu. Ale wzdrygnął się tylko raz. Nie więcej.

A kapelusz pasował jak ulał.

Mort powoli poszedł do głównej łazienki. Włączył światło i stanął przed lustrem. Mało nie wybuchnął śmiechem - wyglądał jak ten facet z widłami na obrazie Granta Wooda. Wyglądał właśnie tak, choć tamten miał gołą głowę. Kapelusz kompletnie zasłaniał włosy Mortowi, jak i Spluwie (jeśli Spluwa miał włosy - to dopiero trzeba sędzię ustalić, choć Mort

podejrzewał, że teraz, gdy miał jego *chapeau*, dowie się tego na pewno) i dotykał uszu. Bardzo było to śmieszne. Po prostu jajo.

Wtedy niespokojny głos odzywający się z głębi mózgu zapytał:

„Dlaczego go włożyłeś? Za kogo się przebrałeś, twoim zdaniem? Za niego?” i śmiech zamarł. Tak naprawdę to dlaczego go włożył?

„Bo on tego chciał”, cicho odpowiedział niespokojny głos.

Tak? A dlaczego? Dlaczego Spluwa miałby chcieć, żeby włożył jego kapelusz?

„Może on chce, żebyś...”.

Tak? - Mort popędział niespokojny głos. Czego chce ode mnie? Pomyślał, że głos przypadł, i sięgał do kontaktu, kiedy znów się odezwał.

„...się pogubił”.

Telefon zadzwonił. Mort podskoczył. Zerwał kapelusz z poczuciem winy (trochę jak mężczyzna, który obawia się zostać przyłapanym na przymierzaniu bielizny żony). Podszedł podnieść słuchawkę. To pewnie Greg. Zaraz się okaże, iż Tom był u Grega. Ależ oczywiście!

I oto co się zdarzyło: Tom zadzwonił do Grega, opowiedział mu o Spluwie i jego groźbach i Greg zabrał starca do siebie. Żeby mu się nic nie stało. Było to tak doskonałe wyjaśnienie, że Mort nie mógł pojąć, jak nie wpadł na to wcześniej.

Tylko że to nie był Greg. To był Herb Creekmore.

- Wszystko załatwione - zameldował radośnie. - Marianna załatwiła to dla mnie. Boska z niej dziewczyna.

- Marianna? - głupawo spytał Mort.

- Marianna Jaffrey w EQMM! - powiedział Herb. - EQMM *Czas siejby* 1980, czerwiec. Ty wiedzieć, co ja ci mówić, bwana?

- Aha... Aha! Dobrze! Dzięki, Herb! To pewne?

- Tak. Dostaniesz to jutro. Autentyk, nie żadne ksero. Idzie z Pensylwanii. Przez Federal Express. Czy pan Spluwa dał znak życia?

- Jeszcze nie - powiedział Mort, spoglądając na czarny kapelusz, który trzymał w ręce. Wciąż czuł dziwny zapach, poruszający jakąś nieokreśloną sprężynę w pamięci.

- No cóż, brak wiadomości to dobre wiadomości, jak mówią. Rozmawiałeś z miejscową władzą?

Obiecał to Herbowi? Nie pamiętał dokładnie. Ale niewykluczone. Najlepiej rozegrać rzecz ostrożnie.

- Tak. Dave Newsome przyjął to spokojnie. Uznał, że gość tylko sobie pogrywa.

Kłamać Herbowi to było zwyczajne świństwo, zwłaszcza po wyświadczonej przysłudze, ale jaki sens miało opowiadanie prawdy? Była zbyt zwariowana, zbyt skomplikowana.

- No więc - nadałeś sprawie bieg. Myślę, że to istotne. Mort, ja mówię poważnie.

- Tak.

- Coś jeszcze?

- Nie, ale tysięczne dzięki za to, co zrobiłeś. Uratowałeś mi życie. Może to nie tylko figura retoryczna?

- Cała przyjemność po mojej stronie. Pamiętasz, że w małych miasteczkach FedEx zwykle doręcza przesyłki na pocztę?

- Taa...

- Jak idzie z nową książką? Bardzo mnie to interesuje.

- Wspaniale! - Mort włożył w ten okrzyk całe serce.

- No to świetnie. Przegoń tego faceta i bierz się za robotę. Praca uratowała bardziej wartościowych ludzi niż my, Mort.

- Wiem. Wszystkiego dobrego dla twojej pani.

- Dzięki. Wszystkiego... - Herb urwał nagle i Mort wyobraził sobie, jak jego rozmówca gryzie się w język. Trudno przyzwyczaić się do separacji. Podobno ludzie po amputacji dalej czują nogę, której już nie ma. - ...dobrego dla ciebie - skończył.

- Przyjąłem - powiedział Mort. - Trzymaj się.

Poszedł wolno na pomost i spojrzał na jezioro. Dziś nie pływały po nim łodzie. „Jestem górą, bez względu na wszystko, co się jeszcze zdarzy. Pokażę facetowi cholerne czasopismo. Może go to nie powstrzyma... ale może tak... Przecież to świr, a nigdy nie wiadomo, co te ludziska z przesławnej gminy wariatuńców wytną. Na tym polega ich wątpliwy urok. Wszystko jest możliwe”.

Było nawet możliwe, że Greg jednak siedział u siebie w domu - mógł zapomnieć o spotkaniu z Mortem w Parish Hall lub mogło zdarzyć się coś kompletnie niezwiązanego z ich sprawą. Pełen nagłego optymizmu Mort podszedł do telefonu i wybrał numer Grega. Usłyszawszy trzeci sygnał, przypomniał sobie, że w zeszłym tygodniu Greg mówił, iż jego żona i dzieciaki wybierają się na jakiś czas do teściów. Megan w przyszłym roku zaczynała naukę i będzie im trudniej się wyrwać.

Więc Greg był sam.

(„kapelusz”)

Jak Tom Greenleaf.

(„samochód”)

Młody żonkoś i stary wdowiec, („kluczyki”)

A jak to zostało załatwione? Ano, tak prosto, jak zamawia się kasetę z Rogerem Whittakerem, reklamowaną przez TV. Spluwa jedzie do Toma Greenleafa, ale nie swoim kombi - o nie, równie dobrze mógłby krzyżeć o swym zamiarze na prawo i lewo. Zostawia swój wóz na podjeździe Morta Raineya albo może za domem. Jedzie do Toma buickiem. Zmusza Toma, żeby zadzwonił do Grega. Prawdopodobnie wyciąga Grega z łóżka, ale Greg niepokoi się o Toma i zbiera się migiem. Wtedy Spluwa zmusza Toma, żeby zadzwonił do Sonny'ego Trottsa i powiedział mu, że nie czuje się na tyle dobrze, żeby przyjść do pracy. Spluwa przykłada Tomowi do tętnicy szyjnej śrubokręt i oświadcza, że jeśli Tom się nie dość postara, zrobi z niego stracha na wróble... Tom stara się... ale nawet Sonny, gość niezbyt rozgarnięty i wyrwany z betów, chwytą, że Tom jest całkiem nieswój. Spluwa za pomocą śrubokręta kończy Toma. A kiedy przyjeżdża Greg Carstairs, za pomocą śrubokręta - lub czegoś podobnego - kończy Grega. I...

„Posrało ci się we łbie. Mamy tu do czynienia z przypadkiem ciężkiego załamania nerwowego, i to wszystko. Powtarzam: TO... WSZYSTKO”.

To odezwał się głos rozsądku, ale nie przekonał go. Nie przyniósł ulgi.

Mort chodził szybko po parterze, szarpał włosy, zwijał je w obwarzanki.

„A co z ciężarówkami? Scoutem Toma, rangerem Grega? Dodaj do tego buicka i już mamy trzy pojazdy - cztery, jeśli doliczymy forda kombi Spluwy, a Spluwa jest tylko jeden”.

Nie wiedział... ale wiedział, że ma dość.

Kiedy znalazł się przy telefonie, wyjął z szuflady stoliczka książkę telefoniczną i zaczął szukać numeru posterunku w Tashmore. Nagle przerwał.

„Jeden z tych pojazdów to buick. MÓJ buick”.

Wolno odłożył słuchawkę. W jaki sposób Spluwa mógł posłużyć się wszystkimi pojazdami? Nic nie przyszło mu do głowy. Przypominało to siedzenie przed komputerem i szukanie pomysłów - a ekran monitora dalej pozostawał pusty. Ale wiedział, że nie zadzwoni do Dave'a Newsome'a. Jeszcze nie. Odszedł od telefonu bez świadomości, gdzie konkretnie idzie, kiedy odezwał się telefon.

To był Spluwa.

- Idź tam, gdzie spotkaliśmy się kiedyś - mówił. - Podejdz wyżej, w górę ścieżki. Wyglądasz mi na człowieka, który w myśleniu jest nie szybszy niż starzy ludzie w żuciu strawy, panie Rainey, ale dam ci dość czasu. Zadzwonię później, po południu. Dzwon do kogo chcesz w tym czasie, ale bierzesz to na swoje sumienie.

- Coś ty zrobił? - spytał znowu Mort. Tym razem głos miał wypruty z sił, nie mocniejszy niż szept. - Coś ty, na Boga, zrobił?

Spluwa rozłączył się.

### 35

Podszedł do miejsca, gdzie schodziły się droga i ścieżka, do miejsca, w którym rozmawiał ze Spluwą, kiedy Tom Greenleaf miał nieszczęście ich zobaczyć. Z niewiadomego powodu Mort wolał nie jechać buickiem. Zarośla po obu stronach ścieżki były zdeptane i nagie, co utrudniało wędrowkę. Szedł tą nierówną ścieżką, wiedząc, co znajdzie w pierwszej wyrosniętej kępie drzew, do której dojdzie... I znalazł. Oto scout Toma Greenleafa. W środku obaj mężczyźni.

Greg Carstairs siedział za kierownicą. Głowę miał odrzuconą w tył, a śrubokręt - tym razem philips - tkwił aż po rączkę w czole Grega, dokładnie nad prawym okiem. Narzędzie zwykle leżało w szafie w komórce Morta. Czerwona plastikowa rączka była mocno obtłuczona i trudno było jej nie rozpoznać.

Tom Greenleaf siedział na tylnym siedzeniu. W głowie miał wbity siekierkę. Oczy rozwarte. Mózg, który pociekł za uszy, już zasechł. Na rękojeści siekierki wytarte, ale wciąż czytelne litery: RAINEY. Poprzednio wisiała w szopie z narzędziami.

Mort stał w milczeniu. Odezwała się cykada. Dzieciół wystukiwał sygnały Morse'a na spróchniałym pniu drzewa. Odświeżająca bryza chesała grzywy fal na jeziorze. Dzisiaj woda miała barwę ciemnego kobaltu. Grzywacze pięknie z nią kontrastowały.

Z dołu rozległ się szelest. Mort obrócił się tak szybko, że mało nie upadł. Uratowało go to, że oparł się o scouta. To nie był Spluwa. To była wiewiórka. Spoglądała na niego z wyraźną niechęcią. Zamarła w połowie pnia klonu płonącego czerwonym ogniem późnej jesieni. Mort czekał, aż serce przestanie mu galopować. Czekał, aż wiewiórka zniknie w koronie drzew. Serce uspokoiło się. Wiewiórka nie znikła.

- Zabił ich obu - odezwał się w końcu do wiewiórki. - Pojechał do Toma moim buickiem. Potem scoutem do Grega. Tom prowadził. Spluwa zabił Grega. Potem zmusił Toma, żeby dowiózł go tu i zabił Toma. Zrobił to moimi narzędziami. Potem wrócił na piechotę do domu Toma... albo może przebiegł. Jest na to dość krzepki. Sonny mówił, że Tom był nieswój. Jasne. Sonny rozmawiał z nim przez telefon, gdy słońce już wstało i Tom już nie żył. To był Spluwa naśladowający Toma. I nie musiał się wysilać. Sądząc po tym łomocie, jakiego słucha, Sonny musi być trochę głuchy. Kiedy Spluwa załatwił sprawę z Sonnym Trottem, wsiadł do mojego buicka i wrócił nim do mnie. Ranger Grega dalej stoi na podjeździe, tam gdzie stał cały czas. Oto jak to...

Wiewiórka śmignęła w górę pnia. Znikła w płonących czerwonych liściach.

- ...zostało załatwione - skończył głucho Mort.

Nagle zmięknęły mu nogi. Cofnął się dwa kroki, pomyślał o mózgu Toma Greenleafa schnącym na policzkach i nogi ugięły się pod nim całkowicie. Upadł i świat odpłynął od niego na chwilę.

### 36

Kiedy doszedł do siebie, przetoczył się na brzuch, siadł chwiejnie jak pijany. Spojrzał na zegarek. Kwadrans po drugiej. Zegarek musiał zatrzymać się w nocy. Mort znalazł scouta Toma wczesnym przedpołudniem i niemożliwe, żeby było już popołudnie. Zemdlał, co biorąc pod uwagę okoliczności, nie było zaskakujące. Ale nikt nie mdleje na trzy i pół godziny.

Jednak sekundnik równomiernie zakreślał swe małe kółeczko.

„Musiałem go poruszyć, siadając, to wszystko”.

Ale to nie było wszystko. Słońce zmieniło pozycję i wkrótce zniknie za chmurami wypełniającymi niebo. Jezioro przygasło, przybrało barwę matowego chromu.

Więc najpierw zemdlał lub miał zawrót głowy, a potem co? No cóż, to niewiarygodne, ale chyba musiał zasnąć. Ostatnie trzy dni zszargały mu nerwy, a wczoraj w nocy nie spał do trzeciej. Więc powiedzmy, że było to połączenie zmęczenia umysłowego i fizycznego. Świadomość po prostu nacisnęła wyłącznik.

„Spluwa! Chryste, Spluwa powiedział, że zadzwoni!”.

Chciał poderwać się na nogi, ale upadł w tył. Z ust wyrwało mu się UUPS! wyrażające mieszanię bólu i zaskoczenia. Lewa noga nie dźwignęła ciężaru ciała. Było w niej pełno szpilek i igieł, a wszystkie tańczyły jak zwariowane. Musiał spać na tej cholernej girze. Dlaczego, na litość boską, nie przyjechał buickiem? Jeśli Spluwa zadzwoni i Mort nie odbierze telefonu, facet jest gotów zrobić Bóg wie co.

Znów poderwał się na nogi i tym razem udało mu się wstać. Ale kiedy spróbował ruszyć, noga znów odmówiła posłuszeństwa i przewrócił się do przodu. Padając, o mało nie uderzył głową w bok ciężarówka. Nagle zobaczył siebie w jednym z kołpaków scouta. W wygiętej powierzchni jego twarz wyglądała jak groteskowa maska z wesołego miasteczka. Dobrze, że przynajmniej zostawił w domu ten cholerny kapelusz; gdyby miał na głowie kapelusz, zaczęłyby wrzeszczeć. Nie zapanowałyby nad tym.

Nagle przypomniał sobie dwóch martwych w scoucie. Siedzieli nad nim, sztywnieli, z głów sterczały im narzędzia.

Wyczołgał się z cienia rzucanego przez samochód, ciągnął lewą nogę na prawej. Zaczął tłuc w nią pięściami, jak człowiek, który usiłuje zmiękczyć kawałek taniego mięsa.



„Przestań!” - zawołał cichutki głos - ostatnia iskra zdrowego rozsądku, jaka mu pozostała, małe światełko zdrowia w rozległym zawale burzowych chmur, jakie zaległy mu między uszami. „Przestań! Powiedział, że zadzwoni późnym popołudniem, a jest dopiero kwadrans po drugiej! Masa czasu!”.

A co będzie, jeśli zadzwoni wcześniej? Lub jeśli późne popołudnie na sielskim anielskim południu zaczyna się po drugiej?

„Tłucz dalej w tę nogę, a nadwerężysz sobie mięsień. Zobaczysz wtedy, jak to miło się czołgać, żeby zdążyć na umówiony telefon”.

Dopiero to pomogło. Narzucił sobie spokój. Tym razem podniósł się ostrożniej i stał tylko przez chwilę (zadbał o to, żeby stanąć tyłem do Tomowego scouta - nie chciał zaglądać do środka jeszcze raz), zanim spróbował ruszyć przed siebie. Okazało się, że szpilki i igły znikają. Z początku kulał wyraźnie, ale po pierwszych kilkunastu krokach stapał już pewniej.

Wyszedł prawie z zarośli, które Spluwa połamał i pozagniatał scoutem Toma, i wtedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Przyklęknął odruchowo. Minął go stary zardzewiały cadillac. Należał do Dona Bassingera, właściciela domu stojącego po drugiej stronie jeziora. Bassinger, weteran alkoholik, spędzający większość czasu na przepijaniu pokaźnego niegdyś spadku, zwykle skracał sobie dojazd do tak zwanej Bassinger Road, korzystając z Lake Drive. „Don jest chyba jedynym stałym mieszkańcem w tej okolicy”, pomyślał Mort.

Kiedy caddy znikł mu z oczu, Mort wstał i pospieszył do drogi. Teraz był zadowolony, że nie zabrał się buickiem. Było prawdopodobnie za wcześnie, żeby Don osiągnął już stan zaćmienia i mógłby zapamiętać dobrze wóz Morta, zaparkowany nie opodal miejsca, w którym ktoś niezadługo dokona wyjątkowo straszliwego odkrycia.

„Stara się uwikłać mnie w tę sprawę”, myślał sobie Mort, kuśtykając nad jeziorem do domu. „Cały czas to ma na celu. Jeśli ktoś wczoraj w nocy widział samochód obok domu Toma Greenleafa, to nie zdziwię się, jeśli tym samochodem okaże się mój buick. Zabił ich obu moimi narzędziami...”.

„Mógłbym pozbyć się narzędzi”, pomyślał nagle. „Mógłbym wrzucić je do jeziora. Może rzygnąłbym kilka razy, wyciągając je z ich głów, ale sądzę, że dałbym radę”.

„Mógłbyś? Wątpię. A nawet jeśli... cóż, Spluwa prawie na pewno przewidział i tę możliwość. Bo przewidział wszystko. I wie, że gdybyś usiłował pozbyć się siekiery i śrubokręta, a policja przeszukałaby dno i znalazła je, sprawa przybrałaby dla ciebie jeszcze gorszy obrót. Rozumiesz, co on zrobił. Prawda?”.

Tak. Rozumiał. John Spluwa dał mu prezent. Smołowe dzidzi.

Wielkie, błyszczące dzidzi ze smoły. Mort przyłożył z lewej w łebek smołowemu dzidzi i lewa ręka przykleiła się na dobre. Więc przyłożył z prawej w brzusio tego kochanego smołowego dzidzi, żeby się odczepić, tylko że prawa ręka też utknęła. Jakiego to wyrażenia używał ze wzdrgliwą satysfakcją do tej pory? „Rozmijał się z prawdą” - prawda? Tak, właśnie tego. I cały czas coraz bardziej sklejał się ze smołowym dzidzi Johna Spluwy. A teraz? No cóż, naopowiadał wszystkim naokoło kłamstw i sprawa wyglądałaby marnie, gdyby się wydało. A gdyby się wydało, że czterysta metrów dalej siedzi mężczyzna z siekierką w głowie i że nazwisko Morta jest na ręczce tej siekierki, to sprawa wyglądałaby jeszcze marniej.

Mort wyobraził sobie telefon dzwoniący w pustym domu i zmusił się do truchtu.

### 37

Spluwa nie dzwonił.

Minuty ciągnęły się jak ciągutki, a Spluwa nie dzwonił. Mort chodził nieustannie po domu, skręcał sobie z włosów obwarzanki, szarpał nimi. Tak chyba musi czuć się ćpun czekający na dostawcę.

Dwa razy zwątpił w sensowność czekania i podchodził do telefonu, że powiadomić o wszystkim władze - nie starego Dave'a Newsome'a ani nawet szeryfa okręgowego, ale policję stanową. Zastosuje się do starej zasady z Wietnamu: rozwał wszystkich, o resztę niech się martwi Bozia! Czemu nie? Miał przecież dobrą opinię; był szanowanym członkiem dwóch społeczności w Maine, a John Spluwa był...

Właśnie. Kim był Spluwa?

Przyszło mu na myśl słowo „zjawa”.

Przyszły mu również na myśl słowa „błędny ognik”.

Ale nie to go powstrzymało. Morta powstrzymała straszliwa pewność, że Spluwa spróbuje zadzwonić, kiedy on zajmie linię... Zorientuje się, że jest zajęta, odłoży słuchawkę i Mort nigdy już go nie usłyszy.

Kwadrans przed czwartą zaczęło padać - był to jednostajny późnojesienny deszcz, zimny i łagodny, westchnienie bielejących niebios. Postukiwał po dachu i na sztywnych liściach leżących koło domu.

Dziesięć przed czwartą telefon ożył. Mort rzucił się do aparatu. To była Amy. Amy chciała porozmawiać o pożarze. Amy chciała porozmawiać o rym, jak czuje się nieszczęśliwa, nie tylko ze względu na siebie, ale i ze względu na nich oboje. Amy chciała mu opowiedzieć, że Fred Evans, biegły towarzystwa ubezpieczeniowego, nadal przebywał w Deny, wciąż grzebał w „miejscu zdarzenia”, wciąż dopytywał się o wszystko: od tego, kiedy

była ostatnia inspekcja pożarowa, do tego, kto miał klucze od piwniczki z winami, i Ted uważał, że kierują nim jakieś podejrzanymotywy. Amy chciała też wiedzieć, czy Mort nie sądzi, że sprawy ułożyłyby się inaczej, gdyby mieli dzieci.

Mort odpowiadał na to wszystko najlepiej, jak umiał, i podczas całej rozmowy czuł, że czas - czas najlepszej przedwieczornej rozmawialności - ucieka. Mało nie oszalał ze zdenerwowania na myśl, że Spluwa zadzwoni, stwierdzi, że numer jest zajęty i popełni jakąś nową okropność. Do głowy przyszła mu jedyna wymówka, która mogła skłonić ją do odłożenia słuchawki, i wykorzystał ją: powiedział Amy, że jeśli szybko nie pójdzie do toalety, będzie katastrofa.

- Czy to wódka? - spytała zatroskana. - Piłeś?

- Śniadanie, jak sądzę - powiedział. - Posłuchaj, Amy, ja...

- U Bowiego?

- Tak - powiedział, usiłując mówić tak, jakby wił się z bólu. W istocie czuł się tak, jakby coś go bolało. Jak dobrze się temu wszystkiemu przyjrzeć, była to świetna komedia. - Amy, ja naprawdę...

- Boże, Mort, ona ma najbrudniejszą knajpę w miasteczku - powiedziała Amy. - Leć. Zadzwonię później.

W słuchawce rozległ się sygnał zerwanego połączenia. Położył słuchawkę na widełki, stał przez chwilę bez ruchu. Niemile zaskoczony poczuł, że fikcyjna skarga staje się prawdą: wnętrzności ściągnęły się w bolesny, pulsujący węzeł.

Pobiegł do łazienki, rozpinając po drodze pasek.

Niewiele brakowało, ale zdążył. Siedział na sedesie w gęstym smrodzie odchodów, ze spodniami opadłymi do kostek, łapał oddech...

I telefon znów zadzwonił.

Mort skoczył jak diabełek z pudełka, walnął kolanem o wannę i pobiegł do telefonu, trzymając spodnie jedną ręką i przebierając nogami jak dziewczyna w wąskiej spódnicy. Miał to żałosne, krępujące, nie-miałem-czasu-się-podetrzeć uczucie. Pewnie doświadczyli tego wszyscy, ale - pomyślał nagle - nigdy nie czytał o tym w książce - w żadnej książce.

Och, życie jest taką komedią. Tym razem to był Spluwa.

- Widziałem cie tam - powiedział. Głos miał spokojny i pogodny jak zawsze. - Tam gdzie ich zostawiłem, znaczy. Wyglądało, żeś dostał porażenia słonecznego, tylko że teraz nie lato.

- Czego chcesz? - Mort przyłożył słuchawkę do drugiego ucha. Spodnie znów opadły mu do kostek. Zostawił je tam i stał tak, a długie kalesonki zawisły mu między kolanami a

biodrami. „Cóż za wspaniała poza do fotografii autora na ostatnią stronę obwoluty”, pomyślał.

- Chciałem przypiąć list dla ciebie - powiedział Spluwa. - Ale zrezygnowałem.

Przerwał i po chwili dodał z jakby beznamiętną pogardą:

- Za łatwo się pan pietrasz.

- Czego chcesz?

- No cóż, już powiedziałem, panie Rainey. Chce opowiadania, żeby wyrównać to, cożeś ukradł. Jeszcześ nie gotów do przyznania się?

„»Tak« - powiedz mu »tak«! Powiedz mu wszystko: że Ziemia jest płaska, John Kennedy i Elvis Presley żyją, mają się dobrze i grają duety na bandzo na Kubie, Meryl Streep jest transwestytką, powiedz WSZYSTKO...”.

Ale nie powiedział.

Cała wściekłość, bezradność, zgroza i pomieszanie nagle znalazły ujście w ryku, którym wybuchnął:

- NIE! NIE! JESTEŚ STUKNIĘTY I MOGĘ TEGO DOWIEŚĆ! MAM CZASOPISMO, TY ŚWIRZE! SŁYSZYSZ? MAM TO CHOLERNE CZASOPISMO!

Odpowiedzią na to był brak odpowiedzi. Połączenie urwało się, zamarło. Ucichło nawet odległe mamrotanie tej natrętnej zjawy, które mogłoby przerwać jedwabistą ciemność skradającą się do przeszklonej ściany każdej samotnej nocy.

- Spluwa? Cisza.

- Spluwa, jesteś tam jeszcze? Znowu cisza. Poszedł sobie.

Mort opuścił słuchawkę. Już odkładał ją na widełki, kiedy usłyszał głos Spluwy, cichutki, odległy i prawie niesłyszalny:

- ...sobie?

Mort z powrotem przyłożył słuchawkę do ucha. Wydawało mu się, że waży pół tony.

- Co? - spytał. - Myślałem, że sobie poszedłeś.

- Masz to? Masz to tak zwane czasopismo? Przy sobie? - Pierwszy raz Spluwa wydawał się zdenerwowany. Zdenerwowany i niepewny.

- Nie - powiedział Mort.

- No, proszę! - w głosie Spluwy słychać było ulgę. - W końcu zaczynasz gadać otwarcie...

- Przyjdzie Federal Express - przerwał Mort. - Jutro o dziesiątej rano będzie na poczcie.

- Co będzie? - spytał Spluwa. - Jakieś nie wiadomo co, jakaś kopia?

- Nie - powiedział Mort. Poczucie, że w końcu ruszył faceta, że ominął gardę i trafił mocno i boleśnie, było silne i niezaprzeczalne. Przez kilka chwil w głosie Spluwy można było wyczuć niemal strach. Morta ogarnęła gniewna radość. - Czasopismo. Autentyczne czasopismo.

Nastąpiła kolejna długa pauza, ale tym razem Mort przyciskał mocno słuchawkę do ucha. Spluwa tam był. I znów najważniejszą sprawą stało się opowiadanie. Opowiadanie i oskarżenie o plagiat. Spluwa potraktował go jak cholernego gówniarza z college'u, ale wreszcie zaczął podawać tyły.

Kiedyś, w tej samej parafialnej szkółce, w której Mort nauczył się sztuczki z głośnym przełykaniem śliny, widział, jak chłopiec wbił szpilkę w żuka drepczącego przez ławkę. Żuk został przyłapany - przygwożdżony, wił się, zdychał. Wtedy Mort czuł smutek i przerażenie. Teraz zrozumiał, jaka to radość wbić szpilę. Teraz pragnął tylko zrobić to temu facetowi. Temu oszalałemu facetowi.

- Nie ma żadnego czasopisma - powiedział zdecydowanie Spluwa. - Żadnego czasopisma z tom opowieściom w środku. Ona jest moja!

Mort słyszał udrękę w głosie faceta. Prawdziwą udrękę. Co za radość. Szpila przebiła Spluwę. Wił się, przygwożdżony.

- Będę tam o dziesiątej - powiedział Mort - jak tylko FedEx dostarczy przesyłki dla Tashmore. Z chęcią się tam z tobą spotkam. Możesz sobie na to patrzeć. Ile dusza zapagnie, ty cholerny maniaku.

- Nie tam - powiedział Spluwa po następnej pauzie. - U ciebie w domu.

- Wybij to sobie z głowy. Kiedy pokażę ci to wydanie „Ellery Queen”, wolę być tam, skąd mogę zawołać o pomoc, jeśli ci palma odbije.

- Zrobisz, jak ja chce - powiedział Spluwa. Wydawał się bardziej opanowany... ale chyba nie odzyskał nawet połowy tego opanowania, jakie miał poprzednio. - A jak nie, postaram się, żebyś wylądował w stanowym więzieniu Maine za morderstwo.

- Nie rozśmieszaj mnie. - Ale Mort znów poczuł, jak kiszki skręcają mu się w węzeł.

- Uwikłałem cie w sprawę tych dwóch ludzi bardziej, niż myślisz - powiedział Spluwa - a nagadałeś już całom kupę kłamstw. Jakbym po prostu znikł, panie Rainey, to budzisz się z pentlom na szyi i girami w powietrzu!

- Nie nastraszysz mnie.

- A nastraszę, nastraszę - powiedział Spluwa. Mówił prawie łagodnie. - Rzecz tylko w tym, że sam napędziłeś mi trochę strachu. Nie mogę cie rozgryźć.

Mort milczał.

- Dziwne by to było - Spluwa mówił nieswoim głosem, jakby przeżuwał jakąś myśl - gdybyśmy obaj wymyślili tom samom opowieść w dwóch różnych miejscach, o różnym czasie.

- Też mi to przyszło do głowy.

- Ach tak?

- Niemożliwe - powiedział Mort. - Zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Gdyby to była ta sama fabuła, to jeszcze. Ale ten sam język? Ten sam cholerny styl?

- Yhm, yhm. To samo sobie pomyślałem, pielgrzymie. Za dużo tego dobrego. Zbieg okoliczności wykluczony. Okradłeś mnie z tego, nie ma gadania, ale nie mogę sobie wyobrazić jak i kiedy.

- O, przestań! - wybuchnął Mort. - Mam czasopismo! Mam dowód! Czy ty tego nie rozumiesz? Już po sprawie! Czy była to z twojej strony jakaś zwariowana gra, czy tylko złudzenie, jest po sprawie! Mam czasopismo!

Po długim milczeniu Spluwa powiedział:

- No nie, jeszcze nie masz.

- Święta prawda - powiedział Mort. Poczuł nagle i całkowicie niechciane pobratymstwo z tym człowiekiem. - No to co robimy dziś wieczór?

- Ano nic. Ci ludzie niech sobie zostano. Żona i dzieciaki jednego so u rodziny. Drugi żył sam. Ty pojedziesz po to swoje czasopismo jutro rano. Ja przyjadę do ciebie do domu w południe.

- Zabijesz mnie - powiedział Mort. Okazało się, że ta myśl nie wywołuje w nim grozy, przynajmniej nie dziś wieczorem. - Kiedy pokażę ci czasopismo, twoje złudzenia prysną i zabijesz mnie.

- Nie! - odpowiedział Spluwa i tym razem wyraźnie okazał zaskoczenie. - Ciebie? Nie, panie szanowny! Ale tamci zawadzali nam w naszej sprawie. Nie mogłem na to pozwolić... i posłużyłem się nimi, żebyś musiał załatwić ze mnom sprawę. Żebyś wziął na siebie odpowiedzialność za to, coś mi zrobił.

- Zmyślny jesteś - powiedział Mort. - To muszę ci przyznać, jestem przekonany, że jesteś stuknięty, ale jestem też przekonany, że jesteś najbardziej zmyślnym skurwysynem, na jakiego trafiłem w życiu.

- Ano, nie mylisz się. Jeśli przyjadę jutro i okaże się, żeś nawiał, panie Rainey, to postaram się zniszczyć każdem osobę, którą ukochał polubił na tym świecie. Twoje życie pójdzie z dymem jak pole trzciny cukrowej buzujące na mocnym wietrze. Pomaszerujesz do

więzienia za zabójstwo tych dwóch, ale więzienie to będzie najmniejszy powód do zmartwienia. Czy rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Pielgrzymie.

- No to bądź tam.

- A załóżmy - tylko załóżmy - że pokażę ci czasopismo i na okładce będzie moje nazwisko, a w środku moje opowiadanie. Co wtedy?

Nastąpiła krótka pauza.

- Zgłoszę się do władz i przyznam do całego zamieszania. Ale na długo przed rozprawom zrobię z sobom porządek, panie Rainey. Bo jakby miało to wynikać, to znaczy, że jestem szalony. A człowiek tak szalony... - Spluwa westchnął. - A człowiek tak szalony nie noże i nie powinien żyć.

Przedziwna moc tych słów uderzyła Morta. „Jest niepewny, pomyślał. Po raz pierwszy jest naprawdę niepewny... bardziej niż ja kiedykolwiek”.

Ale odsunął tę myśl szybko i stanowczo. On nigdy nie miał powodu czuć się niepewny. Wina leżała po stronie Spluwy. Cała wina.

- A skąd mam wiedzieć, czy nie zaczniesz się upierać, że czasopismo jest fałszerstwem?

Nie spodziewał się odpowiedzi. Może tylko jakiejś obietnicy, słowa honoru, ale Spluwa zaskoczył go.

- Jak będzie prawdziwe, będę wiedział. A jak będzie fałszywe, obaj będziemy wiedzieć. Nie widzi mi się, żebyś dał rade ukartować całe fałszerstwo z czasopismem w trzy dni, ilu by tam ludzi nie harowało dla ciebie w Nowym Jorku.

Teraz z kolei myślał Mort i zabrało mu to długą, długą chwilę. Spluwa nie popędział go.

- Zaufam ci - powiedział w końcu Mort. - Nie mam zielonego pojęcia dlaczego, ale zaufam. Może dlatego, że nic specjalnego nie trzyma mnie już na tym świecie. Ale nie zamierzam zaufać ci bez reszty. Przyjedziesz do mnie. Zatrzymasz się na podjeździe, żebym mógł zobaczyć, że nie masz broni. Ja wyjdę. Czy to cię zadowala?

- Dobra.

- Niech Bóg ma nas w swej opiece.

- Tak szanpanie. Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, o co w tym wszystkim chodzi... i wcale mnie to nie cieszy.

- Spluwa?

- Jestem.

- Odpowiesz mi na jedno pytanie?

Milczenie... ale Mort uznał, że to zachęcające milczenie.

- Czy spaliłeś mój dom w Derry?

- Nie - natychmiast odpowiedział Spluwa. - Miałem cie na oku.

- I Łazęgę - z goryczą powiedział Mort.

- Słuchaj. Masz mój kapelusz?

- Tak.

- Będę go potrzebował - powiedział Spluwa - tak czy siak. Połączenie zostało przerwane. Najzwyczajniej w świecie. Mort odłożył słuchawkę powoli i ostrożnie i - podniósł znów spodnie - wrócił do łazienki skończyć to, co zaczął.

### 38

Amy zadzwoniła jeszcze raz około siódmej i tym razem Mort zdobył się na całkiem normalny ton - zupełnie jakby łazienka na górze nie została zdemolowana, a dwóch zabitych ludzi nie siedziało za zaroślami przy ścieżce nad jeziorem i nie sztywniało, podczas gdy zmierzch wokół nich przechodził w mrok.

Od czasu poprzedniego telefonu rozmawiała z Fredem Evansem. Powiedziała, iż jest przekonana, że albo coś wiedział, albo coś podejrzewał w sprawie pożaru, i nie chciał im powiedzieć. Mort usiłował ją pocieszyć i pomyślał, że udało mu się to do pewnego stopnia, ale sam czuł niepokój. Jeśli to nie Spluwa podłożył ogień - a Mort był skłonny wierzyć, że facet mówi prawdę - to był to czysty przypadek... chyba tak?

Nie wiedział, czy ma rację, czy nie ma.

- Mort, tak się o ciebie martwię - powiedziała nagle Amy. To wyrwało go z zamyślenia.

- O mnie? Nic mi nie jest.

- Jesteś pewien? Kiedy zobaczyłam cię wczoraj, wydałeś mi się taki... spięty. - Urwała. - Prawdę mówiąc, to wydało mi się, że wyglądasz tak jak... sam wiesz.

- Amy, ja nie miałem załamania nerwowego.

- No nie, nie - powiedziała szybko. - Ale wiesz, o co mi chodzi. Kiedy ci ludzie z filmu byli tacy okropni z *Rodziną Delacourt*.

Niewiele spraw tak zatruło życie Mortowi. Paramount wpłacił siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów jako opcję za książkę, do której prawa wyceniono na siedemset pięćdziesiąt tysięcy - cholerną kupę forsy. I byli już bliscy zrealizowania opcji, kiedy ktoś wygrzebał w archiwum stary scenariusz, coś jakby *Nasza drużyna*, który na tyle przypominał *Rodziną Delacourt*, że groziło to ewentualnym procesem. Wtedy to jedyny raz w karierze - w każdym



razie przed tym koszmarem - Mort stanął wobec zarzutu plagiatu. Szefowie Paramoun-tu dali opcji umrzeć śmiercią naturalną. Mort nigdy się nie dowiedział, czy naprawdę martwiła ich sprawa ewentualnego plagiatu, czy po prostu rozmyślili się i uznali, że książka nie nadaje się do sfilmowania. Jeśli naprawdę się martwili, to trudno wprost uwierzyć, żeby taka banda mięczaków mogła zrobić jakikolwiek film. Tak przynajmniej sądził Mort. Herb Creekmore dostał kopię scenariusza *Naszej drużyny* i Mort dostrzegł jedynie śladowe podobieństwo. Amy też.

Całe to zamieszanie wybuchło, kiedy właśnie znalazł się w ślepym zaułku podczas pracy nad książką, na której rozpaczliwie mu zależało. Równocześnie odbywał krótkie tournee promocyjne z broszurowym wydaniem *Rodziny Delacourt*. Wszystko to w sumie naraziło go na wiele stresów.

Ale nigdy nie przeszedł załamania nerwowego.

- Nic mi nie jest - powtórzył znów z naciskiem, ale łagodnie. Przed laty odkrył u Amy zaskakującą i nieco wzruszającą cechę. Jeśli używało się w stosunku do niej odpowiednio łagodnego tonu, była zdolna uwierzyć prawie we wszystko. Często myślał, iż gdyby cały gatunek ludzki reagował podobnie i na przykład szczyrzył zęby dla pokazania tak wściekłości, jak rozbawienia, wojny ustałyby przed tysiącem lat.

- Jesteś pewien, Mort?

- Tak. Zadzwoń do mnie, jeśli nasz przyjaciel z ubezpieczeń da jeszcze znać o sobie.

- Zadzwonię. Zamilkł na chwilę.

- Jesteś u Teda?

- Tak.

- Co do niego teraz czujesz? Zawahała się i powiedziała zwyczajnie.

- Kocham go.

- Och.

- Nie miałam innych mężczyzn - powiedziała nagle. - Zawsze chciałam ci to powiedzieć. Nie miałam innych. Ale Ted... on spojrzał na twoje nazwisko i spoza niego zobaczył mnie, Mort. Zobaczył mnie.

- Znaczą, ja nie.

- Widziałeś mnie, kiedy byłeś obok - powiedziała. Głos miała cichy i zagubiony. - Ale tak często znikales.

Otworzył szeroko oczy. Nagle był gotów do wojny. Sprawiedliwej wojny.

- Co? Nie wyjechałem na promocję od czasu *Rodziny Delacourt*! A i wtedy trwało to krótko!

- Nie chcę się z tobą sprzeczać, Mort - powiedziała cicho. - Nie powinniśmy wracać do tego tonu. Chcę tylko powiedzieć, że nawet jak byłeś ze mną, to znikales często. Sam wiesz, miałeś swoją miłość. Twoja praca była twoją miłością.

Mówiła spokojnym głosem, ale czuł, że kryją się w nim niewylane łzy.

- Jak ja nienawidziłam tej dziwki, Mort. Była ładniejsza ode mnie, inteligentniejsza ode mnie, weselsza. Jak mogłam z nią walczyć?

- Wszystko to moja wina, proszę bardzo - powiedział z rozdrażnieniem, czując, jak w gardle też rosną mu łzy. - Czego ode mnie oczekiwałaś? Że zostanę cholernym hydraulikiem? Bylibyśmy biedni, a ja nie miałbym pracy. Kurwa, nie umiałem nic innego, czy ty tego nie rozumiesz?! Nie umiałem nic innego!!!

Miał nadzieję, że łzy przestaną płynąć przynajmniej na chwilę, ale płynęły. Płynęły. Kto znów potarł tę okropną magiczną lampę? Kto tym razem? On czy ona?

- Nie winię ciebie. Ja też jestem winna. Nigdy byś o nas się nie dowiedział... w taki sposób, jak to się stało... gdybym nie była taka słaba i tchórzliwa. To nie wina Teda. Ted chciał, żebyśmy poszli do ciebie razem i powiedzieli. Prosił o to cały czas. A ja zwlekałam. Mówiłam, że nie jestem pewna. Powtarzałam sobie, że wciąż cię kocham, że sprawy wrócą do nonny... ale zdaje mi się, że sprawy nigdy nie wracają do normy. Ja nigdy... - Złapała oddech i Mort uświadomił sobie, że ona też płacze. - Ja nigdy nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, kiedy otworzyłeś drzwi tego motelu. Wezmę go do grobu.

„Dobrze!, chciał do niej wrzasnąć. Dobrze! Bo ty tylko go widziałaś! Ja go miałem!”.

- Znałaś moją miłość - powiedział rwącym się głosem. - Nigdy się z nią przed tobą nie ukrywałem. Znałaś ją od początku.

- Ale nigdy nie wiedziałam, jak bardzo jesteś nią pochłonięty.

- No cóż, rozchmurz się. Wygląda na to, że teraz poszła sobie ode mnie.

Amy łkała.

- Mort, Mort... Chciałabym tylko, żebyś żył i był szczęśliwy. Czy ty tego nie rozumiesz? Czy ty tego nie potrafisz zrozumieć?

Widział tylko jej nagie ramię dotykające nagiego ramienia Teda Milnera. Widział ich oczy rozwarłe szeroko, przestraszone, i włosy Teda, poskręcane i sztywne jak strączki zeschniętej fasoli. Rozważał, czy jej tego nie powiedzieć - przynajmniej spróbować powiedzieć - i dał spokój. Dość sobie nawzajem sprawili przykrości. Być może w innych okolicznościach znów do tego powrócą. Ale wolałby, żeby jednak nie wspominała o tym załamaniu nerwowym. Nie miał wtedy żadnego załamania.

- Amy, wydaje mi się, że muszę kończyć.

- Tak, oboje musimy. Tedy wyszedł. Pokazuje jakiś dom, ale zaraz wróci. Muszę wziąć się za obiad.

- Przepraszam za kłótnię.

- Zadzwonisz, gdybym ci była potrzebna? Wciąż się martwię.

- Tak - powiedział, pożegnał się i odłożył słuchawkę. Stał przez chwilę przy aparacie. Myślał, że zaraz wybuchnie łkaniem. Ale przeszło mu. Może to właśnie było naprawdę koszmarne.

Że mu przeszło.

### 39

Monotonnie padający deszcz sprawił, że czuł niepokój i było mu jakoś głupio. Wrzucił trochę drewna, przysunął się z krzesłem do pieca i usiłował przeczytać ostatnie wydanie „Harper’s”, ale zapadał co chwila w drzemkę i co chwila budził z niej, kiedy opadała mu głowa i zaczynał chrapać. „Powinienem kupić fajki, pomyślał. Parę fajek powstrzymałoby mnie od snu”. Ale nie kupił żadnych fajek i zresztą nie był całkiem pewien, czy palenie powstrzymałoby go od snu. Był nie tylko zmęczony. Cierpiał wskutek doznanego szoku.

W końcu podszedł do kanapy, wyklepał poduszki i położył się. Blisko policzka zimny deszcz kapał kapu-kapu na ciemną szybę.

„Tylko raz, pomyślał. Zrobiłem to tylko raz”. A potem zapadł w głęboki sen.

### 40

W tym śnie znalazł się w największej klasie świata.

Ściany rozciągały się na kilometry. Każda ławka była płaskowyżem, a szare płytki podłogi niekończącą się równiną. Drzwi do holu były zamknięte, ale Mort Rainey mógł odczytać napis na mlecznym szkle:

POKÓJ CICHEJ PRACY NASZEJ DRUŻYNY PROF. DELLACOURT

„Źle to napisali, pomyślał, za dużo «L»,,

Ale jakiś głos powiedział mu, że nie ma racji.

Mort stał na palcach na półeczce na kredę pod gigantyczną tablicą. Trzymał kredę wielkości kija baseballowego. Chciał opuścić rękę, która bolała go straszliwie, ale nie mógł. Nie może jej opuścić, dopóki nie napisze na tablicy pięćset razy: Nie będę ściągął od Johna Kintnera. Napisał to już ze czterysta razy, ale czterysta razy to za mało. Okradzenie człowieka z owoców jego pracy, kiedy było to wszystko, co miał, było niewybaczalne. Więc będzie pisał, i pisał, i pisał, nie zwrócił uwagi na wewnętrzny głos, który usiłował mu podpowiedzieć, że to sen, a ramię boli go z innego powodu.

Kreda piszczała przeraźliwie. Pył kredowy, kwaśnym i jakoś znanym - jakże znanym zapachem - spadał mu na twarz. W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać. Opuścił ramię, jakby w ręce trzymał worek z ołowianą kulą. Obrócił się na półeczce na kredę i zobaczył, że tylko jedna ławka w ogromnej klasie jest zajęta. Siedział w niej młody człowiek z twarzą wieśniaka; twarzą, którą można sobie wyobrazić za zadem muła w najodleglejszym zakątku pola. Jasno-kasztanowe włosy sterczały mu na głowie. Ręce wiejskiego podrostka, składające się jakby z samych kłykci, złożył przed sobą na pulpicie. Wlepił w Morta blade oczy.

„Znam cię”, powiedział we śnie Mort.

„Zgadza się, pielgrzymie”, powiedział John Kintner z wyraźnym akcentem południowca. „Tylkoś mnie sobie źle złożył do kupy. Bier się za pisanie. To nie ma być pięćset. To ma być pięć tysięcy”.

Mort zaczął się obracać, ale pośliznął się na krawędzi półeczki i nagle spadł, krzycząc w suchym, pełnym kredowego pyłu powietrzu, a John Kintner śmiał się i Mort...

#### 41

...obudził się na podłodze z głową prawie pod złośliwym stoliczkiem. Wbijał palce w dywan i chlipał głośno i piskliwie.

Był nad jeziorem Tashmore. Nie w jakiejś niezmiernie klasie dla gigantów, ale nad jeziorem... i od wschodu nadchodził mglisty poranek.

„Nic mi nie jest. To był tylko sen i nic mi nie jest”.

Ale to nieprawda. Bo to nie był tylko sen. John Kintner istniał naprawdę. Jak, na litość boską, mógł zapomnieć Johna Kintnera?

Mort chodził do college'u w Bates i specjalizował się w pisarstwie twórczym. Później, kiedy przemawiał do pisarskiego narybku (zadanie, od którego uchylał się, kiedy tylko było to możliwe), ostrzegał słuchaczy, że taki wybór jest największym błędem, jaki człowiek może popełnić, jeśli idzie w parze z zamiarem utrzymywania się z pisania beletrystyki.

- Weźcie sobie posadę na poczcie - zwykł mawiać. - W przypadku Faulknera dało to wyniki.

Śmieli się wtedy. Lubili go słuchać i chyba całkiem nieźle ich zabawiał. Ponieważ wątpił, czy ktokolwiek, z nim włącznie, potrafi nauczyć ich pisarstwa, przywiązywał do tego wielką wagę. Niemniej jednak zawsze z ulgą witał koniec lekcji, seminarium czy kursu. Zawsze czuł się zdenerwowany w obecności młodzieży. Podejrzewał, że przyczyną tego był John Kintner.

Czy Kintner był z Missisipi? Mort nie pamiętał, ale chyba nie. Ale na pewno pochodził z jakiegoś zakątka głębokiego Południa - Alabamy, Luizjany, może z obrzeży

północnej Florydy. Nie miał pewności. Bates College - to było wieki temu i od lat nie myślał o Johnie Kintnerze, który pewnego dnia rzucił szkołę z przyczyn znanych tylko jemu samemu.

„To nieprawda. Myślałeś o nim zeszłej nocy”.

„Chyba raczej śniłem, o to ci chodzi”, Mort szybko poprawił samego siebie, ale ten piekielny głosik z głębi umysłu nie dawał za wygraną.

„Nie, nie, wcześniej. Myślałeś o nim podczas telefonicznej rozmowy ze Spluwą”.

Nie chciał o tym myśleć. Nie będzie o tym myśleć. John Kintner to przeszłość. John Kintner nie ma żadnego związku z tym, co dzieje się teraz. Wstał i w mlecznym świetle wczesnego poranka niepewnym krokiem udał się do kuchni zaparzyć mocną kawę. Dużo, dużo mocnej kawy. Tylko że piekielny głosik z głębi umysłu wciąż nie dawał za wygraną. Mort patrzył na zestaw kuchennych noży Amy zwisających z magnetyzowanych stalowych uchwytów i myślał sobie, że gdyby dało się ten głosik wyciąć, natychmiast spróbowałby takiej operacji.

„Myślałeś, że ruszyłeś faceta - w końcu go ruszyłeś. Myślałeś, że sprawą centralną znów stało się opowiadanie, opowiadanie i oskarżenie o plagiat. Sprawą stało się to, że Spluwa potraktował cię jak cholernego gówniarza z college’u. Jak cholernego gówniarza z college’u. Jak...”.

- Zamknij się - chrapliwie powiedział Mort. - Po prostu, kurwa, zamknij się.

Głosik się zamknął, ale okazało się, że Mort i tak nie potrafi przestać myśleć o Johnie Kintnerze.

Kiedy odmierzał kawę drżącą ręką, myślał o swoich nieustannych upartych twierdzeniach, że nigdy nie popełnił plagiatu ze Spluwy, że nigdy nie popełnił plagiatu z nikogo.

Ale przecież popełnił.

Raz.

Tylko raz.

- Ale to było dawno - szepnął. - I to nie ma żadnego związku z tym.

Może tak i było, ale to nie uspokoiło jego myśli.

## 42

Był na drugim roku, semestr wiosenny. Grupa pisarstwa twórczego, w której zajęciach uczestniczył, zajmowała się wtedy sztuką pisania opowiadań. Nauczycielem był gość o nazwisku Richard Perkins, Jr., autor dwóch powieści, które zyskały bardzo przychylnie recenzje i rozeszły się w bardzo niewielu egzemplarzach. Mort przystąpił do lektury jednej z

nich i doszedł do wniosku, że dobre recenzje i marny popyt miały tę samą podstawową przyczynę: książki były niezrozumiałe. Ale facet nie był złym nauczycielem - przynajmniej na zajęciach nie było nudno.

Grupa składała się z kilkunastu studentów. Jednym z nich był John Kintner. Kintner zaliczał dopiero pierwszy rok, ale dostał specjalne pozwolenie na dołączenie do grupy. I zdaniem Morta zasłużył na to. Choć kmiot z Południa, ten mękoła był dobry.

W semestrze wymagano napisania sześciu krótkich albo trzech długich opowiadań. Co tydzień Perkins kserował opowiadania rokujące jego zdaniem najgorętszą dyskusję i rozdawał je pod koniec zajęć. Studenci byli zobowiązani przygotować się do dyskusji i oceny. Był to rutynowy sposób prowadzenia zajęć. I pewnego tygodnia Perkins rozdał im opowiadanie Johna Kintnera. Nazywało się... „Jak ono się nazywało?”.

Mort poprzednio odkręcił kurek, żeby napęnić ekspres do kawy, ale stał teraz tylko, patrzył bezmyślnie na mgłę za przeszkloną ścianą i słuchał plusku wody.

„Wiesz cholernie dobrze, jak się nazywało. *Tajemnicze okno, tajemniczy ogród*”.

- Wcale nie! - zawył, rozdrażniony, w pustkę domu. Myślał gorączkowo, zdecydowany zagłuszyć ten piekielny głosik raz na zawsze... i nagle przypomniało mu się.

- *Osada Wronia Stopka!* - wrzasnął. - Tytuł opowiadania był *Osada Wronia Stopka*, i to nie ma żadnego związku z niczym!

Tylko że to też nie była prawda i nie potrzeba było tego głosiku, ukrytego gdzieś w środku obolałej głowy, żeby uznać ten fakt.

Kintner oddał trzy lub cztery opowiadania, zanim zniknął tam, gdzie zniknął (gdyby zapytać Morta o miejsce, wskazałby Wietnam - tam większość z nich zniknęła pod koniec lat sześćdziesiątych - przynajmniej większość młodych mężczyzn). *Osada Wronia Stopka* nie była najlepszym opowiadaniem Kintnera... ale była dobra. Kintner wyraźnie był najlepiej piszącym osobnikiem z grupy Richarda Perkinsa, Jr. Perkins traktował chłopaka prawie jak równego sobie i, w nie-tak-znowu-skromnej ocenie Morta Raineya, Perkins miał rację, ponieważ Mort uważał, że Kintner był troszkę lepszy niż Richard Perkins, Jr. Sam zresztą też uważał się za lepszego od wykładowcy.

Ale czy był lepszy niż Kintner?

- Hm, mmm - zamruczał cicho, włączając ekspres. - Byłem drugi.

Tak. Był drugi i nie cierpiał tego. Wiedział, że większość studentów idzie na kursy pisarstwa twórczego tylko dla zabicia czasu, dla kaprysu, by wkrótce dać sobie spokój z dziecinadą i wziąć się za studiowanie tego, co da chleb w dorosłym, prawdziwym życiu. Ich jedyny późniejszy związek z pisarstwem twórczym będzie polegał na wypełnianiu kroniki

wypadków bieżących w lokalnej gazecie i smarowaniu reklam płynu do mycia naczyń Bright Blue Breeze. Mort zjawił się w grupie Perkinsa przekonany, że będzie najlepszy, ponieważ w jego przypadku nigdy nie było inaczej. Stąd pojawienie się Johna Kintnera stało się bolesnym szokiem.

Pamiętał, że raz usiłował pogadać z chłopakiem... ale Kintner, który odzywał się na zajęciach tylko wtedy, kiedy zadano mu pytanie, okazał się prawie niemową. Mamrotał i jąkał się, ot pomiot białej biedoty, którego edukacja utknęła na czwartej klasie podstawówki. Pisanie było najwidoczniej jedynym głosem, jaki miał.

„A ty mu go ukradłeś”.

- Zamknij się - zamruczał. - Zamknij się wreszcie. „Byłeś drugi i nie mogłeś tego ścierpieć. Byłeś zadowolony, kiedy przepadł, bo znów mogłeś zostać pierwszy. Jak zawsze”.

Tak. Prawda. Rok później przygotowywał się do egzaminów końcowych, sprzątał szafę w marnym mieszkaniu w Lewiston, które dzielił z dwoma innymi studentami, i natrafił na stos odbitek z pisarskiego kursu z Perkinsem. W stercie znalazło się tylko jedno opowiadanie Kintnera. Przypadkiem była to *Osada Wronia Stopka*.

Pamiętał, jak siedział na wygniecionym, śmierdzącym piwem dywanie w sypialni, czytał to opowiadanie i znów zaczęła go gryźć stara zazdrość.

Wyrzucił odbitki, ale tę jedną zabrał ze sobą... z przyczyn, których wolał bliżej nie badać.

Jako pierwszorocznik Mort posłał jedno opowiadanie do literackiego czasopisma zwanego „Aspen Quarterly”. Wróciło z listem informującym, że lektorzy ocenili je całkiem nieźle „choć zakończenie wskazuje na pewną niedojrzałość”. List, który Mort uznał za jednocześnie protekcyjny i bardzo podniecający, zapraszał go do nadesłania czegoś więcej.

W ciągu następnych dwóch lat przesłał jeszcze cztery opowiadania. Żadne nie zostało przyjęte, ale każdej stereotypowej formułce odmownej towarzyszył list. Mort przechodził męki niewydawanego pisarza; okresy optymizmu mieszały się z okresami głębokiego upadku. Bywały dni, kiedy był pewien, że trzeba tylko czasu, a wedrze się na łamy „Aspen Quarterly”. A bywało, że ogarniało go przekonanie, iż cały zespół redakcyjny - stwór w stwora, z głowami na ołówkach zamiast szyi - tylko zabawia się nim, drażni jak z głodnym psem, któremu podsuwa się pod pysk kawał miecha i podrywa mięcho do góry, kiedy pies skoczy. Czasem wyobrażał sobie, jak ktoś z nich wyjmuje jakiś jego maszynopis z grubej koperty i krzyczy: „To znowu od tego kutafona z Maine! Kto ma ochotę machnąć liścik tym razem?”. I wszyscy wyją ze śmiechu, może nawet tarzają się po podłodze pod afiszami Joan Baez i Moby Grape’a w Fillmore.

Przeważnie jednak Mort nie ulegał takiej smutnej paranoi. Wiedział, że jest dobry i że to tylko kwestia czasu. A tamtego lata, pracując jako kelner w restauracji w Rockland, dumał o opowiadaniu Johna Kintnera. Dumał o tym, że prawdopodobnie nadal wala się na dnie jego walizy. Nagle błysnął mu pomysł. Zmieni tytuł i prześle opowiadanie do „Aspen Quarterly” pod własnym nazwiskiem! Wtedy uważał to za znakomity dowcip. Chociaż teraz, patrząc wstecz, nie wiedział, na czym miał on polegać.

Pamiętał, że nie miał zamiaru wydawać tego opowiadania pod swoim nazwiskiem... lub jeśli żywił taki utajony zamiar, nie był go świadomy. Jeśli nastąpi nieprawdopodobne i opowiadanie zostanie przyjęte, wycofa je i oświadczy, że musi jeszcze nad nim trochę popracować. A jeśli zostanie odrzucone, będzie miał przynajmniej trochę radości z faktu, że John Kintner też nie jest dość dobry dla „Aspen Quarterly”.

Więc posłał im opowiadanie.

I oni je przyjęli.

I on pozwolił, by zostało przyjęte.

I przysłali mu czek na dwadzieścia pięć dolarów. „Jako honorarium” - takie określenie padło w towarzyszącym liście. A potem je wydali.

A Morton Rainey, gryziony spóźnionymi wyrzutami sumienia, zrealizował czek i pewnego dnia wrzucił banknoty do puszek z ofiarami dla biednych w kościele św. Katarzyny w Augustie.

Ale wyrzuty sumienia to nie wszystko, co mu doskwierało. O nie.

Mort siedział w kuchni z głową opartą na rękę, czekając, aż kawa zacznie się łać. Głowa go bolała. Nie chciał myśleć o Johnie Kintnerze i jego opowiadaniu. To, co zrobił z *Osadą Wronia Stopka*, było jednym z najbardziej haniebnych uczynków w jego życiu. Czy to więc naprawdę takie dziwne, że zakopał sprawę na tak wiele lat? Pragnął zakopać ją znowu. Dziś przecież czeka go wspaniały dzień - może najwspanialszy w życiu. Może nawet ostatni. Powinien myśleć o wyjeździe na pocztę. Powinien myśleć o konfrontacji ze Spluwą - ale jego pamięć nie chciała zostawić w spokoju tych smutnych, starych czasów.

Kiedy zobaczył czasopismo, autentyczny egzemplarz ze swoim nazwiskiem wydrukowanym nad opowiadaniem Johna Kintnera, czuł się jak człowiek obudzony ze straszliwej lunatycznej przechadzki, z nieświadomej podróży, podczas której popełnił jakiś nieodwracalny czyn. Jak mógł pozwolić, żeby sprawy zaszły tak daleko? To miał być tylko żart, na litość boską, tylko mały dowcipasek...



Ale pozwolił, żeby sprawy zaszły tak daleko. Opowiadanie zostało wydrukowane i na świecie żyło przynajmniej kilkunastu ludzi - w tym sam Kintner - którzy wiedzieli, że nie on jest autorem. A jeśli jeden z nich przypadkiem weźmie do ręki „Aspen Quarterly...”.

Sam nie mówił o tym nikomu - skądże. Czekał tylko, chory z ciężkiego przerażenia. Spał i jadł bardzo niewiele tego lata i wczesną jesienią. Schudł i czarne sińce pojawiły mu się pod oczami. Serce przyspieszało trzykrotnie za każdym dzwonkiem telefonu. Jeśli rozmowa była do mego, szedł do aparatu, powłócząc nogami, z zimnym potem na czole, pewien, że to Kintner, a pierwsze słowa, które wypowie, będą: „Ukradłeś moje opowiadanie i nie można tego tak zostawić. Chyba zacznę od tego, że opowiem wszystkim, jaki z ciebie złodziej”.

A najbardziej niewiarygodne jest to, że dokładnie wiedział, co zmagstrował. Wiedział, jakie konsekwencje czekają młodego człowieka, którego ambicją jest kariera pisarza, a który dopuścił się takiego czynu. Równało się to zabawie w rosyjską ruletkę z pancer-faustem... A mimo to, a mimo to...

Ale kiedy jesień minęła bez wstrząsów, zaczął śmieiej oddychać. To wydanie „Aspen Quarterly” zostało zastąpione przez nowe wydanie. To wydanie nie leżało już na stołach z periodykami w całym kraju. Zostało wepchnięte na półki albo przemienione w mikrofilm. Nadal mogło przynieść kłopoty - ponuro rozważał możliwość, że będzie musiał żyć z tą wizją przez resztę życia - ale jak to bywa: co z oczu, to z serca.

A potem, w listopadzie, przyszedł list od „Aspen Quarterly”.

Mort trzymał go w rękach, patrzył na swoje imię i nazwisko na kopercie i cały się telepał. Oczy wypełnił mu jakiś płyn, zbyt gorący i żrący, aby mogły to być łzy, i widział kopertę najpierw podwójnie, a potem potrójnie.

„Przyłapali. Przyłapali mnie. Chcą, żebym odpowiedział na list od Kintnera... albo Perkinsa... albo od kogoś z grupy... Przyłapali mnie”.

Myślał wtedy o samobójstwie - całkiem spokojnie i trzeźwo. Matka miała proszki nasenne. Zażyje je. Nieco uspokojony tą wizją rozerwał kopertę i wyjął pojedynczą kartkę papieru listowego. Trzymał ją złożoną i rozważał, czyjej nie spalić, nawet nie zajrzawszy. Nie był pewien, czy zdoła stanąć twarzą w twarz z oskarżeniem. Bał się, że oszaleje.

„Śmiało, do cholery - zobacz. Przynajmniej zobacz, co cię czeka. Może nie potrafisz stawić im czoła, ale na Boga, zobacz, co cię czeka”. Rozłożył list.

Drogi Morcie Rainey

Twoje opowiadanie *Wronie Oczko* ogromnie nam się tu podobało. Przepraszam, że ten list przychodzi tak późno, ale szczerze mówiąc, oczekiwaliśmy wieści od Ciebie. Przez lata

tak wiernie przysyłałeś nam teksty, że Twoje milczenie teraz, kiedy Ci w końcu poszło, jest nieco niepokojące. Jeżeli coś w sposobie potraktowania Twojego opowiadania - dobór czcionki, opracowanie graficzne, włamanie w całość” numeru - nie spodobało Ci się, mamy nadzieję, że nie będziesz tego krył przed nami. A tymczasem może byś skrobnął następne opowiadanie?

Łączę wyrazy szacunku

Charles Palmer Wiceredaktor

Mort odczytał list dwukrotnie, a potem ciszę - pustego szczęśliwym zbiegiem okoliczności - domu przerwały ochryple wybuchy śmiechu. Słyszał o zrywaniu boków ze śmiechu. Właśnie to mu teraz groziło. Jeśli zaraz nie przestanie, rozerwie się i rozsiejie flaki po podłodze. Był gotów skończyć ze sobą, łykając proszki nasenne, a oni chcieli wiedzieć, czy nie wkurzył się opracowaniem graficznym! Oczekiwał końca kariery, zanim się na dobre zaczęła, a oni chcieli więcej! Więcej!

Śmiał się - faktycznie wył - aż przestał zrywać boki ze śmiechu i zaczął histerycznie łkać. Potem padł na sofę, odczytał jeszcze raz list Charlesa Palmera i płakał, dopóki znów nie zaczął się śmiać. W końcu udał się do pokoju, ułożył poduszki pod głową tak, jak lubił, i zasnął.

Upiekło mu się. Na tym się skończyło. Upiekło mu się i nigdy więcej nie zrobił niczego, co by choć trochę przypominało tamtą sprawę, a wszystko to zdarzyło się tysiąc lat temu, więc dlaczego powróciło teraz i go prześladowuje?

Nie wiedział, ale postanowił przestać o tym myśleć.

- I to od razu - powiedział pustemu pokojowi i podszedł szybkim krokiem do ekspresu, starając się zignorować ból głowy.

„Wiesz, czemu o tym teraz myślisz”.

- Zamknij się. - Mówił konwersacyjnym tonem, dość wesoło... ale ręce mu się trzęsły, kiedy podniósł silex.

„Może jesteś bardzo chory. Prawdę mówiąc, to może masz załamanie ner...”.

- Zamknij się! - krzyknął i cisnął silex z całą siłą, na jaką było go stać. Silex przeleciał nad kontuarem przez pokój, obracał się wokół własnej osi, trzasnął w szklaną ścianę, rozbił się i padł zrujnowany na podłogę. Mort spojrział na szklaną ścianę i zobaczył długi srebrzysty zygzak biegnący do sufitu. Zaczynał się w miejscu, w które uderzył silex. Mort czuł się tak, jakby podobny zygzak dzielił mu mózg na dwoje.

Ale głosik ucichł.

Z pełną powagą udał się do sypialni, wziął budzik i wrócił do bawialni. Po drodze nastawił budzik na wpół do jedenastej. O wpół do jedenastej zamierzał pojechać na pocztę, zabrać pakunek dostarczony przez Federal Express i z pełną powagą skończyć ten cały koszmar.

Ale tymczasem pośpi.

Będzie spał na kanapie, tam gdzie zawsze spało mu się najlepiej.

- Nie ma nerwowego załamania - szepnął do głosika. Głosik nie zgłosił żadnego protestu. Widocznie się spietrał. Mort liczył na to, ponieważ jemu głosik napędzał nielicznego pietra.

Mort odnalazł wzrokiem srebrny zygzak na przeszklonej ścianie i prześledził uważnie jego bieg. Zastanowił się, czy nie skorzystać z klucza uniwersalnego pokojówki. Jaki ten pokój ciemny, trzeba dobrej chwili, żeby oczy się przystosowały. Ich nagie ramiona. Ich przestraszone oczy. Krzyczał, nie pamiętał co - i nigdy, nie miał odwagi zapytać o to Amy - ale musiał nastraszyć ich po skurwysynie, sądząc po tym, jak się na niego gapili."Jeśli kiedykolwiek groziło mi załamanie nerwowe, myślał, patrząc na przypadkowy jak ślad błyskawicy zygzak pęknięcia, to wtedy. Do diabła, otwieranie tego listu od »Aspen Quarterly« to zero w porównaniu z otwieraniem drzwi motelu, za którymi twoja żona leży z ulizanym agentem od sprzedaży nieruchomości z jakiegoś gównianego miasteczka w Tennessee".

Mort zamknął oczy, a otworzył je dlatego, iż nowy głos podniósł alarm. Głos budzika. Mgła rozeszła się, słońce wstało i nadszedł czas, aby jechać na pocztę.

### 43

Po drodze nagle ogarnęła go pewność, że Federal Express przyjechał i odjechał... i że Juliet stanie przy okienku z twarzą bez wyrazu, potrząśnie głową i powie, że nie ma dla niego nic, bardzo jej przykro. A jego dowód? Zniknie jak dym. To uczucie nie miało podstaw - Herb to ostrożny facet, nie składał obietnic, których nie może dotrzymać - ale było zbyt natarczywe, żeby się go pozbyć.

Zmusił się do wyjścia z samochodu, a od drzwi urzędu pocztowego do okienka, przy którym Juliet Stoker sortowała na stojąco listy, było tysiąc kilometrów.

Dotarł tam, otworzył usta, lecz nie wydobył z siebie słowa. Usta poruszały się, ale gardło było za suche, żeby wydać dźwięk. Juliet spojrzała, a potem cofnęła się o krok. Wyglądała na spłoszoną. Choć nie aż tak spłoszoną, jak spłoszeni byli Amy i Ted, kiedy otworzył drzwi motelowego pokoju i wycelował w nich z rewolweru.

- Panie Rainey? Nic panu nie jest? Odchrząknął.

- Przepraszam, Juliet. Ścisnęło mnie w gardle.

- Bardzo pan blady - powiedziała i usłyszał w jej głosie to, co zwykle słyszał, gdy mieszkańcy Tashmore odzywali się do niego: dźwięczała w nim дума, ale pod nią kryły się irytacja i protekcyjność, jakby był cudownym dzieckiem, które potrzebuje specjalnej opieki i pokarmu.

- Zdaje się, zjadłem coś wczoraj wieczór - powiedział. - Czy Federal Express zostawił coś dla mnie?

- Nie, nic a nic.

Rozpaczliwie złapał się półeczki pod kontuarem. Myślał, że zemdleje, choć prawie zaraz połapał się, że powiedziała coś innego.

- Przepraszam?

Stała tyłem. Wypięła na niego pękaty wiejski zadek, grzebiąc w pakunkach na podłodze.

- Tylko ten list - odpowiedziała. Obróciła się i przesunęła po kontuarze list w jego kierunku. Zobaczył na kopercie adres nadawcy. EQMM, Pensylwania. Poczł przyptływ ulgi. Jakby w wysuszone gardło spłynął tyk wody.

- Dziękuję.

- Proszę. Wie pan, ci urzędnicy pocztowi wilkiem patrzą, jak słyszą, że przyjmujemy ludziom Federal Express.

- Ależ całkowicie doceniam twój gest - powiedział Mort. Dostawszy magazyn, poczuł natychmiastową chęć ucieczki i powrotu do domu. Chęć tak silną, że prawie nieodpartą. Nie wiedział, dlaczego go ogarnęła - do południa brakowało jeszcze godziny i kwadransa - ale w sposób zdecydowany dawała znać o sobie. Był tak rozstrojony, że gotów dać Juliet napiwek, żeby zamknąć jej usta... ale jej dusza, jankeska do głębi, dopiero wtedy zaczęłaby wietrzyć coś niezwykłego.

- Pan im nie powie, co? - spytała figlarnie.

- Mowy nie ma - powiedział i nawet udało mu się uśmiechnąć.

- Dobra - powiedziała Juliet Stoker i też się uśmiechnęła. - Bo ja widziałam, co pan zrobił.

Zatrzymał się przy drzwiach.

- Przepraszam, co?

- Powiedziałam, że zastrzeliliby mnie, gdyby pan to zrobił. - Przyjrzała mu się uważnie. - Powinien pan pójść do domu i położyć się, panie Rainey. Naprawdę bardzo źle pan wygląda.

„Juliet, czuję się tak, jakbym ostatnie trzy dni spędził na leżeniu plackiem - znaczy wtedy, kiedy nie waliłem pogrzebaczem”.

- No cóż - powiedział - może to nie taki zły pomysł. Dalej jest mi słabo.

- Grasuje wirus. Może go pan złapał.

Mortowi udało się wymknąć. Siedział w buicku z niebieskim pakunkiem na kolanach i wtedy zjawiły się dwie kobiety z Camp Wigmore - te, które wszyscy w miasteczku podejrzewali o lesbijst-wo, choć trzeba było im przyznać, że się z tym nie afiszowały. Nie podobały mu się te ciągłe uwagi, że wygląda na chorego. A jeszcze mniej podobał mu się sposób, w jaki pracowała jego głowa.

„To bez znaczenia. Jest już prawie po wszystkim”.

Zaczął rozdzierać kopertę, a wtedy damy z Camp Wigmore wyszły z poczty i spojrzały na niego. Zbliżyły ku sobie głowy. Jedna z nich uśmiechnęła się. Druga roześmiała się głośno. A Mort powziął nagłą decyzję, że zaczeka z otwarciem paczki do powrotu do domu.

#### 44

Zaparkował buicka z boku, na zwykłym miejscu, wyłączył zapłon... a wtedy delikatna szarość przesłoniła mu oczy. Kiedy się ocknął, czuł się dziwnie. Bał się. Czyżby jednak coś mu doskwierało? Jakaś choroba?

Usłyszał coś - może tylko się przestyszał - i rozejrzał się szybko. Nic. „Weź się w garść, powiedział sobie drżącym głosem. „To tylko musisz zrobić - wziąć w garść własne nerwy, kurwa twoja mać”.

A potem pomyślał: „Wtedy miałem broń. Wtedy. Ale była nie załadowana. Później powiedziałem im. Amy mi uwierzyła. Nie wiem, jak Milner, ale Amy uwierzyła i...”.

Znów pomyślał o pęknięciu na szklanej ścianie w bawialni, o przypadkowym jak ślad błyskawicy srebrnym zygzaku, biegnącym przez sam środek różnych różności. „Tak się to właśnie dzieje, pomyślał. Tak się to właśnie dzieje w życiu człowieka”.

Potem znów spojrzał na list przesłany przez Federal Express. „O tym powinienem myśleć, nie o Amy i nie o panu Tedym Niech-Mnie-On-W-Dupę-Pocałuje z Kolby Spluwy, Tennessee, lecz o tym”.

Koperta była już do połowy naddarta - w dzisiejszych czasach wszyscy są tacy niedbali. Rozerwał ją do końca i wytrząsnął czasopismo na podołek. „Ellery Queen’s Mystery Magazine” głosił tytuł jasno czerwonymi literami. Poniżej, mniejszą czcionką, „Czerwiec, 1980”. A jeszcze niżej nazwiska niektórych pisarzy zamieszczonych w tym numerze. Edward D. Hoch. Ruth Rendell. Ed McBain. Patricia Higsmit. Lawrence Block.

Jego nazwiska nie było na okładce.

No cóż, oczywiście. Był wtedy ledwo znany jako pisarz, a na pewno zupełnie nieznanymi jako autor opowieści kryminalnych. *Czas siejby* było wyjątkiem. Jego nazwisko nie znaczyło nic dla stałych czytelników, więc redaktorzy nie umieścili go na okładce. Obrócił stronę.

Nie było kartki ze spisem treści.

Kartka ze spisem treści została wycięta.

Gorączkowo przerzucał czasopismo. Upuścił. Podniósł z cichym okrzykiem. Za pierwszym razem nie spostrzegł wycięcia, ale za drugim zauważył, że strony od osiemdziesiątej trzeciej do dziewięćdziesiątej siódmej przepadły.

- Wyciąłeś je! - wrzasnął. Wrzasnął tak głośno, że oczy wylazły mu z orbit. Zaciśniętymi pięściami walił w kierownicę buicka, raz za razem, raz za razem, raz za razem. Klakson czknął i zatrzął. - Wyciąłeś je, ty skurwysynu! Jak ci się to udało? Wyciąłeś je! Wyciąłeś je! Wyciąłeś je!

#### 45

Znajdował się w połowie drogi do domu, kiedy zabójczy głosik znów zaczął się zastanawiać, jakim cudem Splugwa to zrobił. Koperta nadeszła ekspresem z Pensylwanii i przejęła ją Juliet, więc jak na miłość boską...

Zatrzymał się.

„Dobra, powiedziała Juliet. Dobra, boja widziałam, co pan zrobił”.

Tak, tu jest pies pogrzebany. Juliet była w to zamieszana. Tylko że...

Tylko że Juliet była w Tashmore od zawsze.

Tylko że ona tego nie powiedziała. To jedynie wytwór jego umysłu. Drobne paranooidalne czknięcie.

- Więc to musi być jego robota - powiedział Mort. Wszedł do domu i ledwie minął próg, cisnął czasopismem z całą siłą, na jaką było go stać. Frunęło jak wystraszony ptak, kartki zafurkotały. Plasnęło o podłogę. - O taa... głowę daję, daję pierdoloną dupę, że to jego robota. Ale ja nie muszę pałętać się bez sensu, czekając na niego. Ja...

Spostrzegł kapelusz Splugwy. Leżał na podłodze przed drzwiami do gabinetu.

Mort przez chwilę stał jak wryty, we własnych uszach słyszał łomot własnego serca. Podszedł do pieca. Stąpał na palcach, wysoko podnosił kolana, jak figurka z komiksu. Z małej wiązki narzędzi wybrał pogrzebacz. Skrzywił się - koniuszek pogrzebacza zadzwonił cichutko o łopatkę do popiołu. Z pogrzebaczem w ręce podszedł ostrożnie do zamkniętych drzwi.

Pogrzebacz trzymał tak jak wtedy, kiedy atakował łazienkę. Musiał ominąć rzucone czasopismo.

Doszedł do drzwi. Staął.

- Spluwa?

Nie było odpowiedzi.

- Spluwa, lepiej wyjdź sam! Jak tam wejść i dobiore się do ciebie, nigdy już znikąd sam nie wyjdiesz!

Dalej nie było odpowiedzi.

Stał jeszcze chwilę, zbierając odwagę (choć nie był pewien, czy mu jej starczy), a potem uderzeniem ramienia rozwalił drzwi na oścież, wpadł do środka jak wyrzucony z katapulty, wrzeszcząc i wymachując pogrzebaczem...

Pokój wionął pustką.

Ale Spluwa był tu, szkoda gadać. Tak. Monitor, część urządzenia, które połykało, przechowywało i wydalało owoce pracy Morta, leżał na podłodze. Rozbity ekran łupał jak pusty oczodół. Spluwa go rozwalił. Na biurku w miejscu monitora stała stara maszyna do pisania marki Royal. Stalowa powierzchnia dinozaura była matowa i pokryta kurzem. Oparty o klawisze leżał maszynopis. Maszynopis Spluwy, ten, który zostawił przyciśnięty kamieniem na werandzie milion lat temu.

To był *Tajemniczy ogród, tajemnicze okno*.

Mort upuścił pogrzebacz na podłogę. Podeszedł do maszyny jak zahipnotyzowany i wziął maszynopis do ręki. Kiedy go powoli kartkował, zrozumiał, dlaczego pani Gavin była pewna, że jest jego... tak pewna, że wyciągnęła go ze śmieci. Może jej świadomość nie rozpoznała nierównego druku, ale oko rozpoznało. Czemu nie? Przez lata widywała maszynopisy podobne do *Tajemniczego ogrodu, tajemniczego okna*. Komputer Wanga i laserowa drukarka System Five były stosunkowo świeżymi przybyszami. Przez większą część kariery pisarskiej korzystał z tego starego royala. Z biegiem lat zużył się prawie kompletnie i stanął żalosną ruinę - litery, jakie spod niego wychodziły, były koślawe jak zęby starucha.

Ale, rzecz jasna, stał tu sobie cały czas - wciśnięty w głąb szaty ściennej gabinetu, za stosami odbitek szczotkowych i maszynopisów... za „gnojem”, jak mówili redaktorzy. Spluwa musiał go ukraść, napisał na nim opowiadanie, a potem, kiedy Mort pojechał na pocztę, ukradkiem podrzucił z powrotem. Jasne. To ma sens, no nie?

„Nie, Mort. To nie ma sensu. Chciałbyś zrobić coś, co ma sens? To dzwoń na policję. To ma sens. Dzwoń na policję, powiedz, niech przyjeżdżają po ciebie i pakują cię do

więzienia. Powiedz im, niech biorą się za to migiem, zanim więcej narozrabiasz. Powiedz im, niech to zrobią, zanim znowu kogoś zabijesz”.

Z wielkim obłąkańczym krzykiem Mort wypuszczał z rąk kartki. Kartki leniwie ścieliły mu się do stóp jak wodorosty, a cała prawda przeszła go w jednej chwili jak ostry grot srebrnej błyskawicy.

#### 46

Nie było Johna Spluwy. Nigdy nie było.

- Nie - powiedział Mort. Znów chodził tam i z powrotem po wielkiej bawialni. Ból głowy znikał i wracał falami. - Nie. Nie przyjmuję tego do wiadomości. Absolutnie nie przyjmuję.

Ale czy przyjmował, czy nie przyjmował, nie miało to znaczenia. Wszystkie elementy układanki znalazły się, a kiedy zobaczył starego royala, ułożyły się w całość. Teraz, po piętnasta minutach, nadal były ułożone i wyglądało na to, że nie ma nad nimi aż takiej władzy, by je rozrzuć.

Wciąż powracał mu przed oczy jeden obrazek. Chłopak na stacji benzynowej w Mechanic Falls szoruje przednią szybę jego samochodu. Widok, którego nie spodziewał się ujrzeć już nigdy w życiu. Później uznał, że chłopak wykonał tę ekstra usługę, ponieważ go rozpoznał, a lubił jego książki. Może i tak, ale szyba prosiła się o umycie. Lato minęło, ale mnóstwo robactwa wciąż rozbijało się o szyby, kiedy jechało się szybko i daleko bocznymi drogami. A musiał korzystać z bocznych dróg. Musiał wykonać rundkę do Derry i z powrotem szybko jak burza, w rekordowym czasie, zatrzymując się tylko po to, aby spalić swój dom. Nie zatrzymał się nawet, żeby wziąć w powrotnej drodze benzynę. Przecież musiał wpaść ta i tam, a miał jeszcze kota do zabicia, nie? Roboty po uszy.

Stał na środku pokoju. Obrócił się, żeby spojrzeć na szklaną ścianę.

- Jeśli to moja robota, dlaczego jej nie pamiętam? - skierował to pytanie do srebrnego pęknięcia na szybie. - Dlaczego nie pamiętam nawet teraz?

Nie wiedział... ale wiedział, skąd wziął imię i nazwisko, prawda? Połowę od człowieka z Południa, którego opowiadanie ukradł w col-lege'u. Połowę od człowieka, który ukradł mu żonę. Był to jakiś dziwaczny literacki kawał, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych.

„Ona mówi, że go kocha, Mort. Ona mówi, że go dalej kocha”.

- Pieprzyć to. Mężczyzna, który śpi z żoną innego mężczyzny, jest złodziejem. A ta kobieta jest jego współniczką. Spoglądał buntowniczo na pęknięcie. Pęknięcie nic nie powiedziało.



Trzy lata temu Mort wydał powieść *Rodzina Delacourt*. Adres nadawcy na opowiadaniu Spluwy: Dellacourt, Missisipi...

Nagle pobiegł do gabinetu po encyklopedię. W pośpiechu pośliznął się i mało nie wyrócił na rozrzuconych wszędzie kartkach. Wyjął tom z literą „M” i wreszcie znalazł hasło „Missisipi”. Przesunął drżący palec po liście miast - zajmowała całą stronę - rozpaczliwie czepiając się nadziei.

Na nic.

W stanie Missisipi nie było Dellacourt czy Delacourt.

Zastanawiał się nad odszukaniem Perkinsburga, miasta, w którym podobno Spluwa kupił broszurowe wydanie *Każdy kabluje*, zanim udał się w podróż greyhoundem, ale zamknął encyklopedię. Po co zawracać sobie tym głowę? W Missisipi może i jest Perkinsburg, ale nawet gdyby był, nie miało to znaczenia.

Powieściopisarz prowadzący grupę, w której Mort poznał Johna Kintnera, nazywał się Richard Perkins, Jr. Stąd ta nazwa.

Tak, ale nie pamiętam nic z tego, więc jak...?

„Och, Mort, lamentował głosik. Jesteś bardzo chory. Jesteś bardzo, bardzo chory”.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - powiedział. Drżenie własnego głosu napawało go przerażeniem. Ale czy miał wybór? Czy nie wydało mu się nawet, że wszystko, co wyczyniał, toczyło się jak we śnie, który musiał dośnić do końca?

„Zabiłeś dwóch ludzi, szepnął głosik. Zabiłeś Toma, ponieważ wiedział, że tamtego dnia byłeś sam, i zabiłeś Grega, żeby nie dowiedział się tego. NIE MOGŁEŚ NA TO POZWOLIĆ. Musiałeś doprowadzić do samego końca tę straszną historię. Byłeś tak obolały, kiedy wstałeś wczoraj. Sztywny i obolały. Ale nie tylko dlatego, że wyłamałeś drzwi od łazienki i zniszczyłeś drzwi od prysznicy, prawda? Miałeś o wiele więcej roboty. Musiałeś zająć się Tomem i Gregiem. I miałeś rację co do tego, jak kursowały te pojazdy... ale to ty zadzwoniłeś do Sonny'ego Trottsa i udawałeś Toma. Facet, który dopiero co zjechał tu z Missisipi nie mógł wiedzieć, że Sonny jest trochę przygłuchy, ale TY wiedziałeś. Ty zabiłeś ich, Mort, ty ZABIŁEŚ tych ludzi!”.

- Nie przyjmuję do wiadomości tego, że ja to zrobiłem! - darł się piskliwie. - To wszystko część jego planu! To wszystko część jego spisku! On ukuł ten spisek! I ja nie... ja nie przyjmuję tego do...

„Przestań”, szepnął głosik w głowie i Mort przestał.

Przez moment kompletna cisza panowała w obu światach: w tym świecie, który był wewnątrz jego głowy, i tym świecie, który był na zewnątrz jego głowy.

A po pauzie głosik zapytał cicho: „Dlaczego to zrobiłeś, Mort? Po co ten cały starannie opracowany, morderczy epizod? Spluwa powtarzał wciąż, że chce opowiadania, ale Spluwa NIE ISTNIEJE. Czego TY chcesz, Mort? PO CO stworzyłeś Johna Spluwę?”.

Z dworu dobiegł szum samochodu wjeżdżającego na podjazd. Mort spojrzał na zegarek i zobaczył, że wskazówki stanęły na baczność na dwunastce. Płomień triumfu i ulgi wybuchnął w nim jak ogień strzelający w wylot kominka. To, że miał czasopismo, ale nadal nie miał dowodu, było bez znaczenia. To, że Spluwa mógł go zabić, było bez znaczenia. Był gotów umrzeć z uśmiechem na ustach, byle się okazało, że John Spluwa ISTNIEJE i że Mort nie jest odpowiedzialny za okropności, nad którymi się zastanawiał.

- Przyjechał, przyjechał! - wrzasnął radośnie i wybiegł z gabinetu. Wymachiwał szaleńczo rękami nad głową i nawet podskoczył ucieszenie, okrążając róg i wpadając do holu.

Zatrzymał się. Spoglądał na podjazd, obok pochyłego daszku skrzyni na pojemniki ze śmieciami, do którego przybito zwłoki Łazęgi. Ręce zwisały mu bezwładnie po bokach. Mroczna groza owładnęła jego umysłem. Nie, nie owładnęła. Opuszczała się jak jakaś bezlitosna ręka ściągająca zasłonę. Wszystko stało się zrozumiałe. Przed paroma chwilami zrozumiał, że być może stworzył w wyobraźni zabójcę, ponieważ brakowało mu odwagi, żeby popełnić samobójstwo. Teraz uświadomił sobie, że Spluwa mówił prawdę, twierdząc, że nigdy nie zabije Morta.

To nie było imaginacyjne kombi Spluwy, ale skromne małe subaru Amy. Właśnie się zatrzymywało. Amy siedziała za kierownicą. Okradła go z jego miłości, a kobieta, która gotowa jest okraść cię z twej miłości, kiedy jest to wszystko, co masz, nie jest wiele warta.

Niemniej jednak kochał ją.

To Spluwa jej nienawidził. To Spluwa zamierzał ją zabić, a potem pochować nad jeziorem koło Łazęgi, tak aby w niedługim czasie stało się to tajemnicą dla nich obu.

- Jedź stąd, Amy - szepnął wątłym głosem starca. - Jedź stąd, zanim będzie za późno.

Ale Amy wysiadła z samochodu, a kiedy zamykała za sobą drzwi, ręka zaciągnęła zasłonę w głowie Morta do końca i znalazł się w ciemności.

#### 47

Amy spróbowała otworzyć drzwi. Okazało się, że nie są zamknięte. Weszła do środka i otworzyła usta, żeby zawołać Motta, ale nie zawołała. Rozejrzała się dookoła szeroko rozwartymi, zdumionymi oczami.

Dom był zapuszczony do ostateczności. Zawartość kosza na śmieci wysypywała się na podłogę. Kilka osowiałych jesiennych much włąziło i wyłaziło z ciśniętego w kąt

aluminiowego prozisa z mięsem w cieście. Czuła zastała woń potraw i odór stęchłego powietrza. Wydało się jej nawet, że czuje smród gnijącego jedzenia.

- Mort?

Odpowiedzi nie było. Ruszyła w głąb domu drobnymi kroczkami, niezupełnie pewna, czy chce zobaczyć resztę. Pani Gavin była tu zaledwie trzy dni temu - jak w tym czasie doszło do takiego bałaganu? Co się stało?

Martwiła się o Morta w ciągu całego ostatniego roku ich małżeństwa, a od rozvodu jeszcze bardziej. Martwiła się i oczywiście częściowo obwiniała za jego stan. Chyba będzie jej to ciążyło do końca życia. Ale Mort nigdy nie był silny... a jego największą słabością była uparta (i czasem prawie histeryczna) odmowa spojrzenia w twarz prawdy. Tego rana z jego głosu wyczuła, że jest o krok od samobójstwa. Usłuchała tego ostrzeżenia i nie sprowadziła Teda tylko dlatego, że pomyślała, iż widok Teda wyzwoli w Morcie chęć targnięcia się na własne życie.

Myśl o morderstwie nigdy nie przemknęła jej przez głowę. Teraz też nie. Nawet wtedy, tego okropnego popołudnia w motelu, kiedy wymierzył w nich broń, nie bała się. Nie tego. Mort nie był typem mordercy.

- Mort? Mo...

Doszła do kontuaru kuchennego i słowo zamarło jej w ustach. Patrzyła na wielką bawialnię szerokimi, zdumionymi oczyma. Papier ścielił się wszędzie. Wyglądało na to, że w pewnym momencie Mort musiał ekshumować wszystkie kopie wszystkich maszynopisów, jakie mieściły szuflady jego biurka i porzrzucał kartki jak konfetti podczas jakiegoś żałobnego sylwestra. Stół był zastawiony brudnymi talerzami. Silex leżał strzaskany na podłodze przy szklanej ścianie, przez którą biegło pęknięcie.

I wszędzie, wszędzie, wszędzie było napisane jedno słowo. SPLUWA.

SPLUWA na ścianach, napisane kolorowymi kredami, które musiał wziąć z jej szuflady z przyborami malarskimi. SPLUWA rozprysnięte dwukrotnie na szybie - chyba bitą śmietaną - tak, opakowanie w sprayu leżało przy piecu. SPLUWA napisane wiele razy atramentem na ladach kuchennych i ołówkiem na drewnianych słupach podpierających dach; uporządkowana kolumna jak przy rachunkach domowych biegła prostą linią w dół: SPLUWA SPLUWA SPLUWA SPLUWA.

Co najgorsze, na wypucowanym do połysku blacie stołu z drzewa wiśniowego wryto wielkimi ostro biegnącymi literami wysokimi na metr jak groteskowe wyznanie miłosne: SPLUWA.

Śrubokręt użyty do tego ostatniego wyczynu leżał nie opodal na krześle. Coś czerwonego pokrywało stalowe ostrze - uznała, że to strużyny z drzewa wiśniowego.

- Mort? - szepnęła, rozglądając się wokoło.

Teraz przestraszyła się, że znajdzie go nieżywego, że zadał sobie śmierć własną ręką. A gdzie? Ależ to oczywiste: w gabinecie. Przeżył tam najcenniejsze chwile życia; na pewno wybrał to miejsce na ostatnią chwilę.

Chociaż nie chciała tam iść, chociaż nie chciała być tą osobą, która go znajdzie, stopy poniosły ją same w tym kierunku. Po drodze kopnęła egzemplarz EQMM, podesłany przez Herba Creekmore'a. Nie spojrzała na niego. Doszła do drzwi gabinetu i pchnęła je powoli.

#### 48

Mort stał przed swoim starym royalem. Monitor i klawiatura komputera leżały na podłodze wśród odłamków szkła. Mort dziwnie przypominał wiejskiego kaznodzieję. Częściowo z powodu pozycji, jaką przybrał. Stał dumnie wyprostowany, z rękami założonymi za plecy. Ale głównie z powodu kapelusza. Czarnego kapelusza wciśniętego tak głęboko, że prawie dotykał rondem uszu. Pomyślała, że Mort wygląda trochę jak starzec na obrazie „Amerykański gotyk”, chociaż tamten mężczyzna nie nosił kapelusza.

- Mort? - zagadnęła słabym i niepewnym głosem.

Nie odpowiedział, wpatrywał się w nią tylko. Wzrok miał ponury. Oczy mu błyszczały. Nigdy nie widziała takiego wyrazu w jego oczach, nawet tego koszmarnego popołudnia w motelu. Odniosła wrażenie, że to nie Mort, ale jakiś nieznajomy wyglądający jak Mort.

Ale kapelusz rozpoznała.

- Gdzie znalazłeś tę starość? Na strychu? - Serce biło jej tak mocno, że jego bicie było słychać w drzeniu głosu.

Musiał znaleźć go na strychu. Mocny zapach naftaliny czuła nawet stąd, gdzie stała. Mort kupił ten kapelusz w sklepie z pamiątkami w Pensylwanii całe lata temu. Podróżowali okolicą zamieszkaną przez amiszów. W Derry koło domu, tam gdzie główna część budynku spotykała się ze skrzydłem, w którym Mort miał gabinet, pielęgnowała ogródek. Był to jej ogródek, ale Mort często w nim pielili, kiedy utknął z jakimś pomysłem. Zwykle wkładał przy tym ten kapelusz. Nazywał go kapeluszem myśliciela. Przypomniała sobie, jak raz przeglądał się w nim w lustrze i żartował, że powinien zrobić sobie w nim fotografię na ostatnią stronę okładki. „Kiedy go wkładam - powiedział wtedy - wyglądam jak gość, którego miejsce jest na najdalszym skraju poletka, w zoranej bruździe, za dupą muła”.

Potem kapelusz gdzieś się zapodział. Musiał wyemigrować tu i znalazł się w szafie. Ale...

- To mój kapelusz - powiedział w końcu skrzypiącym, tępym głosem. - Nigdy nikt go nie nosił.

- Mort? Co się dzieje? Co...

- Trafiłaś pod zły numer, paniusiu. Żadnego Morta tu nie ma. Mort nie żyje.

Świdrujące oczy nie schodziły z niej.

- Wił się jak piskorz, ale koniec końców już nie mógł więcej kłamać przed samym sobom, a co dopiero przede mnom. Ja żem nigdy nie podniósł na niego ręki, pani Rainey. Przysięgam. Wysmyknoł się jak tchórz.

- Dlaczego mówisz w taki sposób? - pytała Amy.

- Bo tak mówię - powiedział z lekkim zaskoczeniem. - Tam w Miss'pi każdy tak mówi.

- Mort, przestań!

- Czy nie rozumiesz, co sie do ciebie mówi? - zapytał. - Głuchaś, czy co? On nie żyje. Zabił sie.

- Przestań, Mort - powiedziała i zaczęła płakać. - Boję się ciebie, to przykre.

- Nie ma znaczenia - powiedział. Wyjął ręce zza pleców. W jednej z nich trzymał nożyce z górnej szuflady biurka. Podniósł je. Słońce wyszło zza chmur. Promień odbił się od ostrzy, kiedy Mort otworzył je i zamknął.

- Nie będziesz się długo bać.

Ruszył do niej.

## 49

Przez chwilę stała w miejscu. Mort nie zabiłby jej. Gdyby był do tego zdolny, zrobiłby to z pewnością tego dnia w motelu.

Wtedy dojrzała jego wzrok i zrozumiała, że Mort też o tym wie. Ale to nie był on.

Wrzasnęła, obróciła się szybko i pobiegła do drzwi.

Spluwa rzucił się na nią, zamachnął nożycami. Błysnęły srebrnym łukiem. Weszłyby między łopatki Amy, gdyby stopa nie pośliznęła mu się na papierach rozrzuconych na twardej klepce. Upadł jak długi z krzykiem, w którym zaskoczenie mieszało się z wściekłością. Ostrza przebiły dziewiątą stronę *Tajemniczego okna, tajemniczego ogrodu*. Czubki odłamały się. Ustami walnął o podłogę, trysnęła krew. Paczka pall maili - John Kintner palił je w milczeniu w przerwach zajęć z pisarstwa twórczego, na które chodził wspólnie z Mortem Raineyem - wyleciała z kieszeni i sunęła po śliskim drewnie jak krążek podczas gry w

shuffleboard\*. Ukląkł, usta szczyrzył jak pies, uśmiechał się. Krew leciała mu po ustach i zębach. \* Gra planszowa.

- Na nic się to zda, pani Rainey! - krzyczał, zrywając się na nogi. Spojrzał na nożyce, otworzył je, żeby lepiej obejrzyć stępione czubki, a potem cisnął na bok zniecierpliwiony. - Mam dla ciebie miejsce w ogrodzie! Sam je wybrałem. Przekonasz się zaraz!

Wybiegł za nią przez próg.

## 50

Amy przewróciła się na środku bawialni. Jedną nogą trafiła na porzucony numer EQMM i padła na bok, boleśnie uderzając się w biodro i prawą pierś.

Za jej plecami Spluwa podbiegł do stołu i złapał śrubokręt, którym zabił kota.

- Leż, gdzie jesteś, i nie ruszaj się - powiedział, kiedy obróciła się na plecy i patrzyła na niego oczami rozwartymi szeroko jak oczy narkomanki. - Jak się ruszysz, to cie ukrzywdzę, zanim będzie po wszystkim. Nie chce cie ukrzywdzić, paniusiu, ale ukrzywdzę, jak będę musiał. Muszę coś dostać, rozumiesz. Zrobiłem szmat drogi i muszę coś dostać za swój trud.

Kiedy się zbliżał, Amy podniosła się na łokciach i odpychała w tył piętami. Włosy opadły jej na twarz. Pokryła się potem. Czuła go: był gorący i śmierdzący. Twarz nad nią miała grymas szaleńczej głębokiej, sędziowskiej powagi.

- Nie, Mort! Proszę! Proszę, Mort...

Rzucił się na nią, podniósł śrubokręt nad głowę. Uderzył. Amy wrzasnęła i przetoczyła się na lewo. Śrubokręt rozerwał jej sukienkę i rozorał ciało, poczuła na biodrze bolesną pręgę. Usiłowała poderwać się na kolana, słyszała i czuła, jak sukienka się drze, rozwija w długi pasek.

- Nie, szanpani - sapał Spluwa. Chwycił ją za kostkę. - Nie, szanpani.

Obejrzała się przez ramię i poprzez zmierzwione włosy zobaczyła, że drugą ręką wrywa śrubokręt z podłogi. Płaski kapelusz przekrzywił mu się na głowie.

Wyrwał śrubokręt i wbił w jej prawą łydkę.

Ból był straszliwy. Ból stał się całym światem. Wrzeszczała i kopała. Uderzyła go w nos, złamała. Spluwa stęknął, upadł na bok, złapał się za twarz i Amy zerwała się na nogi. Słyszała wycie jakiejś kobiety. Brzmiało to jak wycie psa do księżycy. Ale to chyba nie pies. To chyba ona sama.

Spluwa wstał. Dolna część twarzy zamieniła mu się w krwawą maskę. Maską pękła i pokazały się przednie krzywe zęby Morta Raineya. Pamiętała, jak lizał językiem te zęby.

- Zabawić się lubisz, co? - powiedział uśmiechnięty. - Niech i tak będzie, szanpani. Masz, czegoś chciała.

Rzucił się do niej. Amy zatoczyła się w tył. Śrubokręt wypadł z rany na łydce i potoczył się po podłodze. Spluwa zerknął na niego i znów się ku niej rzucił, prawie jak w zabawie. Amy złapała krzesło, zasłoniła się. Przez chwilę tylko patrzyli na siebie nad tym krzesłem... a potem wyciągnął szybkim ruchem rękę, jakby chciał złapać ją za sukienkę. Amy uchyliła się.

- Dość mam tego zachodu z tobo - wysapał. Amy odwróciła się i rzuciła do drzwi.

Natychmiast skoczył za nią, chwycił daremnie za plecy, końce jego palców dotykały jej karku, ślizgały się po szyi, po karczku sukienki, próbując uścisku, z którego już się nie wywinie.

Amy biegła obok lady kuchennej w kierunku tylnych drzwi. Jej prawy mokasyn popiskiwał i mlaskał. Był pełny krwi. Spluwa za jej plecami siał bąbelkami krwi z nozdrzy, dyszał, nie ustając w wysiłkach.

Uderzyła o siatkowe drzwi, potknęła się i padła jak długa na werandę, bez tchu. Dokładnie w tym miejscu, w którym Spluwa zostawił maszynopis. Przetoczyła się, zobaczyła, że jest blisko. Szedł teraz z pustymi rękami, ale wyglądało na to, że i tak da sobie z nią doskonale radę. Wzrok pod rondem czarnego kapelusza miał surowy, niezachwiany i pełen jakiejś straszliwej łagodności.

- Tak mi przykro, paniusiu - powiedział.

- Rainey! - zawołał jakiś głos. - Stój!

Spróbowała się odwrócić i nie mogła. Nadwreżyła sobie coś w karku. Spluwa nawet nie próbował się obejrzeć. Wciąż spokojnie szedł do niej.

- Rainey! Stój!

- Nie ma żadnego Raineya skar... - zaczął Spluwa, a wtedy w późnojesiennym powietrzu ostro trzasnął pistoletowy wystrzał. Spluwa zatrzymał się i z przelotną ciekawością zerknął na swoją pierś. Ukazała się tam niewielka dziurka. Nie płynęła z niej krew - przynajmniej na razie - ale dziurka była. Przyłożył rękę, potem ją cofnął. Mała plamka krwi wyraźnie odbiła się na opuszkach palca. Wyglądała jak znak interpunkcyjny - jak kropka kończąca zdanie. Spoglądał na nią, zamyślony. Potem opuścił ręce i popatrzył na Amy.

- Co, maleńka? - spytał i padł jak długi obok niej na deski werandy.

Obróciła się i łkając, podczołgała do niego.

- Mort? - zawołała. - Mort? Proszę, Mort, powiedz coś! Ale nie wyglądało na to, żeby miał coś powiedzieć i po chwili pogodziła się z tym. Przez następne kilka tygodni, a potem

miesiący będzie odrzucała i odrzucała prosty fakt jego śmierci, ale potem jej wola osłabnie i pogodzi się z tym. Umarł. Umarł. Zwariował tu, nad jeziorem, i umarł.

Mort i ten ktoś, kto na samym końcu w nim był.

Amy położyła głowę na jego piersi i płakała; a kiedy ktoś podszedł do niej od tyłu i położył pocieszająco rękę na ramieniu, nie obejrzała się.

## **EPILOG**

Jakieś trzy miesiące po wydarzeniach nad jeziorem Tashmore Ted i Amy Milnerowie przyjechali na spotkanie z człowiekiem, który strzałem z pistoletu zabił pierwszego męża Amy, znanego pisarza, Mortona Raineya.

Zetknęli się z tym człowiekiem raz w ciągu ostatnich trzech miesięcy podczas przesłuchania u koronera, ale było to oficjalne spotkanie i Amy nie chciała rozmawiać z nim osobiście. Nie tam. Była mu wdzięczna, że uratował jej życie... ale Morton był jej mężem, kochała go przez wiele lat i w głębi serca czuła, że palec Freda Evansa nie był jedynym palcem, który pociągnął za spust.

Przypuszczała jednak, że za jakiś czas zjawi się u niego, aby wyjaśnić tyle, ile się da wyjaśnić. Ten czas to mógł być rok, dwa lub może nawet trzy. Ale tymczasem nastąpiły wydarzenia, które skłoniły ją do szybszego działania. Miała nadzieję, że Ted pozwoli jej pojechać samej do Nowego Jorku, ale Ted okazał się niewzruszony. Nie puści jej samej po tym, jak ostatnim razem puścił ją samą w inne miejsce.

Amy wytknęła mu nieco opryskliwość, że wtedy trudno było „puścić ją samą”, gdyż wcale mu o wyjeździe nie powiedziała, ale Ted zbył to wzruszeniem ramion. Więc razem pojechali do Nowego Jorku, razem wjechali na pięćdziesiąte drugie piętro dużego drapacza chmur i razem zostali wprowadzeni do dziupli w biurach „Consolidated”, która w godzinach pracy była domem Freda Evansa... jeśli oczywiście nie działał w terenie.

Usadowiła się w najdalszym kącie i choć w biurze było całkiem ciepło, siedziała otulona szalem.

Zachowanie Evansa cechował spokój i uprzejmość - był w tym bardzo podobny do wiejskiego lekarza, który opiekował się nią, gdy chorowała w dzieciństwie - i czuła do niego sympatię. „Ale nigdy się tego nie dowie, pomyślała. Mogłabym zebrać siły i powiedzieć mu o tym, na co on kiwnąłby głową, ale to kiwnięcie nie znaczyłoby, że mi uwierzył. Zawsze będzie podejrzewał, że dla mnie jest tylko tym człowiekiem, który zabił Morta i widział, jak płakałam na piersi Morta, aż przyjechała karetka i jeden z sanitariuszy musiał dać mi zastrzyk, zanim mnie od niego oderwali. I nie dowie się nigdy, że mimo to czuję do niego sympatię”.



Evans wywołał przez interkom sekretarkę i kazał jej przynieść herbatę. Przyniosła trzy wielkie dymiące kubki. Był styczeń, wskaźnik wiatromierza podskoczył wysoko, a rtęć w termometrze opadła nisko. Na krótko zatęskniła za Tashmore, gdzie jezioro w końcu zamarzło, a zabójczy wiatr ożywia długie sunące po jeziorze węże ze śnieżnego puchu. Potem w jej umyśle nastąpiło nieco mętne i raczej niemiłe skojarzenie i zobaczyła Morta padającego na podłogę, zobaczyła paczkę pall maili sunącą po klepkach podłogowych jak krążek do shuffleboard. Amy zadrżała i krótka chwila tęsknoty minęła.

- Czy wszystko w porządku, pani Milner? - spytał Evans. Kiwnęła głową.

Ted z namaszczaniem bawił się fajką. Zmarszczył brwi i powiedział:

- Moja żona chce się dowiedzieć od pana o wszystkich okolicznościach zdarzenia, panie Evans. W pierwszej chwili usiłowałem jej to wyperswadować, ale doszedłem do wniosku, że może się to przydać. Od tamtego czasu gnębią ją koszmary...

- Oczywiście - powiedział Evans. Nie ignorował otwarcie Teda, ale zwracał się wprost do Amy. - Sądzę, że będzie to trwało jeszcze długo. Prawdę mówiąc, mnie też się zdarzają. Nigdy nie zabiłem człowieka.

Po chwili dodał:

- Wietnam ominął mnie o rok.

Amy obdarzyła go uśmiechem. Był to nikły uśmiech, ale zawsze uśmiech.

- Żona słyszała wszystko u koronera - kontynuował Ted - ale chce usłyszeć o tym jeszcze raz. Od pana i bez tych prawniczych zawilości.

- Rozumiem - powiedział Evans. Wskazał na fajkę. - Może pan zapalić, jeśli ma pan ochotę.

Ted spojrział na fajkę i wsadził ją szybko do kieszeni, jakby się lekko zawstydził.

- Prawdę mówiąc, staram się rzucić. Evans spojrział na Amy.

- Czego pani się po tym spodziewa? - zapytał tym samym uprzejmym, ciepłym głosem. - Albo może, do czego jest to pani potrzebne?

- Nie wiem. - Jej głos był cichy i opanowany. - Ale byliśmy w Tashmore trzy tygodnie temu, Ted i ja, sprzątać dom - wystawiliśmy go na sprzedaż - i coś się stało. Faktycznie to wydarzyły się dwie sprawy.

Spojrziała na męża i znów obdarzyła ich nikłym uśmiechem.

- Ted wie, że coś się wydarzyło, ponieważ zaraz potem skontaktowałam się i umówiłam z panem. Ale nie wie, co to było dokładnie, i obawiam się, że martwi się o mnie. Może słusznie.

Ted Milner nie zaprzeczył, że martwi się o Amy. Jego ręka wśliznęła się do kieszeni, zaczęła wyciągać fajkę i wepchnęła ją z powrotem.

- Ale te dwie sprawy - czy one mają związek z tym, co wydarzyło się w waszym domu nad jeziorem w październiku?

- Nie wiem. Panie Evans... co się naprawdę stało? Ile pan wie?

- No cóż - powiedział, siadając wygodnie w fotelu i pociągając łyk herbaty - jeśli spodziewa się pani, że wyjaśnię wszystko, spotka panią bolesne rozczarowanie. Mogę opowiedzieć pani o pożarze, ale jeśli chodzi o to, co zrobił pani mąż... sędzę, że pani może wyjaśnić więcej niż ja. Nie mogliśmy rozgryźć jednego. Tego, że pożar rozpoczął się nie w głównej części, ale w gabinecie pana Raineya, w dobudówce. Wyglądało to więc na akt skierowany przeciw niemu. A przecież nawet go tam nie było.

Potem natknęliśmy się w gabinecie na duży fragment butelki. Zawierała poprzednio wino - dokładnie szampan - ale nie ulegało wątpliwości, że ostatnio była w niej benzyna. Część etykiety zachowała się i posłaliśmy faksem kopię do Nowego Jorku. Została zidentyfikowana jako etykieta od *Moet et Chandon* z lat osiemdziesiątych. Nie było niepodważalnego dowodu, że butelka, z której wykonano koktajl Mołotowa, pochodziła z waszej piwniczki z winami, pani Milner, ale stanowiło to wyraźną poszlakę, gdyż w spisie podaliście kilkanaście butelek *Moet et Chandon*, niektóre z roku 1983, niektóre z 1984.

To doprowadziło nas do podejrzenia, które, choć jasne, było niezbyt sensowne: pani lub pani eks-małżonek spaliliście wasz własny dom. Zeznała pani, że wyszła i zostawiła dom niezamknięty...

- Przeleżałam wiele bezsennych nocy, zastanawiając się nad tym - powiedziała Amy. - Często zapomniałam zamknąć drzwi na klucz, kiedy wychodziłam na krótko. Wychowałam się w małej miejscowości na północ od Bangor i trudno mi pozbyć się tych wiejskich nawyków. Mort często... - Usta zaczęły jej drżeć. Przerwała na chwilę i zacisnęła je tak mocno, aż zbieleły. Kiedy znów odzyskała panowanie nad sobą, skończyła myśl cichym głosem - ...często burczał na mnie z tego powodu. Ted ujął ją za rękę.

- Ależ to nie miało znaczenia - powiedział Evans. - Gdyby zamknęła pani dom na klucz, pan Rainey i tak mógłby wejść, ponieważ nadal miał klucze. Zgadza się?

- Tak - powiedział Ted.

- Gdyby pani zamknęła drzwi, krócej łamalibyśmy sobie głowy, ale tego nie da się ustalić z całą pewnością. Gdybanie jest grzechem, który w naszym biznesie staramy się omijać z daleka. Istnieje teoria, że powoduje wrzody żołądka, i podpisuję się pod nią obiema rękoma. Rzecz w tym: biorąc pod uwagę zeznanie pani Rainey - przepraszam, pani Milner - iż

dom został niezamknięty, w pierwszym odruchu uznaliśmy, że podpalaczem mógł być dosłownie każdy. Ale kiedy okazało się, że butelka pochodzi z piwniczki z winami, krąg podejrzanych zawęził się.

- Ponieważ to pomieszczenie było zamknięte na klucz - powiedział Ted.

Evans kiwnął głową.

- Pani Milner, czy pamięta pani, że pytałem, kto ma klucze do tego pomieszczenia?

- Proszę mówić do mnie Amy, dobrze? Kiwnął głową.

- Czy pamiętasz, Amy?

- Tak. Zaczęliśmy zamykać piwniczkę na klucz kilka lat wcześniej, po tym, jak znikło kilka butelek czerwonego wina. Mort myślał, że to gosposia. Trudno było mi w to uwierzyć, ponieważ lubiłam ją, ale wiedziałam, że może mieć rację i chyba miał. Więc zaczęliśmy zamykać piwniczkę, żeby nie kusiła nikogo.

Evans spojrzał na Teda Milnera.

- Amy miała swój klucz do piwniczki i wierzyła, że pan Rainey nadal ma swój. To ograniczało możliwości. Oczywiście, gdyby to była Amy, musiałby pan być z nią w zмовie, panie Milner, gdyż wzajemnie potwierdzaliście sobie alibi na ten wieczór. Pan Rainey nie miał alibi, lecz przebywał dość daleko. Ale rzecz w tym, że nie mogliśmy znaleźć motywu przestępstwa. Jego praca pozwalała na dostatnie życie zarówno jemu samemu, jak i Amy. Niemniej jednak poszukaliśmy odcisków i znaleźliśmy dwa niezłe egzemplarze. Było to następnego dnia po naszym spotkaniu w Derry. Oba odciski pana Raineya. Ale wciąż nie był to dowód...

- Nie? - spytał Ted. Wyglądał na zaskoczonego. Evans potrząsnął głową.

- Testy laboratoryjne wykazały w sposób zadowalający, że odciski zostały zrobione wcześniej, nim zawartość butelki spłonęła w ogniu, ale nie wykazały, o ile wcześniej. Żar rozpuścił tłuszcz, rozumiecie. A jeśli nasze założenie, że butelka pochodziła z piwniczki, było prawidłowe, to cóż? Ktoś zrobił odciski, kładąc butelkę na półkę po wyjęciu z kartonowego pudła, w jakim została przyniesiona. Tym kimś mogła być albo pani, albo pan Rainey i on mógł użyć logicznego argumentu, że w ten sposób zostały zrobione, te odciski.

- On nie był w formie, która pozwalałaby mu używać logicznych argumentów - powiedziała cicho Amy. - Nie na końcu.

- Sądzę, że to prawda, ale my o tym nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że kiedy ludzie trzymają butelki, zwykle biorą je za szyjki albo tuż poniżej. Te dwa odciski znajdowały się blisko dna i pod bardzo dziwnym kątem.

- Jakby ktoś niósł butelkę poziomo albo nawet do góry dnem - przerwał Ted. - Tak mówił pan na przesłuchaniu, prawda?

- Tak - i ludzie, którzy mają jakie takie pojęcie o winie, nie postępują w ten sposób. U większości win powoduje to poruszenie osadu. A szampan...

- Burzy się - powiedział Ted. Evans skinął głową.

- Jeśli za mocno potrząśnie się butelką szampana, wybucha od nagromadzonego ciśnienia.

- Ale w tej butelce nie było żadnego szampana - powiedziała łagodnie Amy.

- Nie było. Lecz wciąż nie stanowiło to dowodu. Objechałem okoliczne stacje benzynowe, żeby sprawdzić, czy ktoś podobny do pana Raineya zakupił tego wieczoru niewielką ilość benzyny, ale nic z tego. Nie byłem zaskoczony; mógł kupić paliwo w Tashmore albo w którejś z pięćdziesięciu stacji między obiema miejscowościami.

Wtedy udałem się do Patricii Champion, naszego jedyne go świadka. Wziąłem ze sobą fotografię buicka model z roku 1986 - wozem tej marki i z tego rocznika naszym zdaniem jechałby pan Rainey. Powiedziała, że to mógł być ten samochód, ale nie jest do końca pewna. I znów znalazłem się w kropce. Wróciłem do domu rozejrzeć się i wtedy ty przyszłaś, Amy. Było wcześnie rano. Chciałem zadać ci kilka pytań, ale byłaś wyraźnie wzburzona. Zapytałem cię, dlaczego przyjechałaś, i wtedy powiedziałaś coś dziwnego. Powiedziałaś, że jedziesz nad jezioro Tashmore spotkać się z mężem, ale najpierw chciałaś spojrzeć na ogród.

- Przez telefon wciąż mówił o - jak to nazywał - moim tajemniczym oknie... tym, które wychodziło na ogród. Powiedział, że coś tu zostawił. Ale nic nie było. W każdym razie ja nic nie widziałam.

- Kiedy go spotkałem, coś mnie tknęło - powoli powiedział Evans. - Miałem wrażenie, że ma nie wszystko po kolei. Nie chodziło o to, że kłamie, choć wyczułem to doskonale. Chodziło o coś innego. O rodzaj dystansu.

- Tak, czułam w nim to coraz bardziej i bardziej. Ten dystans.

- Byłaś na wpół oszalała z niepokoju. Byłoby krańcową głupotą z mojej strony, gdybym nie pojechał za tobą do tamtego domu, Amy, zwłaszcza kiedy powiedziałaś mi, żebym nie mówił obecnemu tu panu Milnerowi, co zrobiłaś, gdyby cię szukał. To nie wyglądało na twój własny pomysł. Uznałem, że po prostu dowiem się czegoś.

- Uznałem też... - urwał, jakby stracił wątek.

- Uznałeś, że coś może mi się przytrafić - powiedziała. - Dziękuję, Evans. Wiesz, że on by mnie zabił. Gdybyś nie pojechał za mną, on by mnie zabił.

- Zaparkowałem przy wjeździe na podjazd i poszedłem dalej pieszo. Usłyszałem okropny łomot w środku domu i zacząłem biec. Mniej więcej wtedy wypadłaś przez siatkowe drzwi, a on rzucił się na ciebie. - Evans spojrzał na nich z pełną powagą. - Prosiłem go, żeby się zatrzymał. Prosiłem dwukrotnie.

Amy ujęła jego rękę, ścisnęła i puściła po chwili.

- I tak to wygląda - powiedział Evans. - Wiem jeszcze trochę, głównie z gazet i dwóch rozmów z panem Milnerem...

- Mów mi Ted.

- Ted, w porządku. - Wydawało się, że Evansowi większą trudność sprawiło przejście na ty z Tedem niż z Amy. - Wiem, że pan Rainey przeszedł coś w rodzaju schizofrenicznego rozdarcia osobowości, rozszczepienia na dwóch ludzi, i że żaden z nich kompletnie nie zdawał sobie sprawy, że żyją w jednym ciele. Wiem, że jeden z nich nazywał się John Spluwa. Wiem z opisu Herba Creekmora, że pan Rainey wyobraził sobie, iż ten Spluwa prześladowuje go z powodu opowiadania zatytułowanego *Czas siejby* i że pan Creekmora załatwił przesłanie egzemplarza czasopisma, w którym pojawiło się to opowiadanie, aby pan Rainey mógł udowodnić, że napisał je pierwszy. Czasopismo przyszło krótko przed twoim przyjazdem, Amy - zostało znalezione w domu. Koperta Federal Express, w której go przysłano, była na siedzeniu buicka twojego eks-męża.

- Ale on wyciął to opowiadanie? - spytał Ted.

- Nie tylko opowiadanie - stronę ze spisem treści także. Postarał się, żeby nie został po nim żaden ślad. Miał przy sobie scyzoryk i nim prawdopodobnie się posłużył.

- W końcu istnienie tego opowiadania stało się tajemnicą również i dla niego - łagodnie powiedziała Amy.

Evans popatrzył na nią. Uniósł brwi.

- Przepraszam najmocniej? Potrząsnęła głową.

- Nic.

- Sądzę, że powiedziałem wam wszystko, do czego doszedłem - powiedział Evans. - Wszystko inne byłoby czystą spekulacją. Zresztą jestem biegłym od ubezpieczeń, a nie psychoanalitykiem.

- On był dwoma ludźmi - powiedziała Amy. - Był sobą... i stał się postacią, którą stworzył. Ted uważa, że nazwisko Spluwa Mort wybrał i zachował w pamięci, gdy się dowiedział, że Ted pochodzi z małego miasteczka w Tennessee, Kolba Spluwy. Jestem pewna, że ma rację. Mort zawsze wybierał nazwiska swych postaci w taki sposób... prawie jak anagramy.

Nie wiem o reszcie - mogę tylko zgadywać. Wiem za to, że kiedy wytwórnia filmowa nie wykorzystwała opcji na jego powieść *Rodzina Delacourt*, Mort o mało nie załamał się nerwowo. Dali jasno do zrozumienia - Herb Creekmore też tak myśli - że chodzi o przypadkowy zbieg okoliczności i wierzą, iż nigdy nie miał w ręku scenariusza *Nasza drużyna*. Problem plagiatu istniał tylko w wyobraźni Morta. Zareagował w sposób przesadny, nienormalny. Było to jak wsadzenie kija w wygasłe ognisko i natrafienie na żarzącą się głównię.

- Nie uważasz, że stworzył Johan Spluwa tylko po to, żeby cię ukarać? - spytał Evans.

- Nie. Spluwa powstał po to, żeby ukarać Morta. Myślę... - urwała i poprawiła szal na ramionach, otuliła się nieco mocniej. Wzięła kubek. Ręka drżała jej trochę. - Myślę, że Mort w przeszłości okradł kogoś z owoców jego pracy. Prawdopodobnie w głębokiej przeszłości, ponieważ wszystko, co napisał od *Małego kataryniarza*, było szeroko znane. Chyba nie dałoby się tego ukryć. Wątpię nawet, czy wydał to, co ukradł. Ale myślę, że tak było, i myślę, że tak naprawdę to stąd wziął się John Spluwa. Nie z powodu odrzucenia przez wytwórnię powieści ani z powodu mojej... mojego bycia z Tedem, ani z powodu rozwodu. Może wszystkie te rzeczy miały jakiś wpływ na to, ale myślę, że korzenie sprawy sięgają do czasów, zanim go poznałam. A potem, kiedy znalazł się sam w domu nad jeziorem...

- Zjawił się Spluwa - spokojnie powiedział Evans. - Zjawił się i oskarżył go o plagiat. Ten, kogo pan Rainey okradł, nie zjawił się nigdy - więc w końcu musiał ukarać się sam. Ale wątpię, żeby to było wszystko, Amy. On naprawdę próbował cię zabić.

- Nie - powiedziała. - To był Spluwa.

Podniósł brwi, Ted spojrzał na nią badawczo i znów wyciągnął fajkę z kieszeni.

- Prawdziwy Spluwa.

- Nie rozumiem cię.

Uśmiechnęła się swym nikłym uśmiechem.

- Nie rozumiem samej siebie. Dlatego tu przyjechałam. Nie sędzę, żeby miało to przynieść jakieś konkretne skutki - Mort nie żyje i jest po sprawie - ale to może pomóc mnie. Może pomóc mi lepiej spać.

- No to mów. Koniecznie - powiedział Evans.

- Wiesz, kiedy pojechaliśmy tam uprzątnąć dom, zatrzymaliśmy się przy tym małym sklepie w miasteczku - „U Bowiego”. Ted nalewał benzynę - Bowie zawsze miał samoobsługową stację - a ja weszłam do środka na małe zakupy. Siedział tam jeden facet, Sonny Trotts, który często pracował z Tomem Greenleafem. Tom to starszy z zabitych konserwatorów. Sonny mi powiedział, że bardzo mi współczuje z powodu Morta i jeszcze coś

innego: że spotkał się z Mortem w przeddzień jego śmierci i chciał mu coś przekazać. Tak mówił. Chodziło o Toma Greenleafa - o coś, co Tom powiedział Sonny'emu, kiedy malowali razem kościół metodystów w Parish Hall. Sonny spotkał się potem z Mortem, ale zrazu umknęło mu to z głowy. Potem przypomniał sobie, że ma to pewien związek z Gregiem Carstairssem...

- Tym drugim zabitym?

- Tak. Więc obrócił się i zawołał, ale Mort go nie usłyszał. A następnego dnia Mort nie żył.

- Co pan Greenleaf powiedział temu gościowi?

- Że zdawało mu się, iż widział ducha - spokojnie rzekła Amy. Patrzyli na nią. Milczeli.

- Sonny powiedział, że Tom ostatnimi czasy był zapominalski i martwił się tym. Sonny myślał, że to nic strasznego, zwyczajne osłabienie pamięci, które dotyka starych ludzi, ale sześć lat wcześniej Tom opiekował się żoną cierpiącą na chorobę Alzheimera i był przerażony na myśl, że sam może na nią zapaść i może umierać w podobny sposób. Zgodnie z tym, co mówi Sonny, jeśli Tom zapomniał pędzla, potrafił gryźć się tym przez pół dnia. I dlatego, kiedy Greg Carstairs zapytał Toma, czy rozpoznał człowieka, którego widział rozmawiającego dzień wcześniej z Mortem Raineyem, lub czy rozpoznałby go, gdyby go powtórnie zobaczył, oświadczył, że nie widział nikogo z Mortem - że Mort był sam.

Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki. Ted Milner jednak zdecydował się zapalić fajkę. Evans nie zwracał na niego uwagi. Wychylony z fotela skupił się na Amy Milner.

- Wyjašnjmy to do końca. Zgodnie z tym, co mówi ten Sonny Troots

- Troots.

- Dobra, Troots. Zgodnie z tym, co on mówi, Tom Greenleaf faktycznie widział Morta z kimś?

- Niedokładnie tak - powiedziała Amy. - Według Sonny'ego, gdyby Tom wierzył w to, wierzył bez zastrzeżeń, nie kłamałby Gregowi. Tom nie wiedział, co widział. Był dezorientowany. Dlatego bezpieczniej wydawało mu się nic nie mówić. Nie chciał, żeby ktokolwiek - zwłaszcza Greg Carstairs, który też zajmował się konserwacją - wiedział, jak był dezorientowany. A głównie chodziło mu o to, żeby nikt nie pomyślał sobie, że zapada na tę samą chorobę, na którą zachorowała jego żona.

- Niezbyt to rozumiem - przepraszam.

- Według Sonny'ego Tom przejeżdżał Lake Drive swoim scou-tem i zobaczył Morta stojącego samotnie w miejscu, do którego dochodzi ścieżka znad jeziora.

- W pobliżu miejsca, w którym znaleziono ciała?

- Tak. Nieopodal. Mort pomachał Tomowi, Tom pomachał Mortowi. Potem, zgodnie z tym, co mówi Sonny, Tom spojrział w lusterko i zobaczył koło Morta innego człowieka i stare kombi, choć ani człowiek, ani kombi nie stali tam przed dziesięcioma sekundami. Mężczyzna miał na sobie czarny kapelusz... ale mężczyzna był przezroczysty i samochód też.

- Och, Amy - łagodnie powiedział Ted. - Ten człowiek opowiadał ci bzdury. Łgał jak najęty.

Potrząsnęła głową.

- Sonny nie wydaje mi się dość sprytny, żeby wymyślić podobną historyjkę. Tom zbierał się, żeby powiadomić Grega, iż jednak widział tamtego mężczyznę. Musiałby tylko pominąć to, że facet i wóz byli przezroczyści. Ale Sonny powiedział, że staruszek trząś się z przerażenia. Był przekonany, że istnieją tylko dwie możliwości: albo grozi mu śmierć na chorobę Alzheimera, albo widział ducha.

- No cóż, pewnie, że jest to coś, od czego ciarki chodzą po plecach - powiedział Evans. I rzeczywiście - ramiona i plecy pokryły mu się na chwilę gęsią skórką. - Ale jest to zasłyszana wiadomość... w dodatku od zmarłego.

- Tak... ale jest jeszcze coś. - Postawiła kubek na biurku, wzięła torebkę i zaczęła w niej grzebać. - Kiedy sprzątałam w gabinecie Morta, znalazłam ten kapelusz - ten ohydny czarny kapelusz. Był wciśnięty za biurko. Przeżyłam niezły szok, bo wcale nie spodziewałam się go znaleźć. Wyciągnęłam go patykiem. Był obrócony denkiem na dół. Wzięłam go na ten patyk i wrzuciłam do skrzyni z pojemnikami na śmieci. Rozumiecie?

Ted najwyraźniej nie rozumiał. Evans najwyraźniej rozumiał.

- Nie chciałaś brać go do ręki?

- Właśnie tak. Nie chciałam brać go do ręki. Wylądował denkiem do góry na jednej z tych zielonych toreb na odpadki - przysięgam, że tak było. Po jakiejś godzinie wyszłam z torbą starych lekarstw, szamponów i innych rzeczy z łazienki. Kiedy uniosłam pokrywę skrzyni, kapelusz był znów odwrócony. A to było wetknięte za potnik. - Wyjęła z torebki złożoną kartkę i podała ją Evansowi. Ręka nie przestawała jej leciutko drżeć. - Kiedy wyjęłam kapelusz zza biurka, tego tam nie było. Wiem.

Evans wziął złożoną kartkę i trzymał przez chwilę, nie rozkładając. Nie podobało mu się to. Kartka była zbyt ciężka i faktura papieru dziwna.

- Myślę, że John Spluwa istniał - powiedziała. - Myślę, że był największym dziełem Morta - postacią tak żywą, że faktycznie ożył. I myślę, że jest to list od ducha.

Evans rozłożył kartkę. W połowie wysokości strony było napisane:



Paniusiu - przepraszam za całe zamieszanie. Sprawy wypsnęły mi się z ręki. Wracam teraz do siebie. Mam moją opowieść, a po to żem przede wszystkim zjechał. Nazywa się *Osada Wronia Stopka* i jest jak ta lala.

Pozostaje z szacunkiem John SpluwaPodpis złożono zamaszystym zygzakiem pod równymi linijkami listu.

- Czy to pismo twojego nieżyjącego męża, Amy? - spytał Evans.

- Nie - powiedziała. - Zupełnie niepodobne.

Siedzieli we trójkę w biurze, patrząc na siebie. Fred Evans usiłował wymyślić temat do rozmowy, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Po jakimś czasie milczenie (i woń tytoniu Teda Milnera) stały się nie do wytrzymania. Więc pan i pani Milnerowie podziękowali, pożegnali się i opuścili biuro, aby dalej wieść życie najlepiej, jak umieli, a Fred Evans wiódł swoje najlepiej, jak umiał, i czasami późną nocą zarówno on, jak i kobieta, która niegdyś była poślubiona Mortowi Raineyowi, budzili się ze snu, w którym mężczyzna w płaskim kapeluszu spoglądał na nich wyblakłymi od słońca oczyma otoczonymi siateczką zmarszczek. W spojrzeniu tym nie było miłości... ale oboje czuli, że jest w nim rodzaj dziwnego, chmurnego politowania.

Nie było to miłe spojrzenie i nie czuli się pod tym spojrzeniem wygodnie, ale oboje, leżąc daleko jedno od drugiego, czuli, że mogą z nim żyć. I pielęgnować swe ogródki.

## **POLICJANT BIBLIOTECZNY**

*Opowieść dla pracowników i mecenasów Biblioteki Publicznej w Pasadenie*

### **TRZECIE PO PÓLNOCY**

#### **Wprowadzenie do *Policjanta Bibliotecznego***

Rankiem tego dnia, który wyznacza datę narodzin poniższej opowieści, siedziałem przy kuchennym stole z moim synem, Owenem. Żona poszła już na górę wskoczyć pod prysznic i wrzucić na siebie szmaty. Zaliczyliśmy dwa główne etapy śniadaniowej trasy: gazetę i jajka sadzone. Willard Scott, który gości w naszym domu pięć razy w tygodniu, opowiadał o pewnej damie z Nebraski, kończącej właśnie sto czwarty rok życia, i chyba obaj, Owen i ja, spaliliśmy jeszcze na jedno oko. Innymi słowy, typowy ranek w roboczy dzień tygodnia, *chez King*.

Owen oderwał się od działu sportowego, by zapytać, czy tego dnia nie zahaczę o pasaż handlowy - chodziło mu o książkę potrzebną do napisania pracy domowej. Nie pamiętam, co to było - *Johnny Tremain czy Kwietniowy poranek*, powieść Howarda Fasta o

amerykańskiej rewolucji - ale na pewno jedno z tych tomiszczy, których nigdy nie udaje się dopaść w księgarni. A to nakład się wyczerpał, a to jeszcze nie dowieźli dodruku czy wyskoczyło inne cholerstwo.

Zasugerowałem Owenowi, by skorzystał z miejskiej biblioteki, która jest znakomicie zaopatrzona. Z pewnością mają i ten tytuł. Coś wymruczał. Wyłapałem tylko dwa słowa, ale biorąc pod uwagę moje zainteresowania, nie trzeba było więcej, żebym zastrzygł uszami. Brzmiały: „Policja biblioteczna”.

Odłożyłem na bok swoją połówkę gazety, za pomocą pilota przyduśiłem Willarda w środku ekstatycznego sprawozdania z Georgia Peach Festival i poprosiłem Owena, aby zechciał łaskawie powtórzyć.

Stawiał pewien opór, ale przycisnąłem go. W końcu wyznał, że nie lubi korzystać z biblioteki, gdyż boi się policji bibliotecznej. Pospiesznie dodał, iż wie, że historyjka o policji bibliotecznej jest czczym wymysłem, ale to jedna z tych opowieści, które potrafią wryć się w podświadomość i jakoś nie dają spokoju. Usłyszał ją od cioci Stephanie, kiedy miał siedem albo osiem lat, był bardzo łatwowierny i właśnie od tej pory nie daje mu ona spokoju.

Ja oczywiście byłem zachwycony, ponieważ sam jako dzieciak trząśłem się ze strachu przed policją biblioteczną - bezosobowymi stróżami prawa, którzy potrafią nawet przyjść do domu, jeśli na czas nie odniesiesz książek. Już to było okropne... a co dopiero może nastąpić, gdy ci niesamowici funkcjonariusze się zjawią, a ty nie znajdziesz owych zaległych książek? Co wtedy? Co ci zrobią? Co zabiorą, żeby wyrównać stratę? Lata minęły od chwili, kiedy rozważałem sprawę policji bibliotecznej (choć nie było to w dzieciństwie; wyraźnie pamiętam, jak dyskutowałem na ten temat z Peterem Straubem i jego synem Benem, sześć, siedem lat temu), a teraz wszystkie tamte stare pytania, w jakiś sposób równocześnie przerażające i podniecające, wróciły.

Dumałem o policji bibliotecznej przez następne kilka dni i wtedy zaczęły wyłaniać się zarysy poniższej opowieści. Na ogół w ten właśnie sposób przychodzą na świat moje historyjki, ale zwykle okres dumania trwa dużo dłużej. Kiedy zaczynałem, opowieść nosiła tytuł *Policja biblioteczna* i nie wiedziałem, jak się potoczy. Myślałem, że będzie to coś zabawnego, jak te niesamowite opowieści z eleganckich przedmieść, opowieści, które majstrował śp. Max Shulman. Przecież sam pomysł był zabawny, no nie? Policja biblioteczna?! Co za absurd!!!

Ale uświadomiłem sobie coś, o czym zresztą wiedziałem od dawna: strachy z dzieciństwa są ohydnie uparte. Pisanie to akt autohipnozy. Przeszłość lubi powrócić tu w

kształcie tak wiernym, że potwory, które dawno powinny zgnić w grobie, ożywają i wstępują między żywych.

Gdy pracowałem nad tą opowieścią, spotkało mnie coś podobnego. Z dzieciństwa wyniosłem uwielbienie dla biblioteki i z tym uczuciem zacząłem pisać. Jakżeby inaczej? Było to jedyne miejsce, w którym taki ubogi smark jak ja mógł dostać każdą książkę, o jakiej zamarzył. Ale kiedy zanurzałem się w akcję, doszedłem ukrytej prawdy: to miejsce budziło we mnie strach. Bałem się, że się zgubię w mroku między regałami, bałem się, że zapomną o mnie, siedzącym w ciemnym kącie czytelni, i zamkną na noc, bałem się starej bibliotekarki z farbowanymi na niebiesko włosami, w okularkach „kocie oko” i z cienkimi jak kreska wargami, która szczypała cię po rękach długimi, bezkrwistymi palcami i szeptała „szszsz!” kiedy się zapomniałeś i zacząłeś zbyt głośno rozmawiać. I bałem się policji bibliotecznej. O, tak.

To, co się stało ze znacznie dłuższym dziełem, powieścią zatytułowaną *Christine*, powtórzyło się tu. Po jakichś trzydziestu stronach sytuacja przestała być zabawna. A po pięćdziesięciu cała opowieść skręciła po wariacku, z dzikim piskiem opon, w mroczne strony, które odwiedzałem tak często, a o których nadal wiem tak mało. Wreszcie znalazłem faceta, którego szukałem, i zebrałem się na odwagę, żeby spojrzeć w jego srebrne bezlitosne oczy. Usiłowałem opisać go dla ciebie, Wierny Czytelniku, ale nie jestem pewien, czy mi się to udało.

Ręce trzęsły mi się okropnie podczas tej roboty. Kapujesz.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### **Zastępstwo**

#### **1**

Sam Peebles doszedł później do wniosku, że wszystkiemu był winien cholerny akrobata. Gdyby akrobata nie zalał pały akurat w najmniej stosownym momencie, Sam nigdy nie wylądowałby w takim bagnie.

„Nie dość, że życie jest wąską kładką nad bezdenną przepaścią, myślał z pewnością, być może usprawiedliwioną, goryczą, kładką, którą musimy przejść z zawiązanymi oczyma. Nie. Nie dość tego. Czasem jeszcze dostajemy szturchańca”.

Ale tak dumął sobie potem. Najpierw, jeszcze przed zjawieniem się policjanta bibliotecznego, wybuchła afera z pijanym akrobata.

#### **2**

W Junction City w każdy ostatni piątek miesiąca w lokalnym Rotarian Hall, klubie dla biznesmenów, urządzano wieczór mówcy. Ostatniego piątku marca 1990 rotarianie mieli

wysłuchać - i obejrzeć - Zadziwiającego Joe, akrobatę z Trembo's All-Star Circus and Travelling Carnival.

Telefon na biurku Sama Peeblesa - „Pośrednictwo Handlowe i Ubezpieczenia, Junction City” - zadzwonił o czwartej pięć, w czwartek po południu. Odebrał Sam. Sam zawsze odbierał telefony - albo *in persona*, albo za pośrednictwem automatycznej sekretarki - ponieważ był wyłącznym właścicielem i jedynym pracownikiem Pośrednictwa Handlowego i Ubezpieczeń, Junction City. Nie był człowiekiem zamożnym, ale radził sobie nie najgorzej. Lubił powtarzać, że choć nieprędko wsiądzie do swojego pierwszego merca, to ma prawie nowego forda i dom na Kelton Avenue. „A poza tym w moim biznesie pieczone gołąbki same lecą do gąbki”, dodawał... choć prawdę mówiąc, nie wiedział dokładnie, co to są pieczone gołąbki. Podejrzewał, że gatunek pizzy.

- Pośrednictwo Handlowe i Ubezpie...

- Sam. Tu Craig. Akrobata złamał kark.

- Co?!

- To, co słyszałeś! - wykrzyknął Craig Jones pełnym bólu głosem. - Akrobata złamał pieprzony kark!

- Och. Rany, rany. - Sam zastanowił się przez chwilę i spytał z ciekawością: - Czy on nie żyje, Craig?

- Nie, żyje, ale jeśli o nas chodzi, to wychodzi na jedno. Leży w szpitalu w Cedar Rapids, z dwudziestoma funtami gipsu na szyi. Billy Bright właśnie do mnie dzwonił. Mówił, że facet zjawił się pijany jak bela na popołudniówce, spróbował salta w tył i dał karkiem poza arenę. Billy mówi, że trzask słychać było z miejsca, gdzie siedział. Billy wykupił jaskółkę. Chrupnęło, jakby ktoś wszedł w świeżo zamrożoną kałużę.

- Uooo! - wykrzyknął, krzywiąc się Sam.

- Wcale mnie to nie zaskoczyło. Tylko pomyśl - „Zadziwiający Joe...”. Co to za pseudo dla cyrkowca? „Zadziwiający Randix” - to rozumiem. „Zadziwiający Tortellini” - da się znieść. Ale „Zadziwiający Joe”? Trzeba mieć dobrze nasrane w głowie.

- Jezu. No to szkoda. Szkoda.

- Pieprzone gówno na grzance, ot co. Dzięki temu wieczorem zostajemy bez mówcy, stary.

Sam gorąco pożałował, że nie opuścił biura dokładnie o czwartej. Craig musiałby się zadowolić automatyczną sekretarką Sama, a wtedy Sam *in persona* miałby dość czasu na przemyślenie sprawy. Poczuli, że lada moment będzie bardzo potrzebował czasu na przemyślenie sprawy. Czuli również, że Craig Jones na to nie pozwoli.

- Tak. Zdaje mi się, że musimy spojrzeć prawdzie w twarz. - Chciał, żeby zabrzmiało to filozoficznie i równocześnie uświadomiło Craigowi, że czuje się bezradny. - Co za szkoda.

- Pewnie, że szkoda - powiedział Craig. I wyszło sztydło z worka! - Ale wiem, że z radością wskoczysz na wolne miejsce.

- Ja?! Craig, chyba żartujesz! Ja nie potrafię fiknąć koziołka w tył, co dopiero salta...

- Pomyślałem, że mógłbyś palnąć mówkę o tym, jak to wiele w życiu małych miasteczek znaczą niezależne firmy - Craig Jones naciskał bezwzględnie. - Jak ci to nie leży, jest baseball. Jak to nie, zawsze możesz spuścić gacie i pomachać publice swoim pytonem. Sam, ja nie tylko jestem przewodniczącym komitetu mówców - choć już samo to daje mi wystarczające prerogatywy. Odkąd Kenny się wyprowadził, a Carl przestał wpadać, ja jestem całym komitetem mówców! Więc musisz mi pomóc. Muszę mieć mówcę na jutro wieczór. W tym całym cholernym klubie jest z pięciu gości, którym w razie potrzeby mogę zaufać, a ty jesteś jednym z nich.

- Ale...

- Jesteś poza tym jedyny, który nie wykazał się w takiej sytuacji, więc czuj się wybrany, chłoptasiu kochasiu.

- Frank Stephens...

- ...wskoczył w nagłe zastępstwo za gościa ze związku zawodowego transportowców, zeszłego roku, kiedy wielka ława przysięgłych postawiła gościa przed sądem za malwersacje, i nie mógł przyjść. Sam - na ciebie padło. Człowieku, nie możesz mnie zawieść. Jesteś mi to dłużny.

- Robię w ubezpieczeniach! - krzyknął Sam. - Kiedy nie wypisuję polis, sprzedaję farmy! Przeważnie bankom! Dla większości ludzi to nudne! Dla tych, co nie nudne, obrzydliwe!

- To nie ma żadnego znaczenia - Craig szedł teraz na całość, rozgniatając bezlitośnie niemrawe zastrzeżenia Sama ciężkimi buciarami ważkich argumentów. - Pod koniec wieczoru większość z nich będzie uwalona. Wiesz dobrze. W sobotni ranek nie będą z tego pamiętać jednego cholernego słówka, ale w piątek potrzebuję kogoś na zastępstwo, na pół godziny trzaskania dziobem, i czuj się wybrany!

Sam opierał się jeszcze trochę, ale Craig nadal używał trybu rozkazującego, nadużywając bezlitośnie wielkich liter. Potrzebuję. Musisz. Dłużny.

- W porządku! - powiedział wreszcie Sam. - W porządku, w porządku! Starczy!

- Kocham cię! - W głosie Craiga nagle zaświeciła tęcza i zaświergotały skowronki. - Pamiętaj, mówka nie musi trwać dłużej niż trzydzieści minut plus jakieś dziesięć na pytania.

Jeśli będą jakieś pytania. I naprawdę możesz pomachać im swoim pytonkiem, jak ci przyjdzie ochota. Wątpię, żeby komuś udało się go zobaczyć, ale...

- Craig, co za dużo, to niezdrowo.

- Och! Przepraszam! Przymykam jadaczkę! - rechotał Craig. Niewykluczone, że z ulgi zaszumiało mu trochę w głowie.

- Słuchaj, może zakończmy tę dyskusję? - Sam sięgnął po pastylki na zgagę spoczywające w szufladzie biurka. Poczul nagle, że przez następne dwadzieścia osiem godzin będzie potrzebował sporo pastylek na zgagę. - Wygląda na to, że mam do napisania przemówienie.

- Się zmywam. Tylko pamiętaj - kolacja o szóstej, przemówion-ko o wpół do ósmej. Jak to mówią w *Hawaii Five-0*, bądź-na-lądź! Aloha!

- Aloha, Craig. - Sam odłożył słuchawkę. Gapił się na aparat. Kula gorącego gazu uniosła się w przełyku. Dotarła do gardła. Otworzył usta i czknął kwasem - żołądek dał znać o sobie, choć jeszcze przed pięcioma minutami był cichy i uśpiony.

Sam zjadł pierwszą pastylkę. A miał ich zjeść jeszcze bardzo dużo.

### 3

Zamiast iść tego wieczoru na kręgle, jak miał to w planie, Sam Peebles zamknął się u siebie w gabinecie z liniowanym żółtym notatnikiem, trzema zaostrzonymi ołówkami, paczką kentów i sześcioma puszkami lemoniady Jolt. Wyłączył telefon, zapalił papierosa i wbił wzrok w papier. Po pięciu minutach wbijania wzroku w papier napisał u góry pierwszej strony:

#### MAŁOMIASTECZKOWE FIRMY. KRWIObIEG AMERYKI

Przeczytał to na głos i spodobało mu się. No... może niezupełnie spodobało, ale nie drażniło. Powtórzył głośniej i spodobało mu się bardziej. Ciut bardziej. Nie było wspaniałe, fakt. Prawdę mówiąc, było żadne w porównaniu z tytułem byle dreszczowca, ale mogło dokopać czemuś w stylu: „Komunizm. Groźba daleka czy bliska”. A Craig miał rację - prawie wszyscy oni będą na takim kacu w sobotę rano, że zapomną, co słyszeli w piątek wieczór.

Z odrobiną nadziei w sercu Sam zaczął pisać.

„Gdy przeniosłem się do Junction City z mniej więcej kwitnącej metropolii, jaką było Ames w roku 1984...”

### 4

- „...i dlatego nadal, jak i tamtego jasnego październikowego przedpołudnia w 1984 roku, sądzę, że małe firmy decydują nie tylko o krwiobieg Ameryki, ale i o żywotności i rozmachu całego zachodniego świata”.

Sam zamilkł, zgniótł papierosa w popielniczce na biurku i spojrzał z nadzieją na Naomi Higgins.

- No i? Co ty na to?

Naomi była przystojną młodą kobietą z Proverbii, miejsciny leżącej cztery mile na zachód od Junction City. Mieszkała przy Proverbia River w rozsypującym się domu ze swoją rozsypującą się matką. Większość rotarian znała Naomi i od czasu do czasu proponowano zakłady, co rozsypie się prędzej: dom czy mama? Nie wiadomo, czy zakłady przyjmowano, ale jeśli tak, ich wynik nadal pozostawał nierozstrzygnięty.

Naomi skończyła Iowa City Business College i naprawdę umiała odczytać swe stenograficzne notatki. Jako jedyna kobieta w okolicy obdarzona tą umiejętnością była rozrywana przez ograniczoną populację biznesmenów Junction City. A to, że miała również wyjątkowo ładne nogi, nic nie szkodziło. Przez pięć dni w tygodniu pracowała przedpołudniami dla czterech mężczyzn i jednej kobiety - dwóch prawników, jednego bankiera i dwóch pośredników handlu nieruchomościami. Po pracy wracała do rozsypującego się domu, a kiedy nie opiekowała się rozsypującą się matką, przepisywała na maszynie notatki.

Sam Peebles wykorzystywał umiejętności Naomi co piątek od dziesiątej do południa, ale tego dnia odsunął na bok korespondencję, choć jej część gwałtownie domagała się odpowiedzi - i zapytał Naomi, czy nie zechciałaby czegoś posłuchać.

- Pewnie, czemu nie - odpowiedziała Naomi. Wyglądała na trochę zaniepokojoną, jakby obawiała się, czy Sam - z którym krótko chodziła - nie zabiera się do oświadczeń. Kiedy wyjaśnił, że Craig Jones wręczył mu kartę mobilizacyjną z nakazem zastąpienia rannego akrobata i że on, Sam, chce, aby oceniła jego mowę, rozluźniła się i wysłuchała całej - pełnych dwudziestu sześciu minut, z pochlebnym skupieniem.

- Bądź szczerą - dodał, nim Naomi zdołała otworzyć usta.

- Dobrze - powiedziała. - Całkiem zajmujące.

- Nie, nie o chodzi o pochlebstwa, nie oszczędzaj mnie. Niczego nie ukrywaj.

- Nie ukrywam. Jest naprawdę w porządku. Poza tym, zanim zaczniesz mówić, wszyscy będą...

- Tak, wszyscy będą uwaleni, wiem. - Choć ta wizja początkowo dodała mu otuchy, teraz był trochę zawiedziony. Przeczytawszy mowę, doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy jest całkiem dobra.

- Jest jedna sprawa - zastrzegła się Naomi, popadając w zamyślenie.

- Hm?

- Jest... jakby trochę... wiesz... drętwa.

- Och! - Sam westchnął i przetarł oczy. Był na nogach do pierwszej rano, pisał i opracowywał tekst.

- Ale to łatwo poprawić - zapewniła go. - Po prostu idź do biblioteki i pożycz kilka odpowiednich książek.

Sam poczuł ostry skurcz w podbrzuszu i złapał za pastylki na zgagę. Ślęczenie w bibliotece z powodu głupiej mowy w Rotary Club? Nie za dużo tego dobrego? Do tej pory nigdy nie korzystał z Biblioteki Publicznej Junction City i nie widział powodu, żeby iść tam teraz. Ale Naomi słuchała bardzo uważnie, Naomi chciała pomóc i byłoby chamstwem, gdyby przynajmniej nie wysłuchał, co ma do powiedzenia.

- Jakie książki?

- Wiesz, książki z takimi kawałkami do ożywiania przemówień. Chodzi o coś takiego... - Naomi szukała słowa. - No, znasz ten ostry sos, który w China Light podają na życzenie?

- Tak...

- Chodzi o coś w tym guście. Dowcipy. Aha, jest taka książka: *Najukochańsze wiersze Amerykanów*. Może tam znalazłbyś coś na zakończenie. Coś wzniosłego.

- Czy w tej książce są wiersze o znaczeniu małych firm w życiu Ameryki? - powątpiewał Sam.

- Poezja podnosi ludzi na duchu. Nikogo nie obchodzi, o czym jest wiersz, a co dopiero, do czego ma służyć.

- Naprawdę mają książki z dowcipami do okraszania przemówień? - Ledwo mieściło mu się to w głowie, choć gdyby usłyszał, że półki biblioteczne zawierają tak ezoteryczne działy jak naprawa silników miniaturowych i czesanie peruk, nie byłby w najmniejszym stopniu zaskoczony.

- Tak.

- Skąd wiesz?

- Kiedy Phil Brakeman startował do legislatury stanowej, przepisywałam mu wszystkie przemówienia. Miał właśnie coś takiego. Nie pamiętam tytułu. Przychodzą mi tylko na myśl *Wice dla Willa*, ale oczywiście nie o to chodzi.

- Nie - przytaknął Sam. Kilka kawałków z *Wiców dla Willa* i kocią muzykę ma jak w banku. Ale rozumiał stanowisko Naomi i zaczął się z nim godzić, choć po wszystkich latach bez troskiej obojętności na czar literatury czuł opór przed wizytą w lokalnej bibliotece. Troszkę pieprzu do kochanej mówki. Ozdób resztki pieczeni - w królewskie danie się zmieni.



A biblioteka to w gruncie rzeczy tylko biblioteka. Jeśli nie wiesz, jak znaleźć to, czego szukasz, spytaj bibliotekarkę. Udzielanie wyjaśnień to jeden z jej obowiązków, zgadza się?

- Zresztą, możesz zostawić to tak jak jest. Wiesz, o co mi chodzi. Oni będą pijani. - Spojrzała na Sama przyjaźnie, choć surowo. Sprawdziła czas na swoim zegarku. - Została ci jeszcze godzina. Chcesz podyktować kilka listów?

- Nie, chyba nie. Może zamiast tego przepisałaś moje przemówienie? - Podjął już decyzję. Porę lunchu spędzi w bibliotece.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

### **Biblioteka (1)**

#### **1**

Mieszkając w Junction City, Sam przechodził obok biblioteki setki razy, ale dziś po raz pierwszy naprawdę popatrzył na nią i odkrył rzecz zadziwiającą: sam widok tego budynku budził w nim obrzydzenie.

Biblioteka Publiczna Junction City stała na rogu State Street i Miller Avenue. Był to granitowy gmach, wzniesiony na planie kwadratu, o oknach tak wąskich, że wyglądały jak strzelnice w murach obronnych. Dach kryty dachówkami miał duży okap. Fronton, połączenie wąskich okien i cienia okapu, nasuwał skojarzenie z zasępioną twarzą kamiennego robota. Ten styl architektoniczny był tak często spotykany w Iowa, że Sam Peebles, który sprzedawał w tym stanie nieruchomości prawie dwadzieścia lat, nadał mu imię „Utrapienie Środkowego Zachodu”. Na wiosnę, w lecie i jesienią zakazany wygląd łagodziły klony tworzące wokół gmachu rodzaj zagajnika, ale teraz, pod koniec ciężkiej zimy, klony stały nagie i biblioteka wyglądała jak rozdęta krypta.

Gmach mu się nie podobał; nie wiedząc dlaczego, czuł niepokój. Była to przecież tylko biblioteka, nie lochy inkwizycji. Niemniej jednak kolejny balonik kwaśnego powietrza uniósł się w górę przetyku Sama. Poczul w ustach jakiś słodki posmak przypominający o czymś... o czymś, co być może zdarzyło się dawno temu. Włożył do ust pastylkę, zaczął ją gryźć i podjął nagle decyzję. Mowa jest wystarczająco dobra. Przecież tu chodzi o Rotary Club, nie o wystąpienie przed Zgromadzeniem ONZ. Czas przestać sobie tym głowę zawracać. Zaraz pójdzie do biura i weźmie się do korespondencji.

Już się obracał, gdy nagle uderzyła go myśl: „To durne. Naprawdę durne. Chcesz robić z siebie durnia? W porządku. Ale zgodziłeś się palnąć tę cholerną mówkę; czemu nie palnąć jej z fasonem?”.

Stał na chodniku przed biblioteką, marszczył czoło i nie mógł się zdecydować. Często robił sobie podśmiejuchki z Rotary Club. Craig też. I Frank Stephens. Większość młodych

biznesmenów z Junction City traktowała klub z przymrużeniem oka. Ale na wieczorach klubowych rzadko świecili nieobecnością i Sam chyba wiedział dlaczego: klub był miejscem nawiązywania znajomości. Miejscem, gdzie taki gość jak on mógł wpaść na niejednego z nietak-młodych biznesmenów Junction City. Facetów takich jak Elmer Baskin, którego bank pomógł w załatwieniu pożyczki na pasaż handlowy w Beaverton dwa lata temu. Jak Georges Candy - który, jak mówiono, potrafił jednym telefonem załatwić trzy miliony dolarów na inwestycje budowlane... jeśli zechciał podnieść słuchawkę.

To byli faceci z małych miasteczek, fani licealnych drużyn baseballowych, faceci, którzy strzygli się „U Jimmy’ego”, a spali w podkoszulkach i długich gatkach zamiast w piżamach, faceci, którzy wprawdzie nadal pili piwo prosto z butelek, ale na wieczór w Cedar Rapids jechali odstawieni jak stróż w Boże Ciało. Oni trzęśli Junction City, a jeśli już o tym mowa, to czyż nie z tego powodu Sam zawsze wpadał do klubu w piątkowe wieczory? Jeśli już o tym mowa, to czyż nie dlatego Craig Jones zadzwonił w takim popłochu po tym, jak głupi akrobata złamał swój głupi kark? Miło będzie zostać zauważonym przez tych, którzy trzęśli miasteczkiem... ale nie dlatego, że się spierniczyło sprawę. „Większość z nich będzie uwalona...”, oświadczył Craig i Naomi Higgins podpisała się pod tym oświadczeniem, ale Sama uderzyło teraz, że nigdy nie widział Elmera Baskina sięgającego po coś mocniejszego od kawy. Nigdy. I prawdopodobnie Elmer nie był tu wyjątkiem. Niektórzy z nich mogli się uwalić... ale nie wszyscy. A równie dobrze mogą się nie uwalić ci, którzy się liczą.

„Załatw to zgrabnie, Sam, a wyświadczysz sobie nielichą przysługę. To nie jest wykluczone”.

A jakże. Nie jest wykluczone. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. I było jeszcze coś, coś, co zupełnie nie miało związku z tymi operującymi po cichu grubymi rybami, które mogły, ale nie musiały się zjawić w piątkowy wieczór w Rotary Club na wieczorze mówcy. Sam zawsze był dumny z tego, że swoją pracę wykonywał najlepiej jak umiał. A jeśli nawet było to tylko durne przemówionko, no to co z tego? Co?

Poza tym to tylko durna małomiasteczkowa biblioteczka. „W czym problem? Są tu nawet zarośla po obu stronach gmachu”.

Ruszył, ale przystanął, zmarszczył brwi. Cóż to za dziwna myśl? Pojawiła się nie wiadomo skąd. „Dobra, żadne zarośla nie rosną obok biblioteki - co za różnica?”. Nie miał pojęcia... ale poczuł jakieś niemal magiczne fluidy. Nietypowe dla Sama niezdecydowanie ustąpiło i ruszył przed siebie. Pokonał cztery kamienne stopnie. Przystanął na moment. Wyglądało na to, że w gmachu nie ma żywej duszy. Sam położył rękę na drzwiach i

pomyślał: „Założę się, że są zamknięte na klucz. Założę się, że tu jest zamknięte w piątki po południu”. Na tę z kolei myśl dziwnie mu ulżyło.

Ale staromodna płytką ustąpiła, ciężkie drzwi bezszelestnie uchyliły się do środka. Sam wszedł do małego westybulu. Marmurowa podłoga tworzyła białą-czarną szachownicę. W środku pomieszczenia stała sztaluga. Na niej tabliczka z napisem. Było to jedno napisane bardzo dużymi literami słowo:

CISZA! nie

MILCZENIE JEST ZŁOTEM albo

PROSIMY O CISZĘ tylko to jedno rąbnięte bez ogródek polecenie:

CISZA!

- A jakże - powiedział Sam. Zaledwie mruknął, ale akustyka gmachu była znakomita i cichy pomruk urósł w ponury grzmot. Sam aż się skulił. Echo odbiło się od wysokiego sufitu i spadło mu - faktycznie spadło! - na głowę. Znów poczuł się czwartoklasistą. Zaraz panna Glaser przywołała go do porządku, ponieważ rozrabiał w najmniej właściwym momencie. Rozejrzał się wokół niespokojnie. Na wpół oczekiwał, że jakaś wredna bibliotekarka wyleci pędem z czytelni głównej, aby sprawdzić, kto śmiał sprofanować świętą ciszę.

„Przestań na litość boską! Masz czterdzieści lat. Czwartoklasistą byłeś wieki temu, stary”.

Ale to nie wydawało się tak odległe. Nie tu. Tu wydawało się, że czas, kiedy był czwartoklasistą, wrócił, że lada chwila mały Sam może zostać przywołany do porządku.

Krocząc po marmurowej podłodze, minął sztalugi z lewej strony. Nieświadomie przenosił ciężar ciała na palce, żeby nie stukać obcasami. Wszedł do głównej czytelni biblioteki Junction City.

Z sufitu (który był co najmniej dwadzieścia stóp wyżej niż sufit westybulu) zwisało mnóstwo kloszy, ale żaden się nie świecił. Światło spływało z dwóch wielkich, skośnych świetlików. W słoneczny dzień wystarczyłoby go w zupełności, mogłoby nawet stworzyć wesoły, przytulny nastrój. Ale ten piątek był chmurny i ponury. Światło zaledwie się ćmiło. W kątach sali zalegały szare pajęczyny cieni.

Sam Peebles poczuł, że coś tu jest nie w porządku. Nie tylko przestąpił próg gmachu, nie tylko minął westybul. Miał wrażenie, że wkroczył do innego świata nieprzypominającego niczym małego miasteczka w Iowa, które czasem lubił, czasem go nie cierpiał, ale przeważnie brał z całym dobrodziejstwem inwentarza. Powietrze tu wydawało się bardziej ciężkie i jakby gorzej przewodziło światło. Cisza była gęsta jak wata. I zimna jak śnieg.

Ani żywej duszy.

Regały pełne książek wyrastały na lewo i prawo. Podniósł wzrok ku świetlikom ze zbrojonego szkła i dostał zawrotu głowy. Zwidziało mu się na moment, że wisi głową w dół nad głęboką kwadratową przepaścią wyłożoną książkami.

Tu i ówdzie opierały się o ścianę drabinki na gumowych kółkach. Były zamocowane na szynach. Długie drewniane wysepki rozbijały monotonię wielkiej jak jezioro przestrzeni, ciągnącej się od miejsca, w którym stał, do stanowiska bibliotekarskiego w głębi ogromnego, wysokiego pomieszczenia. Jedną był długi dębowy wieszak na czasopisma. Periodyki, wszystkie w przezroczystych plastikowych okładkach, zwisały z wieszaka na drewnianych rączkach. Wyglądały jak skóry zwierzęce w suszarni. Tabliczka na wieszaku nakazywała:

ODKŁADAĆ WSZYSTKIE CZASOPISMA NA MIEJSCE!

Na lewo od wieszaka stała półka z nowościami beletrystyki i literatury faktu. Tabliczka na półce informowała, że te książki wypożyczyć można najwyżej na siedem dni.

Sam minął szerokie przejście między czasopismami i książkami-na-siedem-dni. Choć starał się iść cicho, stukał obcasami. Obudziło się echo. Żałował, że nie usłuchał pierwotnego impulsu i nie wrócił po prostu do biura. Tu było strasznie. Choć na stole bibliotekarza stał włączony i szumiący aparat do mikrofilmów, nikt nie doglądał urządzenia. Mała plakietka z napisem:

A. LORTZ stała na biurku, ale nie było śladu A. Lortz ani kogokolwiek innego. Prawdopodobnie zaszył się w kio i chłonie nowe wydanie „Library Journal”.

Sam poczuł wariacką chętkę, żeby otworzyć usta i wrzasnąć: „Wszystkie wyrzutnie działają, A. Lortz?!”. Ale trwało to krótko. Wystrój Biblioteki Publicznej Junction City nie zachęcał do słonych dowcipów.

Myśli Sama nagle powróciły do krótkiej rymowanki z dzieciństwa. „Koniec śmiechów, koniec zabaw, kwakrzy się tu zbiorą zaraz. Fanta płaci taki zuch, co choć jeden zrobi ruch”.

Czy A. Lortz każe zapłacić fanta, jeśli się tu pokaże język albo zrobi minę? - zastanawiał się. Znów rozejrzał się wkoło, jego nerwy zaznajamiały się z ponurą ciszą. Pewnie tak.

Przestał myśleć o wypożyczeniu książki z dowcipami lub *Najukochańszych wierszy Amerykanów*, zamiast tego wbrew sobie uległ tutejszej sennej atmosferze i podszedł do drzwi znajdujących się na prawo od książek-na-siedem-dni. Tabliczka informowała, że mieści się tu biblioteka dziecięca. Czy chodził do biblioteki dziecięcej, wychowując się w St. Louis? Chyba tak, ale wspomnienia o tym były niejasne, dalekie i nie trzymały się głowy. Jednak gdy

podchodził do tych drzwi, ogarnęło go dziwne, niesamowite wrażenie. Poczł się *tu* jak w domu.

Drzwi były zamknięte. Wisiał na nich rysunek przedstawiający Czerwonego Kapturka. Kapturek patrzył na wilka leżącego w łóżku Babci. Wilk był ubrany w babciną koszulę nocną i babciny czepek. Szczęrzył kły. Piana kapała mu z pyska. Wyraz niemal bezbrzeżnego przerażenia zastygł na twarzy Czerwonego Kapturka i z plakatu jasno wynikało, że szczęśliwe zakończenie opowieści - jak i wszystkich bajek - jest wygodnym kłamstwem. Rodzice może wierzą w takie bzdury, mówiła chorobliwie blada twarz Czerwonego Kapturka, ale malcy dobrze wiedzą, jak było, no nie? Miluśkie, pomyślał Sam. Założę się, że dzieciaki walą drzwiami i oknami. Zwłaszcza maluchy. Otworzył drzwi i wsadził głowę.

Opuściło go całe zdenerwowanie. Był oczarowany. Oczywiście plakat wcale nie pasował do tego miejsca, ale to, co znajdowało się dalej, było wprost idealne. Jasne, że jako dziecko chodził do biblioteki. Wystarczył jeden rzut oka na tę miniaturkę świata dorosłych, żeby odświeżyć pamięć. Ojciec odumarał go młodo; Sam był jedynakiem wychowanym przez pracującą matkę, którą rzadko widywał poza niedzielami i wakacjami. Kiedy nie mógł wyskrobać kilku centów na kino - a często nie mógł - musiał zadowolić się biblioteką i na widok tego pokoju wspomnienie tamtych dni przyplęnęło nostalgiczną falą; słodką, bolesną i budzącą niewytłumaczalny lęk.

Tamten świat był mały. Ten też. Tamten był dobrze oświetlony, nawet w najbardziej ponure, złane deszczem dni. Ten też. Żadne klosze nie zwisały z góry. W podwieszanym suficie zamocowano liczne metalowe *panneaux*, a w nich jarzeniówki przeganiające cienie. Wszystkie zapalone. Blaty stolików były zaledwie dwie stopy nad podłogą, a siedzenia krzesełek jeszcze niżej. W tym świecie dorośli byli natrętami, niechętnie widzianymi istotami z innej planety. Gdyby siedli przy stolikach, unosiliby je na kolanach, a gdyby chcieli napić się z kranu zamontowanego na ścianie, mogliby sobie rozbić głowy o osłonę.

Tutaj regały nie wyrastały w górę tak, że gdy się zbyt długo patrzyło, złośliwa perspektywa groziła zawrotami głowy. Sufit wisiał dość nisko, żeby było przytulnie, ale dość wysoko, by nie przytłaczać dzieci. Tu nie ciągnęły się na półkach rzędy szarych opraw, ale książki wprost wrzeszczały jasnymi kolorami: jasnyniebieskim, czerwonym, żółtym. W tym świecie dr Seuss był królem, Judy Blume królową, a wszystkie księżniczki i księżęta chodzili do Liceum w Słodkiej Dolinie. Tu Sam przypomniał sobie całą życzliwość, z którą witany był po szkole, wspomniął radość z pobytu w miejscu, gdzie książki wprost błagały, aby ich dotknął, wziął do ręki, obejrzał, przeczytał. A równocześnie te uczucia okrywał jakiś mroczny cień.

Ale nad wszystkim górowało prawie bolesne ukojenie. Na jednej ścianie wisiała fotografia szczeniaka. Miał ogromne zamysłone ślepia. Pod niespokojną, proszącą mordką zapisano jedną z największych prawd tego świata: NIEŁATWO BYĆ GRZECZNYM. Na drugiej ścianie wisiał malunek: kaczki płyną przez rzekę do zarosłego trzcinami brzegu. KACZAŁKA MAJĄ PIERWSZEŃSTWO! - wołał plakat.

Sam spojrział w lewo i uśmiech na jego twarzy najpierw zbladł, a potem zamarł. Oto plakat, na którym wielka, ciemna limuzyna szybko oddala się od jakiegoś budynku, zapewne szkoły. Mały chłopczyk wytrzeszcza oczy przez okno samochodu. Ręce przykleja do szyby, krzyczy rozdzierająco. W głębi widać jakiegoś mężczyznę, jest zaledwie niewyraźną, złowrogą plamą. Zgięty nad kierownicą pędzi na złamanie karku. U dołu napis:

**NIGDY NIE DAJ SIĘ PODWOZIĆ NIEZNAJOMYM!**

Oba plakaty, ten i tamten z Czerwonym Kapturkiem, budziły to samo prymitywne uczucie. Niepohamowany lęk. Ale ten obrazek był dużo bardziej niepokojący. Oczywiście dzieci nie powinny dawać podwozić się nieznajomym, i oczywiście należało im to wbić do główek, ale czy akurat w taki sposób?

Ile dzieciaków, zastanawiał się, z winy tego plakatu będzie miało przez tydzień koszmary?

A oto następny plakat umieszczony tuż naprzeciw stanowiska bibliotekarskiego, plakat, na którego widok Sama smagnął po krzyżu styczniowy wiatr. Chłopiec i dziewczynka, przestraszeni. Z pewnością nie mają więcej niż po osiem lat. Kulą się przed mężczyzną w trenczu i szarym kapeluszu. Mężczyzna mierzy sobie ponad jedenaście stóp. Jego cień pada na wzniesione twarzyczki dzieci. Szerokie rondo filcowego kapelusza też rzuca cień, a z czarnych głębokich oczodołów błyszczą uparcie oczy. Są jak odłamki lodu. Mierzą dzieci ponurym spojrzeniem Władzy. Mężczyzna wyciąga przed siebie oprawkę z dokumentem identyfikacyjnym, do której jest doczepiona gwiazda - dziwna, przynajmniej dziewięcioramienna gwiazda. Może dwunastoramienna. U dołu napis:

**STRZEŻ SIĘ POLICJI BIBLIOTECZNEJ! GRZECZNI CHŁOPCY I DZIEWCZYNKI ODDAJĄ KSIĄŻKI W TERMINIE!**

Znów poczuł w ustach ten smak. Słodki, nieprzyjemny smak. I przysła mu do głowy dziwna, budząca lęk myśl: „Już widziałem gdzieś tego człowieka. Ale to przecież śmieszne. Śmieszne”.

Sam wyobraził sobie, że ogląda to jako dziecko. Jaki byłby onieśmielony! Ileż ten plakat odebrałby mu zwyczajnej, prostej przyjemności, jak by zniweczył czar bezpiecznego schronienia!

Poczuł w piersi rosnące oburzenie. Wyjmując z kieszeni pastylki na zgagę, ruszył, aby przyjrzeć się uważniej dziwnej gwiazdzie. Wkładał pastylkę do ust, kiedy usłyszał zza pleców:

- Proszę, kogo tu mamy!

Podskoczył i obrócił się gotów do walki z bibliotecznym smokiem, który w końcu zjawiał się we własnej osobie.

## 2

Nie zobaczył żadnego smoka. Była to tylko pulchna, siwa niewiasta wyglądająca na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Pchała wózek z książkami. Toczył się bezszelestnie na gumowych kółkach. Jej siwe włosy wiły się wokół gładkiej twarzy starannie ułożonymi, zapewne w salonie piękności, loczkami.

- Pan mnie szukał? - spytała. - Czy pan Peckham pana tu skierował?

- Nie spotkałem nikogo.

- Nie? W takim razie poszedł już do domu. Wcale mnie to tak znowu nie dziwi. Przecież dziś piątek. Pan Peckham zjawia się tu każdego przedpołudnia koło jedenastej. Odkurza i czyta prasę. Jest woźnym - oczywiście tylko na część etatu. Czasem zostaje aż do pierwszej, w pół do drugiej. Głównie w poniedziałki, ponieważ to dzień, w którym zarówno kurz, jak i gazety są najgrubsze. Ale sam pan wie, jak cienkie są w piątek.

Sam uśmiechnął się.

- Coś mi się zdaje, że pani jest bibliotekarką.

- Bibliotekarka to ja! - powiedziała pani Lortz i uśmiechnęła się do niego. Ale jej oczy się nie uśmiechały. Obserwowały go czujnie, prawie zimno. - A pan jest...?

- Sam Peebles.

- Och, tak! Nieruchomości i ubezpieczenia! W to się gra!

- Trafiony, zatopiony.

- Przepraszam, że nie było mnie w głównej czytelni. Musiał pan pomyśleć, że biblioteka jest nieczynna i ktoś omyłkowo zostawił drzwi otwarte.

- Właśnie to przyszło mi do głowy.

- Od drugiej do siódmej pracujemy we trzy osoby. O drugiej kończy się szkoła, wie pan - podstawówka o drugiej, gimnazjum o w pół do trzeciej i liceum za piętnaście trzecia. Dzieci są naszymi najwierniejszymi klientami i są najmilej witane, przynajmniej przeze mnie. Kocham maluchy. Dawniej miałam pełnoetatową asystentkę, ale zeszłego roku rada miejska obcięła nasz budżet o osiemset dolarów i... - Pani Lortz złożyła dłonie i zrobiła gest naśladujący ulatującego ptaszka. Zabawny, czarujący gest.

Więc dlaczego, zastanowił się Sam, nie jestem oczarowany ani rozbawiony?

Chyba przez te plakaty. Nadal usiłował pogodzić w myślach Czerwonego Kapturka, krzyczące dziecko w limuzynie i ponuro patrzącego Policjanta Bibliotecznego z tą uśmiechniętą małomiasteczkową bibliotekarką.

Pani Lortz wyciągnęła lewą rękę - drobną rękę, pulchną i okrągłutką jak ona sama - z doskonałą, niewymuszoną pewnością siebie. Spojrzał na serdeczny palec i zauważył brak obrączki; to jednak nie była pani Lortz. Fakt jej staropanieństwa uderzył go jako coś absolutnie typowego, absolutnie małomiasteczkowego. Doprawdy, rzecz karykaturalna. Wymienił z panną Lortz uścisk dłoni.

- Nie był pan dotąd w naszej bibliotece, prawda, panie Peebles?

- Nie, żałuję, ale nie. I proszę mówić mi Sam. - Nie wiedział, czy istotnie pragnie być „Samem” dla tej kobiety, czy też nie, ale był biznesmenem w małym miasteczku - komiwojażerem w gruncie rzeczy - i propozycja przejścia na ty narzucała mu się automatycznie.

- Ależ miło mi, Sam.

Myślał, że również zaproponuje, by zwracał się do niej po imieniu, ale tylko patrzyła na niego wyczekująco.

- Jestem w małym kłopotcie - powiedział. - Zaplanowany na dziś mówca Rotary Club miał wypadek i...

- Och, to fatalnie!

- Dla niego i dla mnie. Zostałem zmobilizowany na jego miejsce.

- Och, och! - wykrzyknęła z przejęciem, ale w oczach miała isierki rozbawienia. A Sam wciąż nie mógł z siebie wykrzesać sympatii do niej, choć był osobą, która obdarzała ludzi sympatią natychmiast (choć powierzchownie) i bez wyjątków. Prezentował typ faceta, który ma niewielu bliskich przyjaciół, ale czuje się zobligowany do konwersacji z każdym, z kim wejdzie do windy.

- Wczoraj wieczór napisałem przemówienie i dziś przed południem odczytałem go młodej osobie, która pracuje dla mnie jako stenografistka i maszynistka...

- Naomi Higgins, dam sobie głowę uciąć.

- Tak. Skąd pani wie?

- Naomi jest stałą klientką. Pożycza całe stosy romansów - Jennifer Blake, Rosemary Rodgers, Paul Sheldon, pisarze tego pokroju. - Ściszyła głos i rzekła:

- Mówi, że to dla matki, ale prawdę mówiąc, myślę, że czyta je sama.



Sam roześmiał się. Naomi faktycznie miała marzycielskie oczy osoby, która potajemnie czyta romanse.

- W każdym razie wiem, że ona spełnia funkcję czegoś, co w dużym mieście nosi nazwę ruchomego biura. Wyobrażam sobie, że tu, w Junction City, wystarcza za cały zastęp sił biurowych. To, że jest osobą, o której wspomniałeś, samo się narzuca.

- Tak. Moje przemówienie przypadło jej do gustu - przynajmniej tak twierdziła - ale uznała je za trochę drętwe. Zasugerowała...

- Założę się, że *Towarzysza mówcy*.

- No cóż, nie mogła sobie przypomnieć dokładnie tytułu, ale ten właśnie brzmi jak trzeba. - Przerwał i zapytał z pewnym niepokojem: - Czy są w nim dowcipy?

- Załedwie trzysta stron. - Wyciągnęła prawą dłoń (była równie gładka jak lewa) i, ciągnąc za rękaw, prowadziła go do drzwi. - Tędy, prosto. Zaraz rozwiążę wszystkie twoje problemy, Sam. Mam jedynie nadzieję, że w przyszłości nie będzie trzeba żadnej kryzysowej sytuacji, żeby ściągnąć cię do naszej biblioteki. Jest skromna, ale znakomita. Tak w każdym razie uważam, choć oczywiście mój sąd nie jest bezstronny.

Minęli drzwi, weszli w nieprzychylny cień czytelnicy głównej. Panna Lortz nacisnęła trzy przełączniki i klosze zajaśniały łagodnym żółtym blaskiem. Ocieplił i znacznie rozweselił wnętrze.

- Kiedy nadciągną chmury, robi się tu tak ponuro - powiedziała konfidencjonalnym tonem „jesteśmy-teraz-w-prawdziwej-bibliotece”. W dalszym ciągu trzymała rękaw Sama w silnym uścisku. - Ale wiesz oczywiście, jak rada miejska narzeka, płacąc rachunki za światło takiej jak nasza instytucji... A może nie wiesz, ale założę się, że możesz to sobie wyobrazić.

- Mogę - powiedział Sam. Również prawie szeptał.

- Ale to błahostka w porównaniu z tym, co mają do powiedzenia na temat kosztów ogrzewania w zimie. - Wzniosła oczy do góry. - Ropa jest tak kosztowna. To wina tych Arabów... A teraz spójrz, co im w głowie - wynajmują religijnych płatnych zabójców do śledzenia i mordowania pisarzy.

- To rzeczywiście przesada - powiedział Sam i nie wiadomo czemu znów przypomniał sobie plakat z wysokim mężczyzną - tym z dziwną gwiazdą przypiętą do identyfikatora, tym, którego cień padał tak złowrogo na podniesione twarze dzieci. Jak brudna plama.

- I oczywiście utknęłam w bibliotece dziecięcej. Kiedy się tam znajdę, zapominam o czasie.

- To interesujące miejsce - powiedział Sam. Chciał kontynuować i spytać o plakaty, ale panna Lortz uprzedziła go. Nie było żadnej wątpliwości, kto dowodzi tą przedziwną wyprawą Sama poza rutynowy rozkład dnia.

- A jakże! Daj mi tylko minutkę. - Położyła mu ręce na ramionach - musiała w tym celu stanąć na palcach - i Samowi mignęła absurdalna myśl, że chce go pocałować. Ale tylko usadziła go na drewnianej ławce przy półce z książkami-na-siedem-dni. - Dokładnie wiem, gdzie szukać potrzebnych książek, Sam. Nie muszę nawet sprawdzać w katalogu.

- Mogę sam ich poszukać...

- Jestem tego pewna, ale są w dziale tytułów specjalnych i dbam, żeby czytelnicy mi tam nie bobrowali. Bardzo się szarogęszę, to prawda, ale zawsze znajduję bezbłędnie to, czego szukam... w każdym razie w tym dziale. Ludzie tak bałaganią, tak mało dbają o porządek, rozumiesz. Dzieci są najgorsze, ale nawet dorośli potrafią wyprawiać figle-migle, jak się ich nie przypilnuje. Nie martw się o nic. Wracam raz-dwa.

Sam nie miał zamiaru dalej się sprzeciwiać, zresztą nie dano mu szans. Poszła. Siedział na ławce, znów czując się jak czwartoklasista... jak czwartoklasista, który narozrabiał, wyprawiał figle-migle, musi więc przesiedzieć przerwę w klasie i nie może pobawić się z innymi dziećmi.

Słyszał, jak panna Lortz szuka czegoś w pomieszczeniu za biurkiem bibliotekarki, i rozejrzał się zamyślony. Nie było tu nic do oglądania prócz książek - nie było nawet żadnego emeryta, który by czytał gazetę codzienną albo przeglądał magazyn. Nie oczekiwał w powszednie popołudnie w takiej małomiasteczkowej bibliotece szalonego ruchu, ale jak to możliwe, że nie ma nikogo?

No cóż, był pan Peckham, ale skończył gazetę i poszedł do domu. Okropnie cienkie są te piątkowe gazety. Kurz też cienki. Wtem uświadomił sobie, że na dobrą sprawę wie o istnieniu pana Peckhama tylko od panny Lortz.

Święta prawda - ale dlaczego miałyby zmyślać?

Nie wiedział. Ale choć bardzo wątpił, by kłamała, już samo zakwestionowanie uczciwości tej niedawno poznanej niewiasty o miłej twarzyczce postawiło w pełnym świetle zasadniczy i zdumiewający aspekt całego ich spotkania: nie podobała mu się. Może i miała najmiłą twarzyczkę świata - ale nie podobała mu się ani trochę.

To przez te plakaty. Trudno lubić KOGOKOLWIEK, kto wiesza takie plakaty w pomieszczeniu dla dzieci. Ale to bez znaczenia, ponieważ cała ta sprawa to tylko odskok poza zwykły rozkład jazdy. Książki pod pachę i chodu.

Podniósł wzrok i zobaczył na ścianie motto:

Jeśli chcesz wiedzieć, jak mężczyzna traktuje swoją żonę i dzieci, sprawdź, jak obchodzi się ze swymi książkami.

Ralph Waldo Emerson

To krótkie kazanie też nim nie wstrząsnęło. Nie wiadomo dokładnie czemu. Może dlatego, że jego zdaniem, od mężczyzny, nawet mola książkowego, można oczekiwać, że będzie traktował rodzinę lepiej niż zawartość biblioteki. Jednak to motto, wypisane złotymi literami na kawałku politurowanego dębu, słało ku niemu oślepiający blask, jakby sugerując, żeby sobie to jednak przemyślał.

Zanim skorzystał z tej możliwości, panna Lortz powróciła, podnosząc klapę w barierce, mijając barierki, i opuszczając klapę starannie za sobą.

- Myślę, że znalazłam to, czego ci potrzeba - oznajmiła pełna animuszu. - Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

Podala mu dwie książki. Jedną był *Towarzysz mówcy*, opracowany przez Kenta Adelfmana, drugą *Najukochańsze wiersze Amerykanów*. Druga książka, zgodnie z tym, co umieszczono na obwolucie (którą z kolei chroniła mocna, plastikowa okładka), ściśle biorąc, nie była opracowaniem, lecz wyborem dokonany przez niejaką Hazel Fellman. „Wiersze o życiu!”, obiecywała obwoluta. „Wiersze o domu i matce! Wiersze pełne zabawy i śmiechu! Wiersze, o które najczęściej proszą czytelnicy „New York Times Book Review!”. Następnie padało stwierdzenie, że „Hazel Fellman potrafi utrzymać rękę na poetyckim pulsie Amerykanów”.

Sam spojrzał z pewną niewiarą na bibliotekarkę. Bez trudu odgadła jego myśli.

- Tak, wiem, że wyglądają staromodnie. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy jest taki wybór samouczków. Wyobrażam sobie, że gdybyś poszedł do jednej z tych typowych księgarni w pasażu handlowym Cedar Rapids, znalazłbyś wiele książek, które mają pomóc początkującym mówcom. Ale żadna nie umywa się do tych,

Sam. Wierz mi, to wymarzeni pomocnicy dla ludzi, którym sztuka publicznego przemawiania jest zupełnie obca.

- Amatorów, innym słowami - powiedział Sam, uśmiechając się szeroko.

- No cóż, tak. Weź na przykład *Najukochańsze wiersze*. Druga część książki - zaczyna się na stronie sześćdziesiątej piątej, jeśli mnie pamięć nie myli - nosi podtytuł „Natchnienie”. Z pewnością znajdziesz tam coś stosownego do zwieńczenia twego skromnego występu, Sam. I przekonasz się nieraz, że twoi słuchacze zapamiętają właściwie dobrany wiersz, nawet jeśli zapomną wszystko inne. Zwłaszcza kiedy będą trochę...

- Wlani.

- Podchmieleni, rzekłabym raczej - powiedziała z lekką naganą w głosie - choć jak przypuszczam, znasz ich lepiej niż ja.

Ale spojrzenie, jakim go obdarzyła, sugerowało, że mówi tak jedynie z uprzejmości.

Uniosła *Towarzysza mówcy*. Na obwolicie był rysunek udekorowanej sali. Mężczyźni przyodziani w staromodne wieczorowe garnitury siedzieli drobnymi grupkami przy stolikach z drinkami przed sobą. Nie, nie siedzieli. Spadali z krzesel ze śmiechu. Mężczyzna na podium - również w smokingu, najwyraźniej wygłaszający mowę po kolacji - uśmiechał się do nich triumfalnie. Król wieczoru, bez wątpienia.

- Na początku jest rozdział poświęcony teorii przemówień po kolacji, ale ponieważ nie wydaje mi się, abyś miał zamiar robić karierę na tym polu...

- Trafiła pani w dziesiątkę - gorliwie przytaknął Sam.

- Radziłabym, żebyś przeszedł wprost do środkowego rozdziału zatytułowanego „Sztuka żywego przemawiania”. Znajdziesz tam dowcipy i historyjki podzielone na trzy kategorie: „Jak ośmielić”, „Jak rozbroić”, „Jak doprowadzić rzecz do końca”.

„Wygląda to na podręcznik żigolaka”, pomyślał, ale nie powiedział Sam.

Znów odczytała jego myśli.

- Podejrzewam, że jest to nieco dwuznaczne, ale te książki wyszły w naiwniejszych, bardziej niewinnych czasach. Późne lata trzydzieste, dokładnie biorąc.

- Bardziej niewinnych, a jakże - powiedział Sam. Pomyślał o opuszczonych farmach w okolicach, gdzie często szaleją burze piaskowe, małych dziewczynkach w sukienkach z worków po kartoflach, o zaniedbanych, skleconych byle jak osiedlach nędzarzy otoczonych przez kordony gliniarzy z pałami.

- Ale obie te książki uczą, jak osiągać wyniki - powiedziała, stukając w nie z emfazą palcem - a to się liczy w interesach, prawda, Sam? Wyniki!

- Tak... chyba tak.

Spojrzał na nią, zamyślony, a ona uniosła brwi, być może gotowa służyć dodatkowymi wyjaśnieniami.

- O czym tak dumasz?

- Myślałem o tym, jak rzadko okoliczności aż tak mi sprzyjają. Nie superrzadko, nie, to byłaby przesada, ale rzadko. Zjawiam się po kilka książek do okraszenia mojej mowy i wygląda na to, że pani daje mi dokładnie to, po co przyszedłem. Jak często zdarza się to w świecie, w którym nawet sprzedawcy w mięsny ciężko wytłumaczyć, o które kotlety z jagnięcia ci chodzi?

Uśmiechnęła się. Wydawało się, że jest to uśmiech autentycznego zadowolenia... ale Sam spostrzegł powtórnie, iż jej oczy nie uśmiechnęły się. Nie zmieniły wyrazu od czasu, gdy po raz pierwszy trafił na nią - lub ona na niego - w bibliotece dziecięcej. Nie przestawały go obserwować.

- Coś mi się zdaje, że usłyszałam komplement.

- Tak, szanowna pani. Zgadza się.

- Dziękuję ci, Sam. To bardzo miłe z twojej strony. Mówią, że pochlebstwem załatwisz wszystko, ale wygląda na to, że i tak musisz zapłacić mi dwa dolary.

- Aż dwa dolary?

- Tyle wynosi opłata za wydanie osobie dorosłej karty ważnej na trzy lata, a prolongata kosztuje tylko pięćdziesiąt centów. No to jak - wchodzisz w to czy nie?

- Cena wydaje się rozsądna.

- To proszę tu - powiedziała i Sam podszedł za nią do biurka.

### 3

Dała mu formularz do wypełnienia - napisał na nim swoje imię i nazwisko, adres, numery telefonów i miejsce pracy.

- Widzę, że mieszkamy na Kelton Avenue. Miło!

- No cóż, mnie też.

- Tamtejsze domy są śliczne i duże. Powinieneś się ożenić.

Spłoszył się trochę.

- Skąd pani wie, że nie jestem żonaty?

- Stamtąd, skąd ty dowiedziałeś się, że ja nie jestem mężatką. - Jej uśmiech stał się trochę chytry, trochę jędzowaty. - Goły serdeczny.

- Och - zareagował niezdarnie i uśmiechnął się. Chyba nie był to jego zwykły, pełen życia uśmiech. Poczł ciepło na policzkach.

- Dwa dolary, proszę.

Wręczył jej dwie jednodolarówki. Podeszła do małego stolika, na którym stał wiekowy szkielet maszyny do pisania, i szybko wypisała jasnopomarańczową kartę. Przyniosła ją do biurka, podpisała się u dołu z rozmachem i podsunęła kartę Samowi.

- Sprawdź i upewnij się, że wszystkie dane są zgodne z prawdą, proszę.

Sam sprawdził i upewnił się.

- Wszystko gra.

Zauważył, że na imię miała Ardelia. Ładne imię. Rzadko spotykane. Wzięła jego kartę biblioteczną - uświadomił sobie nagle, że była to jego pierwsza karta biblioteczna od czasu

college'u, a i z tamtej korzystał rzadko - i umieściła pod czytnikiem mikrofilmowym, razem z kartami wyjętymi z kieszonek obu książek.

- Możesz trzymać je tylko przez tydzień, ponieważ należą do działu tytułów specjalnych. Ustanowiłam go dla kategorii książek, na które jest wielkie zapotrzebowanie.

- Jest wielkie zapotrzebowanie na pomoce dla początkujących mówców?

- Na to i na samouczki napraw kanalizacyjnych, prostych sztuczek magicznych, dobrego wychowania... Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, za jakimi książkami ludzie pilnie się rozglądają. Aleja wiem.

- To jasne.

- Siedzę w tym interesie od bardzo, bardzo dawna, Sam. I nie podlegają prolongacie, więc postaraj się przynieść przed szóstym kwietnia albo... - Podniosła głowę i światło odbiło się w jej oczach. Sam nie zwróciłby na to uwagi, gdyby tu były tylko iskierki... ale to było lśnienie. Płaskie, twarde lśnienie. Przez jeden krótki moment zdawało się, że Ardelia Lortz ma w każdym oczodole dziesięciocentówkę.

- Albo? - spytał i nagle jego szczery uśmiech przemienił się w maskę.

- Albo wyślę za tobą Policjanta Bibliotecznego.

#### 4

Na moment ich spojrzenia skrzyżowały się i Sam ujrzał prawdziwą Ardelię Lortz, a w tej prawdziwej Ardelii Lortz nie było absolutnie nic czarującego, łagodnego czy bibliotekarsko-staropanieńskiego.

Ta kobieta faktycznie może być groźna, pomyślał i odpędził to przypuszczenie, trochę zażenowany. Pewnie ponury dzień, a może i stres z powodu zbliżającego się występu robiły swoje. Ona jest tak groźna jak puszka z brzoskwiniami... i nie chodzi o pogodę ani o tych rotarian. To te cholerne plakaty.

Ścisnął pod pachą *Towarzysza mówcy* i *Najukochańsze wiersze Amerykanów*. Znaleźli się prawie przy drzwiach, zanim uświadomił sobie, że ona go wyprowadza. Zaparł się i stanął. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy mogę o coś zapytać, panno Lortz?

- Oczywiście, Sam. Jestem tu po to, żeby służyć wyjaśnieniami.

- Chodzi o bibliotekę dziecięcą i plakaty. Niektóre z nich zaskoczyły mnie. Prawie zaszokowały. - Bał się, że wypadnie jak kaznodzieja baptystów, który dojrzał u swego parafianina pod stosem czasopism „Playboya” i prawi mu kazanie, ale wcale tak to nie zabrzmiało. Ponieważ, pomyślał, nie chodzi o konwencjonalny odruch zwykłego zgorznięcia. - Naprawdę zostałem zszokowany. Bez „prawie”.

- Plakaty? - zmarszczyła czoło, ale zaraz się rozchmurzyła. Roześmiała się. - Och! Musi ci chodzić o Policjanta Bibliotecznego... i oczywiście Szurniętego Szymusia.

- Szurniętego Szymusia?

- Widziałeś afisz z napisem: NIGDY NIE DAJ SIĘ PODWOZIĆ NIEZNAJOMYM? Tak dzieciaki nazywają tego malca na obrazku. Tego, co się wydziera. Nazywają go Szurnięty Szymuś - podejrzewam, że czują do niego pogardę, ponieważ zrobił coś tak głupiego. To bardzo zdrowa postawa, nieprawdaż?

- On się nie wydziera - powoli rzekł Sam. - On rozpaczliwie krzyczy.

Wzruszyła ramionami.

- Wydziera, krzyczy - cóż za różnica? Tutaj nie tolerujemy takich wyskoków. Dzieci są bardzo grzeczne, umieją się zachować.

- No myślę - powiedział Sam. Znaleźli się teraz w westybulu. Popatrzył na tabliczkę na sztaludze. Nie głosila, że

MILCZENIE JEST ZŁOTEM lub

PROSZĘ ZACHOWAĆ CISZĘ lecz rzucała jedno tylko kategoryczne polecenie:

CISZA!

- Poza tym wszystko to kwestia interpretacji, prawda?

- Chyba tak - powiedział Sam. Poczuł się wmanewrowany - i to bardzo umiejętnie - w miejsce, w którym odbierano mu argumenty moralnej natury, a narzędzia dialektyki zagarniała Ardelia Lortz.

Odniósł wrażenie, że nawykła tak postępować. Tym bardziej pobudziło go to do oporu.

- Ale te plakaty wydały mi się przesadzone.

- Co ty powiesz? - spytała uprzejmie. Zatrzymali się w drzwiach prowadzących na zewnątrz.

- Tak. Budzą strach. - Zebrał siłę i wyrzucił z siebie to, co naprawdę leżało mu na wątrobie. - Nie pasują do miejsca uczęszczanego przez maluchy.

Z ulgą stwierdzał, że nadal nie wpadł w ton kaznodziei obłudnika, przynajmniej w jego uszach tak to nie zabrzmiało. Uśmiechała się irytująco.

- Nie jesteś pierwszą na świecie osobą, która wyraziła podobną opinię, Sam. Bezdzielni dorośli nie są częstymi gośćmi w bibliotece dziecięcej, ale od czasu do czasu gościmy ich - wujków, ciotki, przyjaciół samotnych matek, których obciążono obowiązkiem odebrania dziecka... albo takich ludzi jak ty, Sam, którzy szukają mnie.

„Ludzi w potrzebie”, mówiły jej zimne, szaroniebieskie oczy. „Ludzi, którzy przychodzą po pomoc, a jak się im już POMOGŁO, krytykują sposób prowadzenia spraw w Bibliotece Publicznej Junction City. Krytykują mój sposób prowadzenia spraw w Bibliotece Publicznej Junction City”.

- Pani, zdaje się, ma mi za złe, że wsadzam nos w nie swoje sprawy - rzekł dobrodusznie Sam. Nie był dobrodusznie nastawiony, był od tego jak najdalszy, ale zastosował kolejny chwyt zawodowy, z którego korzystał jak z ochronnej tarczy.

- Ależ skąd. Chodzi tylko o to, że nie rozumiesz. Zeszłego lata zrobiliśmy badanie opinii publicznej, Sam. W ramach corocznego Letniego Programu Czytelniczego. Nazywamy nasz program Letnie Skwarki w Junction City. Każde dziecko, chłopiec czy dziewczynka, głosuje na jedną książkę, którą przeczytało. To wypracowany przez nas sposób, aby zachęcić dzieci do lektury. Jeden z zasadniczych celów naszego działania, rozumiesz.

„Wiemy, co robimy, mówiło jej nieugięte spojrzenie. I jestem bardzo uprzejma, prawda? Biorąc po uwagę, że ty, który nie zjawiał się tu przedtem nigdy w życiu, ośmielasz się od razu wsadzać nos w nie swoje sprawy i walisz z grubej rury”.

Sam poczuł, że argumenty moralnej natury wymykają mu się. A narzędzia dialektyki - choć jeszcze nie znalazły się całkowicie w rękach tej Lortz - były coraz bardziej poza jego zasięgiem.

- Zgodnie z tymi badaniami ulubionym filmem dzieci z tamtego lata był *Koszmar przy ulicy Wiązów, część 5*. Ich ulubiona grupa rockowa nazywa się Guns n'Roses - a zaraz za nimi uplasował się ktoś o nazwisku Ozzy Osbourne, kto, jak słyszę, wstawia się odgryzaniem głów żywym zwierzętom podczas koncertów. Ich ulubiona powieść to tytuł z literatury wagonowej *Łabędzi śpiew*. Jest to horror napisany przez człowieka, który nazywa się Robert McCammon. Mamy kłopoty z tą książką, Sam. Każdy nowy egzemplarz jest po tygodniu w strzępach. Obłożyłam jeden w twardej plastik, ale oczywiście został skradziony. Przez jakieś niegrzeczne dziecko.

Zacisnęła usta w cienką linię.

- Drugie miejsce zajął horror, w którym była mowa o kazirodztwie i dzieciobójstwie. *Kwiaty na poddaszu*. Wcześniej zajmował żelazne pierwsze miejsce przez pięć lat z rzędu. Kilkoro z dzieci wspomniało nawet *Peyton Placel*

Spojrzała na niego surowo.

- Ja sama nie obejrzałam nigdy żadnego z tych *Koszmarów przy ulicy Wiązów*, nie słyszałam żadnej płyty Ozzy'ego Osbourne'a - i nie mam ochoty ani na to, ani na czytanie



powieści Roberta McCammona, Stephena Kinga czy V.C. Andrews. Rozumiesz, o co mi chodzi, Sam?

- Chyba tak. Mówi pani, że nieuczciwością byłoby... - zabrakło mu słowa, poszukał go i znalazł - ...uzurpowanie sobie prawa do wiedzy na temat gustów dzieci.

Uśmiechnęła się promiennie - całą twarzą, tylko nie oczami, w których znów pojawiły się dziesięciocentówki.

- Częściowo tak, ale to nie wszystko. Te plakaty w bibliotece dziecięcej, zarówno te miłe niekontrowersyjne obrazki, jak i te, które wydały ci się tak odpychające - przychodzą do nas ze Stowarzyszenia Bibliotek Iowa. To stowarzyszenie jest członkiem Stowarzyszenia Bibliotek Środkowego Zachodu, a ono z kolei członkiem Narodowego Stowarzyszenia Bibliotek, które większość funduszy dostaje z pieniędzy podatników. Od Szanownego Ogółu - to znaczy ode mnie. I od ciebie.

Sam przestąpił z nogi na nogę. Nie chciał spędzić całego popołudnia, słuchając pogadanki „Jak funkcjonuje twoja biblioteka”, ale czyż się o to nie prosił? Chyba tak. Jednej rzeczy był pewien na sto procent. Z każdą chwilą coraz mniej lubił Ardelię Lortz.

- Stowarzyszenie Bibliotek Iowa posyła nam wykaz co drugi miesiąc, załączając reprodukcję około czterdziestu plakatów - kontynuowała nieustępliwie panna Lortz. - Pięć dostajemy bezpłatnie, za dodatkowe trzeba płacić po trzy dolary za sztukę. Widzę, że zaczynasz się niecierpliwić, Sam, ale doprawdy zasługujesz na wyjaśnienie, a dochodzimy wreszcie do istoty rzeczy.

- Ja? Wcale się nie niecierpliwię - powiedział Sam niecierpliwie. Uśmiechnęła się do niego, odsłaniając zęby zbyt równe, żeby mogły być prawdziwe.

- Mamy komitet biblioteki dziecięcej. Kto w nim zasiada? Ależ oczywiście, że dzieci! Cała dziewiątka. Czwórka licealistów, trójka gimnazjalistów i dwójka z podstawówki. Żeby się znaleźć w komitecie, trzeba mieć dobrą średnią. Wybierają niektóre książki, zamawiane później przez nas, wybierały kolor zaston i rodzaj stołów, kiedy robiliśmy remont zeszłej jesieni... i oczywiście wybierają plakaty. Jest to, jak określił jeden z naszych najmłodszych członków komitetu, „najfajowsze”. Czy teraz rozumiesz?

- Tak - powiedział Sam. - Dzieciaki wybrały Czerwonego Kapturka, Szurniętego Szymusia i Policjanta Bibliotecznego. Wybrały je, bo są straszne.

- No właśnie! - rozjaśniła się.

Nagle poczuł, że ma dosyć. Biblioteki. Właśnie. Nie plakatów, nie bibliotekarki, ale samej biblioteki. Nagle biblioteka zaczęła go uwierać niby nieznośna, doprowadzająca do wściekłości drzazga w tyłku. Cokolwiek to było... miał dosyć.

- Pani Lortz, trzyma pani wideo *Koszmaru z ulicy Wiązów, część 5*, w bibliotece dziecięcej? Albo wybór longplayów Guns n'Roses i Ozzy'ego Osbourne'a?

- Sam, nie chwytasz istoty rzeczy - zaczęła cierpliwie.

- A co z *Peyton Place!* Czy ma pani egzemplarz w bibliotece dziecięcej tylko dlatego, że niektóre dzieciaki to przeczytały?

Kiedy to mówił, myślał: „Czy ktokolwiek jeszcze czyta tę ramotę?”

- Nie - powiedziała i ujrzał, jak rumieniec zdenerwowania oblewa jej policzki. Ta kobieta nie przywykła, aby kwestionowano jej opinie. - Ale, doprawdy, mamy historie o włamaniach, maltretowaniu dzieci przez rodziców i kradzieżach. Mówię oczywiście o *Złotowłosej i trzech misiach, Jasiu i Małgosi* i *Jacku i łodydze fasoli*. Oczekiwałam więcej zrozumienia od takiego człowieka jak ty, Sam.

Człowieka w potrzebie, o to ci chodzi, pomyślał Sam, ale po co to wielkie halo, paniusiu - czy nie za to właśnie płaci ci miasto?

Ale wziął się w garść. Nie wiedział dokładnie, co miało znaczyć: „taki człowiek jak ty”, nie był pewien, czy w ogóle chce wiedzieć, ale pojął, że dyskusja lada moment wymknie się spod kontroli, przejdzie w kłótnię. Przyszedł tu znaleźć coś do spulchnienia twardej gleby swojej mowy, nie żeby wdawać się w pyskówkę na temat biblioteki dziecięcej z kierowniczką biblioteki.

- Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co mogło panią obrazić - powiedział - ale naprawdę powinienem już iść.

- Tak - powiedziała. - Chyba musisz.

Twoje przeprosiny nie zostały przyjęte, sygnalizowały jej oczy. Wcale nie zostały przyjęte.

- Podejrzewam, że jestem trochę zdenerwowany tym moim debiutanckim przemówieniem. A wczoraj do późna siedziałem nad tekstem. - Uśmiechnął się odruchowo swoim pogodnym uśmiechem Sama Peeblesa, podniósł teczkę.

Spuściła nieco z tonu - trochę - ale z jej oczu wciąż leciały skry.

- To zrozumiałe. Naszym pierwszym obowiązkiem jest służba ludziom i oczywiście zawsze z zainteresowaniem wysłuchujemy konstruktywnej krytyki z ust podatników.

Zaakcentowała minimalnie słowo „konstruktywnej”, żeby wiedział, iż jego krytyce jest nieskończenie daleko do tego miana.

Teraz, kiedy już było po wszystkim, poczuł chęć - niemal potrzebę - by przejść przez to wszystko od początku, wygładzić jak kapę na dobrze zaścielonym łóżku. To również był odruch, zawodowy nawyk... lub poza biznesmena. Coś dziwnego przyszło mu do głowy: tak

naprawdę, to wieczorem powinien wygłosić przemówienie o swoim spotkaniu z Ardelią Lortz. Mówiłoby to więcej o sercu i duchu małomiasteczkowego życia niż cała ta przygotowana mowa. Nie wszystko tu okazało się cacy-cacy, ale na pewno nie było drętwe. I zadźwięczałoby czymś rzadko słyszonym podczas piątkowych przemówień w Rotary Club: nieomylnym brzmieniem prawdy.

- No cóż, poczuliśmy się troszkę - powiedział automatycznie i automatycznie wyciągnął rękę do pożegnania. - Sądzę, iż trochę przesadziłem. Mam nadzieję, że nie żywi pani urazy.

Uścisnęła jego dłoń. Krótka, zdawkowo. Chłodna, gładka skóra. W jakiś sposób nieprzyjemna. Jakby wymienił uścisk ze stojakiem na parasole.

- Ależ skąd - powiedziała. Ale jej oczy nadal mówiły coś wręcz przeciwnego.

- Więc cóż... wynoszę się.

- Tak. Pamiętaj, siedem dni, Sam. - Podniosła palec. Wskazała dobrze wymanikiurowanym paznokciem na książki. Uśmiechnęła się.

W tym uśmiechu było coś niezwykle niepokojącego, ale nie potrafiłby tego nazwać, nawet gdyby jego życie od tego zależało. - Nie chciałabym wysłać za tobą Policjanta Bibliotecznego.

- Tak - przytaknął Sam. - Ja też bym tego nie chciał.

- I słusznie - powiedziała Ardelia Lortz nadal uśmiechnięta. - Wcale by ci się to nie spodobało.

## 5

W połowie ścieżki idącej od gmachu do chodnika przypomniał sobie twarz krzyczącego rozpaczliwie dziecka,

(„Szurnięty Szymuś, dzieciaki nazywają go Szurnięty Szymuś, to bardzo zdrowa postawa, nieprawdaż?”) a z nią zjawiała się myśl - myśl tak prosta i z życia wzięta, że aż się zatrzymał. Oto ona:, jury złożone z dzieciaków śmiało mogło wybrać taki plakat... ale czy jakiegokolwiek stowarzyszenie bibliotek, czy to z Iowa, czy ze Środkowego Zachodu, czy z całego kraju, istotnie mogło coś takiego wysłać?”.

Sam Peebles myślał o błagających rękach rozplaszczonych na nieczułym jak więzienna krata szkłe, krzyczących rozpaczliwie, rozdartych ustach i nagle uznał to za niewiarygodne. Nie do uwierzenia. I *Peyton Place*. Co to za numer? Przecież większość dorosłych korzystających z biblioteki musiała o tym dawno zapomnieć. Czy to możliwe, że jakieś dziecko - z tych małych, co to korzystają z biblioteki dziecięcej - odkryło to stare wykopalisko?

Nie wierzę.

Wolałby nie narażać się na następną porcję furii Ardelii Lortz - miał już dość pierwszej, a czuł, że wskaźnik jej mocy miał jeszcze dużo do przebycia, nim osiągnęłaby pełnię możliwości - ale te myśli tak go niepokoiły, że zawrócił.

Nikogo.

Drzwi biblioteki były zamknięte. Pionowe usta, bruzda na posępnej granitowej twarzy.

Sam postać jeszcze chwilę, a potem ruszył pospiesznie do krawężnika, gdzie zostawił swój samochód.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

### **Przemówienie Sama**

#### **1**

Odniósł niebywały sukces.

Zaczął od swojej własnej adaptacji dwóch anegdot z *Towarzysza mówcy* z działu „Jak ośmielić” - jedna była o farmerze, który usiłował sprzedać na pniu cały swój plon, a druga o sprzedawaniu mrożonych dań Eskimosom. Trzecią wykorzystał w środku (gdzie tekst doprawdy był bardzo jałowy). Znalazł jeszcze jeden dobry numer w dziale „Jak doprowadzić rzecz do końca”, zaczął go zakreślać ołówkiem, ale przypomniał sobie Ardelię Lortz i *Najukochańsze wiersze Amerykanów*. „I przekonasz się nieraz, że twoi słuchacze zapamiętają właściwie dobrany wiersz, nawet jeśli zapomną wszystko inne”, powiedziała. Sam znalazł dobry, krótki wiersz w części „Natchnienie”, tak jak mu to przepowiedziała.

Popatrzył na uniesione twarze swych kolegów rotarian i rzekł:

- Usiłowałem pokrótce wytłumaczyć, dlaczego żyję i pracuję w takim małym miasteczku jak Junction City, i mam nadzieję, że zrobiłem to w miarę sensownie. Jeśli nie, źle ze mną.

Oświadczenie to przyjęto wybuchem dobrodusznego śmiechu (i powiewem szkockiej oraz bourbona).

Sam pocił się obficie, ale czuł świetnie i zaczynał wierzyć, że zakończy występ, nie ponosząc szwanku. Mikrofon miał tylko jedno sprzężenie, nikt nie wyszedł, nikt nie rzucił kanapką i rozległo się tylko kilka gwizdów, zresztą całkiem dobrodusznych.

- Zdaje mi się, że pewien poeta, Spencer Michael Free, ujął moje myśli lepiej, niż ja kiedykolwiek zdołałbym je wyrazić. Sami wiecie, że prawie wszystko, co oferujemy w naszych małomiasteczkowych firmach, centra handlowe wielkich miast i podmiejskie pasáže sklepowe oferują taniej. Tamtejsi kupcy lubią się przechwalać, że dostarczają prawie wszystkie towary i usługi, jakie można sobie wymarzyć, a na dodatek bezpłatny parking. I

chyba są bliscy prawdy. Z tym że jest jeden drobiazg, który małomiasteczkowe firmy mogą zaoferować, a te pasażerzy i centra nie mogą, i o tym właśnie pan Free mówi w swoim wierszu. Nie jest długi, ale treściwy. Posłuchajcie.

To, co się między ludźmi dzieje, Serdeczność, w tym jest sens. To więcej serce słabnące ogrzeje Niż dach nad głową, łyk wina i chleba kęs. Bo dach zapadnie się, nim noc przemienie, A chleb się zeschnie, gdy kres przyjdzie dnia, Lecz uścisk dłoni, ciepłe głosu brzmienie To serca wieczny pokarm, bo to zawsze trwa.

Sam popatrzył na nich znad tekstu i po raz drugi tego dnia ze zdumieniem stwierdził, że wierzy święcie w każde wypowiedziane przez siebie słowo. Serce miał pełne szczęścia i zwykłej wdzięczności dla losu. Po prostu dobrze było przekonać się, że nadal ma się serce, że rutyna codzienności nie zmełała go na proch, a jeszcze przyjemniej było przekonać się, że uczucia tkwiące w sercu można przelać w słowa i porozumieć się z innymi ludźmi.

- My, ludzie interesu z małych miasteczek, możemy zaoferować tę serdeczność. Z jednej strony to niewiele... ale z drugiej - prawie wszystko. To trzyma mnie przy życiu. Chciałbym życzyć naszemu wcześniej wyznaczonemu mówcy, Zdziwiałemu Joe, szybkiego powrotu do zdrowia; chciałbym podziękować Craigowi Jonesowi, że zaproponował mi zastępstwo, a wam wszystkim za cierpliwe wysłuchanie mojej nudnej mówki. Więc... serdeczne dzięki.

Aplauz zaczął się, jeszcze zanim Sam skończył ostatnie zdanie; rósł, kiedy zbierał kartki tekstu, który przepisała Naomi i nad którym jeszcze ślęczał po południu; przeszedł w crescendo, kiedy siadał, rozbawiony reakcją słuchaczy.

No cóż, to tylko woda, mówił sobie. Klaskaliby tak samo, gdyby im opowiedzieć, jak komuś udało się rzucić palenie albo jak ktoś natknął się na Jezusa podczas przyjęcia w ogrodzie.

Zaczęli się podnosić i wtedy pomyślał, że musiał przemawiać za długo, skoro aż tak ich przypiliło. Ale klaskali nadal i zobaczył, że Craig Jones macha do niego. Po chwili zrozumiał. Craig dawał znaki, żeby wstał i uklonił się.

Sam puknął się znacząco w głowę: Odbiło ci!

Craig flegmatycznie pokręcił głową na „nie” i zaczął unosić ręce gestami tak energicznymi, że wyglądał jak żarliwy kaznodzieja zachęcający wiernych do głośniejszego śpiewu.

Więc Sam się podniósł i zdębiał. Usłyszał wiwaty.

Po paru chwilach Craig Jones zbliżył się do mównicy. Wiwaty wreszcie przycichły. Kilka razy stuknął w mikrofon. Zabrzmiało to, jakby gigantyczna ręka owinięta w watę stuknęła o trumnę.

- Chyba wszyscy się zgodzimy - powiedział - że mowa Sama z nawiązką wyrównała to, cośmy stracili, nie oglądając królika wyciąganego z cylindra.

To wywołało kolejną burzę oklasków. Craig obrócił się do Sama i powiedział:

- Gdybym tylko wiedział, że stać cię na to, Sammy, przede wszystkim zaprosiłbym ciebie!

To wywołało jeszcze więcej oklasków i gwizdów. Zanim ucichły, Craig Jones złapał Sama za rękę i zaczął energicznie machać nią w górę i w dół.

- To było wielkie! Skąd to przepisałeś, Sam?

- Nie przepisałem. - Samowi płonęły policzki i choć wcześniej zaliczył tylko jeden dzin z tonikiem - mocno rozcieńczony - poczuł się trochę pijany. - To moje. Wziąłem kilka książek z biblioteki i skorzystałem z nich.

Inni rotarianie tłoczyli się teraz dookoła; ręka Sama była ciągle potrząsana. Poczul się jak pompa miejska podczas letniej suszy.

- Wielkie! - wrzasnął mu ktoś do ucha. Sam obrócił się w kierunku źródła głosu i odkrył, że to Frank Stephens, który zastąpił szychę ze związku transportowców oskarżoną o łamanie prawa. - Powinieneś to nagrać i moglibyśmy taśmę sprzedawać młodziakom z tej cholernej Niższej Izby Handlowej! Niech mnie szlag trafi, jeśli to nie była dobra mowa, Sam!

- Powinien wziąć to ze sobą w trasę! - powiedział Rudy Pearlman. Jego okrągła twarz była czerwona i spocona. - Małom się nie popłakał! Na Boga żywego! Skądęś wygrzebał tego wiersza?

- Z biblioteki - powiedział Sam. Nadal był oszołomiony, ale ulgę, że udało mu się skończyć cało i zdrowo, zastąpił ostrożny zachwyty. Naomi należała się premia. - Był w książce pod tytułem...Ale zanim zdążył podać Rudy'emu tytuł, Bruce Engalls złapał go za ramię i zgarnął do baru.

- Cholera, najlepsza mowa, jaką słyszałem w tym durnym klubie od dwóch lat! - wykrzyknął. - Może pięciu! Pieprzyć cholernego akrobatę! Niechże postawię ci drinka, Sam. Diabła tam, stawiam dwa!

## 2

Zanim Sam zdołał się wyrwać, zaliczył w sumie sześć drinków, wszystkie nie na swój koszt, i zakończył triumfalny wieczór, wymiotując na własną wycieraczkę wkrótce po tym, jak Craig Jones wysadził go na Kelton Avenue. Kiedy zawór bezpieczeństwa żołądka puścił,

Sam właśnie usiłował wcisnąć klucz do zamka - a miał do odwalenia kawał roboty, ponieważ wyglądało na to, że są trzy zamki i cztery klucze - i na pozbycie się zawartości żołądka w krzakach obok ścieżki nie było czasu. Więc kiedy wreszcie udało mu się otworzyć drzwi, po prostu podniósł wycieraczkę (ostrożnie, za boki, żeby rzygowiny nie spłynęły) i wylał je w krzaki.

Wypił filiżankę kawy, żeby ochłonąć. Kiedy żłopał zbawczy płyn, telefon zadzwonił dwa razy. Następne gratulacje. Te drugie były od Elmera Baskina, którego nie było w klubie. Sam czuł się trochę jak Judy Garland w *Narodzinach gwiazdy*, ale niełatwo mu się było cieszyć, gdy żołądek nadal tańczył jak na wzburzonych falach i pojawił się ból głowy, kara za nadmiar samopobłażania.

Włączył w bawialni automatyczną sekretarkę, aby obsłużyła wszystkie następne telefony, wdrapał się na górę do sypialni, wyłączył telefon przy łóżku, zażył dwie aspiryny, rozebrał się i legł.

Świadomość opuszczała go szybko - był równie zmęczony jak ululany - ale zanim objął go sen, pomyślał sobie: „Najwięcej zawdzięczam Naomi... i tej niesympatycznej kobiecie z biblioteki. Horst. Borscht. Jak jej tam było...? Może jej też powinienem dać premię?”.

Usłyszał telefon na dole. Automatyczna sekretarka nagrała wiadomość.

„Grzeczna dziewczynka, pomyślał Sam sennie. Wypełnia swój obowiązek - ale czy nie za to ci płacę?”.

Zapał w czerń i ocknął się dopiero o dziesiątej rano w sobotę.

### 3

Powrócił do krainy żywych z pieczeniem w żołądku i lekkim bólem głowy, ale mogło być gorzej. Miał wyrzuty sumienia z powodu wycieraczki, ale dobrze, że pozbył się przynajmniej części wody, zanim w głowie zaczęło mu jeszcze bardziej szumieć, niż szumiało. Spędził pod prysznicem dziesięć minut, pozorując tylko mycie, potem wytarł się, ubrał i zszedł na dół z ręcznikiem na głowie. Informujące o nagranej rozmowie czerwone światełko automatycznej sekretarki mrugało. Kiedy wcisnął klawisz ODTWARZANIE ROZMOWY, taśma przewijała się krótko. Widać telefon, który usłyszał w chwili, kiedy zasypiał, był ostatni.

Biip!

- Cześć, Sam. - Sam zastygł w trakcie zdejmowania ręcznika z głowy. Zmarszczył brwi. Był to kobiecy głos. Znał go. Czyj to głos? - Słyszałam, że twoja mowa była wielkim sukcesem. Cieszę się.

„To ta Lortz. Ale skąd wzięła mój numer?”. No tak, od czego są książki telefoniczne... i czyż nie zapisał go na karcie biblioteczej? Tak. Z jakiegoś nieokreślonego powodu poczuł na plecach dreszczyk.

- Postaraj się oddać pożyczone książki do szóstego kwietnia - przerwała, by za moment dorzucić figlarnie: - Pamiętaj o Policjancie Bibliotecznym.

Rozległ się metaliczny trzask przerwanej połączenia. Na automatycznej sekretarce Sama zapaliła się lampka WSZYSTKIE ROZMOWY ODTWORZONE.

- Kawał suki z ciebie, szanowna pani - powiedział Sam w pustkę domu i poszedł do kuchni upiec grzanekę.

#### 4

Kiedy w piątek, tydzień po triumfalnym debiucie Sama w roli bankietowego mówcy, Naomi zjawiała się w biurze o dziesiątej przed południem, Sam wręczył jej długą białą kopertę.

- Co to takiego? - spytała podejrzliwie Naomi, zdejmując płaszcz. Padał gęsty deszcz. Uporczywy, melancholijny, wczesnowiosenny deszcz.

- Otwórz i zobacz.

Wykonała polecenie. W środku była kartka z podziękowaniem. Załączono do niej portret Andrew Jacksona.

- Dwadzieścia dolarów! - Ależ podejrzliwie spojrzała na niego! - Dlaczego?

- Ponieważ ocaliłaś moją skórę, posyłając mnie do biblioteki. Mowa wypadła świetnie, Naomi. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że to był hit wieczoru. Włożyłbym pięćdziesiątka, gdybym nie wiedział, że go nie weźmiesz.

Teraz zrozumiała i była wyraźnie zadowolona, niemniej jednak usiłowała zwrócić pieniądze.

- Naprawdę cieszę się, że wypaliło, Sam, ale nie mogę te...

- Możesz i weźmiesz. Gdybyś pracowała dla mnie jako sprzedawczyni, wzięłabyś procent, prawda?

- Nie wydaje mi się. Nigdy nie udało mi się niczego sprzedać. Kiedy byłam skautką, jedyną osobą, która kupowała ode mnie ciastka, była moja mama.

- Naomi. Dziewczyno droga. No, nie bądź od razu taka zdenerwowana i wystraszona. Nie zamierzam się do ciebie przystawiać. Przeszliśmy przez to wszystko dwa lata temu.

- Przeszliśmy, a jakże - przytaknęła Naomi, ale nadal wyglądała na zdenerwowaną i spojrzawszy na drzwi, upewniła się, że w razie czego odwrót jest możliwy.



- Masz pojęcie, że od czasu wygłoszenia tej cholernej mowy sprzedałem dwa domy i wystawiłem ubezpieczenia na sumę niemal dwustu tysięcy dolarów? Prawda, większość to ubezpieczenia ogólne z wysokimi zniżkami i niską marżą, ale mój nowy wóz i tak jest trochę bliżej. Jak nie weźmiesz tej dwudziestki, poczuję się gównianie.

- Sam, proszę! - Naomi wyglądała na zszokowaną. Była zagorzałą baptystką. Razem ze swoją matką uczęszczała do małego kościółka w Proverbii, który sypał się prawie jak ich dom. Sam wiedział o tym. Raz tam wpadł. Ale był uszczęśliwiony, że i ona wyglądała na zadowoloną... i trochę bardziej rozluźnioną.

Latem 1988 roku Sam dwukrotnie umówił się z Naomi. Na drugiej randce spróbował się przystawiać. Przystawiał się najprzyzwoiciej jak tylko można się przystawiać, niemniej jednak przystawiał się. Szalenie dużo osiągnął. Okazało się, że Naomi jest bardzo sprawną zawodniczką w grze ciałem i mogłaby stanąć w formacji obronnej drużyny futbolowej Żrebaki z Denver, tak twardo odpierała jego zaloty. Wyjaśniła mu, że nie chodzi o to, iż go nie lubi, tylko że oni we dwoje nigdy nie dojdą do porozumienia „na tym polu”. Sam, oszołomiony, spytał dlaczego. Naomi tylko potrząsnęła głową. „Niektóre rzeczy są trudne do wyjaśnienia, Sam, ale nie stają się z tego powodu mniej prawdziwe. To nigdy nie zaskoczy. Wierz mi, nigdy”. Tyle od niej wyciągnął.

- Przepraszam za to wyrażenie, Naomi - powiedział. Przemawiał z pokorą, choć w głębi duszy podejrzewał, że Naomi daleko do kominki, którą lubiła odgrywać. - Chodzi o to, że jeśli nie weźmiesz tej dwudziestki, będę czuł się jak pies gównienko.

Wsadziła banknot do torebki i spojrzała na Sama sztywno i z godnością. Prawie jej się to udało... ale kąciki ust zadrżały lekko.

- Proszę. Zadowolony?

- Mało brakowało, a dałbym ci pięćdziesiąt. Przyjęłabyś pięćdziesiąt, Omes?

- Nie. I proszę, nie nazywaj mnie Omes. Wiesz, że tego nie lubię.

- Przepraszam.

- Przyjmuję przeprosiny. Może zmienimy temat?

- W porządku - ustąpił natychmiast.

- Słyszałam od kilku ludzi, że wygłosiłeś dobrą mowę. Craig Jones piał na twoją cześć. Naprawdę myślisz, że to napędziło ci klientów?

- Takiemu graczowi jak... - zaczął, ale opanował się. - Tak. Tak myślę. Czasem tak się dzieje. To śmieszne, ale prawdziwe. Kochany wykresik sprzedaży naprawdę skoczył w górę w tym tygodniu. Oczywiście spadnie, ale nie myślę, żeby miał spaść do starego poziomu.

Jeśli nowej klienteli spodoba się mój sposób prowadzenia interesu - a lubię sobie pomarzyć, że tak - trend się utrzyma.

Sam odchylił się w fotelu, splótł ręce na karku i spojrzał z namysłem w sufit.

- Kiedy Craig Jones zadzwonił i wpakował mnie na ten rozen, byłem gotów go zastrzelić. Nie żartuję, Naomi.

- Tak, wyglądałeś na człowieka, który schodzi po zjedzeniu koszyczka wilczej jagody.

- Naprawdę? - Roześmiał się. - Taaa... chyba tak było. Śmieszne, jak czasami sprawy się toczą - najczystszy przypadek. Czasami trudno się nie zastanawiać, czy to przypadkiem nie Bóg właśnie dokręcił wszystkie śrubki w tej wielkiej maszynie, zanim wprawił ją w ruch.

Oczekiwał, że Naomi zrugą go za bluźnierstwo (zdarzyłoby się to nie po raz pierwszy), ale dziś nie dała się wciągnąć w ten gambit. Zamiast tego rzekła:

- Jeśli pomogły ci właśnie książki z biblioteki, to masz więcej szczęścia, niż ci się wydaje. W piątki jest otwarta dopiero od piątej po południu. Chciałam ci to powiedzieć, ale zapomniałam.

- Tak?

- Musiałeś zastać pana Price'a przy jakiejś papierkowej robocie albo czymś takim.

- Price'a? Czy nie masz na myśli pana Peckhama? Tego woźnego, który lubi czytać prasę?

Naomi pokręciła głową.

- Jedyne Peckham, o jakim tu słyszałam, to stary Eddie Peckham, który zmarł dawno temu. Mówię o panu Price. Bibliotekarzu. - Patrzyła na Sama, jakby był najgrubszym człowiekiem na ziemi... albo przynajmniej w Junction City, Iowa. - Wysoki? Szczupły? Pod pięćdziesiątkę?

- Nie, nie. Trafiłem na panią o nazwisku Lortz. Niska, pulchna, mniej więcej w tym wieku, w którym kobiety przywiązują się na stałe do jasnozielonego akrylu.

Twarz Naomi mieniła się dziwną gamą uczuć, zaskoczenie ustąpiło miejsca podejrzeniu, podejrzenie - oznakom zniecierpliwienia i rozbawienia. Ta szczególna mieszanka prawie zawsze dowodzi jednego: ktoś, kto okazuje te uczucia, podejrzewa, iż stanowi cel pyyysznego żartu. W bardziej sprzyjających okolicznościach Sam może i zastanowiłby się nad tym, ale przez cały tydzień harował poza biurem i w rezultacie urosła mu góra papierów do przejrzania. W myślach siedział już nad nimi.

- Och - zająknęła się Naomi i wybuchnęła śmiechem. - Panna Lortz? Naprawdę? To musiała być przednia zabawa!

- Osobliwa z niej osóbką - powiedział Sam.

- A jakże - przytaknęła Naomi. - W istocie, ona jest absolutnie...

Gdyby skończyła to, co zaczęła, Sam prawdopodobnie byłby ogromnie zaskoczony, ale przypadek - jak to już zostało podkreślone - odgrywa absurdalnie wielką rolę w ludzkich sprawach i właśnie zainterweniował.

Zadzwoił telefon.

Odezwał się Burt Iverson, duchowy wódz małego szczepu prawników w Junction City. Chciał pogadać o naprawdę kolosalnej umowie ubezpieczeniowej - nowe centrum medyczne, ubezpieczenia grupowe, rzecz nadal w stadium planowania, ale masz pojęcie, Sam, jaki wymiar może osiągnąć taka sprawa - i zanim Sam wrócił do Naomi, myśli o panie Lortz kompletnie wywietrzały mu z głowy. Wiedział, jaki wymiar może osiągnąć taka sprawa, a jakże. Może wreszcie zasiądzie za kółkiem mercedesa benza. I na dobrą sprawę wolał już nie myśleć, ile z tego niezziemskiego fartu miało swe źródło w tamtym głupim, jednym przemówionku.

Naomi faktycznie myślała, że stanowi cel żartu, doskonale wiedziała, kim jest Ardelia Lortz, i sądziła, że Sam też wie. Ostatecznie ta kobieta tkwiła w samym centrum najobrzydliwszej afery, jaka rozpętała się w Junction City w ciągu ostatnich dwudziestu lat... a może i od czasu drugiej wojny światowej, kiedy to chłopak Mogginsów wrócił z Pacyfiku, mając kompletnie pokręcone w głowie, zabił całą rodzinę, nim wsadził sobie do ucha lufę służbowego pistoletu i pociągnął za spust. Ira Moggins zrobił to, zanim Naomi przyszła na świat; nie wpadła na to, że *l'affaire Ardelia* wydarzyła się na długo przed przybyciem Sama do Junction City.

W każdym razie zapomniała o całej sprawie i właśnie głowiła się nad wyborem między lazanią Stouffera a czymś dietetycznym na kolację, kiedy Sam w końcu odłożył słuchawkę. Nieprzerwanie dyktował listy do godziny dwunastej, a wtedy zapytał Naomi, czy nie zechciałaby wpaść z nim do McKenny'ego na skromny lunch. Naomi odmówiła, twierdząc, że musi wrócić do matki, która jest obłożnie chora od zimy. Nie padło więcej słów na temat Ardelii Lortz.

Tego dnia.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

### **Zagubione książki**

#### **1**

W tygodniu Sam nie jadał dużego śniadania - szklanka soku pomarańczowego i bułeczka posypana płatkami owsianymi wystarczały mu w zupełności - ale w sobotnie ranki (przynajmniej w te sobotnie ranki, kiedy nie musiał stawić czoła sprokurowanym przez

rotarian kacom) lubił przejść się spacerkiem na rynek do McKenny'ego i przeżuć tam stek i jajka, czytając przy tym gazetę zamiast, jak zwykle, przerzucać ją między umówionymi spotkaniami.

Nazajutrz, a był to siódmy kwietnia, zastosował się do tego rozkładu jazdy. Wczorajszy deszcz poszedł gdzieś sobie. Niebo było blade i idealnie niebieskie - trudno sobie wyobrazić bardziej typowy początek wiosny. Po śniadaniu Sam okrężną drogą wrócił do domu, przystając i sprawdzając, czyje tulipany i krokusy prezentują się jak należy, a które są trochę spóźnione. Do domu dotarł za dziesięć dziesiąta.

Światelko ODTWARZANIE ROZMOWY na sekretarce mrugało. Nacisnął klawisz, wyjął papierosa, potarł zapałkę.

- Cześć, Sam - powiedział głos Ardellii Lortz, miękki, niedający się pomylić z żadnym innym, i zapałka zatrzymała się sześć cali od Samowego papierosa. - Sprawileś mi wielki zawód, Sam. Zalegasz ze zwrotem książek.

- Żeby to obesrało! - wykrzyknął Sam.

Przez cały tydzień coś go dręczyło, niby słowo, które tańczy poza zasięgiem pamięci, chce się wybić z trampoliny języka i nie może. Książki. Cholerne książki. Ta kobieta bez wątpienia uważała go dokładnie za tego, za kogo chciała go uważać - filistra sypiącego niczym nieuzasadnionymi opiniami na temat plakatów w bibliotece dziecięcej. Ciekawe tylko, czy zarejestrowała połajankę na sekretarce, czy odłożyła ją do bezpośredniej konfrontacji.

Potrząsnął zapałką i wrzucił do popielniczki obok telefonu.

- Wyjaśniłam ci, jak sędzę - mówiła dalej swoim miękkim i przesadnie wyważonym tonem - że *Towarzysz mówcy* i *Najukochańsze wiersze Amerykanów* należą do działu specjalnych tytułów biblioteki i nie mogą być wypożyczone na dłużej niż tydzień. Nie spodziewałam się tego po tobie, Sam. Naprawdę.

Sam, ku swojemu wielkiemu rozdrażnieniu, stał we własnym domu, z niezapalonym papierosem w ustach, i rumieniec winy napływał mu z szyi do policzków. Znowu został energicznie cofnięty do czwartej klasy - tym razem na taboret do kąta, twarzą do ściany, a na głowę wbito mu energicznie czapkę z oślimi uszami.

Tonem wielkiej łaskawości Ardellia Lortz ciągnęła:

- Zdecydowałam się jednak udzielić ci prolongaty: masz czas do poniedziałkowego popołudnia. Nie zmuszaj mnie, proszę, bym musiała przedsięwziąć jakieś niemiłe kroki. - Pauza. - Pamiętaj o Policjancie Bibliotecznym, Sam.

- To już zaczyna się robić nudne, dziecinko Ardelinko - zamruczał Sam, ale to, co mówił, nie dotarło nawet do Ardelii na taśmie. Odwiesiła słuchawkę, wspomniawszy Policjanta Bibliotecznego, i sekretarka wyłączyła się bezszelestnie.

## 2

Sam kolejną zapałką zapalił papierosa. Wypuszczał jeszcze pierwszego dyma, a już w myślach zarysowała mu się dalsza linia postępowania. Być może będzie świadczyła o pewnym braku odwagi, ale zamknie rachunki z panną Lortz na amen. Będzie w tym również pewien element surowej sprawiedliwości.

Dał Naomi jej słusznie należącą się nagrodę i zrobi to samo w przypadku Ardelii. Siadł przy biurku w gabinecie, gdzie spłodził przesławną mowę, i przysunął notatnik. Pod nagłówkiem (Z BIURA SAMUELA PEEBLESA) skrobął następujący liścik:

Droga panno Lortz!

Przepraszam za opóźnienie w zwrocie pani książek. Proszę uwierzyć w szczerą tych słów, gdyż książki były mi niezwykle pomocne w przygotowaniu mojej mowy. Zechce pani przyjąć te pieniądze jako karę za opóźnienie. Resztę proszę zatrzymać w dowód mojej wdzięczności.

Z poważaniem Sam Peebles

Sam przeczytał list jeszcze raz, poszukując równocześnie spinacza w szufladzie biurka. Zastanawiał się nad zmianą „w zwrocie pani książek” na „w zwrocie bibliotecznych książek” i zdecydował się zostawić tak, jak jest. Ardelia Lortz zrobiła na nim wrażenie kobiety, która podpisałaby się obiema rękami pod dewizą *l'état c'est moi*, nawet jeśli, jak w tym wypadku, *l'état* było lokalną biblioteką.

Wyjął dwudziestodolarowy banknot z portfela i przypiął spinaczem do listu. Zawahał się, niespokojnie bębnił palcami po krawędzi biurka. Weźmie to za łapówkę. Prawdopodobnie poczuje się obrażona i szlag ją trafi.

Może i tak, ale Sam nie dbał o to. Wiedział, co kryło się za figlarnym telefonem - prawdopodobnie za oboma figlarnymi telefonami - tej Lortz. Nadepnął jej trochę za mocno na odcisk sprawą tych plakatów w bibliotece dziecięcej i teraz ona się odgrywa, a przynajmniej próbuje. Ale to nie czwarta klasa, a on nie jest uciekającym, sterroryzowanym dzieckiem (już nie) i nie da się zastraszyć. Ani chamską tabliczką w westybulu, ani połajankami bibliotekarki w stylu spóźniłeś-się-o-cały-jeden-dzień-ty-niegrzeczny-chłopaku.

- Pieprzę to! - powiedział głośno. - Jak nie chcesz tych cholernych pieniędzy, daj je na Fundusz Ochrony Biblioteki albo coś innego. - Położył list z dwudziestodolarówką na biurku. Nie zamierzał wręczać go osobiście, więc nie będzie miała okazji, aby mu nagadać. Owinie obie książki gumką, a list dołączy tak, żeby był widoczny. Potem zwyczajnie wrzuci cały ten kram do skrzynki ze zwrotami. Spędził sześć lat w Junction City bez zawierania znajomości z Ardelią Lortz; przy odrobinie szczęścia minie następne sześć, zanim nawinie mu się przed oczy.

Teraz pozostawało tylko odnaleźć książki.

Nie zostawił ich na biurku w gabinecie, tego był pewien. Poszedł do jadalnego i omiół wzrokiem stół. Zwykle tu kładł rzeczy do zwrotu. Dwie kasety wideo czekające na oddanie do Przystanku wideo Bruce'a, koperta z napisem „Gazeciary”, dwa foldery z gotowymi polisami ubezpieczeniowymi w środku... ale ani śladu *Towarzysza mówcy*. Ani *Najukochańszych wierszy Amerykanów*.

- Co za dziadostwo?! - spytał Sam i podrapał się po głowie. - Co u diabła...

Poszedł do kuchni. Na kuchennym stole leżała tylko poranna gazeta, którą tam rzucił, wróciwszy do domu. Teraz cisnął ją odruchowo do kartonowego pudła przy piecu, przeczesując wzrokiem ladę. Na ladzie nic. Tylko pudełko, z którego wczoraj wieczór wyjął mrożonkę na kolację.

Powolnym krokiem udał się na przeszukanie pierwszego piętra, ale zaczęły go dręczyć bardzo złe przeczucia.

### 3

Do godziny trzeciej po południu złe przeczucia osiągnęły szczyt. Żeby nie skłamać, Sam Peebles szalał z wściekłości. Dwukrotnie przeszukał cały dom od góry do dołu (za drugim razem zajrzał nawet do piwnicy) i udał się do biura, choć był święcie przekonany, że przyniósł ze sobą stamtąd obie książki w ostatnie poniedziałkowe popołudnie. I oto, co osiągnął do tej pory: spędził większość pięknej wiosennej soboty na bezowocnych poszukiwaniach dwóch książek z biblioteki, nie zrobiwszy kroku naprzód.

Nie mógł zapomnieć jej figlarnego tonu - „pamiętaj o Policjancie Bibliotecznym, Sam” - i wyobrażał sobie, jaka byłaby rozradowana, wiedząc, że zalała mu sadła za skórę. Sam nie miał żadnych wątpliwości, że gdyby policja biblioteczna istniała, Lortz z rozkoszą napuściłaby ją na niego. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej go to wpieniało.

Wrócił do domu, do gabinetu. List do Ardelii Lortz z dołączonym dwudziestakiem gapił się na niego bez wyrazu.

- Pańskie jaja!!! - wrzasnął i już miał rzucić się do następnego przekopywania domu, kiedy opanował się i nakazał sobie spokój. To nie doprowadzi do niczego.

Nagle usłyszał głos swojej dawno nieżyjącej matki. Słodki i łagodny głos rozsądku. „Gdy nie potrafisz czegoś znaleźć, Samuelu, miotanie się i dalsze szukanie nic nie pomoże. Usiądź raczej i pomyśl. Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach”.

To brzmiało rozsądnie, kiedy miał lat dziesięć; chyba dalej było niegłupie teraz, kiedy miał ich czterdzieści.

-Sarrr usiadł za biurkiem, zamknął oczy i spróbował ustalić trasę, jaką przebyły te cholerne książki od momentu, gdy mu je wręczyła panna Lortz, do... nie-wia-domo-kiedy.

Z biblioteki zabrał je do biura. Wstąpił po drodze do Pizzerii Sama, gdzie kupił pizzę z podwójnymi grzybami i pepperoni, którą zjadł następnie przy biurku, szperając równocześnie w *Towarzyszu mówcy* i szukając tam dwóch rzeczy: dobrych kawałów i tego, jak ich użyć. A jak się starał, żeby nie kapnąć najdrobniejszą kropelką sosu na książki! Zakrawało to na ironię, zważywszy, że nie mógł odnaleźć teraz żadnej z nich.

Spędził prawie całe popołudnie nad przemówieniem, dobierał dowcipy, przepisywał całą ostatnią partię, żeby lepiej grała z wierszem. Kiedy późno po południu poszedł do domu, wziął ze sobą ukończone przemówienie, ale książek nie wziął. Był tego pewien. Craig Jones zabrał go z domu, gdy zbliżała się pora kolacji w klubie, i odwiózł go później do domu - w sam czas, żeby mógł ochrzcić wycieraczkę przed drzwiami.

Sobotni poranek spędził na tonizowaniu skutków niewielkiego, acz dokuczliwego kaca. Przez resztę weekendu siedział po prostu w domu, czytał, oglądał telewizję i - spójrzmy prawdzie w oczy, chłopaki - pływał się w triumfie! Nie zbliżył się do biura przez cały weekend. To na pewno.

Dobra, pomyślał. Teraz zaczynają się schody. Skup się. Ale wcale nie musiał się zanadto skupiać, żeby sobie przypomnieć, co było potem.

W poniedziałek za kwadrans piąta już startował z biura, kiedy zastopował go telefon. Stu Youngman chciał, żeby Sam wypisał mu dużą polisę na dom. Tak zaczęła tryskać tygodniowa fontanna dolców. Kiedy gwarzyli ze Stu, oko Sama spoczęło przypadkiem na książkach wciąż leżących na rogu biurka. Kiedy wreszcie opuszczał biuro, w jednej ręce dzierzył teczkę, w drugiej książki. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Zamierzał odnieść je do biblioteki tego wieczoru, ale niespodziewanie zadzwonił Frank Stephens, zapraszając na kolację z żoną i kuzynką, która zjechała z Omaha złożyć wizytę stryjostwu (kiedy jest się kawalerem w małym miasteczku, Sam odkrył dawno, nawet przelotni znajomi stają się niezmordowanymi swatami). Poszli do Żeberek Brady'ego, wyszli

późno - późno jak na zwykły wieczór w tygodniu, koło jedenastej - i zanim dotarł do domu, zapomniał kompletnie o książkach.

Potem stracił je zupełnie z oczu. Nie myślał o ich zwrocie, nie miał czasu myśleć, bo pochłaniał go całkowicie niespodziewany ruch w interesie - aż ta Lortz zadzwoniła.

„Dobra - prawdopodobnie nie ruszyłem ich od tamtego czasu. Muszą być właśnie tam, gdzie je położyłem, wróciwszy do domu późnym popołudniem w poniedziałek”.

Przez moment wezbrała w nim nadzieja - może są wciąż w samochodzie! Ale kiedy podnosił się, żeby to sprawdzić, przypomniał sobie, jak przekładał teczkę do ręki, w której trzymał książki. Zrobił to, żeby wyjąć klucz od domu spoczywający w prawej przedniej kieszeni spodni. Bynajmniej nie zostawił ich w wozie.

„Co zrobiłeś, gdy wszedłeś do środka?”.

Ujrzał oczyma wyobraźni, jak otwiera kuchenne drzwi, wchodzi do kuchni, kładzie teczkę na krzesło, obraca się z książkami w ręce...

- Och nie - wymruczał. Zły nastrój powracał galopem.

W kuchni na półce, obok piecyka na drewno, stało duże kartonowe pudło, z tych co to sieje bierze ze sklepów monopolowych. Stało tam już od kilku lat. Ludzie często pakują w takie pudła drobne przedmioty podczas przeprowadzek, ale pudła nadają się doskonale do magazynowania wszystkiego-co-się-da. Sam w pudle gromadził gazety. Codziennie po przeczytaniu wsadzał gazetę do pudła; dzisiaj zrobił to całkiem niedawno. I co miesiąc albo...

- Parszywy Dave - wymruczał. Wstał zza biurka i pospieszył do kuchni.

#### 4

Pudełko z wizerunkiem Johnniego Walkera, którego radosne oblicze ozdobione monoklem wieściło „ale-mi-dobrze!”, było prawie puste. Sam pogmerał w cienkiej warstwie gazet, wiedząc, że niczego nie znajdzie, ale mimo to gmerając, jak postępują ludzie tak zrozpaczeni, że na poły wierzący, iż wystarczy bardzo chcieć, a zguba się znajdzie. Znalazł sobotnią „Gazette” - egzemplarz, który niedawno wyrzucił - i numer piątkowy. Oczywiście między nimi ani pod nimi nie leżały żadne książki. Sam postął przez chwilę pogrążony w czarnych myślach i zatelefonował do Mary Vassar, która sprzątała u niego w czwartki.

- Halo? - odezwał się lekko zaniepokojony głosik.

- Cześć, Mary. Tu Sam Peebles.

- Sam? - Zaniepokojenie wzrosło. - Czy stało się coś złego?”Tak! W poniedziałek po południu dobierze się do mnie ta suka, która rządzi miejscową biblioteką! Prawdopodobnie za pomocą krzyża i mnóstwa bardzo długich pazurów!”.



Ale oczywiście nie mógł powiedzieć nic takiego. Nie do Mary. Była jedną z tych nieszczęsnych istot, które, przychodząc na świat pod złą gwiazdą, żyją w mrocznym przeczuciu bliskiego końca.

Istoty te wierzą, iż świat jest pełen wielkich czarnych sejfów, które dyndają na wystrzępionych linach na wysokości drugiego piętra i czekają, aż skazani przez los wejdą w strefę zrzutu. Jeśli nie sejf, to pijany kierowca, jeśli nie pijany kierowca, to przybój (w Iowa? tak, w Iowa), jak nie przybój, to meteoryt. Mary Vassar była jednym z tych skażonych smutkiem prostaczków, którzy zawsze zapytają, czy stało się coś złego, kiedy do nich zadzwonisz.

- Nie - powiedział Sam. - Nic złego. Zastanawiałem się tylko, czy widziałaś się z Dave'em w czwartek.

Pytanie było zwykłą formalnością. Gazet ani dudu, a Parszywy Dave był jedynym Krasnałem od Makulatury w Junction City.

- Tak - stwierdziła Mary. Gorące zapewnienie Sama, że nie stało się nic złego, tylko dodało jej skrzydeł. Ledwo ukrywana groza zawibrowała w głosie: - Przyszedł po gazety. Nie powinnam była go wpuszczać? Przychodzi od lat i myślałam...

- Bynajmniej - powiedział Sam z chorobliwą wesołością. - Zobaczyłem tylko, że ich nie ma, i pomyślałem sobie, że sprawdzę...

- Przedtem nigdy nie sprawdzałeś. - Głos uwiązał jej w gardle. - Czy z nim wszystko w porządku? Coś się stało Dave'owi?

- Nie - powiedział Sam. - To znaczy nie wiem. Po prostu...

- Nagle doznał olśnienia. - Kupony! - wrzasnął dziko. - Zapomniałem wyciąć kupony w czwartek, więc...

- Och! Jak ich potrzebujesz, weź moje.

- Nie, nie mogłem wy...

- Przyniosę w czwartek. - Nie zwracała na niego uwagi. - Mam tysiące kuponów.

Tyle że nigdy nie zdołam ich wykorzystać, kryło się w podtekście. Przecież gdzieś tam dynda sejf, czeka, aż pod niego wejdę, albo drzewo czeka, żeby przewrócić się podczas burzy i zgnieść mnie, albo w jakimś motelu w północnej Dakocie leży na półce suszarka do włosów, czeka, żeby spaść, gdy wejdę pod prysznic. Żyję na kredyt, więc po co mi garść pieprzonych kuponów na kryształy od Folgera?

- W porządku - powiedział Sam. - To cudownie. Dzięki, Mary. Jesteś boska.

- Jesteś pewien, że poza tym nie stało się nic złego?

- Nie, nie, nic - powtórzył Sam gorąco jak nigdy. Przemawiał jak świrnięty sierżant zachęcający resztkę swego plutonu do podjęcia ostatecznego, bezsensownego, frontalnego ataku na ufortyfikowane gniazdo ciężkich karabinów maszynowych.

„Naprzód, wiara, zdaje się, że przysnęli!”.

- W porządku - powiedziała Mary z powątpiewaniem w głosie i Samowi w końcu pozwolono zatrabnić do odwrotu.

Ciężko opadł na kuchenne krzesło i z goryczą spoglądał na prawie puste pudło po Johnnie Walkerze. Parszywy Dave zjawił się po gazety, jak zawsze w pierwszym tygodniu miesiąca, ale tym razem nieświadomie zabrał ze sobą małą premię: *Towarzysza mówcy* i *Najukochańsze wiersze Amerykanów*. I Sam doskonale się orientował, na co zostały przerobione.

Na miazgę. Miazgę przeznaczoną do przerobu.

Parszywy Dave był jednym z alkoholików funkcjonujących w Junction City. Nie mógł dostać stałej pracy, więc wiązał koniec z końcem, sprząając po innych, dzięki czemu był całkiem użytecznym obywatelem. Zbierał butelki do zwrotu i, podobnie jak dwunastoletni Keith Jordan, przemierzał gazeciarski szlak. Jedyne różnica polegała na tym, że Keith dostarczał miejscową „Gazette” - Samowi i Bóg wie ilu jeszcze właścicielom posesji przy Kelton Avenue - codziennie, a Parszywy Dave Duncan przychodził po nią raz w miesiącu. Sam widział go wielokrotnie, jak pchał przez miasto wózek na zakupy, pełen zielonych toreb na śmieci, w kierunku Centrum Odzysku Śmieci, które mieściło się między starą parowozownią a skromnym schroniskiem dla bezdomnych, gdzie Parszywy Dave i tuzin jego *compadres* przeważnie sypiali.

Siedział jeszcze chwilę, bębnił palcami po kuchennym stole, a potem wstał, narzucił wiatrówkę i poszedł do samochodu.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

### **Angle Street (1)**

#### **1**

Intencje sztyldziarza były niewątpliwie jak najlepsze, ale ortografia kiepska. Tabliczka przybita do jednego ze słupków podtrzymujących werandę starego domu, stojącego blisko torów kolejowych, głosiła:

ANGLE STREET

Ponieważ na Railroad Avenue\*<sup>\*</sup> Ulica Krzywa (dosł. „zakrętowa”). oko Sama nie mogło dopatrzeć się żadnych zakrętów - jak większość ulic i dróg Iowa biegła jak po sznurku - doszedł do wniosku, że sztyldziarz miał na myśli Angel Street\*\*<sup>\*\*</sup>.\*\*\* Ulica Anielska. I co z tego? Jeśli dobre

intencje nadają się tylko na bruk piekielny, to ludzie, którzy łatają tam nimi dziury, zasługują na trochę uznania.

Cała Angle Street składała się z jednego budynku, zajmowanego przez biura kolei w czasach, kiedy Junction \*\*\* City było naprawdę węzłem kolejowym. \*\*\* Junction - stacja węzłowa. Teraz zostały tylko dwie nitki torów biegnące w kierunku wschód - zachód. Wszystkie pozostałe zarzewiały i zarosły chwastami. Większość podkładów znikła wrzucona do ognisk przez bezdomnych, którym służył przytułek przy Angle Street.

Sam zjawił się tam za kwadrans piąta. Słońce rzucało słabe żałobne światło na puste pola ścielące się od krańców miasta. Nieskończenie długi pociąg towarowy turkotał, mijając kilka budynków. Powiał wietrzyk i kiedy Sam zatrzymał wóz i wysiadł, usłyszał zgrzyt zarzewiałego znaku JUNCTION CITY kołyszącego się na opustoszałym peronie, gdzie niegdyś ludzie przesiadali się na pociągi pasażerskie do St. Louis i Chicago - nawet na stary „Ekspres do Kraju Słońca”, który przemierzając cały stan Iowa, zatrzymywał się tylko tutaj w drodze ku bajecznym królestwom Las Vegas i Los Angeles.

Przytułek dla bezdomnych był niegdyś biały. Teraz stał szary i bezbarwny. W oknach wisiały czyste, ale sprane i powyciągane firanki. Chwasty usiłowały przebić się przez wysypisko żużlu. Może dokonają tego na początku czerwca, ale teraz nie szło im dobrze. Zarzewiała beczka stała obok powyginanych schodów prowadzących na werandę. Naprzeciw tabliczki ANGLE STREET napis przybity do drugiego słupka werandy głosił:

**PICIE W PRZYTUŁKU WZBRONIONE! JEŚLI MASZ BUTELKĘ, WRZUĆ TU, ZANIM WEJDZIESZ!**

Sam miał szczęście. Choć sobotni wieczór stał już za progiem, knajpy i piwiarnie Junction City wzywały, zastał Parszywego Dave'a, i to trzeźwego. Siedział na werandzie z dwoma pijaczkami. Z zapalem malowali plakaty na wielkich prostokątach białego bristolu. Efekty ich pracy dobitnie świadczyły, iż sukces niejedno ma imię. Facet siedzący na podłodze w głębi werandy trzymał z całej siły prawy przegub lewą dłonią, walcząc z ciężkim atakiem trzęsionki. Facet w środku był w połowie pracy. Z kącika ust wystawał mu język. Gość miał swoje lata, ale przypominał bobasa, który stara się jak może, żeby za namalowane drzewko dostać złotą gwiazdkę i pokazać ją mamusi. Parszywy Dave, siedzący na podniszczonym fotelu bujanym blisko schodków, był wyraźnie w najlepszej formie, ale wszyscy trzej wyglądali, jakby ich złożono, przygwożdżono spinaczami i przejechano broną.

- Cześć, Dave - powiedział Sam, pokonując schody.

Dave podniósł głowę, zmrużył oczy i obdarzył Sama niezobowiązującym uśmiechem. Wszystkie zęby, jakie mu pozostały, tkwiły z przodu. Uśmiech odsłonił całą piątkę.

- Pan Peebles?

- Tak. Jak leci, Dave?

- Och, fajnie, mi się zdaje. Fajnie. - Spojrzał wokoło. - Odezwijcie się, ludzie!

Powiedzcie cześć panu Peebles! On jest adwokatem!

Facet z językiem na wierzchu podniósł głowę, kiwnął nią nieznacznie i wrócił do plakatu. Długi glut zwisał mu z lewego nozdrza.

- Faktycznie - powiedział Sam - to siedzę w nieruchomościach, Dave. Nieruchomościach i ubez...

- Masz dla mnie slima jima?!\* - wyskoczył nagle mężczyzna z trzęsionką. Głowy nie podniósł, ale zmarszczył twarz jeszcze mocniej, co mogło wskazywać na wzmożoną koncentrację. Sam z miejsca, gdzie stał, widział jego plakat; był pokryty długimi pomarańczowymi zawijasami, które, z grubsza biorąc, przypominały słowa. \* Zakąska. Paski wołowiny gotowanej, przyprawianej i suszonej, sprzedawane w pojedynczych opakowaniach.

- Przepraszam najmocniej?

- To jest Lukey - cicho poinformował Dave. - Nie ma dziś najlepszego dnia, panie Peebles.

- Masz dla mnie slima jima, masz dla mnie slima jima, masz dla mnie slima jebanego slima jima?! - wyskandował Lukey, nie podnosząc głowy.

- Mmm, przykro mi... - zaczął Sam.

- A żeż! On nie ma żadnego slima jima! - zawył Parszywy Dave. - Zamknij pysk i weź się za swój plakat, Lukey! Sarah chce, żeby były na szóstą! Przyjeżdża tu ekstra!

- Sam se załatwię jebanego slima jima - powiedział Lukey cichym zawziętym głosem.

- Jak se nie załatwię, to chyba będę wsuwał szcurze gówna.

- Niech się pan nim nie przejmuj, panie Peebles - powiedział Dave. - Co jest grane?

- No cóż, zastanawiałem się tylko, czy może nie trafiłeś na dwie książki, kiedy brałeś gazety w ostatni czwartek. Posiałem je i teraz się za nimi rozglądam. Pożyczone w bibliotece.

- Masz ćwierć dolca? - nagle spytał mężczyzna z językiem na wierzchu. - Jakie hasło?

Thunderbird!

Sam automatycznie sięgnął do kieszeni. Dave powstrzymał go niemal błagalnym gestem.

- Niech pan mu nie daje pieniędzy, panie Peebles. To Rudolph.

Jemu nie trzeba thunderbirda. On i bird już do siebie nie pasują. On się musi porządnie wyspać.

- Przykro mi - powiedział Sam. - Jestem splukany, Rudolph.

- Taaa... ty i cała reszta świata - powiedział Rudolph. Kiedy wracał do malowania, wymruczał do siebie: - Jaka cena? Dwóch połówek nima.

- Nie widziałem żadnych książek - powiedział Parszywy Dave. - Przykro mi. Wziąłem tylko gazety, jak zwykle. Panienka V. była tam i może poświadczyć. Nic nie narozrabiałem.

Ale jego zażawione, nieszczęśliwe oczy mówiły, że nie oczekuje, by Sam w to uwierzył. W przeciwieństwie do Mary, Parszywy Dave nie żył w świecie, w którym los czyhał na niego za rogiem; los już go pogrążył. Żył więc z tą odrobiną godności, na jaką jeszcze było go stać.

- Wierzę ci. - Sam poklepał Dave'a po ramieniu.

- Po prostu wepchnąłem pańskie papiery do jakiejś torby, jak zawsze.

- Jakbym miał tysiąc slimów jimów, zjadłbym wszystkie - nagle oznajmił Lukey. - Wtrząchnąłbym dziady naraz! Co za szamanko! Co za szamanko! Szamanko-i-rąbanko!

- Wierzę ci - powtórzył Sam i poklepał straszliwie wychudłe ramię Dave'a. Niech go Bóg ma w opiece, jeśli Dave ma pchły. Dysząc w kark tej niecharytatywnej myśli, nadbiegła następna: „czy któryś z rotarian, tych zdrowych byków, wśród których odniósł tak oszałamiający sukces tydzień temu, pojawił się ostatnio w tym zakątku miasta? Czy w ogóle znana im jest Angle Street? Czy Spencer Michael Free myślał o takich ludziach jak Lukey, Rudolph i Parszywy Dave, kiedy pisał, że to, co się między ludźmi dzieje, serdeczność, w tym jest sens?”. Sam poczuł nagły wstyd na wspomnienie swojej mowy, jakże pełnej niewinnej buńczuczności i pochwał pod adresem zwykłych przyjemności małomiasteczkowego życia.

- Dobra - powiedział Dave. - Więc mogę przyjść znowu za miesiąc?

- Jasne. Zawiozłeś makulaturę do Centrum Odzysku Śmieci?

- Uhm. - Parszywy Dave wskazał kierunek palcem zakończonym żółtym nierównym paznokciem. - Właśnie tam. Ale dziś nieczynne.

Sam kiwnął głową.

- Co robisz?

- Eee tam, czas zabijam - powiedział Dave i obrócił plakat, tak że Sam mógł go obejrzeć.

Na plakacie uśmiechnięta kobieta trzymała dużą drewnianą tacę z pieczonymi kurczakami. Sama od razu uderzyło, że obrazek jest dobry - naprawdę dobry. Chociaż pijaczek, Parszywy Dave, miał wrodzony talent. Nad malunkiem drukowane porządne litery:

**KOLACJA Z KURCZAKAMI W PIERWSZYM KOŚCIELE METODYSTÓW  
ZBIÓRKA NA PRZYTUŁEK DLA BEZDOMNYCH „ANGLE STREET”. NIEDZIELA 15  
KWIETNIA 18.00 DO 20.00 PRZYJDŹCIE JAK JEDEN MĄŻ**

- To spotkanie AA - powiedział Dave - ale na plakacie nie może być nic o AA. Bo to jakby sekret.

- Wiem - powiedział Sam. Po chwili zapytał: - Chodzisz do AA? Nie musisz odpowiadać, jak nie chcesz. Wiem, że to nie mój interes.

- Chodzę, ale to trudne, panie Peebles. Dostałem więcej pigułek niż Carter lekarstw na wątrobę. Potrafię się trzymać przez miesiąc, czasem dwa, a raz to byłem trzeźwy prawie rok. Ale to trudne. - Potrząsnął głową. - Mówią, że niektórzy ludzie nie dają sobie rady z Programem. Ja pewnie jestem taki. Ale się staram.

Sam ciągle wracał wzrokiem do kobiety na plakacie. Malunek był zbyt dokładny jak na komiks albo szkic, ale nie był to jeszcze obraz. Parszywy Dave wyraźnie robił go w pośpiechu, ale uchwycił łagodny wyraz oczu i lekkie rozbawienie igrające na ustach kobiety jak pożegnalny promień zachodzącego słońca. Co najdziwniejsze, ta kobieta wyglądała znajomo.

- To czyjś portret? - spytał. Uśmiech Dave'a poszerzył się.

- To Sarah. Wspaniała dziewczucha, panie Peebles. Ten dom zostałby zamknięty pięć lat temu, gdyby nie ona. Ona znajduje ludzi z forszą, kiedy jesteśmy do tyłu z podatkami albo dom tak się nam sypie, że inspektorat budowlany chce zamknąć budę. Ona nazywa ludzi, którzy dają pieniądze, aniołami, ale to ona jest anioł. Nazwaliśmy to miejsce na cześć Sarah. Oczywiście Tommy St. John pomylił się przy pisaniu, ale chciał dobrze. - Zamilkł. Patrzył na afisz. Nie podnosząc głowy, dodał: - Tommy, oczywista, już nie żyje. Zmarło mu się w zimie. Wątroba mu trzaśła.

- Och - powiedział Sam i dodał nieporadnie: - Współczuję.

- Nie ma co. On ma już to za sobą.

- Szamanko-i-rąbanko! - wykrzyknął Lukey, podnosząc się na nogi. - Szamanko-i-rąbanko! Czy to nie jebane szamanko-i-rąbanko?!

Obrócił plakat do Dave'a. Poniżej pomarańczowych zawijasów stała baba potwór. Nogi kończyły się jej rekinimi płetwami. Zapewne miały to być buty. Jedną dłonią balansowała niezbyt udanie namalowanym talerzem, na którym piętrzyły się niebieskie węże. W drugiej łapie ścisnęła cylindryczny brązowy przedmiot.

Dave wziął afisz od Lukeya i zlustrował dzieło z uwagą.

- Lukey, to jest dobre.

Lukey rozdziawił gębę. Był w siódmym niebie. Wskazał na brązowy przedmiot.

- Patrz, Dave! Wzięła se slima jebanego slima jima.

- Pewnie, że sobie wzięła. Fajnie. Idź do domu i jak chcesz, zapal telewizor. Zaraz będzie *Star Trek*. Jak ci idzie, Dolph?

- Przy pełnym brzuchu szłoby lepiej - powiedział Rudolph i wręczył swój afisz Dave'owi. Była na nim gigantyczna noga kurczęcia i ledwie zaznaczeni kreską mężczyźni i kobiety. Zadzierali głowy, wpatrując się w nogę.

- To podejście w stylu fantasy - wyjaśnił Rudolph Samowi. Jąkał się trochę.

- Podoba mi się.

- Dobrze. - Rudolph spojrział na niego dociekliwie. - Pewien jesteś, że nie masz ćwierć dolca?

- Nie.

Rudolph pokiwał głową.

- Z jednej strony to dobrze. Ale z drugiej syf.

Podążył śladem Lukeya i wkrótce melodia ze *Star Treka* zabrzęczała przez uchylone drzwi. William Shatner opowiadał pijaczkom i wrakom z *Angle Street*, że jego misją jest śmiało dążyć tam, gdzie żaden człowiek stopy swej nie postawił. Zdaniem Sama kilkoro spomiędzy widzów Shatnera już zwiedziło te okolice.

- Nikt na te kolacje nie przychodzi. Tylko my i niektórzy miastowi z AA - powiedział Dave. - Ale mamy jakieś zajęcia. Lukey mało co by się odzywał, gdyby nie malowanie.

- Jesteś znakomity - powiedział Sam. - Naprawdę, Dave. Dlaczego nie...

- Co „dlaczego nie”, panie Peebles? - spytał łagodnie Dave. - Dlaczego nie zegnę karku i nie schylę się po dolca? Z tego samego powodu, dla którego nie dostanę stałej pracy. Za daleko już zaszedłem swoją dróżką, żeby z niej zawrócić. Sam nie wiedział, co powiedzieć.

- Miałem do tego smykałkę. A wie pan, że chodziłem do Lorillard School w Des Moines? I miałem pełne stypendium? Najlepsza szkoła plastyczna na całym Środkowym Zachodzie. Zawaliłem pierwszy semestr. Wóda. Nieważne. Wejdzie pan na filiżankę kawy, panie Peebles? Zaczeka pan? Może poznałby się pan z Sarah?

- Nie, lepiej pojedę. Mam sprawę do załatwienia. Niewątpliwie.

- W porządku. Na pewno nie wkurzyłem pana?

- Ani trochę. Dave wstał.

- No to chyba wejdę na chwilę do środka. Dzień jest piękny, ale chłód zaczyna już podszczypywać. Życzę miłego wieczoru, panie Peebles.

- Dzięki - powiedział Sam, choć wątpił, czy ten właśnie sobotni wieczór będzie miły. Ale jego matka miała jeszcze inne powiedzenie: gorzkie lekarstwo najlepiej połknąć jednym haustem. I to zamierzał zrobić.

Zszedł po schodach przytułku, a Parszywy Dave udał się do środka.

## 2

Sam wrócił do samochodu. Potem cofnął się, skręcił i poszedł w kierunku Centrum Odzysku Śmieci. Wolno mijał zachwaszczone wysypiska żużlu. Obserwował długi skład towarowy znikający na torach do Camden i Omaha. Czerwone latarnie na ostatnim wagonie mrugały jak gasnące gwiazdy. Pociągi towarowe z niewiadomego powodu zawsze budziły w nim uczucie samotności i teraz, powtarzając w myślach swoją rozmowę z Parszywym Dave'em, czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu. Przy tych niewielu okazjach, kiedy się na niego natykał, Dave robił na nim wrażenie wesołka. Ba, klauna! Dziś Sam zajrzał pod tę maskę i to, co zobaczył, napełniło go smutkiem i poczuciem bezradności. Dave był człowiekiem straconym, cichym, ale beznadziejnie straconym. Marnował swój najczystszej wody talent na malowanie kościelnych plakatów.

Do Centrum Odzysku Śmieci dochodziło się przez kolejne strefy śmieci - najpierw pozółkłe wkładki reklamowe, które wyfrunęły ze starych egzemplarzy „Gazette”, potem porwane plastikowe torby na śmieci, wreszcie asteroidalny pierścień rozbitych butelek i pogniecionych puszek. Rolety w małym oszalonego budynku były zaciągnięte. Na drzwiach wisiał krótki i treściwy napis: ZAMKNIĘTE.

Sam zapalił papierosa i postanowił wrócić do samochodu. Zrobił kilka zaledwie kroków, kiedy na ziemi dojrzał coś znajomego. Podniósł to. Obwoluta *Najukochańszych wierszy Amerykanów* z pieczętką WŁASNOŚĆ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ JUNCTION CITY.

Rozwiały się wszelkie wątpliwości. Cisnął książki na stos gazet, do pudła po Johnniem Walkerze i zapomniał o nich. Książki zostały zasłonięte przez kolejne - wtorkowy, środowy i czwartkowy - egzemplarze „Gazette”. Parszywy Dave zjawił się późnym czwartkowym przedpołudniem i wrzucił cały ten kram do swojej plastikowej torby. Torba została wepchnięta do wózka na zakupy, a wózek na zakupy zjawił się tu - i oto co zostało z jego ładunku: obwoluta z odciskiem zabłoconego trampka.

Sam pozwolił, aby wiatr wyrwał mu obwolutę z palców, i powoli zawrócił do samochodu. Czekąca go sprawa do załatwienia i wszystko wskazywało na to, że będzie ją musiał załatwić w porze kolacji.

A więc w wieczornym menu miał dziś jedno danie. Żabę.



## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

### **Biblioteka (II)**

#### **1**

W połowie drogi do biblioteki naszła go myśl tak oczywista, że wydało się prawie niewiarygodne, iż wpadł na to dopiero teraz. Zgubił dwie biblioteczne książki. Wiadomo, że zostały zniszczone. Będzie musiał za nie zapłacić.

Ot i wszystko.

Nie uświadomił sobie dotąd, jak dalece Ardelia Lortz wtłoczyła go w szablony myślenia czwartoklasisty. Kiedy dziecko gubi książkę, to dla niego koniec świata. Bezsilnie kuli się w cieniu biurokracji i wypatruje Policjanta Bibliotecznego. Ale takowy funkcjonariusz nie istnieje, o czym Sam, osoba dorosła, świetnie wiedział. Istnieją tylko urzędnicy miejscy - jak panna Lortz - mający przesadnie wysokie wyobrażenie co do swego miejsca w świecie, i podatnicy - jak on - zapominający, że to pies macha ogonem, a nie na odwrót.

„Pójdę, przeproszę i każę przysłać rachunek za egzemplarze zastępcze. Oto wszystko. Koniec pieśni”.

Było to tak proste, że aż zadziwiające.

Nadal nieco zdenerwowany i nieco zażenowany (ale wreszcie widząc, że miotająca nim do tej pory burza tak po prawdzie była burzą w szklance wody) Sam zaparkował naprzeciwko biblioteki. Powozowe lampy umieszczone po obu stronach głównego wejścia rzucały łagodny blask na schody i granitową fasadę. Wieczór użyczył gmachowi miłego wyglądu, którego nie dostawało mu za pierwszą wizytą Sama - a może chodziło tylko o to, że wiosna była w rozkwicie, czego nie dało się powiedzieć o tamtym zachmurzonym marcowym dniu, kiedy spotkał po raz pierwszy stałego lokatora biblioteki, smoka. Zakazana twarz kamiennego robota znikła. Oto zwykła, publiczna biblioteka.

Sam już gramolił się z wozu, gdy nagle zastygł. Dostał przed chwilą jednego olśnienia, a teraz spłynęło nań następne. Przypomniała mu się twarz kobiety z plakatu Parszywego Dave'a, twarz kobiety niosącej drewnianą tacę z pieczonymi kurczakami. Kobiety, którą Dave nazywał Sarah. Wyglądała znajomo i nagle jakiś zamarty obwód w mózgu Sama ożył.

To była Naomi Higgins.

#### **2**

Minął na schodach dwoje dzieci w kurtkach z napisami: LICEUM JUNCTION CITY, i złapał drzwi, zanim się zatrzasnęły. Wszedł do westybulu. Najpierw uderzył go gwar. Sala

za marmurowymi schodami nie była bynajmniej hałaśliwa, ale nie była też czeluścią aksamitnej ciszy, która przywitała go w piątkowe południe, zaledwie tydzień temu.

„No cóż, jest sobota wieczór. Dzieciaki siedzą, może wkuwają do egzaminów w połowie semestru”.

Ale czy Ardelia Lortz zniosłaby taką paplaninę, nawet przytłumioną? Sądząc z odgłosów, musiała znosić. Na pewno to do niej nie pasowało. Druga sprawa wiązała się z krótkim zakłębieniem, tabliczką na sztaludze.

CISZA! znikła. Zastąpił ją portret Thomasa Jeffersona. Poniżej mieścił się cytat:

NIE MOGĘ ŻYĆ BEZ KSIĄŻEK THOMAS JEFFERSON (LIST DO JOHNA ADAMSA, 10 CZERWCA 1815)

Sam poświęcił temu nieco czasu. Uznał, iż napis zmienia całe nastawienie, z jakim wkracza się do biblioteki.

CISZA! wzbudzało drzenie i niepokój (a co, jeśli komuś na przykład burczało w brzuchu albo czuł wzdęcie, które wcale nie miało ochoty być cicho?)

NIE MOGĘ ŻYĆ BEZ KSIĄŻEK przeciwnie, kazało myśleć o bliskich przyjemnościach - budziło taki apetyt, jakiego doznaje się, wiedząc, że jedzenie niebawem wjedzie na stół.

Zdumiewające, jak takie drobiazgi wpływają na różnicę w nastroju! Sam wszedł do czytelni głównej biblioteki... i stanął jak wryty.

### 3

Było tu dużo jaśniej niż za jego pierwszym przyjściem, ale to nie wszystko. Drabinki sięgające słabo oświetlonych górnych półek znikły. Były niepotrzebne, ponieważ sufit zwiślał teraz tylko osiem, dziewięć stóp nad podłogą, a nie, jak poprzednio, czterdzieści. Obecnie, chcąc sięgnąć po książkę z wyższej półki, wystarczyło skorzystać z któregoś z luźno stojących taboretów. Czasopisma rozłożono zachęcającym wachlarzem na szerokim stole obok stanowiska bibliotekarskiego. Dębowy wieszak z czasopismami, zwisającymi jak skóry zabitych zwierząt, znikł. Podobnie tabliczka:

ODKŁADAĆ WSZYSTKIE CZASOPISMA NA MIEJSCE!

Półka z nowościami stała na dawnym miejscu, ale tabliczka o siedmiodniowym terminie wypożyczenia została zamieniona na napis: BIERZ BESTSELLER - I CZYTAJ!

Ludzie - przeważnie młodzi ludzie - wchodzili i wychodzili, rozmawiając przyciszonymi głosami. Ktoś odkasznął. Był to swobodny, nieskrępowany głos.

Sam wlepił oczy w sufit, rozpaczliwie usiłując się połapać, co jest, do diabła, grane! Ukośne świetliki zniknęły. Górne partie pomieszczenia zasłaniał nowoczesny podwieszany sufit. Jarzeniówki zastąpiły staromodne klosze.

Kobieta maszerująca do stanowiska bibliotekarskiego ze stosem kryminałów poszła za spojrzeniem Sama, nie zauważyła nic nadzwyczajnego, skierowała więc zaciekawiony wzrok na niego. Jeden z chłopaków siedzących przy długim stole, obok stołu z czasopismami, patrząc na Sama, trącił kumpla znacząco. Tamten puknął się w czoło i parsknął śmiechem.

A Sam nie zauważał ani spojrzeń, ani śmiechów. Nie zdawał sobie sprawy, że stoi w drzwiach i z rozdziawionymi ustami gapi się w sufit.

Usiłował objąć rozumem te głębokie przeobrażenia.

„A więc od czasu, kiedy tu ostatnio byłeś, zamontowali podwieszany sufit. No i co? Jest prawdopodobnie bardziej energooszczędny.

Tak, ale ta Lortz nie mówiła nic o zmianach.

Fakt, ale dlaczego by miała mu coś mówić? Trudno nazwać go stałym bywalcem, zgadza się?

Ale byłaby wyprowadzona z równowagi. To tradycjonalistka do szpiku kości. To by się jej nie spodobało. Wcale a wcale.

To prawda, ale w grę wchodziło coś jeszcze bardziej niepokojącego. Założenie podwieszanego sufitu wymaga poważnych prac. Jak można machnąć coś takiego w tydzień? A wysokie półki i wszystkie książki, które na nich stały? Gdzie podziały się półki? Gdzie podziały się książki?!”.

Inni także zaczęli spoglądać teraz na Sama, nawet jeden z pracowników przypatrywał mu się zza biurka. Prowadzone ożywionym szeptem rozmowy ustały.

Sam przetarł oczy - dosłownie przetarł - i znów spojrzął na podwieszany sufit z wmontowanymi kwadratami jarzeniówek. Nadal wisiał w tym samym miejscu.

Trafiłem do złej biblioteki! - pomyślał dziko. To dlatego!

Zdezorientowany umysł Sama najpierw uchwycił się tej myśli, a potem cofnął, jak kotek, który nabrał się na pogoń za cieniem. Junction City, z blisko trzydziestoma pięcioma tysiącami mieszkańców, było wcale pokaźnym miasteczkiem wedle standardów środkowego Iowa, ale to śmieszne wyobrazić sobie, że mogło utrzymać dwie biblioteki. Poza tym lokalizacja gmachu i konfiguracja pomieszczenia zgadzały się... Tylko wszystko inne było nie w porządku.

Sam popadł na krótko w zamyślenie. Rozważał, czy traci zmysły. Doszedł jednak do wniosku, że nie, rozejrzał się i dopiero teraz spostrzegł, że wszyscy przerwali swe zajęcia.

Stał się obiektem ogólnej uwagi. Poczul na moment zwariowaną chęć, aby powiedzieć: „Nie przeszkadzajcie sobie - rzuciło mi się tylko w oczy, że cała biblioteka jest w tym tygodniu inna”. Ale zamiast tego podszedł spacerowym krokiem do stołu z czasopismami i sięgnął po „US News & World Report”. Zaczął go kartkować z wielkim zainteresowaniem.

Kątem oka obserwował obecnych, którzy z wolna wracali do przerwanych zajęć.

Kiedy się upewnił, że przestał wzbudzać niepożądaną uwagę, odłożył czasopismo i wciąż spacerowym krokiem udał się do biblioteki dziecięcej. Czuł się trochę jak szpieg wkraczający na terytorium wroga. Tabliczka nad drzwiami pozostała bez zmian: złote literki na ciemnym dębie. Ale plakat był inny. Czerwony Kapturek, przedstawiony w chwili straszliwego olśnienia, został zastąpiony przez siostrzeńców Kaczora Donalda: Hueya, Deweya i Louiego. Mieli na sobie spodenki kąpielowe i skakali do basenu pełnego książek. Napis pod spodem zachęcał:

**WEJDŹCIE! KSIĄŻKI SĄ FAJOWE!**

- Co się tu dzieje? - zamruczał Sam. Serce zaczęło mu bić zbyt szybko. Obfity pot zlał plecy i ramiona. Gdyby nie plakat, podejrzewałby, że ta Lortz dostała kopa w tyłek... ale nie chodziło o plakat. Chodziło o wszystko!

Otworzył drzwi biblioteki dziecięcej i zerknął do środka. Ujrzał ten sam miły światek z niskimi stoliczkami i krzeselkami, te same jasnoniebieskie zasłony w oknach, ten sam kran w ścianie. Jedynie podwieszany sufit był teraz taki sam jak podwieszany sufit w czytelnicy głównej, a wszystkie plakaty zostały zmienione. Rozpaczliwie krzyżące dziecko w czarnej limuzynie („Szurnięty Szymuś, nazywają go Szurnięty Szymuś, czują do niego pogardę, to bardzo zdrowa postawa”) zniknęło, podobnie Policjant Biblioteczny w trenzu i z dziwną wieloramienną gwiazdą. Sam cofnął głowę, obrócił się i wolno podszedł do pracowników biblioteki. Miał wrażenie, że całe ciało zamieniło mu się w szkło.

Dwójka pracowników - chłopak i dziewczyna, oboje około dwudziestki - obserwowali, jak się zbliża. Sam nie był aż tak wytrącony z równowagi, żeby nie dostrzec, iż są lekko zdenerwowani.

„Bądź ostrożny. Nie... bądź NORMALNY. Już teraz myślą, że niewiele ci brakuje do pełnego świra”.

Nagle Sam pomyślał o Lukeyu i targnął nim straszliwy, niszczycielski impuls: zobaczył, jak otwiera usta i wrzeszczy ile sił w płucach do tej pary zdenerwowanych młodych ludzi, żeby dali mu kilka slimów jebanych jimów slimów, bo to jest szamanko, to jest szamanko, to jest szamanko-i-rąbanko!!!

Ale zamiast się rozedrzyć, przemówił spokojnym, cichym głosem:

- Czy moglibyście mi pomóc? Chciałbym porozmawiać z szefostwem.

- Rany, przykro mi - powiedziała dziewczyna. - Pan Price nie pracuje w soboty wieczór.

Sam zerknął na blat stołu. Tak jak i podczas poprzedniej wyprawy mała wizytówka stała obok czytnika mikrofilmowego, ale nie widniało już na niej:

A. LORTZ

Teraz widniało:

R. PRICE

W uszach zabrzmiał mu głos Naomi: „Wysoki? Pod pięćdziesiątkę?”.

- Nie - powiedział. - Nie chodzi mi o pana Price'a. Ani o pana Peckhama. Mam na myśli kogoś innego. Ardelię Lortz.

Chłopak i dziewczyna wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Tu nie pracuje żadna Ardelia Lord - powiedział chłopak. - Chodzi panu zapewne o jakąś inną bibliotekę.

- Nie Lord - poprawił go Sam. Słyszał swój głos z wielkiego oddalenia. - Lortz.

- Nie - powiedziała dziewczyna. - Naprawdę musiał się pan pomylić, sir.

W ich spojrzeniach znów pojawiła się ostrożność i choć Sam miał wielką ochotę zaprzeć się i powiedzieć im, że Ardelia Lortz na pewno tu pracuje, spotkał się z nią zaledwie osiem dni temu - zagryzł zęby i zrezygnował. A w pewien sposób wszystko to miało jakąś swoją logikę, prawda? Pasowało do siebie w ramach kompletnego wariactwa, a jakże, rzeczony ramy były idealnie dopasowane. Jak plakaty, świetliki i wieszak na czasopisma Ardelia Lortz najzwyczajniej w świecie przestała istnieć.

Znów usłyszał Naomi: „Och? Panna Lortz, prawda? To musiała być przednia zabawa”.

- Naomi wiedziała, o kogo chodzi - zamruczał.

Teraz oboje spoglądali na niego z identycznym wyrazem konsternacji.

- Przepraszam najmocniej. - Sam spróbował się uśmiechnąć. Był to krzywy uśmiech. - Mam dziś zły dzień.

- Tak - powiedział chłopak.

- Bywa - powiedziała dziewczyna.

Myślą, że zwariowałem, skonstratował Sam, i wcale nie mam do nich pretensji.

- Czy jeszcze coś? - spytał chłopak.

Sam otworzył usta, żeby zaprzeczyć, a potem szybko podać tyły - ale zmienił zdanie. Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

- Jak długo pan Price jest kierownikiem biblioteki?

Znów wymienili spojrzenia. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Był nim już, jak zaczęliśmy tu pracować, ale to nie tak dawno, panie...?

- Peebles - powiedział Sam i wyciągnął prawicę. - Sam Peebles. Proszę mi wybaczyć.

Maniery zawodzą mnie, podobnie jak głowa.

Oboje rozluźnili się trochę. Zmiana była nieuchwytna, ale wyczuwalna, tak że i Sam poczuł się różnie. Zdenerwowany czy nie dalej potrafił sprawić, aby ludzie czuli się swobodnie w jego obecności. To niebłaha umiejętność i pozbawiony jej sprzedawca-nierucho-mości-i-ubezpieczeń powinien rozglądać się za nowym zajęciem.

- Jestem Cynthia Berrigan - powiedziała dziewczyna i ostrożnie podała mu rękę. - To Tom Stanford.

- Miło mi pana poznać - powiedział Tom Stanford. Powiedział to bez specjalnego przekonania, ale również potrząsnął ręką Sama.

- Przepraszam najmocniej - powiedziała kobieta z naręczem kryminałów. - Czy ktoś mógłby mi pomóc? Spóźnię się na brydża.

- Ja się panią zajmę - powiedział Tom do Cynthii i odszedł, żeby wypisać książki.

- Chodzimy z Tomem do college'u, panie Peebles - powiedziała Cynthia. - Pracujemy w niepełnym wymiarze. Jestem tu trzy semestry - pan Price zaangażował mnie zeszłej wiosny. Tom przyszedł w lecie.

- Pan Price jest jedynym pełnoetatowym pracownikiem?

- Uhm. - Miała śliczne piwne oczy. Pojawiło się w nich zatroskanie. - Czy coś się stało?

- Nie wiem. - Sam znów popatrzył w górę. Nie potrafił się powstrzymać. - Czy ten podwieszany sufit był tu, jak zaczęłaś pracować?

Powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem.

- No cóż, nie wiedziałam, że się to tak nazywa, ale zgadza się, wisi tak od czasu, kiedy *tu* przyszedłam.

- Myślałem, że tam są świetliki, wiesz. Cynthia uśmiechnęła się.

- No pewnie. Znaczy, może je pan zobaczyć z zewnątrz, z boku. I oczywiście z regałów, tylko że są zasłonięte deskami. Znaczy świetliki - nie regały. Zdaje mi się, że tak jest od lat.

Od lat!

- I nigdy nie słyszałaś o Ardelii Lortz? Potrząsnęła głową.

- Mhm. Przykro mi.

- A o policji bibliotecznej? - spytał impulsywnie. Roześmiała się.

- Tylko od mojej starej cioci. Opowiadała mi, że policja biblioteczna dobierze się do mnie, jeśli nie zwrócę książek w terminie. Ale to było jeszcze w Providence, Rhode Island, kiedy byłam mała. Dawno temu.

Jasne, pomyślał Sam. Może dziesięć, dwanaście lat temu. Wtedy, kiedy dinozaury chodziły po ziemi.

- No cóż - powiedział - dzięki za informacje. Nie chciałem cię nastraszyć.

- Nie nastraszył pan.

- Trochę tak. Po prostu byłem przez moment zdezorientowany.

- Kim jest ta Ardelia Lortz? - spytał Tom Stanford, wracając na swoje miejsce. - To nazwisko brzmi mi znajomo, ale niech mnie skręci, jeśli wiem, o kim mowa.

- W tym rzecz. Naprawdę tego nie wiem - powiedział Sam.

- No cóż, jutro jest zamknięte, ale pan Price będzie cały poniedziałek. Może on mógłby panu pomóc.

Sam kiwnął głową.

- Chyba wpadnę się z nim zobaczyć. W każdym razie jeszcze raz dzięki.

- Jesteśmy tu, żeby służyć wyjaśnieniami - powiedział Tom.

- Chciałbym tylko, żebyśmy byli w stanie bardziej panu pomóc, panie Peebles.

- Ja też - powiedział Sam.

#### 4

Trzymał się dobrze. Dopiero kiedy dotarł do samochodu i wsadził kluczyk do zamka, wszystkie mięśnie brzucha i nóg sflaczały mu jak topielcowi. Musiał oprzeć się o dach, żeby nie upaść. Nie wsiadł; po prostu padł za kierownicę. Dyszał i zastanawiał się z uzasadnionym lękiem, czy zaraz nie zemdleje.

„Co się tu dzieje? Czuję się jak postać ze starego programu Roda Serlinga”\*. „Poddany badaniom państwa niejaki Samuel Peebles, były mieszkaniec Junction City, obecnie sprzedawca nieruchomości i całych życiorysów w... Krainie Gdzie Wszystko Zdarzyć Się Może”\*. \* Znakomity showman lat sześćdziesiątych zajmujący się niezwykłymi fenomenami natury.

Tak, tak to właśnie wyglądało. Zabawne jest obserwować ludzi w TV, kiedy pocą się nad rozwikłaniem niewytłumaczalnych zjawisk.

Ale tylko wtedy jest to zabawne. Sam odkrywał, że niewytłumaczalne traci wiele ze swego uroku, kiedy to ty się z nim zmagasz.

Patrzył na bibliotekę, przy której kręcili się ludzie osnuci łagodną poświatą powozowych latarni. Starsza pani z kryminałami oddalała się, prawdopodobnie podążając na

partyjkę brydzyka. Para dziewcząt schodziła po schodach. Paplały i śmiały się, tuląc książki do pączkujących piersi. Wszystko wyglądało tak absolutnie normalnie... i oczywiście było absolutnie normalne. To biblioteka, do której wszedł tydzień temu, była nienormalna. Rzeczy dziwne nie zrobiły na nim wtedy mocniejszego wrażenia, ponieważ głowę miał zaprzątniętą tą cholerną mową.

„Nie myśl o tym, nakazał sobie, choć obawiał się, iż przeżywa jeden z tych momentów, kiedy umysł najzwyczajniej wypina się na nakazy. Bądź Scarlett O’Hara, pomyśl o tym jutro. Kiedy słońce stanie wysoko, wszystko nabierze sensu”.

Ruszył z miejsca i myślał o tym przez całą drogę do domu.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

### **Nocne koszmary**

#### **1**

Wróciwszy do domu, natychmiast sprawdził automatyczną sekretarkę. Puls skoczył mu kilka kresk w górę, kiedy zobaczył światełko przy klawiszu: ODTWARZANIE ROZMOWY.

„To ona. Nie wiem, kim jest naprawdę, ale coś mi się zdaje, że będzie szczęśliwa dopiero wtedy, kiedy dostanę kompletnego świra”.

„To nie odsłuchuj tej wiadomości”, odezwał się rozsądek. Sam był tak zdezorientowany, że nie potrafił zdecydować, czy to sensowny pomysł, czy nie. Wydawał się sensowny, ale równocześnie trochę tchórzliwy. Rzeczywiście...

Uświadomił sobie, że stoi, poci się, obgryza paznokcie - i nagle stęknął, cichym rozpaczliwym stęknięciem.

„Z czwartej klasy na oddział dla psychów, pomyślał. No, niech mnie szlag trafi, jeśli ci się uda mnie tam ulokować, skarbuchno”.

Nacisnął klawisz.

- Czołem! - zakrakał męski, zharatany przez whisky głos. - Tu Joseph Randowski, panie Peebles. Moje sceniczne pseudo to Zadziwiający Joe. Dzwonię tylko złożyć dzięki, żeś pan wskoczył za mnie podczas tej wieczorynki w Kiwanis czy jak mu tam. Chcę panu powiedzieć, że już mam się dużo lepiej - kark tylko sobie nadwerżyłem, nie złamałem, jak na początku myśleli. Podrzucę panu pełną garść wejściówek na występy. Rozdasz pan kumplom. Trzym się pan. Jeszcze raz dzięki. Cześć.

Taśma stanęła, zapaliła się lampka WSZYSTKIE ROZMOWY ODTWORZONE. Sam prychnął, zły, że dał się ponieść nerwom - jeśli Ardelia Lortz chciała go sprowokować, żeby trząsł się jak osika przy byle okazji, dopięła celu. Nacisnął klawisz PRZEWIJANIE i coś



nowego przyszło mu do głowy. Przewijanie taśmy na automatycznej sekretarce weszło mu już w nawyk, a przecież po przewinięciu stare wiadomości znikają pod nowymi. Telefon od Zadziwiającego Joego wymazał wcześniejszy telefon od Ardelii. Przepadł jedyny dowód, że ta kobieta rzeczywiście istnieje.

Ale to przecież prawda. Jest karta biblioteczna. Stał przed tym cholernym stanowiskiem bibliotekarki i patrzył, jak podpisuje się z rozmachem, dużymi literami.

Sam wyjął portfel, przecesał go trzykrotnie i stwierdził, że karta biblioteczna też przepadła. I chyba wiedział dlaczego. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że wkładał ją do kieszonki na kartę książki w *Najukochańszych wierszach Amerykanów*.

Na wszelki wypadek.

Żeby jej nie zgubić.

Wspaniale, po prostu wspaniale.

Siadł na kanapie i podparł ręką głowę. Zaczęła go boleć.

## 2

Piętnaście minut później, kiedy podgrzewał na kuchence puszkę z zupą w nadziei, że trochę ciepłego pożywienia wpłynie kojąco na ból głowy, znów pomyślał o Naomi - Naomi, która była tak podobna do kobiety na plakacie Parszywego Dave'a. Problem, czy Naomi prowadzi podwójne życie, ukrywając się pod imieniem Sarah, stał się drugorzędny wobec czegoś dużo istotniejszego, przynajmniej w tej chwili: Naomi wiedziała, kim była Ardelia Lortz. Ale jej reakcja na to nazwisko... była trochę dziwna, czyż nie tak? Zaskoczyło ją to na kilka sekund, zaczęła żartować, a wtedy zadzwonił Burt Iversoni...

Sam usiłował odtworzyć w myśli tamtą rozmowę i z żalem sobie uświadomił, że pamięta niewiele. Naomi powiedziała, że osobliwa z Ardelii osóbką, zgadza się; tego był pewien, ale poza tym prawie niczego. Wtedy to nie wydawało się ważne. Ważne było, że krzywa jego kariery szła w górę. I to nadal było ważne, ale przy tej drugiej sprawie karłało. Prawdę mówiąc, przy tej drugiej sprawie karłało wszystko. Ciągłe powracał myślami do tego nowoczesnego, praktycznego, podwieszanego sufitu i niskich regałów. Nie sądził, że zwariował, wcale tak nie sądził, ale zaczynała w nim kiełkować myśl, że jeśli sobie tego wszystkiego nie uporządkuje, może zwariować. Czuł się tak, jakby w jego głowie rozwarła się dziura. Tak głęboka, że można by wrzucać do niej różności i nie usłyszeć żadnego odgłosu, bez względu na wielkość tych różności i bez względu na to, jak długo z nadstawionym uchem czekałoby się na plusk. Podejrzewał, że to uczucie minie - może minie - ale na razie nie mijało i było straszliwe.

Zmniejszył temperaturę pod zupą, poszedł do gabinetu i znalazł numer Naomi. Po trzech dzwonekach usłyszał zgrzytliwy, starczy głos:

- Proszę, kto mówi?

Sam od razu rozpoznał ten głos, choć nie widział jego właścicielki od prawie dwóch lat. Była to rozsypująca się matka Naomi.

- Halo, pani Higgins - powiedział. - Tu Sam Peebles. Zamilkł, czekał, aż ona powie: „Och, halo Sam”, a może: „Jak się masz?”, ale dolatywał go jedynie świadczący o rozedmie płuc, ciężki oddech pani Higgins. Sam nigdy nie zaliczał się do jej faworytów i wszystko wskazywało na to, że lata niewidzenia nie usposobiły jej przyjaźniej.

Ponieważ ona nie była skłonna uczynić zadość konwenansom, Sam zdecydował, że równie dobrze on może to zrobić.

- Jak się pani miewa, pani Higgins?

- Raz bywa lepiej, raz gorzej.

Na moment Sam znalazł się w kłopotcie. Oto jedna z tych uwag, na które brakowało stosownej odpowiedzi. „Przykro mi to słyszeć” nie pasowało, ale „To wspaniale, pani Higgins!” zabrzmiałoby jeszcze gorzej.

Wybrnął z tego, pytając o Naomi.

- Wyszła. Nie wiem, kiedy wróci.

- Czy mogłaby pani ją poprosić, żeby zadzwoniła?

- Idę spać. I niech pan mnie nie męczy, żebym zostawiła wiadomość. Reumatyzm bardzo mi doskwiera.

Sam westchnął.

- Zadzwonię jutro.

- Jutro rano idziemy do kościoła - obwieściła pani Higgins tym samym płaskim, nieprzyjaznym głosem - a po południu jest pierwszy piknik młodzieży baptystów w tym sezonie. Naomi zobowiązała się pomóc.

Sam doszedł do wniosku, że nie wydobędzie z pani Higgins już nic ponad nazwisko, stopień i numer służbowy. Chciał się pożegnać, ale zmienił zdanie.

- Pani Higgins, czy nazwisko Lortz kojarzy się pani z czymś? Ardelia Lortz?

Ciężkie rżenie ustało w pół wdechu. Na chwilę w słuchawce zapanowała głucha cisza, a potem pani Higgins syknęła cicho i zjadliwie:

- Jak długo, bezbożnicy, będziecie ciskać nam w twarz nazwisko tej kobiety? Czy myślicie, że to zabawne? Czy myślicie, że to dowcipne?

- Pani Higgins, to nieporozumienie. Chciałem się tylko dowiedzieć...

W uchu zabrzmiał mu ostry trzask. Jakby pani Higgins złamała na kolanie wyschnięty patyczek. I połączenie zostało przerwane.

### 3

Sam zjadł supkę i spędził pół godziny, starając się skupić na TV. Nic z tego. Myśli wciąż biegły swoimi drogami. Czy zaczynały swój bieg od kobiety na plakacie Parszywego Dave'a, czy od błotnistego śladu trampka na obwolucie *Najukochańszych wierszy Amerykanów*, czy od plakatu z Czerwonym Kapturkiem, kończyły zawsze na tym samym: kompletnie zmienionym suficie w czytelni głównej Biblioteki Publicznej Junction City.

W końcu poddał się i wczółgał do łóżka. Była to jedna z najgorszych sobót, jakie pamiętał, i prawdopodobnie najgorsza sobota jego życia. Marzył tylko, żeby zasnąć szybko i spać bez snów.

Ale nie chciało mu się spać.

Miał snu przyszły koszmary.

Przewodziła im myśl, że traci zmysły. Sam nigdy do tej pory nie wyobrażał sobie, jak potworna może być taka myśl. Oglądał filmy, w których różni faceci zjawiali się u psychoanalityków ze słowami: „Zdaje mi się, że tracę zmysły, doktoru”, łapiąc się przy tym dramatycznie za głowę, i Sam przywykł porównywać rozpad osobowości z lekką migreną. Kiedy długie godziny mijały, a 7 kwietnia powoli przechodził w 8 kwietnia, odkrył, że to co innego. Takiego uczucia doznajesz pewnie, gdy skrobiąc się po jajach, odkrywasz tam wielką narośl... narośl, która prawdopodobnie jest GUZEM.

Biblioteka nie mogła zmienić się tak radykalnie w tydzień. Nie mógł zobaczyć świetlików z czytelni. Ta dziewczyna, Cynthia Berrigan, powiedziała, że są zasłonięte deskami, że były zasłonięte deskami w chwili, kiedy się tam zjawiała, co najmniej rok temu. Więc przechodził coś w rodzaju nerwowego załamania. Albo miał guza mózgu. A jeśli to choroba Alzheimera? To dopiero przyjemność. Czytał gdzieś - może w „Newsweeku” - że chorzy na alzheimera dzieciennieją. Może cały ten przedziwny epizod jest sygnałem powolnej, przedwczesnej starości.

Przed oczami odsłoniła mu się niesympatyczna wielka tablica, na której widniały dwa słowa maźnięte grubymi krechami w kolorze czerwonej lukrecji. To były słowa:

TRACĘ ZMYŚLY.

Sam wiódł zwyczajny żywot pełen powszednich radości i powszednich smutków: żywot człowieka, którego omijały ciężkie próby losu. Nigdy nie uważał się za osobę na świeczniku, ale też nigdy nie miał powodu, żeby kwestionować trzeźwość własnego umysłu.

A teraz leżał w zmiętej pościeli i zastanawiał się, czy nie w ten właśnie sposób rozluźniają się związki z prawdziwym, racjonalnym światem. Czy nie w ten właśnie sposób

TRACI SIĘ ZMYSŁY.

Pomyśl, że anioł opiekuńczy przytułku dla bezdomnych w Junction City to Naomi - Naomi, używająca pseudonimu - też był stuknięty. To po prostu niemożliwe... niemożliwe, co? Nie był już nawet pewien nagłego skoku w interesach. Może wszystko mu się zwidziało.

Blisko północy jego myśli poszybowały ku Ardelii Lortz i wtedy popaprało się już tak, że bardziej nie było można. To byłoby straszne, gdyby Ardelia Lortz ukryła się w szafie. Albo nawet pod łóżkiem. Szczerzy zęby, uszczęśliwiona, niewidzialna w ciemności, przebiera palcami z długimi ostrymi paznokciami, twarz zakrywa jej rozsypana, zwariowana, jaskrawa, różnokolorowa peruka z grubych włókien. Sam wyobraził sobie, że słyszy szept, od którego kości rozpływają się w galarete.

„Zgubiłeś książki, Sam, więc Policjant Biblioteczny będzie musiał się tym zająć... zgubiłeś książki... zguuubiiiłeś...”.

Wreszcie koło wpół do pierwszej nie był już w stanie tego znieść. Siadł i macał w ciemności, szukając przełącznika nocnej lampki.

Kiedy się tym zajmował, pochwyliły go szpony nowego zwidu, tak wyrazistego, że prawie namacalnego. Nie był sam w sypialni, ale nie odwiedziła go Ardelia Lortz. O nie. Jego gościem był Policjant Biblioteczny z plakatu, który nie wisiał już w bibliotece dziecięcej. Stał w mroku: wysoki, blady mężczyzna, otulony w trencz, mężczyzna z nieświeżą cerą i białą poszarpaną blizną, biegnącą na lewym policzku, poniżej oka, nad garbkiem nosa. Blizny nie było na plakacie, ale tylko dlatego, że artysta nie chciał jej tam umieścić. Lecz była na tej twarzy. Sam wiedział, że była.

„Nie miałeś racji z tymi zaroślami, powiedział Policjant Biblioteczny, lekko sepleniąc. Tam po bokach rocną zarośla. Gęte zarośla. I zaraz cobie w nich pobuszujemy. Zaraz pobuszujemy cobie w nich razem”.

„Nie! Przestań! Tylko... PRZESTAŃ!”.

Kiedy wreszcie drżąca dłoń znalazła lampkę, klepka podłogi zaskrzypiała i Sam wydał zdławiony pisk. Zacisnął rękę na przełączniku. Światło zapłonęło. Przez chwilę myślał, że rzeczywiście widzi wysokiego mężczyznę, a potem uświadomił sobie, że to tylko cień komody na ścianie.

Opuścił stopy na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Potem sięgnął po paczkę kentów leżącą na nocnym stoliku.

- Musisz wziąć się w garść - zamruczał. - Co ci się, kurwa, zwiduje?

„Nie wiem, przyznał się po prostu głos z głębi istoty. A co więcej, nie chcę wiedzieć. Nigdy. Zarośla były dawno temu. Nigdy więcej nie chcę sobie przypominać zarośli. Ani tego smaku. Tego naj, naj, najśłodsze smaku”.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Oto co było najgorsze: „Następnym razem rzeczywiście zobaczy mężczyznę w trenczu. Albo Ardelię. Albo Gorga, Jego Cesarską Mość Pellucidaru. Jeśli potrafił stworzyć zwid tak doskonały jak wizyta w bibliotece i spotkanie z Ardelia Lortz, mogło mu się zwidzieć wszystko. Jak raz się zacznie myśleć o nieistniejących świetlikach i nieistniejących ludziach, a nawet nieistniejących zaroślach, wszystko jest możliwe. Jak można stłumić rebelię umysłu?”.

Poszedł do kuchni. Zapalał po drodze światła, powstrzymując się, żeby się nie obejrzeć przez ramię i nie sprawdzić, czy ktoś nie skrada się za plecami. Na przykład człowiek z odznaką w ręce. Przydałaby się pastylka nasenna, ale ponieważ nie miał żadnej - nawet sprzedawanych bez recepty somineksów - był skazany na improwizację. Chlusnął trochę mleka do rondelka, podgrzał, wlał do kubka i podwołtował je brandy. Widział to w kinie. Skosztował, skrzywił się, i o mało nie wylał koszarnej mieszanki do zlewu, ale spojrzał na zegarek na kuchence mikrofalowej. Za kwadrans pierwsza. Do świtu zostało dużo czasu, dużo czasu, który można spędzić, wyobrażając sobie Ardelię Lortz i Policjanta Bibliotecznego czołgających się po schodach z nożami w zębach.

„Albo ze strzałami, pomyślał. Długimi czarnymi strzałami. Ardelia i Policjant Biblioteczny czołgają się po schodach z długimi czarnymi strzałami zaciśniętymi w zębach. Co wy na ten obrazek, przyjaciele i sąsiedzi?

Strzały?

Dlaczego strzały?”.

Nie chciał o tym myśleć. Myśli go męczyły. Wyłaniały się z ciemności, której istnienia w sobie nie podejrzewał do tej pory. Śmigły z wizgiem jak straszliwe, cuchnące plastikowe dyski do rzucania po plaży.

„Nie chcę o tym myśleć. Nie będę o tym myśleć”.

Dopił mleko podwołtowane brandy i wrócił do łóżka.

#### 4

Zostawił światło przy łóżku. Poczul się dzięki temu trochę spokojniejszy. Może nawet uda mu się zasnąć, zanim świat rozleci się w wyniku efektu cieplarnianego? Podciągnął watowane przykrycie na nogi wyżej, aż pod brodę, złożył ręce pod głową i spojrzał w sufit.

„NIEKTÓRE z tych faktów musiały zdarzyć się naprawdę, pomyślał. Niemożliwe, żeby WSZYSTKO było zwidem... chyba że to też jest zwid, tylko mi się zdaje, że leżę we własnym łóżku, a faktycznie to jestem w Cedar Rapids, w pokoju wybitym materacami i mam na sobie kaftan bezpieczeństwa”.

Wygłosił mowę. Wykorzystał dowcipy z *Towarzysza mówcy* i poetyckie strofy Tomasza Spencera Free z *Najukochańszych wierszy Amerykanów*. A ponieważ nie miał żadnej z tych ksiąg w swoim szczupłym zbiorze, musiał pożyczyć je z biblioteki. Naomi znała Ardelię Lortz - w każdym razie znała jej imię i nazwisko - podobnie matka Naomi. I to jak! Zareagowała, jakby wystrzelił z korkowca pod jej bujakiem.

„Mogę sobie to posprawdzać, pomyślał. Jeśli pani Higgins zna to nazwisko, inni też je znają. Może nie dzieciaki z Chapelton pracujące na pół etatu, ale ludzie, którzy mieszkają w Junction City od dawna. Może Frank Stephens. Albo Parszywy Dave...”.

W tym momencie Sam wreszcie zaczął odpływać. Bezwiednie przekroczył niewyczuwalną granicę między jawą a snem; jego myśli nie przestawały biec, ale zaczęły przybierać coraz dziwniejsze, coraz bardziej bajeczne kształty. Przybrały postać snu. A sen stał się koszmarem. Sam znów znalazł się na Angle Street, a trzech delirycy siedzieli na werandzie, mozoląc się nad plakatami. Spytał Parszywego Dave'a, co robi.

„E tam, to tak dla zabicia czasu”, powiedział Dave, a potem z zawstydzeniem obrócił plakat, tak że Sam mógł go zobaczyć.

Na obrazku Szurnięty Szymuś. Wisi na rożnie nad płonącym ogniem. W jednej ręce ściska wielką kulę rozpływającej się czerwonej lukrecji. Ubranko płonie, ale chłopiec żyje. Krzyczy rozpaczliwie. Nad tym straszliwym obrazkiem napis:

KOLACJA DLA DZIECI W ZAROŚLACH BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ ZBIÓRKA NA FUNDUSZ POLICJI BIBLIOTECZNEJ OD PÓŁNODZY DO 2.00 PRZYJĆCIE JAK JEDEN MĄŻ „TO SZAMANKO-I-RĄBANKO!”

„Dave, to potworne”, powiedział we śnie Sam.

„Wcale nie, odparł Parszywy Dave. Dzieci nazywają go Szurnięty Szymuś. Strasznie im smakuje. Sądzę, że to bardzo zdrowe”.

„Patrz! - zawołał Rudolph. Patrz, to Sarah!”.

Sam podniósł wzrok i zobaczył Naomi. Szła poprzez zaśmiecony, zachwaszczony teren między Angle Street i Centrum Odzysku Śmieci. Szła bardzo powoli, ponieważ pchała wózek na zakupy pełen egzemplarzy *Towarzysza mówcy* i *Najukochańszych wierszy Amerykanów*. Za nią słońce słało ponury czerwony blask niby rozpalony piec hutniczy. Długi skład towarowy toczył się powoli po szynach, zmierzając w pustkę zachodniego Iowa.

Przynajmniej trzydzieści wagonów, wszystkie czarne. Krepa falowała w każdym oknie. Sam zrozumiał, że to pociąg pogrzebny.

Sam obrócił się do Parszywego Dave'a i rzekł: „Ona nie nazywa się Sarah. To jest Naomi Higgins z Proverbi”.

„Ależ skąd, rzekł na to Dave. To nadchodząca Śmierć, panie Peebles. Śmierć jest kobietą”.

Wtedy Lukey zaczął wydawać straszne dźwięki. Ogarnięty obezwładniającą grozą, kwiczał świńsko-ludzkim głosem: „Ona zagarnęła slimy jimy! Ona zagarnęła slimy jimy! O Boże mój, ona zagarnęła wszystkie slimy jimy!”.

Sam obrócił się, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Kobieta zbliżyła się. To nie była już Naomi. To była Ardelia. Miała na sobie trencz koloru zimowej burzowej chmury. Wózek nie był wypełniony slimami Jimami, jak to mówił Lukey, ale tysiącem splecionych laseczek czerwonej lukrecji. Na oczach Sama Ardelia złapała garść lukrecji i zaczęła się nią napychać. Sztuczne zęby Ardelii stały się długie i bezbarwne. Wydawały się podobne do zębów wampira, tak były ostre i potwornie mocne. Krzywiąc się, przełknęła łakocie, kłapnęła szczękami. Trysnęła z ust chmurka jasnej krwi, opalizując w świetle zachodu na różowo. Krople pociekły po podbródku Ardelii. A kawałeczki lukrecji upadły na zachwaszczoną ziemię. Krew nie przestawała z nich ciec kropelkami. Ardelia podniosła ręce. Zakrzywione szpony.

„Zguuubiłeeeś KSLAĄĄĄĄŻKI!” - zawyła i runęła na Sama.

## 5

Obudził się bez tchu, w nerwowych podrygach. Pościągał całe prześcieradło, przykrycie, i leżał w nogach łóżka, skulony, spocony. Pierwsze słabe światło nowego dnia zerkało zza firanek. Wedle zegarka przy łóżku była 5.53.

Wstał. Chłód panujący w sypialni ostudził i odświeżył spoconą skórę. Poszedł do łazienki, wysikał się. Nękał go niedający się zlokalizować ból głowy.

Wina brandy dolanej do mleka? A może to objaw stresu po sennym koszmarze? Otworzył szafkę z lekarstwami, łyknął dwie aspiryny i powlókł się z powrotem do sypialni. Naciągnął prześcieradło najlepiej jak potrafił. Każdy przesiąknięty potem kawałek pościeli przypominał o koszmarze... Nie zaśnie - to pewne - ale przynajmniej poleży, aż zmory się rozplyną. Przykładając głowę do poduszki, nagle uświadomił sobie, że wie coś jeszcze, coś równie zadziwiającego i zaskakującego jak nagłe skojarzenie kobiety z plakatu Parszywego Dave'a z własną sekretarką. Ta nowa myśl także miała związek z Parszywym Dave'em... i Ardelią Lortz.

„We śnie, pomyślał. Wtedy na to wpadłem”.

Zapadł w głęboki, normalny sen. Nie trapiły go żadne koszmary, a kiedy się zbudził, dochodziła jedenasta. Dzwony wzywały wiernych na nabożeństwa. Był piękny dzionek. Widok świeżej zielonej trawy złożonej promieniami słońca poprawił mu samopoczucie. Sprawił, że Sam poczuł się niemal jak nowo narodzony.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

### **Angle Street (II)**

#### **1**

Zrobił sobie solidny śniadanie-obiad. Sok pomarańczowy, omlet z trzech jaj suto doprawiony szczypiorem, dużo mocnej kawy. Zastanawiał się, czy nie udać się jeszcze raz na Angle Street. Ciągle miał w pamięci błysk olśnienia, jakiego doznał, obudzivszy się w nocy, i był absolutnie pewien, że intuicja go nie zawiodła - ale czy naprawdę zależy mu na grzebaniu dalej w tym wariactwie?

W jasnym świetle wiosennego przedpołudnia nocne lęki wydały się odległe i absurdalne i zapragnął mocno - był to niemal przymus - żeby po prostu dać spokój sprawie. Coś mu się przydarzyło, coś niedającego się sensownie, racjonalnie wytłumaczyć. Pytanie tylko, co dalej?

Czytał o podobnych sprawach, o duchach, przeczuciach i opętaniach, ale w gruncie rzeczy obchodziły go tyle co zeszłoroczny śnieg. Od czasu do czasu lubił obejrzeć w kinie horror, ale na tym koniec. Był człowiekiem praktycznym, a co praktycznego miałyby wnieść do jego życia nadnaturalne zdarzenia... jeśli faktycznie nastąpiły. Przeżył... cóż, nazwijmy to z braku lepszego słowa wydarzeniem. Teraz było po wydarzeniu. Czemu na tym nie poprzestać?

„Ponieważ ona domaga się zwrotu książek do jutra - co ty na to, Samie Peebles?”.

Już go to nie ruszało. Mimo wiadomości zarejestrowanej na sekretarce Sam właściwie przestał wierzyć w istnienie Ardelii Lortz.

Naprawdę interesowała go własna reakcja na zaistniałe wypadki. Przypomniał sobie wykład z biologii w college'u. Wykładowca zaczął od stwierdzenia, że ludzkie ciało w wyjątkowo skuteczny sposób rozprawia się z agresją obcych organizmów. Jednakże ponieważ ludzie bez przerwy dowiadują się o różnych okropnościach - jak rak, zapalenie płuc, choroby weneryczne, powiedzmy syfilis - zwykle sądzą, że są o wiele bardziej bezbronni, niż to jest w istocie. Ludzkie ciało - tłumaczył wykładowca - ma do swej dyspozycji oddział komandosów. Kiedy jest atakowane, panie i panowie, oddział uderza szybko i bezlitośnie. Nie bierze się



jeńców. Bez tej armii wyszkolonych zabójców każdy z was umarłby dwudziestokrotnie przed ukończeniem pierwszego roku życia.

Podstawowa taktyka, jaką ciało stosuje wobec agresora, to izolacja. Najeźdźcy są najpierw otoczeni, odcięci od źródeł pożywienia niezbędnych do przeżycia, potem albo zjedzeni, albo zabici, albo zagłodzeni. Obecnie Sam odkrywał - tak mu się przynajmniej zdawało - że w razie agresji umysł stosuje identyczną taktykę. Przypomnił sobie liczne przypadki, kiedy zdawało mu się, że ulegnie przeziębieniu, a następnego ranka budził się w doskonałym zdrowiu. Ciało odwalilo swoją robotę. Bezlitosna wojna trwała w najlepsze, kiedy spał, i najeźdźcy zostali wybici do nogi... jeśli zarazki mają nogi. Zostali albo zjedzeni, albo zabici, albo zagłodzeni.

W nocy doświadczył czegoś w rodzaju psychicznego kataru. A przed południem najeźdźca: groźba utraty zdolności do jasnego, racjonalnego myślenia, został otoczony, odcięty od źródeł pożywienia. Reszta to tylko kwestia czasu. I rozsądek ostrzegął go, że grzebiąc się w tym interesie nadal, być może karmi wroga.

„Tak to jest”, pomyślał. Dlatego świat nie jest pełen dziwnych różności i niepojętych fenomenów. Umysł styka się z nimi... obada, opuka... i kontratakuje.

Ale dręczyła go ciekawość. W tym rzecz. Mówi się wprawdzie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale czyż nie mówi się także, że kto pyta, nie błądzi?

Kto? Kto tak mówi?

Sam nie wiedział... ale miał nadzieję, że się dowie. W miejscowej bibliotece. Wkładał naczynia do zlewu, lekko uśmiechając się pod nosem. Okazało się bowiem, że podjął już decyzję: pogrzebie w tym wariactwie troszeczkę głębiej.

Tylko troszeczkę.

## 2

Przyjechał na Angle Street około wpół do pierwszej. Nie był strasznie zaskoczony widokiem niebieskiego datsuna Naomi na podjeździe. Zaparkował za nim, wysiadł i wszedł po rozchwierutanych schodach obok znaku, który napominał posiadaczy butelki, aby wrzucili ją do beczki. Zapukał, ale nikt się nie odezwał. Pchnął drzwi. Ukazał się duży hol, pusty, jeśli nie liczyć automatu telefonicznego wiszącego w głębi. Tapety były czyste, ale spłowiałe. W jednym miejscu skleiono je taśmą samoprzylepną.

- Halo?

Nikt nie odpowiedział. Wchodząc do środka, czuł się trochę jak intruz. Pierwsze drzwi na lewo prowadziły do świetlicy. Na drzwiach pineskami przypięto dwie tabliczki.

KUMPLE BILLA WITAJCIE! widniało na górnej. Na dolnej napisano coś, co z miejsca zrobiło na nim wrażenie wyjątkowo sensownego i krańcowo debilnego zarazem:

TRZEBA CZASU NA CZAS

W świetlicy stały niedopasowane, wyłowione ze śmietników fotele i długa kanapa, która również była reperowana taśmą - tym razem izolacyjną. Różne hasła wisiały na ścianie. Na małym stolyczku przy telewizorze stał ekspres do kawy. I telewizor, i ekspres były wyłączone.

Sam poszedł dalej. Minął schody. Czuł się coraz bardziej jak intruz. Zajrzał do trzech pozostałych pokoi. W każdym stały dwie zwyczajne prycze, wszystkie puste. Pokoje skrupulatnie sprzątnięto, ale nadal opowiadały o toczącym się w nich życiu. Jeden roztaczał woń płynu do nacierania. Drugi sygnalizował niemiłym zapachem jakąś ciężką chorobę. Albo ktoś niedawno tu zmarł, pomyślał Sam, albo niezadługo umrze.

Wielka słoneczna kuchnia, również pusta, mieściła się w głębi holu. Wypłowiałe linoleum tworzyło na podłodze góry i doliny. Gigantyczny piec na gaz i drewno wypełniał wnękę. Zlewozmywak był stary i głęboki. Emalię szpeciły rdzawe zacieki. Krany miały staromodne wiatraczkowe gałki. Starożytna maszyna do mycia naczyń Maytag i działająca na gaz suszarka do bielizny Kenmore stały obok pieca. Lekko pachniało smażoną wczoraj fasolą. Miło. Bieda aż piszczała, ale równocześnie czuło się tchnienie miłości, dbałości i ciężko wywalzonego szczęścia. Samowi przypominało to kuchnię babci, a był to dobry zakątek. Bezpieczny.

Na starej lodówce Amana, typu restauracyjnego, namagnetyzowana plakietka głosiła:

NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI NASZ TRZEŻWY DOM

Sam usłyszał z zewnątrz niewyraźne głosy. Minął kuchnię i wyjrzał przez otwarte okno, które wpuszczało tyle wiosennego ciepła, ile go zdołał wdmuchnąć lekki powiew.

Na podwórku Angle Street pokazały się pierwsze ślady zieleni; na tyłach posesji, przy cienkim pasie młodniaka, nagi warzywniak czekał cieplejszych dni. Po lewej siatka zwisała nad boiskiem łagodnym łukiem. Po prawej urządzono stanowiska do gry „w podkowę”. Kilka chwastów wypuściło tu kielki. Nie było to czarujące podwórko - o tej porze roku niewiele wiejskich podwórek wygląda ciekawie - ale Sam dostrzegł, że zagrabiono je co najmniej raz od czasu, kiedy śnieg wypuścił ziemię z zimnych uścisków. Nie było śladu żużlu, choć stalowe szyny ciągnęły się nie dalej niż o pięćdziesiąt jardów. Mieszkańcy Angle Street może nie mieli wielu rzeczy, o które mogliby dbać, ale dbali o to, co mieli.

Z tuzin osób siedziało w swobodnym kręgu na składanych ogrodowych krzesłach między siatką i stanowiskami do gry „w podkowę”. Sam rozpoznał Naomi, Dave’a, Lukeya i

Rudolpha. Chwilę później rozpoznał również Burta Iversona, najlepiej prosperującego adwokata Junction City, i Elmera Baskina, bankiera, który nie pokazał się w Rotary Club tego dnia, kiedy Sam wygłaszał mowę, zadzwonił jednak później z gratulacjami. Powiał wiaterek, wydymając swojskie zasłonki w kratkę wiszące w oknie. Zmierzwiał srebrne włosy Elmera. Elmer podniósł twarz ku słońcu i najzwyczajniej uśmiechnął się radośnie. Coś niezwykłego pojawiło się na jego twarzy. Nie. Nie na twarzy; w twarzy. Nagle stał się kimś zarazem większym i skromniejszym niż najbogatszy bankier miasteczka: stał się zwyczajnym człowiekiem, który wita wiosnę po długiej mroźnej zimie, oddycha pełną piersią, radując się życiem i dobrym zdrowiem.

Sam poczuł się jak w nierealnym świecie. Już to, że Naomi Higgins zadaje się z bezdomnymi pijaczkami Junction City w ich przytułku - i do tego pod przybranym nazwiskiem - było dość niesamowite. Ujrzawszy wszakże w tym samym miejscu najbardziej szanowanego bankiera i jednego z orłów palestry, człowiek mógł dostać niezłego kręčka.

Mężczyzna w podartych zielonych portkach i bluzie z nadrukiem „Bengalskie Tygrysy Cincinnati” podniósł rękę. Rudolph wskazał na niego.

- Na imię mam John i jestem alkoholikiem - powiedział mężczyzna w bengalskiej bluzie.

Sam szybko cofnął się od okna. Policzki go paliły. Teraz czuł się nie tylko jak intruz. Czuł się jak szpieg. Zwykle chyba zbierali się na swoje niedzielne spotkania w świetlicy - przynajmniej świadczył o tym ekspres - ale dzisiaj pogoda była tak ładna, że wystawili krzesła na dwór. Zakład, że to pomysł Naomi.

„Jutro rano idziemy do kościoła, powiedziała pani Higgins, a po południu jest pierwszy piknik młodzieży baptystów w tym sezonie. Naomi zobowiązała się pomóc”. Czy pani Higgins wiedziała, że jej córka spędza popołudnie z delirykami, a nie z baptystami? Chyba tak. Teraz zrozumiał, dlaczego Naomi tak nagle zdecydowała, że dwie randki z Samem Peeblesem to góra. Wtedy osądził, że grały *tu* rolę jakieś religijne względy, a Naomi nawet nie zasugerowała, że chodzi o coś innego. Po pierwszej randce, kiedy to wybrali się do kina, znów dała się zaprosić. Ale po drugiej randce wygasł w niej jakikolwiek ślad romantycznego zainteresowania. Tak to przynajmniej wyglądało. Na drugiej randce w programie była kolacja. I Sam zamówił wino.

„Na rany Chrystusa - skąd miałem wiedzieć, że jest alkoholiką? Czy jestem jasnowidzem?”.

Oczywiście, że nie mógł wiedzieć... niemniej jednak poczuł na twarzy jeszcze większy żar.

„A może to nie woda... albo nie sama woda. Może ma i inne problemy”.

Zastanowiła go i inna sprawa. Co by się stało, gdyby Burt Iversona i Elmer Baskin, dwaj niezwykle wpływowi ludzie, dowiedzieli się, że jest mu wiadome, iż należą do największego tajnego bractwa świata? Może nic; wiedział tak mało o AA, nie był niczego pewny. Ale dwie rzeczy były jasne: jedno „A” oznaczało „Anonimowi”, a ci dwaj panowie, jeśli zechcą, mogą zetrzeć jego rosnące zawodowe aspiracje na miazgę.

Sam zdecydował się wynieść równie szybko i cicho, jak się zjawił. Trzeba mu przyznać, że ta decyzja nie wyływała z lęku o własną skórę. Ludzi siedzących na podwórku Angle Street łączył poważny problem. Odkrył go przez przypadek; nie zamierzał zostać i podsłuchiwać celowo.

Wracając przez hol, zobaczył na automacie telefonicznym stosik pociętych kartek. Obok wisiał na krótkim sznurku ogryzek ołówka. Kierowany impulsem wziął skrawek papieru i skreślił krótki list.

Dave, wpadłem przed południem, żeby się z Tobą zobaczyć, ale nikogo nie było. Chcę pogadać o kobiecie, która nazywa się Ardelia Lortz. Wydaje mi się, że wiesz coś o niej, a bardzo mi zależy, żeby się czegoś dowiedzieć. Mógłbyś zadzwonić do mnie po południu albo wieczorem? Mój numer: 555-8699. Dzięki serdeczne.

Podpisał się, złożył kartkę i opatrzył ją nazwiskiem Dave’a. Przez chwilę rozważał, czy nie zanieść listu do kuchni i nie położyć na ladzie, ale nie chciał, żeby ktokolwiek - zwłaszcza Naomi - martwił się, że ktoś ich widział przy tych dziwnych, choć może pomocnych zajęciach. Położył więc liścik na telewizorze, tak by nazwisko Dave’a było widoczne. Zastanawiał się, czy nie zostawić dwudziestopięciocentówki, ale zrezygnował. Dave mógłby to opacznie zrozumieć.

Potem wyszedł, zadowolony, że znów jest na dworze i nikt go nie przyłapał. Kiedy wsiadał do samochodu, zobaczył nalepkę na zderzaku datsuna Naomi.

**ODPUŚĆ SOBIE I DOPUŚĆ BOGA**

- Lepiej Boga niż Ardelię - wymruczał Sam i tyłem wyjechał z podjazdu na drogę.

**3**

Kiedy dochodziło późne popołudnie, przerwy w nocnym wypoczynku zaczęły dawać się Samowi we znaki i ogarnęła go przemożna senność. Włączył telewizor, znalazł pokazowy mecz Cincinnati Boston, którego ósmy inning\* Część meczu baseballowego. toczył się leniwie, położył się na kanapie, żeby go obejrzyć i prawie natychmiast zaczął drzemać.

Zanim opadł w głębsze pokłady snu, zadzwonił telefon. Oszołomiony i zdezorientowany Sam dzwignął się, aby podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Niech pan nie mówi o tej kobiecie - odezwał się bez żadnego wstępu Parszywy Dave. Drżenie jego głosu świadczyło o tym, że ledwo nad sobą panuje. - Niech pan o niej nie myśli.

„Jak długo, wy, bezbożnicy, będziecie ciskać nam w twarz nazwisko tej kobiety? Czy myślicie, że to zabawne? Czy myślicie, że to dowcipne?”.

Samowi wyparowała z głowy wszelka senność.

- Dave, o co chodzi z tą kobietą? Ludzie reagują tak, jakby była diabłem wcielonym, albo nic o niej nie wiedzą. Kim ona jest? Co, do cholery, zrobiła, żeby ci tak popędzić kota?

Zapadła długa cisza. Sam przeczekał ją. Serce mocno biło mu w piersi. W gardle. Gdyby nie przerywany oddech Dave'a, pomyślałby, że połączenie zostało przerwane.

- Panie Peebles - odezwał się wreszcie tamten - przez te wszystkie lata zaznałem od pana sporo dobrego. Pan i inni pomogliście mi żyć, nawet kiedy zdawało mi się, że sam tego nie chcę. Ale nie potrafię mówić o tej suce. Nie potrafię. I gdyby pan wiedział, co jest dla pana dobre, nie rozmawiałby pan o niej z innymi.

- To brzmi jak groźba.

- Nie! - wykrzyknął Dave. Nie był zaskoczony. Był wstrząśnięty. - Nie, ja tylko pana ostrzegam, panie Peebles, tak jakbym pana ostrzegł, widząc, że łązi pan obok starej studni, której otwór zarósł chwastami. Nie mówić i nie myśleć o niej. Nie trzeba budzić zmarłych.

„Nie trzeba budzić zmarłych”.

Po części go to nie zaskoczyło; wszystko, co się wydarzyło (może w wyjątkiem wiadomości na automatycznej sekretarce), wskazywało na jedno: Ardelii Lortz nie ma już wśród żywych. On, Sam Peebles, małomiasteczkowy handlarz nieruchomości i agent ubezpieczeniowy - rozmawiał z duchem, nie wiedząc nawet o tym. Rozmawiał? Diabła tam! Załatwiał z nią interes! Dał jej dwa dolce, a ona jemu kartę biblioteczną.

Więc ściśle biorąc, nie był zaskoczony... niemniej jednak poczuł lodowaty chłód pełnący po białych szlakach kośćca. Gęsia skórka zjeżyła mu skórę na przedramionach, widział to.

„Powinieneś zostawić to w spokoju, biadał rozsądek. Nie mówiłem ci?”.

- Kiedy umarła? - zapytał Sam. Własny głos brzmiał mu w uszach głucho i bezbarwnie.

- Nie chcę o tym mówić, panie Peebles! - Dave był rozgorączkowany. Głos mu zadrżał, wskoczył na wyższy rejestr, prawie doszedł falsetu i pękł. - Proszę!

„Daj mu spokój”, napomniął sobie Sam, rozgniewany. Czy nie ma dość własnych kłopotów, żeby jeszcze martwić go tym gównem?! Tak. I mógł zostawić Dave’a w spokoju - są inni ludzie w miasteczku, z którymi będzie mógł porozmawiać na temat Ardelii Lortz... jeśli uda mu się przemówić do nich tak, żeby wpieryw nie zadzwonili po mocno umięśnionych facetów w białych ubrankach. W tym rzecz. Ale było jeszcze coś, coś, co chyba tylko Parszywy Dave mógł wiedzieć.

- Robiłeś kiedyś kilka plakatów do tej biblioteki, no nie? Wydaje mi się, że je poznałem. Są w stylu tego plakatu, który malowałaś wczoraj na werandzie. Prawdę mówiąc, jestem tego pewien. Jeden przedstawiał małego chłopca w czarnej limuzynie. I mężczyzna w trenczu - Policjant Biblioteczny. Czy ty...

Nie dokończył. Dave wydał tak dziki wrzask wstydu, żalości i rozpacz, że Samowi na chwilę odebrało mowę.

- Dave? Ja...

- Niech pan da spokój! - załkał Dave. - Nie mogłem nic na to poradzić, więc niech pan da spokój, proszę...

Jego krzyki raptownie ucichły i rozległ się grzechot; ktoś wziął od niego słuchawkę.

- Przestań - powiedziała Naomi. Sama była bliska łez, ale równocześnie rozsadyła ją wściekłość. - Czy ty nie możesz z tym przestać, okropny człowieku?

- Naomi...

- Kiedy tu jestem, nazywam się Sarah - powiedziała powoli - ale pod oboma imionami nie cierpię cię jednakowo, Samie Peebles. Nigdy więcej nie postawię nogi w twoim biurze. - Podniosła głos. - Dlaczego nie zostawisz go w spokoju?! Dlaczego musisz rozgrzebywać ten stary gnój?! Dlaczego?!

Wytrącony z równowagi, ledwo panując nad sobą, powiedział:

- Dlaczego wysłałaś mnie do biblioteki? Jeśli nie chciałaś, żebym ją spotkał, Naomi, dlaczego, u licha, wysłałaś mnie do tej cholernej biblioteki?!

Po drugiej stronie rozległo się zduszone sapnięcie.

- Naomi? Czy możemy...

Metaliczny trzask. Odłożyła słuchawkę. Połączenie zostało przerwane.

#### 4

Sam siedział w swoim gabinecie prawie do wpół do dziesiątej. Gryzł pastylkę za pastylką i wpisywał nazwisko za nazwiskiem do tego samego liniowanego bloku, w którym skreślił pierwszą wersję swojej mowy. Potem przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nazwiska. Potem je skreślał. Sześć lat w jednym miejscu to szmat czasu... przynajmniej tak

mu się wydawało do tego wieczoru. Tego wieczoru sześć lat okazało się znacznie krótsze: okres, powiedzmy, długości weekendu.

Napisał: Craig Jones.

Gapił się w to nazwisko i imię, i myślał: Craig mógłby coś wiedzieć o Ardelii... ale pytałby, czemu się nią interesuję.

Czy znał na tyle dobrze Craiga, żeby odpowiedzieć na jego pytanie zgodnie z prawdą? Zdecydowanie nie. Craig był jednym z młodszych prawników Junction City, prawdziwym typem dorobkiewicza. Łączyło ich kilka lunchów... i oczywiście Rotary Club - i Craig raz zaprosił go do domu na kolację. Kiedy wpadali na siebie na ulicy, rozmawiali serdecznie, czasem o interesach, częściej o pogodzie. Jednak nie miało to nic wspólnego z przyjaźnią, a jeśli Sam miał otwarcie z kimś pogadać o tym obłąkanym interesie, chciał, żeby to był przyjaciel, nie znajomy, który nazywał go starym kumplem po drugiej tarniówce z wodą sodową.

Wykreślił Craiga z listy.

Od przyjazdu do Junction City nawiązał dwie znajomości zasługujące na miano przyjaźni: jedną z asystentem dr. Meldona, drugą z miejskim gliną. Russ Frame, jego przyjaciel medyk na początku 1989 roku zwinął się i zaczął lepiej płatną praktykę w Grand Rapids. A Tom Wycliffe od pierwszego stycznia sprawował nadzór nad nowym Zarządem Ruchu Drogowego w patrolach stanowych Iowa. Stracił kontakt z oboma. Niełatwo nawiązywał przyjaźnie i nie najlepiej szło mu ich podtrzymywanie.

Co więc pozostawało?

Nie wiedział. Wiedział jedynie, że hasło „Ardelia Lortz” działało na niektórych ludzi w Junction City jak płachta na byka. Wiedział - tak mu się przynajmniej wydawało - że spotkał się z nią, chociaż była martwa. Trudno było nawet sobie wmawiać, że spotkał jakąś krewną, jakąś stukniętą kobietę, utrzymującą, że nazywa się Ardelia Lortz. Ponieważ...

„Myślę, że spotkałem widmo. Prawdę mówiąc, myślę, że spotkałem widmo w widmie. Myślę, że biblioteka, do której wszedłem, była biblioteką Junction City z czasów, gdy Ardelia Lortz żyła i zarządzała tym gmachem. Myślę, że dlatego czułem się tak przedziwnie i tak wysadzony z siodła. To nie przypominało podróży w czasie lub moich wyobrażeń na ten temat. To było jak wstąpienie do czyścica. I było realne. Jestem pewien, że było realne”.

Bębnił palcami w blat biurka.

„Skąd ona do mnie zadzwoniła? Czy w czyścicu mają telefony?”.

Przez długą chwilę wpatrywał się w listę z przekreślonymi nazwiskami. Oderwał powoli żółtą kartkę z notatnika. Zmiał i wrzucił do kosza.

„Powinieneś być dać temu spokój”, nie przestawała biadać jakaś cząstka jego umysłu.

Ale nie dał temu spokoju. I co teraz?

„Zadzwoń do jednego z tych gości, którym ufasz. Zadzwoń do Russa Frame’a albo Toma Wycliffe’a. Wystarczy tylko podnieść słuchawkę i wybrać numer”.

Ale nie chciał. Nie dzisiaj. Było to irracjonalne, na wpeł zabobonne uczucie - całkiem niedawno przez telefon przekazał i otrzymał masę nieprzyjemnych wiadomości - lub tak przynajmniej mu się wydawało - ale był zbyt utrudzony, żeby stawić temu czoło dziś wieczór. Jeśli wyśpi się dobrze (żaden problem, byle tylko zostawić zapaloną lampkę przy łóżku), może coś lepszego, coś bardziej konkretnego przydarzy się jutro, kiedy będzie miał świeższy umysł. Co więcej, żywił nadzieję, że naprawi swoje stosunki z Naomi Higgins i Dave’em Duncanem - ale wpiers się dowie, dlaczego te stosunki się popsły.

Oby tylko zdołał się tego dowiedzieć.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

### **Policjant Biblioteczny (I)**

#### **1**

Spał dobrze. Nie trapiły go żadne koszmary, a podczas porannego prysznicu w sposób naturalny i prosty przyszedł mu do głowy pewien pomysł, jak się to często zdarza, kiedy ciało jest wypoczęte, a umysł, przebudzony niedawno, nie zdążył się zapaskudzić całą furą gówien. Biblioteka publiczna nie była jedynym źródłem informacji, a jeśli chodzi o miejscowe wydarzenia - najświeższe wydarzenia - nie była nawet źródłem najlepszym.

- „Gazette!” - wykrzyknął Sam i wsadził głowę pod strumień wody, żeby spłukać mydło.

Dwadzieścia minut później siedział na dole w gabinecie i popijał kawę. Do pełnego stroju brakowało mu jedynie marynarki i krawata. Liniowany notatnik jeszcze raz znalazł się przed nim na biurku, a w notatniku początek nowej listy.

1. Ardelia Lortz - kim jest? Lub kim była?
2. Ardelia Lortz - co zrobiła?
3. Biblioteka Publiczna Junction City - odnowiona? Kiedy? Plakaty?

W tym momencie zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Sam podniósł się i zerknął na zegarek. Dochodziło wpeł do dziewiątej, pora wyjścia do pracy. Do biura „Gazette” mógł wyskoczyć o dziesiątej, w czasie przerwy na kawę. Wtedy poprzegląda stare numery. Które? Wciąż roztrząsał ten problem - niektóre bez wątpienia pomogą mu bardziej niż inne - i równocześnie przekopywał kieszenie, szukając drobnych dla gazeciarza. Dzwonek odezwał się po raz drugi.



- Lecę na jednej nodze, Keith! - zawołał, podszedł do kuchennego wejścia i złapał za gałkę przy drzwiach. - Nie wybij tylko dziury w tych cholernych drz...

W tym momencie podniósł wzrok i zobaczył kształt znacznie przewyższający sylwetkę Keitha Jordana. Rysował się za przejrzystą firanką na drzwiach. Przeciężony umysł Sama zajęty był raczej nadchodzącym dniem niż poniedziałkowo-rannym rytuałem płacenia gazeciarzowi, ale w tejże sekundzie sopel czystego przerażenia przebił się bez wysiłku przez nieuporządkowane myśli. Nie musiał widzieć twarzy; nawet przez firankę rozpoznał kształt, zarys ciała... i oczywiście trencz.

Smak czerwonej lukrecji - mocny, słodki i mdlący - napłynął mu do ust.

Puścił gałkę. O sekundę za późno. Zatrząsk cofnął się i w tymże momencie postać stojąca na tylnej werandzie otworzyła drzwi na oścież. Sam wpadł tyłem do kuchni. Wymachiwał rękami, żeby utrzymać równowagę, i udało mu się strącić na podłogę tylko wszystkie trzy płaszcze z wieszaka.

Do środka wkroczył Policjant Biblioteczny otulony nieodstępłą chmurą lodowatego powietrza. Kroczył powoli, jakby czas nie odgrywał dlań żadnej roli. Zamknął za sobą drzwi. W ręce trzymał egzemplarz „Gazette”, porządnie zwinięty, złożony. Uniósł gazetę jak pałkę.

- Przyniołem ci gazetkę - powiedział Policjant Biblioteczny. Jego głos dziwnym sposobem dobiegał Sama z oddali, jakby przez grube szkło. - Szykowałem się zapłacić chłopcu, ale bardzo mu się spieszyło. Ciekawym czemu.

Szedł w kierunku kuchni - w kierunku Sama, który kulił się ze strachu przy ladzie i wlepił w intruza wielkie, znieruchomiłe oczy przerażonego dziecka, oczy jakiegoś biednego Szurniętego Szymka z czwartej klasy.

„Ja to sobie wyobrażam, pomyślał Sam, albo mam koszmary senne - takie zwidy, że wobec nich te z przedwczorajszej nocy to czysta rozkosz”.

Ale to nie koszmar senny. To koszmar, ale nie sen. Sam zamarzył, że może jednak zwariował. Utrata zmysłów to nie jest wesoły dzionek na plaży, ale nic nie mogło być tak potworne jak ten człekokształtny stwór, który wszedł do domu, wnosząc własny klin atmosferyczny polarnej zimy.

Dom Sama był stary i sufity wysokie, ale Policjant Biblioteczny musiał pochylić głowę w drzwiach wejściowych i nawet w kuchni denko jego szarego filcowego kapelusza niemal zamiotło strop. Znaczyło to, że ma ponad siedem stóp wzrostu.

Jego ciało otulał trencz ołowianego koloru mgły wieczornej. Skórę miał białą jak papier, twarz zamarłą, wyprutą z sympatii, miłości czy litości. Usta zacięte w grymasie władzy absolutnej, niedostępne dla wzruszeń - oszołomionemu Samowi przemknęły przez

myśl zamknięte drzwi biblioteki - przypominały zaciśnięte usta w twarzy granitowego robota. Oczy Policjanta Bibliotecznego robiły wrażenie srebrnych kółek przestrelonych pojedynczym ziarenkiem śrutu. Otaczała je różowoczerwona skóra, jakby gotowa w każdej chwili trysnąć krwią. Nie miał rzęs. A najgorsze ze wszystkiego było to, że Sam znał tę twarz. Nie pierwszy to raz kulił się w lęku pod tym złym wzrokiem, a z głębi pamięci dobiegł go lekko sepleniący głos: „Chodź ze mną, cynu... jectem policjantem”.

Blizna biegła dokładnie trasą zapamiętaną przez wyobraźnię Sama - po lewym policzku, poniżej lewego oka, przez garbek nosa. Gdyby nie ta blizna, byłby to mężczyzna z plakatu... a może jednak? Nie był już pewien.

„Chodź ze mną, cynu... jectem policjantem”.

Sam Peebles, ulubieniec Rotary Club Junction City, zmoczył się. Gorący strumień trysnął z pęcherza, ale to było dalekie i nieważne. Ważny był potwór w kuchni, a co najkoszmarniejsze, na pewno znana twarz potwora. Sam poczuł, jak drzwi w głębi jego pamięci, zatrzaśnięte na trzy zamki, trzeszczą, jakby ktoś na nie napierał. Nawet nie pomyślał o ucieczce. Nie był zdolny do żadnych myśli. Znow stał się dzieckiem, dzieckiem przyłapanym na gorącym uczynku

(ta książka to nie *Towarzysz mówcy*), kiedy robiło coś wstrętnego. Zamiast uciec

(ta książka to nie *Najukochańsze wiersze Amerykanów*), powoli zgiął się jak scyzoryk i osunął między dwa stołki, zasłonił głowę bezradnym, rozpaczliwym gestem.

(ta książka to)

- Nie - wyszeptał bezsilnie. - Nie, proszę... nie, proszę, proszę, nie rób mi tego, proszę, będę grzeczny, proszę, nie rób mi krzywdy, jak wtedy. Tak nisko upadł. Ale mniejsza z tym; gigant w trenczu koloru mgły (ta książka to *Czarna strzała* Roberta Louisa Stevensona) stanął wreszcie nad nim.

Sam zwiesił głowę. Ważyła chyba z tysiąc funtów. Patrzył w podłogę i, płacząc słowa, modlił się o to, aby kiedy podniesie głowę - kiedy będzie miał dość siły, żeby ją podnieść - postać zniknęła.

- Cpójrż na mnie - skarcił go odległy, głuchy głos. Głos złego boga.

- Nie! - zakrzyczał Sam rwącym, przy duszonym głosem i z oczu popłynęły mu bezsilne łzy. Ogarnęła go nie tylko groza, choć ona sama była wystarczająco realna, prawdziwa, potężna. Niezależnie od niej czuł zimny powiew głębokiego, dziecięcego strachu i dziecięcej hańby. Te uczucia przyłgnęły jak trujący syrop do tego wszystkiego, czego nie miał odwagi sobie przypomnieć, do tej sprawy, jakoś wiążącej się z książką, której w życiu nie czytał: *Czarnej strzały* Roberta Louisa Stevensona.

PLASK!

Coś uderzyło Sama w głowę. Wrzasnął przeraźliwie.

- Cpórz na mnie!

- Nie, proszę, nie każ mi tego robić! - błagał Sam. PLASK!

Podniósł wzrok, osłaniając słabnącym ramieniem oczy zalane strumieniami łez, w sam czas, żeby zobaczyć spadające ramię Policjanta Bibliotecznego.

PLASK!

Tłukł Sama Samowym, zwiniętym w trąbkę egzemplarzem „Gazette”, jakby karał nieostrożnego szczeniaka, który zrobił kałużę na podłodze.

- Tak lepiej - powiedział Policjant Biblioteczny. Wyszczrzył zęby, cofnięte wargi odsłoniły spiczaste końce ostrych kłów. Sięgnął do kieszeni trenca i wyjął skórzane etui. Potrząsnął, otworzył i zaprezentował dziwną wieloramienną gwiazdę. Zalśniła w czystym blasku poranka.

Sam nie miał siły oderwać wzroku od bezlitosnej twarzy, srebrnych oczu o źrenicach jak śrut. Ślina ciekła mu z ust i również na to nic nie mógł poradzić.

- Masz nasze dwie kciężki - powiedział Policjant Biblioteczny. Jego głos nadal dolatywał z oddali jak zza grubej szyby. - Pani Lortz ject na ciebie bardzo zagniewana, panie Peebles.

- Zgubiłem je - powiedział Sam. Płakał coraz rozpaczliwiej.

Nie było mowy, żeby kłamać wobec tego mężczyzny w sprawie (*Czarnej strzały*) książek, w sprawie czegokolwiek. Był uosobieniem władzy, siły, potęgi. Był sędzią, ławą przysięgłych i katem.

„Gdzie stróż?”. Nieprzytomna myśl tłukła się po głowie Sama. „Gdzie stróż, który sprawdza ciśnienie w kotłach i wraca do normalnego świata? Normalnego świata, w którym takie rzeczy nie mają prawa się zdarzyć?”.

- Ja...ja...ja...

- Nie chcę cłuchać twoich żalocnych wymówek - powiedział Policjant Biblioteczny. Zamknął skórzane etui i schował do prawej kieszeni. Sięgnął do lewej i wyciągnął nóż o długiej, ostrej klindze. Sam, który niegdyś trzykrotnie podczas wakacji pracował jako pomocnik magazyniera, znał to narzędzie. Służyło do cięcia kartonowych pudeł. Bez wątplenia w podobny nóż wyposażona była każda biblioteka w Ameryce.

- Do północy. Potem...

Pochylił się, wyciągnął rękę z nożem. Dłoń miał białą, trupią. Twarz Sama zeszywniała w powiewie lodowatego powietrza. Usiłował krzyknąć, ale tylko westchnął bezdźwięcznie.

Koniuszek noża przekłuł skórę na gardle Sama. Jak sopel. Wypłynęła pojedyncza szkarłatna kropla. Zastygła krwawą perełką.

- ...znów przyjdę - powiedział Policjant Biblioteczny. - Lepiej znajdź zgubę, panie Peebles.

Nóż znikł w kieszeni. Policjant Biblioteczny wyprostował się na całą wysokość.

- Jeszcze jedno. Rocpytywałeś się o coś, panie Peebles. Nie pytaj więcej, rozumiesz, co mówię?

Miał odpowiedzieć, Sam wyjęczał coś niezbornie. Policjant Biblioteczny zaczął się schylać, pchając przed sobą ziań, jak tępy dziób barki pcha po rzece kawały kry.

- Nie wściubiaj noca w cprawy, które cię nie dotyczą. Rozumiesz, co mówię?

- Tak! - krzyczał przeraźliwie Sam. - Tak! Tak! Tak!

- Dobrze. Przypilnuję tego. A nie jectem cam.

Odwrocił się, zaszeleścił trenczem. Kroczył do wyjścia. Nie zaszczycił Sama spojrzeniem. Po drodze wszedł w plamę światła i Sam ujrzał rzecz niewiarygodną, straszliwą: Policjant Biblioteczny nie rzucił cienia.

Doszedł do drzwi. Złapał za gałkę. Nie odwracając się, powiedział grubym, straszonym głosem:

- Jeśli nie chcesz mnie więcej widzieć, panie Peebles, znajdź te kciężki.

Otworzył drzwi i wyszedł.

Jedna jedyna gorączkowa myśl opanowała Sama, z chwilą gdy drzwi się zamknęły i usłyszał kroki Policjanta Bibliotecznego na tylnej werandzie: trzeba zatrzasać zamek!

Na wpół się dźwignął, a potem szarość zalała mu oczy i padł twarzą na podłogę, nieprzytomny.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

### **Chro-no-lo-gicz-nie biorąc**

#### **1**

- Czy mogę... panu pomóc? - spytała recepcjonistka. Lekka pauza nastąpiła wtedy, gdy baczniej spojrzała na mężczyznę zbliżającego się do kontuaru.

- Tak - powiedział Sam. - Jeśli to możliwe, chcę przejrzeć stare numery „Gazette”.

- Oczywiście - powiedziała. - Ale... Proszę wybaczyć, jeśli się narzucam, czy dobrze się pan czuje? Bardzo źle pan wygląda.

- Zdaje się, że dopadło mnie jakieś choróbsko.

- Wiosenne przeziębienia są najgorsze - powiedziała, wstając z fotela. - Proszę przejść przez bramkę na końcu kontuaru, panie...?

- Peebles. Sam Peebles.

Przystanęła. Była pulchna, miała może sześćdziesiątkę. Przekrzywiła głowę. Pomalowany na czerwono paznokieć przytknęła do kącika ust.

- Pan sprzedaje ubezpieczenia, prawda?

- Tak jest, szanowna pani.

- Tak mi się zdawało, że pana poznaję. W zeszłym tygodniu widziałam pańskie zdjęcie w gazecie. To było z okazji wręczenia jakiejś nagrody?

- Nie, szanowna pani, wygłaszałem mowę. W Rotary Club. - „I dałbym wszystko, żeby cofnąć zegar, pomyślał. Powiedziałbym Craigowi Jonesowi, żeby się odpiardolił”.

- No cóż, to wspaniałe - powiedziała, ale chyba miała pewne wątpliwości. - Na zdjęciu wyglądał pan inaczej. Sam minął bramkę.

- Jestem Doreen McGill - powiedziała kobieta i podała mu pulchną dłoń.

Sam ujął tę dłoń i rzekł, iż poznanie pani McGill napawa go radością. Wymagało to pewnego wysiłku. Wszystko wskazywało na to, że kontakt z ludźmi - a zwłaszcza kontakt cielesny - na jakiś czas będzie sprawą wymagającą wysiłku. Sama opuściła całą dawną swoboda.

Poprowadziła go do schodów wyłożonych chodnikiem. Zapaliła światło. Klatka schodowa była wąska, górne światło słabe i Sam od razu poczuł napierające nań koszmary. Zbiegły się chemie, jak fani do osoby oferującej wejściówki na fantastyczny, dawno wyprzedany koncert. Tam, w ciemności, mógł czekać Policjant Biblioteczny. Policjant Biblioteczny ze swoją białą, trupią skórą, srebrnymi oczami o czerwonych obwódkach, lekkim, ale wyraźnym znajomym seplenieniem.

„Przestań. A jak nie możesz przestać, to, na litość boską, kontroluj się. Musisz. To twoja jedyna szansa. Co zrobisz, jeśli nie zdołasz zejść po schodach do zwykłego archiwum w suterenie? Zaszyciesz się w domu i będziesz czekał północy?”.

- Oto kostnica - Doreen McGill wskazała palcem wewnątrz. Najwyraźniej była to dama, która używała palca przy każdej sposobności. - Musi pan tylko...

- Kostnica? - spytał Sam. Serce zaczęło tłuc się o żebra. - Kostnica?

Doreen McGill zaśmiała się.

- Każdy tak pyta. Wstrętne to nazwanie, nieprawdaż? Ale tak właśnie na to mówią. Jakaś głupia redakcyjna tradycja. Niech się pan nie przejmuj, panie Peebles - tam na dole nie ma żadnych trupów, tylko całe mnóstwo rolek mikrofilmów.

„Nie byłbym taki pewien”, pomyślał Sam, krocząc za nią po zasłanych dywanową wykładziną schodach. Bardzo się cieszył, że to ona prowadzi.

U stóp schodów nacisnęła rząd kontaktów. Zapaliły się liczne jarzeniówki wmontowane w coś w rodzaju przesadnie wielkich, odwróconych rynienek na lód. Oświetliły ogromne niskie pomieszczenie zasłane, podobnie jak schody, granatową wykładziną. W pomieszczeniu stały rzędy półek, na nich gęsto niewielkie pudła. Na lewo przy ścianie mieściły się cztery czytniki mikrofilmowe. Wyglądały jak futurystyczne suszarki do włosów. Miały ten sam granatowy odcień co wykładzina.

- Właśnie zaczęłam mówić, że musi się pan podpisać w księdze - powiedziała Doreen. Znow wskazała palcem, tym razem na wielgachną książkę przytwierdzoną łańcuchem do pulpitu przy drzwiach. - Musi pan również wpisać datę, godzinę przyjścia, a jest właśnie... - sprawdziła na swoim zegarku - ...dwadzieścia po dziesiątej, i czas wyjścia.

Sam pochylił się i wpisał do księgi. Wyżej wpisał się Arthur Meecham. Pan Meecham był tu 27 grudnia 1989 roku. Ponad trzy miesiące temu. Było to dobrze oświetlone, dobrze zaopatrzone, wygodne, najwyraźniej bardzo rzadko uczęszczane miejsce.

- Miło tu na dole, prawda? - zapytała z błogim samozadowoleniem Doreen. - To dlatego, że rząd federalny pomaga w subsydiowaniu kosztów redakcyjnych - lub bibliotek, jeśli pan woli. Ja wolę.

Jakiś cień zatańczył w jednym z przejść i serce Sama zaczęło bić żywiej. Ale to był tylko cień Doreen McGill; pochyliła się, sprawdzając, czy wpisał właściwą godzinę, dzień i...

„i ON nie rzucał cienia. Policjant Biblioteczny. Poza tym...”.

Spróbował na tym poprzestać. Nie udało mu się.

„Poza tym nie mogę tak żyć. Nie mogę żyć w takim strachu. Wsadzę łeb do piecyka gazowego, jeśli to dłużej potrwa. Wsadzę. Nie chodzi tylko o strach przed nim - tym człowiekiem - czy kim tam jest. Chodzi o to, co się dzieje z moją głową, o to, jak czuje się człowiek, kiedy wszystko, w co wierzył, oddala się jak sen złoty”.

Doreen wskazała palcem na prawą ścianę, gdzie na jednej półce stały tylko trzy wielkie księgi formatu folio.

- Tu jest styczeń, luty i marzec 1990 - powiedziała. - Co roku w lipcu gazeta przesyła numery pierwszego półroczka do Great Island, Nebraska, żeby przenieść je na mikrofilmy. Tak samo na początku stycznia.

Wyciągnęła pulchną rękę i wskazywała czerwono zakończonym palcem półki, zaczynając od prawej, a kończąc na czytnikach mikrofilmowych po lewej stronie. Wykonując ten gest, zdawała się zachwycać swoim manikiurem.

- Mikrofilmy idą w tym kierunku, chronologicznie. - Wymówiła starannie to słowo, co zabrzmiało z lekka egzotycznie: chro-no-lo-gicz-nie. - Współczesność po pańskiej prawej, czasy starożytne po lewej.

Uśmiechnęła się na znak, że był to dowcip i, być może, aby podkreślić, jakie to wszystko jest jej zdaniem cudowne. Chro-no-lo-gicz-nie biorąc, wszystko to cuda-niewidy.

- Dziękuję - powiedział Sam.

- Nie ma za co. Po to tu jesteśmy. Przynajmniej częściowo po to. - Przyłożyła paznokieć do kącika ust i obdarzyła go znów uśmiechem kto-się-nie-schowa-ten-kryje. - Umie pan obsługiwać czytnik mikrofilmowy, panie Peebles?

- Tak, dzięki.

- W porządku. Jeśli mogłabym jeszcze w czymś pomóc, jestem bliźniutko. Proszę pytać bez wahania.

- Czy pani... - zaczął i zacisnął gwałtownie usta, zanim wysnęła mu się reszta: - ...zostawi mnie tu samego?

Uniosła brwi.

- Nic - powiedział i odprowadzał ją wzrokiem, kiedy wchodziła po schodach. Walczył z silnym pragnieniem, żeby za nią pognać. Ponieważ, choć wykładzina była ta puszysta i granatowa, Sam znalazł się w kolejnej bibliotece Junction City.

A ta była nazywana kostnicą.

## 2

Wolnym krokiem zbliżył się do półek zastawionych sześcianami pudeł z mikrofilmami. Nie wiedział, od czego zacząć. Bardzo był zadowolony, że górne jarzeniowe światła są dość jasne, żeby wygnać z kątów większość niepokojących cieni.

Nie śmiał zapytać Doreen McGill, czy kojarzy się jej z czymś imię i nazwisko „Ardelia Lortz”, ani nawet czy orientuje się z grubsza, kiedy biblioteka miejska została poddana zabiegom renowacyjnym. „Rocpytwałeś się o coś, panie Peebles, powiedział Policjant Biblioteczny. Nie wściubiaj noca w cprawy, które ciebie nie dotyczą. Rozumiesz, co mówię?”.

Tak, rozumiał. I tak chyba teraz wściubia nos, naraża się na gniew Policjanta Bibliotecznego... ale nie rozpytuje się o nic, przynajmniej nie dosłownie, a te sprawy dotyczą jego. Ze wszech miar.

„Przypilnuję tego. A nie jectem cam”.

Sam nerwowo obejrzał się przez ramię. Nic nie zobaczył. I wciąż nie mógł się zdobyć na decyzję. Dotarł już do właściwego miejsca, ale nie był pewien, czy zdoła ruszyć dalej. Czuł się bardziej niż skrępowany, bardziej niż przestraszony. Czuł się rozbity w drobny mak.

- Musisz - zamruczał chrapliwie. Otarł usta drżącą ręką. - Po prostu musisz.

Najwyższym wysiłkiem woli przesunął w przód lewą stopę. Stał tak przez moment, jak człowiek znieruchomiły w trakcie przekraczania wąskiego strumyka. Potem zmusił prawą stopę, żeby wyrównała do lewej. W ten właśnie sposób, niechętnie i opornie, zbliżył się do oprawionych foliałów. Karteczka na brzegu półki informowała:

1987-1989

To na pewno były zbyt świeże daty - w rzeczywistości renowacja biblioteki musiała mieć miejsce przed wiosną 1984 roku, zanim osiadł w Junction City. Zauważyłby przecież robotników, słyszałby rozmowy na ten temat, przeczytałby o tym w „Gazette”. Ale czas renowacji można ograniczyć do ostatnich piętnasta, dwudziesta lat (podwieszany sufit nie wyglądał na starszy). Gdyby tylko potrafił myśleć bardziej precyzyjnie! Ale nie potrafił. To, co stało się tego rana, schrzaniło wszelkie próby normalnego, racjonalnego myślenia, tak jak duża aktywność plam słonecznych potrafi schrzanić przekazy radiowe i telewizyjne. Rzeczywistość i nierzeczywistość zeszyły się razem jak ogromne głązy i Sam Peebles, drobnusi, krzyczący, wierzgający odprysk ludzkości, miał nieszczęście wpaść pomiędzy nie.

Przeszedł dwa rzędy na lewo głównie z obawy, iż jeśli będzie stał długo, zapadnie w kompletny bezruch. Ruszył wzdłuż półki oznaczonej

1981-1983

Wybrał na chybił trafił pudło i zaniósł do jednego z czytników. Otworzył i usiłował skoncentrować się na rolce mikrofilmu (rolka również była w odcieniu niebieskim i Sam zastanowił się, czy istnieje jakiś powód, dla którego wszystko w tym dobrze oświetlonym, czystym pomieszczeniu jest dobrane kolorystycznie) i niczym więcej. Najpierw trzeba osadzić rolkę na trzpieniu, tak jest; potem przewlec film, sprawdzić; potem zabezpieczyć jęczyczek w środkowej części szpulki nabierającej, w porządku. Urządzenie było tak proste, że poradziłby sobie z nim ośmiolatek, ale Samowi te nieskomplikowane czynności zabrały pięć minut. Musiał walczyć z drżeniem rąk i porażonym, błędzącym umysłem. Kiedy wreszcie zamontował mikrofilm i przewinął do pierwszej klatki, okazało się, że zrobił to odwrotnie. Tekst ukazał się do góry nogami.

Cierpliwie przewinął mikrofilm, obrócił i przewlekl raz jeszcze. To małe niepowodzenie dobrze mu zrobiło. Uspokoił się, powtórzywszy całą operację krok po kroku.



Tym razem pierwsza strona wydania „Gazette” z 1 kwietnia 1981 roku pojawiła się we właściwym położeniu.

Nagłówek obwieszczał zaskakującą rezygnację ze stanowiska miejskiego oficjela, którego nazwisko nigdy nie obięło się Samowi o uszy, ale wzrok Sama szybko przyciągnęła ramka u dołu strony. W ramce była wiadomość:

**RICHARD PRICE I CAŁY PERSONEL BIBLIOTEKI MIEJSKIEJ JUNCTION CITY PRZYPOMINAJĄ**

**WAM, ŻE OD 6 DO 13 KWIETNIA TRWA OGÓLNOKRAJOWY TYDZIEŃ BIBLIOTECZNY PRZYJDŹCIE I POZNAJCIE NAS!**

„Czy wiedziałem o tym? Czy dlatego złapałem za to właśnie pudło? Czy podświadomie pamiętałem, że drugi tydzień kwietnia to Ogólnokrajowy Tydzień Biblioteczny”.

„Chodź ze mną, odpowiedział pogrzebowy szept. Chodź ze mną cynu... jectem policjantem”.

Dostał gęziej skórki, przeszedł go dreszcz. Odegnął od siebie i własne pytanie, i głos zjawy. Przecież w gruncie rzeczy to naprawdę nie miało znaczenia, że wybrał właśnie numer gazety z kwietnia 1981 roku; ważne, że po prostu wybrał, przełamał złą passę.

Może przełamał złą passę.

Przesunął rolkę szybko do szóstego kwietnia i nie zawiódł się. Nad stopką na pierwszej stronie widniały czerwone litery napisu reklamowego:

**SPECJALNY DODATEK BIBLIOTECZNY!**

Sam zajrzał do dodatku. Na pierwszej stronie znalazły się dwa zdjęcia. Jedno z fasadą biblioteki. Drugie pokazywało Richarda Price'a, kierownika biblioteki, stojącego za biurkiem i nerwowo uśmiechającego się do obiektywu. Wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Naomi Higgins - wysoki mężczyzna w okularach, w wieku około czterdziestu lat z cienkim wąsikiem. Sama bardziej interesowało tło. Zauważył podwieszany sufit, który tak nim wstrząsnął, gdy znalazł się tam po raz drugi. Więc renowacji dokonano przed kwietniem 1981 roku.

Jak można było oczekiwać, materiały były pełne zwyczajnego samochwalstwa - czytywał „Gazette” już od sześciu lat i był dobrze obeznany z postawą redakcji dającą się wyrazić zawołaniem: „A jakaż to z nas wesoła gromadka łebskich chłopaków!”. Znalazł pouczające (i śmiertelnie nudne) wstawki o Ogólnokrajowym Tygodniu Bibliotecznym, Letnim Programie Czytelniczym i Bibliotece Na Kółkach Junction City. Sam przeleciał je

szybko wzrokiem. Na ostatniej stronie dodatku zauważył o wiele bardziej ciekawą opowiadkę, pióra samego Price'a. Była zatytułowana:

#### BIBLIOTEKA PUBLICZNA JUNCTION CITY Sto lat historii

Podniecenie Sama nie trwało długo. Nazwisko Ardellii nie padało. Sięgnął do przełącznika i zatrzymał rękę. Jest wzmianka o renowacji - nastąpiła w 1970 roku - i coś jeszcze. Coś trochę w innym duchu. Jeszcze raz zaczął czytać gawędziarską historię pana Price'a, tym razem dokładniej.

Z końcem Wielkiego Kryzysu nasza biblioteka wyszła na prostą. W 1942 roku Rada Miejska Junction City wyasygnowała 5000 \$ na podjęcie prac renowacyjnych mających zniwelować skutki powodzi, od której biblioteka ucierpiała w 1932 roku, a pani Felicia Culpepper podjęła pracę kierowniczką, bezinteresownie poświęcając czas tej sprawie. Nigdy nie straciła z oczu swego celu: całościowej renowacji biblioteki służącej miasteczku, które szybko rozrastało się w miasto.

Pani Culpepper ustąpiła ze stanowiska w 1951 roku. Po niej funkcje kierownicze objął Christopher Lavin, pierwszy magister bibliotekoznawstwa w historii Junction City. Czcząc pamięć poprzedniczki, pan Lavin założył Fundację im. pani Culpepper. Podczas pierwszego roku działalności fundacji napłynęło ponad 15 000 \$ na zakup nowych książek i Biblioteka Publiczna Junction City weszła na drogę ku nowoczesności!

Gdy w 1964 roku zostałem kierownikiem biblioteki, postawiłem sobie za cel jej remont kapitalny. Niezbędne fundusze zostały wreszcie zgromadzone pod koniec 1969 roku i trzeba powiedzieć, że o ile pieniądze przekazane zarówno z budżetu miejskiego, jak i federalnego pomogły wznieść wspaniałą budynek, który cieszy dzisiejsze „mole książkowe” Junction City, to przedsięwzięcie nie zostałoby ukończony bez pomocy tych wszystkich ochotników, którzy przybywali, aby złapać za młotek lub piłę podczas „Miesiąca Budowy Twojej Biblioteki”, w sierpniu roku 1970! Inne warte odnotowania przedsięwzięcia z lat 1970 i 1980 to...

Sam podniósł zamyślony wzrok. Był pewien, że Richard Price coś opuścił w starannej, piekielnie nudnej historii miejskiej biblioteki. Nie, po namyśle Sam doszedł do wniosku, że „opuścił” to nieodpowiednie słowo. Na podstawie tego eseju Sam zdecydował, że Price musi być męczybułą pierwszej wody - prawdopodobnie miłym człowiekiem, ale męczybułą - a tacy ludzie nic nie opuszczają, zwłaszcza gdy chodzi o sprawę najwyraźniej bliskie ich sercu.

Więc - nie „opuścił”. Coś zostało tu ukryte.

Coś nie klapowało, chro-no-lo-gicz-nie biorąc. W 1951 roku człowiek nazwiskiem Christopher Lavin zastąpił świętą Felicię Culpepper na stanowisku kierownika. W 1964 roku

Richard Price został miejskim bibliotekarzem. Czy Price nastał po Lavinie? Chyba nie. W jakimś momencie w ciągu tych trzynastu pustych lat kobieta nazwiskiem Ardelia Lortz objęła stanowisko po Lavinie. Wedle tego, co sobie kombinował Sam, Price zastąpił właśnie ją. Nie znalazła się w męczybulastej opowieści pana Price'a, ponieważ zrobiła... coś. Sam wprawdzie nie odkrył, czym owo coś było, ale zaczynał mieć pojęcie o rozmiarach sprawy. Było to coś wystarczająco ohydneho, żeby Price unicestwił Ardelię mimo swego wyraźnego umiłowania szczegółu i ciągłości akcji.

Morderstwo, pomyślał Sam. To musiało być morderstwo. Naprawdę jedyna rzecz dość ohydna, żeby męczybu...

W tej sekundzie czyjaś ręka spoczęła na ramieniu Sama.

### 3

Gdyby krzyknął, niewątpliwie przeraziłby właścicielkę ręki prawie tak mocno, jak ona przeraziła jego, ale Sam nie był zdolny do krzyku. Zamiast krzyknąć, wypuścił bezgłośnie dech i świat znów poszarzał. Klatka piersiowa zmięła mu się jak akordeon nadepnięty przez słonia, a wszystkie mięśnie rozmiękły jak makaron. Tym razem się nie zmoczył. Jedynie to zostało mu oszczędzone.

- Sam? - usłyszał pytanie. Zdało się dobiegać z dość daleka, powiedzmy z Kansas. - Czy to ty?

Obrócił się, o mało nie wypadając z fotela, i zobaczył Naomi. Usiłował złapać oddech, coś powiedzieć. Rzęził tylko jak zarzynany. Całe pomieszczenie falowało mu przed oczami. Szarość przychodziła i odchodziła.

Naomi cofnęła się niezdarnie, jej przerażone oczy rozszerzyły się, podniosła rękę do ust. Uderzyła tak mocno o jedną z półek, że mało jej nie przewróciła. Półka zakołysała się, kilka pudeł wypadło na wykładzinę z przytłumionym stukiem, znieruchomiło.

- Omes - zachrząścił wreszcie piskliwie. Kiedyś, w St. Louis, jeszcze jako chłopiec złapał mysz pod czapkę baseballową. Wydawała identyczne dźwięki, biegając w kółko i szukając dziurki, przez którą mogłaby uciec.

- Sam, co z tobą? - Też by pewnie krzyczała, gdyby wstrząs nie pozbawił jej oddechu. „Dobrana z nas parka, pomyślał Sam, Abbot i Costello spotykają potwory”.

- Co ty tu robisz? - zapytał. - Przez ciebie o mało nie zesrałem się ze strachu!

„No i proszę, pomyślał. Poniosło mnie i znów używam brzydkich słów. I znowu nazwałem ją Omes”. Przepraszam. Poczul się trochę lepiej i rozważał, czy nie wstać, ale zrezygnował z tego zamiaru. Nie ma sensu ryzykować. Nie był całkiem pewien, czy mu serce nie wysiądzie.

- Poszłam do biura, żeby się z tobą zobaczyć - powiedziała. - Cammy Harrington powiedziała, że chyba *tu* się udałeś. Chciałam cię przeprosić. Z początku myślałam, że chcesz spłatać jakiegoś okrutnego figła Dave'owi. Powiedział, że nigdy nie zrobiłbyś czegoś podobnego. Zaczęłam główkować, i to rzeczywiście byłoby do ciebie niepodobne. Zawsze byłeś taki miły...

- Dzięki - powiedział Sam. - Też mi się tak wydawało.

- ...i wydałeś się taki... oszołomiony. Spytałam Dave'a, o co poszło, ale nie chciał nic więcej powiedzieć. Wiem tyle, co słyszałam... i wiem, jak on wyglądał, kiedy z tobą rozmawiał. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

„Nie, o mało nie powiedział Sam. To ja zobaczyłem ducha. A dziś rano coś jeszcze gorszego”.

- Sam, musisz coś zrozumieć, jeśli chodzi o Dave'a... i mnie. No cóż, chyba wiesz już o nim, ale ja...

- Chyba wiem, o co ci chodzi. W liście do Dave'a napisałem, że nie widziałem nikogo na Angle Street, ale to nieprawda. Z początku nie widziałem, ale rozglądałem się za Dave'em. Widziałem was na tyłach domu. Więc... wiem. Ale nie zrobiłem tego celowo, rozumiesz.

- Tak. Nie ma sprawy. Ale... Sam... mój Boże, co się stało? Twoje włosy...

- Co z nimi? - zareagował ostro.

Otworzyła torebkę lekko drżącymi rękoma. Wyjęła puderniczkę.

- Spójrz.

Postłuchał, choć już wiedział, co zobaczy.

Od wpół do dziewiątej rano osiwiwał niemal ze szczętem.

#### 4

Widzę, że znalazła pani swego znajomego - powiedziała do Naomi Doreen McGill, kiedy wdrapali się po schodach. Przyłożyła palec do ust i uśmiechnęła się po swojemu, jakamilusia-jestem.

- Tak.

Pamiętał pan o wypisaniu się?

- Tak - powtórzyła Naomi. Sam nie wypisał się, ale ona zrobiła to za oboje.

- I odłożył pan wszystkie wykorzystane mikrofilmy?

Tym razem Sam powiedział „tak”. Nie mógł sobie przypomnieć, czy położyli na miejsce jedyną rolkę mikrofilmu, jaką umieścił w czytniku, ale nie dbał o to. Chciał tylko wyrwać się stąd.

Figlarny nastrój nie opuszczał Doreen. Postukując paluszkami po górnej wardze, przekrzywiła głowę i rzekła do Sama:

- Wyglądał pan inaczej w gazecie. Nie mogę się tylko połapać, na czym to polegało.

- W końcu poszedł po rozum do głowy i przestał farbować włosy - powiedziała Naomi, gdy kierowali się do drzwi.

Na schodach przed budynkiem Sam wybuchnął śmiechem. Ryczał tak, że aż zgiął się wpół. Był to histeryczny śmiech, bliski krewny obłąkańczego wrzasku, ale on nie dbał o to. Cudownie jest się śmiać. Nic tak nie oczyszcza.

Naomi stała obok nieporuszona tym atakiem wesołości ani ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Nawet podniosła rękę i pomachała komuś znajomemu. Sam oparł ręce na udach nadal obezwładniony przez wybuchy śmiechu, choć jego umysł zachował dość trzeźwości, żeby zanotować: „Widziała już gdzie taką reakcję. Ciekawe gdzie?”. Ale znał odpowiedź, zanim pytanie zostało wyartykułowane. Była alkoholiczką i praca z innymi alkoholikami, pomoc, którą im niosła, stała się częścią jej własnej terapii odwykowej. Prawdopodobnie, przebywając na Angle Street, widziała dużo więcej niż ataki histerycznego śmiechu.

„Spoliczkuj mnie”, pomyślał, bezradnie wyjął od chwili, gdy wyobraził sobie siebie w łazienkowym lustrze, cierpliwie wcierającego „grecką recepturę” we własne loki. Spoliczkuj, bo tak postępuje się z histerykami.

Ale Naomi najwyraźniej była na to zbyt mądra. Stała cierpliwie w słońcu, czekała, aż Sam zapanuje nad sobą. W końcu śmiech zmalał do niegroźnych dzikich parsknięć i rechotów. Mięśnie brzucha bolały go, widział wszystko jak przez mgłę, a policzki miał mokre od łez.

- Lepiej? - spytała.

- Och, Naomi... - zaczął, ale nagle kolejne hihi i haahy wymknęły mu się z ust i pogalopowały w słoneczne przedpołudnie. - Nie masz pojęcia, o ile lepiej!

- Oczywiście, że mam. Ruszaj się, weźmiemy mój samochód.

- Dokąd... - Dostał czkawki. - Dokąd jedziemy?

- Angel Street - wymówiła nazwę zgodnie z intencjami sztyldziarza. - Bardzo martwię się o Dave'a. Byłam tam z samego rana, ale go nie zastałam. Boję się, że może zassał gdzieś w mieście.

- To nic nowego, prawda? - spytał, schodząc obok niej po schodach. Datsun stał przy krawężniku, za jego wozem.

Zerknęła na niego. Było to przelotne zerknięcie, ale zawierało bogatą treść: irytację, rezygnację, współczucie. Sam pomyślał, że gdyby te treści wyrazić jednym zdaniem, brzmiałoby ono: „Nie wiesz, o czym mówisz, ale to nie twoja wina”.

- Dave nie pije prawie od roku, ale ogólny stan jego zdrowia nie jest dobry. Jak to mówią: nieraz poszedł w tango, ale pójdzie jeszcze raz i klops.

- I to będzie moja wina. - Śmiech nareszcie przestał go męczyć. Spojrzała na niego z lekkim zaskoczeniem.

- Nie, w tym nie będzie niczyjej winy, ale to nie znaczy, że chcę, aby tak się stało. Ani że musi się stać. Rusz się. Weźmiemy mój samochód. Pogadamy po drodze.

## 5

- Mów, co ci się przytrafiło - powiedziała, kiedy zmierzali ku peryferiom miasta. - Mów wszystko. Nie chodzi tylko o twoje włosy, Sam. Wyglądasz dziesięć lat starzej.

- Sranie w banię - powiedział Sam. W składanej puderniczce Naomi zobaczył coś więcej niż czuprynę. Zobaczył więcej, niż chciał zobaczyć. - Ponad dwadzieścia. A czuję się, jakbym miał sto.

- Co się stało? Co to było?

Sam otworzył usta, pomyślał, jak zabrzmiałoby to, co jej powie, i potrząsnął głową.

- Nie - powiedział - jeszcze nie. Najpierw ty mi coś powiesz. Opowiesz mi o Ardellii Lortz. Poprzednio myślałaś, że żartowałem. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz wiem. Więc opowiedz mi o niej. Powiedz, kim była i co zrobiła.

Naomi zjechała samochodem do krawężnika obok starej, granitowej remizy strażackiej Junction City i spojrzała na Sama. Zbladła śmiertelnie pod makijażem, wytrzeszczyła oczy.

- Nie żartowałeś? Sam, chcesz powiedzieć, że nie żartowałeś?

- Jak najbardziej.

- Ale, Sam... - Przez moment wyglądało na to, że nie wie, co by tu powiedzieć. W końcu odezwała się bardzo łagodnie, jak do dziecka, które nie wie, że coś zbroiło. - Ale, Sam, Ardellia Lortz nie żyje. Nie żyje od trzydziestu lat.

- Wiem, że nie żyje. Znacząco, wiem o tym teraz. Chcę się dowiedzieć reszty.

- Sam, choćby ci się wydawało, że zobaczyłeś...

- Wiem, kogo zobaczyłem.

- Powiedz mi, dlaczego myślisz...

- Najpierw ty mi powiedz.

Naomi przesunęła dźwignię zmiany biegów, sprawdziła w lusterku, czy droga wolna, i skierowała datsuna ku Angle Street.

- Niewiele wiem - powiedziała. - Rozumiesz, miałam tylko pięć lat, kiedy umarła. Całą sprawę znam prawie wyłącznie z plotek. Należała do Pierwszego Kościoła Baptystów w Proverbii - przynajmniej tam chodziła - ale moja mama o niej nie mówi. Ani nikt ze starszych parafian. Dla nich jakby nigdy nie istniała.

Sam pokiwał głową.

- Tak samo potraktował ją pan Price w swoim artykule o bibliotece. Tym, który czytałem, kiedy położyłaś mi rękę na ramieniu i postarzyłaś mnie o dwanaście lat. To wyjaśnia również, dlaczego twoja matka była tak na mnie wściekła, kiedy wspomniałem nazwisko Lortz w sobotę wieczór.

Naomi popatrzyła na niego zaskoczona.

- Po to dzwoniłeś? Sam kiwnął głową.

- Och, Sam. Jeśli nie byłeś na maminej czarnej liście, to jesteś.

- Och, byłem, ale zdaje mi się, że znacznie awansowałem. - Sam zaśmiał się i skrzywił z bólu. Mięśnie brzucha nadal dawały się we znaki. Ale ten atak wesołości przyniósł mu wielką ulgę. Godzinę temu nie uwierzyłyby, że odzyska równowagę ducha. Prawdę mówiąc, godzinę temu był w pełni przekonany, że Sam Peebles i równowaga ducha nie spotkają się już nigdy. - Jedź dalej, Naomi.

- Najwięcej usłyszałam podczas „prawdziwych spotkań”, jak je nazywają ludzie z AA. Wtedy, gdy przed sesjami terapeutycznymi i po nich przechadzają się, piją kawę, poruszają wszystkie tematy pod słońcem.

Spojrzał na nią z ciekawością.

- Jak długo jesteś w AA, Naomi?

- Dziewięć lat - powiedziała beznamiętnie. - A od sześciu walczę na całego z przymusem picia. Ale alkoholiką byłam zawsze, Sam. Pijakiem się nie zostaje, pijakiem się człowiek rodzi.

- Och - zareagował niezdarnie. A po chwili: - Czy ona była w Programie? Ardelia Lortz?

- Boże, nie, ale w AA nie brak ludzi, którzy ją pamiętają. W Junction City pojawiła się, jak mi się zdaje, w 1956 albo 1957 roku. Podjęła pracę u pana Lavina w bibliotece publicznej. Po roku albo dwóch zmarł nagle - chyba na atak serca albo udar - i miasto dało posadę tej Lortz. Słyszałam, że była znakomita, ale sądząc po tym, co się stało, najlepiej szło jej mydlenie ludziom oczu.

- Co takiego zrobiła, Naomi?

- Zabiła dwójkę dzieci, a potem siebie - zwyczajnie powiedziała Naomi. - W lecie 1960 roku. Zaginęła para dzieci i wszczęto poszukiwania. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby szukać ich w bibliotece. Miała być zamknięta tego dnia. Znalezione je nazajutrz, kiedy biblioteka nadal była zamknięta. W dachu są świetliki...

- Wiem.

- ...ale teraz widać je tylko z zewnątrz, bo zmienili wystrój wnętrza. Obniżyli sufit, żeby oszczędzać ciepło, coś w tym rodzaju. W każdym razie te świetliki miały wielkie uchwyty z brązu. Wkładało się w uchwyt końcówkę długiego drąga, żeby wietrzyć. Zawiązała linę na uchwycie - musiała skorzystać z jednej z drabin stojących przy regałach - i powiesiła się. Przedtem zabiła dzieci.

- Rozumiem. - W głosie Sama był spokój, ale serce biło mu powoli i mocno. - A jak... jak zabiła dzieci?

- Nie wiem. Nikt tego nigdy nie mówił, a ja nie pytałam. Podejrzewam, że to musiało być straszne.

- Tak. Też to podejrzewam.

- Teraz powiedz, co tobie się przytrafiło.

- Najpierw chcę się przekonać, czy Dave jest w przytułku. Naomi natychmiast się zjeżyła.

- Ja sprawdzę, czy Dave jest w przytułku. Ty będziesz grzecznie siedział w samochodzie. Współczuję ci, Sam, i przepraszam, że osądziłam cię zbyt pochopnie wczoraj wieczór. Ale nie będziesz więcej denerwował Dave'a. Już ja tego dopilnuję.

- Naomi, on jest w to zamieszany!

- To niemożliwe - powiedziała ostrym, to-zamyka-dyskusję, głosem.

- Do cholery, cała sprawa jest niemożliwa!

Zbliżali się już do Angle Street. Przed nimi duża furgonetka, hałasując, jechała w kierunku Centrum Odzysku Śmieci, wiozła kartony zapchane butelkami i puszkami.

- Widzę, że mnie nie zrozumiałeś - powiedziała. - Nic dziwnego; przyziemni rzadko to pojmują. Więc nadstaw uszu, Sam. Powiem krótko. Jeśli Dave będzie pił, Dave umrze. Łapiesz? Dociera?

Rzuciła Samowi kolejne ostre spojrzenie. Błysnęło piorunująco, prawie słyhać było trzask gromu i nawet pogrążony w swej własnej mizerii Sam coś dostrzegł. Poprzednio, kiedy dwukrotnie umówił się z Naomi, widział, że jest ładna. Teraz dojrzał, że jest piękna.

- Co to znaczy „przyziemni”?



- Ludzie niemający problemów z wodą, hajem czy lekarstwami na kaszel albo innymi lekami, które mogą namieszać w głowie. - Naomi mało nie pluła. - Ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na prawienie kazań i osądzanie innych.

Furgonetka skręciła w długą, porytą koleinami drogę wiodącą do Centrum Odzysku Śmieci. Angle Street była przed nimi. Sam zobaczył coś przed werandą. Nie samochód. To był wózek Parszywego Dave'a.

- Stań na minutkę - powiedział.

Naomi stanęła, ale nie odwracała głowy. Patrzyła przed siebie przez przednią szybę. Zacisnęła szczękę. Na policzkach miała silne rumieńce

- Zależy ci na nim - powiedział - i to mnie cieszy. Czy zależy ci również na mnie, Sarah? Chociaż ja jestem przyziemny?

- Nie masz prawa mówić do mnie Sarah. Ja mam, ponieważ tak mnie ochrzczono - Naomi Sarah Higgins. I oni mają, ponieważ w pewien sposób są mi bliżsi niż wszyscy prawdziwi krewni razem wzięci. Zdecydowało o tym coś przed moim urodzeniem. Coś, co krąży w ich krwi i w mojej. Coś, co sprawia, że musimy dźwigać nasz los. Ty, Samie - nie masz prawa.

- A może mam. Może teraz jestem jednym z was. Ty masz wodę. A ten oto przyziemny ma Policjanta Bibliotecznego.

Teraz popatrzyła na niego szeroko rozwartymi, niespokojnymi oczami.

- Sam, nie rozu...

- Ani ja. Wiem tylko tyle, że potrzebuję pomocy. Rozpaczliwie potrzebuję pomocy. Pożyczyłem dwie książki z biblioteki, która już nie istnieje, i teraz te książki też nie istnieją. Zgubiłem je. Wiesz, gdzie wylądowały?

Potrząsnęła głową.

Sam wskazał na lewo. Dwaj robotnicy wysiedli z kabiny furgonetki, zdejmowali z niej kartony z opakowaniami nadającymi się do przerobu.

- Tam. Tam wylądowały. Zostały przerobione na miazgę. Mam czas do północy, a potem policja biblioteczna przerobi na miazgę mnie. I wątpię, czy zostanie po mnie choć obwoluta.

## 6

Sam siedział w datsunie Naomi Sarah Higgins bardzo, bardzo długo. Dwa razy podnosił dłoń do klamki od drzwi i naciskał ją. Naomi dała się częściowo przekonać. Jeśli Dave będzie chciał z nim mówić, jeśli Dave będzie w ogóle mógł mówić, ona zezwala. W innym wypadku nici ze spotkania.

W końcu drzwi od Angle Street stanęły otworem. Naomi i Dave Duncan wyszli na zewnątrz. Obejmowała go w pasie. Powłóczył nogami i Samowi zamarło serce. Jednak kiedy stanęli w słońcu, zobaczył, że Dave nie jest pijany... przynajmniej nie na pewno. Patrząc na niego, miał niesamowite wrażenie, że spogląda po raz drugi w puderniczkę Naomi. Dave Duncan też wyglądał na człowieka, który stara się otrząsnąć z najcięższego szoku swego życia... ale bez specjalnego powodzenia.

Sam wysiadł z samochodu i stanął niezdecydowanie przy drzwiach.

- Chodź na werandę - powiedziała Naomi. W jej głosie była rezygnacja i lęk. - Boję się, że nie uda mu się zejść po schodach.

Sam podszedł do nich. Dave Duncan miał prawdopodobnie sześćdziesiąt lat. W sobotę wyglądał na siedemdziesiąt lub siedemdziesiąt pięć. Wóda, jak sądził Sam. A teraz, gdy południe z wolna mijało nad Iowa, Dave wyglądał tak staro, że nie dało się tego określić latami. I Sam wiedział, że to przez niego. Na Dave'a zwałił się cały koszmar spraw, które uznał za dawno pogrzebane.

„Nie wiedziałem”, pomyślał Sam, ale nawet najszczerze żale nie mogły w niczym ulżyć Dave'owi. Poza rozdętymi żyłkami na nosie i policzkach, jego twarz była koloru zleżającego papieru. Załzawione oczy spoglądały martwo. Wargi miał sine, kropelki śliny pulsowały w zapadłych kąciach ust.

- Nie chciałam mu pozwolić na rozmowę z tobą - powiedziała Naomi. - Chciałam zabrać go do doktora Meldena, ale się uparł, że najpierw pogadacie.

- Panie Peebles - słabym głosem odezwał się Dave. - Przepraszam, panie Peebles, to wszystko moja wina, no nie? Ja...

- Nie masz mnie za co przepraszać - powiedział Sam. - Chodźże tu i klapnij sobie.

Razem z Naomi podprowadzili go w róg werandy i Dave osunął się w bujany fotel. Sam i Naomi wzięli krzesła z podziurawionymi plecionymi siedzeniami i siedli obok. Przez chwilę siedzieli bez słowa, patrząc na szyny kolejowe i płaski wiejski krajobraz w dali.

- Zawzięła się na pana? - spytał Dave. - Ta suka z piekła rodem?

- Poszczuła kogoś na mnie - powiedział Sam. - Kogoś z tych plakatów, które namalowałeś. To... wiem, że to wariactwo, ale to Policjant Biblioteczny. Przyszedł do mnie dziś rano. To jego... - Sam dotknął włosów. - To jego robota. I to. - Pokazał małą czerwoną kropkę na gardle. - I mówi, że nie jest sam.

Dave milczał długo, wpatrywał się w pustkę, wpatrywał się w płaski krajobraz przecięty jedynie wyniosłymi silosami i wielkim jak wieża Babel elewatorium zbożowym Proverbia Feed Company stojącym na północ od przytułku.

- Człowiek, którego pan widział, nie istnieje naprawdę - odezwał się w końcu. - Żaden z nich nie istnieje. Tylko ona. Tylko ta suka piekielna.

- Możesz nam to opowiedzieć, Dave? - spytała łagodnie Naomi. - Jeśli nie, powiedz. Ale jeśli ci od tego będzie lepiej... łatwiej... Opowiedz nam.

- Droga Sarah - powiedział Dave. Ujął ją za rękę i uśmiechnął się. - Kocham cię. Mówiłem ci to kiedyś?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego. Łzy w jej oczach zaślnęły jak drobne odłamki miki.

- Nie. Ale to strasznie miło usłyszeć, Dave.

- Muszę opowiedzieć. Tu nie chodzi o to, czy będzie mi od tego lepiej albo łatwiej. To się nie może dalej tak ciągnąć. Czy wiesz, co pamiętam z naszego pierwszego spotkania AA, Sarah?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jak to powiedzieli, Program stoi na uczciwości. Powiedzieli, że musisz wszystko wyznać, nie tylko Bogu, ale i Bogu, i drugiemu człowiekowi. Pomyślałem: „Jeśli bez tego nie da się żyć po trzeźwemu, to koniec. Wywiozą mnie na Waynard Hill, na kwaterę dla moczomordów i wiecznych przegranych, którzy nie mieli ani nocnika, ani okna, przez które by mogli go wylać. Nigdy nie zdołam wyznać wszystkich tych rzeczy, które widziałem, wszystkich uczynków, które popełniłem”.

- Na początku wszyscy tak myśleliśmy - powiedziała łagodnie.

- Wiem. Ale niewielu jest takich, którzy widzieli to co ja albo zrobili to, co ja zrobiłem. Ale starałem się, jak mogłem. Pomalutku robiłem, co się tylko dało. Oporządziłem swój dom. Ale te rzeczy, które widziałem i zrobiłem za dawnych lat... ich nigdy nie wyjawiałem. Ani żadnemu człowiekowi, ani Bogu, do którego modlą się ludzie. W piwnicy mojego serca znalazłem komórkę, upchnąłem te rzeczy do tej komórki, a potem zamknąłem drzwi na klucz.

Popatrzył na Sama. W głębokich bruzdach zmarszczek wychudłych policzków Dave'a toczyły się łzy, powoli i ze znużeniem.

- Tak. Zrobiłem to. A kiedy zamek zaskoczył, zabiłem drzwi dechami. A kiedy wbiłem w deski ostatni gwóźdź, założyłem blachę stalową i przywierciłem na fest śrubami. A kiedy śruby już nie chciały iść głębiej, podstawiłem wysoką komodę pod ten cały interes, i zanim otrzepałem ręce i odszedłem, ułożyłem cegły na blacie komody. I przez wszystkie te lata powtarzałem sobie, że zapomniałem o Ardelii i dziwnych ścieżkach, którymi chodziła, o rzeczach, do których chciała mnie przymusić, i o rzeczach, które mi mówiła, i o obietnicach,

które mi składała, i o tym, czym naprawdę była. Dużo wziąłem lekarstw na zapominanie, ale nigdy do końca nie poskutkowały. A kiedy przyszedłem do AA, jedynie to przeszkadzało mi w kuracji. Wie pan, co było w tej komórce. To ma imię i nazwisko, panie Peebles - a brzmi ono Ardelia Lortz. Potem, jak się trochę otrząsnąłem z picia, zacząłem mieć złe sny. Przeważnie śniłem o plakatach, które dla niej malowałem - tych, co tak okropnie straszły dzieci - ale nie te sny były najgorsze.

Głos opadł mu do drżącego szeptu.

- Do najgorszych snów było im jeszcze ho, ho...

- Może odpocznij trochę - powiedział Sam. Niezależnie od tego, jak ważna była opowieść Dave'a, nie całkiem chciał ją usłyszeć. Jakaś częśćka jego osoby bała się tego, co usłyszy.

- Mniejsza z odpoczywaniem - powiedział Dave. - Doktorzy mówią, że jestem cukrzyk, moja trzustka jest do niczego, a wątroba się rozlatuje. W krótkich abcutach idę na wieczne wakacje. Nie wiem, czy oczekuje mnie w piekle, czy w niebie, ale jestem całkiem pewien, że i tu, i tam; bary i monopolowe są zamknięte, za co Bogu niech będą dzięki. Ale nie czas teraz na odpoczywanie. Jak mam kiedyś mówić, to teraz. - Przyjrzał się uważnie Samowi. - Wiesz pan, że z tobą źle?

Sam skinął głową.

- Tak. Ale nie wiesz, jak bardzo źle. Dlatego muszę mówić. Myślę sobie, że ona musi... czasem poleżeć w spokoju. Lecz jej czas spokoju minął i wybrała sobie pana, panie Peebles. Dlatego muszę mówić. Nie, żebym chciał. Zeszłej nocy, gdy Sarah pojechała, wyszedłem i kupiłem sobie flachę. Poszedłem z nią na stację przetokową i siadłem tam, gdzie siadałem poprzednio wiele razy, w chwastach, żużlu i stłuczonym szkle. Oderwałem kapsel, podniosłem flachę i powąchałem. Wie pan, jak pachnie wińsko? Mnie to ono zawsze pachnie jak tapeta w tanim hotelu albo jak strumyk, co zahacza o miejskie ścieki. Ale zawsze podobał mi się ten zapach, bo tak pachnie sen.

I zawsze, jak podnosiłem flachę i wąchałem, słyszałem tę super-sukę, jak gada do mnie z komórki, w której zamknąłem ją na klucz. Zza cegieł, zza komody, blachy, desek i zamków. Gadała jak ktoś pogrzebany żywcem. Trochę była przygłuszona, ale wciąż słyszałem ją niezłe. Słyszałem, jak gada: „W porządku, Dave, to sposób, jedyny sposób dla takich frajerów jak ty, jedyny, który chwyta. I będzie jedyny aż do czasu, kiedy żadne sposoby nie będą już potrzebne”.

Przechyliłem flachę, żeby zdrowo łyknąć i w najostatniejszej sekundzie zapachniało mi nią... wspomniałem jej twarz... z samego końca, całą zasnutą cienką pajęczyną...

widziałem, jak zmieniają się jej usta... i odrzuciłem flachę w czorty. Rozwaliłem o podkład kolejowy. Bo to gówno musi się skończyć. Nie dam jej piędzi tego miasta!

Jego głos urósł do drżącego, ale potężnego krzyku starca. - Dość czasu ciągnęło się to gówno!

Naomi położyła mu rękę na ramieniu. Była przestraszona i zaniepokojona.

- O co chodzi, Dave? O co?

- Chcę mieć pewność - powiedział Dave. - Najpierw niech pan opowie, panie Peebles, opowie wszystko, co się panu przydarzyło, i nic nie opuszcza.

- Opowiem - powiedział Sam - pod jednym warunkiem. Dave uśmiechnął się lekko.

- Co to za warunek?

- Obiecujesz, że będziesz mi mówił Sam... a za to ja już nigdy nie powiem na ciebie Parszywy Dave.

Uśmiech Dave'a poszerzył się.

- Umowa stoi, Sam.

- Dobra. - Wziął głęboki oddech. - Wszystkiemu winien cholerny akrobata... - zaczął.

## 7

Zabrało to więcej czasu, niż myślał, ale opowiedział swoją historię, nie ukrywając niczego, i poczuł niewysłowioną ulgę - prawie radość. Opowiedział o Zadziwiającym Joe, telefonie od Craiga i o sugestii Naomi, żeby okrasić materiał. Opisał wygląd biblioteki i spotkanie z Ardelia Lortz. W miarę jak opowiadał, oczy Naomi stawały się coraz większe. Kiedy doszedł do plakatu z Czerwonym Kapturkiem, Dave pokiwał głową.

- Tylko tego nie namalowałem. Miała go ze sobą. I założę się, że tego nie znaleźli. Założę się, że wciąż ma go przy sobie. Lubiła moje, ale ten był jej ulubiony.

- O co ci chodzi? - spytał Sam.

Dave potrząsnął tylko głową i powiedział Samowi, żeby ciągnął dalej.

Sam opowiedział im o karcie bibliotecznej, pożyczonych książkach i dziwnej sprzeczce, jaką mieli przy wyjściu.

- To jest to - beznamiętnie stwierdził Dave. - To wystarczyło. Możesz mi nie wierzyć, ale ja ją znam. Wpieniłeś ją. Niech mnie diabli, jeśli było inaczej. Wpieniłeś i teraz zagięła na ciebie parol.

Sam kończył swoje opowiadanie tak szybko, jak umiał, ale mówił coraz wolniej i z przerwami, zwłaszcza kiedy doszedł do wizyty Policjanta Bibliotecznego ubranego w trencz koloru szarej mgły. Kiedy skończył, prawie łkał i ręce znów zaczęły mu latać.

- Mogę prosić o szklanę wody? - spytał ochryple.

- Oczywiście - powiedziała Naomi i wstała. Zrobiła dwa kroki. Zawróciła i pocałowała Sama w policzek. Jej wargi były chłodne i miękkie. Zanim odeszła, szepnęła mu na ucho dwa błogosławione słowa:

- Wierzę ci.

**8**

Sam podniósł szklankę do ust dwoma rękami, aby mieć pewność, że nie rozleje, i wypił połowę jednym haustem. Odstawił szklankę i powiedział:

- A ty, Dave? Czy ty mi wierzysz?

- Taaa... - rzekł Dave. Powiedział to prawie z roztargnieniem, jakby sprawa była oczywista. Sam podejrzewał, że dla Dave'a była oczywista. Przecież znał tajemniczą Ardelię Lortz osobiście, a zniszczona, przedwcześnie postarzała twarz mężczyzny świadczyła, że związek ten był pozbawiony ciepłych uczuć.

Dave nie odezwał się przez dobre kilka chwil, ale odzyskał trochę kolorów. Spoglądał ponad torami ku płowym polom. Zazielenia się kukurydzą dopiero za sześć, siedem tygodni. Oczy Dave'a śledziły cień chmury sunącej nad pustką Środkowego Zachodu jak gigantyczny jastrząb.

W końcu chyba zebrał się w sobie. Odwrócił się do Sama.

- Mój Policjant Biblioteczny - ten, którego namalowałem dla niej - nie miał żadnej blizny - odezwał się wreszcie.

Sam myślał o wydłużonej bladej twarzy nieznanego. Blizna była tam bez wątpienia - na policzku, pod okiem, na garbku nosa. Ciągnęła się cienką nieprzerwaną kreską.

- Więc? - spytał. - Co to oznacza?

- Dla mnie nic, ale zdaje mi się, że dla ciebie coś to oznacz-, panie... Sam. Wiem, skąd jest odznaka... to co ty nazywasz wieloramienną gwiazdą. Znalazłem ją w książce o heraldyce, właśnie tu, w bibliotece Junction City. Nazywa się to krzyż maltański. Chrześcijańscy rycerze nosili ją na piersiach, idąc do bitwy podczas wypraw krzyżowych. Te krzyże miały mieć magiczną moc. Ten kształt tak mnie oczarował, że wstawiłem go w obrazek. Ale... blizna? Nie. Nie u mojego Policjanta Bibliotecznego. Kim był twój Policjant Biblioteczny, Sam?

- Nie wiem... nie wiem, o czym mówisz - z wolna powiedział Sam, ale ten głos, ledwo słyszalny, szyderczy, namolny głos powrócił: „Chodź ze mną, cynu... jectem policjantem”. W ustach wyraźnie poczuł nagle smak. Słodki smak czerwonej lukrecji, gruczoły smakowe skurczyły się, ślina nabiegła do ust, żołądek ścisnął. Ale to głupstwo. Zwyczajne głupstwo. Nigdy w życiu nie jadł czerwonej lukrecji. Nie cierpiał jej.

„Jeśli nigdy jej nie jadłeś, skąd wiesz, że jej nie cierpisz?”.

- Naprawdę nie kojarzę, o czym mówisz - rzekł silniejszym głosem.

- Nie kojarzysz? - powiedziała Naomi. - Wyglądasz, jakby cię ktoś właśnie poczęstował ciosem w żołądek.

Sam spojrział na nią zirytowany. Odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem i Sam poczuł, jak serce bije mu mocniej.

- Odlóżmy to na razie - powiedział Dave. - Choć nie możesz odkładać tego na długo, Sam - zwłaszcza jeśli chcesz się z tego wykaraskać. Pozwól, że opowiem ci swoją historię. Nigdy przedtem jej nie opowiadałem i nigdy więcej nie opowiem, ale... teraz nadszedł na nią czas.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

### **Opowieść Dave'a**

#### **1**

- Nie zawsze był ze mnie Parszywy Dave Duncan - zaczął. - Na początku lat pięćdziesiątych byłem normalnym, fajnym Dave'em Duncanem i ludzie całkiem mnie lubili. Byłem członkiem tego samego Rotary Club, w którym przemawiałeś, Sam. Czemu nie? Miałem własną firmę i przynosiła pieniądze. Byłem sztyldziarzem, i to cholernie dobrym sztyldziarzem. Dostawałem aż za dużo zamówień w Junction City i Proverbii, a czasem wpadło coś niewielkiego w Cedar Rapids. Raz malowałem reklamy lucky strike'ow na bandach boisk do baseballu piekielnie daleko stąd, jeszcze dalej niż do Omaha. Byłem rozrywany i nie bez powodu. Byłem dobry. Byłem po prostu najlepszym sztyldziarzem w całej okolicy.

Trzymałem się tego, bo ciągnęło mnie do prawdziwego malarstwa i kombinowałem, że pędzlem po płótnie to można machać wszędzie. Nie miałem formalnego wykształcenia - zacząłem college, ale wyleciałem - i by tak rzec, wiedziałem, że to odbiera mi trochę punktów, ale wiedziałem też, że są artyści, którzy radzą sobie bez tego całego zasranego mydlenia oczu dyplomami - choćby Babcia Moses. Żeby dostać się na szczyt, nie potrzebowała prawa jazdy. Wjechała, jak umiała.

Mogło mi się nawet udać. Sprzedałem kilka olejów. Niedużo - nie było mi to potrzebne, bo żony nie miałem, a wiodło mi się niezłe dzięki firmie. Poza tym trzymałem malunki, żeby mieć coś na wystawę, jak na artystę przystało. I wystawiałem z parę razy. Najpierw właśnie tu, w miasteczku, potem w Cedar Rapids, potem w Des Moines. Wtedy napisali o mnie w „Democrat” i uhonorowali tak, że wyszedłem na drugiego Jamesa Whistlera.

Dave popadł w zadumę. Podniósł głowę i popatrzył na puste, płowe pola.

- W AA mówią, że są ludzie, którzy jedną nogą tkwią w przyszłości, a drugą w przeszłości i dlatego obszczywają swoje teraźniejsze życie. I czasem ciężko się nie zastanowić, jak wszystko mogłoby się potoczyć, gdyby człowiek troszkę inaczej pokierował własnym losem.

Spojrzał niemal z poczuciem winy na Naomi, która uśmiechnęła się i uścisnęła mu dłoń.

- Bo byłem dobry i niedaleko miałem do szczytu. Ale ostro grzałem, nawet wtedy. Niewiele się nad tym zastanawiałem - do cholery, byłem młody, byłem zdrowy, a poza tym czy wszyscy wielcy artyści nie grzeją? Myślałem, że tak być musi. A zresztą i tak mogłem coś osiągnąć - choć trochę - i mogłoby to trwać jakiś czas, ale do Junction City przyjechała Ardelia Lortz.

A kiedy przyjechała, byłem zgubiony. Spojrzał na Sama.

- Rozpoznaję ją z twojej opowieści, Sam, ale wtedy nie tak wyglądała. Ty spodziewałeś się starszej pani, i to zobaczyłeś. Ale kiedy zjechała do Junction City latem 1957, była ciemną blondynką, a pulchna była tylko tam, gdzie kobieta powinna być pulchna.

Mieszkałem wtedy w Proverbii i zwykle chadzałem do kościoła baptystów. Nie przywiązywałem wielkiej wagi do religii, ale trafiały się tam niezłe prezentujące się damy. Twoja mama, Sarah, była jedną z nich.

Naomi roześmiała się, jakby usłyszała coś, w co nie do końca wierzy.

- Miejscowi od razu kupili Ardelię. Założę się, że w dzisiejszych czasach, kiedy ludzie należący do tamtego kościoła mówią o niej - jeśli w ogóle mówią, to walą tak: „Od samiuśkiego początku było coś dziwnego w tej Lortz” albo „Zawsze coś mi się nie podobało w oczach tej kobiety”, ale mówię ci, było zupełnie inaczej. Latali wokół niej - i kobiety, i mężczyźni - jak pszczoły koło pierwszego wiosennego kwiatka. Nie minął miesiąc, a dostała pracę jako asystentka pana Lavina, ale już dwa tygodnie wcześniej wzięła klasę maluchów w szkółce niedzielnej w Proverbii.

Wolę nie myśleć, czego ona ich uczyła - stawiam ostatniego dolara, że święty Mateusz dziwiłby się tej ewangelii - ale uczyła.

I każdy przysięgłby, że maluchy ją uwielbiają. One też gotowe były to przysiąc, ale kiedy o tym mówiły, miały takie spojrzenia... takie zagubione spojrzenia, jakby nie były całkiem pewne, gdzie ani nawet kim są.

No cóż, wpadła mi w oko... aja jej. Z tego, jak dziś wyglądam, nie zgadłbyś, że wtedy był ze mnie chłopak jak lalka. Zawsze opalony od pracy na dworze, muskuły jak żelazo,



włosy od słońca prawie białe, a brzuch to miałem płaski jak twoja deska do prasowania, Sarah.

Ardelia wynajęła sobie wiejską chałupę półtorej mili od kościoła. Niewielki domek. Prosił się o farbę jak gardło o łyk wody na pustyni. Więc na drugi tydzień wypatrzyłem Ardelię po kościele - nie chodziłem za często, a dobiegał środek sierpnia - i zaoferowałem jej, że pomaluję dom.

Nigdy u nikogo nie widzieliście tak wielkich oczu, jakie ona miała. Większość ludzi powiedziałyby, że są szare, ale kiedy spojrzała na ciebie wprost, uważnie, przysięgłbyś, że są srebrne. I tego dnia po kościele spojrzała na mnie uważnie. Używała jakichś perfum, których nie wahałem nigdy przedtem i nigdy potem. Myślę, że to lawenda. Pojęcia nie mam, jak opisać ten zapach, ale mnie zawsze kojarzył się z białymi kwiatuskami, które rozkwitają tylko po zachodzie słońca. I urzekła mnie. W jednej chwili.

Stała blisko, prawie tak blisko, że się dotykaliśmy. Ubrana była w luźną czarną suknię, taką, co to noszą starsze panie, do tego kapelusz z maleńką woalką i torebka. Wszystko skromnie i przyzwoicie. Tylko że jej oczy nie były przyzwoite. Nie, szanowny panie. Ani skromne. Wcale.

„Mam nadzieję, że nie opacykujesz mi domu reklamami bielidła i tytoniu do żucia”, mówi.

„Skąd, szanowna pani, ja na to. Myślę tylko o dwóch warstwach zwykłego, dobrego, starego wapna. I tak zresztą nie utrzymuję się z malarstwa pokojowego, ale że jest pani w mieście nowa i w ogóle, postanowiłem, że machnę to tak po sąsiedzku...”.

„To ładnie”, mówi ona i dotyka mojego ramienia.

Dave spojrzał przepaszająco na Naomi.

- Jak masz ochotę iść, to myślę, że nie powinienem cię zatrzymywać. Zaraz złączą się prawdziwe świństwa, Sarah. Wstydzę się, ale chcę się oczyścić z wszystkiego, com z nią robił.

Poklepała go po starczej, zniszczonej ręce.

- Ciągnij dalej - powiedziała spokojnie. - Mów wszystko.

- Kiedy mnie dotknęła, wiedziałem, że muszę ją mieć albo skonam. To jedno lekutkie dotknięcie dało mi więcej rozkoszy - i obudziło większe szaleństwo - niż stało się to za sprawą jakiegokolwiek innej kobiety. Też to poczuła. Poznałem to po jej oczach. Były przebiegłe. I podłe. Ale coś w nich podbechtało mnie jeszcze bardziej niż wszystko inne.

„Po sąsiedzku, Dave, powiada ona, a ja chcę być bardzo dobrą sąsiadką”.

Więc odprowadziłem ją do domu. Nie da się ukryć, że wszystkie młode chłopaki zostały jak niepyszne przed kościołem. Byli pewnie wściekli i przeklinali mnie na czym świat stoi. Nie wiedzieli, jakie mają szczęście. Żaden nie wiedział.

Mój ford stał w warsztacie, a ona nie miała samochodu, więc przyszło nam zdać się na własne nogi. Nie przeszkadzało mi to ani odrobinę, a wyglądało na to, że jej też nie. Szliśmy sobie Truman Road, która wtedy jeszcze była polną drogą, choć posyłali tam co kilka tygodni miejski beczkowóz, żeby się nie kurzyło z nadto.

Byliśmy w połowie drogi do domu, a tu ona się zatrzymuje. Stoimy samiuteńcy pośrodku Truman Road w samo letnie południe. Po jednej stronie rośnie milion akrów kukurydzy Sama Ordaya, po drugiej dwa miliony Billa Humpe'a. Kryje nas z głową i szeleści tajemnie, jak to kukurydza, nawet kiedy wiatr ustanie. Mój dziadek zwykł mawiać, że z takim szelestem kukurydza wyłazi z ziemi. Nie wiem, prawda to czy nieprawda, ale strasznie tego słuchać. Tyle wam powiem.

„Popatrz! - woła ona i pokazuje na prawo. Czy widzisz?”. Wywaliłem gały, ale nic nie widzę - tylko kukurydzę. I mówię jej to.

„Pokażę ci!”, wykrzykuje i daje nura w kukurydzę, w niedzielnej sukience, bucikach na obcasach, ze wszystkim. Nawet kapelusza z woalką nie zdjęła.

Stałem przez kilka chwil jak wmurowany. I słyszę, jak się śmieje. Słyszę jej śmiech w kukurydzy. Więc biegnę za nią, trochę dlatego, żeby sprawdzić, co takiego wypatrzyła, ale głównie przez ten śmiech. Taki byłem napalony. Nie da się opowiedzieć.

Widzę, stoi w bruzdzie. Potem znika w następnej i wciąż się śmieje. Też zacząłem się śmiać i biegnę za nią, nie przejmując się, że podepczę uprawę Sama Ordaya. Sam jednej łodyżki nie przegapi, jednej łodygi na tych wszystkich akрах. Ale kiedy się przedzieram - otrzepuję z ramion wąsy z kukurydzy, zielony liść wczepił mi się w krawat jak jaka nowa spinka - szybko odchodzi mnie chęćka do śmiechu. Nie ma Ardelii. Słyszę ją z drugiej strony. Jak się tam dostała, nie wiem, ale się dostała. Więc zapycham tam i widzę tylko, że znów znika.

Bawiliśmy się w chowanego chyba przez pół godziny i nie mogłem jej złapać. A byłem coraz bardziej zgrzany i napalony. Spodziewałem się jej o rząd łodyg przede mną, ale jak tam skoczyłem, była o dwa. Za mną. Czasem widziałem stopę, nogę. Oczywiście zostawiała ślady w miękkiej ziemi, ale to na nic, bo zdawało się, że idą naraz we wszystkich kierunkach.

A kiedy zacząłem już dostawać szału - przepociłem swoją niedzielną koszulę, krawat mi się rozwiązał, a w butach miałem pełno ziemi - przeskakuję następny rząd i widzę, wisi jej kapelusz, który zabłąkał się między rośliny, woalka furkoce na wietrze.

„Złap mnie, Dave!”, woła ona do mnie. Chwytam kapelusz i zapycham po skosie w następny zagon. Ardelii nie ma - tylko kukurydza chwieje się, ślad po niej - ale są oba buciki. W następnym zagonie znajduję na kolbie jedwabną pończochę. I ciągle słyszę śmiech. I ciągle tam, gdzie się nie spodziewam. Bóg wie, jak ta suka się wywijala. Choć teraz ani mnie to ziębi, ani grzeje.

Zrywam krawat i rzucam się za nią, robię kółko raz i drugi, jakbym tańczył na wiejskim weselu, dyszę jak durny pies, któremu brak rozumu, żeby lec w upalny dzień. I coś wam powiem - wszędzie starasiłem kukurydzę, zostawiałem za sobą wyłamany pas. A ona nie złamała ani łodygi. Kołysały się tylko za nią, jakby nie mogła narobić większej szkody niż wiaterek.

Znalazłem jej sukienkę, halkę i pas do pończoch. Potem biustonosz i niewymowne. Już się nie śmiała. Słyszałem tylko szelest kukurydzy. Stałem w bruździe, sapałem jak dziurawy bojler, ścisnąłem wszystkie jej łachy przy piersi. Zapach perfum doprowadzał mnie do szaleństwa.

„Gdzie jesteś?!”, drę się, ale odpowiedzi nie słysząc. No i w końcu straciłem tę odrobinę zdrowego rozsądku, co mi jeszcze została... a jej o to właśnie chodziło. „Gdzie, kurwa, jesteś?!”, wrzasnąłem, a ona wyciąga spomiędzy łodyg długą białą rękę i drapie mnie po szyi jednym palcem. Mało z portek nie wyskoczyłem.

„Już dawno czekam tu na ciebie, mówi. Coś tak długo robił? Nie chcesz sobie popatrzeć?”. Łapie mnie, ciągnie i widzę: stoi boso z nogami wbitymi w ziemię, golusienka, a oczy ma srebrne jak deszcz w mglisty dzień.

## 2

Dave pociągnął duży łyk wody, zamknął oczy i mówił dalej. - To, co nas złączyło w kukurydzy, to nie była miłość. Przez cały ten czas, gdy z nią przestawałem, nigdy nie było między nami miłości. Ale było coś. Posiadłem Ardelię na każdy sposób, na jaki mężczyzna może osiąść kobietę, i tak, że wam nigdy nie przyszłoby to do głowy. Nie pamiętam wszystkich tych sposobów, ale pamiętam jej ciało; jak było białe; jakie miała nogi; kurczyła palce, jakby chciała wymacać korzenie w ziemi; pamiętam, jak drapała mnie paznokciami po karku i szyi.

Robiliśmy to i robiliśmy. Nie pamiętam, ile razy, ale pamiętam, że w ogóle nie byłem zmęczony. Kiedy zaczęliśmy, byłem tak napalony, że mogłem zgwałcić Statuę Wolności, a

kiedy skończyliśmy, czułem się tak samo. Nie mogłem się nią nasycić. To chyba jak woda. Nie było żadnego sposobu, żeby kiedykolwiek ugasić we mnie tę chęć. I ona wiedziała o tym.

Ale w końcu przestaliśmy. Podniosła się na łokciach, wbiła te białe łokcie w czarną ziemię, na której leżeliśmy, spojrzała na mnie tymi swoimi srebrnymi oczami i mówi: „No co, Dave? Jesteśmy już sąsiadami?”.

Mówię jej, że chcę to dalej ciągnąć, a ona, żebym nie przeciągał struny. Mimo to chciałem na nią wleźć, ale zepchnęła mnie tak łatwo, jak matka odpycha dziecko od cycka, kiedy już nie chce karmić. Próbuję znowu. Smagnęła mnie po twarzy pazurami, rozcięła skórę w dwóch miejscach. To wreszcie ostudziło moje zapąły. Była szybka jak kot i dwa razy tak silna. Kiedy dotarło do mnie, że koniec zabawy,- ubrała się i wyprowadziła mnie z kukurydzy. Dreptałem za nią jak baranek.

Doszliśmy do jej domu. Na nikogo nie trafiliśmy, i dzięki Bogu. Moje ubranie było całe w ziemi i wąsach kukurydzianych, koszulę miałem wyciągniętą z portek, krawat zwisał z tylnej kieszeni i ciągnął się za mną jak ogon, a ciało w miejscach, o które tarła odzież, piekło, jakbym zdarł skórę do żywego. Ona za to - ona była tak czysta i chłodna jak szklanka wody z lodem w drugstorze. Ani jeden loczek rozwichrzony, na butach pyłka kurzu, a na sukience jednego wąsa z kukurydzy.

Doszliśmy do domu i kiedy go oglądałem, żeby ustalić, ile trzeba farby, przyniosła mi drinka w wysokiej szklance. Wsadziła w nią słomkę i łyżkę mięty. Myślałem, że to mrożona herbata, i pociągnąłem łyk. To była czysta szkocka.

„Jezu!”, wykrztusiłem, bo małom się nie zadusił.”Nie chcesz? - pyta i uśmiecha się złośliwie, jak to ona umiała. Może wolisz mrożonej kawy?”.

„Och, chcę”, mówię, ale to było słabo powiedziane. Musiałem się napić. W tamtych czasach próbowałem nie chlać w południe, bo tak robili alkoholicy. Ale od tego dnia skończyło się. Przez cały czas, gdy byłem z nią, piłem codziennie prawie na okrągło. Dla mnie ostatnie dwa i pół roku prezydentury Ike'a to był jeden ochlaj.

Malowałem dom - i kiedy się tylko dało, robiłem z nią to wszystko, na co mi pozwalała - a ona ustawiała „pod siebie” sprawy w bibliotece. Pan Lavin przyjął ją do pracy, ledwie przestąpiła próg, i dał jej do prowadzenia pokój dzieci. Wpadałem tam, kiedy tylko mogłem, to znaczy często, bo sam sobie byłem szefem. Kiedy pan Lavin zaczął mi wymawiać, że za dużo tam przesiaduję, obiecałem, że pomaluję całe wnętrze biblioteki za frajer. Wtedy pozwolił mi się tam kręcić, ile dusza zapagnie. Ardelia podsunęła mi, żeby to tak załatwić, i miała rację - jak zwykle.

Nie mam jakichś spójnych wspomnień z czasu, który spędziłem z nią, opętany jej czarem - bo tak to było, opętany mężczyzna żyjący pod urokiem kobiety, która wcale naprawdę nie była kobietą. Ale nie dlatego, że miałem pijackie zaćmy. Chodzi o to, że kiedy już wszystko się skończyło, chciałem zapomnieć. Więc moje wspomnienia nie łączą się ze sobą, ale lecą porwanym łańcuchem jak te wysepki na Pacyfiku. Archie Pellagos, czy jak im tam.

Pamiętam, jak zawiesiła plakat z Czerwonym Kapturkiem na drzwiach do pokoju dzieci na jakiś miesiąc przed śmiercią pana Lavina. Wzięła za rękę małego chłopczyka i doprowadziła do afisza. „Widzisz tę małą dziewczynkę?”, pyta go Ardelia. „Tak”, mówi on. „Czy wiesz, dlaczego Zły Stwór chce ją zjeść?”. „Nie”, odpowiada dzieciak, a oczka ma wielkie, poważne i pełne łez. „Bo zapomniała przynieść swoją książkę w terminie”, mówi ona. „Ty nigdy tak nie zrobisz, prawda, Willy?”. „Nie, nigdy”, mówi chłopczyk, a na to Ardelia: „Tylko się postaraj”. A potem prowadzi go do pokoju dzieci na godzinę czytania, ciągle trzymając za rączkę. Ten dzieciak - to był Willy Klemmart, zabili go w Wietnamie - obejrzał się na mnie. Stałem na rusztowaniu z pędzlem w ręce i czytałem w jego oczach jak w otwartej księdze. „Ratuj mnie przed nią, widziałem w tych oczach. Proszę, panie Duncan”. Ale jak miałem to robić? Siebie nawet nie umiałem uratować.

Dave wyciągnął czystą, choć bardzo zmiętą chustkę z otchłani tylnej kieszeni i smarknął w nią potężnie.

- Z początku pan Lavin patrzył na Ardelię, jakby stąpała po wodzie, ale po jakimś czasie zmienił zdanie. Dwa tygodnie przed jego śmiercią poszli na sakramenckie udry z powodu plakatu z Czerwonym Kapturkiem. Nigdy nie był nim zachwycony. Może nie miał zbyt jasnego pojęcia, co się dzieje podczas godziny czytania - dojdę zaraz do tego - ale nie był całkiem ślepy. Widział, jak dzieciaki patrzą na ten plakat. W końcu kazał jej go zdjąć. Wtedy zaczęła się kłótnia. Nie słyszałem wszystkiego, bo stałem wysoko nad nimi na rusztowaniu, i akustyka była zła, ale usłyszałem dość. On powiedział coś o straszaniu dzieci albo może o ranieniu dzieci, a ona odparowała, że to pomaga jej utrzymać posłuch wśród „rozrabiackich elementów”. Powiedziała, że to narzędzie wychowawcze, jak różga hikorowa.

Ale nie dał sobie w kaszę dmuchać i wreszcie musiała plakat zdjąć. Tamtej nocy miotła się jak tygrys w zoo kluty cały dzień patykiem przez głupiego dzieciaka. Chodziła po domu tam i z powrotem wielkimi, długiśnymi krokami, nagusieńka, a włosy powiewały za nią jak pochodnia na wietrze. Leżałem w łóżku pijany jak bela. Ale pamiętam. Odwróciła się i kolor jej oczu ze srebrnego przeszedł w jasną czerwień, jakby mózg zajął się ogniem. Usta

przybrały dziwny kształt, jakby chciały wyskoczyć z twarzy, czy co. Otrzeźwiałem ze strachu. Nigdy nie widziałem niczego podobnego i nigdy już nie chcę widzieć.

„Załatwię go, mówi. Załatwię tego starego alfonsa, Davey. Przekonasz się”.

Mówię jej, żeby się nie wygłupiała, niech jej nie ponosi, nawijam głodne kawałki, które zawsze są psu na budę. Słucha mnie chwilę, a potem biegnie przez pokój, biegnie tak szybko... no, po prostu nie wiem, jak to wyrazić. Stała w głębi pokoju, przy drzwiach, i nagle siedzi mi na piersiach, oczy pałają jej czerwienią, usta wysunęła jak ryj, jakby tak strasznie chciała mnie pocałować, że naciągnęła sobie skórę. Pomyślałem, że tym razem nie skończy się na podrapaniu. Przyłoży mi pazury do gardła i wbije aż do kręgosłupa.

Ale nie. Przysunęła twarz do mojej twarzy i spojrzała mi w oczy. Nie wiem, co zobaczyła - chyba strach - ale to musiało ją wprowadzić w dobry humor, bo odchyliła głowę w tył, aż połaskotała mnie włosami po udach i zaśmiała się.

„No dalej, cholerny ochlaptusie, mówi, wsadź mi. Stać cię na coś więcej?”.

No i wsadziłem jej. Bo wsadzanie jej i grzanie wody - to było wszystko, na co mnie było wtedy stać. Do tego doszło. Żadnych malunków już nie malowałem i odebrano mi prawko, jak złapano mnie trzeci raz za kółkiem po pijaku - to było w 58 albo na początku 59, a ludzie na ogół byli niezadowoleni z mojej roboty. Już nie obchodziła mnie robota, rozumiecie, chciałem tylko jej. Zaczęły kursować gadki, że nie można polegać na Duncanie... ale wszystko zwalano na wódę. Nigdy słówko nie padło, że coś jest między Ardelia a mną. Pilnowała się jak diabli. Moją reputację w krótkich abceugach diabli wzięli, ale jej reputacji nie splamił nawet pyłek.

Pan Lavin musiał coś podejrzewać. Najpierw chyba myślał, że zabijałem się w niej mocno, a ona pozwala robić do siebie słodkie oczy z rusztowania, w końcu chyba jednak poznał prawdę. Tyle że wtedy umarł. Niby na atak serca, ale ja wiedziałem swoje. W noc po jego śmierci leżeliśmy na hamaku u niej na tylnej werandzie i wtedy to ona nie miała dość. Rżnęła mnie, aż zacząłem wyc jak żywcem darty ze skóry. Wtedy położyła się obok i patrzyła na mnie zadowolona jak kot, co dostał swoją porcję śmietanki, a jej oczy znów miały ten pałący, czerwony blask. Nie mówiłbym o czymś, co mi się zdawało; ten blask odbijał mi się na ramieniu. I czułem ciepło. Jakbym siedział obok pieca, do którego nałożono drwa, rozpalono i zamknięto drzwiczki..

„Powiedziała ci, że go załatwię, Dave”, mówi nagle tym złym, szyderyczym głosem.

Byłem pijany i na wpół żywy od pieprzenia. Ledwo co do mnie docierało. Czułem się tak, jakbym spadał w lotny piasek. „Cóżes mu zrobiła?”, pytam, na wpół przytomny.

„Uściskałam go, mówi ona. Uściskałam go w niezwykły sposób. Tak jak ja potrafię. Davey, nic nie wiesz o moich niezwykłych uściskach i jak będziesz miał szczęście, nigdy się nie dowiesz. Dopadłam go między regałami, otoczyłam ramionami i ukazałam swoje prawdziwe oblicze. Rozpłakał się. Taki był przerażony. Zaczął płakać niezwykłymi łzami, a ja je scałowałam. A kiedy skończyłam, umarł w moich ramionach”.

„Niezwykłe łzy”, tak o nich powiedziała. I wtedy jej twarz... zmieniła się. Zmarszczyła się, jakbym widział ją przez warstwę wody. I zobaczyłem coś...

Dave urwał, patrzył na płaski krajobraz, na elewator zbożowy, na nic. Złapał za poręcz werandy. Zacisnął dłoń, rozluźnił i znów zacisnął.

- Nie pamiętam - odezwał się wreszcie. - A może nie chcę pamiętać. Poza dwoma rzeczami: ono miało czerwone oczy bez powiek, i dużo luźnej skóry, fałdek i wypustek wokół ust. Ale to nie była skóra. Wyglądało... groźnie. I skóra wokół ust zaczęła się jakoś poruszać, i zdaje się krzyknąłem. Wtedy ono znikło. Wszystko znikło. I znów jest tylko Ardelia, zerka na mnie i śmieje się jak śliczna, ciekawska koteczka.

„Nie przejmuj się, mówi. Ty nie musisz tego widzieć, Davey. Znaczący, dopóki będziesz robił, co ci każe. Dopóki będziesz grzecznym dzieckiem. Dopóki będziesz grzeczny. Dziś jestem bardzo szczęśliwa, bo ten stary dureń w końcu umarł. Rada miejska niedługo mianuje mnie na jego miejsce i będę rządzić wedle własnego uznania”.

Niech Bóg się wtedy nad nami zlituje, myślę sobie, ale tego nie mówię. Też byście tego nie powiedzieli, gdybyście widzieli tego stwora z jarzącymi się czerwonymi oczami, skulonego obok was w kłębek na hamaku, na głuchej wsi, tak daleko od ludzi, że nikt nie usłyszałby waszego wrzasku, nawet gdybyście wydzierali się na całe gardło.

Zaraz potem ona idzie do domu i wraca z dwoma wysokimi szklaneczkami szkockiej, i bardzo szybko wylądowałam znów dwadzieścia tysięcy mil pod powierzchnią morza, gdzie nic się nie liczy.

Zamknęła bibliotekę na dwa tygodnie - „na znak żałoby po panu Lavinie”, tak sobie to nazwała, a kiedy otworzyła, Czerwony Kapturek wisiał z powrotem na drzwiach pokoju dzieci. Kilka tygodni potem zapowiedziała mi, że potrzebuje nowych plakatów do tej salki.

Przerwał i kontynuował wolniej, ciszej.

- Chciałbym trochę, nawet teraz, osłodzić to, co opowiem, pokazać się w lepszym świetle. Chciałbym rzec, że walczyłem z nią, spierałem się, powiedziałem, że nie chcę w żaden sposób straszyć dzieciaków... ale to byłaby nieprawda. Usłuchałem bez szemrania. Niech Bóg mi wybaczy, ale tak postąpiłem. Trochę dlatego, że już się jej bałem. Ale głównie dlatego, że wciąż byłem nią opętany. I jeszcze coś. Tkwiło we mnie coś podłego, wrednego -

nie w każdym chyba to tkwi, ale niewielu jest od tego wolnych. W jakiejś mierze podobało mi się to, co ona robiła. Podobało.

Pewnie łamiecie sobie głowy, co ja takiego zrobiłem, ale ja naprawdę nie potrafię opowiedzieć wszystkiego. Naprawdę nie pamiętam. Tamte chwile mieszały się razem jak połamane zabawki, które posyła się do Armii Zbawienia, żeby tylko uprzątnąć strych.

Nikogo nie zabiłem. Tego jednego jestem pewien. Chciała mnie do tego przymusić... i prawie się jej udało... ale jak stanąłem nad przepaścią, cofnąłem się. Tylko dzięki temu mogę żyć i spojrzeć sobie w oczy. Bo jak stanąłem nad przepaścią, to - na czworakach, bo na czworakach - ale odczołgałem się. Zagarnęła część mojej duszy - może najlepszą część, ale nigdy nie zagarnęła całej.

Zamyślony popatrzył na Sama i Naomi. Wydawał się teraz spokojniejszy. Wziął się w garść. Być może czuł się bardziej w zgodzie z samym sobą.

- Pamiętam, wstąpiłem do niej raz jesienią w 59 roku - myślę, że to był 59 - a ona chce, żebym namalował plakat do pokoju dzieci. Mówi mi dokładnie, o co chodzi, a ja kiwam głową jak najęty. Nie widzę w tym nic złego. Prawdę mówiąc, wydało mi się to bardzo śmieszne. Otóż chciała, żebym namalował plakat z małym brzdącem rozjechanym na środku ulicy przez walec drogowy. Pod rysunkiem miał być napis:

**UWAŻAJ, SPIESZ SIĘ POWOLI! NIE ODDAWAJ KSIĄŻEK W OSTATNIEJ CHWILI!**

Uznałem, że chodzi jej o żart, taki jak w kreskówce: kojot goni ptaszka i wpada pod pociąg towarowy albo co. Więc mówię, że nie ma sprawy. Była rozanielona. Poszedłem do jej gabinetu i namalowałem plakat. Nie zabrało mi to dużo czasu, bo robiłem go techniką komiksową.

Myślałem, że się jej spodoba, ale się pomyliłem. Zmarszczyła brwi i zacięła usta tak, że prawie znikły. Namalowałem komiksowego chłopczyka z krzyżykami zamiast oczu i do śmiechu dopisałem facetowi prowadzącemu walec: „Jeśli macie znaczek, wyślijcie go pocztą”.

Ona nawet nie drgnęła: „Nie, Davey, nie zrozumiałeś. To nie nauczy dzieci przynoszenia książek w terminie. Gdy to zobaczą, roześmieją się tylko i dalej będą robić swoje”.

„No cóż, ja na to. Chyba nie zrozumiałem, o co ci chodzi”.

Staliśmy za stołem, przy którym oddaje się książki, więc widać nas było tylko od pasa w górę. A ona sięga ręką w dół, cap mnie za jaja, spogląda tymi swoimi wielkimi, srebrnymi oczami i mówi: „Namaluj to realistycznie”.



Po kilku sekundach zrozumiałem wreszcie, o co jej chodzi. Zrozumiałem, ale nie mogłem uwierzyć. „Ardelia, klaruję jej, nie wiesz, co mówisz. Kiedy dzieciak naprawdę wpadnie pod walec...”.

Ścisnęła mi jaja, tak żeby zaboląło - jakby chciała mi przypomnieć, kto tu rządzi - i mówi: „Wiem, dobrze wiem. Teraz ty zrozum, o co mi chodzi. Nie zależy mi na tym, żeby one się śmiały, Dave. Zależy mi na tym, żeby płakały. Więc zejź mi z oczu i zrób wszystko jak należy’.

Wróciłem do jej gabinetu. Nie miałem pojęcia, co namaluję, ale szybko ułożyło mi się w głowie. Na blacie leżał świeży bristol, obok duża szkocka ze słomką i gałązką mięty, i liścik od Ardelii: „D. - tym razem nie żałuj czerwonego”.

Spojrzał trzeźwo na Sama i Naomi.

- Ale żeby było jasne: jej tam nie było. Nawet nosa tam nie wsadziła.

### 3

Naomi poszła po szklankę świeżej wody dla Dave’a, a kiedy wróciła, Sam zauważył, że twarz ma bardzo bladą, a powieki zaczerwienione. Ale usiadła spokojnie i dała znać Dave’owi, żeby mówił dalej.

- Zrobiłem to, w czym celują alkoholicy - powiedział Dave. - Walnąłem drinka i wykonałem polecenie. Opadła mnie jakby... gorączka, tak by to chyba można nazwać. Siedziałem dwie godziny w gabinecie, chlapałem wodą i parocentowymi akwarelami po biurku, w dupie miałem porządek. Wyszło mi coś, o czym wolałbym nie pamiętać, ale pamiętam to. Mały chłopczyk leży zmiażdżony na Rampole Street, buciki spadły mu z nóg, a główka płaska jak kostka mydła, co za długo leżało na słońcu. Mężczyzna prowadzący walec drogowy jest tylko sylwetką, ale widać, że się ogląda i uśmiecha. Ten facet ciągle pojawiał się na plakatach, które dla niej robiłem. Prowadził limuzynę na tym, o którym mówiłeś, Sam, co to ostrzegał, żeby nigdy nie dać się podwozić nieznajomym.

Ojciec odszedł od mamy rok po tym, jak się urodziłem, i została sama, goła i wesoła. Teraz kojarzę, że to jego chciałem namalować na wszystkich plakatach. Nazywałem go „człowiek z mroku”, i myślę sobie, że to był mój tata. Myślę sobie, że Ardelia wywabiła go jakoś z mojej duszy. Kiedy przyniosłem jej drugą wersję, była rozanielona. Uśmieła się setnie. „Jest idealny, Davey! Naucz moresu tych smarków po wieczne czasy! Zaraz go wieszam!”. Zawiesiła nad biurkiem, przy którym wypisywała książki w pokoju dzieci. A wtedy zauważyłem coś, co autentycznie ścięło mi krew w żyłach. Chodzi o to, rozumiecie, że ja znałem tego namalowanego chłopczyka. To był Willy Klammart. Nieświadomie wziąłem

go za model. Na tym, co zostało z jego buzi, malował się ten sam wyraz, co wtedy, kiedy wzięła go za rączkę i poprowadziła do pokoju dzieci.

Siedziałem tam, kiedy dzieci przyszły na godzinę czytania i po raz pierwszy zobaczyły plakat. Były ciężko przerażone. Wytrzeszczyły oczy, a jedna mała zaczęła płakać. A mnie podobało się, że są przerażone. „Teraz dopiero nauczą się moresu, myślałem, będą wiedziały, co im grozi, jeśli się jej sprzeciwią, jeśli odważą się na nieposłuszeństwo”. A równocześnie coś mi mówiło: „Dave, ty zaczynasz myśleć jak ona. Niedługo będziesz jak ona i przepadniesz. Przepadniesz z kretesem”.

Ale ciągnąłem to dalej. Czułem się tak, jakbym miał bilet do końcowego przystanku i tylko w jedną stronę. Ardelia zatrudniała jakąś młodzież z college'u, ale zawsze dawała im robotę w czytelnicy, przy porządkowaniu zwrotów i wypisywaniu książek. Tylko ona zajmowała się dziećmi... bo dzieci najłatwiej było przestraszyć, pojmujecie. I myślę, że najlepiej sieje straszyc, z nich miała najlepszy pokarm. Bo tym się żywiła, rozumiecie. Strachem. A ja malowałem plakaty. Nie pamiętam wszystkich, ale pamiętam Policjanta Bibliotecznego. Był na wielu plakatach. Na jednym - z podpisem POLICJANT BIBLIOTECZNY TEŻ JEŹDZI NA WAKACJE - stał z wędką nad strumykiem. Na haczyk wpadł mu ten malec, którego dzieci nazywały Szurnięty Szymuś. Na innym Szurnięty Szymuś był przywiązany do rakiety i Policjant Biblioteczny naciskał starter, wysyłał raketę w przestrzeń międzyplanetarną. Ten miał napis: W BIBLIOTECE ZGŁĘBISZ WIEDZĘ NAUKOWĄ I TECHNICZNA - ALE NIE ZAPOMNIJ O WŁAŚCIWYM ZACHOWANIU I ODDAWANIU KSIĄŻEK W TERMINIE.

Wchodziły do pokoju dzieci, ale tak naprawdę była to komnata grozy - ciągnął Dave powoli, głosem zduszonym przez łyżę. - My to zrobiliśmy. Ona i ja. Dzieciom. Ale wiecie co? One przychodziły. Przychodziły, jakby im wciąż było mało. I nigdy, nigdy się nie wygadały. Ona o to zadbała.

- A rodzice?! - wyrwała się Naomi tak nagle, że Sam aż podskoczył. - Na pewno kiedy rodzice zobaczyli...

- Nie! - przerwał jej Dave. - Rodzice nigdy nie zobaczyli niczego! Z tych groźnych plakatów mogli ujrzeć tylko Czerwonego Kapturka z wilkiem. Ten Ardelia zostawiła na stałe, ale resztę wieszano tylko podczas godziny czytania - po szkole, w popołudnia piątkowe i przedpołudnia sobotnie. Ona nie była człowiekiem, Sarah.

Musisz to sobie jasno powiedzieć. Ona nie była człowiekiem. Ona wiedziała, kiedy dorośli nadchodzą, i zawsze zdążyła zdjąć te namalowane przeze mnie i zawiesić normalne,

zwykłe plakaty, na których było coś w rodzaju BIERZ KSIĄŻKĘ I CZYTAJ! - zanim oni weszli.

Pamiętam te godziny czytania - w tamtym okresie starałem się nigdy nie opuszczać Ardellii, a miałem kupę czasu, bo rzuciłem malarstwo, wszystkie stałe zajęcia mi odpadły i żyłem z resztek tego, co udało mi się zaoszczędzić. Nie minęło wiele miesięcy, a pieniądze się rozeszły i zacząłem się wyprzedawać - sprzedałem telewizor, gitarę, ciężarówkę, wreszcie dom. Ale to się nie liczyło. Liczyło się tylko, że mogłem tam przesiadywać. I widziałem, co się dzieje. Maluchy ustawiały krzeselka w kółko, a Ardelia siedziała w środku. Ja sam zasiadałem w głębi, na jednym z tych dziecięcych krzesełek, przeważnie w moim starym, poplamionym farbą kombinezonie, zapijaczony, z nieogoloną gębą, cuchnący szkocką. A ona czytała - czytała jedną ze swoich niezwykłych Ardeliowych czytanek - a potem przerywała i przekrzywiała głowę, nasłuchiwała. Dzieciaki zaczynały się wiercić i wyglądały na przelęknięte. I było w nich jeszcze coś - jakby otrząsały się z głębokiego snu, w który ona je wprowadziła.

„Zapowiada się, że będziemy mieli gości, mówiła uśmiechnięta. Czy to nie cudowne, dzieci? A są tu jacyś ochotnicy, Grzeczne Dzieci, które pomogą nam się przygotować na wizytę Dużych Ludzi?”. Wszystkie podnosiły wtedy rączki, bo wszystkie chciały być Grzecznymi Dziećmi. Wiedziały z moich plakatów, co dzieje się z Niegrzecznymi Dziećmi, które nie znają moresu. Nawet ja, siedząc w starym śmierdzącym kombinezonie, podnosiłem rękę jak najstarszy, najbardziej znużony dzieciak świata. Zrywały się i jedne zdejmowały moje plakaty, a inne wieszały normalne, z dna szuflady biurka. Robiły zamianę. Siadały, a ona przechodziła od jakiejś straszliwej opowiadki, którą ich raczyła wcześniej, do czegoś w rodzaju *Księżniczki na ziarnku grochu* i bankowo w kilka minut później jakaś matka wsadza głowę i co widzi: porządne, Grzeczne Dzieci słuchają opowiadki przemiłej panny Lortz. Matka uśmiecha się do dziecka, dziecko uśmiecha się do matki i wszystko gra.

- Co to za straszliwe opowiadki, którymi je raczyła? - spytał Sam. Głos miał matowy i w ustach mu zaschło. Słuchał opowieści Dave'a z rosnącą grozą i obrzydzeniem.

- Bajki - powiedział Dave. - Ale ona zmieniała je w horrory. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak niewiele trudu kosztowała ją ta zmiana.

- Ja się nie dziwię - ponuro zauważyła Naomi. - Pamiętam te opowiadki.

- Pewnie, musisz je pamiętać, ale nigdy nie słyszałaś wersji Ardellii. Ale dzieciakom się podobały. Niektóre lubiły te historie i lubiły ją. Pociągała je, fascynowała, tak jak mnie. No, niedokładnie, bo nie było mowy o seksie - przynajmniej tak sędzę - ale mrok w niej przyzywał ten mrok, który tkwił w nich. Pojmujecie?

I Sam, wspominając straszliwą fascynację historią Sinobrodego, tańczące miotły w disnejowskiej „Fantazji”, pojął to. Dzieci nienawidzą mroku i śmiertelnie się go lękają... ale czują do niego pociąg, czyż nie tak? Nawoływał je, („chodź ze mną, cynu”) czyż nie tak? Śpiewał im, („jectem policjantem”) czyż nie tak?

„Czyż nie?”.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Dave - powiedział. Dave pokiwał głową.

- Doszedłeś już do tego, Sam? Kim był twój Policjant Biblioteczny?

- Ciągle mam z tym kłopot - powiedział Sam, ale powoli dochodził prawdy. To się odbywało tak, jakby jego umysł był głębokim czarnym zbiornikiem wodnym, na którego dnie spoczywała łódź. Ale nie była jaka łódź. Nie. Piracki szkuner, pełen łupów i martwych ciał. Drgnął w mule, który więził go jakże długo. Sam lękał się, że niebawem widmowy, nienawistny wrak wynurzy się na powierzchnię, ukażą się połamane maszty, udrapowane czarnymi wodorostami, a szkielet sternika, szczerząc zęby w nieprawdopodobnie szerokim uśmiechu, będzie się kręcił, przytroczony linami do gnijących resztek koła sterowego.

- Nie wydaje mi się - powiedział Dave - żebyś był tak całkiem bezradny. To musi wyjść na światło dzienne, Sam. Wierz mi.

- Ciągle nie rozumiem, o co chodzi z tymi opowieściami - powiedziała Naomi.

- Sarah, jedną z jej ulubionych opowieści - dzieci też ją uwielbiały, musisz to zrozumieć i w to uwierzyć - była *Złotowłosa i trzy misie*. Opowiastkę znasz, ale nie w tej wersji, w jakiej znają ją niektórzy ludzie w mieście - ludzie teraz dorośli, bankierzy, prawnicy i bogaci farmerzy z całymi sznurami traktorów. Zrozum, głęboko w pamięci zachowali wersję Ardellii Lortz. Może niektórzy opowiadają te historyjki swoim dzieciom, nie wiedząc, że można opowiedzieć je inaczej. Na myśl o tym cierpnie mi skóra, ale w głębi serca wiem, że to prawda.

W wersji Ardellii Złotowłosa jest Niegrzecznym Dzieckiem, które nie zna moresu. Przychodzi do domku trzech misiów i robi bałagan - zdziera zasłonki Mamy Misiowej, rozrzuca pranie po błocie, targa wszystkie czasopisma i urzędowe papiery Taty Misia i nożem do steków wycina dziurę w jego ulubionym foteliku. A potem drze wszystkie książki. Myślę, że Ardellia najbardziej uwielbiała ten fragment. I nie je owsianki, skądże! Nie w wersji Ardellii! U Ardellii Złotowłosa dobiera się do leżącej na górnej półce trutki na szczury i sypie ją do wszystkich miseczek jak cukier puder. Złotowłosa nie zna mieszkańców domku, ale mimo to chce ich zabić. Takie z niej Niegrzeczne Dziecko,

- To straszne! - wykrzyknęła Naomi. Całkowicie straciła panowanie nad sobą - po raz pierwszy. Ręce zacisnęła na ustach i spoglądała na Dave'a rozszerzonymi źrenicami.

- Tak. Tak było. Ale nie koniec na tym. Złotowłosa jest zmęczona robieniem nieporządków. Wdrapuje się na górę, robi bałagan w sypialni Misiów i zmożona snem pada na łóżeczko Taty Misia. A kiedy trzy Misie przychodzą do domku i widzą Złotowłosą, rzucają się na nią żarłocznie - tak Ardelia zwykła to opowiadać - rzucają się na nią żarłocznie i zjadają to Niegrzeczne Dziecko żywcem. Napoczynają ją od nówek, a ona cały czas krzyczy przeraźliwie i stawia opór. Zostawiają tylko główkę. Główkę zostawiają, ponieważ wiedzą, co zrobiła z ich owsianką. Wywęchały truciznę. „Łatwo im to przyszło, dzieci, ponieważ to były Misie”, zwykła mówić Ardelia, a wszystkie dzieci, Ardeliowe Grzeczne Dzieci - kiwały główkami, ponieważ wtedy stawało się dla nich jasne, jak Misie na to wpadły. „Zabrały główkę Złotowłosej do kuchni, ugotowały i zjadły mózg na śniadanko. Wszystkim bardzo smakował... i żyły długo i szczęśliwie”.

#### 4

Na werandzie zaległa gęsta, prawie śmiertelna cisza. Dave sięgnął po szklankę i o mało nie stracił jej z balustrady drżącymi palcami. Uratował ją w ostatniej chwili, złapał w dwie ręce i popił chciwie. Odstawił i spytał Sama:

- Dziwisz się, że straciłem trochę kontrolę nad piciem? Sam potrząsnął głową.

Dave przyjrzał się Naomi i rzekł:

- Czy rozumiesz teraz, dlaczego nigdy nie mogłem opowiedzieć tej historii? Dlaczego wsadziłem ją do tej komórki?

- Tak - westchnęła drżącym szeptem. - I chyba rozumiem, dlaczego dzieciaki nigdy nic nie pisnęły. Niektóre rzeczy są po prostu za bardzo... za bardzo potworne.

- Dla nas może i tak. Dla dzieci? Nie wiem, Sarah. Nie zdaje mi się, żeby dzieci rozpoznawały potwory na pierwszy rzut oka. Tego uczą je dopiero rodzice. A ona umiała jeszcze jedno. Pamiętacie, mówiłem, że kiedy przerywała opowieść i zapowiadała nadejście dorosłego, dzieci jakby budziły się z głębokiego snu. One faktycznie zapadały w jakiś prawdziwy sen. To nie była hipnoza, ale coś podobnego. Niby nie zapamiętywały, przynajmniej świadomie, tych opowiastek i plakatów. Ale w głębi, na dnie pamięci musiało sporo zostać... jak na dnie twojej pamięci został obraz twojego Policjanta Bibliotecznego. Myślę, że oni do dziś pamiętają - bankierzy i prawnicy, i bogaci farmerzy, którzy kiedyś byli Ardeliowymi Grzeczными Dziećmi. Ciągłe ich widzę, ubranych w fartuszki i krótkie spodenki, siedzących na małych krzeselkach. Oczkami wielkimi i okrągłymi jak tortownice patrzą na siedzącą w środku Ardelię. I myślę sobie, że kiedy zapada zmrok i zbliża się burza, albo kiedy śpią i nadchodzą koszmary, wracają do czasu dzieciństwa. Myślę sobie, że otwierają się drzwi i widzą trzy Misie - Ardeliowe trzy Misie, jak jedzą drewnianymi łyżkami

mózg Złotowłosej, a mały Miś nosi na łebku złotą perukę z długiego skalpu Złotowłosej. Myślę, że budzą się spoceni, jest im niedobrze i boją się. Myślę, że kiedy odeszła z tego miasta, zostawiła spadek: tajemne koszmary.

Ale ciągle jeszcze nie doszedłem do najgorszego. Wiecie, opowieści... cóż, niekiedy plakaty, ale przeważnie opowieści przerażały je tak, że czasem któreś dostawało ataku płaczu, mdlało, traciło przytomność lub coś w tym rodzaju. A wtedy ona zwracała się do reszty: „Opuśćcie główki i odpocznijcie trochę, a ja wezmę Bilia... albo Sandrę... albo Tommy’ego... do toalety i zajmę się nim”.

Wszystkie opuszczają główki w jednej chwili. Jakby umierały. Gdy zobaczyłem to pierwszy raz - wyprowadziła małą dziewczynkę, odczekałem dwie minuty, wstałem i podszedłem do kręgu. Zacząłem od Willy’ego Klemmarta.

„Willy! - szepcę i trącam go w ramię. Wszystko dobrze, Willy?”.

W ogóle się nie ruszył, więc trącam go mocniej i znów wołam po imieniu. Wciąż się nie rusza. Słyszę, jak oddycha - ciężko i chrapliwie, normalne u dzieciaków, na okrągło cieknie im z nosa - ale ciągle jest jak umarły. Powieki nie całkiem zamknięte, ale widzę tylko białka. Długa strużka śliny zwisa z dolnej wargi. Wystraszyłem się i podszedłem jeszcze do kilku, ale żadne nie podnosi głowy, nie wydaje głosu.

- Mówisz, że je zaczarowała, tak? - zapytał Sam. - Że ogarnął je taki stan jak Królową Śnieżkę po zjedzeniu zatrutego jabłka?

- Tak - przytaknął Dave. - Właśnie tak. Ze mną było tak samo, a jednocześnie inaczej. Już szykowałem się złapać Willy’ego Klemmarta i zdrowo nim potrząsnąć, a tu słyszę, że ona wraca z toalety. Biegnę na swoje miejsce, żeby mnie nie przyłapała. Bardziej bałem się o siebie niż o te dzieci.

Weszła z małą dziewczynką. Kiedy Ardelia ją wyprowadzała, mała była na wpół przytomna i szara jak brudne prześcieradło. A teraz wygląda, jakby właśnie dostała najlepszy środek uspokajający świata. Ożywiona, policzki rumiane jak jabłuszko, iskierki w oczkach. Ardelia poklepała ją po pupie i mała pobiegła na swoje miejsce. Wtedy Ardelia klaszcze w ręce i woła: „Wszystkie Grzeczne Dzieci podnoszą główki! Sonia czuje się dużo lepiej i chce się dowiedzieć, jak kończy się opowiadanie, prawda, Soniu?”.

„Tak, psze pani”, piszczy Sonia, rześka jak wróbelek w ptasiej sadzawce. I wszystkie dzieciaki podnoszą głowy. Nigdy byś nie pomyślał, że dwie sekundy temu pokój wyglądał, jakby był pełen małych umarłaków.

Za jakimś czwartym razem, jak się to powtórzyło, odczekałem, aż wyjdzie z pokoju, i poszedłem za nią. Rozumiecie, wiedziałem, że straszy je świadomie, i kombinowałem, że ma w tym jakiś cel. Sam mało nie umarłem ze strachu, ale chciałem się dowiedzieć, co jest grane.

Tym razem zabrała do toalety Willy'ego Klemmarta. Zaczął histeryzować podczas Ardeliowej wersji *Jasia i Małgosi*. Drzwi toalety otwierają się łatwo i cicho. Widzę, Ardelia klęczy przed Willym obok umywalki. Mały przestał już płakać, ale poza tym trudno mi się zorientować. Rozumiecie, był tak drobny, że Ardelia zasłaniała go całkiem, nawet klęcząc. Widzę, że oparł ręce na jej ramionach, na takiej wełnianej bluzie, którą miała na sobie, i widzę rękaw jego czerwonego sweterka, ale nic więcej. I nagle coś słyszę: głośne ssanie, taki odgłos, jaki powstaje, gdy pijąc przez słomkę, kończysz koktajl mleczny i ze szklanki wyziera dno. Najpierw pomyślałem, że go... no, wiecie, wykorzystuje seksualnie. I wykorzystywała go, ale nie tak, jak myślałem.

Wchodzę trochę dalej, sunę w prawo na palcach, żeby obcasy nie stukały. I tak bałem się, że mnie usłyszy... bo uszy miała wyczulone jak cholerny radar i w każdej chwili mogła się obrócić i przyszpilić mnie tymi swoimi czerwonymi ślepiami. Ale nie mogłem przerwać tego, co zacząłem. Musiałem zobaczyć. I kiedy przesuwalem się w prawo, krok za krokiem, zobaczyłem.

Twarz Willy'ego wynurzała się znad jej ramienia, kawałeczek po kawałeczku, jak księżyc wychodzący z zaćmienia. Jeśli chodzi o nią, to najpierw widziałem tylko jasne włosy - masę ich miała, masę pukli i loczków - ale niebawem także jej twarz. I widzę, co ona robi. Wtedy cała siła uszła mi z nóg jak woda z rynny. Nie było mowy, żeby mnie zauważyli, chyba żebym zaczął walić w rury, które szły pod sufitem. Mieli zamknięte oczy. Ale nie w tym rzecz. Rozumiecie, byli pochłonięci tym, co robili. Byli tym pochłonięci oboje w równym stopniu. Wpili się jedno w drugie.

Twarz Ardelii całkiem się odczłowieczyła. Ciągnęła się jak rozgrzane toffi, zrobiła lejąca, nos się spłaszczył, oczodoły wyciągnęły skośnie jak u Chinki i upodobniła się do jakiegoś owada... muchy, a może pszczoły. Usta znikły. Zmieniły się w to coś, co widziałem dawniej, jak zabiła pana Lavina, w tę noc, kiedy leżeliśmy na hamaku. Zmieniły się w końcówkę lejka. Widziałem na nim takie dziwne czerwone smugi. Najpierw pomyślałem, że to krew, a może żyły pod skórą, a potem skojarzyłem, że to szminka do ust. Nie miała już warg, ale pomadka wskazywała miejsca, w których poprzednio były.

Tą ssawką piła z oczu Willy'ego.

Sam patrzył na Dave'a oszołomiony. Przez moment rozważał, czy starzec nie stracił zmysłów. Co innego duchy, a co innego to, co opowiadał Dave. Sam zresztą nie miał

zielonego pojęcia, jak to coś nazwać. A równocześnie szczerłość biła Dave'owi z twarzy i Sam zdecydował: jeśli kłamie, to nieświadomie.

- Dave, czy chcesz powiedzieć, że Ardelia Lortz piła jego łzy? - z wahaniem spytała Naomi.

- Tak... i nie. Piła jego niezwykle łzy. Wyciągnęła do niego twarz, trzepocząc jak serce, rysy spłaszczyły się jej kompletnie. Wyglądało to jak maska zrobiona z torby plastikowej na zakupy - z malunkiem na Halloween.

Z kącików oczu Willy'ego wyłaziło coś kleistego, różowego, coś jak krwawe smarki albo rozpuszczone kawałki ciała. Ssała to i chlipała. Piła jego strach. W jakiś sposób sprawiła, że strach stał się namacalny i tak nabrzmiały, że musiał wypłynąć tymi strasznymi łzami albo zabić dzieciaka.

- Mówisz, że Ardelia była kimś w rodzaju wampira, o to chodzi, tak? - spytał Sam.

Dave poczuł wyraźną ulgę.

- Tak. Zgadza się. Od tego dnia tak właśnie myślałem - odważyłem się myśleć - że tym właśnie była. Wszystkie te stare opowieści, w których wampiry wbijają ludziom zęby w gardło i wypijają krew, to nieprawda. Do prawdy brakuje im niewiele, ale w tym interesie niewiele to bardzo dużo. Piją, ale nie z szyi; tyją i kwitną dzięki temu, co wysysają swoim ofiarom, ale nie wysysają krwi. Może to coś staje się czerwiejsze, bardziej krwawe, kiedy ofiary dorastają. Może wyssała to panu Lavinowi. Tak, myślę, że mu to zrobiła. Ale to nie krew.

To strach.

## 5

- Pojęcia nie mam, jak długo tam stałem i patrzyłem na nią, ale to nie mogło się zanadto ciągnąć - nigdy nie wychodziła na dłużej niż pięć minut. Po jakiejś chwili to coś, co wyłaziło Willy'emu z oczu, zaczęło coraz bardziej blaknąć i było tego coraz mniej. Widziałem, że to... rozumiecie... to coś, czym ssała...

- Trąbka owadzia - cicho powiedziała Naomi. - Wydaje mi się, że to musiała być trąbka owadzia.

- Tak się nazywa? W porządku. Widziałem, jak ta niby-trąbka wyciąga się coraz bardziej, żeby nie uronić ani kropli, żeby wysysać wszystko, i wiedziałem, że ona już kończy. Kiedy się to stanie, obudzą się i ona mnie zobaczy. A wtedy chyba zabije.

Zacząłem się cofać powoli, krok po kroku. Bałem się, że mi się może nie udać, ale wreszcie wszedłem tyłkiem w drzwi. Mało wtedy nie wrzasnąłem, bo nagle przyszło mi do



głowy, że jakimś cudem obeszła mnie od tyłu. Byłem tego pewien, choć widziałem ją klęczącą.

Zacisnąłem ręce na ustach, żeby nie krzyknąć, i wymknąłem się przez drzwi. Postąpiłem chwilę. Zamknęły się na pneumatycznych zawiasach. Wieki to trwało. Ruszyłem do bramy wyjściowej. Mało nie oszalałem; chciałem wydostać się stamtąd i nigdy już nie wracać. Chciałem tylko uciekać.

Doszedłem do westybulu, tam, gdzie stała ta tabliczka, co ją widziałeś, Sam - na której było tylko CISZA! - i wtedy wziąłem siew garść. Jeśli zaprowadzi z powrotem Willy'ego do pokoju dzieci i mnie nie zobaczy, zorientuje się, że podglądałem. Będzie mnie ścigać. I dopadnie. Nawet nie musiałyby się specjalnie starać. Wciąż pamiętałem ten dzień w kukurydzy. Zataczała wokół mnie koła i nie uroniła kropli potu.

Więc zawróciłem na pięcie i podążyłem na swoje miejsce w pokoju dzieci. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło mi zrobić w życiu, ale jakoś tego dokonałem. Nie usadziłem dobrze dupy na krześle, gdy usłyszałem, jak wracają. I oczywiście Willy szczęśliwy i zdrow jak rydz. Ona też. Mogła wejść na ring z Carmen Basilio i w trzy szybkie rundki złożyć go solidnie.

„Wszystkie Grzeczne Dzieci podnoszą główki!”, woła i klaszcze. Podnoszą głowy i patrzą na nią. „Willy czuje się znacznie lepiej i chce, żebym skończyła opowiastkę. Prawda Willy?”.

„Tak, psze pani”, mówi Willy. Ona daje mu całusa, a on biegnie do krzeselka. Skończyła opowiastkę. Ja siedziałem i słuchałem. A kiedy skończyła się godzina czytania, zacząłem chlać. I od tamtej chwili aż do końca nigdy praktycznie nie przestałem.

## 6

- Ale jak to się skończyło? - zapytał Sam. - Co o tym wiesz?

- Nie tyle, ile bym wiedział, gdybym nie był stale pijany jak bela, ale więcej, niż chciałbym wiedzieć. Nawet nie jestem całkowicie pewien, jak długo trwał ten ostatni okres. Myślę, że ze cztery miesiące, ale mogło być sześć, a nawet z osiem. Wtedy to już nawet nie rozpoznawałem pór roku. Kiedy taki pijus jak ja naprawdę zaczyna jechać w dół, Sam, to traci wrażliwość na piękno przyrody. Widzi wszystko przez dno butelki. Ale dwie rzeczy do mnie dotarły i tylko one się liczyły. Po pierwsze, ktoś zaczął się na niej wyznawać. Po drugie, nadchodził jej czas snu. Czas przemiany.

Pamiętam jedną noc u niej w domu - nigdy nie przyszła do mnie, ani razu. „Robię się senna, Dave, powiedziała. Ciągłe chce mi się spać. Niedługo przyjdzie czas długiego odpoczynku. A kiedy się zaczniesz, chcę, żebyś zasnął razem ze mną. Polubiłam cię, wiesz”.

Oczywiście byłem pijany, ale przeszły mnie ciarki. Zdawało mi się, że rozumiem, o czym mówi, ale kiedy ją zapytałem, zaśmiała się.

„Nie, nie o to chodzi, mówi i patrzy karcąco i z rozbawieniem. Mówię o śnie, nie o śmierci. Ale musisz nabrać pokarmu, jak ja”.

Szybko wytrzeźwiałem. Ona myślała, że nie wiem, o czym mówi, ale ja wiedziałem. Widziałem to.

Zaczyna mnie rozpytywać o dzieciaki. Których nie lubię, które są fałszywe, które są zbyt hałaśliwe, które są najbardziej nieznośne. „To Niegrzeczne Dzieci i nie zasługują, żeby żyć, mówi. Są chamskie, niszczą wszystko, oddają książki pomazane ołówkiem i z wyrwanymi kartkami. Które twoim zdaniem, Davey, zasługują na śmierć?”.

Wtedy zorientowałem się, że muszę od niej uciec, choćbym miał się zabić. Rozumiecie, coś się z nią działo. Włosy jej matowiały, a skóra, zawsze idealna, pokrywała się plamami. I jeszcze coś widziałem: tę ssawkę, to coś, w co zamieniały się jej usta - widziałem to cały czas, tuż pod skórą. Ale zrobiło się pomarszczone i pozwijane, i pojawiły się w tym włókna jak pajęczyna.

Pewnej nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku, zobaczyła, że gapię się na jej włosy, i mówi: „Widzisz we mnie zmianę, no nie, Davey?”. Klepie mnie po policzku. „To nic złego; to absolutnie normalne. Zawsze się tak dzieje, kiedy szykuję się do snu. Muszę to zrobić szybko i jak chcesz iść ze mną, będziesz musiał wkrótce załatwić jedno z dzieci. Albo dwoje. Albo troje. Im więcej, tym lepiej!”. Śmieje się szaleńczo, jak to ona, oczy zrobiły się jej czerwone. „Tak czy owak, nie spodziewaj się, że cię zostawię. Pominąwszy inne względy, nie byłoby to bezpieczne. Wiesz o tym, prawda?”.

Powiedziałem, że wiem.

„Więc jeśli nie chcesz umrzeć, Davey, musi się to odbyć wkrótce. Naprawdę wkrótce. A jak nie, powinieneś teraz mi powiedzieć. Skończymy nasz związek miło i bezboleśnie dziś w nocy”.

Pochyliła się nade mną i czuję jej oddech. Śmierdziała zepsutym psim żarciem i nie mogłem uwierzyć, że kiedykolwiek, trzeźwy czy nawet po pijaku, całowałem usta, z których buchał taki smród. Ale była we mnie jakaś iskra - jakaś mała iskierka przywiązania do życia, bo powiedziałem jej, że chcę iść z nią, ale potrzeba mi więcej czasu, żeby się przygotować. Żeby przyzwyczaić się do tej myśli.

„Znaczący, musisz sobie łyknąć, mówi ona. Powinieneś paść na kolana i dziękować za mnie twoim mizernym, nieszczęsnym gwiazdom, Dave Duncanie. Gdyby nie ja, leżałbyś martwy w rynsztoku za rok, może wcześniej. Przy mnie będziesz żył niemal wiecznie”.

Na sekundkę wyciągnęła usta, dotknęły mojego policzka. I jakoś udało mi się nie wrzasnąć. Dave popatrzył na nich swymi głęboko zapadniętymi, udręczonymi oczami. A potem się uśmiechnął. Sam Peebles miał nigdy nie zapomnieć udręki kryjącej się w tym uśmiechu. Prześladowała go w snach aż do śmierci.

- Ale to bez znaczenia - powiedział. - Od tej pory ciągle we mnie coś wrzeszczy.

7

- Miło byłoby rzec, iż w końcu wydobyłem się spod jej władzy, ale to byłoby kłamstwo. Los tak zdarzył, albo jak mówią ludzie w Programie, wyższa potęga. Musicie zrozumieć, że przy końcu 1960 roku żyłem w całkowitej separacji z resztą miasteczka. Pamiętasz, Sam, jak mówiłem, że kiedyś byłem członkiem Rotary Club? No cóż, w lutym sześćdziesiątego ci chłopcy nie wzięliby mnie do czyszczenia kłopotów w swoich sraczach. W oczach Junction City byłem jeszcze jednym Niegrzecznym Dzieckiem pędzącym żywot wyrzutka. Ludzie, których znałem całe życie, widząc mnie, przechodzili na drugą stronę ulicy. Byłem kiedyś nie do zdarcia, ale woda podkopywała moje siły, a to, czego nie zabrała woda, zabrała Ardelia Lortz.

Nieraz zastanawiałem się, czy nie zechce ode mnie tego, co brała od innych, ale nie. Może nie pasowałem jej... ale chyba nie o to szło. Nie myślę, że mnie kochała - wątpię, żeby Ardelia mogła pokochać kogokolwiek - ale myślę, że była samotna. Wydaje mi się, że żyła, jeśli można to nazwać życiem, przez bardzo długi czas i że miała...

Dave urwał. Niespokojnie postukiwał wykrzywionymi palcami po kolanie, a wzrokiem znów szukał na horyzoncie elewatora zbożowego, jakby ten widok mógł mu przynieść ulgę.

- „Towarzyszy”, to słowo najbardziej mi podchodzi. Myślę, że miała towarzyszy podczas swego długiego życia, ale zdaje się, że przed zjawieniem się w Junction City bardzo długo nie miała nikogo. Nie pytajcie, co takiego mi powiedziała, że tak czuję - bo nie pamiętam. Zagubiło się, jak większość innych spraw. Ale jestem święcie przekonany, że to prawda. I zaprzęgnęłaby mnie do swojego zaprzęgu. Jestem święcie przekonany, że poszedłbym z nią, gdyby nie została przyłapana.

- Kto ją przyłapał, Dave? - spytała Naomi, pochylając się do przodu. - Kto?

- Zastępca szeryfa, John Power. W tamtych czasach szeryfem okręgu Homestead był Norman Beeman, a to, że go wybrano, dla mnie zawsze było najlepszym argumentem za tym, że szeryfowie powinni być mianowani, nie wybierani. Wyborcy dali mu tę funkcję w czterdziestym piątym, wrócił właśnie, do Junction City z walizką medali zgarniętych w czasie, kiedy armia Pattona wpruła do Niemiec. Miał fest piąchę, nikt mu tego nie odmawia, ale jako

szeryf okręgu nie był wart więcej niż pierdnięcie podczas burzy. Wszystko, co miał, to największy, najmilszy uśmiech, w życiu nie widzieliście takiego. I gadane, którego nie uciągnąłby zaprzęg mułów. I oczywiście był republikaninem. To zawsze najbardziej się liczyło w okręgu Homestead. Zdaje mi się, że Nonn dalej byłby wybierany, gdyby nie padł trupem na udar we fryzjerni Hughiego latem 1963 roku. To pamiętam całkiem wyraźnie, Ardalia przepadła już jakiś czas przedtem, a ja doszedłem trochę do siebie.

Sekret sukcesu Norma polegał na dwóch rzeczach - jeśli nie liczyć wielgaśnego uśmiechu i gadanego. Pierwsza - był uczciwy. O ile się orientuję, nie zgarnął do własnej kieszeni i dziesiątaka. Druga - zawsze starał się mieć pod sobą choć jednego zastępcę, który umiał szybko myśleć i nie szykował się na jego stołek. Zawsze uczciwie pogrywał z tymi gośćmi: każdy zbierał się dalej i wyżej. Norm dbał o swoich. Jak się rozejrzycie, znajdziecie sześciu, ośmiu szefów policji miejskich i pułkowników policji stanowej w różnych miejscach Środkowego Zachodu, którzy przeharowali kilka latek w Junction City, sprzątając gówna za Normana Beemana.

Ale Johna Powera nie znajdziecie. Zmarł. W nekrologu zobaczycie, że na atak serca, choć nie miał jeszcze trzydziestu lat i żadnego z tych wrednych nałogów, przez które czasem siada ludziom pompa. Prawda jest taka: to nie atak serca zabił Lavina, i to nie atak zabił Johna. Ona ich zabiła.

- Skąd wiesz, Dave? - zapytał Sam.

- Wiem stąd, że tego ostatniego dnia miało zostać zabitych troje dzieci w bibliotece.

Głos starego człowieka był wciąż spokojny, ale Sam usłyszał wyraźnie grozę, która jak prąd niskiego napięcia musiała pulsować w nim bardzo, bardzo długo. Jeśli nawet tylko połowa tego, co Dave opowiedział, była prawdą, przez ostatnie trzydzieści lat dręczyły go niewyobrażalne koszmary. Nie dziwota, że potrzebował butelki. Dzięki niej utrzymywał najgorsze na dystans.

- Dwoje faktycznie umarło - Patsy Harrigan i Tom Gibson.

Życie trzeciego to cena, jaką miałem zapłacić, żeby wkupić się do tego cyrku, w którym Ardalia Lortz dzierżyła dyrektorski bat. Na tym trzecim naprawdę jej zależało, ponieważ-to ono skierowało szperacz na Ardelię, wtedy kiedy najbardziej potrzebowała ciemności. Tym trzecim miałem zająć sieja, ponieważ zabroniono mu chodzić do biblioteki i Ardalia nie miała do niego przystępu. Trzecie Niegrzeczne Dziecko nazywało się Tansy Power i było córką zastępcy szeryfa Powera.

- Nie mówisz chyba o Tansy Ryan, co? - spytała Naomi. W głosie miała niemal błagalny ton.

- Taaa... o niej mówię. Tansy Ryan z poczty, Tansy Ryan, która chodzi z nami na spotkania, Tansy Ryan, która dawniej nazywała się Tansy Power. W tych okolicach wiele dzieciaków, które dawniej przychodziły na godzinę czytania do Ardelii, jest teraz w AA, Sarah - myśl sobie o tym, co chcesz. W lecie 1960 roku byłem bardzo bliski zamordowania Tansy Power... a to jeszcze nie najgorsze. Chciałbym, żeby tak było.

## 8

Naomi przeprosiła i wyszła, a kiedy minęło dobre kilka minut i nie wracała, Sam podniósł się z krzesła.

- Daj jej spokój - powiedział Dave. - Sam, to cudowna kobieta, ale potrzebuje trochę czasu, żeby przyjść do siebie. Też byś potrzebował, gdybyś się dowiedział, że członek jednej z najważniejszych grup w twoim życiu był bliski zamordowania twojego najbliższego przyjaciela. Zostaw ją. Ona wróci - Sarah jest mocna.

I po kilku chwilach wróciła. Umyła twarz - włosy na skroniach miała jeszcze wilgotne i śliskie - i niosła tackę z trzema szklankami mrożonej herbaty.

- Proszę, proszę kochanie - idziemy w końcu na całość! - powiedział Dave.

Naomi robiła, co mogła, żeby przywołać na twarz uśmiech.

- A co? Już nie mogłam wytrzymać!

Jej wysiłek wydał się Samowi nie tylko godny podziwu, był szlachetny. Niemniej słyhać było, jak lód przekomarza się ze szkłem ostro i kłóliwie. Sam podniósł się i wziął tackę z rąk Naomi. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Dobra - powiedziała i usiadła. - Kończ, Dave. Finiszuj.

## 9

- Dużo z tego, co zostało do opowiedzenia, dowiedziałem się od niej - podjął Dave. - Wtedy już nie mogłem bezpośrednio się zorientować, co się dzieje. Pod koniec pięćdziesiątego dziewiątego Ardelia zakazała mi pokazywać się w okolicy biblioteki publicznej. Powiedziała, że gdy zobaczy mnie w środku, wyprosi mnie, a jak będę się wałęsał w pobliżu, poszczuje na mnie gliny. Powiedziała, że zrobił się ze mnie diabeł i kiedy ludzie zobaczą, że chodzę do biblioteki, zaczną się gadanie.

„Gadanie o tobie i o mnie? - pytam. Ardelia, kto by w to uwierzył?”.

„Nikt, ona na to. Ty idioto, nie chodzi o to, co ludzie będą mówili na nasz temat”. „No to o co?”.

„O to, co będą mówili o tobie w związku z dziećmi”, mówi ona. Wtedy chyba pierwszy raz dotarło do mnie, jak nisko upadłem. „Sarah, od kiedy zaczęliśmy się widywać na

spotkaniach AA, bywałem blisko dna, ale tak upodlonego nigdy mnie nie widziałaś. I cieszę się z tego”.

Więc pozostawał jej dom. To było jedyne miejsce, gdzie wolno było mi się z nią widywać, ale wolno mi było przychodzić późno po zmroku. Powiedziała, żebym nie podchodził drogą bliżej niż do farmy Ordaya, a potem na przełaj polami. Powiedziała, że jeśli spróbuję oszukiwać, będzie wiedzieć. Uwierzyłem jej - kiedy te jej srebrne gały robiły się czerwone, Ardelia widziała wszystko. Zwykle pojawiałem się między jedenastą a pierwszą w nocy, zależnie od tego ile wypięm, i zwykle byłem przemarznięty na kość. Niewiele mogę wam rzec o tych miesiącach, ale wystarczy, jeśli powiem, że z 1959 na 1960 rok stan Iowa ścisnęła cholernie ostra zima. Bywały noce, kiedy przysiągłbyś, trzeźwy człowiek zamarznie na tych polach.

Ale w tę noc, o której chcę wam teraz opowiedzieć, nie było takich problemów - musiał być wtedy lipiec 1960 roku i było goręcej niż za progiem piekła. Pamiętam księżyc. Spęczniały i czerwony wisiał nad polami. Wydawało się, że wszystkie psy w okręgu Homestead zawyją się na śmierć.

Tej nocy, wchodząc do domu Ardelii, dałem nura w cyklon. Przez tydzień - może i miesiąc - była rozleniwiona i śpiąca, ale nie tej nocy. Tej nocy miała oczy szeroko otwarte i szalała. Nie widziałem jej w takim stanie, odkąd to pan Lavin kazał jej zdjąć plakat z Czerwonym Kapturkiem. Nie od razu mnie zobaczyła. Chodziła tam i z powrotem goła jak ją pan Bóg stworzył - jeśli to On ją stworzył - z głową spuszczoną i dłońmi zaciśniętymi w kułak. Wścieklesza niż niedźwiedź z kolcem w dupie. Zwykle w domu włosy spinała w kok jak stara panna, ale wtedy, gdy wśliznąłem się o brzasku przez kuchenne drzwi, chodziła tak szybko, że włosy za nią fruwały. Trzeszczały jak naelektryzowane. Oczy miała czerwone jak krew i płonęły jak te kolejarskie latarnie, które dawniej wystawiali na tory, kiedy zrobił się gdzieś zator. Zdawało się, że wyskoczą jej z twarzy. Całe ciało zlane miała potem i choć sam śmierdziałem tego, czułem, jak cuchnie: jak samica rysia w rui. Wyraźnie widziałem wielkie krople kapiące z piersi i brzucha. Biodra i uda aż się jej świeciły. Była to jedna z tych bezwietrznych, parnych nocy, jakie czasem zdarzają się u nas w lecie, kiedy powietrze ciężkie od woni ziół i traw zlega człowiekowi na piersi jak złom, a z każdym oddechem wpadają do gardła wąsy kukurydziane. W takie noce człowiek marzy, żeby huknęło, błysnęło i lunęło. Ale nigdy nie pada. Człowiek marzy, żeby przynajmniej powiał wiatr, nie dla ochłody, ale dlatego, że wtedy lżej byłoby znieść wszechobecny szelest kukurydzy... szelest, z jakim ona wypycha się spod ziemi, hałasując jak staruch chory na reumatyzm, który usiłuje w męce podnieść się z łóżka, nie budząc żony.

I zauważyłem, że tym razem była i wystraszona, i wściekła - ktoś naprawdę napędził jej nieziemskiego stracha. A zmiany w niej jakby nabrały rozpędu. Musiało jej coś popędzić kota. Ściśle biorąc, nie wyglądała starzej, lecz było jej mniej. Włosy stały się węższe, jak włosy dziecka. Widziało się przez nie łysiejącą głowę. A skóra zaczęła jakby wypuszczać drugą warstwę. Na policzkach, wokół nozdrzy, w kącikach oczu, między palcami pojawiła się mglista pajęczyna. Najwyraźniej na zmarszczkach. Powiewało to przy chodzeniu. Chcecie usłyszeć coś zwariowanego? Do dziś nie mogę zdobyć się na to, żeby podejść do tych budek z watą cukrową na jarmarku okręgowym. Znacie te urządzenia, na których robią watę? Są jak ogromne wirujące pączki. Sprzedawca wsadza patyczek i nawija różowy cukier. Tak zaczęła wyglądać skóra Ardelii - jak delikatne pasma cukrowej waty. Teraz wiem, co to było. Robiła to samo co gąsienica zbierająca się do snu. Wiła sobie kokon.

Stałem przez jakiś czas w progu i patrzyłem, jak krąży tam i z powrotem. Długo mnie nie zauważała. Miotła się jak nagi w pokrzywach, co to myśli tylko o tym, jak by się z nich wydostać. Dwa razy walnęła pięścią w ścianę i ręka przeszła jej na wylot - przez tapetę, gips, szalówkę. Słychać było trzask kości, ale nie zrobiła sobie żadnej krzywdy, nie było krwi. Za każdym walnięciem wrzeszczała, ale nie z bólu. To był charkot rozżartej kocicy... ale jak mówiłem, był w tym gniewie strach. A wykrzykiwała imię i nazwisko zastępcy szeryfa.

„Johnie Power! - wrzeszczy i BAM! Jej ręka przebija na wylot ścianę. Niech cię Bóg skaże, Johnie Power! Nauczę cię nie wtykać nosa w moje sprawy! Nauczę cię, dziecinko ty moja!”. I znowu zaczyna się miotać, prawie biegać, a bosymi stopami tak wali o podłogę, że trzęsie się cały ten cholerny dom. Chodzi i cały czas gada coś do siebie. Usta się jej ściągają, oczy czerwieńszą jak nigdy i znowu BAM! Pięścią przez całą grubość ściany, a mały obłoczek gipsowego kurzu wylatuje z dziury. „Johnie Power, nie waż się, warczy. Nie waż się wchodzić mi w drogę!”.

Ale wystarczyło popatrzeć na jej twarz, żeby wiedzieć. Bała się, że on się jednak odważy. A jakbyś znał zastępcę szeryfa, Powera, tobyś wiedział, że było się czego bać. Miał rozum i odwagę. Dobry był z niego policjant i trudny przeciwnik.

Za którymś tam spacerkiem staje przy kuchennym wyjściu i nagle mnie spostrzega. Jej gały wwiercają się w moje, a usta zaczynają się wyciągać w kształt rogu - tylko że teraz są pokryte tymi pajęczymi, okopconymi włóknami - i myślę sobie, jestem trup. Nie ma pod ręką Johna Powera, weźmie się za mnie.

Rusza do mnie. Pośliznąłem się na jakichś śmieciach i leżę. Wtedy przystopowała. Czerwone światło znika z jej oczu, zmienia się raz-dwa, patrzy na mnie, jakbym wpadł na

eleganckie przyjęcie, które właśnie wydaje. Jakby wcale nie miotała się na golasa o północy, nie wybijała żadnych dziur w ścianach. Skądże!

„Dave! - powiada. Jak się cieszę, że jesteś! Wypij drinka. Co tam drinka, dwa drinki!”.

Chciała mnie zabić - zobaczyłem to w jej oczach - ale byłem jej potrzebny, i to nie tylko do towarzystwa. Byłem jej potrzebny, żeby zabić Tansy Power. Wiedziała, że da radę gliniarzowi, ale chciała, żeby tata dowiedział się przed śmiercią o śmierci córki. Ktoś musiał zabić dziecko, do tego byłem potrzebny.

„Nie ma wiele czasu, powiada. Znasz tego zastępcę szeryfa, Powera?”.

Mówię, że czemu nie, znam. Zatrzymał mnie kilkanaście razy za pijaństwo w miejscu publicznym. „Co to za facet?”.

„Ciężko się do niego dobrać. Twardą ma korę”, ja na to. „Pierdolę jego i ciebie też!”.

Nic na to nie powiedziałem. To wydało mi się najmądrzejsze.

„Ten cholerny zakuty łeb przychodzi dziś do biblioteki i pyta o moje referencje. I zaczyna mnie odpytywać. Chce wiedzieć, gdzie byłem przed przyjazdem do Junction City, gdzie chodziłam do szkoły, gdzie się wychowałam. Dave, szkoda, że nie widziałeś, jakim wzrokiem na mnie patrzył! Ale nauczę go, jak się patrzy na taką damę jak ja. Jeszcze się przekonasz”.

„Tylko żebyś nie przejechała się na zastępcy Powerze. Nie wydaje mi się, żeby bał się czegokolwiek”.

„A boi się - boi się mnie. Tylko jeszcze o tym nie wie”, powiada ona i znów widzę, że w oczach ma strach. Rozumiecie, on wybrał najgorszy moment na wizytę - przygotowywała się do ułożenia do snu i przemiany, a to jakoś ją osłabiało.

- Czy Ardedia powiedziała ci, jak ją przyłapał? - spytała Naomi.

- To oczywiste - powiedział Sam. - Dowiedział się od córki.

- Nie - powiedział Dave. - Nie pytałem - nie odważyłem się jej zaczepić w tym nastroju - ale wątpię, czy Tansy powiedziała coś tacie. Wątpię, czy była do tego zdolna - przynajmniej nie wprost. Rozumiecie, kiedy maluchy wychodziły z pokoju dzieci, zapominały o wszystkim, co od niej usłyszały... i co im zrobiła. I nie tylko zapominały. Wkładała im do głów inne wspomnienie, nieprawdziwe, więc wracały do domu wesolutkie jak szczygiełki. Większość rodziców myślała, że Ardedia Lortz to błogosławieństwo dla biblioteki Junction City.

Chyba dopiero to, co ona zabrała Tansy, napędziło ojcu zdrowego pietra i myślę, że zastępca Power musiał wykonać dobry kawał roboty dochodzeniowej, zanim w ogóle wybrał się z wizytą do biblioteki. Nie wiem, jaką różnicę zauważył w Tansy, bo dzieciaki wcale nie



były blade i bez życia, jak ci ludzie w horrorach, którym wampiry wysysają krew, i nie miały żadnych śladów na szyi. Ale jednak coś im zabierała i John Power doszedł do tego rozumem albo sercem.

- Jeśli nawet tak było, dlaczego wziął pod lupę właśnie Ardelię? - zapytał Sam.

- Powiedziałem wam, że miał nosa. Myślę, że na pewno zapytał Tansy o to i owo - nic wprost, okrężną drogą, rozumiecie, o co mi chodzi - a z jej odpowiedzi wywnioskował, gdzie warto poniuchać. Kiedy przyszedł do biblioteki tamtego dnia, nic nie wiedział... ale coś podejrzewał. Dość, żeby Ardellii nacisnąć na odcisk. Pamiętam, że najbardziej wściekł ją - i najbardziej wystraszył - sposób, w jaki na nią patrzył. „Nauczę cię, jak na mnie patrzeć”, mówiła. W kółko to powtarzała. Zastanawiałem się, od jak dawna nikt nie popatrzył na nią z autentyczną podejrzliwością, od jak dawna nikomu nie udało się wywęszyć, co z niej za sztuka. Założę się, że napędził jej tęgiego stracha. Założę się, że to ją zmusiło do zastanowienia się, czy wreszcie nie zaczyna tracić swojej mocy.

- Mógł też pogadać z innymi dziećmi - powiedziała z wahaniem Naomi. - Porównał to, co usłyszał, i doszedł do wniosku, że nie wszystko się zgadza. Może one nawet widziały ją na różne sposoby. Tak jak ty i Sam widzieliście ją na różne sposoby.

- To możliwe - wszystko jest możliwe. Tak czy inaczej, nastraszył ją tak, że musiała się spieszyć.

„Jutro przez cały dzień będę w bibliotece, powiedziała mi. Postaram się, żeby dużo ludzi mnie tam zobaczyło. Ale ty - ty złożysz wizytę w domu zastępcy szeryfa Powera, Davey. Przywarujesz, aż dziecko zostanie samo - chyba nie będziesz musiał długo czekać - a wtedy porwiesz ją do lasu. Rób z nią, co chcesz, ale na końcu musisz zrobić jedno - poderznąć jej gardło. Poderznij jej gardło i zostaw tam, gdzie łatwo będzie ją znaleźć. Niech ten drań dowie się o tym, zanim się z nim spotkam”.

Nic nie byłem w stanie powiedzieć. Chyba dobrze się stało, że język mi kołkiem w gębie stanął, bo czego bym nie powiedział, zrozumiałaby to na opak i chybaby mi łeb urwała. Ale że siedziałem tylko przy kuchennym stole ze szklanką w ręce i gapiłem się na nią, wzięła moje milczenie za zgodę.

Potem poszliśmy do sypialni. Ostatni raz. Myślałem, że nie dam rady jej zaspokoić, że wystraszonemu mężczyźnie nie staje. Ale poszło dobrze, niech mi Bóg wybaczy. Ardellia miała i tę moc. Robiliśmy to i robiliśmy, i w jakimś momencie albo zasnąłem, albo padłem nieprzytomny. Dalej pamiętam tylko, że ona wykopuje mnie gołą nogą z łóżka, spycha prosto w płamę wczesnego słońca. Jest kwadrans po szóstej, w żołądku mam wannę z kwasem, a głowa mi pulsuje jak zropiałe działo.

„Czas do roboty, ona mówi. Nie pozwól, żeby ktoś zobaczył, jak wracasz do miasta, Davey, i pamiętaj, co ci powiedziałam. Dopadnij ją dziś przed południem. Zabierz do lasu i załatw. Ukryj się do zmroku. Jak cię wcześniej złapią, nic nie będę mogła dla ciebie zrobić. Ale jak się do mnie dostaniesz, jesteś bezpieczny. Jutro biblioteka jest zamknięta, ale postaram się, żeby przysły dwa dzieciaki. Już je sobie wybrałam, najgorsze gnojki w całym mieście. Razem pójdziemy do biblioteki... one przyjdą... a kiedy wreszcie ci głupcy nas znajdą, pomyślą, że wszyscy umarliśmy. Ale ty i ja nie umrzemy, Davey. Będziemy wolni. Wystrychniemy ich na dudków, co?”

I zaczyna się śmiać. Siedzi naga w łóżku, ja grzebię się u jej stóp na podłodze, chory jak szczur nafaszerowany trutką, a ona śmieje się, śmieje i śmieje. Twarz zaczyna jej znów owadzić, ta niby-trąbka wysuwa się, prawie jak róg, który wikingowie nosili na hełmach, a oczy rozciągają się na boki. Poczułem, że zaraz puszcze pawia, więc zmyłem się i narzygałem w winorośl. Ciągle słyszałem, jak się śmiała... śmiała... i śmiała.

Wkładałem ubranie przy domu, gdy odezwała się do mnie z okna. Nie widziałem jej, ale słyszałem niezłe. „Nie spraw mi zawodu, Davey, powiedziała. Nie spraw mi zawodu, bo cię zabiję. A nie szybko umrzesz?”

„Nie zawiodę cię, Ardelio”, mówię, ale nie odwracam się do niej. Nie zniósłbym jej widoku. Byłem u kresu wytrzymałości. A przecież... częściowo chciałem iść z nią ręka w rękę, nawet gdyby to znaczyło, że w pierw oszaleję. I wydawało mi się, że pójdę z nią ręka w rękę, chyba że szykowała się mnie zrobić, że niby ja zapłacę za wszystko. Nie można było tego wykluczyć.

Poszedłem przez kukurydzę do Junction City. Zwykle te przechadzki otrzeźwiały mnie trochę i wypacałem najgorszego kaca. Ale nie wtedy. Dwa razy musiałem zrobić przystanek na rzyganie, a za drugim razem myślałem, że nigdy nie skończę. Wreszcie skończyłem, ale tam, gdzie klęczałem, na kukurydzy została krew. Zanim dowlokłem się do miasta, głowa bolała mnie jak nigdy i widziałem wszystko podwójnie. Myślałem, że umrę, ale wciąż nie mogłem przestać myśleć o tych słowach: rób z nią, co chcesz, ale na końcu musisz zrobić jedno - poderznąć jej gardło.

Nie chciałem skrzywdzić Tansy Power, ale mimo to byłem gotów to zrobić. Nie potrafiłem oprzeć się Ardelii... a przecież, gdybym jej się nie oparł, czekałoby mnie potępienie wieczne. Ale co najgorsze, gdyby Ardelia mówiła prawdę, żyłbym dalej... żył prawie bez końca z pamięcią tego czynu.

W tamtych czasach były na stacji dwa perony i rampa po północnej stronie drugiego peronu, rzadko używana. Wczołgałem się pod nią i zasnąłem na parę godzin. Kiedy się

zbudziłem, czułem się trochę lepiej. Wiedziałem: nie znam sposobu, aby powstrzymać ją czy siebie. Więc zacząłem szukać domu Johna Powera, żeby znaleźć tę dziewczynkę i ją porwać. Przeszedłem całe centrum, nie patrząc na nikogo, a przez cały czas jedno kołatało mi w głowie: „Nie będzie długo cierpieła - tyle przynajmniej mogę dla niej zrobić. Złamię jej kark jak zapalkę, nawet nic nie poczuje”.

Dave znów wyciągnął chustkę i otarł czoło drżącą ręką.

- Doszedłem do takiego sklepu z tanioczą. Teraz już go nie ma, ale w tamtych czasach była to ostatnia firma na O’Kane Street, zanim człowiek znów wszedł w dzielnicę willową. Do domu Powera były jeszcze ze cztery przecznice i myślałem, że jak dojdę, zobaczę Tansy na podwórku. Będzie sama... a las jest niedaleko.

Tylko że spojrzałem w okno wystawowe tego sklepu z tanioczą i to, co zobaczyłem, przykuło mnie do miejsca. Na wystawie leżał kocyk martwych dzieci. Wytrzeszczone oczy. Splątane ramiona. Połamane nóżki. Wrzasnąłem i zacisnąłem ręce na ustach. Zacisnąłem mocno powieki. Kiedy znów spojrzałem, zobaczyłem mnóstwo lalek, które stara pani Seger rozkładała na wystawie. Zobaczyła mnie i machnęła lalką - wynocha, ty stary moczymordo. Ale nie wyniosłem się. Oczu nie mogłem oderwać od tych lalek. Powtarzałem sobie, że to tylko lalki: każdy mógł to potwierdzić. Ale kiedy znów mocno zamknąłem oczy i znów otworzyłem, wróciły trupki. Pani Seger układała całe mnóstwo małych trupów na wystawie sklepu i nawet o tym nie wiedziała. Dotarło do mnie wreszcie, że ktoś usiłuje mi coś przekazać, i że może nie jest za późno na odebranie sygnału, nawet teraz. Może nie mogę powstrzymać Ardelii, ale... może jednak mogę? A nawet jeśli nie mogę, to może uda mi się pójść za nią do piekła.

Sarah, wtedy przyszedł czas modlitwy; modliłem się po raz pierwszy. Modliłem się o siłę. Nie chciałem zabić Tansy Power, więcej, jeśliby się dało, chciałem uratować wszystkich.

Cofnąłem się o przecznicę do stacji benzynowej Texaco, tam gdzie teraz jest Piggy Wiggly. Po drodze pozbierałem kilka małych kamyków z krawężnika. Koło stacji benzynowej stała budka telefoniczna - wciąż zresztą stoi. Doczłapałem tam i nagle uświadomiłem sobie, że nie mam centa przy duszy. Moim ostatnim ratunkiem była szczelina zwrotowa. Leżało w niej dziesięć centów. Od tego przedpołudnia zawsze, gdy ktoś mi mówi, że nie wierzy w Boga, przypominam sobie, co czułem, kiedy wymacałem tę dziesięciocentówkę.

Pomyślałem, że zadzwonią do pani Power, ale wybrałem biuro szeryfa. Ktoś przekaze wiadomość Johnowi Powerowi, a jeśli był tak podejrzliwy wobec Ardelii, jak się wydawało, już on zrobi co trzeba. Zamknąłem drzwi i wyszukałem numer - wtedy przy odrobinie

szczęścia można jeszcze było trafić na książkę telefoniczną w telefonicznej budce - i wsadziłem do ust kamyki, zanim zadzwoniłem.

Telefon odebrał osobiście John Power i myślę sobie teraz, że to dlatego Patsy Harrigan nie żyje i Tom Gibson nie żyje... dlatego nie żyje sam John Power... i dlatego Ardellii nie powstrzymano wtedy raz na zawsze. Spodziewałem się, że usłyszę dyspozytorkę, rozumiecie - wtedy była nią Hannah Verrill - i powiem jej to, co mam do powiedzenia, a ona przekaże to zastępcy szeryfa.

Zamiast niej usłyszałem twardy nie-pierdol-mi-tu głos, który powiedział: „Biuro szeryfa, mówi zastępca Power, czym mogę służyć?”. Mało brakowało, a połknąłbym wszystkie kamyki, które miałem w ustach, i przez chwilę nie mogłem nic z siebie wydusić.

On wtedy: „Cholerne baki!” i wiem, że zaraz odłoży słuchawkę.

„Zaczekaj!”, mówię. Dzięki tym kamykom to było mnie tak słyhać jak przez watę. „Niech pan nie odkłada, zastępcu!”.

„Kto mówi?”.

„Mniejsza z tym. Wywieź swoją córkę z miasta, jeśli ci droga, i rób, co chcesz, ale niech nie zbliża się do biblioteki. To nie żarty. Grozi jej niebezpieczeństwo”.

I odwiesiłem słuchawkę. Po prostu. Gdyby podniosła Hannah, powiedziałbym chyba więcej. Podałbym nazwiska - Tansy, Toma, Patsy... i Ardellii. Ale jego się wystraszyłem - bałem się, że spojrzy przez słuchawkę i zobaczy mnie stojącego w tej budce i śmierzącego jak torba zgniłych brzoskwiń.

Wyplułem kamyki na dłoń i szybko wyszedłem z budki. Wyrwałem się spod władzy Ardellii - tyle przynajmniej osiągnąłem, telefonując - ale byłem w panice. Widzieliście kiedy, jak ptak wleci do garażu i miota się wkoło, tłucze o ściany, szaleje, chce się wyrwać? Tak było ze mną. Nagle przestałem się martwić o Patsy Harrigan, o Toma Gibsona, nawet Tansy Power. Wydawało mi się, że Ardellia patrzy na mnie, że Ardellia wie, co zrobiłem, i weźmie się za mnie.

Chciałem się schować - do diabła, musiałem się schować! Ruszyłem przez Main Street i zanim znalazłem się na jej końcach, prawie biegłem. A jednocześnie Ardellia całkiem zmieszała mi się w głowie z Policjantem Bibliotecznym i człowiekiem z mroku - tym, co to prowadził walec drogowy i samochód z Szurniętym Szymusiem. Byłem pewny, że zjawią się całą trójką na Main Street w czarnym buicku człowieka z mroku i będą się za mną rozglądać. Doszedłem na peron i znów wczółgałem się pod rampę. Skuliłem się tam, telepało mną, nawet trochę popłakiwałem; czekałem, aż ona się zjawi i wykończy mnie. Ciągłe sobie

wyobrażałem, że podnoszę głowę, a ona zagląda pod betonową płytę platformy, gały ma czerwone i wytrzeszczone, a usta wyciągają jej się w ten niby-róg.

Wczołgałem się w głąb i znalazłem pół flachy wińska pod zeschniętymi liśćmi i starymi pajęczynami. Zamelinowałem ją Bóg wie kiedy i na śmierć o tym zapomniałem. Wysuszyłem butelkę na trzy. Zacząłem się czołgać z powrotem, ale padłem w połowie. Kiedy się obudziłem, zdawało mi się najpierw, że czas wcale nie ruszył się z miejsca, bo światło i cienie były mniej więcej takie same. Tylko ból głowy minął i żołądek głośno domagał się żarcia.

- Przespałeś całą dobę? - spytała Naomi.

- Nie, prawie dwie. Dzwoniłem do biura szeryfa o dziesiątej rano w poniedziałek. Kiedy dobudziłem się pod tą rampą z pustą flaszką po winie w ręce, było dokładnie kilka minut po siódmej rano w środę. Tylko że to nie był sen. Musicie pamiętać, że wtedy nie miałem jednoczy nawet siedmiodniówek. Piłem dzień w dzień na umór od prawie dwóch lat, a do tego była jeszcze Ardelia, biblioteka, dzieciaki i godzina czytania. To były dwa lata na karuzeli w piekle. Myślę, że wciąż chciałem przetrwać i nie oszaleć; mój umysł zdecydował, że najlepsze, co mogę zrobić, to na czas jakiś wyrwać sznurek z kontaktu, wyłączyć zasilanie. A gdy się zbudziłem, było po wszystkim. Nie znaleźli jeszcze ciał Patsy Harrigan i Toma Gibsona, ale było po wszystkim. Uświadomiłem to sobie, zanim wystawiłem łeb spod rampy. Było we mnie puste miejsce jak dziura po zębie, który wypadł. Tylko że to puste miejsce było w głowie. I zrozumiałem. Ona przepadła. Ardelia przepadła.

Wyczółgałem się i o mało nie zemdlałem z głodu. Zobaczyłem Briana Kelly'ego, który wtedy był zawiadowcą. Liczył worki z jakimś ładunkiem na drugim peronie i odhaczał je na podkładce do notowania. Udało mi się do niego podejść. Zobaczył mnie i skrzywił się z obrzydzeniem. Były czasy, kiedy stawialiśmy sobie w Domino - knajpie, która spłonęła na długo, zanim przyszedłeś na świat, Sam - ale te czasy dawno minęły. Teraz zobaczył tylko brudnego śmierdzącego pijaka z liśćmi i kurzem we włosach, pijaka, od którego zalatywało szczynami i podłym wińskiem w rodzaju Old Duke.

„Zwijaj się stąd, tatuśku, albo wzywam gliny”, powiedział.

Tego dnia znów przeżyłem coś po raz pierwszy. Jak jesteś pijakiem, to codziennie odkrywasz nowe lądy. Wtedy pierwszy raz zebrałem. Poprosiłem go, czyby nie znalazł dla mnie ćwierć dolca na kawuchnę i jakiegoś tosta w jadłodajni przy drodze nr 32. Pogrzebał w kieszeni i wyjął trochę drobnych. Nie dał mi do ręki, rzucił je byle jak w moim kierunku. Musiałem grzebać w żużlu. Nie chodziło mu o to, żeby mnie upokorzyć. Nie chciał tylko mnie dotykać. I wcale nie mam o to do niego pretensji.

Kiedy zobaczył, że mam moniaki, mówi: „Giń z wiatrem, tatuśku. A jak cię tu znów zobaczę, wezwę gliny”.

„A jakże”, rzekłem i poszedłem dwoją drogą. Nawet się nie dowiedział, z kim miał przyjemność. I dobrze.

W połowie drogi do jadłodajni mijałem stanowisko z prasą i zobaczyłem „Gazette”. Wtedy dotarło do mnie, że byłem na aucie przez dwa dni, a nie jeden. Data niewiele mi mówiła - w tamtych czasach nie przywiązywałem wielkiej wagi do kalendarza - ale wiedziałem, że w poniedziałek Ardelia wykopała mnie ze swojego łóżka po raz ostatni i w poniedziałek telefonowałem. I zobaczyłem nagłówek. Wyglądało na to, że przespałem dzień, w którym Junction City przeżyło swoją największą historyczną sensację. TRWAJĄ POSZUKIWANIA ZAGINIONYCH DZIECI, stało na jednej stronie. Obok zdjęcia Toma Gibsona i Patsy Harrigan. Nagłówek na drugiej głosił KORONER OKRĘGOWY STWIERDZA ŚMIERĆ NA ATAK SERCA U ZASTĘPCY SZERYFA. A poniżej zdjęcie Johna Powera.

Wziąłem gazetę i położyłem piąta na stosie, bo tak się dawniej robiło, w czasach kiedy jeszcze ludzie mieli do siebie zaufanie. Potem siadłem obok na krawężniku i przeczytałem oba artykuły. Ten o dzieciach był krótszy. Rzecz w tym, że nikt się jeszcze o nie nie martwił, a szeryf Beeman traktował sprawę jako ucieczkę z domu.

Wybrała sobie odpowiednie dzieciaki, nie ma dwóch zdań. Ta parka to były najgorsze gnojki. Zawsze szwendały się razem. Swój ciągnie do swego. Mieszkały w tym samym kwartale i rozeszło się, że nieźle podpadły rodzicom, kiedy matka Patsy przyłapała je na paleniu papierosów za domem. Chłopak Gibsonów miał wuja nicponia na gospodarce w Nebrasce i Norm Beeman był święcie przekonany, że dzieci tam uciekły - powiedziałem wam już, że nie był z niego orzeł. Ale skąd miał znać prawdę? I miał rację w jednej sprawie - to nie były ciamajdy, które wpadają do studni albo topią się w rzece.

Ale ja wiedziałem, gdzie są, i wiedziałem, że Ardelia znów uwinęła się na czas. Wiedziałem, że znajdą całą trójkę razem. I tego samego dnia znaleźli. Uratowałem Tansy Power i uratowałem siebie, ale niewielka to dla mnie pociecha.

O Powerze pisano więcej. I już po raz drugi, bo znaleziono go późnym popołudniem w poniedziałek. We wtorkowej gazecie była wiadomość o jego śmierci, ale bez wskazania przyczyn. Leżał na kierownicy wozu patrolowego, milę na zachód od gospodarstwa Ordaya. Bardzo dobrze znałem to miejsce, bo zwykle tam zbaczałem z drogi, idąc do Ardelii.

Bez problemu mogłem sobie wyobrazić, jak się to wszystko odbywało. John Power nie zwykł zasypiać gruszek w popiele i pewnie ruszył do Ardelii, ledwie odwiesiłem

sluchawkę. Może zadzwonił wpierw do żony i kazał jej nie spuszczać z oka Tansy, dopóki się nie odezwie. Tego oczywiście w gazecie nie było, ale założę się, że tak zrobił.

Kiedy przyjechał, zorientowała się, że ją sypnąłem i zabawa jest skończona. Więc go zabiła. Ona... uściskała go na śmierć, jak pana Lavina. Twardą miał korę, jak jej rzekłem, ale kora na klonie też jest twarda, a puści sok, jak naciąć ostrzem dość głęboko. A Powera to ona już musiała naciąć bardzo głęboko.

Kiedy umarł, musiała odwieźć go jego własnym wozem patrolowym do miejsca, gdzie go znaleziono. Ta droga - Garson Road - nie była wtedy specjalnie uczęszczana, jednak trzeba było dużej odwagi, żeby to zrobić. Ale co innego mogła wykonać? Zadzwonić do biura szeryfa i zgłosić, że John Power miał atak serca, jak sobie z nią gwarzył? To pociągnęłoby za sobą całą masę dalszych pytań dokładnie wtedy, kiedy nie chciała się nikomu rzucać w oczy. I sami rozumiecie, nawet Norm Beeman byłby ciekaw, co tak przypiliło Johna Powera, że wzięło go na pogaduszki z miejską bibliotekarką.

Wywiozła go Garson Road prawie do farmy Ordaya, zjechała do rowu i wróciła tą drogą, którą ja zawsze szedłem, przez kukurydzę.

Wiem, za co się wzięła potem. Mogę się o to założyć. Wzięła się za szukanie mnie.

Nie wskoczyła do samochodu i nie zaczęła krążyć po całym Junction City i wtykać głowę we wszystkie dziury, w których zwykle tkwiłem. Nie musiała. Przez te wszystkie lata za każdym razem, kiedy mnie potrzebowała, zjawiała się, gdzie trzeba, albo wysyłała do mnie jakiegoś malca z listem na zwykłej kartce papieru. Nieważne, czy siedziałem na kupie kartonowych pudeł za fryzjernią, czy wędkowałem w Grayling's Stream, czy leżałem pijany za peronem, zawsze wiedziała, gdzie mnie szukać. To była jedna z jej umiejętności.

Ale tym razem - wtedy kiedy najbardziej chciała mnie znaleźć - ten numer jej nie wypalił i chyba wiem dlaczego. Mówiłem, że po telefonie nie zasnąłem ani nawet nie padłem na aut; to było jak śpiączka albo prawie... śmierć. Więc chociaż wyslepiąta to swoje wewnętrzne oko, szukając we wszystkich znanych sobie miejscach, nie mogła mnie wypatrzeć. Nie wiem, ile razy tego dnia i tej nocy patrzyła dokładnie tam, gdzie leżałem. I nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że gdyby mnie znalazła, to nie posłałaby po mnie dzieciaka z karteczką. Przyszłaby osobiście i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co by mi zrobiła za to, że tak namieszałem w jej planach.

Prawdopodobnie znalazłaby mnie tak czy inaczej, gdyby miała więcej czasu, ale nie miała go za dużo. Po pierwsze, jej plan był gotowy. A poza tym chodziło o to przyspieszenie, z jakim następowała w niej przemiana. Zbliżała się pora jej snu i nie mogła tracić czasu na

rozglądanie się za mną. Poza tym musiała wiedzieć, że może się ze mną rozprawić w przyszłości. I teraz ta szansa nadeszła.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział Sam.

- Ależ rozumiesz! - odparł Dave. - Kto zabrał te książki, przez które wpakowałeś się w to bagno? Kto zawiózł je do przerobienia na miązgę razem z gazetami? Ja. Myślisz, że ona o tym nie wie?

- Czy uważasz, że ona dalej ciebie pragnie? - spytała Naomi.

- Tak. Ale inaczej niż dawniej. Teraz tylko pragnie mnie zabić. - Obrócił głowę i jego jasne, smutne oczy spoczęły na Samie. - Ona teraz pragnie ciebie.

Sam roześmiał się niepewnie.

- Jasne, że trzydzieści lat temu była z niej laska, ale się postarzała. Naprawdę nie jest w moim typie.

- Coś mi się zdaje, że nic nie skapowałeś. Ona nie chce cię przelecieć, Sam. Ona chce tobą być.

## 10

Po kilku chwilach Sam powiedział:

- Czekał. Nie tak szybko.

- Słuchałeś, ale nie wzięłaś sobie tego poważnie do serca. - Dave przemawiał cierpliwie, ale w jego głosie było zmęczenie, straszliwe zmęczenie. - Więc pozwól, że dorzucę jeszcze coś.

Zabiwszy Johna Powera, odstawiła trupa na tyle daleko, żeby nie padło na nią pierwsze podejrzenie. Potem wzięła się do następnego punktu planu: otworzyła po południu bibliotekę, jak zawsze. Trochę dlatego, że osoby winne wyglądają bardziej podejrzanie, jeśli odstępują od swojego zwykłego rozkładu jazdy, ale nie tylko dlatego. Jej przemiana była już w toku i musiała pozbawić życia te dzieci. Nawet nie pytajcie dlaczego, bo nie wiem. Może jest jak niedźwiedź, który napycha się, zanim wejdzie w tę swoją hibernację. Jestem tylko pewien, że musiała zadbać, by w ten poniedziałek po południu odbyła się godzina czytania... i zadbała o to.

Podczas godziny czytania, kiedy wprowadziła wszystkie dzieci w trans, powiedziała Tomowi i Patsy, żeby przyszli do biblioteki we wtorek przed południem, choć w lecie biblioteka była zamknięta we wtorki i czwartki. Przyszły, wykończyła je i zapadła w sen... ten sen, który jest bardzo podobny do śmierci. I trzydzieści lat później trafiasz się ty, Sam. Znasz mnie, a Ardelia dalej ma ze mną dług do wyrównania, więc to już jest zahaczenie... ale jest jeszcze coś dużo lepszego. Ty znasz policję biblioteczną.



- Nie wiem skąd...

- A jakże, nie wiesz i tym bardziej się nadajesz. Ponieważ tajemnice tak okropne, że ukrywamy je nawet przed sobą, to najlepsze tajemnice dla kogoś takiego jak Ardelia Lortz. I popatrz na kolejne plusy - jesteś młody, kawaler i nie masz bliskich przyjaciół. To prawda, no nie?

- Tak było do dziś - rzekł Sam po chwili namysłu. - Do dziś powiedziałbym, że jedyni dobrzy przyjaciele, jakich miałem w Junction City, wyjechali. Ale teraz uważam, że ty i Naomi jesteście moimi przyjaciółmi, Dave. Lepszych nie mógłbym sobie wymarzyć.

Naomi lekko uściśliła rękę Sama.

- Doceniam - powiedział Dave - ale nie ma to znaczenia, bo ona zamierza wykończyć i mnie, i Sarah. Im więcej, tym lepiej, jak to powiedziała. W czasie przemiany musi odbierać ludziom życie... a budzenie się też jest czasem przemiany.

- Masz na myśli to, że zamierza w jakiś sposób opętać Sama? - spytała Naomi.

- Mam na myśli troszkę więcej, Sarah. Myślę sobie, że ona zamierza zniszczyć w Samie to wszystko, co sprawia, że jest Samem - myślę, że zamierza wyskrobać go, tak jak dzieciak wyskrobuje dynię, żeby zrobić z niej latarenkę na Halloween, a potem włoży go na siebie jak nowy kostium. A kiedy to nastąpi - jeśli nastąpi - będzie żył, wyglądając jak mężczyzna nazwiskiem Sam Peebles, ale nie będzie już mężczyzną, tak jak Ardelia Lortz nie była nigdy kobietą. Jest coś nieludzkiego, jakiegoś ono ukryte pod jej skórą i zdaje się, że zawsze o tym wiedziałem. Jest w jej wnętrzu... ale nie przynależy do nikogo i niczego. Skąd przybyła Ardelia Lortz? Gdzie mieszkała, zanim zjawiała się w Junction City? Myślę, iż gdybyście sprawdzili, okazałoby się, że wszystkie referencje, które przedstawiła panu Lavinowi, były kłamstwem, i że nikt w mieście naprawdę nic nie wie. Myślę, że dociekliwość Johna Powera przypieczętowała jego los. Ale myślę też, że gdzieś żyła prawdziwa Ardelia Lortz... w Pass Christian, Missisipi... albo Harrisburgu, Pensylwanii albo Portlandzie, Maine... i to ono posiadało ją i włożyło na siebie. Teraz chce zrobić to jeszcze raz. Jeśli na to pozwolimy, to... myślę, że za rok, dwa w jakimś innym mieście, w San Francisco, Kalifornii... albo Butte, Montaine albo Kingstone, Rhode Island... pokaże się mężczyzna o nazwisku i imieniu Sam Peebles. Większość ludzi będzie go lubić. Szczególnie dzieci będą go lubiły... choć mogą się go też trochę bać w jakiś niezrozumiały sposób. I oczywiście będzie bibliotekarzem.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

### **Samolotem do Des Moines**

Sam spojrzął na zegarek i zdumiał się, zobaczywszy, że jest prawie trzecia po południu. Do północy zostało tylko dziewięć godzin, a o północy pojawi się wysoki mężczyzna ze srebrnymi oczami. Albo Ardelia Lortz. Albo oboje.

- Jak myślisz, co powinienem zrobić, Dave? Pójść na cmentarz, znaleźć trupa Ardelii i przebić jej serce kołkiem?

- Wyśmienity numer, gdyby mógł wypalić. Dama została poddana kremacji.

- Och! - Sam opadł na fotel z cichym, bezradnym westchnieniem. Naomi znów ujęła go za rękę.

- W każdym razie nie będziesz niczego musiał robić sam - rzekła stanowczo. - Dave mówi, że ona zamierza wykończyć nas i ciebie, ale nie to się teraz liczy. Liczy się to, że przyjaciele zawsze są gotowi pomóc, kiedy szykują się kłopoty. Inaczej co z nich za przyjaciele?

Sam podniósł jej rękę do ust i ucałował.

- Dziękuję ci - ale co możecie zrobić? Albo i ja zresztą. Wygląda na to, że nic nie da się zrobić. Chyba że... - Spojrzął z nadzieją na Dave'a. - Chyba że ucieknę?

Dave potrząsnął głową.

- Ona - albo ono - widzi. Mówiłem ci. Może i do północy odwaliłbyś większość trasy do jakiegoś Denver, gdybyś naprawdę dał gaz do dechy i gliny by cię nie zatrzymały, ale u celu Ardelia czekałaby na chodniku, żeby ci otworzyć drzwi. Albo rozglądasz się jakiejś zapadłej dziurze, a tu Policjant Biblioteczny siedzi obok na przednim siedzeniu.

Na myśl o tym - na myśl o białej twarzy i srebrnych oczach oświetlonych tylko zielonym blaskiem światełek deski rozdzielczej - Sama przeszedł dreszcz.

- Więc co?

- Sądzę, że oboje wiecie, od czego trzeba zacząć - powiedział Dave. Wypił mrożonej herbaty i postawił szklankę na balustradzie. - Skupcie się tylko na momencik, a sami na to wpadniecie.

Wszyscy przez chwilę spoglądali w kierunku elewatora zbożowego. Sam miał w głowie kompletny mętlik. Kojarzył tylko poszczególne strzępki opowieści Dave'a Duncana i dziwne seplenienie Policjanta Bibliotecznego: „Nie chcę cluchać twoich żałocnych wymówek... Do północy... potem znów przyjdę”.

Twarz Naomi rozjaśniła się pierwsza.

- Oczywiście! - powiedziała. - Ale z nas durnie! Ale...

Zadała pytanie Dave'owi i teraz Sam wytrzeszczył oczy, pojmując. - Coś takiego jest w Des Moines, jeśli dobrze pamiętam - powiedział Dave. - U Pella. Jeśli gdzieś mogą pomóc, to tam. Czemu nie zadzwonisz, Sarah?

2

Kiedy Naomi poszła, Sam powiedział:

- Nawet jeśli to mają, nie dostaniemy się tam przed zamknięciem interesu. Mogę spróbować...

- Nawet mi w głowie nie powstało, żebyś jechał samochodem - powiedział Dave. - Nie, musicie skorzystać z lotniska Proverbia.

Sam mrugnął.

- Nie wiedziałem, że w Proverbii jest lotnisko. Dave zaśmiał się.

- No... może to lekka przesada. Jest tu pół mili ubitej polnej drogi, którą Stan Soames nazwał pasem startowym. A sionka u Stana to biuro Western Iowa Air Charter. Pogadacie ze Stanem. Ma małego navajo. Polecicie do Des Moines i będziecie z powrotem o ósmej, najpóźniej o dziewiątej.

- A jeśli go nie będzie?

- To wykombinujemy coś innego. Ale myślę, że będzie. Stan od latania kocha bardziej tylko pracę na roli, a wiosną rolnicy nie wążają się z dala od domu. Jak już dojdzie do rozmowy, to powie, że nie zabierze was, bo ma pole do obrobienia, że powinniście byli umówić się kilka dni wcześniej, wtedy wezwałby chłopaka Carterów do zorania tego jakiegoś skrawka. Jak tak zacznie smędzić, powiecie mu, że przysyła was Dave Duncan i Dave mówi, że czas się odplacić za piłki do baseballu. Zapamiętacie?

- Tak, ale o co chodzi?

- Nie twój interes. Zabierze cię, to się liczy. I gdy wylądujecie z powrotem, nie zaprzatajcie sobie głowy mną. Walcie prosto do miasta.

Sam znów poczuł strach.

- Do biblioteki.

- Zgadza się.

- Dave, to co Naomi mówiła o przyjaźni, to wszystko bardzo miłe - a może nawet prawdziwe - ale chyba sam powinienem to załatwić. Wy nie musicie brać w tym udziału. Ja odpowiadam za to, że znów się obudziła...

Dave pochylił się i z zadziwiającą siłą złapał Sama za przegub.

- Jeśli naprawdę tak myślisz, to nie zrozumiałeś słowa z tego, co mówiłem. Nie jesteś za nic odpowiedzialny. Mam na sumieniu śmierć Johna Powera i tej dwójki małych dzieci -

nie wspominając o potwornościach, przez które nie wiem, ile dzieci przeszło - ale także nie jestem odpowiedzialny. Nie naprawdę. Tyle mi zależało na tym, żeby być towarzyszem Ardellii, ile na tym, żeby trzydzieści lat chlać. Obie te sprawy po prostu się zdarzyły. Ale ona ma do mnie pretensje i zjawi się po mnie, Sam. Jeśli nie będę wtedy z tobą, odwiedzi mnie pierwszego. I nie mnie jednego. Sarah miała rację, Sam. Ona i ja nie po to mamy być blisko ciebie, żeby cię strzec. Nasza trójka musi trzymać się razem, żeby strzec się nawzajem. Sarah wie o Ardellii, nie rozumiesz, co to znaczy? Jeśli Ardelia tego nie wie, dowie się, jak tylko nadejdzie wieczór. Planuje wyruszyć z Junction City jako ty, Sam. Myślisz, że zostawi przy życiu kogokolwiek, kto będzie znał jej nową tożsamość?

- Ale...

- Żadnych ale. Rzecz sprowadza się do prostego wyboru, to nawet taki stary pijus jak ja potrafi zrozumieć: wchodzimy w to razem albo umrzemy z jej rąk.

Pochylił się.

- Sam, jeśli chcesz uratować Sarah przed Ardelia, przestań zgrywać bohatera i przypomnij sobie, kim był twój Policjant Biblioteczny. Musisz sobie przypomnieć. Bo nie wierzę, żeby Ardelia mogła wcielać się w każdego. W tym interesie jest tylko jedna zbieżność. Ale za to decydująca. Kiedyś ty też miałeś Policjanta Bibliotecznego. I musisz go sobie przypomnieć.

- Próbuję - powiedział Sam, ale wiedział, że kłamie. Ponieważ ilekroć jego myśli kierowały się ku („chodź ze mną cynu... jectem policjantem”) temu głosowi, głos umykał. Sam czuł smak czerwonej lukrecji, której nigdy nie jadł i... zawsze jej nie cierpiał - i to wszystko.

- Musisz bardziej się do tego przyłożyć - powiedział Dave - albo jesteśmy przegrani.

Sam westchnął głęboko. Dave położył mu dłoń na karku, uściśnął łagodnie.

- Tu jest klucz - powiedział. - Może nawet przekonasz się, że to klucz do wszystkiego, co dręczyło cię całe życie. Do twojej samotności i twojego smutku.

Zaskoczony Sam popatrzył na niego. Dave się uśmiechnął.

- O, tak. Jesteś samotny, smutny i zamykasz się przed ludźmi. Umiesz nieźle nawijać i masz uśmiech na twarzy. Ale nie w sercu. Aż do dzisiejszego dnia byłem dla ciebie tylko Parszywym Dave'em, który zgłasza się po makulaturę raz w miesiącu, ale tacy ludzie jak ja dużo widzą, Sam. A swój pozna swego.

- Klucz do wszystkiego - Sam zadumał się. Czy naprawdę istnieją takie rozwiązania? Poza światem popularnych powieści i sobotnich seansów telewizyjnych zaludnionych Dzielnymi Psychiatrami i Zgnębionymi Pacjentami?

- To prawda - upierał się Dave. - Takie rzeczy mają straszną moc, Sam. Nie palisz się, żeby w tym drażyć. Nie twoja wina. Ale jeśli tylko zechcesz, możesz dojść prawdy. Wybór należy do ciebie.

- Czego jeszcze uczą was w AA, Dave? - Uśmiechnął się.

- No, uczą i tego, ale zdaje mi się, że to wiedziałem i bez AA. Naomi znów pojawiła się na werandzie. Na ustach miała uśmiech, a w oczach isierki.

- Ona jest cudowna, nie? - cicho zauważył Dave.

- Tak - powiedział Sam. - Jak najbardziej.

Był doskonale świadom dwóch rzeczy: że jest coraz bardziej zakochany i że Dave Duncan świetnie o tym wie.

### 3

- Facetowi sprawdzanie zabrało tyle czasu, że zaczęłam się niepokoić. Ale mamy szczęście.

- Dobrze - powiedział Dave. - Więc jedziecie we dwójkę do Stana Soamesa. Sarah, czy podczas roku szkolnego biblioteka dalej jest zamykana o ósmej?

- Tak, na pewno.

- Więc wpadnę tam z wizytą koło piątej. Spotkamy się na tyłach, przy rampie, między ósmą a dziewiątą. Lepiej bliżej ósmej i bezpieczniej. Na litość boską, postarajcie się nie spóźnić.

- Jak wejdziemy? - zapytał Sam.

- Zajmę się tym, nie łam sobie głowy. Startujcie już.

- Może najpierw powinniśmy zadzwonić do tego faceta, tego Soamesa - powiedział Sam. - Upewnijmy się, czy ma czas.

Dave potrząsnął głową.

- To nic nie da. Żona Stana rzuciła go dla innego mężczyzny cztery lata temu - twierdziła, że ożenił się ze swoją pracą. Zawsze to wymówka dla kobiety, którą wzięła chętką na innego chłopca. Dzieci nie ma. Będzie na dworze, w polu. Idźcie już. Szkoda dnia.

Naomi pochyliła się i pocałowała Dave'a w policzek.

- Dzięki, że nam opowiedziałeś.

- Cieszę się, że to zrobiłem. Dawno nie czułem się tak dobrze. Sam myślał, żeby podać Dave'owi rękę, ale przyszło mu do głowy coś lepszego. Pochylił się i uściskał starca.

### 4

Stan Soames, wysoki, kościsty mężczyzna o gniewnych oczach płonących w łagodnym obliczu, był opalony jak w lecie, choć kalendarzowa wiosna liczyła sobie dopiero

miesiąc. Tak jak zapowiedział Dave, Sam i Naomi znaleźli go w polu za domem. Siedemdziesiąt jardów na północ za glebogryzarką, stojącą na jałowym biegu, Sam dostrzegł coś w rodzaju polnej drogi... a ponieważ na jej jednym końcu stał mały samolocik okryty brezentem, a na drugim z zardzewiałego drąga powiewał „rękaw”, doszedł do wniosku, że jest to pas startowy lotniska Proverbia.

- Nic z tego - powiedział Soames. - Mam pięćdziesiąt jardów do przewrócenia w tym tygodniu i nikt tego za mnie nie zrobi. Powinniście zadzwonić trzy dni wcześniej.

- To gardłowa sprawa - powiedziała Naomi. - Naprawdę, panie Soames.

Westchnął i rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał objąć całe swoje gospodarstwo.

- Chcecie wiedzieć, co to jest gardłowa sprawa? To co rząd robi takim gospodarstwom i takim ludziom jak ja. To jest sprawa gardłowa jak jasny gwint. Słuchajcie, jest taki jeden w Cedar Rapids, który mógłby...

- Nie mamy czasu na jazdę do Cedar Rapids - powiedział Sam. - Dave mówił nam, że pan prawdopodobnie powie...

- Dave? - Stan Soames dopiero teraz okazał prawdziwe zainteresowanie. Uniósł brwi.

- Jaki Dave?

- Duncan. Kazał mi powiedzieć, iż czas zapłacić za piłki do baseballu.

Brwi Soamesa wróciły na miejsce. Ręce zacisnęły się w pięści i przez jeden krótki moment Sam pomyślał, że zaliczy deski. Ale Soames nagle wybuchnął śmiechem i potrząsnął głową.

- Po tylu latach Dave Duncan ni z gruchy, ni z pietruchy daje znak życia i pokazuje zaległy rachuneczek do zapłaty! Niech mnie drzwi ścisną!

Ruszył do maszyny. W marszu obrócił głowę i wrzasnął, przekrzykując entuzjastyczne pobekiwanie glebogryzarki.

- Idźcie do samolotu! Ja przez ten czas odstawię to draństwo! Uważajcie na kałużę przy końcu pasa, bo pogubicie w niej cholerne buty!

Glebogryzarka ruszyła. Trudno było w tym hałasie coś zrozumieć, ale Samowi wydało się, że Soames wciąż się śmieje.

- Myślałem, że ten stary pijany drań umrze, zanim wyrównam z nim rachunki!

Z rykiem silnika pomknął w kierunku stodoły. Sam i Naomi spojrzeli po sobie.

- Co to wszystko miało znaczyć? - spytała Naomi.

- Nie wiem, Dave mi nie powiedział. - Podał jej ramię. - Czy szanowna pani łaskawie pozwoli, że ją poprowadzę?

Wzięła go pod ramię.

- Dziękuję, sir.

Starali się jak mogli, żeby ominąć bagniste miejsce, przed którym ostrzegął Stan Soames, ale bez pełnego sukcesu. Naomi weszła w błoto po kostkę i kiedy wyrwała stopę, został w nim pantofelek. Sam pochylił się, wyłowił go i nagle porwał Naomi na ręce.

- Sam, nie! - wołała zaskoczona i rozbawiona. - Pęknie ci kręgosłup!

- E tam. Jesteś lekka.

Bo była lekka... i Samowi nagle zrobiło się lekko na sercu. Niósł ją pod górę po pasie startowym i przy samolocie postawił na nogi.

Oczy Naomi, spokojne, rozjaśnione i przejrzyste, spojrzały w jego oczy. Bez namysłu pochylił się i pocałował ją. Po chwili założyła mu ręce na szyję i oddała pocałunek.

Kiedy znów na nią popatrzył, nie mógł złapać tchu. Naomi uśmiechała się.

- Zawsze możesz do mnie mówić Sarah - powiedziała. Sam wybuchnął śmiechem i pocałował ją jeszcze raz.

## 5

Lot w navajo ze Stanem Soamesem przypominał zabawę na skoczku pogo\*. Podskakiwali, kiwali się w niestałych prądach wiosennego powietrza i Samowi kilka razy przyszło do głowy, że splatają Ardellii zupełnie niespodziewanego figla: roztrzaskają się na polu kukurydzianym. \* Drajek z oparciem na stopy i sprężyną u dołu, która pozwala poruszać się skokami.

Jednakże Stan Soames nie okazywał najmniejszego niepokoju. Co sił w płucach wyśpiewywał tak wiekowe ballady jak *Słodka Sue* i *Chodniki Nowego Jorku*, podczas gdy navajo skakało do Des Moines. Naomi siedziała oczarowana. Wyglądała przez okno na drogi, pola i domy w dole, złożonymi dłońmi chroniąc oczy przed blaskiem.

Wreszcie Sam stuknął ją w ramię.

- Zachowujesz się tak, jakbyś nigdy nie leciała! - wrzasnął poprzez cienkie jak u moskita buczenie silnika.

Odwróciła się do niego, szczerząc zęby jak rozradowana pensjonarka.

- Bo nie leciałam! - powiedziała i natychmiast wróciła do podziwiania widoków.

- Niech mnie szlag trafi - powiedział Sam i mocniej zacisnął pas bezpieczeństwa. Samolot wykonał następny gigantyczny sus godny szalejącego żrebaka.

## 6

Było dwadzieścia po czwartej, kiedy navajo opadło z nieba i wylądowało na lotnisku w Des Moines. Soames podkołował do terminalu lotnictwa cywilnego, zgasił silnik, otworzył drzwiczki. Sam, lekko rozbawiony, poczuł ukłucie zazdrości, kiedy Soames złapał w pasie Naomi, pomagając jej zejść.

- Dziękuję! - tchu jej brakło. Na policzkach płonął mocny rumieniec, a w oczach tańczyły światełka. To było cudowne!

Soames uśmiechnął się i nagle ubyło mu dwadzieścia lat.

- Mnie też zawsze się to podobało, i to lepsze niż odbijanie nerek na starej glebogryzance przez całe popołudnie... muszę przyznać.

- Możecie mi powiedzieć, co to za wielkie halo? Pomogę, jak się da

- Dave ma u mnie trochę więcej niż krótki kurs z Proverbii do Des Moines i z powrotem.

- Musimy dostać się do miasta - powiedział Sam. - Do firmy, która nazywa się księgarnia U Pella. Mają dla nas dwie książki.

Stan Soames patrzył na nich wytrzeszczonymi oczami.

- Możesz powtórzyć?

- U Pella...

- Pella znam, na froncie nowe książki, z tyłu stare. Największy wybór na całym Środkowym Zachodzie, stoi na reklamie. Jednego nie łapię: wyrwaliście mnie z pola i kazaliście lecieć przez cały stan, żeby kupić dwie książki?

- To są bardzo ważne książki, panie Soames - powiedziała Naomi. Dotknęła szorstkiej ręki farmera. - W tej chwili to najważniejsza rzecz w moim życiu... i Sama.

- I Dave'a - dodał Sam.

- Jak mi powiecie, o co chodzi - spytał Soames - połapię się w tym?

- Nie - powiedział Sam.

- Nie - przytaknęła Naomi i uśmiechnęła się lekko. Soames mocno sapnął przez gruby nos i wsadził rękę w kieszenie.

- A zresztą i tak chyba nie ma to wielkiego znaczenia. Miałem u Dave'a dług od dziesięciu lat i czasem mocno ciążył mi na sercu. - Rozjaśnił się. - I dane mi było zgotować ślicznej panience pierwszą przejażdżkę samolotem. Piękniejszy niż widok dziewczyny po pierwszej przejażdżce samolotem jest tylko widok dziewczyny po jej pierwszym...

Urwał nagle i szurnął butem po asfalcie. Naomi dyskretnie przeniosła wzrok ku linii horyzontu. Właśnie wtedy nadjechała cysterna z paliwem. Soames oddalił się szybko i pogrążył w rozmowie z kierowcą.

- Wywarłaś mocne wrażenie na naszym nieustraszoną pilotce - powiedział Sam.

- Może masz rację. Czuję się cudownie, Sam. Czy to nie wariactwo?

Zsunął jej za ucho niesforny loczek.

- To był zwariowany dzień. Najbardziej zwariowany, jak pamięcią sięgnę.



Ale na to obudził się głos - dochodził z tej głębi, w której wciąż kryły się najistotniejsze problemy - i powiedział, że to nie całkiem prawda. Był jeszcze jeden dzień, równie zwariowany. Bardziej zwariowany. Dzień Czarnej strzały i czerwonej lukrecji.

Zaczęła go ogarniać dziwna, obezwładniająca panika i zamknął uszy na ten głos.

„Sam, jeśli chcesz uratować Sarah przed Ardelią, przestań zgrywać bohatera i przypomnij sobie, kim byt twój Policjant Biblioteczny.

Nie przypomnę sobie! Nie mogę! Nie... nie powinienem!

Musisz sobie przypomnieć.

Nie powinienem! Nie wolno mi tego robić!

Musisz bardziej się do tego przyłożyć albo jesteśmy przegrani”.

- Ja naprawdę muszę już iść do domu - zamruczał. Naomi, która odeszła obejrzeć klapy navajo, usłyszała Sama i wróciła.

- Mówiłeś coś?

- Nic. To nieistotne.

- Jesteś bardzo blady.

- Bardzo się denerwuję - powiedział podrażniony.

Stan Soames powrócił. Gestem podziękował kierowcy cysterny.

- Dawson mówi, że mogę wziąć jego wóz. Zawiozę was do miasta.

- Możemy wezwać taksówkę... - zaczął Sam. Naomi szybko potrząsnęła głową.

- Za mało czasu na to. Będziemy wdzięczni, panie Soames.

- E tam, wielka mi rzecz - powiedział Soames i uśmiechnął się do niej jak młody chłopiec. - A przy okazji - mów mi Stan. Zbieramy się. Dawson mówi, że idzie niż od Kolorado. Lepiej wrócić do Junction City przed deszczem.

## 7

Księgarnia U Pella była to wielka budowla przypominająca stodołę, zbudowana na skraju centrum handlowego Des Moines; całkowita antyteza seryjnych księgarń upchanych w nowoczesnych pasażach handlowych. Naomi spytała o Mike'a. Została skierowana do działu obsługi klienta, kiosku, który wyglądał jak budka celników, a stał pomiędzy działem nowych książek i większym, sprzedającym stare.

- Nazywam się Naomi Higgins. Z panem rozmawiałam wcześniej telefonicznie?

- Ach, tak - powiedział Mike. Pogrzebał w jednej ze swoich pełnych półek i wyciągnął dwie książki. *Najukochańsze wiersze Amerykanów* i *Towarzysz mówcy* wydany przez Kenta Adelmiana.

Sam nigdy w życiu nie był tak ucieszony widokiem książek i musiał stłumić gorący impuls, aby wyrwać je z rąk księgarza i przytulić do piersi.

- *Najukochańsze wiersze Amerykanów* to żaden problem - powiedział Mike - ale *Towarzysz mówcy* jest wyczerpany. Założę się, że stąd do Denver nie znajdziecie w żadnej księgarni tak ładniutkiego egzemplarza jak w księgarni U Pella... poza oczywiście, egzemplarzami bibliotecznymi.

- Oba wspaniale się prezentują - powiedział z głębokim uczuciem Sam.

- Czy to upominek?

- Coś w tym rodzaju.

- Mogę je państwu ładnie opakować, jeśli sobie tego życzyacie; potrwa to sekundkę.

- To nie jest konieczne - powiedziała Naomi. Łączna cena dwóch książek wynosiła dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt siedem centów.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówił Sam, kiedy wyszli ze sklepu i skierowali się do miejsca, gdzie Stan Soames zaparkował samochód. Sam mocno ścisnął reklamówkę w dłoni. - Nie mogę uwierzyć, że to takie proste... wystarczy zwrócić książki.

- Nie ekscytuj się tak - powiedziała Naomi. - To wcale nie będzie takie proste.

## 8

Podczas jazdy na lotnisko Sam spytał Staną Soamesa, czy mógłby opowiedzieć im o Davie i piłkach do baseballu.

- Jeśli to coś osobistego, nie ma sprawy. Jestem tylko ciekaw. Soames zerknął na reklamówkę, którą Sam położył na kolanach.

- Ja też jestem dość ciekaw. Tych książek. Proponuję umowę. Ta sprawa z piłkami wydarzyła się dziesięć lat temu. Opowiem wam o niej, jeśli wy powiecie mi o tych książkach za dziesięć lat.

- Umowa stoi - powiedziała Naomi i dodała coś, co również Samowi chodziło po głowie. - Oczywiście, jeśli będziemy zdrowi i cali.

Soames wybuchnął śmiechem.

- Taaa... zawsze coś może wyskoczyć, no nie? Sam pokiwał głową.

- Ciężkie przypadki chodzą po ludziach.

- Pewnie, pewnie. Właśnie coś takiego przytrafiło się mojemu jedynekowi w 1980 roku. Doktorzy mówili na to białaczka, ale tak naprawdę to był właśnie jeden z tych ciężkich przypadków, które lubią chodzić po ludziach.

- Och, bardzo ci współczuję - powiedziała Naomi.

- Dzięki. Czasem myślę, że mam to już za sobą, ale dopada mnie wtedy, kiedy najmniej się spodziewam, i znów daje do wiwatu. Aby otrząsnąć się z pewnych spraw, potrzebny jest czas, a są i takie sprawy, z których się nigdy nie otrząsniesz.

„Są i takie sprawy, z których się nigdy nie otrząsniesz”. „Chodź ze mną, cynu... jectem policjantem”. „Ja naprawdę muszę już iść do domu... czy zapłaciłem karę?”. Sam dotknął kącika ust drżącą ręką.

- Więc tak, znałem Dave'a od dawna, zanim wydarzyła się cała ta historia - zaczął Stan. Minęli znak drogowy z napisem:

LOTNISKO 3 MILE. - Razem dorastaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły i razem szaleliśmy. Z tym że ja się wyszumiałem i dałem sobie spokój. Dave nie przestał rozrabiać.

Soames potrząsnął głową.

- Pijany czy trzeźwy, to był jeden z najbardziej kochanych facetów, na jakich w życiu trafiłem. Ale tak się składało, że częściej był pijany niż trzeźwy i straciliśmy ze sobą kontakt. Najgorzej musiało mu iść pod koniec lat pięćdziesiątych. Wtedy pił na umór. Potem, jak zaczął chodzić na spotkania AA, wyglądało, że idzie mu lepiej... ale zawsze kończył w rynsztoku.

Chajtnąłem się w sześćdziesiątym ósmym i chciałem go prosić, żeby mi świadkował, ale nie miałem odwagi. Co prawda pokazywał się u mnie trzeźwy - ale nie można być pewnym, że tym razem pokaże się trzeźwy.

- Wiem, o co ci chodzi - cicho powiedziała Naomi. Stan Soames zaśmiał się.

- No, ciężko mi uwierzyć, że takie słodkie stworzonko jak ty może wiedzieć, w jakie tarapaty może się wpakować wieczny moczymorda - ale wierz mi na słowo. Gdybym poprosił Dave'a, żeby świadkował mi na tym weselu, Laura - moja była - narobiłaby w majtki ze strachu. Ale Dave przyszedł i gdy w 1970 roku urodził się mały Joe, pokazywał się częściej. Chyba miał słabość do dzieciaków, kiedy walczył z piciem.

Joe najbardziej na świecie uwielbiał baseball. Był zupełnie zwariowany - zbierał nalepki, opakowania gumy do żucia... dręczył mnie nawet o kupno satelity, żeby móc oglądać wszystkie gry Royalów - najbardziej lubił Royalów - i Cubów też. Byli pokazywani na WGN z Chicago. Nie miał ośmiu lat, gdy znał przeciętną wyników wszystkich graczy, którzy startowali u Royalów, i rezultaty wygranych i przegranych uderzeń wszystkich *pitcherów* Ligi Amerykańskiej. Kilka razy Dave i ja zabraliśmy go na mecz. Dzieciak to przeżywał jak wycieczkę po niebie. Dave dwa razy poszedł z nim sam, wtedy kiedy miałem robotę. Laura miała tęgiego boja - mówiła, że Dave schła się jak świnia, a chłopak się zgubi i będzie się

plątał po Kansas City albo tkwił na jakimś posterunku i czekał, żeby się ktoś zjawił i go zabrał. Ale nic takiego nigdy się nie stało. Dave nie brał kieliszka do ust, kiedy był z Joem.

Kiedy Joe dostał białaczki, najbardziej cierpiał z tego powodu, że doktorzy zakazali mu chodzić na mecze. Przez cały rok, a przynajmniej do czerwca, a może w ogóle. Był tym bardziej załamany niż rakiem. Raz Dave przyszedł z wizytą, a Joe się popłakał. Dave przytulił go i powiedział: „Nie przejmuj się, że nie możesz chodzić na mecze, Joey, będziesz tu miał Royalów”.

Joe wgapił się w niego i mówi: „Znaczy się, sprowadzisz ich osobiście, wujku Dave?”. Tak, zawsze mówił na niego wujek Dave.

„Tego nie potrafię, mówi Dave. Ale potrafię coś prawie tak samo dobrego”.

Soames podjechał do bramy terminalu lotnictwa cywilnego i nacisnął klakson. Brama rozsunęła się i podjechali do navajo. Stan zgasił silnik, siedział przez chwilę za kółkiem i patrzył na swoje ręce.

- Zawsze wiedziałem, że drań ma talent - odezwał się wreszcie. - Ale nie wiedziałem, że kiedy już się weźmie do roboty, to zasuwa jak szatan. Musiał zasuwać dzień i noc, bo skończył w dziesięć dni - i te zasaństwa wyszły mu wspaniale.

A wiedział, że musi szybko zasuwać. Rozumiecie, doktorzy powiedzieli prawdę mnie i Laurze, a ja Dave'owi. Nie było szans, żeby Joe długo pociągnął. Za późno połapali się, co w nim jest niedobrego. Szalało mu we krwi jak pożar prerii.

W jakieś dziesięć dni po tym, jak złożył tę obietnicę, Dave przychodzi do pokoju szpitalnego mojego syna i pod pachami trzyma torby na zakupy. „Co tam masz, wujku Dave?”, pyta Joe i prostuje się w łóżku. Wtedy Joe miał paskudny dzień - chyba dlatego, że wychodziły mu włosy; w tamtych czasach jeśli chłopakowi włosy nie wisały do połowy pleców, był nic niewart - ale jak się Dave pokazał, rozchmurzył się cały.

„Oczywista, że Royalów, odpowiada Dave. Nie mówiłem ci?”. I wysypuje zawartość tych dwóch toreb na łóżko. Nigdy, przenigdy nie widzieliście takiego wyrazu twarzy u małego chłopca. To jakby zapalić światełka na choince... i... cholera... nie wiem...

W miarę jak opowiadał, chrząkał coraz mocniej. Teraz pochylił się i oparł czoło o kierownicę tak ciężko, że klakson zatrząbił. Stan wyciągnął z tylnej kieszeni wielką chustkę, otarł oczy i wysiąkał nos.

Naomi pochyliła się. Pogładziła Soamesa po policzku:

- Jeśli to dla pana zbyt bolesne, panie Soames...

- Nie - powiedział i zdobył się na uśmiech. Sam widział, jak łza, którą ominęła chusteczka, błyszczy w zachodzącym słońcu, tocząc się po policzku. - Tylko że kiedy to

mówię, staje mi jak żywy przed oczami. Jak żywy. To boli, panienko, ale i robi się od tego ciepłej na sercu. Tych dwóch spraw jakoś nie da się rozdzielić.

- Rozumiem.

- Kiedy Dave wywrócił do góry dnem te torebki, wysypały się piłki do baseballu - ponad dwa tuziny. Ale to nie były zwyczajne piłki, ponieważ na każdej była wymalowana twarz należąca do gracza Royalów Kansas City z sezonu 1980. Żadne, jak-im-tam, karykatury. Były tak prawdziwe jak te twarze, co je Norman Rockwell malował na okładkach „Saturday Evening Post”. Widziałem prace Dave’a, zanim zaczął ciężko pić, i były dobre, ale żadna nie umywała się do tego. Był tu Willie Aikens i Frank White i U.L. Washington, i George Brett... i Willie Wilson, i Arnos Otis... Den Quisenberry wyglądający tak groźnie jak rewolwerowiec z jakiegoś starego westernu... Paul Splitteroff i Ken Brett... wszystkich nazwisk nie pamiętam, ale był tam cały cholerny skład razem z Jimem Freyem, trenerem.

I w dodatku, gdy pomalował te piłki, to zanim dał je mojemu synowi, pojechał do Kansas i namówił wszystkich graczy, poza jednym, żeby złożyli autografy. Ten wyjątek to był Darrell Porter, *catcher*. Leżał w domu z grypą i przyobiecał, że podpisze piłkę ze swoją twarzą tak szybko, jak tylko będzie mógł. I podpisał.

- O rety - cicho westchnął Sam.

- I wszystko to zrobił Dave osobiście - ten człowiek, którego ludzie w mieście obśmiewają i nazywają Parszywy Dave. Mówię wam, jak czasem słyszę, że ludzie tak mówią, i przypomnę sobie, co on zrobił dla Joego, kiedy Joe umierał na białaczkę, to mógłbym...

Soames nie skończył, ale dłonie same zwinęły mu się w pięści na potężnych udach. I Sam - który przezywał tak Dave’a aż do dzisiaj i śmiał się razem z Craigiem Jonesem i Frankiem Stephensem ze starego pijaka ciągnącego stary wózek na zakupy pełen gazet - poczuł, jak fala gorącego wstydu zalewa mu policzki.

- To było coś cudownego, prawda? - spytała Naomi i znów pogłaskała Staną Soamesa po policzku. Płakała.

- Żebyście widzieli jego twarz - powiedział rozmarzony Soames. - Nie uwierzylibyście, jak był szczęśliwy. Siedział wyprostowany na łóżku i patrzył na te wszystkie gęby, czapki baseballowe K.C. na ostrzyżonych łbach. Opisać tego nie potrafię, ale nigdy nie zapomnę.

Żebyście widzieli jego twarz.

Pod koniec Joe bardzo źle się czuł, ale nigdy tak bardzo, żeby nie obejrzeć Royalów w telewizji - albo posłuchać meczu w radio a cały pokój był w tych piłkach, leżały wszędzie. Ale parapet przy łóżku to było miejsce honorowe. Tam ustawiał dziewiątkę, która właśnie

grała. Jeśli Frey zdejmował *pitchera*, Joe zdejmował piłeczkę z tym *pitcherem* z parapetu i wstawiał rezerwowego. A kiedy zawodnik podchodził do uderzenia, Joe brał jego piłeczkę do ręki. Więc...

Stan Soames przerwał nagle i schował twarz w chustce. Pierś podskoczyła mu dwa razy i szloch nie pozwolił mówić. Potem otarł oczy i szybko wsadził chustkę z powrotem do tylnej kieszeni.

- Więc teraz wiecie, dlaczego wziąłem was dziś do Des Moines i dlaczego wziąłbym was do Nowego Jorku, gdybyście tam musieli lecieć po dwie książki. Nie mnie to zawdzięczacie, tylko Dave'owi. To niezwykły człowiek.

- To samo można powiedzieć i o tobie - powiedział Sam. Soames obdarzył go dziwnym, bolesnym uśmiechem i otworzył drzwi buicka.

- W każdym razie dzięki. Dzięki serdeczne. A teraz musimy się związać, jeśli chcemy uciec przez deszczem. Niech pani nie zapomni swoich książek, panno Higgins.

- Nie zapomnę - powiedziała Naomi, wysiadając. Reklamówkę trzymała mocno w dłoni. - Bądź spokojny, nie zapomnę.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

### **Policjant Biblioteczny (II)**

#### **1**

Dwadzieścia minut po starcie z Des Moines Naomi oderwała oczy od widoków - śledziła drogę 79 i sznury samochodów sunące w jedną i drugą stronę - i odwróciła się do Sama. Przestraszyła się. Zasnął z głową opartą o okno, ale nie był spokojny. Wyglądał jak człowiek dręczony głębokim, rozdzierającym bólem.

Spod zamkniętych powiek płynęły łzy i toczyły się po twarzy.

Schyliła się, żeby go obudzić, i usłyszała, jak mówi drżącym głosem małego chłopczyka:

- Czy ze mną źle, sir?

Navajo zanurzył się w gęste chmury, zbierające się nad zachodnim Iowa, i zaczął podskakiwać, ale Naomi ledwo to zauważyła. Jej ręka zawisła nad ramieniem Sama i cofnęła się po chwili.

„Kim był TWÓJ Policjant Biblioteczny, Sam?”.

„Kimkolwiek był, pomyślała Naomi, wydaje mi się, że znów go odnalazł. Myślę, że jest z nim teraz. Przykro mi, Sam... ale nie mogę cię obudzić. Nie teraz. W tej właśnie chwili jesteś tam, gdzie powinieneś być... gdzie musisz być. Przykro mi, ale śnij dalej. I pamiętaj, co śniłeś, kiedy się obudzisz. Pamiętaj. Pamiętaj”.

We śnie Sam Peebles obserwował Czerwonego Kapturka. Wyrusza z domu, niosąc zawieszony na rączce koszyczek przykryty serwetką.

Idzie do babci, gdzie czeka wilk, żeby go zjeść, napoczynając od nóżek. Zjadłszy, zedrze skalp, a potem długą drewnianą łyżeczką będzie wyjadał z główki mózg.

Tylko że wszystko jest zupełnie inaczej. Czerwony Kapturek jest chłopcem, a dom to jednopiętrowy bliźniak w St. Louis, gdzie Sam mieszka ze swoją matką po śmierci taty, a pod serwetką koszyka nie ma jedzonka. W koszyku jest książka, *Czarna strzała* Roberta Louisa Stevensona i Sam przeczytał ją, każdziutkie słowo, i nie wybiera się do babci, tylko do Biblioteki Publicznej St. Louis, oddział przy Briggs Avenue, i musi się spieszyć, bo o cztery dni spóźnił się ze zwrotem.

W tym śnie Duży Sam nie występuje. Jest obserwatorem. Obserwuje Małego Sama, jak stoi na rogu Dunbar Street i Jonstown Avenue, czekając na zmianę świateł. Mały Sam biegnie przez ulicę z książką w dłoni... koszyka już nie ma. Mały Sam wchodzi do kiosku przy Dunbar Street i Duży Sam też jest nagle w środku, czuje mieszaninę zapachów kamfory, ciastek, tytoniu fajkowego. Mały Sam podchodzi do lady, prosząc o paczuszkę czerwonej lukrecji „Bycze Oko”. To jego ulubiony gatunek. Mały chłopczyk ostrożnie wyjmuje dolarowy banknot, który mama wsunęła do kieszonki na kartę biblioteczną *Czarnej strzały*. Sprzedawca bierze dolara i wydaje dziewięćdziesiąt pięć centów reszty... więcej niż trzeba do zapłacenia kary. Mały Sam wychodzi i przystaje przed kioskiem, żeby włożyć resztę do kieszeni spodnek, i rozrywa zębami opakowanie czerwonej lukrecji. Mały Sam idzie dalej - ma teraz do biblioteki tylko trzy przecznice - gryzie po drodze łakocie, długie czerwone laseczki.

Duży Sam krzyczy. Usiłuje ostrzec chłopca.

„Strzeż się! Strzeż! Chłopczyku, wilk czeka! Strzeż się wilka! Strzeż się wilka!”.

Ale chłopiec idzie sobie dalej, je czerwoną lukrecję; jest teraz na Briggs Avenue i biblioteka, wielki blok czerwonej cegły, rysuje się coraz bliżej.

W tym momencie Sam - Duży Sam - usiłuje wyrwać się ze snu. Czuje, że Naomi i Stan Soames i prawdziwy świat są tuż za skorupą tego jaja z piekielnym koszmarem, w które się wpakował. Przez dźwięki ze snu: hałas uliczny Briggs Avenue, ostre DRRRIN-NNGDRRRJNNNG dzwonka rowerowego jakiegoś chłopaka, ćwierkanie ptaków w gęstym, letnim listowiu wiązków słyszy buczenie silnika navajo. Zaciska śniące oczy i usiłuje wyrwać się do świata na zewnątrz skorupy, świata prawdziwego. Więcej: czuje, że może go dosięgnąć, rozbić skorupę...

Policjant Biblioteczny (II) "Nie, mówi Dave. Nie, Sam, nie rób tego. Nie wolno ci tego robić.

Jeśli chcesz uratować Sarah przed Ardelią, wybij sobie z głowy budzenie się z tego snu. W tym interesie jest tylko jedna zbieżność. Ale za to decydująca. Kiedyś TY też miałeś Policjanta Bibliotecznego. I musisz go sobie przypomnieć.

Nie chcę wiedzieć. Nie chcę wiedzieć. To było okropne.

Nic nie jest tak okropne jak to, co cię czeka, Sam. Nic".

Otwiera oczy - nie te patrzące na świat zewnętrzny. Śniące oczy.

Teraz Mały Sam jest na betonowej alejce, która od wschodu dochodzi do biblioteki publicznej, tej alejce, która prowadzi do dziecięcego skrzydła. Porusza się w cudem zwolnionym tempie, każdy krok trwa długo jak pojedynczy łagodny ruch wahadła za szybką wysokiego stojącego zegara i wszystko jest wyraźne: małe odłamki miki i kwarcu błyszczące w betonie, rozkosznie kwitnące róże przy alejce, gęsta zieleń wysokich zarośli wzdłuż ściany budynku; winorośl pnąca się po czerwonej ceglanej ścianie; dziwne i jakoś straszne łacińskie motto *Fuimus, non sumus*, wyrte krótkim półkołem nad zielonymi drzwiami, których grube szybki są wzmocnione metalową wtopioną siateczką.

I Policjant Biblioteczny, stojący na schodach, też jest wyraźny.

Nie jest blady. Ma rozpaloną twarz. Pyszcze na jego czole są czerwone i płonące. Jest niewysoki, średniego wzrostu, ale ma niewiarygodnie szerokie bary. Ubrany nie w trencz, ale w pelerynę. To bardzo dziwne, ponieważ jest letni dzień, gorący letni dzień, jak to w St. Louis. Oczy może i ma srebrne; Mały Sam nie może im się przyjrzeć, ponieważ Policjant Biblioteczny nosi małe, okrągłe, czarne okulary - jak ślepiec.

„To nie Policjant Biblioteczny! To wilk! Strzeż się! To wilk! WILK Biblioteczny!”.

Ale Mały Sam nie słyszy. Mały Sam się nie boi. Przecież jest środek jasnego dnia i miasto pełne jest dziwnych, czasami zabawnych ludzi. Przeżył całe swoje życie w St. Louis i nie boi się ludzi. To się dopiero zmieni.

Zbliża się do tego człowieka i wtedy dostrzega bliznę: cienką białą nitkę, która zaczyna się wysoko na lewym policzku, ginie pod lewym okiem i wspina na garbek nosa.

„Cześć, cynu”, mówi mężczyzna w czarnych okrągłych okularach.

„Cześć”, mówi Mały Sam.

„Czy byłbyś mi łaskaw coś powiedzieć o tej książce, zanim wejdiesz do środka?” - pyta mężczyzna. Przemawia łagodnie i uprzejmie, niegroźnie. Lekko sepleni i niektóre „s” wymawia jak „c” - „rozumiesz, pracuję dla biblioteki”.



„Ma tytuł *Czarna strzala*, uprzejmie wyjaśnia Mały Sam, i napisał ją pan Robert Louis Stevenson. On nie żyje. Umarł na tuuber-klu-łożę. Świetna jest. Jest w niej parę wspaniałych bitew”.

Chłopiec czeka, aż mężczyzna w małych, czarnych, okrągłych okularkach usunie się na bok i wpuści go do środka, ale mężczyzna w małych, czarnych, okrągłych okularkach nie usuwa się na bok. Pochyla się tylko i patrzy z bliska. Dziadku, jakie masz małe, czarne, okrągłe oczka.

„Jeszcze jedno pytanie, mówi mężczyzna. Czy punktualnie zwracasz książkę?”.

Teraz Mały Sam zaczyna się bać.

„Nie, ale spóźniłem się tylko trochę. Tylko cztery dni. Wie pan, była bardzo długa, a ja jestem w Małej Lidze baseballowej i był obóz dla dzieci w mieście i...”.

„Chodź ze mną, cynu... jectem policjantem”.

Mężczyzna w czarnych okularkach i pelerynie wyciąga rękę. Przez moment Sam o mało nie rzuca się do ucieczki. Ale jest dzieckiem; ten mężczyzna to dorosły. Pracuje dla biblioteki. Jest policjantem. Nagle ten mężczyzna, ten straszny mężczyzna z blizną i okrągłymi czarnymi okularkami, staje się uosobieniem Władzy. Nie uciekniesz przed Władzą; ona dosięgnie cię wszędzie.

Sam zbliża się nieśmiało. Podnosi rękę - tę, w której trzyma niemal pustą torebkę czerwonej lukrecji - i w ostatniej sekundzie chce ją cofnąć. Za późno. Mężczyzna jest szybszy. Opakowanie z czerwoną lukrecją „Bycze Oko” upada na alejkę. Mały Sam nigdy w przyszłości nie weźmie do ust czerwonej lukrecji.

Mężczyzna ciągnie Sama jak rybak, który zwija linkę z miotającym się pstrągiem. Zaciska bardzo mocno dłoń na ręczce Sama. To boli. Sam zaczyna płakać. Słońce wciąż świeci, trawa jest dalej zielona, ale nagle cały świat wydaje się odległy jak okrutny miraż, który pokazał się na chwilę.

Czuje zapach pastylek odświeżających oddech, marki Sen-Sen. „Czy źle ze mną, sir?” pyta, marząc każdym włóknem ciała, żeby mężczyzna powiedział „nie”.

„Tak, odpowiada on. Źle. BARDZO źle. I, cynu, jak chcesz, żeby było lepiej, rób dokładnie to, co mówię. Rozumiesz?”.

Sam nie jest w stanie odpowiedzieć. Nigdy się tak nie bał. Patrzy tylko na mężczyznę szeroko rozwartymi oczami, z których płyną strumyki łez.

Mężczyzna potrząsa nim. „Rozumiesz mnie czy nie?”.

„Ta... aak!”. Samowi brak tchu. Czuje nieznośne parcie na pęcherz.

„Pozwól, że wyjawię ci, kim dokładnie jectem”, mówi mężczyzna i wysapuje małe obłoczki zapachu pastylek Sen-Sen w twarz Sama. „Jectem gliniarzem z Biblioteki Briggs Avenue i moim obowiązkiem ject karać chłopaków i dziewczyny, którzy cpóźniają się z oddaniem książek”.

Mały Sam zaczyna mocniej płakać. „Mam pieniądze, udaje mu się wykrztusić przez łyżę. Dziewięćdziesiąt pięć centów! Niech pan weźmie! Niech pan weźmie wszystko!”.

Stara się wyciągnąć drobniaki z kieszeni. W tym samym momencie Gliniarz Biblioteczny rozgląda się wkoło i nagle jego okrągła twarz robi się spiczasta, nagle robi się twarzą lisa albo wilka, któremu udało się wpaść do kurnika, ale który nagle wyczuł niebezpieczeństwo.

„Chodź”, mówi i ściąga Małego Sama z alejki w gęste zarośla rosnące wokół biblioteki. „Kiedy policjant mówi ci chodź, to znaczy CHODŹ!”. Jest tu ciemno; ciemno i tajemniczo. W powietrzu unosi się zapach gnijących jagód jałowca. Grunt pokrywa ciemna mierzwa. Sam płacze teraz bardzo głośno.

„Zamknij się”, stęka wściekle Policjant Biblioteczny i mocno potrząsa Samem. Zgniatą mu rękę w uścisku. Głowa Sama podskakuje jak ulęgałka. Doszli do małej polanki w plątaniu zarośli, jakby altanki, w której jałowiec został ubity, paprocie połamane i Sam wie, że Gliniarz Biblioteczny nie tylko zna to miejsce; on je wyszykował.

„Zamknij się albo kara, która cię spotka, to będzie dopiero początek! Zadzwońię do twojej matki i powiem jej, jaki byłeś niegrzeczny! Chcesz, żebym to zrobił?”.

„Nie, łka Sam. Zapłacę karę! Zapłacę, proszę pana, tylko niech pan nie robi mi krzywdy!”.

Policjant Biblioteczny obraca Małego Sama plecami do siebie.

„Ręce wycoko na ścianę! Rozctaw nogi! Już! Szybko!”.

Wciąż łkając, ale przerażony wizją matki, rozgniewanej, że zrobił coś, co pociągnęło za sobą aż taką karę, Mały Sam ulega Policjantowi Bibliotecznemu. Czerwone cegły są chłodne, chłodne w cieniu zarośli, które napierają na tę ścianę budynku splątana masą. Widzi na poziomie ziemi okienko. Jest to okienko kotłowni biblioteki. Nagie żarówki, ocienione blaszanymi abazurami okrągłymi jak kapelusze chińskich kulisów, zwisają nad gigantycznym kotłem, przewody centralnego ogrzewania rzucają cudacznie splątane cienie jak ramiona ośmiornicy. Widzi stróża. Stoi w głębi kotłowni tyłem do okienka, odczytuje poziom ciśnienia w kotłach i zapisuje na kartce, którą ma na sztywnej podkładce.

Policjant Biblioteczny ściąga Samowi spodniki. Razem z majtkami. Sam podskakuje. Chłód szczypie go w pupę.

„Cpokojnie, dyszy Policjant Biblioteczny. Nie ruszaj się. Jak raz zapłacisz karę, cynu, będzie po wszystkim... i nikt nie musi się dowiedzieć”.

Coś dużego i gorącego ociera się o pupę Sama. Mały Sam znów podskakuje.

„Cpokojnie”, mówi Policjant Biblioteczny. Dyszy gwałtowniej, Sam czuje gorący oddech na ramieniu, zapach sen-sena. Jest sparaliżowany grozą, ale czuje coś: wstyd. Wstyd. Zaciągnięto go w zarośla, poddano tej nieznanej groteskowej karze, ponieważ zalegał ze zwrotem *Czarnej strzały*. Gdyby wiedział, że kara może być tak wysoka...!

To duże coś uderza w pupę, rozdziera pośladki. Straszliwy, szarpący ból pnie się w górę brzucha Małego Sama. Nigdy nie czuł takiego bólu. Nigdy, jak długo żyje na tym świecie.

Upuszcza *Czarną strzałę* na ziemię i wciska rączki do ust, żeby stłumić krzyk.

„Cpokojnie, dyszy Wilk Biblioteczny, opuszcza ręce na ramiona Sama i kiwa się w przód, w tył, do środka i na zewnątrz, w przód, w tył, do - i - na. Cpokojnie... cpokojnie... ooh! Cpoookoooooj-nioeeee...”.

Dyszac i kiwając się, Gliniarz Biblioteczny szoruje tym czymś, tym wielkim tłokiem z rozpalonej stali w pupę i z pupy Sama; Sam wytrzeszcza oczy, patrzy do wnętrza sutereny, która jest innym światem, uporządkowanym światem, gdzie takie obrzydliwe potworności nigdy się nie zdarzają. Obserwuje stróża. Stróż kiwa głową, wsadza podkładkę do notowania pod pachę i idzie do drzwi wychodzących na korytarz. Gdyby podniósł tylko trochę głowę i podniósł wzrok w górę, zobaczyłby wpatrzoną w niego twarzyczkę, pobladałą chłopięcą twarz z wytrzeszczonymi oczami, z resztkami czerwonej lukrecji na wargach. Sam bardzo tego pragnie - stróż uratuje go tak, jak myśliwy uratował Czerwonego Kapturka - ale zarazem dobrze wie, że stróż tylko by się odwrócił z obrzydzeniem na widok jeszcze jednego niegrzecznego chłopczyka sprawiedliwie karanego przez Gliniarza z Biblioteki Briggs Avenue.”Cpokojnieeeeeeeee!” Wilk Biblioteczny szepce - krzyczy, podczas kiedy stróż w swoim małym uporządkowanym świecie wychodzi za drzwi. Nie ogląda się. Wilk napiera jeszcze mocniej i przez jedną niewyobrażalnie rozdzierającą sekundę ból rośnie do tego stopnia, że Mały Sam jest pewien, że brzuch eksploduje i to, co Gliniarz Biblioteczny wetknął mu do pupy, po prostu wyjdzie przodem, wypychając kiszki.

Gliniarz Biblioteczny pada na Sama w smrodzie kwaśnego potu, dyszy chrapliwie i Sam osuwa się na kolana pod jego ciężarem. Równocześnie twardy przedmiot - już nie tak twardy jak przed chwilą - wysuwa się z Sama, a Sam czuje mokrość na całej pupie. Boi się tam sięgnąć ręką. Boi się, że kiedy ją cofnie, okaże się, że stał się Małym Krwawiącym Samem.

Gliniarz Biblioteczny nagle łapie Sama za ramiona i obraca do siebie. Jest teraz niesamowicie czerwony. Na policzkach i na czole ma czerwone, nabrzmiałe, rozpalone pręgi jak malowidło na twarzy indiańskiego wojownika.

„Cpórz tylko na siebie! - parska Gliniarz Biblioteczny. Twarz ma ściągniętą pogardą i obrzydzeniem. Cpórz tylko: cpodenki ściągnięte i cały fifak na wierzchu! Cpodobało ci, się, co? CPODO-BAŁO!”.

Sam nie może wydusić słowa. Łka. Podciąga jednocześnie majtki i spodenki, tak jak jednocześnie zostały ściągnięte. Nasypało się do nich mierzwy i drapie teraz w poturbowaną pupę, ale to nic. Cofa się przed Gliniarzem Bibliotecznym aż do czerwonej ceglanej ściany biblioteki. Twarde gałęzie winorośli szturchają go w plecy jak koścista łapa. Ale to też nic. Opanowały go bez reszty wstyd, groza i poczucie, że jest nic niewart. Z tej trójcy wstyd jest największy. Wstyd jest niewyobrażalny.

„Wcetrętny chłopiec! - pogardliwie parska Gliniarz Biblioteczny. Wcetrętnie chłopaczycko!”.

„Ja naprawdę muszę już iść do domu, powiada Mały Sam wśród ochrypłych szlochów. Czy zapłaciłem karę?”.

Gliniarz Biblioteczny czołga się na rękach i kolanach, małe okrągłe czarne oczka wpatrują się w twarz Sama jak ślepe oczy kreta i groteskowość sytuacji staje się nieznośna. „Zaraz ukarze mnie jeszcze raz”, myśli Sam, i wtedy coś w jego mózgu, jakaś nadwerężona podpora czy pręt zbrojeniowy, pęka z mokrym, prawie słyszalnym trzaskiem. Nie płacze, nie protestuje; to ma już za sobą. Spoziera na Gliniarza Bibliotecznego, milcząc apatycznie.

„Nie, mówi Policjant Biblioteczny. Pozwalam ci odejść, to wszystko. Mam litość nad tobą, ale cpróbuj tylko komuś o tym powiedzieć... tylko cpróbuj... wrócę i wymierzę ci karę jeszcze raz. Aż zapłacisz. I żebyś cię tu nigdy więcej nie widział, cynu. Czy mnie rozumiesz?”.

„Tak”, odpowiada Sam. Oczywiście. Jeśli to rozpowie, on wróci i wymierzy karę raz jeszcze. Późno w nocy będzie w szafie, pod łóżkiem, na gałęzi jak gigantyczna kaleka wrona. Kiedy Sam spojrzy na pochmurne niebo, zobaczy w chmurach skrzywioną, pogardliwą twarz Policjanta Bibliotecznego. Będzie i tu, i tu, i tu; wszędzie.

Na tę myśl ogarnia Sama znużenie i zamyka oczy przed tą wariacką, krecią mordą, przed wszystkim.

Gliniarz Biblioteczny potrząsa Samem i syczy: „Co tak? Co tak, cynu?”.

„Tak, zrozumiałem”, odpowiada Sam, nie otwierając oczu.

Policjant Biblioteczny puszcza Sama. „Dobrze, mówi. Ctaraj się nie zapomnieć. Kiedy niegrzeczni chłopcy i niegrzeczne dziewczyny zapominają, zabijam”.

Mały Sam siedzi oparty o ścianę, długo nie otwiera oczu, czeka, aż Gliniarz Biblioteczny znów wymierzy karę, albo po prostu zabije. Chce płakać, ale brak mu łez. Miną całe lata, zanim zapłacze. Wreszcie otwiera oczy i widzi, że jest sam w kryjówce, którą Gliniarz Biblioteczny zrobił sobie w krzakach. Gliniarz Biblioteczny poszedł. Został tylko Sam i egzemplarz *Czarnej strzały*. Leży otwarty.

Sam zaczyna czołgać się w kierunku światła. Liście łaskoczą spoconą, splekaną twarz, gałęzie drapią po plecach i chłuszczą obolałą pupę. Zabiera *Czarną strzałę*, ale nie zanieśie jej do biblioteki. Nigdy nie pójdzie do biblioteki, do żadnej biblioteki, nigdy, przenigdy. Obiecuje to sobie święcie, uciekając na czworakach od miejsca kary. I przyrzeka sobie jeszcze jedno: nikt nigdy nie dowie się o tej strasznej sprawie. Sam postanawia bowiem zapomnieć o wszystkim, co się stało. Stać go na to. Stać go na to, jeśli tylko mocno, bardzo mocno się do tego przyłoży, a zamierza przyłożyć się do tego mocno, bardzo mocno. I to zaraz.

Znalazłszy się na skraju zarośli, wyziera z nich jak małe ścigane zwierzątko. Dzieciaki idą przez trawnik. Gliniarza Bibliotecznego nie widać, ale to o niczym nie świadczy. Gliniarz Biblioteczny widzi Sama. Od dzisiejszego dnia Gliniarz Biblioteczny zawsze będzie blisko.

Wreszcie trawnik pustoszeje. Drobną, rozczochraną chłopczyka, Mały Sam, chyłkiem wynurza się z krzaków. Ma liście we włosach i brudną twarz, koszula powiewa, wyciągnięta ze spodnek. Oczy ma wybałuszone i szalone. Bokiem, jak zbity pies, skrada się do betonowych stopni, rzuca jedno przerażone spojrzenie na tajemnicze łacińskie motto wypisane nad drzwiami i kładzie na stopniu książkę z tą czułością i przerażeniem, z jaką dziewczyna z przytułka składa swoje porzucone dziecię na obcym progu. Mały Sam biegnie, biegnie przez trawnik, zostawia za sobą Bibliotekę Publiczną St. Louis, oddział przy Briggs Avenue, i biegnie, ale jakkolwiek szybko by biegł, nie ucieknie przed smakiem czerwonej lukrecji na języku i w gardle, słodkiej i pobudzającej ślinę, i jakkolwiek szybko by biegł, Wilk Biblioteczny biegnie tuż, Wilk Biblioteczny jest za plecami, Sam go nie widzi, ale Wilk Biblioteczny szepce blisko: „Chodź ze mną, cynu... jectem policjantem”, i zawsze będzie tak szeptał, będzie tak szeptał przez wszystkie lata w mrocznych snach, których Sam nie waży się zapamiętać, będzie tak szeptać, a Sam będzie uciekał przed tym głosem, krzyząc: „Czy już zapłaciłem! Czy już zapłaciłem karę?! Och, dobry Boże, błagam cię, CZY JUŻ ZAPŁACIŁEM KARĘ?!!!”. A odpowiedź będzie niezmiennie ta sama: „Nie, ona nigdy nie będzie zapłacona; ona nigdy nie będzie zapłacona.

Nigdy.

Nig...”.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

### **Biblioteka (III)**

#### **1**

Podejście do polnego pasa startowego, który Stan nazywał lotniskiem Proverbia, było bardzo niespokojne i nieprzyjemne. Navajo schodziło w dół we wściekłych prądach powietrznych. Ostatecznie wylądowało z silnym wstrząsem. Sam zapiszczał. Otworzył gwałtownie oczy.

Naomi cierpliwie czekała. Nie dbając o to, że pas wrzyna jej się w brzuch, natychmiast pochyliła się i objęła Sama. Osłaniał się ramionami i instynktownie ją odepchnął, ale nie zważała na to, podobnie jak nie zważała na jego pierwszy gorący i niemiły oddech. Starła się ukoić niejednego pijaka miotającego się w delirium. Stan Sama niewiele się różnił od delirium. Kiedy tuliła go do siebie, czuła bicie jego serca. Podskakiwało tuż-tuż we wszystkich możliwych kierunkach.

- Już dobrze. Sam, już dobrze, to ja. Wróciłeś. To tylko sen. Wróciłeś.

Przez moment jeszcze usiłował wbić się w fotel. Opadł bezwładnie. Podniósł ręce i kurczowo uchwycił się Naomi.

- Naomi - powiedział chrapliwym, przerywanym głosem. - Naomi, och, Naomi, och, słodki Jezu, jaki miałem koszmar, jaki potworny sen.

Stan wcześniej połączył się z ziemią i ktoś zapalił światła pozycyjne. Kołowali teraz między nimi ku końcowi pasa. Jednak nie ubiegli deszczu. Stukał z pustym odgłosem po kadłubie. Stan Soames wyśpiewywał coś przypominającego *Wyścigi w Camptown*.

- Czy to tylko senny koszmar? - spytała Naomi, odchylając głowę, żeby móc spojrzeć w nabiegłe krwią oczy Sama.

- Tak. Ale to była prawda. Czysta prawda.

- To był Policjant Biblioteczny, Sam? Twój Policjant Biblioteczny?

- Tak - szepnął i ukrył twarz w jej włosach.

- Czy wiesz, kto to jest? Czy teraz wiesz, kto to jest, Sam? Po długiej, długiej chwili Sam szepnął:

- Wiem.

#### **2**

Stan Soames przyjrzał się Samowi, kiedy oddalali się od samolotu i na jego twarzy natychmiast odmalowała się skrucha.

- Przepraszam, że tak miało. Naprawdę myślałem, że zdążymy przed deszczem. Ale ten przeciwny wiatr...

- Nic mi nie będzie - powiedział Sam. Rzeczywiście, z każdą chwilą wyglądał lepiej.

- Tak - powiedziała Naomi. - Nic mu się nie stało. Dziękujemy ci, Stan. Bardzo dziękujemy. I Dave też ci dziękuje.

- No, jeśli załatwiliście co trzeba...

- Załatwiliśmy - powiedział Sam. - Naprawdę.

- Obejdźmy koniec pasa. Jak teraz spróbujecie skrótu, to błoto wessie was po biodra. Wstąpcie do mnie. Napijemy się kawy. Znajdzie się i kawałek szarlotki.

Sam spojrział na zegarek. Było kwadrans po siódmej.

- Skorzystamy z zaproszenia kiedy indziej, Stan - powiedział. - Musimy piorunem dostarczyć te książki do miasta.

- Powinniście przynajmniej się osuszyć. Przemokniecie, zanim wsiądziecie do samochodu.

Naomi potrząsnęła głową.

- To bardzo ważne.

- Taaa... Widać po was, że tak. Tylko pamiętajcie! Obiecaliście opowiedzieć mi tę historię!

- Będziemy pamiętali - powiedział Sam. Zerknął na Naomi i w jej oczach dojrzał odbicie własnej myśli: jeśli będziemy jeszcze żyć.

### 3

Sam prowadził. Walczył z pragnieniem, żeby wcisnąć pedał do oporu. Nie przestawał martwić się o Dave'a. Jednak nie załatwi niczego, pakując samochód do rowu, a deszcz zamienił się w ulewę pędzoną wiatrem. Wycieraczki nie mogły sobie z nią poradzić, nawet pracując z największą szybkością, a światła sięgały zaledwie na dwadzieścia pięć stóp. Spojrział na zegarek, potem na Naomi siedzącą z reklamówką na podłożu.

- Mam nadzieję, że zdążymy do ósmej - powiedział - ale pewności nie mam.

- Postaraj się, Sam.

Reflektory, rozmyte jak światła dzwonu nurkowego, wyłoniły się przed nimi. Sam zwolnił do dziesięciu mil na godzinę i prawie otarł się o olbrzymią ciężarówkę, która przetoczyła się obok - zamglony kadłub w deszczu i mroku.

- Możesz o tym opowiedzieć? O tym śnie?

- Mogę, ale nie chcę. Nie teraz. Nie czas na to. Naomi po namyśle pokiwała głową.

- W porządku.

- Dave miał rację, że dzieci najbardziej smakują - tyle mogę ci powiedzieć - i miał rację, mówiąc, że ona karmi się strachem.

Dotarli do obrzeży miasteczka. Minęli jedną przecznicę i dojechali do pierwszego skrzyżowania z sygnalizacją świetlną. Przez szybę datsuna światło było tylko zieloną smugą tańczącą wysoko w powietrzu. Na mokrej nawierzchni tańczyło odbicie.

- Muszę zatrzymać się, zanim dojedziemy do biblioteki - powiedział Sam. - Piggly Wiggly jest po drodze, prawda?

- Tak, ale jeśli chcemy spotkać się z Dave'em o ósmej, naprawdę nie mamy czasu do stracenia. Podoba się nam czy nie, to pogoda na wolną jazdę.

- Wiem, ale to nie potrwa długo.

- Czego ci potrzeba?

- Nie jestem pewien, ale chyba się dowiem, kiedy to zobaczę. Spojrzała na niego i po raz drugi zdumiała go jej lisia, delikatna uroda. Jak mógł tego wcześniej nie dostrzec?

„No, przecież umawiałeś się z nią, prawda? COŚ musiałeś dostrzec”.

Tylko że tak naprawdę nic nie dostrzegł. Umawiał się z nią, bo była śliczna, elegancka, wolna i w odpowiednim wieku. Spotykał się z nią, ponieważ kawalerowie w miastach, które były tylko rozrośniętymi miasteczkami, powinni się spotykać z dziewczynami... jeśli oczywiście zamierzali znaleźć sobie miejsce w lokalnej społeczności biznesmenów. Jeśli nie spotykasz się z dziewczynami... niektórzy... gotowi pomyśleć, że jesteś... (policjantem)... że z tobą jest coś nie tak.

„BYŁO ze mną coś nie tak, przyznał wobec siebie. Jak się dobrze zastanowić, to BARDZO nie tak. Ale jakkolwiek było, to chyba SIĘ zmieniłem. I nie przestaję jej widzieć. W tym rzecz. Naprawdę NIE PRZESTAJĘ jej widzieć”.

Z kolei Naomi była uderzona bladością ściągniętej twarzy i napięciem, jakie miał w oczach i ustach. Wyglądał dziwnie... ale nie był już przerażony. Pomyślała: „Wygląda jak człowiek, który przeżył powtórnie najgorszy koszmar... i powrócił do rzeczywistości z potężną bronią w ręku”.

Pomyślała: „Oto twarz, w której mogłabym się zakochać”. Poczwała dziwny, głęboki niepokój.

- Ten przystanek... to coś ważnego, prawda?

- Tak myślę.

Pięć minut potem stanęli na parkingu przy Piggly Wiggly. Natychmiast wysiadł i pobiegnął przez deszcz do drzwi.



W połowie drogi zatrzymał się. Budka telefoniczna stała obok parkingu - niewątpliwie była to ta sama budka, z której Dave zatelefonował do biura szeryfa Junction City. Rozmowa z tej budki nie zabiła Ardelii... ale na długo dała jej się we znaki.

Sam wszedł do środka. Zapłonęła żarówka. Nic ciekawego. Zwykła budka: numery i graffiti wyskrobane na stalowych ścianach. Książka telefoniczna przepadła. Sam przypomniał sobie słowa Dave'a: „Wtedy przy odrobinie szczęścia można jeszcze było trafić w budce na książkę telefoniczną”.

Popatrzył na podłogę i znalazł to, czego szukał. Opakowanie. Podniósł je, wygładził i w marnym świetle odczytał napis: Czerwona lukrecja - „Bycze Oko”.

Za plecami Sama Naomi w datsunie niecierpliwie alarmowała klaksonem. Sam, nie wypuszczając opakowania z ręki, wyszedł z budki, pomachał Naomi i w ulewnym deszczu pobiegł do sklepu.

#### 4

Sprzedawca w Piggly Wiggly był to młody człowiek, hibernowany w kriogenicznej cieczy w 1969 roku i odmrożony przed tygodniem. Czerwone, błyszczące oczy sygnalizowały ćpuna weterana. Włosy miał długie, związane rzemykiem z niewyprawionej skóry. Na małym palcu srebrny pierścionek ze znakiem pacyfistów. Spod firmowego fartucha wystawała luźna koszula w ekstrawagancki kwiatowy deseń. Do kołnierzyka miał przypięty znaczek z napisem:

**MOJA GĘBA ODJEŹDŹA ZA PIĘĆ MINUT NIE STRAĆCIE TEJ OKAZJI!**

Sam wątpił, by kierownik sklepu dzielił sentymenty swego sprzedawcy... ale była to deszczowa noc i kierownika nie było ani na lekarstwo. Sam był jedynym klientem i sprzedawca obserwował go tępo i obojętnie, kiedy podszedł do stelaża z łakociami i zaczął ściągać opakowania czerwonej lukrecji „Bycze Oko”. Wziął cały zapas - dwadzieścia sztuk.

- Jesteś pewien, że ci nie zabraknie, wykwintnisiu? - spytał sprzedawca, gdy Sam podszedł do lady i położył na niej swój znaleziony skarb. - Zdaje mi się, że w magazynie mamy jeszcze całe kartony tego interesu. Wiem, jak to jest, kiedy człowieka dopadnie chęć na słodkie.

- To powinno wystarczyć. Zamarkuj to, dobra? Spieszę się.

- Taaa... w tym świecie wszyscy spieszą się, aż im z tyłków dymi - zawyrokował sprzedawca. Przebiegł palcami po kasie z senną powolnością osoby na permanentnym odlocie.

Obok wyłożonych kartek z zawodnikami baseballa leżała gumowa opaska. Sam podniósł ją.

- Mogę to wziąć?

- Bierz i nie pytaj, wykwinnisiu - potraktuj to jako prezent ode mnie, księcia na Piggly Wiggly, dla ciebie, lorda na Lukrecji, w deszczowy poniedziałkowy wieczór.

Sam wsunął rękę w opaskę (zawisała jak luźna bransoletka). Podmuchał wiatru zagrzechotał okiennicami, zatrzęsł budynkiem. Górne światła zamigotały.

- Fiuuu, wykwinnisiu - rzekł książę na Piggly Wiggly, spoglądając w górę. - Tego w pogodzie nie było. Kapuśniaczek, mówili. - Opuścił wzrok na kasę.

- Piętnaście czterdzieści jeden.

Sam wręczył mu z gorzkim uśmiechem dwudziestkę.

- Kiedy byłem dzieckiem, kosztowało o niebo taniej.

- Inflacja zje jak smok - przytaknął sprzedawca. Z wolna powracał do dziury ozonowej, w której przebywał, kiedy Sam wszedł do sklepu. - Naprawdę musisz za tym świrować, człowieku. Ja to przywiązałem się do dobrych, kochanieńkich batonów Marsa.

- Świrować? - Sam roześmiał się, chowając resztę do kieszeni. - Nie cierpię tego. To nie dla mnie. - Znów się roześmiał. - Powiedzmy, że to upominek.

Wtedy sprzedawca zobaczył coś w oczach Sama i nagle cofnął się szybko. Mało nie przewrócił stelaża z batonami.

Sam z ciekawością popatrzył na jego twarz i zdecydował się nie prosić o reklamówkę. Zebrał słodczyce, poupychał byle jak w sportowej wiatrówce, którą włożył na siebie tysiąc lat temu, i wyszedł ze sklepu. Celofan chrząścił głośno z każdym jego krokiem.

## 5

Naomi garbiła się za kierownicą w drodze do biblioteki. Kiedy wyjeżdżała z parkingu przy Piggly Wiggly, Sam wyjął obie książki z reklamówki U Pella i popatrzył na nie smętnie. Tyle zamieszania, pomyślał. Tyle zamieszania z powodu zbioru przestarzałych wierszy i samouczka dla nieopierzonych mówców. Tylko że oczywiście wcale nie o to chodziło. Nigdy nie chodziło o książki.

Zdjął gumową opaskę z przegubu i owinął nią książki. Potem wyjął portfel, wybrał z szeleszczącego zapasu gotówki pięciodolarowy banknot i wsunął pod gumkę.

- Na co to?

- Kara. Jestem winien za te dwie i tamtą sprzed wieków - *Czarną strzałę* Roberta Louisa Stevensona. To zakończy sprawę.

Położył książki między siedzeniami i wyjął z kieszeni opakowanie czerwonej lukrecji. Rozerwał celofan i tamten stary słodki zapach uderzył go od razu jak chłaiście w policzek. Z nosa przeszedł do głowy, a z głowy migiem do żołądka, który natychmiast zwinął się w

gładką, twardo zaciśniętą pięść. Przez jeden okropny moment obawiał się, że zwymiotuje na kolana. Widocznie pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Niemniej jednak otwierał następne opakowania czerwonej lukrecji, zgniatając w kulę podatne, miękkie jak wosk laseczki. Naomi zwolniła, światło na następnym skrzyżowaniu zmieniło się na czerwone i zatrzymała się. Deszcz i wiatr siekły w ich mały samochodek. Znajdowali się tylko o cztery przecznice od biblioteki.

- Sam, co ty wyprawiasz, na litość boską?

Ponieważ naprawdę nie wiedział co, na litość boską, wyprawia, rzekł:

- Naomi, jeśli Ardellia żywi się strachem, musimy znaleźć coś innego - jakieś przeciwieństwo strachu, które okaże się dla niej trucizną. Więc... jak myślisz, co to może być?

- No cóż, wątpię, czy tym czymś okaże się czerwona lukrecja. Machnął niecierpliwie ręką.

- Skąd ta pewność? Krzyżem podobno można zabić wampira - krwiożerczego wampira - ale krzyż to tylko dwa drewniane albo metalowe patyki złożone pod odpowiednim kątem. Może główka sałaty zadziałałaby równie skutecznie... gdyby użyć jej w odpowiedni sposób.

Światła zmieniły się na zielone.

- Gdyby ją natchnąć energią - powiedziała w zamyśleniu Naomi, ruszając z miejsca.

- Zgadza się! - Sam podniósł do góry kilka długich czerwonych laseczek. - Mam tylko to. Może to śmieszne. Chyba jest śmieszne. Ale nie dbam o to. Na Boga, to symbol wszystkiego, co odebrał mi mój Policjant Biblioteczny - miłości, przyjaźni, poczucia wspólnoty z innymi ludźmi. Naomi, całe życie czułem się jak outsider i nie wiedziałem dlaczego. Teraz wiem. A to właśnie jedna z tych rzeczy, które mi odebrał. W dzieciństwie uwielbiałem lukrecję. Teraz nie mogę znieść nawet jej zapachu. Nie ma sprawy, mogę się z tym pogodzić. Ale muszę wiedzieć, jak obrócić to na swoją korzyść.

Może przesadzam, może zwyczajna staromodna odwaga jest wystarczającym przeciwieństwem strachu. Męstwo, jeśli wolisz bardziej wyszukane słowo. Czy tak? To wszystko? Czy to męstwo różni Naomi od Sarah?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Pytasz mnie, czy rzucenie picia było dowodem męstwa?

- Nie wiem, o co pytam, ale myślę, że trafiłaś blisko. Nie muszę pytać o strach. Znam strach. Strach to uczucie, które odrzuca i wyklucza zmianę. Czy, przestając pić, dałaś dowód męstwa?

- Nigdy autentycznie nie przestałam. U alkoholików to wygląda całkiem inaczej. Nie potrafią przestać, powiedziec sobie, że kończą z piciem raz na zawsze. Zamiast tego uciekają się do wielu okrężnych sposobików. „Nie wybiegaj myślami za daleko”, „co nagle to po diable”, „żyj i daj żyć innym”, te rzeczy. A sedno sprawy polega na tym, że musisz porzucić wiarę, iż potrafisz kontrolować picie. Ta wiara to mit i z tego musisz zrezygnować. Z mitu. Więc powiedz mi - czy to dowód męstwa?

- Oczywiście. Choć nie jest to męstwo żołnierza, który sam okopuje się przeciw plutonowi czołgów.

- Męstwo sam-przeciw-plutonowi-czołgów - powtórzyła i zaśmiała się. - Ładne. Ale masz rację. To co robię - co my robimy - żeby nie narazić się na największe niebezpieczeństwo... to nie taki rodzaj męstwa. Poza filmami typu *Stracony weekend* rzecz wygląda całkiem banalnie.

Sam przypomniał sobie straszliwą apatię, która opanowała go po tym, jak w zaroślach obok Biblioteki St. Louis, oddział przy Briggs Avenue, zgwałcił go człowiek, który nazywał siebie policjantem. To też było całkiem banalne. Ot, świński numer. Do tego się sprowadzało - świński, dumy numer wycięty małemu chłopcu przez człowieka, który miał poważne problemy z własną głową. Jeśli dobrze policzyć wszystkie straty i zyski, powinien uważać się za szczęśliwca; Gliniarz Biblioteczny mógł go zabić.

Okrągłe białe klosze oświetlające fasadę Biblioteki Publicznej Junction City zamigotały w deszczu. Naomi powiedziała z wahaniem:

- Wyobrażam sobie, że prawdziwym przeciwieństwem strachu jest uczciwość. Uczciwość i wiara. Jak to brzmi?

- Uczciwość i wiara - powtórzył cicho, smakując sens tych słów. Ścisnął lepką kulę czerwonej lukrecji. - Chyba nie najgorzej. W każdym razie muszą wystarczyć. Jesteśmy na miejscu.

## 6

Migotliwe cyferki zegara na desce rozdzielczej wskazywały 7.57. Jednak udało im się dojechać przed ósmą.

- Może lepiej zaczekajmy i upewnijmy się, że wszyscy wyszli, zanim zajedziemy od tyłu - powiedziała.

- Dobry pomysł.

Zjechali w pustą zatokę parkingową po drugiej stronie ulicy. Klosze błyskały delikatnie w deszczu. Szelest drzew był mniej delikatny; wiatr przybierał na sile. Dęby szumiały, jakby śniły, a wszystkie sny były koszmarami.

Dwie po ósmej minibus z wypchanym kotem i napisem: MAMU-SINE TAXI na tylnej półce, zatrzymał się przed biblioteką. Klakson zatrząbił i drzwi biblioteki - mniej ponure w tym świetle niż za pierwszą wizytą Sama, mniej podobne do ust ogromnego granitowego robota - otworzyły się natychmiast. Wyszło troje dzieci wyglądających na uczniów pierwszej klasy liceum i szybko zbiegło po schodach. Dwójka zasłoniła sobie głowy kurtkami. Boczne drzwi minibusu odsunęły się i dzieciaki władowały się do środka. Sama dobiegł ich stłumiony śmiech i poczuł zazdrość. Jak to fajnie wybiec sobie z biblioteki ze śmiechem na ustach. Ta przyjemność została mu odebrana przez mężczyznę w okrągłych czarnych okularkach.

Uczciwość, wspominał. Uczciwość i wiara. I znów pomyślał: „Kara jest zapłacona. Psiakrew, kara jest zapłacona!”. Rozerwał dwa ostatnie opakowania lukrecji i zaczął ugniatać ich zawartość w lepka, niemile pachnącą czerwoną kulę. Przyglądał się przy tym tyłowi MAMUSINEJ TAXI. Białe spaliny wylatywały z rury wydechowej i unosiły się na wietrze. Nagle olśniło go - już wiedział, w jakim celu miętosi lukrecję.

- Będąc w liceum, obserwowałem kiedyś bandę chłopaków. W tamtych czasach nadawałem się głównie do obserwowania. Wycięli numer koledze, za którym nie przepadali. Kawałem modeliny z pracowni plastycznej zatkali rurę wydechową jego pontiaca. Masz pojęcie, co się stało?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie. Co?

- Rozwaliło mu tłumik. Kawałki poleciały w obie strony jak odłamki szrapnela. Rozumiesz, tłumik to był słaby punkt. Podejrzewam, że gdyby spaliny cofnęły się do silnika, wywaliłyby cylindry z bloku.

- Sam, o czym ty mówisz?

- O nadziei. Mówię o nadziei. Zdaje mi się, że uczciwość i wiara muszą trochę zaczekać.

MAMUSINE TAXI odjechało, reflektory cięły srebrne linie deszczu.

Zielone cyferki na tablicy rozdzielczej wskazywały 8.06, kiedy drzwi biblioteki otworzyły się po raz drugi. Wyszli mężczyzna i kobieta. Mężczyzna niezgrabnie mocował się z guzikami płaszcza, ściskając parasol pod pachą. Niewątpliwie był to Richard Price. Sam rozpoznał go natychmiast, choć widział go tylko raz na zdjęciu w starej gazecie. Dziewczyną była Cynthia Berrigan, pracowniczka biblioteki, z którą rozmawiał w sobotę wieczór. Price powiedział coś dziewczynie. Chyba się zaśmiała. Sam nagle uświadomił sobie, że siedzi wyprostowany jak struna, a wszystkie mięśnie aż dygocą mu z napięcia. Spróbował się rozluźnić. Okazało się to niemożliwe.

Ale co w tym dziwnego? - pomyślał.

Price rozłożył parasol. Razem pobiegli ścieżką, a mała Berrigan po drodze zawiązywała na głowie plastikowy kapturek. U końca ścieżki rozdzielili się, Price podszedł do starego impala rozmiarów motorówki oceanicznej, a mała Berrigan do yugo, zaparkowanego pół kwartału dalej. Price wykręcił o 180 stopni (Naomi schyliła się trochę zaskoczona reflektorami bijącymi w jej samochód) i nacisnął klakson, mijając yugo. Cynthia Berrigan odtrąbiła i pojechała w przeciwnym kierunku.

Zostali sami. Z biblioteką i - prawdopodobnie - Ardelią oczekującą ich gdzieś w środku.

Oraz ze starym znajomym Sama, Policjantem Bibliotecznym.

7

Naomi powoli objechała kwartał do Wegman Street. W połowie drogi, obok niewielkiej przerwy w żywopłocie, stał dyskretny znak. Informował:

TYLKO DLA DOSTAWCÓW BIBLIOTEKI

Wiatr uderzył z taką mocą, że zakołysał datsunem. Hałasował, tłukł o szyby jak piasek. Gdzieś w pobliżu rozległ się trzask łamanego konaru albo może małego drzewka. Po nim nastąpiło głuchoe walnięcie, kiedy ofiara podmuchu padła na ulicę.

- Boże! - odezwała się Naomi cieniem głosem, zaniepokojona. - Nie podoba mi się to!

- Mnie też nie zachwyca - przytaknął Sam, ale ledwo jej słuchał. Rozmyślał o modelinie. Jak wyglądała, pęczniąc w rurze wydechowej? Wyglądała jak pęczek na ranie.

Naomi skręciła przy znaku. Jadąc krótkim podjazdem, dotarli do niewielkiego betonowego miejsca rozładunków. Pojedyncza sodowa lampa wisiała nad cementowym kwadratem. Rzucała ostre, wszędobylskie światło. Cienie konarów dębów tańczyły jak oszalałe na tylnej ścianie gmachu. Przez moment dwa z nich zbiegły się u stóp rampy, tworząc niemal ludzki kształt: jakby ktoś tu, wyczołgawszy się z mroku, oczekiwał, aby przywitać Sama i Naomi.

Za kilka sekund, pomyślał Sam, pomarańczowe światło tej lampy odbije się od jego okularów - od jego małych okrągłych czarnych okularków - popatrzy na mnie przez przednią szybę i powie: „Cześć, cynu, czekałem na ciebie. Ile to lat czekałem na ciebie. Teraz chodź ze mną. Chodź ze mną, ponieważ jectem policjantem”.

Rozległ się następny głośny trzask i konar upadł nie dalej niż trzy stopy od datsuna, tryskając na wszystkie strony fontanną kawałków kory i spróchniałego drewna. Zgniótłby dach jak puszkę po zupie pomidorowej.

Naomi krzyknęła.

Wiatr, który wciąż przybierał na sile, odkrzyknął jak echo.

Sam pochylił się, chcąc objąć ją opiekuńczo, gdy w głębi rampy uchyliły się drzwi i stanął w nich Dave Duncan. Zaciskał rękę na klamce, walcząc z wiatrem. Twarz starca wydała się Samowi niewiarygodnie blada, prawie groteskowo wystraszona. Wolną ręką gorączkowo przyzywał ich ku sobie.

- Naomi, jest Dave!

- Gdzie...? Och, widzę. - Oczy jej się rozszerzyły. - Mój Boże, wygląda strasznie!

Otworzyła drzwi datsuna. Wiatr dmuchnął, szarpnął nimi, wpadł małym, zwinnym tornadem do środka, podrzucił w górę opakowania lukrecji; zatańczyły w obłąkańcze kółeczka.

Naomi cofnęła rękę w sam czas. Drzwi odbiły się z rozmachem i wróciły; mogły uderzyć ją, a nawet zranić. Wysiadła, włosy rozwiały się jej wokół głowy, sukienka przemokła i natychmiast przykleiła się do ud.

Sam pchnął drzwi z całej siły - wiatr utrudniał mu zadanie - i z trudem wyszedł. Skąd, u diabła, burza? Książę na Piggly Wiggly mówił, iż nie zapowiadano tak pokazowego huraganu i ulewy. Kapuśniaczek, powiedział.

Ardelia. Może to huragan Ardelii.

Jakby na potwierdzenie tych słów Dave zawołał:

- Szybko! Czuję wszędzie jej cholerne perfumy!

Nie wiedzieć czemu myśl, że zapach perfum Ardelii może poprzedzać jej przybycie, przeraziła okropnie Sama.

Znajdował się w połowie drogi do schodków rampy, gdy uświadomił sobie, że choć wciąż trzyma w ręce miękką jak gile z nosa kulę czerwonej lukrecji, książki zostawił w samochodzie. Zawrócił, szarpnął z całej mocy drzwi i zabrał książki. W tym momencie zmienił się rodzaj światła - przeszło z jasnego, wszędobylskiego oranżu w biel. Sam dostrzegł tę zmianę na rękach i na chwilę oczy zastygły mu w oczodołach. Nie wypuszczając książek z ręki, szybko cofnął się od samochodu i obrócił ku rampie.

Lampa sodowa rzucająca pomarańczowe światło przepadła. Zastąpiła je staromodna rtęciowa latarnia. Drzewa, które tańczyły i jęczały wokół rampy, stały teraz gęstszym kręgiem; przeważały majestatyczne wiązy górujące nad dębami. Zmienił się kształt rampy. Splątane konary winorośli wspinały się po tylnej ścianie biblioteki - ścianie nagiej zaledwie kilka sekund temu.

Witajcie w roku 1960, pomyślał Sam. Witajcie w Bibliotece Publicznej Junction City, wersja Ardelii Lortz.

Naomi dotarła do platformy. Coś mówiła do Dave'a. Dave odpowiedział i obejrzał się przez ramię. Zadygotał cały. W tym samym momencie Naomi krzyknęła przeraźliwie. Sam biegł schodkami w górę rampy, kurtka wzdęła mu się jak balon. Nagle ujrzał, jak biała ręka wynurza się z ciemności, opada na ramię Dave'owi, wciąga go błyskawicznie do biblioteki.

- Łap drzwi! - wrzasnął Sam. - Naomi, łap drzwi! Nie pozwól, żeby się zatrzasnęły!

Ale w tym pomógł im wiatr. Rozwarł drzwi na oścież. Uderzyły Naomi w ramię, odepchnęły. Sam złapał je, gdy zamykały się z powrotem.

Naomi obróciła na Sama przerażone oczy.

- To ten człowiek, który był u ciebie w domu, Sam. Wysoki mężczyzna ze srebrnymi oczami. Widziałam go. Złapał Dave'a.

Nie było czasu do namysłu.

- Chodź.

Objął Naomi ramieniem i pociągnął do biblioteki. Wiatr ucichł i drzwi zatrzasnęły się z głuchym łomotem.

## 8

Znaleźli się w dziale katalogowania książek, mrocznym, ale nie całkiem ciemnym pomieszczeniu. Lampka z abażurem wykończonym czerwonymi frędzelkami stała na biurku bibliotekarki. Podłoga była tu zasłana paczkami i papierami (Sam dojrzał, że te ostatnie to głównie gazety; był rok 1960 i plastikowe arkusze, w których paczki książek wyglądały jak gigantyczne opakowania prażonej kukurydzy, nie weszły jeszcze do użytku), a dalej zaczynały się regały. W jednym z przejść, między dwoma ścianami książek, stał Policjant Biblioteczny. Trzymał Dave'a w półnelsonie, prawie bez wysiłku, unosząc go trzy cale nad podłogą.

Popatrzył na Sama i Naomi. Srebrne oczy zabłyśły i uśmiech jak sierp przeciął bladą twarz. Wyglądała jak chromowy księżyc.

- Ani kroczku dalej - powiedział - albo złamię mu kark jak udko kurczaka. Uchłyszycie to.

Sam wahał się tylko chwilę. Czuł zapach lawendowych torebek, które wkłada się między bieliznę pościelową do komody, natrętny i kleisty. Wiatr na dworze jęczał i huczał. Cień Policjanta Bibliotecznego tańczył na ścianie, wysoki jak żuraw. Przedtem nie miał cienia, uświadomił sobie Sam. Co to znaczy?

Może to, że Policjant Biblioteczny był teraz bardziej realny, bardziej obecny... Ardelia, Policjant Biblioteczny i mężczyzna z mroku w czarnej limuzynie byli w istocie tą



samą osobą. Istniała wyłącznie ta jedna osoba, reszta to tylko twarze, jakie ona nakładała i zdejmowała z łatwością dzieciaka przymierzającego maski na Halloween.

- Darujesz mu życie, jeśli będziemy się trzymać z daleka od ciebie? Gównu prawda!

Ruszył do Policjanta Bibliotecznego.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zaskoczenie. Dziwnie do niego nie pasowało. Cofnął się. Trencz zaszeleścił o kostki, zaczepił o wielkie księgi. Policjant Biblioteczny ledwo mieścił się między półkami.

- Ostrzegam cię!

- A ostrzegaj sobie i bądź przeklęty - powiedział Sam. - Nie z nim masz na pieńku. Ze mną, prawda? No to stawaj.

- Bibliotekarka ma porachunki z tym ctaruchem! - powiedział policjant i znów cofnął się o krok. Coś dziwnego działo się z jego twarzą i Sam po chwili pojął co. Srebrne światło w oczach Policjanta Bibliotecznego przygasało.

- To niech sobie je załatwia - powiedział. - Ja mam porachunki z tobą, drażalu, i to od trzydziestu lat.

Minął kałużę światła rzuconego przez lampkę stołową.

- Niech wam będzie! - warknął Policjant Biblioteczny. Zrobił półobrót i cisnął Dave'em Duncanem w głęb przejścia. Dave poleciał jak worek z brudną bielizną. Z gardła wyrwał mu się pojedynczy skrzek przerażenia i zaskoczenia. Dolatując do ściany, usiłował osłonić się ramieniem, ale był to jedynie senny, wyzbyty wiary w powodzenie odruch. Uderzył o gaśnicę zawieszoną przy schodach. Sam usłyszał głuchy trzask pękającej kości. Dave upadł. Ciężka czerwona gaśnica zerwała się ze ściany i przywaliła go.

- Dave! - krzyknęła Naomi rozpaczliwie i rzuciła się do niego.

- Naomi, nie!

Ale nie zważała na to. Uśmiech znów pojawił się na twarzy Policjanta Bibliotecznego. Kiedy Naomi usiłowała go minąć, złapał ją i przycisnął. Opuścił twarz - zanurzył ją w kasztanowych włosach Naomi opadających na kark. Wydał dziwne, przytłumione kasznięcie i zaczął ją całować - tak to przynajmniej wyglądało. Długie białe palce wpił w jej ramię. Naomi znów krzyknęła i zwiśla bezwładnie w jego uścisku.

Sam znalazł się przy regałach. Chwycił pierwszą z brzegu książkę, wyszarpnął z półki, i cisnął z rozmachem. Przekoziołkowała w powietrzu, okładki się rozwarły, kartki zaszeleściły - książka uderzyła policjanta w skroń. Wrzasnął zaskoczony i wściekły. Podniósł głowę. Naomi mu się wyrwała, zatoczyła na jeden z regałów, machając rękami, aby złapać równowagę. Regał zachwiał się i runął z gigantycznym, budzącym echo łoskotem. Książki

zaczęły spadać z półek, na których stały może całymi latami. Potoczyła się lawina plaśnieć dziwnie przypominająca oklaski w teatrze.

Naomi nie zważała na to. Dobiegła do Dave'a i padła obok niego na kolana. Płacząc, wciąż powtarzała jego imię. Policjant Biblioteczny obrócił się w tym kierunku.

- Do niej też nic nie masz! - krzyknął Sam. Policjant Biblioteczny zwrócił ku niemu twarz. Srebrne oczy znikły zastąpione przez małe czarne okulary, które przydawały tej twarzy czegoś kreciego, ślepego.

- Powinienem zabić cię za pierwszym razem - powiedział i ruszył do Sama. Jego krokom towarzyszył niesamowity szelest. Sam spojrzał w dół i zobaczył, że skraj trenażera Gliniarza Bibliotecznego zamiata podłogę, właściciel stawał się krótszy.

- Kara jest zapłacona - powiedział spokojnie Sam. Policjant Biblioteczny stanął. Sam podniósł na dłoni książki z pięciodolarowym banknotem za gumową opaską. - Kara jest zapłacona. Książki zwrócone. Jest po sprawie, ty suko... draniu... kimkolwiek jesteś.

Długi, głuchy krzyk wiatru zabrzmiał pod okapem dachu jak zgrzyt noża po szkle. Policjant Biblioteczny oblizwał wargi bardzo czerwonym, bardzo ostrym językiem. Na jego policzkach i czole pojawiły się plamy. Skorupa potu zalsniła na skórze. Zapach lawendy rósł.

- Nieprawda! - wykrzyknął Policjant Biblioteczny. - Nieprawda! To nie te książki pożyczyłeś! Ja wiem! Ten pijany ctary przydupac wziął te książki, które pożyczyłeś! Zoctały...

- ...zniszczone - skończył Sam. Znow ruszył, był coraz bliżej Policjanta Bibliotecznego. Zapach lawendy rósł z każdym krokiem. Serce tłukło się w piersi Sama. - Wiem, kto wpadł na ten pomysł. Ale to są egzemplarze zastępcze w idealnym stanie. Bierz je.

Podniósł głos do rozkazującego krzyku.

- Bierz, do cholery!

Podawał mu książki, a Policjant Biblioteczny, zmieszany i przestraszony, wyciągnął białą rękę.

- Nie, nie tak. - Sam zamachnął się. - Tak.

Uderzył Policjanta Bibliotecznego w twarz książkami - uderzył z całą mocą. Nigdy w życiu nie odczuł tak głębokiej satysfakcji jak wtedy, gdy *Najukochańsze wiersze Amerykanów* i *Towarzysz mówcy* rozwały nos Policjanta Bibliotecznego. Okrągłe czarne okulary spadły i rozbiły się na podłodze. To, co ukrywały szkła, to były czarne oczodoły wypełnione jeziorkami bielejącego płynu. Cienkie włókna snuły się z tej kleistej mazi i Sam przypomniał sobie opowieść Dave'a - „a skóra zaczęła jakby wypuszczać drugą warstwę”.

Policjant Biblioteczny wrzasnął.

- Nie możesz! - wrzeszczał. - Nie możesz mnie ckrzywdzić! Boisz się mnie! A poza tym to ci się cponobało. TO CI SIĘ CPODOBAŁO! TY WCTRĘTNE CHŁOPACZYCKO, TO CI SIĘ CPODOBAŁO!

- Błąd - powiedział Sam. - Cholernie mi się nie spodobało. Teraz bierz te książki. Bierz i spierdalaj. Ponieważ kara jest zapłacona.

Wcisnął mu książki. A kiedy policjant kładł na nich ręce, Sam kopnął go solidnie prosto w krocze.

- To za wszystkie dzieciaki! - powiedział. - Za zgwałcone przez ciebie i zjedzone przez nią.

Stwór zakwilił z bólu. Wypuścił książki, gdy zgiął się, zaciskając ręce na kroczu. Tłuste czarne włosy rozsypały się po twarzy, litościwie kryjąc puste, zapchane pajęczynami oczodoły.

„Oczywiście, że są puste. Nie widziałem oczu za okularami... więc ONA też ich nie widziała”.

- To nie załatwia wszystkiego - powiedział Sam - ale zawsze to krok we właściwym kierunku, prawda?Trencz Policjanta Bibliotecznego zaczął wic się i falować, jakby pod nim odbywała się jakaś niepojęta transformacja. A kiedy podniósł - kiedy ono podniosło - twarz, Sam ujrzał coś, co napełniło go grozą i obrzydzeniem, i odrzuciło krok w tył.

Człowiek, który w połowie pochodził z plakatu Dave'a, a w połowie był wytworem umysłu Sama, stał się kalekim karłem. Karzeł ulegał przemianie w coś jeszcze innego, w ohydną hermafrodytę. Gwałtowna zmiana płci dokonywała się na jego twarzy i pod wzdętym, drgającym trenczem. Połowę włosów nadal miał czarną, połowę ciemnoblonde. Jeden oczodół nadal pozostawał pusty; z drugiego jarzyło się nienawiścią dzikie niebieskie oko.

- Pragnę cię - zasyczała skarłała kreatura. - Pragnę cię i posiąde.

- Skosztuj mnie, Ardelio - powiedział Sam. - Zatańczmy tego rocka...

Wyciągnął rękę do stwora przed sobą, ale ledwie dotknął trencza, cofnął z krzykiem dłoń. To wcale nie był płaszcz, lecz wstrętne, wilgotne, obwisła skóra, coś w rodzaju ogromnej torebki z herbatą świeżo wyciągniętej z wody.

Ono pierchło po leżącym regale i dało susa w cienie po drugiej stronie. Zapach lawendy nagle stał się jeszcze intensywniejszy.

Z cieni doleciał brutalny śmiech.

Kobiocy śmiech.

- Za późno, Sam - powiedziała. - Już za późno. Czyn został spełniony.

Ardelia wróciła, pomyślał Sam, a z zewnątrz doleciał potężny, rozdzierający trzask. Gmach zadrżał, jakby runęło nań drzewo, i światła zgasty.

## 9

Przebywali w absolutnej ciemności tylko przez sekundę, ale im wydawało się, że znacznie dłużej. Ardelia zaśmiała się znów i tym razem jej śmiech zahuczał przedziwnie, jakby był nadawany przez megafon.

Wysoko na ścianie zapaliło się pojedyncze światło awaryjne. Blask padł na najbliższe regały, a wszędzie indziej snuły się cienie jak kłębki czarnej przędzy. Sam słyszał głośne, niskie buczenie akumulatora. Dotarł do miejsca, gdzie Naomi nadal klęczała obok Dave'a. Po drodze dwukrotnie o mało nie upadł, ślizgając się na stosach książek, które wysypały się z przewróconego regału.

Naomi podniosła wzrok. Twarz miała bladą po przeżytych szoku, zalaną łzami.

- Sam, on chyba umiera.

Ukląkł obok Dave'a. Starzec miał zamknięte oczy. Oddychał nierówno, chrapliwie. Grube krople krwi ciekły mu z nosa i ucha. Na czole, tuż nad prawym okiem, widniało głębokie wgniecenie. Patrząc na nie, Sam poczuł skurcz w żołądku. Widać kości czaszki zostały złamane i rączka gaśnicy odcisnęła się wyraźnie w tym miejscu, znacząc je krwią i siniakami. Wyglądało to jak tatuaż.

- Musimy zabrać go do szpitala, Sam!

- Myślisz, że ona nas teraz stąd wypuści? - zapytał i jakby w odpowiedzi na to pytanie zza nieregularnego kręgu światła nadleciała wielka książka - tom „T” *The Oxford English Dictionary*.

Sam pchnął Naomi i oboje rozciągnęli się na podłodze w zakurzonej przejściu. Siedem funtów *traszek, traumatologii, turmalinów* przeleciało tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Naomi, walnęło o ścianę i rozpląszczyło się na podłodze jak wielki zburzony domek z kart.

Z cieni doleciał ostry śmiech. Sam podniósł się i zdążył zobaczyć garbatą sylwetkę uciekającą przejściem za przewróconym regałem. „Stale się zmienia, pomyślał Sam. A w co, to Bóg jeden wie”. Wśliznęła się w ciemność po lewej stronie.

- Załatw ją, Sam - chrapliwie powiedziała Naomi, chwytając go za rękę. - Proszę cię, załatw ją.

- Spróbuję. - Przesząpił przez rozrzucone nogi Dave'a i zanurzył się w głębokie cienie za przewróconym regałem.

## 10

Zapach - aromat lawendy zmieszany z wonią książek i kurzu nagromadzonego tu przez te wszystkie lata - podziałł na niego jak niuch marihuany. Ten zapach wespół z gwizdem wiatru, łomocącego jak pociąg towarowy, sprawił, że poczuł się podróżnikiem w czasie z powieści H.G. Wellsa... a mury biblioteki wznoszące się wokół stały się maszyną czasu.

Szedł powoli między regałami, nerwowo miętosił kulę czerwonej lukrecji. Stłoczone książki zdawały się spoglądać na niego nieprzyjaźnie z wysokości. Słyszał stukot i skrzypienie butów na starym linoleum.

- Gdzie jesteś? - krzyknął. - Jeśli mnie pragniesz, Ardelio, to czemu nie wyleziesz i nie dobierzesz się do mnie? Tu jestem!

Żadnej odpowiedzi. Ale będzie zmuszona szybko wyleźć, no nie? Jeśli Dave ma rację, weszła w okres przemiany i miała niewiele czasu.

„Do północy. Policjant Biblioteczny dał mi czas do północy, więc może ona ma go tyle samo. Ale to jeszcze trzy i pół godziny... Dave tego nie przetrzyma”.

Przyszła mu do głowy następna, niezbyt miła myśl: „A jeśli podczas kiedy on płacze się tu, daleko w ciemnościach, Ardelia okrężną drogą wróciła do Naomi i Dave’a?”.

Doszedł do końca regału, wyteżył słuch, nic nie usłyszał i prześliznął się do następnego przejścia. Puste. Dobiegł go szelest gdzieś z góry i podniósł oczy w sam czas, żeby zobaczyć, jak kilka ciężkich książek wysuwa się z regału dokładnie nad jego głową. Odchylił się z krzykiem gwałtownie w tył, tak że spadające książki uderzyły go w uda. Usłyszał szaleńczy śmiech Ardelii; dochodził z drugiej strony regału.

Wyobraził ją sobie przypartą jak spęczniały krwią pająk do wysokiej półki i zareagował odruchowo. Obrócił się jak pijany żołnierz wykonujący komendę „w tył zwrot!” i naparł gwałtownie plecami na regał. Półka ustąpiła pod ciężarem ciała. Śmiech przeszedł w krzyk strachu i przerażenia. Usłyszał mięsiste walnięcie o podłogę, gdy stwór stoczył się z górnej półki. W sekundę później regał runął.

Stało się teraz coś, czego Sam nie przewidział: regał, przechyliwszy się przez całą szerokość przejścia, trysnął wodospadem książek i uderzył w następny, ten w jeszcze dalszy i nagle kolejno wszystkie regały jak kostki domina zaczęły się kłaść z hałasem i trzaskiem na całej ogromnej, pełnej cieni przestrzeni magazynu, sypiąc tytułami - od dzieł Marryata do *Baśni domowych i dziecięcych* zebranych przez braci Grimm. Ardelia znów wrzasnęła przeraźliwie i Sam rzucił się na leżący ukosem regał. Wspiął się po nim jak po drabinie, podciągając w górę jedną ręką, i wykopując po drodze książki z półek, żeby znaleźć oparcie dla stóp.

Spuścił się w dół po drugiej stronie i zobaczył białą, piekielną, kaleką kreaturę wygrzebującą się spod usypiska atlasów i przewodników turystycznych. Wciąż jeszcze miała jasne włosy i niebieskie oczy, ale na tym kończyło się podobieństwo do człowieka. Był to tłusty, nagi stwór, którego odnóża kończyły się stulonymi szczypcami. Mięisty worek zwisał mu u szyi jak sflaczałe wole. Na całym cielsku jeżyły się białe włosy. Było w tym coś koszmarnie owadziego i Sam nagle rozkrzyczał się bezgłośnym atawistycznym krzykiem, który zdawał się nieść po wszystkich jego kościach. „A więc to tak!!! Boże, pomóż mi, więc to tak wygląda!!!”. Czuł obrzydzenie, ale groza ustąpiła; lepiej już było widzieć stwora, niż wyobrażać go sobie w ciemności.

Nagle ono znów zaczęło się zmieniać i Sam, który na chwilę poczuł ulgę, zamarł na nowo. Nie miało twarzy, to nie była ściśle biorąc twarz, ale koszmarna gęba, na której poniżej wytrzeszczonych niebieskich oczu zaczęło wyrastać coś na kształt rogu, krótkiej słoniowej trąby. Oczy rozciągnęły się na boki, ze skośnych stały się owadzie. Trąba wyciągnięta ku Samowi zaczęła go obwąchiwać.

Była pokryta falującymi, zakurczonymi włóknami.

Zaprzagnął się cofnąć, wrzeszczał na siebie: cofnij się! - ale zmusił się do pozostania na miejscu. A kiedy ta mięsista owadzia trąbka go dotknęła, Sam poczuł jej wielką władzę. Ogarnął go letarg. Najlepiej zrobi, nie ruszając się, niech wszystko toczy się swoją koleją. Wiatr przycichł, słyszał jak przez sen jego odległe zawodzenie. Kojący to dźwięk - jak buczenie odkurzacza, kiedy Sam był maleńki.

- Sam? - zawołała Naomi, ale ten dobiegający z oddali głos był nieważny. - Sam, nic ci nie jest?

Wyobrażał sobie kiedyś, że ją kocha? Co za głupota. Pomyśleć... kompletny idiotyzm... bo przecież, na dobrą sprawę, ten stwór jest czymś dużo miłszym.

Ten stwór mógł... wiele opowiedzieć.

Mnóstwo nadzwyczaj ciekawych opowieści.

Całe elastyczne ciało białego stwora ofiarnie użyczało się teraz trąbce owadziej; ona karmiła się nim, rosła. Stwór stał się wyłącznie rurowatym kształtem, reszta ciała zwisała, bezużyteczna i zapomniana jak wole u szyi. Całą swą żywotność oddało tej trąbce, przewodowi, którym wchłonie w siebie żywotność i osobowość Sama.

„Cóż to za rozkosz”.

Trąbka łagodnie prześliznęła się po nogach Sama, przycisnęła na moment do krocza, podeszła wyżej, pieściła brzuch.

Sam padł na kolana, żeby ułatwić jej dostęp do swej twarzy. Poczuł na chwilę miłe pieczenie w oczach, kiedy jakaś maź - nie łyzy, coś gęstszego od łez - zaczęło się z nich sączyć.

Trąbka owadzia znalazła się przed jego oczyma; Sam widział w jej wnętrzu różowy płatek mięsa. Żarłocznie roztulał się i stulał. Ilekroć się otwierał, odsłaniał głębszy, dalszy mrok. Potem trąbka zacisnęła się, otwierając w płatku dziurkę, rurkę wewnątrz rurki, i ze zmysłową powolnością przesunęła się po wargach Sama, po policzku, w kierunku owej lepkiej mazi. Bezkształtne ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w niego pożądliwie. „Ale kara jest zapłacona”.

Przywołując na pomoc resztki sił, Sam zacisnął prawą dłoń na trąbce. Była gorąca. Cienkie cielesne włókna, które ją pokrywały, parzyły.

Ono podskoczyło i usiłowało się cofnąć. Przez moment Sam mało nie wypuścił trąbki, ale zacisnął dłoń, wbił palce w mięso stwora.

- Bierz! - krzyknął. - Bierz, mam tu coś dla ciebie, suko! Przytargane aż ze wschodniego St. Louis!

Lewą ręką z pełnego rozmachu wbił lepką kulę czerwonej lukrecji w wylot trąbki, zatykając ją tak, jak dzieciaki na oddalonym w czasie parkingu zatkały rurę wydechową pontiaca Tommy'ego Reeda. Ono usiłowało wrzasnąć, ale tylko burknęło tępo. Znów próbowało się wyrwać. Kula czerwonej lukrecji wzdęła się na końcu konwulsyjnie drgającego ryja jak podeszły krwią pęcherz.

Sam z trudem zerwał się z kolan, nie wypuszczając dygocącego, hałasującego kawała mięsa z dłoni i przygniótł to, co było Ardelia. Miotало się, chciało go zrzucić. Tarzali się jedno przez drugie na stosie książek. Było przeraźliwie silne. Na mgnienie Sam znalazł się z nim oko w oko i niemal zamarł przygwożdżony pełnym nienawiści i paniki spojrzeniem.

Wtem poczuł, że ono zaczyna puchnąć.

Rozluźnił uścisk i zdyszany odczołgał się na bok. Stwór w zasłanym książkami przejściu wyglądał teraz jak groteskowa piłka plażowa z trąbą, piłka plażowa pokryta cienkimi włosami falującymi jak witki wodorostów podczas przyływu. Sam patrzył zafascynowany, obezwładniony grozą, jak stwór, który nazywał siebie Ardelia Lortz, dusił się swymi rozdymającymi go flakami.

Jasnoczerwona siatka naczyń krwionośnych wyskoczyła na naciągniętej skórze. Oczy wybałuszyły się na Sama w wyrazie sennego niedowierzania. Podjęło ostatni krańcowy wysiłek, żeby wyrzucić miękką bulwę lukrecji, ale lukrecja utknęła na dobre w trąbce, wcześniej szeroko otwartej w oczekiwaniu karmy.

Sam pojął, co się święci, i osłonił twarz ramieniem na moment, zanim wybuchło.

Kawałki nieczłowieczego cielska strzeliły na wszystkie strony. Strumienie gęstej krwi oblały ramiona, klatkę piersiową, nogi Sama. Krzyczał z obrzydzeniem i zarazem ulgą.

W następnej chwili światło awaryjne zamrugało i zgasło, pogrążając ich w ciemnościach.

## 11

Ciemność znów trwała krótko, ale Sam nawet w tej ciemności dostrzegł zmianę. Odczuł ją wyraźnie w mózgu - to, co było wysadzone z posad, wskoczyło na właściwe miejsca. Kiedy lampy awaryjne zapaliły się na powrót, zamiast jednej było ich cztery. Akumulatory nie buczały już głośno, szumiały z samozadowoleniem, a bardzo jasne światło przeganiało cienie w najodleglejsze kąty. Sam nie miał pojęcia, czy świat roku 1960, w jakim się uprzednio znalazł, był autentyczny czy iluzoryczny, ale wiedział, że ten świat przestał istnieć.

Regały stały znów prosto. W przejściu leżały rozsypane książki - było ich z kilkanaście - ale mógł sam je zrzucić, kiedy usiłował zerwać się na nogi. Odgłosy burzy opadły z krzyku do szeptu. Deszcz statecznie pluskał o dach.

Ardeliostwór przepadł. Na podłodze, na książkach, na sobie nie widział plam krwi ani kawałków cielska.

Tylko jedno po niej pozostało: złoty kolczyk. Zamrugał do Sama.

Powstał chwiejnie i kopnął go, byle dalej. Wtem oczy zalała mu szarość i zachwiał się na nogach. Zacisnął powieki. Czekał. Zemdleje czy nie?

- Sam! - To Naomi. Chyba płakała. - Sam, gdzie jesteś?

- Tu! - Złapał się za włosy i pociągnął mocno. Może to i było głupie, ale poskutkowało. Falująca szarość nie ustąpiła całkiem, ale cofnęła się znacznie. Ruszył dużymi, ostrożnymi krokami z powrotem do działu katalogowania.

To samo biurko - wyprany z wdzięku drewniany kloc na grubych nogach - stało tam, gdzie poprzednio, ale lampkę ze staromodnym, obrzeżonym frędzelkami abażurem zastąpiła oszczędna w kształcie jarzeniówka. Zamiast poobijanej maszyny do pisania i kołonotatnika - minikomputer Apple. A gdyby nadal nie był pewien, w jakim czasie się znalazł, wystarczyło spojrzeć na kartony poniewierające się na podłodze: były pełne plastikowych opakowań i pasków z metalowymi końcówkami.

Naomi nadal klęczała obok Dave'a, a kiedy Sam stanął obok nich, zobaczył, że gaśnica (choć minęło trzydzieści lat, wyglądało na to, że to narzędzie nie uległo zmianie) znów wisi zamocowana na ścianie... ale kształt rączki odbity na twarzy Dave'a nie znikł.



Oczy Dave'a były rozwarłe, uśmiechnął się na widok Sama.

- Nież...le - szepnął. - Założę się, że nie wiedziałeś... że cię... na to stać.

W Samie wezbrała ogromna radość i ulga.

- Nie - powiedział. - Nie wiedziałem. Schylił się i wystawił przed oczy Dave'a trzy palce.

- Ile ich?

- Z... siedemdziesiąt cztery - szepnął Dave.

- Wezwę karetkę - powiedziała Naomi i zaczęła się podnosić. Dave ujął ją za przegub, nim zdążyła wstać.

- Nie. Jeszcze nie. - Przeniósł wzrok na Sama. - Schyl się. Muszę ci szepnąć słówko.

Sam pochylił się nad starcem. Dave położył mu na karku drżącą rękę. Dotknął ustami koniuszka jego ucha i Sam zmusił się do zachowania spokoju - łaskotało.

- Sam - szepnął. - Ona czeka. Pamiętaj... ona czeka.

- Co? - Sam był wyzuty z sił. - Dave, o co ci chodzi? Ale ręka Dave'a opadła. Patrzył na Sama, poprzez Sama. Pierś unosiła mu się płytko i gwałtownie.

- Idę - powiedziała przejęta Naomi. - Na biurku jest telefon.

- Nie - powiedział Sam.

Odwróciła się do niego. Oczy jej pałały. Rozwścieczona odsłoniła rząd równych, białych zębów.

- Co to znaczy „nie”?! Zwariowałeś?! Ma uszkodzoną czaszkę, jeśli tylko to!!! Jest...

- On od nas odchodzi, Sarah - łagodnie odezwał się Sam. - Już, zaraz. Zostań przy nim. Pomóż mu.

Spojrzała i zrozumiała, co Sam ma na myśli. Źrenica lewego oka Dave'a zwężyła się do główki szpilki, prawe oko miał wielkie i nieruchome.

- Dave? - szepnęła przestraszona. - Dave? Ale Dave nie przestawał patrzeć na Sama.

- Pamiętaj - szepnął. - Ona cze... Oczy miał teraz wielkie i nieruchome. Jego pierś uniosła się raz jeszcze... opadła... i już nie podniosła.

Naomi zaczęła łkać. Wzięła jego rękę, przytuliła do swego policzka i zamknęła mu oczy. Sam, przejęty bólem, ukląkł obok i objął ją ramieniem.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

### **Angle Street (III)**

#### **1**

Tę i następną noc Sam Peebles spędził bezsennie. Zapaliwszy wszystkie światła, leżał w łóżku z otwartymi oczami. Myślał o ostatnich słowach Dave'a Duncana: „Ona czeka”.

Drugiej nocy, kiedy wstawiała jutrzienka, wydało mu się, że zaczyna pojmować, co starzec usiłował mu przekazać.

## 2

Sam myślał, że Dave zostanie pochowany przy kościele baptystów w Proverbii, i był nieco zaskoczony, kiedy się dowiedział, że Dave przeszedł na katolicyzm gdzieś między 1960 a 1990 rokiem. Nabożeństwo odbyło się w kościele św. Marcina, 11 kwietnia. Był wietrzny dzień, a zza chmur coraz to przebłyskiwało wczesnowiosenne słońce.

Po pochówku odbyła się stypa na Angle Street. Zanim Sam dotarł na miejsce, zgromadziło się tam koło siedemdziesięciu osób. Zebrani przechadzali się na parterze, niektórzy gawędzili skupieni w małe grupy. Wszyscy znali Dave'a, wszyscy mówili o nim z humorem, szacunkiem i niewyczerpaną miłością. Popijali imbirowe piwo z plastikowych kubeczków i zagryzali minikanapkami. Sam szedł od grupki do grupki, od czasu do czasu zamieniając słowo ze znajomymi, ale nie przystając na dłuższą pogawędkę. Rzadko wyjmował ręce z kieszeni swej ciemnej marynarki. Jadąc z kościoła, zatrzymał się przy Piggly Wiggly i teraz spoczywało w niej pół tuzina celofanowych opakowań, cztery długie i cienkie, dwa prostokątne.

Sarah nie było.

Szykował się do wyjścia na dwór, ale trafił na Lukeya i Rudolpha siedzących razem w kącie. Rozłożyli między sobą planszę do *cribbage'a*, ale nie wyglądali na zajętych grą.

- Cześć, chłopaki! - Sam podszedł do nich. - Może nie pamiętacie...

- Pewnie, że pamiętamy - powiedział Rudolph. - Za kogo pan nas ma? Parkę słabych na rozumie? Pan jesteś przyjaciół Dave'a. Kręcił się pan tu, jakeśmy malowali plakaty.

- Się zgadza! - powiedział Lukey.

- Trafiłeś pan na te książki, coś ich pan szukał? - spytał Rudolph.

- Tak - uśmiechnął się Sam. - W końcu udało się.

- Kapito! - wykrzyknął Lukey. Sam wyjął cztery cieńsze opakowania.

- Coś wam, chłopaki, przyniosłem.

Lukey zerknął, uśmiechnął się, oczy mu się zaświeciły.

- Slimy jimy, Dolph! - szczyrzył zęby rozanielony. - Patrz! Chłopak Sarah dowiózł nam wszystkim jebane slimy jimy! Pełny szpan!

- Co ty, dawaj, mordo pijacka - zarządził Rudolph i porwał wszystkie. - Pizdołeb, zeżre wszystko na jedno posiedzenie i obsra w nocy posłanie, rozumiesz pan.

Wyjął jednego slima jima z opakowania i wręczył Lukeyowi.

- Trzymaj, śmieciu. Przypilnuję ci reszty.

- Wtrząchnij se jednego, Dolph. Śmiało.

- Coś ty, Lukey. Pieką mnie na wejściu i wyjściu.

Sam nie zwracał uwagi na tę wymianę grzeczności. Przewiercał wzrokiem Lukeya.

- Chłopak Sarah? A skąd wiesz?

Lukey wchłonął połówkę slima jima jednym gryzem i podniósł wzrok. Dobroduszny, choć nieco chytry wyraz gościł na jego twarzy. Przytknął palec do nosa i powiedział:

- Jak się jest w Programie, to się słyszy to i owo, syneczku. Oj, słyszy, słyszy.

- On zielonego pojęcia o niczym nie ma, panie szanowny - powiedział Rudolph, opróżniając swój kubeczek imbirowego piwa. - Miele ozorem, bo lubi sam siebie słuchać.

- Pierdzielisz, że głowa mała! - dał wyraz odmiennemu stanowisku Lukey, biorąc do ust gigantycznego gryzą slima jima. - Wiem, bo mi Dave powiedział! Dziś w nocy! We śnie wpadł do mnie i nawijał, że ten gościu to najstodsze skarbuchno naszej Sarah!

- Gdzie jest Sarah? - zapytał Sam. - Myślałem, że *tu* będzie.

- Zamieniliśmy z nią parę słów po błogosławieństwie - wyjaśnił Rudolph.

- Powiedziała, że jak pan będziesz chciał, to ją zobaczysz. Powiedziała, że już ją raz tam widział.

- Ona strasznie lubiła Dave'a - rzekł Lukey. Nagle w jego oku pojawiła się samotna łza i spłynęła po policzku. Otarł ją wierzchem dłoni. - Wszyscyśmy go strasznie lubili. Dave zawsze się tak starał. Po skurczybyku. Wiesz pan, to straszna szkoda. Naprawdę straszna szkoda.

I Lukey niespodziewanie wybuchnął płaczem.

- Cóż, pozwólcie, że wam coś powiem - powiedział Sam. Przykucnął obok Lukeya i podał mu chusteczkę. Był sam bliski łez i przerażało go to, co musi zrobić... czemu będzie musiał stawić czoło. - W końcu mu się udało. Zmarł trzeźwy. Niech ludzie gadają, co chcą, ale możecie mi wierzyć, bo znam prawdę. Umarł trzeźwy.

- Amen - powiedział z szacunkiem Rudolph.

- Amen - przytaknął Lukey. Oddał Samowi chusteczkę. - Dzięki.

- Nie ma sprawy, Lukey.

- Powiedz pan - nie masz już więcej tych jebanych jimów slimów, co?

- Ani dudu - powiedział Sam i uśmiechnął się. - Wiesz, jak to mówią, Lukey - jeden to za dużo, a tysiąc zawsze za mało.

Rudolph wybuchnął śmiechem. Lukey uśmiechnął się... a potem przytknął palec do nosa.

- A jak stoisz pan z kasą, co?... Nie miałbyś luźnego ćwierć dolca?

### 3

Sam pomyślał najpierw, że może poszła do biblioteki, ale to nie pasowało do słów Rudolpha... Był wprawdzie z Sarah w bibliotece raz, tej strasznej nocy, która wydawała się już odległa o dziesięć lat, ale był wtedy razem z nią, nie widział jej tam, jak to widzi się kogoś przez okno albo... Wtem przypomniał sobie, kiedy to widział Sarah przez okno, właśnie tu, na Angle Street. Stała w grupie na podwórku na tyłach domu, zajęta ćwiczeniami, które pomagały im w trzeźwości. Poszedł przez kuchnię tak jak tamtego dnia, witając się po drodze z kilkoma osobami. Burt Iverson i Elmer Baskin stali w jednej z małych grupek, popijając poncz lodowy, i wysłuchując z głęboką powagą wywodów starszej kobiety nieznannej Samowi.

Stanął w kuchennych drzwiach, wyszedł na tylną werandę. Dzień znów stał się wietrzny i szary. Podwórko było puste, ale Samowi wydało się, że dostrzega jasną plamę za krzakami wyznaczającymi granicę posesji.

Zszedł po schodkach, minął podwórko, świadom, że serce zaczęło mu znów bić bardzo mocno. Rękę włożył do kieszeni i tym razem wyłowił z niej dwa pozostałe celofanowe opakowania. Zawierały czerwoną lukrecję „Bycze Oko”. Rozerwał je i zaczął ugniatać w kulkę dużo skromniejszą niż ta, którą zrobił w poniedziałek. Słodki cukrowy zapach był mdlący jak zawsze. Z oddali słyszał nadjeżdżający pociąg, i to przypomniało mu sen - ten, w którym Naomi zmieniła się w Ardelię.

„Za późno, Sam. Jest już za późno. Czyn został spełniony.

Ona czeka. Pamiętaj, Sam... ona czeka”.

W snach bywa czasem wiele prawdy.

Jak zdołała przeżyć te wszystkie lata? Te wszystkie lata pomiędzy wtedy a dziś? Nigdy nie postawili sobie tego pytania. Jak dokonywała przeistoczenia z jednej osoby w drugą? Tego pytania też sobie nie stawiali. Być może pod skorupą czarującej iluzji, jaką była kobieta o nazwisku Ardelia Lortz, krył się stwór podobny owadom, które w rozwidleniu gałęzi składają poczwarkę spowitą w kokon, zabezpieczają otuliną i odlatują do miejsca, gdzie zemrą. Poczwarka spoczywa nieruchomo, czeka... zmienia się...

„Ona czeka”.

Sam szedł dalej, wciąż ugniatając małą kulkę zrobioną z materii, którą Policjant Biblioteczny - jego Policjant Biblioteczny – ukradł i zamienił w materię koszmarów. Ta materia w jakiś sposób znów się zmieniła. Z pomocą Dave'a i Naomi stała się narzędziem wybawienia.

Policjant Biblioteczny przyciska Naomi do siebie. Przykłada usta do jej szyi, jakby chciał pocałować. Ale tylko kaszle. Wole na gardle Ardeliostwora. Luźne. Opróżnione. Puste. „Proszę, niech nie okaże się, że jest za późno”. Wszedł w rzadkie zarośla. Naomi Sarah Higgins stała za krzewami z rękami założonymi na piersiach. Spojrzała na niego przelotnie. Był wstrząśnięty bledością jej policzków i nieprzystępnością spojrzenia. Powróciła wzrokiem do torów kolejowych. Z daleka słychać było pociąg. Zbliżał się. Wkrótce go zobaczą.

- Cześć, Sam.

- Cześć, Sarah.

Objął ją. Nie sprzeciwiła się, ale jej ciało pozostało sztywne, niepodatne, obojętne. „Proszę, niech nie okaże się, że jest za późno”, znów pomodlił się w myślach i przypomniał mu się Dave.

Zostawili go tam, w bibliotece, zablokowawszy drzwi gumowym klinem. Sam zadzwonił z automatu dwie przecznice dalej, zgłaszając otwarte drzwi. Odłożył słuchawkę, kiedy dyżurny policjant spytał o nazwisko. Tak więc Dave został znaleziony i oczywiście orzeczono przypadkowy zgon, a w mieście ludzie na tyle bystrzy, żeby cokolwiek wywnioskować, gotowi byli do oczywistego wniosku: jeszcze jeden stary pijus poszedł do tej wielkiej speluny w niebie. Gotowi byli wyobrazić sobie, że z flachą w łapie trafił w alejkę dojazdową, zobaczył otwarte drzwi, wpakował się do środka i rąbnął po ciemku łbem w gaśnicę. Koniec opowieści. Rezultaty sekcji wskazujące zerową zawartość alkoholu we krwi Dave'a nie mogły zmienić na jotę tych przypuszczeń - nawet w przypadku policji. Ludzie po prostu spodziewają się, że pijak umrze śmiercią pijaka, pomyślał Sam. Nawet jeśli przestał być pijakiem.

- Jak się miewasz, Sarah? - spytał. Spojrzała na niego ze znużeniem.

- Nie za dobrze, Sam. Po prostu okropnie. Nie mogę spać... nie mogę jeść... po głowie chodzą mi same potworne myśli... jakby całkiem nie moje... i chcę pić. To najgorsze. Chcę pić... i pić... i pić. Spotkania nie pomagają. Pierwszy raz w życiu spotkania nie pomagają.

Zamknęła oczy i zaczęła płakać. W tym płaczu była bezsilność i straszliwe zagubienie,

- Tak - powiedział łagodnie. - Nie pomogą. Nie są w stanie pomóc. I myślę, że ona chciałyby, abyś zaczęła pić. Ona czeka... ale to nie znaczy, że nie jest głodna.

Otworzyła oczy, popatrzyła na niego.

- O czym... o czym ty mówisz, Sam?

- O uporczywości. Tak mi się zdaje. O uporczywości zła. O tym, jak czeka. Jak potrafi być przebiegłe, zaskakujące i potężne.

Uniósł z wolna dłoń i otworzył.

- Poznajesz, co to jest, Sarah?

Rzuciła się w tył na widok kulki czerwonej lukrecji na dłoni Sama. Przez moment jej oczy były szeroko otwarte i czujne. Błyszczały nienawiścią i strachem.

A ich blask miał srebrzysty odcień.

- Wyrzuć to! - szepnęła. - Wyrzuć to draństwo w cholerę! Ochronnym gestem podniosła rękę do karku, tam gdzie kasztanoworude włosy spadały na ramiona.

- Mówię do ciebie - rzekł pewnym głosem. - Nie do niej. Do ciebie. Kocham cię, Sarah.

W jej spojrzeniu pojawiło się znowu straszliwe znużenie.

- Tak. Może i kochasz. A może powinieneś przestać kochać.

- Zrób coś dla mnie, Sarah. Chcę, żebyś odwróciła się do mnie plecami. Pociąg nadjeżdża. Patrz na wagony i nie odwracaj oczu, dopóki ci nie powiem. Możesz to zrobić?

Górna warga Naomi podskoczyła do góry. Zamkniętą twarz znów ożywił wyraz nienawiści i strachu.

- Nie! Zostaw mnie! Wynoś się!

- O to ci chodzi? - spytał. - Naprawdę o to? Powiedziałaś Rudolphowi, gdzie mogę cię znaleźć, Sarah. Naprawdę, mam się wynieść?

Zamknęła oczy. Wygięła w podkówkę usta drżące z niepokoju. Kiedy otworzyła oczy, były pełne grozy. Błyszczały od łez.

- Och, Sam, pomóż mi! Coś jest nie w porządku i nie wiem co! Nie wiem, co mam robić!

- Ja wiem, co robić. Zaufaj mi, Sarah, zaufaj temu, co powiedziałaś, kiedy jechaliśmy w poniedziałek do biblioteki. Uczciwość i wiara - oto przeciwieństwo strachu. Uczciwość i wiara.

- Tylko że to trudne - szepnęła. - Trudno zaufać. Trudno uwierzyć.

Patrzył na nią bez drgnienia powieki. Górna warga Naomi podniosła się nagle, a dolna wyciągnęła w przód. Na moment usta przybrały kształt rogu.

- Odpierdol się! Wysuwaj stąd i odpierdol się, Samie Peebles! Ścisnęła dłońmi skronie.

- Nie chciałam tego powiedzieć. Nie wiem, czemu to powiedziałam. Moja... głowa, Sam, moja biedna głowa! Czuję, jak mi pęka.

Popołudniowy towarowy, lecący prosto do rzeźni Omaha, zagwizdał, wpadając na most na Proverbial River, wtoczył się do Junction City. Już go było słychać.

- Nie ma wiele czasu, Sarah. Musimy teraz to załatwić. Odwróć się i patrz na pociąg. Obserwuj go, kiedy nadjedzie.

- Tak - przystała nagle. - W porządku. Rób, co chcesz, Sam. A jak zobaczysz... jak zobaczysz, że to nie działa... pchnij mnie. Pchnij mnie pod pociąg. Powiesz, że skoczyłam... że to było samobójstwo.

Z wyczerpanej twarzy patrzyły na niego błagalnie śmiertelnie zmęczone oczy. - Wiedzą, że nie mogłam się pozbierać, ludzie z Programu wiedzą. Przed nimi się tego nie ukryje. Po jakimś czasie to po prostu niemożliwe. Uwierzą ci, kiedy powiesz, że skoczyłam, i będą mieli rację, bo nie mogę tego ciągnąć. Ale rzecz w tym... Sam, rzecz w tym, że za jakiś czas będę chciała to ciągnąć.

- Cicho bądź. Nie będziemy rozmawiać o samobójstwie. Patrz na pociąg, Sarah, i pamiętaj, że cię kocham.

Odwróciła się do torów. Pociąg był nie dalej niż o trzy mile, nadjeżdżał szybko. Podniosła włosy spadające na ramiona, odsłoniła kark. Sam pochylił się... i wysoko, na czystej białej skórze znalazł to, czego szukał. Wiedział, że pół cala niżej zaczyna się rdzeń pacierzowy i żołądek skręcił mu się z obrzydzenia.

Nachylił się ku pęcherzowatej narośli. Była pokryta pajęczym motkiem, pogmatwanymi białymi włóknami, ale pod nimi dygotał różowawy galaretowaty guz pulsujący w rytm uderzeń serca Naomi.

- Zostaw mnie w spokoju! - Ardelia Lortz zawyła ustami kobiety, którą Sam pokochał.  
- Zostaw mnie w spokoju, ty draniu! - Ale ręce Sarah pozostały spokojne, unosiły włosy, ułatwiając mu dostęp do szyi.

- Potrafisz odczytać numer na lokomotywie, Sarah? - zamruczał.

Zajęczała.

Kciukiem zrobił wgłębienie w kulce lukrecji, trochę większe niż pasożyt wpity w kark Sarah.

- Przeczytaj mi, Sarah. Przeczytaj mi numer.

- Dwa... sześć... och, Sam, głowa mnie boli... jakby ktoś wielką łapą rozrywał mi głowę na dwie połówki...

- Czytaj numer, Sarah - mruczał i wcisnął lukrecję „Bycze Oko” w pulsującą obrzydliwą narośl.

- Pięć... dziewięć... pięć...

Delikatnie zacisnął lukrecję wokół guza. Czuł ono. Nagle zaczęło się wić, chciało uciec spod słodkiego opatrunku. „A co, jeśli się wydostanie? Co, jeśli wydostanie się na

swobodę, zanim go z niej wyrwę? To cała skoncentrowana trucizna Ardelii... co będzie, jeśli wydobędzie się, zanim go wyrwę?”.

Nadjeżdżający pociąg znów zagwizdał. W gwizdzie utonął bolesny pisk Sarah.

- Spokojnie...

Szarpnął lukrecję w tył i równocześnie złożył. Udało się; ono zostało złapane; pulsowało i drgało jak drobne chore serce. Na karku Sarah pozostały trzy ciemne dziurki, nie większe niż ślady kolców jeżyn.

- Załatwiłeś to, Sam! - zawołała. - Załatwiłeś!

- Jeszcze nie - sprostował ponuro. Lukrecja znów spoczęła mu na dłoni. Pęcherzyk rósł, usiłował pęknąć...

Pociąg z łoskotem mijał teraz dworzec kolejowy Junction City, dworzec, na którym ongiś mężczyzna nazwiskiem Kelly rzucił Dave'owi Duncanowi kilka centów i kazał mu ginać z wiatrem. Pociąg był już o trzysta jardów, odległość malała szybko.

Sam ukląkł przy torach.

- Sam, co ty wyrabiasz?

- Smacznego, Ardelio - zamruczał. - Spróbuj sobie tego. - Przykleił pulsującą, wydętą kulkę czerwonej lukrecji do lśniącej, stalowej szyny.

W głowie huczał mu dziki, nieznośny wrzask pełen wściekłości i grozy. Wyprostował się i patrzył, jak ono złapane w lukrecję miota się i walczy. Czerwona kulka pękała... ujrzał ciemniejszy odcień czerwieni usiłujący wyskoczyć na zewnątrz... a wtedy 2.20 do Omaha przeleciał jak uporządkowana burza tłukących osi i mielących kół.

Lukrecja znikła, a przeraźliwy wrzask w głowie Sama Peeblesa zamilkł jak nożem uciął.

Odwrócił się do Sarah. Staniała się na nogach, ale oczy miała szeroko otwarte, pełne oszołomienia i radości. Objął ją, podtrzymał. Wagony, platformy i cysterny mknęły z hukiem i rozwiewały im włosy.

Stali tak, aż minął ich ostatni wagon, zabierając ze sobą na zachód czerwone światełka. Wtedy - ciągle w jego uścisku - cofnęła się trochę i przyjrzała mu się uważnie.

- Czy jestem wolna. Sam? Czy naprawdę jestem od niej wolna? Czuję, że tak, ale trudno mi w to uwierzyć.

- Jesteś wolna. Twoja kara jest zapłacona, Sarah. Na wieczne czasy twoja kara jest zapłacona.

Zbliżyła twarz do jego twarzy i pokryła drobnymi pocałunkami jego usta, policzki, oczy. Nie zamykała oczu; cały czas przyglądała mu się poważnie.



Wreszcie ujął ją za rękę i powiedział:

- Może wrócimy, żeby przywitać się ze wszystkimi? Twoi przyjaciele będą się zastanawiać, gdzie przepadłaś.

- To mogą być też twoi przyjaciele, Sam... jeśli tego chcesz. Skinął głową.

- Chcę. Bardzo chcę.

- Uczciwość i wiara - powiedziała i dotknęła jego policzka.

- Oto właściwe słowa. - Pocałował ją i podał ramię. - Czy zechce pani udać się ze mną?

Wzięła go pod ramię.

- Dokąd tylko pan sobie życzy, sir. Dokąd tylko pan zapragnie - - Ruszyli powoli przez podwórko, pod rękę, ku Angle Street.

## **POLAROIDOWY PIES**

*Tę opowieść poświęcam pamięci Johna D. MacDonalda. Brak mi Ciebie, stary druhu - i miałeś świętą rację z tymi tygrysami.*

## **CZWARTE PO PÓŁNOCY**

### **Wprowadzenie do Polaroidowego psa**

Od czasu do czasu bywam pytany: „Steve, chłopie, kiedy dasz sobie siana z tymi horrorami i napiszesz coś serio?”.

Obelga, ukryta w tym pytaniu, początkowo wydawała mi się niezamierzona, ale w miarę upływu lat zmieniłem zdanie. Patrząc na twarze ludzi wrzucających do mego ogródka ten kamyczek i wiecie, kogo widzę? Bombardierów, którzy śledzą ostatnią wiązkę bomb spadających na upatrzoną fabrykę. Gdzie też rąbnie: w buraki, w płot czy dokładnie w cel?

Rzecz w tym, że prawie wszystko, co napisałem - w tym również większość zabawnych kawałków - pisałem w nastroju serio. Bardzo rzadko zrywałem boki ze śmiechu, spłodziwszy jakiś szalony, jajcarski numer. Nigdy nie będzie ze mnie Reynolds Price czy Lany Woivode - co to, to nie - ale powaga nie oznacza bynajmniej obojętności. Piszę tak jak umiem i - jak to kiedyś ujął Nils Lofgren - „grać muszę duszą... choć brudną duszę mam”.

Jeśli serio obejmuje według was tylko i wyłącznie rzeczy realne - to znaczy takie, które faktycznie mogą się zdarzyć! - trafiliście pod zły adres i szkoda waszego cennego czasu na błąkanie się po tym gmachu. Ale pamiętajcie, jeśli łaska - nie ja jeden się w nim pocę. Miał tu swój kąt Franz Kafka, George Orwell, Shirley Jackson, Jorge Luis Borges, Lewis Carroll. Zerknąwszy na listę lokatorów w holu, zobaczycie między innymi nazwiska Thomasa

Bergera, Raya Brad-bury'ego, Jonathana Carrolla, Thomasa Pynchona, Thomasa Discha, Kurta Vonneguta Jra, Petera Strauba, Joyce Carol Oates, Isaaca Bashevisa Singera, Katherine Dunn i Marka Halpema.

Pracuję z przyczyn jak najbardziej serio. Z miłości, chęci zysku, pchany obsesją. Żeby opisać świat, w którym się żyje, i nie zwariować,

Wprowadzenie do *Polaroidowego psanajbezpieczniej* jest - moim zdaniem - snuć opowieści niesamowite. Są mi środkiem wyrazu i głosem sumienia. Nieustannie i wybornie obrazują nasze sposoby widzenia świata i - wynikające stąd - nasze zachowania. Na ile tylko pozwala mi talent i inteligencja, staram się opisać jedno i drugie. Nie zależy mi na tym, żeby zostać czyimkolwiek pieszczochem, nawet za cenę Narodowej Nagrody Książki czy Nagrody Pulitzera. Ale być serio... Tak, to coś, na czym mi zależy. Jeśli trudno ci uwierzyć we wszystko, co mówię, uwierz w jedno, przyjacielu: kiedy biorę cię za rękę i zaczynam opowieść, nie rzucam słów na wiatr.

Wiele z tego, co mam do powiedzenia - z tych Rycerzy Naprawdę Serio - dotyczy małomiasteczkowego świata, w którym się wychowałem i w którym nadal żyję. Opowiadania i powieści są miniaturowymi modelami, jak to ze śmiechem nazywamy, „prawdziwego życia” i wierzę, że życie, które prowadzimy w małych miasteczkach, jest miniaturowym modelem, jak to ze śmiechem nazywamy, „wielkiego świata”. Powyższy pogląd zapewne dałoby się podważyć i dyskusja na ten temat jest jak najbardziej usprawiedliwiona (gdyby było inaczej, wielu wykładowców literatury i krytyków rozglądałoby się za pracą). Chcę tylko powiedzieć, że pisarz potrzebuje czegoś w rodzaju wyrzutni raketowej, i choć wierzę święcie, iż każdy wątek może śmiało egzystować bez tła obyczajowego, stworzyłem na własny użytek mikrokosmos społeczny i psychologiczny małego miasteczka. Zacząłem eksperymentować z tego rodzaju elementami w *Carrie* i kontynuowałem je na nieco ambitniejszym poziomie w *Miasteczku Salem*. Ale po prawdzie dopiero w *Strefie śmierci* udało mi się znaleźć własny ton.

Wydaje mi się, że *Strefa śmierci* była pierwszą z moich opowieści o Castle Rock (a Castle Rock jest to naprawdę miasteczko Jeruzalem, tylko że bez wampirów). Mijały lata od napisania tamtej powieści i Castle Rock w coraz większym stopniu stawało się „moim miastem” w takim sensie, w jakim mityczna Isola jest miastem Eda McBaina, a miejscowość w Wirginii Zachodniej - Glory - miastem Davisa Grubba. Wielokrotnie mnie tam wzywano. Badałem losy tubylców i zakątki, które zdają się wyciskać piętno na ich życiu - Castle Hill i Castle View, Castle Lake i Town Roads, drogi splecione po zachodniej stronie miasteczka.

W miarę upływu lat coraz bardziej interesowałem się - nieomal zostałem urzeczony - tajemnym życiem tego miejsca, a ukryte związki między ludźmi rysowały mi się coraz

wyraźniej. Większa część historii miasteczek jest wciąż nienapisana albo nieopublikowana: jak to świętej pamięci szeryf George Bannerman stracił cnotę na tylnym siedzeniu samochodu swojego zmarłego taty, jak to mąż Ophelii Todd został zabity przez kosiarkę, jak zastępca szeryfa, Andy Clutterbuck, stracił palec wskazujący lewej ręki (wentylator go uciął, a pies Andy'ego zeżarł).

Po *Strefie śmierci*, która jest częściowo opowieścią o niezrównoważonym psychicznie Franku Doddzie, napisałem długie opowiadanie *Ciało, Cujo*, powieść, w której kochany, stary szeryf Bannerman poszedł do piachu, oraz wiele opowiadań i nowelek o miasteczku (najlepsze z nich, przynajmniej według mnie, to *Mrs. Todd's Short-cut* i *Uncle Otto 's Truck*). Stan zauroczenia wyimaginowaną powieściową krainą jest bardzo miły, ale nie wydaje mi się czymś najlepszym dla pisarza. Był najlepszą rzeczą w przypadku Faulknera i J.R.R. Tolkiena, ale ten podwójny wyjątek zdaje się tylko potwierdzać regułę, a poza tym nie gram w tej samej lidze co dwaj wyżej wymienieni panowie.

W pewnym momencie zdecydowałem - najpierw w podświadomości, która, jak sędzę, odwała wszystkie Naprawdę Poważne Roboty - że nadszedł czas zamknąć księgę o Castle Rock, Maine, w którym tyłu moich ulubionych bohaterów żyło i umarło. Trzeba przecież umieć sobie powiedzieć: dość. Czas przenieść się dalej (może do sąsiedniego Harlow, ha, ha). Ale nie chcę odejść jakby nigdy nic, chcę zakończyć tę sagę z fajerem.

Pomalutku zacząłem sobie wyobrażać, jak to zrobić, i przez ostatnie cztery lata mozoliłem się nad trylogią o Castle Rock (skromność przede wszystkim, nie?) - ostatnimi powieściami o Castle Rock. Nie zostały napisane po kolei (często myślę, że „nie po kolei” to lejtmotyw mego życia), ale już są napisane i są całkiem serio... acz mam nadzieję, że nie okażą się poważne-aż-do-sztywniactwa lub nudne.

Pierwsza z nich, *Mroczna połowa*, została opublikowana w 1989 r. Jest to przede wszystkim opowieść o Thadzie Beaumoncie i jej akcja toczy się głównie w miasteczku Ludlow (w którym mieszkali Creedo-wie w *Smetarzu dla zwierzaków*), niemniej jednak Castle Rock występuje w opowieści i książka wprowadza na scenę zastępcę szeryfa Bannermana, faceta nazwiskiem Alan Pangborn. Szeryf Pangborn jest centralną postacią ostatniej powieści w tym cyklu, długasnej historii pt. *Sklepik z marzeniami*, którą planuję wydać w roku przyszłym i która zakończy moje konszachty z miejscowością zwaną przez tubylców The Rock. Tkanką łączną między tymi dwoma dłuższymi dziełami jest poniższa opowiadka. W *Polaroidowym psie* raczej nie spotkacie żadnej z ważniejszych figur Castle Rock, ale zjawi się Pop Merrill, którego kuzyn, As Merrill, jest zakałą miasteczka (i przekleństwem życia Gordiego LaChance'a w *Ciele*). *Polaroidowy pies* przygotowuje

również podwaliny pod finalny pokaz fajerwerków... i będzie, mam nadzieję, opowiadką zajmującą samą w sobie, lekturą przyjemną, nawet jeśli *Mroczna polowa* czy *Sklepik z marzeniami* zwisają wam totalnie.

Wypada dodać jeszcze jedno: każda opowieść ma swój własny tajemny żywot, całkiem niezależny od czasu i miejsca, w których się toczy. *Polaroidowy pies* jest opowieścią o aparatach fotograficznych i fotografiach. Jakieś pięć lat temu moja żona, Tabitha, zainteresowała się fotografowaniem, odkryła, że robienie zdjęć idzie jej całkiem nieźle, i wzięła się do tego serio, ucząc się, eksperymentując i pstrykając, pstrykając i jeszcze raz pstrykając. Ja sam robię fatalne zdjęcia (należę do gości, którym zawsze udaje się odciąć obiektowi głowę, sportretować go w chwili, kiedy ziewa przeraźliwie, albo jedno i drugie), ale darzę wielkim szacunkiem tych, którzy robią dobre zdjęcia... i cała ta fotomagia mnie fascynuje.

Podczas swych eksperymentów żona nabyła polaroid, aparat łatwy w obsłudze nawet dla takiego niedołągi jak ja. Zafascynował mnie. Oczywiście, widziałem polaroidy i korzystałem z nich wcześniej, ale nigdy dużo o nich nie myślałem ani nigdy nie przyjrzałem się dobrze zdjęciom, które robią. Teraz, im więcej o nich myślałem, tym wydawały mi się dziwniejsze. Są to przecież nie zwykłe obrazki, ale fragmenty czasu... i jest w nich coś tak osobliwego.

Ta opowieść przyszła na świat niemal za jednym zamachem, pewnej letniej nocy w 1989 roku, ale żeby stało się to możliwe, myślałem nad nią prawie rok. Jeśli chodzi o mnie, to byłoby na tyle. Powtórzę jeszcze raz: wspañiale jest się z wami znowu spotkać, ale to nie znaczy, że już puszcę was do domu.

Coś mi się zdaje, że wypada nam wpaść na urodzinowe przyjęcie, które odbywa się w miasteczku Castle Rock.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

15 września przypadały urodziny Kevina i dostał na nie dokładnie to, co chciał: polaroid.

Kevin, o którym mowa, to Kevin Delevan. Urodziny obchodził po raz piętnasty, a polaroid nazywał się Sun 660 i poza szykowaniem kanapek z głowizną robił wszystko, czego mógł od niego zażądać początkujący fotoamator.

Oczywiście Kevin otrzymał i inne prezenty. Meg, jego siostra, dała mu parę rękawiczek własnoręcznie zrobionych na drutach, babcia z Des Moines przysłała dziesięć dolarów, a ciotka Hilda - jak zawsze - sznurkowy krawat z zapinką porażającej urody. Pierwszy taki krawat przysłała, kiedy Kevin ukończył lat trzy, co znaczyło, że już dwanaście

nienoszonych sznurkowych krawatów z zapinkami porażającej urody spoczywa w szufladzie biurka i obok nich spocznie następny. Feralna trzynastka, jak obszył. Nigdy nie włożył żadnego, ale nie było mowy, żeby się ich pozbyć. Ciotka Hilda mieszkała w Portlandzie. Nigdy nie przyjechała na żadne urodziny Kevina czy Meg, ale zawsze mogło jej to wpaść do głowy, nie tego roku, to następnego. Portland leżało tylko pięćdziesiąt mil na południe od Castle Rock. A przypuścimy, że przyjedzie... i poprosi Kevina o założenie któregoś krawata (albo może Meg o założenie którejś z apaszek)? Gdyby chodziło o innych krewnych, wpadkę załatałoby się jakimś łągarstwem. Jednakże w przypadku ciotki Hildy wpadka mogła się okazać kosztowna. Ciotka Hilda była Bogata. I Stara. W świetle tych dwóch fundamentalnych faktów przed spadkobiercami zamożnej, leciwej pani rysowały się złote perspektywy.

Mama Kevina święcie wierzyła, że któregoś dnia ciotka Coś Zrobi dla Kevina i Meg. Zrozumiałe, że owo Coś nastąpi, gdy ciotka Hilda wreszcie kopnie w kalendarz i zostanie odczytany testament. Do tej chwili rozsądek nakazywał przechowywać porażającej urody sznurkowe krawaty i także apaszki. Więc trzynasty krawat (Kevin miał wrażenie, że na zapince jest dzięcioł) dołączy do pozostałych i Kevin napisze do ciotki Hildy list z podziękowaniem. Niepopędzony przez mamę i nie dlatego, że ciotka Hilda któregoś dnia Coś Zrobi dla niego lub siostry (nawet o tym nie myślał i wcale o to nie dbał), ale ponieważ, ogólnie biorąc, był chłopcem dobrym, grzecznym i bez specjalnych wad.

Podziękował rodzinie za prezenty (matka i ojciec wręczyli mu oczywiście wiele innych drobiazgów, lecz polaroid stanowił bezsprzecznie gwóźdź programu i byli zachwyceni jego zachwytem), nie zapomniał o całusie dla Meg (chichotała i udawała, że się broni, ale jej zachwyty był wyraźny) i powiedział jej, że rękawiczki przydadzą mu się jak znalazł na obóz narciarski - ale skupił się głównie na pudle z aparatem fotograficznym i kilku dołączonych kasetach z ładunkami.

Jak nakazywała przyzwoitość, dziabnął tortu i lodów, choć ręce wyraźnie go świerzbiły, żeby wypróbować aparat. I kiedy tylko przyzwoitość na to pozwoliła, zaspokoił swą chętkę.

Wtedy zaczął się cały ten młyn.

Kevin z całą starannością, na jaką pozwalała mu niecierpliwość, przeczytał instrukcję obsługi i włożył kasetę. Rodzina obserwowała jego poczynania z zaptym tchem i nieświadomioną grozą (z niewiadomego powodu najbardziej upragnione prezenty najczęściej się psują). Rozległo się ogólne westchnienie ulgi - raczej bliższe zefirkowi niż boreaszowi - gdy aparat posłusznie wypluł papierowy jęczyczek, dokładnie tak, jak obiecywała instrukcja.

Na korpusie aparatu znajdowały się dwie kropki, rozdzielone zygzakiem jak błyskawica, jedna czerwona, jedna zielona. Gdy Kevin założył kasetę, zapaliło się czerwone światełko. Płonęło kilka sekund. Rodzina jak zaklęta obserwowała suna 660, wężącego za światłem. Czerwone zgasło, a zielone zaczęło szybko mrugać.

- Jest gotów - powiedział Kevin tym samym niby-nonsza-lanckim-ale-wyraźnie-spiętym tonem, którym Neil Armstrong relacjonował swe pierwsze poczynania na powierzchni Luny. - Czemu, kochani, nie staniecie bliżej siebie?

- Nie cierpię fotografowania! - wykrzyknęła Meg, zasłaniając twarz z mieszaniną udawanej obawy i zachwytu, na którą potrafią się zdobyć jedynie podlotki i wyjątkowo złe aktorki.

- Przestań, Meg - powiedział pan Delevan.

- Nie bądź gąską, Meg - rzekła pani Delevan. Meg zrezygnowała z zasłaniania twarzy (i stawiania oporu). Cała trójka uplasowała się przy końcu stołu. Napoczęty tort znajdował się na pierwszym planie.

Kevin spoglądał przez wizjer.

- Mamo, przysuń się do Meg - powiedział, wykonując ruch lewą ręką.

- Ty też, tato. - Tym razem użył ręki prawej.

- Ciśnienie mnie jak cytrynę! - zakomunikowała Meg rodzicom. Kevin położył palec na guziku, którego naciśnięcie powoduje zwolnienie migawki. Wspomniał przeczytaną pobieżnie w instrukcji obsługi uwagę, że podczas fotografowania łatwo można obciąć obiektom głowy. „Precz z ich głowami!” - przebiegło mu przez myśl. Było to niby śmieszne, ale z niewiadomego powodu poczuł nieprzyjemne, słabe łaskotanie w krzyżu. Znikło od razu i niemal od razu zostało zapomniane. Uniósł trochę obiektyw. Taaa... Wszyscy w kadrze. Dobra.

- Wpo-rząąą-dku! - wyskandował.

- Teraz uśmiechnąć się i powiedzieć: „spółkować!”.

- Kevinie! - wykrzyknęła matka.

Ojciec wybuchnął śmiechem, a Meg wydała szaleńczy pisk radości. Nawet złych aktorek nie stać na coś podobnego. Wyłącznie na takie odgłosy mają dziewczęta między dziesiątym a dwunastym rokiem życia.

Kevin nacisnął migawkę.

Lampa błyskowa, czerpiąc energię z baterii znajdującej się w kasecie, na chwilę skąpała pokój potokiem czystego białego światła.

„On jest mój”, pomyślał Kevin. Powinien przeżyć najwznioślejszą chwilę swych piętnastych urodzin, ale zamiast tego po raz drugi poczuł dziwne łaskotanie. Tym razem mocniejsze.

Aparat ni to pisnął, ni to zawarczał. Wydał dźwięk niezbyt łatwy do nazwania, choć ogólnie znany. To hałas, z jakim polaroidowy aparat fotograficzny wypłuka coś, co może nie jest dziełem sztuki, ale często nadaje się do wykorzystania i prawie zawsze dostarcza natychmiastowej satysfakcji.

- Ja chcę zobaczyć! - krzyknęła Meg.

- Prr, staruszko - uspokoił ją pan Delevan. - Trzeba trochę czasu na wywołanie.

Jak dojrzała kobieta obserwuje z radosną uwagą kryształową kulę, tak Meg wpatrywała się w nieruchomą szarą powierzchnię czegoś, co nie było jeszcze fotografią.

Reszta rodziny zebrała się wokół i zapanował taki sam niepokój, jaki towarzyszył ceremonii zakładania kasety. Wyglądali jak portret „Amerykańska rodzina”, czekający na ożywienie.

Kevin czuł, że rodzi się w nim straszliwe napięcie. Tym razem nie mógł go zignorować. Nie wiedział, skąd się bierze... ale bezsprzecznie czuł je w sobie. Nie potrafił oderwać oczu od nieprzeniknionego szarego kwadracika wewnątrz białej ramki, wyznaczającej brzegi fotografii.

- Chyba to ja! - radosnym głosem oznajmiła Meg. Zamilkła i po chwili sprostowała: - Nie. To nie ja. To chy...

W kompletnym milczeniu obserwowali szarą powierzchnię. Zaczęła się przejaśniać tak jak podobno przejaśnia się zamglony kryształ wróżki, gdy fluidy, wibracje, czy jak im tam, działają. Zdjęcie ukazało się Delevanom.

Głowa rodziny pierwsza przerwała milczenie.

- Co to ma być? - zadał pytanie pan Delevan, nie kierując go do nikogo konkretnego. - Jakiś kawał?

Poprzednio Kevin, chcąc przyjrzeć się wywoływaniu zdjęcia, roztargniony położył aparat za blisko skraju stołu. Meg zobaczyła zdjęcie i zrobiła krok w tył. Na jej twarzy zagościł nie strach czy zachwyty. Zwyczajne zaskoczenie. Kiedy odwracała się do ojca, uniosła rękę w górę. Ta ręka uderzyła w aparat - Kevin położył go w roztargnieniu na samym brzegu stołu - i strąciła na podłogę. Pani Delevan patrzyła na wyłaniające się zdjęcie pogrążona w swoistym transie, z wyrazem twarzy typowym dla kobiety głęboko zdumionej lub też czującej początki migreny. Stukot upadającego aparatu wystraszył ją. Krzyknęła cicho i zatoczyła się. Zahaczyła o stopę Meg i straciła równowagę. Pan Delevan wyciągnął ręce do żony,

równocześnie popychając Meg, która nadal znajdowała się między rodzicami, ale teraz wysunęła się nieco przed nich. Panu Delevanowi nie tylko udało się złapać małżonkę: wykonał to nawet z pewną gracją. Przez moment tworzyli naprawdę ładną grupę: mama i tata uchwyceni podczas uduchowionego tanga demonstrują, że nadal stać ich na Pójście w Tany, ona z ręką odrzuconą do tyłu, kibić mocno wygięta, on pochylony nad nią w tej dwuznacznej męskiej pozie, która - widziana w oderwaniu od okoliczności - może znaczyć troskę lub pożądanie.

Meg miała jedenaście lat i mniej gracji. Poleciała na stół i wbiła się w blat brzuchem. Uderzenie było tak silne, że mogło spowodować poważne obrażenia, ale przez ostatnie półtora roku Meg chodziła trzy razy w tygodniu na lekcje baletu do YWCA. Tańczyła bez polotu, ale z przyjemnością i ćwiczenia na szczęście wzmocniły jej brzuch, tak że mięśnie zamortyzowały uderzenie równie skutecznie, jak dobre resory samochodowe amortyzują wstrząsy na wyboistej drodze. Niemniej jednak następnego dnia na ciele Meg tuż powyżej biodra pojawiła się czarnosina wstęga. Minęły dwa tygodnie, zanim siniak najpierw stał się purpurowy, potem żółty, a potem znikł... jak to bywa - w odwrotnej kolejności - z polaroidowym zdjęciem.

W chwili kiedy nastąpił ten incydent godny ołówka rysownika komiksów, Meg nawet nic nie poczuła. Po prostu wpadła na stół i krzyknęła. Stół się zachwiał. Tort urodzinowy, który powinien znaleźć się na pierwszym planie pierwszego zdjęcia Kevina, zrobionego nowym aparatem, ześliznął się ze stołu. Pani Delevan nie miała nawet czasu na rytualne: Meg, nic ci się nie stało?! Szcątki tortu upadły na suna 660 z chlupotem i plaskiem! Lukier przysnął wszystkim na buty i pokrył podłogę.

Wizjer wyzierał spod kożucha kremu czekoladowego jak peryskop. To wszystko.

Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Kevinie.

\*

Wieczorem Kevin i pan Delevan siedzieli na kanapie w bawialni, gdy wkroczyła pani Delevan, powiewając dwoma spiętymi kartkami papieru. Kartki wyglądały na nieco sfatygowane. Zarówno Kevin, jak i pan Delevan trzymali na kolanach książki (*Najlepsi i najbystrzejsi ojciec; Strzelanina w Laredo* syn), ale czas upływał im głównie na wpatrywaniu się w aparat fotograficzny, spoczywający w niełasce na stoliczku pośród beładnej kupki zdjęć. Wyglądało na to, że wszystkie pokazują dokładnie to samo.

Meg siedziała na podłodze przed bratem i ojcem i oglądała na wideo pożyczoną kasetę. Kevin nie wiedział dokładnie, co siostra ogląda, ale że w filmie trwała bieganina połączona ze strasznym wrzaskiem, zgadywał, że horror. Megan miała do horrorów wielkie



upodobanie. Oboje rodzice uznawali to za przejaw złego smaku (szczególnie pana Delevana często doprowadzały do pasji te „bezsensowne śmieci”), ale dziś wieczór żadne z nich nie odezwało się słowem na ten temat. Zdaniem Kevina po prostu odetchnęli z ulgą. Meg przestała narzekać na stłuczony brzuch i głośno rozważać, jakie dokładnie mogą być objawy pęknięcia śledziony.

- Proszę, są. Znalazłam na dnie torebki za drugim przekopaniem - powiedziała pani Delevan i wręczyła mężowi kartki. Był to dowód sprzedaży od J.C. Penneya i kwit z MasterCard. - Nigdy nie mogę znaleźć czegoś takiego za pierwszym razem. Chyba nikt tego nie potrafi. To wygląda na prawo natury.

Stała z rękami na biodrach. Omiotła wzrokiem męża i syna.

- Obaj wyglądacie tak, jakby ktoś właśnie zabił wam kota.

- Nie mamy kota - rzekł Kevin.

- No, wiesz, o co mi chodzi. Oczywiście szkoda, że się tak stało, ale załatwimy to raz-dwa. U Penneya wymienią to bez mrugnięcia...

- Nie jestem tego taki pewny - powiedział John Delevan. Wziął aparat do ręki, obejrzał z niesmakiem (niemal z obrzydzeniem) i odłożył. - Uszkodził się, spadając na podłogę. Widzisz?

Pani Delevan zaszczyciła aparat jedynie przelotnym spojrzeniem.

- No, jeśli u Penneya nie przyjmą, jestem pewna, że zrobią to w fabryce. Wiesz, na pewno nie upadek spowodował, że wyczynia takie sztuki. Pierwsze zdjęcie wygląda jak następne, a Kevin zrobił je, zanim Meg strąciła aparat ze stołu.

- Nie chciałam go strącić - powiedziała Meg, nie odwracając głowy. Na ekranie figurka wielkości półlitrowego kufła od piwa - złowroga laleczka o imieniu Dziuba, jeśli Kevin się nie mylił - ścigała chłopczyka. Dziuba miała na sobie niebieski dresik. Wymachiwała nożem.

- Wiem, kochanie. Jak twój brzuch?

- Boli. Ale od lodów może by przestał. Zostało trochę? Meg skierowała ku matce najbardziej zdobywczy ze swych uśmiechów.

- Przyniesiesz mi?

- Bynajmniej - poinformowała ją uprzejmie pani Delevan. - Sama sobie przynieś. A co to za ohydztwo oglądasz?

- *Dziecięca gra*. Ta lalka nazywa się Dziuba i ożyła. Fajniuskie.

- Lalki nie ożywają, Meg - powiedział ojciec. Westchnął ciężko, jakby wiedział, że potyczka jest z góry skazana na przegraną.

- Dziuba ożyła - stwierdziła Meg. - W filmie wszystko jest możliwe. - Zatrzymała taśmę i poszła po lody.

- Skąd u niej ochota na oglądanie tego dziadostwa? - spytał żonę pan Delevan niemal z rozpaczą w głosie.

- Nie wiem, kochanie.

Kevin wziął do jednej ręki aparat i kilka zdjęć do drugiej - było ich w sumie ponad dziesięć.

- Nie jestem pewny, czy chcę zwrotu pieniędzy - powiedział. Ojciec wbił w niego wzrok.

- Co?! Czyś ty z byka spadł?!

- No, chodzi mi tylko o to, że może powinniśmy się nad tym trochę zastanowić - z lekka usprawiedliwiał się Kevin. - Rzecz w tym, że to nie jest zwykła wada. Gdyby zdjęcia wychodziły prześwietlone... albo niedoświetlone... albo po prostu gdyby nic na nich nie było... to co innego. Ale coś takiego? Wciąż ten sam obrazek? No, patrzcie! I pokazują scenę na dworze, choć wszystkie robiliśmy w domu!

- To kawał - powiedział ojciec. - To musi być kawał. Trzeba tylko wymienić draństwo i przestać zawracać sobie tym głowę.

- Nie wygląda mi to na kawał - sprzeciwił się Kevin. - Po pierwsze, to zanadto skomplikowane. Jak można tak zmontować aparat, żeby ciągle robił to samo zdjęcie? Poza tym psychologicznie biorąc zupełnie nie wygląda na kawał.

- Jeszcze psychologii nam tu brakowało! - westchnął pan Delevan. Wzniósł oczy w górę, a następnie ku żonie.

- Tak, właśnie chodzi o psychologię - obstawał przy swoim Kevin. - Kiedy facet daje ci wybuchające papierosy albo gumę do żucia z pieprzem, kręci się blisko, żeby mieć radochę, prawda? Ale jeśli wykluczymy możliwość, że to ty albo mama zrobiliście mi kawał...

- Twój ojciec nie jest, ściśle biorąc, urodzonym kawalarzem. - Pani Delevan łagodnie stwierdziła stan faktyczny.

Pan Delevan spoglądał na syna z zaciśniętymi ustami. Zawsze tak na niego spoglądał, gdy widział, że Kevin przestaje stać twardo nogami na ziemi. Kevin miewał chwile nawiedzenia, przebłyski intuicji, które zawsze zaskakiwały ojca i zbijały go z pantałyku. Po kim chłopak odziedziczył tę cechę?! Na pewno nie po nim.

Westchnął i jeszcze raz przyjrzał się aparatowi. Z lewej strony korpusu odpadł kawałek czarnego plastiku, a od środka wizjera biegła w dół kreska nie grubsza niż ludzki

włos, tak cienka, że nikła kompletnie, kiedy podnosił aparat do oka, fotografując coś, co nie pojawiała się na zdjęciu. To, co się pojawiała, leżało na stoliczku. Kilkanaście innych zdjęć leżało w jadalni.

To, co się pojawiała, wyglądało na uciekiniera z pobliskiego schroniska dla zwierząt.

- W porządku, ale co, do diabła, zamierzasz z tym począć? - zapytał. - Słuchaj, weź to na zdrowy rozsądek, Kevinie. Jaka jest praktyczna korzyść z aparatu, który robi w kółko to samo zdjęcie?

Ale Kevin nie zastanawiał się nad korzyściami praktycznymi. Prawdę mówiąc, w ogóle sienie zastanawiał. Czuł... i rozpamiętywał. W chwili, gdy nacisnął spust migawki, jedna wyraźna myśl („on jest mój”) opanowała go tak całkowicie, jak biały błysk całkowicie przesłonił wzrok. Ta myśl, wyraźna, choć niezrozumiała, zjawiła się w towarzystwie mieszanki potężnych uczuć, których nie potrafił precyzyjnie rozszyfrować, ale wydawało mu się, że przeważały w niej strach i podniecenie.

A poza tym - ojciec zawsze chciał widzieć wszystko w świetle zdrowego rozsądku. Nigdy nie zrozumie przeczuć Kevina ani zainteresowania Meg lalkami zabójczyniami o imieniu Dziuba.

Meg powróciła z gigantyczną porcją lodów i włączyła wideo. Ktoś palnikiem acetylenowym usiłował przerobić Dziubę na skwarek, ale nadal machała nożem.

- Ciągłe się kłóćcie?

- Dyskutujemy - poprawił ją pan Delevan. Wargi zacisnął mocno jak nigdy.

- Taaa... racja. - Meg usadowiła się po turecku na podłodze. - Zawsze tak mówisz.

- Meg? - zagadnął ją przyjaznym tonem Kevin.

- Co?

- Jeśli wrzucisz na pękniętą śledzionę tyle lodów, w nocy zejdziesz straszliwą śmiercią. Oczywiście twoja śledziona może nie pękła, ale...

Meg pokazała mu język i zajęła się oglądaniem filmu.

Pan Delevan spoglądał na syna z mieszaniną czułości i rozdrażnienia.

- Słuchaj, Kevinie, to twój aparat. Co do tego nie ma żadnej dyskusji. Możesz z nim robić, co ci się żywnie podoba. Ale...

- Tato, czy choć w najmniejszym stopniu nie interesuje cię, dlaczego on tak działa?

- Nie - powiedział John Delevan.

Teraz z kolei Kevin wznosił oczy w górę. Tymczasem pani Delevan przyglądała się im, jakby oglądała dobry kawałek tenisa. To szczególne określenie nie było dalekie od prawdy. Lata spędziła na obserwowaniu męża i syna, ścierających się ze sobą, i nigdy jej to

nie nudziło. Czasem zastanawiała się, czy kiedykolwiek odkryją, jak bardzo są do siebie podobni.

- No cóż, chciałbym się nad tym zastanowić.

- W porządku. Wiedz tylko, że mogę jutro wpaść do Penneya i wymienić ten interes - jeśli chcesz i jeśli oni zgodzą się wymienić uszkodzony artykuł. W tym rzecz. Jeśli chcesz go zatrzymać, proszę. Umywam ręce. - Szybkim gestem potarł dłonie, ilustrując słowa.

- Wydaje mi się, że moja opinia was nie interesuje - powiedziała Meg.

- Zgadłaś - odrzekł Kevin.

- Ależ oczywiście, że nas interesuje - wkroczyła pani Delevan.

- Ja myślę, że to nadprzyrodzony aparat-powiedziała Meg. Lizała loda z łyżeczki. - Ja myślę, że to objawienie świata nadprzyrodzonego.

- Kompletny idiotyzm - natychmiast stwierdził pan Delevan.

- Wcale nie - powiedziała Meg. - Tak się składa, że to jedyne wyjaśnienie. Nie przychodzi wam do głowy, bo nie wierzycie w takie sprawy. Tato, gdyby duch zjawił się przed tobą, nawet byś go nie zauważył. Kevin, co ty na to?

Przez moment Kevin nie odpowiedział. Nie mógł odpowiedzieć. Czuł się tak, jakby błysnął następny flesz. Tym razem w jego głowie, a nie przed oczami.

- Kev? Ziemia do Kevina!

- Nic, nic. Myślę sobie tylko, że możesz mieć rację, żabko - powiedział wolno.

- Och, mój dobry Boże. - John Delevan wstał. - Oto zemsta Freddy'ego i Jasona - mój syn ubrdał sobie, że dostał na urodziny nawiedzony aparat. Idę do łóżka, ale zanim się tam znajdę, chcę powiedzieć jedno. Aparat, który ciągle robi jedno zdjęcie - zwłaszcza tak prozaiczne - to nudne objawienie świata nadprzyrodzonego.

- Ale przecież... - powiedział Kevin. Podniósł fotki gestem pokerzysty ujawniającego skład ręki.

- Myślę, że czas do łóżka dla wszystkich - surowo oznajmiła pani Delevan. - Meg, jeśli czujesz absolutny przymus obejrzenia tego arcydzieła kinematografii, możesz to zrobić jutro rano.

- Ale już jest prawie koniec! - zawołała Meg.

- Pójdę, kiedy ona skończy, mamó - powiedział Kevin i po piętnastu minutach, gdy złowroga Dziuba została zmieciona z powierzchni ziemi (przynajmniej do następnego filmu z jej udziałem), poszedł do łóżka. Ale tej nocy niełatwo mu było zasnąć. Długo leżał z otwartymi oczami, słuchał, jak wiatr pełni lata głośno szepce w listowiu, myślał, co może być przyczyną faktu, że aparat fotograficzny ciągle robi jedno zdjęcie i co to może oznaczać.

Dopiero kiedy zapadał w sen, uświadomił sobie, że podjął już decyzję: zatrzyma suna, przynajmniej na jeszcze trochę.

„On jest mój”, pomyślał znów. Przewrócił się na bok, zamknął oczy i po czterdziestu sekundach spał głęboko.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Wśród tików i taków chyba pięćdziesięciu tysięcy zegarów, całkowicie obojętny na ich odgłosy, Reginald „Pop” Merrill świecił w polaroid Kevina wąskim strumieniem światła z gadżetu jeszcze drobniejszego niż okulistyczny wziernik. Sam Kevin stał obok. Okulary, niepotrzebne do pracy z bliska, Pop zatknął na tysej kopule czaszki.

- Hm, hm - zamruczał i zgasił wziernik.

- Czy to znaczy, że wie pan, co w nim nie gra? - spytał Kevin.

- Nie - powiedział Pop Merrill i zatrzasnął, pustą w tej chwili, komorę na kasetę. - Brak punktu zaczepienia.

Zanim Kevin zdążył cokolwiek odrzec, zegary zaczęły bić czwartą i przez kilka chwil konwersacja, choć możliwa, wydała się absurdalna.

„Chciałbym się nad tym zastanowić”, powiedział ojcu tego wieczoru, kiedy skończył piętnaście lat - trzy dni temu - i tym oświadczeniem zaskoczył ojca i siebie. Jako dziecko nie zastanawiał się nigdy nad niczym i pan Delevan uwierzył głęboko, że Kevin nigdy nie będzie się nad niczym zastanawiał, czy trzeba będzie, czy nie. Wyobrażali sobie, co zdarza się często w przypadku ojców i synów, że ich zachowania i bardzo odmienne style myślenia nie zmieniają się nigdy, dzięki czemu ich wzajemny stosunek na zawsze pozostanie taki sam... i dzieciństwo będzie trwać wiecznie. „Chciałbym się nad tym zastanowić”; to stwierdzenie zapowiadało zmianę, która mogła ogarnąć cały świat chłopca.

Co więcej, jako istota, która do tej pory szła przez życie, podejmując decyzje raczej zgodne z wyczuciem niż z rozsądkiem (a należał do szczęśliwców, których wyczucie rzadko zawodziło - innymi słowy prezentował typ, który doprowadza rozsądnie myślących do szaleństwa), Kevin był zaskoczony i zaintrygowany, gdy ogarnęły go autentyczne rozdzierające wątpliwości.

Rozdzierająca wątpliwość numer 1: chciał polaroidowego aparatu fotograficznego i dostał go, ale, do cholery, chciał polaroidowego aparatu fotograficznego, który działa.

Rozdzierająca wątpliwość numer 2: był głęboko zaintrygowany słowem, którego użyła Meg. Nadprzyrodzony.

Młodsza siostra Kevina miała potężnie odbite, ale nie była głupia i na pewno nie użyła tego słowa ot tak, bezmyślnie. Ojciec, który należał raczej do szczepu Główkujących niż

Wyczuwających, wykpił córkę, ale Kevin wcale nie palił się iść w jego ślady... przynajmniej jeszcze nie. Co za słowo! Co za fascynujące, egzotyczne słowo! Stało się cokołem, wokół którego uparcie krążyły jego myśli.

„Myślę, że to objawienie świata nadprzyrodzonego”.

Kevin był rozbawiony (i nieco zasmucony), że tylko Meg okazała się na tyle sprytna - lub na tyle odważna - żeby powiedzieć coś, co jeśli się wzięło pod uwagę niecodzienny sposób funkcjonowania aparatu, powinno wszystkim przyjść do głowy. Ale w gruncie rzeczy nie było to wcale takie zadziwiające. Nie byli pobożni. Chodzili do kościoła raz na trzy lata, w to Boże Narodzenie, kiedy gościli ciotkę Hildę. Bywały jeszcze śluby czy pogrzeby, ale do tego ograniczało się ich życie religijne. W świat niematerialny wierzyła naprawdę tylko Megan. Nigdy nie miała dość żywych trupów, żywych lalek i żywych samochodów rozjeżdżających swych wrogów.

Świat rzeczy niepojętych nie interesował rodziców. Nie czytali horoskopów w prasie; nigdy nie zdarzyło im się uznać komety lub spadającej gwiazdy za znak od Wszechmogącego; gdy jakieś małżeństwo gotowe było ujrzeć twarz Jezusa na spodzie przypalonego enchilada, John i Mary Delevan widzieli tylko przypalone enchilado. Nie było więc nic zaskakującego w tym, że Kevin, który nigdy nie zobaczył człowieka na Księżycu, ponieważ ani ojcu, ani matce do głowy nie przyszło pokazać mu tego niebiańskiego lokatora, nie dopatrywał się objawienia świata nadprzyrodzonego w aparacie fotograficznym, który robił w kółko w domu czy na dworze, nawet w ciemności szafy ściennej jego sypialni, to samo zdjęcie, dopóki siostra, fanka Jasona - niegdyś napisała list do obiektu swego uwielbienia i dostała odwrotną pocztą lśniąca fotkę z autografem, gdzie zombie występowało w zakrwawionej masce hokejowej - nie podsunęła mu takiej możliwości.

A gdy już mu taką możliwość podsunęto, nie mógł o niej nie myśleć. Jak to kiedyś powiedział Dostojewski, ten sprytny stary Rosjanin, do swojego młodszego brata, kiedy obaj byli jeszcze sprytnymi małymi Rosjanami: „spróbuj przez następne trzydzieści sekund nie myśleć o niebieskookim białym niedźwiedziu”.

Trudno...

Więc Kevin następne dwa dni spędził, kręcąc się wokół tego cokołu tkwiącego w jego głowie, szukając napisów, które nie chciały się pokazać za skarby świata nawet tam, i usiłując dojść, czego bardziej pragnie: aparatu fotograficznego czy objawienia. Lub, innymi słowy, czy chce polaroidu... czy człowieka na Księżycu.

Pod koniec drugiego dnia (nawet u piętnastolatków, którym wyraźnie przeznaczone jest braterstwo krwi ze szczepem Główkujących, dylematy rzadko trwają dłużej niż tydzień) wybrał człowieka na Księżycu... przynajmniej na próbę.

Dojrzał do tej decyzji w gabinecie cichej pracy, podczas lekcji siódmej, i kiedy dzwonek obwieścił koniec zajęć w gabinecie cichej pracy i w całej szkole, Kevin udał się do nauczyciela, którego darzył największym szacunkiem, pana Bakera, i zapytał go, czy zna kogoś, kto zajmuje się naprawą aparatów fotograficznych.

- Nie chodzi mi o zwykłego typa z za lady sklepu ze sprzętem foto - wyjaśnił. - Chodzi mi na... - wie pan... o takiego faceta, który ma czachę.

- Chodzi ci o sukinkota mądralę? - spytał pan Baker. Kevin szanował pana Bakera między innymi za sposób wysławiania się. Baker znał wagę słów. - Mędrca Migawki? Alchemika Przesłony? Tym...

- O faceta, który z niejednego pieca jadł chleb - zaczepnie powiedział Kevin.

- Pop Merrill.

- Kto to?

- Ma „Emporium Galorium”.

- Och. Ten...

- Taaa... - pan Baker się uśmiechnął. - Ten. To znaczy, jeśli rozglądasz się za panem Złotą Rączką.

- Wydaje mi się, że taki ktoś jest mi potrzebny.

- Ma u siebie wszystkiego w cholerę i trochę.

Kevinowi trudno było się z tym nie zgodzić. Choć nigdy nie przekroczył progu tego ni to sklepu, ni to zakładu rzemieślniczego, mijał „Emporium Galorium” pięć, dziesięć, może piętnaście razy na tydzień (w miasteczku wielkości Castle Rock jesteś skazany na mijanie wszystkiego sto razy dziennie, co w skromnej opinii Kevina Delevana było szalenie nudne) i zerkał przez okna do wnętrza zapchanego po sufit przedmiotami w większości zmechanizowanymi. Ale mama pogardliwym tonem nazywała je sklepem ze starzyzną, a tata powiedział, że pan Merrill dorobił się pieniędzy na naciąganiu letników, więc Kevin nie wstąpił nigdy do środka. Gdyby był to tylko sklep ze starzyzną, może by i wstąpił. Prawdę mówiąc, wstąpiłby na pewno. Ale chodzić do sklepu, do którego chodzili letnicy, i kupować coś w miejscu, w którym bywali naciągani, to rzecz nie do pomyślenia! Równie dobrze mógłby włożyć bluzkę, spódniczkę i tak ubrany pójść do szkoły. Letnicy mogli robić, co im się żywnie podobało (i robili). Wszyscy byli szaleni i swoje sprawy załatwiali jak szaleńcy.

Żyć obok nich, proszę bardzo. Ale być wziętym za jednego z nich? Nie. I jeszcze raz nie. Serdeczne dzięki.

- W cholerę i trochę - powtórzył pan Baker - a większość tego co ma, naprawił sam. Myśli, że tym odstawianiem wsiowego mędrka - okulary na czubku głowy, wyszukane słówka, wszystkie te rzeczy - oszuka ludzi. Nikt, kto zna Merrilla, nie wyprowadza go z błędu. Wątpię, żeby ktokolwiek ważył się go wyprowadzić z błędu.

- Dlaczego? O co panu chodzi?

Pan Baker wzruszył ramionami. Dziwny, spięty uśmiezek zesześcił mu usta.

- Pop - znaczy pan Merrill - macza palce w wielu tutejszych sprawach. Jeszcze byś się zdziwił, gdybyś się dowiedział jakich, Kevin.

Kevina nie interesowało, w ilu sprawach macza palce Pop Merrill i co to za sprawy. Pozostała jedna ważna niewiadoma do rozwiązania. Letnicy odjechali i prawdopodobnie jutro po południu mógłby się wśliznąć po cichu do „Emporium Galorium”. Istniał przepis, który pozwalał wszystkim uczniom poza pierwszoklasistami na skrócenie ostatniej godziny w gabinecie cichej pracy dwa razy w miesiącu.

- Czy mam zwracać się do niego Pop czy panie Merrill?

- Myślę, że ten człowiek zabije każdą osobę niemającą skończonych sześćdziesięciu lat, która zwróci się do niego Pop - z pełną powagą odrzekł pan Baker.

Okazało się, że pan Baker wcale tak bardzo nie żartował, mówiąc te słowa.

- Naprawdę pan nie wie, co? - spytał Kevin, kiedy zegary zaczęły się uspokajać.

Nie robiły tego tak jak w kinie. W filmie wszystkie zegary zaczynają i kończą bicie jednocześnie. Tu wisiały prawdziwe zegary i zdaniem Kevina większość z nich - jak zresztą wszystkie urządzenia w „Emporium Galorium” - nie tyle chodziła, co się wlokła. Według kwarcowego seiko, które miał na ręce, zaczęły bić o 15.38. Nabierały rozpędu i sił do walenia w gongi stopniowo (jak stara ciężarówka, która, jęcząc i wyjąc, rozpędza się na dwójce). Może przez cztery sekundy wszystkie równocześnie biły, dźwięczały, dzwoniły, wybijały i kukały, ale cztery sekundy to maksymalny zakres synchronizacji. A uspokajać się to też niezbyt trafne określenie. Wypadałoby rzec, że opadały z sił jak woda, która musi poprzestać na gulgotaniu, spadając wąskim strumyczkiem do ścieku częściowo, ale niecałkowicie zatkanego.

Kevin nie miał pojęcia, czemu ogarnęło go aż tak wielkie rozczarowanie. Czyżby naprawdę spodziewał się czegoś innego? Po Popie Merrilla, którego pan Baker nazwał wsiowym mędrkiem i panem Złotą Rączką? Że niby wyciągnie jakąś sprężynkę i powie: „No masz, to jest franca, przez którą ten pies pokazuje się za każdym naciśnięciem migawki. To



psia sprężyna, pochodzi z tych nakręcanych, chodzących i szczekających piesków. Jakiś żartowniś przy taśmie w fabryce Polaroida czasem wsadzi coś takiego do cholernego aparatu”.

Czy tego oczekiwał?

Nie. Ale oczekiwał... czegoś.

- Żadnego francowatego punktu zaczepienia - radośnie oznajmił Pop. Sięgnął za siebie i zdjął umieszczoną na podstawce w kształcie fotela sportowego samochodu fajkę, tak zwaną macarthurówkę z kaczana kukurydzy. Tytoń wyciągnął z kapciucha ze sztucznej skóry, na której wytłoczono napis DIABELSKIE ZIELE. Zaczął nabijać fajkę.

- Wiesz, tego maleństwa nie da się nawet rozłożyć.

- Nie da się?

- Nie. - Pop ćwierkał jak ptaszek. Kciukiem trącił mostek łączący okulary bez oprawek. Spadły z łysej kopuły czaszki prosto na właściwe miejsce, zakrywając czerwone placuszki po obu stronach nosa z cichym mięsistym TOMP. - Stare to się da rozebrać.

Teraz wyczarował z kieszeni kamizelki (oczywiście nosił kamizelkę) zapalkę Diamentowa Główka i przycisnął końcówkę do żółtego paznokcia kciuka. Tak, to był człowiek, któremu wystarczała jedna ręka, aby opróżnić kieszenie letnikom (zakładając oczywiście, że nie była to ręka, którą wpierw wyczarował i zapalił zapalkę). Kevin, mimo że liczył dopiero lat piętnaście, docenił go. Pop Merrill miał swój styl.

- Chodzi mi o aparaty Polaroid Land. Widziałeś kiedyś te ślicznotki?

- Nie.

Pop zapalił zapalkę od pierwszego pociągnięcia, co oczywiście zawsze mu się udawało, podetkał do cybucha. Za każdym słowem wypuszczał małe dymki sygnalizacyjne. Wyglądały pięknie i cuchnęły potwornie.

- O, taaa... Przypominały te staroświeckie aparaty, których ludzie w rodzaju Mathew Brady'ego używali na końcu śmiecia - zanim ci od Kodaka wprowadzili aparat Brownie. O to mi chodzi (Kevin szybko spostrzegł, że było to ulubione powiedzonko Popa Merrilla, używał go tak jak niektóre dzieciaki w szkole używają „wiesz” - jako wykrzyknika, modyfikatora, określnika, a najczęściej jako wygodnego przerywnika pozwalającego zebrać myśli) - że trochę go podpicowali, dorzucili chromowych ozdóbek i prawdziwych skórzanych osłon po bokach, ale nadal wyglądał staroświecko jak te aparaty, którymi dawniej ludziska robili dagerotypy. Kiedy otworzyło się jakiegoś starego landa, wyskakiwał mieszek. Obiektyw potrzebował pół stopy, może nawet dziewięciu cali na uzyskanie ostrości. Kiedy pod koniec lat czterdziestych, a nawet na początku pięćdziesiątych, postawiło się coś takiego obok

kodaka, wyglądało staroświecko jak diabli, ot, jeszcze jeden typ aparatów do robienia dagerotypów - polaroid land robił tylko fotografie czarno-białe.

- Doprawdy? - Kevin nie potrafił powstrzymać ciekawości.

- Yhy! - potwierdził Pop. Ćwierkał jak sikora. Niebieskie oczka słały iskierki zza okularków, przez kłęby dymu buchające z cybucha. Takie iskierki dowodzą dobrego humoru albo skąpstwa. O to mi chodzi, że ludzie śmiali się z tych aparatów tak samo jak z „garbusów”, kiedy z taśmy Volkswagena zeszyły pierwsze egzemplarze... ale kupowali polaroidy tak samo jak „garbusy”. „Garbusy” miały dobry wskaźnik spalania i nie psuły się tak często jak amerykańskie wozy, a polaroidy robiły coś, czego kodaki, a nawet nikony, minolty i leiki nie robiły.

- Wypuszczały gotowe zdjęcia. Pop uśmiechnął się.

- No... nie całkiem. O to mi chodzi, że jak zrobiłeś zdjęćko, ciągnąłeś za taki języczek i wyciągałeś je na zewnątrz. To nie były automaty, nie ślurpały cicho jak te nowoczesne polaroidy.

A więc jednak istniało idealne określenie tego dźwięku! Wystarczyło tylko wpaść do Popa Merrilla, a on już ci je podrzucił. Kiedy aparat polaroidowy wypływał swój produkt, cicho ślurpał.

- A potem musiałeś je wyczasować - powiedział Pop.

- Wyczasować...?

- Yhy! - Pop smakował to słowo, zadowolony jak ptaszek o poranku, który znalazł cud-dżdżownicę. - O to mi chodzi, że w tamtych starych, fajansiarskich czasach nie było żadnej łatwizny z automatami. Trzeba było szarpnąć, wyciągało się ten długi pasek, kładło zdjęćko na stole czy gdzie indziej i czasowało wedle swego zegarka. Sześćdziesiąt sekund. Musiało być sześćdziesiąt, w każdym razie coś koło tego. Krócej i zdjęcie było niedoświetlone. Dłużej i było prześwietlone.

- Rany - rzekł Kevin w dowód szacunku. I nie był to udawany szacunek, mający polechtać starszego pana i naprowadzić go na właściwy temat, który się tyczył nie jakichś dawno nieużywanych aparatów, może i będących w swoim czasie siódmym cudem świata, ale jego aparatu, cholernego, narowistego suna 660, spoczywającego na warsztacie Popa między bebechami nakręcanego zegara i czymś, co podejrzenie przypominało dildo. Nie był to udawany szacunek i Pop wiedział (a nie mogło to dotrzeć do Kevina), jak przemijający jest ten wielki bóg białych ludzi: Ostatni Krzyk Mody. Za dziesięć lat przepadnie nawet samo określenie. Kiedy patrzyło się na zafascynowaną twarz chłopca, można było pomyśleć, że dowiaduje się o czymś tak starożytnym jak drewniane sztuczne szczęki George'a

Washingtona, a nie o aparacie fotograficznym, który zdawał się kresem ludzkiej pomysłowości trzydzieści lat temu. Ale przecież trzydzieści pięć lat temu ten chłopiec krążył swobodnie w przestrzeni, stanowiąc część samicy, która jeszcze nie spotkała samca mającego dostarczyć drugą połówkę jej potomka.

- O to mi chodzi, że między zdjęciem i warstwą przeciwodblaskową była normalna miniciemnia - podsumował Pop. Na początku spotkania nie był specjalnie ożywiony, ale autentycznie zainteresował się tematem i jego myśli uległy przyspieszeniu (ale nie przestał się zastanawiać nad ojcem chłopaka, nad tym, do czego chłopak może mu się przydać, co to za dziwna sprawa z tym aparatem). - Po minucie odrywałeś zdjęcie od warstwy przeciwodblaskowej - trzeba było uważać, bo całą tę warstwę pokrywała taka maź jak marmoladka i kiedy się miało choć trochę za wrażliwą skórę, można się było poparzyć jak nic.

- Niesamowite - powiedział Kevin. Oczy miał szeroko rozwarte i wyglądał teraz jak dzieciak wysłuchujący opowieści o starych dwudziurowych sraczach, które to budowle Pop i jego koledzy z dzieciństwa (byli to prawie wyłącznie koledzy, miał niewielu przyjaciół w dzieciństwie, być może już wtedy przygotowywał się do odegrania swej życiowej roli - człowieka, który naciąga letników - inne dzieci wyczuwały to jak słabą woń skunksa) traktowali jako rzecz oczywistą, załatwiali swój interes jak najszybciej w środku lata, ponieważ jakaś osa zawsze krążyła tam sobie między dwoma otworami będącymi niebem, z którego manna gotowa spaść w każdej chwili, i mogła dla kaprysu wbić żądło w delikatny chłopięcy półduppek; i załatwiali swój interes jak najszybciej w środku zimy, ponieważ delikatne chłopięce półdupki miały skłonność zamarać na kamień, jeśli ich właściciel się nie pośpieszył.

-No cóż, pomyślał Pop, to byłoby na tyle z Aparatem Fotograficznym Przeszłości. Minęło trzydzieści pięć lat i dla tego chłopaka jest to takie samo cudactwo jak wygodka na tyłach podwórka.

- Negatyw zostawał na warstwie przeciwodblaskowej - mówił Pop. - A pozytyw - no cóż, był czarno-biały, ale to była ostra biel i czerń. Był tak ostry i wyraźny, że i dziś robiłby wrażenie. I miało się taki mały różowy interes, taki duży jak gumka do ołówka, jeśli dobrze pamiętam. Wyciskało się z niego jakiś środek chemiczny. Pachniał jak eter i rozcierało się go po całym zdjęciu, najszybciej jak się dało, bo inaczej zdjęcie zwijało się tak, że mogłeś nim zaszpun-tować antałek z chmielowym nektarem.

Kevin wybuchnął śmiechem, rozbawiony tą starą sympatyczną gwarą.

Pop zamilkł. Rozpalał fajkę. Kiedy się rozżarzyła, kontynuował:

- O tym, jak działa tamten aparat, wiedzieli naprawdę tylko ludzie od Polaroida - znaczy, ci ludzie, którzy się na tym znali - ale to działało na zasadzie mechanicznej. I dało się to rozebrać.

Spojrzał na aparat Kevina z pewnym obrzydzeniem.

- I często, jak który wysiadł, wystarczyło go rozebrać i już. Faceci przychodzili tu z taką maszynką i mówili, że nie chce działać, jęczeli, że muszą posłać go ludziom od Polaroida do naprawy i że to na pewno potrwa miesiące i czybym nie rzucił okiem. No cóż, mówiłem wtedy, chyba nic z tego, o to mi chodzi. Po prawdzie to nikt się uczciwie nie zna na tych aparatach poza ludźmi od Polaroida, a oni muszą się znać cholernie dobrze, ale rzucić okiem, rzucę. A zawsze to było tylko coś w rodzaju poluzowanej śrubki w migawce, pękniętej sprężyny, albo następcą tronu nawalił masła orzechowego do komory na kasetę.

Jedno z bystrych ptasich oczek mrugnęło. Szybko i z cudowną chytrą. Gdybyś nie wiedział, pomyślał Kevin, że mówi o letnikach, uznałbyś to za wytwór chorej wyobraźni lub, co bardziej prawdopodobne, nic byś nie spostrzegł.

- O to mi chodzi, że człowiek był w idealnej sytuacji. Jak naprawiłeś, urastałeś do rangi cholernego cudotwórcy. A tak, synu! Kasowało się osiem dolarów pięćdziesiąt centów za wyjęcie kilku okruchów chrupek ziemniaczanych, które wpadły między spust migawki a sprężynę, i kobieta, która przyniosła ten aparat, pocałowała mnie w usta. Prosto - w same - usta.

Kevin zauważył, że za półmatową zasłoną owego dymu powieka Popa znów na ułamek sekundy opadła.

- A oczywiście, kiedy rzecz okazywała się nie do naprawienia, nie mieli ci tego za złe, ponieważ nigdy szczerze i do końca nie spodziewali się, że coś zaradzisz, o to mi chodzi. Byłeś tylko ostatnią deską ratunku, zanim wsadzili aparat do pudełka, napchali gazet, żeby się nie rozwalił do reszty w transporcie, i wysłali pocztą do Schenectady. - Ale ten aparat... - odezwał się teraz rytualnym tonem obrzydzenia, którego używają wszyscy wsiowi mędrkowie, czy to w Atenach w złotym wieku, czy w sklepie ze starzyzną obecnie, w wieku brązowym, wyrażając swój pogląd na rosnącą entropię świata. - On nie został złożony, synu. O to mi chodzi, że on został odlany. Jeśli chcesz, mogę wyjąć obiektyw, a zajrzałem już do komory, chociaż z góry wiedziałem, że za cholerę nie znajdę żadnego defektu - przynajmniej takiego, który bym potrafił stwierdzić - i nie znalazłem. Ale dalej ani rusz. Mogę sięgnąć po młotek, przyłożyć się i rozwalić go, o to mi chodzi. Ale naprawić? - Rozłożył ręce w fajkowym dymie. - Co to, to nie.

- No to wygląda na to, że muszę po prostu... -jednak go zwrócić”, chciał skończyć, ale Pop wszedł mu w słowo.

- W każdym razie, synu, coś mi się widzi, że byłeś na to przygotowany. O to mi chodzi, że bystry z ciebie chłopak, wystarczy ci popatrzeć i wiesz, że rzecz jest z jednego kawałka. Nie wydaje mi się, żebyś przyniósł ten aparat do naprawy. Widzi mi się, że nie przyniósłbyś go do naprawy, nawet gdyby nie był z jednego kawałka. Człowiek nie da rady naprawić tego, co ten aparat robi, przynajmniej nie śrubokrętem. Widzi mi się, że przyniosłeś go, żeby mnie zapytać, czy wiem, o co tu chodzi.

- A wie pan? - spytał Kevin. Nagle ogarnęło go napięcie.

- Mogę spróbować się dowiedzieć - spokojnie odrzekł Pop Merrill. Pochylił się nad kupką fotografii - było ich teraz dwadzieścia osiem, licząc tę, którą Kevin zrobił, demonstrując działanie aparatu, i tę, którą Pop zrobił, żeby się samemu przekonać, jak on działa. - Ułożone po kolei?

- Niezupełnie. Ale prawie. Ma to jakieś znaczenie?

- Tak myślę. Trochę się różnią, no nie? Nie za wiele, ale się różnią.

- Taa... Widzę różnicę między niektórymi, ale...

- Wiesz, która jest pierwsza? Dałbym sobie z tym radę, ale czas to pieniądz, synu.

- To proste - powiedział Kevin i wybrał jedno z niepokazanej kupki. - Widzi pan lukier? - Wskazał brązową kropkę na białej krawędzi.

- Yhy. - Pop tylko zerknął na punkcik. Skupił się na fotografii. Po chwili wyciągnął szufladę. W środku bez ładu i składu leżały narzędzia. Osobno spoczywał przedmiot owinięty jubilerskim aksamitem. Pop rozłożył materiał i wyjął dużą lupę z przełącznikiem. Pochylił się nad zdjęciem i zmienił położenie przełącznika. Jasny krąg światła padł na powierzchnię zdjęcia.

- Ładne! - zawołał Kevin.

- Yhy. - Pop już był duchem nieobecny. Uważnie wpatrywał się w fotografię.

Nie znał dziwnych okoliczności, w jakich została zrobiona, i było niepojęte, dlaczego poświęca jej tyle uwagi. Jak prawie wszystkie fotografie zrobione przyzwoitym aparatem, na dobrym materiale, przez kogoś na tyle inteligentnego, że nie zasłonił palcem obiektywu, była wyraźna - czytelna... i jak wiele zdjęć polaroidowych, dziwnie beznamiętna. Oto fotografia, na której dało się rozróżnić i nazwać każdy przedmiot. Wszystko było tu płaskie. Nie była źle skomponowana i wrażenie, że coś z nią jest nie w porządku, nie wynikało z kompozycji. Ta beznamiętna płaskość nie mogła w ogóle być tak określona, podobnie jak prawdziwy dzień w prawdziwym życiu nie może być określony jako „nie w porządku” dlatego, że nie zdarzyło się

w nim nic nadającego się na temat filmu telewizyjnego ani choćby godnego uwagi. I jak na wielu zdjęciach polaroidowych rzeczy widniejące na fotografii były takie sobie, kojarzyły się z pustym fotelem na werandzie, pustą dziecięcą huśtawką na podwórku, stojącym przy niewyróżniającym się niczym krawężniku pustym samochodem, u którego choćby przebite koło spowodowałoby, że stałby się interesujący, wyjątkowy.

Fotografia była nie w porządku, ponieważ wywoływała wrażenie, że jest nie w porządku. Kevin wspomniał niepokój, z jakim ustawiał swoje modele do zdjęcia, które miał zamiar zrobić, gęsią skórkę na plecach, gdy w błysku flesza pomyślał: „On jest mój”. Wrażenie było nie w porządku, ot co. Podobnie jak zobaczywszy człowieka naKsiężycu, nie da się go odzobaczyć, tak i pewnych wrażeń nie dało się odwołać... a wrażenia w przypadku tych zdjęć były bardzo niedobre.

Odnosi się wrażenie, że wieje wiatr - bardzo łagodny, bardzo zimny - z tej fotografii wieje wiatr, pomyślał Kevin.

Po raz pierwszy był nie tylko zaintrygowany myślą, że może tu kryje się coś, że może nastąpiło objawienie świata nadprzyrodzonego. Po raz pierwszy pożałował, że po prostu nie machnął na to ręką. „On jest mój” - pomyślał, naciskając po raz pierwszy spust migawki. Teraz rozważał, czy nie dałoby się tego cofnąć.

„Boję się tego. Tego, co on robi”.

Ta myśl doprowadziła go do wściekłości. Pochylił się nad ramieniem Popa Merrilla, wbił wzrok w fotografię jak człowiek, który zgubił diament w kupie piachu. Zdecydował, że bez względu na to, co zobaczy (założywszy oczywiście, że uda mu się zobaczyć coś nowego, czego zresztą się nie spodziewał; zbadał wszystkie te fotografie tyle razy, że był przekonany, iż zobaczył na nich wszystko, co było do zobaczenia), będzie się na to patrzył, badał i pod żadnym pozorem nie pozwoli sobie na odzobaczenie. Nawet gdyby to było możliwe... Lecz żałobny głos z głębi jego mózgu stwierdził niezwykle stanowczo, że czas na odzobaczenie minął, być może bezpowrotnie.

Fotografia ukazywała wielkiego czarnego psa przed białym drewnianym płotem. Biały drewniany płot niebawem przestanie być biały, chyba że ktoś w tym płaskim polaroidowym świecie pociągnie go farbą, a choćby wapnem. Ale na to się raczej nie zanosilo, wyglądał na zaniedbany, zapomniany. Niektóre sztachety miały połamane czubki. Inne kładły się na chodnik.

Pies stał na chodniku przy płocie, zadem do patrzącego, zwiesiwszy ogon, długi i puszysty. Chyba obwąchiwał sztachety. Zdaniem Kevina robił to prawdopodobnie dlatego, że

plot był, jak mawiał ojciec, „skrzynką kontaktową”, miejscem, przy którym wiele psów przystawało, podnosiło nogę i zostawiało strużki żółtych tajemniczych informacji.

Wyglądał na przybłądę. Miał długą sierść, zmierzwioną i pełną rzepów. Jedno ucho zwisało poszarpane, jak po walce. Rzucił cień na zarośnięty chwastami nierówny trawnik koło plotu, cień na tyle długi, że wychodził poza kadr. Zdaniem Kevina ten cień dowodził, że fotografię zrobiono tuż po wschodzie słońca albo tuż przed zachodem. Nie wiedząc, z której strony świata stał fotografujący (jaki fotografujący, ha, ha), nie można było określić dokładnie pory dnia. Można było tylko przypuszczać, że jest poranek lub zmierzch, bo cienie były długie.

Po lewej stronie fotografii, tuż przy brzegu, coś leżało na trawie. Chyba dziecięca czerwona gumowa piłeczka. Leżała za plotem, ale była niezbyt widoczna, bo zasłaniała ją kępa paskudnej trawy.

I to wszystko.

- Rozpoznajesz coś? - spytał Pop, krążąc z wolna lupą nad fotografią i wyławiając z niej a to psi zad, który rozrósł się do rozmiarów pagórów zarośniętych zmierzwionym podszyciem, dzikim, egzotycznym i czarnym, a to kilka spiczastych sztachet, strzelających w górę jak słupy telefoniczne, a to nagle przedmiot za kępą trawy, który nabrał wyraźnych kształtów dziecięcej piłeczki (choć pod szkłem Popa była wielka jak piłka do gry w nogę). Kevin widział nawet gumowe wypukłe gwiazdki na piłeczce. Więc jednak pod lupą Popa ukazało się coś nowego, a za kilka chwil Kevin sam zobaczy coś jeszcze, bez jej pomocy. Ale to potem.

- Jeeezu, nie-powiedział Kevin. - Jakim cudem, panie Merrill?

- Ponieważ tu są różne rzeczy - cierpliwie tłumaczył Pop. Lupa dalej krążyła. Kevinowi przypomniał się pewien film, w którym gliny z helikoptera zaopatrzonego w szperacze wypatrywały zbiegłych więźniów. - Pies, chodnik, plot, który przydałoby się pomalować albo rozebrać, trawnik wołający o kosiarkę. Chodnika nie za dużo - nawet nie cały wchodzi w kadr - a domu w ogóle nie widać, nawet fundamentów, ale o to mi chodzi, że jest ten pies. Psa poznajesz?

- Nie.

- Plot?

- Nie.

- A ta gumowa piłeczka? Co, synu?

- Nie... ale chyba według pana powinienem coś o niej wiedzieć.

- Według mnie to mógłbyś coś o niej wiedzieć - powiedział Pop. - Jak byłeś smarkiem, nie miałaś takiej piłeczki?

- Nie pamiętam.

- Mówiłeś, że masz siostrę.

- Megan.

- Nigdy nie miała takiej piłki?

- Nie wydaje mi się. Nigdy specjalnie nie zwracałem uwagi na zabawki Meg. Kiedyś miała odbijankę BoLo i piłka na końcu tamtego interesu była czerwona, ale w innym odcieniu. Głębszym.

- Yhy. Wiem, jak wyglądają takie piłeczki. Ta jest inna. A to nie twój trawnik?

- Jeeez... przepraszam, nie. - Kevin czuł się trochę urażony. Pielęgowali z tatą trawnik. Był ciemnozielony i będzie ciemnozielony, nawet pod zwiędłymi liśćmi, przynajmniej do połowy października. - My zresztą nie mamy nawet płotu.

„A gdybyśmy mieli, dodał w myślach, nie sypałby się”.

Pop zwolnił przycisk u podstawy lupy, położył ją na kawałku aksamitu i z ostrożnością graniczącą z czcią przykrył szkło materiałem. Odłożył ją na dawne miejsce i zasunął szufladę. Popatrzył z uwagą na Kevina. Poprzednio odłożył fajkę i dym nie zasłaniał mu oczu. Nadal spoglądały bystro, ale nie słały już iskierek.

- O to mi chodzi, że może to wasz dom, zanim go kupiliście? Jak myślisz? Dziesięć lat temu...

- Był nasz dziesięć lat temu - odpowiedział zaskoczony Kevin.

- No to dwadzieścia, trzydzieści? O to mi chodzi, czy układ terenu wydaje ci się znajomy? Popatrz, trochę się wznosi.

- Nasz trawnik przed domem... - Zamyślił się głęboko, potrząsnął głową. - Nie, nasz jest płaski. Jeśli już o tym mowa, to raczej opada. Może dlatego piwnica nabiera trochę wody w mokre wiosny.

- Yhy, yhy, niewykluczone. A co z trawnikiem za domem?

- Tam nie ma chodnika. A z boku... Chce pan dojść, czy mój aparat robi zdjęcia przeszłości! - Po raz pierwszy poczuł prawdziwy, obezwładniający strach. Potarł językiem o podniebienie i wydało mu się, że czuje smak metalu.

- Tylko pytałem. - Pop stukał palcami w blat obok fotografii. Mówił jakby bardziej do siebie niż do Kevina. - Wiesz, bywa, że od czasu do czasu dwa gadzety, które nam zupełnie spowszedniały, wyprawiają cholernie śmieszne rzeczy. Nie mówię, że coś się dzieje. Ale jeśli



ludzie mówią, że nic się nie dzieje, to znaczy, że na świecie jest wielu kłamców i oszustów całą gębą.

- O jakie gadżety chodzi?

- Magnetofony i aparaty polaroidowe. - Wciąż wydawało się, że mówi do fotografii albo do siebie, jakby Kevina wcale nie było na zakurzonej, pełnym odgłosów zegarów zapleczu „Emporium Galorium”. - Weź magnetofony. Masz pojęcie, ilu ludzi upiera się, że nagrało na taśmę głosy zmarłych?

- Nie - powiedział Kevin. Nie zamierzał odzywać się cicho. Nie było po temu żadnego specjalnego powodu. Ale odezwał się cicho. Z takiego czy innego powodu zabrakło mu powietrza w płucach.

- Ja też nie. - Pop dotknął fotografii palcem. Palec był toporny i sękaty, jakby stworzony do wykonywania szorstkich, niezręcznych gestów, szturchania ludzi i strącania waz ze stoliczków, rozdrapywania nosa do krwi, nawet przy wyciąganiu byle smarka. A jednak gdy Kevin obserwował ręce mężczyzny, pomyślał, że w tym jednym palcu jest więcej gracji niż w całym ciele Meg (a może i jego; klan Delevanów nie słynął z drobnych stóp i smukłych dłoni. Stąd między innymi widok ojca, zręcznie chroniącego matkę przed upadkiem na podłogę, utkwiał w pamięci Kevina i być może pozostanie tam na zawsze). Miało się wrażenie, że jeszcze chwila, a palec Popa Merrilla przypadkiem zrzuci wszystkie fotografie na podłogę; taki paluch niezgrabiasz zawsze przypadkiem trąci, potrąci, strąci. Ale nie. W odpowiedzi na jego nieustanne gmeranie fotografie tylko jakby westchnęły.

„Nadprzyrodzony”, znowu powtórzył w myślach Kevin i zadrżał. Autentycznie zadrżał. Było to zaskakujące, przykre i trochę kłopotliwe. Nawet jeśli Pop nic nie zauważył.

- Ale w jakiś sposób nagrywają-powiedział Pop, a potem dodał takim tonem, jakby odpowiadał na pytanie Kevina: - Kim oni są? Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem. Niektórzy z nich to detektywi cudów, przynajmniej tak o sobie mówią, jakoś tak. Ale wydaje mi się, że oni tylko zabijają czas, jak ci ludzie, którzy na przyjęciach zabawiają się tabliczkami do rozmów z duchami, tak zwanymi *ouja boardos*.

Spojrzał ponuro na Kevina, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Masz *ouija*, synu?

- Nie.

Zabawiałeś się tym kiedyś?

- Nie.

- Nie rób tego - Pop stał się jeszcze bardziej ponury. - Pierdolone zabawki są niebezpieczne.

Kevin nie miał odwagi wyznać starcowi, że nie ma zielonego pojęcia o żadnych dziwnych tabliczkach.

- W każdym razie wstawiają magnetofon do pustego pokoju. To powinien być pokój w starym domu. O to mi chodzi, że jeśli tylko mogą, wybierają Dom z Przeszłością. Czy wiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię Dom z Przeszłością, synu?

- Chyba chodzi o... dom, w którym straszy? - zaryzykował hipotezę Kevin. Lekko się pocił. Tak samo jak w zeszłym roku, kiedy pani Whittaker ogłaszała klasówkę z algebry.

- No i takich domów szukają. Ci... ludzie... najbardziej rozglądają się za Domami z Burzliwą Przeszłością, ale biorą co podłeci. W każdym razie robią nagrania w pustym pokoju. Następnego dnia - nagrywają zawsze w nocy, o to mi chodzi, że są ciężko nieszczęśliwi, jeśli nie mogą nagrywać w nocy, a już najlepiej to o północy następnego dnia odtwarzają nagranie.

- Z pustego pokoju?

- Czasem - Pop mówił zagadkowym tonem, który mógł, ale nie musiał kryć głębszych treści - słychać głosy.

Kevin znów zadrzał. Jednak na cokole w jego głowie pojawiły się napisy. Nie były to napisy, które pragnęłyby się odczytać, ale... tak. Pojawiły się.

- Prawdziwe głosy?!

- Zwykle szumy - Pop rzucił to niedbale. - Ale kilka razy dowiedziałem się od ludzi godnych zaufania, że słyszeli prawdziwe głosy.

- Ale pan nie słyszał?

- Raz - krótko powiedział Pop. Długo się nie odzywał, jakby wyczerpał temat, wreszcie dodał: - To było jedno słowo. Głośne jak dzwon. Było nagrane w salonie pustego domu w Bath. W 1946 roku facet zabił tam żonę.

- Co to było za słowo? - Dobrze wiedział, że Pop mu nie powie. Podobnie jak wiedział wcześniej, że żadna siła na tym świecie nie powstrzyma go od postawienia tego pytania. Z siłą woli Kevina Delevana włącznie.

Ale Pop powiedział mu to słowo.

- Miednica. Kevin zamrugał.

- Miednica?

- Yhy.

- To nic nie znaczy.

- Może znaczyć - spokojnie rzekł Pop - jak się wie, że poderznął jej gardło, a potem trzymał ją nad miednicą, żeby zebrać krew.

- O mój Boże!

- Yhy.

- O mój Boże, naprawdę?

Pop nie strzepił języka na odpowiedź.

- To nie mogło być fałszerstwo? Pop wskazał ustnikiem fajki na zdjęcia.

- A to są fałszerstwa?

- O mój Boże!

- A co do fotografii polaroidowych - powiedział Pop jak narrator powieści przechodzący żwawo do następnego rozdziału: „W tym czasie w innej części lasu...” - widziałem zdjęćka ludzi, których ponoć wcale nie fotografowano, tak przysięgali ci, co robili te zdjęćka. Jest takie zdjęćko, które jakaś pani zrobiła w Anglii. Trzasnęła fotkę myśliwym. Wracali z polowania na lisa, pod koniec dnia. Widać wszystkich, jakąś dwudziestkę ludzi. Jadą przez drewniany mostek wiejską drogą obsadzoną drzewami. Pierwsi zjechali już z mostka. A z prawej strony fotografii, przy drodze, stoi pani w długiej sukni, kapeluszu i woalce. Twarzy nie widać. I trzyma książkę pod pachą. No i widać nawet, że na piersi zwisa jej medalik, może zegarek. No cóż, kiedy ta pani, co robiła zdjęćko, zobaczyła tę w długiej sukni, dostała kota ze złości. Ciężko mieć do niej pretensje, synu, bo o to mi chodzi, że chciała zrobić je tym myśliwym, którzy wracali z polowania na lisa. Nikomu innemu. Bo tam nie było nikogo innego. Na zdjęćku zaś jest. A jak się przyjrzeć dokładnie, to przez tę panią w długiej sukni jakby widać drzewa.

„On to wszystko zmyśla, nabija się ze mnie, a kiedy pójdę, pęknie ze śmiechu”, pomyślał Kevin. Ale wiedział, że nic takiego nie nastąpi.

- Ta pani, co robiła zdjęćko, zatrzymała się w takim wielkim angielskim domu, które pokazują w edukacyjnych programach TV, i kiedy pokazała zdjęćko, podobno właściciel tego domu zemdlał. To mogło zostać zmyślane. Chyba. Takie robi wrażenie. Ale widziałem w gazecie to zdjęćko obok malowanego portretu prababki tego gościa i pasowało. Ona jak ułał. Pewności nie ma, bo nosiła woalkę. Ale to mogła być ona.

- To mogło być też oszustwo - zaszemrał Kevin.

- Mogło - obojętnie powtórzył Pop. - Ludzi stać na każdy numer. No popatrz tylko. Mam takiego kuzyna. Asa. - Pop skrzywił nos. - Zalicza cztery lata w Shawshank, i to za co? Włamał się do „The Mellow Tiger”. Zachciało mu się numerów i szeryf Pangborn go zapuszkował. Piździelec dostał za swoje.

Kevin okazał mądrość ponad wiek i powstrzymał się od komentarzy.

- Ale duchy na fotografiach, synu... albo jakżeś powiedział, to co ludzie biorą za duchy - prawie zawsze pokazują się na polaroidowych fotografiach. I prawie zawsze

przypadkiem. Ale te zdjęcia latających spodków i potwora z Loch Nest są zawsze na innych fotografiach. Takich, które jakiś spryciula może, jak ma ochotę na numer, zmajstrować w ciemni.

Mrugnął do Kevina po raz trzeci, wyrażając swój stosunek do wszystkich numerów (jakiegokolwiek by były), na które stać pozbawionego skrupułów fotografa - posiadacza dobrze wyposażonej ciemni. Kevin rozważał, czy nie zadać Popowi pytania, kogo stać na numer z tabliczką *ouija*, ale zdecydował się trzymać usta zamknięte na kłódkę. Nadal wyglądało to na najmądrzejszy kurs.

- Wszystko to mówię, mając na względzie pytanie, czy poznajesz coś na tych polaroidowych zdjęciach?

- Nic nie poznaję! - Kevin powiedział to tak szczerze, że był prawie pewien, iż Pop nie uwierzy, jak to zawsze bywało z mamą, kiedy popełnił taktyczny błąd i pozwolił sobie na choćby kontrolowany wybuch szczerości.

- Yhy, yhy - powiedział Pop, przyjmując słowa Kevina za dobrą monetę w sposób tak niedbały, że Kevin prawie poczuł irytację.

- No cóż - odezwał się po chwili, w czasie której panowałyby kompletna cisza, gdyby nie tykanie pięćdziesięciu tysięcy zegarów. - Wydaje mi się, że to by było na tyle, co?

- Może nie - rzekł Pop. - O to mi chodzi, że coś zaświtało mi w głowie. Mógłbyś porobić jeszcze trochę fotek tym aparatem?

- Co to da? Wszystkie są takie same.

- W tym rzecz. Nie są.

Kevin otworzył usta. Następnie je zamknął.

- Nawet dorzucę się na kasetę - powiedział Pop, a kiedy zobaczył niedowierzające spojrzenie Kevina, szybko uściślił: - W każdym razie trochę.

- Ile zdjęć panu trzeba?

- Ze trzydzieści - ocenił Pop po chwilowym namyśle.

- Po co?

- Nie powiem ci. Nie teraz. - Wyjął ciężką portmonetkę przytwierdzoną stalowym łańcuszkiem do szlufki przy pasie. Wyrzebał banknot dziesięciodolarowy. Zawahał się i z wyraźną niechęcią dołożył dwie jednodolarówki. - Widzi mi się, że to będzie połowa.

„Taaa... zgadza się”, pomyślał Kevin.

- Jeśli naprawdę jesteś ciekaw tego aparatowego figla, chyba dołożysz resztę, co? - Oczy Popa błyszczały jak ślepie starego ciekawskiego kocura.

Kevin zrozumiał, że facet nie tylko spodziewa się, że usłyszy „tak”. Popowi nie mieściło się w głowie, że Kevin powie „nie”. Pomyślał: „Jeśli powiem nie, on nie usłyszy. Chcę czy nie chcę. Powiem, dobra, no to ustalone i wyląduję na chodniku z jego pieniędzmi w kieszeni”.

I przecież miał pieniądze, które dostał na urodziny.

Niemniej jednak wciąż zastanawiał się nad tym chłodnym wiatrem. Wiatrem, który wiał nie z powierzchni, ale z samego wnętrza fotografii, mimo zwodniczo błyszczących płaszczyzn. Czuł ten wiatr mimo bezgłośnych deklaracji. „My, polaroidowe zdjęcia, z powodów nieznanych - więcej - niepojętych pokazujemy tylko beznamiętną powierzchnię obiektów”. Wiatr wiał. Co to za sprawa z tym wiatrem.

Kevin wahał się jeszcze chwilę, a bystre oczy spoza szkielec oceniały go. „Nie będę cię pytał, czy jesteś chłop, czy zając pod miedzą”, mówiły oczy Popa Merrilla. „Masz piętnaście lat i o to mi chodzi, że może jeszcze z ciebie nie całkiem chłop, ale jesteś, cholera, za stary, żeby kryć się jak zając pod miedzą, i obaj o tym wiemy. A poza tym nie jesteś Spoza; jesteś Stąd, tak jak ja”.

- Pewnie - odezwał się Kevin ze sztuczną swobodą. Nie oszukała żadnego z nich. - Chyba będę mógł kupić kasetę dziś wieczór i przyniosę zdjęcia jutro, po szkole.

Pop skwitował to krótkim:

- Nie.

- Jutro ma pan zamknięte?

- Nie. - Kevin, który był Stąd, czekał cierpliwie. - Myślisz zrobić za jednym zamachem ze trzydzieści zdjęć, no nie?

- No tak.

- Nie o to mi chodzi. Nieważne, gdzie je zrobisz, ważne kiedy. Czekaj. Niech pomyślę.

Pop pomyślał i nawet podał na kartce godziny. Kevin włożył kartkę do kieszeni.

- A więc tak! - Pop zatarł ręce pełen animuszu. Rozległ się odgłos, z jakim trą o siebie dwa kawałki zużytego papieru ściernego. - Wpadniesz do mnie za... no, jakieś trzy dni, co?

- Tak... na to mi wygląda.

- Założę się w każdym razie, że rad byś poczekać do poniedziałku, po szkole. - Pop obdarzył Kevina czwartym mrugnięciem, powolnym, chytrym i w najwyższym stopniu poniżającym. - Żeby twoi przyjaciele nie widzieli, jak tu wchodzisz i nie robili ci wymówek, o to mi chodzi.

Kevin spłonął rumieńcem, spuścił wzrok i zaczął zbierać zdjęcia. Chciał zająć czymś ręce. Kiedy był zażenowany, a ręce nie miały zajęcia, strzelał kłykciami.

- Ja... - zaczął jakiś absurdalny protest, który nie przekonałby nikogo, ale urwał. Wbił wzrok w jedno ze zdjęć.

- Co? - spytał Pop. Pierwszy raz okazał jakieś ludzkie uczucie, ale do Kevina ledwo docierały same słowa, a co dopiero lekka trwoga, z jaką zostały wypowiedziane. - Chłopcze, wygląda, jakbyś to ty zobaczył ducha!?

- Nie. Nie ducha. Zobaczyłem tego, kto robił zdjęcie. Kto naprawdę je zrobił.

- Co ty, na najchwalebniejszego z chwalebnych, opowiadasz? Kevin wskazał na cień. On, ojciec, matka, Meg i prawdopodobnie sam pan Merrill wzięli to za cień drzewa, które nie figurowało na zdjęciu. Ale Kevin zobaczył teraz, że to nie drzewo. A kiedy coś zobaczyłeś, nie możesz tego odzobaczyć. Na cokole zamajaczyło więcej liter.

- Nie łąpię, o co ci chodzi - oświadczył Pop.

Ale Kevin wiedział, iż starzec wie, że chodzi mu o coś ważnego, i to dlatego w jego głosie zabrzmiała trwoga.

- Najpierw niech pan spojrzy na cień psa. A potem tu. - Stuknął palcem w lewą stronę fotografii. - Na zdjęciu słońce zachodzi albo wschodzi. Dlatego wszystkie cienie są długie i trudno zgadnąć, co je rzuca. Ale jak się teraz temu przyjrzałem, dotarło do mnie.

- Co do ciebie dotarło, synu? - Pop sięgnął ręką do szuflady. Prawdopodobnie zamierzał znów wyjąć lupę... ale ręka zawisła w powietrzu. Nagle lupa przestała mu być potrzebna. Nagle jemu też wszystko się poukładało.

- To cień jakiegoś faceta, tak? - powiedział Pop. - Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie cień jakiegoś faceta.

- Albo kobiety. Trudno powiedzieć. Tu są nogi, jestem pewien, ale to mogą być nogi kobiety w spodniach. Albo nawet jakiegoś dzieciaka. Te cienie są takie długie...

- Yhy, trudno powiedzieć.

- To cień tej osoby, która zrobiła zdjęcie, no nie?

- Yhy.

- Ale to nie byłem ja - powiedział Kevin. - Zdjęcie zostało zrobione moim aparatem - wszystkie zostały zrobione moim aparatem - ale nie ja je zrobiłem. Więc kto je zrobił, panie Merrill? Kto?

- Mów mi Pop - rzekł starzec w zamyśleniu. Patrzył na cień. Kevin poczuł, jak serce pęcznieje mu z dumy, a ta garstka zegarów, którą było jeszcze stać na niewielkie

przyspieszenie, zawiadomiła pozostałe, że choć wszystkie są już znużone, czas wybić połówkę godziny.

### **ROZDZIAŁ TRZECI**

Kiedy Kevin zjawił się powtórnie z fotografiami w „Emporium Galorium”, w poniedziałek po szkole, liście zaczęły zmieniać kolor. Miał lat piętnaście od dwóch tygodni i przestał uważać to za nowość.

Ale to nadprzyrodzone, ten wyimaginowany cokół, tkwiący w jego głowie, robił na nim wrażenie nowości w dalszym ciągu, choć nie zaliczyłby tego do szczególnych dowodów Łaski. Wykonał wszystkie fotografie, ściśle stosując się do wskazówek Popa, i stało się jasne - w każdym razie dość jasne - dlaczego Pop chciał, żeby zdjęcia były robione co jakiś czas, pierwsze dziesięć co godzina, potem przerwa, druga dziesiątka co dwie godziny i trzecia w odstępach trzygodzinnych. Kilka ostatnich zrobił tego dnia w szkole. Ujrzał coś jeszcze, coś, czego żaden z nich nie mógł ujrzeć w pierwszej chwili; pokazało się dopiero w ostatnich trzech egzemplarzach. Przeraziło go tak mocno, że jeszcze przed zaniemieniem fotografii do „Emporium Galorium” zdecydował się pozbyć suna 660. Porzucił myśl o wymianie. To ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Aparat wymknąłby mu się z rąk, Kevin straciłby nad nim kontrolę. Nie mógł na to pozwolić.

„On jest mój”, pomyślał ongi. Myślał tak w dalszym ciągu, lecz wiedział, że to nieprawda. Gdyby polaroid robił zdjęcia czarnego nierasowego psa przy białym płocie tylko wtedy, kiedy on, Kevin, naciskał migawkę - to jeszcze pół biedy. Ale nie. Bez względu na to, jaka wredna magia tkwiła w polaroidzie, nie tylko Kevin wprawiał ją w ruch. Ojciec zrobił takie samo (no, prawie takie samo) zdjęcie, podobnie Pop Merrill, i podobnie Meg.

- Ponumerowałeś je tak, jak prosiłem? - spytał Pop.

- Tak, od jeden do pięćdziesiąt osiem - powiedział Kevin. Przekartkował stos fotografii, wskazując Popowi małe, zakreślone kółeczkami cyferki w lewym dolnym rogu. - Ale nie wiem, czy ma to znaczenie. Zdecydowałem się go pozbyć.

- Pozbyć się? Nie mówisz poważnie.

- Ależ tak. Jestem jak najbardziej poważny. Zaraz rozwalę go młotem kowalskim.

Pop spojrział na niego chytrymi oczkami.

- Ot tak?

- Tak - odrzekł Kevin, twardo odpierając chytre spojrzenie. - W zeszłym tygodniu wyśmiałbym taki pomysł, ale teraz mi nie do śmiechu. Myślę, że to jest niebezpieczne.

- No cóż, chyba masz do tego prawo i chyba możesz przykleić do niego łaskę dynamitu i rozwalić na kawałki, jeśli chcesz. On jest twój, o to mi chodzi. Ale czemu nie

wziąć sobie trochę na wstrzymanie? Chciałbym coś zrobić z tymi zdjęciami. Mogłoby cię to zainteresować.

- Co?

- Wolałbym wstrzymać się z gadaniem, na wypadek gdyby nie wyszło. Ale może dojdę do czegoś pod koniec tygodnia i wtedy zdecydujesz - rybka albo pipka.

- Już zdecydowałem - powiedział Kevin i postukał palcem w coś, co ukazało się na dwóch ostatnich fotografiach.

- A to co? Patrzyłem na to przez moje szkiełko i coś mi się zdaje, że powinienem to rozpoznać - to jak z nazwiskiem, którego nie możesz sobie dokładnie przypomnieć, ale masz je na samym koniuszku języka, o to mi chodzi - ale nie daję rady.

- Chyba mogę się wstrzymać do piątku - powiedział Kevin, decydując się nie odpowiadać na pytanie starca. - Naprawdę nie chcę czekać dłużej.

- Masz stracha?

- Tak - powiedział Kevin po prostu. - Mam stracha.

- Powiedziałeś rodzicielom?

- Nie wszystko.

- No, może chciałbyś. Może chciałbyś przynajmniej powiedzieć swojemu tacie, o to mi chodzi. Masz czas, żeby to rozważyć, a ja zajmę się tym, czym chcę się zająć.

- Bez względu na to, czego się po mnie spodziewasz, spuszczam w piątek na ten aparat młot kowalski ojca. Nawet nie zależy mi już na aparacie. Ani na polaroidzie, ani na żadnym innym.

- Gdzie on jest teraz?

- W szufladzie mojego biurka. I tam zostanie.

- Wpadnij do sklepu w piątek - powiedział Pop. - Aparat weź ze sobą. Razem zastanowimy się nad tym moim drobnym pomysłem, a jak potem będziesz miał chęć rozwalić to cholerstwo, użyczę ci swojego młota. Za darmo. Mam nawet kłoc za domem, będziesz miał na czym położyć aparat.

- Umowa stoi - powiedział Kevin i uśmiechnął się.

- A co powiedziałeś o tym wszystkim rodzicielom?

- Że wciąż się zastanawiam. Nie chciałem ich martwić. Zwłaszcza mamy. - Kevin spojrzał na niego z ciekawością. - Dlaczego powiedziałeś, że może chciałbym powiedzieć tacie?

- Kiedy rozwalisz ten aparat, twój tata będzie na ciebie wściekły - powiedział Pop. - To jeszcze do zniesienia. Ale może wziąć cię za głupca. Albo za starą pannę, która wszczyna



raban i dzwoni na policję z wrzaskiem, że niby włamują się do domu, a to tylko skrzypnęła klepka w podłodze.

Kevin zarumienił się trochę. Ojciec rozgniewał się, kiedy wynił temat świata nadprzyrodzonego. Kevin westchnął. Nie spojrzał na sprawę zniszczenia aparatu oczami ojca, ale teraz pomyślał, że Pop ma chyba rację. Jeśli ojciec się wścieknie, będzie to przykre, ale da się przeżyć. Jeśli ojciec weźmie go za tchórza albo głupca, albo i za jedno, i za drugie... to zupełnie inna para kaloszy.

Pop przyglądał się chytrze Kevinowi, czytając myśli, widoczne na twarzy chłopca tak wyraźnie jak tytuł na afiszu.

- Jak myślisz, wpadłby tu z tobą koło czwartej w piątek?

- Nie ma mowy. Pracuje w Portlandzie. Rzadko kiedy jest w domu przed szóstą.

- Mogę do niego zadzwonić - powiedział Pop. - Wtedy przyjdzie.

Kevin wybałuszył oczy.

- Och, znam go - Pop uśmiechnął się skąpo. - Znam od dawna. Nie chwali się bardziej naszą znajomością niż ty. Rozumiem. Ale o to mi chodzi, że znam go. Znam wielu ludzi w tym miasteczku. Jeszcze byś się zdziwił, gdybyś wiedział ilu, synu.

- Skąd?

- Kiedyś zrobiłem mu przysługę. - Potarł zapałkę o kciuk i zasłonił oczy taką ilością dymu, że trudno było zgadnąć, co w nich było: rozbawienie, wzruszenie czy pogarda.

- Jaką przysługę?

- To sprawa między nim a mną. Tak jak ten interes - wskazał na stos fotografii - jest między tobą a mną. O to właśnie mi chodzi.

- No... to chyba... dobra. Powiedzieć mu coś?

- Nie! - zaćwierkał po swojemu Pop. - Pozwól, że ja zajmę się wszystkim. - I przez moment, mimo zasłony dymnej, Kevin Delevan dojrzał coś w oczach Popa Merrilla. Ale było mu to obojętne. Wyszedł - boleśnie zakłopotany chłopak, który pragnął tylko jednego: niech się to wszystko skończy.

\*

Gdy Kevin wyszedł, Pop siedział w milczeniu długą chwilę. Pozwolił fajce zgasnąć. Rękę złożył obok stosu fotografii. Bębnił po warsztacie palcami, które były prawie tak mądre i zręczne jak palce koncertmistrza, ale udawały palce kopacza rowów albo robotnika budowlanego pracującego przy gruzce. Dym się rozwiął, wyjrzały oczy Popa. Były tak zimne jak lód na grudniowej kałuży.

Nagłym ruchem odstawił fajkę na podstawkę i wybrał numer sklepu ze sprzętem foto-wideo w Lewinson. Zadał dwa pytania. Na każde usłyszał „tak”. Odłożył słuchawkę i wrócił do bębnienia palcami po stole. To, co planował, nie było całkiem uczciwe wobec chłopaka, ale chłopak wpadł na coś, czego nie tylko nie rozumiał, ale nie chciał rozumieć.

W sposób uczciwy czy nieuczciwy Pop musiał zapobiec jego planom. Jakżeby inaczej? Nie wiedział jeszcze, jak to robi, jeszcze nie, jeszcze nie całkiem, ale niezłe jest się przygotować.

To zawsze jest niezłe.

Siedział, bębnił palcami i dumał o tym, co też chłopak mógł zobaczyć. Wyraźnie spodziewał się, że Pop się tego dowie - lub może się dowiedzieć - ale Pop nie miał tu żadnego punktu zaczepienia. Chłopak może powie mu w piątek. A może nie powie, a jeśli on tego nie zrobi, może zrobi to jego tata, na pewno zrobi to tata, któremu Pop niegdyś pożyczył czterysta dolarów na pokrycie zakładu, postawionego na drużynę baseballową, przegranego zakładu, o którym żona nigdy się nie dowiedziała. Rzecz w tym, żeby tata mógł to zrobić. Nawet najlepsi ojcowie nie wiedzą wszystkiego o synach, kiedy ci dobijają piętnastki albo coś koło tego, ale Pop doszedł do wniosku, że Kevin bardzo niedawno dobił do piętnastki, więc jego tata wie o nim prawie wszystko... albo może się dowiedzieć.

Uśmiechał się, bębnił palcami, a wszystkie zegary z trudem zabrały się do wybijania godziny piątej.

#### **ROZDZIAŁ CZWARTY**

O drugiej po południu w piątek Pop Merrill odwrócił tabliczkę na drzwiach z OTWARTE na ZAMKNIĘTE, wśliznął się za kierownicę swojego chevroleta rocznik 1959, który przez lata był utrzymywany przez Sonny'ego ze stacji Texaco w idealnym stanie, bez żadnych, ale to żadnych opłat (drobna pozostałość po jeszcze jednej drobnej pożyczce i Sonny Jacket był jeszcze jednym facetem z miasteczka, który wolałby, żeby mu przypiekano stopy rozżarzonymi węglami, niż przyznać się, że nie tylko zna, ale ma wielki dług wobec Popa Merrilla, który wyciągnął go z rozpaczliwej wpadki w New Hampshire, w 1969) i wybrał się do Lewinson, miasta, którego nie cierpiał, ponieważ miało chyba tylko dwie (no, może trzy) ulice niejedno-kierunkowe. Do miejsca przeznaczenia dotarł w ten sam sposób co zawsze, gdy był skazany tylko i wyłącznie na Lewinson: dotarł nie do samego celu, ale mniej więcej w jego pobliże, a potem wolno toczył się po coraz węższej spirali po tych, żeby je obesrało, jednokierunkowych ulicach, aż stwierdziwszy, że dalej jechać nie sposób, wysiadł i resztę drogi odbył pieszo; wysoki mężczyzna, łysy, w okularach bez oprawek, czystych

spodniach khaki, odprasowanych, z mankietami, w niebieskiej roboczej koszuli zapiętej pod samą szyję.

W oknie „Twin City Camera and Video” wisiał plakat. Na plakacie człowieczek walczył z potężnym zwojem taśmy filmowej i przegrywał. Wyglądało na to, że facet jest gotów spalić swoją filmotekę. Napis nad i pod obrazkiem głosił: MASZ DOŚĆ WALKI? KOPIUJEMY TAŚMY 8 MM (I ZDJĘCIA!) NA TAŚMĘ WIDEO!

„Jeszcze jeden cholerny gadżet”, pomyślał Pop. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Świat zdycha od nich.

Ale Pop należał do ludzi - świat zdycha od nich - którzy nie mają nic przeciwko korzystaniu z tego, co świat nastroczał, jeśli tylko dawało dochód. Krótko porozmawiał ze sprzedawcą. Sprzedawca sprowadził właściciela. Znali się z Popem od wielu lat (prawdopodobnie od kiedy Homer przepłynął morze ciemne jak wino, jak rzekłby jakiś obdarzony swadą gość). Właściciel zaprosił Popa na zaplecze. Wypili po kielonku.

- Cholernie dziwna kupa zdjęć - rzekł właściciel.

- Yhy.

- Taśma, którą z nich zrobiłem, jeszcze dziwniejsza.

- A pewnie.

- Nic więcej nie powiesz?

- Yhy.

- Aaa, odpiardol się - rzekł właściciel i obaj zaśmiali się chrypliwie, jak to starcy.

Sprzedawcę za kontuarem aż skręciło.

Pop wyszedł po dwudziestu minutach z dwoma artykułami: kasetą wideo i świeżutkim, jeszcze nierozpakowanym aparatem fotograficznym polaroid Sun 660.

\*

Wróciwszy do sklepu, zadzwonił do Kevina. Nie był zaskoczony, że odebrał John Delevan.

- Ty stary wężu, jeśli wpierdoliłeś mojego chłopaka w jakieś gówno, zabiję cię! - oznajmił John Delevan bez żadnych wstępów.

Z dalszej odległości Pop usłyszał zbolaty krzyk chłopca:

- Taaato!

Wargi Popa zjechały z zębów - krzywych, zniszczonych, żółkłych od dymu fajkowego, ale, na łysinę świętego Antoniego, własnych! - i gdyby Kevin zobaczył go w tym momencie, nie wątpiłby, że Pop Merrill to coś więcej niż castelrockowa wersja Miłego Starego Wsiowego Mędrka. Przekonałby się o tym.

- Ależ, John, starałem się pomóc twojemu chłopakowi dojść do ładu z aparatem. Tylko tyle i nic więcej. - Zrobił pauzę. - Tak jak pomogłem tobie, kiedy byłeś trochę zbyt dumny z Seventy-Sixersów, o to mi chodzi.

Cisza brzemienne burzą zaległa z drugiej strony słuchawki, co znaczyło, że John Delevan ma wiele do powiedzenia na ten temat, ale mały jest w pokoju i to ojcu wiąże język.

- Ależ, John, twój chłopak nic o tamtym nie wie - powiedział Pop. Niemiły uśmiech na jego twarzy poszerzał się. „Emporium Galorium” zalegały cienie pełne tików i taków, w powietrzu wisiał zapach starych czasopism i mysiego łąjna. - Powiedziałem mu, że tamto to nie jego interes, ale ten interes jest jego. Gdybym znał jakiś inny sposób, żeby cię tu ściągnąć, nie wspominałbym nawet o twoim zakładzie. O to mi chodzi. I powinieneś zobaczyć, John, na co wpadłem, bo jak nie, to nie zrozumiesz, czemu twój chłopak chce rozwalić ten aparat, co to mu go kupiłeś...

- Rozwalić?!

- ...i dlaczego wydaje mi się to diabelnie niegłupie. Więc przyjdiesz tu z nim czy nie?

- Nie wyjechałem przecież do Portlandu, do cholery, prawda?

- Nie przejmuj się tabliczką ZAMKNIĘTE - powiedział Pop pogodnym tonem człowieka, który dopinał swego przez wiele lat i spodziewa się dopinać jeszcze przez wiele następnych. - Wystarczy zapukać.

- Merrill, kto, do diabła, podszeptał twoje nazwisko mojemu chłopakowi?

- Nie pytałem go - powiedział Pop tym samym doprowadzającym do szaleństwa pogodnym tonem. Odłożył słuchawkę. I powiedział w pustkę sklepu: - Wiem tylko, że przyszedł. Tak jak zawsze to robią. Wcześniej czy później.

Czekając na Delevanów, wyjął z pudełka polaroid kupiony w Lewison. Pudełko wpełznął głęboko do kosza stojącego pod warsztatem. Spojrzał z namysłem na aparat i założył czteroladunkową wstępną kasetę, którą dołączano do aparatu. Wykonawszy tę czynność, odstąpił obiektyw. Czerwone światelko po lewej stronie znaku w kształcie błyskawicy zajaśniało wyraźnie, potem zamrugało zielone. Pop nie był zbyt zaskoczony faktem, że telepie się ze strachu. No cóż, pomyślał, Bóg nie cierpi tchórzów - i nacisnął spust migawki. Na moment graciarnię „Emporium Galorium” skąpało bezlitosne i niewiarygodnie białe światło. Aparat zaślurpał po swoim i wypluł polaroidowe zdjęcie - idealnie wierne, ale w jakiś sposób niedoskonałe; zdjęcie odbijające świat, w którym statki zawsze z pewnością ujdą od dymiących i zamieszkałych przez potwory krańców ziemi, jeśli tylko popłyną dość daleko na zachód.

Pop patrzył na zdjęcie z tym samym hipnotycznym wyrazem twarzy, z jakim klan Delevanów obserwował proces wywoływania pierwszego zdjęcia Kevina. Powtarzał sobie, że ten aparat oczywiście nie zrobi niczego podobnego, niemniej jednak był sztywny i spięty i choć stary był z niego wróbel, gdyby zaskrzypiała jakaś klepka, prawie na pewno zaraz potem rozległby się wrzask Popa Merrilla.

Ale żadna klepka nie zaskrzypiała, a kiedy zdjęcie się wywołało, pokazywało tylko to, co powinno pokazać: zegary złożone, zegary w kawałkach, opiekacze do grzanek, stopy czasopism powiązanych szpagatem, lampy z abażurami tak koszmarne, że tylko Angielki z klas wyższych znajdowały w nich upodobanie, półki z broszurowymi wydaniem książek (sześć za dolca) o tytułach w rodzaju *Po zmroku*, *moja śliczna*, *Ciało płonie*, *Biustonosz z brzuchu* i w dalszym tle zakurzone okno frontowe. Można było odczytać litery EMPOR ułożone wstecz. Opasłe biurko zasłaniało resztę napisu.

Żadnej pokraki zza grobu, żadnej wymachującej nożem laleczki w niebieskim dresiku. Zwyczajny aparat. Ale natarczywa chęć zrobienia zdjęcia, choćby po to, aby sprawdzić, udowadniała, jak głęboko te rzeczy potrafią zależeć człowiekowi za skórę.

Pop westchnął i wrzucił fotografię do kosza. Wyciągnął z warsztatu szeroką szufladę i wyjął mały młotek. Mocno ujął aparat lewą dłonią i wykonał młotkiem krótki zamach w zakurzonym, pełnym tików i taków powietrzu. Nie wysiłał się. Po co? Dziś nikomu nie zależy na porządnej robocie. Gada się o cudach współczesnej techniki, syntetykach, nowych stopach, polimerach, Bóg wie czym. Bez znaczenia. Gównu. Z tego naprawę robi się dziś wszystko i nie trzeba bardzo się wysilać, żeby rozwalić gówniany aparat.

Obiektów pękł. Kawałki plastiku rozprysły się na boki i to przypomniało Popowi jeszcze o czymś. Uszkodzenie było z lewej czy z prawej? Zmarszczył czoło. Z lewej. Pomyślał. I tak tego nie spostrzegą, a choćby i spostrzegli, nie będą pamiętać. Pewne prawie jak w banku. Ale Pop nie wił swego gniazdko z domniemań. Nieźle jest się przygotować.

To zawsze jest nieźle.

Odłożył młotek, szczoteczką zmiótł odpryski szkła i plastiku na podłogę, odłożył szczoteczkę, wyjął miękki, ale ostro zastrugany ołówek i nóż z dobrej stali o wąskim ostrzu. Zarysował ołówkiem na polaroidzie uszczerbek podobny do tego, który powstał na polaroidzie Kevina, gdy Meg strąciła go na podłogę. Pogłębił linię nożem. Kiedy uznał, że plastik jest wystarczająco mocno nacięty, odłożył nóż do szuflady i strącił aparat na podłogę. Co stało się raz, da się powtórzyć, zwłaszcza przy wcześniej zaznaczonych liniach odprysku.

No i poszło jak po maśle. Obejrzał aparat, któremu teraz brakowało kawałka korpusu i który miał pęknięte szkła obiektywu, skinął głową i schował go głęboko pod warsztat. Odszukał odprysk, wrzucił do śmieci wraz z pudełkiem i jednym zrobionym zdjęciem.

Teraz pozostawało tylko czekać na Delevanów. Pop zabrał kasetę wideo na górę, do swego zatłoczonego mieszkanka. Położył ją na wideo, które nabył w celu oglądania pornosów. W dzisiejszych czasach są łatwo dostępne. Siadł nad gazetą. Katastrofa samolotowa w Pakistanie. Sm trzydziestu ludzi zginęło. „Cholerne głupki, zawsze pchają się tam, gdzie można życie stracić, pomyślał Pop, ale nie ma zmartwienia. Świat tylko zyska, kiedy ubędzie paru kolorowych”. Przeszedł do działu sportowego. Co z Red Soksami? Wciąż mieli sporą szansę wygrania Wschodniej Ligi.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Co to była za sprawa? - spytał Kevin, gdy zbierali się do wyjścia. Nie musieli się kryć, że wychodzą. Meg była na zajęciach z balem, a pani Delevan grała w brydża z przyjaciółkami. Zjawi się w domu o piątej z wielką pizzą i wieściami, kto się rozwodzi albo przynajmniej myśli o rozwodzie.

- Nie twój interes - ostro stwierdził pan Delevan. Czuł równocześnie złość i zakłopotanie.

Dzień był chłodny. Pan Delevan szukał swojej wiatrówki. Odwrócił się i popatrzył na syna. Kevin wiatrówkę miał już na sobie. W ręku trzymał aparat.

- Dobra-powiedział ojciec. - Nigdy nie zalewałem ci głodnych kawałków i nie zamierzam zalewać teraz. Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak - rzekł Kevin i pomyślał: „Wiem dokładnie, o czym mówisz, o to mi chodzi”.

- Twoja matka nic o tym nie wie.

- Nic jej nie powiem.

- Nie mów tak - ostro powiedział mu ojciec. - Nie wchodź na tę drogę, bo nigdy z niej nie zejdziesz.

- Ale powiedziałaś, że nigdy...

- Tak, nigdy jej nie powiedziałem. - Ojciec wreszcie znalazł wiatrówkę i wbijał się w nią. - Nigdy nie zapytała i nigdy jej nie powiedziałem. Jak cię nie zapyta, nie musisz jej o tym mówić. Czy uważasz to za gówniane usprawiedliwienie?

- Taaa... - przyznał Kevin. - Żeby nie skłamać, tak właśnie uważam.

- Niech ci będzie. Niech ci będzie... ale tak to załatwiamy. Jeśli ten temat kiedyś wypłynie, ty - my - musimy puścić farbę. Jeśli nie wypłynie - nie puszczaemy. W taki właśnie

sposób załatwiamy sprawy w dorosłym świecie. Zdaje się, robi to gówniane wrażenie i czasem jest gówniane, ale tak postępujemy. Dasz radę z tym żyć?

- Tak. Chyba tak.

- Dobrze. Idziemy.

Szli podjazdem ramię w ramię, zasuwając zamki błyskawiczne wiatrówek. Wiatr mierzwił włosy na skroniach Johna Delevana i Kevin zauważył po raz pierwszy - niemile zaskoczony - że ojciec zaczyna siwieć.

- Zresztą nie był to żaden wielki interes - odezwał się pan Delevan. Mówił w taki sposób, jakby rozmawiał sam ze sobą. - Z Popem nikt nie robi wielkich interesów. To facet nie tego formatu, o to mi chodzi.

Kevin kiwnął głową.

- Wiesz, to człowiek wcale bogaty, ale nie dorobił się na tym sklepie ze starzyzną. To castlerockowy odpowiednik Shylocka.

- Kogo?

- Mniejsza z tym. Jeśli oświaty do reszty diabli nie wezmą, przeczytasz tę sztukę wcześniej czy później. Pożyczają pieniądze na wyższy procent, niż dozwala prawo.

- Dlaczego ludzie od niego pożyczają?

Szli w kierunku centrum miasteczka, pod drzewami, które niechętnie gubiły czerwone, purpurowe i złote liście.

- Ponieważ - ton głosu pana Delevana był kwaśny - nie mogą zaciągnąć pożyczki nigdzie indziej.

- Chcesz powiedzieć, że nie cieszą się zaufaniem?

- Coś w tym rodzaju.

- Ale my... ty...

- Taaa... Teraz nam się powodzi. Ale nie zawsze nam się powodziło. Kiedy byliśmy z twoją matką świeżo po ślubie, o powodzeniu nawet nam się nie śniło.

Znów zapadł w milczenie i Kevin nie przerywał go.

- No cóż, był taki gość, który pewnego roku zadzierał strasznie nosa z powodu Celtiksów - powiedział ojciec. Patrzył pod nogi, jakby miał cztery lata, chodził tylko po płytach i broń Boże nie chciał wejść na linkę, bo będzie musiał pocałować świnkę lub dziewczynkę. Mieli grać play-off przeciw Seventy-Sixersom z Filadelfii. Oni - Celtiksi - byli faworytami, ale dużo mniej pewnymi niż zwykle. Miałem wrażenie, że Seventy-Sixersi dadzą im wycisk, że to ich rok.

Rzucił synowi ukradkowe spojrzenie z taką szybkością, z jaką złodziej sklepowy kradnie drobny, ale wcale drogi artykuł i wsadza go do kieszeni płaszcza. Potem pan Delevan znów zajął się płytami chodnika. Szli teraz w dół Castle Hill, w kierunku jedynych w miasteczku świateł drogowych na skrzyżowaniu Lower Main Street i Watermill Lane. Za skrzyżowaniem mostek, Tin Bridge, jak nazywali go miejscowi, łączył brzegi Castle Stream. Konstrukcja cięła granatowe jesienne niebo na wyraźne geometryczne figury.

- Zdaje mi się, że to wrażenie, ta niezwykła pewność, zaraża biedne duszyczki, które tracą potem konta, domy, samochody. Nawet ubrania, w których pokazują się w kasynach i przy stołach do pokera w zakazanych pokojach hotelowych. Dzięki temu wrażeniu jesteś pewien, że dostałeś telegram od Pana Boga. Dostałem taki telegram tylko raz i Bogu za to dziękuję.

Grałem o niewinne stawki. Zakładałem się o wyniki meczów futbolowych albo finały baseballu. Stawka góra pięć dolarów. A zwykle jeszcze mniej, jakiś fant, ćwierć dolara albo paczka papierosów.

Tym razem to Kevin zerknął jak złodziej sklepowy, tylko że pan Delevan go przyłapał. Patrzenie na płyty jakoś mu nie przeszkodziło.

- Tak, paliłem wtedy. Teraz nie palę i nie zakładam się. Przestałem. Ostatni zakład mnie wyleczył.

Wtedy twoja matka i ja byliśmy dopiero dwa lata po ślubie. Jeszcze cię na świecie nie było. Pracowałem jako pomocnik geodety, przynosiłem do domu jakieś sto sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Tyle w każdym razie mi zostawało, kiedy urząd podatkowy już zabrał swoje.

To jeden z inżynierów był tak dumny z Celtiksów. Nawet ubierał się do pracy w taki zielony ocieplacz Celtiksów, wiesz, z białą koniczyną, emblematem Irlandii, na plecach. Tydzień przed rozgrywkami powtarzał w kółko, że chciałby znaleźć kogoś na tyle odważnego i głupiego, żeby postawił na Seventy-Sixersów, bo ma w kieszeni czterysta dolarów, które aż się palą, żeby przynieść zarobek.

Ten mój wewnętrzny głos stawał się coraz głośniejszy i dzień przed początkiem rozgrywek poszedłem w przerwie na lunch do tego inżynierka. Tak się bałem; myślałem, że serce mi z piersi wyskoczy.

- Bo nie miałeś czterystu dolarów - powiedział Kevin. - Tamten facet miał, ale ty nie miałeś.

Teraz otwarcie patrzył na ojca. Pierwszy raz od wizyty u Popa Merrilla całkowicie zapomniał o aparacie. Cuda, jakie wyprawiał sun 660, zostały przesłonięte - przynajmniej



chwilowo - przez ten nowy, bardziej niezwykły cud. Za młodych lat ojcu przytrafiło się coś niebywale głupiego, tak jak przytrafiło się to innym mężczyznom i jak może pewnego dnia i jemu się przytrafić, kiedy będzie sam sobie panem i zabraknie dorosłego członka szczepu Główkujących, który mógłby uchronić go przed jakimś straszliwym impulsem, jakimś poczwarnym głosem instynktu. Wyglądało na to, że ojciec przelotnie też zaliczał się do szczepu Wyczuwających. Trudno w to uwierzyć, ale czy ta opowieść to nie dowód?

- Zgadza się.

- Ale założyłeś się z nim.

- Nie od razu. Powiedziałem mu, że Seventy-Sixersi wygrają mistrzostwo, ale czterysta dolców to o wiele za duże ryzyko dla faceta, który jest tylko asystentem geodety.

- Ale nigdy nie przyznałeś się uczciwie, że nie masz tych pieniędzy.

- Obawiam się, Kevinie, że posunąłem się trochę dalej. Dałem do zrozumienia, że je mam. Powiedziałem, że nie stać mnie na stratę czterystu dolarów. To co najmniej dwuznaczne. Powiedziałem, że nie mogę zaryzykować takich pieniędzy w równym zakładzie. Widzisz, nie bujałem, ale ocierałem się o kłamstwo. Czy rozumiesz?

- Tak.

- Nie wiem, co by się stało - może nic - gdyby brygadzysta właśnie wtedy nie zadzwonił na koniec przerwy. Ale zadzwonił i ten inżynierek wyrzucił ręce w górę, i powiedział: „Jak chcesz, synu, stawiam dwa do jednego. To dla mnie bez znaczenia. Te czterysta dolarów i tak wylądają w mojej kieszeni”. I zanim się spostrzegłem, co się dzieje, podaliśmy sobie ręce na oczach kilku ludzi i wpadłem jak śliwka w kompot. A kiedy wracałem wieczorem do domu i pomyślałem, co by powiedziała twoja matka, gdyby o tym wiedziała, zjechałem na pobocze tym starym fordem, którego wtedy miałem, i wyrzygałem się przez drzwi.

Wóz policyjny z wolna przejechał w dół Harrington Street. Prowadził Norris Ridgewick, a obok siedział Andy Clutterbuck. Ciut pozdrowił ich podniesieniem ręki, wóz patrolowy skręcił w lewo, w Main Street. John i Kevin Delevanowie podnieśli ręce w odpowiedzi, a jesienne liście zasypiały spokojnie wokół nich, jakby John Delevan nigdy nie siedział w otwartych drzwiach swojego starego forda i nie rzygał z twarzą między kolanami w kurz drogi.

Przeszli na drugą stronę Main Street.

- No cóż... można powiedzieć, że i tak dostałem coś za swoje pieniądze. Sixersi prowadzili do ostatnich sekund siódmej gry, aż jeden z tych irlandzkich drani - zapomniałem który - odebrał piłkę Halowi Greerowi i załatwił Sixersów, a mnie wypadło z kieszeni

czterysta dolarów. Kiedy następnego dnia wypłacałem się cholernemu inżynierowi, powiedział mi, że pod koniec to się troszkę zdenerwował. Tyle powiedział. Miałem ochotę wycisnąć mu gały kciukami.

- Wypłaciłeś mu się następnego dnia? Jakim cudem?

- Powiedziałem ci, to było jak gorączka. Kiedy tylko zrobiliśmy zakład, gorączka ustała. Diabelnie chciałem wygrać ten zakład, ale musiałem założyć, że mogę przegrać. Stawka była dużo większa niż czterysta dolarów. Oczywiście ryzykowałem moją pracą. Nie wiadomo co by nastąpiło, gdybym nie mógł spłacić faceta. Był przecież inżynierem. Teoretycznie biorąc, moim szefem. Niezły był z niego skurwysyn i dałby mi dobry popał, gdybym nie zapłacił. Nie wyciągałby sprawy zakładu, ale znalazłby coś innego, coś co odznaczyłoby się w moich aktach wielkimi literami. Ale nie to było najważniejsze. Wcale nie to.

- A co?

- Twoja matka. Nasze małżeństwo. Kiedy jest się młodym i brakuje nocnika, żeby mieć w co sikać, i okna, żeby mieć przez co go wylać, małżeństwo jest skazane na ciągłe napięcie. Nieważne, jak mocno ludzie się kochają. Takie małżeństwo to jak koń pociągowy zaprzęgnięty do przeładowanego furgonu. Koń w każdej chwili może osunąć się na kolana albo nawet paść trupem. Z małżeństwem nie lepiej. Niech no tylko wszystkie złe okoliczności dopadną cię naraz w złym czasie. Więc kiedy gorączka minęła, spostrzegłem się, że może postawiłem coś więcej niż czterysta dolarów. Może postawiłem całą swoją cholerną przyszłość.

Zbliźali się do „Emporium Galorium”. Na skraju miejskiego skweru stała ławeczka i pan Delevan dał znak Kevinowi, żeby usiedli.

- To nie zabierze dużo czasu - powiedział i nagle zaśmiał się. Był to chrypliwy, głuchy dźwięk, podobny do tego, z jakim niedoświadczony kierowca zmienia bieg. - Jak się o tym za dużo gada, to boli nie do wytrzymania, nawet po tych wszystkich latach.

Więc siedli na ławeczce i pan Delevan skończył opowieść o tym, jak poznał Popa Merrilla. Patrzyli przy tym na skwerek, gdzie na środku wznosiła się estrada dla orkiestry.

- Poszedłem do niego wieczorem, tego samego dnia, w którym się założyłem. Twojej matce powiedziałem, że idę kupić papierosy. Poszedłem po zmroku, żeby mnie nikt nie widział. Chodziło mi o ludzi z miasteczka. Zorientowaliby się, że mam jakiś kłopot. Nie chciałem tego. Wszedłem, a Pop mówi: „Cóż taki człowiek pracy jak pan, panie John Delevan, robi w takim miejscu?”. Powiedziałem mu, co narobiłem, a on na to: „Założyłeś się i z góry postawiłeś się w sytuacji przegranego”. A ja: „W razie tej przegranej chcę mieć

pewność, że nie przegram jeszcze czegoś”. Rozbawiło go to. „Szanuję ludzi przewidujących. Zaufam ci. Jeśli Celtiksi wygrają, wpadnij do mnie. Zajmę się tobą. Dobrze ci z oczu patrzy”.

- I to wszystko? - spytał Kevin. W ósmej przerabiali na matmie rozdział o pożyczkach i większość materiału została mu w głowie. - Nie pytał o żadne, no, zabezpieczenie?

- Ludzie, którzy idą do Popa, nie mają żadnego zabezpieczenia. Nie jest lichwiarzem spod ciemnej gwiazdy, których widuje się w filmach, nie połamię ci nóg, jeśli nie zapłacisz. Ale wie, jak wycisnąć dług.

- Jak?

- Mniejsza z tym - powiedział pan Delevan. - Gdy skończyła się tamta ostatnia gra, poszedłem na górę powiedzieć twojej matce, że wychodzę po papierosy. Ale że spała, nie musiałem kłamać. Było późno, w każdym razie późno jak na Castle Rock, dochodziła jedenasta, ale u niego się świeciło. Wiedziałem, że będzie się świecić. Dał mi pieniądze w dychach. Wyjął je ze starej puszkę po zupie pomidorowej. Same dychy. Pamiętam. Były pogniecione, ale je wygładzał. Czterdzieści banknotów dziesięciodolarowych, wypłacał je jak kasjer bankowy, palił fajkę, okulary zatknął na czubku głowy i przez jedną sekundę zapragnąłem dać mu porządnie w zęby. Ale zamiast tego podziękowałem. Nie wiesz, ile czasem kosztuje to słowo „dziękuję”. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz. Powiedział: „Ale warunki znasz, co?”. Powiedziałem, że znam, a on: „To dobrze. Nie martwię się, że mi nie zapłacisz. O to mi chodzi, że dobrze ci z oczu patrzy. Idź, załatw sprawę z tym gościem, a potem załatw sprawę ze mną. I nie zakładaj się więcej. Wystarczy tylko popatrzeć ci w oczy, aby wiedzieć, że nie urodziłeś się na hazardzistę”. Więc wziąłem te pieniądze, wróciłem do domu i wsadziłem je pod dywanik starego chevroleta, położyłem się obok twojej matki i przez całą noc nie zmrużyłem oka, bo czułem się jak świnia. Nazajutrz dałem te dychy inżynierkowi, teraz on je liczył, a potem złożył i zwyczajnie wsadził do kieszeni koszuli, zapiął kieszeń, jakby ta gotówka nie była dla niego ważniejsza niż rachunek za benzynę, który pod koniec dniówki ma dostarczyć głównemu wykonawcy. Potem klepnął mnie w ramię i mówi: „No, uczciwy z ciebie chłop. Johnny. Bardziej uczciwy, niż się spodziewałem. Wygrałem czterysta dolarów, ale przegrałem dwadzieścia do Bilia Untermeyera. Powiedział, że przyniesiesz forszę od razu, dziś rano, a ja powiedziałem, że nie ujrę cię na oczy do końca tygodnia. I dobrze będzie, jeśli w ogóle cię ujrę”. „Płacę swoje długi”, ja na to. „No, nie żołądkuj się”, powiada i znowu klepie mnie po ramieniu, i chyba tym razem mało brakowało, żebym wycisnął mu gały kciukami.

- Jaki procent brał od ciebie Pop, tato? Ojciec spojrzał na niego ostro.

- Pozwala ci tak do siebie mówić?

- Taaa... a o co chodzi?

- No to się pilnuj. To wąż - powiedział pan Delevan. Westchnął przy tym, jakby potwierdzając, że dobrze wie, o czym mówi.

- Dziesięć procent. Tyle wynosiły odsetki.

- To nie tak dużo.

- Naliczane tygodniowo - dodał pan Delevan. Przez moment Kevin zapomniał języka w gębie.

- Ale to sprzeczne z prawem!

- Święta prawda - sucho powiedział pan Delevan. Dojrzał wyraz niedowierzania i napięcia na twarzy syna i jego własne napięcie prysło. Roześmiał się i klepnął syna po ramieniu. - Życie nas nie rozpieszcza, Kev. A zresztą i tak wszyscy w końcu umieramy.

- Ale...

- Nie było żadnego „ale”. Taki ciężar wziąłem sobie na głowę i wiedziałem, że muszę go unieść. Wiedziałem, że przyjmują ludzi na drugą zmianę do tej huty w Oxfordzie. Powiedziałem ci, że przygotowałem się do przegranej, a nie ograniczyłem się tylko do wizyty u Popa. Porozmawiałem z twoją matką, powiedziałem, że na jakiś czas mógłbym nająć się tam na drugą zmianę. Przecież chciała nowszego samochodu, lepszego mieszkania i sumki w banku na wypadek jakiegoś finansowego niepowodzenia.

Roześmiał się.

- No i dotknęło nas niepowodzenie finansowe. Nie wiedziała o niczym i wylazłbym ze skóry, byle się tylko o niczym nie dowiedziała. Nie miałem pojęcia, czy mi się to uda, czy nie, ale gotów byłem wyleźć ze skóry, żeby się nie dowiedziała. Za żadne skarby świata nie chciała się zgodzić, żebym wziął dodatkową pracę. Powiedziała, że się zarznę, pracując szesnaście godzin dziennie. Mówiła, że w tych hutach jest niebezpiecznie, ciągle się czyta, że ktoś traci rękę albo nogę, albo nawet wpada pod zgniatacz i ginie na miejscu. Ja na to, żeby się nie przejmowała, wezmę pracę w sortowni, płaca minimalna, ale robota siedząca, a gdyby okazała się za ciężka, odejdę. Wciąż się sprzeciwiała. Powiedziała, że sama pójdzie do pracy, ale jej to wyperswadowałem. Stanąlbym na głowie, byle tego uniknąć. Sam wiesz. Kevin przytaknął.

- Powiedziałem, że zatrudnię się dodatkowo tylko na pół roku, najwyżej osiem miesięcy. Więc pojechałem tam i przyjęli mnie, ale nie poszedłem do sortowni. Stanąłem przy taśmie podającej surowiec do maszyny. Wyglądała jak wyzmaczka gigantycznej pralki. To była niebezpieczna praca, bez dwóch zdań. Zrobiłeś fałszywy ruch albo pozwoliłeś sobie na chwilkę nieuwagi - a ciężko było cały czas uważać, bo robota była cholernie monotonna - i

traciłeś kończynę albo i życie. Widziałem, jak człowiekowi poszła przy taśmie podajnika ręka i nigdy nie chciałbym widzieć tego po raz drugi. Wyglądało to tak, jakby laska dynamitu wybuchła w gumowej rękawicy napchanej miechem.

- O cholera - powiedział Kevin. Rzadko odzywał się podobnie w obecności ojca, ale teraz ojciec zdawał się nie słyszeć.

- W każdym razie dostawałem dwa dolary osiemdziesiąt centów za godzinę i po dwóch miesiącach podnieśli mi do trzech dolarów dziesięciu centów. To było piekło. Przez cały dzień pracowałem przy budowie drogi - dobrze, że to był początek wiosny i upały nie dawały się we znaki - a potem jechałem na złamanie karku do huty, wyciskając z chevroleta ile się dało, żeby się nie spóźnić. Zrzucałem spodnie khaki, wskakiwałem w dżinsy i podkoszulek, i stałem przy podajniku od trzeciej do jedenastej. W domu zjawiałem się koło północy. Najciężej było mi w te wieczory, kiedy twoja matka na mnie czekała - a zdarzało jej się to dwa, trzy razy w tygodniu - i musiałem udawać, że jestem wesół i pełen werwy, a ledwo trzymałem się na nogach, taki byłem zmęczony. Ale gdyby się... spostrzegła...

- Kazałaby ci przestać.

- Tak. Tak by zrobiła. No więc odgrywałem zucha, zabawiałem ją historyjkami z sortowni, w której nie pracowałem, i czasem zastanawiałem się, co będzie, gdy któregoś dnia ona się tam zjawi - przywiezie mi ciepłą kolację czy coś w tym rodzaju. Wcale nieźle odgrywałem swoją rolę, ale coś chyba było po mnie widać, bo ciągle powtarzała, że to głupio tak się wykańczać za takie marne pieniądze - a z zapłaty naprawdę zostawały okruchy, kiedy już urząd podatkowy skubnął swoje i Pop swoje. Wychodziło akurat tyle, co płacono facetowi, który ciągnął za minimalną stawkę w sortowni. Wypłaty były we środy po południu i pilnowałem się, żeby zrealizować czek, zanim urzędniczki pójdą do domu.

Twoja matka nigdy nie zobaczyła żadnego z tych czeków.

Po tygodniu dałem Popowi pięćdziesiąt dolarów - czterdzieści odsetek i dziesięć na pokrycie długu. Zostawało trzysta dziewięćdziesiąt. Był ze mnie chodzący trup. Przy budowie drogi podczas lunchu zjadałem kanapkę w samochodzie i zasypiałem. Budziłem się dopiero, gdy brygadzista walił w ten cholerny dzwon. Nienawidziłem tego dzwonu.

Po dwóch tygodniach zapłaciłem pięćdziesiąt dolarów - trzydzieści dziewięć odsetek, jedenaście na pokrycie długu. Zbiłem go do trzystu siedemdziesięciu dziewięciu. Czułem się jak wróbel, który dziubnięciem po dziubnięciu chce zjeść górę.

Po trzech tygodniach mało nie poleciałem do podajnika. Tak się przeraziłem, że otrzeźwiałem na kilka chwil i wpadłem wtedy na pewien pomysł, więc ten prawie wypadek okazał się szczęściem w nieszczęściu. Pomyślałem sobie, żeby rzucić palenie. Nie mogłem

pojąć, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy. W tamtych czasach paczka kosztowała czterdzieści centów. Wypalałem dwie dziennie. To było pięć dolarów i sześćdziesiąt centów tygodniowo!

Co dwie godziny mieliśmy przerwę na papierosa. Spojrzałem na moją paczkę tarytonów. Zostało dziesięć, może dwanaście sztuk. Wystarczyły na półtora tygodnia i to były moje ostatnie fajki w życiu.

Przez miesiąc nie wiedziałem, czy podołam temu wszystkiemu. Budzik dzwonił o szóstej i bywały dni, kiedy myślałem, że nie dam temu rady, że zwyczajnie muszę przyznać się Mary i znieść wszystko, co mi wygarnie. Ale nim zaczął się drugi miesiąc, poczułem, że chyba dam radę. Myślę sobie do dziś, że to te dodatkowe pięć sześćdziesiąt tygodniowo - i wszystkie butelki po piwie i oranżadzie, które zbierałem z przydrożnych rowów - podbudowały mnie. Zbiłem dług do trzystu dolarów, a to znaczyło, że mogę skreślać dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć tygodniowo, coraz więcej w miarę upływu czasu.

Pod koniec kwietnia skończyliśmy drogę i dostaliśmy tydzień płatnego urlopu. Powiedziałem Mary, że wkrótce odejdę z huty, a ona na to, że chwala Bogu. W czasie tego urlopu pracowałem ile się dało w hucie - na półtorej zmiany. Nigdy nie miałem wypadku. Widziałem wypadki, zdarzały się ludziom w lepszej kondycji niż moja, świeższym, ale mnie nigdy nic złego nie spotkało. Nie wiem czemu. Pod koniec tygodnia dałem Popowi Merrillowi sto dolarów i złożyłem tygodniowe wypowiedzenie w hucie. Wtedy już na tyle zmniejszyłem dług, że mogłem opędzać spłaty zaskórniakami ze stałej pensji, a twoja matka tego nie zauważała. Wziął głęboki oddech.

- Teraz wiesz, skąd znam Popa Merrilla i dlaczego mu nie ufam. Dziesięć tygodni harowałem w piekle, pot lał mi się z czoła i z tyłka, a Pop zebrał żniwo tej harowy: dychy, które wsadził do puszki po zupie pomidorowej albo do czegoś takiego i pożyczył jakiemuś innemu biednemu durniowi, który wpakował się w takie same kłopoty jak ja.

- Rany, musisz go nienawidzić.

- Nie - powiedział pan Delevan i wstał. - Nie czuję nienawiści do niego ani do siebie. Dostałem gorączki, to wszystko. Mogło się gorzej skończyć. Moje małżeństwo mogło się rozpaść, ty i Meg nie przyszlibyście na świat. Sam mogłem zginąć. Pop Merrill był lekarstwem. Gorzkim lekarstwem, ale skutecznym. Ciężko mi tylko przebaczyć mu styl, w jakim pracował. Brał każdego cholernego centa, zapisywał w księdze, którą trzymał w szufladzie pod kasą, patrzył na moje sińce pod oczami, widział, jak spodnie zwisają mi na biodrach, i nie mówił słowa.

Szli w kierunku „Emporium Galorium”. Farba, którą było pomalowane, przywodziła na myśl zakurzone, pożółkłe szyldy wiszące zbyt długo w oknach wiejskich sklepików. Gipsowy fronton nie udawał, że jest czymś lepszym, stał nagi i bezwstydnym. Obok przechodziła właśnie spacerowym krokiem Polly Chalmers pogrążona w rozmowie z Alanem Pangbornem, szeryfem okręgowym. Ona wyglądała młodo i świeżo, włosy zaczesana w koński ogon; on wyglądał młodo i zdobywczo, mundur leżał na nim jak ulał. Ale świat nie zawsze jest taki, na jaki wygląda; nie było to tajemnicą nawet dla piętnastoletniego Kevina. Szeryf Pangborn stracił tej wiosny w wypadku samochodowym żonę i młodszego synka, a panna Chalmers, choć tak świeżo wyglądała, cierpiała na ciężki reumatyzm, który za parę lat mógł przykuć ją do fotela inwalidzkiego. Świat nie zawsze jest taki, na jaki wygląda. Na tę myśl Kevin jeszcze raz popatrzył na „Emporium Galorium”... a następnie na trzymany w ręce prezent urodzinowy.

- Nawet wyświadczył mi przysługę - rzekł w zadumie pan Delevan. - Dzięki niemu rzuciłem palenie. Ale nie ufam mu. Pilnuj się, Kevinie. I bez względu na to, co się stanie, pozwól, że ja będę mówił. Znam go trochę lepiej niż ty.

Wkroczyli w pełną kurzu, tików i tako w ciszę, w której Pop Merrill oczekiwał ich za drzwiami. Okulary zatknął na łysej kopule czaszki, a w rękawie krył parę asów, którymi zamierzał zagrać.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

- No proszę, co za widok: ojciec i syn - powiedział Pop, obdarzając ich pełnym zachwytem, dobrotliwym uśmiechem. Jego oczy słały iskierki zza dymu fajkowego i chociaż był gładko ogolony, Kevin pomyślał, że Pop wygląda jak Święty Mikołaj. - Znakomitego masz pan chłopaka, Delevan. Znakomitego.

- Wiem - powiedział pan Delevan. - Poniosło mnie, kiedy się dowiedziałem, że się z panem zadaje. Zależy mi na tym, żeby dalej był znakomity.

- To bolesne - rzekł Pop z lekkim wyrzutem. - Bolesne, że słyszę to od człowieka, który znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia...

- To zamknięta sprawa.

- Yhy, yhy, o to mi właśnie chodzi.

- Ale ta nie jest zamknięta.

- Będzie - oznajmił Pop. Wyciągnął rękę do Kevina i odebrał polaroid. - Dzisiaj zostanie zamknięta. - Obrócił aparat w dłoniach. - Oto wytwór pracy. Czyjej pracy, tego nie wiem, ale twój chłopak chce to zniszczyć, bo uważa za niebezpieczne. Ja uważam, że ma

rację. Ale powiedziałem mu: „Chyba nie chcesz, żeby tata wziął cię za siuśmajtka?”. To jedyny powód, dla którego chciałem cię tu ściągnąć, John...

- Bardziej podoba mi się „pan Delevan”.

- W porządku - westchnął Pop. - Widzę, że się nie rozchmurzysz i nie postawisz krzyżyka na starych sprawach.

- Nie.

Kevin spoglądał to na jednego, to na drugiego. Był zakłopotany.

- No cóż, to nie gra roli. - Nagle w twarzy jak i w głosie Popa pojawił się wyraźny chłód. Święty Mikołaj znikł. - Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, o to mi właśnie chodzi... choć czasem to, co było, ma wpływ na to, co dzieje się tu i teraz. Ale podkreślam z całą mocą, panie Delevan: nie szachruję i pan o tym wiesz.

Pop wypowiedział to wierutne kłamstwo z takim majestatem, że obaj Delevanowie w nie uwierzyli. Pan Delevan nawet poczuł się trochę zawstydzony, choć kłamstwo było naprawdę gigantyczne.

- Co było między nami, niech zostanie między nami. Pan mi powiedziałeś, czego chcesz, ja ci powiedziałem, czego chcę w zamian, ty mi to dałeś i sprawa zamknięta. Teraz chodzi o coś innego. - I Pop wygłosił kłamstwo jeszcze bardziej wierutne, tak kolosalne, że nie sposób było w nie nie uwierzyć: - Nie mam w tym żadnego interesu, panie Delevan. Chcę tylko pomóc twojemu chłopakowi. Lubię go.

Uśmiechnął się i oto Święty Mikołaj wrócił! Tak szybko i tak zdecydowanie, że Kevin w ogóle zapomniał, iż przed chwilą znikł. Ale nastąpiło coś jeszcze bardziej niesłychanego: oto John Delevan, który miesiącami pokutował za chwilę szaleństwa, pracował do utraty sił, a nawet narażał się na śmierć, aby zapłacić wygórowaną cenę, jakiej ten człowiek zażądał za przysługę - John Delevan również zapomniał, jak Pop Merrill wyglądał przed momentem.

Wśród zapachu starej farby drukarskiej, tików i taków zegarów Pop prowadził ich krętymi przejściami w głąb sklepu. Suna 660 położył niedbale na warsztacie, trochę za blisko skraju (jak Kevin po wykonaniu pierwszego zdjęcia) i skierował się do schodów prowadzących do mieszkania. W opartym o ścianę starym, zakurzonym lustrze sprawdził, czy chłopak lub ojciec sięgną po aparat albo przesuną głębiej. Było to wątpliwe, ale niewykluczone.

Ledwie spojrzeli przelotnie na aparat, a kiedy Pop wiódł ich w górę po wydeptanych wąskich schodach, uśmiechnął się tak, że każdemu zimno by się zrobiło na ten widok, i pomyślał: „Niech mnie diabli, ale jestem dobry!!!”.

Otworzył drzwi i weszli do jego mieszkania.



\*

Ani John, ani Kevin Delevan nie gościli nigdy na pokojach Popa i John nie słyszał, żeby ktokolwiek tam bywał. Nic dziwnego: trudno było nazwać Popa ulubieńcem miasteczka. John nie wykluczał, iż stary kutas ma kilku przyjaciół - świat zawsze stać na więcej niż jedno dziwadło - ale nawet jeśli tak: było, nie znał ich.

Kevin z kolei przelotnie pomyślał o panu Bakerze, swoim ulubionym nauczycielu. Zastanawiał się, czy pan Baker przypadkiem nie wpakował się w tarapaty i nie potrzebował pomocy od takiego faceta jak Pop. Wydawało się to tak nieprawdopodobne, jak nieprawdopodobna wydawała się jego ojcu myśl, że Pop może mieć przyjaciół... Ale z drugiej strony... jeszcze godzinę temu myślał, że własny ojciec...

Dość. Najlepiej chyba nie zaprzętać sobie tym głowy.

Pop miał przyjaciela (w każdym razie znajomego) lub dwóch, ale do mieszkania nie zapraszał nikogo. Nie chciał. To schronienie tak wiernie odzwierciedlało naturę właściciela, że wołał, aby pozostawało nieznane. Wyraźnie starano się tu zachować czystość, ale bez powodzenia. Zacieki na tapetach nie rzucały się w oczy, przezierały wątlymi półtonami jak złowieszcze myśli, dręczące niespokojny umysł. W staromodnym głębokim zlewie zalegały brudne talerze, i chociaż stół był wytarty, a pokrywka plastikowego kubła na odpadki zatrzaśnięta, unosiła się tu prawie nieuchwytna woń sardynek i czegoś jeszcze - może niemytych nóg. Odór równie niewyraźny jak ślad zacieków na tapetach.

Bawialnią była maleńka. Tutaj nie śmierdziało sardynkami i (może) niemytymi nogami, ale starym tytoniem fajkowym. Za oknami widać było pozbawiony zalet pejzażyk, tylna uliczka, równoległa do Mulberry Street. Szyby zdradzały jakieś takie ślady mycia - chociażby rzadkiego przecierania - ale w rogach przez lata nagromadził się brud i tłuszcz. Oglądając całe to pomieszczenie, można by pomyśleć, że pod wypłowiałe, dziurawe dywany zgarnięto parszywe śmieci, a co się nie zmieściło, upchano pod staromodnym fotelem i sofą. Oba te meble były jasnozielone i chciałyby się rzec, że pasowały do siebie, ale rzec się nie dało, ponieważ nie pasowały. Nie całkiem.

Nowy w pokoju był jedynie wielki telewizor Mitsubishi z dwudziestopięciocalowym ekranem i wideo umieszczone na stolyczku obok telewizora. Po lewej stronie stoliczka stała półka. Rzuciła się Kevinowi w oczy, ponieważ była całkiem pusta. Pop uznał, że najlepiej zrobi, chowając do szafy swoje ponad siedemdziesiąt pornosów.

Na telewizorze, w nieopisanej oprawce, spoczywała kasetka wideo.

- Siadźcie - Pop zaprosił ich na niezgrabną kanapę. Podeszedł do telewizora i wyjął kasetę z oprawki.

Pan Delevan spojrział niepewnie na kanapę, jakby lękał się pcheł. Ale usiadł, zachowując ostrożność. Kevin spoczął obok ojca. Strach powrócił, mocniejszy niż poprzednio.

Pop włączył wideo, włożył kasetę.

- Znam gościa w mieście - (dla mieszkańców Castle Rock i sąsiednich miasteczek „miasto” zawsze znaczyło „Lewiston”) - który od jakichś dwudziestu lat prowadzi sklep ze sprzętem foto. Kiedy wystartowało wideo, od razu się tym zainteresował. Powiedział, że to rzecz przyszłości. Chciał mnie na współnika, fifty-fifty, ale myślałem, że ma źle w głowie. No, tu się pomyliłem, o to mi chodzi, ale...

- Do rzeczy - przerwał ojciec Kevina.

- Staram się - powiedział Pop. Oczy rozwarł szeroko i sprawiał wrażenie urażonego. - Jeśli mi pan pozwoli.

Kevin delikatnie szturchnął ojca i pan Delevan zamilkł.

- W każdym razie parę lat temu odkrył, że można zarobić na tych gadżetach nie tylko wypożyczaniem filmów. Wystarczy wyłożyć osiemset dolców i można kopiować na taśmy wideo filmy robione kamerą filmową i fotografie. O wiele przyjemniej je oglądać.

Kevin pisnął niechcący. Pop uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Yhy. Zrobiłeś tym swoim aparatem pięćdziesiąt osiem zdjęć i wszyscyśmy spostrzegli, że każde trochę różni się od poprzedniego i zdaje mi się, że wiemy, co to znaczy, ale chciałem się przekonać. Nie musisz być niedowiarkiem z Missouri, żeby mówić „pokaż mi”, o to mi chodzi.

- Próbowalesz pan zrobić film z tych zdjęć? - zapytał pan Delevan.

- Nie próbowałem. Zrobiłem. Albo raczej ten znajomy z miasta zrobił. Ale pomysł wyszedł ode mnie.

- Powstał z nich film? - spytał Kevin. Rozumiał intencje Popa i trochę go smuciło, że sam na to nie wpadł, ale pomysł napawał go zdumieniem (i zachwytem).

- Zobaczcie sami - powiedział Pop i włączył telewizor. - Pięćdziesiąt osiem zdjęć. Kiedy ten gość kopiuje fotki, przeważnie daje na każdą pięć sekund - mówi, że to dość, aby się przyjrzeć, ale nie dość, aby się znudzić. Powiedziałem mu, że chcę na swoje po sekundzie. Bez ściemniania i rozjaśniania.

Kevin wspominał, jak urozmaicał sobie czas w podstawówce, kiedy między lekcjami wypadło trochę luzu. Miał mały tani notatnik. Tak zwany Szkolny Tęczowy Notatnik, bo było w nim trzydzieści stron żółtych, potem trzydzieści różowych, potem trzydzieści zielonych i tak dalej. Zabawa polegała na tym, że na dole ostatniej strony szkicowało się człowieczka w

długich gatkach rozkładającego ręce. Na następnej stronie rysowało się w tym samym miejscu takiego samego człowieczka w takich samych gatkach, tylko z trochę bardziej uniesionymi rękami... ale tylko trochę. Takie rysunki robiło się na kolejnych stronach, aż człowieczek złożył ręce nad głową. A potem, jeśli zostało czasu, rysowało się człowieczka, tylko że z rękami opadającymi. Szybko przewracając kartki, oglądało się niezdarną kreskówkę o bokserze cieszącym się z zadanego nokautu. Podnosił ręce nad głowę, składał, potrząsał, opuszczał.

Kevin zadrżał. Ojciec spojrzał na niego. Kevin pokręcił głową i wymamrotał:

- Nic.

- Więc o to mi chodzi, że taśma trwa tylko koło minuty - powiedział Pop. - Musicie patrzeć uważnie. Gotowi?

„Nie”, pomyślał Kevin.

- No chyba. - Pan Delevan nadal niby zrzędził niecierpliwie, ale Kevin był pewien, że ojciec wbrew sobie jest zaciekawiony.

- W porządku - powiedział Pop Merrill i wcisnął odtwarzanie.

\*

Kevin powtarzał sobie w kółko, że bać się jest głupotą. Powtarzał to sobie, ale bez skutku.

Wiedział, co zobaczy, ponieważ razem z Meg spostrzegli, że polaroid nie tylko reprodukuje w kółko ten sam obrazek, jak fotokopiarka. Szybko wpadli na to, że fotografie zarejestrowały ruch.

- Popatrz - powiedziała Meg. - Pies się rusza!

Zamiast odpowiedzieć przyjacielskim-ale-pełnym-irytacji przytykiem, których zwykle nie skąpił młodszej siostrzyczce, Kevin rzekł:

- Na to wygląda... ale nie na pewno, Meg.

- Ależ na pewno.

Znajdowali się wtedy w jego pokoju. Kevin ponuro przyglądał się aparatowi, który leżał na środku biurka, obok nowych podręczników czekających bezskutecznie na obłożenie. Meg skierowała jasny krąg światła lampy na bibularz. Aparat odsunęła na bok i umieściła pierwsze zdjęcie - to z kawałkiem lukru - w smudze światła.

- Policz żerdzie między tyłkiem psa a prawym brzegiem zdjęcia.

- To są sztachety, nie żerdzie. Wyglądają jak gile z twojego nosa.

- Ha, ha. Policz.

Policzył. Widział cztery i część piątej, gdyż nieforemny psi zad prawie ją zasłaniał.

- Teraz popatrz na tę fotografię.

Położyła przed nim czwarte zdjęcie. Ujrzał pięć sztachet w całości i część szóstej.

Wiedział więc teraz, że zobaczy coś pośredniego między bardzo prymitywną kreskówką a przewracanką, jakie robił w podstawówce, kiedy czas włókł się niemiłosiernie.

Ostatnie dwadzieścia pięć sekund taśmy rzeczywiście sprawiało takie wrażenie, choć zdaniem Kevina jego przewracanki były naprawdę lepsze... bokser poruszał się płynniej. Tu akcja szła takimi podrygami i skokami, że przy nich stare nieme filmy z glinami Keystone'a zasługiwały na miano arcydzieł współczesnej kinematografii.

Ale właśnie akcja sprawiła, że wszyscy - nawet Pop - patrzyli jak zakłęci. Trzykrotnie obserwowali minutową sekwencję. Słysząc było tylko oddechy: szybki, łagodny Kevina, głębszy ojca i zaflegmiony charkot w zapadłej piersi Popa.

A jakieś pierwsze trzydzieści sekund...

Tak, oczekiwał akcji. Akcja była w przewracankach i w niedzielnych porannych kreskówkach, które stanowiły jedynie trochę bardziej wzbogaconą wersję przewracanek, ale nie spodziewał się, że pierwsze trzydzieści sekund nie będzie przypominało szybko przewracanych kartek notesu ani nawet telewizyjnej kreskówki w rodzaju „Possible Possum”. Przez pierwsze trzydzieści sekund (przynajmniej dwadzieścia osiem) polaroidowe fotografie dziwnie przypominały prawdziwy film. Oczywiście nieporównywalny z hollywoodzką produkcją ani nawet niskobudżetowym horrorem w rodzaju ulubionych obrazów Megan, o których wypożyczenie dręczyła go niemiłosiernie, kiedy rodzice wychodzili wieczorem. To, co się pokazało, przypominało bardziej urywki domowego filmiku zrobionego przez kogoś, kto niedawno nabył ośmiomilimetrową kamerę i jeszcze za dobrze nie umie się nią posługiwać.

Podczas tych pierwszych dwudziestu ośmiu sekund czarny kundel szedł ledwo zauważalnymi podrygami wzdłuż płotu, odsłaniając pięć, sześć, siedem sztachet. Nawet zatrzymał się, żeby obwąchać jedną, prawdopodobnie czytając psi telegram. Ruszył dalej. Zwiesił łeb przy płocie, ogon wystawił do aparatu. Kevin w połowie pierwszej sekwencji zauważył coś, co poprzednio uszło jego uwagi: fotografujący (lub fotografująca) chyba poruszyli aparatem, chcąc utrzymać psa w obiektywie. Inaczej pies najzwyczajniej wyszedłby z kadru i do oglądania zostałby sam płot. Te sztachety, które znajdowały się z prawego brzegu pierwszych fotografii, znikły, a z lewego brzegu wyrosły nowe. Dało się to ustalić, ponieważ czubek jednej z tych prawobrzeżnych sztachet był złamany. Teraz znikł.

Pies zaczął znów obwąchiwać płot... i podniósł łeb. Postawił zdrowe ucho. Drugie, rozdarte w dawnej walce, nieruchome i kalekie, usiłowało zrobić to samo. Z taśmy nie

dobiegał dźwięk, ale Kevin miał niezachwianą pewność, że pies zaczyna warczeć. Pies poczuł kogoś lub coś. Kogo? Co?

Kevin popatrzył na cień, który w pierwszym odruchu zlekceważyli, uznając za ślad jakiegoś konaru lub słupa telefonicznego. Teraz zrozumiał, co widzi.

Psi łeb poruszył się... i wtedy zaczęła się druga połowa tego dziwnego filmu, trzydzieści sekund rwanej akcji, od której bolała głowa i oczy piekły. Pop miał dobre przeczucie, pomyślał Kevin, a może nawet czytał gdzieś wcześniej o czymś podobnym. Tak czy owak, cokolwiek przeczuł, sprawdziło się i było aż nazbyt oczywiste. Otóż kiedy zdjęcia robiono w krótkich odstępach czasu (jeśli nie jedno bezpośrednio po drugim), akcja w tej namiastce filmu była prawie płynna. Nie płynna, ale prawie płynna. Ale kiedy fotografie robiono rzadziej, oglądanie groziło oczopląsem. Zamiast filmu lub serii zdjęć widziało się wszystko i nic.

Czas płynął w tamtym płaskim, polaroidowym świecie. Nie z taką samą szybkością jak w tym,

(„prawdziwym?”) gdyż inaczej słońce weszłoby tam (lub zaszło) ze trzy razy, a pies dawno zrobiłby to, co zamierzał zrobić, jeśli miał coś do zrobienia, a jeśli nie, zwyczajnie poszedłby sobie i zostałby tylko nieruchomy, i, zdawało się, wieczny płot, strzegący apatycznego skrawka trawnika - ale czas płynął.

Psi łeb odwracał się, żeby spojrzeć na fotografa rzucającego cień. Psi łeb trząsł się jak w ataku gorączki. W jednej chwili pysk, a nawet cały łeb, był zasłonięty tym oklapłym uchem, potem pojawiło się czarnobrazowe oko w okrągłej i nieco śluzowatej obwódce, której widok skojarzył się Kevinowi z białkiem zgniętego jajka. Następnie pojawiło się pół pyska: lekko zmarszczone wargi, jakby pies zbierał się do szczeknięcia lub warknięcia, a wreszcie trzy czwarte pyska okropniejszego niż u jakiegokolwiek psa, nawet złego. Siwe kropki dowodziły, że nie jest już młody. Na samym końcu taśmy psie wargi wykrzywiły się wściekle i błysnęło coś białego. Kevin pomyślał, że to ząb. Zauważył go dopiero za trzecim obejrzeniem taśmy. Do tej pory widział tylko oko. Oko mordercy. Ten kundel był samotnikiem do szpiku kości. I nie miał imienia, to również Kevin wiedział. Wiedział bez cienia wątpliwości, że żaden polaroidowy mężczyzna czy polaroidowa kobieta, czy polaroidowe dziecko nie nazwali tego polaroidowego psa. Był przybłędą, urodził się przybłędą, rósł przybłędą, wyrósł na starego i złego przybłędę, wcielenie wszystkich bezpańskich i bezdomnych psów, które kiedykolwiek wędrowały po ziemi, mordując kurczętą, wyjadając odpadki z pojemników na śmieci - dawno nauczyły się przewracać -

śpiąc w przepustach pod drogami i pod werandami opuszczonych domów. Rozum miał stępniały, ale zmysły wyostrzone i wściekłe. Ten...

Kiedy Pop Merrill się odezwał, Kevin, głęboko pogrążony w myślach, mało nie wrzasnął.

- Co z człowiekiem, który robił te zdjęcia? Jeśli ktoś je zrobił, o to mi chodzi. Jak myślicie, co się z nim stało?

Pop zatrzymał film na ostatnim zdjęciu. Przez ekran biegły zniekształcenia. Kevin wolałby, żeby biegły na wysokości psiego oka, ale ich linia wypadła poniżej. Oko gapiło się na nich, groźne, z kretyńsko morderczym wyrazem - nie, nie było kretyńskie, nie całkiem, dlatego nie wzbudzało tylko strachu, ale i grozę - i nikt nie musiał odpowiadać na pytanie Popa. Nie trzeba było oglądać następnych zdjęć, żeby zrozumieć, co nastąpi. Pies chyba coś usłyszał. Na pewno. Kevin wiedział, co. Usłyszał ciche ślurknięcie.

Na następnych fotografiach zwróci się pyskiem do obiektywu, wypełni zdjęcie bez reszty. Zniknie apatyczny kawałek trawnika, płot, chodnik, cień. Zostanie sam pies.

Który zaatakuje.

Który - jeśli tylko zdoła - zabije.

- Nie wydaje mi się, żeby lubił pozować do fotografii - powiedział Kevin bezdźwięcznie, głosem, który zabrzmiał mu obco we własnych uszach.

Krótki śmiech Popa rozległ się jak trzask wyschłych gałązek, łamanych na podpałkę.

- Przewiń pan to - powiedział Delevan.

- Chce pan obejrzeć jeszcze raz całość? - zapytał Pop.

- Nie... tylko jakieś ostatnie dziesięć sekund.

Pop cofnął taśmę, nacisnął PLAY. Pies odwracał głowę konwulsyjnym ruchem starego, wysłużonego robota, który jednak nadal potrafi być niebezpieczny. Kevin miał na końcu języka: „Zatrzymajcie to. Zatrzymajcie. Wystarczy. Zatrzymajcie i zniszczmy aparat”. Ponieważ dojrzał coś jeszcze. Coś, o czym wolał nie myśleć, ale wkrótce będzie zmuszony pomyśleć, czy mu się to podoba, czy nie. Miał wrażenie, że ta myśl wyłania się z głębi jego umysłu, jak z oceanu wyłania się szeroki grzbiet wieloryba.

- Jeszcze raz - powiedział pan Delevan. - Stopkłatkami. Da się to zrobić?

- Yhy - powiedział Pop. - Ta cholerna maszyna tylko nie pierze. - Tym razem oglądali po jednym ujęciu, po jednej fotografii. Teraz pies nie przypominał robota, przynajmniej nie całkiem, ale jakiś dziwny zegar z rupieciarni Popa. Podryg. Podryg. Podryg. Łeb się odwraca. Niebawem spojrzy na nich to bezlitosne, nie-tak-całkiem-kretyńskie oko.

- Co to jest? - zapytał pan Delevan.

- A o co chodzi? - zapytał Pop, jakby nie wiedział, że Delevan pyta o rzecz, o której Kevin nie chciał mu powiedzieć kilka dni temu, a która, był tego pewien, wpłynęła na decyzję chłopaka, żeby raz na zawsze pozbyć się aparatu.

- Na szyi - wyjaśnił pan Delevan i pokazał palcem. - Nie nosi obroży ani identyfikatora, ale na szyi coś ma. Na sznurku albo cienkiej lince.

- Nie wiem - Pop był niewzruszony. - Może twój chłopak wie. Młodziaki mają bystrzejsze oczy niż my, stare dziadki.

- Wiesz, co to może być? - zwrócił się do Kevina pan Delevan.

- Ja... To jest bardzo małe.

Powrócił myślami do słów ojca: „Jak cię nie zapyta, nie musisz jej o tym mówić... W taki właśnie sposób załatwiamy sprawy w dorosłym świecie”. W tej chwili ojciec zapytał go, czy domyśla się, co wisi psu na szyi. Kevin w gruncie rzeczy nie odpowiedział na pytanie: powiedział coś całkowicie obok. „To jest bardzo małe”. Bo było. A że jednak wiedział, co to jest... no cóż...

Jak to ojciec nazwał? Ocieranie się o kłamstwo?

I faktycznie to nie widział tego. Faktycznie to nie. Ale wiedział, co to jest. Oczy rozpoznawały. Serce wiedziało. Tak jak wiedziało, że jeśli się nie myli, aparat musi być zniszczony. Musi.

W tejże chwili Pop Merrill wpadł na znakomity pomysł. Podniósł się i wyłączył telewizor.

- Na dole mam zdjęcia. Przyniosłem razem z taśmą. Sam przyglądałem się temu przez lupę, ale nie potrafiłem rozpoznać, co to może być... choć wygląda znajomo, niech mnie piorun strzeli. Zaczekajcie, skoczę na dół po zdjęćka i moje szkiełko.

- Przecież możemy iść z tobą - powiedział Kevin. Była to ostatnia rzecz, jakiej Pop pragnął, ale wtedy wkroczył Delevan, niech go Bóg błogosławi, i powiedział, że może zechce zerknąć jeszcze raz na taśmę, gdy obejrzy zdjęcia.

- Za minutkę wracam - powiedział Pop i skoczny jak ptaszek, który hasa sobie po gałązkach jabłoni, przepadł, zanim któryś z nich zdążył zaprotestować, jeśli któryś miał dość przytomności umysłu, żeby pomyśleć o proteście.

Kevin nie miał. Myśl sprzed chwili wreszcie wyłoniła z głębi swój monstrualny grzbiet i, chcąc nie chcąc, był zmuszony jej się przyjrzeć.

Była tak zwyczajna jak grzbiet wieloryba - przynajmniej w oczach kogoś, kto nie utrzymuje się z obserwacji wielorybów - i równie kolosalna.

Nie było to żadne domniemanie, ale żelazny pewnik. Miał związek z tą dziwną płaskością, z cechą, którą zdjęcia polaroidowe zawsze zdają się odznaczać, z tym sposobem, w jaki pokazują wszystko tylko w dwóch wymiarach, choć jest to przecież cecha wszystkich fotografii. Ale inne zdjęcia przynajmniej wydają się trójwymiarowe, nawet te robione prostym kodakiem 110.

Świat w jego fotografiach, którego nigdy nie zobaczył przez wizjer suna 660 ani w żaden inny sposób, był właśnie taki: bezwstydnie dwuwymiarowy.

Z wyjątkiem psa.

Pies nie był płaski. Pies nie był pozbawiony znaczenia. Nie należał do świata znanego, ale nie oddziałującego emocjonalnie. Pies nie tylko wydawał się trójwymiarowy, ale jakby miał trzy wymiary, podobnie jak bywa na hologramach albo trójwymiarowych filmach, które należy oglądać w specjalnych okularach, skalających na soczewce oka podwójny obraz.

„To nie jest polaroidowy pies i nie należy do świata polaroidowych fotografii. To wariacka myśl, wiem, ale to prawda. Ale co to oznacza? Dlaczego mój aparat wypuszcza w kółko jego zdjęcia? Jaki polaroidowy mężczyzna lub polaroidowa kobieta trzaska mu fotki? Czy on lub ona chociaż go widzi? Jeśli to jest trójwymiarowy pies w dwuwymiarowym świecie, może on lub ono nie widzi go... nie może go zobaczyć. Mówią, że dla nas czwartym wymiarem jest czas. Wiemy, że tak jest, ale nie widzimy go. Tak naprawdę to nie czujemy nawet upływu czasu, choć z drugiej strony czasami, zwłaszcza kiedy się nudzimy, wydaje się nam, że czujemy, jak mija”.

Ale na dobrą sprawę wszystko to mogło nie mieć znaczenia, a poza tym te problemy były dla Kevina za bardzo skomplikowane. Inne wydawały się o wiele ważniejsze, decydujące o życiu, a nawet śmierci.

Na przykład: dlaczego ten pies był w jego aparacie? Czy chce czegoś od niego, czy od kogoś? Na początku myślał, że chodzi o kogoś, ponieważ ktoś może robić zdjęcia psa i akcja będzie posuwała się naprzód. Ale to coś na psiej szyi, to coś niebędące obrożą... to coś miało związek z nim, Kevinem Delevanem i nikim innym. Czy ten pies zamierzał zrobić coś jemu? Jeśli odpowiedź na to pytanie brzmiała „tak”, należało dać sobie spokój ze wszystkimi innymi, ponieważ było jasne jak najjaśniejsza cholera, co zamierzał. Widać to było po ponurym oku, obnażonych kłach. Kevin pomyślał, że pies chce zrobić dwie rzeczy.

„Najpierw wydostać się.

Potem zabić.

Tam jest mężczyzna lub kobieta z aparatem. Może nawet nie widzą tego psa. I jeśli fotograf nie widzi psa, może pies nie zobaczy jego lub jej i on lub ona są bezpieczni. Ale jeśli



pies naprawdę jest trójwymiarowy, może wygląda poza polaroidowy świat - może widzi tego, kto używa mojego aparatu. Może więc nie chodzi jednak o mnie, może ja jednak nie jestem tu najważniejszy, może celem ataku jest ten, kto używa aparatu”.

Ale... ten przedmiot wiszący na psiej szyi. Co z tym?

Pomyślał o mrocznym oku kundla, które przed głupotą ratowała złowrózna iskra. Bóg wie, jakim sposobem pies dostał się do tego polaroidowego świata, ale kiedy robiło mu się zdjęcie, mógł z niego wyzierać i chciał z niego wyjść, i Kevin całym sercem wierzył, że pies chciał zabić przede wszystkim jego; to coś wiszące na psiej szyi mówiło, że chce zabić przede wszystkim jego, głosiło, że chce zabić jego przede wszystkim, ale potem?

„No cóż, pomyślał Kevin, potem każdy będzie dobry. Byle kto”.

W pewien sposób przypominało to jakąś zabawę z dzieciństwa, no nie? To było jak Wielki Krok. Pies szedł sobie wzdłuż płotu. Pies usłyszał polaroid, to ciche ślurpienie. Odwrócił się i zobaczył... co? Swoją własny świat czy wszechświat? Wszechświat na tyle przypominający mu własny świat, że pies poczuł, iż może żyć w nim i polować? To nieważne. Ponieważ za każdym razem, kiedy ktoś robił psu zdjęcie, pies zbliżał się. Będzie się zbliżał bardziej i bardziej aż... no właśnie, aż co? Aż w jakiś sposób wyrwie się z aparatu?

- To głupie - zamruczał. - W ogóle nie trzyma się kupy.

- Co? - spytał ojciec, wytrącony z zamyślenia.

- Nic - powiedział Kevin. - Tak tylko mówiłem do siebie... Wtem z dołu dobiegł głos Popa Merrilla, przytłumiony, lecz wyraźny. Brzmiało w nim zmieszanie, zdenerwowanie i zaskoczenie:

- Żeby to piekło pochłonęło! Jasna cholera! Kevin i ojciec spojrzeli po sobie.

- Zobaczymy, co się stało - powiedział ojciec i wstał. - Mam nadzieję, że nie spadł ze schodów i nie złamał sobie ręki czy czegoś. Znaczący, właściwie nie miałbym nic przeciwko temu, ale... wiesz.

„A co, jeśli robił zdjęcia? A co, jeśli pies tam jest?”.

W głosie starego człowieka nie było strachu. Oczywiście, nie istniała żadna możliwość, żeby pies o wymiarach średniego wilczura zdołał przedostać się przez aparat fotograficzny sun 660 albo przez robione nim fotografie. Równie dobrze można było próbować przeciągnąć pralkę przez dziurkę od klucza.

A mimo to kiedy Kevin schodził za ojcem do ciemnej rupieciarni, bał się za dwóch. Za trzech.

\*

Zbiegając w dół schodami, Pop Merrill był szczęśliwy jak lis, który umknął przed sforą do nory.

W razie potrzeby gotował się zrobić podmianę na oczach ojca i syna. W obecności samego chłopca byłoby to trudne. Syn jeszcze nie nabrał przekonania, że zjadł wszystkie rozumy, ale tata - aaa, nabranie tego ptaszka to dziecinna sztuczka. Czy stary opowiedział chłopcu o swoich niegdysiejszych tarapatach? Chłopak spoglądał teraz inaczej, ostrożnie. Więc tak. A cóż jeszcze tatuś zapodał synusiowi? No, pomyślmy. „Czy pozwala ci mówić sobie Pop? To znaczy, że szykuje się wyciąć ci numer” - oto wstęp. „To trująca i podstępna żmija, synu” - oto etap środkowy. I oczywiście ukoronowanie całości: „Pozwól, że ja będę mówił, chłopcze. Znam go trochę lepiej niż ty. Pozwól, że zajmę się wszystkim”. Pop myślał o Delevanie z takim uczuciem, z jakim inni myślą o półmisku smażonego kurczaka, pełnym miękkiego, smakowitego, soczystego, kruchego mięska. Kiedyś Delevan zachował się jak dzieciak, ale nie pojął, że to nie Pop wepchnął mu paluch między drzwi. Sam do tego doprowadził. Facet mógł pójść do żony, żona mogła podoić tę starą zrzędę, ciotkę, która siedziała chudą dupą na stosie studolarówek, Delevan zostałby odstawiony od małżeńskiego łóża na czas jakiś, ale przecież nie na wieczność. A nie tylko tego nie zrobił. Nawet na to nie wpadł. A teraz zgłupiał do tego stopnia, że zdaje mu się, iż przejrzał na wylot Reginalda Mariona Merrilla.

Nic nie mogło sprawić Popowi większej przyjemności.

No cóż, podmieniłby aparaty przed nosem faceta i Delevan w życiu nie połapałby się, w czym rzecz - taki był pewny, że wie wszystko o starym Popie.

Ale powstała sytuacja wygodniejsza.

Nigdy nie proś pani Fortuny o randkę. Już taka jest, że wystawia facetów do wiatru wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebują. Ale jeśli wpada z własnej i nieprzymuszonej... no cóż, wtedy trzeba cisnąć wszystko w kąt i zaprosić ją na bankiet, na którym wino leje się strumieniami, a stoły uginają się od żarcia. Ta dziwka zawsze da, tylko o nią dbaj.

Podszedł więc szybko do warsztatu, schylił się, wyciągnął z mroku polaroid 660 z pękniętym obiektywem. Położył go na warsztacie, wyjął z kieszeni pęk kluczy (szybko spojrzął przez ramię, aby się upewnić, że żaden z Delevanów nie zszedł na dół), wybrał kluczyk, otworzył zamek głębokiej szuflady zajmującej całą lewą stronę warsztatu. Znajdowało się tu sporo złotych krugerrandów, album znaczków, z którego najtańszy okaz był wart według najświeższej edycji „Scott Stamp Catalogue” sześćset dolarów; kolekcja monet warta w przybliżeniu dziewiętnaście tysięcy dolarów; kilkadziesiąt błyszczących

fotografii kobiety o kaprawych oczach, związanej seksualnym uściskiem z kucykiem szetlandzkim, i zapas gotówki, około dwóch tysięcy dolarów.

Gotówka, upchana w różnych cynkowanych puszkach, była przeznaczona na pożyczki. John Delevan rozpoznałby banknoty. Pogniecioną dycha w pogniecioną dychę.

Pop umieścił Kevinowy polaroid w szufladzie, zamknął ją na klucz, klucze schował do kieszeni. Następnie strącił na podłogę aparat fotograficzny z pękniętym obiektywem i wrzasnął:

- Żeby to piekło pochłonęło! Jasna cholera!

Zrobił to głośno w sam raz, żeby ojciec i syn usłyszeli. Następnie przybrał stosowny wyraz zmieszania i smutku i czekał, aż przypędzą, żeby sprawdzić, co się stało.

- Pop?! - zawołał Kevin. - Panie Merrill? Nic się panu nie stało?!

- Nic. Żadnych strat, poza uszczerbkiem na cholernej dumie. Ten aparat chyba jest pechowy. Schyliłem się do szuflady z narzędziami, o to mi chodzi, i strąciłem to kurestwo na podłogę. Tylko że mnie nie upiekło się jak tobie. Nie wiem, czy powinienem mówić, że mi przykro, czy jak. Chodzi o to, że ty chciałeś...

Przepraszającym gestem podał aparat Kevinowi, który wziął go, spojrzął na pęknięte szkła obiektywu i potrzaskany plastikowy korpus.

- Nie, nie ma sprawy - powiedział Kevin. Obracał aparat w rękach, ostrożnie, z wahaniem, jakby rzecz była zbudowana nie z plastiku i szkła, ale z jakiegoś materiału wybuchowego. - I tak zresztą chciałem go zniszczyć.

- No to zaoszczędziłem ci kłopotu.

- Wolałbym... - Kevin urwał.

- Yhy, yhy. To tak jak u mnie z myszą. Śmieście się, jak chcecie, ale jak która wpadnie w pułapkę i zdechnie, i tak walę ją miotłą. Dla samej pewności, o to mi chodzi.

Kevin uśmiechnął się słabo i popatrzył na ojca.

- On powiedział, że ma kłoc do rąbania drzewa za domem, tato...

- I całkiem poręczny młot w szopie, jeśli mi go kto nie gwizdnął.

- Nie masz nic przeciwko temu, tato?

- To twój aparat, Kev - powiedział Delevan. Zerknął na Popa nieufnie, ale było to zerknięcie wyrażające nieufność generalną, a nie wypływające z jakichś szczególnych powodów.

- Dobrze - zgodził się Kevin. Z piersi spadł mu ogromny ciężar - nie, z serca. Aparat z pękniętym obiektywem był nie do użytku... ale Kevin czuł, że naprawdę odetchnie, gdy

szczątki polaroidu spoczną wokół kloca Popa. Obracał aparat w rękach rozbawiony i zaskoczony radością, jaką wzbudzał w nim zniszczony sprzęt.

- Myślę, że powinienem zwrócić panu za aparat, Delevan - powiedział Pop. Wiedział dokładnie, jak facet zareaguje.

- Nie - zaprotestował Delevan. - Rozwalmy go i zapomnijmy, że całe to wariactwo w ogóle się wyda... Prawie zapomniałem. Mieliśmy spojrzeć przez pańską lupę na ostatnie fotografie. Chciałem się przekonać, co ten pies nosi. Ciągle mi się to z czymś kojarzy.

- Może najpierw pozbadźmy się aparatu. Dobra, tato? - spytał Kevin.

- Pewnie.

- A wtedy - powiedział Pop - niegłupio byłoby spalić i zdjęcia. Można to zrobić i tu, w moim piecu.

- Myślę, że to całkiem niezła myśl - powiedział Kevin. - Co o tym sądzisz, tato?

- Sądzę, że pani Merrill nie wychowała żadnego dziecka na głupka.

- Ano - Pop uśmiechnął się tajemniczo spoza kłębow siwego dymu - wiecie, nas była piątka.

\*

Gdy Kevin i jego ojciec szli do „Emporium Galorium”, niebo, jak przystało na idealny jesienny dzień, było jasnoniebieskie. Teraz dochodziło wpół do piątej, chmury zakryły niebo prawie całkiem i wyglądało na to, że przed zmrokiem może spaść deszcz. Kevin poczuł na rękach pierwszy prawdziwy chłód jesieni. Gdyby zostawał długo na dworze, roztarłby je mocno, ale nie miał takich planów. Mama zjawi się w domu za pół godziny i Kevin już się zastanawiał, co powie, gdy zobaczy go z tatą, i co na to odpowie tata. Ale to był problem na potem.

Kevin położył suna 660 na kloca do rąbania drzewa stojącym na małym podwórku i Pop Merrill wręczył mu duży młot. Stylisko było śliskie od używania, żelazo zardzewiało, jakby ktoś niedbale zostawił młot na deszczu nie raz i nie dwa, ale wielokrotnie. Ale wypełni swe zadanie. Bez wątpienia. Polaroid, z pękniętym obiektywem i większą częścią korpusu również zniszczoną, wyglądał krucho i bezbronnie na pociętej, porozbijanej i popękanej powierzchni kloca, do której raczej pasowała czekająca na porąbanie gałąź jesionu lub klonu.

Kevin zacisnął ręce na gładkim stylisku.

- Jesteś pewien, synu? - zapytał pan Delevan.

- Tak.

- W porządku. - Ojciec Kevina zerknął na zegarek. - No to wal.

Pop stał z boku, ścisnął fajkę w obrzydliwych zębach, ręce schował do kieszeni. Chytre spojrzenie przenosił z syna na ojca i z powrotem, ale nie odzywał się.

Kevin podniósł młot i nagle wezbrała w nim złość na aparat. Zaskoczony uczuciem, którego istnienia w sobie nawet nie podejrzewał, spuścił młot w dół ze wszystkich sił, jakie zdołał z siebie wykrzesać.

„Za mocno, przemknęło mu przez myśl. Nie trafisz. Będziesz miał szczęście, jeśli nie zmiażdżysz sobie stopy, a to będzie dalej leżało, pusty kawałek plastiku, który byle dzieciak może zgnieść bez wysiłku. Nawet jak ci się uda i nie walniesz się w stopę, Pop spojrzy na ciebie. Nic nie powie. Po co. Wszystko wyrazi spojrzeniem”.

I jeszcze: „Trafię czy nie, to bez znaczenia. Tu działa magia, to jakiś magiczny aparat i z tym nie wygrasz. Nawet jeśli trafisz w dychę, młot odbije się jak pocisk od piersi Supermana”.

Ale na dalsze myślenie nie było czasu, ponieważ młot trafił dokładnie w aparat. Kevin rzeczywiście zamachnął się za mocno, żeby móc panować nad narzędziem, ale miał szczęście. Młot nie odbił się, nie trafił go między oczy, nie zabił go, jak to bywa w finałach horrorów.

Polaroid nie tyle rozpadł się, co wybuchnął. Czarny plastik frunął na wszystkie strony. Długi prostokąt ze świecącym czarnym kwadratem na końcu - to chyba było nigdy nie zrobione zdjęcie - spadł na wydeptaną ziemię obok kloca, ekspozycją do ziemi.

Na chwilę zapanowała cisza tak absolutna, że słyszeli nie tylko samochody z Lower Main Street, ale i dzieci bawiące się w gonionego pół kwartału dalej, na parkingu za „Wardelfs Country Store”, który zbankrutował dwa lata temu i od tej pory stał pusty.

- A to dopiero - powiedział Pop. - Machnąłeś tym młotem jak jakiś siłacz z legendy, Kevin! Niech mi język kołkiem stanie, jeśli tak nie było. Nie trzeba - zwrócił się do pana Delevana, który zbierał kawałki plastiku tak pieczołowicie jak kawałki szklanki strąconej na podłogę. - Mam chłopaka, który przychodzi i sprząta podwórko co jakiś tydzień. Wiem, że tu nie wygląda jak powinno, ale jakby tego chłopaka zabrakło... Jezu!

- Teraz może rzucilibyśmy okiem przez pańską lupę na te zdjęcia - powiedział pan Delevan. Kawałki plastiku wrzucił do stojącego nie opodal zardzewiałego piecyka do spalania śmieci. Otrzepał ręce.

- W porządku.

- I potem spał je - powiedział Kevin. - Nie zapomnij.

- Nie zapomnę - przyrzekł Pop. - Też poczuję się lepiej, kiedy ich już nie będzie.

\*

- Jezu! - wykrzyknął pan Delevan. Pochylony nad warsztatem Popa Merrilla wpatrywał się przez podświetlaną lupę w przedostatnią fotografię. Tu przedmiot wiszący na psiej szyi był najwyraźniejszy. Na ostatniej fotografii znikł z pola widzenia. - Kevinie, spójrz i powiedz, czy się mylę.

Kevin wziął lupę do ręki i spojrział. Oczywiście wiedział, co zobaczy, ale patrzył nie tylko dla świętego spokoju. Z taką samą fascynacją musiał Clyde Tombaugh patrzeć pierwszy raz na fotografię Plutona. Tombaugh wiedział wcześniej, gdzie szukać planety. Zbliżone odchylenia orbit Neptuna i Urana wskazały mu to dokładnie. Jednak wiedza na jakiś temat, nawet dokładna, nie pozbawia nas fascynacji, z którą oglądamy to coś po raz pierwszy.

Zwolnił przycisk i oddał lupę Popowi.

- Taaa... - powiedział do ojca. - Nie mylisz się.

Głos chłopca był tak płaski... tak płaski jak to, co widzieli w polaroidowym świetle, i Kevin miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Zdusił go w sobie, nie dlatego, że byłoby to nie na miejscu (choć może i było nie na miejscu), ale ponieważ śmiech zabrzmiałby... no cóż... płasko.

Pop czekał i kiedy zrozumiał, że musi ostro wkroczyć, żeby dano mu spojrzeć na zdjęcie, powiedział:

- No, nie każcie mi tu przestępować z nogi na nogę! Co to jest, u diabła?!

Kevin, jak i poprzednio, czuł opór przed wyznaniem prawdy. Było to zupełnie bezpodstawne uczucie, ale...

„Nie rób z siebie takiego cholernego głupek! Pomógł ci, kiedy byłeś w tarapatkach, i nieważne, jak zbijają forsę. Powiedz mu co trzeba, spal zdjęcia i wynoś się stąd, zanim te wszystkie zegary zaczną bić piątą”.

Tak. Jeśli pozostanie tu do piątej, to chyba czeka go wysiadka. Dostanie kompletnego świra i odwiozą go do wariatkowa, bełkocącego o prawdziwych psach w polaroidowym świetle i aparatach fotograficznych, które robią w kółko to samo zdjęcie, tyle że nie całkiem to samo.

- Aparat polaroidowy dostałem na urodziny - usłyszał swój własny, wciąż ten sam, płaski głos. - Pies nosi na szyi inny podarek.

Pop z wolna zsunął okulary na płaską kopułę czaszki i zmrużył oczy.

- Jakoś nie chwytam, synu.

- Mam ciotkę - wyjaśnił Kevin. - Tak naprawdę to siostra mojej babci, nie mamy, ale zwracamy się do niej „ciociu”, bo mówi, że inaczej czułaby się staro. Ciotka Hilda. W

każdym razie mąż ciotki Hildy zostawił jej dużo pieniędzy - mama mówi, że jest warta ponad milion dolarów - ale to kutwa.

Przerwał, aby przeczekać spodziewany protest ojca, ale ojciec tylko uśmiechnął się kwaśno i pokiwał głową. Pop Merrill, który wiedział wszystko o tej sytuacji (prawdę mówiąc w Castle Rock i okolicach niewiele było rzeczy, o których by Pop nie wiedział), powstrzymał ciekawość i czekał, aż chłopak upora się z oczywistościami i puści farbę na temat rzeczy istotnych.

- Ona przyjeżdża do nas co trzy lata na Boże Narodzenie i wtedy wyjątkowo chodzimy do kościoła, ponieważ ona chodzi do kościoła. Kiedy ciotka Hilda przyjeżdża, jemy dużo brokułów. Nikt z nas nie lubi brokułów, a mojej siostrze chce się od nich rzygać, ale ciotka Hilda bardzo lubi brokuły, więc jemy. W spisie lektur wakacyjnych była taka książka, *Wielkie nadzieje* i w tej książce występowała taka pani. Uwielbiała obnosić się ze swoim bogactwem przy krewnych. Nazywała się panna Havisham. Kiedy panna Havisham zgięła paluszek, krewni robili pieska. My robimy pieska i wydaje mi się, że reszta rodziny także.

- Och, przy wuju Randym mama to szczyt niezależności - nieoczekiwanie odezwał się pan Delevan. Silił się na cyniczne rozbawienie, ale w jego słowach wyczuwało się głęboką, żrącą gorycz. U wuja Randy'ego, kiedy ciotka Hilda zegnije paluszek, wszystkim wyrastają merdające ogonki.

- W każdym razie - powiedział Kevin do Popa - co roku posyła mi to samo na urodziny. To znaczy każdy jest inny, ale w gruncie rzeczy jest to to samo.

- Co takiego ci posyła, chłopcze?

- Sznurkowy krawat. Taki, jakie noszą ci faceci w starych kapelach country. Zapinka co roku jest inna, ale zawsze przychodzi sznurkowy krawat.

Pop złapał za lupę i pochylił się nad zdjęciem.

- Niech mnie dunder świnię! - krzyknął, prostując się. - Sznurkowy krawat! Właśnie to, nic innego! Jak mogłem na to nie wpaść?!

- Chyba dlatego, że trudno się spodziewać, żeby pies nosił coś takiego na szyi - powiedział Kevin tym samym drewnianym głosem.

Byli tu zaledwie jakieś czterdzieści pięć minut, ale czuł się starszy o piętnaście lat. „Pamiętaj jedno, powtarzał sobie w myśli, aparat przestał istnieć. Zostały po nim tylko odłamki. I nic nie poradzą wszystkie króla konie i wszyscy żołnierze. Nawet wszyscy faceci w fabryce polaroidów w Schenectady nie złożą do kupy tego maleństwa”.

Tak. I Bogu dzięki. Tu sprawa miała swój kres. Gdyby Kevinowi powtórne spotkanie, a nawet otarcie się o świat nadprzyrodzony, groziło dopiero po osiemdziesiątce, i tak uznaliby to za przedwczesne.

- Poza tym to jest bardzo małe - podkreślił pan Delevan. Byłem przy rozpakowywaniu paczki. Wszyscy wiedzieliśmy, czego mamy się spodziewać. Jediną tajemnicę stanowił kształt zapinki. Wszyscy żartowaliśmy na ten temat.

- A co takiego jest na tej zapince? - spytał Pop. Znow zatopił wzrok w zdjęciu... w każdym razie popatrzył na nie. Kevin był gotów złożyć przysięgę przed każdym sądem w kraju, że zatapanie czegokolwiek w zdjęciu polaroidowym jest po prostu niemożliwe.

- Ptak - powiedział Kevin. - Jestem pewien, że to dzięcioł. Pies na zdjęciu ma wokół szyi sznurkowy krawat z dzięciołem na zapince.

- Jezu! - krzyknął Pop. Nie rzucało się to w oczy, ale Pop Merrill był jednym z najwybitniejszych aktorów świata. Obecnie jednak nie musiał wykorzystywać głębi swego talentu, aby wyrazić zdziwienie.

- Wsadźmy to całe cholerstwo do pieca. - Pan Delevan nagle zgarnął wszystkie zdjęcia ze stołu.

Kevin i jego ojciec dotarli do domu dziesięć po piątej. Właśnie zaczęło mżyć. Dwuletnia toyota pani Delevan nie stała na podjeździe, ale pani Delevan przybyła pod nieobecność męża i syna i wyszła. Na kuchennym stole, przyciśnięty zestawem do przypraw, leżał liścik. Kevin rozłożył liścik. Wypadł z niego banknot dziesięciodolarowy.

Drogi Kevinie,

Na brydżu Jane Doyon zaprosiła Meg i mnie na obiad do „Bonanzy”. Jej mąż pojechał do Pittsburgha w interesach i Jane obja się po domu. Przyjęłam zaproszenie z przyjemnością. Meg z jeszcze większą. Wiesz, co dla niej znaczy być „kumpelką”! Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko rozkoszowaniu się samotnością podczas kolacji. Może zamówisz sobie pizzę & jakąś oranżadę. Twój ojciec sam sobie zamówi, gdy wróci do domu. Wiesz, jak nie lubi odgrzewanej pizzy & wiesz, że chętnie wypije parę piw.

Całuski Mama

Spojrzeni po sobie, bez słów, wymieniając komunikat: No, przynajmniej jedna rzecz z głowy. Wyglądało na to, że ani matka, ani Meg nie zauważyły, iż samochód pana Delevana stoi już w garażu.



- Chcesz, żebym... - zaczął Kevin, ale nie musiał kończyć, ponieważ ojciec przerwał mu:

- Tak. Sprawdź. W tej chwili.

Kevin pognął schodami po dwa stopnie i wparował do siebie. Stały tu komoda i biurko. Dolna szuflada biurka była pełna rupieci. Tak zwykle Kevin mówił o rzeczach, których wyrzucenie byłoby zbrodnią, choć nie nadawały się do użytku. Był tu zegarek kieszonkowy dziadka, ciężki, nakręcany, budzący szacunek... i tak zardzewiały, że kiedy pokazali go zegarmistrzowi w Lewiston, ten tylko raz spojrzął, potrząsnął głową i odsunął go; dwie całe pary spinek i dwie sztuki bez pary; rozkładówka z „Penthouse’a”; broszurowe wydanie książki *Świńskie dowcipy*; walkman, który z niewiadomych przyczyn nabrał zwyczaju zjadania taśm, miał je odtwarzać. Tylko rupiecie i nic poza tym. Nie było na to innego słowa.

Część rupieci stanowiło oczywiście trzynaście sznurkowych krawatów, które ciotka Hilda przysłała mu na trzynaście urodzin.

Wyjął jeden po drugim, policzył, wyszło mu dwanaście, nie trzynaście, znów przekopał szufladę, znów policzył. Nadal dwanaście.

- Nie ma?

Kevin wrzasnął i z kucków zerwał się na równe nogi.

- Przepraszam - odezwał się od drzwi pan Delevan. - To było durne.

- Nic się nie stało - powiedział Kevin. Przez krótką chwilę zastanawiał się, jak szybko może bić ludzkie serce, zanim po prostu wysiądzie. - Jestem tylko... spięty. Głupstwo.

- Wcale nie. - Ojciec popatrzył na niego trzeźwo. - Kiedy zobaczyłem tę taśmę, serce niemal wyskoczyło mi z gardła, tak się bałem. O mało nie musiałem go wypchać z powrotem palcami.

Kevin popatrzył na ojca z wdzięcznością.

- Nie ma go, co? - zapytał pan Delevan. - Tego krawata z dzieciołem czy czymś tam, do cholery?

- Tak. Nie ma.

- Trzymałeś aparat w tej szufladzie? Kevin powoli pokiwał głową.

- Pop... pan Merrill powiedział, żebym odkładał go po każdym fotografowaniu. Tak zaznaczył w rozpisce.

Coś odezwało się w pamięci. Przepadło.

- Więc odkładałem.

- Rany - westchnął pan Delevan.

- Taaa...

Spojrzeni na siebie w mroku pokoju i nagle Kevin uśmiechnął się. To było jak promień słońca przebijający zwały chmur.

- Co?

- Przypomniało mi się, jak się czułem - powiedział Kevin. - Tak mocno zamachnąłem się tym młotem...

Pan Delevan też zaczął się uśmiechać.

- Wydawało mi się, że rozwalę swoją cholerną... i kiedy walnąłem z tym TRZASK!...

- ...każdy cholerny kawałek poleciał w inną stronę...

- BUUM! - dokończył Kevin. - Nie ma!

Zaczęli się śmiać i Kevin odczuł prawie - prawie - zadowolenie z tego, co się wydarzyło. Ogarnęła go ulga nie do opisania, tak doskonała, jak kiedy swędzą cię plecy i przypadkiem drugiej osobie, wiedzionej jakimś szóstym zmysłem, udaje się podrapać cię w miejsce, którego nie możesz dosięgnąć samemu. Idealne trafienie w dychę. Przez chwilę to zwykłe dotknięcie sprawia, że jest gorzej. Ale cudownie gorzej. Nacisk. Palce są, gdzie trzeba... błogosławiona ulga.

Afera z aparatem zakończyła się w równie cudowny sposób dzięki ojcowskiej obecności.

- Przepadł - powiedział Kevin. - Prawda?

- Przepadł jak Hiroszima po atomówce z Enoli Gay - odparł ojciec i dodał: - Zmiażdżony na proch, o to mi chodzi.

Kevin wlepił oczy w ojca i wybuchnął - niemal wystrzelił - niepoohamowanym śmiechem. Ojciec dołączył do syna. Niebawem zamówili pizzę. Kiedy Mary i Meg Dalevan zjawiły się w domu dwadzieścia po siódmej, panowie wciąż chichrali.

- No, no, wygląda na to, że narozrabialiście - powiedziała pani Delevan, trochę zaskoczona. W ich zachowaniu było coś, co istocie jej osobowości - ten głęboko ukryty ośrodek w przypadku kobiety jest w pełni wydajny tylko podczas porodu i nieszczęścia - wydało się trochę chorobliwe. Wyglądali i reagowali jak ludzie, którzy uniknęli wypadku drogowego. - Dopuszczicie damy do tajemnicy?

- Mieliliśmy tylko pyszną kawalerską zabawę - rzekł pan Delevan.

- Miażdżąc pyszną zabawę - podbił Kevin. A ojciec uzupełnił:

- O to mi właśnie chodzi. Spojrzeli po sobie i znów zaczęli wyć.

Meg, kompletnie oniemiała, popatrzyła na matkę i zapytała:

- Mamo, dlaczego oni się tak zachowują?

- Ponieważ mają prącia, moja droga - odparła pani Delevan. - Idź, zawieś płaszcz.

Pop Merrill odprowadził Delevanów, *pere et fils*, a następnie zamknął za nimi drzwi. Zgasił wszystkie światła poza lampą nad warsztatem, wyjął klucze i wyciągnął swoją szufladę z rupieciami. Wyjął z niej polaroid Sun 660, własność Kevina Delevana, egzemplarz z obitym korpusem, ale poza tym nieuszkodzony, i przyjrzał mu się uważnie. Ojciec i syn bali się tego aparatu. Pop nie miał wątpliwości. Sam również się go bał. Poprzednio i teraz. Ale miażdżycę coś takiego w drobny mak?! Wariactwo.

Musi istnieć sposób, żeby to cholerstwo przyniosło trochę docłów.

Musi.

Pop z powrotem schował aparat do szuflady. Prześpi się z tym, a rano będzie wiedział, co ma dalej zrobić. Prawdę mówiąc, już switał mu cholernie dobry pomysł.

Wstał, zgasił światło i powędrował przez ciemność w kierunku schodów. Wybierał drogę instynktownie, z łatwością, jaką rodzi długoletnia praktyka.

W połowie pomieszczenia zatrzymał się.

Poczuł przymus, zaskakująco silny przymus, żeby wrócić i jeszcze raz obejrzeć aparat. Po co, na Boga? Nie miał nawet kasety, żeby wsadzić ją w ten pogański interes... i nie miał zamiaru robić zdjęć. Jeśli ktoś chciał trzaskać fotki, obserwować dalej psa, proszę bardzo, panie klient. Niech strzeże się imperator, jak zawsze sobie powtarzał. Niech cholerny imperator strzeże się albo nie, wolna wola. On sam też niebawem wkroczy do klatki pełnej lwów, nawet bez cholernego bata i krzesła.

A jednak...

- Przestań - odezwał się chrapliwie w ciemności. Drgnął na dźwięk własnego głosu. Ruszył w górę schodów. Już się nie oglądał.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

W bardzo wczesnych godzinach następnego ranka Kevin Delevan miał koszmar tak okropny, że zapamiętał z niego tylko fragmenty, jak porwane frazy muzyki emitowanej przez radio z zepsutym głośnikiem.

Szedł przez plugawe przyfabryczne miasteczko. Chyba był na wędrownicy, bo niósł plecak. Miasteczko nazywało się Oatley. Leżało w Vermont albo w północnej części stanu Nowy Jork. „Nie wiesz, czy tu, w Oatley, ktoś nie szuka rąk do pracy?”, zapytał starucha pchającego po spękanych chodniku wózek na zakupy. W wózku nie było żadnych zakupów, tylko szmelc niewiadomego pochodzenia, a facet był bezdomnym pijaczyną. „Wynocha! - przeraźliwie zawył pijaczyna. Złodziej! Pieprzony złodziej! Pieprzony złodziej!”.

Kevin pobiegł, pomknął przez ulicę, bardziej wystraszony szaleństwem faceta niż tym, że ktoś mógłby wziąć go za złodzieja. Pijaczyna wydzierał się za nim: „To żadne Oatley! To Hildojowo! Wynoś się z miaszta ty pieprzony złodzieju!”.

Wtedy dopiero pojął, że to nie Oatley ani Hildojowo, ani żadne inne miasto o normalnej nazwie. Jak kompletnie nienormalne miasto może mieć normalną nazwę?

Wszystko - ulice, budynki, samochody, szyldy, kilku przechodniów - było dwuwymiarowe. Wszystko miało wysokość, szerokość... ale nie miało grubości. Minął kobietę. Wyglądała jak nauczycielka baletu Meg, gdyby nauczycielka baletu przybrała sto pięćdziesiąt funtów. Miała luźne spodnie koloru gumy do żucia Bazooka. Jak i pijaczyna, pchała wózek na zakupy. Kółko skrzypiało. Wózek był pełen aparatów fotograficznych polaroid Sun 660. Zbliżała się, spoglądała na Kevina mocno podejrzliwie. W chwili kiedy się mijali, znikła. Jej cień pozostał, dalej słychać było rytmiczne skrzypienie, ale kobiety nie było. Następnie pojawiła się znów, obejrzała się za Kevinem podejrzliwą płaską twarzą i Kevin zrozumiał, dlaczego na chwilę znikła. Pojęcie „widok z boku” nie istniało, nie mogło istnieć w świecie, który był idealnie płaski.

„To jest Polaroidowo”, pomyślał z ulgą, która dziwnie mieszała się ze grozą. A więc to tylko sen.

Wtedy zobaczył biały płot, psa i fotografa przy krawężniku. Fotografował Pop Merrill. Na czubek głowy zsunął okulary bez oprawek.

„No, synu, znalazłeś go, powiedział dwuwymiarowy Pop, nie odejmując oka od wizjera. To ten pies, ten. Rozszarpał dzieciaka w Schenectady. Twój pies, o to mi chodzi”.

Na te słowa Kevin się obudził. Nękało go, że może krzyczał, ale w pierwszej chwili nieważny był sen; ważniejsze było, czy jest tu, cały, czy ma wszystkie trzy wymiary.

Miał. Ale coś było nie w porządku.

„Głupi sen, pomyślał. Zapomnij go. Nie możesz? Jest po wszystkim. Fotografie spalone, wszystkie pięćdziesiąt osiem sztuk. A aparat jest roz...”.

Myśl urwała się, pękła jak lód pod ciężarem tego czegoś, tego czegoś, co było nie w porządku i znów się narzucało.

„Nie jest po wszystkim, pomyślał. Nie je...”.

Ale zanim ta myśl nabrała pełnego kształtu. Kevin Delevan zapadł w głęboki, twardy sen. Następnego rana ledwo pamiętał koszmar.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Nigdy w życiu Pop Merrill nie był tak poniżony, tak rozjuszony i nie przeżył tylu przykrości, jak w ciągu dwóch tygodni, które nastąpiły po zdobyciu przez niego polaroidu należącego do Kevina Delevana.

W Castle Rock mieszkało sporo ludzi, którzy by rzekli, że nikt nie zasłużył bardziej na taki los niż Pop Merrill. Oczywiście nikt w Castle Rock nie wiedział, co go dotknęło... i jedynie w tym Pop znajdował pociechę. Marna to pociecha. Tak marna, że szkoda gadać.

Ale kto by uwierzył, że Szaleni Kapelusznicy tak go zawiodą? Że okażą się zdolni do czegoś takiego?!

Po czymś takim człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie dziadzieje.

Boże broń...

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

W październiku nawet mu do głowy nie przyszło zastanawiać się, czy w ogóle sprzeda polaroid. Zastanawiał się tylko, jak szybko i za ile. Delevanowie zawiesili nad całą aferą transparent: NADPRZYRODZONY i Pop nie zamierzał go zmieniać, choć wiedział, że to, co aparat wyprawiał, detektywi cudów określiliby raczej jako paranormalne niż nadprzyrodzone. Mógł to uświadomić Delevanom, ale wtedy zaczęliby zachodzić w głowę, skąd właściciel małomiasteczkowego sklepu z używanymi artykułami (i okazjonalny lichwiarz) dysponuje taką wiedzą. A oto odpowiedź: wiedział sporo, ponieważ opłacało się wiedzieć sporo.. Opłacało się z powodu ludzi, których nazywał w myślach Moi Szaleni Kapelusznicy.

Szalonymi Kapelusznikami byli ci, którzy nagrywali ciszę pustych pokoi na drogim sprzęcie audio nie dla kawału czy aby zszokować gości podczas balangi, ale albo dlatego, że wierzyli namiętnie w świat niewidzialny i chcieli dowieść jego istnienia, albo dlatego, że namiętnie chcieli nawiązać fizyczny kontakt ze swoimi przyjaciółmi lub krewnymi, którzy odeszli („odeszli”, tak to zawsze określali. Krewnych Szalonych Kapeluszników nigdy nie spotkało coś tak prozaicznego jak śmierć).

Szaleni Kapelusznicy nie tylko mieli tabliczki *ouija* i korzystali z nich, ale odbywali regularnie rozmowy ze swymi duchowymi przewodnikami po tamtym świecie (nigdy po „niebie”, „piekle” czy nawet „miejscu spoczynku”, ale po „tamtym świecie”), którzy umożliwiali im kontakt z przyjaciółmi, krewnymi, królowymi, zmarłymi piosenkarzami rockandrollowymi, nawet z arcyzbrodniarzami. Pop znał pewnego Szalonego Kapelusznika z Vermont, który dwa razy w tygodniu gawędził z Hitlerem. Hitler objaśnił mu, że historia powszechna to pic na wodę, że błagał o pokój w styczniu 1943 roku i skurwysyn Churchill go olał. Hitler również wyjawiał mu, że Paul Newman to kosmita urodzony w pieczarze na Księżycu.

Szaleni Kapelusznicy biegali na seanse spirytystyczne równie regularnie (i równie wiernie) jak narkomani do swoich dostawców. Kupowali kryształowe kule i amulety gwarantujące powodzenie; tworzyli swe małe organizacje i badali domy ponoć nawiedzane przez duchy, w których występowały wszystkie typowe zjawiska: teleplazma, stukania w stół, ruchy mebli, „zimne plamy” i oczywiście duchy. Badali to wszystko z entuzjazmem zapalonych obserwatorów ptaków.

Większość z nich bawiła się świetnie. Niektórzy nie. Taki gość w Wolfeboro na przykład. Powiesił się w osławionym Tecumseh House, w którym pewien czcigodny farmer w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku fundował godziwe warunki pobytu bliźnim za dnia i fundował sobie godziwe posiłki z bliźnich w nocy, pałaszując późne kolacje przy długim stole w piwniczce. Stół stał na klepisku zaścielonym kośćmi i gnijącymi szczątkami ciał przynajmniej dwunastki, a może aż trzydziestki piątki młodych mężczyzn, samych wagabundów. Gość z Wolfeboro zostawił krótką wiadomość w notatniku leżącym obok jego *ouija*: „Nie mogę wyjść z domu. Drzwi wszystkie zamknięte. Słyszę go. Je. Próbowałem kłębków z waty. Na nic”.

„Ten biedny otumaniony dupek prawdopodobnie naprawdę myślał, że słyszy ducha”, dumął Pop, dowiedziawszy się o tej historii z wiarygodnego źródła. A był taki facet w Dunwich, Massachusetts, któremu Pop pewnego razu sprzedał za dziewięćdziesiąt dolarów tak zwaną spirytystyczną trąbkę; tenże gość wybrał się z trąbką na cmentarz i musiał usłyszeć coś w najwyższym stopniu niesympatycznego, ponieważ już sześć lat przebywa w stanie kompletnego zaciemnienia umysłowego w pokoju z miękkimi ścianami w Arkham. Udając się na cmentarz, włosy miał czarne. Kiedy jego wrzaski obudziły kilku sąsiadów, którzy wezwali policję, były tak białe jak jego rozdziawiona, wyjąca gęba.

I była taka kobieta w Portlandzie, która straciła jedno oko, gdy seans z *ouija* potoczył się w katastrofalnie nieodpowiednim kierunku... mężczyzna w Kingston, Rhode Island, który stracił trzy palce u prawej dłoni, kiedy tylne drzwi samochodu, w którym dwójka nastolatków popełniła samobójstwo, zatrzasnęły się... wiekowa pani, która wylądowała w Massachusetts Memorial Hospital, uszczuplona o ponad połowę ucha, kiedy podobno, równie wiekowa jak jej właścicielka, kotka Claudette dostała ataku szału podczas seansu spirytystycznego...

Pop wierzył w niektóre z tych opowieści, nie wierzył w inne, a przeważnie nie miał na ich temat zdania - nie dlatego, że brakowało mu namacalnych dowodów za lub przeciw, ale ponieważ duchy, seanse spirytystyczne, kryształowe kule, spirytystyczne trąbki, szalejące koty i bajkowy John Conqueror Root obchodziły go tyle, co smród na wietrze. Zdaniem

Reginalda Mariona Popa Merrilla, wszyscy Szaleni Kapelusznicy mogli, kurwa, zasuwać na Księżyc.

Byle tylko, oczywiście, przed wejściem do promu kosmicznego jeden z nich zapłacił maksymalną cenę za bilety, to jest za aparat Kevina Delevana.

Nie dlatego, że interesowali się widziadłami, Pop nazywał tych entuzjastów Szalonymi Kapelusznikami. Nazywał ich tak, ponieważ prawie wszyscy - czasem kusiło go powiedzieć, że wszyscy - byli bogaci, na emeryturze i aż prosili się o oskubanie. Gdy spędziło się z nimi piętnaście minut, przytakując ich zapewnieniom, że rozróżniają fałszywe medium od prawdziwego, wchodząc do pokoju, a co dopiero, siadając przy stoliku i uczestnicząc w seansie spirytystycznym, lub gdy spędziło się z nimi tyle samo czasu, słuchając ze stosownym zachwytem na twarzy bełkotu z taśmy, który mógł, ale nie musiał, być słowami, sprzedawało się im czterodolarowy przycisk do papierów za stówę. Wystarczyło dodać, że jakiś facet dojrzał w nim zmarłą matkę. Kiedy się do nich uśmiechnąłeś, wypisywali ci czek na dwieście dolarów. Kiedy obdarzyłeś ich krzepiącym słowem, czek urastał do dwóch tysięcy dolarów. A kiedy zrobiłeś równocześnie jedno i drugie, wpychali ci książeczkę czekową i błagali, żebyś sam wypisał sumę.

To było tak łatwe, jak wyrwanie dziecku cukierka. Zawsze. Aż do tej chwili.

\*

Pop nie miał w szafce akt z napisem: SZALENI KAPELUSZNICZY, podobnie jak nie miał akt z napisami: ZBIÓR MONET lub ZBIÓR ZNACZKÓW. Pop nie miał nawet szafki na akta. Czymś najbardziej zbliżonym do akt był zniszczony notatnik z numerami telefonicznymi, noszony stale przez Popa w tylnej kieszeni spodni (z latami notatnik, jak i portfel, zaokrąglił się nieco, przybierając kształt chudego, skąpo zarysowanego pośladka Popa, do którego był stale dociśnięty). Pop trzymał swoje akta tam, gdzie człowiek jego profesji zawsze powinien je trzymać: w głowie. Istniało ośmiu w pełni uformowanych Szalonych Kapeluszników, z którymi robił przez lata interesy, ludzi, którzy nie tylko babrali się w okultyzmie, ale wskoczyli w niego obydwoma nogami i tarzali się w nim do woli. Najzamożniejszy był bogaty przemysłowiec o nazwisku McCarty, mieszkający na własnej wyspie, około dwunastu mil od wybrzeża. Gość nienawidził łodzi i zatrudniał na stałe pilota, który w razie potrzeby transportował go na ląd i z powrotem.

Pop udał się na spotkanie z McCartym 28 października, dzień po zdobyciu aparatu Kevina (nie nazywał tego, nie mógł tego nazwać rabunkiem - przecież chłopak i tak planował zmiażdżyć aparat na proch, a to, o czym nie wiedział, nie mogło go zboleć). Pojechał swym starym, ale utrzymywanym w idealnym stanie samochodem do prywatnego pasa startowego,

na północ od Boothbay Harbor. Zagryzł zęby, zacisnął oczy, złapał w uścisk stalowe, zamknięte na zamek pudło z polaroidem Sun 660 w środku, jakby to mogło uratować jego cenne życie, a beechcraft Szalonego Kapelusznika bryknął po ziemnym pasie startowym jak narowisty koń. Poderwał się w powietrze, właśnie gdy Pop nabrał przekonania, że spadną i zostanie po nich mokra plama na skałach w dole, i uniósł się w skąpane jesiennym światłem empireum. Pop dwukrotnie odbył tę wyprawę i za każdym razem przysięgał sobie, że nigdy więcej nie wsiądzie do tej choleralnej latającej trumny.

Lecieli, podskakując i kiwając się, głodny Atlantyk rozpościerał się niecałe pięćset stóp w dole, pilot cały czas tokował radośnie. Pop potakiwał i mówił „yhy” wtedy, kiedy wydawało mu się to stosowne, choć bardziej był zajęty wizją bliskiego odejścia w zaświaty niż konwersacją.

Pojawiła się wysepka, koszmarny, ponury, samobójczo krótki pas startowy oraz okazały, zbudowany z drewna sekwojowego i polnych kamieni dom. Samolot pikował. Biedny, stary, skurczony od kwasów żołądek Popa został gdzieś w powietrzu. Uderzyli z hukiem o ziemię i nagle jakimś cudem kołowali, aż stanęli, wciąż żywi i cali. Pop znów mógł wierzyć, że Bóg to jeszcze jeden z wynalazków Szalonych Kapeluszników... przynajmniej do chwili, kiedy będzie musiał wsiąść do cholernego samolotu i lecieć w podróż powrotną.

- Wspaniały dzień na latanie, co, panie Merrill? - zagadnął pilot, rozkładając przed nim trap.

- Cudowny - mruknął Pop i podążył dróżką ku domowi, na którego progu oczekiwał go król osłów, uśmiechnięty i podniecony. Pop obiecał mu pokazać najbardziej sakramencką rzecz, na jaką w życiu trafił, i Cedrick McCarty nie mógł się doczekać. Dla formy raz rzuci okiem, pomyślał Pop, a potem połknie haczyk. Czterdzieści pięć minut później wracał na kontynent, ledwie zwracając uwagę na podskoki, kiwnięcia i wyciskające żołądek „windy”, kiedy beech od czasu do czasu wpadał w dziurę powietrzną. W Popie zaszła głęboka zmiana. Stał się cichy i zamyślony.

Po wylądowaniu wycelował obiektyw w Szalonego Kapelusznika i zrobił zdjęcie. Gdy oczekiwali na wywołanie, Szalony Kapelusznik zrobił zdjęcie Popowi... A kiedy błysnął flesz, czy nie rozległ się jakiś głos? Basowe, groźne warknięcie tego czarnego psa? A może to była tylko wyobraźnia? Najprawdopodobniej wyobraźnia. W swoim czasie Pop zrobił kilka bajecznych interesów, a do tego nieodzowna jest wyobraźnia.

A jednak...

Cedrick McCarty, przemysłowiec na emeryturze *par excellence* i Szalony Kapelusznik *extraordinaire*, obserwował wywoływanie fotografii z właściwym sobie dziecięcym,



żarliwym zainteresowaniem, ale kiedy wreszcie zdjęcie się pokazało, przybrał minę rozbawioną, a nawet trochę pogardliwą, i Pop już wiedział z niezachwianą pewnością, której nabył w ciągu ponad pięćdziesięciu lat praktyki, że tym razem argumentowanie, namawianie, nawet mgliste napomknięcia o innym kliencie, który pała chęcią kupna aparatu - żadna z tych zwykle skutecznych sztuczek nic nie da. Wielka kartka: KASA NIECZYNNNA przesłoniła w umyśle Cedricka McCarty'ego polaroid.

Ale dlaczego?

Do cholery, dlaczego?

Na zdjęciu zrobionym przez Popa błysk, który Kevin dostrzegł wśród zmarszczek na pysku czarnego psa, okazał się zębem - tylko że ząb to nie było odpowiednie słowo. W żadnym wypadku. To był kieł. Na zdjęciu zrobionym przez McCarty'ego widać było krawędź sąsiedniego zęba.

Pierdolony pies ma szczęki jak paść na niedźwiedzia, pomyślał Pop. Bez żadnego wysiłku ze swej strony ujrzał oczami wyobraźni własne ramię w szczękach psa. Pies nie gryzł, nie jadł, ale rozszarpywał rękę, jak rębarka wieloma zębami rozszarpuje korę, liście i drobne gałęzie. „Ile czasu mu to zajmie?“, zastanawiał się. Spojrzał w te wredne oczy wypatrujące z przerośniętej mordy i zrozumiał, że niedużo. A przypuścimy, że pies złapie go za krocze? Przypuścimy... Ale McCarty coś powiedział i czekał na odpowiedź. Pop skupił uwagę na facecie i przestał żywić jakiegokolwiek nadzieje na zrobienie interesu. Szalony Kapelusznik *extraordinaire*, który potrafił spędzić z tobą uroczę popołudnie, wywołując ducha twego drogiego, zgasłego wuja Neda, przepadł gdzieś. McCarty ujawnił swe drugie oblicze: oblicze trzeźwego realisty, który dwanaście lat z rzędu figurował w czasopiśmie „Fortune” na liście najbogatszych ludzi Ameryki. I to nie dlatego, że był wartogłowem, który miał szczęście odziedziczyć zarówno fortunę, jak i zastęp lojalnych, zdolnych pracowników, dbających o spadek i poszerzających go, ale dlatego, że był geniuszem w zakresie projektowania lotniczego i wdrażania badań w tej dziedzinie. Nie był tak bogaty jak Howard Hughes, ale też nie był tak szalony jak Hughes pod koniec życia. Jeśli chodzi o nadprzyrodzone fenomeny, facet był Szalonym Kapelusznikiem. Jednakże poza obszarem świata nadprzyrodzonego był rekinem, przy którym osobnicy pokroju Popa Merrilla wyglądali jak kijanki w mulistym stawie.

- Przepraszam - powiedział Pop. - Trochę mnie zaćmiło, panie McCarty.

- Powiedziałem, że to fascynujące - powtórzył. - Zwłaszcza ta subtelna sugestia, jakoby między zdjęciami mijał czas. Jak to działa? Aparat w aparacie?

- Nie chwytam, do czego pan pijesz.

- Nie, nie aparat - mówił do siebie McCarty. Podniósł polaroid do ucha, potrząsnął. - To chyba jakiś rodzaj urządzenia rolkowego. Pop wpatrywał się w faceta i nie miał pojęcia, o czym on mówi... poza tym, że znaczyło to na pewno jedno: KASA NIECZYNNNA. Cholerna diabelska przejażdżka w samolociku (i wkrótce z powrotem) psu na budę. Ale dlaczego? Dlaczego? Był tak pewny tego faceta. Wystarczyło mu powiedzieć, że Brooklyn Bridge jest widmowym mamidłem z tamtego świata i uwierzyłby. Więc dlaczego?

- Kieszenie, oczywiście! - McCarty był uradowany jak dziecko. - Kieszenie! Wewnątrz obudowy umieszczono pasek okrężny prowadzony na kółkach pasowych. Na pasku osadzono wiele kieszeni. Każda zawiera naświetloną polaroidową fotografię psa. Ciągłość sugeruje - spojrzał uważnie na zdjęcie - tak, że pies został sfilmowany i zdjęcia wykonano z pojedynczych klatek. Przy spuszczeniu migawki zdjęcie wypada z kieszeni i wychodzi z aparatu. Bateria obraca pasek na tyle, żeby umieścić w pozycji wyjściowej następną fotografię i - *voilà!*

Radość znikła mu z twarzy jak zdmuchnięta i Pop nagle zobaczył kogoś, kto zostawił za sobą na drodze do sławy i fortuny zmiażdżone, krwawiące ciała konkurentów... i rozkoszował się rzezią.

- Joe pana odtransportuje - powiedział McCarty. Głos miał teraz zimny i pozbawiony uczuć. - Jest pan dobry, panie Merrill. - Ten facet, ponuro uświadomił sobie Pop, nigdy nie zwróci się do mnie Pop. - Muszę to przyznać. - Wreszcie pan przesadził, ale przez długi czas robił pan ze mnie głupca. Na ile udało się panu mnie naciągnąć? Czy wszystko to była bujda?

- Nie naciągnąłem pana na jednego złamanego centa - łągał Pop w żywe oczy. - Nie sprzedałem panu jednej rzeczy, której nie uważałbym za autentyk, i chodzi mi o to, że odnosi się to i do tego aparatu.

- Niedobrze mi się robi na pański widok. Nie dlatego, że panu zaufałem. Zaufałem też innym oszustom i łajdakom. Nie dlatego, że wyciągał pan ode mnie pieniądze. Było tego zbyt mało, żeby miało znaczenie. Robi mi się niedobrze, ponieważ przez takich ludzi jak pan badania naukowe nad fenomenami nadprzyrodzonymi nie posunęły się od wieków ciemnoty. Są wydrwiwane i pogardzane jako domena szaleńców i półgłówków. Jedyna pociecha, że wcześniej czy później tacy faceci jak pan zawsze przesadzą. Robicie się zbyt chciwi i chcecie wepchnąć człowiekowi coś równie śmiesznego jak to. Nie chcę więcej pana tu oglądać, panie Merrill.

Pop trzymał w zębach fajkę, a zapałkę Diamentowy Czubek w drżącej ręce. McCarty z lodowatym wzrokiem wyciągnął w jego kierunku palec, jak lufę rewolweru.

- A jeśli zapali pan tu to cuchnące świństwo, każę Joemu wyrwać je z pańskich ust i wrzucić żar do gaci. Więc jeśli nie chce pan opuścić mojego domu z chudą dupą w płomieniach, sugerowałbym...

- Co jest z panem, panie McCarty?! - zabczał Pop. - Te zdjęćka wyszły niewywołane! Widział pan na własne oczy, że się wywoływały!

- To załatwił dwunastodolarowy zestaw do ćwiczeń z chemii, na który stać byle gówniarza - zimno odparował McCarty. - Nie jest to dokładnie wywoływacz-utrwalacz, jaki stosuje się w polaroidach, ale coś zbliżonego. Naświetla pan swoje polaroidowe zdjęcia - albo niewykluczone, że kopiuje je pan z filmu - a potem bierze je pan do standardowej ciemni i maluje tą pacia. Gdy wyschną, ładuje je pan do aparatu, a kiedy wyskakują, wyglądają jak zwykłe zdjęcia polaroidowe, które jeszcze nie zaczęły się wywoływać. Nieprzejrzysty szary kwadrat w białej ramce. Światło pada na tę robioną domowym sposobem emulsję, pobudza proces chemiczny, emulsja wysycha, ukazując zdjęcie, które pan zrobił przed godzinami, dniami albo tygodniami. Joe?!

Zanim Pop zdołał się odezwać, chwycono go za ramiona i nie tyle wyprowadzono, co wprawiono w ruch, a przestronny salon ze szklaną ścianą został za nim. I tak zresztą nie odezwałby się słowem. Dobry biznesmen wie, kiedy poniósł klęskę. To jedna z wielu umiejętności, które winien opanować. A jednak serce mu się rwało, żeby wrzasnąć przez ramię: „Jakaś durna cipa z farbowanymi włosami i kryształową kulą, zamówioną z »Fate«, pomacha w ciemnym pokoju książką, lampą, stroną cholernych nut i srasz w gacie, ale kiedy daję ci aparat fotograficzny, który robi zdjęćka innego świata, każesz wziąć mnie za dupę i wyrzucić z domu! Prawdziwy z siebie Szalony Kapelusznik! Aaa, odpierdol się! Są inne rybki w morzu!”.

A były.

Piątego sierpnia Pop wsiadł do swego utrzymywanego w idealnym stanie samochodu i udał się do Portlandu, złożyć wizytę sioström Pus.

\*

Siostry Pus były bliźniaczkami jednej aj owymi. Mieszkały w Portlandzie. Liczyły sobie po osiemdziesiąt lat, ale wyglądały starzej niż Stonehenge. Od siedemnastego roku życia paliły jednego camela za drugim, o czym informowały z rozbawieniem. W ogóle nie kaszlały, mimo wypalanych sześciu paczek dziennie na dwie pary płuc. Były wożone - podczas tych rzadkich okazji, kiedy opuszczały swoją zbudowaną z czerwonej cegły w stylu kolonialnym rezydencję - w lincolnie continentalu rocznik 1958. Roztaczał on ponury blask karawanu i był pilotowany przez Murzynkę niewiele młodszą niż same siostry Pus. Ten

szofer płci żeńskiej był prawdopodobnie głuchy, ale niewykluczone, że mógł poszczycić się jeszcze bardziej niezwykłą cechą: była to jedna z niewielu naprawdę małowównych istot, jakie Bóg stworzył. Pop nie znał prawdy i nie pytał o nią. Miał do czynienia z dwoma starszymi paniami od blisko trzydziestu lat, Murzynka była z nimi przez cały ten czas, przeważnie zajmowała się tylko prowadzeniem wozu, czasem go myła, czasem strzygła trawnik albo obcinała żywopłot otaczający dom, czasami maszerowała do skrzynki pocztowej na róg, niosąc listy od sióstr Pus do Bóg wie kogo (Pop nie miał pojęcia, czy Murzynka miała dozwolony wstęp do domu, nigdy jej tam nie spotkał) i Pop przez cały ten czas nigdy nie słyszał, by ta przedziwna istota się odezwała.

Rezydencja w stylu kolonialnym wznosiła się w dzielnicy Bramhall miasta Portland, dzielnicy, która jest dla Portlandu tym, czym okręg Beacon Hill dla Bostonu. O drugim z wymienionych miast, krainie dorsza i fasoli, mówią, że tam Cabotowie odzywają się tylko do Lowellów, a Lowellowie odzywają się tylko do Pana Boga, ale siostry Pus i ta niewielka liczba ich rówolatków w Portlandzie, która jeszcze ostała się przy życiu, prawie na pewno, a raczej na pewno gotowi byli milcząco uznać, że Lowellowie podłączyli się do nich dopiero kilka lat po tym, jak Deere'owie i ich rówolatkowie w Portlandzie przeprowadzili pionierskie połączenie.

I oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie rzuciłby im w bliźniacze twarze miana „siostry Pus”, podobnie jak nikt przy zdrowych zmysłach nie wsadza nosa w piłę taśmową, żeby pozbyć się dokuczliwego swędzenia. „Siostry Pus” mówiło się poza ich plecami (i mając stuprocentową pewność, że w towarzystwie nie ma żadnego gaduły), ale naprawdę nazywały się panna Eleusippus Deere i pani Meleusippus Verrill. Ich ojciec, pragnąc jednocześnie dać pokaz żarliwego umiłowania wiary i erudycji, nazwał je tak po dwojce z trojaczków, które dostąpiły świętości... ale które, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, wszystkie były płci męskiej.

Małżonek Meleusippus umarł dawno temu, w 1944 roku w bitwie o zatokę Leyte, ale wdowa uparła się nosić jego nazwisko, co uniemożliwiało zwykłe mówienie: panny Deere. Nie. Trzeba było łamać język na tych cholernych imionach, aż wychodziły ci z ust gładko jak gówno z wywazelinowanej dupy. Spierniczyłeś wymowę choć raz, miały ci to za złe i traciłeś w nich klientki na pół roku, może rok. Spierniczyłeś dwa razy i miałeś siostry Pus z głowy. Na zawsze.

Pop prowadził samochód, stalowe pudło leżało na siedzeniu, a on przez całą drogę powtarzał cicho w kółko:

- Eleusippus. Meleusippus. Eleusippus. Meleusippus. Yhy. W porządku.

Ale, jak czas pokazał, była to jedyna rzecz, która okazała się w porządku. Nie przejawiały większej chęci kupna aparatu niż McCarty... choć tamta niedoszła transakcja tak wstrząsnęła Popem, że był teraz gotów wziąć dziesięć tysięcy dolarów mniej, pięćdziesiąt procent pierwotnie oczekiwanego z pełną nadzieją zysku.

Stara Murzynka grabiła liście, odsłaniając trawnik, który - choć był październik - nadal zielenił się jak sukno na bilardowym stole. Pop skinął jej głową. Popatrzyła na niego pustym wzrokiem i dalej grabiła. Pop nacisnął dzwonek i w głębi domu odezwał się gong. Rezydencja to idealne słowo na określenie domostwa sióstr Pus. Choć nie umywało się do większości starych domów dzielnicy Bramhall, panujący w nim stale mrok sprawiał, że wydawało się dużo większe. Odgłos gongu jakby płynął przez głębię pokoi i korytarzy, zawsze wywołując w wyobraźni Popa ten sam obrazek: jest rok moru w Londynie, wóz z trupami ciągnie przez ulice, woźnica niedbale wali w dzwonek i wrzeszczy: „Wynośta zmarłych! Wynośta zmarłych! Słodki Jezu, wynośta zmarłych!”.

Po jakichś trzydziestu sekundach siostra Pus otworzyła drzwi. Wyglądała nie tylko jak osoba zmarła, ale i jak zabalsamowana. Mumia, w której usta jakiś kawalarz wetknął dymiący niedopałek.

- O, Merrill - przemówiła. Miała na sobie ciemnoniebieską suknię korespondującą z kolorem włosów. Starła się przybrać ton wielkiej damy, rozmawiającej ze sprzedawcą, który przez pomyłkę trafił do niewłaściwych drzwi, ale Pop przejrzał ją. Była tak samo ciekawa jak ten skurwysyn McCarty. Różnica polegała na tym, że siostry Pus urodziły się w Maine, zostały wychowane w Maine i umrą w Maine, podczas gdy McCarty przytargał się z jakiejś dziury na Środkowym Zachodzie, gdzie sztuki oszczędnego wysławiania się nie uważano za istotną część wychowania.

Cień zamajaczył tuż nad kościstym ramieniem w głębi holu, na progu salonu. Druga siostra. Och, płonęły z ciekawości, nie ma co gadać. Pop zaczął się zastanawiać, czy jednak nie dałoby się wycisnąć z nich dwunastu patyków. Może nawet czternastu!

Pop powinien zapytać: „Czy mam przyjemność z panną Deere czy z panią Verrill?”, zachować właściwe formy i jak największą uprzejmość, ale miał już do czynienia z tą parą starych, ekscentrycznych babonów i wiedział, że choć siostrze Pus nie drgnie brew, nie zmarszczy się nos i stara zwyczajnie wyjaśni mu, kim jest, to zwracając się po nazwisku, straci przynajmniej tysiąc dolarów. Były bardzo dumne ze swych męskich imion i były skłonne spojrzeć życzliwszym okiem na kogoś, kto usiłował je wymówić, choć język mu się plątał, niż na kogoś, kto próbował wywinąć się jak tchórz.

Pop odmówił więc w myślach krótką modlitwę, prosząc, by język nie zawiódł go w godzinie próby, dał z siebie wszystko i z zadowoleniem usłyszał, że odzywa się tak gładko jak komiwojażer wpychający maść na wszystko:

- Mam przyjemność z Eleusippus czy z Meleusippus? Wyraz jego twarzy sugerował, że poprawne wymówienie tych imion nie kosztuje go więcej, niż gdyby zwracał się do Joan czy Kate.

- Meleusippus, panie Merrill - powiedziała. Och, dobrze, teraz był „panem Merrillem” i miał pewność, że wszystko potoczy się jak po maśle... choć mylił się kompletnie. - Wejdzie pan?

- Dziękuję pani uprzejmie - powiedział Pop i wkroczył w ponure otchłanie rezydencji Deere'ów.

- Ach, Boże mój! - odezwała się Eleusippus Deere, kiedy polaroidowe zdjęcie zaczęło się wywoływać.

- Jak strasznie wygląda! - powiedziała Meleusippus Verrill. W jej głosie zabrzmiały nieudawane obrzydzenie i strach.

Pies brzydł, Pop musiał to przyznać. A co gorsza, wyglądało na to, że między zdjęciami upływa coraz mniej czasu.

Do próbnego zdjęcia upozował siostry Pus na sofie w stylu królowa Anna. Aparat błysnął jasnym, białym światłem. Na jedną krótką chwilę pokój utracił wygląd czyszczonej strefy, rozciągającej się między krainą żywych a umarłych, gdzie jakimś cudem egzystowały te dwa wykopaliska. Przybrał wygląd tandetnego dwuwymiarowego obrazka. Przypominał policyjne zdjęcie muzeum, w którym popełniono zbrodnię.

Ale wywołana fotografia nie pokazała sióstr Pus siedzących razem na kanapie jak dwa wykrzykniki. Na fotografii pokazał się czarny pies. Teraz stał już pyskiem do obiektywu. Fotograf, który robił zdjęcie, musiał mieć dobrze porąbane w głowie, żeby jeszcze trzaskać fotki. Pies obnażył wszystkie zębiska we wściekłym, śmiertelnie groźnym warknięciu. Wykręcił łeb jak rasowy drapieżca. „Ten łeb”, pomyślał Pop. „Nie przestanie się wykręcać podczas skoku. W ten sposób pies załatwi dwie sprawy: zasłoni bezbronną strefę na szyi przed ewentualnym atakiem, a gdy zęby zatrzasną się na ciele ofiary, przekręci głowę z powrotem i oderwie spory kawał żywego miecha”.

- Jest taki okropny! - powiedziała Eleusippus, kładąc zмумifikowaną dłoń na łuszczącej się szyi.

- Taki koszmarny! - niemal jęknęła Meleusippus. Przypaliła świeżego camela od niedopałka. Ręce trzęsły się jej tak mocno, że niewiele brakowało, a poparzyłaby sobie spękany i pomarszczony kącik ust.

- Jest kompletnie nie-wy-tłu-ma-czał-ny! - triumfalnie oznajmił Pop. W duszy myślał przy tym: „Co za szkoda, że cię tu nie ma, McCarty, ty dumny dupku, co za szkoda. Te dwie panie, które poznały świat wzdłuż i wszerz, wcale nie uważają, że ten cholerny aparat to jakaś niewinna sztuczka!”.

- Czy pokazuje coś, co się już stało? - szepnęła Meleusippus.

- A może coś, co się dopiero stanie? - dodała równie cicho i z równym lękiem Eleusippus.

- Pojęcia nie mam - powiedział Pop. - Wiem tyle, że widziało się już w życiu to i owo, od czego ciarki chodziły po skórze, ale nic nie może się zrównać z tymi zdjęciami.

- Wcale mnie to nie dziwi! - Eleusippus.

- Ani mnie! - Meleusippus.

Pop szykował się skierować konwersację na problem ceny. Zawsze był to delikatny problem, ale z siostrami Pus był wyjątkowo delikatny. Kiedy dochodziło do nagich cyfr, stawały się wrażliwe jak dziewice. Zresztą, o ile Pop się orientował, przynajmniej jedna z nich była dziewicą. Właśnie zdecydował się na podejście: „Z-początku-do-głowy-mi-nie-przyszło-żeby-komuś-sprzedać-coś-takiego-ale (Było starsze niż same siostry Pus - choć prawdopodobnie po uważnym przyjrzeniu się siostrom, można by rzec, że niedużo starsze - ale w przypadku Szalonych Kapeluszników to nie miało najmniejszego znaczenia. Prawdę mówiąc, lubili tego słuchać, tak samo jak małe dzieci lubią słuchać po wielekroć tej samej bajki.), gdy Eleusippus zwała go na obie łopatki, oznajmiając:

- Nie wiem, co o tym myśli moja siostra, panie Merrill, ale czułabym się wyjątkowo niezręcznie, oglądając cokolwiek, co mógłby pan nam zaoferować do... - krótka, nabrzmiąta boleścią pauza - kupienia, dopóki nie odniesie pan tego... aparatu, czy jak się nazywa ta wyklęta przez Boga rzecz... do swojego samochodu.

- Wyjęłaś mi to z ust - powiedziała Meleusippus, gasząc wypalonego do połowy camela w podłużnej popielniczce, z której wysypywały się niedopałki tylko i jedynie cameli.

- Fotografie duchów - powiedziała Eleusippus - to inna sprawa. Mają pewną...

- Klasę - podsunęła Meleusippus.

- Tak! Klasę! Ale ten pies... - staruszka wyraźnie zadygotała. - Wygląda tak, jakby szykował się wyskoczyć z fotografii i ugryźć kogoś z nas.

- Wszystkich! - rozwinęła Meleusippus.

Aż do ostatniej wymiany zdań Pop był przekonany - być może dlatego, że nie pozostawało mu nic innego - iż siostry zaczęły kupieckie podchody, i to w uroczym stylu. Ale ton ich głosów, identyczny jak twarze i ciała (jeśli w tym przypadku można było mówić o czymś takim jak ciała), przekreślił wszelkie nadzieje. Nie wątpiły, że polaroidowy aparat fotograficzny ma paranormalne właściwości... ale były one zbyt paranormalne jak na ich zainteresowania. Nie targowały się, nie udawały, nie robiły podchodów, żeby zbić cenę. Kiedy powiedziały, że nie chcą widzieć na oczy aparatu ani produkowanych przez niego dziwności, to właśnie miały na myśli. Nie chciały przy tym być nieuprzejme, nie, skądże, nawet im się nie śniło, że przyjechał go sprzedać. O co zresztą Popa oczywiście podejrzewały.

Pop rozejrzał się po salonie. Wyglądał jak salon tej starszej pani z horroru, który oglądał raz na swoim wideo - bujda na resorach, zatytułowana *Spalone ofiary*: ten wielki tłusty gościu chciał utopić syna w basenie, ale nikt się nawet nie rozebrał. Pokój tamtej starszej pani był wypełniony, przepelniony, dosłownie zapchany starymi i nowymi fotografiami. Stały na stolikach i na kominku we wszelakiego rodzaju ramach. Zakrywały tak szczelnie ściany, że nie można było nawet odgadnąć wzoru pierdolonej tapety.

Salon sióstr Pus nie był w tak strasznym stanie, ale na fotografiach mu nie zbywało. Wisiało tu ze sto pięćdziesiąt sztuk, lecz że salon był mały i ciemny, wydawało się, iż trzykrotnie więcej. Pop zjawiał się tu często i ponad połowę fotografii znał choćby przełomie, a resztę jeszcze lepiej, gdyż nikt inny jak on sam sprzedał je Eleusippus i Meleusippus.

Miały o wiele więcej fotografii duchów, jak nazwała je Eleusippus Deere - może z tysiąc - ale staruszki zdawały sobie sprawę, że wypada brać pod uwagę ograniczoną powierzchnię wystawienniczą salonu. O dobrym smaku nie wspominając. Inne fotografie duchów rozdzieliły między resztę pokoi. Pop był jednym z niewielu szczęśliwców, którzy dostąpili zaszczytu, jak mawiały siostry Pus z majestatyczną prostotą, obchodu. Ale właśnie w salonie trzymały swoje najcenniejsze fotografie. Wśród nich przyciągała wzrok najcenniejsza z cennych. Wyróżniała się dzięki temu prostemu faktowi, iż stała w dumnej samotności na krótkim stajwayu, obok wykuszowych okien. Przedstawiała zwłoki, lewitujące nad trumną w obecności kilkudziesięciu zdrętwiałych ze zgrozy żałobników. Oczywiście było to fałszerstwo. Dziecko dziesięcioletnie - diabła tam, ośmioletnie - rozpoznałoby fałszerstwo. W porównaniu z nim zdjęcia tańczących elfów, które tak zmaciły w głowie biednemu Arthurowi Conan Doyle'owi pod koniec życia, były doskonałe. Po prawdzie, kiedy Pop omiatał wzrokiem pokój, widział tylko dwa dobre fałszerstwa; wymagałyby dokładniejszego zbadania. A jednak te dwie wiekowe cipki, zbierające zdjęcia duchów przez całe życie i przekonane, że są wielkimi ekspertkami na tym polu, zachowywały



się jak para nastolatek oglądających horror, kiedy pokazał im nie paranormalną fotografię, ale cholerny, niesamowity, paranormalny aparat, który niewykonał pojedynczego numeru, jak to urządzenie, co zrobiło zdjęcie widmowej damy i powrót myśliwych z polowania na lisa. On robił to w kółko Maciejowi. A ile wydały na ten swój zbiór, tę czystej wody bujdzę na resorach? Tysiące? Dziesiątki tysięcy? Setki...

- ...do pokazania? - pytała go Meleusippus.

Pop Merrill wygiął wargi w grymasie. Widocznie udało mu się imitacja Uśmiechu Wsiowego Prościucha, ponieważ siostry Pus nie okazały zaskoczenia ani podejrzliwości.

- Droga pani zechce mi wybaczyć - powiedział Pop. - Ale na kilka minutek zaćmiło mi umysł. Latka lecą, każdemu z nas się to zdarza.

- My liczymy sobie po osiemdziesiąt trzy lata i umysł mamy tak żwawy jak przy trzydziestce - Eleusippus żywo zgał Popa.

- Dwudziestce - poprawiła Meleusippus. - Ciekawa jestem, czy pokaże nam pan jakieś nowe fotografie... oczywiście, kiedy tylko odniesie pan to ohydztwo.

- Od wieków nie widziałyśmy żadnych dobrych fotografii! - Eleusippus zapaliła nowego camela.

- Pojechaliśmy w zeszłym miesiącu do Providence na Zjazd Stowarzyszenia Tarota i Zjawisk Nadzmysłowych Nowej Anglii - mówiła Eleusippus - i choć wykłady były zajmujące...

- ...i krzepiące duchowo...

- ...to wiele fotografii okazało się bezczelnymi fałszerstwami! Nawet dziecko dziesięcio...

- ...siedmioletnie!...

- ...poznałoby się na nich. Więc... - Twarz Meleusippus oblekł niepokój. Ta zmiana ekspresji musiała być bolesna (mięśnie twarzy staruszek dawno temu zastygły w wyrazie ukojenia i pogodnej mądrości). - Jestem zakłopotana. Panie Merrill, muszę przyznać, iż jestem w pewnej mierze zakłopotana.

- To samo cisnęło mi się na usta - rzekła Eleusippus.

- Dlaczego przyniósł pan to okropieństwo? - Meleusippus i Eleusippus zapytały o to zestrojonym harmonijnie dwugłosem, skażonym jedynie nikotynową chrypą.

Pragnienie, by wyrzucić z siebie: „Bo nie wiedziałem, że z was taka para kurzych pizd”, było tak mocne, że przez jedną koszmarną sekundę Pop myślał, iż mu uległ. Zwinął się, czekając, aż bliźniaczy krzyk oburzenia urośnie w świątobliwych mrokach salonu jak pisk

zardzewiałych pił taśmowych, wgrzających się w twarde sęki sosnowe, i będzie wzrastał, aż szkła w oprawkach podrabianych fotografii trzasną w męce wibracji.

Moment, w którym wyobrażał sobie, że wyrzekł na głos te potworne słowa, trwał nie dłużej niż ułamek sekundy, ale kiedy przeżywał go później powtórnie podczas nieprzespanych nocy, gdy zegary szeleściły sennie na parterze (a polaroid Kevina Delevana czał się w zamkniętej szufladzie warsztatu), zdawał się trwać znacznie dłużej. Podczas tych bezsennych godzin czasem żałował, że ich nie wyrzekł, i wtedy zastanawiał się, czy przypadkiem nie traci zmysłów.

Ale w rzeczywistości zareagował z taką szybkością i instynktownym sprytem, że było to niemal godne szacunku. Mógł wygarnąć do słuchu siostrom Pus. Co by to była za satysfakcja! Ale na nieszczęście satysfakcja krótkotrwała. Jeśli zaś im pochlebi - czego się właśnie spodziewały, ponieważ pławiły się w pochlebstwach całe życie (choć te kąpiele za cholerę nie poprawiły im cery) - być może sprzeda im dęte fotografie duchów za kolejne kilka tysięcy dolarów. Jeśli tylko zdołają oszukać raka płuc, który na pewno dopadł jedną albo obie co najmniej kilkanaście lat temu.

A poza wszystkim Pop posiadał w pamięciowych aktach także innych Szalonych Kapeluszników, choć nie było ich tak wielu, jak to wyobrażał sobie tego dnia, kiedy wybrał się w odwiedzinę do Cedricka McCarty'ego. Posprawdzał nieco tu i tam i okazało się, że dwójka umarła, a jeden uczy się wyplatania koszyków w luksusowym ośrodku wypoczynkowym w północnej Kalifornii, gdzie zajmowano się niewiarygodnymi bogaczami, którzy bezpowrotnie postradali zmysły.

- Po prawdzie - powiedział - to przywiozłem aparat, żebyście na niego, panie, rzuciły okiem. O to mi chodzi - dorzucił pospiesznie, widząc na ich twarzach konsternację - że doświadczenie pań na tym polu jest ogólnie znane.

Konsternacja ustąpiła miejsca satysfakcji. Spojrzały na siebie, puchnąc z dumy i samozadowolenia, i Pop zamarzył, żeby oblać dwie cholerne paczki cameli benzyną, wsadzić je w ciasne, staro-panieńskie dupska i zapalić. Wtedy by pięknie zadymiły. Dymiłyby jak przytkane kominki, o to mu chodziło.

- Myślałem, że jakoś mi panie poradzicie, co mam zrobić z tym aparatem, o to mi chodzi - zakończył.

- Zniszczyłabym go - natychmiast zawyrokowała Eleusippus. - Dynamitem - powiedziała Meleusippus.

- Najpierw kwasem, potem dynamitem - poprawiła Eleusippus.

- Właśnie - zakończyła Meleusippus. - Jest niebezpieczny. Nie trzeba długo patrzeć na tego psa z piekła rodem, żeby to zrozumieć. - A jednak popatrzyła. Obie patrzyły. Wyraz obrzydzenia przemknął im po twarzach.

- Czuje się, jak emanuje złeem - powiedziała Eleusippus tak złowieszczym głosem, że powinno to zabrzmieć śmiesznie, jak strofy więdźmy z *Makbeta* w ustach licealistki, ale, nie wiadomo dlaczego, nie zabrzmiało śmiesznie. - Niech pan to zniszczy, panie Merrill. Zanim stanie się coś strasznego. Zanim może... niech pan zwróci uwagę, mówię tylko „może”, to zniszczy pana.

- Spokojnie, spokojnie - rzekł Pop, czując się jednak odrobinę niewyraźnie - troszeczkę panie przesadzają. To tylko aparat, o to mi chodzi.

- A *ouija*, która wybiła oko biednej Colette Simineaux kilka lat temu, to był tylko kawałek pilśni - spokojnie oznajmiła Eleusippus Deere.

- Przynajmniej zanim ci głupi, głupi ludzie nie wzięli tego do ręki i nie obudzili licha. - Ton Meleusippus był jeszcze spokojniejszy.

Cóż można było dodać. Pop podniósł aparat - wziął go z rozmysłem za pasek, nie za korpus, choć mówił sobie w duchu, że robi to tylko ze względu na dwie stare cipki - i wstał.

- No cóż, panie, jesteście ekspertkami - rzekł. Staruszki popatrzyły na siebie i nadęły się.

Tak. Odwrót. Pozostał tylko odwrót... przynajmniej na razie. Ale jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Pies tym lepszy, im gorszy. Pewne jak w banku.

- Nie chcę zabierać paniom więcej czasu, a tym bardziej się narzucać.

- Ależ bynajmniej się pan nie narzuca! - powiedziała Eleusippus, wstając.

- Tak rzadko trafiają się nam teraz goście! - dodała Meleusippus, również wstając.

- Panie Merrill, niech pan odniesie to do samochodu - rzekła Eleusippus - i...

- ...wróci na podwieczorek. - Suty podwieczorek!

Choć Pop o niczym bardziej nie marzył niż o tym, żeby stąd wysuwać (i właśnie tak im to oznajmić: „Dzięki serdeczne, ale marzę, żeby stąd, kurwa, wysuwać”), skłonił się lekko, kurtuazyjnie i w podobnym stylu powiedział:

- Z wielką rozkoszą. Ale z przykrością muszę paniom oznajmić, że jestem już umówiony. Nie bywam tak często w mieście, jak bym tego pragnął. - „Raz skłamałeś, kłam ile wlezie”, zwykł powtarzać Popowi tatko i tę radę synalek wziął sobie do serca. Demonstracyjnie spojrzął na zegarek. Już się zasiedziałem. Wy, dziewczęta, umiecie mężczyźnie zakręcić w głowie. I jak przypuszczam, nie jestem pierwszy, z którym się wam to udało.

Zachichotały i na policzkach wykwitły im identyczne rumieńce koloru bardzo zwiędłych róż.

- Ależ, panie Merrill! - wyrwał się tryl z piersi Eleusippus.

- Zaproście mnie, panie, następnym razem. - Krzywy uśmiech o mało mu nie rozerwał twarzy. - Zaproście mnie następnym razem i na wszystkie świętości! Powiem „tak” ani się obejrzyście!

Wyszedł, a jedna z sióstr szybko zamknęła za nim drzwi („Może boją się, że ich cholerne sfalszowane fotografie duchów zblakną od słońca”, pomyślał kwaśno). Strzelił fotkę starej Murzynce, która nadal grabiła liście. Zrobił to pod wpływem impulsu, tak jak człowiek o złym sercu pod wpływem impulsu zjeżdża na skraj wiejskiej drogi, żeby zabić skunksa albo szopa.

Murzynka, rozeźlona, obnażyła zęby i ku zdumieniu Popa zrobiła gest, jakim odpędza się złe duchy.

Wsiadł do samochodu i szybko cofał się do ulicy.

Tylne koła wjechały na jezdnię i Pop musiał się odwrócić, żeby sprawdzić, czy droga wolna. Przypadkiem zahaczył wzrokiem o zdjęcie. Nie wywołało się całkowicie. Miało matowy, mleczny walor wszystkich polaroidowych zdjęć, które się jeszcze wywołują.

Ale było na tyle wyraźne, że kiedy tylko Pop na nie spojrzał, swobodny oddech nagle urwał mu się jak wietrzyk cichnący ni stąd, ni zowąd, a serce zamarło w połowie uderzenia.

To, co przewidywał Kevin - działo się. Pies zakończył obrót i zaczynał nieustępliwie, jak fatum nieuchronnie, zbliżać się do aparatu i tego, kto go trzymał... Ach, przecież on sam go trzymał przed chwilą, czyż nie? On, Reginald Marion Pop Merrill, podniósł go i strzelił fotkę starej Murzynce, pod wpływem chwili, jak dzieciak, który dostał lanie i strzela z wiatrówki do ustawionych na słupku butelek po lemoniady, ponieważ nie może strzelić do ojca, choć w tym momencie, tuż po upokorzeniu, kiedy tyłek jeszcze wciąż mu pulsuje, o niczym innym nie marzy.

Pies zbliżał się, Kevin wiedział, że to nastąpi. Pop też by na to wpadł, gdyby do tej chwili miał okazję się zastanowić. Lecz od tej chwili trudno będzie mu myśleć o czymkolwiek innym. Myślenie o tym coraz ściślej wypełni mu czas, na jawie i we śnie.

„Zbliża się”, pomyślał Pop, i groza obezwładniła go jak człowieka, do którego w ciemności zbliża się nieubłagane jakiś stwór, jakiś niedający się opisać stwór. Kły i pazury ma jak sztylety. „Och, mój Boże, zbliża się, ten pies się zbliża”. Ale nie tylko się zbliżał. Zmieniał się.

Trudno było określić, na czym polegała zmiana. Oczy bolały, rozdarte między tym, co powinny widzieć, a tym, co widziały. Uczepił się myśli, że chyba ktoś zmienił obiektyw aparatu z normalnego na „rybie oko”, dzięki czemu psie czoło ze zmierzwioną sierścią jednocześnie rozrosło się i cofnęło, a psie ślepia nabrały wstrętnego, morderczego, czerwonego błysku, jaki czasem pojawia się w oczach ludzi fotografowanych polaroidem.

Psie ciało wydłużyło się, ale nie schudło, raczej spęczniało. Nie utyło. Stało się bardziej umięśnione.

A zęby urosły. Wydłużyły się. Wyostrzyły.

Pop nagle przyłapał się na tym, że myśli o bernardynie Joego Camberà, Cujo - tym, co to zabił Joego i starego moczymordę Gary’ego Perviera, i wielkiego George’a Bannermana. Cujo dostał wścieklizny. Koło domu Camberà nie pozwolił wyjść z samochodu kobiecie i małemu chłopcu. Po dwóch czy trzech dniach chłopak zmarł. A teraz Pop zastanawiał się, czy nie na coś takiego właśnie patrzyli, osaczeni podczas długich dni i nocy, smażąc się w samochodzie jak w piecu; coś takiego albo podobnego. Przyćmione, czerwone oczy, długie, ostre zęby...

Klakson zatrąbił niecierpliwie.

Pop wrzasnął. Jego serce nie zaskoczyło. Dostało kopa, jak silnik bolidu formuły pierwszej.

Półciężarówka ominęła jego samochód, nadal tkwiący w połowie na podjeździe a w połowie w wąskiej uliczce dzielnicy willowej. Kierowca wystawił pięść przez okno i wyprostował środkowy palec.

- Wyssij mi pałę, skurwysynu! - zawył Pop. Zjechał z podjazdu, ale tak niepewnie prowadził, że uderzył o krawężnik po drugiej stronie ulicy. Szaleńczo zakręcił kierownicą (nieuchronnie naciskając przy tym klakson) i odjechał. Ale minąwszy trzy przecznice, musiał stanąć. Siedział za kierownicą, czekając, aż drgawki ustąpią i będzie mógł prowadzić.

To byłoby na tyle z siostrami Pus.

\*

W ciągu następnych pięciu dni Pop zastanawiał się nad pozostałymi nazwiskami ze swych pamięciowych akt. Cena wywoławcza, która sięgała dwudziestu tysięcy dolarów w przypadku McCarty’ego i spadła do dziesięciu tysięcy w przypadku siostr Pus (choć podczas żadnego ze spotkań nie udało mu się dojść do tak zaawansowanego etapu, żeby napomknąć o cenie), zmniejszała się, w miarę jak kurczyły się możliwości. W końcu został mu tylko Emory Chaffee i wizja skasowania może dwóch i pół tysiąca.

To był paradoks: ze wszystkich egzemplarzy Szalonych Kapeluszników - egzemplarzy, których lista była długa i niebywale zróżnicowana - Emory Chaffee jako jedyny wierzył w tamten świat, będąc przy tym absolutnie pozbawiony wyobraźni. Już to, że zastanawiał się nad tamtym światem, było zadziwiające. Jego wiara zdumiewała. A to, że płacił spore sumy za przedmioty mające związek z tamtym światem, wprawiało Popa w absolutne oszołomienie. Tak się sprawy miały i Pop umieściłby Chaffee'go o wiele wyżej na swej liście, gdyby nie irytujący fakt, że Chaffee był zdecydowanie najsłabiej uposażonym z - jak ich Pop nazywał - Bogatych Szalonych Kapeluszników. Chaffee ze wszystkich sił starał się utrzymać szczątki dawnej rodzinnej fortuny, ale rezultaty osiągał mizerne. Stąd kolejny wielki spadek w cenie wywoławczej polaroidu Kevina.

„Ale, pomyślał Pop, wjeżdżając na zapuszczony podjazd jednego z najlepszych w latach dwudziestych letniskowych domków Sebago Lake, któremu już niewiele było trzeba, żeby stać się jednym z najbardziej dziadowskich całorocznych domków Sebago Lake (dom rodzinny w dzielnicy Bramhall miasta Portland poszedł za długi piętnaście lat temu), jeśli ktoś kupi to zasaństwo, to tylko Emory”.

Jedynie, co nie dawało mu spokoju - i to coraz bardziej, w miarę jak bezowocnie przeglądał listę, to sprawa próbnego zdjęcia. Mógł opisywać, co kamera robiła, mleć jęzorem do utraty tchu, ale nawet taki dziwak jak Emory Chaffee nie wyłoży przyzwoitej sumki wyłącznie na podstawie opisu.

Czasem Pop zastanawiał się, czy nie było głupotą z jego strony, że kazał Kevinowi zrobić wszystkie te zdjęcia. Ale gdy się już odsiało ziarna od plew, widać było, że to nie miało znaczenia. W tamtym świecie (ponieważ, jak i Kevin, zaczął myśleć o świecie polaroidowych fotografii w ten właśnie sposób: jak o faktycznym świecie) czas mijał dużo wolniej niż w tym... ale czy nie przyspieszał, w miarę jak pies zbliżał się do aparatu? Chyba tak. Na pierwszych zdjęciach ruch psa był ledwie widoczny, teraz tylko ślepy nie zauważyłby, że pies zbliżał się za każdym naciśnięciem migawki. Różnica odległości była zauważalna, nawet gdy trzaskało się fotkę za fotką. Robiło to wrażenie, że czas tam prawie usiłuje... no cóż, usiłuje w jakiś sposób zsynchronizować się z czasem tutejszym, dogonić go.

Już to było wystarczająco parszywe. Ale to jeszcze nie wszystko.

To wcale nie był żaden pies, do cholery!

Pop nie miał pojęcia, co to jest, ale był tego pewien, jak tego, że jego matka leży na cmentarzu Homeland: to żaden pies.

To chyba był pies, kiedy obwąchiwał płot, widoczny obecnie dobre dziesięć stóp w tyle. Wyglądał też na psa, choć na wyjątkowo złego psa, kiedy wystawił na pokaz swą psią fizys.

Ale teraz wyglądał na stworzenie, które nigdy nie chodziło po bożej ziemi, a prawdopodobnie i po czarcim piekle też nie. A co jeszcze bardziej niepokojące: ta garstka ludzi, przy których Pop wykonał próbne fotografie, zdawała się tego nie zauważać. Wszyscy jak jeden mąż i jedna niewiasta wzdrygali się z obrzydzeniem, jak jeden mąż i jedna niewiasta wyrokowali, że to najbrzydszy, najgroźniej wyglądający bywalec śmietników, jakiego kiedykolwiek widzieli, ale na tym się kończyło. Nikt nie dostrzegł, że pies z polaroidu Kevina, zbliżając się do fotografa, zamienia się w coś potwornego. Zbliży się do obiektywu, stanowiącego rodzaj drzwi między tamtym światem a tym.

Pop pomyślał (jak i Kevin): „Ale nigdy się nie przedostanie. Nigdy. Ten stwór jest ZWIERZĘCIEM, może cholernie złym zwierzęciem, nawet straszliwym, takim, jakie małe dziecko widzi w szafie oczyma wyobraźni, kiedy mama zgasi światła, ale tylko ZWIERZĘCIEM. Więc oto stanie się: na ostatnim zdjęciu pokaże się jedynie smuga. Ten pies z piekła rodem skoczy. Nie będzie nic widać, o to mi chodzi. Potem aparat przestanie działać. A jeśli nawet nie, to zamiast zdjęć będą wychodzić tylko czarne kwadraciki. Nie da się robić zdjęć aparatem z zepsutym albo pękniętym obiektywem. A ten ktoś rzucający cień upuści aparat. Pies z piekła rodem walnie w aparat i w tego kogoś. Tak sobie wyobrażam. Aparat prawdopodobnie upadnie na chodnik i prawdopodobnie PĘKNIE. To cholerstwo to przecież sam plastik, a plastik i beton wcale nie grają ze sobą”.

Ale oto Emory Chaffee pojawił się na spękanej werandzie, na której ze spaczoney szalówki zlaźła farba, a siatkowe drzwi nabierały rdzawego koloru zaschniętej krwi i ziały gdzieniegdzie dziurami. Emory Chaffee ubrany w blezer niegdyś granatowy, ale sprany do nieokreślonej szarości liberii windziarza. Emory Chaffee, o wysokim czole niknącym hen, daleko pod resztką włosów. Uśmiechał się po swojemu uśmiechem idioty, ukazując gigantyczne wystające zęby, które upodabniały go do Królika Bugsa, cierpiącego na gigantyczny niedorozwój umysłowy.

Pop złapał za pasek aparatu - Boże, ależ znienawidził to urządzenie! - wysiadł z wozu i zmusił się, żeby odpowiedzieć facetowi uśmiechem i kiwnięciem ręki.

Zawszeć interes to interes.

\*

- Wredne psisko, no nie?

Chaffee z uwagą przypatrywał się niemal całkiem wywołanemu zdjęciu. Pop wyjaśnił gospodarzowi działanie aparatu. Nabrał otuchy, widząc szczere zainteresowanie i ciekawość Chaffeeego. Wręczył mu polaroid i zachęcił do sfotografowania dowolnego obiektu. Emory Chaffee, szczerząc wystające zęby w obrzydliwym uśmiechu, skierował polaroid na Popa.

- Tylko nie mnie - dodał Pop pospiesznie. - Już prędzej wolałbym, żebyś pan nacelował we mnie strzelbę.

- Jak się sprzedaje, to się sprzedaje - rzekł zachwycony Chaffee, niemniej jednak usłuchał i wycelował polaroid w szerokie panoramiczne okno, wychodzące na jezioro, za którym rozciągał się widok tak bogaty, jak rodzina Chaffee za tamtych lat z początków pierwszej wojny światowej, złotych lat, jakimś sposobem w okolicach 1970 roku zamienionych w brązowe.

Nacisnął spust migawki. Aparat zapiszczał.

Pop się skrzywił. Za każdym razem, gdy teraz słyszał ten dźwięk - to ślurpnięcie, krzywił się. Usiłował zapanować nad tym odruchem i ku swemu niemiłemu zdziwieniu stwierdził, że nie może.

\*

- Tak, panie szanowny, cholernie złe bydlę! - powtórzył Chaffee, obejrawszy zdjęcia i Pop z gorzką satysfakcją zauważył, że obrzydliwy uśmiech wysadzonych, idiotycznych, szerokich-jak-bram-ka-do-krykieta zębów wreszcie znikł. Tyle przynajmniej zdołał dokonać aparat.

Ale facet najwyraźniej nie dostrzegł tego co Pop. Pop, przygotowany na tę ewentualność, był jednak za swoją obojętną maską jankesa nieźle poruszony. Gdyby Chaffee posiadał moc (tak Pop był gotów to nazwać) widzenia tego co on, głupi kutas pofrunąłby do najbliższych drzwi i to gazem.

Pies - cóż, nie był to już żaden pies, ale jakoś należało to nazywać - nie wykonał decydującego skoku na fotografa, ale się do tego szykował. Napiął mięśnie i równocześnie obniżył zad do popękanego, anonimowego chodnika. W pewien sposób kojarzył się Popowi z podrasowanym samochodem jakiegoś gówniarza. Dygoce, ledwo trzymany na uwięzi wciśniętego sprzęgła podczas ostatnich sekund czerwonego światła, wskazówka obrotomierza pręży się na 6000, silnik wyje przez chromowe rury wydechowe, szerokie, głęboko bieżnikowane opony zaraz zadymią na nawierzchni gorącym pocałunkiem.

Psi pysk zmienił się nie do poznania. Wykręcił się, wykrzywił w coś rodem z szaleńczego karnawału. Pozostało mu tylko jedno ciemne, złe oko, ani okrągłe, ani podłużne. Ciekło z niego coś. Wyglądało to jak żółtko dziabnięte zębami widelca. Nos był czarnym



dziobem z głębokimi rozdętymi nozdrzami, dziurami wywierconymi po obu stronach. I dziury dymiły. Jak spękany krater wulkanu? Może. A może tu działała już tylko wyobraźnia.

„Co tam, pomyślał Pop. Naciskaj tylko tę migawkę albo daj takim jak ten dureń naciskać i dowiesz się, no nie?”.

Ale nie chciał się dowiadywać. Popatrzył na czarne mordercze stworzenie, do którego zmierzwionej sierści przyczepiło się dobre kilkanaście rzepów z przydrożnych zarośli, stworzenie pokryte nie futrem, lecz jakby żywymi kolcami, z ogonem w kształcie berdysza. Popatrzył na cień, rozszyfrowany przez tego cholernego zasmarkanego gówniarza, i zobaczył, że i cień się zmienił. Jedna noga cienia zrobiła jakby krok w tył - bardzo długi krok, nawet biorąc pod uwagę efekt, jaki stwarzało zachodzące lub wstające słońce (zachodzące; Pop ni stąd, ni zowąd nabrał pewności, że słońce zachodzi, że w tamtym świecie następuje noc, nie dzień).

Fotograf z tamtego świata wreszcie odkrył, że obiekt nie zamierza przysiąść, aby pozować do portretu. Nigdy nie zamierzał. Zamierzał zajadać, nie zasiadać. To było jego zamierzenie.

Zajadać, a potem w jakiś niewiadomy sposób wyskoczyć ze zdjęcia.

„Dowiesz się! - pomyślał z ironią. Śmiało! Rób te cholerne zdjęcia! Dowiesz się! MASEĘ rzeczy się dowiesz!”.

- Az drogiego pana - powiedział Emory Chaffee, który przerwał tylko na moment, gdyż istoty obdarzone niewielką wyobraźnią poświęcają niewiele czasu na coś tak trywialnego jak myślenie - sprzedawca całą gębą!

Wspomnienie McCarty'ego nadal było żywe w pamięci Popa i nadal boleśnie mu doskwierało.

- Jeśli sądzi pan, że to fałszerstwo...

- Fałszerstwo? Wcale nie! Wcale a wcale... nie! - Wysadzone zębiska Chaffee'ego odstąpiły się w szerokim uśmiechu, nie szczędząc widzowi niczego ze swej obrzydliwej wspaniałości. Rozłożył ręce, demonstrując gest ale-chyba-pan-żartuje. - Jednak obawiam się, że w przypadku tego szczególnego artykułu transakcja nie wchodzi w rachubę, panie Merrill. Mówię to z przykrością, ale...

- Dlaczego?! - zaatakował Pop. - Jeśli według pana to cholerstwo me jest fałszerstwem, to dlaczego, u diabła, go nie chcesz?! - Ze zdumieniem usłyszał we własnym głosie płaczliwą furię osoby odtrąconej. Nigdy nie zachował się podobnie. Nigdy w całej historii świata. Był tego zupełnie pewien. I w przyszłości też się tak nigdy nie zachowa. Nie mógł jednak przecież oddać tego cholerstwa za darmo!

- Ależ... - Chaffee był bezradny, jakby nie mógł tego wyjaśnić, ponieważ wszystko, co miał do powiedzenia, wydawało mu się oczywiste. W tej chwili przypominał sympatycznego, ale niezbyt zdolnego nauczyciela z przedszkola, który usiłuje nauczyć zapóźnionego w rozwoju dzieciaka wiązania sznurówek. - Ale ten aparat niczego nie robi, prawda?

- Niczego nie robi? - Pop o mało nie wrzasnął. Nie mógł uwierzyć, że stracił nad sobą panowanie do tego stopnia, a tracił coraz bardziej z każdą chwilą. Co się z nim dzieje? Albo, ściślej biorąc, co ten skurwysyński aparat z nim wyprawia?! - Niczego nie robi?! Coś pan, ślepy?! On fotografuje inny świat! Robi zdjęcia, które pokazują upływ czasu, bez względu na to, gdzie je pan robisz i kiedy je pan robisz w tym świecie! I to stworzenie... to stworzenie... ten potwór...

Och. O rany. Wreszcie palnął. Wreszcie przeholował. Poznał to po spojrzeniu, jakim Chaffee go obrzucił.

- Ale to tylko pies - powiedział Chaffee spokojnym, łagodzącym tonem. Takiego tonu używa się wobec wariata, podczas kiedy pielęgniarka galopuje do szafki, w której leżą strzykawki i środki uspokajające.

- Yhy - rzekł Pop powoli i ze znużeniem. - To tylko pies i nic więcej. Aleś pan sam powiedział, że to cholernie złe bydło.

- Zgadza się, zgadza się, tak powiedziałem - zgodził się Chaffee o wiele za szybko. Pop pomyślał, że jeśli gość rozdziawi się w jeszcze szerszym uśmiechu, to górne trzy czwarte łba spadnie idiotcie na podolek. - Ale... przecież sam pan widzi, panie Merrill... jaki problem ten obiekt stwarza dla kolekcjonera. Poważnego kolekcjonera.

- Nie, nie widzę - odrzekł Pop, ale przebiegłszy myślą listę Szalonych Kapeluszników, listę jakże początkowo obiecującą, zaczynał widzieć. Prawdę mówiąc, zaczynał widzieć masę problemów, które aparat polaroidowy stwarzał poważnemu kolekcjonerowi. A co do Emory'ego Chaffee... Bóg jeden wie, o co mu chodziło.

- Niezaprzeczalnie coś takiego jak fotografie duchów istnieje - wygłosił Chaffee dostojnym pedantycznym głosem, który doprowadzał Popa do pasji i wzmagał żądę uduszenia kretyna. - Ale tu nie mamy do czynienia z fotografiami duchów. Tu...

- Niech mnie diabli wezmą, jak to są normalne fotografie!

- Zgadzam się, oczywiście - powiedział Chaffee, lekko marszcząc brwi. - Ale co to są za fotografie? Trudno to określić, nieprawdaż? Mamy do czynienia z absolutnie normalnym aparatem, fotografującym psa, który szykuje się do skoku. A gdy skoczy, wyjdzie z kadru. Wtedy mogą nastąpić trzy rzeczy. Aparat zacznie robić normalne fotografie, to znaczy fotografie tego, na co zostanie skierowany; może przestać w ogóle robić fotografie, z chwilą

gdy jego cel: fotografowanie - sporządzenie dokumentacji, chciałoby się powiedzieć - tego psa zostanie zakończone; a może po prostu dalej robić zdjęcia tego białego płotu i zaniedbanego trawnika. - Przerwał i dodał: - Podejrzewam, że za jakiś czas, powiedzmy po czterdziestu fotografiach - albo czterystu - ktoś przejdzie tym chodnikiem, ale jeśli fotograf nie uniesie aparatu, czego jak do tej pory nie zrobił, przechodzień zostanie uwieczniony jedynie od pasa w dół. Mniej więcej. - I powtórzył za ojcem Kevina, nie wiedząc nawet, kim jest ojciec Kevina: - Wybacz pan to, co powiem, panie Merrill, ale pokazał mi pan coś, czego nigdy do tej pory nie udało mi się zobaczyć: niewytłumaczalne i autentycznie paranormalne zjawisko, które jest w istocie całkiem nudne.

To zadziwiające, ale chyba szczere wyznanie sprawiło, że Pop machnął ręką na to, co Chaffee pomyśli sobie na temat jego zdrowia psychicznego, i powtórzył pytanie:

- Pan uważasz, że to naprawdę jest zwykły pies?

- Oczywiście. - Chaffee wyglądał na lekko zaskoczonego. Kundel przybłąda z wyjątkowo wrednym charakterem.

Westchnął.

- Oczywiście, nie można tego traktować serio. Chodzi o to, że ludzie nieznający pana osobiście nie są w stanie potraktować tego serio, panie Merrill. Ludzie, którzy nie znają pańskiej uczciwości i wiarygodności. Rozumie pan, to wygląda na sfabrykowaną sztuczkę. Coś w stylu dziecięcego zestawu do sztuczek magicznych.

Dwa tygodnie temu Pop gorąco sprzeciwiłby się tego rodzaju poglądom. Ale od tej pory coś się zdarzyło. Nie wyszedł, lecz prawdę mówiąc, wprawiono go w ruch u skurwiela McCarty'ego, w następstwie czego opuścił jego dom.

- No cóż, jeśli to pańskie ostatnie słowo - powiedział. Wstał i podniósł aparat za pasek.

- Bardzo mi przykro, że odbył pan podróż dla takiej drobnostki - powiedział Chaffee... i znów zaprezentował ten koszmarny uśmiech, schował się cały za gumowymi wargami i wielkimi zębami, błyszczącymi od śliny. - Właśnie szykowałem sobie kanapkę z mielonką, kiedy pan zjechał. Nie miałby pan ochoty sięść razem ze mną do stołu, panie Merrill? Moje kanapki z mielonką są całkiem niezłe, jeśli wypada chwalić siebie. Dodaję trochę rzodkiewki i słodkiej cebuli - to mój sekret - a potem...

- Dziękuję, nie - ciężko powiedział Pop. Tak jak w salonie sióstr Pus ogarnęło go jedno pragnienie: wydostać się stąd. Oddalić się na mile od tego wyszczerzonego idioty. Pop miał mocną alergię na miejsca, w których grał i przegrał. Tylko że ostatnio ich liczba jakby wzrosła. Cholernie wzrosła. - Już jadłem obiad, o to mi chodzi. Muszę wracać.

Chaffee uśmiechnął się porozumiewawczo.

- W winnicy jest pracy wiele, ale plon obfity.

„Tylko że nie ostatnio”, pomyślał Pop. Ostatnio nie było żadnych pierdolonych plonów.

- W każdym razie takie jest życie - odrzekł Pop, i wreszcie pozwolono mu opuścić dom, wilgotny i zimny (jak *tu* można żyć z nadejściem lutego, tego Pop nie potrafił sobie wyobrazić), pełen mysiej woni pleśni, może od gnijących zasłon, narzut na kanapę i tym podobnych... a może była to woń, jaką zostawiły za sobą pieniądze, które spędziły w tym miejscu dłuugi kawał czasu i ulotniły się? Świeży zapach paździenika, zmieszany z niewielkim powiewem bryzy jeziornej i mocną domieszką igieł sosnowych nigdy nie wydawał się Popowi tak miły.

Wsiadł do wozu, zapalił silnik. Emory Chaffee - inaczej niż siostry Pus, które odprowadziły go ledwie na próg i zatrasnęły zaraz drzwi jakby z lęku przed słońcem, zamieniającym w proch wampiry - stał na werandzie, szczyrzył zęby w idiotycznym uśmiechu i do tego jeszcze machał mu, jakby Pop wyruszał na cholerny oceaniczny rejs.

I nie zastanawiając się, tak jak nie zastanawiając się (a w każdym razie, nie przymierzając się do zrobienia zdjęcia), zrobił zdjęcie Murzynce, strzelił fotkę Chaffeemu i zaczynającemu-się-sypać domowi, ostatniej resztkę jego posiadłości rodzinnej. Nie pamiętał, kiedy wziął aparat z siedzenia, gdzie wcześniej rzucił go z obrzydzeniem, nie był nawet świadom, że aparat znalazł się w jego rękach ani że migawka została zwolniona, dopóki nie usłyszał jęknięcia mechanizmu wypychającego fotografię. Przypominała jezioro pokryte jakąś nieprzezroczystą, szarą mazią - może mleczkiem magnezjowym. A odgłos odezwał się w nerwach Popa. Zwinęły się z bólu, jak wtedy gdy coś zbyt gorącego lub zimnego dotyka świeżej plomby.

Był mgliście świadomy, że Chaffee śmieje się, jakby on, Pop, cholera, spletał najwyborniejszego figla świata. Ogarnięty jakąś wściekłą grozą wyszarpnął zdjęcie ze szczeliny, powtarzając sobie, że tylko w wyobraźni słyszy szczeknięcie krótkie, niewyraźne jak odgłos zbliżającej się wyścigowej motorówki, który się słyszy, zanurzywszy głowę pod wodę; powtarzając sobie, że tylko w wyobraźni czuje nadymanie się aparatu w rękach, jakby od wewnątrz działała przez moment jakaś ogromna siła. Nacisnął przycisk schowka kierowcy, wrzucił zdjęcie do środka i zamknął tak szybko i mocno, że zerwał sobie paznokiec z kciuka do żywego mięsa.

Wystartował, szarpiąc samochodem, o mało nie zalał silnika, następnie o mało nie uderzył o sędziwe świerki okalające miejsce, gdzie podjazd dochodził do domu Chaffeeego i

przez cały czas, gdy jechał podjazdem, zdawało mu się, że słyszy głośnie, bezmyślne, radosne dźwięki wydawane przez Emory'ego Chaffeeego: „Hau! Hau! Hau! Hau!”.

Serce waliło mu w piersiach, a w głowie zagnieździł się facet pracujący młotem kowalskim. W zagłębieniach skroni nabrzmiały małe wiązki żył. Pulsowały rytmicznie.

Powolutku, pomalutku opanował się. Przejechał pięć mil i kowal dał sobie spokój. Dziesięć mil (Castle Rock było teraz na wyciągnięcie dłoni) i serce wróciło do normy. Powtarzał sobie: „Nie popatrzysz na to. NIE POPATRZYSZ. Niech cholera tam zgnije. Nie musisz na to patrzeć i nie musisz więcej ich robić. Czas spisać to na straty. Czas zrobić to, na co powinieneś od razu pozwolić chłopakowi”.

Kiedy więc zjechał do Castle View, miejsca widokowego, skąd ogarniało się wzrokiem całe zachodnie Maine i pół New Hampshire, zakręcił, zgasił silnik, otworzył skrytkę i wyjął zdjęcie - bezwolnie i nieświadomie, jak w lunatycznym śnie. Oczywiście zdjęcie wywołało się w schowku. Chemikalia na zwodniczo płaskim kwadraciku ożyły i jak zwykle odwaliły swój kawałeczek dobrej roboty. Mrok czy światło, dla zdjęcia robionego polaroidem to bez różnicy.

Pso-stwór wykonał pełny przysiad. Sprężył się maksymalnie, jak kurek cofnięty do oporu. Zęby miał tak ogromne, że wściekle cofnięcie warg wydawało się prostą koniecznością; jak mogły zamknąć się na takich zębach? Jak te szczęki mogły w ogóle otworzyć się, żuć? Stwór bardziej przypominał teraz odyńca niż psa, a po prawdzie nie przypominał niczego, co Pop kiedykolwiek widział na oczy. Nie tylko oczy bolały od patrzenia na zwierzę. Bolał mózg. Pop czuł, że zaraz zwariuje.

Dlaczego teraz nie pozbyć się tego aparatu? - przyszło mu nagle do głowy. Nic prostszego. Wsiądź, podejdź do tamtej barierki i rzuć. Po kłopotcie. Do widzenia.

Ale byłby to impulsywny postępek, a Pop Merrill należał do szczepu Główkujących - należał doń duszą i ciałem, o to mi chodzi. Nie chciał pod wpływem chwili robić niczego, czego później mógłby żałować i...

„Jeszcze pożałujesz, jeśli tego nie zrobisz”.

Ale nie. I nie. I jeszcze raz nie. Człowiek nie może działać wbrew własnej naturze. To nienaturalne. Trzeba czasu do namysłu. Do nabrania pewności.

Wybrał kompromis. Zamiast aparatu wyrzucił fotografię. Odjechał szybko. Przez kilka chwil zbierało mu się na wymioty, ale poczuł się lepiej. Odzyskał trochę równowagę. Kiedy znalazł się w bezpiecznych ścianach sklepu, otworzył metalowe pudło, wyjął polaroid, wybrał klucz służący do otwierania szuflady, w której trzymał swoje niezwykłości. Zaczął wkładać tam aparat, lecz nagle zastygł. Brwi mu się zmarszczyły. Obraz kłosa do rąbania

drewna, stojącego za domem, narzucił mu się z taką wyrazistością, z taką ostrością szczegółów, jak fotografia.

„Kto ci powiedział, że nie należy działać wbrew własnej naturze? To głodne kawałki i sam o tym wiesz. Nie leży w ludzkiej naturze zjedanie prochu z ziemi, ale zjadłbyś go cały talerz, na łysinę świętego Antoniego, gdyby kazano ci to zrobić, przystawiwszy lufę do skroni. Wiesz, na co przyszedł czas, kolego - przyszedł czas zrobić to, na co powinienes od razu pozwolić chłopakowi. W gruncie rzeczy, nic w to nie zainwestowałeś”.

Ale coś w jego mózgu podniosło wściekły, gwałtowny protest: „A właśnie, że tak! Zainwestowałem, zainwestowałem! Ten chłopak zniszczył idealnie sprawny aparat polaroidowy! Co z tego, że nieświadomie. To nie zmienia faktu, że jestem biedniejszy o sto trzydzieści dziewięć dolców”.

- Eee tam, gówna na grzance - zamruczał żwawo. - Nie o to chodzi! Nie rozchodzi się, kurwa, o forszę!

Tak, tu nie rozchodziło się, kurwa, o forszę. Stać go było na przyznanie się, że nie pieniądze grały tu rolę. Stać go było na stratę stu trzydziestu dziewięciu dolarów. Popa w istocie stać było na wiele. Również na własną rezydencję w dzielnicy Bramhau miasta Portland i najnowszy model mercedesa benza w garażu. Nigdy nie zamierzał kupować czegoś podobnego - zbierał cent do centa i prawie patologiczne skąpstwo przywykł uważać za godną szacunku jankeską cnotę - ale to nie znaczyło, że nie było go stać na takie fanaberie.

Rozchodziło się nie o pieniądze; rozchodziło się o coś dużo bardziej, o coś stokroć ważniejszego. Rozchodziło o to, żeby nie dać się oskubać. Celem życiowym Popa było nie dać się oskubać, a kiedy się to - bardzo rzadko - wydarzało, czuł się tak, jakby wewnątrz czaszki rozłaziły mu się czerwone mrówki.

Weźmy na przykład sprawę z tym cholernym szwabskim adapterem. Kiedy Pop dowiedział się, że ten handlarz antykami z Bostonu - było mu Donahue - dostał pięćdziesiąt dolców więcej niż powinien za gramofon Victor-Graff z roku 1915 (który zresztą okazał się dużo popularniejszym modelem z roku 1919), stracił snu za trzysta dolarów, nocami czasem układając różne plany zemsty (jeden bardziej szaleńczy i idiotyczny od drugiego), czasem przeklinając się za głupotę i mówiąc sobie, że naprawdę dziadzieje, skoro taki mieszcuch jak Donahue zdołał go oskubać. A czasem wyobrażał sobie tego kutasa opowiadającego kumplom przy pokerze, jak łatwo mu poszło: co tam, oni wszyscy to banda prostaków, gdyby takiemu wiejskiemu szczerowi jak ten Merrill z Castle Rock zaproponować Brooklyn Bridge, cholerny głupek spytałby tylko „Ile?”. Donahue i jego serdeczni kumple kiwają się na fotelach wokół stołu do pokera (Pop nie miał pojęcia, dlaczego zawsze widział ich przy takim

stole w tym unicestwiającym śnie na jawie), palą cygara po dolarze sztuka i wyją ze śmiechu jak banda trolli.

Sprawa polaroidu zżerała go jak kwas, ale wciąż nie umiał postawić na niej krzyżyka. Nie potrafił.

„Oszalałeś! - krzyczał w nim jakiś głos, Oszalałeś, żeby z tym ciągnąć!?”.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to przełknę - mruzczał posępnie do tego głosu i zacienionego pustego sklepu, który tikał i takał samemu sobie jak bomba w walizce. - Niech mnie diabli porwą, jeśli to zrobię,

Ale to nie znaczy, że musi kicać w tę i we w tę, usiłując wepchnąć komuś to skurwysyństwo, a na pewno nie musi robić więcej zdjęć. Uznał, że zostały jeszcze trzy bezpieczne fotografie, a prawdopodobnie i z siedem, ale nie zamierzał być tym, który się o tym przekona. Bynajmniej.

Jednakże zawsze mogło się coś nadarzyć. Nigdy nie wiadomo. A polaroid wsadzony do szuflady raczej nie ma wielkich szans wyrządzenia krzywdy jemu ani komukolwiek innemu, co?

- Pewnie - przytaknął sobie krótko. Wrzucił aparat, zasunął szufladę, klucze włożył do kieszeni, podszedł do drzwi i zmienił tabliczkę z ZAMKNIĘTE na OTWARTE. Miał minę człowieka, który wreszcie rozwiązał na dobre jakiś dręczący problem.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Nazajutrz Pop ocknął się o trzeciej nad ranem, skąpany w pocie, wpatrzony trwożnie w ciemności. Zegary zaczęły właśnie ze znużeniem wybijać kolejną godzinę.

Nie obudził go ich dźwięk, choć znajdował się nie w łóżku na górze, ale na dole, w sklepie. „Emporium Galorium” było ciemnym lochem, całe w pokracznych cieniach, bo blasku ulicznych latarni, który padał przez brudne okienne szyby, starczyło akurat, żeby tuż za granicą światła spodziewać się strasznych stworów.

Nie obudziły go głosy zegarów. Obudził go błysk flesza.

Ze zgrozą stwierdził, że stoi w piżamie przy warsztacie i trzyma w rękach polaroid Sun 660. Szuflada z niezwykłościami była otwarta. Choć zrobił zdjęcie, palec zwalniający migawkę naciskał spust jeszcze i jeszcze, i jeszcze. Gdyby nie zwyczajny zbieg okoliczności, zrobiłby o wiele więcej zdjęć niż to, które wyłoniło się ze szczeliny aparatu. W kasecie na szczęście został tylko jeden ładunek.

Pop zaczął opuszczać ramiona - aparat był skierowany ku frontowi sklepu, wizjer z cienkim jak włos pęknięciem tkwił przed jego otwartym, śpiącym okiem. Opuścił ręce do wysokości klatki piersiowej, zaczęły się trząść, a mięśnie panujące nad zawiasami w łokciach

puściły. Ręce opadły, palce otworzyły się i aparat runął ze stukotem do szuflady z niezwykłościami. Zdjęcie wysliznęło się ze szczeliny, spadało. Uderzyło o brzeg otwartej szuflady, przechyliło się najpierw jakby w ślad za aparatem, a potem wahało w przeciwną stronę. Spoczęło na podłodze.

„To atak serca, myślał chaotycznie Pop. Zaraz dostanę cholernego, najzwyczajszego ataku serca”.

Spróbował podnieść prawe przedramię, żeby dłońią rozmasować lewą stronę klatki piersiowej, ale przedramię ani drgnęło. Dłoń na końcu przedramienia zwiśla bezwładnie jak trup na końcu szubienicznego sznura. Świat falował przed oczyma Popa. Odgłosy zegarów (spóźnialskich, które właśnie kończyły dzwonienie) ginęły dalekimi echemi. Potem ból w piersi przygasł, światło przybrało nieco na sile i uświadomił sobie, że właśnie o mało nie zemdlął.

Zamierzał usiąść w ruchomym fotelu, stojącym przy stole. Siadanie na fotel, podobnie jak opuszczanie aparatu, zaczęło się świetnie, ale biodra nie wykonały nawet połowy drogi w dół, a te drugie zawiasy, spajające uda i łydki w kolanach, również puściły i Pop nie tyle siadł, co upadł na fotel. Mebel przetoczył się o stopę w tył, uderzył w skrzynkę wypełnioną starymi „Life’ami” i „Lookami” i znieruchomiał.

Głowa Popa opadła na piersi, co zwykle dzieje się przy zawrotach głowy. Minął jakiś czas. Nie miał kompletnie pojęcia, ani wtedy, ani potem, jak długo to trwało. Być może zapadł nawet na chwilę w sen. Ale kiedy podniósł głowę, wracał do jako takiej normy. W skroniach i na czole czuł równomierne pulsowanie, prawdopodobnie krew spłynęła w ten cholerny kapuściany łeb, kiedy zwiślał długo w dół, ale Pop zdołał podnieść się na nogi. Wiedział, co musi zrobić. Jeśli ta rzecz zafalowała nim tak dalece, że zmusiła do chodzenia we śnie, potem zmusiła (odruchowo próbował się zbuntować przeciwko temu czasownikowi, temu „zmusić”, ale zapanował nad tym odruchem) do zrobienia zdjęcia, to trzeba z nią skończyć. Nie miał pojęcia, czym jest ta cholerna rzecz, ale jedno nie ulegało kwestii: żadnych kompromisów.

„Czas zrobić to, na co powinienes od razu pozwolić chłopakowi”.

Tak. Ale nie dziś. Był wyczerpany, zlany potem i miał dreszcze. Wszystko, na co było go stać, to wdrapać się po schodach, mowy nie ma o machaniu młotem. Mógłby odwalić swoje tu, po prostu wyjąć to z szuflady i walnąć o podłogę, raz i drugi, ale prawda nie była tak prosta, zrozumiał to do głębi: na razie nie chciał mieć do czynienia z aparatem. Odłoży to do rana... a aparat do tej pory nie spowoduje żadnych szkód, prawda? Nie było w nim ładunków.



Pop zasunął szufladę. Zamknął na klucz. Dźwignął się jak człowiek dobiegający raczej osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki, i z wolna podreptał do schodów. Pokonywał je stopień po stopniu, na każdym odpoczywał, jedną ręką trzymał się poręczy (chwiała się nie gorzej od niego), w drugiej niósł ciężki pęk kluczy. Wreszcie dotarł do podestu. W sypialni odzyskał trochę sił. Udał się do łóżka, jak zawsze nieświadom mocnego smrodu przepoconej żółtkłej pościeli i starczej woni, która rozeszła się, kiedy się położył - zmieniał pościel każdego pierwszego i uważał, że to wystarczy. Nie zasnął, przyszło mu do głowy, ale zaraz pomyślał: „Właśnie, że zaśniesz. Zaśniesz, bo możesz, a możesz, bo jutro z rana od razu weźmiesz młot, rozwalisz kurestwo na kawałki i na tym będzie koniec”.

Pomyślał to i prawie natychmiast zasnął. Przez resztę nocy spał bez snów, niemal bez ruchu. Rano zdumiał się, słysząc, że wszystkie zegary wybiły dodatkowe uderzenie: osiem zamiast siedmiu. Zdumienie minęło dopiero, gdy ujrzał światło padające lekko nieregularnym rombem na podłogę i ścianę, i uświadomił sobie, że jest ósma. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zaspał. Przypomniał sobie noc. Teraz, w dziennym świetle, cały epizod wydawał się mniej niesamowity: czyżby prawie zemdlął? A może opanowała go tylko jakaś słabość, naturalna u lunatyka, gdy zostanie niespodziewanie obudzony?

Ależ oczywiście, że tak. Trochę jasnego, rannego światła nie mogło jednak zmienić tego podstawowego faktu: chodził we śnie, zrobił przynajmniej jedno zdjęcie i zużyłby całą kasetę, gdyby była pełna.

Wstał, ubrał się, zszedł na dół. Chciał rozwalić aparat w drobny mak jeszcze przed poranną kawą.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Kevin całą duszą pragnął, aby jego pierwsza wizyta w dwuwymiarowym Polaroidowie była ostatnią, ale pragnienie się nie ziściło. Podczas kolejnych trzynastu nocy Polaroidowo śniło mu się coraz częściej. Jeśli durny sen wziął sobie wolną nockę - „mały urlopik, do zobaczyska, Kev, ale zaraz wracam, dobra?” - nachodził go dwukrotnie nocy następnej. Teraz Kevin zawsze wiedział, że to sen. Kiedy tylko sen się zaczynał, powtarzał sobie, że wystarczy się obudzić, „do cholery, obudźże się tylko!”. Czasem sen sam się urywał, czasami rozpływał się, a Kevin zasypiał głębiej, ale nigdy nie obudził się, gdy tego chciał.

Teraz zawsze to było Polaroidowo - nigdy Oatley czy Hildojowo, jak nazwał miasteczko nieporadny umysł podczas dwóch prób identyfikacji miejsca. I tak, jak to się działo na fotografii, każdy sen posuwał troszeczkę akcję. Najpierw facet z wózkiem na zakupy. Wózek już za pierwszym pojawieniem się nie był pusty, lecz wypełniony różnościami... przeważnie zegarami. Wszystkie pochodziły z „Emporium Galorium” i

wszystkie były jakieś niezemskie. Nie przypominały normalnych rzeczy, raczej fotografie normalnych rzeczy, wycięte z czasopism i potem w jakiś nieprawdopodobny, paradoksalny sposób wepchnięte do wózka na zakupy, który będąc dwuwymiarowy jak i same zegary, nie miał głębokości, żeby je zmieścić. A jednak jakoś się mieściły i starzec opiekuńczo zasłaniał je własnym ciałem, mówił do Kevina, żeby się wynosił, że jest pieprzonym złodziejem... groził dodatkowo: „Jeśli się nie wyniesiesz, poszczuję na ciebie Popowego psa! Jeszcze się przekonasz”.

Potem przychodziła tusta kobieta, która nie mogła być tusta, ponieważ była idealnie płaska, niemniej jednak była tusta. Zjawiała się, pchając swój własny wózek na zakupy pełen polaroidów Sun 660. Ona również zwracała się do Kevina, nim poszła sobie dalej. „Uważaj, chłopcze”, mówiła wyraźnym, ale bezbarwnym głosem kompletnie głuchej, „Popowy pies zerwał się ze smyczy, a to zły kundel. Zanim tu przyłazł, rozszarpał kilku ludzi na fannie Trentonów w Camberville. Trudno mu zrobić zdjęcie, ale bez aparatu niczemu nie podolasz”.

Pochylała się po aparat. Czasem nawet mu go podawała. Wyciągał rękę. Nie wiedział, dlaczego kobieta uważa, że powinien zrobić zdjęcie psu, dlaczego sam miał na to chęć... a może chciał być tylko uprzejmy?

W każdym razie oboje - i ona, i Kevin - poruszali się ze stateczną powolnością nurków, zwykłą u ludzi w snach, i nigdy nie udawało im się zetknąć. Kiedy Kevin wspominał tę część snu, często myślał o sławnym fresku Michała Anioła na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej, ukazującym Boga i Adama: wyciągnięte dłonie, a palce wskazujące prawie - nie całkiem, ale prawie - zetknięte.

Potem tusta kobieta znikwała na chwilę, ponieważ nie miała szerokości, a gdy pojawiała się znów, nie można jej było dosięgnąć. „No to do niej wróć”, myślał za każdym razem w tym momencie Kevin, ale nie mógł wrócić. Nogi prowadziły go nieubłaganie, jakby nigdy nic, do łuszczącego się białego płotu, Popa i psa... tylko że pies przestawał być psem, zamienił się w jakąś potworną hybrydę, która zionęła żarem i dymem jak smok, miała kły i poblížniony ryj dzika. Pop i polaroidowy pies odwracali się równocześnie. Pop trzymał aparat - jego aparat, Kevin wiedział, ponieważ korpus był uszkodzony - przy prawym oku. Lewe Pop miał zamknięte. Okulary bez oprawek połyskiwały mu na głowie w zamglonym słońcu. Pop i polaroidowy pies mieli wszystkie trzy wymiary. Byli jedynymi elementami tego dziadowskiego, strasznego miasteczka ze snu, które miały trzy wymiary.

„To on! - wrzeszczał Pop wysokim, chrapliwym, przerażonym głosem. To złodziej! Bierz go, piesku! Wypruj z niego, kurwa, flaki, o to mi chodzi!”.

Wraz z tym ostatnim wrzaskiem zimna błyskawica rozjaśniała dzień. To Pop naciskał spust migawki i pobudzał flesz. Kevin odwracał się, rzucając do ucieczki. Sen, gdy śnił go po raz drugi, urwał się w tym miejscu. Odtąd przy każdej następnej okazji wydarzenia posuwały się trochę dalej. Kevin poruszał się z wolna jak podwodny tancerz. Czuł, że gdyby mógł obejrzeć siebie z zewnątrz, widziałby, że porusza się jak tancerz, jego ramiona obracają się jak łopatki startującego śmigła, koszula wykręca się wraz z ciałem, napina na piersi i brzuchu, wyłazi z tyłu ze spodni, szeleszcząc głośno jak szorstki papier ścierny.

Biegnie tą samą drogą, którą przyszedł, stopa z każdym krokiem podnosi się wolno, a potem opada sennie (oczywiście, że sennie, a jak inaczej, głupcze, myślał zawsze w tym momencie), aż uderzy w popękany, apatyczny beton chodnika, podeszwy tenisówek rozplaszczają się pod ciężarem ciała i wzniesają małe obłoczki kurzu, który unosi się tak wolno, że Kevin widzi poszczególne pyłki. Wirują wokół własnych osi jak atomy.

Kevin biegnie powoli, tak, oczywiście, a polaroidowy pies, bezimienny przybłąda, baśniowy psi potwór, który pojawił się znikąd i nie ma związku z niczym, niepożądany jak cyklon, niemniej jednak istnieje, goni go powoli... ale nie tak znowu powoli.

Trzeciej nocy sen rozplynął się właśnie w chwili, gdy Kevin zaczął odwracać głowę tym przeciągającym się, doprowadzającym do szaleństwa zwolnionym ruchem, chcąc się przekonać, ile ma przewagi nad psem. Sen opuścił jedną noc. Powrócił, i to dwukrotnie, następnej nocy. Za pierwszym razem Kevinowi udało się odwrócić trochę głowę. Zobaczył, że ulica niknie, kiedy ją mija. Za drugim razem (wyrwany przez budzik ze snu, obudził się lekko spocony, w pozycji płodowej na brzegu łóżka) zobaczył przednie łapy psa. Biegły za nim trop w trop, wykopywały w betonie kruche małe kraterki. Z łap wyrastały pazury i długie kościste ostrogi. Czerwone, zaćmione ślepia stworza nie odrywały się od Kevina. Ciemne płomienie pełzały po ryju. „Jezu, Jezu Chryste, RYJ mu płonie”, pomyślał Kevin, a kiedy się zbudził, że zgrozą usłyszał własne pospieszne mamrotanie:

- ...ryj mu płonie, ryj mu płonie, ryj mu płonie.

Kevin uciekał, a pies go doganiał. Kevin, nawet nie odwracając się, słyszał, że jest coraz bliżej i bliżej. Fala ciepła płynęła chłopcu od krocza. Zmoczył się z przerażenia. Wiedział o tym, choć ledwo czuł, co się stało. Ogarnęło go odrętwienie, takie samo, na jakie wydawał się skazany w tamtym świecie. Słyszał uderzenia łap polaroidowego psa o chodnik, suchy trzask i chrobot kruszącego się betonu. Słyszał ziajanie, syk powietrza między obrzydliwymi zębami.

A i tej nocy, kiedy Pop obudził się, by stwierdzić, że nie tylko chodził we śnie, ale zrobił co najmniej jedno zdjęcie, Kevin oprócz tego, że usłyszał oddech polaroidowego psa,

poczuł go po raz pierwszy: powiew ciepłego powietrza na pośladkach, jak duszny wiatr, który ciągnie za sobą przelatujący w podziemnej stacji metra pociąg. Kevin wiedział, że pies jest już dość blisko, aby skoczyć mu na plecy. Oto co go czeka: kolejny oddech, tym razem nie ciepły, ale gorący, tak gorący jak ostre czknięcie w przelyku, a potem ta zniekształcona, żywa paść na niedźwiedzia zatopi się głęboko między łopatki, oderwie skórę i mięso z kręgosłupa... i czy naprawdę myślał, że to nastąpi tylko we śnie? Naprawdę?

Obudził się z tego ostatniego snu w chwili, gdy Pop dotarł do podestu schodów i odpoczywał po raz ostatni przed powrotem do łóżka. Kevin leżał sztywno wyprostowany, prześcieradła i koc pozwijane wokół bioder, skórę miał zlaną potem, a równocześnie lodowatą, pokrytą jak stygmatami milionem sztywnych, białych gruzełków gęszej skórki na brzuchu, piersi, plecach i ramionach. Wydało mu się, że czuje je nawet na policzkach.

Ale nie myślał o śnie. Przynajmniej nie wprost. Myślał: „Nie zgadza się, liczba się nie zgadza, jest trzy, a to niemożliwe...”.

Przewrócił się na plecy jak dziecko (ponieważ mimo swych piętnastu lat nadal był jeszcze dzieckiem i miał nim pozostać przez większość tego dnia) i znów zasnął głęboko.

Budzik wyrwał go ze snu o wpół do ósmej, jak zawsze w dzień szkoły. Kevin znów siedział wyprostowany na łóżku, oczy miał szeroko otwarte. Wszystkie kawałki łamigłówek znalazły się na swoich miejscach. Polaroid, który roztrzaskał, nie był jego polaroidem, i dlatego dręczył go w kółko zwariowany sen. Pop Merrill, miły, stary, wsiowy mędrak i reperator aparatów fotograficznych, zegarów i drobnego sprzętu domowego, obrobił jego i ojca tak sprytnie, jak szuler z pływającego kasyna obrabia żółtodziobów w starym westernie.

- Ojciec...!

Usłyszał z dołu trzask drzwi wyjściowych i wyskoczył z łóżka. W bieliźnie, dwoma susami dopadł drzwi. Zreflektował się. Zawrócił. Szarpnięciem otworzył okno i wrzasnął:

- Tato! - właśnie w chwili, gdy ojciec wsiadał do samochodu, udając się do pracy.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Pop wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, otworzył szufladę z niezwykłościami, wyjął aparat, wciąż bacząc, żeby chwycić za pasek. Z pewną nadzieją popatrzył na przednią ściankę polaroidu. Miał nadzieję, że może szkła obiektywu rozbiły się przy ostatnim upadku, że cholerstwu, powiedzmy, może wypłynęło oko, ale jego ojciec lubił powtarzać, że złego diabli nie wezmą, i to sprawdziło się w wypadku cholernego aparatu Kevina Delevana. Odprysk z boku korpusu powiększył się trochę, ale na tym koniec.

Pop zasunął szufladę, obrócił klucz, spostrzegł zdjęcie, które zrobił we śnie, leżące ekspozycją do podłogi. Nie mógł się powstrzymać, aby na nie nie spojrzeć, tak jak żona Lota

nie potrafiła się nie odwrócić i nie spojrzeć na zniszczenie Sodomy. Podniósł je topornymi palcami, które jakże sprawnie umiały ukryć swą zręczność przed światem. Odwrócił.

Pso-stwór odbił się do skoku. Przednie łapy ledwo oderwały się od ziemi, ale z krzywego kręgosłupa i naprężonych mięśni pod skórą, na której sierść sterczała jak stalowa czarna szczota, zaczęła wyzwalać się cała skupiona poprzednio energia. Pysk i łeb zatarły się nieco, gdyż pies rozdziawił mordę. Ze zdjęcia, jak zza szyby, dobiegało niskie, gardłowe warknięcie. Zaczynało przechodzić w ujadanie. Cień fotografa robił chyba kolejny krok w tył, ale czy miało to znaczenie? Nos pso-stwora zionął dymem, a jakże, dymem, a jeszcze więcej dymu dobywało się z niewielkiego otworu w głębi otwartej szczęki, gdzie kończyła się ściana złowrogich zębów. Każdy usiłowałby zawrócić i uciec na ten widok, ale Popowi wystarczyło tylko spojrzeć, żeby wiedzieć, iż ten mężczyzna (oczywiście, że był to mężczyzna, może kiedyś był to i chłopiec, nastolatek, ale kto teraz był właścicielem aparatu?), który zrobił to zdjęcie wyłącznie odruchowo, jakby palce podskoczyły mu na spuście migawki... ten mężczyzna nie ma cienia szansy. Utrzyma się na nogach czy zawadzi o własną stopę i padnie - bez różnicy. Najwyżej umrze, stojąc, a nie leżąc na dupie.

Pop zmiął fotografię. Wsadził klucze do kieszeni. Odwrócił się. Trzymał za pasek coś, co kiedyś było polaroidowym aparatem fotograficznym Kevina Delevana, model Sun 660, a teraz było jego polaroidem. Ruszył w głąb sklepu po młot. Kiedy dochodził do drzwi prowadzących do szopy, wielki, biały i cichy błysk flesza rozjarzył mu się nie przed oczami, ale za nimi. W mózgu.

Zawrócił. Teraz jego oczy były tak puste jak oczy człowieka chwilowo porażonego światłem. Minął warsztat. Aparat trzymał na wysokości piersi jak urnę wotywną, jakieś naczynie służące do składania ofiary albo inny zabytek. W połowie drogi między warszatem a frontem sklepu stało biurko zastawione zegarami. Po jego lewej stronie wznosił się jeden ze słupów podtrzymujących całą, wielką jak stodoła, budowlę. Na haku wbitym w słup też wisiał zegar, imitacja niemieckiego czasomierza z kukułką. Pop złapał zegar za daszek. Zdjął z haka. Nie przejmował się ciężarkami. Natychmiast się zaplątały. Wahadło oderwało się. Maleńkie drzwiczki rozwarły się na pełną szerokość, drewniany ptaszek wysadził dzióbek i zdziwione oczko. Wydał pojedyncze zduszone KUKU! - jakby protestując przeciw obcesowemu traktowaniu, i dał nura do środka.

Pop powiesił na miejscu zegara polaroid, zawrócił i po raz drugi udał się w głąb sklepu. Oczy nadal miał puste i błędne. Machał niedbale zegarem, nie słysząc dingów i dongów, jakie od czasu do czasu dolatywały ze środka mechanizmu i przypadkowych zduszonych ćwierknięć ptaszka, który być może chciałby uciec. Nie zauważył, że jeden z

ciężarków uderzył o ramę starego łóżka, oderwał się i potoczył pod materac, ryjąc głęboki ślad w kurzu, spokojnie zalegającym tu od lat. Poruszał się ze ślepą, bezmózgą celowością robota. W szopie zatrzymał się tylko, by złapać młot za wyslizgane stylisko. Mając zajęte obie ręce, lewym łokciem „podważył haczyk, pchnął drzwi szopy i wszedł na podwórko.

Podszedł do kloca i położył na nim imitację niemieckiego zegara z kukułką. Przez chwilę stał z pochyloną głową. Obie ręce złożył na stylisku młota. Twarz miał nadal bez wyrazu, oczy mętne i oszołomione, ale częścią mózgu nie tylko myślał precyzyjnie, ale sądził, że działa absolutnie precyzyjnie. Ta część umysłu nie widziała zegara z kukułką, który był od początku niewiele wart i teraz w ogóle nie nadawał się do niczego. Widziała Kevinowy polaroid. Ta część umysłu Popa naprawdę wierzyła, że zszedł na dół, wyjął polaroid z szuflady i wyszedł od razu na podwórze, przystając tylko po miot.

I ta część umysłu będzie później obsługiwała pamięć... chyba że Popowi wygodniej będzie pamiętać coś innego. Albo jeszcze coś innego.

Pop Merrill podniósł młot i spuścił mocno w dół - nie tak mocno jak Kevin, ale wystarczająco mocno, żeby załatwić sprawę. Młot uderzył dokładnie w daszek imitacji niemieckiego zegara z kukułką. Zegar nie pękł, nie roztrzaskał się, rozprysnął się. Kawałki sztucznego drewna, trybików i sprężyn poleciały na wszystkie strony. A ten drobny fragment umysłu Popa, który widział i pamiętał (chyba że wygodnie będzie mu pamiętać co innego), widział kawałki aparatu fotograficznego rozpryskującego się na wszystkie strony.

Zdjął młot z kloca i stał chwilę nieruchomo. Jego medytujące, niewidzące oczy spoczęły na szczątkach. Ptasek, który w oczach Popa wyglądał identycznie jak kasetka, polaroidowa kasetka, leżał na plecach, zadzierając drewniane łapki w górę. Był bardziej martwy niż jakikolwiek ptasek z kreskówki i równocześnie w cudowny sposób nietknięty. Pop spojrzął, odwrócił się i poszedł do drzwi szopy.

- Dość - zamruczał pod nosem. - Starczy.

Nawet ktoś stojący blisko miałby kłopoty ze zrozumieniem słów, ale bijąca z nich ulga była wyraźna.

- To załatwione. Tym już nie muszę się przejmować. Co teraz? Tytoń do fajki, no nie?

Ale kiedy w piętnaście minut potem dotarł do sklepu z drugiej strony kwartału, nie poprosił o tytoń fajkowy (choć pamiętał, że o to prosił). Poprosił o kasetę.

Z ładunkami do polaroidu.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

- Kevinie, spóźnię się do pracy, jeśli nie...

- Możesz zadzwonić? Możesz? Zadzwonić i powiedzieć, że się spóźnisz albo że w ogóle może dziś nie przyjedziesz? Gdyby to było coś naprawdę, naprawdę, naprawdę ważnego?

- Co to ma być? - ze znużeniem zapytał pan Delevan.

- Możesz?

W drzwiach sypialni Kevina stanęła teraz pani Delevan. Za nią Meg. Obie z ciekawością wpatrywały się w mężczyznę w garniturze i wysokiego chłopca, nadal odzianego jedynie w długie gatki.

- Myślę, że... tak, powiedzmy, że mogę. Ale nie zadzwonię, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

- Chodzi o Popa Merrilla. I aparat - powiedział Kevin, zniżając głos i wymownie zerkając ku drzwiom.

Pan Delevan, który początkowo ze zdziwieniem patrzył na miny Kevina, teraz podszedł do drzwi, zamruczał coś do żony. Kiwnęła głową. Następnie zamknął drzwi, poświęcając tyle uwagi jękliwym protestom Meg, co ćwierkaniem ptaków na drucie telefonicznym za oknem sypialni.

- Co powiedziałaś mamie? - spytał Kevin.

- Że to męska sprawa. - Pan Delevan zdobył się na lekki uśmiech. - Myślę, że ona myśli, że chcę pogadać z, tobą o onanizowaniu się.

Kevin spiekł raka.

Pan Delevan spojrzał na niego z troską.

- Ale nie robisz tego, co? Chodzi o to, wiesz, że...

- Wiem, wiem - pospiesznie przerwał mu Kevin. Nie zamierzał mówić ojcu (i nie był pewien, czy kiedykolwiek uda mu się logicznie na ten temat wypowiedzieć, nawet gdyby chciał), że na moment wytrąciło go z równowagi nie tylko to, że ojciec wie o waleniu konia - co oczywiście wcale nie powinno dziwić syna, ale jakoś zdziwiło i wzbudziło zdziwienie co do własnego zdziwienia - ale że matka też skądś o tym wie.

Mniejsza z tym. Wszystko to nie miało nic wspólnego z koszmarami sennymi ani z tym przekonaniem, które mocno zagnieździło mu się w głowie.

- Powiedziałem ci, chodzi o Popa. I złe sny, które mam ciągle. Ale głównie chodzi o aparat. Pop w jakiś sposób go ukradł, tato.

- Kevinie...

- Rozbiłem go na kawałki na klocu, wiem. Ale to nie był mój aparat. To był jakiś inny aparat. Najgorsze jest to, że on wciąż robi zdjęcia moim aparatem! I ten pies wkrótce

wyskoczy! Kiedy to zrobi, będzie chciał mnie zabić. W tamtym świecie, on już sko... sko... sko...

Nie mógł dokończyć. Kevin zaskoczył samego siebie po raz drugi - tym razem, wybuchając płaczem.

\*

Zanim John Delevan uspokoił syna, była za dziesięć ósma i pogodził się z tym, że co najmniej spóźni się do pracy. Obejmował chłopaka - cokolwiek nim wstrząsnęło, musiało dać mu niezłą szkołę. Pan Delevan podejrzewał, że u korzeni sprawy muszą leżeć problemy seksualne.

Kevin już mniej dygotał i jedynie pierś od czasu do czasu mu podskoczyła. Pan Delevan podszedł do drzwi i otworzył je ostrożnie, w nadziei, że Kate sprowadziła Meg na dół. Tak. Korytarz stał pusty. „Jeden zero dla nas”, pomyślał i wrócił do syna.

- Możesz teraz mówić?

- Pop ma mój aparat - wykrztusił Kevin ochryple. Wpatrywał się w ojca czerwonymi, nadal załzawionymi oczami krótkowidza. - Jakos położył na nim łapę i robi zdjęcia.

- Io tym śniłeś?

- Tak... i coś mi się przypomniało.

- Kevinie... to był twój aparat. Przykro mi, synu, ale był. Widziałem nawet ten mały uszczerbek z boku.

- Musiał to jakoś zmagistrować...

- Kevinie, to robi wrażenie bardzo nacią...

- Posłuchaj - nalegał Kevin - może zechciałbyś posłuchać?

- W porządku. Tak. Słucham.

- Pamiętam to: kiedy wyszliśmy za dom, dał mi aparat, żeby go zniszczyć, pamiętasz?

- Tak...

- Zajrzałem w to małe okienko, pokazujące, ile zdjęć zostało. I było widać trzy. Tato! Było widać trzy!

- Tak? No to co z tego?

- W aparacie była kaseta! Kaseta! Wiem, bo pamiętam, że jeden z tych błyszczących czarnych interesów wyskoczył, kiedy rozwaliłem aparat. Podleciał w górę, a potem opadł na dół.

- Powtarzam: co z tego?

- Kiedy dawałem swój aparat Popowi, nie było w nim żadnej kasety! Ot co. Miałem już dwadzieścia osiem zdjęć. Chciał, żebym zrobił jeszcze trzydzieści, w sumie pięćdziesiąt



osiem. Może kupiłbym więcej kaset, gdybym wiedział, o co Popowi chodziło, ale wątpię. Wtedy już bałem się tego urzędnika...

- Tak, ja trochę też. Kevin spojrzał na niego z szacunkiem.

- Bałeś się?

- Taaa... Chyba wiem, o co ci chodzi. Ruszaj się.

- Chciałem powiedzieć, że zrzucił się na kasetę, ale nie dał nawet połowy. On jest wredny zdzierca, tato.

John Delevan uśmiechnął się blado.

- Taki jest, mój chłopcze. Jeden z największych zdzierców tego świata, właśnie. Rusz się i ubierz do końca. Tempus fugituje jak szalony.

Kevin zerknął na budzik. Była prawie ósma. Żaden z nich nie wiedział, że Pop obudzi się w ciągu dwóch minut i zacznie krzątać się przy swym porannym zadaniu, z którego bardzo niewiele zapamięta.

- W porządku - rzekł Kevin. - Chcę tylko powiedzieć, że nie mogłem kupić więcej kaset, nawet gdybym chciał. Wydałem wszystkie pieniądze na trzy kasety. Pożyczyłem nawet dolca od Megan, więc pozwoliłem jej dwa razy pstryknąć.

- Tak z ręką na sercu: wykorzystałeś wszystkie ładunki? Co do jednego?

- Tak! Tak! Nawet powiedział, że było pięćdziesiąt osiem. A kiedy skończyłem robić dla niego zdjęcia, w ogóle nie kupiłem kasety. Aparat był puściutki, kiedy go przyniosłem, tato! W okienku było zero! Widziałem! Pamiętam! Więc jeśli to miał być mój aparat, jak mogła się pojawić w okienku trójka, kiedy wróciliśmy na dół?

- Nie mógłby...

Ojciec Kevina przerwał, a na jego twarzy pojawiło się nietypowe dlań przygnębienie, uświadomił sobie bowiem, że Pop jednak mógł.

A prawdę powiedziawszy, to on, John Delevan, nie chciał uwierzyć, że Popowi się udało ich oszukać. Nawet najbardziej gorzkie doświadczenie życia Johna Delevana nie okazało się skuteczną szczepionką przeciw głupocie i Pop równie sprawnie zamydlił oczy jemu jak Kevinowi.

- Czego nie mógł? O czym myślisz, tato? Coś cię rąbnęło! Coś go rąbnęło, a jakże! Przypomniał sobie zapał, z jakim Pop poleciał na dół po polaroidowe zdjęcia, żeby mogli dokładniej przyjrzeć się temu czemuś, co pies miał na szyi, a co okazało się ostatnim sznurkowym krawatem od ciotki Hildy, tym z ptaszkiem, chyba dzięciołem.

„Przecież możemy iść z tobą”, powiedział Kevin, kiedy Pop zaoferował się przynieść zdjęcia. Ale czyż Pop nie zerwał się na równe nogi, żwawy jak sikora? „Wracam za minutkę”,

powiedział, czy coś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, myślał pan Delevan, mało zważałem na to, co on mówi albo robi, bo chciałem jeszcze raz obejrzeć cholerną taśmę. I jeśli chodzi o ścisłość, to Pop nawet nie musiał odstawiać dobrego starego kawału podmiany w ich obecności - choć pan Delevan niechętnie musiał przyznać, że stary skurwysyn był prawdopodobnie w razie czego gotów i na to. Prawdopodobnie mógłby i taki numer odstawić, nie bacząc na swoje siedemdziesiąt lat. Ale już kiedy oni byli na górze, a on poszedł na dół tylko po to, by wziąć Kevinowe fotografie, miał czas na zamianę dwudziestu aparatów. Swobodnie.

- Tato?

- Podejrzewam, że mógł to zrobić. Ale dlaczego?

Kevin jedynie potrząsnął głową. Nie miał pojęcia dlaczego. Ale to nieważne. Pan Delevan chyba wiedział dlaczego i już to przynosiło jakąś ulgę. Może uczciwi ludzie nie muszą się uczyć najprostszyc prawd tego świata w kółko na nowo, może niektóre z nich jednak szybko zapadają w pamięć. Wystarczyło tylko zadać sobie głośno pytanie, żeby znaleźć odpowiedź. Jaki cel przyświeca Popom Merrillom tego świata? Zysk. Oto powód, cały powód, jedyny powód. Kevin chciał zniszczyć aparat. Po obejrzeniu taśmy pan Delevan zajął podobne stanowisko. Kto, jedyny z całej trójki, potrafił spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy?

Ależ oczywiście Pop. Reginald Marion Pop Merrill.

Do tej pory John Delevan siedział na skraju łóżka Kevina, trzymając rękę na ramieniu syna. Teraz się podniósł.

- Ubierz się. Zejdę na dół i zadzwonię. Powiem Brandonowi, że się chyba spóźnię, ale niech wiedzą, że mogę w ogóle nie przyjechać. W myślach już rozmawiał z Brandonem Reedem, ale nie pochłaniało go to aż tak, żeby nie widzieć, jak wdzięczność rozjaśnia przygnębioną twarz Kevina. Pan Delevan uśmiechnął się trochę i poczuł, że nietypowe u syna przygnębienie najpierw ustępuje, a potem znika całkowicie. Przynajmniej to jedno wiadomo: syn jest jeszcze dość młody, by potrzebować ojcowskiego pocieszenia lub uznać swego starego za wyższą instancję. A on sam nie jest za stary, żeby nie znaleźć pocieszenia, pocieszając syna.

- Sądzę - powiedział, kierując się do drzwi - że powinniśmy złożyć wizytę Popowi Merrillowi.

Zerknął na budzik. Dziesięć po ósmej. Na tyłach „Emporium Galorium” młot kowalski spadał na imitację niemieckiego zegara z kukułką.

- Zwykle otwiera koło w pół do dziewiątej. Zjawimy się tam właśnie wtedy. Oczywiście, jeśli wreszcie wskoczysz w spodnie.

Zatrzymał się i zimny uśmiezek przemknął mu przez usta. Nie był skierowany do syna.

- Sądzę, że winien jest nam pewne wyjaśnienie, o to mi chodzi. Pan Delevan wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Kevin szybko zaczął się ubierać.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

„Super Drag Store LaVerdier’s” w Castle Rock był czymś dużo poważniejszym niż przeciętny drugstore. Inaczej mówiąc, funkcję drugstore’u spełniał dopiero na szarym końcu. Wyglądało to tak, jakby ktoś w ostatnim momencie - powiedzmy tuż przed przecięciem wstęgi - zauważył, że jedno ze słów w szyldzie to jednak *Drug*. Ten ktoś mógł zakarbować sobie w pamięci, że winien zwrócić uwagę komuś innemu, komuś w zarządzie firmy, iż otwierając kolejnego „LaVerdier’s” ze zwykłego niedbalstwa zapomnieli poprawić szyld, żeby głosił zwyczajnie i trafnie: „LaVerdier’s Super Store”. Ten ktoś od spostrzegania takich rzeczy, zakarbowawszy to w pamięci, opóźnił przecięcie wstęgi o kilka dni, każąc wcisnąć w najdalszy, najciemniejszy, najbardziej zaniedbany kąt długiego budynku ładę wielkości pulpitu budki telefonicznej, na której wyłożono medykamenty.

„Super Drag Store LaVerdier’s” był naprawdę czymś dużo poważniejszym niż przerośnięty sklep z tanioczą. Ostatni prawdziwy sklep z tanioczą w miasteczku, długie, mroczne pomieszczenie, słabo rozświetlone popstrzonymi przez muchy kloszami zwisającymi z sufitu na łańcuchach i odbijającymi się mętnie w skrzypiącej, ale często woskowanej drewnianej podłodze, to był „The Ben Franklin Store”. Wyzionął on ducha w 1978 roku, ustępując miejsca wypożyczalni wideo o nazwie „Galxia and E - Z Video Rentals”, gdzie we wtorek był Dzień Podglądacza i nikt poniżej dwudziestego roku życia nie miał prawa wstępu na zaplecze.

W LaVerdier’s mieściło się to wszystko, co w starym Ben Franklin Store, ale tu towary leżały skąpane w bezlitosnym świetle jarzeniówek, przydającym każdemu artykułowi gorączkowego, niezdrowego blasku. „Kup mnie!”, zdawał się wydzierać każdy przedmiot. „Kup, bo umrzesz! Albo twoja żona może umrzeć! Albo dzieci! Albo najbliższy przyjaciel! A najpewniej wszyscy razem! Dlaczego? A skąd mamwiedzieć? Jestem tylko bezmózgim artykułem z laminatowej półki LaVerdier’s. - Ale nie czujesz, że to prawda? Wiesz, że tak! Więc kup mnie i to ZARAZ”.

Stała tu półka z galanterią, dwie z artykułami pierwszej pomocy i lekarstwami, półka z taśmami wideo i audio (zarówno czystymi jak i nagranyymi). Stała długa półka z

czasopismami użyczającymi miejsca książkom w broszurowych wydaniach, gabłota z zapalniczkami pod elektroniczną kasą i gabłota z zegarkami pod drugą kasą (trzecią kasę upchnięto w kąt, w którego cieniach krył się samotnie aptekarz). Słodycze na Halloween zajmowały prawie całą półkę z zabawkami (zabawki odzyskują stracony teren, kiedy dni bezlitośnie pobiegną ku Bożemu Narodzeniu). Front sklepu, ogromna wystawa, był starannie zaaranżowanym dziełem sztuki sprzedawania pod nazwą JESIENNA WYSTAWA FOTO. Wystawa zdawała się zbyt wykwintna jak na rzeczywistość. Służyła jedynie jako zwykły odsyłacz do czegoś innego. Do Przeznaczenia przez duże P. Przypominało, że Przeznaczenie istnieje i z kolei dowodzi istnienia całego tamtego świata, o który Pop wcześniej wcale nie dbał (chyba że ów świat mógł przynieść korzyści jego kieszeni) i o którym Kevin Delevan nigdy nawet nie pomyślał.

Na wystawie stał kosz kolorowych jesiennych liści, wysypujących się na podłogę jasną powodzią (zbyt ogromną, aby faktycznie mogła spłynąć z jednego kosza, zauważyłby bystry obserwator). Między liśćmi leżało wiele aparatów fotograficznych Kodaka i Polaroida - w tym kilka sunów 660 - i wszelkiego rodzaju dodatki: futerały, albumy, filmy, lampy błyskowe. W środku tego dziwnego rogu obfitości, jak jedna z marsjańskich maszyn śmierci H. G. Wellsa górująca nad ruinami Londynu, stał staromodny trójnóg. Umieszczono na nim tabliczkę głoszącą wszystkim stałym klientom, którym chciało się na nią spojrzeć, że w tym tygodniu można spodziewać się SUPEROBNIŻKI NA WSZYSTKIE POLAROIDOWE APARATY I AKCESORIA!

O wpół do dziewiątej rano, pół godziny po otwarciu „LaVerdier’s”, wszyscy stali klienci zaczynali się od Popa Merrilla i kończyli na Popie Merrillu. Nie zwrócił uwagi na wystawę. Pomaszerował wprost do jedyne go czynnego stoiska, przy którym Molly Durham kończyła właśnie wykladać zegarki na imitującą aksamit tkaninę.

„Och nie, lezie stary Wytrzeszczacz Gał”, jęknęła w duchu i skrzywiła się. Dla Popa najulubieńszym sposobem zabicia kawałka czasu, równego mniej więcej przerwie Molly na kawę, było, nazwijmy to tak, ślinienie się przy stoisku, które obsługiwała (zawsze wybierał jej stoisko, nawet jeżeli musiał stać w kolejce; prawdę mówiąc to chyba dopiero stanie w kolejce przynosiło mu pełnię satysfakcji), i nabywanie tytoniu fajkowego Prince Albert. Był to zakup, który normalny gość realizował, powiedzmy, w trzydzieści sekund, ale jeśli Wytrzeszczacz Gał zniknął sprzed oblicza Molly szybciej niż w trzy minuty, uważała to za sukces. Trzymał wszystkie swoje pieniądze w portmonetce ze splekanej skóry, na łańcuszku. Wyciągał ją z kieszeni - Molly zawsze słyszała mocne potrząsanie kluczami - a potem otwierał. Portmonetka zawsze wydawała ciche ZGRZIIIP! i Molly głowę by sobie dała uciąć, że wyleci

z niej óma, towarzysząca zawsze w kreskówkach dusigroszom. Z wierzchu w portmonetce była kupa papierowych pieniędzy, banknotów, które jakoś tak wyglądały, jakby nie powinno się ich brać do rąk, jakby łąziły po nich zarazki ciężkiej choroby. Pod spodem dzwoniły drobne. Pop wyciągał banknot dolarowy, a potem jednym z tych swoich grubych paluchów zgarniał banknoty na bok, żeby dostać się do drobnych na dnie - nigdy nie dał ci całych kilku dolców, nie, nie. Nie zależało mu na szybkim załatwieniu interesu - a poza tym, nawet sposób płacenia ustawiał sobie wcześniej. A przez cały czas pracował oczami ile wlezie, zerkał raz, może dwa na portmonetkę, ale przeważnie wybierał drobne palcami, podczas kiedy jego oczy pełzały po piersiach, brzuchu, udach Molly i znów wracały do piersi. Nigdy nie dochodziły do ust dziewczyny, nie zbliżały się nawet do twarzy, która budziła zainteresowanie wielu mężczyzn. Nie, Pop Merrill swoje zainteresowanie ograniczał do dolnych partii kobiecej anatomii. Kiedy wreszcie kończył - a bez względu na to, jak szybko to następowało, dla Molly trwało trzy razy za długo - i wynosił się w diabły ze sklepu, zawsze miała przemożną chęć, żeby wyjść z pracy i wziąć długi prysznic.

Więc zebrała się w sobie, nałożyła swój najlepszy jest-dopie-ro-wpół-do-dziewiątej-i-czeka-mnie-jeszcze-siedem-i-pół-godziny-pra-cy uśmiech i czekała przy ladzie na Popa. Mówiła sobie: „On tylko na ciebie patrzy, faceci robią to, od kiedy dojrzałaś”. Niby prawda, ale nie cała prawda. Pop Merrill różnił się od większości facetów, którzy od dziesięciu lat ogarniali wzrokiem jej zgrabną i zasługującą na uwagę superfigurę. Częściowo dlatego, że Pop był stary, ale to nie wszystko. Niektórzy faceci patrzą na ciebie, a niektórzy - bardzo niewiele - macają cię oczami i Merrill był jednym z nich. Kiedy grzebał w swojej staropanieńskiej portmonetce na rażąco męskim łańcuchu, jego wzrok autentycznie miał swój ciężar, Molly wydawało się, że autentycznie czuje oczy Merrilla wędrujące w drgawkach w dół i w górę, po wypukłościach jej ciała jak kijanki i spływające miękko w jego zagłębienia. Wtedy marzył jej się mnisi habit. Albo zbroja.

Ale jej matka lubiła powtarzać: „Co nie do wyleczenia, to do zniesienia, kochana Molly”, i póki ktoś nie odkryje sposobu na ważenie spojrzeń, żeby można było prawnie zakazać młodym i starym świntuchom wybryków, lub - co bardziej prawdopodobne - dopóki Pop Merrill nie zrobi wszystkim mieszkańcom Castle Rock przysługi, umierając, i ta koląca oczy pułapka na turystów, w której urzędował, nie zostanie zburzona, Molly musi dawać sobie sama radę.

Ale dziś czekała ją przyjemna niespodzianka - lub tak się na początku wydawało. Głodny zazwyczaj wzrok Popa, dziś był kompletnie pozbawiony wyrazu. Nie patrzył przez nią ani na nią. Molly miała wrażenie, że Pop jest tak pogrążony w myślach, iż jego zwykle

taksujące spojrzenie nawet do niej nie dochodzi, dobiega tylko połowy drogi i opada z sił jak u człowieka, który gołym okiem usiłuje zlokalizować i poddać obserwacji gwiazdę z głębi galaktyki.

- Czym mogę panu służyć, panie Merrill? - zapytała i już stała na palcach, żeby odwrócić się i sięgnąć do miejsca, na którym leżały opakowania z tytoniem. Obsługując Popa, starała się zrobić to jak najszybciej, ponieważ w chwili, gdy się odwracała i sięgała na półkę, czuła, jak jego oczy z zapalem obmacują jej tyłek, szybko skaczą w dół, oceniając nogi i znów drapią się w górę do pośladków, żeby dokonać ostatecznej wzrokowej macanki i może uszczypnąć, zanim ona zdąży się odwrócić.

- Tak - rzekł cicho i łagodnie. Objawiał wobec niej tyle zainteresowania ile wobec monitora bankomatu. Molly bardzo to odpowiadało. - Chciałbym... - i wtedy albo padło słowo, którego nie usłyszała, albo usłyszała kompletny bełkot. Jeśli to tylko bla-bla, myślała z pewną nadzieją, to może skomplikowana sieć zapór, grobli i odpływów, którą stary dziwak zbudował, żeby powstrzymać napór morza starczości, wreszcie zaczyna się rozpadać.

Brzmiało to jak „tykasetowy”. Nie prowadzili takiego artykułu... chyba że na stoisku z lekarstwami.

- Przepraszam, panie Merrill?

- Kasety - powiedział tak wyraźnie i tak pewnie, że Molly odczuła coś więcej niż rozczarowanie. Nabrała przekonania, że właśnie to musiał powiedzieć za pierwszym razem i że się przesłyszała. Może to jej groble i zapory puszczają.

- Do jakiego typu aparatu pan sobie życzy?

- Do polaroidu. Dwie kasety. - Nie wiedziała dokładnie, co się dzieje, ale nie uległa wątpliwości, że castlerockowy stary świntuch nr 1 był dzisiejszego dnia nie w formie. Nadal błędził wzrokiem nie wiadomo gdzie, a mówił jak... coś jej to przypominało, coś mającego związek z pięcioletnią siostrzenicą Ellen, ale nie mogła tego uchwycić.

- Do jakiego modelu, panie Merrill?

Wydawało jej się, że przemawia efektownie jak aktorka, ale Pop Merrill nie zwrócił na to uwagi. Pop Merrill bujał w górnych warstwach atmosfery.

Po chwili zastanowienia, podczas której wcale nie patrzył na Molly, ale zdawał się badać wzrokiem półkę z papierosami za jej lewym ramieniem, wydukał:

- Do aparatu fotograficznego Sun. Model 660.

I kiedy mówiła mu, że musi wziąć kasety z wystawy, skojarzyła nareszcie. Jej siostrzenica miała wielkiego pluszowego misia pandę, którego nazwała, z przyczyn zrozumiałych tylko dla małych dziewczynek, Paulette. Paulette miała w brzuszku

elektroniczny komponent, jakiś chip, na którym mieściło się ze czterysta krótkich, prostych zdań w rodzaju: „Może byś mnie uściskała?” i „Obiecuj mi, że nigdy mnie nie opuścisz”. Kiedy tylko szturchnęło się Paulette w pluszowy brzusek, po krótkiej pauzie słyszało się jedno z tych kochanych, prościutkich zdanelek. Dukał je jakiś odległy i pozbawiony emocji głos, którego ton przeczył sensowi słów. Według Ellen Paulette była odlotowa. Molly uważała, że zabawka jest w jakiś sposób straszna. Spodziewała się, że pewnego dnia, gdy Ellen szturchnie pandę w brzuch, zabawka zaskoczy wszystkich (poza ciocią Molly z Castle Rock), mówiąc to, co naprawdę myśli. Może: „Dziś w nocy, kiedy zaśniesz, zaduszę cię na śmierć”, albo tylko: „Mam nóż”.

Tego ranka Pop Merrill miał głos Paulette, misia pandy. Jego pozbawione wyrazu oczy niezwykle przypominały oczka Paulette. Molly sądziła dotąd, że każda zmiana obleśnego spojrzenia starca na inne będzie okazją do radości. Myliła się.

Pochyliła się nad wystawą, ten jedyny raz kompletnie nieświadoma swojego powabnie sterczącego tyłeczka, i gorączkowo rozglądała się za kasetami. Była przekonana, że Pop patrzy wszędzie, tylko nie na nią. I miała rację. Gdy z kasetą w ręce zaczęła się odwracać (strąciła przy tym kilka liści z pudełka), Pop nadal wpatrywał się w półkę z papierosami. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zbiera się do inwentaryzacji sklepu. Dopiero po kilku sekundach można było zauważyć, że wyraz jego twarzy o niczym nie świadczy, wyraża niemal kosmiczną pustkę.

„Proszę, wynoś się stąd”, powtarzała w myślach Molly. „Proszę, weź tę swoją kasetę i idź. I tylko błagam, nie dotykaj mnie. Błagam”.

Molly podejrzewała, że wrzaśnie, jeśli Merrill jej dotknie, patrząc tym dziwnym wzrokiem. Dlaczego ten sklep zawsze musi być pusty? Dlaczego nie ma tu choć jednego klienta, najlepiej szeryfa Pangborna, ale ponieważ wygląda na to, że jest zajęty gdzie indziej, kogokolwiek? Pan Constantine, aptekarz, był gdzieś w sklepie, ale jego stanowisko wydawało się odległe o ćwierć mili i choć Molly wiedziała, że to niemożliwe, że nie mieści się tak daleko, mieściło się za daleko, żeby aptekarz zdążył uchronić ją przed dotknięciem tego starucha Merrilla. A przypuścimy, że pan Constantine wyszedł do „Nan’s” na kawę z panem Keetonem z zaopatrzenia? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej wydawało się jej to prawdopodobne. Czy nie było z góry przesądzone, że ta cała dziwaczna historia z Merrillem spotka ją, gdy będzie w sklepie sama?

„On przechodzi jakiś rodzaj umysłowego załamania”.

Usłyszała samą siebie, mówiącą ze sztuczną wesołością:

- Proszę uprzejmie, panie Merrill.

Położyła kasetę na ladzie i od razu przemknęła bokiem w lewo, chroniąc się za kasę.

Starożytna skórzana portmonetka wyłoniła się ze spodni Popa Merrilla, a drżące palce Molly źle zamarkowały cenę, więc musiała skasować zapis i jeszcze raz zamarkować.

Podawał jej dwie dziesięciodolarówki.

Powtarzała sobie, że są tylko zmięte od przebywania z innymi banknotami w tym portfeliku. Prawdopodobnie nie są nawet stare, choć wyglądają na stare. Jednakże to nie powstrzymało jej galopujących myśli. Upierały się, że banknoty są nie tylko zmięte. Są zmięte i oślizgłe. Co więcej, upierały się, że „stare” to słowo nieodpowiednie, że słowo „stare” odbiega na szerokość boiska do baseballu od rzeczywistości. Na określenie tych właśnie biletów bankowych nie wystarczało nawet słowo „starożytny”. To były prehistoryczne dziesięciodolarówki, jakimś sposobem wydrukowane przed narodzeniem Chrystusa i wzniesieniem Stonehenge, zanim pierwszy niskoczoły, pozbawiony szyi neandertalczyk wyczołgał się z pieczary. Pochodziły z czasu, kiedy nawet Bóg był jeszcze niemowlakiem.

Nie chciała ich dotykać.

Musiała ich dotknąć.

Ten człowiek czeka na swoją resztę.

Zebrała siły, odebrała banknoty, wsadziła jak najszybciej do kasy, uderzyła palcem tak mocno, że naderwała sobie prawie cały paznokieć, co zwykle boli nie do wytrzymania, a co, pograżona w stanie ogromnego zdenerwowania, zauważy dopiero w jakiś czas później... Kiedy, w tym rzecz, dopędzi wirujące myśli i zbeszta je, że zachowują się, jakby należały do roztrzepanej gówniary, która czuje zbliżanie się pierwszej menstruacji.

Teraz skoncentrowała się na jak najszybszym wsadzeniu banknotów do kasy, żeby się ich pozbyć, ale później pamiętała, co czuła, dotykając ich. Wydało się jej, że drgają, ruszają się pod opuszkami palców, jakby miliardy zarazków, potężnych zarazków, tak wielkich, że prawie widocznych gołym okiem, ochoczo czołgało się ku niej, żeby ją zarazić chorobą tego faceta.

Ale on czekał na swoją resztę.

Skoncentrowała się, zacisnęła wargi tak mocno, że aż zbiełały. Cztery jednodolarówki nie chciały, absolutnie nie chciały wyjść spod sprężynowego przycisku w szufladzie kasy. Potem dziesięciocentówka, ale Jezu-Opoko-nasza, nie ma dziesięciocentówek! Co, do diabła, dzieje się z nią?! Za jakie grzechy tkwi tu z tym dziwnym staruchem, w ten najzwyczajniejszy ze zwykłych poranków, gdy wygląda na to, że staruchowi autentycznie spieszy się do wyjścia?



Wyłowiła pięciocentówkę, czuła blisko jego milczącą, cuchnącą, groźną postać (i wiedziała, że kiedy wreszcie podniesie wzrok, zobaczy go jeszcze bliżej, pochylonego blisko nad ladą), wyłowiła trzy jednocentówki, cztery, pięć... ale ostatnia spadła między ćwierćdolarówki i musiała wyławiać ją znowu zimnymi, sztywnymi palcami. Pieniążek niemal znów się wysliznął. Kark Molly i wąski pasek skóry między nosem a górną wargą były złane potem. Zacisnęła kurczowo w dłoni monety, modląc się, żeby nie wyciągnął ręki, żeby nie musiała dotknąć jego suchej gadziej skóry, ale wiedząc, skądś wiedząc, że jednak wyciągnął rękę. Podniosła oczy, jasny i wesoły firmowy uśmiech „LaVerdier’s” rozciągał mięśnie jej twarzy jak zamarty krzyk, a zbierała siły do tego zwyczajnego grymasu, mówiąc sobie, że trzeba z tym skończyć, mniejsza z obrazem, jaki podsuwa głupi uparty umysł: sucha ręka nagle łapie jej dłoń jak szpony jakiegoś starego i ohydneho ptaszyska, nie drapieżcy, nawet nie drapieżcy, ale padlinożercy. Powtarzała sobie, że nie widzi tego obrazu, absolutnie nie, niemniej jednak widziała go. Podniosła oczy, a uśmiech na jej twarzy był jak krzyk ofiary w gorącą, cichą noc... Sklep był pusty. Pop przepadł.

Wyszedł, kiedy szukała reszty.

Molly poczuła dreszcze na całym ciele. Oto konkretny dowód, że ze starym piernikiem coś jest nie w porządku. Był to dowód pozytywny, niezbity, dowód najczystszej próby: pierwszy raz, jak sięgała pamięcią (i jak sięgała pamięć wszystkich żyjących obywateli miasteczka, Molly mogła się o to założyć i wygrać), Pop Merrill, który nie dawał napiwków nawet w tych rzadkich wypadkach, gdy jadł w restauracji nieprowadzącej sprzedaży na wynos, opuścił miejsce transakcji, nie czekając na resztę.

Molly spróbowała otworzyć rękę i wypuścić z niej cztery dolarówki, jedną dziesięciocentówkę i pięć jednocentówek. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie potrafi. Musiała siłą rozprostować palce. Drobniki upadły na szklany blat lady. Odepchnęła pieniądze, nie chciała ich dotykać.

I nie chciała nigdy więcej oglądać Popa Merrilla.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Opuszczając „LaVerdier’s” Pop miał nadal nieobecne spojrzenie. Pozostało nieobecne, gdy mijał chodnik. Ale oto zszedł z chodnika i... zastygł z nogą w niedopałkach papierosowych i pustych torebkach po chrupkach ziemniaczanych, zaśmiecających jezdnię, a nieobecne spojrzenie znikło, zastąpione wyrazem niepokojącego ożywienia. Ukazał się inny Pop, nieznanym Molly, lecz ofiary jego machinacji rozpoznałyby go znakomicie. Nie był to Merrill świntuch ani Merrill robot, ale Merrill czujne zwierzę. Nagle stał się doskonale obecny tu i teraz, ukazując w miejscu publicznym oblicze rzadko demonstrowane, gdyż

ukazywanie prawdziwego oblicza w miejscu publicznym nie było, zdaniem Popa, najświetniejszym pomysłem. Jednak tego ranka w najmniejszym stopniu nie był panem samego siebie. Zresztą i tak nie było nikogo, kto mógłby mu się przyjrzeć. Gdyby ktoś taki się znalazł, zobaczyłby nie Popa wsioowego mędrka, czy nawet Popa oszusta, ale coś jakby duszę tego faceta. W tej chwili doskonałej obecności - tu-i-teraz - Pop wyglądał jak zły pies, przygarnięty przybłęda, który powtórnie zdziczał i przywarował o północy w środku kurnika zamienionego w rzeźnię, postawił uszy, przekrzywił łeb, obnażył zakrwawione zęby i wsłuchuje się w odgłosy z chaty wieśniaka, wyobraża sobie strzelbę i wielkie czarne dziury, układające się w leżącą cyfrę osiem. Ten pies nic nie wie o cyfrze osiem, ale nawet pies potrafi rozpoznać mętny zarys wieczności, jeśli jest dość czujny.

Po drugiej stronie skweru Pop widział żółty jak uryna fronton „Emporium Galorium”, wysunięty nieco przed swych najbliższych sąsiadów: pusty budynek, który aż do zeszłego roku mieścił łaźnię miejską, jadłodajnię Nana i „You Sew and Sew”, zakład krawiecki, prowadzony przez prawnuczkę Ewie Chalmers, Polly - kobietę, o której musimy kiedyś jeszcze pogadać.

Przed wszystkimi sklepami na Lower Main Street były skośne zatoki postojowe, wszystkie puste... poza jedną, którą teraz zajmował ford kombi, znany Popowi. W nieruchomym porannym powietrzu wyraźnie rozlegał się lekki warkot silnika. Potem silnik zamilkł, światła stopu zgasły, a Pop cofnął stopę postawioną na jezdni i ostrożnie wrócił do rogu „LaVerdier’s”. Przy warował jak pies, którego zaniepokoił słaby hałas z chaty wieśniaka, hałas, który zlekceważyłby pochłonięty morderczym szalem inny pies. Nie tak stary, nie tak mądry jak ten.

John Delevan wysiadł z kombi, chłopak też. Podeszli do „Emporium Galorium”. Ojciec zaczął niecierpliwie stukać w drzwi, dźwięk rozległ się równie wyraźnie jak przedtem warkot silnika. Delevan przerwał, obaj z synem nadśluchiwali i Delevan zaczął znów, tym razem nie stukać, ale walić do drzwi, i nie trzeba było być cholernym jasnowidzem, żeby załapać, że gość jest podminowany.

„Wiedzą, pomyślał Pop. Skądś wiedzą. Cholernie dobrze zrobiłem, że rozwaliłem jebany aparat”.

Postał jeszcze chwilę. Tylko oczy mu biegały. Potem przemknął za róg drugstore’u i wśliznął się w tylną uliczkę biegnącą między sklepem a bankiem. Zrobił to tak zwinnie, że mężczyzna pięćdziesiąt lat młodszy pozazdrościłby mu płynności ruchów.

Pop doszedł do wniosku, że tego rana nie byłoby głupio zmienić trasę powrotną. Wsiądzie w ekspres, który zatrzymuje się na stacji Tylne Podwórko.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kiedy wciąż nie było odpowiedzi, John Delevan zaatakował drzwi po raz trzeci. Walił tak mocno, że szkło zatrzęsło się w gnijących dziąsłach kitu i Delevana zaboląła ręka. To dopiero uświadomiło mu stopień własnego gniewu. Nie miał żadnych wątpliwości, że jeśli Merrill zrobił to, o co Kevin go podejrzewał, gniew jest jak najbardziej usprawiedliwiony - a im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Kevin miał rację. Ale był zaskoczony, że dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z własnej furii.

„Wygląda na to, że ten poranek jest przeznaczony na naukę o sobie samym”, pomyślał. Było w tym coś szkolnego. Uśmiechnął się więc do tej myśli i nieco rozluźnił.

Kevin nie uśmiechał się ani nie wyglądał na rozluźnionego.

- Są chyba trzy możliwości - powiedział do syna pan Delevan. - Albo Merrilla nie ma w domu, albo nie podchodzi do drzwi, albo domyślił się, że zwąchaliśmy pismo nosem, i nawiał z twoim aparatem. - Przerwał i nawet zdobył się na śmiech. - Zdaje mi się, że jest i czwarta możliwość. Umarł w łóżku.

- Nie umarł. - Kevin oparł głowę o brudną szybę, żałując całym sercem, że w ogóle przestąpił próg tego domu. Osłonił oczy rękami. Słońce, wznosząc się nad wschodnią stroną miasta, odbijało się mocno w szkło. - Popatrz.

Pan Delevan też przysłonił oczy rękoma i przycisnął nos do szyby. Stali tak ramię w ramię, tyłem do skweru, gapiąc się w mroki „Emporium Galorium”, jakby oglądanie wystaw sklepowych było ich życiową pasją.

- No cóż - rzekł po kilku chwilach ojciec - jeśli nawiał, to daleko.

- Taaa... ale chodzi mi o coś jeszcze. Widzisz go?

- Co?

- Wisi na słupie. Na słupie przy biurku z tymi wszystkimi zegarami. I po chwili pan Delevan istotnie go ujrzał. Wisiał na haku wbitym w słup. Delevanowi wydawało się nawet, że widzi wyszczerbioną krawędź, choć mógł to być owoc jego wyobraźni.

Nie, to nie owoc wyobraźni.

Uśmiech znikł mu z warg. Poczł to samo co Kevin; dziwną, niepokojącą pewność, że to proste, a równocześnie straszliwie niebezpieczne urządzenie działa... i w przeciwieństwie do większości zegarów Popa działa bardzo dobrze.

- Czy myślisz, że on po prostu siedzi na górze i czeka, aż sobie pójdziemy? - głośno zapytał pan Delevan, ale naprawdę mówił do siebie. Zamek na drzwiach wyglądał na nowy i drogi... ale pan Delevan gotów był się założyć, że jeśli któryś z nich - prawdopodobnie Kevin bardziej by się tu nadał - uderzy dość mocno w drzwi, zamek rozsadzi stare drewno.

Kombinował: zamek jest na tyle dobry, na ile dobre są drzwi, w które go wstawisz. Ludzie wcale nie myślą.

Kevin odwrócił się. W tym momencie wyraz twarzy syna uderzył pana Delevana równie silnie, jak Kevina nie tak dawno uderzył wyraz twarzy ojca. Pomyślał: „Ciekawe, ilu ojców ma okazję odczytać w twarzach synów ich wygląd, gdy będą dorośli? Kev nie zawsze będzie taki napięty i wychudły - na Boga, mam nadzieję, że nie - ale tak będzie wyglądał. I, Jezu, będzie przystojny!”.

I pan Delevan, i Kevin przeżyli chwilę refleksji w samym środku wydarzeń. Trwała krótko, ale miała nie odejść w zapomnienie, zawsze gotowa ożyć w pamięci.

- Co? - chrapliwie spytał Kevin. - Co, tato?

- Chcesz się włamać? Bo jak co, to możesz na mnie liczyć.

- Jeszcze nie. Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się włamywać. Nie wydaje mi się, żeby on tu był... ale jest niedaleko.

„Nie możesz tego wiedzieć. Nawet nie powinno ci to przyjść do głowy”.

Ale jego synowi przyszło to do głowy i pan Delevan sądził, że słusznie. Jakaś więź zrodziła się między Popem a jego synem. „Nie wiesz jaka? Bądź poważny. Doskonale wiesz, co to za więź”. Chodziło o przekłety aparat wiszący w środku, a im więcej czasu upływało, im dłużej pan Delevan czuł, że urządzenie działa, przekładnie pracują, wściekle, bezmyślne trybiki się kręcą, tym mniej mu się ono podobało.

„Zniszcz aparat, zniszcz tę więź”, pomyślał i powiedział:

- Jesteś pewien, Kev?

- Zajdźmy od tyłu. Spróbujmy tamtych drzwi.

- Tam jest furka. On ją zamyka.

- Może wejdziemy przez płot?

- W porządku - powiedział pan Delevan i zszedł ostrożnie za synem po schodach „Emporium Galorium”. Skierowali się do tylnej uliczki. Po drodze pan Delevan zastanawiał się, czy ma wszystkie klepki w porządku.

\*

Ale furka nie była zamknięta. Gdzieś po drodze Pop zapomniał przekręcić klucz i choć panu Delevanowi nie uśmiechało się przełożenie przez płot, a zwłaszcza nadziewanie się na płot, co pociąga za sobą przeróbkę jaj na wydmuszki, otwarta furka podobała mu się jeszcze mniej. Niemniej jednak wszedł razem z Kevinem na zaśmiecone podwórko, którego wyglądu nie zdołały poprawić nawet wędrujące październikowe liście.

Kevin kluczył między stosami rupieci, które Pop gromadził i nie zamierzał wywozić na wysypisko. Pan Delevan szedł za synem. Zjawili się przy kłocu do rąbania drewna mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Pop wyłonił się z podwórka pani Althei Linden i wszedł na Mulberry Street, przecnicę dalej w kierunku zachodnim. Pop pójdzie Mulberry Street, aż dotrze do biur Wolf Jaw Lumber Company, przedsiębiorstwa drzewnego. Choć ciężarówki zwożące pnie kursowały już po drogach zachodniego Maine, a od jakiejś szóstej trzydzieści wycie i gwizd pił drwali unosił się z malejących stale ostępów leśnych, nikt nie zjawił się w biurach do godziny dziewiątej, a więc dopiero za dobry kwadrans. Niewielkie podwórko na tyłach przedsiębiorstwa okalał wysoki płot. Furtka była zamknięta, ale Pop miał klucz. Otworzył furtkę i wejdzie na własne podwórko.

Kevin stanął przy kłocu. Pan Delevan dobił do syna. Poszedł za jego wzrokiem. Zamrugał. Otworzył usta, żeby zapytać, co to wszystko, do diabła, ma znaczyć, i zamknął je. Bez pomocy Kevina zaczynał domyślać się, co to wszystko, do diabła, znaczy. Te domysły nie mieściły się w głowie, nie były zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy, i z gorzkiego doświadczenia (którego częścią był sam Reginald Marion Pop Merrill, z czego pan Delevan nie tak dawno zwierzył się synowi) wiedział, że kierowanie się instynktem prowadzi do błędów.

Ale to nie miało znaczenia. Chociaż pan Delevan nie myślał w takich kategoriach, można by rzec, że podanie o powtórne przyjęcie do szczepu Główkujących zamierzał składać dopiero po skończeniu całej tej afery.

W pierwszej chwili myślał, że widzi szczątki polaroidowego aparatu fotograficznego. Oczywiście winien był jego umysł szukający ratunku w przeszłości: to, co leżało na kłocu i wokół kłoca do rąbania drewna, w ogóle nie przypominało aparatu fotograficznego, polaroidowego czy innego. Wszystkie te przekładnie i zegarowe balanse mogły należeć tylko do zegara. Następnie pan Delevan ujrzał nieżywego ptaszka-jak-z-kreskówki i wiedział już, co to za zegar. Otworzył usta, żeby zapytać Kevina, dlaczego, na litość boską, Pop wyniósł zegar z kukułką na podwórko i młotem kowalskim rozwalił w kawałki. Zastanowił się jednak nad tym raz jeszcze i doszedł do wniosku, że nie musi pytać. Odpowiedź zaczęła się wyłaniać sama. Nie chciał, żeby się wyłoniła, ponieważ jego zdaniem wskazywała na wypadek skrajnego szaleństwa, ale nie miało to znaczenia; wyłoniła się i tak.

Zegar z kukułką wiesz się na czymś. Wiesz się ze względu na wahadło i ciężarki. A na czym się wiesz? A na haku, rzecz prosta.

Może na haku wbitym w słupek.

Takim jak słupek, na którym wisiał polaroid Kevina.

Teraz pan Delevan się odezwał. Słyszał swój głos z wielkiego oddalenia:

- Co się z nim dzieje, do diabła, Kevinie? Pomieszało mu się w głowie?

- Nie się - odpowiedział Kevin i kiedy tak stali nad klockiem, patrząc w dół na rozwalony czasomierz, słyszał swój głos z bardzo daleka. - Nie się. Aparat mu pomieszał.

- Musimy go zniszczyć - powiedział pan Delevan. Słowa, które wypowiadał, z trudem docierały do jego własnych uszu.

- Jeszcze nie - powiedział Kevin. - Najpierw musimy iść do drugstore'u. Mają specjalną obniżkę.,

- Jaką specjalną obni...?

Kevin dotknął ręki ojca. John Delevan popatrzył na syna. Kevin zadął głowę. Wyglądał jak łania, która zwietrzyła pożar lasu. Przez moment chłopak był nie tylko przystojny. Był niemal bosko piękny, jak młody poeta w godzinie śmierci.

- Co?! - ponaglił go pan Delevan.

- Słyszysz? - napięcie ustępowało miejsca zwątpieniu.

- Jakiś samochód przejechał ulicą - powiedział pan Delevan. Ile lat jest starszy od syna? - zastanowił się nagle. Dwadzieścia pięć?

Jezu, a może się mu tylko wydaje? Starał się odepchnąć tę dziwną myśl. Choćby na odległość ręki. Rozpaczliwie szukał w sobie dojrzałości. Znalazł trochę i przyoblekł się w nią jak w źle skrojony płaszcz.

- Jesteś pewien, że to tylko to, tato?

- Tak. Kevinie, jesteś za bardzo roztrzęsiony. Weź się w garść albo... - Albo co? Ale wiedział i zaśmiał się z wysiłkiem. - Albo doprowadzisz do tego, że uciekniemy jak para zajęców.

Kevin popatrzył na niego zamyślony, jak ktoś budzący się z głębokiego snu, może nawet z transu, i skinął głową.

- Chodźmy.

- Kevinie, dlaczego? Co chcesz zrobić? On może być na gorze, po prostu nie reaguje...

- Powiem ci, tato, kiedy tam dojdziemy. No, chodź. - Prawie wyciągnął ojca z małego podwórka na wąską uliczkę.

- Kevinie, chcesz mi wyrwać ramię, czy co? - spytał pan Delevan, kiedy znaleźli się na chodniku.

- On tam był. Chował się. Czekał, aż odejdziemy. Czuję go.

- On tam... No... powiedzmy, że był. Załóżmy, że był. Nie powinniśmy zawrócić i potrząsnąć nim za kołnierz? Gdzie był? - spytał poniewczasie.

- Za płotem - powiedział Kevin. Oczy zdały mu się pływać w twarzy. Panu Delevanowi z każdą chwilą coraz mniej się to wszystko podobało. - Już tam był. Już ma to, czego chciał. Musimy się pospieszyć.

Kevin dotarł do krawężnika i zamierzał minąć skwer i podejść do „La Verdier’s”. Delevan złapał go, jak konduktor łapie pasażera bez biletu.

- Kevinie, o czym ty mówisz?

Wtedy Kevin wypowiedział to bez ogródek. Popatrzył na ojca i powiedział:

- On się zbliża, tato. Proszę. Chodzi o moje życie. - Patrzył na ojca, błagał pobladłą twarzą i obłąkanymi, pływającymi oczyma. - Pies się zbliża. Nie wystarczy się tylko włamać i zabrać aparat. Teraz na to za późno. Proszę, nie zatrzymuj mnie. Proszę, nie budź mnie. Chodzi o moje życie!

Pan Delevan zdobył się na ogromny wysiłek, aby nie ulec temu straszliwemu wariactwu... i uległ.

- Chodź - powiedział, ujął syna pod ramię i prawie pociągnął przez skwer. Niech będzie, co ma być. - Zatrzymał się. - Mamy dość czasu?

- Nie jestem pewien - powiedział Kevin, a potem niechętnie sprostował: - Nie sądzę.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Pop podglądał Delevanów przez dziurę po sęku w parkanie. Wsadził swój tytoń fajkowy do kieszeni. Uwolnił dłonie, aby mogły się swobodnie zaciskać i prostować, zaciskać i prostować.

„Jesteście na mojej ziemi”, szeptał w myślach do Delevanów. Gdyby myśli mogły zabijać, leżeliby obaj martwi. „Jesteście na mojej ziemi, do cholery, jesteście na mojej ziemi!”.

Najzwyczajniej w świecie powinien ściągnąć tu stróża prawa i wpakować tych zadzierających nosa obywateli Castle Rock za kratki. Tak powinien zrobić. I zrobiłby zaraz, gdyby nie stali nad resztkami aparatu, który chłopak jakoby zniszczył, z Popowym błogosławieństwem, dwa tygodnie temu. Może bez względu na wszystko powinien spróbować wepchnąć władzy jakąś ciemnotę, ale wiedział, co myślą o nim w miasteczku. Pangborn, Keeton i cała reszta. Śmieć. Tak o nim myśleli. Śmieć.

Dopóki nie zaczynało im się palić pod dupą, dopóki nie potrzebowali szybkiej pożyczki po zachodzie słońca. W tym rzecz.

Zaciskał, prostował. Zaciskał, prostował.

Rozmawiali, ale Pop nie zwracał sobie głowy wysłuchiwaniem tego, co gadali. W głowie miał dymiący piec odlewniczy. Powtarzał teraz litanię: „Są na mojej cholernej ziemi i

nic na to nie mogę poradzić! Są na mojej cholерnej ziemi i nic na to nie mogę poradzić! Niech ich cholera! Niech ich cholera!”.

W końcu poszli. Kiedy usłyszał skrzypienie furtki wychodzącej na tylną uliczkę, otworzył furtkę w płocie. Z niepokojącą jak na siedemdziesięciolatka zręcznością pobiegł przez podwórze do tylnych drzwi. Jedną rękę przyciskał do prawej nogawki, jakby mimo zręcznych ruchów w tym miejscu dokuczały mu silne reumatyczne bóle. W istocie Popowi żadne bóle nie doskwierały. Nie chciał jedynie, żeby rozległ się brzęk kluczy albo drobnych. Delevanowie mogli się gdzieś ukryć, w jakimś niewidocznym miejscu. Popa wcale by to nie zaskoczyło. Kiedy masz do czynienia ze śmierzdelami, możesz spodziewać się śmierzącego numeru.

Wyjął klucze z kieszeni. Teraz zabręczały i choć ich dźwięk był przytłumiony, wydał mu się bardzo głośny. Na moment strzelił wzrokiem na lewo, pewien, że ujrzy wytrzeszczoną gębę tego małego gnojka. Zaciął usta w twardym wymuszonym uśmiechu, zdradzającym lęk. Nikogo.

Ale nigdy nic nie wiadomo.

Znalazł odpowiedni klucz, otworzył zamek. Wszedł. Pamiętał, żeby nie otwierać drzwi zbyt szeroko, bo wtedy zawiasy skrzypiały. Jednym silnym ruchem zasunął rygiel i wszedł do „Emporium Galorium”. W tych cieniach czuł się bezpiecznie jak nigdzie. Potrafił poruszać się z zamkniętymi oczami w wąskich, zastawionych rupieciami przejściach... i rzeczywiście szedł z zamkniętymi oczami, choć ta wędrówka, jak i mnóstwo innych rzeczy, na razie umykała jego pamięci.

W pobliżu frontu sklepu znajdowało się brudne okienko wychodzące na wąską tylną uliczkę, którą Delevanowie wdarli się na podwórko. Można było również wyjrzeć przez nie pod ostrym kątem na ulicę i część miejskiego skweru.

Pop prześliznął się do okienka, klucząc między stosami bezużytecznych, bezwartościowych czasopism, tchnących muzealną wonią starego kurzu. Popatrzył w uliczkę. Była pusta. Spojrzał w prawo i dojrzał Delevanów. Przez brudne sfalowane szkło wyglądali jak ryby w akwarium. Mijali podium dla orkiestry. Nie czekał, aż znikną mu z oczu, nie podszedł do frontu, żeby lepiej im się przyjrzeć. Zgadywał, że szli do „LaVerdier’s”. A że złożyli mu wizytę w domu, zapytają tam o niego. Co ten sklepowy kurwison może im powiedzieć? Że był i wybył. Jeszcze coś?

Tylko tyle, że kupił dwa opakowania tytoniu fajkowego.

Pop uśmiechnął się.

Za to go nie powieszają.



\*

Znalazł torebkę po zakupach, ruszył do kloca, zawahał się i wrócił do furtki prowadzącej na tylną uliczkę. Kiedy się raz coś przeoczyło, to nie znaczy, że człowiek musi to robić zawsze.

Zamknąwszy furtkę na klucz, podszedł do kloca i zebrał do torebki resztki strzaskanego aparatu polaroidowego. Pracował najszybciej jak potrafił, ale robił to starannie. Zebrał wszystko poza najdrobniejszymi odłamkami i kawałeczkami, wyglądającymi na śmieci niewiadomego pochodzenia. Technicy policyjni prawdopodobnie byliby w stanie zidentyfikować część tego interesu. Pop oglądał policyjne paradokumenty (to znaczy kiedy nie oglądał na wideo filmów tylko dla dorosłych), w których ci faceci od naukowości obchodzili miejsce przestępstwa z małymi szczoteczkami i odkurzaczkami, a nawet pesetami, wkładali wszystko do plastikowych torebek, ale biuro szeryfa w Castle Rock nie dysponowało takim oddziałem. A wątpliwe, żeby szeryf Pangborn potrafił namówić policję stanową do przysłania tutaj ruchomego laboratorium, zakładając oczywiście, że sam Panghorn dałby się skłonić do działania. Mało prawdopodobne w przypadku zwykłej kradzieży aparatu fotograficznego. O więcej Delevanowie nie mogli go oskarżyć, żeby nie wyjść na szaleńców. Kiedy już sprzątnął teren, wrócił do środka, otworzył szufladę z niezwykłościami i włożył tam torbę. Zamknął szufladę na klucz i włożył klucze do kieszeni. Załatwione. Jeśli chodzi o nakazy rewizji, też wiedział wszystko, co trzeba. Prędzej w piekle śnieg spadnie, niż Delevanowie namówią Pangborna, żeby wydebił im z sądu nakaz przeszukania. Jeśli Pangborn był na tyle stuknięty, żeby tego spróbować, resztki tego cholernego aparatu przepadną - na zawsze - na długo przedtem, nim wytną taką sztuczkę. Gdyby próbował pozbyć się szczątków na dobre właśnie teraz, ryzykowałby znacznie więcej, niż zostawiając je w zamkniętej szufladzie. Delevanowie gotowi wrócić i złapać go na gorącym uczynku. Najlepiej zaczekać. Ponieważ oni wrócą.

To pewne jak dwa razy dwa. Pop Merrill wiedział to dobrze. Może później, kiedy cała ta wrzawa i zamieszanie ucichnie, wybierze się do chłopaka i powie mu: „Tak. Zgadza się. Zrobiłem wszyściutko, o co mnie podejrzewałeś. Ale teraz dlaczego nie pozwolić sprawom toczyć się własnym torem i na powrót żyć tak, jakbyśmy się nie znali... co? Stać nas na to. Może wydaje ci się to niemożliwe, przynajmniej z początku, ale stać nas na to. No bo popatrz - chciałeś to zniszczyć, bo myślałeś, że jest niebezpieczne, a ja chciałem to sprzedać, bo myślałem, że jest wartościowe. Wyszło na to, że ty miałeś rację, a nie ja, i niech to ci starczy za całą zemstę. Gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś, co to znaczy - w tym mieście żyje niewielu ludzi, którzy słyszeli ode mnie coś podobnego. Ciężko mi to z gardła wydusić, o to

mi chodzi, ale niech tam; kiedy się myślę, lubię sobie wyobrazić, że jestem dość wielki, żeby się przyznać do błędu, choćby to nie wiem jak bolało. Chłopcze, w końcu zrobiłem to, do czego przymierzałeś się od początku. Wszyscy się tu o siebie potykamy, o to mi chodzi, i myślę, że powinniśmy postawić krzyżyk na przeszłości. Wiem, co o mnie myślisz, i wiem co, ja myślę o tobie, i żaden z nas nie będzie głosował na drugiego, żeby zastał mistrzem ceremonii wielkiej parady na Czwartego Lipca, ale tak jest w porządku, damy radę z tym żyć, no nie? Chodzi mi o rzecz następującą: obaj jesteśmy zadowoleni, że cholerny aparat przepadł, więc machnijmy na to ręką i pójdźmy każdy w swoją stronę”.

Ale to na potem, a zresztą tylko może. Na teraz to za mało, jasne jak słońce. Potrzebują czasu, żeby ochłonąć. W tej chwili ci dwaj palą się, aby wyrwać mu kawał mięsa z tyłka jak („pies na tym zdjęćku”) jak... no, zresztą nieważne jak. Teraz należy usiąść na miejscu, zająć się robotą i kiedy wrócą, odgrywać cholerne niebożątko. Bo wrócą.

Ale nie szkodzi. Nie szkodzi, bo...

- No bo panuję nad wszystkim - szepnął Pop. - O to mi chodzi.

Więc podszedł do drzwi frontowych i przekręcił tabliczkę z ZAMKNIĘTE na OTWARTE (następnie najprościej w świecie przekręcił ją z powrotem na ZAMKNIĘTE, ale tego nie był świadom ani teraz, ani potem). W porządku, dobry początek. Co dalej? Trzeba sprawiać wrażenie, że to dzień jak co dzień, ani więcej, ani mniej. Trzeba będzie wybałuszać oczy ze zdumienia i przybrać minę a-o-cóż-wam-chodzi, kiedy przyjdą, zionąc dymem, gotowi walczyć do ostatniej kropli krwi, byle odzyskać to, co już jest załatwione i martwe jak wesz w odwyszalni.

Więc... jaka była najnormalniejsza czynność, przy której powinni go zastać, kiedy wrócą z szeryfem Pangbornem albo bez?

Oczy Popa zatrzymały się na zegarze z kukułką, wiszącym na słupie przy tym ładniutkim biureczku, które kupił na wyprzedazy majątku w Sebago miesiąc albo półtora temu. Zegar nie był specjalnie ładniutki, prawdopodobnie nabyła go za bony premiowe jakaś biedna duszyczka, starająca się wykazać gospodarność (Pop sądził, że ludzie, którzy starają się wykazać tylko gospodarność, to biedne, zagubione duszyczki, tonące przez całe życie w ciągłych rozczarowaniach). Jednakże gdyby go podreperować, może wziąłby go jakiś narciarz, który pojawi się tu za mniej więcej dwa miesiące, ktoś potrzebujący zegara do wiejskiego domku albo szałas narciarskiego, ponieważ nie wyszła mu ostatnia transakcja i został na lodzie, a nie rozumiał jeszcze (i prawdopodobnie nigdy nie zrozumie), że następna transakcja nie przyniesie rozwiązania, ale kłopot.

Pop współczuł tej osobie i będzie targował się z nim lub z nią jak najuczciwiej, nie zawiedzie zaufania kupującego. „Niech strzeże się imperator”. Czyż nie tylko tak myślał, ale i często to mówił? A musiał przecież z czegoś żyć, no nie?

Tak. Więc siądzie sobie za warsztatem, pogmera przy tym zegarze i a nuż doprowadzi go do porządku, a gdy Delevanowie przyjdą, zastaną go przy tej robocie. Może nawet do tej pory zjawi się kilku ewentualnych klientów, poszperają wśród rupieci. Miał nadzieję, choć o tej porze roku ruch w interesie zamierał. W każdym razie klienci to zaledwie dekoracja. Liczyło się to, jak on wypadnie: jak facet, który nie ma nic do ukrycia, wykonuje zwyczajne, codzienne obowiązki, w zwyczajnym rytmie zwyczajnego dnia.

Pop podszedł do słupa, zdjął zegar z kukułką, uważając, żeby nie poplątać odważników. Podśpiewując pod nosem, wrócił do stołu. Usiadł, sięgnął do kieszeni. Świeży tytoń. To też niezłe. Pop pomyślał, że podczas roboty popyka sobie fajeczkę.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Nie możesz wiedzieć, że on tam był, Kevinie! - nie przestawał słabo protestować pan Delevan, kiedy wkraczali do „La Verdier’s”.

Kevin, nie zważając na ojca, podszedł do stoiska, które obsługiwała Molly Durkham. Już jej się nie zbierało na wymioty i czuła się znacznie lepiej. Teraz całe zdarzenie wydawało się trochę idiotyczne, jak koszmar senny, kiedy to po obudzeniu się i natychmiastowej uldze przychodzi na myśl: „Bałam się TEGO? Jak mogło mi się chociażby PRZYŚNIĆ coś TAKIEGO?”.

Ale kiedy przy stoisku pokazała się biała twarz chłopaka Delevanów, zrozumiała, że, o tak, można się bać nawet rzeczy tak idiotycznych jak sen. Została wrzucona z powrotem w sen na jawie.

Rzecz w tym, że Kevin Delevan miał prawie ten sam co Pop wyraz twarzy. Jakby zapadł się gdzieś tak głęboko, że gdy wreszcie jego głos i spojrzenie dotarły do Molly, wydawały jej się prawie wyzute z sił.

- Pop Merrill tu był - powiedział. - Co kupił?

- Proszę wybaczyć mojemu synowi - odezwał się pan Delevan. - Nie czuje się naj...

W tym momencie ujrzał twarz Molly i zamilkł. Wyglądała, jakby właśnie zobaczyła człowieka, który wsadził ramię w tryby maszyny fabrycznej.

- Och! - wykrzyknęła. - O mój Boże!

- Kupił kasetę? - spytał Kevin.

- Co z nim jest? - słabym głosem pytała Molly. - Kiedy tylko wszedł, wiedziałam. O co chodzi? Czy on... coś zrobił?

„Jezu, pomyślał pan Delevan. ON jednak WIE. Więc to wszystko prawda”.

W tym momencie podjął cichą heroiczną decyzję: poddał się całkowicie. Poddał się całkowicie i oddał w ręce syna swą osobę oraz prawo do decydowania o tym, co jest, a co nie jest prawdą.

- Kasetę, prawda? - naciskał Kevin. Na widok jego przejętej twarzy zrobiło jej się wstyd, że tak się rozsypała. - Kasetę do polaroidu. Stamtąd.

Wskazał na wystawę.

- Tak. - Miała twarz białą jak ściana, odrobina różu nałożonego rano płonęła gorączkowo na policzkach. - Był taki... dziwny. Jak gadająca lalka. Co z nim jest? Co...

Ale Kevin błyskawicznie odwrócił się do ojca..

- Muszę mieć aparat - wyrzucił z siebie bez namysłu. - Muszę mieć zaraz aparat. Polaroid Sun 660. Są tu. Nawet jest na nie specjalna obniżka. Widzisz?

Mimo iż podjął decyzję, pan Delevan nie był jeszcze gotów rozstać się z resztkami zdrowego rozsądku.

- Dlaczego... - zaczął, ale Kevin nie pozwolił mu na więcej.

- Nie wiem DLACZEGO! - krzyknęła i Molly Durham zajęczała. Teraz nie chciało jej się wymiotować; bała się Kevina Delevana, ale nie do tego stopnia. Teraz chciała tylko znaleźć się w domu, doczołgać do łóżka i schować z głową pod kołdrę. - Ale jest niezbędny i prawie nie mamy już czasu!

- Niech pani da aparat - powiedział pan Delevan, wyciągając portfel drżącymi rękami, nieświadom, że Kevin już pobiegł do wystawy.

- Aaa, bierzcie. - Molly usłyszała drżący obcy głos. - Bierzcie i niech was nie widzę.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Po drugiej stronie skweru Pop Merrill, przekonany, że naprawia niegroźny jak niemowlę w beciku zegar z kukułką, skończył zakładać kasetę do aparatu Kevina. Zatrzasnął komorę. Aparat ślurpnął.

„Cholerna kukuła skrzeczy, jakby dostała ciężkiego zapalenia gardła. Chyba trybik przeskakuje. No, mam na to lekarstwo”.

- Już ja cię ustawię - powiedział Pop i podniósł aparat. Przystawił jedno pozbawione wyrazu oko do wizjera, przez który przebiegało pęknięcie na włos, tak cienkie, że niedostrzegalne gołym okiem. Obiektyw był wycelowany we front sklepu, ale to nie miało znaczenia. Gdziekolwiek by się go skierowało, był wycelowany w pewnego czarnego psa, którego nie Bóg stworzył, w miasteczku, nazwanym z braku lepszej nazwy Polaroidowo, miasteczku, które również nie On stworzył.

**BŁYSK!**

Ślurpnięcie. Aparat Kevina wypchnął fotografię.

- No proszę - powiedział Pop z cichą satysfakcją. - Może zaczniesz nie tylko gadać, ptaszku. Chodzi mi o to, że może nauczę cię śpiewać. Nie obiecuję, ale spróbować mogę.

Pop rozciągnął w uśmiešku pomarszczone policzki i znów nacisnął spust migawki.

**BŁYSK!**

\*

Znajdowali się w połowie skweru, kiedy John Delevan zobaczył bezgłośny biały błysk, wypełniający brudne okna „Emporium Galorium”. Błysk był bezgłośny, ale po nim, jak fala uderzeniowa, przetoczył się basowy, mroczny grzmot, który wydawał się dochodzić ze sklepu starca... ponieważ sklep był jedynym miejscem, przez które grzmot mógł się wydostać na świat. Natomiast emanował spod ziemi... może dlatego, że wewnątrz ziemi było jedynym miejscem, które mogło pomieścić właściciela tego głosu?

- Biegnijmy, tato! - zawołał Kevin. - On zaczął to robić!

Błysk powtórzył się, rozjaśnił okna jak zimne uderzenie prądu. Znów rozległo się podziemne warknięcie, jak odgłos przekraczania bariery dźwięku w tunelu aerodynamicznym, głos jakiegoś niewyobrażalnie straszego zwierzęcia, obudzonego gwałtownie ze snu.

Pan Delevan nie mógł się powstrzymać i prawie nieświadomy tego, co czyni, otworzył usta, aby powiedzieć synowi, że lampa błyskowa wbudowana w aparat polaroidowy nie może dać tak mocnego błysku, ale Kevin już biegł.

Pan Delevan również rzucił się do biegu. Doskonale wiedział, co chce zrobić. Chciał dogonić syna, złapać za kołnierz i odciągnąć daleko, zanim stanie się coś tak straszego, że nawet wyobrazić sobie tego nie można.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Drugie zrobione przez Popa zdjęcie wypchnęło pierwsze ze szczeliny. Upadło na blat stołu ze stukiem o wiele za głośnym jak na taki papierowy kwadracik nasączony chemikaliami. Polaroidowy pies wypełniał teraz prawie całe ujęcie, na pierwszym planie nieprawdopodobnej wielkości łeb, czarne jamy oczu, dymiące, wypełnione zębami szczęki. Czaszka wydłużyła się, przybierając kształt jakby pocisku albo łyży. To szybkość pso-stwora i malejąca odległość od szkieł obiektywu w coraz większym stopniu mąciły ostrość. Ze sztachet zostały tylko czubki; zgarbione łopatki stwora zasłoniły resztę.

Urodzinowy sznurkowy krawat Kevina, który niegdyś spoczywał obok polaroidowego aparatu fotograficznego w szufladzie biurka chłopca, był widoczny u dołu zdjęcia, odbijał rozmyty promień słońca.

- Prawie cię już załatwiłem, skurwysynu - powiedział Pop cienkim, łamiącym się głosem. Był oślepiiony błyskami. Nie widział ani psa, ani aparatu. Widział jedynie zachryplą kukułkę, której uleczenie stało się teraz jego celem życiowym. - Zaśpiewasz mi, cholero! Już ja się o to postaram!

**BŁYSK!**

Trzecie zdjęcie wypchnęło drugie ze szczeliny. Wypadło zbyt szybko, prawie jak kamień, nie jak kwadratowy papierek, a kiedy uderzyło o blat, przebiło stary postrzępiony bibularz. Wysoko frunęły drzazgi.

Na tym zdjęciu psi łeb rozmył się jeszcze bardziej. Zamienił się w długi walec, dziwny, prawie trójwymiarowy.

Na trzecim zdjęciu, nadal zwisającym ze szczeliny aparatu, pysk polaroidowego psa jakimś niewiarygodnym sposobem znów zarysował się ostro. Było to niewiarygodne, ponieważ dotykał już obiektywu. Przypominał pysk jakiegoś morskiego potwora tuż poniżej tego kruchej menisku, który nazywamy powierzchnią.

- Draństwo ciągle jest nie jak trzeba - powiedział Pop. Jego palec znów nacisnął spust polaroidu.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Kevin wbiegł po schodach „Emporium Galorium”. Ojciec wyciągnął rękę i złapał tylko powietrze o cal od powiewającego krańca koszuli Kevina. Delevan potknął się i wylądował na rękach. Przejechały po drugim stopniu od góry. Mnóstwo drobnych drzazg wbiło się w skórę.

- Kevinie!

Podniósł oczy; na moment świat znikł prawie zupełnie w kolejnym oszałamiającym błysku. Tym razem rozległ się ryk dużo głośniejszy. Był to odgłos oszalałego zwierzęcia, które forsuje ustępujące kraty więzienia. Kevin z opuszczoną głową zasłaniał oczy przed oślepiającym blaskiem, w stroboskopowym błysku zamarł jak fotografia. Pęknięcia sunęły w dół szyby wystawowej jak krople rtęci.

- Kevinie, uwa...

Szyba wybuchła świetlistym strumieniem. Pan Delevan schylił głowę. Szkło pofrunęło wokół niego jak szkwał. Posypało się na głowę i porysowało policzki, ale żaden odłamek nie zranił głęboko chłopca ani mężczyzny; prawie cała szyba rozsypała się w proch.

Usłyszał trzask. Podniósł oczy i zobaczył, że Kevin dostał się do środka. Pchnął drzwi ramieniem i wyrwał nową zasuwę ze starego, gnijącego drewna, tak jak to sobie wcześniej kombinował ojciec.

- KEVIN, DO CHOLERY! - ryknął. Podniósł się, nogi mu się zaplątały, mało nie upadł na kolano i rzucił się za synem.

Coś stało się z tym cholernym zegarem z kukułką. Coś złego.

Bił raz za razem, co już było fatalne, ale to nie wszystko. Pop czuł, że zegar ciąży mu w dłoniach... a równocześnie wyraźnie staje się coraz gorętszy.

Spojrzał w dół i ogarnęła go groza, nie mógł zdobyć się na krzyk. Szczęki miał jak związane drutem.

Uświadomił sobie, że oślepl, i równocześnie uświadomił sobie, że wcale nie trzyma w ręku zegara z kukułką.

Próbował rozluźnić zaciśnięte w śmiertelnym uścisku dłonie i z dzikim przerażeniem pojął, że nie potrafi. Siły grawitacji wokół aparatu wzrosły. A koszarne urządzenie stawało się coraz gorętsze. Spomiędzy zbielejących palców Popa, z szarego korpusu aparatu unosił się dym.

Palec wskazujący prawej ręki pełził do czerwonego przycisku, zwalniającego migawkę. Wyglądał jak okaleczona mucha.

- Nie - zamruczał starzec i dodał błagalnie: - Proszę... Palec robił swoje. Dotarł do czerwonego przycisku i usadowił się na nim w chwili, gdy Kevin walnął ramieniem w drzwi i wpadł do środka. Rozbite szkło zaskrzypiało, rozsypało się po podłodze.

Pop nie naciskał guzika. Nawet ślepy, nawet czując, że skóra na palcu zaczyna tlić się i płonąć, wiedział, że nie powinien tego robić. Ale kiedy palec sadowił się na przycisku, siły grawitacji wzrosły najpierw dwu-, a potem trzykrotnie. Próbował cofnąć palec. Łatwiej byłoby unieść wiadro wody na planecie Jupiter.

- Rzuć to! - wrzasnął chłopak z kręgu ciemności. - Rzuć to, rzuć to!

- NIE! - odwrzasnął Pop. - O to mi chodzi, że NIE MOGĘ! Palec zaczął wciskać czerwony guzik.

\*

Kevin stał na rozstawionych nogach, pochylony nad aparatem dopiero co kupionym w „La Verdier’s”. Pudełko leżało u jego stóp. Udało mu się wcisnąć guzik otwierający pokrywę aparatu. Odsłoniła się szeroka komora na kasetę. Kevin usiłował włożyć kasetę. Uparcie stawiała opór, jakby aparat zdradził właściciela, przypuszczalnie z sympatii dla swego brata.

Pop znów wrzasnął, ale tym razem był to krzyk bez słów, wyrażał jedynie ból i strach. Kevin poczuł woń gorącego plastiku i przypalonego ludzkiego mięsa. Podniósł oczy i zobaczył, że polaroid rozpływa się, autentycznie rozpływa się w sparaliżowanych rękach starca. Sześcienny, zwarty kształt przeobrażał się w coś dziwnego, wydłużonego. W jakiś

sposób szkło celownika i obiektywu zamieniło się w plastik. Zamiast pęknąć lub wypaść z coraz bardziej nieforemnej skorupy celownik i obiektyw wydłużały się i rozciągały jak toffi, przybierały kształt groteskowych oczu tragicznej maski.

Ciemny plastik ściekał jak płynny wosk po palcach i dłoniach Popa gęstymi strażkami, drążył w ciele koryta. Plastik kauteryzował wypalone rany, ale Kevin ujrzał, że krew sączy się z brzegów, kapie na blat dymiącymi kroplami. Syczały jak gorący tłuszcz.

- Nie wyjąłeś kasety z opakowania! - ryknął z tyłu ojciec, budząc Kevina z paraliżu. - Wyjmij ją! Daj mi!

Sięgnął po kasetę, potrącając syna tak mocno, że mało go nie przewrócił. Porwał kasetę, nadal owiniętą w grubą folię, rozerwał końcówkę. Wyszarpnął kasetę z opakowania.

- POMOCY! - darł się piskliwie Pop. To były ostatnie zrozumiałe słowa, jakie Delevanowie od niego usłyszeli.

- Szybko! - wrzeszczał ojciec, wciskając kasetę z powrotem w ręce syna. - Szybko!

Syczało płonące mięso. Na blat polały się szerokim strumieniem krople gorącej krwi, pękały grubsze żyły i arterie. Strumyczek gorącego roztopionego plastiku owinął się bransoletą wokół lewego przegubu Popa, wiązka żył pękła i krew trysnęła jak przez zgniłą uszczelkę, która najpierw puszczała w kilku miejscach, a teraz po prostu rozpadła się pod stałym naporem płynu.

Pop wył jak zwierzę.

Kevin nadal walczył z kasetą.

- Kurwa!

- Wsadzasz na odwrót! - wściekł się pan Delevan. Usiłował wyrwać aparat Kevinowi, ale na próżno. Ojcu został w ręce tylko strzępek koszuli. Kevin wyszarpnął kasetę z aparatu. Przez chwilę zadygotała mu w palcach. Mało nie upadła na podłogę. Chłopcu wydało się, że podłoga wspina się w górę, stula w pięść i kiedy kasetę spadnie, podłoga roztrzaska ją na kawałki.

W tym momencie uchwycił kasetę pewniej, odwrócił, wepchnął do aparatu, zatrzasnął pokrywę korpusu, zwisającą bezwolnie w dół jak zwierzę z przetrąconym karkiem.

Pop zawył znów i...

BŁYSK!

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Tym razem Kevin znalazł się w centrum słońca, które w jednym zimnym wybuchu jasności przeistacza się w supernową. Wydało mu się, że własny cień oderwał się od jego pięt i został ciśnięty o ścianę. Może było w tym trochę prawdy, gdyż ściana powlekała się tysiącem



pęknięć. W mgnieniu oka rozświetliła się cała, tylko w zagłębieniu, które wydrążył w niej cień, powstał zarys postaci tak wyrazisty i niedwuznaczny jak sylwetka wycięta z papieru. Poderwany do góry łokieć sterczał tam nadal nieruchomo, podczas gdy ramię wznosiło się dalej, żeby podsunąć nowo kupiony aparat do oka.

Górna część aparatu, który Pop trzymał w dłoniach, oderwała się z niewyraźnym odgłosem przypominającym chrząknięcie jakiegoś gigantycznego grubasa. Polaroidowy pies warknął i ten basowy grzmot był tak głośny, tak wyraźny, tak bliski, że strzaskał szkło w drzwiczkach zegarów. Zwierciadła i szybki obrazków trysnęły z ram ulotnymi, kryształowymi kaskadami zadziwiającej, niewiarygodnej piękności.

Tym razem aparat nie jęknął, nie ślurpnął. Wydał krzyk. Wysoki, przeszywający krzyk położnicy konającej w bólach podczas porodu pośladkowego. Kwadratowy papierek, który przepychał się, przedzierał ze szczelinowego rozwarcia, dymił i kocił. Następnie mroczna szczelina również zaczęła się rozplýwać, jedna strona opadała, druga marszczyła się w górę, a całość rozdziawiała się jak bezzębne usta. Na lśniącej powierzchni ostatniego zdjęcia, wciąż wiszącego w rosnącym wylocie tunelu, którym polaroid rodzi swe fotografie, tworzył się bąbel.

Kevin stał bez ruchu. Patrzył przez kurtynę błyskających plamek, którą ostatnia eksplozja spuściła mu przed oczy. Polaroidowy pies znów zawył. Tym razem ciszej, głos nie dochodził już z podziemi, lecz zewsząd. Ale był groźniejszy, ponieważ był bardziej realny, bardziej stąd.

Ogromny szary kęs rozpuszczającego się aparatu poleciał w tył, rozłożył się na szyi Popa Merrilla jak naszyjnik. Nagle żyła i arteria szyjna Popa pękły. Czerwone spirale krwi siknęły w górę, na boki. Głowa opadła bezwładnie w tył.

Bąbel na powierzchni zdjęcia nadal rósł. Papierek zaczął podrygiwać na dolnej krawędzi rozstępującej się szczeliny zdekapitowanego aparatu. Brzegi fotografii rozstępowały się, jakby nie była wcale z papieru, ale z jakiejś rozciągliwej substancji, w rodzaju trykotowego nylonu. Uderzała o szczelinę i cofała się. Kevin pomyślał o kowbojkach, które dostał dwa lata temu na urodziny. Musiał w nie wbijać stopy. Były trochę za ciasne.

Brzegi zdjęcia uderzyły o krawędzie szczeliny. Powinno utknąć na dobre. Ale aparat nie był już jednolitą bryłą; w istocie przeobraził się całkowicie w coś innego. Brzegi fotografii rozcięły ścianki aparatu tak gładko, jak dwustronne ostrza dobrego noża tną miękkie mięso. Rozcięły niegdysiejszy korpus. Szare krople dymiącego plastiku poleciały w mrok. Jedna padła na stos suchych, kruszących się czasopism „Popular Mechanics” i wypaliła dymiącą się, zwęgloną dziurę.

Pies znów zawył wściekle - jak stworzenie, którego jedynym celem jest dopaść ofiary i pozbawić ją życia. Tylko to i nic więcej. Zdjęcie kołysało się przez chwilę na brzegu zapadniętej, rozpuszczającej się szczeliny, która przypominała czarę głosową jakiegoś zniszczonego instrumentu dętego. Potem upadło na stół, szybko jak kamień do studni.

Kevin poczuł rękę wpijającą się w jego ramię.

- Co ono robi? - chrapliwie spytał ojciec. - Jezu Chryste wszechmogący, Kevinie, co ono robi?

Kevin usłyszał swój daleki, prawie obojętny głos:

- Rodzi się.

### **ROZDZIAŁ DWUDZIWESTY TRZECI**

Pop Merrill zmarł, odchylony w fotelu przy swym warsztacie, przy którym siedział tyle godzin, siedział i palił, siedział i reperował rupiecie, żeby działały jakiś czas, i żeby on mógł sprzedawać rzeczy bez wartości ludziom bez rozumu. Siedział i pożyczal po zachodzie słońca pieniądze napalonym i nierozważnym. Umarł wpatrzony w sufit, z którego jego własna krew kapłała mu na policzki i w otwarte oczy.

Fotel przechylił się w tył i bezwładne ciało wyleciało na podłogę. Portmonetka i pęk kluczy zabrzęczały.

Na stole ostatnia polaroidowa fotografia nie przestawała dygotać niespokojnie. Jej brzegi rozciągały się coraz bardziej i Kevinowi wydało się, że czuje obecność jakiegoś nieznanego stwora, równocześnie martwego i ożywionego, jęczącego w strasznych, niewysłowionych bólach porodowych.

- Musimy się stąd wynosić - sapnął ojciec i pociągnął syna za ramię. Oczy pana Delevana, wielkie i oszalałe, były skupione na tej rosnącej, ruchomej fotografii, zajmującej teraz połowę warsztatu Merrilla. Niczym nie przypominała fotografii. Jej brzegi nadymały się jak policzki kogoś, kto usiłuje gorączkowo zagwizdać. Połyskujący bąbel, obecnie wysoki na stopę, rozrósł się i dygotał. Dziwne, trudne do opisanie kolory ślizgały się bez celu po powierzchni wydalającej tłusty pot. Świadome bliskości ofiary bezsilne wycie głodnego zwierzęcia cięło mózg Delevana raz za razem, grożąc rozdarciem, które otworzy drogę szaleństwu.

Kevin wyszarpnął się ojcu, rozrywając koszulę.

- Nie, ono dobierze się tylko do mnie - mówił głosem pełnym dziwnego spokoju. - Wydaje mi się, że ono chce mnie. Popa już załatwiło. A zresztą aparat najpierw był moją własnością. Ale mną się nie zadowoli. Dobierze się i do ciebie. A i tym może się nie zadowoli.

- Nic na to nie poradzisz! - krzyknął ojciec.

- Zobaczymy. Mam pewną szansę. I podniósł aparat.

\*

Brzezi fotografii dosięgały teraz krawędzi warsztatu. Zamiast opaść, zawinęły się w górę, wiły się i falowały. Przypominały dziwne skrzydła, w jakiś sposób zaopatrzone w płuca, które z męką próbują oddychać.

Cała powierzchnia tego amorficznego, pulsującego czegoś wydymała się bez przerwy. To, co powinno być płaskie, przeobrażało się w ohydny narośl, której miejscami wysadzone, a miejscami zapadnięte ściany ociekały wstrętnym płynem. Cuchnął niewyraźnie jak zepsuta galaretką ze świńskich nóżek.

Wycie rozlegało się nieprzerwanie jak głos piekielnego brytana, który z furią wydiera się na swobodę. Niektóre zegary świętej pamięci Popa Merrilla zaczęły bić w kółko, jakby nie mogąc znieść tego odgłosu.

Delevan już nie pragnął gorączkowo uciekać, czuł, że ogarnia go głębokie, niebezpieczne znużenie, rodzaj śmiertelnej śpiączki.

Kevin podniósł wizjer aparatu do oka. Polował na jelenie zaledwie parę razy, ale pamiętał uczucie, jakie go nawiedzało, gdy czekał ze strzelbą, podczas gdy inni myśliwi zbliżali się przez las, celowo hałasując, w nadziei, że wypłoszą zwierzynę na polanę. Kąt strzału był bezpieczny, przed nagonką. Kevin nie musiał się martwić, że kogoś trafi. Jedynym zmartwieniem było to, że trafi jelenia.

To był czas, kiedy się zastanawiał, czy trafi. Był to również czas, kiedy się zastanawiał, czy w ogóle zdobędzie się na strzał. Był to czas nadziei, że jeleni pozostanie tylko tematem rozmyślań, że nie będzie trzeba porównywać wyobrażeń z prawdą... nadziei, która zawsze się spełniała. Jedynie raz zwierzyna się pokazała: wyszła na strzał przyjacielowi ojca, Billy'emu Robersonowi. Pan Roberson wystrzelił pocisk tam, gdzie należy, w miejsce spojenia karku z barkiem i leśniczy zrobił im wszystkim zdjęcia wokół zwierzęcia, dwunastopunktowego kozła, którego porożem mógł się chlubić każdy mężczyzna.

„Założę się, że chciałbyś, aby to była twoja kolej na strzał, co, synu?“, zapytał go leśniczy i zmierzwił mu włosy (Kevin miał wtedy dwanaście lat; skok w górę, który zaczął się jakieś siedemnaście miesięcy temu i jak do tej pory doprowadził go do wzrostu sześć stóp minus jeden cal, nastąpił dopiero za rok... co znaczyło, że nie był dość wysoki, żeby nie lubić mężczyzn, którzy mierzwił mu włosy).

Kevin pokiwał głową, zachowując sekret dla siebie: był zadowolony, że nie jemu wypadło strzelać, że to nie jego strzelba była odpowiedzialna za wypłucie lub niewypłucie

pocisku... Bo gdyby okazało się, że ma odwagę strzelić, w nagrodę czekała go kłopotliwa odpowiedzialność: czyste trafienie kozła. Nie wiedział, czy w razie fuszerki starczyłoby mu odwagi na kolejny strzał i czy miałby dość siły, żeby podążyć za krwią i parującymi odchodami przerażonego zwierzęcia i zakończyć to, co zaczął.

Uśmiechnął się do leśniczego, pokiwał głową, ojciec zrobił zdjęcie i nie było potrzeby mówić mu, że pod wzniesionym czołem i pod mierzwiącą ręką leśniczego w głowie tkwiła odpowiedź na postawione pytanie. Brzmiała: „Nie. Nie chciałbym. Człowiek sprawdza się całe życie, ale mam dopiero dwanaście lat, jestem młody, wcale się do tego nie palę. Fajnie, że padło na pana Robersona. Jeszcze nie jestem gotów sprawdzać się jak dorosły mężczyzna”.

Ale teraz to jemu zwierzę wyszło na strzał, no nie? I zbliżało się, no nie? I nie był to nieszkodliwy roślinożerca. To maszyna do zabijania, wielka i wredna, może połknąć żywego tygrysa i chce zabić jego, i to za ledwie na zakąskę. A on jest jedyną osobą, która może je powstrzymać.

Przemknęło mu przez myśl, żeby może oddać polaroid ojcu, ale to był chwilowy odruch. W głębi serca wiedział, czym to grozi. Oddanie aparatu będzie równoznaczne z zabiciem ojca i popełnieniem samobójstwa. Ojciec uwierzył, ale nie dość głęboko. Nawet gdyby wyrwał się z obecnego stanu osłupienia i nacisnął spust migawki, aparat go nie posłucha.

Posłucha tylko jego.

Więc czekał, żeby się sprawdzić, zerkał przez wizjer aparatu jak przez przyrządy celownicze strzelby, zerkał na fotografię, która nie przestawała rosnąć, rozpychała ten lśniący, topliwy bąbel coraz wyżej, coraz szerzej.

Teraz rozpoczął się właściwy poród polaroidowego psa. Przychodził na ten świat. Aparat ciążył Kevinowi, jakby był z ołowiu. Ryk stwora zabrzmiał jak trzask z bicza. Aparat zadrżał i Kevin czuł, że spocone, mokre palce chcą się wyprostować i puścić polaroid. Nie poddawał się, odsłonił zęby w szaleńczym, rozpaczliwym uśmiechu. Pot zalał mu oko, przez moment widział wszystko podwójnie. Ruchem głowy odrzucił włosy z czoła i brwi, i przywarł okiem do wizjera, podczas gdy potężny odgłos darcia - jakby silne ręce rozdzierały z wolna gruby kawał płótna - wypełnił „Emporium Galorium”.

Świecąca powierzchnia bąbla pękła. Trysnął czerwony dym, jak para z czajnika podświetlona czerwonym neonem.

Stwór znów zaryczał, wściekły, rozjuszony. Gigantyczne szczęki wypełnione pokrzywionymi zębami wychynęły, rozdzierając błonę pulsującego bąbla, jak szczęki czarnego delfina. Rwały, żuły, gryzły błonę. Odpadała, plaskając jak guma.

Zegary biły szaleńczo, obłąkańczo.

Ojciec znów złapał Kevina, tak mocno, że zęby chłopaka zagrzechotały o plastikowy korpus aparatu. Polaroid o mały włos nie wypadł mu z rąk i nie roztrzaskał się na podłodze.

- Naciskaj spust! - ojciec przekrzykiwał hałas. - Naciskaj spust, Kevin, jeśli możesz, NACISKAJ SPUST, Jezu Chryste, to zaraz...

Kevin wyszarpnął się ojcu.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie te...

Na głos chłopca stwór ryknął przeraźliwie. Wrywał się stamtąd, skąd się wrywał, darł fotografię. Podała się, ustępowała z jękiem. Znów rozległ się nierówny, głuchy trzask rozdieranego materiału.

I nagle polaroidowy pies poderwał wyżej łeb, czarna, szorstka, zmierzwiona sierść wyłaniała się przez dziurę w rzeczywistości jak jakiś niesamowity peryskop, składający się z samego metalu i połyskujących, odbijających światło szkieł obiektywu... tylko że Kevin nie widział metalu, ale poskręcane, szorstkie futro i miał przed sobą nie szkła obiektywu, ale oszalałe, wściekłe oczy.

Pies zahaczył karkiem o brzeg, rozszarpał go kolczastym futrem. Dziura wyglądała teraz jak krater słonecznej plamy. Stwór znów zaryczał, obrzydliwy, żółto-czerwony płomień zionął mb z pyska.

John Delevan zrobił krok w tył i uderzył o stół zastawiony gęsto stertami „Weird Tales” i „Fantastic Universe”. Stół się zachybotał i pan Delevan bezradnie zamachał rękami, pięty najpierw poleciały mu w tył, a potem wystrzeliły do przodu. Człowiek i mebel przewrócili się z hałasem. Polaroidowy pies znów zaryczał, pochylił łeb z niespodziewaną delikatnością i szarpnął za krępującą błonę. Rozerwała się. Plunął cienkim strumieniem ognia, błona zajęła się i zmieniła w popiół. Stwór rzucił się naprzód i Kevin zobaczył, że na krawacie zawiązanym wokół szyi nie miał już zapinki, lecz niezbędnik do fajki Popa Merrilla.

W tym momencie chłopca opanował zupełny spokój. Ojciec wydierał się przerażony, usiłując wykaraskać się spod stołu, ale Kevin nie zwracał na niego uwagi. Zdawało mu się, że te krzyki dochodzą z wielkiej odległości.

„W porządku, tato, myślał, spokojnie patrząc przez wizjer na walczące z błoną zwierzę. Wszystko w porządku, nie widzisz? W każdym razie mamy szansę na przetrwanie. Jego amulet się zmienił”.

Pomyślał, że może polaroidowy pies też ma swego pana... i ten pan uświadomił sobie, że Kevin może już nie jest łatwą zdobyczą.

A może w tamtym dziwnym nienamacalnym mieście, Polaroidowie, jest hycel? Musi być, bo po cóż w śnie Kevina pojawiałyby się tłusta kobieta? To właśnie tłusta kobieta powiedziała mu, co musi zrobić. Powiedziała z własnej woli albo wysłana przez hycla. Dwuwymiarowa kobieta pchająca dwuwymiarowy wózek pełen dwuwymiarowych aparatów fotograficznych. „Uważaj, chłopcze. Popowy pies zerwał się ze smyczy, a to zły kundel... Trudno mu zrobić zdjęcie, ale bez aparatu to w ogóle niczemu nie podolasz”.

Ale teraz miał aparat, no nie? Nie był to pewny sposób. W żadnym wypadku. Ale lepszy taki niż żaden.

Pies przywarował, odwracał jakby mimochodem łeb... aż zaćmione, płonące spojrzenie padło na Kevina Delevana. Czarne wargi zjechały z powykręcanych jak korkociągi kłów, pysk rozwarł się, ukazując dymiącą czeluść gardła, i pies zawył drapieźnie, z furią. Stare klosze oświetlające nocami dom Popa trzasnęły jeden po drugim, poleciały wirujące odłamki mlecznego szkła popstrzonego przez muchy. Pies szarpnął się, dysząca pierś przebiła błonę dzielącą dwa światy. Palec Kevina spoczął na spuście polaroidu. Pies znów się szarpnął i teraz przednie łapy wyrwały się na swobodę, a okrutne kostne ostrogi, jakże podobne do gigantycznych kolców, drapały, złościły blat stołu, szukając oparcia. Zostawiały długie blizny w twardym klonie. Kevin słyszał ponure uderzenie i drapnięcie tylnych łap, pracujących jak tłoki, w poszukiwaniu oparcia w dole (jakikolwiek by ten dół tam był) i wiedział, że teraz zaczyna się ostatni, krótki bieg sekund, podczas którego zwierzę jest uwięzione i skazane na jego łaskę. Następne szarpnięcie i zwierzę skoczy ponad stołem, a kiedy tylko się uwolni z dziury, szybko jak nagła śmierć, jednym susem, pokona przestrzeń, oddech mu zapłonie na ułamki sekund, a potem weźre się w ciepłe wnętrze ofiary. Bardzo wyraźnie, jak zawodowy fotograf, Kevin powiedział: - Uśmiech proszę, skurwysynu. I nacisnął spust polaroidu.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Błysk był tak oślepiający, że Kevin nie potrafił go potem sobie przypomnieć. Prawdę mówiąc, niewiele potrafił sobie przypomnieć. Aparat, który trzymał w rękach, nie stał się gorętszy, nie rozplynał się. Rozległo się kilka krótkich, wyraźnych trzasków. Szkło matówki i sprężyny albo pękły, albo zwyczajnie rozsypały się na kawałeczki.

W białej poświacie zobaczył polaroidowego psa, który zamarł jak doskonała białoczarna polaroidowa fotografia: odrzucił w tył głowę, a każda fałda i zagłębienie dziko zjeżonego futra były wyraźne jak dolina wyschłej rzeki. Zęby błyskały. Straciły żółtawy połysk. Stały się tak białe i wstrętne jak stare kości w wyżłobieniach, którymi woda przestała ciec przed tysiącami lat. Jedno nabrzmiałe oko zbieleło jak oko w głowie greckiego posągu.

Bezlitosne światło zalało bielą mroczną czerwień tęczy. Dymiący smark spadł z rozdętych nozdrzy i ciekł jak gorąca lava wąskimi kanalikami od podwiniętych warg do dziąseł.

Cały ten obraz był dokładnym przeciwieństwem wszystkich polaroidowych fotografii, które Kevin widział: był biało-czarny, a nie kolorowy, i trój-, a nie dwuwymiarowy. Odnosiło się wrażenie, że ogląda się żywą istotę obróconą w kamień po nieostrożnym spojrzeniu w twarz Meduzie.

- Jesteś załatwiony, sukinsynu! - wrzasnął Kevin łamiącym się, histerycznym głosem i, jakby na potwierdzenie tych słów, przednie łapy stwora osunęły się z blatu i zaczęły znikać w dziurze. Najpierw powoli, a potem szybko.

„Co bym zobaczył, gdybym podbiegł i zajrzał do dziury? - błąkało się po głowie Kevinowi. Czy zobaczyłbym dom, płot, starca pchającego wózek na zakupy, oniemiałego, wpatzonego w twarz giganta, nie chłopca, ale Chłopca, który odwzajemnia mu się spojrzeniem z poszarpanej, wypalanej dziury w zamglonym niebie? Czy wessałoby mnie do środka?”.

Ale nie podbiegł, nie zajrzał. Upuścił polaroid i ukrył twarz w dłoniach.

Jedynie John Delevan zobaczył finał całego wydarzenia: pozwijana, obumarła błona otaczająca dziurę zbiegła się, ściągnęła w pofalowany, ale niegroźny guz, zmięła, a potem zapadła (albo została wciągnięta) do środka.

Rozległ się odgłos wsysanego powietrza. Z początku brzmiał jak głośnie zachłyśnięcie się, a potem jak wysoki gwizd czajnika. Następnie to, co leżało na stole, wywróciło się na drugą stronę i przepadło. Zwyczajnie przepadło. Jakby nigdy nie istniało.

Dźwigając się na roztrzęsione nogi, pan Delevan spostrzegł, że ostatnie wdmuchnięcie (lub wydmuchnięcie, zależnie od tego, po której stronie dziury się było) zabrało bibularz i zdjęcia wykonane przez starca.

Kevin stał na środku pomieszczenia, zasłaniał twarz rękoma, płakał.

- Kevinie - powiedział ojciec i objął syna.

- Musiałem zrobić mu zdjęcie - powiedział Kevin. Słowa padały przez łzy, przez dłonie. - Tylko tak mogłem się go pozbyć. Musiałem zrobić zdjęcie temu zasranemu skurwipsu. O to mi chodzi.

- Tak - powiedział i objął go mocniej. - Tak. I zrobiłeś to. Kevin popatrzył na ojca bezbronnymi, zapłakanymi oczami.

- Po to musiałem mu zrobić zdjęcie, tato. Czy rozumiesz?

- Tak - odpowiedział ojciec. - Chodźmy do domu, synu. Jeszcze goręcej objął syna, aby poprowadzić go do drzwi, dalej od dymiących, okrwawionych zwłok starca (pan Delevan

myślał, że Kevin ich nie spostrzeże, ale jeśli zabawią tu dłużej, spostrzeże). Kevin przez chwilę stawiał mu opór.

- A co ludzie na to powiedzą? - spytał jak pedantyczna stara panna i pan Delevan roześmiał się mimo rozdygotanych nerwów.

- Niech mówią, co chcą. Nigdy nie dojdą prawdy, a zresztą wątpię, żeby komuś na tym zależało. - Urwał. - Wiesz, nikt za nim nie przepadał.

- I ja wcale nie chcę dochodzić prawdy - szepnął Kevin. - Chodźmy do domu.

- Tak. Kocham cię, Kevinie.

- Ja też cię kocham - zachrypniętym głosem powiedział Kevin i wyszli na jasne światło dnia. Zostawili za sobą dym i smród starych rzeczy, które najlepiej zapomnieć. Sterta czasopism zapłonęła... i ogień szybko rozpostarł chciwe pomarańczowe palce.

Były to szesnaste urodziny Kevina Delevana i dostał na nie dokładnie to, co chciał: minikomputer osobisty Word Star 70 i edytor tekstowy. Była to zabawka warta tysiąc siedemset dolarów i za dawnych czasów rodziców nigdy nie byłoby stać na coś takiego, ale w styczniu, trzy miesiące po ostatecznej konfrontacji w „Emporium Galorium”, ciotka Hilda zmarła spokojnie we śnie. Zrobiła Coś dla Kevina i Meg, prawdę mówiąc zrobiła Całkiem Sporo dla całej rodziny. Po stwierdzeniu autentyczności testamentu rodzina Delevanów stała się bogatsza o prawie siedemdziesiąt tysięcy dolarów... i to po odliczeniu podatków, nie przed.

- Jeeezu, ale fajnie! Dzięki wam serdeczne! - zawołał Kevin i pocałował matkę, ojca, a nawet siostrę Meg (która zachichotała, ale będąc o rok starsza, nie próbowała się bronić; Kevin nie mógł się zdecydować, czy uznać to za krok w dobrym czy złym kierunku). Większość popołudnia spędził w swoim pokoju, krzątając się wokół prezentu i testując program.

Koło czwartej zszedł na dół i zajrzał do małego pokoju ojca.

- Gdzie mama i Meg?

- Pojechały na jarmark rękodzielnictwa do... Kevinie? Kevinie, o co chodzi?

- Lepiej chodź na górę - drewnianym głosem powiedział Kevin. Na progu pokoju zwrócił bladą twarz ku równie pobladłej twarzy ojca. „Przyjdzie więcej zapłacić”, myślał pan Delevan, podążając za synem po schodach. Oczywiście. Dług doskwiera. Czyż nie nauczył się tego dzięki kontaktowi z Reginaldem Marionem Popem Merrillem?

„Ale dopiero odsetki łamią ci krzyż”.

- Czy nie możemy kupić innego egzemplarza tego urządzenia? - Kevin wskazał na otwartego laptopa. Rzucił na bibularz tajemniczy, żółty, świetlny prostokąt.



- Nie wiem - powiedział pan Delevan, podchodząc do biurka. Kevin stanął za nim - blady jak ściana obserwator. - Wydaje mi się, że gdybyśmy musieli...

Przerwał. Patrzył na ekran.

- Wpisałem program i napisałem „Szybki rudy lis przeskoczył nad leniwym śpiącym psem” - powiedział Kevin. - Ale z drukarki wyszło tylko to.

Pan Delevan w milczeniu czytał wydruk. Ręce i czoło miał lodowate. Oto słowa, które zobaczył:

PIES JEST ZNÓW NA WOLNOŚCI.

NIE ŚPI.

NIE JEST LENIWY.

CHCE DOBRAĆ SIĘ DO CIEBIE, KEVINIE.

„Dług doskwiera” pomyślał znów, ale dopiero odsetki łamią ci krzyż”. Oto, co było w dwóch ostatnich linijkach:

JEST BARDZO GŁODNY.

I JEST BARDZO ZŁY.